

Salman Rushdie

Ziemia pod jej stopami

Przełożył Wojśław Brydak

Dla Milana

*Pomnika nie stawiajcie. Niech różana
gałązka kwitnie dlań w corocznej chwale.
Bo to Orfeusz jest. Jego przemiana
w tym albo owym. Nie trudźmy się wcale
o innych imion dźwięk. Bo jeden tylko śpiewa Orfeusz.*

Rainer Maria Rilke, *Sonety do Orfeusza*,

przekład Mieczysława Jastruna

1. Pszczelarz

W ostatnim dniu życia - było to świętego Walentego 1989 roku - Wina Apsara zbudziła się z płaczem; legendarna piosenkarka śniła o składaniu ofiary z człowieka, a zamierzano poświęcić właśnie ją. Mężczyźni o gołych torsach, podobni do aktora Christophera Plummera, trzymali Winę za kostki i nadgarstki. Nagą, wijącą się rozciągnęli na oszlifowanym głazie, na którym wyryto wizerunek pierzastego węża; w rozdziawionej paszczy Quetzalcoatla widniało ściemniałe wgłębienie wyżłobione w kamieniu. Rozwarła usta, krzyczała co tchu w piersi, mimo to słyszała tylko ciche trzaskanie fleszy. Lecz zanim poderżnęli jej gardło, zanim w tej przerażającej czarze zapieniła się krew, jej krew - zdążyła otworzyć oczy. Mijało południe; Meksyk, miasto Guadalajara, bliżej nie znane łóżko, w nim bliżej nie znany, wpółmartwy, nagi Metys u jej boku, osobnik ledwie dwudziestoletni (później, po katastrofie, przedstawiany w nie kończącej się serii depeš jako Raul Paramo, playboy, spadkobierca pewnego popularnego w tych stronach barona budowlanego; hotel należał do jednej z korporacji owego potentata). Pociła się straszliwie, a z przewilgłych prześcieradeł bił odór niedorzecznych a żalonych nocnych zmagają. Raul Paramo był nieprzytomny, miał zbiele wargi; ciałem wstrząsał raz po raz spazm łudzaco podobny, zauważyła Wina, do jej własnej szamotaniny we śnie. Z tchawicy Raula zaczęły dobiegać przerażające odgłosy, jakby mu podrzynano gardło, a z niewidzialnej rany - przypominającej uśmiechnięte szkarłatne usta - buchnęła krew, jak do tamtej czary ze snu. Przeżona Wina wyskoczyła z łóżka i porwała ubranie: skórzane spodnie i stanik obsyty złotymi cekinami; wczoraj wieczorem w tym kostiumie wyszła do finału, na estradę miejskiej hali zgromadzeń. Oddała się w rozpacz i ze wzgardą temu nikomu, chłopakowi młodszemu od niej dwa razy, gdzie tam, jeszcze młodszemu, wybranemu na chybił trafił z kłębiącego się zawsze za sceną tłumu padalców: spomiędzy objuczonych bukietami pięknoduchów, magnatów przemysłowych, bossów narkotykowych, arystokratycznego motłochu, książąt tequili, zasobnych w limuzyny, szampana, kokainę, a może i w diamenty, którymi gotowi byli obdarować gwiazdę wieczoru.

Facet przedstawiał się, łasił, stroszył piórka, lecz nazwisko chłopaka ani stan konta nie ciekawiły Winy. Zerwała go sobie jak kwiatek, który się wetknie między zęby, wzięła jak danie na wynos, a potem wprawiała w panikę gwałtownością apetytów,

bo jeszcze dobrze nie zatrzasnęły się drzwi limuzyny, a już dobrała się do niego jak do zastawionego stołu, przy czym obsadziła go w roli dania, nie czekając, aż kierowca podniesie przegrodę zapewniającą pasażerom prywatność. Później ów szofer z wielkim szacunkiem wyrażał się o jej ciele; pismaki podlewały go tequila, a on szeptał jak o cudzie ojej żądlącej, drapieżnej nagości, bo w pale się nie mieści, że stuknął jej czwarty krzyżyk, chyba tam na górze ktoś chciał ją, normalnie, zachować, jaką stworzył. Wszystko bym zrobił dla takiej kobiety, zawodził kierowca, gdyby sobie zażyczyła, jechałbym dwieście na godzinę, wprost w betonową ścianę; gdyby zechciała umrzeć w ten sposób.

Naprawdę miała sporo szczęścia, że po tym, jak w chwili słabości - w półrozebrana, odurzona, na chwiejnych nogach ruszyła przez korytarz dziesiątego piętra, zataczając się, brukając stopy farbą drukarską (bo po podłodze wały się jakieś gazety trąbiące o francuskich próbach nuklearnych na Pacyfiku i niepokojach politycznych w prowincji Chiapas, na południu), po tym jak zatrzasnęła za sobą drzwi (nie biorąc wcześniej klucza i nie kojarząc, że ciąg pokoi, który porzuca, to jej apartament) - wpadła wprost na mnie; na Umida Merchanta, szerzej znanego jako "Raj", fotografa, jej, jakby powiedzieć, kompana z dawnych bombajskich czasów; teraz jedyne w promieniu tysiąca i jednej mili pstrykacza, który nie ślini się na myśl o sfotografowaniu jej w stanie malowniczego a skandalicznego rozmemłania (zdjęcie? na którym tak po mnie widać wiek? odpada!), jedyne złodzieja wizerunków, który by sobie nie przywłaszczył tandetnego i odstręczającego obrazka - bezradności, mętnego spojrzenia, za to z wyrazistymi workami pod oczami, z ufarbowaną na czerwono strzechą, splątaną, sztywną, drucianą, sterczącą jak dziecioli czub, z tymi zachwycającymi ustami, trzęsącymi się teraz i niepewnymi, z pogłębianymi przez nielitościwy upływ czasu fiordzikami na krawędziach warg - istnego archetypu szalonej bogini rocka w pół drogi ku nieszczęściu, opuszczeniu i ruinie. To dla dobra tej trasy postanowiła przeobrazić się w rudzielca, bo w wieku czterdziestu czterech lat zaczynała od nowa, karierę solo, bez Niego; po raz pierwszy ruszyła bez Ormusa, więc nic dziwnego, że wciąż czuła się zagubiona, wyprowadzona z równowagi. I samotna. Nie da się ukryć. Publicznie czy prywatnie, jeśli nie z nim, to wszystko jedno z kim, trudno i darmo, zawsze będzie samotna.

Dez-orientacja: wyzbycie się Wschodu. I Ormusa Kamy, słońca Winy.

Nie nazwałbym tego ślepym trafem, że Wina wpadła akurat na mnie. Zawsze byłem pod ręką. Troszczyłem się. Czekałem na wezwanie. Gdyby zechciała, takich jak

ja znalazłyby się dziesiątki, setki, tysiące. Wierzę jednak, że się nie znalazły. Lecz kiedy po raz ostatni wzywała pomocy, nie podążyłem na ratunek - i zginęła. Zgasła w połowie historii swego życia. Była nie dokończoną piosenką, porzuconą melodią, której wzbroniono podążyć za słowami, zespolić się z nimi, wzbroniono sięgnąć po końcowy, wieńczący całość rym.

W dwie godziny po wyprowadzeniu Winy z bezdennej otchłani - ściślej: z hotelowego korytarza - lecieliśmy helikopterem do Tequili, gdzie don Angel Cruz, dżentelmen słynący ze szczodrobliwości i gościnności - posiadacz ogromnej plantacji błękitnych agaw, legendarnej gorzelni Angel, kontratenoru o niezrównanej słodyczy i skali oraz brzucha jak rotunda - miał wydać bankiet na jej cześć. Tymczasem przygodnego kochanka trzeba było zawieźć do szpitala, a skutki ataku, któremu biedny playboy uległ pod wpływem prochów, okazały się tragiczne; później - zważywszy, co przytrafiło się Winie - bez końca karmiono świat tym, co skrupulatni analitycy znaleźli w krwiobiegu denata, w żołądku, przewodzie pokarmowym, mosznie, oczodołach, wyrostku robaczkowym, włosach, słowem wszędzie z wyjątkiem mózgu, wyżartego przez narkotyki tak sumiennie, że niczego ciekawego się tam nie spodziewano; nikt też nie zdołał zrozumieć ostatnich słów playboya, wypowiedzianych w terminalnym delirium. Lecz w parę dni później, kiedy wiadomości już się jakoś rozprzestrzeniły po Internecie, pewien maniak z okolic San Francisco, z Castro - adres: <elrond - rivendel.com>, mania: fantasy - oświecił internautów: otóż, wyjaśniał, Raul Paramo posłużył się był językiem orków, Czarną Mową, którą na użytek sług Czarnego Władcy Saurona stworzył pisarz Tolkien: *Ash nazg durbatuluk, ash nazg gimbatul, ash nazg thrakatuluk agh burzumishi krimpatul*. Zaraz potem po całej WWW rozpełzły się plotki na temat praktyk satanistycznych, a może i sauronistycznych. Podsuwano myśl, że kochanek-Metys był czcicielem szatana, krwawym sługą Podziemia i że ofiarował Winie Apsarze cenny, ale zdradliwy pierścień, który sprowadził na nią tę późniejszą katastrofę i pociągnął do Piekła. Bo Wina tymczasem przeistoczyła się w mit, czyli naczynie, które byle kretyn może napełniać głupotami, bądź - ujmijmy rzecz inaczej - w refleks kultury, która (jeśli już rozgryźć jej właściwości i nazwać po imieniu) najpełniej odzwierciedla się w zwłokach.

*Jeden, by wszystkimi rządzić, Jeden, by wszystkie odnaleźć; Jeden, by wszystkie zgromadzić i w ciemności związać**. [* Nawiązania do *Władcy Pierścieni* J.

R. R. Tolkiena według przekładu Marii Skibniewskiej (wiersze przełożyli Maria Skibniewska i Włodzimierz Lewik) (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).] W helikopterze lecącym do Tequili siedziałem obok Winy Apsary, lecz na jej palcach nie widniał żaden pierścień, tylko zawsze noszony selenit, traktowany jak talizman, ogniwo łączące z Ormusem Kamą, przypomnienie o jego miłości.

Świtę wyprawiła szosą; na towarzysza podniebnych peregrynacji wybrała tylko mnie.

- Spośród was wszystkich, sukinsyny, mogę zaufać tylko jemu - warknęła.

Ta żalosna menażeria wyruszyła godzinę przed nami: śliski jak wąż menago, hienowaty asystent, goryle z ochrony, paw stylisty, jaszczurowaty rzecznik prasowy. Kiedy helikopter sfrunął nad karawanę, zaczęła się rozwiewać mroczna chmura spowijająca Winę jeszcze w chwili startu. Wina poleciła wykonać serię nalotów nad auta, coraz to niższych, widziałem, jak pilotowi oczy rozszerzają się ze strachu, za to źrenice zamieniają w czarne punkciki, w igły; był jednak pod jej urokiem jak wszyscy i robił, co kazała. To ja się wydzieriałem do hełmofonu *wyżej, leć wyżej*, ale w słuchawkach rozlegał się jej śmiech, rozdzierający bębny jak łomot drzwi, którymi wiatr tłucze o ścianę. Chciałem powiedzieć, że się boję; spojrzałem w jej stronę, a wtedy zobaczyłem, że Wina płacze. Policjanci zaskakująco delikatnie obeszlą się z Winą w scenie "Raul Paramo przedobrzył", zaledwie ostrzegli, że i ją może objąć dochodzenie. Wprawdzie w tym momencie prawnicy Winy ucięli dyskurs, ale ona sama wydawała się potem podminowana, wytracona z równowagi; nadmiernie jaśniejąca - jak żarówka, jak supernowa, jak wszechświat - tuż przed eksplozją.

Kiedy znad kolumny pojazdów polecieliśmy nad wzgórza i doliny, pobłkitniałe jakby je osnuł dym, bo pokryte plantacjami agaw, nastrój Winy znów się zmienił; zaczęła chichotać do mikrofonu i upierać się, że wieziemy ją do miejscowości, której nie ma, do krainy zmyślonej, baśniowej, bo jak może istnieć osada o nazwie Tequila?

- ...jakby się ktoś upierał, że whisky pochodzi z Whisky, a gin z Ginu - wykrzykiwała. - Czy w Rosji płynie rzeka Wódka? Czy rum pędzą w Rumie? - Głos Winy nagle przycichł, pociemniał, ledwie rozpoznawalny w łoskocie wirników. - A heroinę zsyłają herosi; jak już się nagrzać to mieczem ognistym. - Kto wie, może asystowałem przy narodzinach piosenki.

Potem wypytywano pilotów o ów rajd helikopterowy, ale obaj lojalnie uchylili się od rozgłaszania szczegółów napowietrznego monologu, w którym Wina miotła się między euforią a rozpaczą.

- Była w pierwszorzędnym humorze - zapewnili. - A mówiła po angielsku, więc nic nie zrozumieliśmy.

Nie tylko po angielsku. Jedynie do mnie mogła paplać w tym tandetnym żargonie bombajskim, Mumbai ki kaćrapati batćit, w którym zdanie może się zacząć w jednym języku, potem przeskoczyć w inny, potem jeszcze inny, by skończyć się w tym pierwszym. Nazywaliśmy ten żargon, akronimicznie, hugma: hindi urdu gudźarati marathi angielski; “przytul-mnie”*. [* Skrót w oryginale nie jest abstrakcyjny, brzmi właśnie “przytul mnie” (hug-me: Hindi Urdu Gujarati Marathi English).]Tacy jak ja bombajczycy mówią pięcioma językami; każdym okropnie.

Z dala od Ormusa Kamy Wina odkrywała podczas tej trasy własne ograniczenia - w muzyce i tekstach. Nowe piosenki miały wyeksponować jej boski głos, owe schody do niebios, słowem wielooktawowy instrument godny Ymy Sumac, którego - jak zapewniała - Ormus nigdy w swych kompozycjach należycie nie wykorzystał. Lecz w salach Buenos Aires, Sao Paulo, Mexico City i Guadalajary publiczność reagowała na jej piosenki letnio, chociaż przy bębnach szaleli trzej komplet nie odmóżdzeni Brazylijczycy, a dwaj rywalizujący gitarzyści z Argentyny tylko czekali, by rzucić instrumenty i złapać za noże. Publiki nie wprawiały w ekstazę nawet gościnne produkcje Meksykanina Chico Estefana, przeciwnie, chirurgicznie upiększona twarz i baśniowo uzębione usta przechodzonego gwiazdora kierowały uwagę ku umykającej młodości Winy; na to samo wskazywał przeciętny wiek tłumu. Brakowało szczeniaków; w każdym razie mało ich było, grubo za mało.

Natomiast ryk zachwytu towarzyszył wszystkim starym hitom z repertuaru VTO; trudno i darmo, to właśnie w tych numerach szajba perkusistów przeistaczała się w coś boskiego, gitarzyści szybowali ku wyżynom, ich pojedynki nabierał wzniosłości, zdawało się nawet, że Estefan, stary rozpustnik, wraca pomiędzy ludzi z tych swoich pastwisk za górami. Wina Apsara śpiewała muzykę Ormusa Kamy do słów Ormusa Kamy, a na widowni ta garstka szczawi nagle rozdziawiała gęby, dostawała kota; w takt okrzyków przetaczających się jak grzmot wznosiły się tysiące rąk i - jak odrębny tłum, ożywiony tym samym rytmem - formowały w języku gestów nazwę owej przesławnej kapeli:

V! T! O!

V! T! O!

Mówili w ten sposób: Wróć do niego. Chcemy was widzieć razem. Nie odtrącajcie miłości. Nie rozchodźcie się, ale uzupełniajcie!

Vina To Ormus: Wina do Ormusa! Albo angielskie “nas dwoje”, *we two*, w przekładzie na język hugma: *Vto*. Albo *Vertical-Take-Off* - odlot wprost w niebo. A także nawiązanie do *V2*. Albo inaczej: *V* - jako symbol pokoju, który zwycięży, *T* - jako skrót *two*, ich dwoje, a *O* - jako symbol miłOści, ich miłOści. Albo *Victoria Terminus Orchestra*, którą to nazwą Ormus składał hołd jednemu z największych budynków w swoim rodzinnym mieście. A może nazwa dawno temu wymyślona przez Winę na widok popsutej neonowej reklamy *Vimto* - pewnego staroświeckiego napoju orzeźwiającego - w której świeciły tylko trzy litery, bo środkowe “i” i “m” zgasły.

V!.. T... Ochhh.

V... T... Ochhh.

Dwa okrzyki i westchnienie. Orgazm. Erupcja przeszłości. I jej ślad: pierścień na palcu Winy. Może wiedziała, że musi do niej wrócić. Nie bacząc na mnie.

Suche, niemożliwie skwarne popołudnie; Wina przepadała za taką pogodą. Pilot oznajmił przed lądowaniem, że w okolicy nieznacznie zatrzęsała się ziemia, zapewnił jednak, że już po wszystkim, wstrząsy ustały, nie ma sensu niczego odwoływać. I zaklął po francusku.

- Po każdej takiej przymiarce wystarczy policzyć dni do pięciu: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć i ziemia drży; masz jak w banku.

Posadził helikopter na zakurzonym boisku piłkarskim w środku miasteczka. Chyba cała tequilańska policja próbowała sobie poradzić z powstrzymaniem tłumu. Kiedy Wina Apsara majestatycznie zstąpiła na ziemię (na co dzień księżna, w takiej sytuacji przeistaczała się w królową), fani zagrzmieli, po prostu wykrzykiwano *Wiiiiinaaaa*, a wydłużanie samogłosek wyrażało najczystszą tęsknotę; który to raz upewniałem się, że mimo kosmicznych balang, mimo robienia widowiska z własnego życia, mimo gwiazdorskich zwapnień, mimo nakhr, nigdy nie wzbudzała niechęci; coś w jej zachowaniu rozbrajało ludzi, nie burzyła w nich żółci, przeciwnie, wrzało w nich jakieś cudowne bezwarunkowe uniesienie, jakby Wina była świeżo narodzonym dzieckiem, krew z krwi tej całej ziemi.

Nazwijmy to miłością.

Przez kordon przedzierali się malcy, uganiali za nimi spoceni gliniarze, tymczasem dwoma srebrzystymi bentleyami (odcień idealnie zharmonizowany z kolorem włosów właściciela) zajechał don Angel Cruz, przeproszał, że nie witają nas

arie, lecz ten nieszczęsny kurz, zawsze przeszkadza, fakt, ale teraz po wstrząsach wszędzie go pełno, zapraszam señora, zapraszam señor, pokasływał, osłaniał grzbietem dłoni usta, prowadził nas jak dobry pasterz do pierwszego bentleya, proszę wsiadać, ruszamy, rozpoczynamy program. Don Angel usadowił się w drugim wozie, raz po raz ocierał twarz monumentalnymi chusteczkami, a w utrzymanie na niej szerokiego uśmiechu wkładał cały zapas wewnętrznych mocy. Widać było, że rola przykładowego gospodarza to maska, pod którą wzbierał niepokój.

Samochód ruszył ku plantacji.

- Gość panikuje - powiedziałem do Winy.

Wzruszyła ramionami. W październiku 1984 roku, kiedy testowała luksusowe auto na użytek promocyjnego wstępniaka dla "Vanity Fair", przejeżdżała przez most nad Oakland Bay, z San Francisco na zachód. Tuż za mostem wysiadła na stacji benzynowej, by niemal zaraz zobaczyć, że wóz właśnie wlatuje: stracił grunt pod kołami i zawisnął w powietrzu jak jakiś obiekt z przyszłości lub z filmu *Powrót do przyszłości*. W tym momencie most nad Oakland Bay przełamywał się jak zabawka. Nic dziwnego, że twardym tonem osoby obytej z kataklizmami powiedziała do mnie, przeciągając samogłoski:

- Nie trzęś mi ziemią pod stopami. - Na plantacji don Angela pracownicy przygotowali kowbojskie słomkowe kapelusze, mające chronić nas przed słońcem, a wirtuozi maczety tylko czekali, by rozpocząć pokaz siekania agaw na wielkie błękitne "ananasy", dopasowane do gardzieli maszyny rozdrabniającej. - Nie strasz mnie tu richterami, Raj, bo już ćwiczyłam w tej skali.

Tymczasem zwierzętom pokiełbało się we łbach. Łaciate kundły skomlały i biegały w kółko, postękiwały konie. Ptactwo, zawsze tak skore do wieszczenia, wrzeszczało i krążyło nad nami. Wraz z wyczuwalnym wzmaganiem się aktywności sejsmicznej pod ziemią dworność gospodarza rosła, wręcz puchła; don Angel Gruz oprowadzał nas po destylarni, to nasze tradycyjne drewniane kadzie, to lśniące cuda nowych technologii, niebywała wymierzona w przyszłość inwestycja, nasza kapitalna, kolosalna, bezcenna. Lęk sączył się teraz z niego najdosłowniej, na don Angela wystąpiły duże krople zjełczanego potu. Przemoczonymi chusteczkami bezwiednie poklepywał obszary dotknięte cuchnącym wysiękiem, a kiedy znaleźliśmy się w rozlewni i żal rozszerzył mu oczy - don Angel dostrzegł teraz kruchość swego majątku: płynów opakowanych w szkło - obawa przed wstrząsem przyprawiła go o broczenie spod wilgotnych powiek.

- Od rozruchu tych maszyn sprzedaż francuskich win i innych trunków spadła o całe dwadzieścia procent - mamrotał, trzęsąc głową. - A korzyść odnoszą z tego nie tylko mieszkańcy Tequili, lecz nawet winnice w Chile. Wprost nie do wiary, jak skoczył popyt w eksporcie. - Przetarł oczy niepewnym ruchem. - Czy Bóg tak hojnie nas obdarzył, by potem odbierać dary? Czy musi wystawiać naszą wiarę na próbę? - Wpatrywał się w nas, jakby naprawdę sądził, że możemy coś wyjaśnić. Pojął, że nie doczeka się odpowiedzi, i nachylił się nad dłońmi Winy, przeistoczył w suplikanta na jej dworze, jakby jakaś konieczność popchnęła go do zbytnej poufałości. Wina ani próbowała oswobodzić się z uścisku. - Nie jestem człowiekiem złym - wyznał don Angel błagalnym tonem, jakby się do niej modlił. - Jestem rzetelny wobec pracowników, dobry dla własnych dzieci, nawet dochowuję wierności żonie, wyjąwszy, proszę wybaczyć szczerze, parę nieważnych przygód sprzed lat dwudziestu, ale señora jest kobietą światową, wyrafinowaną, potrafi zrozumieć słabości wieku średniego. Więc dlaczego dożyłem takiej chwili? - Tu skłonił się, uwolnił jej ręce, a własne złożył i z lękiem położył na ustach.

Miała wprawę w udzielaniu rozgrzeszeń. Położyła mu na ramionach uwolnione dłonie i zaczęła mówić Tym Głosem, szeptać jak do kochanka, odprawiła to przerażające trzęsienie ziemi, postawiła je w kącie jak niezdolne dziecko i zabroniła przysparzać jakichkolwiek kłopotów znakomitemu don Angelowi, a jej głos miał taką moc czynienia cudów - bardziej jeszcze barwa niż słowa - że udręczony facet naprawdę przestał się pocić, a potem w przyływie radośniejszego samopoczucia - jeszcze z wahaniem, jak na próbę - unosił anielską głowę i się uśmiechnął.

- I bardzo dobrze - powiedziała Wina Apsara. - A teraz zjedzmy lunch.

W starej hacjendzie - zarazem rodzinnej i firmowej - używanej teraz od wielkiego dzwonu, czekał na nas wielki stół w krużganku oskrzydającym dziedziniec z fontanną, a na wejście Winy zagrała kapela *marachi*. Zajechała kawalkada, z wozów wysypało się straszne rockowe zoo, rozwrzeszczane i spienione; ci miglance żłopali najlepsze roczniki tequili gospodarza jak piwo z puszki czy wino z kartonu i licytowali się wrażeniami z przejażdżki urozmaiconej przez podziemne wstrząsy: asystent nienawistnie syczał, jakby zamierzał zaskarżyć ziemię za niespolegliwość, w śmiechu menago pobrzmiwała uciecha, którą zazwyczaj okazywał podczas podpisywania nowych umów na haniebnie krwiopijczych warunkach, paw miotał się i powrzaskiwał, goryle wydawały monosylabiczne pomruki, argentyńscy gitarzyści jak zwykle skakali sobie do gardeł, a pałkerzy - ach ci pałkerzy! - spychali w niepamięć własnego cykora i

wiele serca wkładali w cykl solidnie podlanych tequila, a nadawanych na cały regulator docinków pod adresem kapeli *mariachi*, której rozwścieczony frontman w srebrno-czarnym ryszunku, sam blask, cisnął sombrero na ziemię i już był gotów sięgać po przytroczony do uda sześciostrzałowy rewolwer, aż wdał się w to don Angel Gruz i uczynnie, w duchu dialogu i pojednania, zaproponował:

- Drodzy państwo, jeżeli pozwolicie, to chętnie coś zaśpiewam, by was zabawić.

Naturalny kontratenor uciszył wszelkie sprzeczki, jego iście nieziemska słodycz zawstydziła nas i odwiodła od małostkowości, jakbyśmy zasłuchali się w muzykę sfer. Don Angel Cruz poczęstował nas Gluckiem, *Trionfi Amore*, a śpiewacy z zespołu *mariachi* odwalili kawał godnej szacunku roboty w roli chóru towarzyszącego Orfeuszowi.

Trionfi Amore!

E il mondo intiero

Serva all'impero

Della belta.

Kompozytorzy i libreciści zawsze biedzili się nad niewesołym zakończeniem historii Orfeusza: ostateczną utratą Eurydyki, spowodowaną tym, że Orfeusz odwraca się i patrzy za siebie. Hej, Calzabigi, to ma być zakończenie? Co ty tu przysyłasz? Takiego snują? Mam wyprawić publikę *zu Hause* z nosami na kwintę? Zrób z tym coś! Naprostuj! Odsmuć! *Verstehe?* Bez nerwów, Herr Gluck, bez *agitato!* Kumam. I nie widzę problemu. Będzie miłość. Silniejsza niż Hades! Czyniąca bogów litościwymi! Co pan na to, że babę jednak odeślą? “Odpuście, chłopaki, bo facetowi już przez was odbija! Wielkie rzeczy, że sobie zerknął! Jeden jedyny raz!” A potem kochankowie zarządzają imprezę, ale jaką! Od kulisy do kulisy tańce i wino. W ten sposób ma pan wielki finał, a publika ze śpiewem na ustach wali do domu. Może być, Raniero. Tak trzymać... Nie ma sprawy, Willibald. Załatwione.

To właśnie był ów finał, ta machina do wymuszania owacji. Tryumf miłości nad śmiercią. *Cały świat ulega władzy piękna*. Ku zdumieniu zebranych, także mojemu, gwiazda rocka Wina Apsara wstała, by zaśpiewać obie partie sopranowe, Amora i Eurydyki, a muzyka i tekst zabrzmiały - jeśli coś może o tym powiedzieć laik - w sposób wręcz doskonały, aż w końcu wydawało się, że głos Winy samym tylko brzmieniem mówi w tej ekstazie spełnienia: pojąłeś, po co istnieję.

*...E quel sospetto
Che il cor tormenta
Al fin diventa
Felicita.*

Otóż to, udrećzone serce nie odnajduje szczęścia ot tak sobie, nic podobnego; **samo staje się szczęściem**. Taka jest ta opowieść. Na tym polega ta aria.

Kiedy Wina skończyła śpiewać, zaczęło się trzęsienie ziemi, jakby wybuchła burza braw nagradzających występ. Pomnikowa martwa natura, jaką był bankiet: misy pełne owoców, dania, butelki najlepszej tequili Cruza, nawet sam stół bankietowy zaczęły podskakiwać i tańczyć w stylu isticie disneyowskim, jakby nieruchome przedmioty ożywiła jakaś praktykantka, uczennica czarnoksiężnika, któraś z tych przemądrzałych myszy, a może jakby wprowadził je w ruch sam śpiew Winy; jakby chciały się dołączyć do finałowej *chaconne*. Kiedy próbuję odtworzyć dokładnie kolejność zdarzeń, odnajduję w pamięci tylko niemy film. Tymczasem huk musiał ogłuszać. Nie wiem, gdzie mogło być głośniejsze, w metropolii diabłów i potępieńców, w pandemonium czy w tej meksykańskiej mieścinie - gdzie pęknięcia wyległy na budynki jak jaszczurki, a potem sunęły przez hacjendę don Angela niczym długie palce, rozdzierając mur jak zastawkę czy dekorację filmową, aż runął; gnaliśmy już wtedy w gwałtownie wznieconej chmurze kurzu przez rozchybotane ulice, wierzgające jak koń na rodeo; próbowaliśmy się ratować ucieczką gdzie oczy poniosą, byle przed siebie, tymczasem w powietrze wzbijały się drzewa, ścieki tryskały jak fontanny, rozpryskiwały się domy, a na ziemię, jak deszcz, posypały się wraz z dachówkami zapomniane na strychach walizki.

A jednak pamiętam tylko ciszę, niemą grozę; ściślej - ciszę zdjęć, w czym nic dziwnego, bo moim zawodem jest fotografia i to nią się zająłem od pierwszych sekund trzęsienia. Myśli przelatujące mi przez głowę wywodziły się z prostokątów filmu, przesuwanego w tych moich starych kamerach, voigtlanderze leice pentaksie; z kształtów i kolorów, które zarejestrowałem dzięki zbiegom okoliczności, dzięki odruchom i dzięki rzecz jasna umiejętności - lub nieumiejętności - z jaką udawało mi się - lub nie - kierować obiektywem we właściwą stronę we właściwej chwili. A w

milczeniu, które uchwyciłem aparatem fotograficznym, tak jest, w milczeniu przyrody, twarzy, zwierząt, ciał kryło się coś odwiecznego: spętanie lękiem przed nieprzewidywalnym, przed męką i zgubą, tkwienie w szponach znieawidzonego przeistoczenia, mówiąc inaczej, utrwaliłem tę straszliwą ciszę, zapadającą w momencie, w którym pewien sposób życia zostaje unicestwiony i przemienia się w złoty wiek, w przeszłość już nigdy nie dającą się w pełni odtworzyć; dodam: jeśli ktoś się już znalazł w zasięgu trzęsienia ziemi i nawet uniknął draśnięcia, wie i tak, że trzęsienie - jak zawał serca - pozostaje w piersi ziemi, przerażające, złowieszcze, nieprzejednane, zawsze gotowe wrócić i na nowo uderzyć, z jeszcze bardziej niszczycielską mocą.

Fotografia to decyzja moralna podejmowana w ciągu jednej ósmej, jednej szesnastej czy sto dwudziestej piątej sekundy. Mrugnijcie okiem; mrugnięcie migawki jest szybsze. Życie, polegające na dokonywaniu wyborów w ułamku sekundy, pędziłem między dawaniem świadectwa a podglądactwem, między wyżynami sztuki a poziomem rynsztoka. Spoko, na tym to polega. Jakoś żyję, a opluto mnie i zwyzywano zaledwie kilkaset razy. Można wytrzymać. Nie przejmuję się wyzwiskami, martwią mnie raczej ludzie uzbrojeni po zęby. (Z zasady mężczyźni, te szwarcenegeroidy objuczone arcybukawami, maniakalni straceńcy o brodach jak szczotka klozetowa i niemowlęco gołej górnej wardze, lecz kiedy do tej roboty biorą się kobiety, bywa jeszcze gorzej.)

Moim nałogiem są zdarzenia. Wyborów dokonuję naszprycowany biegiem zdarzeń. Zawsze lubiłem przywrzeć twarzą do spoconej, rozpalonej, potrzaskanej powierzchni tego, co się dzieje, i wszystko spijać otwartymi oczami, odłączywszy resztę zmysłów. Nie obchodziło mnie, czy coś śmierdzi, nie miewałem nudności, jeśli było oślizgłe, nie przejmowałem się, drodzy przyjaciele, czy wam zasmakuje, kiedy poliziecie, a nawet było mi wszystko jedno, czy rzeczywistość wrzeszczy czy siedzi cicho. Liczył się wygląd. Już od lat szukam uczuć i prawdy pod tą tylko postacią.

To Co Się Dzieje Naprawdę - póki człowiek jest w to wprasowany i nie pozwoli się oderwać, nic bardziej odlotowego. Powtarzam: nic.

Dawno temu wykształciłem w sobie dar nie widzialności. Pozwala mi wkraczać między postaci tragedii tego świata, chorych, konających, oszalałych, rozpaczających, bogatych, chciwych, pogrążonych w ekstazie, wyciętych ze wszystkiego, gniewnych, niosących śmierć, zakonspirowanych, złych, dzieci, dobrych, wartych zauważenia; pozwala wkraść się na czubkach palców w ich zaczarowane przestrzenie, w środek ich

furii, bólu, transcendentnego podniecenia, penetrować to ich konkretne tu i teraz na świecie - i zrobić tę sakramencką fotę. Dar dematerializacji nieraz ratował mi życie. Kiedy słyszę: nie jedź pod lufy snajperów, nie pchaj się do kwatery watażków, lepiej omiń terytorium tej milicji, to nieodparcie mnie tam ciągnie. Po ostrzeżeniu: stamtąd nikt z kamerą nie wrócił żywy, natychmiast przekraczam punkt, zza którego nie można się już cofnąć. A kiedy wracam, ludzie patrzą na mnie jak na upiora i pytają, jak zdołałem tego dopiąć. Zamiast odpowiadać, kręcę głową. Bo prawdę mówiąc, często nie wiem. Gdybym wiedział, może nie byłbym w stanie tego robić, może bym padł w jakiejś rażonej spiekotą strefie walk. I może kiedyś mnie zatłuką. Nie wykluczam.

Jeżeli wgryźć się w problem, to najbliższe prawdy wyjaśnienie brzmi: umiem być mały. Psychicznie, nie fizycznie, bo jestem facetem sporym i masywnym. Ale wciągam na twarz uśmieszek nacechowany samolekceważeniem i kurczę się, zamieniam w czystą nieistotność. W ten sposób przekonuję snajpera, że nie jestem godzien jego kuli; mój styl bycia sprawia, że wojskowemu dyktatorowi ani w głowie skalać ostrze toporzyska moją nędzną krwią. Gotowi są uwierzyć, że nie zasługuję na ich przemoc. Może to działa dzięki szczerości, bo rzeczywiście, maleję we własnych oczach. Kiedy chcę sobie uprzytomnić, jak niewiele znaczę, umiem sięgnąć po pewne wspomnienia, odświeżyć pewne zaszłości. W ten sposób owa skromność na zamówienie, następstwo droższej młodości, pomaga mi uchować skórę.

- Gówno prawda. - Wina Apsara patrzyła na to inaczej. - Jeszcze jeden chwyt na rwanie panienek.

Jeżeli chodzi o kobiety, zgoda, skromność popłaca. Lecz z kobietami tylko ją odgrywam. Miły i nieśmiały uśmiech, ustępliwa mowa ciała, no cóż, kobiety stają się tym bardziej natarczywe, im bardziej się cofam w tej zamszowej marynarce i wojskowych butach, z tym uśmiechem na przedgórzu łysiny (ile się nasłuchałem: co za piękna głowa!). W miłości dokonuje się podbojów przez odwrót. Lecz to, co ja uważam za miłość, a co na przykład uważa Ormus Kama, to rzeczy zupełnie różne, chociaż tak samo nazwane. Dla mnie miłość zawsze była kunsztem, *ars amatoria*: wpierw zbliżyć się, potem zarazić niepokojami, wzbudzić pragnienie, rozegrać pozorowane rozstanie i wreszcie niespieszny, nieuchronny powrót. Leniwa, zacieśniająca się radośnie spirala pożądania. *Kama*. Sztuka miłości.

Tymczasem Ormusowi Kamie po prostu chodziło o życie i śmierć. Miłość to życie, więc musi przetrwać nawet śmierć. Miłość to Wina, a bez Winy nie ma nic.

Pustka.

Nigdy natomiast nie byłem istotą niewidzialną dla stworzeń pomniejszych. Ci miniaturowi sześcionożni terroryści zawsze mieli moje namiary. Pokażcie mi, proszę (zresztą lepiej nie pokazujcie), byle mrówkę, sprowadźcie (zresztą lepiej nie sprowadzajcie) byle osę, pszczołę, komara, pchłę. Zeżrą mnie na śniadanie bądź potraktują jako jeszcze treściwszy posiłek. Co małe i gryzie - mnie gryzie. Więc w pewnej chwili, w sercu trzęsienia ziemi, kiedy fotografowałem zagubioną dziewczynkę wzywającą z płaczem rodziców, coś nagle i mocno uzało mnie w policzek, jak sumienie; potrząsnąłem głową, oderwałem wzrok od celownika, akurat w porę, by zauważyć (tu składam podziękowanie temu zbrojnemu w straszliwe żądło czemuś; raczej szóstemu zmysłowi fotoreportera, jak sądzę, niż sumieniu) początek tequilowego potopu. Bo popękały liczne w tym miasteczku gigantyczne kadzie, w których dojrzewa trunek.

Wijące się, strzelające bicze - to właśnie przypominały ulice. Jako jedna z pierwszych padła ofiarą wstrząsów destylarnia don Angela. Stare drewniane kadzie po prostu rozpadły się, nowe metalowe wygięły, odkształciły i pękły. Rzeka spienionej jak uryna tequili utorowała sobie drogę ku uliczkom, fala czołowa pędzącego potoku dopadła uciekających, zwała ich z nóg, a rwący destylat zalecał się z taką mocą, że ci, którzy się nałykali niebiańskich pian i wirów, dźwigali się z oddechu nie tylko mokrzy i bez tchu, ale także urznięci. Don Angela Cruza widziałem po raz ostatni, kiedy z patelnią w ręce i dwoma imbrykami zawieszonymi na szyi na sznurku dreptał po zalanych tequila placykach i rozpaczliwie próbował ratować, co się da.

Oto, jak zachowują się ludzie, kiedy wniwecz obraca się ich powszedniość, kiedy przed oczami staje im za ledwie na chwilę jedna z tych wielkich sił nadających kształt życiu, naga i nieupiększona. Niestety poraża ich, hipnotyzuje, a wtedy zaczynają plądrować tę ruinę przeżytych dni, próbują coś wygrzebać na pamiątkę codzienności - zabawkę, książkę, strzęp ubrania, nawet zdjęcia - ze sterty śmieci, w którą obróciło się wszystko, co bezpowrotnie stracili. Bajeczny kadr: don Angel Cruz przeistoczony w handlarza garnkami - tego potrzebowałem! W jakiś niesamowity sposób Cruz upodobił się do surrealistycznego Patelniarza z opowieści Enid Blyton, ulubionego cyklu Winy Apsary "Dalekie Drzewo", właśnie te książki zabierała w podróż i nigdy się z nimi nie rozstawała. Wezwałem więc na pomoc swą

niewidzialność, otuliłem się nią jak płaszczem i zacząłem fotografować.

Nie mam pojęcia, ile to trwało. Drżący stół, zawalenie się hacjendy, ulice zamienione w diabelską zjeżdżalnię, ludzie bez tchu wypełzający na brzeg rzeki z wodą ognistą, ociekający tequila, ataki hysterii, upiorny śmiech tych, którzy potracili domy, bankrutów, osieroconych, upiorny uśmiech martwych... spytacie, ile to trwało, a okaże się, że mam pustkę w głowie. Dwadzieścia sekund? Pół godziny? Zabijcie, nie wiem. Ten mój płaszczyk-niewidek (wraz z inną sztuczką: wyłączeniem wszystkich zmysłów i powierzeniem całej mojej zdolności chłonięcia żrenicom mechanicznym) ma także, jak to się mówi, podszewkę. Kiedy stawiam czoło koszmarom rzeczywistości, kiedy ten wielki potwór szczyrzy zęby do obiektywu, na nic nie zwracam uwagi. Która godzina? Kto zginął? Kto przeżył? Gdzie Wina? Czy pod podeszwą moich wojskowych butów rozwiera się może otchłań? Co takiego, człowieku? O co chodzi? Że to ekipa pogotowia? Chcą ratować konającą? Myślisz, że kim tu, kurwa, jesteś, żeby się rządzić? Nie pchaj się! **Nie widzisz, że pracuję?**

Kto przeżył? Kto zginął? Gdzie Wina? Wina? Wina?

Otrząsnąłem się. W szyję kasały mnie owady. Potoki tequili opadły, drogocenna rzeka wsiąkała w rozpadliny. Miasto przypominało widokówkę zmiętą przez rozsierzonego dzieciaka i podartą, a potem pracowicie poskładaną przez matkę. Osiągnęło stan połamania, trafiło do wielkiej rodziny połamańców; spokrewniło się z łamanymi meblami, łamanymi obietnicami, łamaną angielszczyzną, złamanymi sercami. Zza obłoku kurzu wychyliła się ku mnie Wina Apsara.

- Raj! Dzięki Bogu!

Mimo kretyństw Winy - z buddyjskimi szarlatanami (Rinpocze Hollywood i Ginsberg Lama), z perkusistami spod znaku Świadomości Kryszny, z tantrycznymi guru (z lubością demonstrującymi kundalini) i Transcendentalnymi™ ryzimi, wreszcie mistrzami tej lub innej walniętej wiedzy: techniki oświecenia wewnętrznego, sztuki pokochania siebie, zeń dobijania targu, tao promiskuitywnego seksu - mimo jej spirytualistycznego nowinkarstwa, nie stać mnie było na przekonanie (może tu zawiniła moja bezbożność), że Wina naprawdę wierzy w boga istniejącego naprawdę. Pewnie wierzyła, pewnie myliłem się i w tej mierze; ale czy wymyślono lepsze słowo? Jeśli człowieka przepelnia wdzięczność za uśmiech losu, za tego fuksa, jakim jest życie, jeśli chce podziękować, a nie ma komu, to co ma zrobić? Wina w takim wypadku mawiała Bóg. Dla mnie to słowo brzmiało w jej ustach jak pomysł na zagospodarowanie emocji. Jak półka na coś, czego nie można położyć gdzie indziej.

Nadleciał owad większego kalibru, przygniótł nas strumień powietrza spod huczących skrzydeł. Helikopter w ostatniej chwili zdołał się być poderwać, przez co uniknął zniszczenia; teraz pilot sprowadził go na dół, zawiesił tuż nad ziemią i kiwał na nas.

- Zabieramy się! - krzyczała Wina.

Pokręciłem głową.

- Leć! - wrzasnąłem. Wpierw praca, potem przyjemność. Jakoś trzeba przesłać te zdjęcia. - Zobaczymy się później! - ryknąłem.

- Co?

- Później!

- Co?

Z planu wynikało, że helikopter dostarczy nas na weekend nad Pacyfik, na północ od Puerto Vallarta, do willi Huracan, odległej rezydencji, której współwłaścicielem był prezes firmy płytowej Kolchida; do uprzywilejowanego, odosobnionego, czarodziejskiego królestwa wciśniętego między dżunglę a ocean. Wprawdzie nie mieliśmy pojęcia, czy willa jeszcze istnieje. Świat już się zmienił. Mimo to ludzie z miasteczka uczepili się starannie oprawionych rodzinnych fotografii, don Angel patelni, a Wina Apsara idei ciągłości i ani myślała rezygnować z planu trasy. Uparła się, że zrealizuje program. Natomiast dla mnie tak długo nie mogły istnieć żadne tropikalne raje, póki te foty, wydarte z oka cyklonu, nie wylądują na biurkach światowych agencji.

- Ja w każdym razie odlatuję! - krzyknęła żałośnie.

- Ja nie mogę.

- Co?

- Leć!

- Kurwa!

- Co?

Potem wdrapała się do helikoptera, maszyna wzleciała beze mnie i nigdy już nie zobaczyłem Winy, zresztą nikt z nas, a ostatnie słowa, które wykrzyczała, wciąż ranią mi serce, ilekroć o nich pomyślę: codziennie setki razy, a kiedy kończy się dzień, "myślę dalej, w nie kończącą się bezsennością noc.

- Trzymaj się, Nadziejo!

Zawodowego pseudonimu "Raj" zacząłem używać od chwili zaangażowania przez sławną Agencję Nabuchodonozor. Pseudonimy pisarzy, szpiegów czy aktorów to pożyteczne maski, które ukrywają bądź odmieniają czyjąś prawdziwą tożsamość. Natomiast ja, przybierając pseudonim "Raj", książę, miałem wrażenie, że - na odwrót - zrzucam przebranie, ponieważ ujawniam światu tajemnicę bardzo cenną, sięgającą dzieciństwa; tym pieszczotliwym przezwiskiem obdarzyła mnie Wina i pozostało już dla mnie pamiątką po szczenięcej miłości.

- Nosisz się jak mały radza - mówiła czule. Miałem zaledwie dziewięć lat i klamry na zębach. - Tylko twoi przyjaciele wiedzą, jaki tani frajer z ciebie.

I tym był Raj, książątkiem. Dzieciństwo nie trwa jednak wiecznie, a kiedy byliśmy już dorośli, księciem z bajki stał się dla Winy Ormus Kama, nie ja. Ale przezwisko przyłgnęło. A Ormus także był łaskaw go używać, albo powiedzmy inaczej: zaraził się od Winy jak katarem; albo jeszcze inaczej: nie przyszłoby mu do głowy, że mogę z nim konkurować, stanowić jakieś zagrożenie, dlatego mógł mnie uważać za przyjaciela... Szkoda tym suszyć sobie głowę akurat teraz. *Raj*. Oznacza też pragnienie: wrodzoną skłonność, kierunek, który człowiek obiera, ruszając w drogę; i siłę charakteru, wolę. To mi się spodobało. I łatwość, z jaką to słowo wędruje; może je wymówić każdy, brzmi dobrze we wszystkich językach. A kiedy zwrócono się do mnie w Stanach Zjednoczonych - potężnej demokracji także w dziedzinie niedbalstwa wymowy - "hej, Ray!", nie miałem zamiaru się sprzeczać, po prostu nabrałem lukratywnych zleceń i czmychnąłem z miasta*.[* Man Ray - słynny amerykański fotografik (1890-1976). Wymowa "Raj" i "Ray" może zabrzmieć identycznie.] W innej zaś części świata *raj* to muzyka. Niestety, w ojczyźnie tej muzyki religijni fanatycy ostatnio zaczęli mordować muzyków. Sądzą, że muzyka znieważa boga, który wprawdzie obdarzył nas głosami, ale nie życzy sobie śpiewu; który dał nam wolną wolę, *raj*, ale nie jest zachwycony, kiedy cieszymy się wolnością.

Tak czy inaczej, teraz już dla wszystkich jestem Raj. Starcza za imię i nazwisko; prościej i modnie. Mało kto wie, jak się nazywam naprawdę. Umid Merchant, chyba już wspominałem? Wychowany w innym wszechświecie, innym wymiarze czasu, przy Cuffe Paradę w Bombaju, w bungalowie, który już dawno temu spłonął. Może powinienem wyjaśnić, że nazwisko Merchant oznacza to, co oznacza: kupca. Bombajskie rody często noszą nazwiska wywiedzione od zajęć zmarłych protoplastów. Są więc Inżynierowie, Dostawcy, Lekarze. Wypada też pamiętać o Lichwiarzach, Lombardnikach, Niewodziarzach. Mistry to kamieniarz, Wadia szkutnik, prawnik

Wakil, bankier Śrof. Długi związek miłosny między spragnionym miastem a napojami gazowanymi nie tylko zaowocował nazwiskiem Batliwala, lecz także Batliwodasodowawala; i nie tylko nazwiskiem Batliwodasodowawala, lecz także Batliwodysodowejotwieraczwała.

Szczera prawda, niech skonom.

- Trzymaj się, Nadziejo! - krzyczała Wina, a helikopter uniósł się, nachylił i odleciał.

Bo Umid, drodzy państwo, to rzeczownik. Rodzaju żeńskiego. Oznacza nadzieję.

Dlaczego tak się przejmujemy śpiewakami? Na czym polega siła pieśni? Może na czystej osobliwości śpiewu? Nuta, gama, akord; melodie, harmonie, instrumentacje; symfonie, raga, opera pekińska, jazz, blues; niesłychane, że coś takiego może istnieć, że zdołaliśmy odkryć te magiczne interwały, organizujące jakąś skromniutką zbitkę dźwięków, a z owych zbitek - leży to w ludzkiej mocy! - możemy wznosić katedry brzmień; to tajemnica iście alchemiczna, równa sekretom matematyki, wina albo miłości. Może zdradziły nam ją ptaki. A może nie. Może jesteśmy stworzeniami spragnionymi zachwyty, którym - po prostu - wciąż nie dość uniesień. Niewiele ich zaznajemy. Pędzimy żywoty nie takie, na jakie zasługujemy; zgódźmy się, że z wielu bolesnych względów pozostaną niespełnione. Za to pieśń przemienia je w co innego. Ukazuje nam świat jako wart naszych tęsknot, a nas samych jakimi moglibyśmy być: wartymi tego świata.

Klucze do niewidzialnego znajdziemy w pięciu misteriach: w akcie miłości, narodzinach dziecka, zanurzeniu się w wielkiej sztuce, obcowaniu ze śmiercią lub katastrofą i wreszcie w słuchaniu ludzkiego głosu przeistoczonego w pieśń. To sytuacje, w których otwierają się furty wszechświata i odsłania przed nami widok niewidocznego, wyraz niewysłowionego. To godziny, w których coś nas opromienia: kruchy cud nowego życia, mroczna wzniosłość trzęsienia ziemi, blask śpiewu Winy.

Tej Winy, za którą mogli pójść nawet obcy, zapatrzeni w jej gwiazdę, pchani nadzieją, że głos Winy, jej wielkie, wilgotne oczy, jej dotyk, odkupią ich, zbawią. Jak to jest, że pół świata może sobie uczynić symbol z kobiety tak kipiącej, wręcz amoralnej, ba, dopatrywać się w niej ideału? Bo nie była aniołem, pozwólcie, że nie będę owijał w bawełnę, ale niechby to ktoś powiedział don Angelowi! Może trzeba też dodać, że nie była chrześcijanką, a jednak próbowano z niej zrobić świętą. Matka

Boska Stadionów, Madonna Aren, obnażająca blizny przed tłumem, jak Aleksander Wielki zagrzewający żołnierzy do walki; nasza otynkowana Pokalana, lejąca z oczu krwawe łzy, a rajcowną muzykę z gardła. W miarę jak wyrzekamy się religii, opium naszych przodków, nieuchronnie będą się pojawiać uboczne objawy tego odwrotu, możemy więc liczyć na liczne a pstre refleksy apsaranzmu. Niełatwo się rozstać z nawykiem czczenia. Tłumy przewalają się przez sale muzeów, w których zawieszono obrazy świętych. A zawsze woleliśmy na tych wizerunkach postaci okaleczone, naszpikowane strzałami albo ukrzyżowane głową na dół; bo chcemy, żeby nasi święci byli nadzy, a nawet obdarci ze skóry, chcemy niespiesznie wpatrywać się w rozkruszanie piękna, chłonąć te narcystyczne męki. Nie podziwiamy ich mimo, lecz z powodu niedostatków, czcimy ich słabostki, małostkowość, nieudane małżeństwa, nadużycia, złość. Wina to zwierciadło, w którym widzimy własne odbicie; wybaczywszy Winie, wybaczymy sobie. Odkupi nas przez swoje grzechy.

Nie byłem wyjątkiem. Zawsze jej potrzebowałem w tarapatach, by się uporać ze spapranymi zleceniami, zranioną dumą, odchodzącymi kobietami, których ostatnie okrutne słowa zalazły mi za skórę. Dopiero jednak tuż przed końcem jej życia zdobyłem się na odwagę, by prosić o miłość, dopiero wtedy uwierzyłem - przez chwilę naprawdę upajającą - że zdołam wyrwać Winę ze szponów Ormusa. A potem umarła, zostawiła mnie w bólu, który tylko jej czarodziejskie dotknięcie mogłoby uśmierzyć. Lecz Winy nie było, nie mogła pocałować mnie w czoło i powiedzieć: "Już dobrze, Raj, mały ladaco, to przejdzie, pozwól, że przyłożę trochę mojej czarodziejskiej maści na te wstrętne, szkaradne ukłucia, chodź do mamuni, zobaczysz, zaraz będzie odjazdowo".

Nęka mnie zawiść, kiedy teraz myślę o don Angelu Gruzie szlochającym przed Winą w tej jego jakże nietrwałej destylarni! Zawiść i zazdrość. *Chciałbym być na jego miejscu: otworzyć przed nią serce i błagać, póki nie będzie za późno i także Nie chcę, żeby cię dotykała, ty zasmarkana, piskliwa, zrujnowana kapitalistyczna gnido.*

Wszyscy szukaliśmy u niej ukojenia, chociaż nią samą targał niepokój. Dlatego postanowiłem tutaj napisać publicznie to, czego już nie mogę wyszeptać jej do ucha prywatnie: wszystko. Postanowiłem opowiedzieć tę całą naszą historię - jej, moją i Ormusa Kamy - niczego nie pomijając, z najdrobniejszymi szczegółami; dzięki temu Wina może odnajdzie spokój przynajmniej tu, na stronicy, w podziemnym świetle atramentu i kłamstw, zazna ulgi, której odmówiło jej życie. Staję więc u bram piekieł języka, czekają na mnie ujadający pies i przewoźnik, a pod językiem chowam pieniążek, którym zapłacę za przewóz.

“Nie jestem człowiekiem złym” - użalał się don Angel. W porządku, teraz ja się trochę poużalam. Posłuchaj, Wino: ja też nie jestem złym człowiekiem. Lecz chcę tu wyznać bez ogródek: w miłości zdradzałem, jestem jedynakiem, a do dzisiaj nie mam dziecka, w imię sztuki kradłem sceny i obrazy ludzi rażonych, rannych i martwych, uwodziłem i porzucałem (płosząc z noszonej na barkach grzędy anioły, które miały mnie strzec), robiłem jeszcze gorsze rzeczy, a mimo to wciąż uważam się za jednego z wielu, człowieka jak inni, ani lepszego, ani gorszego. Mimo to zostałem potępiony i wydany na ukąszenia insektów, chociaż nie żyłem aż tak niegodziwie, jak jakiś łajdak. Wierzcie mi - nie.

Może znacie czwartą *Georgikę* mantuańskiego barda P. Wergiliusza Maro? Ojciec Ormusa Kamy, straszliwy sir Dariusz Kserkses Kama, klasycysta i miłośnik miodu, znał Wergiliusza jak się patrzy, dzięki czemu ja także otarłem się o Wergiliuszowe dzieło. Sir Dariusz był rzecz jasna wielbicielem Aristajosa, pierwszego w literaturze światowej pszczelarza, którego daremne nagabywania sprawiły, że leśna nimfa, driada Eurydyka nadepnęła zmiję, na skutek czego umarła i zapłakały po niej nawet góry. Wergiliusz ujmuje historię Eurydyki niezwykle: opowiadają w siedemdziesięciu sześciu skrzących się wersach, bez kropek, na jednym oddechu, a w następnych trzydziestu, napisanych jak od niechcienia, pozwala Aristajosowi złożyć rytualną ofiarę pokutniczą i tyle, to wszystko, koniec wiersza, już nie musimy się trapić o losy kochanków tak idiotycznie wydanych na zgubę. Bo prawdziwym bohaterem tej pieśni jest “mistrz arkadyjski”, pszczelarz, sprawca cudu znacznie ważniejszego niż sztuka nieszczęsnego trackiego pieśniarza, który nie zdołał wskrzesić muzyką zmarłej ukochanej. A cóż takiego uczynił Aristajos? **Otóż zdołał samorzutnie wytworzyć nowe pszczoły ze śmierdzącego zewłoku padłej krowy.** To jego dziełem jest “niebiański dar miodu lejącego się z przestworzy”.

No dobrze. A don Angel Gruz pędził tequile z błękitnej agawy. Ja zaś, Umid Merchant, fotograf, mogę samorzutnie z gnijących zwłok, w dowolnym stanie, wytworzyć nowe znaczenia. To ja otrzymałem ten piekielny dar wyczarowywania uczuć i odpowiedzi - może nawet zrozumienia - w tych zrazu obojętnych oczach, przed którymi umieszczam milczące wizerunki rzeczywistości. Ja także jestem napiętnowany; i tylko ja wiem, jak nieodwracalnie. Nie ma ofiar, które bym mógł złożyć, ani bogów, których bym mógł przejednać. Niemniej, moje imię oznacza “nadzieję” i “wolę”, a to się jednak liczy, prawda, Wino? Mam rację?

Jasne, dziecko. Jasne, Raj, złotko, miodeczku. Liczy się.

Muzyka, miłość, śmierć. Szczególny trójkąt; może nawet odwieczny. Jednak Aristajos, który przyniósł śmierć, przyniósł też życie; trochę jak u nas Pan Siwa: nie król tańca, lecz Stwórca i Niszczyciel w jednej osobie. Nie tylko żądłony, lecz także twórca żądła. Trójca: muzyka, miłość i życie-śmierć. I my, kiedyś we troje: Ormus, Wina i ja. Nie oszczędzaliśmy się nawzajem. Toteż niczego nie oszczędzę w tej opowieści. Muszę cię zdradzić, Wino, więc pozwalam ci odejść.

Zaczynaj.

2. Melodie i cisze

Ormus Kama urodził się w Bombaju w Indiach, wczesnym rankiem 27 maja 1937 roku, i natychmiast po przyjściu na świat zaczął w zawrotnym tempie wykonywać palcami obu rąk dziwne ruchy, w których każdy gitarzysta rozpoznałby pochody chwytów akordowych. Jednak w szpitalu sióstr Maria Gratiaplana przy Altamount Road wśród osób zaproszonych, by czule pogruchać nad łóżeczkiem nowo narodzonego, zabrakło gitarzystów; zabrakło ich też później, już w domu, w mieszkaniu przy Nabrzeżu Apollińskim i cud może by się zmarnował nie zauważony, gdyby nie rolka ośmiomilimetrowej czarnobiałej taśmy, nakręconej 17 czerwca ręcznym paillard bolexem przez mego ojca, szanownego V. V. Merchanta, wcale uzdolnionego entuzjastę amatorskiego filmowania. Na szczęście "taśma Vivvy'ego" - bo pod tą nazwą zdjęcia nabrały rozgłosu - zachowała się w całkiem niezłym stanie i po latach, dzięki nowym, komputerowym technikom uszlachetniania, w cyfrowo przekomponowanych zbliżeniach świat mógł ujrzeć na własne oczy klusko watę łapki maleństwa grającego w powietrzu na gitarze, bezgłośnie sadzącego kaskady niesamowitych riffów, szaleńczo swingowanych zagrywek, z czuciem i gazem, z których byliby dumni najstarsi wymiatacze.

Lecz wówczas, na początku, muzyka nikomu by nie przyszła na myśl. Matce Ormusa, lady Spencie Kamie, powiedziano w trzydziestym piątym tygodniu ciąży, że nosi w łonie martwe dziecko. Wówczas już nie miała wyboru, musiała przejść cały ten mozół, coś okropnego, a widok martwo urodzonego Gajo, starszego brata Ormusa (przy okazji: to nie byli bliźniacy jednojajowi, te bez mała sobowtóry), przyprawił ją o taką udrękę, że dalsze poczynania własnego ciała uznała za wydawanie na świat własnej śmierci, dzięki której zaraz mogłaby się zjednoczyć z martwym dzieckiem.

Zanim doszło do tych nieszczęść, lady Spenta Kama była łagodną przyciężką endomorficzką, astygmatyczką w grubych okularach, obdarzoną krowim poniekąd nawykiem poruszania zuchwą, co elokwentny, popędliwy i nieobliczalny sir Dariusz Kserkses Kama w czerwonym fezie ze złotym frędzlem, jej mąż - rosły ektomorfik o ekstrawaganckim wąsie i świdrujących oczach - często a rozmyślnie mylił z głupotą. Niesłusznie. To była tylko niezdolność do rozgorączkowań, właściwa duszy oddanej bez reszty sprawom wyższym, ściślej: właściwa duszy, która w codziennej krzątaninie potrafi jednoczyć się ze sferą boską. Lady Spenta Kama była w doskonałej komitywie z

dwoma amesza spentami, parsyjskimi aniołami, na których cześć nadano jej imię: z Aniołem Dobrego Umysłu, z którym co rano naradzała się po cichu przez pół godziny (lady Spenta stanowczo uchylała się od ujawnienia mężowi bądź komukolwiek natury tych konwersacji) i z Aniołem Należytego Ładu, pod którego pieczę stała się osobą skrupulatną i gorliwą w sprawach domowych (a dogłądanie domu zajmowało lady Spencie lwią część popołudnia). Wśród jakże różniących się od siebie zaziemskich spentów te dwa stanowiły duet, do którego lady Spenta Kama odczuwała najżywszy pociąg. Już mniej obchodziły ją Anioły Doskonałości i Nieśmiertelności, co przyznawała w pokorze, podobnie jak Anioły Zwycięskiego Panowania i Ducha Boskiego; zresztą utrzymywać, że człowiek pozostaje z nimi w bliższej komitywie, byłoby zarozumiałstwem.

Z upodobaniem zapewniała, że chrześcijańska i muzułmańska koncepcja aniołów została wysnuta z owych zaratusztriańskich oryginałów, podobnie rzecz miała się z diabłami, bo także diabły “wywiedziono od naszych własnych dewów”; duma z tej parsyjskiej prymarności, więcej, wręcz poczucie własności sprawiały, że lady Spenta mówiła o straszliwych mocach jak o ulubionych czworonogach bądź jakiejś porcelanowej ozdóbce, których bezlik zaśmiewał i tak już przeładowane mieszkanie Kamów przy malowniczym i cenionym w Bombaju słonecznym Nabrzeżu Apollińskim, gdzie przez pięć wysokich okien wdzierał się do wnętrza morski krajobraz. Tym bardziej mogło zdumiewać, że ktoś do tego stopnia zbratany z cnotą załamuje się aż tak dramatycznie, tak żałośnie biada nad swym nieszczęściem, poddaje dewom Plag, Fałszu i Złej Myśli.

- Więc przyjdź, Śmierci, weź mnie, bądź mym królestwem, no dalej, are! - wyrzaskiwała lady Spenta.

Stojące przy jej łóżku dwie walkiriopodobne damy zmarszczyły z przyganą brwi. Ute Schaapsteker, główny ginekolog szpitala Maria Gratiaplenu (dla śmietanki miejskiej “Von Ute” bądź “Adolfica”), pozwoliła sobie na kilka karcących uwag, mających uprzytomnić położnicy, jak niewłaściwe jest przedwczesne przywoływanie śmierci, która z pewnością zjawi się nieproszona, za to we właściwym czasie. Jej pomocnica siostra John, stojąca w nogach szpitalnego łóżka akuszerka, wówczas jeszcze młoda, była jednak już bliska przeistoczenia się w posepny posąg, istny galion, którego nieprzeciętnie ponura aura (i okropny pieprzyk na górnej wardze) zatruwały przez następne półwiecze tak wiele bombajskich narodzin.

- Pomyślna to i wielce radosna nowina! - zahuczała cierpko. - Bo

Wszchemogący zabrał do siebie duszę tego szczęsnego dzieciątka, jak ziarno błogosławionego ryżu w czas żniw.

Długo by jeszcze śpiewały na tę nutę, lecz lady Spenta nieoczekiwanie dopowiedziała coś zmienionym, pełnym zdumienia głosem:

- Czuję taki napór na tylne ujście, że albo grozi mi oddanie stolca, albo to jakiś nowy chokra wyrywa się na świat.

Rzecz jasna, to nie śmierć wierciła się w lady Spencie. Nie groziło jej też wypróżnienie. Szybko wydała na świat maleńkie, lecz zdrowe niemowlę; zaledwie dwukilogramowego chłopczyka, śliskiego jak węgorz, którego obecności wśród żywych doktor Schaapsteker nie wykryła podczas ciąży ani porodu; widocznie badaczkę sprowadziło na manowce ciało tego większego, martwego bliźniaka. Ciekawe, bo Kamowie już mieli parę dwujajowych bliźniąt, pięciolatków Khusro i Ardawirafa, znanych powszechnie jako "Cyrus i Wirus". Sir Dariusz Kserkses Kama, miłośnik greckiej mitologii, wiedział, rzecz jasna, o tej praktyce bogów olimpijskich, którzy niemowlę pochodzenia półboskiego (jak Idas czy Polideukes) lokowali w łonie przygotowanym do wykarmienia i wydania na świat dziecka w pełni ludzkiego (jak Linkeus i Kastor). Gdyby starożytni Grecy patrzyli na przedwcześnie rozwiniętego, wszechstronnie uzdolnionego Khusro - dziecko do szpiku kości złośliwe i bez serca, wzorem prawdziwych herosów - i na niezbyt rozgarniętego, łagodnego Ardawirafa, bez trudu by rozpoznali, który z nich jest potomkiem boga. A następnym razem dzieckiem ziemskim był zapewne martwo urodzony Gajo, natomiast spokrewnień z nieśmiertelnymi - i tęsknot do nieśmiertelności - można się było dopatrzeć u Ormusa. I oto sir Dariusz, mało chwalebnie, mógłby uchodzić tylko za ojca pewnego niedołęgi i pewnego nieboszczyka. Ale czym innym są książkowe mądrości, czym innym rodzicielskie obowiązki; sir Dariusz Kserkses Kama, "apolińczyk Nabrzeża Apolińskiego" i renomowany adwokat, z tych, którzy Jadają w Middle Temple", klubie palestry, był niereformowalnym cambridzkim racjonalistą i całe życie poświęcił temu, co nazwał w rozbłysku natchnienia - nieprzypadkowo oksymoronicznie - "cudem rozumu". Praw rodzicielskich nie odstąpił żadnemu bogu, dowolnej proveniencji, natomiast ujął w garść ojcowskie cugle, by wszystkim swym dzieciom na równi, absolutnie sprawiedliwie, dawać w kość.

Skwaszona siostra John przeniosła niemowlę do inkubatora; najwyraźniej z trudem przychodziło jej czcić narodziny, w przeciwieństwie do "żniw". Zabrano też martwe dziecko (bywają widoki dla zwykłych męskich oczu zbyt przejmujące) i w

końcu sir Dariusz Kserkses Kania uzyskał prawo wstępu do sali, w której przychodzi się na świat. Spentę dręczyły wyrzuty sumienia.

- W chwili, w której się rodził, dozwoliłam sługom Kłamstwa zawładnąć moim językiem - wyznała.

Już dawno temu sir Dariusz uznał, że rozmaite przejawy żoninej, jakże dosłownej religijności mogą człowiekowi stanąć ością w gardle. Bardzo się starał ukryć skrępowanie, lecz nie mógł się uwolnić od wyobrażenia: oto nad językiem lady Spenty uwijają się maleńkie stwory o nietoperzowatych skrzydłach zesłane przez Angrę Mainju, zwanego też Arymanem. Przymknął oczy i wzdrygnął się.

Tymczasem lady Spenta trochę ochłonęła.

- Kto wpadł na pomysł, żeby nazwać tego biednego chłopczyka Gajo? - spytała natarczywie.

Zapewne na skutek upału i uczuciowej dwuznaczności chwili zapomniała, że ona sama. Mąż, zbyt uprzejmy, by o tym przypominać, skłonił głowę i przyjął winę na siebie. Przed wiekami Angra Mainju zabił Gajomarta, Pierwszego Człowieka na Świecie; co fakt, to fakt.

- Fatalnie wybrane imię, **fatalnie!** - krzyknęła lady Spenta i znów zalała się łzami. Sir Dariusz Kserkses Kama jeszcze niżej skłonił głowę; jego żona zorientowała się, że mówi do denka fezu, ozdobionego frędzlem. Palnęła dłonią z całej siły, aż denko wgniotło się, wydając płaski odgłos. - Jedyna droga zadośćuczynienia to nadać natychmiast imię boże ocalałemu.

Obstawała przy miejscowych wersjach imienia Ahura Mazda, brzmiących Hormuz bądź Ormuzd, które sir Dariusz Kserkses Kama, klasycysta, natychmiast zlatynizował: Ormus. Żona dała się ułagodzić. Wytarła oczy i oto małżeństwo ruszyło do sali z inkubatorami, gdzie Ute Schaapsteker potwierdziła rokowania: chłopiec zapewne przeżyje.

- Ormi, maleństwo - pomrukiwała lady Spenta Kama do mikroskopijnej figurki za szybą. - Karzeleczek. Już nic ci Piekło nie zrobi. Nie dadzą rady rozewrzeć ci ziemi pod stopami i cię wciągnąć.

Usłyszawszy zapewnienie Von Ute, że przed maleńkim Ormusem otwierają się widoki na przyszłość, sir Dariusz posunął się nawet do tego, że pocałował żonę; potem przeprosił i spieszenie - zbyt skwapliwie zdaniem lady Spenty - opuścił szpital, by zagrać w krykieta. To było wielkie spotkanie. Doroczny czwórmech miejscowych

drużyn Brytyjczyków, hindusów, muzułmanów i parsów zamienił się w pięciomecz i właśnie tego dnia sir Dariusz miał wyjść na boisko wraz z parsami, by zagrać przeciw tym nowym, Reszcie, jedenastce złożonej z bombajskich chrześcijan, anglo-hindusów i żydów. W wieku czterdziestu trzech lat sir Dariusz Kserkses Kama nie zatracił siły fizycznej ani iście boskiej muskulatury asa wszech sportów, kulturysty i byłego (amatorskiego) mistrza zapasów. Jako elegancko grający leworęczny batsman wciąż cieszył się wzięciem. Firmowym zagranem sir Dariusza była piłka podcięta od niechcenia, sygnalizowana, a mimo to nadzwyczaj skuteczna. Ponadto sir Dariusz wciąż umiał się popisać uderzeniem o zatrważającej szybkości; udawały mu się jeszcze przesławne "pioruny Dariusza". Po niełatwej nocy w szpitalu położniczym doznał ulgi; długi płaszcz i wysoki fez - strój parsyjskiego dżentelmena - zamienił na biały kostium z ochraniaczami i zaraz poczuł się dowartościowany. Dość już tych obowiązków, dość tkwienia na marginesie spraw babskich! Ryknął w nim tygrys wypuszczony z klatki; falę ojcowskiej dumy - ma już trzeciego syna! - rychło poznają przeciwnicy, pokaże im, tego zamachnie się rakieta. Spośród życiowych rytuałów ten właśnie - na skraju wielkiego Majdanu, w zaciszu namiotu-szatni - napawał sir Dariusza największą radością: przeistaczanie się obywatela w atlete, (Kiedy po całym dniu użerania się w sądzie mógł zrzucić te godła Prawa, togę z peruką, by ująć rakieta jak maczugę, miał wrażenie, że wstępuje w swoje lepsze ja utkane z olimpijskiej substancji; że sięga po piękniejszą część swej natury, nacechowaną olimpijskim wdziękiem.) Jego partner, żwawy młody pistolet nazwiskiem Homi Catrack spytał, czy sir Dariusz czuje się na siłach zagrać po nie przespanej nocy.

- Dobrze sobie! - odrzyknął zapytany i dziarsko ruszył powalczyć za swoją rasę.

Na Majdanie wielki hałaśliwy tłum już czekał na jego wejście. Sir Dariusz nigdy nie przepadał za zwyczajami bombajskiej publiczności. To była ta odrobina dziegciu, psująca smak chwil skądinąd słodkich. Buczenie, wrzaski, dęcie w blaszane rogi, walenie w dhole, intonowanie śpiewów, kiedy ktoś przymierza się do rzutu, skandowanie, pokrzykiwanie sprzedawców przekąsek, śmiechy, a raczej rżenie, mówiąc krótko: nie milknąca wrzawa stwarzała, zdaniem sir Dariusza, warunki wysoce nieodpowiednie dla szlachetnej maestrii, jakiej wymaga krykiet. Władający tym krajem reprezentanci imperium mogli czuć tylko niesmak, doświadczając wulgarności ludzi i niewzruszonego zacofania społeczeństwa, którym kierują tak długo i roztropnie. Sir Dariusz Kserkses Kama, wychodząc na pozycję batsmana, miał ochotę wykrzyknąć: "Głowy do góry! Pokażmy, co potrafimy! Patrzy na nas Brytania".

Narodziny Ormusa Kamy przypadły na "luby dzionek". Stary bombajski zwrot, popadający w zapomnienie, oznacza taki dzień w porze upałów, w którym zniecka pojawia się pokrywa chmur, przynosząc chłód i ulgę. W zamierzchłych czasach zdarzało się nawet, że z okazji "lubego dzionka" zwalniano dzieciarnię ze szkoły. Ale tym razem "dzionek" był tyleż "luby", co złowróźbny. Jeden noworodek przeżył, fakt, lecz drugi przyszedł na świat martwy. Jak na zaklęcie zlecieli się demony i dewowie, w powietrzu zawisło coś potępieńczego. W szpitalu Maria Gratiaplana "Adolfica" Schaapsteker potępiała lady Spentę za rozczulanie się nad sobą, sir Dariusz potępiał żonę za coś, co przy innej okazji nazwałby otwarcie "zabobonem", a z mieszaniny owych potępień komponował się nastrój niezupełnie odświętny. Także na boisku krykieta niespodziewanie rozległy się karcące krzyki. Nacjonalistycznie nastawieni kibice przytaszczyli kolekcję instrumentów o ogłuszającym brzmieniu i ta banda oddała się dekoncentrowaniu graczy już od pierwszej piłki, stosując środki, które sir Dariusz uznał za wyjątkowo niesmaczną kakofonię.

- Tani i zdrowy mecz wielorasowy! - rozdarli się przeszkadzacze przy wtórce walenia w bębny i wrzawie trąbek. - Lokaj lokaja łapie za jaja!

Sir Dariusz wiedział, że Mahatma Gandhi i jego zwolennicy oskarżają pięciomecz o utrwalanie podziału społeczności, ba, uważają imprezę za narodowo wsteczną, graczy zaś za osobników o skolonializowanej mentalności, którzy jak małpy popisują się ku uciechu Brytyjczyków i tylko szkodzą, bo wspierają praktykowanie polityki "dziel i rządź". Sir Dariusz nie był jednak orędownikiem niepodległości. Narodowcy! Głęboko wątpił, czy to roztropne: poddawać Indie rządowi ludzi tak niemuzycznych? Wobec pana Gandhiego żywił podszyty niechęcią szacunek oraz przekonanie, że jeśliby zdołał namówić tego wielkiego człowieka do włożenia kostiumu i nauczył podstaw gry, Mahatma musiałby dostrzec walor turnieju: krzepienie ducha współzawodnictwa, bez czego żaden lud nie wywalczy miejsca w czołówce społeczności świata.

Kiedy stanął na linii, jakiś psuj wydarł się na całe gardło:

- A oto na boisko wychodzi lady Daria!

Niepokojąco znaczna część tłumu (widocznie jacyś chrześcijanie, anglo-hindusi lub żydzi, sarknął poirytowany sir Dariusz) ni stąd, ni zowąd zaintonowała obraźliwą śpiewkę:

- Lady Kama, szykowna dama, podniesie kiecę, odstawi hecę! Machnij rakieta, piękna kobieto! - Trąby, kołatki, puste puszki. - Lady Kama, szykowna dama!

Sir Dariusz dopiero teraz zauważył, że jego synowie, pięcioletnie bliźniaki Cyrus i Wirus, siedzą na trawie z ają tuż koło nacjonalistycznych krzykaczy i uśmiechają się radośnie, okazując wszem i wobec, że bawi ich wrzask tej asportowej ciemnoty. Postąpił parę kroków w ich stronę.

- Khusro! Ardawiraf! Jazda stamtąd! - wołał, wywijając rakieta.

Lecz chłopcy ani piastunka nic nie mogli dosłyszeć w tej wrzawie i gest po prostu uznali za pozdrowienie. W odpowiedzi pomachali wszyscy troje. Z kolei krzykacze dopatrzyli się w wywijaniu wybijakiem pogróżki i zdwoili wysiłki szczęśliwi, że udało im się sprowokować ofiarę. Radosne a wrogie muzykowanie przewiercało uszy sir Dariusza. Prawda jest taka, że rozpoczął rozgrywkę w stanie ducha dalekim od równowagi.

Pan Aaron Abraham, który wrzucał dla Reszty jako pierwszy, umiał przy tej niezłej, niesłonecznej pogodzie nadać nowiutkiej piłce wcale przykrą rotację. Sir Dariusz miał szczęście, że w ogóle przetrwał trzy pierwsze wrzutki. Kłopoty zachęciły nacjonalistów do jeszcze głośniejszych wrzasków. Puszki, kołatki, trąbki. Improwizujący bębniarze i trębacze odmieniali melodyjkę na różne sposoby, a dręczyciele wyśpiewywali:

- Lady Daria, nie bądź taka, huknij się w dziób i zakwakaj. - A potem rozległa się nowa, wcale chwytliwa wersja: - Lady Kaczor Donald!

Sir Dariusz opuścił stanowisko, by naradzić się z partnerem.

- Już ja im zakwakam! - kipiał, śmigając rakieta. - Co to znaczy "zakwakaj"? Co to za Donald? - Ale już w chwili zadawania pytań przypomniał sobie niedawną wizytę w kinie, dokąd zabrał bliźniaków na Chaplinowskie *Dzisiejsze czasy*; sir Dariusz wielbił ten film między innymi dlatego, że jeszcze należał do "niemych". Jako dodatek wyświetlano krótkometrażową kreskówkę *Posażne sieroty*, w której postacią pierwszoplanową był pletwołapy, nieznośnie hałaśliwy, anarchizujący i porywczy nowy antybohater. Twarz sir Dariusza pojaśniała. - Więc to jest Donald? - ryknął. - Ha! Ha! Ha! Już ja ich nauczę kwakać!

Na próżno Homi Catrack próbował go uspokoić.

- Nie przejmuj się gawiedzią. Graj swoje. Jeszcze zobaczą, co i jak.

Ale sir Dariusz stracił zimną krew. Czwarta wrzutka już nie wyszła Aaronowi Abrahamowi, piłka aż się prosiła, żeby ją wybić, i sir Dariusz nie zmarnował tej szansy. Uderzył ze wszystkich sił, przy czym - to było widać - postanowił posłać piłkę między wirtuozów kociej muzyki, w grupę wrzeszczących nacjonalistów. Dopiero

później, dręczony nie milknącymi wyrzutami sumienia, przyznał, że zraniona próżność wzięła górę nad ojcowską rozważą, a tę przede wszystkim powinien mieć na względzie; tymczasem stało się - krykietowej piłki, mknącej jak błyskawica nad linią autową, nie dało się zawrócić.

Nie było mowy o poprawce toru; piłka nie miała ugodzić szyderców, chociaż widzowie uchylali się, kulili, bo mknęła z szybkością naprawdę zatrważającą, natomiast na kursie znaleźli się, tak jest, synowie sir Dariusza Kserksesa, nieidentyczni bliźniacy, którzy wstali, by wiwatować na cześć znakomitego ojcowskiego wybicia, wolni od wszelkich obaw, bo jakim cudem ich ukochany tatuś mógłby wyrządzić im najmniejszą choćby krzywdę?

To prawda, że część odpowiedzialności za wypadek należy przypisać opieszalej reakcji piastunki, ale sir Dariusz od chwili, w której dostrzegł, na co się zanosi, nie winił nikogo prócz siebie. Ryknął co sił w płucach, by ostrzec, ale bębny i rogi były głośniejsze, kocia muzyka zagłuszyła alarm, a po ułamku sekundy słodki, kochany, trochę gapowaty Ardawiraf Kama runął na ziemię jak kłoda, trafiony między oczy piłką krykietową mknącą z szybkością pocisku.

Może właśnie w tej chwili - od której historię rodziny Kamów wypada już pisać inaczej, dodając raz na zawsze w roli nowej linijki ową okrutną trajektorię zakreśloną w powietrzu przez czerwoną piłkę krykietową od ojcowskiej rakiety po synowskie czoło - może to wtedy po raz pierwszy spotkali się mój ojciec z moją matką, w szpitalu sióstr Maria Gratiaplenu.

Trudno przewidzieć, czym ludzie zechcą samych siebie przekonać, że oto nadeszła miłość. Wbrew wszelkim dowodom świadczącym, że w życiu nie ma co liczyć na trwałość, że na każdy nasz krok czyhają otchłanie, że główną rolę w naszych losach odgrywa przypadek, wciąż wierzymy w związek zdarzeń; w przyczynowość i sens. Żyjemy jednak na potrzaskanym zwierciadle, na którego powierzchni pojawiają się co dzień nowe rysy. Ludzie (choćby Wirus Kama) mogą się osunąć i zginąć w takim pęknięciu. Ale może też zdarzyć się tak, jak z moimi rodzicami: przypadek sprawia, że padają sobie w ramiona i zakochują się. Chociaż mój ojciec i matka mieli racjonalne na ogół poglądy na życie, to jednak zawsze byli przekonani, że skojarzyło ich Przeznaczenie; przy czym wykazało tyle stanowczości, że objawiło się w czterech co najmniej postaciach; społecznej, genealogicznej, gastronomicznej i w osobie siostry John.

Oboje przyszli odwiedzić lady Spentę Kamę, oboje niestosownie ubrani w stroje żałobne, nic bowiem nie słyszeli o narodzinach małego Ormusa, natomiast chcieli z czystej życzliwości pocieszyć lady Spentę skazaną na urodzenie martwego płodu i związane z tym przykrości. Moi przyszli rodzice byli o całe pokolenie młodszy od sir Dariusza i lady Spenty i stosunkowo niedawno stali się przyjaciółmi Kamów. Między mężczyznami zadzierzgnęła się niecodzienna przyjaźń na tle wspólnej dziedziny zainteresowań: Bombaju, wielkiej metropolii stworzonej przez Brytyjczyków, której czołowym kronikarzem miał się stać mój ojciec, architekt wykształcony w Anglii i zamiłowany historyk lokalny (ten sam nieśmiały V. V. Merchant, który miał wkrótce nakręcić pewien amatorski film, z czasem kultowy). Sir Dariusz Kserkses Kama, obdarzony tytułem baroneta za zasługi dla Indyjskiego Sądownictwa, mawiał chętnie, śmiejąc się głośno, że on sam należy do wielkich metropolitalnych dzieł brytyjskich, z czego jest dumny.

- Posłuchaj, Merchant - grzmiał pewnego wieczoru nad mulligatawny i pomfretem podczas kolacji w klubie - pisząc historię tego miasta, możesz dojść do wniosku, że wychodzi z tego moja biografia.

Natomiast moja przyszła matka poznała lady Spentę na zebraniach Bombajskiego Towarzystwa Literackiego. Lady Spenta była kobietą zupełnie nieoczytaną, lecz jej pogoda i beztroska na tle Himalajów jej niewiedzy wprawiły młodszą (i znacznie inteligentniejszą) Amir w podziw, może podszyty rozbawieniem, który jednak - gdy sprawy przybrały inny obrót - pogłębił się i przemienił w przyjaźń.

W szpitalnej poczekalni, między promieniejącymi rodzinami noworodków płci męskiej i uradowanymi - dzięki sięgnięciu do najgłębszych rezerw dobrej woli - rodzinami nowo narodzonych dziewczynek, moi przyszli rodzice stanowili szczególną parę: on w ciemnym garniturze, posepny, ona w prostym białym sari, bez biżuterii, zaledwie ze śladem makijażu. (Po latach usłyszałem: "Zawsze wierzyłam w miłość twego ojca, bo kiedy się we mnie zakochał, wyglądałam mniej ponętnie niż bawolica".) Nic dziwnego, że jako jedyni żałobnicy w tym radosnym miejscu zaczęli się do siebie podsuwać, aż w końcu się sobie przedstawili.

Bez entuzjazmu myśleli o rychłym spojrzeniu w twarz lady Spencie czy sir Dariuszowi, pogrążonym - jak sądzili - w głębokim bólu. Mój ojciec, człowiek łagodny i czuły, nadrabiał miną, przywdziewając pełen zakłopotania uśmiech (i odsłaniając wiewiórcze zęby); naprawdę dławila go jednak niezdolność uzewnętrzniania uczuć, ich głębi, tego, co wypełnia mu serce; i to odruch stronięcia od świata spowodował, że

ojciec wybrał stęchliznę dokumentów, kosztem niezgłębionej gmatwaniny bombajskiego życia. Amir, moja matka - zgodnie z późniejszą sarkastyczną autocharakterystyką "majątna z nazwiska i dzięki prawdziwym pieniądzom rodziny" - również była zakłopotana; kondolencje i gratulacje z trudem przechodziły jej przez gardło. Ani myślę sugerować, że była osobą oziębłą bądź pozbawioną uczuć; wręcz przeciwnie. Była rozczarowaną altruistką, gniewną kobietą, która zstąpiwszy na ziemię, wierzyła, że przybywa w lepsze strony; wylądowała wprawdzie w miękkich objęciach luksusu, ale nigdy nie doszła do siebie po dokonaniu bolesnego odkrycia, że ludzkiej normy nie stanowią beztroska ani radość, lecz zgryzoty i cierpienie. Dobroczynność Amir ani jej ataki złego humoru - jedno i drugie wysokiej próby - nie mogły uśmierzyć rozczarowania globem ani jej własnym gatunkiem zaludniającym ów glob. Opinie Amir na temat śmierci bądź narodzin, podbarwione poczuciem, że ona sama zstąpiła tu z kosmosu, mogły się wydać nie przygotowanym uszom bagatelizujące, no dobrze, cyniczne. Nie owijając w bawełnę: nawet wyzbyte serca, brutalne, ba, możliwe do uznania za kamień obrazy, śmiertelnej. *Martwy dzieciak? A czego się można spodziewać? W każdym razie już ma to wszystko z głowy. Żywy? Biedaczek. Pomyślcie, co go tu spotka.* To była jej wrodzona maniera.

Zanim jednak zdążyła palnąć tego rodzaju mówkę i raz na zawsze zrazić do siebie mego przyszłego ojca, zbiło ją z tropu zaskakujące odkrycie i oto historia potoczyła się innym torem, jak pociąg po nagłym przełożeniu zwrotnicy.

- Jestem Merchant - przedstawił się mój ojciec. - Jak Vidżaj, ale to nie mój krewny, chociaż używamy tego samego inicjału V. Ścisłej: ja używam V. V.

Amir zmarszczyła brwi. Owszem, wiedziała, że Vidżaj Merchant to wschodząca gwiazda hinduskiego krykieta, ale...

- Jak pan może się nazywać "Merchant"? - zaprotestowała. - Nie pan jest "Merchant" - tu z emfazą wymierzyła palec we własną pierś - tylko ja jestem Merchant. Amir Merchant.

- Pani? - (Zaskoczony.)

- Ja. - (Dobitnie.)

- Pani Merchant? - (Kręci głową.)

- Panna Merchant. - (Wzrusza ramionami.)

- Zatem Merchant i Merchant. Jesteśmy oboje Merchantami - upewnił się zdumiony V. V.

- Brednie - zareplikowała Amir.

V. V. Merchant zdobył się teraz na dłuższą kwestię:

- Aż po pokolenie dziadka nazywaliśmy się Śetti albo Śetia lub Śet. Dziadek to zanglizował i uporządkował. A także się nawrócił. Został kimś w rodzaju kiepskiego muzułmanina. Kategorycznie niepraktykujący, jak wspomina cała rodzina. Można więc spytać, po co tyle zachodu? Na co po prostu odpowiadam: komu to szkodzi.

- Mówi pan, Śet? - Amir wciąż rozgryzała ten sam orzech.

- A teraz Merchant.

- Więc pan jest Merchant - przyjęła do wiadomości.

- Do usług.

- Ale nie krewny.

- Przykro mi, nie.

Tymczasem moja matka podczas tej rozmowy podejmowała ważną, chociaż tymczasową jeszcze decyzję. Otóż w trybie jasnowidzenia uznała, że za nieśmiałością (oraz wiewiórczym uzębieniem) V. V. Merchanta kryje się dusza wielkiego formatu, dusza wytrwała, dusza-opoka, na której - jak później przechwalała się chętnie a bluźnierczo - postanowiła zbudować własny kościół. Potem oświadczyła bez ceregieli, tonem wykluczającym sprzeciw:

- Między kupcami nie ma sytuacji pośrednich. Albo mordercza konkurencja, albo partnerska fuzja*.[* W oryginale wykorzystana jest w tym dialogu gra słów: *merchant* - kupiec.]

Ojciec się zarumienił; był tak uszczęśliwiony, że nie uczesane, rzednące już włosy zadrżały mu na głowie.

To, czemu dała początek poczekalniana sytuacja, co zaraz potem wspomogła przypadkowa zbieżność nazwisk, doczekało się rychło potwierdzenia w postaci upominków na pocieszenie lady Spenty. V. V. Merchant ze zdumieniem wpatrywał się w papierową torebkę w ręku panny Amir Merchant; pannę Amir Merchant zaskoczył widok identycznej torebki w ręku pana V. V. Merchanta. Obie zdołał ten sam firmowy znak szacownego sklepu delikatesowego z Kemp's Corner; obie kryły takie same słóiczki.

- Miód - wyjaśnił V. V. Merchant. - Z Doliny Kaszmiru. Żeby przypomnieć jej słodycz życia.

- Kaszmirski miód? Jakim cudem? - krzyknęła Amir. - To jest kaszmirski miód.

I pokazała swój słóiczek, on zaś swój. Amir mogła wybuchnąć gniewem, lecz wybuchnęła śmiechem. Mój ojciec też się roześmiał.

Trud dalekich pszczół posłużył przecieraniu ścieżek miłości.

Przeznaczenie obojga przybrało wreszcie postać gniewnej zakonnicy, bo oto wyrosła przed nimi osoba oschła a okazała, której obecność pogrzyżyła wszystko w półcieniu, jakby nastąpiło częściowe zaćmienie słońca.

- Słucham? - warknęła siostra John tak ostro, że - smutne to, lecz prawdziwe - już sam ton rozbawił Merchantów i przyprawił o napad chichotania.

- Przyszliśmy, by pocieszyć lady Spentę Kamę w tragicznej dla niej chwili - wyjaśniał V. V. Merchant, zwijając się ze śmiechu.

- Coś okropnego! - Moja matka ocierała łzy rozbawienia i lamentowała. - Urodzić martwe dziecko!

- Strzeżcie się! - Głos siostry brzmiał jak trąba Sądu Ostatecznego. - Bo za swe grzechy spłoniecie jeszcze ogniem piekielnym.

W poczekalni zaległa cisza. Merchant i Merchant smagnięci reprimendą przysunęli się odruchowo do siebie: zwarli szereg. Dłoń (jego, jej) musnęła drugą (jego, jej). W późniejszych latach radośnie i bez końca spierali się, czyj był ten pierwszy ruch, czyje palce sięgnęły po czyje, kto objął, a kto był obejmowany. Jednemu wszakże nie sposób zaprzeczyć (przy czym zachowanie ich samych należy bez wątpienia określić jako "swobodne" i "przyzwalające"), że to siostra John złączyła ręce, które odtąd już rzadko się rozłączały. Aż po wielu latach zostały rozdzielone przez trzecią stronę. Tak, przez swego rodzaju kochankę, w każdym razie Umiłowaną. Pewną Starą Bezwstydnicę, lecz nie istotę ludzką. Bo mam na myśli to miasto.

- Poza tym - dodała siostra John - urodziło się także dziecko żywe.

Merchantowie usłyszeli od siostry John nowinę: ktoś oto pojawił się niespodzianie, ale nie wiadomo, jak uczcić to przybycie na świat, nie ma mądrych, skoro narodziny są aż tak splecione z tragedią Gajomarta Kamy, który zanim zaczął, już skończył. Moim rodzicom zastąpiła drogę skłonna do grubiaństw zakonnica, która decydowała tutaj pod nieobecność sir Dariusza:

- Teraz lady Spenta odpoczywa. Przyjdźcie później.

Jednakże owa położna, żywo przypominająca pięciorzędową galerę bojową, zgodziła się po dłuższych namowach, by Vivvy i Amir popatrzyli sobie na to mikroskopijne, ale bezspornie przebijające już paluszkami niemowlę w jasno oświetlonym szklanym inkubatorze, na maleńkiego Ormusa, który spał na wznak, z podciągniętym kolanem, zupełnie niepodobny do bóstwa, z maleńką, purpurową

wybroszyną na lewej powiece, przypominającą cień rzucany przez gałkę oczną. Kiedy moja matka zobaczyła malca jaśniejącego w tym pudle, nie wytrzymała i palnęła:

- Ten Tomcio Paluszek w tej szklanej trumnie raczej mi wygląda na Królową Śnieżkę.

- Och! - Dwa świszczące wdechy powiadomiły ją, że fatalnie dobrane porównanie wstrząsnęło nie tylko siostrą John, lecz także matką noworodka; lady Spenta Kama, która zwlokła się z łóżka, by przywitać gości, przywędrowała tutaj na nogach miękkich jak wata wprost pod zimny prysznic, by owe słowa mogły ją ugodzić jak cios między oczy. Zaszokowana lady Spenta stała jak wryta, mrugała i poruszała żuchwą. - Powiedziałaś "w trumnie". Nie, nie! To wiedźma, zjawiała się, by rzucić na moje dziecko urok!

V. V. Merchant nieporadnie próbował ją uspokoić, ale przepadło. Było za późno, by coś uratować w ów nie-taki-luby-dzionek.

Powtórzę: do dnia narodzin Ormusa lady Spentę Kamę cechował niemal nadprzyrodzony spokój. Zatem niespotykana dotąd gwałtowność sformułowań wskazywała na naturę tej chwili, na jej przekształcającą moc, może spowodowaną przez konfigurację gwiazd. Bo odtąd osobowość lady Spenty Kamy była już inna; lady Spenta stała się nerwowa, niespokojna, łatwo wpadała w podniecenie. Dodajmy: po tym, jak w jej uszach zabrzmiała tak zwana klątwa rzucona przez moją matkę, lady Spenta straciła zdolność kochania wyklętego dziecka miłością, na jaką zasługiwało. Gorzej, stroniła od niego jak od zarazy.

Tylko dzięki przypominającemu przyjaźń Szczura i Kreta* [* Szczur Wodny i Kret - postaci z powieści *O czym szumią wierzby* Kennetha Grahame'a.] wzajemnemu zauroczeniu sir Dariusza Kamy i V. V. Merchanta - starszego mężczyzny: znamienitego sportowca, promieniejącego bon vivanta i tego młodszego: szperacza pędzącego życie w półmroku - nadarzyła się rychło i została wykorzystana okazja zadośćuczynienia. W trzy tygodnie później Amir i Vivvy, już nierozłączni, pomaszerowali ramię w ramię na Nabrzeże Apollińskie; V. V. zabrał wówczas ze sobą paillarda bolexa i sfilmował maleńkiego Ormusa w łóżeczku, a taśma miała być darem pokoju. Lady Spenta, której zachowanie zdawało się świadczyć o powrocie do wrodzonej równowagi, postanowiła dar przyjąć. Lecz moja matka i matka Ormusa już nigdy się naprawdę nie zbliżyły.

Za daleko jednak zapędzam się w opowieści. Na wszystko przyjdzie kolej.

Zatem: panna Amir Merchant, moja przyszła matka, popełniła mimo woli *faux pas*, a mój przyszły ojciec pośpiesznie ewakuował ją ze sceny, zupełnie nie stropioną. Natomiast lady Spenta Kama wycofała się do łóżka; przesady przyprawiły ją o obłęd. Dzień narodzin syna Ormusa, już napiętnowany dwuznacznością, został na domiar złego zbrukany przez wizję Amir: ową szklaną trumnę. A kiedy jeszcze siostra John boleściwym tonem ogłosiła najświeższą nowinę - że sir Dariusz Kserkses przebiegł drogę ze stadionu na Owalnym Majdanie do izby przyjęć parsyjskiego szpitala położniczego, cały czas tuląc w ramionach bezwładne ciało Wirusa - trzeźwość sądu lady Spenty doznała na pewien czas znacznych ograniczeń.

Po paru godzinach spędzonych na oddziale intensywnej opieki Ardawiraf Kama odzyskał przytomność, a dolegliwości najwyraźniej ograniczyły się do wstrząsu mózgu i rozdwojenia widzenia. Niechęć do wysławiania się lekarz złożył na karb szoku. Lecz wkrótce stało się oczywiste, że umysłowość Ardawirafa także ucierpiała. Chłopiec przestał w ogóle mówić, pytania zbywał spowolnionym, melancholijnym potrząsaniem głowy. Jednak i ten odruch stopniowo zaniknął, a Wirus pogrążył się w pełnym obojętności milczeniu, by już nigdy się z niego nie wynurzyć. Jakby stał się własną fotografią. Jakby był filmem dźwiękowym ogołoconym w niepojętym trybie z fonii, który przeniesiono w czasy filmu niemego, ale skąpiąc napisów i akompaniamentu pianina. Jakby fałszywy lot ojcowskiej piłki zniszczył w nim wiarę we wszelkich ojców, jakby zdruzgotał zaufanie do samej ufności, jakby to stałe zapadnięcie się w siebie zamienił w konieczność.

Aczkolwiek nie odzywał się, reagował na proste pytania i polecenia. Jeśli mówiono, że pora na posiłek, cicho i spokojnie siadał do stołu. Jeśli mówiono, że pora spać, bez słowa szedł do pokoju i kładł się twarzą do ściany. Największe medyczne autorytety w mieście miały wkrótce ogłosić całkowitą bezradność wobec tego przypadku. Chłopiec wrócił do Szkoły Katedralnej, gdzie podczas lekcji siedział w tej samej ławce co kiedyś, lecz nigdy nie podniósł ręki, nie zgłosił się, by coś powiedzieć bądź coś łaskawie odrzec na pytanie nauczyciela. Wkrótce szkoła dostosowała się do tego, pogodziła z nowym stanem rzeczy. Wirus, zawsze powolny, stał się teraz jeszcze bardziej ociężały, ale nauczyciele chcieli - w nadziei, że czas przyniesie może poprawę - by nadal siedział i słuchał.

Było też widać, że Wirus zniechęcił się na dobre do jakichkolwiek rozgrywek. Podczas szkolnych przerw sadowił się w kącie dziedzińca na skrzyżowanych nogach, z wyrazem twarzy godnym jogina całkowicie pogrążonego w medytacji, obojętny na

wrzawę i toczone wokół bijatyki. Dorastał, odsunawszy się bez słowa od wszelkich sportów, hokeja na trawie czy krykieta bądź treningów lekkoatletycznych. Owego roku, w którym maharadża Patiali raczył znaleźć czas - odrywając się od swych jakże licznych i różnorodnych związków pozamałżeńskich - i otworzył wielki stadion Brabourne, na uwznioślonych w ten sposób terenach organizowano później Szkolne Dni Sportu. Z nadejściem takiego dnia Wirus po prostu nie wstawał z łóżka; przybierał jak kostium ów wyraz łagodnej nieobecności i nikt już nie miał serca zmuszać go do wyjścia. Bliźni brat Cyrus próbował z przyjaciółmi wciągać go w uliczne zabawy po lekcjach, w grę w klasy czy gillidanda; bez powodzenia. Wirus wyrzekł się nawet kart czy zwykłych gier towarzyskich, remika, chińczyka, monopolu, bilardu czy bierek. Zasmakował w tajemnicach przestrzeni wewnętrznych, przeniósł się do nich i nie miał czasu na gry.

Widząc, że pięciolatek odwraca się od tego, co dziecięce, sir Dariusz Kserkses Kama wymierzył sobie karę: na zawsze wyrzekł się ulubionej gry w krykieta oraz miłości pomniejszych: zapasów, szermierki, pływania i squasha. Ponieważ za ów wypadek winił także muzykę, z mieszkania Kamów została ona bezpowrotnie wygnana, pod każdą postacią. Sir Dariusz sprzedał radiolę i co do sztuki wytłukł zbiór płyt, a kiedy w porze ślubów hałaśliwe orszaki weselne zmierzały przez Nabrzeże Apollińskie na przyjęcie do hotelu Tadź, zatrząskiwiał w przystępie szału okna, by pieśniami weselnym nie dać dostępu do domu. Wcześniej Cyrus i Wirus brali lekcje gry na fortepianie i hinduskim flecie. Lekcje odwołano, nauczyciel został zwolniony, a przeznaczony dla dzieci krótki fortepian w salonie zamknięto na klucz. Zgodnie z życzeniem męża lady Spenta schowała ów klucz w srebrnym medalioniku, przez wiele lat noszonym później na szyi.

Milczenie Wirusa spowszedniało, ba, objawiło zalety. Sir Dariusz uświadomił sobie, że czuje właściwie ulgę, odkąd ciężko doświadczony syn przestał mącić spokój śniadań; odkąd ustał ten świergot i skończyły się niewyobrażalnie nonsensowne dziecinne uwagi. Natomiast milczenie miało jakąś wagę. Sir Dariusz uznał je za wielce wymowne. Dzieje zmierzają w niewłaściwym kierunku. Milczenie Wirusa zakrawa na wielką odmowę. Toczy się jarmarczny wóz o nazwie Niepodległość, coraz huczniej witany - przecież to banda chuliganów spod znaku Niepodległości tak sprowokowała sir Dariusza, że ugodził własne dziecko! - wkrótce *Pax Britannica* dobiegnie kresu.

- Idą złe czasy - powtarzał sir Dariusz. - Zbyt wielu ludzi wyrzuca z siebie zbyt wiele słów, a one przemienia się w końcu w kamienie i pociski. To w imieniu nas

wszystkich, lękających się takiej właśnie metamorfozy słów i powodujących ją mocy, milczy Ardawiraf.

Zatem sir Dariusz wmówił sobie, że niemota Wirusa jest w gruncie rzeczy wyrafinowaną wypowiedzią. Poczul się dzięki temu nieco lepiej, ale - ciekawe - częściowe rozgrzeszenie, którego sobie udzielił, nie złagodziło sir Dariuszowych napaści na muzykę: przeciwnie, napadał coraz ostrzej. Teraz obarczał muzykę odpowiedzialnością za całe zło świata, a po paru głębszych gotów był nawet się uprzeć, że ludzi praktykujących tę sztukę trzeba wyeliminować, zetrzeć z powierzchni ziemi jak zarazę. Muzyka to wirus, skażenie, a jej miłośnicy przypominają tych obieżyswiatów seksualnych, tych doszczętnie zepsutych nihilistów, których postęпки - darujmy sobie ścisłą terminologię - zaowocowały globalnym rozprzestrzenieniem syfilisu. To oni są chorzy, a nie Wirus Kama, który zachowuje pełne godności milczenie; on jest zdrow.

Najpierw usunął się i zamilkł Wirus, potem zatrąbiła na odwrót lady Spenta; wycofała się w ów świat duchowy, który teraz postrzegała jeszcze wyraźniej jako środowisko stosowniejsze od naszego padolu.

- Wiem, gdzie się podziewa mój syn - oświadczyła mężowi tonem wykluczającym dyskusję. - Dusza Ardawirafa wędruje, przeszła już przez most Czinwant. Póki nie wróci, musimy strzec ciała. - Z pomocą sprzymierzeńca, Anioła Należytego Ładu, poświęciła się temu zadaniu bez reszty, myjąc ciało Wirusa w wannie, jakby był niemowlęciem, karmiąc łyżeczką, jakby nie umiał posłużyć się rękami. - Wyteża wszystkie siły w tej nadludzkiej podróży przez Zaświat - wyjaśniała. - Musimy go więc chronić przed jakimkolwiek ziemskim wysiłkiem.

Wirus Kama biernie poddawał się tym ceremoniom, nie okazywał ani zadowolenia, ani niechęci. (Podobnie sir Dariusz, obarczony brzemieniem winy, mimo że w duchu zgłaszał sprzeciw.)

Natomiast mycie i karmienie maleńkiego Ormusa pozostawiono służbie.

Imię Wirusa wybrano na cześć pewnego zaratusztriańskiego mistyka, który żył między trzecim a siódmym wiekiem po Chrystusie (w tej mierze nie wiemy nic więcej) i pozostawił szczegółowe sprawozdanie z pewnej podróży; lady Spenta utrzymywała, że jej syn wyruszył na podobną wyprawę. Jeśli nie była w błędzie, to na moście Czinwant prowadzącym w świat ducha Wirus Kama najpierw doświadczył tego, co dusze zmarłych, mianowicie spotkania z wcieleniem własnych dobrych uczynków:

piękną dziewczyną o kolosalnych piersiach “wiszących a obfitych, co zniewala serce i duszę”; potem Anioły Boskiego Posłuszeństwa oraz Płomienia Myśli poprowadziły go nad otchłań Niewzruszonego Spokoju, gdzie przebywają przeistoczeni w posągi ci na równi dobrzy i grzeszni; potem poprowadziły Wirusa w sferę gwiazd i księżyca, gdzie znajdują kres areligijni, lecz dobrzy; i prowadziły dalej, przez coraz wyższe poziomy cnoty i promienistości ku czystemu światłu samego Ahura Mazdy; potem zaś - bo ta podróż układa się w przeciwnym kierunku niż u Dantego - Wirus mógł się dobrze przyjrzeć Piekłu, gdzie węże wpełzają ludziom w odbyt, wypełzają z ust i tak dalej. Mógł zauważyć niezwykle skupienie się na kobiecych piersiach, na nieczystościach i wreszcie szaleńczą a radosną zajadłość, z którą Szkodliwe Bestie zatapiają kły w niezliczonych grzesznikach. Cudzołożnice wieszano tu za piersi bądź zmuszano je do rozorywania piersi żelaznymi grzebieniami; kobiety, które nie karmiły piersią, musiały teraz wykuwać piersiami jamy w skalistych wzgórzach. Szczególnie surowo karane było oddawanie moczu na stojąco, kobiety zaś, które zbliżyły się do wody lub ognia podczas menstruacji, zmuszane były teraz do wypijania, kubek po kubku, męskich szczyń i zjadania gówna. Więc trudno się dziwić, że lady Spentę - która wciąż wyobrażała sobie, jak Ardawiraf podąża śladem imiennika - ogarnęła obsesja domowywania syna i karmienia z naczyń napełnianych mniej plugawie.

Im dłużej trwało milczenie Wirusa, tym większą determinację wykazywała matka. Tak mocno uwierzyła w synowską podróż - z której powrót jest tylko kwestią czasu - że miraż zaczął ją wchłaniać, jakby sama była duszą przekraczającą most Czinwant, by napaść wzrok widokami wielkimi a straszliwymi, stanąć oko w oko z obwisłocycą zjawą uosabiającą jej dobre uczynki i z ropiejącymi wcieleniami grzechu. Kiedy lady Spenty nie pochłaniały sprawy bądź potrzeby Wirusa, wydawała się niespokojna i roztargniona, zachowywała się jak ktoś zarazem wzburzony i przebywający myślami gdzie indziej. (Wobec Ormusa niezmiennie utrzymywała dystans, nie okazując ani śladu serdeczności. Jej macierzyńskie uczucia wobec młodszego syna ucierpiały z powodu przejść. Wychowywany przez służbę, musiał, chcąc nie chcąc, szukać miłości, gdzie popadnie.)

Nie da się zatrzymać tego, co zapoczątkowała piłka krykietowa. Jeden po drugim członkowie rodziny Kamów porzucali rzeczywistość, by się pogrążyć we własnych prywatnych światach.

Z codzienności wycofał się jako następny sir Dariusz Kserkses Kama. Prawo, które w latach dojrzałości stanowiło dla sir Dariusza tak istotne oparcie moralne,

obróciło się teraz - co jawnie głosili liczni koledzy - w "dawanie dupy". Nastąpiły czasy, w których imperialna administracja skierowała przeciw nacjonalistom wszystkie moce i możliwości systemu prawnego, i chociaż sir Dariusz zaliczał się do czołowych obrońców cywilizacji brytyjskiej, chociaż był przeciwnikiem Kongresu, zaczął doświadczać - na widok tego, co się dzieje - dotkliwej wewnętrznej niewygody. Jego liczni szacowni koledzy przedzierzgnęli się w nowo nawróconych orędowników Niepodległości, dołączyli do orszaku pana Gandhiego, który sam też był wcale zmyślnym orzełkiem Temidy. Sir Dariusz Kserkses Kama, zaskoczony burzą szalejącą w nim samym, porzucił praktykę i wycofał się w zacisze biblioteki, chluby mieszkania przy Nabrzeżu Apollińskim, pełnej klasycznych tekstów, by teraz w akademickich gajach odnaleźć spokój ducha, zmacony tak bezgranicznie przez bieg historii w sferze prywatnej i spraw publicznych.

Sir Dariusz Kserkses Kama zaczął zgłębiać mity indoeuropejskie wespół z wolnomularzem Williamem Methwoldem. Był to majątny Anglik z rodziny ziemian i dyplomatów, a jako przedsiębiorca budowlany przyłożył niegdyś rękę do wyrośnięcia tych licznych nowych willi i bloków mieszkalnych na Wzgórzu Malabarskim i wzdłuż Warden Road. Łysy jak kolano, którą to właściwość ukrywał pod peruką, był znakomitym i błyskotliwym znawcą tego, co greckie; w głębinie biblioteki sir Dariusza zanurzył się jak wędrowiec udręczony pragnieniem, padający u brzegu krystalicznego górskiego strumienia. Z kolei sir Dariusz uległ za młodu wpływowi pewnego uczonego urodzonego w Niemczech, Maxa Mullera, którego prace z dziedziny mitologii porównawczej doprowadziły sir Dariusza do wniosku, że węzłowe wątki najstarszych mitologii, należących do kultur protoindoeuropejskich i aryjskich - czyli zaratusztriańskiej, hinduskiej, greckiej - wiążą się ze słońcem. Teoria dogadzała takiemu zeświecczonemu parsowi jak sir Dariusz, który dostrzegał w niej racjonalne źródło duchowej papki, w której po szyję ugrzęzła jego ukochana żona. (Ahura Mazda, Ormuzd, Hormuzd byli w końcu tylko jednym - Światłością, Apollo zaś Słońcem). Uczniowie Mullera usiłowali w związku z tym wykazać, że Jezus Chrystus i jego uczniowie to tylko baśniowe figury słońca i dwunastu znaków zodiaku, lecz William Methwold - podczas spotkań w loży Wzgórze Malabarskie, do której należeli z sir Dariuszem - dobrał się do "mitologii solarnej" i rozprawił z zaprzyjaźnionym prawnikiem w serii błyskotliwych, podszytych absurdem monologów; udowodnił w nich po pierwsze, że cesarz Napoleon i jego dwunastu generałów, jak Chrystus z apostołami, to tylko figury zodiakalne, czysta fikcja, a po drugie, że ani uniwersytetu

oksfordzkiego, ani samego profesora Mullera najpewniej w ogóle nie ma. Methwold przypuścił atak na koncepcję Mullera, posługując się tezami szkockiego dziennikarza Andrew Langa, utrzymującego, że nie ma sensu wdawać się w niesprawdzalne teorie aryjskie; greccy bogowie po prostu wyłonili się z wielkiej liczby rozsznanych po całym świecie wierzeń prymitywnych.

- Wierzeń prymitywnych?! - ryknął sir Dariusz i zerwał się na równe nogi, wszakże nie wypuszczając z dłoni kieliszka brandy. Sala zamarła. - Wliczając w to, jak rozumiem, i nasze?

William Methwold nie rezygnował.

- Świat jest pełen barbarzyńców, drogi bracie - odparł spokojnie. - Nie mówię, rzecz jasna, o obecnych.

Odtąd przyjaciele widywali się z rzadka. Jednak ułagodźli stosunki na kilka miesięcy przed narodzeniem Ormusa i owym wypadkiem, któremu uległ Wirus; William Methwold zjawił się, by uczcić zwycięstwo sir Dariusza w lokalnym turnieju badmintona. Po paru szkockich przyznał, że znów go znęcił splot spraw aryjskich, a to dzięki pracy Georges'a Dumezila, który wykazał, że grecki Uranos to nikt inny, tylko indyjski Waruna, co ma stanowić dowód wspólnego dziedzictwa całej kultury Arjów.

- Dobrze! - krzyknął uszczęśliwiony sir Dariusz. - W ten sposób obaj stajemy się barbarzyńcami.

W ciągu następnych paru lat sir Dariusz i Methwold spotykali się co pewien czas, by zgłębiać stosunki między mitologiczną tradycją homerycką a indyjską. Tu uprowadzenie Heleny trojańskiej przez Parysa, tam uprowadzenie Sity z Ajodhji przez króla-demona Rawanę; zbieżności między bogiem Hanumanem, chytrym wodzem małp, a przemyślnym Odyseuszem; równoległość tragedii domu Atrydów i tej, która dosięgła ród Ramy. Jak przystało na badaczy dżentelmenów, radowało ich długie roztrząsanie tych zagadnień i wielu innych. Sir Dariusza szczególnie pociągała tak zwana trójdzielna teoria Dumezila. Czy wszystkie kultury Arjów rzeczywiście opierały się na trójpodziale: suwerenność religijna, siła fizyczna i płodność? Więc to może ta prawdziwa Trójca, która ukształtowała cywilizacje zarówno Zachodu, jak Wschodu? Może właśnie to je łączy? Teraz tak brzmiały kluczowe zagadnienia, odkąd sir Dariusz zrzucił prawniczą perukę. Wraz z Williamem Methwoldem wnikali coraz głębiej w techniczne szczegóły sprawy, a im bardziej wnikanie w głębinę oddalało ich od powierzchni życia, tym czuli się szczęśliwsi. Tam, na zewnątrz, ostatnie fazy dziejów kolonialnych Anglii i Indii przybrały znany powszechnie obrót; wrzała wielka wojna,

większa niż te toczone o Helenę czy Sitę. Tymczasem sir Dariusz i William Methwold szczerze odgradzili się od współczesności, szukając azylu w tym, co odwieczne. Między bibliotecznymi półkami Odyseusz stawał się boską małpą, Parys królem-demonem, a perski szlachcic i angielski ziemianin tak się zbliżyli, że trudno ich było odróżnić. Sir Dariusz rozstał się już z większością uwłosienia, William Methwold zdejmował czarną perukę i wieszał na oparciu krzesła. W zaciszu wszechświata ksiąg, przy dębowym stole uginającym się pod starożytnymi mądrościami pracowali jak radośni pustelnicy, doskonale samotni, jeśli pominąć to, że czasem spoglądała na nich z uroczystą miną milcząca zjawa: siedzący w kącie na przenośnych schodkach Wirus Kama.

Lecz oto któregoś dnia sir Dariusz zdjął okulary w połówkowej oprawce, uderzył pięścią w stół i wykrzyknął:

- To nie wystarczy!

Zdumiony Methwold spojrział znad książki. Co nie wystarczy? Czyżby sir Dariusz, co zrozumiałe, poczuł się znudzony idyllicznym bytowaniem, które sprawia im tyle radości?

- Z-z-zawsze może pan zrewidować miary samozaparca - wyjąkał. - Może pogramy w squasha? Jak pan wie, *mens sana in cholernym corpore sano*.

Mruknięcia sir Dariusza nie brzmiało zachęcająco. Drżał cały, olśniony nowym odkryciem, więc nie miał czasu na squasha.

- Nie wystarczą trzy funkcje - zapewnił gorączkowo. - Musi być czwarta.

- Wykluczone - zapewnił Methwold. - Trzy idee Georges'a całkowicie wypełniają ramy społeczeństw.

- Zgoda - odrzekł sir Dariusz. - Ale co począć z **poza-istnością**? Tym, co znalazło się za ramami, co się wznosi nad sporem, co upadło, nie warte uwagi? Co począć z wyrzutkami, pariasami, wygnańcami, nieprzyjaciółmi, nawiedzonymi, upiorami, z paradoksami? Co zrobić z tymi, którzy się oddalili? Cholera jasna - spojrział w mroczny kąt, ku siedzącemu dziecku - **co począć z Wirusem?**

- Nie jestem pewien, czy zrozumiałem - oświadczył zbity z tropu Methwold.

- Co począć z ludźmi, którzy nie przynależą?

- Gdzie nie przynależą?

- Nigdzie. Do niczego, nikogo. Nieprzynależnymi psychicznie. Kometami wędrującymi przez kosmos poza wszelkimi polami grawitacji.

- Jeżeli są tacy ludzie - podsunął Methwold - to może trzeba ich zaliczyć do

rarae aves? Nielicznych a rozdzielonych wielkimi przestrzeniami? Czy naprawdę do objaśnienia ich losu potrzeba czwartej reguły? Czy nie są, szczerze mówiąc, jak makulatura i wszystko, co się rzuca do kosza? Czy nie są zbędnym balastem? Zawadą w podróży? Czy nie można ich po prostu skreślić? Odciąć? Wykluczyć z klubu?

Ale sir Dariusz Kserkses Kama nie słuchał. Stał przy wielkim oknie, wpatrzony w Morze Arabskie.

- Obraz całości ogarną tylko ci - wymamrotał - którzy wykroczą z ram.

Spróbujcie sobie wyobrazić tę scenę: w otwartym oknie staje parsyjski grand, który w swym bibliotecznym sanktuarium zaszył się z zaprzyjaźnionym Anglikiem i dzieckiem-zjawą, zepchnięty przez życie między książki. Więc nie jest całkiem odizolowany, biblioteka nie jest zamurowanym grobowcem; okno chłonie uliczny zgiełk i podniecenie miasta; dolatują zapachy ćany i bhelu, tamaryndy i jaśminu; słycać krzyki, bo w tych stronach mówi się, krzycząc, dobiega jazgot ruchu: klaksony, rury wydechowe, dzwonki rowerów; słycać też syreny okrętów wojennych z portu, gdzie na wodzie migoczą słoneczne refleksy, przez okno wnika całe to naelektryzowanie przekształcającej się społeczności.

A teraz wyobraźcie sobie gwałtowny podmuch wiatru, który zmiata z brudnej ulicy pomiętą stronicę gazety, podrywa ją, każe spiralnie wzbijać się w powietrze, przez co płachta przypomina jakiegoś brudnego motyla, w końcu frunący papier wpada przez okno; zewnętrzny świat wdziera się do wewnętrznego, stronica łagodnie ląduje obok starannie wyczyszczonych półbucików sir Dariusza i wnosi o uwagę. Właśnie taki obrazek przyłgnął mi do powiek, chociaż w rzeczywistości to się musiało odbyć inaczej, fakt. Jak? Może ktoś napisał list do sir Dariusza, może sir Dariusz natknął się na jakiś uczony periodyk, a w nim na wiadomość, która złamała mu serce. Proszę, wybierzcie sobie jakąś prozaiczną wersję, czemu nie; ja pozostanę przy swojej. Zatem przez okno wleciał strzęp gazety, sir Dariusz podniósł go z niesmakiem, by wyrzucić, i właśnie wtedy jego uwagę przykuły cztery słowa. *Arjowie, naziści, Muller, Dumezil.*

Ani sir Dariuszowi Kserksesowi Kamie, ani Williamowi Methwoldowi nawet przez chwilę nie zagościła w głowach myśl, że w ciele któregoś z oczernionych uczonych, zmarłego Maxa bądź żywego Georges'a, można by znaleźć choćby komórkę przekonaną o wyższości jednej rasy nad drugą. Lecz kiedy ktoś nam ukradnie i zatruje

język, trucizna działa wstecz, bo czas nie stanowi dla niej przeszkody, i w końcu wżera się w dobre imię niewinnych ludzi. Słowo "aryjski", które dla Maxa Mullera i jego pokolenia miało znaczenie czysto językoznawcze, teraz dostało się we władzę ludzi z kręgów zbliżonych do nieuctwa, trucicieli rozprawiających o ludzkich rasach, o rasach panów, rasach sług i jeszcze innych, o rasach, których elementarna nieczystość wymaga uciekania się do drastycznych środków, o rasach stanowiących zbędny balast, zawadę w podróży, rasach, które należy skreślić, odciąć, wykluczyć z klubu i wyrzucić na śmietnik historii. Za sprawą jednego z tych szaleńczych nieprawdopodobieństw, które - razem wzięwszy - składają się na historię rasy ludzkiej, owa tajemna, magiczna dziedzina badań, którą sir Dariusz i William Methwold obrali jako azyl, została spaczona i wyprawiona na służbę największego zła wieku. Historia uprowadziła im tę dziedzinę, a miłość, jaką żywili wobec swych badań, ulokowała ich po niewłaściwej stronie; po stronie trucicieli, po stronie niewypowiedzianego, po stronie tych, na których zbrodnię brak słów.

W chwili, w której ich sytuacja miała się tak odmienić, sir Dariusz i Methwold badali z zachwytem wspólne cechy *Widoku z muru w Iliadzie* (kiedy Trojanie ogarniają wzrokiem oblegającą armię, a na ich prośbę Helena wskazuje Agamemnona, Odyseusza, Idomeneusza oraz najroślejszego z nich Ajaksa) i podobnej sceny w *Ramajanie* (gdzie z murów twierdzy para szpiegów, wraz z porywaczem Rawaną, rozpoznaje herosów Rame, Lakszmanę, Wibhiszanę i Hanumana). Sir Dariusz przeczytał przywiany z ulicy skrawek gazety i podał go bez słowa Methwoldowi. Anglik przeczytał i wzdrygnął się, jak obudzony z długiego snu.

- Trzeba dać temu spokój - powiedział.

Sir Dariusz spuścił głowę i zaczął zamykać ukochane książki. Był to wrzesień 1939 roku. Mrużąc oczy, Rip van Kama i William Winkle* [* Aluzja do postaci z opowiadania Washingtona Irvinga; Rip van Winkle budzi się w zupełnie innym świecie, po przespaniu dwudziestu lat.] pokuśtykali ku oknu, by nasycić się światłem, hałasem i odorem rzeczywistości.

William Methwold nałożył perukę.

- Musimy kiedyś zagrać w squasha - wymamrotał sir Dariusz na pożegnanie.

Po zarzuceniu studiów nad mitologią porównawczą sir Dariusz Kserkses Kama zaczął się zmieniać. Z rzadka tylko widywał się z Williamem Methwoldem, który teraz - jak powiadano - rozwijał w sobie skłonność do Hindusek z dna społecznego. Sir

Dariusz złamał zaś postanowienie podjęte po wypadku z Ardawirafem i znów wdał się w pościg za formą godną sportowca; chociaż trzeba przyznać, że to nie dotyczyło krykieta, lecz zapasów, badmintona i squasha. Zazwyczaj mierzył się ze znacznie młodszym Homim Catrackiem; w tej parze sir Dariusz był zawodnikiem znacznie bardziej utalentowanym, a poprzez wysiłek ciała chciał się także rozprawić z udrami ducha, mimo to wiek robił swoje i sir Dariusz znacznie częściej przegrywał, niż wygrywał. Najbardziej jednak poszkodowani z powodu owej utraty sił okazali się synowie sir Dariusza, Cyrus i Ormus; musieli teraz wysłuchiwać nie kończących się połajanek na temat upadku parsyjskiej młodzieży, której rzekomą słabością sir Dariusz zaczął głęboko gardzić. Im gorzej grał, tym donośniej oskarżał młodsze pokolenie o dekadencję, defetyzm, słabość i homoseksualizm. Kazał chłopcom mocować się z nim na rękę, wygrywał i śmiał się im w twarz. W mieszkaniu coraz bardziej oswojonym z różnymi rodzajami ciszy podszytej tragizmem - z ową galerią cisz zebranych, które wymiotły stamtąd znajomych, przyjaciół, a nawet moich rodziców - ów nowy kłótny ton i bombastyczne tyrady szokowały w dwójnasób.

Minęły trzy lata. Sir Dariusz Kserkses Kama zaczął pić. (Były to czasy bezwzględnej prohibicji, ale dla ustosunkowanych ludzi ze sfery sir Dariusza zawsze znalazła się butelka.) Zaczął palić haszysz i opium. Homi Catrack prowadził go przez mroczne połacie miasta, pokazywał świat, którego istnienia sir Dariusz w ogóle nie podejrzewał. Im głębiej się pogrążał, tym głośniejsze się oburzał. Po powrocie z klatek Kamathipury, z pokojów tańczących kurew, często wyrывał synów ze snu, trząsał nimi, by oskarżać o podłość moralną, zstępowanie do piekła, schodzenie na psy, zezmacenie. Dziesięcioletni Cyrus i pięcioletni Ormus słuchali, zawsze bez słowa. Ci członkowie rodziny Kamów dobrze wiedzieli, jak z milczenia wykuć pancierz. Wszystko jedno, co powiedzą, podsycą tylko ogień ojcowskiej hipokryzji; obydwaj chłopcy wiedzieli swoje, więc się nie odzywali.

Lata młodości Ormusa Kamy przypominały uwięzienie; spędził je w stanie tak dręczącej izolacji uczuciowej, że na pewien czas utracił zdolność śpiewania. Ormus od urodzenia nie skąpił sygnałów świadczących o głębi talentu muzycznego ujawnionego tak wcześnie - rzecz nie ograniczała się do wpisanych w palce chwytów i pochodów, to było także synkopowane bębnienie maleńkimi stopami o łóżeczko i absolutnie czyste gulgotanie gamy tam i z powrotem: *sa-re-ga-ma pa-da-ni-sa, sa-ni-da-pa ma-ga-re-sa*. Lecz matka chłopca pogrążyła się w mistycyzmie, brat Wirus zasklepił w ciszy, a ojciec nie słuchał. Tylko starszy brat Cyrus zwracał uwagę na Ormusa, a Cyrusowe

serce przepelniała nienawiść.

Speszony tym, że bliźni Ardawiraf przemienił się w zombi o zaszytych ustach, Cyrus nie chciał jednak winić za to nieszczęście ojca ani biednego Wirusa. Postanowił więc obwinie za wszystko młodszego brata.

“Gdyby nie noc spędzona na wyczekiwaniu, aż Ormusowi zachce się urodzić - pisał Cyrus w dzienniczku chowanym pod materacem - to tato tak by zasunął, że piłka mur-beton wpadłaby prosto w jeden z tych rozdartych głupich dziobów”.

W owym czasie Cyrus wielbił ojca i nie szczędził trudu, by sprawiać mu przyjemność. Kiedy jednak przeszedł do wyższej klasy z wyróżnieniem i przyniósł do domu świadectwo, musiał wysłuchać tyrady o intelektualnym upadku parsyjskich dzieci; kiedy zabłysnął na zawodach młodzieżowych, ojciec wykręcił się i w dniu wręczania wyróżnień nie przyszedł na stadion Brabourne. A kiedy Cyrus wrócił obładowany srebrnymi trofeami, sir Dariusz wydrwił konkurentów:

- Co za słabizna na tej bieżni, na skoczni. Gacie nie juniorzy; nic dziwnego, że wygrałeś.

Cyrus, niezdolny winić ojca za okrucieństwa, skierował cały gniew na brata.

W środku pewnej nocy, w 1942 roku, Cyrusa Kame coś obudziło; maleńki Ormus - z którym Cyrus wciąż dzielił pokój - śpiewał przez sen; tak zachwycająco, że pobudziły się ptaki, sądząc, że świta, i przysiadły na parapecie okna, by słuchać. W melodii dobiegającej wprost ze snu kryło się tyle radości życia, tyle optymizmu i nadziei, że Cyrus Kama niemal postradał zmysły i zaciskając w dłoniach poduszkę, podszedł do łóżeczka Ormusa, najwyraźniej w morderczych zamiarach. Na podłodze sypiała z nimi Roxana, owa niemrawo reagująca aja, przy której ugodziła Wirusa piłka krykietowa; lecz teraz Roxana okupiała tamten błąd. Ją także obudził śpiewający Ormus; leżała spokojnie na macie, w sypialni zalanej księżycową poświatą, i z zachwytem chłonęła pieśń śpiącego dziecka, aż zobaczyła nagle, że Cyrus przykrywa bratu twarz poduszką i przytrzymuje; usłyszała, że urywa się pieśń, że krzyczą ptaki, dostrzegła trzepocące ręce i wierzgające nogi. Zerwała się, rzuciła na Cyrusa i odciągnęła na bok, płaczącego.

- Nie mogłem wytrzymać - tylko tyle wyjaśnił rodzicom: patrzącej błędnym wzrokiem spod rozwianych włosów lady Spencie i odzianemu w szlafrok, trącemu łysinę sir Dariuszowi. - Nie mogłem wytrzymać hałasu.

Dźwięk i cisza; cisza i dźwięk. To opowieść o losach ludzi, których popychało ku sobie lub skłócało to, co rozgrywa się w naszych uszach (bądź między nimi). Cyrus

z wciąż nie wygasłym morderczym błyskiem w oku został wysłany do odległego górskiego uzdrowiska, do szkoły z internatem; wygnanie miał spędzić w społeczności ludzi nieugiętych, która metody wychowawcze opierała na wypróbowanych, wielce brytyjskich regułach: zimnej wodzie do mycia, złym jedzeniu, regularnej chłości i wysokim, iście akademickim poziomie dydaktycznym; bardzo to pomogło Cyrusowi przeistaczać się w pełnokrwistego psychopata, którym też wkrótce został.

A Ormus? Ormus Kama już nic nie zaśpiewał przez czternaście lat. Nawet nie zanucił. Ani dźwięku. Dopiero Wina Apsara wyzwoliła w nim muzykę.

W miarę staczania się sir Dariusza Kserksesa Kamy powoli złuszczały się, jak płyty forniru, sztywność i nienaganność, pod którymi przez większą część życia krył swą prawdziwą naturę; spod rygorów formy wyłamała się próżność wręcz zadziwiająca, nic już nie hamowało słabości do popisu; była to pięta achillesowa sir Dariusza. A zbytkowna siedziba łoża masońskiej Wzgórze Malabarskie, gdzie wśród czołowych a skłóconych postaci władzy i ich miejscowej asysty sir Dariusz spędzał większość wolnego czasu, stwarzała rozległe możliwości zwracania na siebie uwagi. W roku 1942 podczas uroczystej kolacji, wydawanej przez łożę co dwa miesiące wyłącznie w męskim gronie, sir Dariusz Kserkses Kama po paru kieliszkach dał występ, który Tibecni zapamiętali na zawsze. Po zjedzeniu, czego dusza zapagnie (jakby nie istniały kartki na żywność, jakby nie doskwierały braki), członkowie łoża poszukali wytchnienia w wielce szacownej palarni, wyposażonej w nawilżacz, kwartet smyczkowy oraz zaciemniającą draperię w oknach (jedyne ustępstwo wobec roszczeń czasu i okoliczności), a także (tytułem rekompensaty i na przekór prohibicji) w bajeczny wybór importowanych brandy i whisky. Znakomitości odprężyły się w owej jakże przyjaznej scenerii, opowiadały sprośne dowcipy, popisywały karcianymi sztuczkami, oliwiły machinę imperialnych interesów i płały figle. I oto sir Dariusz - pijany, oszołomiony opium, pełen nienawiści do siebie - zażądał od wyfraczonych muzyków, żeby "zasunęli" filmową melodię *Po drugiej stronie tęczy z Czarodzieja z Oz. On! Wróg muzyki!* Sir Dariusz, który wygłasza filipiki przeciw wszystkiemu, co ma związek z harmonią bądź melodią, teraz zamawia "kawalek"! Już to zwróciło uwagę wszystkich, nie da się ukryć.

Kiedy kapela zabrała się do roboty, sir Dariusz ściągnął frakową koszulę i uraczył brytyjsko-bombajską śmietankę - a był to Bombaj czasu wojny, kiedy ruch nacjonalistyczny nabierał wiatru w żagle i każdy z tych jakże kolonialnych wieczorów

wydawał się coraz wyraźniej, z imprezy na imprezę, ostatnim walcem - pokazem nowej sztuki synkretyczno-naturalnej, mianowicie muzyko-kulturystyki. Sir Dariusz - poruszając w takt muzyki mięśniami klatki piersiowej i brzucha, jakby był mistrzem tanga z różą w zębach albo wirującą i ślizgającą się po parkiecie, wywijającą spódnicą królową jitterbuga czy boogie - wywrzaskiwał na całą salę:

- Oto, co trzeba robić w czas karnawału! Wzlatywać! Pilnować, by duch i ciało były jednym! Bronić idealnego związku sfer fizycznej i umysłowej!

Na koniec występu, zapinając koszulę, skłonił się i oświadczył, jak bajarz wygłaszający morał:

- *Mens sana in corpore sano.*

Koledzy wolnomularze zareagowali wytartymi uprzejmościami, zza których wzyerało łagodne, zharmonizowane z kresem imperium znudzenie.

Mogę tylko przypuszczać, że w tę jarmarczną sztukę wtajemniczyła sir Dariusza któraś z podejrzanych przyjaciółeczek jego masonskiego kompana Homiego Catracka. To, że zamiast pośmiać się z jej popisów i iść do domu, wracał tydzień w tydzień do jakiejś nory przy Falkland Road i naprawdę uczył się tych numerów, najlepiej świadczy, jak nisko upadł, jak dalece wulgarność wniknęła w tak szlachetną niegdyś duszę. Albo wyłożmy rzecz inaczej: mimo tego całego wydzierania się na dzieci widać było, że sir Dariusz to wykapany ojciec swego syna. Mam na myśli Ormusa, przyszłą megagwiazdę.

W znacznie surowszych czasach imperialnych taki ekshibicjonizm - wyskok raził nawet masonów - mógł zbrukać reputację sir Dariusza i zniweczyć jego praktykę prawniczą, ale sir Dariusz wycofał się z zawodu i nie sposób go było ugodzić; poza tym dla owego wykwintnego światka obracającego się wokół Brytyjskiej Obecności w Indiach nastąpiły upływające bez celu dni rozprężenia. Samobójstwa i załamania nie należały do rzadkości. Parsyjska znakomitość paląca cygara i prężąca mięśnie w takt muzyki była na tym tle widokiem stosunkowo niewinnym. Obecni rozumieli ból sir Dariusza i byli w stanie przepowiedzieć przyszłość: jego i swoją własną. Anglofilia, na której tak długo opierała się przewaga tych ludzi, przemieniała się w piętno Kaina. Stawała się ciemną gwiazdą, pod którą - nie znanego jeszcze dnia, niewiadomej godziny - czekał ich nieuchronnie upadek.

W 1942 roku, wkrótce po rzuceniu na majdanie w Gowalii hasła "Opuście Indie", prowadzącym do wybuchu gwałtownych demonstracji, grabieży i podpałów w całym mieście - bo tak wyglądała reakcja na natychmiastowe aresztowanie Gandhiego

- sir Dariusz Kserkses Kama wygłosił płomienne słowa dotyczące “oddania kraju we władzę motłochu i podpalaczy” i po raz pierwszy sformułował myśl, która wkrótce stała się jego obsesją.

- Bądź co bądź Bombaj to nie Indie. Zbudowali go Brytyjczycy, a ducha tchnęli w niego parsowie. Gdzie indziej, proszę bardzo, niech mają tę swoją niepodległość, skoro nie mogą się bez niej obejść, ale nasz Bombaj zostawcie nam, niech karmi się dobrodziejstwem rządów parsyjsko-brytyjskich.

Homi Catrack - do którego sir Dariusz kierował ów *cri de coeur* - namawiał jednak, żeby zdobyć się na odwagę, porzucić topniejące środowisko anglocentryczne i “wyjść na spotkanie przyszłości”. Hazardzista, koniarz, karciarz i producent filmowy - znany z zaprasowanych w kant spodni, kolekcji krawatów i “wcale uczciwych przedsięwzięć” - pod tą warstewką pomady, pod układną maską ni żigolo, ni playboya, darzył wielkim nabożeństwem ruch nacjonalistyczny. Sir Dariusz zaczynał nawet traktować Homiego jak zdrajcę własnej rasy (bo jak rozdzielić interesy parsów i Brytyjczyków, skoro parsowie tak gorliwie wspierali tu obecność brytyjską, tak owocnie spili kultury brytyjską i własną?). Ale czarowi faceta trudno się było oprzeć, a badmintonowe, squashowe, ba, nawet golfowe osiągnięcia Catracka często dorównywały wyczynom samego sir Dariusza (prawdę mówiąc, za często, irytująco za często i bardziej niż dorównywały).

Spoceni i szczęśliwi bawili w kręgu nagiej demokracji, słowem w szatni Wellesley Club.

- Klub, kij - sapał Homi Catrack - i coś zbić tym kijem. Coś zbić! Tu się właśnie zadajesz z takimi facetami. Czystej wody zbije. A raczej *par excellence* zbóje. - I mrugnął do sir Dariusza, by podkreślić grę słów.

Z mruganiem czy bez, Homi po prostu mówił prawdę. Był członkiem wszystkich liczących się w mieście klubów, począwszy od Wellesley (obecnie to już prehistoria) po zarząd Toru Wyścigowego Mahalakszmi, i zdołał w owych czasach niedostatku zbić szubrawą fortunę, podporządkowując sobie rynek cementu, a ciągnąc zyski także z sieci bimbrowni i nielegalnych knajp z wyszynkiem. Mówiono, że to Homi Catrack pierwszy użył nazwy “ekonomia równoległa”, a złoża zachomikowanych przez niego lewych pieniędzy mogłyby, jedno na drugich, przewyższyć Bramę Indii. Paradoks natury ludzkiej: ten sam Homi, który tak świetnie wyszedł na zamęcie lat czterdziestych, stał się jednym z najgorętszych zwolenników “uczciwych ludzi, którzy oczyszczą Indie”, bo tak nazywał przywódców Kongresu.

Dlatego po aresztowaniu Gandhiego Homi oburzył się szczerze i głęboko.

W szatni sir Dariusz Kserkses Kama doznał przyływu wielkoduszności. Po ostrej partyjce, tym razem nieznacznie wygranej, roił sobie, że znalazł się oto w starożytnej Grecji lub Persji, że poci się wśród filozofów, dyskoboli, woźniców rydwanów, szybkobiegaczy, magów i królów; pogrążony w marzeniach, był gotów wybaczyć mrugnięcie, a zaproszenia na spotkanie z przyszłością nie uznał za uwłaczające. Wprawdzie spojrział spode łba, lecz w głosie zabrzmiała nuta pobłażania:

- Doskonale. Zbadajmy zatem, co to za szumowiny wypływają dziś na wierzch.

Przyszłością okazała się artystowska zgraja; w domu o nazwie Côte d'Azur, zbudowanym w stylu art deco przy Warden Road, w kosztownie urządzonej mieszkanie Homiego (skąd widok na morze tu i ówdzie przesłaniały inne domy) malarze, pisarze i filmowcy zeszli się, by pić whisky i przedyskutować zagadnienie obywatelskiego nieposłuszeństwa. Tuż po przekroczeniu progu sir Dariusz Kserkses Kama zorientował się, że przychodząc, popełnił błąd. Czuł się tutaj jak gość z Księżyca, nieznośnie wyobcowany, niezdolny oddychać ciężką atmosferą, pełną pogardy dla legalizmu. Krążył niepewnie po obrzeżach, nie zaszczytany uwagą, mimo trudnej do przeoczenia powierzchowności - fezu, wąsa, fraka - mimo wrodzonego wdzięku ruchów i wściekłego błysku w oku, znamionującego moc, tak jest, tę przyrodzoną siłę człowieka, której nie można się nauczyć, nie można kupić ani otrzymać w podarunku.

Wianuszki intelektualistów formowały się wokół niektórych piękności - gwiazdki Fiji Aziz i malarki Aurory Zogoiby - lecz niemal cała reszta kobiet przysiadła na podłodze na skrzyżowanych nogach u stóp narąbanego a sławionego muzułmańskiego pisarza, autora opowieści z życia najniższych sfer, który szokował słuchaczki historiami pełnymi szczegółów jeżących włosy na głowie; przedstawiał najgorsze w świecie rzeczy, nie uciekając się do omówień, nie spętany poczuciem dobrego smaku; ale równie wyszukanego urdu sir Dariusz Kserkses Kama nie słyszał nigdy w życiu. Tą swoją sławną, błyskotliwą prozą, w jakiś sposób zmysłową i jednocześnie precyzyjną, snuł najnaturalniej w świecie opowieści o zapuszczonych, przerażających wnętrzach miejscowych zakładów dla obłąkanych, o brutalnych morderstwach i na oślepek dokonywanych gwałtach, o których ciągle szeptano w mieście, o korupcji władz i przemocy przeżerającej serca biedoty, o kazirodczych romansach wśród towarzyskiej śmietanki i mordowaniu córek w slumsach, o kurwach więzionych w klatkach przy Falkland Road, o mafijnych przywódcach, którzy trzymają

w garści prostytutkę i zorganizowaną przestępczość, a urwanie mężczyźnie penisa zlecają tak gładko, jakby zamawiali pęk bananów na bazarze. Sir Dariusz nawet nie umiał okazać, jak bardzo nim wstrząsnął, jak wzburzył go ten kontrast między jubilerskim mistrzostwem języka a pornograficzną materią opowieści. A przecież grunt pewnych historii nie był mu obcy, przeciwnie, znał go lepiej, niż chciałby przyznać.

Odwrócił się i niemal wpadł na jedyne w tym towarzystwie Anglika. Był to nie widziany od lat William Methwold.

- Skąd pan się tu wziął? - Sir Dariusz wyprowadzony z równowagi dosłyszał we własnym głosie nieuprzejmą zaczepkę, więc pośpieszył z usprawiedliwieniem. - Czuję się tu jak figura z innej sztuki - zaczął, ale Methwold powstrzymał go i przywitał z wyraźnym wzruszeniem.

- Trochę jestem zdezorientowany - powiedział. - Ale tak właśnie wygląda nasze przeznaczenie, a większość zebranych ochnocho się z nim pogodzi. Jeśli zaś chodzi o pańskie pytanie, odpowiedź brzmi: mam dom, a pan Homi Catrack chce go kupić. Nadejdzie pewnie moment, w którym będę go chciał sprzedać.

Porzucili ten temat i wzięli się solidnie do picia. Trącali się szkłem z historią ludzkości, nad nimi kołowały pijane ciemne gwiazdy. A oni nawet się nie zająknęli o Homerze czy Maksie Mullerze, o *Ramajanie* czy Dumezil. Była to noc dedykowana whisky i kłesce. Sir Dariusz Kserkses Kama zapomniał o żonie czekającej przy Nabrzeżu Apollińskim, zapomniał o śpiących synach, ba, zbyt pijany, by pamiętać, gdzie jest i kim jest, rozerwał koszulę na piersiach i na melodię *Let's Fall in Love* zaryczał: "Zróbmy to dziś" - po czym zademonstrował towarzystwu szlachetną sztukę muzykokulturystyki. Gościom odjęło mowę, nawet pisarzowi zamarły na ustach bezwstydną opowieści; lecz kiedy sir Dariusz Kserkses Kama wykrzyknął wreszcie końcowe *mens sana in corpore sano*, zrozumiał mimo pijackiego zamroczenia, że to, co było do przyjęcia w schyłkowych latach brytyjskich Indii w czysto męskim gronie masonerii - wychowanków Eton i Oksfordu obrzucających się kulkami chleba, oddających gromadnemu sikaniu z radośnie rozdziawioną gębą - tutaj, wobec zbiorowości bardziej radykalnej a męsko-damskiej, zaowocowało zrobieniem z siebie idioty, kompletnego dupka. Przez chwilę nikt się nie odezwał, chociaż dobiegło parę tłumionych chichotów i nie tłumionych, rozradowanych parsknięć. Wreszcie odezwała się ta cholerna malarka o niewyparzonym języku, Aurora Zogoiby, dźgając go w serce, jak nożem, słowami powiedzianymi głośno i dobitnie:

- Droogi Dariuuszu, pańskie lacińskie cythaty thafiają w dziesiątą - cedziła - ale w opinii thu zebhaanych spraawa się thak przedsthaawia, że w pańskim *corpore* thkwi zupełnie szaloone *insano*. I możliwe, sir Cyrkuusie Kamasauruusie, że tho wlaśnie jesth pańskie ja

Sir Dariusz nigdy już nie spotkał Aurory Zogoiby. Mieszkali w wielkim mieście, prawdziwej metropolii, na którą składa się wiele historii, zbiegających się na chwilę, potem rozbiegających na zawsze, odkrywających własne a odmienne przeznaczenia, w tej ciżbie opowieści, przez którą wszyscy musimy się przedzierać w zgodzie ze swym losem, odnajdywać własną drogę, by stawić im czoło lub ulec. W Bombaju opowieści rozpychają się, pakują nam na ulicy łokieć pod żebro lub to my przechodzimy nad ich kształtami śpiącymi na chodnikach bądź pod drzwiami aptek; całe kiście tych opowieści wiszą na podmiejskich pociągach lub odpadają (by zginąć na miejscu) od drzwi autobusów linii BEST, albo - była sobie raz i już się zbyła, koniec - pod ruszającym z przystanku tramwajem. Wkrótce malarka Aurora Zogoiby zapomniała o urzędnym prawniku, już nigdy nie zaszczyliła go nawet myślą; za to sir Dariusz do grobu pamiętał jej słowa, tkwiły mu w sercu jak oścień.

Podjął decyzję. Homi Catrack ani ta zachwalana "przyszłość" niczego mu nie zaoferują. Więc rozstanie się - z nią i nim. Jest w końcu tylko klaunem, dinozaurem, gatunkiem wymierającym. Wkrótce coś ogromnego ugodzi jego świat, a wzniecony przy tym obłok pochłonie jemu podobnych. Bardzo dobrze. Niech tam. Dni, które mu pozostały, może przemienić w lament nad błędami postępu i przewiną młodych, którzy nie chcą wyciągać nauk z przeszłości. Może być czystą trwogą, jak te wielkie jaszczury; trwogą tej ziemi, nim zapadnie długa noc.

Stał się naturalnym przywódcą ludzi zapędzonych w ślepy zaułek historii, odartych z następców. Wiódł wstecz, gdzie nikt nie chce zmierzać. Był kochającym ojcem, a synowie go znienawidzili za nie kończące się perory, za krytykę, która przez całą ich młodość nigdy nie doczekała się konkluzji, lecz przyływała bądź odpływała, tymczasem oni - pływacy wydani na łaskę potężnej fali ojcowskich rozczarowań - walczyli o każdy oddech, w każdej chwili lękając się utonięcia.

Ormus Kama, który najdalej uciekł od cienia rzucanego przez ojca, był zarazem dzieckiem najmocniej przez ojca ukształtowanym; on jeden w rodzinie zawsze mógł przyznać po cichu, że jego uzdolnienia wiążą się z ojcowskim rysem ekshibicjonizmu i, rzecz jasna, z wrażliwością ojcowskich mięśni na tanią muzyczkę wprawiającą je w podrygi i skurcze.

Moja matka, pani Amir Merchant, bezbłędnie przepowiedziała przyszłe problemy młodego Ormusa. Kiedy uwagą wszystkich zawładnęły wypadek Wirusa, mordercze instynkty Cyrusa, mistyczne wyobcowanie lady Spenty i upadek sir Dariusza, Amir okazała się tym obserwatorem, który naprawdę dostrzega, co jest grane.

- Bliźniami braćmi chłopczyka nie są Cyrus ani Wirus - zauważyła. - Jego los nie został przesądzony na boisku krykieta. Napiętnowała go tragedia w łonie matki, zanim się jeszcze urodził.

Wiele lat później - już po tym, kiedy nieoczekiwanie staliśmy się kompanami, Ormus i ja, mimo dziesięcioletniej różnicy wieku - matka znowu podjęła temat.

- Urodzony w cieniu martwego brata! - wykrzykiwała tonem przygany i kręciła głową. - Nigdy się od niego nie uwolni. Może uciec, gdzie chce, na kraj świata, a cień zmarłego i tak będzie mu następował na pięty. Może obieć świat dookoła sto jeden razy. Jego los został przesądzony tam i wówczas, nim chłopak zdołał postawić choćby krok na swej występnej drodze.

Te właśnie okoliczności wyrwały Ormusa ze zwykłych więzów życia rodzinnego; więzów, które nas dławią, duszą, a zwiemy je miłością. Dzięki rozluźnieniu tych pęt stał się kimś wolnym, cierpiąc nieodłączny od tego ból.

Lecz tak już jest, że pragniemy miłości, nie wolności. Więc kto jest większym pechowcem? Człowiek kochany, oddany pragnieniom własnego serca, który już zawsze musi się lękać utraty tej miłości, czy człowiek wolny, ze swą na nic nie liczącą wolnością, nagi i samotny, między armiami zniewolonych, zapełniającymi tę ziemię?

Przecucia mojej matki okazały się trafne. Urodzony w cieniu zmarłego bliźniaka Ormus Kama okazał się kimś, kogo starożytni nazywali *psychopompus*, przewodnikiem skupionym na odzyskiwaniu utraconych i zagubionych dusz ukochanych. Kiedy podrósł, zaczął cierpieć z powodu rodzinnych przypadłości, milczenia i zatopienia w sobie. Na początku, jeszcze przed cudem muzyki, bał się przyływów - chociaż nie mógł im zapobiec - czegoś, co nazywał *Kama obscura*. Podczas owych "omroczeń" Ormus cichutko leżał z zamkniętymi oczami, całymi godzinami, i wydawało się wtedy, że purpurowa plamka na powiece poszukuje jakichś

niewidzialnych imperiów, że zgłębia światy ukryte pod powierzchnią tego, co widzialne, że ściga (aż w końcu dopadnie) Gajomarta.

Po tym, jak śmiertelny Kastor zginął przebity dzidą, jego brat a syn Zeusa, Polideukes, co drugi dzień spędzał ze zmarłym pod ziemią w miejscu zwanym Terapie; i na odwrót, uśmierconemu bliźniakowi wolno było w zamian spędzać co drugi dzień na górze, z ziemią pod stopami, a nie nad głową. Ale Gajomart Kama nie wrócił; może tylko w postaci przepowiedzianej przez moją matkę, jako cień Ormusa; podobny do owej psotnej a suwerennej sylwetki, która uciekała od Piotrusia Pana, póki Kochana Wandzia nie przyszyła jej Piotrusiowi do stóp. Bo prawdą jest, że Ormus miał jakieś cieniopodobne sobowtóry, licznych Innych, którzy dręczyli go i usiłowali zakomponować mu życie. Naprawdę nie wdam się w baśnie (mimo wrodzonej słabości do fantazjowania), jeśli powiem, że zmarły bliźniak - w roli monochromatycznego, proteuszowo zmiennego, skaczącego Ormusowego cienia - wciąż żył.

- *Ormi, maleństwo* - w ten sposób lady Spenta Kama witała nieoczekiwanie przychodzącego na świat syna. - *Karzeleczek. Już nic ci Piekło nie robi. Nie dadzą rady rozewrzeć ci ziemi pod stopami i cię wciągnąć.* - Lecz co do ziemi pod stopami, lady Spenta myliła się. Nie twierdzę, że demony ściągały go w dół, w jakieś antyczne nadprzyrodzone inferno. Nic podobnego. Ale czeluście czasem się rozwierają. Mogą to zrobić. I zrobiły. Pochłonęły miłość Ormusa: skradły mu Winę i nie chciały jej oddać. Jak się przekonamy, posłały go w drogę do piekieł i z powrotem.

Ziemia; ziemia pod naszymi stopami. Mój ojciec-kret mógłby powiedzieć to i owo lady Spencie o niesolidności solidnego gruntu. Tunele, rury i przewody, pograżone w ziemi cmentarze, warstwy niepewnej i nie wyjaśnionej przeszłości. Rozstępy ziemi, przez które przesącza się nasza historia, by nagle zniknąć, a potem dać się odzyskać w odmienionym kształcie. Podziemne światy, u których bram nie ośmielamy się niczego zgadywać.

Znajdujemy ziemię, by na niej stanąć. W Indiach, w miejscu opętanym obsesją miejsca, w miejscu przynależności-do-miejsca, gdzie trzeba znać-swoje-miejsce, zwykle otrzymujemy terytorium, jakie otrzymujemy, to a nie inne, nie ma dyskusji, radź sobie z tym, co jest, trudno. Lecz Ormus i Wina, także ja, nie mogliśmy się z tym pogodzić, staliśmy się ludźmi nieprzynależnymi. Do wielkich walk człowieka - dobro /

zło, rozum / bezrozumność itd. - trzeba też zaliczyć zaciekle zmaganie między wizjami Domu i Dali, między snem o korzeniach a mirażem podróży. A jeśli człowiek jest Ormusem Kamą, jeśli jest Wina Apsarą, których pieśni mogą przekraczać wszelkie granice, nawet ludzkich serc, to potrafi uwierzyć, że ziemię można w ogóle odepchnąć spod stóp, zlekceważyć; potrafi sądzić, że wszelkie granice przełamie czar melodii. Można się odbić! Odbić od własnej ziemi jak od darni boiska, odlecieć nad rodziną i klanem, narodem i rasą, frunąć nietkniętym nad polami minowymi przeróżnych tabu, by w końcu wylądować na progu tych ostatnich wrót, zawsze najsurowiej zakazanych. Można słuchać, jak krew śpiewa w uszach *Nawet o tym nie myśl*. Lecz człowiek wciąż o tym myśli, że przekracza ostateczną granicę i może, kto wie - jeszcze się przekonamy, jak to jest z magią opowieści - zejść w końcu za daleko i zostać unicestwionym.

Granica skóra. Przerobili to na piosenkę, jak wszystko. Pamiętacie. Te nosowe wydłużenia Ormusowej frazy, a zwłaszcza przeczyste brzmieniu głosu Winy. Pamiętacie słowa, jego, jej. Bo jeśli pamiętacie melodię, to słów nie da się zapomnieć. Granicy skóry nie pilnują psy. Tak to jest. Granica skóra. Gdzie ja się kończę, a ty zaczynasz. Przez którą z jednego grzechu przechodzę w inny. Zrzuć z siebie nadzieję i wchodź. Zgub mi duszę. Granicy skóry nie strzeże żaden patrol.

Zgoda, lecz jest też inny wers. Granicy skóry strzeże patrol wściekłych psów. Granica skóra. Zagryzą, jeśli człowiek ją przekroczy. Jeśli ją z siebie zsunie. Jeśli obsadzi się w innej roli. Mnie nie wolno z niej wyjść, tobie nie wolno wejść. Człowiek tak musi skończyć, jak zaczął. Chyba że utraci duszę. Granicy skóry strzeże patrol wściekłych psów.

Wina Apsara: piękna, zmarła. Ten świat nie jest wart znać prawdy o jej imieniu i nazwisku. Wina to hinduska lira. Apsara pochodzi od apsarasy, wodnej nimfy podobnej do łabędzia. (W zachodnim słownictwie to najada, nie driada.) Bądź ostrożna, Wino. Uważaj na siebie, nimfo. Uważaj na ziemię pod stopami.

3. Legendy Tracji

W mojej rodzinie nikt nie był w stanie porządnie zanucić nawet jednego dźwięku, nie mówiąc o partii w chórze czy zaśpiewaniu melodii; żadną też miarą nie wchodziło w rachubę inne sklecenie sensownego ciągu brzmień, bo nikt z nas nie piłował smyczkiem, nie dał we flet, nie grzmocił w klawiaturę. Nawet nie gwizdaliśmy. Z zakurzonych otchłani kufra zwanego dzieciństwem wciąż umiem wydobyć obrazy młodej Amir: matka na taboreciku na werandzie przy Cuffe Paradę zapatrzona w morze trzyma między kolanami staroświecką masielniczkę, kręci lody z mango i usiłuje pogwizdywać przy pracy. Nierozważna to próba, bo jednocześnie kręcenie i gwizdanie srodze matkę trudzą, okrywają zmarszczkami i kroplami potu wysoko sklepione czoło, a później rezultat tych zmagañ mślił mnie, rósł w gardle, o mało nie wymiotowałem, jakby mój ulubiony deser zwarzył się na skutek fałszów w matczynych sitibadzana. Błagałem, żeby na drugi raz dała spokój, ale wiedziałem, że to na nic.

- Kto gwizdże wspan, ten płoszy smak.

- Mody krzykiem lody z tłumikiem.

I parodiując popularne napisy:

- Uprasza się nie pluć na podłogę i nie gwizdać do lodów.

Tak rozmawialiśmy ze sobą, mama i ja: gramii słów, rymami; można powiedzieć, jak tekściarze. To była nasza tragedia. Były z nas urodzone sroki językowe, podkradaliśmy, co popadnie, byle trochę błyszczało. I koty-melodyści*; [* W oryginale *tinpan alley cats*; *tinpan alley* - dzielnica muzyki rozrywkowej, *alleycat* - bezdomny kot, mieszaniec, żywiący się na śmietniku.] bo mieliśmy talent do muzyki, owszem, ale kociej. Niczego nie umieliśmy dośpiewać do końca, chociaż zawsze znaliśmy słowa. A jednak uparcie wydawaliśmy amelodyjne ryki, staczaliśmy się spod dźwięków wysokich, pozwalali tłamsić tym niskim. Jeżeli miało to skutkować zwarzeniem lodów, cóż, na tym świecie może człowieka spotkać gorszy los.

Dorastałem w willi Thracia, jednym z bungalowów wymyślnych jak sen cukiernika, które niegdyś składały się na tę wdzięczną promenadę wpatrzoną w morze jak rząd dumnych dworzan w królową. W chłodne bombajskie wieczory spacerowicze wylęgali na Cuffe Paradę w asyście dzieci i ulubionych czworonogów, by rozruszać kości, poflirtować, "łyknąć powietrza". Od wędrownych handlarzy kupowali ćanę dla dzieci, papierosy gold flake dla dżentelmenów i łamliwe girlandy kwiatów ćambeli dla

dam, by miały co wplatać we włosy. Wspomnienia o domu dzieciństwa wydają mi się dzisiaj jakimś snem o Olimpie, o bytowaniu z bogami w zamierzchłej przeszłości, zanim wtrącono mnie w świat. Czepiam się tego, co zostało z przeszłości, a ona wymyka się i tylko słyszę jej upiorny śmiech. W dłoni zaciskam strzępy czarodziejskich szat, ale zamieszkujące przeszłość istoty już nie wrócą. Muszą mi starczyć echa.

Już nie ma Cuffe Paradę. Odmarsz w przeszłość wsparła - jeśli wierzyć niewyraźnym pogłoskom o podłożeniu ognia - młodziutka Wina Apsara; a dokończenie tego, co rzekomo ułatwiła (lub nie) Wina, przypadło w udziale mojej matce, kochającej to miasto, owszem, dla której jednak mocą potężniejszą niż miłość była przyszłość. Nie ma miast nieśmiertelnych ani wspomnień, ani bogów. Z bóstw mego dziecięcego Olimpu chyba żadne nie przetrwało.

Dla wielu Hindusów rodzice są jak bogowie. Wina miała dość powodów, by się rodziców wyrzec, i - już na szczytach sławy, po przeczytaniu książek Ericha von Danikena - utrzymywała, że jej prawdziwymi przodkami są bogopodobne istoty przybyłe z kosmosu na srebrnych rydwanach, wysokie, promieniste, androginiczne; jedna z nich, "ona", bezboleśnie wypchnęła na świat Winę przez pepek.

- Zawsze nade mną czuwają - zapewniała niejednego oszołomionego reportera.
- Wciąż jestem z nimi w kontakcie. Stale.

W owych czasach na scenie i poza nią stylizowała się na wyobcowanego androgina i co tu gadać, ten kit sprzedawał się całkiem nieźle. Potrafiłem jednak dosłyszeć furię w tych bajkach. Kozie pieśni z przeszłości.

("Kozie pieśni"? Przepraszam. To dosłowny przekład z greki wcale znanego rzeczownika "tragedie". Historii Winy - którą śpieszę tu opowiedzieć po swojemu, trochę klucząc - przeplecionej cieniem starych znakomitych wątków, cóż, samej Heleny, Eurydyki, Sity, Rati i Persefony, otóż koturnowej historii koturnowej Winy na pewno nie brak tragicznego wymiaru. Chociaż nie brak też związku z kozami, fakt.)

Jeśli zdarza się nam dopatrywać boskości w rodzicach, to może naprawdę za rodziców mamy bogów? Przyznajmy, że opowieści o boskim ojcostwie krążą od początku wszechrzeczy i zapewne ustaną z ustaniem czasu. Już w dzieciństwie nasłuchiwałem się od ojca, jak to bogowie wyklócali się o "domniemane wtrącanie się w poczynania prokreacyjne" innych bóstw. Siwa, podejrzewając, że nowo narodzony Ganeśa może nie być jego synem, ściął niemowlęciu głowę, następnie w popłochu, dręczony wyrzutami sumienia wstawił na puste miejsce pierwszą, jaka się nawinęła

pod rękę, padło akurat na ten trąbonosy łeb, który tak dobrze znamy i po dziś dzień kochamy. Nawiasem, kto był ojcem Orfeusza? Apollo, znamienity bóg słońca, czy tylko Ojagros, władca leżącej gdzieś na kresach, całą gębą prowincjonalnej Tracji? A jeśli już się o tym zgadało: kto był ojcem Jezusa Chrystusa?

W miarę dorastania tracimy wiarę w nadludzką naturę naszych przodków. Kurczą się, by wreszcie przybrać postać mniej lub bardziej zwyczajnych kobiet i mężczyzn. Apollo okazuje się Ojagrosem, jednym i tym samym stają się w końcu Bóg i stolarz Józef. Odkrywamy, że czczeni przez nas bogowie nie bardzo różnią się od nas samych.

Męczą mnie te boskości, to prawda, a popadam w taki nastrój, bo pora odsłonić główne tajemnice rodzinne. Zatem bez zbędnych ceregieli przedstawiam państwu wyniesiony z dzieciństwa portret mego ojca: wizerunek bogopodobnego wówczas pana V. V. Merchanta. Rok powiedzmy 1956, plaża Dżuhu, on między czwartym a piątym krzyżykiem, chudy jak przeprosiny, żarliwy jak obietnica, radosny jak przyście na świat, pokazuje wiewiórcze zęby w nieśmiałym uśmiechu; bosy, z bezwłosym nagim torsem, podwiniętymi nogawkami, w słomkowym kapeluszu na głowie: na policzkach strugi potu, w dłoni szpadel - ojciec zapamiętałe kopie.

Jakże to lubił! Inni rodzice stali znudzeni obok grzebiących w piasku, kipiących energią pociech bądź powierzali ów świat krzemu opiece piastunek i jeżozwierzy, a sami czmychali, by "łyknąć powietrza" (mieląc je jęzorem). Lecz w moim przypadku sprawy przedstawiały się inaczej: to ja musiałem asystować rodzicielowi gorączkowo kopiącemu dziury. A w wieku lat dziewięciu wzdychałem do bardziej rozwiniętych form życia plażowego niż wiaderko z łopatką. Plaża Dżuhu, zanim została wielkomięską Bombaj-Bondi, była jeszcze w tych czasach miejscem idyllicznym. Wypad na Dżuhu wydawał się podróżą z miasta w przestrzeń zaczarowaną. W miarę jak podrasiałem i zaczynałem dostrzegać coś więcej niż piasek i przyjemności weekendowe - przekąski od przekupniów, wyścigi wielbłądów, niezmordowane wdrapywanie się chłopców na palmy kokosowe - słyszałem coraz wyraźniej nowy głos, który przemawiał w niepodobnym do innych, nie znanym mi dotąd tajemnym języku serca.

To było morze. Szumiące uwodzicielsko. Szepczące "podejź". Mogłem w takiej muzyce obmywać duszę. Zew odmiennego żywiołu, obietnica bezgraniczności pozwoliły mi po raz pierwszy nawiązać intymny kontakt z czymś we mnie ukrytym, co może pociągnąć przez wody i sprawić, że zostawię na brzegu rodziców. Morze -

mroczne jak wino, pełne ryb. Szarże i odwroty fal, ich konanie na piasku. Naszeptywanie morskich boginek. Starczy dotknięcie, by człowiek wszedł w kontakt z odległymi brzegami, z Arabią (bo to Morze Arabskie), Suezem (właśnie wybuchł kryzys sueski) i rozciągającą się dalej Europą. Może nawet - pamiętam dreszcz na wargach wymawiających za młodu to słowo - z Ameryką. Sezamem Otwartym. Ameryką, która na długo przed nami pozbyła się Brytyjczyków. Pozwólmy sir Dariuszowi Kserksesowi Kamie pogрузić się w skolonizowanych snach o Anglii. Mój wyśniony ocean wiedzie ku Ameryce, mej prywatnej ziemi nie odkrytej.

(Niech mi wolno będzie dodać: na morzu nie gryzą owady.)

Byłem niezłym pływakiem, wciąż jestem. Nawet jako dziewięcioletnie stworzenie śmiało wyrzekałem się gruntu pod nogami i lekceważyłem niebezpieczeństwa. Wystraszona matka brodziła za mną, a jej sari wzdymało się nad wodą jak gigantyczna meduza. Kiedy cały i zdrowy dopływałem do brzegu, targała mnie za uszy.

- Czy ty naprawdę nie wiesz, że Staruch Morski tylko czeka, żeby cię wciągnąć?
Wiem, matko. Wiem o tym.

Piaszczysty brzeg, owe umiłowane rodzinne strony - gdzie ojciec kopał boso, jak grabarz nie nadążający z robotą - zaczęły mi się wydawać więzieniem. Tylko morze - nawodnie czy podwodnie, co za różnica - mogło mnie wyprowadzić na wolność.

Natomiast V. V. Merchant śnił o przeszłości. To była jego ziemia obiecana. Przeszłość jest prawdą i - jak wszystkie prawdy - leży gdzieś ukryta. Trzeba się do niej dokopać. Nie do pierwszej z brzegu, lecz do przeszłości tego miasta, bo V. V. był do szpiku kości bombajczykiem. Zgadza się, dziś wielu bombajczyków kojarzy inicjały V. V. z miliarderem, finansistą spod ciemnej gwiazdy, niejakim V. V. "Krokodylem" Nandim, ale pod żadnym pozorem nie wolno mylić mego ojca z tym wpływowym łobuzem. Z niezliczonych przekrętów, defraudacji i złodziejstw Nandiego najbardziej wdiabla mnie podebranie inicjałów Vivvy'emu Merchantowi. Pewnie tak musi być, samo życie. Świat raczej liczy się z wielkim łajdakiem niż z niewiele znaczącym uczciwym człowiekiem.

Imiona ojca brzmiały Vasim Vakar, a gdyby kogoś dziwiły te "V", wyjaśniam: zwyczajową transkrypcję z urdu zastąpiono tu zapisem poprawnym fonetycznie, stąd "V" zamiast "W". Lecz mego niezmiernie świecko nastawionego ojca bardzo mierzyły, mimo podmiany, "niedopuszczalnie religijnej amby" składające się na jego imiona i ani myślał przechwalać się nimi; długo uważał, że "Vivvy" brzmi w sam raz, bardziej

bezpośrednio i bez akcentów ideologicznych. Odkopuję imiona, które kiedyś zakopał, ale cóż, sam był Odkopywaczem Bombaju, więc gdyby się chciał poskarżyć, znalazłby się na niepewnym gruncie.

(Nie żyje. Nie może się poskarżyć.)

Vivvy nie dbał o resztę Indii; sądził natomiast, że rodzinne miasto - samotne ziarnko piasku wirujące w bezmiarze kosmosu - kryje wszelkie tajemnice wszechświata. A ja, jego jedyny syn, jestem rzecz jasna najbardziej pożądanym depozytariuszem ojcowskiej wiedzy, kontem w banku, sejfem. Każdy ojciec chce, by syn dziedziczył po nim to, co najlepsze; ja dostałem od ojca Bombaj. Zamiast książek dla dzieci przynosił mi zbiory miejscowych opowieści. *Kroniki Bimb, czyli Bimbakjan*.

W końcu uciekłem od tego miejsca na milę. Na setki mil. Na tysiące.

Bombaj? Lepiej nie zaczynajcie ze mną. Zdam dowolny egzamin, wymyślcie, co chcecie. Widzę, jak nowymi ulicami spacerują duchy dawnych czasów. Zabierzcie mnie do Churchgate, a pokażę wam, gdzie stała niegdyś Church Gate. Zabierzcie na Rampart Row, a pokażę Ropewalk, gdzie powroźnicy brytyjskiej marynarki oddawali się splątanym i pokrętnym transakcjom. Mogę też opowiedzieć, gdzie leżą ciała (F. W. Stevens, zmarły 5 marca 1900 roku naczelny architekt miasta spoczywa na cmentarzu Sewri), gdzie rozrzucano prochy, gdzie krążą sępy. Groby, miejsca całopalenia, katakumby. Mogę nawet zlokalizować zwłoki wysp, dawno temu wchłoniętych przez półwysep śródmiejski. Wyspa Staruchy, *Old Woman*, dzisiejsze wybrzuszenie po wschodniej stronie Kolaba Bazar: wystarczy trochę podrażnić i z tej nazwy wychynie *Al-Oman*. Ojciec przepadał za drażnieniem nazw, więc pozwólcie, że sięgnę po pierwsze z brzegu przykłady: Ćinépokli to "kotlina tamaryndowa", Wzgórze Kamballa wzięło nazwę od kwiatu lotosu, a Bhindi Bazar leży w miejscu, gdzie rosło niegdyś mnóstwo bhindi.

Z dziecinnego nie plewionego ogródka, tej miejskiej "smakoetymologii", jak chętnie mawiał Vivvy, przechodziliśmy na terytoria dla dojrzałych. Ojciec kopie na plaży Dżuhu. A co z Ćaupatti? Spoko. Nie pobłądzimy.

- Cztery rzeczulki - chociaż dzisiaj nikt nie wie, któredy mogły się saczyć...

A Foras Road? Znacie ją może jako ulicę kurew. Lecz V. V. kopał głębiej, pod burdelami, drążył dziurę w ziemi i w czasie od znaczenia do znaczenia i wreszcie pokazał mi budynek pełniący rolę grobli - *foras dykes* - który oddzielił stare bagnisko od morza i sprawił, że zamieniło się w żyzny grunt. Gdzie dzisiaj mamy bagno

moralne, niegdyś rozciągało się bagno jako takie... No a Nabrzeże Apollińskie, przy którym dorastał Ormus Kama? Nazwa autentyczna brzmiała, rzecz jasna, Nabrzeże Palwańskie.

- Apollo - głosił ojciec - był nazewniczym intruzem. - To były właśnie jego zwroty: "intruz nazewniczy", "domniemane wtrącanie się w poczynania prokreacyjne", "wiarygodność podziemi". - Indie najeżdżali od czasu do czasu bogowie greccy. Jak wszyscy.

Tak więc Apollo zagrabił Nabrzeże, chociaż ślady zostawił tu Dionizos, który jeszcze za młodu przemierzył ten szlak, podbijając i żłowiąc, a przy okazji ucząc nas, Hindusów, wyrabiać wino. (Niestety, nauki poszły w las, przysaliśmy się do grogu i araku, dopiero znacznie później Brytyjczycy przeszkolili nas w dziedzinie piwa, rumu i johoho.) Dionizos wygrał wszystkie bitwy, zaliczył stosowną porcję rzezi i spustoszeń, a potem wyniósł się, uprowadzając liczne słonie; normalka. Takie popisy już nie robią na nas wrażenia. Dla mnie to jeszcze jeden numer z repertuaru starych kolonialów. Nie ma już na nie miejsca w dzisiejszym świecie.

Dionizyjskie boginie; te są bliższe moim doświadczeniom. Bliższe temu, co wiem o Winie. Która zjawiała się z zagranicy, pustoszyła wszystko, na czym oparła oko, podbijała i łamała wszystkie serca. Wina Apsara w roli żeńskiego Dionizosa. Pierwsza pośród bachantek. Owszem, to kupuję.

Ojciec, nad którym pastwiło się słońce plaży Dżuhu, kopał coraz głębiej, może w nadziei, że się dokopie portugalskich "moidorów" (naturalnie rozkopał też nazwę: *moedas de ouros*, sztuki złota, jeśli was ciekawi) lub skamielin szkieletu jakiejś pierwotnej ryby. Spójrzcie, jak odrzuca łopatą teraźniejszość, nie przeoczcie tych piachów czasu, które piętrzy wokół siebie, usypując zdumiewające wydmy okryte rojem maleńkich przezroczystych krabów! Wsłuchajcie się w uczone okrzyki "Aha!" "Oho!", które mają oznaczać "patrzcie, a nie mówiłem!", kiedy zdarzy mu się odkopać rozbitą butelkę, w której nikt nigdy nie ukrył żadnego listu; mimo to ojciec rzuca się na nią, jak na ślad starożytnych królestw, jak na pozostałość Rzymu, Mohendźo-Daro, Gondwany, może nawet lądu Gondwana, kontynentu, na którym nie powstała wprawdzie stopa człowiecza (jeśli pominąć osobnika, który wydał szkło, nadał mu kształt butelki, może nawet nalał do środka dionizyjskiej cieczy), bo Gondwana wciąż pozostaje miejscem, z którego wzięły początek Indie, byle tylko dostatecznie głęboko pokopać w czasie. Indie oderwały się od niego, pozęglowały przez ocean, by wbić się w

końcu w pozostałość pralądu północnego i w ten sposób powołać do istnienia Himalaje. (Vivvy lubił mnie wprawiać w osłupienie, mówiąc: “To zderzenie wciąż trwa, Indie uczestniczą w katastrofie i doświadczają jej skutków, bo góry nadal rosną”.) Ojciec teraz już niewidzialny od pasa w dół promienieje, uszczęśliwiony; teraz już widać tylko kapelusz; kopie coraz głębiej, drąży szyb do piekieł na antypody, ja zaś pławię się w przyszłości, coraz to dalej zagłębiam w morze, aż odwołuje mnie moja przebrana za meduzę matka.

Przez dwadzieścia lat, podczas jednego z największych przewrotów w dziejach ludów, upadku imperium brytyjskiego, mój ojciec - architekt, archeolog i miejscowy historyk - drążył podziemną pamięć miasta wzniesionego przez Brytyjczyków, stając się niekwestionowanym znawcą zagadnień, którym nikt inny nie zamierzał poświęcić cienia uwagi (Bombaj co wieczór wymazuje z pamięci swą historię, by ją o świcie pisać od nowa). Czyżby dotychczasowe zainteresowania otumanily ojca do tego stopnia, że przegapił doniosłość owych lat, aż po strajk marynarzy, podział Indii i wszystko, co nastąpiło później? W czasach przewrotu sama ziemia wydawała się czymś niepewnym; ląd jako taki zdawał się wołać o odnowę, dosłownie, w sensie fizycznym, bo zanim człowiek postawił stopę, musiał sprawdzić, czy ziemia zdoła go utrzymać. Wielka przemiana nadchodziła wielkimi krokami; jeśli memu ojcu tak nieznośnie ciążyła niepewność, jeśli wkopywał się w przeszłość, szukając oparcia w wiedzy i solidnego gruntu pod tymi ówczesnymi ruchomymi piaskami, to cóż, chyba nie ma się czego wstydzić.

Wszyscy jakoś musimy sobie radzić z niepewnością czasu teraźniejszego. Pod naszymi stopami drży ziemia; a z nami nie jest inaczej, też dygocemy. Do dzisiaj omijam spojenia na chodniku. Wystarczy na którymś postawić stopę, a ono się poszerzy, rozstąpi, leniwie ziewnie i połknie człowieka znienacka. Wiem dobrze, że ten przesąd to unik, chwyt, który zwalnia od stawiania czoła rzeczywistości. A właśnie Wina była rzeczywistością, kres zaś Winy to widok, któremu wciąż nie umiem stawić czoła.

Stawię. Kiedyś i do tego dojdzie.

W końcu ojciec dał za wygraną i przestał kopać. Zapomnieliśmy o nim wieki temu; pogrążona w lenistwie plażowa wspólnota odwróciła wzrok od absurdalnej ojcowskiej nadaktywności. Był tak wyczerpany, że z dziury, którą sam wydrążył, nie wygramoliłby się bez pomocy. Ręce podali mu sprzedawcy orzechów kokosowych,

szczerząc cały czas zęby w uśmiechu i balansując koszami owoców na głowach. Już wówczas nie bez wstydu pojmowałem (choć nie znałem tego słowa), jakim ten obrazek jest kiczem. Ojciec zubożał ze zmęczenia. Kupił nam od swych wybawców orzechy kokosowe; radośnie wywijał kapeluszem, otrzepywał nim ziarnka piasku ze skóry i czekał, aż sprzedawcy zetną wielkimi nożami czubki owoców. Mleczko pochłonał, głośno gulgocząc, co przypominało odgłos wody spływającej z wanny. W chwilę później leżał w cieniu palmowym głęboko pogrążony we śnie, a mama przytknęła palec do warg, nakazując z tajemniczym uśmiechem ciszę; cząstka piaskowego szaleństwa udzieliła się i jej.

Jak Michał Anioł - przekonany, że w blokach kararyjskiego marmuru uwięzły postaci tytanów, a jego obowiązkiem jako artysty jest wyzwolić je stamtąd; przekonany, że rzeźbi *Dawida*, po prostu skuwając z kamienia wszystko, co Dawidem nie jest - tak Amir Merchant w okazałym kopcu piasku, usypanym dzięki plażowoarcheologicznej pasji V. V. Merchanta, dopatrzyła się ukrytego kształtu. Matka nie była artystką, lecz przedsiębiorczynią; a używając nowomodnego języka "deweloperką". W kurhaniku pociemniałego wilgotnego piasku nie dopatrzyła się żadnych boskich zarysów.

- Zbuduję rezydencje jak dla bogów - oświadczyła - ale zamieszkają w nich ludzie.

V. V. chrapał w najlepsze, tymczasem Amir budowała z piasku model takiej rezydencji. V. V. śnił o nieznanym głębinach, Amir przywoływała zaś do życia sen o wyżynach. Pracowała gorliwie, a modelowała od góry, jak owi mistrzowie, którzy przez pokolenia ciosali w litej skale ów zapierający dech monolit: wielką świątynię Kajlasa w Elurze. I cóż, wyłoniła się budowla, lecz całkowicie wyzwolona z pobożnych treści. To prawda, że najpierw wynurzyła się z piasku smukła iglica, był to jednak maszt radiowy. A chociaż budynek wyrastał strzeliście jak wieża, to obfitość delikatnych wgłębień oznaczających okna wskazywała, że to projekt na znacznie większą skalę niż jakakolwiek świątynia. Drobne witki, które Amir ostrożnie wetknęła w sypliwy model, posłużyły za ozdobne wyloty rynien, a zamiłowanie twórczyni do geometrii żujących ozdób wyraziło się w dzieleniu bryły na odrębne poziomy. Z dzieła osunął się, jak zbyt ciężka bielizna, nadmiar piasku: zobaczyłem budynek imponujący i nagi.

- Drapacz chmur - powiedziała. - Na górze będzie osobny apartament:

penthouse. Chciałbyś tam pomieszkać? W nadbudówce?

Drapacz czego? Po jakich mam się pętać penthouse'ach? Jeszcze nie znałem tych słów. I poczułem, że nie lubię ani słów, ani budynku, do którego są przypisane. Poza tym nudziło mi się, chciałem popływać. Wzruszyłem ramionami.

- Mnie przypomina za duże pudełko zapalek. Mieszkać w tym? Też pomyśl.

Wobec napaści na dzieło Amir zjeżyła się. Uznałem to za pierwszorzędny moment, by wymknąć się do wody.

- Nic nie rozumiesz! - wydarła się na mnie, jakby sama była ośmiolatką. - Po prostu poczekaj, to zobaczysz. Kiedyś będzie ich pełno. - Potem zauważyła, że się skarży, i zachichotała. - Tu staną - wesoło zatoczyła krąg ręką. - Wszędzie.

Mnie też to rozśmieszyło.

- Drapacze plaż - powiedziałem.

- Drapacze piasków - podjęła.

- Drapacze wielbłądów, orzechów kokosowych i ryb. Zaśmiewaliśmy się.

- A przy plaży Caupatti drapacze ćapati? - zastanawiałem się. - Drapacze wzgórz przy Wzgórzu Malabarskim. A przy Cuffe Paradę?

- Drapacze Cuffe Paradę - zaśmiewała się matka. - Idź już pływać i nie dokuczaj.

- To w końcu, gdzie chcesz je postawić? - Ośmielił mnie dobry humor matki, więc zaryzykowałem kończącą kwestię, na którą nie ma dobrej odpowiedzi. - Tu nikt ich nie zechce, a w mieście stoi już przecież pełno domów, wszędzie.

- Więc nie ma miejsca - przyznała zamyślona.

- Otóż to - przyświadczyłem, ruszając w stronę morza. - Po prostu nie ma.

To tego dnia na plaży - niezapomniana chwilo! - ujrzałem po raz pierwszy Winę. To tego brzemiennego w skutki dnia popadłem w ułamku sekundy w zaślepienie, w dożywotnią niewolę... Lecz z miejsca biorę się w garść. Może napełniam jeden dzień, jak butlę winem, wieloma weekendami na plaży? Są rzeczy, których mogę, cholera, nie pamiętać. Tego dnia, a może innego? W listopadzie czy potem, dopiero w styczniu? Kiedy ojciec się zdrzemnął, może po moim następnym pływaniu? Tyle przepadło, tyle umknęło. Nie chce się wierzyć, że tyle już lat przysłonił piach. Nie chce się wierzyć, że to tak dawno temu, że ciało jest śmiertelne, że wszystko się osuwa, że kres. Kiedyś stanowiłem cząstkę przyszłości. Cząstkę ukochanej przyszłości mej ukochanej matki i to się liczyło; terażniejszość była narzędziem, a przeszłość najwyżej martwą skorupą, butelką wykopaną przez ojca na plaży. A teraz ja stanowią cząstkę

przeszłości. Do mnie należy wczoraj.

Czy to wers z jakiejś piosenki? Zresztą nie pamiętam. Niby z jakiej?

W każdym razie tego czy innego popołudnia, wieku złotego czy brązowego, w takim czy innym momencie wkroczył na piaski plaży Dżuhu czcigodny Mr Pilu Dudhwala z przesławnym “światnodworem”. Wypada wyznać, że wówczas nie miałem zielonego pojęcia, kim raczy być. Jeszcze nie wiedziałem, że Pilu coraz powszechniej cieszy się w mieście opinią “kogoś”, “człowieka z przyszłością”, zarazem ogólnokrajową sławą dostawcy mleka; nie zgadłbym, że jego prawdziwe nazwisko brzmi Setti (jak niegdyś nasze, przed zanglizowaniem), bo też w odniesieniu do Pilu nikt już tym mianem się nie posługiwał, zresztą sam Pilu mawiał chętnie: “Mleczarz to wszystko - fach i nazwisko”; nie słyszałem jeszcze wymyślanych przez niego przezwisk - ciętych, radośnie podchwytywanych w miejscowych śpiewkach - którymi obdarzał krąg krewniaków i klientów (“magnikichencje”, “bufonarium” “pyszałkowisko” itp.), słowem czeredę, którą lubił się otaczać; z tym, że Pilu Settiego alias Dudhwali satyra się nie miała. Kogo więc zobaczyłem? Po prostu niewielkiego młodego pulchnego mężczyznę w białej długiej piżamowatej bluzie; w pół drogi między dwudziestką a trzydziestką wydawał się znacznie starszy, a to za sprawą okazałe rozwiniętego poczucia własnej wartości; facet kroczył majestatycznie jak paw, był obficie porośnięty ciemnymi włosami, przyczesanymi tak gładko (nie bez wsparcia oliwy), że przypominał śpiącego szczurnika. Nosił się po królewsku, jak jakiś Akbar czy Kaligula, słowem jeden z tych rozpalających wyobraźnię i posądzanych o boskość monarchów. Tuż za Pilu postępował wysoki Pasztun w turbanie, niosąc komplet szarf i regalia: ogromny wielobarwny parasol z cekinami i szkiełkami iskrzący się nad głową małego cesarza. A poprzedzali Pilu muzycy - dobosz, chrypiący flecista, gość dmący w róg z pasją rozjuszonego szofera, oraz para wijących się i błaznujących tancerzy-śpiewaków, zapewne wynajętych na tę okazję hidźrów, eunuchów transseksualistów - a wzniecany przez nich wszystkich przerażający jazgot skutecznie wypłoszył aurę dystynkcji z późnopołudniowej plaży. Przy łokciach Pilu, po prawej i lewej, drobili sekretarze nachyleni, by nie uronić żadnego słowa wielkiego człowieka, i w mgnieniu oka stenografujący wszystko, co usłyszeli. Za tą cudaczną formacją postępowała małeńka, niemal doskonale kulista żona Pilu, imieniem Golmatol, tyleż niezwykłym, co trafnie dobranym, ukrywająca w cieniu czarnego parasola pocętkowaną skórę; następnie dwie dziewczynki, chyba w wieku siedmiu i ośmiu lat, których imiona Halwa i

Rasgulla dawały świadectwo upodobaniu rodziców do słodyczy, i jeszcze jedna, mniej więcej dwunaste - lub trzynastoletnia, dużo wyższa, o ciemniejszej skórze i twarzy całkowicie ocienionej opuszczonym rondem ogromnego słomkowego kapelusza; dobrze mogłem się przyjrzeć tylko jej kostiumowi kąpielowemu z materiału jak na amerykański sztandar, przepasanemu na biodrach białym lungi. Były też piastunka i dwie służące, z piknikowymi koszami. Trójca ochroniarzy w mundurach wojskowego kroju omdlewała z gorąca. Podstawowe zadanie owych aniołów stróżów - z którego wywiązywali się entuzjastycznie, z wigorem, nie szczędząc długich bambusowych kijów - polegało na rozpędzaniu kłębiącego się roju ciekawskich przemieszczającego się w ślad za pyszałkowiskiem; bo tak już jest, że wielki człowiek przyciąga przeróżnych suplikantów i kandydatów do uwieszenia się u klamki, wobec czego musi się bronić przed tą gawiedzią, jeśli najdzie go chętka na spędzenie jakiejś miłej chwili pod gołym niebem.

Kim był ów kieszonkowy gigant, ta możnowładna mysz? Z czego się brała ta wystawność? Skąd władza i bogactwo? Amir Merchant, której radosny stan ducha został skalany najściem jazgotliwego orszaku, nie miała głowy do takich pytań.

- Kozy - palnęła złośliwie.

Nie wiedziałem, co o tym sądzić.

- Słucham, mamusiu?

Udręczona Amir po prostu zamęczała.

- Meeeee. Nie słyszałeś o kozach? Capach, kózkach, koziołkach-matołkach?

Bakrabakri? Przestań się wygłupiać. - Nic więcej z niej nie wydobyłem.

Wyrwany z głębokiego snu V. V. Merchant czuł w głowie zamęt, a oszołomiła go do reszty napaść ukochanej żony.

- Cholerna tamaśa - parsknęła gniewnie matka. - Jest chyba taka gałąź tej rodziny, która nigdy się nie nauczy przyzwoicie zachowywać.

To już był grom z jasnego nieba, nie da się ukryć.

- Jesteśmy krewnymi? Jakim cudem? Od kiedy?

Zgraja Pilu wyhamowała o jakieś dwanaście metrów przed nami; najniżej notowani członkowie bractwa zaczęli się krzątać, rozkładać serwety, słodycze, wykonywać rozkazy obdarzonej stentorowym głosem Golmatol i rozstawiać nad strefą biesiadną barwną płócienną śamianę na tykach. Rozdano karty i rychło Pilu pokazał, jakim jest zapalonym hazardzistą, ba, mistrzem talii, chociaż trudno wykluczyć, że klienci, dbając o interesy, pozwalali mu radować się wygraną. Z wielkiego termosu

nosiciel insygniów napełnił białym i rzadkim kozim mlekiem aluminiowy kubek. Pili wlał zawartość w rozdziawione usta, nie stropiony, że mleko cieknie mu po brodzie. Halwa i Rasgulla zaczęły marudzić i też domagać się picia, ale dziewczyna w kostiumie kąpielowym i słomkowym kapeluszu (o wciąż nierozpoznawalnych pod nim rysach) odeszła parę kroków, stanęła tyłem do Dudhwalów, skuliła się i, rozczarowana, powoli pokręciła głową. Zważywszy przerażający jazgot muzyków, prośby suplikantów, łomot bambusowych lag, lament grzmoconych, kwilenie spragnionych dziewcząt i groźne ryki komenderującej Golmatol Dudhwali, trzeba było bardzo podnieść głos, by zostać dosłyszczanym; toteż pytając o owych członków rodziny tak miłujących decybele, musiałem drzeć się na całe gardło.

Amir przycisnęła kciukami brwi.

- O Boże, Umid, daj święty spokój, musisz mi teraz zawracać głowę? Ja z nimi nie mam nic wspólnego, tyle ci powiem. Popytaj tatę.

- Dalecy krewni - bronił się głośno V. V. Merchant.

- Dno! - bez namysłu odkrzyknęła Amir Merchant. - Nędza.

- Nie taka znowu nędza! - wrzasnałem co sił w płucach. - Przecież widać.

Amir ryknęła:

- A jakże! - Znienacka zdołała się wstrześcić w pauzę muzyczną i oto w powietrzu zaraz zawisły słowa nieodwoływalne, nie do naprawienia, jak neonowa reklama jeepów nad Marine Drive. - Kóz to im nie brak, tylko klasy. Tandeta nie ludzie.

Zapadła rozpaczliwa cisza. To był gorący rok 1956, jeden z najbardziej upalnych, jakie zanotowano; nastąpiło późne popołudnie, ale żar ani myślał ustępować. Przeciwnie, temperatura chyba rosła, zdawało się, że powietrze pomrukuje jak przed uderzeniem pioruna, a szlachetny śri Pili Dudhwala czerwienieje, roni pot każdym porem skóry, pęcznieje, jakby tak ciasno stłoczyły się w nim słowa, że na nic innego nie starcza miejsca. Halwa, młodsza córka Pili, wysłała w świat nerwowy chichot, za co oberwała od matki dwa solidnie mierzone klapsy i zabrała się do płaczu, ale widok uniesionej ręki Golmatol zasznurował jej buzię. Wojna zawisła na włosku. Piasek między obozowiskiem Dudhwalów a naszym zamienił się w ziemię niczyją. Ciężkie działa czekały na pozycjach. I w tym momencie ta wysoka dziewczyna - owa dwunasto - lub trzynastolatka w gwiazdzistopasiastym kostiumie kąpielowym - wkroczyła jak gdyby nigdy nic w strefę gotowości bojowej i z zainteresowaniem przyglądała się to Dudhwalom to Merchantom spod słomkowego giganta zsuniętego teraz na tył głowy. Z bólem wyznaję, że na widok jej twarzy straciłem panowanie nad sobą. Ten egipski

profil (w wiele lat później rozpoznałem go w posągu królowej Hatszepsut, pierwszej kobiety wspomnianej przez historię i jedynej na tronie faraonów, o której Wina - szydząca ze wszystkiego i wszystkich, wyzbyta respektu dla boskich monarchów, nawet kiedy sama stała się swego rodzaju królową-boginią - mawiała "Szeptsutka"), sardoniczne oczy, skrzywione usta naznaczone chłodem, wszystko to zmusiło mnie do jęku. Nie, do czegoś więcej niż jęku: do głośnego, trudnego do opisanie zadławienia się zakończonym jakimś szlochem. Krótko mówiąc, jedyny raz w życiu wydałem ów jęk dotkliwie ugodzonego ludzkiego samca, którego znienacka, boleśnie i beznadziejnie dosięgnie miłość. A miałem wówczas tylko dziewięć lat.

Dajcie mi szansę: chcę tę wielką chwilę odtworzyć jak najdokładniej. Jeśli pamiętam, właśnie wynurzyłem się z morza, okropnie bolały mnie zęby ugniatane kłamrami i chciało mi się jeść - a może chciałem właśnie popływać, a od wody odciągnęło mnie wkroczenie bufonarium, kto wie. W każdym razie, kiedy Amir Merchant wyrwały się słowa uznane przez Pilu za wypowiedzenie wojny, wyciągałem właśnie z torby soczyste jabłko. I z jabłkiem w dłoni spoglądałem na piękną, ciemnoskórą dziewczynę w kostiumie kąpielowym z Gwiazdzistego Sztandaru; z jabłkiem w dłoni wydałem ten mój okropny, pierwotny odgłos uwielbienia, a kiedy nogi same zaczęły mnie nieść ku niej, kiedy stałem już przed nią, unosząc wzrok, opromieniony jej pięknem, wciąż w wyciągniętej ręce trzymałem jabłko; jak dar, jak nagrodę.

Uśmiechnęła się rozbawiona.

- To dla mnie?

Lecz zanim zdołałem wykrztusić odpowiedź, dwie dziewczynki, nie zważając na nawoływania aji - do diabła z tymi okropnymi siostrami! - nadbiegły z pałającymi policzkami.

- Błu-błuszko! - Halwa Dudhwala małpowala dziecinne gaworzenie i po dziecinnemu wywracała oczami, chociaż ta próba zjednania sympatii w jej wykonaniu była skazana z góry na klęskę.

Tymczasem starsza, lecz ani trochę mądrzejsza Rasgulla Dudhwala podjęła ton:

- Błuszeczko!

Szczupła dziewczyna, nie bez nutki okrucieństwa, roześmiała się i przybrała pozę: odchyliła i lekko przekrzywiła głowę, a rękę oparła na biodrze.

- Jak widzisz, młodzieńcze, musisz wybierać. Której z nas ofiarujesz ten piękny

dar?

Chciałem powiedzieć, że to proste, bo chodzi o dar serca. Ale w oczekiwaniu na wybór wlepili we mnie wściekłe spojrzenia Pilu i Golmatol (zwłaszcza ona); zawahałem się, rzuciłem okiem na rodziców, by się przekonać, że nie zdołają mi pomóc w wyborze mogącym zaważyć też na ich życiu, nie tylko moim. Nie wiedziałem (choć nie trudno było zgadnąć), że wysoka dziewczyna nie jest siostrą dwóch młodszych; że w tej społeczności raczej gra rolę Kopciuszka niż Heleny bądź też jest osobliwą kombinacją obu: Kopciuszkiem Trojańskim. A gdybym wiedział, nic by się nie zmieniło; wprawdzie język stanął mi kołkiem, ale serce mówiło głośno i wyraźnie. Bez słowa podałem jabłko ukochanej, a ona skwitowała wybór ledwie dostrzegalnym skinieniem, potem zaś potraktowała dar mało łaskawie, odgryzając solidny kęs.

Zatem mój namysł, następnie wzgardzenie wdziękiem małych mistrzyń fałszu i trzepotania rzęsami, Halwy i Rasgulli, zostały przez Dudhwalów dodane do obelg, które wyrwały się matce raczej przypadkiem - i stało się. Na mój gust nic tu po słowie kutti w hindustani, zatem sugerowaniu raczej swaru, dziecinnej sprzeczki. To nie była kutti. Raczej vendetta. A z potężnego Pilu Dudhwali - przywołującego mnie, o zgrozo, skinieniem dłoni - zrobiłem sobie wroga do końca życia.

- Chłopcze!

Teraz, po przekroczeniu punktu, zza którego nie ma odwrotu, doszło do cudu: Pilu się odprężył. Przestał być tym spęczniałym, napompowanym facetem, z którego lada moment trysną furiackie teksty; nawet przestał się pocić. Natomiast ja poczułem, jak dobierają mi się do skóry owady; późnym popołudniem kąśliwe powietrzne armady wykłębają się z jakiejś podniebnej sypialni całymi chmurami. Kiedy zbliżałem się do Pilu rozciągniętego w całej wspaniałości na matach gaotakia pod lśniącem od szkiełek, siejącym świetliste refleksy namiotem, musiałem tłuc się dłonią po twarzy, szyi, drapać, jakbym sam siebie karał za takie a nie inne rozsądzenie sporu o jabłko. Pilu Dudhwala przyozdobił lśniącą twarz zabójczym uśmiechem i nadal przywoływał mnie skinieniem.

- Jak na imi?

Odpowiedziałem.

- Umid - powtórzył. - Nadzija. Nadzi. Łszyscy poħinni mić nadzije, nallet w beznadzijnej sytuacji. - Zatopił się w rozmyślaniach, żując kęs suszonego bummelo, potem pomachał kawałkiem ryby: - *Bombay duck**[* *Bombay duck* to lokalna nazwa ryby, nie kaczki (*duck*); stąd egzamin.] - zaśmiał się. - Łisz, co to "bombajska kaczka"?

Łisz, ta bombajska ryba ni chciała pomóc Łilkiemu Rami, łyłała si, kidy budołał most do Lanki, żeby łyratolać Panio Site. To ten jo ścisnoł, spłaszczył, połamał łszystki ości i teraz jest już bezostnym dziładłem. Ale skąd masz to łidzieć, jeśli jesteście konłertyci. - Użycie tego słowa sprawiło, że zaczął napychać usta rybą, kiwając jednocześnie głową, i dopiero po chwili wznowił perorę. - Łisz, co to konłertyta? Ni? Ni szkodzi. Powim. Łisz, konłersja religijna to jak łsiaść łpociąg. Potem czołłik już należy do tego pociągu. Tylko do nigo. Ni do peronu, skąd łodjechał, ni do peronu, gdi wysiada. Łtych łobu mijscach czołłikiem totalnie gardzo. To so konłertyci. Czyli przodkołłi tłłego szlachetnego łojca.

Otwarłem usta; ale gest Pilu powiadomił, żebym dał spokój.

- Dzici i ryby ni majo głosu - oświadczył. - Najlepi zrobi, jak zamkni jadaczkę. - Teraz żuł mango. - Zmiana łiary to jak łodcięci prądu. Rozładolałani. Taki pozbyła si ładunku, rozumisz? Ładunku Ludzkigo Przeznaczenia; tchórzliłłi, że szkoda gadać. Z gruntu nipołłazni. Robi coś podobnego i sam si skreśli z historii łasnej rasy. Jakby łyjął łtyczke z kontaktu, jasne? I toster już ni działa. Bo czym jest życi, chłopcze? Zaraz połłim. Życi to ni jakiś tam łyskubany z boskij głołly łłosek, kapujesz? Życi to cykl. I łtym naszym marnym życiu ludzi muszo płacić za grzechy popełnione łpoprzednich łcileniach. Jeśli zasłužo, zbirajo nagrody za dałłnijsze dobre uczynki. A konłertyta to jak gość, który łhotelu ni płaci rachunku. To konłertyta na nic ni może liczyć, kidy akurat łrachunku trafi si bład na jego korzyść.

Niełatwo było pojać sens wywodu Pilu, skąd się wzięły te pociągi, tostery, cykle, lecz rozumiałem istotę sprawy: obrażał mego ojca i ojcowską (muzułmańską) gałąż rodziny, tym samym mnie. A teraz, kiedy moje dorosłe ja zgłłbia scenę widzianą oczami dziewięciolatka i te dialogi słuchane uszami dziewięciolatka, dostrzegam też co innego: na przykład różnicę klasową, ton snobizmu w głołsie matki, okazywanie pogardy Pilu z jego grubiaństwem, prostackim akcentem, i oczywiłłcie dostrzegam różnicę społecznosci; tę starą rozpadlinę: na jednym brzegu hindusi, na drugim muzułmanie. Otrzymałem od rodziców dar areligijności, rosłem, nie racząc nawet pytać ludzi, jakich cenią bogów, bo z góry uważałem, że - podobnie jak moi rodzice - nie przejmują się bogami i że taki brak zainteresowania jest "normalny". Można dowodzić, że to nie dar, lecz zatruty kielich, można się spierać, ale jeśli nawet to prawda, z radością wychylę ten kielich jeszcze raz.

Jednak bezbożność rodziców nie na wiele się zdała; stary rodzinny podział funkcjonował w najlepsze mimo niej. Był tak głłęboki, że obie gałłęzie, ci krewni, którzy

zmienili wiarę, i ci, którzy nie zmienili, nawzajem wymazali się ze spisu ludzi wartych wzmianki. A ja w wieku dziewięciu lat jeszcze nie miałem pojęcia, że istnieją jacyś Dudhwalowie; zresztą Halwie i Rasgulli też na pewno ani się śniło, że chodzi po świecie niejaki Umid Merchant, daleki kuzyn. Co do wysokiej dziewczyny - królowej w kostiumie kąpielowym gryzącej moje jabłko - też nie umiałem jej nigdzie przypisać.

- Umid! - gniewnie zawołała matka. - Natychmiast wracaj.

- Idź, mały Nadzi. - Pilu miał mnie już dosyć. Zaczął leniwie rzucać kości na kobierczyk. - Ale si zastanałiam. Bo mały Nadzija kidyś będzi dużo nadzijo. Cikawe, co z ciebi wyrośni?

To akurat już wiedziałem.

- Fotograf, dżi.

- Łtakim razi - powiedział - jednego si musi nauczyć, że zdjeci może kłamać. Leźmy, że teraz robisz mi zdjeci, ni? I co lidzisz? Jakaś tam gruba ryba bardzo gra, że jest grubo rybo. Ale to fałsz, sukinsyństwo. Bo ja jestem złykły człółik, mój Nadzi. Z ludu. Prosty facet, niskigo pochodzenia, a że hm, co to pracółać, ciężko pracółać, to umim si ciszyć. Śłitółać. I łasni teraz sobi śłituje. Ale to ły, Nadzi, razem z tłój mamunio i tatuńcim, to ły graci grube ryby. Może grubo za grube, kto h. - Przerwał. Na krawędzi źrenic Pilu widniały mleczne półksiężyce. - Może już łalczyliśmy ze sobo łinnych łcileniach. A dzisiaj ni łalczymy. Ale jeszcze nadejdzi taki dżiń, że znół si łęzmimy za łby.

- Umid!

- I połidz mamci - zamruczał Pilu, a uśmiech pierzchnął z jego warg - że ten jej piaskóły budynek, jak linga Szilły, to bluźnistwo i niczystość. Bełstyd. Łobraża łoczy każdego przyzłoitego człółika.

I znów mam przed oczami tego dziewięcioletniego brzdąca, siebie, w roli posła wracającego z okopów wroga do własnych. I znów mogę dostrzec, co tam naprawdę było grane, ów proces, na skutek którego władza z wolna przepływała, jak fala upału w świeży chłodek, ze świata mojej matki w światek Pilu. To nie żadne fantazje, lecz zwykły rzut oka wstecz. Pilu nas nienawidził; a w swoim czasie miał odziedziczyć jeśli nie tę ziemię, to przynajmniej **naszą**.

Przeszedłem koło królowej w kostiumie kąpielowym.

- Nie znoszę Indii - powiadomiła zaciekle. - Bo jest tu czego nie znosić. Nienawidzę upału, tymczasem zawsze z nieba leje się żar, nawet kiedy pada, a tych deszczy też nienawidzę. Nie cierpi? tutejszego jedzenia, człowiek nie może się tu napić

wody. Nie cierpię nędzarzy, a na każdym kroku nędza. Nie cierpię bogaczy, tej cholernej zachwyconej sobą zgrai. Nie cierpię tłumów, a tu nie ma mowy, żeby na chwilę wyrwać się z ciżby. Nie znoszę ludzi, którzy mówią za głośno, ubierają się purpurowo, zadają za wiele pytań i wciąż ci coś każą. Nie znoszę brudu, smrodu, a zwłaszcza nie znoszę srania w kucki. Nie cierpię pieniędzy, bo nic nie można za nie kupić, i nie znoszę sklepów, bo nic w nich nie ma. Nie cierpię tych filmów, tych tańców, tej muzyki. Nie cierpię tych języków za to, że nie są normalną angielszczyzną, nie cierpię tej angielszczyzny, bo też nie jest normalna. Nie znoszę tutejszych samochodów z wyjątkiem amerykańskich, a tych amerykańskich też nie cierpię, bo wszystkie wyszły z mody co najmniej dziesięć lat temu. Nienawidzę szkół, bo to nie szkoły, lecz kryminał, i nie cierpię wakacji, bo nawet wtedy człowiek nie może robić, co chce. Nie cierpię staruchów, nie cierpię smarkaczy. Nie znoszę tego radia, a telewizji tu nie ma. A najbardziej ze wszystkiego nienawidzę tych sakramenckich bogów. - Zdumiewające oświadczenie zostało wygłoszone obojętnym tonem, z nutką znużenia życiem, ze wzrokiem wlepionym w horyzont. Nie wiedziałem, co odrzec, ale chyba nie oczekiwano ode mnie odpowiedzi. Wówczas nie pojmowałem jej gniewu, a przemowa wstrząsnęła mną do głębi. To w takiej dziewczynie zakochałem się po uszy? - No i nie znoszę jabłek - dodała, wbijając mi nóż w serce. (A przecież je to moje jabłko, zauważyłem.) Zżerany przez miłość, tłukąc owady na karku, podjąłem niełatwą wędrówkę. - Chcesz wiedzieć, co lubię? Jedno jedyne? - krzyknęła za mną. Odwróciłem się. - Chcesz?

- Proszę - odezwałem się pokornie; kto wie, może nawet, zgnębiony, skłoniłem głowę.

- No więc przepadam za morzem - powiedziała i pobiegła pływać.

Serce mało nie pękło mi ze szczęścia.

Jeszcze dobiegał mnie stukot kości, którymi Pilu bawił się na kobierczyku, potem Golmatol zakomenderowała, muzycy wszczęli jazgot i już nic nie usłyszałem.

Długo sądziłem (może to moja wersja wiary sir Dariusza Kserksesa Kamy w czwartą funkcję zewnętrznosci), że w każdym pokoleniu znajdzie się parę osobowości nieprzynależnych od urodzenia - można tych ludzi uznać za szczęśliwców bądź naznaczonych czy przeklętych - które ruszają w świat nie zespolone prawie z niczym albo, jeśli wolicie, wyzbyte mocnych związków z rodziną, miejscem pochodzenia, narodem czy rasą; kto wie, ile ich jest, może nawet miliony, ba, miliardy, bo kto wie,

ilu przynależnych to może jednak nieprzynależni; w sumie, może to zjawisko jest równie "wrodzoną" właściwością natury ludzkiej jak jego przeciwieństwo, ale może też jest właściwością najbardziej w dziejach ludzkich tłumioną, przez brak okazji do ujawniania. Na tym nie koniec, ponieważ ci, którzy cenią stabilizację, a lękają się przejściowości, niepewności, zmian, wzniesli cały system tabu i piętnowania skłonności do wykorzenień, owej antyspołecznej siły; temu systemowi podporządkowujemy się, ulegamy, udajemy, że kierujemy się lojalnościami i solidarnościami, którymi naprawdę wcale się nie kierujemy, a nasze tajemnice przyodziewamy w fałszywą skórę: przybieramy tożsamości dozwolone przez przynależnych i opatrzone ich pieczęcią. Prawda wychodzi na jaw dopiero w naszych snach; samotni w swych łóżkach (bo nocą wszyscy jesteśmy samotni, nawet jeśli nie śpimy sami) szybujemy, latamy, uciekamy. A w snach na jawie dozwolonych przez społeczeństwo - w mitach, w sztuce, w pieśniach - czcimy tych nieprzynależnych, odmieńców, banitów, maniaków. Płacimy nie takie małe znowu pieniądze, by to, czego sami sobie wzbraniamy, oglądać w teatrach czy kinach albo czytać o tym, dyskretnie ukrytym między okładkami książki. To nasze biblioteki, nasze pałace rozrywki mówią prawdę. Włóczęga, zabójca, buntownik, złodziej, odmieniec, wyrzutek, przestępca, odszczepieniec, wcielony diabeł, grzesznik, gangster, uciekinier, oszust: gdybyśmy nie rozpoznawali w nich naszych nie spełnionych pragnień, to nie wymyślalibyśmy ich wciąż na nowo, w każdym zakątku świata, w każdym języku i czasie.

Najpierw mknęliśmy na brzeg i przemierzali oceany w łódkach z papieru, dopiero potem wodowaliśmy okręty. Najpierw ruszyliśmy na szlak, dopiero potem dorobiliśmy się aut. Najpierw dotarliśmy do najdalszych zakamarków globu, dopiero potem wzbily się samoloty. A teraz wabi nas ciemna strona Księżycy, wabią skaliste równiny Marsa, pierścienie Saturna, głębiny międzygwiazdne. Ślemy fotografujące roboty na orbitę, ku gwiazdom, w podróże, z których nie wrócą, lejemy łzy na widok sfotografowanych przez nie i przesłanych nam cudów; pokorniejemy, patrząc na obrazy odległych galaktyk podobnych do słupów z chmur na niebie, nadajemy imiona przybywającym z daleka skałom, jakby to były nasze ulubione czworonogi. Łakniemy zakrzywionej przestrzeni, kusi nas niedosięgła krawędź czasu. I proszę, chodzi o ten gatunek, który sam siebie zwodzi, zapewniając, że lubi tkwić w domu, skrepowany - skąd my to znamy? - **wieżami**.

Taki mam pogląd. Nikt wam tego nie każe kupować. Zresztą, jest nas może

niewielu. Szerzymy pewnie rozkład, stanowimy czynnik antyspołeczny i w ogóle należałoby nas zakazać. Macie prawo do swego zdania. Tylko tyle wam powiem: śpijcie zdrowo, dziecięta. Kolorowych snów.

Jeżeli przyjąć Dudhwalowe sądy o rodzaju ludzkim, wszystko zaczęło się od mego praprapradziadka po ojcu, który “padł w objęcia” islamu, wiary podobno najmniej podatnej na przytulanki. Skutek kolących uścisków był taki, że Vivvy (jak Amir, jak każdy muzułmanin na subkontynencie, bo wszyscy tu jesteśmy dziećmi konwertytów, bez wyjątku, czy przyznajemy się do tego czy nie) utracił więź z historią. Zatem można uznawać, że ojciec gorączkowo rozgrzebywał przeszłość miasta z powodu sfalszowanej i utraconej tożsamości; podobnie Amir Merchant, której marzyły się najróżniejsze drapacze przy Cuffe Paradę i gdzie indziej, także szukała utraconych pewników w wizji podniebnych domów mieszkalnych, kin w stylu art deco, pewników zaklętych w cegły i zaprawę, w żelbeton.

Zagadkom życia nie skąpi się wyjaśnień. Za pensa sprzedają dziś pęczek egzegez. Przez co znalezienie prawdy nie stało się ani trochę łatwiejsze.

Od dziecka, odkąd pamiętam, przede wszystkim pragnąłem jednego - jeszcze raz użyję zwrotu, do którego jestem wciąż (może nadmiernie) przywiązany - być wartym świata. W tej mierze gotów byłem na wszelkie próby i prace. Bohaterów Grecji i Rzymu poznałem z *Opowieści z zaczarowanego lasu* Nathaniela Hawthorne'a, o Camelocie dowiedziałem się dzięki *Rycerzom Okrągłego Stołu* nakreślonym przez Metro-Goldwyn-Meyer, z Lancelotem granym przez Roberta Taylora, Arturem przez Mela Ferrera i Ginewrą, jeśli pamięć mi dopisuje, w wykonaniu boskiej Avy, niezrównanej iście palindromicznie, tak samo imponującej z przodu i z tyłu. Pożerałem sagi skandynawskie w opracowaniach dla dzieci (nie chcąc ulecieć mi z pamięci zwłaszcza te bajeczne podróże na Skidbladnir, “statku, który frunie”), przygody Hatima Taji, Haruna arRaszida, Sindbada Żeglarza, Marco Polo, Ibn Battuty, Ramy i Lakszmany, Kaurawów i Pandawów, co tylko wpadło w ręce. Ale szczytny postulat “być wartym świata” grzeszył zbyt dużą abstrakcyjnością w użytku na co dzień. Nie kłamałem, byłem dzieckiem raczej uczciwym, trzymającym się z boku, zamkniętym; ale ominął mnie dar heroizmu. Było nawet takie krótkie interludium, z grubsza rzecz biorąc w czasach, które tu opisuję: zacząłem żywić przekonanie, że to

świat jest niewart mnie. Te jego fałszywe tony, te ciągle niespełnienia. Może źródła należało szukać w rozczarowaniach, jakich świat nie szczędził idealizmowi mojej matki, przez co narastał w niej cynizm, którym i ja nasiąkałem. Lecz patrząc teraz wstecz, mogę powiedzieć, że mniej więcej byliśmy sobie warci - świat i ja. I mnie, i jemu zdarzało się stanąć na wysokości zadania, zdarzało się też zawieść. Mówiąc za siebie (bo nie ważę się mówić w imieniu świata): w najgorszych momentach bywałem kakofonią, zlepkiem ludzkich wrzasków, które się nie sumują i nie przeistaczają w symfonię zespolonego ja. Lecz w chwilach najlepszych świat śpiewał do mnie i przeze mnie krystalicznie czystym tonem.

Kiedy spotkałem na plaży Winę, pierwszy raz w życiu dowiedziałem się, jak mierzyć własną wartość: mam szukać odpowiedzi w oczach Winy. Byłem przedtem uprosić moją damę, by pozwoliła mi przypiąć do hełmu dowód jej względów.

Trzeba przyznać, że miałem wymarzony start życiowy. Szczęśliwy jedynek kochających rodziców, którzy - chcąc zapewnić najdroższemu dziecku wszystko, co trzeba, ale bez rezygnowania z prywatnych i zawodowych pasji - postanowili nie mieć już po mnie dzieci. Teraz widzę, że w opisie zabaw na plaży coś przed chwilą pominąłem: te liczne podszyte miłością drobiazgi, gesty czy odezwania, którymi V. V. i Amir okazywali sobie uczucie: jej krzywy, a przecież pełen podziwu uśmiech, z jakim przyglądała się męzowskiemu kopaniu, jego nieśmiałe wyszczerzenie zębów w podzięce, ona muska jego policzek, on muska jej kark, te troskliwość szczęśliwego małżeństwa - usiądź, gdzie więcej cienia, wypij, to chłodne i słodkie - co rejestrowało jak kamera (choć szeptali do siebie, nie na pokaz) dziecko, obiektyw i antenouche. Byłem kochany do tego stopnia, że ani dnia nie spędziłem pod opieką piastunki, która to okoliczność budziła zdumienie w naszym kręgu towarzyskim i była gorliwie krytykowana. Lady Spenta Kama (która nigdy nie wybaczyła całkiem Amir tego *faux pas* w dniu urodzin Orniusa) z upodobaniem powtarzała ludziom, że pewna kobieta - o mizernych, sądząc z wyglądu, zadatkach na opiekunkę - "widocznie miała w rodzinie trochę za wiele służących". Uwaga lotem błyskawicy dobiegła uszu Amir (złośliwość bywa najbardziej rączym listonoszem); stosunki między paniami pozostały napięte. Ale za sprawą takich kpin stanowczość moich rodziców tylko krzepła. W czasach mego niemowlęctwa i wczesnego dzieciństwa ustalali co tydzień listę obowiązków oraz przyjemności, rygorystycznie przestrzegając podziału pół na

pół pod każdym względem; plany własnych zajęć, a nawet godziny snu podporządkowywali zasadzie rodzicielskiej równości. Nie byłem karmiony piersią; ojciec nie mógł do tego dopuścić, ponieważ nie mógł w ten sposób karmić na zmianę z matką. A umiał delikatnie, jak to on, wymóc należny udział w podcieraniu i zmienianiu pieluch, podgrzewaniu butelki, łagodzeniu wzdęć czy w zabawach. Matka śpiewała mi swoje amelodyjne piosenki, ojciec swoje. Dorastałem w przekonaniu, że to wszystko jest “normalne”. Nic dziwnego, że świat chował dla mnie w zanadru okazałą porcję mocnych wrażeń.

Niemal zarzucili życie towarzyskie, nawet tego nie zauważywszy. W jakiejś podstawowej mierze doznali dopełnienia przez przyjście na świat dziecka (mnie) i odtąd nie okazywali potrzeby przestawiania z innymi. Z początku spotkało się to z protestami przyjaciół. Niektórzy poczuli się dotknięci. Wielu, w tym lady Spenta Kama, uważało, że w “obsesyjnym” zachowaniu Merchantów jest coś “niezdrowego”. W końcu wszyscy jakoś przyjęli do wiadomości ten ich nowy sposób życia, fakt to fakt, w sumie jeszcze jedna osobliwość wśród tylu życiowych cudactw. V. V. i Amir potrafili skupić się na synu (mnie), nie dbając o zranione uczucia ani niestrudzone ludzkie języki.

Nie wiem, czemu przypisać, że zacząłem spoglądać ku morzu i marzyć o Ameryce: czy dławiącej miłości rodzicielskiej, czy czemuś trudniejszemu do wyjaśnienia, tkwiącemu we mnie? Czy zwróciłem się ku morzu dlatego, że rodzice bez reszty dali się pochłonąć miastu, które stało się odtąd w moich oczach ich krainą? Innymi słowy, czy dlatego rzuciłem Bombaj, że to cholerne miasto uznałem za łono matki, więc należało ruszyć w świat, by się naprawdę narodzić? Takie się nasuwają psychologiczne wyjaśnienia, tego towaru nie brak na składzie.

Lecz chętnie je wszystkie odrzucę. Przypomnę, że moi rodzice kochali mnie i dali, co mogli najlepszego. Nie umiem sobie wyobrazić domu dzieciństwa, który by rodził więcej wspomnień niż willa Thracia przy Cuffe Parade, serdeczniej zapadał w pamięć; a do owego najlepszego z domów trzeba dodać pierwszorzędnymi przyjaciół, pierwszorzędną szkołę, znakomite widoki na przyszłość. Byłoby czystą niegodziwością winić rodziców, że zapewnili mi wszystko, o czym marzą rodzice jak świat długi i szeroki! Jak obrzydliwie niestosowne byłoby im wyrzucać pełną miłości troskę, uchodzącą za ideał w oczach wszystkich ojców i matek! Takich słów ode mnie nie usłyszycie, co to, to nie. Po prostu w mojej naturze leży odłączenie, cechuje mnie wątpliwość przynależności. Już jako dziewięciolatek miałem swoje tajemnice i

byłem z tego dumny. Te wzniosłe tęsknoty, te marzenia o pradawnych rycerzach i bohaterach zachowywałem dla siebie; wstydzilibym się je ujawnić, lokować w upokarzającej niszy między wielkością moich zamierzeń a marnością nielicznych osiągnięć. Ćwiczyłem się więc w milczeniu, chociaż marząc o tym wszystkim, mógłbym pewnego dnia zaśpiewać.

Przesadnie chronione własne ja przydawało mi się do czegoś. Czasami grywałem wieczorem z Vivvym i Amir w pokera. Niemal zawsze kończyłem partyjkę z największą stertą zapalek.

- Może powinieneś zostać szulerem, jak dorośniesz - uwaga matki porażała. - Bo, złotko, ta twoja pokerowa twarz sprawdza się, że hej.

Kiwnąłem głową. A powodzenie trochę mi rozwiązało język.

- Nikt nigdy nie wie, co myślę - odpowiedziałem. - I to mi leży; słowo.

Zauważyłem, że są zaszokowani. I zdezorientowani. Po prostu nie wiedzieli, co odrzec. Wreszcie ojciec się odezwał:

- Przecież lepiej wyznać, co nam leży na sercu, prawda? Lepiej, Umidzie, pokazać, co się ma w dłoni, niż ukryć?

Taki był, wzór dżentelmena umiejącego sprostać każdej sytuacji, bez reszty człowieka honoru, najuczciwszy, ostatni, gdy chodzi o zepsucie; najdelikatniejszy w obejściu, bezgranicznie tolerancyjny, a zarazem niezłomnych zasad; mówiąc krótko, najlepszy z ludzi, bezbożny święty (ależ by się wściekał na to określenie!), który wierzył, że wciśnięty mu na straganie tandetny zegarek to omega, który zawsze przegrywał w karty, a później tragicznie przegrał w życiu. Ja zaś, jego zmyślny i podstępny syn, uśmiechnąłem się i w tego nieziemsko ufnego, do gruntu niewinnego człowieka wpatrzyłem się szeroko otwartymi oczami - co miało imitować ojcowską niewinność - a potem zadałem mata.

- W takim razie - zamruczałem - jak to jest, że te wszystkie zapalki nie leżą przed tobą, tato?

Z biegiem lat odkryłem prostą prawdę, że morze zawsze było dla mnie przenośnią. Lubilem pływać, fakt, lecz nie mniejszą frajdę sprawiało mi pływanie na przykład w basenie klubu Willingdon, w słodkiej wodzie, nie w słonej. Nie nauczyłem się żeglować, nad czym nie ubolewam. Woda po prostu była dla mnie tym magicznym żywiołem, którego fale mogą mnie gdzieś unieść; kiedy dorosłem, tę samą możliwość podsunęło powietrze i bez namysłu odwróciłem sojusze. Ale wciąż czuję wdzięczność

wobec wody: ukochała ją Wina, w wodzie mogliśmy pływać razem.

Powietrze i woda, ziemia i ogień; wszystkie cztery żywioły wpłynęły na kształt naszych losów (rzecz jasna mam na myśli historię Ormusa, opowieść o Winie i moje własne dzieje). W dwóch pierwszych tkwią nasze początki. Potem jednak nadeszły rozwinięcia i zakończenia.

Kiedy człowiek dorasta, jak ja, w wielkim mieście, w jego - tak się złożyło - najlepszych czasach, ma wrażenie, że złoty wiek nigdy się nie skończy. Tak tu zawsze było i będzie. Blask metropolii rodzi złudzenie trwałości. Ów Bombaj, w którym się urodziłem, położony na półwyspie, wydawał mi się trwalszy od spiżu, nie da się ukryć. Grobla Kolaba była moją Via Appia, wzgórze Malabarskie i Kamballa były naszymi Kapitołem i Palatynem, stadion Brabourne naszym Koloseum, jeśli zaś chodzi o lśniącą, utrzymaną w stylu art deco krzywiznę Marine Drive, no cóż, czymś takim chyba nie mógł się pochwalić nawet Rzym. Naprawdę dorastałem w przekonaniu, że art deco to "styl bombajski", miejscowy wynalazek, którego nazwę najpewniej trzeba wywodzić od czasownika w trybie rozkazującym "zobacz". *Art dekho*. Patrzcie i podziwiajcie sztukę - *art*. (Kiedy zacząłem się oswajać z widokami Nowego Jorku, opanowywało mnie najpierw coś w rodzaju gniewu. Ci Amerykanie tyle już mają, czy więc musieli jeszcze przywłaszczać sobie "nasz" styl? Lecz w innym, głębszym zakątku serca czułem, że art deco Manhattanu - wzniesionego w skali znacznie większej - tylko zwiększa powab Ameryki, czyni ją czymś znajomym i budzącym nabożny podziw; wielokrotnością naszego Bombaiku).

Prawda przedstawia się tak, że ten mój Bombaj był nowiuteńki, niemal prosto spod igły. Co więcej, firma budowlana moich rodziców Merchant & Merchant miała w tym okazały udział. W ciągu dziesięciu lat, od narodzin Ormusa Kamy do mego przyjścia na świat, miasto zamieniło się w gigantyczny plac budowy; jakby pilnie chciało zaistnieć, jakby wiedziało, że musi w porę zadbać o jako tako finalny wygląd, zanim zacznę poświęcać mu uwagę... Nie, nie, naprawdę ani mi w głowie takie solipsystyczne myśłatka. Nie jestem nadmiernie przywiązany ani do historii, ani do Bombaju. Niby dlaczego? Ja, człowiek o takich brakach instynktu przynależności?

Wróćmy do naszych baranów. Prawda jest taka (ze mną nie ma nic wspólnego), że po gorączce budowlanej, dzięki której powstał Bombaj mego dzieciństwa, doszło na kilka lat przed moimi narodzinami do przesilenia, a zastój

budowlany potrwał około lat dwudziestu i ten akurat okres względnej stabilizacji zwiódł mnie, tworząc złudzenie, że miasto trwa ponad czasem: że ma taką właściwość. A potem, rzecz jasna, przeistoczyło się w molocho, ja zaś umknąłem. By ścigać własne klęski.

Ja? Ależ zawsze byłem i pozostałem bombajskim ćhokrą. Proszę mi pozwolić na pewne wyznanie: nawet jako dziecko byłem po wariacku zazdrosny o miasto, w którym dorastałem, ponieważ było jeszcze jedną miłością moich rodziców, córką, której nie mieli. Kochali się (to dobrze), kochali mnie (bardzo dobrze) i kochali tę córkę (a to już nie za dobrze). Bombaj stał się moją rywalką. Tygodniowe podziały rodzicielskich obowiązków układali na kanwie romansu z miastem. Kiedy nie było przy mnie matki - a ojciec woził mnie na barana lub gapilem się z nim na ryby w akwariium Taraporewala - to dlatego, że Amir była poza domem z nią, z Bombajem, powoływała miasto do życia. (Bo, rzecz jasna, budowy nigdy całkowicie nie zamierają, a jeśli chodzi o nadzór budowlany, moja matka - architekt i przedsiębiorca, jak jej zmarły ojciec - była swego rodzaju geniuszem.) A kiedy Vivvy przekazywał mnie Amir - to wtedy wyśpiewaliśmy te okropne piosneczki i jedli zwarzone lody - wychodził w kapeluszu wkładanym na okoliczność badań nad miejscową historią, w kamizelce z niezliczoną liczbą kieszonek, by z miejsc przeznaczonych pod fundamenty nowych budynków wykopywać tajemnice przeszłości miasta; bądź też (bez kapelusza i kamizelki) stawał przy desce kreślarskiej i nadawał tym swoim marzeniom kształt godny okrzyku "patrzcie i podziwiajcie".

Pierwszą miłością V. V. Merchanta była niezmiennie prehistoria miasta; zdawało się, że bardziej od rzeczywistości interesują go pierwotne i niedojrzałe założenia. Byłe dać mu sposobność, mógł godzinami paplać, uszczęśliwiony, o osadach z czasów Čalukjów na wyspach Elefanta i Salsette sprzed dwóch i pół tysiąca lat czy o legendarnej stolicy radzi Bhimadewy z jedenastego czy dwunastego wieku w Mahim. Mógł recytować klauzule traktatu z Bassein, na którego mocy Wielki Mogoł Bahadur Szah przekazał Siedem Wysp Portugalczykom, uwielbiał wykazywać, że Katarzyna Braganza, żona Karola II i królowa angielska, była tajemnym zapomnianym ogniwem spajającym Bombaj i Nowy Jork. Bombaj przypadł Londynowi jako jej posag, a inną posiadłość Katarzyny, nowojorską miejską gminę, nazwano na jej cześć Queens.

Ogromnie radowały ojca mapy z czasów powstawania Bombaju; ojcowski zbiór starych zdjęć różnych budynków i *objets* nie istniejącego już miasta nie miał sobie

równych. Na tych pośliskłych bądź wyblakłych fotografiach zmartwychwstawały zniszczony fort, okropny, ruderowaty "bazar śniadaniowy" naprzeciw Tin Darwaza, czyli Bramy Bazarowej, nędzne budy z baraniną, uliczne szpitale dla biedaków, pod parasolami, i pałace bombajskich wielkości, które poszły w rozsypkę. Pozostałości po dawnym wcieleniu miasta zagnieździły się nie tylko w ojcowskich albumach, ale i w jego wyobraźni. Szczególnym zainteresowaniem darzył kapelusze.

- Były i takie czasy - roztkliwił się - że mogłeś w lot poznać po nakryciu głowy, do jakiej kto należy społeczności.

Sir Dariusz Kserkses Kama w fezie jak rura na kominie był ostatnią już pamiątką po czasach, w których parsów zwano Topazami z racji stroju głowy. Kupcy nosili kapelusze okrągłe, a skośnoocy Bohrowie, głośno zachwalający na ulicy niezliczone rodzaje towarów, jakieś ogromne piłki... To dzięki ojcu dowiedziałem się o pierwszych wielkich fotografiach bombajskich, Radzi Din Dajalu i A. R. Haselerze, których portrety miasta stały się moją pierwszą inspiracją artystyczną, chociażby tylko przez to, że zobaczyłem, czego nie chcę robić. Dajal wspiał się aż na wieżowiec Radżabaj, by stworzyć te wszechogarniające panoramy narodzin miasta; Haseler poszedł o krok dalej i wzbil się w przestworza. Jego zdjęcia wprawiły mnie w nabożny podziw, nie mógłbym ich wymazać z pamięci, ale wzbudziły we mnie także gorączkowe pragnienie powrotu na ziemię. Z wyżyn widzi się tylko szczyty. A ja tymczasem tęskniłem za ulicami, za ludźmi, którzy ostrzą noże, za roznosicielami wody, kieszonkowcami z Caupatti, ulicznymi lichwiarzami, za wyniosłymi żołnierzami, kurwiącymi się tancerkami, za wozami konnymi i woźnicami podkradającymi paszę, za ludzkimi hordami wysypującymi się z pociągów, za szachistami z perskich restauracji, za dzieciakami oplatającymi wokół siebie węże, za żebrakami, rybakami, służącymi, za dzikim tłumem kupujących na Crawford Market, za zapaśnikami lśniącymi od oliwy, filmowcami, ulicznymi naprawiaczami książek, za łobuzami, kalekami, tkaczami, rozrabiaczami, księżmi, zbirami, oszustami. Tęskniłem za życiem.

Kiedy opowiedziałem o tym ojcu, pokazał mi martwe natury: kapelusze, witryny sklepowe, nabrzeża w porcie i oświadczył, że jestem za młody, by je zrozumieć.

- Percepcja mechanizmów historycznych sprawia, że odsłoni się też aspekt antropologiczny - zapewnił. To zdanie wymagało jednak przekładu. - Przyjrzyj się, jak ludzie żyli, pracowali i handlowali - wyjaśnił z rzadką u niego przymieszką irytacji - a

zaraz stanie się jasne, jacy byli.

Mimo całego tego kopania V. V. Merchant zadowalał się powierzchnią swego świata. Ja zaś, jego syn, zarazem fotograf, zająłem się udowadnianiem, że nie ma racji, że na tym nie koniec, że obiektyw aparatu może omijać pułapki zastawiane przez rzeczywistość i wnikać pod jej powierzchnię, by dotrzeć do serca tego, co rzeczywiste, do trzewi.

Twórcą rodzinnego interesu budowlanego był Iszak Merchant, zmarły teść V. V. Merchanta, osobnik aż tak skory do gniewu, że w wieku czterdziestu trzech lat umarł ze złości; liczne organy wewnętrzne Iszaka popękały, a losu dziadka dopełnił obfity wewnętrzny krwotok. Stało się to wkrótce po ślubie córki. (A ona, moja matka i dziecko tego gniewnego człowieka, wybrała sobie na partnera mężczyznę całkowicie wyzbytego skłonności do gniewu, chociaż sama nie potrafiła znieść jego jakże łagodnych a rzadkich wymówek; nawet najdelikatniejsza przygana mogła rozpętać zdumiewającą burzę, przy czym emocje raczej obracały się w potok łez niż wybuch, ale - trzeba nadmienić - ich gwałtowność i niszczyielska siła miały coś wspólnego z napadami furii jej zmarłego ojca. V. V. traktował ją bardzo delikatnie, jak kruchy wykwit rasy, którym też była. I tak powinien, jasne, lecz to zapowiadało przyszłe lub tylko możliwe kłopoty, co szczęśliwi małżonkowie powinni byli dosłyszeć, oboje. Tymczasem głuchli na wszelkie ostrzeżenia. Miłość zawładnęła nimi bez reszty, co wpływa na słuch gorzej niż zatyczki w uszach.

Szczęśliwi nowożeńcy Vivvy i Amir zostali rzućeni na głęboką wodę. Na szczęście liczył się wówczas w mieście każdy przedsiębiorca budowlany. W dwadzieścia lat później oboje mogli pokazywać po zachodniej stronie Owального Majdanu, a nawet przy Marine Drive, ten czy ów blok mieszkalny w stylu *art dekho* i słusznie chwalić się "o, to my zbudowaliśmy!" lub "tamten to nasz". Teraz też nie tkwili w domu, budowali w Worli, na Wzgórzu Pali i licho wie gdzie. W drodze powrotnej z Dżuhu wciąż zbaczaliśmy, by rzucić okiem to tu, to tam, a nie zawsze chodziło o plac budowy ogrodzony siatką i opatrzone tablicami Merchant & Merchant. Dla rodziny przedsiębiorców budowlanych parcele są tym, czym dla reszty śmiertelników zabytki i krajobrazy. Od dziecka przywykłem do takich zwyczajów, na dodatek miałem głowę nabitą boginią w kostiumie kąpielowym, więc ani myślałem narzekać. Ale zabrałem się do wypytywania.

- Jak się nazywa?

- Are! Kto się nazywa? I skąd mam wiedzieć? Zapytaj ojca.

- Jak się nazywa?
- Nie wiem dokładnie. Nissa, czy jakoś.
- Nissa kto? Dudhwała? Śetti? Jak?
- Nie pamiętam. Wychowała się w Ameryce. Daleko.
- W Ameryce? Ale gdzie? W Nowym Jorku?

Ojciec wykręcił się od odpowiedzi, a może nie kwapił się wyjawiać czegoś. Lecz Amir orientowała się we wszystkim.

- W stanie Nowy Jork - powiedziała. - W jakiejś wiosce zabitej deskami.
- W jakiej wiosce? No powiedz!
- Co ty myślisz, że znam każdą dziurę w USA? W jakiejś Qrnahata.
- Ale nie ma czegoś takiego? Mamo? Prawda?

Wzruszyła ramionami.

- Jak można spamiętać te wszystkie idiotyczne tamtejsze nazwy? Nie tylko Hiawatha-Minnehaha, ale Susquehanna, Shenandoah, Sheboygan, Okefenokee, Onondaga, Oshkosh, Chittenango, Chikasha, Canandaigua, Chuinouga, Tomatosauga. Albo Chickaboom! - Tak brzmiało ostatnie słowo. Chickaboom, N. J. i kwita. - Tak czy owak - dodała - nie susz nią sobie głowy. Jej opiekunem jest teraz Pilu, to raz, po drugie wszyscy wiedzą, co to za ziółko. Chodzące tarapaty. Zgniłe jabłko, możesz być pewien na tysiąc jeden procent. Jak dotąd przeżyła same tragedie, fakt, całym sercem jestem za nią, ale trzymaj się z daleka. Słyszałeś te jej teksty. Za grosz opanowania. Za grosz miary. Poza tym za stara; jak można w jej wieku znaleźć sobie przyjaciół? Do tego - tu padł koronny argument - jest wegetarianką.

- Spodobała mi się. - Rodzice udali, że nie słyszą.

- A wiesz co - matka zmieniła temat - że te nazwy czerwonoskórych Indian tak mi brzmią, jakby je żywcem wzięto z południa Indii. Chattanooga, Ootacamund, Thekkady, Schenectady, Gitchee-Gumme, Ticklegummy, Chittoor, Chitaldroog, Chickaboom. Może jacyś nasi drawidyjscy ziomkowie pożeglowali przed wiekami do Ameryki w pięknych łodziach zielonogroszkowego koloru. Bo ludzie z Indii rozsypali się po całym świecie, prawda? Jak ziarna piasku.

- Może wzięli na drogę dzban miodu i furę pieniędzy - podjął rozważania ojciec.

Zrozumiałem, że wdajemy się w tradycyjne żartobliwe rodzinne pogwarki i nie ma sensu obstawać przy rozmowie serio.

- Furę na łódź i wysmarować miodem? Pewnie, ale po co pieniądze? Bez sensu - podjąłem zabawę. - Postscriptum - dodałem, bo znów stanęła mi przed oczami moja

dziewczyna w kostiumie kąpielowym - który szanujący się kociak wyjdzie za głupią sowę?

- Minnehaha, Roześmiana Woda - Amid podążała własnym tropem. - Skoro haha to śmiech, więc Minne to woda, prawda? Ale co znaczy Mickey?

- Mickey to mysz - sucho wyjaśnił ojciec.

Arystoteles nie cenił mitologii. W każdym razie uważał mity za dziwaczne historyjki, w których próżno szukać godnych szacunku prawd o naturze bądź o nas samych. Ludzie zdołają siebie pojąć i ująć w karby otaczający świat tylko dzięki rozumowi, przekonywał. W tej mierze w czasach mego dzieciństwa mógłby liczyć na poparcie pewnych mniejszości lokalnych.

- Cudem rozumu - powiedział kiedyś (a raczej mawiał i to za często) sir Dariusz Kserkses Kama - jest jego zwycięstwo nad cudownością.

Muszę jednak oznajmić, trudno i darmo, że większość znaczących umysłowości tego zdania nie podzielała. Na przykład lady Spenta Kama, w której oczach cudowność jako norma dawno wzięła górę nad tym, co powszednie, a ona sama wraz ze swymi aniołami i diabłami była całkowicie zagubiona w tragicznej dżungli codzienności.

Poglądów Arystotelesa (i sir Dariusza Kserksesa Kamy) nie podzielał też Giovanni Battista Vico (1668-1744). Podobnie jak liczni współcześni teoretycy dzieciństwa Vico uważał najwcześniejsze lata życia za rozstrzygające. Tematy, konflikty, dramaty i wątki z tego okresu stanowią miarę i figurę wszystkiego, co następuje potem. Dla Vico mitologia jest zbiorem portrecików rodzinnych lub składem pamiątek z dzieciństwa danej kultury i można w niej wyczytać przyszłość społeczności zakodowaną w baśniach: zarazem poematach i przepowiedniach. Zatem nasze prywatne dramaty w willi Thracia, której już nie ma, zabarwiły i przepowiedziały tryb naszego przyszłego współżycia ze światem.

- Trzymaj się od niej z daleka - mówiła Amir, lecz kiedy nieubłagana energia mitu wprawi w ruch życiowe mechanizmy, można z równym skutkiem kazać pszczołom trzymać się z dala od miodu, kanciarzom od pieniędzy, politykom od dzieci, a filozofom od gdybania. Zdażyłem już połknąć haczyki zarzucone przez Winę, a konsekwencją tego stała się historia mego życia. - Wiadomo, co to za ziółko - powiedziała o niej Amir. - Zgniłe jabłko.

A wkrótce Wina mokra i posiniaczona znalazła się pod naszymi drzwiami w

środku nocy, błagając, by ją wpuścić.

Upłynął równy tydzień od przygód na plaży Dżuhu; o szóstej po południu runęły z jasnego nieba ciężkie, letnie krople. Ciepła ulewa nie ostudziła fali gorącego i krańcowo wilgotnego powietrza. Kiedy deszcz przybrał na sile, kaprys przyrody sprawił, że temperatura jeszcze wzrosła, a woda spadająca z chmur parowała po drodze, zamieniając się w mgłę. Mokre i białe tumany tej mgły, jedna z najrzadszych bombajskich osobliwości meteorologicznych, przetaczały się przez Back Bay. Szacowne mieszczaństwo bombajskie spacerujące rytualnie po Cuffe Parade, by "łyknąć powietrza", rozpierzchnęło się w poszukiwaniu schronienia. Mgła spowiła miasto, pozacierając kontury, świat stał się białą kartą czekającą na zapisanie. V. V., Amir i ja byliśmy w domu, zaciskając w dłoni karty pokerowe, a nasze wejścia, przebiecia, sprawdzenia stawały się w tej niesamowitej bieli ryzykanckie, nieobliczalne, jakbyśmy czuli, że ta chwila domaga się od nas wybryku. Ojciec przegrał jeszcze więcej zapalek i szybciej niż zwykle. Zapadła mleczna noc.

Poszliśmy do łóżek, ale nikt nie zasypiał. Kiedy Amir przysła pocałować mnie na dobranoc, powiedziałem:

- Poczekam, bo coś się wydarzy.

Skinęła głową.

- Wiem.

To właśnie Amir, już po północy, pierwsza usłyszała hałasy z zewnątrz, uderzenia, tupnięcia, jakby po frontowej werandzie pętało się zwierzę; potem dobiegło stamtąd jakieś rozdzierające uszy dyszenie, oznaka skrajnego wyczerpania. Amir usiadła na łóżku i powiedziała:

- Chyba w końcu zjawia się to, na co czeka Umid.

Zanim wyszliśmy, dziewczyna zemdliała. Leżała na werandzie, miała podbite oko i cięcia na przedramionach, niektóre głębokie. Lśniące węże włosów rozpełzły się po deskach. Meduza. Przemknęła mi przez głowę myśl, że wolno patrzeć tylko w odbicie jej twarzy na wypolerowanej tarczy, bo patrząc na wprost, obrócimy się w kamień. Białe sportowe podkoszulek i dzinsy były przemoczone. Nie mogłem się powstrzymać od wpatrywania w zarys stężyłych sutków. Dyszała pośpiesznie, ciężko, pojękując przy wdechu. Odezwałem się głupio:

- To ona.

- Nie mamy wyboru - powiedziała matka. - Będzie, co będzie.

Wytarta, rozgrzana, opatrzona, z ręcznikiem zawiniętym na głowie jak korona faraonów jadła z miseczki ciepłe płatki owsiane; rezydowała na łóżku moich rodziców, a my, troje Merchantów, staliśmy przed nią jak jej dworzanie; jak fani.

- Próbował mnie zabić - mówiła. - Ten Pilu, ten tchórzliwy śmierdziel. Napadł mnie. No to uciekłam - załamał jej się głos. - Wyrzucił. I bardzo dobrze. Nie wrócę, choćby nie wiem co.

I Amir, która mnie przed nią przestrzegała, wykrzyknęła płomiennie:

- Miałabyś wracać? Wykluczone! Nisso Dudhwala, zrób nam tę uprzejmość i zostań.

Oświadczenie zostało przyjęte niepewnym uśmiechem, wciąż niewolnym od podejrzeń.

- Nie łącz mnie więcej z jego nazwiskiem, dobrze? - zażądała dziewczyna. - Z tym szubrawcem nie mam już nic wspólnego. Będę odtąd tym, czym imię, które wybiorę.

Kilka chwil później:

- Wina Apsara. Odtąd tak się nazywam.

Matka uspokajała ją, uciszała, łagodziła:

- Dobrze, dziecko, Wina, oczywiście - a potem spróbowała zbadać, co spowodowało aż tak gwałtowną napaść.

Usta Winy, właściwie cała twarz, zamknęły się jak głośno zatrzaskiwana książka. Rano odpowiedź dotarła na próg domu i niemal urwała dzwonek. Był to Ormus Kama, dziewiętnastoletni, z "opinią", piękny i niebezpieczny jak wcielenie słońca. W poszukiwaniu zakazanego owocu.

To był początek końca owych radosnych dni spędzonych z bóstwami Tracji, moimi rodzicami, wśród legend z przeszłości miasta i wizji jego przyszłości. W dzieciństwie byłem kochany i wierzyłem w bezpieczeństwo tego naszego światka, ale to wszystko zaczęło się kruszyć, rodzice zaczęli się straszliwie kłócić i w końcu przedwcześnie zmarli. Uciekając od okropnego rozkładu, zacząłem żyć własnym życiem; w nim także odnalazłem miłość, ale i ono się skończyło raz na zawsze. Potem spędziłem długie lata sam na sam z bolesnymi wspomnieniami.

Teraz szczęście zakwita w moim życiu na nowo. (O tym też się opowie w stosownym czasie.) Może tylko dlatego umiem stawić czoło przeszłym okropnościom. Bo niełatwo mówić o urodzie świata, kiedy traci się wzrok; męką jest wyśpiwywać

hymny na cześć muzyki, kiedy człowieka z popękanymi bębenkami zawodzi słuch. Podobnie trudno pisać o miłości - a jeszcze trudniej z miłością o miłości - ze złamanym sercem. Swoją drogą, kiepska wymówka; to się przytrafia wszystkim. i trzeba to przezwyciężyć; zawsze trzeba przezwyciężać. Ból i straty to także "norma". Złamane serce? Też mi sensacja.

4. Wynalezienie muzyki

Chociaż nasz niepoczytalnie przystojny i niemożliwie utalentowany protagonista Ormus Kama właśnie wrócił na środek sceny - trochę za późno, by bezzwłocznie wesprzeć młodą damę mogącą winić za swe udręki głównie jego! - muszę na chwilę zatrzymać mknący autobus - tę opowieść - by ułatwić czytelnikowi zrozumienie, jak sprawy mogły przybrać tak pożałowania godny obrót. Zatem wróćmy do sir Dariusza Kserksesa Kamy, ojca Ormusa, który teraz w swej bibliotece przy Nabrzeżu Apollińskim - w pół drogi między sześćdziesiątką a siedemdziesiątką - rozciągnął się na skórzanej, wielce brytyjskiej chesterfieldowskiej sofie; z kryształową szklaneczką i karafką whisky u boku, z przymkniętymi oczami, pogrążony w marzeniach.

Ilekróć tak się pogrążał, marzył o Anglii: a przybierała ona kształt nieskazitelnie białej palladiańskiej rezydencji na wzgórzu nad srebrzyscie wijącą się rzeką; od progu aż po rząd starych wiązków i dębów w oddali rozpościerała się olśniewająca zieleń trawników, z klasycznej geometrii rabat kwiatowych niewidoczni ogrodnicy po mistrzowsku komponowali czteroczęściową całoroczną symfonię kolorów. Białe firanki powiewały w otwartych weneckich oknach okazałego skrzydła - oranżerii. Sir Dariusz w tych marzeniach znowu jest chłopcem w krótkich spodenkach, a rezydencja ciągnie go jak magnes: przez te nieskazitelne trawniki, obok strzyżonych żywopłotów i fontanny ozdobionej tłumem rzeźbionych starorzymskich i starogreckich postaci: kudłatych, występnych bogów, nagich bohaterów ze wzniesionymi mieczami, węży, gwałconych kobiet, poucinanych głów, centaurów. Białe firanki oplatają sir Dariusza, ale uwalnia się, bo gdzieś w tym domu - czesząc długie włosy, śpiewając pełne słodyczy pieśni - czeka dawno utracona matka, którą codziennie oplakiwał i do której piersi łapczywie lgnęło jego rozmarzone jestestwo.

Nie mógł jej znaleźć. Na próżno przeszukał cały dom, spieszenie drobiać przez pełen wspaniałości ciąg pomieszczeń: przez buduary dam-morderczyń z czasów Restauracji, kryjących we wnękach, za flizami zdobnymi w andegaweńskie lilie, sztylety i trucizny; przez barokowe gabinety, gdzie uperukowani arystokraci z perfumowaną chusteczką w dłoni świadczyli łaski oraz szczodropliwości swym cuchnącym, klęczącym klientom protegowanym i gdzie, również z ust wielkich ludzi, tajemnice stanu przedostawały się z sykiem do uszu morderców i złodziei; po wielkich

wyłożonych dywanem secesyjnych schodach, po których w przypiływie osamotnienia i rozpaczycy staczały się zdradzane księżne; przez średniowieczne komnaty o gwiazdnych stropach: izby tortur, gdzie kiedyś wymierzano doraźnie sprawiedliwość, czemu przyglądały się wizerunki wirujących galaktyk i gasnących słońc, sporządzone dłońmi artystów... aż wreszcie dokuśtykał do wewnętrznego dziedzińca tego domu w bieli, gdzie po drugiej stronie basenu wypełnionego ciemną, chłodną wodą widniała naga postać pięknej kobiety o zawiązanych oczach i szeroko rozpostartych ramionach, jakby szykowała się do skoku. Kobieta nie zamierzała jednak nurkować. Jej dłonie zwróciły się ku sir Dariuszowi w geście zaproszenia, on zaś nie mógł się oprzeć, bo już nie był chłopcem w krótkich spodenkach, ale mężczyzną ogarniętym pożądaniem; podbiegł więc do niej, chociaż wiedział, że zniszczy go skandal. Śnił, wyczuwając jednocześnie, że sen opowiada o czymś przywalonym już przeszłością, zakopanym tak głęboko, że sir Dariusz zupełnie zapomniał, o co chodzi.

- Podejź, kochanie - wyszeptła Skandalia i mocno go przytuliła - zbliż się, mój luby sługo Kłamstwa.

Po przebudzeniu - kiedy wspomnienie nagiej piękności z przepaską na oczach nad brzegiem basenu blakło i osuwało się w otchłań spraw niepewnych, na wpół zapomnianych, a whisky rozwiązywała język - sir Dariusz Kserkses Kama wygłaszał tęskne monologi o wiejskich rezydencjach starej Anglii: Boot Magna, Castle Howard, Blandings, Chequers, Brideshead, Cliveden, Styles. W miarę starzenia się, tycia i picia pewne granice w pamięci sir Dariusza zacierały się tak, że ostatnio z trudem już rozróżniał Toad Hall od Blenheim Palace, Longleat od Gormenghast. Równie nostalgicznie odnosił się do rezydencji fikcyjnych, wyśnionych i do najprawdziwszych wiejskich siedzib rodów o "błękitnej krwi", siedzib premierów czy bogatych arystów w rodzaju klanu Astorów. W tych świetnych budowlach, prawdziwych czy urojonych, sir Dariusz widział najdoskonalsze ziemskie przybliżenie raj, na jakie może się zdobyć człowieczy geniusz. Coraz częściej wspominał o przeniesieniu się rodziny do Anglii na stałe. Ormus Kama na dziewiętnaste urodziny dostał od ojca pierwszy tom świeżo wydanej *Historii ludów mówiących po angielsku* sir Winstona Churchilla.

Sir Dariusz, pełen podziwu, kręcił głową.

- Mało mu było wygrać wojnę. Stary buldog przesadził płot i zdobył jeszcze literacką Nagrodę Nobla. Nic dziwnego, że mówią o nim Winnie*.[*- Angielskie *to win* odnosi się i do wygrania wojny, i do zdobycia nagrody] Brytyjska młodzież patrzy

w niego jak w tęczę, stara się iść w jego ślady. Po młodym pokoleniu w Anglii wciąż można się spodziewać rzeczy wielkich. Tymczasem nasza młodzież, smutne przeciwstawienie tamtej - tu sir Dariusz spojrział krzywo na Ormusa - znajduje się w stanie zaawansowanego rozkładu. Stare cnoty: służenie społeczeństwu, branie osobowości w karby, uczenie się na pamięć wierszy, wyborowe władanie bronią palną, radość łowów z sokołem, elegancja tańców, budowanie charakteru przez sport, otóż to wszystko utraciło znaczenie. Te cnoty można odkryć na nowo tylko w kraju ich pochodzenia.

- Tato, na okładce tej książki królowi Anglii sterczy strzała z oka - zauważył Ormus. - Zdaje się, że rasa buldogów musi nadrobić braki w sztuce łucznictwa.

Sir Dariusz dałby się pewnie sprowokować i wyrzucił z siebie następną tyradę, lecz lady Spenta Kama zimno wtrąciła:

- Jeżeli znów ci się przyśniła przeprowadzka do Londynu, bądź pewien, że ja, osobiście, nigdzie się stąd nie ruszę. - Co jak wszelkie proroctwa okazało się nieprawdą.

Ormus nie podjudzał. Nie zakłócając prastarego rytuału rodzicielskich sporów, pętał się po rozległym mieszkaniu przy Nabrzeżu Apollinińskim. Póki był w polu widzenia sir Dariusza, w jego ruchach aż nadto objawiała się podrostkowata nieporadność, apatia; Ormus stanowił wówczas, wypisz wymaluj, okaz zdegenerowania parsyjskiej młodzieży. Lecz poza zasięgiem ojcowskiego wzroku dokonywało się godne uwagi przeistoczenie. Trzeba pamiętać, że od owej nocy - której starszemu bratu, Cyrusowi, niemal udało się udusić w łóżku młodszego - Ormus, urodzony śpiewak, nawet nie otworzył ust, by coś zanucić, i postronny obserwator mógłby z łatwością zauważyć, że ta cała nagromadzona przez lata, nie wyśpiewana muzyka przyprawia teraz Ormusa o dojmujące cierpienia, wręcz mękę; wydawało się, że kiedy Ormus chodzi, te sprasowane, sprężone melodie usiłują wytrysnąć z jego ciała.

Jakże się wił, jak szarpał!

Jeżeli powiem, że Ormus Kama był największym z piosenkarzy, że konkurenci nawet nie dorastali mu do pięt, że jego geniusz przekraczał wszelkie wyobrażenia, to - sądzę - nawet najpowściągliwszy z moich czytelników bez wahania przytaknie. Ormus był czarodziejem muzycznym, przy jego melodiach ulice mogły zawirować, a wieżowce zakołysać się do taktu; był szczerozłotym trubadurem, przed roztańczoną poezją jego tekstów mogły się otworzyć same bramy piekielne; był uosobieniem śpiewaka i

piszącego teksty poety, ale na równi uosobieniem szamana i zaklinacza; stał się nieświętą nienaiwnością tych czasów. Ale we własnym mniemaniu był kimś więcej, bo uważał się - wyobraźcie sobie - za utajonego odkrywcę, za głównego odnowiciela muzyki, która tętni nam w żyłach, włada i porusza nami wszędzie, gdzie się znajdziemy, przemawia sekretnym językiem całego rodzaju ludzkiego, całej naszej spuścizny, nie oglądając się ani na nasze języki ojczyste, ani figury, od których zaczynaliśmy naukę tańców.

Od początku zaręczał, że o lata wyprzedza własny czas.

W chwili, o której teraz mówię, motyl wciąż tkwił w kokonie, nie przepoczwarczony; wieszczba jeszcze nie doszukała się głosu. Jeśli wspomnę - a muszę - o tym mieleniu biodrami, kiedy pętał się po mieszkaniu, o rosnącej dobitności tych wypchnięć miednicy, godnym derwisa wywijaniu ramionami, jeśli się zaczęło rozwodzić nad po dziecinnemu okrutnym wygięciem górnej wargi, splotem grubych, czarnych włosów nad czołem, nad bokobrodami, ściągniętymi żywcem z wiktoriańskiego melodramatu, a zwłaszcza jeśli spróbuję odtworzyć tych parę dziwnych odgłosów, które umiał wydać, tych *uuuu auuuuuu*, tych *ooaaach*, to, co zrozumiałe, możesz, postronny obserwatorze, sprowadzić go do roli ledwie echa, kolejnej figury w legionie sobowtórów, którzy wpieryw wykorzystują - by potem obrócić ją w śmieszność - sławę pewnego młodego kierowcy ciężarówki, urodzonego w lichej budzie w Tupelo, Missisipi, z martwym bliźniakiem u boku.

Nie zaprzeczam, że gdzieś z początkiem 1956 roku dziewczę nazwiskiem Persis Kalamańdża - z którą lady Spenta Kama zamierzała ożenić Ormusa; prawdę mówiąc, lady Spenta przerabiała wówczas ten temat *zperę* i *merę* Kalamańdzami energicznie a natarczywie - pewnego dnia zaprowadziło Ormusa do sklepu muzycznego Rhythm Center w bombajskim Forcie; do owego skarbcza z podrabianymi klejnotami, z czadami i pościelówkami starszego pokolenia, kawałkami przebrzmiałymi, podpacykowanymi, farbowanymi i utupetowanymi, wśród których jakimś cudem trafiały się prawdziwe perełki, może za sprawą marynarzy schodzących na przepustkę z tej czy owej zacumowanej w porcie amerykańskiej bojowej łajby. W kabinie do odsłuchiwania, w nadziei, że olśni kulturalnym obyciem swego przyszłego (bo dziewczęciu bardzo przypadł do gustu pomysł małżeństwa z chłopakiem - jak już wspomniałem, a pewnie znajdzie okazję, by z zawiścią nieraz powtórzyć - o nieodpartej wręcz słodczy rysów), Persis z zapalem przegrała Ormusowi nową, a już trzeszczącą płytę na 78 obrotów; wtedy to ku jej głębokiej (niestety krótkotrwałej) satysfakcji oczy

młodego człowieka rozszerzyły się z przerażenia albo miłości, zresztą jak oczy pierwszego lepszego nastolatka, który w głosie Jesse'ego Garona Parkera śpiewającego *Heartbreak Hotel* usłyszał swe własne, nie wyrażone udręki, apetyty, osamotnienie i marzenia.

Lecz Ormus nie był zwykłym nastolatkiem. To, co Persis wzięła - mylnie - za błogie oczarowanie, było w rzeczywistości przyływem furii ogarniającej Ormusa jak fala zarazy. Już w połowie piosenki nie umiał się powstrzymać.

- Kto to? - wybuchnął. - Jak się nazywa ten cholerny złodziej?

Wypadł z kabiny, jakby w przekonaniu, że zdoła dopaść śpiewaka i capnąć za kołnierz, byle nie zwlekać. Tymczasem stanął naprzeciw wysokiej, rozbawionej dziewczyny, dwunasto, może trzynastoletniej, ale jak na nich dojrzałej aż nadto, ubranej w workowaty trykot, głoszący przywiązanie do jakichś nieznanych nowojorskich Gigantów.

- Złodziej? - zagadnęła. - Mówi się o nim różnie, fakt. Ale jeszcze nie słyszałam, że złodziej.

O tym pierwszym spotkaniu Winy Apsary z Ormusem Kamą krążą dziś najrozmaitsze opowieści zrodzone w oparach mitologizowania, falsyfikowania, mutowania, deprecjonowania, z biegiem lat spowijających dzieje tej pary; zależnie od tego, jaką gazetę brało się do ręki, można było wyczytać, że oto Ormus przeistoczył się w białego byka i porwał Winę na grzbiecie, tymczasem ona, nucąc radośnie, zacisnęła dłonie w przyływie erotycznej rozkoszy na jego dwóch długich, lśniących i zakrzywionych rogach; albo że przybyła, ni mniej, ni więcej, z bardzo, ale to bardzo odległej galaktyki, dlatego mianowicie, że udało jej się, obcej, zidentyfikować Ormusa jako najdoskonalszy na planecie okaz ludzkiego samca, spłynęła więc z wyżyn jak promienisty obłok, by wylądować przed Ormusem w Bramie Indii, z zaziemskim kwiatem w dłoni. Natomiast liczni komentatorzy odrzucają historię spotkania w Rhythm Center jako "apokryf"; jest zbyt wymyślna, grymaszą, zbyt banalna, obraca się wokół napisania piosenki, co w ogóle znaczy? Ponadto, dodają ci cynicy, gdyby ktoś zechciał dalszych dowodów, że to bujda na resorach, wystarczy ustalić fakty. Historyjka byłaby wtedy sensowna, gdyby uznać, że ów Ormus Kania z loczkami na łbie, bokobrodami i kręcieniem biodrami nigdy w życiu nie słyszał o panującym wówczas królu rock'n'rolla.

- Rok 1956, nie ma co do tego kwestii - drwią krytycy. - A w 1956 o Jesse'em Parkerze słyszeli nawet papież i sam Księżyc.

Lecz w owych czasach w Bombaju elektronika dopiero raczkowała. Nie było telewizji, a monumentalne radioodbiorniki znajdowały się pod ścisłym nadzorem rodziców. Dodajmy, że radiofonii państwowej, Rozgłośni Wszechindyjskiej, nie wolno było nadawać muzyki rozrywkowej z Zachodu, a repertuar kalkuckiej Dum Dum, jedynej w Indiach wytwórni tłoczącej zachodnie płyty, sprowadzał się do wybranych kawałków Placida Lanzy czy ścieżki dźwiękowej *Tomcia Palucha* nakręconego przez MGM. Czasopisma też były parafiańskie. Nie przypominam sobie, żeby jakiś miejscowy magazyn showbiznesu zamieścił kiedyś zdjęcie amerykańskiej gwiazdy piosenki, najwyżej trafiały się w dziennikach. Ale, rzecz jasna, sprowadzano magazyny amerykańskie i Ormus mógł sobie obejrzeć zdjęcia Jesse'ego Parkera (może nawet z tym złowieszczym typem, menedżerem "Pułkownikiem" Tomem Presleyem) w "Photoplay" czy "Movie Screen". W tym roku wszedł też na ekrany pierwszy film Jesse'ego, dozwolony dla dorosłych *Treat Me Tender*, grany w kinie New Empire. Mimo to Ormus upierał się, że o Parkerze usłyszał dopiero w sklepie Rhythm Center, a wcześniej nie widział nawet fotografii faceta; zawsze twierdził, że jego jedynym guru, jeśli chodzi o styl, był zmarły bliźniak, Gajomart, który po prostu odwiedza go w snach.

Zatem będę zawsze obstawał przy mojej historyjce o sklepie z płytami, choćby dlatego, że setki razy słyszałem, jak Ormus i Wina powtarzali ją w latach wielkiej miłości, roztrząsając z upodobaniem, jak to wtedy było, w kabinie czy przed nią, wracając do tego bądź innego szczegółu. Każda kochająca się para żywi sentyment do opowieści o pierwszym spotkaniu, a oni nie stanowili wyjątku. Dlatego jednak, że bez reszty umieli oddać się mitologizowaniu siebie - tacy już byli, trzeba przyznać - w opowieści zabrakło pewnego istotnego szczegółu: ze wspomnień została całkowicie wyrugowana panna Persis Kalamańdża. Teraz mogę naprawić tę niesprawiedliwość. Więc przed oblicze sądu wzywam mego świadka, zdruzgotaną pannę K.

Nieszczęsna Persis, której kochające serce już wrywało się ku Ormusowi, straciła w Rhythm Center dużo więcej niż udany dzień. Straciła po prostu Ormusa Kame, a z nim całą swą przyszłość. Kiedy oko w oko stanęli Ormus i Wina, dla Persis wszystko przepadło, to było jasne, starczył ułamek sekundy. Tamci jeszcze się nie dotknęli, jeszcze nie poznali swych imion, a już ich oczy wdały się w uprawianie miłości. Persis przekonała się potem, kiedy Ormus ją rzucił, że istota ludzka może jednocześnie wierzyć w dwie wykluczające się rzeczy. Bo jeszcze długo wierzyła, że Ormus wróci, na pewno, kiedy się zorientuje, że wzgardził miłością nad miłościami, o

ileż prawdziwszą od wszystkiego, co może dać to dziecko z Ameryki; a zarazem wiedziała, że nie wróci. Te dwie perspektywy, jakby nakreślone przez cząstki o przeciwnych ładunkach, sparaliżowały ją; nigdy nie wyszła za mąż, a Ormusa kochała do końca, kiedy to - po ciągu katastrof - dostałem od niej list. Wciąż w jego władzy, nawet gdy już nie żył, biedna Persis otworzyła na papierze serce przede mną, pismem eleganckim, wyrobionym, świadczącym o mocnej osobowości. Nawet ta budząca respekt kobieta okazała się bezbronna wobec nagiej siły Ormusa Kamy, wobec jego zdolności wzbudzania pożądania, skrajnych napięć, wobec jego czaru, mimowolnego okrucieństwa, wobec jego życia. Zniszczył ją i wyrzucił z pamięci. Oboje tak postępowali z ludźmi, Wina też, jakby ogrom uczucia zwalniał ich z obowiązku zwykłej przyzwoitości, troski o innych, odpowiedzialności. Doznałem tego wszystkiego od Winy. Co wcale nie pozwoliło mi się od niej wyzwolić.

“Najgorsze to - pisała Persis - że mnie wymazał, wytarł jak gumką, jakby w ogóle nie było mnie na obrazku, jakbym nie istniała, jakbym go nie zabrała tam owego dnia, jakby to nie zaczęło się ode mnie”.

Pisząc odpowiedź, próbowałem ją pocieszyć, jak umiałem. W żadnej mierze nie jest jedynie częścią historii Ormusa i Winy, którą oboje usiłowali wymazać. Z racji życia wystawionego na widok publiczny, pędzonego w świetle reflektorów, postanowili zataić korzenie, zrzucić z siebie przeszłość jak skórę i Persis została odrzucona wraz z całą resztą; można właściwie powiedzieć, że nie było w tym nic osobistego. Tak właśnie napisałem Persis, chociaż w duchu byłem przekonany, że w jej wypadku przeciwnie, mogło to wynikać ze względów osobistych aż nadto. Winę i Ormusa wyobrażałem sobie niekiedy jako parę klęczącą przed ołtarzem własnej miłości, o której mawiali w najpodnioslejszych słowach. Nigdy na ziemi nie było takich kochanków ani uczuć o podobnej głębi, potędze, nie znanych innym śmiertelnikom... Zatem współudział obcej kobiety w pierwszym spotkaniu boskich **amantów** był szczególnie, który bóstwa wołały ukryć.

Lecz Persis po prostu istniała; wciąż jest. Ormusa ani Winy nie ma, a Persis - i ja - jesteśmy częścią tego, co po nich zostało.

W sklepie z płytami, kiedy Ormus i Wina pożerali się wzrokiem, ba, już kochali się oczami, Persis podjęła obronę swych terytoriów.

- Słuchaj, gówniaro - syknęła - czy na wagary nie uciekłaś przypadkiem z przedszkola?

- Przedszkole gdzieś mi wciąło, babciu - odpaliła Wina i odwróciła się plecami do dziedziczki rodu Kalamańdża; za to Ormus mógł się pławić w potokach podziwu spływających z jej wilgotnych, wlepionych w niego oczu. Półprzytomnie, jak lunatyk, odpowiedział na pytanie:

- Mówię, że złodziej, bo złodziej. To moja piosenka. Napisałem ją parę lat temu. Jeśli chcesz wiedzieć, dokładnie dwa lata, osiem miesięcy i dwadzieścia osiem dni.

- Daj spokój, Ormi - Persis nie oddawała pola. - To nagranie wypuścili ledwie przed miesiącem i to w Ameryce. Trafiło tu ze statku, jeszcze ciepłe.

Lecz Wina zanuciła inną melodię, a oczy Ormusa znowu załśniły.

- Skąd to znasz? - chciał się koniecznie dowiedzieć. - Jak ktoś ci mógł zanucić piosenkę istniejącą tylko w mojej głowie?

- Pewnie napisałeś i tę - prowokowała Wina i zanuciła trzeci urywek. - I jeszcze tę. I tę.

- Zgadza się, wszystkie - odpowiedź brzmiała najpoważniej w świecie. - To znaczy muzykę i samogłoski. Bo te powykręcane słowa mogą być kogoś innego. Piosenka o *blue shoes*? To dopiero bakwas, słowo daję! Ale układ samogłosek jest mój.

- Kiedy już będziemy po ślubie, panie Ormusie Kamo - Persis Kalamańdża zacisnęła rękę na jego ramieniu i podniosła głos - zacznie się pan zachowywać znacznie sensowniej.

Na dźwięk tej reprimendy rozbawiony obiekt jej uczuć po prostu roześmiał się jej w twarz. Odtrącona Persis z płaczem zbiegła z miejsca poniżenia. Wszczęta została procedura wymazywania jej z obrazka.

Wina od początku i bez zastrzeżeń zaakceptowała wieszczki status Ormusa. Uznała, że nie ma wyboru: może mu tylko wierzyć, kiedy tak spontanicznie, z przejściem komunikuje, że jest prawdziwym autorem piosenek, przed którymi właśnie padano na kolana.

- Albo rzeczywiście jest, pomyślałam - powiedziała mi wiele lat później - albo niebezpiecznie świruje; ale jak na tamte klimaty i moje życie w Bombaju, to tkwienie w łapach starego wujka Pilu, uznałam, że chłopak świrus będzie dla mnie w sam raz.

Po ucieczce Persis przez chwilę wisiała nad nim chmura zakłopotania; wówczas Wina - by podtrzymać zainteresowanie mężczyzny, do którego życia właśnie dołączyła po cichu własne - zapytała, czy Ormus zna historię wynalezienia muzyki.

Dawno, dawno temu wodami i powietrzem władał pierzasty wąż Quetzalcoatl, a ziemią bóg wojny. To do nich należały bujne dni, pełne bitew i zmagań, ale nie znające muzyki; obu im było tęskno za jakąś przyzwoitą melodią. Bogu wojny nie dostawało mocy, by zmienić sytuację, ale nie pierzastemu wężowi. Quetzalcoatl pofrunął ku domowi słońca, który był siedzibą muzyki. Wąż mijął planety jedną po drugiej, każda wydawała dźwięki, wąż wsłuchiwał się w nie, ale co z tego, skoro nigdzie nie było muzyków. W końcu dotarł do ich schronienia, do domu słońca. Wtargnięcie węża spowodowało straszliwy wybuch słonecznego gniewu, ale Quetzalcoatl nie przejął się i rozpętał potężne burze, co stanowiło jego specjalność. Nawałnice okazały się tak niesamowite, że nawet dom słońca się zatrzęsł, a wystraszeni muzycy zaczęli uciekać i rozpierzchli się na wszystkie strony. Paru zaś spadło na ziemię i w ten sposób, dzięki pierzastemu wężowi, mamy muzykę.

- Skąd ta historia? - spytał Ormus. Był zafascynowany.

- Z Meksyku. - Wina podeszła do Ormusa i bez cienia wstydu ujęła jego dłoń. - Ja jestem skrzydlatym wężem, to jest dom słońca, a ty, ty jesteś muzyką.

Ormus wpatrywał się w tę dłoń w dłoniach Winy; poczuł, że coś z niego umyka, pierzcha, może cień tej poduszki, którą dawno temu brat zdusił w nim głos.

- A chciałabyś kiedyś posłuchać, jak śpiewam? - Sam zdumiał się tym pytaniem. - Może jutro?

Czym jest "kultura"? Zajrzyjmy do słownika. "Grupa drobnoustrojów hodowanych na pożywcę pod kontrolą". Po prostu kłębowisko zarazków na szklanej płytce, laboratoryjne doświadczenie, które mieni się społeczeństwem. Większość z nas, kłębiących się na tej płytce, nieźle się bawi; godzimy się nawet na poczucie dumy z "kultury". Jak niewolnicy głosujący za niewolą bądź mózgi za lobotomią, padamy na kolana przed bogiem wszystkich kretyńskich drobnoustrojów i modlimy się, byśmy zostali zhomogenizowani albo zabici, albo poddani naukowej obróbce - i przyrzekamy posłuszeństwo. Lecz jeśli Winę i Ormusa też uznać za bakterie, to nie za parę zarazków, którym w życiu to starczy, co skapnie. Sposobem na zrozumienie ich historii (nie jedynym) jest opisanie jej jako stworzenia na zamówienie dwóch tożsamości, przy czym te tożsamości skroją sobie sami użytkownicy. Reszta z nas bierze tożsamości z haka, gotowe, jak konfekcję, nasze religie, języki, uprzedzenia, zachowania, zajęcia; ale Wina i Ormus upierali się przy, że tak powiem, nie *haut*, lecz *auto-couture*.

A muzyka, ta popularna, była tu kluczem otwierającym wrota krain zaczarowanych.

W Indiach często się mówi, że tego rodzaju muzyka, właśnie pop, to jeden z wirusów, którymi wszechmocny Zachód zatruwa Wschód; jedna z potęg w arsenale imperializmu kulturalnego, z którym wszyscy zdrowo myślący ludzie muszą walczyć do upadłego. Więc z jakiej racji mamy układać peany na cześć takich zdrajców kultury jak Ormus Kama, który sprzeniewierzył się korzeniom, a swój żaloszny żywot poświęcił na wlewanie naszym dzieciom w uszy amerykańskich pomyj? Po co wysoko windować kulturę niską, wynosić pod niebiosy parter? Po co bronić, jakby była zaletą, jakiejś nieczystości, skazy?

Tak wyglądają szkaradne wygibasy zniewolonych drobnoustrojów, wijących się i syczących w obronie nienaruszalności ich świętej ojczyzny, owej szklanej laboratoryjnej płytki.

Zawsze i niezachwianie Ormus i Wina twierdzili, że objawienie się geniuszu Ormusa Kamy nie było ani reakcją na Amerykę, ani naśladowaniem Ameryki; ta jego wczesna muzyka, która rozpierała mu głowę w latach wyzutego ze śpiewu dzieciństwa, nie była zachodnia, lub najwyżej w takim stopniu, w jakim zachodni był Bombaj od samego początku, stary a nieczysty, w którym Zachód, Wschód, Północ i Południe zawsze były wymieszane jak jajka na patelni, jak cyfry w szyfrach; w tym sensie zachodniość była nieoddzielną, prawowitą, bombajską częścią Ormusa.

Twierdzenie zdumiewało: jakoby muzyka dotarła do Ormusa, zanim trafiła do studia Sun Records, do Brill Building czy Cavern Club. Że to on ją najpierw usłyszał. Rocka, muzykę miasta, terażniejszości, przekraczającą granice, należącą do każdego na równi - ale przede wszystkim do mego pokolenia, bo rodziła się, kiedy byliśmy dziećmi, przyszczate lata przeżyła, kiedy byliśmy nastolatkami, razem z nami dorosła, dorobiła się brzucha i łysiny; i właśnie ona miała rzekomo po raz pierwszy objawić się chłopcu z Indii, parsowi nazwiskiem Ormus Kama, który wszystkie te piosenki usłyszał wcześniej niż ktokolwiek inny - o dwa lata, osiem miesięcy i dwadzieścia osiem dni. Zatem zgodnie z odmienną wersją historii autorstwa Ormusa i Winy, pochodną ich alternatywnej rzeczywistości, my, bombajczycy, możemy utrzymywać, że to naprawdę nasza muzyka, urodzona w Bombaju jak Ormus czy ja, żaden tam "produkt zagraniczny, przeciwnie, *made in India* i niewykluczone, że to obcokrajowcy go nam skradli.

Mówiąc nawiasem, po dodaniu dwóch lat, ośmiu miesięcy i dwudziestu ośmiu dni otrzymamy (jeżeli w grę nie wchodzi rok przestępny) tysiąc i jedną noc. Ale 1956 akurat był przestępny. Wyobraźcie sobie! Te diabłem podszyte porównania nie zawsze funkcjonują, jak należy.

Jak mogło się zdarzyć coś podobnego?

Cierpliwości, na odpowiedź trzeba trochę poczekać, aż Ormus Kama wróci do domu oszołomiony radością (po spotkaniu z tą smarkatą nimfetką Winą Apsarą) i zgrozą (po odkryciu, że Jesse Parker, Jack Haley z Meteorami i różni inni trzaskający palcami, zepsuci jankesi z loczkami na czołach dopuścili się “kradzieży” jego potajemnej muzyki). Z odpowiedzią trzeba poczekać, aż Ormus stawi czoło dociekliwości swej matki i zarazem swatki, która koniecznie chce wiedzieć, jak poszło z “przemilą Persis, to taka zdolna dziewczyna, a ile ma zalet, umiejętności, jaka obowiązkowa, zawsze na miejscu, wykształcona, ma takie dobre stopnie w Matric and Senior Cambridge, a na swój sposób całkiem ładna, prawda, złotko?”, który to dość powierzchowny panegiryk Ormus skwituje wzruszeniem ramion. Potem musi pokręcić się leniwie po jadalni, gdzie zgrzybiały służący odgrywa polerowanie srebrnego świecznika z kredensu; to Gieve, ów dostojny kleptomani, którego ojciec Ormusa przejął po wyjeździe Williama Methwolda, chlubiący się teraz - dzięki żywionemu przez sir Dariusza umiłowaniu nieśmiertelnej Plaży lorda Emswortha - tytułem “butlera”, a który od lat niespiesznie kradnie rodzinne srebra. (Do ich przepadania dochodziło tak rzadko i niepostrzeżenie, że lady Spenta Kama, wiedzona przez Anioła Dobrego Umysłu - żeby nie wspomnieć o Aniele Ślepej Głupoty - przypisywała te zniknięcia własnemu niedbalstwu. W końcu został tylko ów świecznik i niewiele więcej, a chociaż Ormus doskonale wiedział, kto kradnie, to nigdy nie wskazał rodzicom złodzieja, żywiąc wyniosłą pogardę wobec posiadania dóbr materialnych.) Lecz - wreszcie! - Ormus musi wejść do swego pokoju, więc wchodzi, rozciąga się na łóżku, kieruje wzrok ku górze, patrzy w obracający się wolno wentylator pod sufitem i - teraz! - daje się nieść marzeniom. Pokój zasnuwa cień. To sławetna “Kama obscura”, zapadanie się w siebie, ciężąca na rodzinie klątwa, którą on i tylko on umie się tak posłużyć, by obrócić ją w dar.

Bawi się w myśli pewną sztuczką. Wpatrując się w ów wiatrak, może “zmusić” pokój, by się obrócił “do góry nogami”, wtedy Ormusowi wydaje się, że leży na suficie, na wiatrak spogląda z góry, a wiatrak wyrasta z podłogi jak metalowy kwiat. Potem Ormus potrafi zmienić skalę przedmiotów: wiatrak spotężnieje do gigantycznych

rozmiarów, wówczas Ormus umie sobie wyobrazić, że pod nim siedzi. Gdzie? (Zamyka oczy. Ma wrażenie, że purpurowe znamię na lewej powiece drga i pulsuje.) To jakaś oaza wśród piasków, Ormus rozciągnął się w cieniu smukłej palmy daktylowej, jej koroną leniwie kołysze ciepły powiew. A teraz, mocą jeszcze głębszych marzeń, Ormus zaludnia ten pustynio-sufit: wielkie samoloty lądują na pasie, którym jest szyna podtrzymująca zasłony. Z maszyn wylewa się cała ta ochrypla różnorodność czarodziejskiej metropolii: drogi, wieżowce, taksówki, uzbrojeni policjanci, gangsterzy, dziwacy, pianiści z papierosem w kąciku ust przyklejonym do wargi, komponujący piosenki dla cudzych żon, stoły, które obsiedli pokerzyści, wielkie sale, w nich gwiazdy estrad, koła fortuny, drwale, którzy chcą przepuścić pieniądze, i kurwy, które chcą uskładać na ten butik w rodzinnym miasteczku.

Już się nie wyleguje w oazie, rażą go światła wielkiego miasta, stoi przed jakimś budynkiem, może teatrem, kasynem lub innym świeckim przybytkiem rozkoszy. Daje nura do środka i oto nagle wie, kogo szuka. Jest w stanie dosłyszeć brata, którego głos brzmi anemicznie, ale dobiega gdzieś z bliska. Zmarły śpiewa Ormusowi, lecz Ormus nie może rozgryźć piosenki.

- Gdzie się wybierasz, Gajo? - woła Ormus. - Poczekaj na mnie. Już idę!

W pomieszczeniu roi się od ludzi, wszyscy zbyt się śpieszą, wydają za dużo pieniędzy, całują zbyt lubieżnie, jedzą za szybko, więc po brodach ścieka im sok z mięsa, keczup, walczą, nie wiadomo o co, śmieją się za głośno, krzyczą zbyt chrapliwie. Na końcu sali rozpościera się wielki srebrny ekran, dzięki czemu to wielkie pomieszczenie napelnia lśniąca poświata. Ludzie co pewien czas unoszą tęsknie wzrok ku ekranowi, jak ku bogu, lecz potem z politowaniem kręcą głowami i wracają do imprezy dziwnie nasączonej melancholią. A wytwarzają atmosferę niezupełności, jakby nie do końca doznawali istnienia. Żołnierze, którzy chępią się swymi wyczynami przed narzeczonymi. Blondyna z bajecznym dekoltem, która w nieskazitelnej wieczorowej sukni brodzi w fontannie. W kącie rycerz wracający z krucjaty gra ze śmiercią w szachy, a w innym japoński samuraj rozpaczliwie usiłuje się podrapać w swędzące a niedosiężne miejsce. Na zewnątrz, na ulicy blond piękność o krótko ostrzyżonych włosach sprzedaje egzemplarze "Herald Tribune".

Gajomart Kama przeciska się przez to zgromadzenie jak mroczny cień, który oderwał się od swego dawcy - i śpiewa nie rozpoznaną pieśń. Ormus usiłuje doścignąć brata, ale łysy policjant ssący lizaka, dwaj idiotyczni, mówiący wierszem indiańscy klauni i boss podziemia z policzkami wypchanymi kłębkiem waty odpychają go i

zastawiają mu drogę. Na moment ich spojrzenia zastygają na postaci Ormusa, jakby gorączkowo pytały. *To wreszcie ty!* Chcą się dowiedzieć. *Jesteś w mocy wybawić nas z tego okropnego miejsca, tej poczekalni, tego czyścica, masz w ręku klucz do srebrnego ekranu?* Lecz nagle pojmują, że nic im po Ormusie, jest bezużyteczny, to nie ten, i znów ruszają w zomboidalne tańce.

Gajomart prześlizguje się przez drzwi po drugiej stronie sali, Ormus przedziera się za nim. Mknie w dół po schodach, jednych, drugich, niżej świetności ubywa, przybywa mroku. Sala nie zagranych ról teatralnych już nie jest tak wspaniała jak hali niedoszłych postaci filmowych i telewizyjnych, a jeszcze bardziej tandetne są salon przyszłych zdrad i bar nie wymyślonych książek; i wreszcie jest zaułek nie popełnionych zbrodni, a w końcu wąskie żelazne schodki prowadzące w dół, w gęstą jak smoła ciemność: Ormus wie, że bliźni brat jest tam w dole, ale czuje zbyt wielki lęk i nie waży się schodzić.

Siedzi w tym świecie-rojeniu na najwyższym stopniu schodów, wpatruje się w ciemność, lśni purpurowa plamka na powiece, to przez trudy szukania zaginionego brata, jego drugiego ja, cienia tkwiącego w ciemności; Ormus słyszy, jak Gajo śpiewa te swoje piosenki. Ma ładny głos, nawet duży, dźwięczny; absolutnie czysty, o ogromnej skali, panuje nad nim z łatwością, formuje dźwięk jak majster. Ale jest za daleko; Ormus nie może zrozumieć słów. Wyławia tylko samogłoski.

Nic nie znaczący bełkot. Nonsens.

Ikik iei ejii, ekieiek iia ej uu ik, iei uk ii euu ouu ooui ee oo... eey ouik...

W dwa lata, osiem miesięcy i dwadzieścia osiem dni później wybiegł z kabiny sklepu z płytami w Bombaju, w której usłyszał te same dźwięki, płynące tym razem z gardła nowego amerykańskiego dziwu, tej pierwszej i olśniewającej gwiazdy nowej muzyki, a mimo oszołomienia i wściekłości zdołał jeszcze wewnętrznym okiem dostrzec wyraz twarzy tych cieni spotkanych w podziemiu z rojeń, tę melancholię i rozpacz owych para-istot, tak pragnących zaistnieć, a ogarniętych lękiem, że nigdy nie nadejdzie ich wielki dzień; i wiedział, że na jego twarzy widnieje to samo piętno, ponieważ jego serce kasał ten sam lęk, **ktoś właśnie kradnie mu miejsce w historii**, a ów widoczny stan nagiego lęku sprawił, że Wina chwyciła jego drżącą dziesiętnastoletnią rękę i mocno zacisnęła swymi przedwcześnie dojrzałymi dłońmi.

Chociaż należę do ludzi najmniej podatnych na wiarę w rzeczy nadprzyrodzone, to w wypadku tej niesłychanej opowieści nie mam wyboru: mogę w nią tylko wierzyć.

Trzy osoby, dwoje żywych i zmarły - czyli kochanka Wina, ojciec sir Dariusz Kserkses Kama i widmowy brat Gajomart - odpowiadają za to, każda z osobna, że w końcu nastął dzień Ormusa. Rysy Gajo z wywiniętą wargą posłużyły Ormusowi do wymodelowania własnej, zmysłowej i mrocznej maski, a wciąż nie wypowiedziane pieśni Gajomarta, te diablodie dobiegające z piekielnych mroków, stały się Ormusową muzyką. Ormus odnalazł w Gajo tego Drugiego, w którego przeobrażał się w marzeniach, odnalazł swe ciemne ja, które pierwsze było paliwem jego sztuki.

O roli Winy w tej Ormusowej historii wkrótce powie się dużo więcej. A jeśli chodzi o sir Dariusza - który w oparach whisky na skórzanej kanapie chesterfield śnił o Anglii, a na jawie tęsknił do wymaginowanych rezydencji - to Ormus odziedziczył po nim zdolność do intensywnego życia marzeniami. Więcej, syn dzielił z sir Dariuszem rozczarowanie rodzinnym miastem. Odziedziczył ojcowską gorycz. Ale wyśnioną ziemią Ormusa nie była nigdy Anglia. Żadna tam biała rezydencja, lecz ów inny budynek, miejsce pełne światła i strachu, kalkulacji i niebezpieczeństw, władzy, podziwu, miejsce, gdzie czeka na narodziny przyszłość. Ameryka! Ameryka! To ona miała go osiąść, ona go wabiła, jak tyłu z nas, a my jak Pinokio na Wyspie Szczęścia, jak te wszystkie osiołki, ryczeliśmy z radości, kiedy nas pożerała.

Hej-ho!

Ameryka Uwodzicielka, to Wcielenie Siły Przyciągania, i mnie szeptała coś do ucha. Lecz jeśli chodzi o Bombaj, miasto, które mieliśmy rzucić, nigdy nie było zgody między Ormusem i mną. W jego oczach Bombaj zawsze był na swój sposób dziurą, wiochą słomą krytą. Prawdziwie metropolitalnych estrad dużego kalibru umiał dopatrzeć się wszędzie: w Szanghaju, Tokio, Buenos Aires, w Rio, a przede wszystkim w bajkowych miastach Ameryki, o upstrzonej wieżyczkami architekturze, z przeogromnymi raketami startującymi na Księżyc i tymi gigantycznymi strzykawami (opatrzonymi igłą do podskórnej iniekcji) wznoszącymi się nad ulicami podobnymi do lochów. Dziś nie uchodzi takie jak wówczas mówienie o miastach typu Bombaju jako peryferiach; podobnie jak ówczesne określanie tęsknot Ormusa, Winy czy moich, jako skutków działania jakiejś siły dośrodkowej. Niemniej, tym, co kierowało Ormusem i Winą, było zdążanie do centrum, trudno i darmo.

Moje powody były inne. Do wyjazdu skłoniły mnie klaustrofobia i nadmiar, nie pogarda. Bombaj aż do przesady należał do Vivvy'ego i Amir, moich rodziców. Był

przedłużeniem ich ciał, a po śmierci - dusz. Mój ojciec Vivvy tak bardzo wielbił na równi moją matkę i Bombaj, że czasem w żartach mawiał o sobie jako poligamiście, natomiast o matce jako metropolii, rozprawiał o jej fortyfikacjach, esplanadach, drożności szlaków komunikacyjnych, nowych osiedlach, stopie przestępczości. Niegdyś sir Dariusz przyrównał do Bombaju siebie, uznając się za arcyanglofilski wytwór miasta zbudowanego przez Brytyjczyków; lecz miasto-serce Vivvy'ego nie miało nic wspólnego z Dariuszowym. Należało do żony, do Amir.

Wielu młodych ludzi opuszcza dom w poszukiwaniu samych siebie; ja, by wydostać się z rodzicielskiego ciała, z Łonbaju, musiałem przemierzyć oceany. Uciekłem, by się narodzić. Lecz jak palacz zrywający po latach z nałogiem nigdy nie zapomniałem smaku porzuconej trucizny ani tego jej kopa. Proszę, jeżeli chcecie, wyobraźcie sobie żmudnie skonwencjonalizowane (i opętane zagadnieniami matrymonialnymi, a tak) przykładowe społeczeństwo z powieści Jane Austen i przeschecpcie je do plennego, cuchnącego Londynu Dickensa, pełnego chaosu i niespodzianek jak zgniła ryba wijącego się robactwa; wlejcie to w shaker z koktajlem z araku, piwa imbirowego i lemoniady i potrząśnijcie; teraz zabarwijcie purpurą, cynobrem, szkarłatem, cytryną, przybierzcie kurwami i złodziejami - a otrzymacie coś w rodzaju mego przesławnego rodzinnego miasta. Porzuciłem je, fakt; ale zwało z nóg, to usłyszycie ode mnie zawsze.

(Były też inne powody, szczerze powiedziawszy. Na przykład groźby pod moim adresem. Nieporzucenie mógłbym przypłacić życiem.)

Teraz ta moja historia zaczyna przeć w przeciwne strony, i w przód, i w tył. Napieranie naprzód, któremu właśnie muszę ulec (jeśli narrator je bagatelizuje, zawsze popada w niebezpieczeństwo), to po prostu impet zakazanej miłości. Bo jak dwudziestojednoletni niemiecki poeta Novalis, "ten, który odsłania nowe obszary", raz tylko spojrzawszy na dwunastoletnią Sophie von Kuhn, przesądził w mgnieniu oka o swym losie, bo popadł w niedorzeczną miłość, za którą podążyły gruźlica i romantyzm, tak Ormus Kama, najprzystojniejszy chłopak w całym Bombaju (choć nie był najbardziej pożądaną partią, z racji cienia, który rzuciła na rodzinę historia z Ardawirafem), zakochał się w dwunastoletniej Winie; padł, jakby ktoś go solidnie wyrzwał w plecy.

Ale miłość Ormusa i Winy nie była niedorzeczna. Co to, to nie. Wszyscy

wypełnialiśmy ją znaczeniami, była kopalnią znaczeń; podobnie ich śmierci.

- Prawdziwy dżentelmen - z niekłamaną dumą mawiała dorosła Wina; ona, która gustowała w najokropniejszych kreaturach, najpokrętniejszych, najmniej dżentelmeńskich typach, jakie nosiła ziemia! - Kiedy spotkaliśmy się po raz drugi - ciągnęła - wyznał mi miłość, a także uroczyście przysiągł, że mnie tknie dopiero po moich szesnastych urodzinach. Nazajutrz. Ten mój Ormus, z jego przysięgami! - Podejrzywałem, że wybiela przeszłość i mówiłem o tym mnóstwo razy, co zawsze ją drażniło. - Co innego doświadczenie skrajności - warczała. - I tu znasz moje poglądy: bezwarunkowo jestem za! A że ich sama chciałam doświadczać? Po to, żeby nie czytać o nich tylko w gazecie. Ale nie byłam żadną Lolitą Bombaju. - Kręciła głową, zła na siebie, że się złości. - Opowiadam ci o czymś pięknym, ty sukinsynu. Mówię, że trzeba było ponad trzech lat, żebym znów mogła go wziąć za rękę! Nic, tylko śpiewaliśmy. I jeździli tymi cholernymi tramwajami - tu roześmiała się; temu wspomnieniu nigdy nie mogła się oprzeć, tu opadał z niej gniew. - Dingding! - wydzwaniała. - Ding!

Kto słyszał teksty Ormusa Kamy, wie, że w centrum swej ikonografii Ormus umieścił tramwaje. Ten motyw powraca wielokrotnie, z ulicznymi komikami, karciarzami, kieszonkowcami, czarodziejami, diabłami, związkowcami, kapłanami zła, handlarkami ryb, zapaśnikami, arlekinami, włóczęgami, odmieńcami, kurwami, zaćmieniami słońca, motocyklami, tanim ciemnym rumem; a tramwaje nieuchronnie zmierzały ku miłości. Twa miłość pędzi na mnie i nie ma przed nią ucieczki, śpiewał. Och, rozjedź na dwoje to moje uziemione serce, och, rozjedź mnie jak winogrono. Wszystko mi jedno. Ono jest mną. Najedź mnie tym tramwajem, dziecińco, a ja ci go wykoleję.

To tramwaje bombajskie, teraz już w remizach przeszłości, oplakiwane najboleśniej przez tych, którzy pamiętają długie wodzenie się Winy i Ormusa; ona ucieka na wagary, on bez słowa opuszcza mieszkanie przy Nabrzeżu Apollińskim. A młodych ludzi trzymano wówczas krótko, dzień porachunku był nieunikniony, ale tymczasem oboje godzinami - a każda zaczarowana - włóczyli się po mieście i dowiadawali nawzajem swoich historii. Ja także - wreszcie! - mogę cofnąć się w przeszłość; w przeszłość Winy. I stosownie do innych potrzeb mojej opowieści, przedkładałam teraz, publicznie, ogółowi ku konsumpcji, zapis tego, co Wina szeptała przyszlęmu kochankowi do ucha.

Wyrastanie złej dziewczyny. Na świat przyszła jako Nissa Shetty, chowała się w

chacie w środku pola kukurydzianego koło Chester, stan Wirginia, na północ od Hopewell, między Screamersville i Blanco Mount, przy drodze wijącej się donikąd na wschód od szosy 295. Kukurydza z wszystkich stron, w tle kozy. Helen, jej matka, amerykańska Greczynka z dołów społecznych - tęga, pobudliwa, pożerająca książki marzycielka - radziła sobie w życiu, a liczyła na więcej; w czasach niedostatku mężczyzn, skutku drugiej wojny światowej, zakochała się w odpicowanym, złotoustym hinduskim prawniku (skąd się wziął? przecież *Hindusi są wszędzie, jak piach*), który ożenił się z nią i sprawił, że w ciągu trzech lat trzykrotnie została matką córek (średnia Nissa urodziła się podczas lądowania w Normandii), następnie trafił do więzienia za szwindle zawodowe, został skreślony z listy, a wyszedłszy z pudła po Nagasaki, oświadczył żonie, że zrewidował preferencje seksualne; następnie ewakuował się do Newport News, gdzie jako rzeźnik uwił sobie gniazdko z byczkowatym kochankiem (zdaniem Winy "żeńską stroną tego związku") i odtąd już nie pisywał, nie dzwonił, nie przysyłał córkom żadnych pieniędzy ani urodzinowych czy gwiazdkowych prezentów. Czas pokoju wyzbyty miłości sprawił, że Helen Shetty zaczęła pikować jak samolot, po torze wyznaczonym przez picie, pigułki i długi; traciła pracę, dzieci jak burza szły w piekło, aż zjawił się John Poe, murarz złota rączka, wdowiec z czwórką dzieci, który wysłuchał jej w barze, bluzgającej i narąbanej jak traktor; John uznał, że Helen ma powody do rozpaczki, powiedział, że jest wcale przystojną kobietą i zasługuje na szansę, przyrzekł dbać o nią, wyciągnął z dołka, wziął do siebie z trójką córek, a w swym prostym domu nigdy nie robił różnicy między własnymi dziećmi a jej, słowa nie pisał na temat ich ciemnej skóry, dał dziewczynkom nazwisko (zatem trzyletnia Nissa Shetty stała się Nissy Poe), ciężko pracował, żeby rodzina miała co włożyć do garnka i na grzbiet, w zamian niczego nie wymagając od Helen, prócz zwykłych babskich prac i zgody, że więcej dzieci już nie będzie; więc mimo dawniejszych bardziej wybujałych oczekiwań wobec życia, wiedząc, jak blisko była rynsztoka, uznała za łut szczęścia tę namiastkę: stabilizację, szorstką, niewyszukaną, obywającą się bez słów miłość, mężczyznę o szczodrym sercu, ziemię pod stopami, a jeśli Poe wymagał rzeczy staroświeckich, gotowa była na nie przystać bez narzekań, zatem buda lśniła, dzieci były nakarmione i wykąpane, ubrania wiedziały, co to balia, co wieczór na powracającego Johna Poego czekał na stole gorący obiad, a jeśli chodzi o to z dziećmi, to John oczywiście miał rację, więc wybrała się do miasta, zrobiła sobie zabieg, no i było w porządku, naprawdę w porządku, roboty po łokcie i przez to było łatwiej, w łóżku był równie staroświecki, a że nie było trzeba kondomów ani nic, więc było

dobrze, lepiej niż dobrze, bardzo dobrze. Co tydzień pickupem Johna jechali wszyscy do kina samochodowego, a Helen Poe zamiast w ekran, wpatrywała się w niebo nad głową i (z pewnymi zastrzeżeniami, fakt) dziękowała gwiazdom, że dopisało jej szczęście.

Jeżeli coś się śniło Johnowi Poemu, to kozy. Zagrodę na tyłach domu zamieszkiwały biała koza saaneńska, zaopatrująca rodzinę w mleko, i wymieniające się skromne pogłowie hodowanych na ubój umięśnionych kóz hiszpańskich. Nissy Poe rosła, nie znając smaku krowiego mleka. John zapewnił, że kozie jest lżej strawne, nawet namawiał, by przemywała nim twarz, na wzór upiększających praktyk królowej Kleopatry. Pouczona przez matkę, by nigdy nie sprzeciwić się temu dużemu, życzliwemu, lecz skłonnemu do dominacji mężczyźnie, potulnie piła do dna cienką siną ciecz o zjełczałym zapaszku, aż w końcu ją znienawidziła. A kiedy nadchodził czas odstawienia do rzeźni nieszczęsnych kóz hiszpańskich, jadło się potem całymi tygodniami kozie mięso. Helen nie należała do kobiet obdarzonych talentem kulinarnym i pory posiłków zaczęły przyprawiać małą Nissy o najokropniejszy strach z tej racji, że przy stole na twarzach dzieci musiał malować się uśmiech. John Poe odczuwał potrzebę stałych podziękowań za dostarczane dary boże.

Zdarzało się, że po sutym obiedzie z kozłiny odsuwał krzesło od stołu i przepowiadał przyszłość. Tych parę stworzeń za domem, za ogrodzeniem półtorametrowej wysokości, z drutu przeplatanego mniej więcej co dwanaście centymetrów, to tylko początek, zapewniał ojczym Nissy. Ani myśli pracować całe życie dla innych, szkoda gadać. Co wciąż mu chodzi po głowie? Farma kóz. Ale nie rzeźnych; w jakimś sensie gardził tymi mięsnymi kozami, u których bałagan genetyczny sprawia, że spłoszone przewracają się, bo nie mogą ustać na zeszywniałych nogach. Były wieczory, podczas których Poe marzył o wdaniu się w produkcję koziego mleka, wejściu w tę branżę gdzieś w Oregonie, a może na Florydzie. W przyływie natchnienia opiewał cnoty alpejskich "Szwajcarek", toggenburgów i pustynnych "nubijek". Rozwodził się nad rozkoszami dostarczonymi przez kozie sery i mydło z koziego mleka. A w inne wieczory tkął swe wizje z angory i kaszmiru, dopatrując się przyszłości w farmie włókniarskiej w Teksasie czy Kolorado.

- To się wam spodoba, z waszą orientalną krwią - zapewnił córki Helen. - Z Kaszmiru w Indiach pochodzi kaszmir, oryginalna angora jest z Ankary w Turcji, a moher, nazwa ubiorów z wełny angorskich kóz, jest arabska, oznacza "coś, co wolimy". - W tych snach na jawie pojawiała się często czarna koza uzbecka o wełnie

dłuższej niż strzechy pasterzy i pierwszorzędnym włosie kaszmirskiego typu. Nissy Poe, osoba wschodniej krwi (i kości) nabrała wstrętu do samych słów moher, kaszmir i Uzbek. Uśmiechała się jednak i mówiła “dziękuję”, jak wymagano. A John Poe ulatywał z piwem w dłoni, niesiony gdzieś przez swe wschodnie baśnie.

Wychowam w Indiach Ormus Kama i ja czuliśmy, jak nasze serca lgną ku Zachodowi; więc jakże dziwne musiały się nam - wydać najmłodsze lata Winy, spędzone pod opieką tego dobrego, prostego człowieka z jego pociągiem do Wschodu, a w każdym razie do włochatych wschodnich stworów.

Czasami John Poe opowiadał kozie kawały. (Dwie kozy wdzierają się do kabiny projekcyjnej w samochodowym kinie i zaczynają żuć. “O rany, dobry ten film” - powiada pierwsza. Na to druga: “Ehe, ale moim zdaniem książka była lepsza”.) Jednak John Poe nie tolerował podobnych wesołostek u innych. Pewnego razu nowy sąsiad wpadł na chwilę i palnął:

- Hej, tam, kozy, co słyszą?! Jasne, kapujemy po koziemu, nawet chcieliśmy sobie sprawić kózkę, ale ten tu facet powiada: “Z kozami jest sęk, bo zeżrą ci nawet auto”.

Kiedy poszedł, John Poe usunął go poza nawias, wraz z ziemią i rodziną. Zasądził na dożywocie, chociaż facet nawet nie wiedział, czym zawinił, a zważywszy, że John był, jaki był, na apelację od wyroku gość nie miał szansy.

Dom był wyzbyty prywatności, dzieciaki spały w piętrowych łózkach po trzy i cztery w pomieszczeniu. W miarę dorastania niektóre cichły, zamykały się, jeżyły. Nissy wariowała. W przedszkolu zasłynęła z gryzienia innych dzieciaków, nauczycieli zresztą też; trzeba ją było zabrać. John sprawił jej zdrowe lanie, Nissy wróciła do przedszkola i zaczęła gryźć mocniej. Wojna zaogniała się, by nagle ustać, gdy obie strony zrozumiały, że jeszcze trochę, a dojdzie do katastrofy. John Poe powiedział Nissy, że ją kocha, i odłożył pas, a Nissy zapewniła przerażoną dzieciarnię z klasy:

- Spoko. Już was nie zatłukę.

Wobec spraw rasy John Poe był prawie liberałem. Wybrał się z Helen do kogoś ze szkolnych władz, by wyjaśnić, że ciemna skóra dziewczynek nie ma nic wspólnego z czernią murzyńską, że to Induski, z Indii, i nie ma powodu do dyskryminacji; powinny jeździć szkolnym autobusem z normalnymi dziećmi. Szkoła uwzględniła ów argument, mimo to kłopotów nie zabrakło.

Kiedy Nissy podrosła, dowiedziała się, że białe dzieciaki przezywają ją Czarna Stopa, jak Indiankę. I koziara. A potem znalazło się trzech chłopaków z sąsiedztwa,

wyglądali na Murzynów, mówili po hiszpańsku - ludzie, to dopiero byli mieszańcy! - i natrzęsali się z Nissy, że wolno jej jeździć do szkoły autobusem dla białych. Aż pewnego dnia okazało się, że ci trzej chłopcy też czekają na ten autobus; usta im się nie zamykały, twierdzili, że teraz jest nowe prawo i będą razem chodzić do tej jej szkoły. Ale kierowca nie zamierzał ich wozić, nie swoim autobusem. Nissy, wsiadając do wozu, usłyszała zniewagi, coś o jej rodzinnych *cabritos* i o niej samej: dziecku *cabronito*. Sprawdziła. *Cabrito* oznacza koźle, a *cabronito* małego homoseksualistę. Chłopcy nazajutrz znów czekali na autobus, już z ojcem, trudno, wobec tego rzuciła się na wszystkich. Ojciec odciągnął ją od chłopców, a Nissy, mimo że wierzgała i młóciła pięściami powietrze, była zadowolona, bo chociaż miała tak mało czasu, przyprowadziła potwarców o zaskakująco poważne uszczerbki. John Poe znowu sięgnął po pas, ale już stracił serce do tego oręza; pojął, że wola Nissy jest silniejsza od jego własnej. Więc przestał Nissy dostrzegać i nie towarzyszył Helen, kiedy musiała wybrać się do szkoły i wyprosić u dyrekcji, by jednak nie wyrzucano córki, bo dzięki wykształceniu dziecko uniknie sidła biedy; taką nadzieję kiedyś żywiła ona sama.

- To ciężka sprawa dla dzieciaka - powiedziała Helen do wychowawczynie - żyć bez żadnej nadziei.

Koziara! Blisko domu, w stronę Redwater Greek, rozciągała się zarośnięta drzewami kotlina zwana Jefferson Lick. Z miejscowych opowieści wynikało, że żyje w niej jakiś centaur, zbieg z wędrownego kanadyjskiego cyrku, wściekły i niebezpieczny po latach, które ku uciechu gawiedzi spędził w klatce, bity i niemal zagłodzony. Kozim Potworem z Jefferson Lick, tutejszym monstrum, straszono nieposłuszne dzieci, a podczas dorocznego letniego jarmarku na zabawie przebierańców zawsze trafiały się jeden czy dwa kostiumy Człowieka z Lick; słowem wielki bóg Pan zstępował w łachmanach do Wirginii. Kiedy dzieci były pewne, że od Nissy dzieli je tyle przestrzeni, by mogły czuć się bezkarnie, wyzywały ją od córki Kozłoluda, a potem uciekały na złamanie karku.

Helen próbowała wykierować Nissy na lepsze drogi. Kiedy dziewczynka kończyła dziesięć lat (to było nocą w weekend przed Dniem Pamięci, pod koniec maja 1954), matka stanęła przy niej i spojrzała w górę, ku świecącej na niebie galaktyce.

- Po prostu idź za swoją gwiazdą, kochanie, nikomu i niczemu nie daj się zepchnąć - powiedziała Helen głosem tak drżącym, że Nissy uważnie spojrzała na matkę. Helen zdobyła się na ledwie dostrzegalny, przelotny uśmiech, który nie zwiódł małej ani na chwilę. - Hej, żeby nie było jak ze mną. - Wyszczzerzone zęby Helen

przypominały trupią czaszkę. - Po prostu wybierz którąś z tych piękności i idź, gdzie cię zaprowadzi.

Rozbłysnął meteor.

- Wybieram tę - powiedziała Nissy Poe. - Chyba dobrze wróży. - Nie, pomyślała matka, spadająca gwiazda to zły znak. Lecz nic nie powiedziała, a córka powtórzyła stanowczo: - A tak, mateczko. Właśnie na nią mam chętkę.

W ten sam weekend, po wysprzątaniu domu, Nissy wybrała się do Jefferson Lick; sama. Nie bała się. Nie sądziła, że spotka jakieś potwory, a bardzo chciała tam być, zapuścić się jak najdalej. W pięknym, ciemnym i głębokim lesie, między sprężystymi gałęziami, liśćmi, przedzierając się w głąb kotliny, doznała, jak błogosławieństwa, czegoś nieznanego: samotności. Patrzeć na ptaki to stawać się częścią ciszy. Kto to powiedział? Jakiś cymbał. Bo w kotlinie było jak na *Królewnie Śnieżce*. Ptaki wszędzie, te trzepotliwe obłoki, a jeśli człowiek zaśpiewa, zaraz dołączają. Gajówki w kapturkach i te o żółtych brzuskach zmontują zaraz chórek, dzięcioły podadzą rytm. Nissy Poe daje się ponieść i śpiewa. *Shake, rattle and roll!* To była jej wielka tajemnica, ów głos o mocy startującej rakiety. Kiedy John Poe był w pracy, a jego dzieci poza domem, niezdolne niczego wypaplać - John mógł traktować wszystkich jednakowo, ale z dziećmi to całkiem inna historia - Helen czasami włączała radio i wyszukiwała stację nadającą te wszystkie nowe kawałki, Driftwoods, Jacka Haleya, Ronniego "Mana" Raya. Czasem udawało się znaleźć którąś z tych murzyńskich stacji rhythm and bluesowych i Helen zaraz zaczynała kręcić biodrami w takt tej segreganckiej muzyki, uważanej przez Johna Poego za boogie samego diabła.

- No dalej, słoneczko - zachęcała Helen - zaśpiewaj ze mną. - Lecz Nissy Poe wzbraniała się zawsze, zaciskała usta, które stawały się białą, bezkrwistą kreską, a Helen kręciła głową. - Już sama nie wiem, co cię może wciągnąć do zabawy - mówiła, a potem znów dawała się porwać muzyce, przewracała oczami, tańczyła, pokrzykiwała, a towarzyszyły jej uległe, obojętne spojrzenia córek. (Dwóch, bo najmłodsza tkwiła na warcie przed domem, by ostrzec przed nieoczekiwanym powrotem Johna Poego.) W takich chwilach Helen Poe sama wydawała się dzieckiem, jakby sięgała po tę wersję siebie, która kiedyś załamała się pod ciężarem następnej, narzuconej przez konieczności, dorosłej.

Nissy Poe nigdy nie śpiewała dla matki; chodziła jednak do Jefferson Lick,

żeby być sama, i tylko tam pozwalała pohasać temu swojemu głosowi, który wyjawiał najgłębsze pragnienia serca, z dala od świata, chroniona przez rzekomego ludojada. Muzyka! Niczego więcej nie pragnęła w życiu: być częścią dźwięku, nie ciszy.

Gdyby kotlinę rzeczywiście zamieszkiwał Potwór z Lick, biłby z pewnością brawo. Wina od początku miała głos, podobnie jak tę zdolność niezłomnego atakowania. Rozśpiewała się z głębi młodego serca, potem położyła na skarpie, wprost na ziemi, nie troszcząc się, co ją czeka za wybrudzenie sukienki, i zasnęła; obudziła się nagle, już ciemniało, więc przedarła się z powrotem z Lick, potem pomknęła, dopadła domu, gdzie okazało się, że pośpiech był zbyt szybki, bo wszyscy są martwi.

Dzieci zginęły w łóžeczkach, miały serca przebite wielkim nożem kuchennym. Straciły życie we śnie. Ale John Poe miał podejrzenie, że ze szczątków zalegających pokój wynikało, że chwianie się i zataczanie trwało dobrą chwilę, nim runął na starą komodę z telewizorem. Rozmazana krew ściekła po szklanym ekranie, John leżał u stóp komody w wielkiej lepkiej kałuży, w grząskości, która była jego utraconym życiem. Z włączonego telewizora ktoś coś mówił o jakiejś wojnie, że się zaczyna, że jakiś Wiet-coś? Jakies Dien-bien-gdzie? W Indochinach, no właśnie. Gdzieś między Indiami a Chinami? I pewnie ma mnóstwo wspólnego z chatą koło Hopewell w stanie Wirginia, w której stoi dziewczynka umazana po kolana we krwi martwej rodziny.

Helen nie było w chacie, lecz Nissy szybko ją znalazła, bo kozy też były martwe, a Helen wisiała na sznurze uwiązany do krokwi w tej szopie o trzech ścianach, którą John Poe zbudował własnymi rękami, by zwierzęta miały się gdzie schronić w zawieruchę. Na ziemi, pod wiszącymi stopami, leżał kuchenny nóż, grubo oblepiony zakrzepłą ciemną krwią.

Ponieważ nie mogła ruszyć po pomoc przed rankiem; ponieważ poszukała drabiny i odcięła matkę narzędziem zbrodni; ponieważ przesiedziała całą noc przed szopą, tylko z nożem, matką, martwymi kozami i roziskrzonym wszechświatem nad głową, z meteorami rozbłyskującymi jak mknące we wszystkie strony pociski, z rozlaną po niebie Drogą Mleczną (pewnie z tego jebanego koziego mleka, cuchnącą jak te jebane szczynty); ponieważ miała pewne wyniki jako zła dziewczyna, bo i gryzienie, i te bójkę, więc stała się podejrzaną na jakieś pięć minut, w ciągu których ona, koziara, córka straszego kozłoluda z Jefferson Lick dostrzegła w oczach policjantów coś, co pojawia się tam, tylko kiedy patrzą na morderców ze ścisłej

czołówki. Możecie to nazwać respektem. Ale po pięciu minutach nawet szeryf Henry doszedł do wniosku, że dziecku przyszedłoby z niejakim trudem powieszenie matki; na miłość boską, szczeniara ma tylko dziesięć lat. Sprawa nietrudna do rozgryzienia, narwana kobieta wpada w amok, duża i przystojna jak ta, wciąż pod dostatkiem wszystkiego, za co chłop lubi potrzymać i na czym sobie wygodzić, sprawy poszły pod włos, dopadło ją, ukąsiła. I gównem gotowe. Bywa.

Potem się zjawił jej ojciec, rzeźnik Shetty, z kochankiem, lecz brzmienie nazwy Newport News nie zachwycało Nissy, rzeźnictwa miała raz na zawsze dosyć i odtąd dożywotnio została wegetarianką. W końcu zgodziła się zamieszkać u dalekich krewnych matki, Egypcusów z Chickaboom koło Finger Lakes, w zachodniej części stanu Nowy Jork; pojechała tam autobusem, sama, a przez całą drogę zastanawiała się, dlaczego matka wybrała ten właśnie moment, ten Dzień Pamięci, kiedy jej średnia córka przysnęła w Jefferson Lick? Może to matki nie naszło zniecka? Może poczekała, aż ona, Nissa, znajdzie się poza zasięgiem niebezpieczeństwa. Może Nissa miała się uratować, może została przez matkę wybrana, jedyna z rodziny, jako ta, która zasługuje, by żyć. Matka coś w niej dostrzegła lub dosłyszała, coś prócz dzikości i skłonności do przemocy, coś, co ją ocaliło. Nissę, jej mknącą po niebie gwiazdę.

- Słyszała mnie! - Dotarło to do niej nagle i z taką siłą, która kazała głośno krzyknąć na cały autobus. Pasażerowie zaczęli się oglądać, poprawiać na fotelach, lecz Nissy miała w nosie ich niepokoje. *Helen słyszała mnie. Kiedyś widocznie poszła za mną do Lick, a ja się nigdy o tym nie dowiedziałam; poczekała, aż była pewna, że późno wróce. Żyję, bo mam śpiewać; tego chciała.*

Witamy w Chickaboom, oznajmił napis.

Wina nigdy się zbyt nie rozwodziła nad rokiem niewoli egipskiej, spędzonym w północnym klimacie. A usłyszawszy o jedno pytanie za wiele, rzuciła się na człowieka jak wąż. O owym roku wspomniała mi ledwie parę razy w życiu. Z chwilą przyjazdu pochowała biedną Nissy Poe. Pan Egiptus zaproponował jej własne nazwisko, oświadczył też, że zawsze chciał mieć córkę imieniem Diana. Bez żalu została Dianą Egiptus. Lecz nowe nazwisko nie przyniosło jej szczęścia.

- Kobieta była tam dla mnie niedobra - wyjawiała. - I źle mnie traktowano w tamtej rodzinie.

Prawie nie używała ich imion. O głównej dręczycielce, pani Marion Egiptus,

mówiła “kobieta, u której wtedy mieszkałam”; inni członkowie rodziny to byli “ludzie, u których było mi źle”. Udało mi się ustalić, że prowadzili Egipt, sklepik tytoniowy, przed którym stała dwa razy mniejsza niż w naturze figura woźnicy rydwanu faraona; ów Egipcjanin trzymał w jednej ręce lejce jedyne konia, w drugiej garść tanich cygar.

- Jednokonne miasto - powiedziała Wina - a koń drewniany. - Ta dziura była jej pierwszą Troją. Drugą miał się stać Bombaj, a reszta życia trzecią; gdzie przybywała Wina, wybuchała wojna. Bili się o nią mężczyźni. Więc na swój sposób była też Heleną.

Co zaszło w Chickaboom? Niewiele mogę wyjaśnić; Wina powiedziała mi mało, a ci, którzy badali tę historię, przedstawiali jak dotąd relacje sprzeczne, a często od a do zet wysrane z palca. Tę odrażającą, lejącą z ust plugastwa Marion Egiptus odpychała ciemna skóra przyszłej Winy. A inni mieszkańcy domostwa widzieli w ciemnej skórze zaproszenie do związków seksualnych. Młoda NissyDianaWina musiała odpierać napaści kuzynów.

Egipt podupadł lub ktoś go odkupił. Wybuchł pożar lub nie. Przekręt ubezpieczeniowy lub podpalenie, a może do niczego nie doszło. Marion Egiptus, “kobieta, u której wtedy mieszkałam”, “u której mi było źle”, stanowczo nie zgodziła się - z powodu zamachu na los rodziny lub głębokiej awersji do dziewczyny (jeżeli rzeczywiście nie było zamachu) - na dalszy pobyt Diany Egiptus pod jej dachem. Podobno nie malała skłonność Winy do występków: wagarów, bijatyk, nadużywania pigulek.

Odraconą przez panią Egiptus zesłano do Indii, bo w Ameryce już nie było dla niej miejsca. Rzeźnik Shetty z Newport News napisał błagalny list do zamożnych krewniaków mieszkających w Bombaju, Dudhwalów z Bandry, przy czym omieszkął nadmienić, że już nie jest prawnikiem, tym grubym kocurem, obrastającym w tłuszcz dzięki codziennym łowom na wysokokaloryczne amerykańskie myszy; przemilczenie było sprawą honoru, sposobem ratowania szacunku do siebie. Rzeźnik nie wspomniał też o awanturach z przełożonymi, w które chętnie wdaje się córka, natomiast nieco wyolbrzymił dziewczęcy urok młodziutkiej Nissy Shetty (w liście przywrócił jej oryginalne imię i nazwisko). W każdym razie bogaci a żądni blasku Dudhwalowie dali się uwieść, zechcieli sprawić sobie kuzynkę z Ameryki, zgodzili się Nissę przyjąć. Ojciec czekał na jej greyhonda w Port Authority Terminal i razem spędzili noc na Manhattanie. Zabrał ją na kolację do Rainbow Room, gdzie tańczyli na obracającym

się parkiecie, w tańcu przytulił się, dzięki czemu dobrze zrozumiała, co mówi: nie tylko, że kwitną interesy, ale i to, że się z nią żegna na zawsze, odtąd niech Nissa na niego nie liczy. Niech nie dzwoni, nie pisze i niech jej się dobrze wie, cześć. Nazajutrz rano sama pojechała na Idlewild. Wzięła głęboki oddech i ruszyła na Wschód. Do Bombaju, gdzie już czekaliśmy, Ormus i ja.

Jeżeli mamy zrozumieć tę wściekłość napędzającą sztukę Winy, a rujnącą jej życie, postarajmy się dostrzec rzeczy, o których Wina nie opowiadała, te krocie drobnych okrucieństw doznawanych na tle ułomnych związków z ludźmi: ów brak dobrych wrózek, szklanych pantofelek, niemożliwość spotkania książąt. Kiedy poznałem ją na plaży Dżuhu, gdzie poczęstowała mnie tą zdumiewającą tyradą przeciw całym Indiom, byłym, obecnym i przyszłym, było to w gruncie rzeczy dowartościowanie się, swoista maskarada, ukrycie się za gorzkimi ironicznymi powiedzonkami. To przecież ona była prowincjuszka w kosmopolitycznym Bombaju; jeżeli naszym kosztem wychwalała amerykańskie wymyślności, to dlatego, że sama nigdy i nigdzie z niczym tego rodzaju nie miała do czynienia. Pędziła dotąd życie w ubóstwie i dopiero dzięki Indiom - w przekwitły nieco sposób uosabianym przez Pilu Dudhwalę - mogła po raz pierwszy posmakować dostatku; zatem, na przekór, nafaszerowała plażową przemowę tandetną amerykańsko-dorobkiewiczowską pogardą wobec biedy Orientu. W Chickaboom zimy były ostre (akurat ten szczegół udało mi się od niej wyciągnąć); i myśląc ze wstrętem o zimnie, skarżyła się w ciepłym Bombaju na upał.

A w końcu - i przede wszystkim - jeśli mamy zrozumieć wściekłość Winy, musimy wejść w jej skórę i jakoś wyobrazić sobie jej odczucia, kiedy po nużącej podróży nad połowę planety wysiadła wreszcie z Douglasa DC6 Pan American na bombajskim lotnisku Santa Cruz, by się przekonać, że jej ojciec - o niewybaczalna bezmyślności tego człowieka! - skazał ją znowu, przy kiepskich widokach na ucieczkę, na nienawistne towarzystwo kóz.

Ding-ding! Ding!

Tok spraw w Bombaju, dużym mieście, może zadziwiająco przypominać jakąś dziurę; to przecież wcale niedawno wszyscy wiedzieli tu o wszystkim, a zwłaszcza o zarozumiałej dwunastoletniej ślicznotce, pętającej się tramwajami po mieście wraz z dorosłym dziewiętnastoletnim mężczyzną o urodzie filmowego gwiazdora, o którego powodzeniu wśród dziewcząt tyle szeptano, że z szeptanek urosły legendy. Wspomnienia jak wspomnienia; nie mogliśmy się nigdy dogadać, my troje, czy to trwało dni, tygodnie czy miesiące. Jedno się zgadza: kiedy o wszystkim usłyszał Pilu Dudhwała, próbował Winie sprawić lanie, a wtedy dziewczyna rzuciła się na niego z dawno nie ujawnianą furią, na skutek czego Golmatol, Halwa i Rasgulla wraz z innymi członkami "bufonarium" musiały ruszyć na ratunek, podczas której to akcji ratownicy i napastniczka odnieśli liczne obrażenia. Spadł deszcz; ją wyrzucono za drzwi; przyszła na nasz ganek; na Ormusa, który ją kochał i przysiągł, że jej nie dotknie, nie mówiąc o pozbawieniu czci, nie trzeba było długo czekać.

I to wszystko w tych zamierzchłych latach pięćdziesiątych! W "zacofanych" Indiach, gdzie stosunki chłopak-dziewczyna były tak surowo nadzorowane! Prawda, owszem, ale pozwólcie, że coś powiem: czy naród jest "zacofany" czy nie, jednym z naszych głównych wytworów kulturowych jest znakomicie rozwinięta aparatura pełnych hipokryzji potępień, skierowanych nie tylko przeciw zmianom pojawiającym się w obyczaju, lecz także przeciw historycznie udowodnionemu, a dzisiaj nadaktywnemu, tkwiącemu u podstaw naszej natury erotyzmowi. Bo czym jest *Kamasutro*? Kreskówką Disneya? A kto zbudował świątynie w Khadźuraho? Japończycy? A w latach pięćdziesiątych oczywiście nie było żadnych panienek pracujących po osiemnaście godzin na dobę w Kamathipurze, nie było małżeństw dzieci, żadne stare rozwiązałe humberty - tak jest, już słyszeliśmy o tym nowym czytadle Nabokova - nigdy tu nie ruszały na łów. (A w życiu.) Jeśli posłucha się ludzi, można dojść do wniosku, że w połowie dwudziestego wieku w Indiach nie odkryto jeszcze seksu, a bomba demograficzna może wybuchła na skutek jakiejś alternatywnej metody zapładniania.

Zatem: Ormus Kama, chociaż Hindus, umiał dziewczyny podejść; a Wina, chociaż tylko dwunastoletnia, zdążyła już przeciwżyć furiackie napaści na samców przebierających miarę. Lecz spotkanie sprawiło, że oboje się przeobrazili. Odtąd Ormus przestał się interesować innymi niż Wina istotami rodzaju żeńskiego i to już

nigdy się nie zmieniło, nawet po jej śmierci. Wina zaś pierwszy i jedyny raz w życiu znalazła mężczyznę, którego uznania potrzebowała bezustannie, do którego po wszystkim, co powiedziała czy zrobiła, zwracała się po potwierdzenie, uzasadnienie, po sens. Ormus stał się sensem jej życia, ona jego. I jeszcze coś: miała starą sfatygowaną gitarę akustyczną i podczas tych długich popołudni spędzanych w tramwajach, podczas siedzenia na skałach przy Scandal Point, spacerów po Wiszących Ogrodach czy błaznowaniu wokół Buta Staruchy w Kamala Nehru Park uczyła go, jak grać. Więcej, kiedy się nasłuchiwała pozostawianych ni w pięć, ni dziewiętnaście proroczych melodyjek zasłyszanych u zmarłego Gajomarta Kamy, udzieliła Ormusowi rady, która doprowadziła do jego drugich, prawdziwych narodzin w muzyce i umożliwiła powstanie tego całego zdumiewającego "śpiewnika Kamy", długiego ciągu przebojów, dzięki którym Ormus zostanie zapamiętany na zawsze.

- To dobrze, że kochasz brata i chcesz iść, gdzie cię prowadzi. Lecz to może zła droga. Zbadaj, jak jest w innej sali tego twojego śnionego pałacu. I w jeszcze innej, i następnej, i jeszcze. Może znajdziesz tam własne szury-bury. I może tym razem uda ci się dosłyszeć słowa.

Mówi się, że pod koniec jakiegoś cyklu doznajemy *kenosis*, opróżnienia. Rzeczy tracą sens, ulegają erozji. To właśnie się przytrafiło, jak sądzę, nie tylko Ormusowi Kamie i Winie Apsarze, lecz i wszystkim, których losy otarły się o ich losy. Rozpad czasu pod koniec cyklu prowadzi do wielorako trujących, zwyrodniałych, plugawiających objawów. Trzeba oczyszczenia. Narodziny miłości między Ormusem i Winą - gotowej latami czekać na spełnienie - przyniosły nam nową czystość, zaczął się nowy cykl. *Plerosis*, napełnienie czasu zapoczątkowaniami, przypada zwykle, co charakterystyczne, na okres nadmiaru mocy, na okres szaleńczych a owocnych przekroczeń miary. Ale cóż, tak powabnie ukształtowane teorie zawsze chybiają trochę celu: nie naświetlają zamętu i przemieszania prawdziwego życia. Oczyszczenie i odnowa czasu rzeczywiście przyniosły pewne zbawienne rezultaty, lecz tylko w życiu kochanków. Dzięki nowej miłości wstąpiła w nich, to prawda, ogromna energia; ale wszystko wokół - czyli katastrofy - postępowało niepowstrzymanie.

Kochał ją jak ogarnięty nałogiem; im miał jej więcej, tym bardziej pragnął. Ona zaś kochała go jak studentka, potrzebowała pochwał, a schlebiała, chcąc zaznać magicznych właściwości jego uśmiechu. Lecz także, od początku, czuła potrzebę

rzucenia go, by ruszyć przed siebie i grać. Gdziekolwiek. Był jej powagą, głębią jej jestestwa, więc nie mógł być zarazem jej płochością. Natomiast - muszę wyznać - lekkomyślną odmianą, tym węzem w ogrodzie, byłem ja.

5. Koźle pieśni

Zacznijmy dzisiaj od ofiary ze zwierząt. (Przynajmniej od jej opisu.)

O, Dionizosie, po dwakroć narodzon, byku szalem potężny, wiecznieobfity krzepki zdroju, niebiański opoju, zdobywco Indu, boże kobiet, panie menad węża grubiących i przezuwaczy wawrzynu! Nim znowu się oddamy nikczemnym naszym uciechom, przyjmij miast ofiar całopalnych tę krwawą opowieść o porzniętych mlekodawczyniach; a jeśli cię uweseli, nagródź nędzne nasze wysiłki swym opętanym, śmierćniosącym uśmiechem.

O ile świętej pamięci John Poe, ojczym Winy, zaledwie roił jak o wyspie szczęśliwej o wielkiej hodowli kóz, to śri Pilu Dudhwała, najnowszy “loco parentis” Winy (jak powiadała moja matka, “bardziej loco niż parentis”*[* Skrót od *in loco parentis* (łac.) - dosłownie: na miejscu rodziców. Z kolei po angielsku *loco* to bzik]), był królem mlecznych kóz tam, gdzie później powstał stan Maharasztra, osobą ogromnego, wręcz feudalnego znaczenia w wiejskich obszarach, gdzie bez mała jedyną dostępną pracą było dogłądanie jego trzód. Pilumleczarz - czy jako pędrak, czy już wpływowa osobistość - niezmiennie widział w “interesiku”, w “strzyku mleka” jedynie stopień na drodze ku znacznie wyższym kręgom; dajmy na to jakiemuś urzędowi i kolosalnym bogactwom, których taki urząd może przysporzyć człowiekowi z głową na karku. Nic dziwnego, że Pilu uznał za osobistą zniewagę otwarcie Luxxus Milk Colony i obietnicę firmy, że zaopatrzy bombajczyków w pierwszorzędne pełnotłuste pasteryzowane mleko krowie.

- Kroiły? - wykrzyknął do żony. - Nich sobi kroiły czczo, ale łymiona zostawio łspokoju! Człółik ni połlinin ściskać bogiń za cycki! Prałda? Co, żono?

Golmatol odpowiedziała niepewnie:

- Tak w ogóle tamto mleko jest w porządku.

Pilu mało nie pękł.

- Łporządku? I mółłisz mi to łoczy? Arę, jak ja mam przetrłłać, ni dać si, kidy obsidli mni sami zdrajcy? I muszę łalczyć ni tylko z muczącymi cholernymi bóstłłami, ale i z łasno żono.

Golmatol poczerwieniała, spuściła oczy i z tonu.

- No nie, złotko, tak mi się powiedziało.

Tymczasem Pilu obrócił kanonadę na głównego nieprzyjaciela.

- Luxxus - parsknął. - Może majo trochę rozumu, to lidzo, że rychło im zostam z całego luxxus tylko x: krzyżyk.

Pilu wydał im wojnę. W asyście świetnodworu i magnikichencji kroczył przez korytarze władzy w Bombaj Saćiwalaja, na równi szafując łapówkami i pogrózkami, żądając, jako spraw nie cierpiących zwłoki, śledztwa, konfiskaty i rozwiązania owego "bluźnirczego zakładu maltretowania króół, łaśni łotłartego na północy Naszego Miasta". Docierał do inspektorów weterynaryjnych, sanitarnych, inwestycyjnych, zagospodarowania przestrzeni i rzecz jasna do inspektorów policji. Opłacił gigantyczne billboardy z własną podobizną i napisem na górze: "Mówi twój mleczarz"; szczerwane oblicze Pilu otulały dymki z następującym wywodem: *LU - czytaj lura! XX - skreśl i nigdy nie kupuj! US - usiądziesz, jak zaśpiewają cenę.* Niżej, obok znaku firmowego Pilu, rysunku kozy, widniało hasło: "Póki czas - głośuj na nas! PILU to rzeka koziego mleka".

Niestety, nie chwyciło. Pilu nigdy w życiu nie spotkał się z tak bezwzględną, tak poniżającą odprawą. Musiał ścierpieć, że miejskie władze nawet się wykreciły od dochodzenia, nie mówiąc o odebraniu Milk Colony zezwoleń czy ich unieważnieniu. Kontrolerzy zgodnie uznali, że w grę nie wchodzi ani bluźnierstwo, ani maltretowanie. Inspektorom zagospodarowania przestrzennego ani się śniło wycofać postanowienia, inspektorzy podatkowi nie zamierzali nikogo nękać, sanitarni i weterynaryjni prześcigali się w pochwałach Luxxusu, a inspektorzy policyjni oświadczyli, że niczego nie zlustrują, ponieważ nie ma takiej potrzeby. Mało tego, nastąpiła moda weekendowego piknikowania na gruntach Luxxusu, a najgorszy ze wszystkiego okazał się spadek sprzedaży, coraz dotkliwszy dla Pilu, z miesiąca na miesiąc, tymczasem ci znienawidzeni krowiarze zaliczali wzrost za wzrostem. W kozich wioskach wrzało i zanosilo się na zamieszki, za kryzys obwiniano Pilu, ten zaś - widząc, jak spod stóp usuwa mu się grunt, na którym budował potęgę - wyznał swej pani małżonce, że nie wie, co począć.

- A co z moimi biedactwami? Z Halwą i Rasgullą? - Golmatol żądała wyjaśnień, tuląc łkające dziewczynki, jedną z lewej, drugą z prawej. - Co im powiesz? Może myślisz, że w tych kochanych główkach zaświta jakiś pomysł? A to nie są piękności! Ich skóra nie jaśnieje! Nauka idzie im jak po grudzie! Słodkie mają imiona, ale naturę cierpką! Wszystkie nadzieje pokładają w tobie! I jeśli im teraz odejmiesz majątek, to co? Mężowie spadną im z nieba? Biedne dziewczątka! Znikąd szans! Znikąd nadziei, cholera jasna!

Ta dziewczyna, półkrwi, za to w pełni z Nowego Jorku, wparowała w środek kryzysu. Okazała się osobą biedną, bez koneksji, z listą skandali dłuższą niż pani Pompadour: słowem, wybrakowany towar. Dudhwalowie zwarli szeregi i solidarnie ledwie dostrzegali jej istnienie. Zapewnili minimum i nic więcej: jedzenia (w kuchni skąpo wydzielano jej ryż czy soczewicę, więc często chodziła spać głodna, chociaż domowy stół uginał się pod daniami), prostego przyodziewku (kostium kąpielowy, prezent od pozbywającego się córki ojca, przyleciał z nią z Ameryki) i wykształcenia (na tym Pilu skąpił najbardziej, bo na czesne trzeba fury pieniędzy, a kuzyneczka najwyraźniej nie kwapiła się do nauk). Zapewniwszy te niezbędności, Dudhwalowie zostawili dziewczynę własnemu losowi. Szybko pojęła, że bogaty Bombaj podjął ją znacznie gorzej niż razem wzięte oba poprzednie ubogie światy: ten nie cierpianych kóz Johna Poego i ten wyzbytej serca, nie szczędzącej okrucieństw rodziny Egiptusów, spod znaku sklepu tytoniowego.

Teraz całkiem inaczej zaczyna się przedstawiać ów dzień na plaży Dżuhu. Najwyraźniej Pilu i Wina doszli do tego samego (dziwne, ale prawdziwe) wniosku: w życiu zostaje im tylko jedno - fason, na którym to rumaku można daleko zajechać, byle umieć go dosiąść. Więc Pilu w asyście bufonarium zaczął publicznie odgrywać komedię: pewność siebie, cieszenie się pozycją, zaczął kłamliwie zapewniać o własnym nieustającym powodzeniu, w nadziei, że jakimś cudem siła widowiska zamieni pozory w rzeczywistość, jakoś odwróci klęskę, którą toczącym mleczne rzeki kozom Pilu z wolna zadawały luksusowe krowy. A Wina też walczyła o przetrwanie i wcale nie była zepsuta, dziwkowatą amerykańską szczeniara z czeredy Pilu, ale ubogą krewną, która bezwstydnie się zgrywa, w rzeczywistości mając przed oczami najczarniejsze widoki.

Przyszłość mlecznego mocarstwa stała się jedynym tematem rozważań Pilu, istnym natręctwem. U siebie, w willi w Bandrze, krocząc przez ogród tam i z powrotem, bełkotał i wrzeszczał niczym zamknięty w klatce langur. Był nieodrodną częścią ostatniego pokolenia, które do właściwych zachowań zaliczało walenie się w piersi i rwanie włosów z głowy. Rodzina i świetnodwór - jedni i drudzy lękający się po swojemu o przyszłość - słuchali Pilu w milczeniu: łkań, oracji, gorzkich żali na niesprawiedliwość doświadczaną od życia, przyglądali się pięściom wygrażającym

pustemu, bezchmurnemu niebu. Wina nie sznurowała ust tak mocno jak inni - w krótkim życiu już zobaczyła swoje, z naddatkiem - aż pewnego dnia nie wytrzymała.

- Niech głupie kozy trafi szlag! - wybuchnęła. - Nie można zarznąć ich, czy jak? To mięso, skóry! Kupców brak? - Z drzew sfrunęły jej głosem papugi; w locie zrzuciły balast, który wylądował na szatach Pilu i zapaskudził, rzecz jasna, jego zmierzwione włosy. Natomiast Winę, skądinąd udręczoną do głębi, ów przypadkowy potrójny rym tak rozbawił, że zachichotała.

Patrzące na to dziewczynki Dudhwalów objęły się, z rozkoszą czekając na wybuch ojcowskiej furii, który nieuchronnie porazi przybłądę. Lecz mimo rażącej niekarności Winy i tego, co Amir Merchant nazwałaby "chichraturą", mimo ulewy ptasiego gówna, do żadnego wybuchu nie doszło. Nieoczekiwanie, jak strużka słońca podczas pomruków burzy, na twarzy Pilu Dudhwali pojawił się uśmiech, wpierw niepewny, potem coraz jaśniejszy, by wkrótce całkiem się rozświecić.

- Dziękuję, Miss Ameryka - powiedział. - Łląśni. Mięso lełłnątrz, skóry zełłnątrz. Dobra myśl - tutaj postukał palcem w skroń - a podpołłdziała jeszcze lepszo. Ni wim, madmuzel, może niehcący łocaliłaś los naszej bidnej rodziny.

Halwa i Rasgulla nie wiedziały, czy niespodziany (ich zdaniem całkiem niestosowny) zalew pochwał pod adresem Kopciuszka z kuchni uznać za kamień obrazy czy się cieszyć.

Po tej niezwykłej wymianie zdań Pilu Dudhwala zarządził rzeź wszystkich trzód i gratisowe rozdzielenie mięsa między potrzebujących, a nie będących wegetarianami biedaków. Była to istic królewska masakra; w pobliżu rzeźni krew wystąpiła z rynsztoków, wylała na ulice, które stały się lepkie i zaczęły śmierdzieć. Nadlatujące muchy stworzyły rój tak gęsty, że z racji ograniczonej widoczności odradzano kierowcom jazdę po okolicy. Lecz mięso było dobre, a polityczne widoki Pilu zaczęły się poprawiać. Głosowano by rzeczywiście na kozę. Gdyby owego tygodnia Pilu ubiegał się o stanowisko gubernatora, wygrałby z każdym.

Opiekunów kozich trzód - którzy znaleźli się w krytycznej sytuacji, a nadejście skrajnej nędzy uznali za oczywistość, jak przyjazd pocztowego pociągu z północy - należało niezwłocznie podtrzymać na duchu. Pilu objechał okolicę, szepcząc w uszy same zagadki.

- Ni ma strachu - oświadczył. - Z kozami, które dostanimy, nie łygra Luxxus ani żadne iksy. Będo kozy piłsza klasa, a łyszyscy utyjeci, do góry brzuchem, bo łciąż będzici dostawać piniądze, cało płacę, a koło tych kóz nic ni ma do roboty, łogóle,

pasza ni kosztuje nawet rupii. Łodź - zakończył tajemniczo - to ni będo jakiś tam kozy, tyko kozduchy.

Na rozwiązanie zagadki "kozduchów" - koziornic, koziarów, jak tam kto woli - jeszcze wypadnie poczekać. Teraz, zatoczywszy pętlę, wróćmy do chwili, w której Winę wygnano spod dachu Pilu. Wieść o skandalicznym związku z Ormusem Kama dotarła w końcu do uszu ostatniego z opiekunów Winy i już odbyła się wspomniana wcześniej awantura. Oszczędzę tu szczegółów ożywionej wymiany wyzwick oraz zacieklej walki, które poprzedziły deszczową ucieczkę Winy, ów maraton od rezydencji Dudhwalów w Bandrze po metę na progu willi Thracia przy Cuffe Paradę. Natomiast ruszę opowieść z miejsca, na którym wygodnie przycupnęła; oto do naszego domu przy Cuffe Paradę wkracza Ormus Kama, nie na żarty zaniepokojony o Winę, za nim depczący mu po piętach śri Pilu Dudhwała w asyście małżonki, córek oraz całego pyszałkowiska.

Wcześniej zadzwoniła do niego moja matka; Amir powiadomiła, że Wina jest cała i zdrowa, przy czym nie omieszkała wygarnąć paru słów prawdy o traktowaniu Winy.

- Ona już do was nie wróci - dokończyła.

- Łróci? - warknął Pilu. - Madam, ja jo łyrzuciłem za drzłi jak złykło sukę. Ło spraliłi połłrotu szkoda gadać.

Zważywszy telefoniczne umycie rąk, wizyta Pilu & Co. była swego rodzaju niespodzianką. Wina zerwała się i co sił w nogach pomknęła do przydzielonego przez Amir pokoju. Ormus podskoczył stawić czoło dręczycielowi ukochanej. A memu łagodnemu ojcu wypadło spytać, o co właściwie chodzi. Mleczarz wzruszył ramionami.

- Ło te niłłdzięcznice - oświadczył. - Łydano na nio piniądze. Szkoła, kiszonkołłe, koszty. Doszło do znacznego łydania łydatkół, są czyjeś połłazne straty. Na mijscu jest łymagani refundacji? Ni?

Żeby ogarnąć tę potworność, mój delikatny, myślący wzniosłymi kategoriami ojciec potrzebował dobrej chwili.

- Mamy ją kupić?

Pilu odegrał zdumienie.

- Tu ni chodzi o handel. Łładnym łypadku - zapewnił. - Ni domagam si zysku. Ale jesteś człółłkim honoru? Lic na pełno ni prosisz, żebym zaakceptołłł stratę.

Prądka?

- Nie rozmawiamy o towarach ani ruchomościach - zaczął oburzony V. V. Merchant, lecz w tym momencie przerwał mu Ormus Kama. Staliśmy w living roomie jak słupy soli - wstrząs wywołany wizytą sprawił, że wywietrzała nam z głów myśl o rozrywce - tymczasem wzrok Ormusa padł na karty i stos zapalek; pamiątki beztroskich partyjek pokera sprzed paru wieczorów, nim świat zaczął się zmieniać, leżały w kącie na stoliku. Ormus przed nosem Pilu przetasował talie.

- Hej, mądralo - powiedział - zagramy o nią. Wóz albo przewóz. O wszystko. I co, chojraku? Starczy ci ikry, czy tylko jesteś mocny w gębie?

Amir zaczęła protestować, lecz ojciec, którego tragiczną słabością miał się okazać hazard, uciszył ją. Oczy Pilu rozbłysły, członkowie szacownego pyszałkowiska, podsłuchujący z ganku przebieg starcia, zaczęli głośno buczeć i zagrzewać. Pilu powoli pokiwał głową. Bardzo spokojnie powiedział:

- Łszystko lub nic, łaśni. Mam zrezygnować ze sprządliliego żądania, z mojego całego odszkodowania, albo... co znaczy "albo"? Co to jest "nic"? Jeżeli przegrasz, co łygra Pilu?

- Wygrasz mnie - powiedział Ormus. - Będę pracował dla ciebie, zrobię, co każesz, aż odpracuję cały dług Winy.

- Ormus, przestań! - powiedziała Amir. - To dziecinada. Nonsens.

- Mi odpołłiada - oświadczył Pilu z ukłonem.

Ormus odklonił się.

- Każdy ciągnie jedną kartę - powiedział. - Wyższa wygrywa, to wszystko. Kolor się nie liczy. As najstarszy, dzoker bije asa. Jeżeli wyjdą równe karty, ciągniemy do rozstrzygnięcia,

- Łporządku - powiedział Pilu. - Ale zagramy moje talio. - Strzelił palcami. Do living roomu wmaszerował pasztuński rękodajny z wyciągniętą prawą ręką; na dłoni w białej rękawiczce leżała srebrna taca, na niej talia czerwonych kart z nienaruszoną pieczęcią.

- Nie rób tego - błagałem Ormusa. - Szykują jakiś numer.

Lecz Ormus wziął talie i rozpieczętował; skinął.

- Zaczynajmy.

- Żadnego tasowania - szepnął Pilu. - Złyczajni ciągnij.

- Dobrze - powiedział Ormus i sięgnął po kartę. Była to dwójka kier.

Pilu roześmiał się. I sięgnął po kartę. Była to dwójka pik. Uśmiech zastygł mu

na ustach; pasztuński rękodajny wzdrygnął się na widok dzikich płomyków w oczach pryncypała.

Ormus pociągnął jeszcze raz. Dziesiątka karo. Pilu zeszywniał. Ręka pomknęła ku tacy. Dziesiątka trefl. Ramię Pasztuna zaczęło drżeć.

- To nich trzyma dłłima rękami - warknął Pilu - albo nich znajdzi kogoś, kto si ni zesra na rzadko.

Za trzecim razem obaj wyciągnęli ósemki. Za czwartym były walety pikowy i kierowy, za piątym karowy i treflowy. Po szóstej kolejce, w której obaj wyciągnęli piątki, zapadła w pokoju cisza tak natarczywie dzwoniąca w uszach, że nawet Wina wynurzyła się z kryjówki, żeby zobaczyć, co się dzieje. Pilu Dudhwała pocił się rżęsiście; z przodu biała bluza oblepiła mu okrągłości kałduna, z tyłu krzyże. Natomiast z postaci Ormusa bił niezmacony spokój. W siódmej kolejce gracze wyciągnęli króle; w ósmej dziewiątki. W dziewiątej znów wyszły króle, w dziesiątej czwórki.

- Dosyc - głos Pilu przełamał ciszę. - Teraz ja ciogne pirłszy.

Za jedenastym razem Pilu Dudhwała wyciągnął asa pikowego i odetchnął, po pępek. Jeszcze nie wypuścił powietrza, a Ormus Kama już sięgał po kartę. Był to dzoker. Ormus spokojnie przyglądał się roześmianemu wesołkowi na srebrnej tacy. Widać też było, jak z Pilu uchodzi powietrze. Potem wziął się w garść; trzasnął palcami Ormusowi pod nosem i powiedział:

- To sobi mij te dziłłke - i wyszedł.

Ormus podszedł do Winy, która przynajmniej teraz wyglądała na wystraszoną dwunastolatkę.

- Słyszalaś - uśmiechnął się. - Wygrałem cię, że mucha nie siada. Teraz należysz do mnie.

Tu się pomylił. Wina nie należała do nikogo, nawet do niego, chociaż pokochała Ormusa do ostatniego tchu. Wyciągnęła ramiona, chcąc podziękować pieszczotę. Pełen powagi Ormus cofnął się.

- Nie dotknę cię - przypomniał - aż skończysz szesnaście lat. I jeden dzień.

- Aż przyzwoicie weźmiecie ślub - dodała moja matka. - Jeżeli mam tu coś do gadania.

Pora na jakieś pozytywy. Czy w życiu wielkiego subkontynentu nie znajdzie się już nic prawdziwie szlachetnego, czy już nie można sławić świetnych osiągnięć,

wzlotów ducha? Czy wszystko się sprowadza do gwałtu, hazardu, kanciarzy? Czasy są łatwopalne. W ciągłym pogotowiu czekają drażliwości narodowe i coraz trudniej ofuknąć byle gęś, bo się zaraz okaże, że gęś należy do paranoidealnej większości (gęszizm w potrzebie!), do przewrażliwionej mniejszości (ofiary gęsiofobii), do frakcji bojowej (Gęsie Brygady) czy separatystów (Front Wyzwoleńczy Gęsiestanu), do coraz lepiej zorganizowanych hufców dawnych, historycznych wyrzutków społeczeństwa (zgęsiowanych albo niedogęsionych) bądź do zdewociałych czcicieli arcyptaka, gurupiórej świętej Matki Gęsi. Zresztą po co w miarę rozgarnięty osobnik ma fukać? Bezustanne obrzucanie się błotem sprawia, że tacy fukacze sami się dyskwalifikują, nie sposób ich traktować serio (najwyraźniej pieką własną gęś).

Odnotuję zatem, najkonstruktywniej w świecie, pojawienie się nowej, krzepiącej okoliczności: Winę Apsarę, która jeszcze niedawno spowita na plaży w amerykańską Old Glory ciskała zniewagi pod adresem wszystkiego, co indyjskie, w willi Thracia zaczęła ogarniać miłość do wielkiego kraju, z którego pochodził jej rodzony ojciec. Na Ormusa należało czekać do szesnastych urodzin, ale ta nowa miłość nie wymagała wyczekiwań. Wina skonsumowała ją bez zwłoki.

Już zawsze, do końca, umiałem w niej dostrzec to przerażone stworzenie na ganku, strzęp, gotów wciąż uciekać dalej. Drzazga wyrzucona na brzeg, istna kupka nieszczęścia! Wręcz wyzbyta siebie, z osobowością jak lustro stłuczone pięścią zwaną jej życiem. Nazwisko, matka, rodzina, więź z miejscem i domem, poczucie bezpieczeństwa, przynależności, bycia kochaną, wiara w przyszłość - spod stóp wyciągnięto jej to jak dywan. Dryfowała w próżni, pustoszona, wyzbyta historii, wczepiona w bezkształt, na którym pazurami usiłowała wydrapać jakiś znak. Niesamowite. Przywodziła mi na myśl marynarza z załogi Kolumba, bliskiego buntu, dławionego obawą, że w każdej chwili może się ześlizgnąć z krawędzi ziemi, tęsknie wznoszącego wzrok ku bocianiemu gniazdu, skąd majtek na próżno przeczesuje lunetą falujące pustkowie w poszukiwaniu lądu. Później, kiedy już była sławna, często sama napomykała o Kolumbie.

- Ruszył szukać Hindusów, trafił na Amerykę. Mnie się nie śniło nigdzie ruszać, a trafiłam na tyłu Hindusów, że bym im wszystkim nie dała rady. - Te niewyparzone usteczka Winy, te jej pieprznostki. Już jako dwunastolatka była taka.

Była jak wór z różnymi ja, oderwanymi kawałkami ludzi, którymi może się stać. Siedziała czasem w kącie jak zmiętoszona, odcięta od sznurków marionetka, a potem nagle szarpnięcie oznajmiało, że wraca do życia, i człowiek nigdy nie wiedział, na kogo

natrafi w jej skórze. Słodka lub rozsierdzona, pogodna lub kipiąca, rozbawiona lub markotna; miewała tyle nastrojów, co Staruch Morski, przemieniający się raz po raz, kiedy go próbowano schwytać, bo dobrze wiedział, że schwytany, musi spełnić najskrytsze życzenie łowcy. Na szczęście trafiła na Ormusa, który po prostu zakochał się bez pamięci i tą miłością mocno ujął w karby jej ducha, nie tknąwszy palcem ciała, aż Wina przestała się wreszcie zmieniać, zamiast być wpierw oceanem, potem ogniem, potem lawiną, potem wichrem, była po prostu sobą, w jego ramionach, nazajutrz po szesnastych urodzinach. A później dotrzymała umowy, przez jedną noc zaspokajając pragnienia Ormusowego serca.

Wiedziała już, że popada w tarapaty. To zamiłowanie do impertynencji, zdrożności, nihilizmu i nieprzewidywalności nie sumowało się, nie mieściło w osobowości, którą sobie sfabrykowała. Bo Wina była na swój sposób - wbrew demonstrowaniu beztroski i krnąbrności - osobą konstruktywnego ducha i zdaje się, że jej heroicznemu aktowi autokonstrukcji dodały ostrogi właśnie życie *chez nous*, gdzie bez końca rozprawiano o budowaniu (to wtedy V. V. i Amir przystępowali do pracy nad wielkim kinem Orpheum, który to projekt doprowadził ich w końcu do ruiny). A konstruować zaczęła z materiałów, które były pod ręką; hinduskich, wypada zauważyć. Co budowała? "Winę Apsarę", boginię, Galateę, w której - jak Ormus, jak ja - miał się zakochać cały świat.

Zaczęła od muzyki. "Wina". W orszaku "magnikichencji" Pilu usłyszała grajka, bez śladu smykałki rzępolącego na instrumencie, który - nawet gwałcony - "wydawał z siebie brzmienie istic boskie, a kiedy usłyszałam jego nazwę, już wiedziałam, że będzie moim imieniem". Muzyka Indii, od sitarowych rag z północy po południowe melodie karnatik, niezmiennie wprawiała ją w nastrój nieokreślonej tęsknoty. Godzinami mogła słuchać nagrań gazeli, w trans wprowadzała ją też wcale nieprosta pobożna muzyka najważniejszych kawwali. Tęsknoty do czego? Przecież nie do nieosiągalnej "autentycznej indyjskości"? Raczej muszę przyznać - co zatwardzialemu sceptykowi niełatwo spływa z pióra - że Wina tęskniła za przebłyskiem niepoznawalnego. Muzyka podsuwa dręczącą a złudną możliwość: dać się nieść falom dźwięku przez mają - zasłonę ograniczającą rzekomo nasze poznanie - aż poza wrota postrzegania, dalej, ku melodyjności boskiej.

Krótko mówiąc, szukała doświadczenia religijnego. Co w pewnym sensie znaczy, że rozumiała muzykę znacznie lepiej niż ja, bo przecież tylu ludzi, wcale nie muzyków, najistotniejsze znaczenie przypisuje w muzyce jej pierwiastkowi

duchowemu. Lecz ja, w tej mierze nieodrodne dziecię swych rodziców, zawsze pozostawałem głuchy na wszelkie komunikaty religijne. Nie umiałem brać ich za dobrą monetę - więc to doprawdy był anioł? Faktycznie Reinkarnacja? i (ośmielony przeżyciami dzieciństwa, bo w naszym domu trudno by usłyszeć imię jakiegokolwiek bóstwa wypowiedane zachęcającym tonem) popełniałem błąd, sądząc, że tej myśli są wszyscy, a owe opowieści uważają jedynie za przenośnię. Nie najszczęśliwsze przypuszczenie, fakt. Wikła w spory. A jednak - chociaż wiem, że martwe mity były kiedyś żywymi religiami, że Quetzalcoatl i Dionizosa dziś można włożyć między baśnie, ale kiedyś ludzie (nie mówiąc już o kozach) ginęli za nich tysiącami - to nadal za grosz nie ufam systemom wiary. Wydają się wątle, nieprzekonujące jak literacka narracja z gatunku "opowieści niepewnych". Wiarę postrzegam ironicznie, może dlatego, że stać mnie na jej przyływy tylko na zamówienie twórczej wyobraźni, na użytek licznych fikcji, nie uzurpujących sobie prawa do bycia czymś rzeczywistym, przez co nie ma tu mowy o głoszeniu prawd. Chętnie powtarzam, że wszelkie religie coś łączy, to mianowicie, że na wielkie pytanie o nasze pochodzenie udzielają - bez wyjątku - odpowiedzi najzwyczajniej fałszywych. Więc kiedy Wina wydawała komunikat o swym najświeższym nawróceniu (co miało następować regularnie), mógłbym westchnąć "no jasne" i sam siebie przekonać, że Wina, głębiej rzecz biorąc, tylko żartuje. Ale nie żartowała. Za każdym razem mówiła serio. Gdyby zdecydowała się wielbić Wielką Dynię, wówczas na pewno by nastał Halloween, a do jej dyni (nie tej biednego Linusa) nie umyłaby się żadna.

"Apsara" to też był trop; lecz byłem wówczas za głupi, by go podjąć. Świadczył o porcji poważnych lektur, bo chociaż Wina chętnie się zarzekała, że nazwisko dobrała z magazynu "Femina" czy "Filmfare", z reklamy mydła, luksusowych jedwabii czy jakichś fatalaszków, bieg czasu tylko tu odsłania zwodzenie na manowce. Porwała się na coś wielkiego: na ogromny obcy kraj, do którego ją zesłano, z dala od wszystkiego, o czym myślała, co wiedziała, czym była. I odrzucenie przez nią roli wygnańca, spychanego zwykle na margines, było - teraz to widzę - czymś heroicznym.

Dwunastoletnie ja uznało, że "Wina Apsara" mogłaby rzeczywiście istnieć. A powołując Winę do życia, posłużyła się jako narzędziami miłością do Ormusa Kamy, swą niewiarygodnie silną wolą, bajecznym apetytem na życie i wreszcie głosem. Kobieta, która umie śpiewać, zawsze może liczyć na ocalenie. Otwierając usta, wyzwala ducha. Zresztą śpiew Winy nie potrzebuje moich peanów. Wystarczy nastawić któreś z jej nagrań, położyć się na wznak i dać się nieść. Była wielką rzeką,

która może stąd unieść nas wszystkich. Próbuję sobie wyobrazić, jak by zabrzmiały śpiewane przez nią gazy. Bo chociaż poświęciła życie całkiem innej muzyce, to wpływ Indii, ich pieśni, języków, życia, działał na nią zawsze, jak Księżyc.

Nie łudzę się (w każdym razie nie zawsze), że wróciła tu dla mnie.

Wina była dla moich rodziców tą córką, której nigdy nie mieli, dzieckiem, którego się wyrzekli, by skupić się na mnie i pracy; tym życiem, na które, jak sądzili, w ich życiu brak już miejsca. A teraz, skoro się zjawiała, promienieli radośni i okazywało się, że jednak na wszystko jest czas. Wina wykazywała taką żyłkę do języków, jak później przez całe życie do kochanków. Właśnie w tych czasach szlifowała hugma, nasze poliglotyczne narzecze "przytul-mnie". Prosząc o talerz makaronu, mawiała "chiński khana ka wielka chętką hai" lub zapewniała - entuzjastka hobbitów - "apan J. R. R. Tolkiena *Anguthijon ka Seth* ko do przesadyzmu uwielbia karta che". Amir, arcymistrzyni rodzinnych gier językowych, uhonorowała Winę, wprowadzając liczne powiedzonka dziewczyny do swego prywatnego tezaurusa. Miały pokrewną naturę, przynajmniej językowo. (U nowej pupilki matka wytropiła jakiś głębszy ślad własnej niekonwencjonalności.) Amir zawsze dopatrywała się głębszych znaczeń ukrytych w rymach i współbrzmieniach; było w niej coś z niezrealizowanej tekściarki. Więc w chwilach ogólnych żartów i coraz bardziej zażyłego drażnienia się z Winą, Amir umiała połączyć Ormusa Kame z Vasco da Gamą:

- Ormi da Kama, twój wielki zdobywca, który cię odkrył jak nowy wielopięprzny świat.

Potem niewiele już dzieliło Gamę od gany, pieśni, i przypomnienia, że Kama to bóg miłości. Ormus Kama, Ormus Gana. Wcielenie miłości i pieśni. Matka miała rację. Jej słowne zabawy zdradzały więcej, niż przypuszczała.

Wina była już wzrostu i sylwetki mojej matki i Amir pozwalała jej nosić swoje rzeczy; nie tylko jedwabne obszerne sari, lecz także obcisłe obszyte cekinami, prowokujące do węzowych ruchów sukienki - z przepastnymi dekoltami i w ogóle - w których Amir tak lubiła demonstrować figurę towarzyskiej śmietance miasta. Wina zapuściła włosy, Amir zaś raz w tygodniu osobiście nacierała te coraz dłuższe sploty świeżą oliwką kokosową i masowała dziewczynie skórę na głowie. Nauczyła Winę tradycyjnego sposobu suszenia długich włosów: rozrzucano się je na pleciance z łozy, a pod nią stawiało kociołek żarzących się węgielków, posypanych kadzidłem. Co do cery, to Wina uczyła się kłaść na twarz maseczki z multani mitti (nazwa od Multanu w

Pakistanie), glinki mieszanej z wodą różaną. Amir nacierała Winie stopy bawolim masłem, by zawsze były miękkie i w upał odciągały z ciała “nadmiar temperatury”. Na dodatek uczyła Winę zależności między szlachetnymi kamieniami a powodzeniem; bezbożna Amir miała swoje przesądzi. Wina zaczęła się opasywać złotym łańcuszkiem. (Za to nic nie mogło jej zmusić do noszenia pierścionków na palcach nóg, odkąd dowiedziała się, że to wzmacnia płodność.) I już do końca życia wielka piosenkarka nie nosiła żadnego szlachetnego kamienia bez poddania “próbie technicznej”, polegającej na wkładaniu pod poduszkę co noc przez tydzień i sprawdzaniu, jaki wpływ wywiera na sny. Był to również sprawdzian odporności najprześwietniejszych sklepów jubilerskich z całego świata, lecz dla dobrego klienta, do tego gwiazdy, ludzie gotowi są nagiąć niejeden przepis.

(Gdyby wiedziała, że podczas nocy spędzonej w pijanym widzie jej ostatni kompan miłosny, playboy Raul Paramo, ukradkiem wsunął jej pod poduszkę prezent, rubinowy naszyjnik - jeśli chodzi o Winę, to osobisty astrolog Amir już przed laty wykluczył rubiny - zaraz by zrozumiała, dlaczego śniła wówczas krwawą ofiarę, być może ostrzeżenie przed bliską zagładą. Lecz nigdy nie znalazła tego naszyjnika. Trafili na niego dopiero policjanci przeszukujący hotelowy pokój, a zanim dali jej znać, było po wszystkim.

Poza tym całe to czytanie z kamieni to zwykłe duby smalone. Rozpaczliwa łatwizna i tyle.)

Równie łączywie jak zagadki hindi i urdu, jak tajemnice pielęgnowania urody i dobierania klejnotów, pochłaniała Wina wielkimi haustami sam Bombaj, a zwłaszcza - ku niewysłowionej radości ojca - język jego budowli. V. V. z zapalem nauczał, a ona był gwiazdą kursu. Rodzice utopili właśnie masę pieniędzy w pierwszorzędnej parceli koło kolejowego terminalu Bombaj Centralny, przeznaczonej na kino Orpheum, które - tu ojciec się uparł - miało zostać wzniesione w gruntownie przyswojonym przez Bombaj stylu art deco, chociaż inne takie kina w mieście liczyły sobie po dwadzieścia lat i już zapanowała mania na punkcie “nowocześniejszych”. Wina chciała wiedzieć wszystko. Jeśli wybieraliśmy się gdzieś na film anglojęzyczny, już po chwili więcej uwagi poświęcała samemu kinu niż temu, co na ekranie. Po wizycie w wielkim Eros Cinema, arcydziele art deco z różowego i kremowego piaskowca (Paramount Pictures, system Vista Vision: Danny Kaye, *Królewski błazen*, uwaga na zatrutą kulkę chleba i kielich z pałacu, sięgać po napój w naczyniu z tłuczkiem!), Wina mogła nie zapamiętać

wątku, umiała za to wyjaśnić od niechcienia, że wprawdzie budynek zaprojektował tutejszy chłopak, Sohrabdzí Bhedwar, ale bajeczne wnętrza - czernie, biele, złoto, chrom - są dziełem Fritza von Driberga, który odrestaurował także New Empire (20th CenturyFox, ToddAO; Rodgers / Hammerstein, złocista mgielka nad łąką, farmerskie bryki obszyte frędzlami, Rod Steiger śpiewa tę swoją wielką a łzawą piosenkę, żali się, lecz nic nie może sprawić, by Wina zapamiętała choć słowo tekstu z przesławnej partytury *OOOOOklahomy!*). W Metro z flagowymi kawałkami MGM - Stewart Granger w *Scaramouche* wygrywa najdłuższą w dziejach kina walkę na szpady - uwagę Winy przykuły fotele i chodniki (importowane, amerykańskie) i murale (roboty studentów z J. J. School of Art, którą kierował swego czasu ojciec Rudyarda Kiplinga). A w Regał - niezapomniana Maria Montez w *Kobiecie kobrze* Universalu - opętana sprawami architektury Wina nawet nie zauważyła, że La Montez gra bliźniaczki, natomiast oznajmiła szeptem, że przy projektowaniu tej oszałamiającej, uformowanej na planie promieni słonecznych widowni słusznie zaufano Czechowi Karłowi Scharze. Oglądając filmy hinduskie, zachowywała się lepiej i chyba bardziej ją interesowały, chociaż i tak musieliśmy się dowiedzieć o zasługach Angela Mollego (wnętrza Broadway Cinema, Dadar). Wina wyznała też, niezbyt oryginalnie, że kocha się w Radź Kapurze, czym wzruszająco zadreślał się Ormus. Na szczęście nastały skwary, pora wakacji, i wyjechaliśmy do Kaszmiru.

Rozkwitanie Winy, jej stawanie się kobietą w tej błogosławionej wówczas dolinie to jeden z najcenniejszych klejnotów, które przechowuję w pamięci. Ogrody Szalimar: Wina biegnąca nad strumieniem znienacka zwalnia, dziecinny galop zmienia się w kobiecy chód i oto zaczynają się za nią odwracać głowy. Górską łąką w Bajsarianie: Wina jedzie na kucu palomino, na plecach rozwiane włosy. Nabrzeże w Śrinagarze: tam zakochała się w nazwach czarodziejskich sklepów pełnych mebli z rzeźbionego orzecha i papiermache, i dywanów numda z Radżasthanu - Cierpiący Mojżesz, Tani John, Paskudna Subhana. Wycieczka kucami do górskiej wioski Aru: Wina przejęta zgrozą, bo tamtejsi chłopci, podsłuchawszy, że mówię do niej właśnie "Wina", i uznawszy nas za hindusów, udawali, że nic nie mogą sprzedać, ba, sami nie mają co jeść, a potem Wina równie głęboko zniesmaczona, kiedy ci sami chłopci na wieść, że jesteśmy muzułmanami, urządzili nam ucztę z śirmal i mięsnych klopsów, odmawiając przyjęcia zapłaty.

Pamiętam, jak czytała, a raczej pożerała książki - wyłącznie po angielsku (bo nigdy nie nauczyła się w językach Indii czytać, a tylko biegle mówić). Wśród łąnu

kwiatów w Gulmargu czytała W drodze (wraz z Ormusem mogli całe fragmenty recytować z pamięci, a kiedy Wina deklamowała elegijne zakończenie "Myślę o Deanie... O Deanie Moriartym", miała łzy w oczach). Albo w wyniosłym lesie koło Pahalgamu zastanawiała się, czy któryś ze świerków może być "Dalekim Drzewem" Enid Blyton, do którego korony pogrążonej w chmurach - co za pomysłowe odwrócenie zwykłych reguł! - mogła regularnie przybijać fantastyczne światy. A najmocniej przeszywa mi serce widok lodowca Kolahoj, gdzie podniecona Wina opowiada o *Podróży do wnętrza Ziemi* Jules'a Verne'a i marzy o znalezieniu się w innym śnieżnym górskim krajobrazie, islandzkiego Snaefellsjokull, a dzieje się to w dniu letniego przesilenia: Wina umie utrafić we właściwy czas i odszukać właściwe miejsce, by doczekać, aż cień skały wskaże dokładnie tym swym sunącym palcem północ, wrota do Podziemia - Arktyczną Bramę Taenarusa. Teraz, kiedy już wiem, co ją spotkało, na to wspomnienie przechodzą mi ciarki po plecach.

(Dzisiaj w tych wszystkich kinach gra się filmy hinduskie. A Kaszmir jest strefą wojny. Lecz przeszłość nie traci na wartości dlatego, że już nie jest terażniejszością. Prawdę mówiąc, staje się jeszcze ważniejsza, bo na zawsze nie do zobaczenia. Tę jedną z niewielu, na jakie mogę się zdobyć sugestii podszytych metafizyką, uznajcie, jeśli chcecie, za moją odmianę mistycyzmu.)

Ormus nie jeździł z nami na wakacje ani nie chodził do kina. W kwestiach zdumiewającego związku Winy Amir Merchant przestrzegała prawa. Wielce tolerancyjnie - i wbrew kategorycznym sprzeciwom lady Spenty Kamy, o które, jak się wkrótce okaże, niewiele dbała - uznała, że zanoszą się może na prawdziwe małżeństwo z miłości, lecz "muszą zostać zachowane wszelkie zasady przyzwoitości". Pięć razy w tygodniu Ormus mógł w porze podwieczorku złożyć godzinną (godzina to godzina) wizytę. Matka tym łatwiej zgodziła się nic nie mówić lady Spencie, że była obecna podczas tych spotkań, a jeśli przeszkadzały temu sprawy zawodowe, całe spotkanie odbywało się na ganku przed domem. Wina przystała na to bez sprzeciwu. Zniknęło buntownicze zamknięcie się w sobie Nissy Poe, zniknęło lękliwe posłuszeństwo dziewczyny pozbawionej w życiu wyboru. Życie rodzinne zaczęło Winę zmieniać, czyniło kimś pełnym i Wina radośnie poddała się ustanowionej przez Amir macierzyńskiej dyscyplinie, przez którą prześwitywało coś podobnego do miłości. Bo też to była miłość; potrzebowały się nawzajem i trudno powiedzieć, kto kogo bardziej.

(Nawiasem mówiąc, jak się okazało, Wina i Ormus mieli jeszcze innego nieoczekiwanego sprzymierzeńca, który im umożliwił serię znacznie bardziej

prywatnych randek.)

Dla mnie wizyty Ormusa były najgorszymi godzinami tygodnia. W miarę możliwości starałem się zmyć z domu. Jeśli musiałem zostać, męczyłem się w swoim pokoju. Poprawiało się, kiedy odchodził. Wina zaglądała do mnie.

- Chodź, Raj - mawiała. - Wiesz, jak jest. Z Ormim zabijam tylko czas, bo czekam, aż dorośniesz i zostaniesz moim mężczyzną. - Czasem mogła mnie trzepnąć w policzek, a nawet lekko pocałować w usta. Mijały lata, skończyłem trzynaście, za progiem były jej szesnaste urodziny, a Ormus Kama wzbraniał się ją tknąć, czy to na oczach przyzwoitek czy za ich plecami; ja wciąż chowałem się w pokoju, a ona zjawiała się ze słowami - Chodź, Raj - i pieściła mnie. Delikatne dotknięcie palców i warg pozwalało mi odczuć cały ciężar jej powściągananej miłości do Ormusa, całe nie wyrażane pożądanie. Ja też byłem zakazanym owocem, lecz niedostępnym, odwrotnie, ze względu na moją młodość, nie jej. Nas wprawdzie nikt nie pilnował - moim nazbyt naiwnym rodzicom nie przychodziło do głowy, że mógłbym zostać namiastką Ormusa, jego rezerwowym ciałem - ale ja także przygotowywałem się do objęcia swej drugoplanowej roli, Ormusowego cienia, echa; prawdę mówiąc, tęskniłem już do tego. Wina jednak wzbraniała się nagrodzić mnie i zostawiała w nastroju gorszym niż przed przyjściem; skazywała na czekanie.

Długo potrwało. Ale na nią warto było poczekać.

Słabość Winy wobec mentorów, przywódców i nauczycieli, jej uzależnienie od bożyszcz - Majstrowała w ten sposób zasadnicze życiowe wątpliwości - oznaczały, że Ormus może zawsze i łatwo sięgać po nią jak po własność. Powtórzę jednak: nigdy do końca nie należała tylko do niego. Mimo jego tryumfów karcianych i wszechświatowego uwielbienia Wina wciąż powracała do mnie.

Z Doliny Śmierci, najniższego punktu kontynentalnej części Stanów Zjednoczonych, można zobaczyć najwyższy: Mount Whitney. Zatem z otchłani żalości i poniżenia, gdzie zepchnął mnie Ormus nadchodzący na popołudniową herbatkę, przypomnę teraz święto, okrucieństwo bajecznych dni, w których byliśmy kochankami.

Wiele lat później w moim nowojorskim mieszkaniu na drugim piętrze domu bez windy, w osławionym kwartale koło St. Mark's zamieszkanym przez kubańskich uchodźców-gejów,

Wina zaraz po tym, jak skończyliśmy się kochać, wysunęła się spod mego spoconego ciała i zapaliła papierosa. (Zawsze obficie się pociłem; na co dzień

niedogodność, ale bezdyskusyjny plus w łóżku, gdzie wszelkie śliskości, także moralne, są jak znalazł.)

- Nigdy ci nie mówiłam? Widziałam, jak bije od niego światło - zapewniła. - Tego pierwszego dnia, w sklepie z płytami. Jakaś aura, promieniowanie. Nie mówię, że oślepiające. Ale świecił. Mniej więcej jak setka, dość, żeby oświetlić zwykły pokój. W sumie coś.

Nigdy się nie wdawała w subtelności zdrady seksualnej; nie ona. Nie widziała żadnej zdrożności w rozprawianiu o swym *fidanzato* z doskakującym facetem i to w dwadzieścia sekund po bezproblemowym osiągnięciu orgazmu, który w owym okresie jej życia nie należał do zjawisk cichych ani krótkich. (Później, kiedy już wyszła za niego, wciąż osiągała orgazm bez trudu, lecz ta jej frajda trwała zaledwie moment, potem natychmiast ją wyłączała, pac, jak na skinienie batuty jakiegoś niewidzialnego dyrygenta. Jakby grała na własnym ciele jak na pięknym instrumencie i nagle usłyszała wstrząsająco fałszywą nutę.) Musiałem się przyuczyć, dostosować do jej konwersacyjnych gruboskórności. Lecz wtedy, jak i dziś, brakło mi cierpliwości w tak pospolitej materii jak owa "aura" czy "światło".

- Bajdy - odpaliłem. - Ormus to nie bóstwo z przenośną błyskotką. Sęk w tym, że przyjechałaś do Indii, a tam zapadłaś na mądrościozę orientalis, inaczej gurugównitis, naszą nieuleczalną chorobę wyzerającą mózg. A przestrzegałem: nie pij nie przegotowanej wody.

- Sęk w tym - zionęła mi dymem w twarz - że ty wyłącznie popijasz przegotowaną wodę, jak ten jebany rok długi.

Zachorowała na Indie, niemal ją to zabiło. Nabawiła się malarii, tyfusu, cholery i żółtaczki, ale owe przypadłości ani trochę nie odebrały jej apetytu na te strony. Pożerała je jak tanie przysmaki z przydrożnej budy. Potem i to miejsce odepchnęło ją równie okrutnie jak wcześniej Wirginia czy stan Nowy Jork. Ale tymczasem zdołała się na tyle zahartować, by umieć przyjąć cios. Miała Ormusa, więc jej przyszłość już nie była prezentem w ręku tego czy owego. Mogła oddać cios i przeżyć. Ale lata poprawnych manier skończyły się z tą chwilą. I potem już z otwartymi ramionami przywitała niepewność swoją i świata, by ustanowić własne reguły. Odtąd w jej kręgu nie było już nic pewnego, ziemia wciąż drżała, ją samą, rzecz jasna, od stóp do głów poprzecinały pęknięcia, bo pęknięcia ludzkich charakterów zawsze się w końcu otworzą, jak rozpadliny jęczącej ziemi.

Pływak, jedna z ostatnich piosenek, które Ormus Kama napisał dla siebie i Winy, został nagrany na wyspie Montserrat, pod pomrującym wulkanem. Ormus od ładnych paru dni miał w głowie ten ostry rhythmandbluesowy gitarowy riff, ustawiający cały numer. Budził się z dudnieniem w uszach, porywał gitarę i kasetowicę, by nagrać riff, nim gdzieś uleci. W owych czasach już im się ze sobą nie układało i sesja w studiu szła jak po grudzie, ludzie się zacięli. W końcu Ormus twardo wkroczył w zatrutą atmosferę, zabrał się do tego, co ludzi blokuje, i wszystko pociągnął, po prostu wziął tę kłótnię na warsztat, zrobił z niej temat, a rezultatem okazała się gorzka, prorocza piosenka o miłości skazanej na zgubę.

Płynę przez Złoty Róg, aż pęknie serce, aż się skończę. To, co w niej jest najlepsze, tonie w najgorszym. Chrapliwą artykulację, to wywlekanie z siebie słów, które wręcz zaalarmowało wielbicieli, pewien znany z ciętości krytyk (nieświadomy naśladowca sir Dariusza Kserksesa Kamy, ojca artysty) porównał do rżenia starego, konającego kozła i wywiódł, że Ormus zaczął tonąć jeszcze przed całą tą tragedią. Dlatego jednak, że Ormus wciąż ją kochał i nawet w najgorszych chwilach nie umiał się tego zaprzeczyć, napisał dla niej w sopranie melodię pełną nadziei, kontrapunkt własnej głębokiej rozpacz, frazy uwodzicielskie jak śpiew syren; jakby sam był zarazem Johnem i Paulem, kwaśnym i słodkim w jednym.

W mym oknie płonie świeca, śpiewała Wina, ale co wam będę mówił, sami to wyczuwacie, wspomnienie już was ściska za gardło. Płyn do mnie. Ja sam już nie mogę tego słuchać. Nigdy.

To, co w nas jest najlepsze, tonie w najgorszym. Tak mawiała matka Ormusa. Pod koniec lat pięćdziesiątych lady Spenta popadła w głęboką depresję, pod której wpływem nabrała bluźnierczego przekonania, że - wbrew przepowiedniom świętych ksiąg, *Awesty, Jasny i Bundahisz* - Kłamlivy Potwór, Aryman czy też Angra Mainju, odniósł zwycięstwo nad Ahura Mazda i Światłem. Do mieszkania przy Nabrzeżu Apollińskim coraz częściej wkraczali kapłani w białych szatach, z zapalonymi lampkami i godnie intonowali pienia: *Oto daj posłuch swym uszom a wejrzyj w ten płomień jasności oczami Lepszego Ducha.* Przy lady Spencie zazwyczaj siedział Ardawiraf, jej milczący syn, i powściągliwie uczestniczył w tych płomienistych rytuałach, przyoblekając twarz w wyraz słodczy, swój znak firmowy; natomiast Ormus się ulatniał. Co do starzejącego się, zamroczonego alkoholem męża, z biegiem lat jego irytacja z powodu modłów tylko się wzmogła.

- Przez tych sakramenckich kapłanów dom wygląda jak jakiś sakramencki szpital - mrucał, maszerując przez żoniny pokój modlitw. - A zabawy tym sakramenckim ogniem skończą się tak, że spłonie ten sakramencki dom.

I rzeczywiście, dom Kamów znalazł się w niebezpieczeństwie, lecz nie z powodu świętych ogni. W dziesiątą rocznicę niepodległości Indii do lady Spenty dotarł list Williama Methwolda, który trafił teraz do Izby Lordów i stał się znakomitością Foreign Office; Methwold życzył swemu przyjacielowi wszystkiego najlepszego "w jakże zachęcającym dniu". Lecz list napisał z powodów mniej zachęcających. "Jeśli przesyłam go tobie, droga Spento, a nie Bratu D. K K, to dlatego, że mam do przekazania wieści, obawiam się, niełatwe". Tu następował ciąg łamańców i dygresyjnych utyskiwań na temat - najogólniej - bankietów, w których ostatnio przyszło mu uczestniczyć, zwłaszcza tej "raczej zabawnej imprezy", kiedy w Middle Temple znów odegrano *Wieczór Trzech Króli* w wieczór Trzech Króli, a trzeba wiedzieć, że po raz pierwszy *Wieczór Trzech Króli* zagrano właśnie w Middle Temple właśnie w wieczór Trzech Króli; w każdym razie na tym bankiecie - lord Methwold zaczął w końcu sterować ku straszliwej nowinie - najzupełniej przypadkowo posadzono go koło dostojnego sędziego Henry'ego "Na Gałąź" Highama, jak się okazało starego kolegi z ławy studenckiej "Brata D. K K", i przy kieliszku brandy wyszło na jaw, że wprawdzie sir Dariusz Kserkses Kama podczas studiów prawniczych z zamiłowaniem zaliczał obiady, lecz "nie dopełnił wymagań". Oblał egzaminy i w poczet palestry nigdy go nie przyjęto "w żadnym charakterze ani żadnej roli".

Lord Methwold uznał to oskarżenie za "zgoła nieprawdopodobne". Poleciał wszcząć dochodzenie w Londynie, ale ku jego przerażeniu okazało się, że Henry Higham ma rację. "Mogę tyle stwierdzić - pisał dalej - że papiery twego męża to falsyfikat, rzekłbym pierwszorzędny; a on, cynicznie, postanowił się nimi po prostu posłużyć w przekonaniu, że w Indiach nikomu nie przyjdzie do głowy sprawdzać, a gdyby nawet, jak wiesz zapewne, w tym wielkim kraju, wobec którego niezmiennie odczuwam dojmującą tęsknotę, nie sposób wykluczyć nabycia czyjegoś milczenia i to niewielkim kosztem".

Mimo wszystko lady Spenta Kama kochała męża, a on ją. Ormus zawsze był przekonany, że między rodzicami wzajemność uczuć opierała się na dopasowaniu seksualnym, którego w żadnej mierze nie nadwątlili wiek.

- Nocami starzy zwykle się grzmocili - zapewniał. - Udawaliśmy, że nie słyszymy, lecz to nie było takie łatwe, bo robili mnóstwo hałasu, zwłaszcza kiedy

narąbanemu ojcu koniecznie się zachciewało pozycji nazywanej przez niego "angielską", za którą matka chyba nie przepadała. Te wrzaski na pewno nie brały się z rozkoszy, ale gotowa była niejedno wycierpieć z miłości.

Na wieść, że sir Dariusz całe swe życie zawodowe zbudował na oszustwie - że był potajemnie Sługą Kłamstwa - lady Spenta przeniosła się do oddzielnej sypialni i noce w mieszkaniu stały się odtąd ciche i smutne. Nigdy nie wyjaśniła sir Dariuszowi powodu opuszczenia wspólnego łóża; napisała natomiast do lorda Methwolda, błagając w imię tak długiej przyjaźni, by zachował dla siebie mężowską tajemnicę. "On już od lat nie praktykuje, a kiedy to robił, wszyscy zgodnie uważali, że pełni służbę prawnika rzetelnie, więc chyba nikt nie doznał krzywdy, prawda?" Methwold odpisał, że zgadza się "pod jednym wszakże warunkiem, droga Spento: to ty będziesz odtąd pisać i przysyłać nowiny, bo nie czułbym się najlepiej, gdybym wiedząc, co wiem, pisywał do D. K K".

"Boję się, że korzę się może przed błędem" - wyznała nieszczęsna lady w późniejszym liście do lorda. "My, parsowie, szcycimy się wiarą w wizję postępu wszechświata. Nasze słowa i czyny, w małym stopniu rzecz jasna, są częścią bitwy, w której Ahura Mazda chce zwyciężyć Arymana. Lecz jakże mogę wierzyć w doskonałość kosmosu, kiedy w tym moim zaścianeczku aż tyle jest śliskich zbroczy? Może nasi przyjaciele hindusi mają rację, może żadnego postępu nie ma, tylko odwieczny cykl i właśnie teraz trwa ten długi wiek ciemności, kalijuga?"

By przezwyciężyć wątpliwości i wesprzeć zaratusztriańską prorocką wizję szlachetniejszego świata, lady Spenta Kama wdała się w czynienie dobra. Pod opiekuńczymi skrzydłami Anioła Zdrowia wyspecjalizowała się w późnowieczornych wizytach szpitalnych. Pograżone w neonowej poświacie a otoczone przez ciemność korytarze szpitala Gratiaplenu bądź parsyjskiego szpitala położniczego oswoiły się z małą, tęgą, krzątliwą, żywo kroczącą figurką; lady Spentę, lekko pochyloną do przodu, w okularach w rogowej oprawce, zaciskającą oburącz torebkę, można było zobaczyć zwłaszcza w pobliżu ponurych sal i oddziałów intensywnej opieki zastrzeżonych dla stanów najcięższych, beznadziejnych, dla chorych najokropniej porażonych i umierających. Personel pielęgniarstwa tych zakładów - nawet postrach Gratiaplenu, siostra John - szybko nabrał uznania dla maleńkiej damy. Zdawało się, że lady Spenta Kama instynktownie wyczuwa, kiedy częstować chorych paplaniną - powtarzać bombajskie ploteczki o najnowszym sklepie, najnowszym skandalu - a kiedy zachować absolutną ciszę, z której sący się jakieś ukojenie. Okazało się, że w sprawie

ciszy lady Spenta czegoś się nauczyła od Ardawirafa, swego syna. Wirus zaczął dotrzymywać towarzystwa dyżurującej matce, a jego milczenie i spokój wspierały chorych, niosąc przebłyski pogody. Głęboko przejęta tym, co zobaczyła w szpitalu - licznymi przypadkami niedożywienia, polio, gruźlicy i innych schorzeń związanych z nędzą, w tym okaleczeń w wyniku nieudanych samobójstw - lady Spenta, wraz z panią Dolly Kalamańdżą ze Wzgórza Malabarskiego, stała się werbowniczką i sprężyną działania grupy podobnych do niej parsyjskich dam, która to grupa obrała za cel zmniejszenie cierpień parsyjskiej społeczności, zdaniem ogółu wyłącznie składającej się ze świetnie sytuowanych, wpływowych obywateli, a tymczasem popadającej w skrajne trudności, nawet w pewnych wypadkach w brak środków do życia. Coraz odleglejszy sir Dariusz Kserkses Kama krytykował poranne herbatki, podczas których damy planowały zbiórki środków.

- Głupi żebracy mogą winić tylko siebie - burczał, sunąc przez salon jak duch. - Śladu kręgosłupa. Mięczaki. Maminsynki. Trudno, ale taka jest prawda. - Na ogół damy pochłonięte zadaniem puszczały te uwagi mimo uszu.

Nie brakło złośliwych pogłosek na temat wizyt lady Spenty przy łóżkach chorych; jakoby było w nich coś niezdrowego, obsesyjnego, jakoby lady Spenta popadła w nałóg trzymania za rękę umierających i zgrywania się na świętobliwą a szczodłą damę. Nie zgadzam się z tym. Jeśli już miałbym krytykować arcydzielną dobroczynną szarżę lady Spenty, rzekłbym tylko tyle: miłosierdzie zaczyna się w domu.

W 1947 roku, w wieku piętnastu lat, Cyrus Kama ogłosił własną deklarację niepodległości. Spędził dotąd pięć lat w sławnej - a dzięki rygorom także osławionej - Templars School, w południowym górskim uzdrowisku Kodajkanal, co było karą za próbę uduszenia brata. Z początku Cyrus na wszelkie sposoby okazywał w Templars, że jest dzieckiem niezrównoważonym, gotowym atakować na równi kolegów i nauczycieli. Potem jednak uznano go za chłopca całkiem innego, o naturze bez reszty przepojonej słodyczą, równie ujmującego jak jego brat Ardawiraf. To "drugie ja" zapewniło mu szansę, na które nie mogłoby liczyć inne takie dziecko.

Sir Dariusz i lady Spenta wybrali templaryjską opcję "całoroczną" - w myśl której Cyrus spędzał w szkole okresy nauki oraz wakacje - zwykle przeznaczoną tylko dla chłopców, których rodzice byli za granicą lub na tamtym świecie. Z początku szkoła, piórem wychowawców, dwukrotnie nakłaniała Kaniów do rozważenia wyboru na nowo, ponieważ po chłopcu znać zamęt i otoczenie rodziny niewątpliwie

przyniosłoby dziecku korzyści; lecz zwłaszcza lady Spenta okazała się niewzruszona. "Chłopiec wymaga żelaznej ręki - odpisała - i państwo taką ręką się chlubicie. Mam rozumieć, że to niezasłużona opinia?" Sir Dariusz miał podobne zdanie, a powołał się na Brytyjczyków: "najlepsza jest różeczka". Bezwzględna decyzję Kamów można złożyć na karb powszechnego w Indiach wstrętu do psychiatrii i tematu chorób psychicznych, ale zrozumieć to nie rozgrzeszyć.

W każdym razie przymówka lady Spenty spowodowała, że zaczęto traktować Cyrusa najsurowiej. Kary cielesne wyznaczano często, a egzekwowano dotkliwie, nie szczczędząc czasu. Skutki były natychmiastowe. Ustały agresje, a stopnie radykalnie zwyżkowały; zniknął Cyrus występny, ustępując miejsca Cyrusowi czarującemu. Na dodatek namiętnie rozwijał żyłkę sportową i rychło stał się gwiazdą szkolnej sali gimnastycznej, równie biegle ćwicząc na poręczach i drążku, na koniu z łękami i kółkach. Z Cyrusowych świadectw były duma i satysfakcja nauczycieli, a dzięki tym świadectwom lady Spenta z pewnością poczuła się usprawiedliwiona.

W sierpniu 1947 roku trwały w Templars School wakacje. Cyrus tkwił w internacie z półtuzinem innych chłopców, przeważnie synów dyplomatów, których ojcowie właśnie obejmowali placówki po świecie. Taki masowy mord - bo dzieciaki uduszono w łózkach, we śnie - przykułby w innym momencie uwagę całego kraju. Ale pełne uniesień świętowanie Niepodległości, na tle potwornej rzezi wynikłej z Podziału, i fakt, że do uduszeń doszło nie w Delhi, Kalkucie czy Bombaju, ale w odległym Kodajkanalu, oznaczały, że owe uśmiercenia w ogóle nie obeszły prasy ogólnokrajowej, chociaż zamordowani chłopcy pochodzili z nie byle jakich rodzin. Z początku zniknięcie Cyrusa nie skierowało na niego podejrzeń. Przecież próba uduszenia małego Ormusa była rodzinną tajemnicą, którą Kamowie zachowali dla siebie; także teraz na wieść o zbrodni nie kwapili się alarmować policji.

Uznano, że Kama albo umknął zabójcy, w takim razie gdzieś się ukrywa, może ranny, a na pewno przerażony, i pewnie po jakimś czasie wyjdzie z ukrycia (nie wyszedł), albo przestępca porwali go jako zakładnika, wówczas należy się spodziewać żądania okupu, albo jego ciało odnajdzie się później i gdzie indziej (nie odnaleziono). Cele morderców pozostały zagadką, ale to w ogóle były krwawe dni, a policja kryminalna z Kodajkanalu dysponowała ograniczonymi środkami, nie więc dziwnego, że motywu nie udało się ustalić.

"Poduszkowiec" - pod którym to przydomkiem wkrótce zasłynął Cyrus Kama, seryjny morderca i psychopata - był osobnikiem błyskotliwego umysłu i

wysportowanego ciała (za taką właśnie parsyjską młodzieżą usilnie tęsknił jego ojciec) i po paru tygodniach był już odpowiedzialny za morderstwa w Majsurze, Bangalurze i Madrasie. Rozproszenie miejsc zbrodni, brak związku z miejscowymi społecznościami, wreszcie nerwowy klimat tamtych czasów sprawiły, że wprawdzie nie powiązano tych zbrodni ze sobą - chociaż ta sama metoda, duszenie poduszkami, dostarczała oczywistego tropu - ani z Cyrusem. (Tymczasem policja z Kodajkanalu obstawała przy wersji z porwaniem dla okupu i późniejszym zabójstwem i wciąż czekała, aż gdzieś się znajdzie ciało.) W końcu Cyrus, nie mogąc dłużej znieść anonimowości, wysłał do właściwych komendantów policji list tak chełpliwy, na jaki może się zdobyć tylko piętnastolatek: oskarżył sam siebie, zapewniając zarazem, że nigdy nie da się złapać takim patalochom.

Gdy o tych faktach poinformowano lady Spentę, otarła łzy wstrząśnięta.

- Nasz świat postradał kotwice - powiedziała do męża. - Na niczym nie można polegać. Co to za wspólnota ludzka? Jak sprostać ogromowi przemocy, bezlikowi zdrad, tym lękom? - *To, co w nas jest najlepsze, tonie w najgorszym.* Potem, rodzinnym zwyczajem, pogrążyła się na pewien czas w dławiącej ciszy, a wynurzyła z kryjówki, by oznajmić zduszonym głosem, że odtąd nie ma już syna imieniem Khusro alias Cyrus Kama, w jej obecności tego imienia wymawiać już nie wolno; oświadczenie ponuro poparł sir Dariusz. Wyrzeknięciu się syna nadano formę prawną. Sir Dariusz Kserkses Kama zmienił testament i wydziedziczył dusiciela. Co bliźni brat mordercy, Wirus, przyjął do wiadomości bez słowa.

Technika Cyrusa polegała na zauroczeniu ludzi na śmierć. Wyglądał na starszego o parę lat, niż był w rzeczywistości, i podobnie się zachowywał; w szacownych miejscach publicznych, kinach, kawiarniach, restauracjach jedną sobie przyjaźń ofiar, zwyczajnie mając młodych ludzi szastaniem pieniędzmi, oni zaś widzieli w nim niezwykle pociągającego i oryginalnego młodzieńca o wyjątkowej sile intelektu. Wypytywali, po co młody parsyjski zuch samotnie przemierza południowe Indie (bo w owych czasach tylko nieliczni Hindusi podróżowali dla przyjemności po własnym kraju, nawet do Kaszmiru); w odpowiedzi - modulowanym głosem i świetną dykcją, świadczącymi o ekskluzywnym wychowaniu - rozpląwał się w pochwałach swych jakże liberalnych rodziców, GB. i Hebe Dżibibhoj z Kasrou Bag w Bombaju, którzy rozumieją, że młody człowiek musi dorastać po swojemu; otóż spełnili synowskie życzenie, zgodzili się, by wspaniałości od niedawna niepodległych Indii poznawał w odbywanej samotnie swoistej pielgrzymce, rocznej jąttrze, zanim uda

się do Anglii, by na uniwersytecie oksfordzkim studiować prawo. Zachwycał ofiary opowieściami z podróży po wielkim subkontynencie; z tak naturalnym wyczuciem szczegółu rozwodził się nad lśniącymi w słońcu miastami, łańcuchami górskimi jak diabelskie zęby, deltami rzek, po których kręcą się tygrysy, świątyniami zapomnianymi wśród odległych pól kukurydzianych, że nikomu by nie przyszło do głowy wątpić w prawdziwość tych najzupełniej fikcyjnych relacji. Nieustraszony podróżnik tak skutecznie uwodził swe cele, że już pod koniec pierwszego wieczoru nieszczęśnicy zapraszali go w gościnę.

Wówczas ich obezwładniał, namiętnie i co noc perorując do późna o “moralnych krótkich spięciach” wieku, ogarniającej cały kraj “utracie wielkości ducha” (jakże boleśnie uświadomił ją sobie w podróży!) i wymarzonemu stworzeniu “ruchu ludzi na rzecz zbawienia tego nieszczęsnego, skrwawionego kraju, przez siłę i energię duchową”. Miał tyle charyzmy i taką zdolność wyławiania naiwnych, że ofiary szybko zaczynały się w nim dopatrywać jakiegoś nowego wielkiego przywódcy, guru, nawet proroka, ochoczo wręczały pokaźne sumy na rzecz fundacji wspierającej “ruch” i rozpowszechniającej jego poglądy; a wówczas Cyrus cichaczem odwiedzał je w tych idiotycznych sypialniach i pozwalał, by poduszki - jakby nieprzymuszone, same pchając mu się w ręce - zrobiły, co należy, a co niezbędne, bo głupcy nie są warci, by żyć. Dać się zabić to zasługiwać na śmierć. (Czołobitnie przedstawiające Cyrusa stronice znaleziono też w osobistych dzienniczkach pisanych przez pomordowanych chłopców z Templars School, którzy najdobrowolniej w świecie obdarowali go własnym kieszonkowym, finansując w ten sposób jego inauguracyjną ucieczkę.)

Lecz także Cyrus żywił skłonność do przesadnych wahań nastroju i czasem pogrążał się w mrocznym, przepaścistym podziemiu: wstręcie do siebie. Z początkiem 1948 roku podczas jednego z takich napadów wrócił do Kodajkanalu, wmaszerował na komisariat policji i poddał się przerażonemu dyżurnemu. Powiedział tylko:

- Mogłem zrobić to samo z całą resztą, frajerze.

Miał zaledwie szesnaście lat, wziął na siebie całkowitą odpowiedzialność za dziewiętnaście uduszeń, został przez sąd uznany za “głęboko upośledzonego, całkowicie amoralnego i w najwyższym stopniu niebezpiecznego”; przewieziono go na północ, gdzie na resztę dni, “by chronić społeczeństwo”, zamknięto go w celi bez poduszki, w wyposażonym w najpewniejsze zabezpieczenia delhijskim więzieniu Tihar. Po paru tygodniach zrobił tam jak najlepsze wrażenie, strażnicy wylewnie zachwalali mądrość i wiedzę Cyrusa, jego nienaganne maniery i ogromny wdzięk

osobisty.

Zatem w szafie Ormusa znajdował się żywy szkielet i była to jeszcze jedna okoliczność dzielona z Winą: także w jego rodzinie doszło do seryjnego mordu.

Kiedy myślę o trójce braci Kamów, widzę, że za sprawą okoliczności wszyscy zostali na pewien czas osadzeni we własnym ciele jako więźniowie. Piłka krykietowa wepchnęła Wirusa w ciszę; poduszka wyzuła Ormusa z muzyki na czternaście długich lat; wygnanie i kara sprawiły, że także Cyrus skrył się za fałszem, przybrał obcą mu postać, pożyczoną od ujmującego bliźniaka. Na wygnaniu w głąb siebie każdy dotarł do czego innego. Cyrus do źródeł degradacji, Wirus do istoty pokoju, a Ormus - ścigając wpierw w snach cień Gajomarta, później nauczywszy się za radą Winy słuchać własnych głosów wewnętrznych - odnalazł sztukę.

Cała trójka miała też dar wabienia zwolenników. Do Cyrusa lgnęły ofiary, do Ormusa fani, natomiast Wirus przyciągał dzieci.

Wkrótce po epokowym spotkaniu Ormusa Kamy z Winą Apsarą w sklepie muzycznym Rhythm Center brat Ormusa Ardawiraf przechadzał się jak zwykle po nadmorskim bulwarze przed Bramą Indii w owej godzinie chłodu, dzielącej skwar od zmierzchu. To wtedy zaczął sobie zjednywać zwolenników wśród ulicznych urwisów, którzy nie dopraszali się pieniędzy, nie chcieli mu pucować butów, po prostu szeroko uśmiechali się do niego w nadziei (zwykle zasadnej), że uśmiech odwzajemni. Bo piękny uśmiech Wirusa okazał się zaraźliwy; szerzył się błyskawicznie wśród ulicznej łobuzerii, znakomicie zwiększając jej moce pozyskiwawcze. Niewielu zagranicznych turystów mogło się oprzeć rozbrajającej niewinności tego uśmiechu. Nawet wytrawni, zahartowani bombajczycy od lat za: prawieni w opędzaniu się od dziecięcych błagań, topnieli w jego ciepłe jak wosk i całymi garściami dawali srebrne ćawanni brzdącom nie wierzącym własnym oczom.

Co prawda bywały okresy, w których nie widywano uśmiechu Ardawirafa Kamy. Przeżywał wówczas tak potężne napady klaustrofobii i zniechęcenia, że musiał przysiąść na obmurowaniu nabrzeża, głośno łapiąc oddech. W jego głowie lęły się, nie wiadomo skąd, straszne myśli.

“Osiem lat. Czy wyobrażasz sobie, ile goryczy gromadzi się w człowieku przez osiem lat za kratami? Jaki potop zemsty musi się rozlać, by zmyć ślady tych mąk?” Nie umiał nic odrzec. Nie chciał znać odpowiedzi. Lecz wiedział, że ogarnięty szaleństwem bliźni brat wciąż żyje i marzy tylko o jednym, nieuniknionym: o dniu ucieczki. Wirus zamykał oczy, brał głęboki oddech i na tym kończył seans łączności z

“Poduszkowcem”, liczącym teraz dwadzieścia cztery lata. Tłoczące się wokół dzieci ofiarowały Wirusowi uśmiech będący jego uśmiechem. Odwzajemniał go. Dzieci radośnie pokrzykiwały.

Kto to taki? Kto może zapomnieć nieśmiertelnego Harpo i jego dziecinną świtę w *Dniu na wyścigach*? Chociaż moda, której hołdował Wirus Kama, przewidywała noszenie schludnej kolorowej koszuli i spodni śmietankowego koloru, to przechadzki Wirusa otoczonego wianuszkami łachmaniarzy zawsze przywodziły mi na myśl tego kochanego (i niemego z wyboru) geniusza w sfatygowanym klaunowskim kapeluszu i oberwanym płaszczu. Wirusowy sposób potrząsania kędzierzawymi włosami jeszcze zwiększał podobieństwo do pana Adolpha Marxa... i pewnie któremuś z tych nieokrzesanych koleżków Wirusa udało się zakraść do kina na ów stary film, bo pewnego dnia niewielki osobnik o co się zowie śmiałym a bezczelnym uśmiechu podszedł do Wirusa i wyciągnął drewniany flet, któremu Wirus przyjrzał się ciekawie, potem przyłożył instrument do ust i zadął.

Rutituttut! Wszyscy młodzi Kaniowie, nie wyłączając zmarłego Gajomarta, odnajdowali w sobie muzykę jak coś zupełnie naturalnego, a łatwość i zachłanność, z jakimi Ardawiraf grał teraz na flecie - intuicyjnie, lecz (poza paroma nieuniknionymi zawahaniem) tak płynnie, że graniczyło to z magią - sporo mówiły o bólu zadawanym przez przeciągłą nieobecność muzyki w życiu. Przejmujące, zaziemskie dźwięki wieczornej ragi sprawiły, że na bulwarze zamarli spacerowicze. Dzieciaki przykucnęły, ptaki wstrzymały się od śpiewu. Brzmienie fletu przypominało łkanie duszy; może tkwiącej na moście Czinwant w oczekiwaniu na osąd. Po jakimś czasie, kiedy już zapadł zmierzch i zajaśniały uliczne lampy, Ardawiraf przerwał grę; wydał się jakoś niemądrze, gapowato uradowany.

- Jeszcze, panie Wirus - dopraszał się chłopak, który wręczał flet. - Coś takiego z uśmiechem.

Wirus znów przytknął instrument do warg i z godnym uwagi zapalem zagrał *Świętych*. Teraz nie tylko był Harpo, lecz także Szczurołapem wprowadzającym dzieci; a potem Myszką Miki i Uczniem Czarnoksiężnika, otoczonym przez disneyowskie nieusłuchane miotły, bo taniec wesołych uliczników nabierał pędu, aż wymknął się z jakichkolwiek ram, dzieciaki wirowały w światłach nadjeżdżających samochodów i skuterów, szalały, póki nie rozproszyły ich policyjne gwizdki, na skutek czego Wirus został sam, z fletem w ręce, by w końcu niemo, ze zwieszoną głową i zawstydzoną twarzą wysłuchać pouczeń funkcjonariusza odmalowującego niebezpieczeństwa

wynikłe z tamowania ruchu.

Nazajutrz, w niedzielny ranek, Ardawiraf Kama zdjął dziewiętnastoletnie już embargo nałożone na muzykę i na nowo wprowadził melodie do mieszkania przy Nabrzeżu Apollińskim. Kiedy sir Dariusz przebywał w ustroniu biblioteki, a lady Spenta oddawała się "charytei" u Dolly Kalamańdzi, Wirus przetrząsnął matczyne buduar, by na toaletce w szkatułce z biżuterią znaleźć, czego szukał; potem zapukał do Ormusa i podsunął zdumionemu bratu srebrny medalionik z kluczykiem w środku. Ormus, nie wierząc własnym oczom, potulnie ruszył za stanowczym teraz Wirusem do salonu, gdzie milczący brat ściągnął pokrowiec z dawno zapomnianego krótkiego fortepianu, magicznym kluczykiem otworzył magiczne klawisze, usiadł i odpalił z instrumentu jeden z najszacowniejszych riffów muzyki popularnej. Zdumiony Ormus pokręcił głową.

- Kiedyś ty się wyuczył Bo Diddleya? - zażądał wyjaśnień. Nie usłyszawszy odpowiedzi, zaczął śpiewać.

Tu wkracza sir Dariusz Kserkses Kama, nieco przechylony na lewą burzę, w asyście butlera Gieve'a ze szklaneczką whiskey na tacy; zasłania rękami uszy.

- Brzmi, jakby ktoś zarzywał kozła - napadł na Ormusa, upodabiając się mimowolnie do wszystkich ojców, którzy w tej samej chwili, jak świat długi i szeroki, protestowali przeciw owym diabelskim frazom. Lecz zaraz potem sir Dariusz na" tknął się na spojrzenie Ardawirafa i przerwał, zmieszany. Wirus zaczął się uśmiechać. - To przecież przez ciebie - rzekł słabym głosem sir Dariusz. - Z powodu tamtego urazu. Ale jeśli chcesz, na co nie mam wpływu, nie będę ci zabraniał. Skądże.

Uśmiech Wirusa stawał się coraz szerszy. A sir Dariusz Kserkses Kama w tej niesamowitej chwili, zwiastującej kres jego patriarchalnej władzy we własnym domu, poczuł - mimo zawieruchy uczuć - kurcze mięśni na twarzy, jakby próbował wspiąć się na nią uśmiech, jak pająk. Sir Dariusz odwrócił się i umknął.

- Powiedźcie Spencie - rzucił jeszcze przez ramię - że poszedłem do klubu.

Wirus zasunął nowy kawałek.

- *Oh, yes, I'm the Great Pretender* - wyśpiewywał Ormus - *pretending that I'm over you. Moje pozy, wasza strata, gram ważniaka całe lata. Moje miny, moje maski, czekam na wasze oklaski.*

Ormus Kama, któremu rozsznurował usta brat o zasznurowanych ustach, zaczął wreszcie wykorzystywać bajeczny talent; był od początku cudownym

dzieckiem, starczyło, że dotknął jakiegoś instrumentu, a stawał się wirtuozem, tylko powąchał jakiegoś stylu śpiewania, a stawał się w nim mistrzem.

Muzyka lała się z niego strumieniami. Wyzwolony, siadał codziennie przy fortepianie obok uśmiechniętego Ardawirafa i uczył go nowych tematów, tuzinami. A kiedy odwiedzał Winę w willi Thracia, pukał w starą, sfatygowaną trzyćwierciową gitarę (nazajutrz po tym, jak Ormus przebił dzokerem asa, Pilu odesłał nieliczne ruchomości Winy), trzącał struny, brzdąkał, i dźwięki nowej muzyki wypełniły także nasz dom. Z początku Ormus grywał tylko to, czego nauczył się w snach od Gajomarta; wyśpiewywał dziwne pochody samogłosek, w których nie sposób było się doszukać treści, albo zupełnie rozmywał tajemniczą powagę muzyki zaczerpniętej ze snów, dorabiając nonsensowne słowa.

- Moja droga gańdża rośnie sobie w donicy; gańdża rośnie w donicy.

(A potem, *diminuendo*.)

- Chmara gości z ulicy. Stara pości w ciemnicy. Gańdża rośnie w donicy.

Wina chichotała i protestowała:

- Ormus, zlituj się!

- Ale tak to mniej więcej brzmi - tłumaczył potulnie. - Nie mogę wszystkiego dosłyszać.

Po paru takich wpadkach przyrzekł ograniczać się do bieżącej listy przebojów. Ale, rzecz nieunikniona, kiedy w tysiąc i jedną noc później falami eteru wstrząsnęła autentyczna wersja *Blowin' in the Wind*, Ormus wykrzyknął:

- A teraz widzisz? Co? Zgadza się?

Trudno zaprzeczyć, wciąż się trafiały takie historie; ilekroć jakaś melodia Gajomarta Kamy przebiła się ze świata snów do rzeczywistego, ci z nas, którzy usłyszeli ją po raz pierwszy w koślawej wersji w bombajskiej willi przy starej Cuffe Paradę, musieli uznać, że czarodziejski dar Ormusa nie jest wymysłem.

Jeśli znalazł okazję, by grywać Winie inne kompozycje, na których poszukiwanie sama go wysyłała - myślę o jego własnych piosenkach, frazach będących tylko jego muzyką - to ja ich nigdy nie słyszałem. Ale podczas tych lat czekania, kiedy pisał na umór, kiedy twórczość wylewała się z niego strumieniami jak z przerwanej tamy, zdarzyło się, że ułożył pierwszą piosenkę jawnie miłosną. Miłości obcy był mi smak, pisał, zanim rzuciła Rzym. Wierzyłem w Boga na niebie znak, ognisty krzak (powiedzmy sobie szczerze: w ogóle nie wierzył, ale prawda musiała się tu podporządkować twardym wymaganiom rymu), zanim rzuciła Rzym. By stanąć w

progu: swym i mym. Teraz me serce śpiewa jak ptak: bądź mi jastrzębiem, ja ci gołębiem, odkąd rzuciłaś Rzym. Ty jesteś pieczęć, a ja lak, ty jesteś pełnia, a ja brak; na co nam Bóg, na niebie znak, odkąd rzuciłaś Rzym. Jeszcze bardziej adoracyjna była ta radosna i żartobliwa modlitwa nastolatka, to runięcie na kolana w hymnicznym *Pod jej stopami*: Będę czczył wszystko, czego tknie, Sobą, swym cieniem, snami, Szkolną ławkę i kubek, Sukienki i jej wóz. Ziemię pod jej stopami.

Taka jest opowieść o Ormusie Kamie, który wpierw odkrył muzykę.

Uczucia, którymi lady Spenta darzyła Ormusa, pozostały, powiedzmy, nie wyartykułowane. Ale jej ulubieńcem był Ardawiraf, więc dzielając krytyczny męzowski stosunek do pochrząkiwań i czkawek, czyli tak zwanego Ormusowego śpiewu, nie zdobyła się na poproszenie braci, żeby przestali. Powrót muzyki na Nabrzeże Apollińskie tylko wzmógł jej przekonanie, że jak najszybciej musi ożenić Ormusa. Od chwili ukończenia szkoły, z kompromitującym świadectwem przynoszącym tylko wstyd rodzinie, jej najmłodszy syn obijał się, pętał bez celu, a jeśli gdzieś go ciągnęło, to do dziewczyn. Rodzice uczennic Szkoły Katedralnej dla Dziewcząt zaczęli się w końcu skarżyć lady Spencie, że jej syn popadł w nawyk podpierania ścian w pobliżu szkolnej bramy; niby to leniwie dłubie w zębach, tymczasem bardzo powoli kręci biodrami, a dziewczęta na skutek tego kręcenia nie mogą się potem skupić na zadaniach domowych. Ormus pytany przez matkę, nie próbował zaprzeczać. Niesłychana zmysłowość ciała była od początku zjawiskiem całkowicie niezależnym od jego woli, promieniowaniem nie uświadomionym; nie czuł się nigdy odpowiedzialny za skutki. Widocznie ma głowę nabitą muzyką, zachnął się w odpowiedzi, wprawiła mu ciało w ruch, nie wie nawet, jak i dlaczego. A co się w związku z tym roi dziewczętom, to ani jego sprawa, ani wina.

- Chłopak wygląda na nieodpowiedzialnego - żaliła się lady Spenta sir Dariuszowi. - Brak mu ambicji, daje powody do obmowy, pod czaszką ma tylko tę muzykę. Jest do niczego, a jeśli założymy ręce, popadnie w najgorsze.

Persis Kalamańdża wydawała się idealnym środkiem zaradczym. Dziewczyna piękna, świętego charakteru, dziwnie objawiająca na każdym kroku, że wielbi Ormusa. No i rodzice: dziani. Długotrwały stan spoczynku sir Dariusza znacznie nadwerżył konta bankowe Kaniów, więc Ormus - tak przynajmniej sądziła lady Spenta - winien był ojcu i matce uzdrowienie finansów rodziny. Patangbaz "Pat" Kalamańdża i jego żona Dolly przyjeżdżowali z Kenii, a zbili fortunę w powojennym Londynie, produkując tanie radioodbiorniki i budziki pod nazwą Dollytone™,

następnie przeistoczeni w Kalatours® weszli w branżę podróży, specjalizując się w organizowaniu przelotów między krajami, w których gwałtownie rozkwitła podówczas hinduska diaspora. W Wielkiej Brytanii w latach pięćdziesiątych interes kręcił się aż miło i Pat Kalamańdża przez większą część roku musiał tkwić na posterunku w Wembley, ale Dolly “w pełni repatriowała się”, od starego pana Evansa z Bombay Company kupiła jeden z najpiękniejszych starych bungalowów na Wzgórzu Malabarskim, wydała majątek na zdewastowanie budynku, nabrała apetytu na zyskanie szacownej pozycji i równie namiętnie zapragnęła chociażby cząstki baronostwa sir Dariusza, jak lady Spenta gotówki Pata Kalamańdży.

- Śpiewać mu się zachciało? - fuknęła w nos mężowi. - To pośpiewają za niego radia Dollytone. Tańczyć do upadłego? Biuro podróży wykieruje go na spokojniejsze wody. No i te brytyjskie stosunki - dodała chytrze, wiedząc, jaki wywoła to skutek u arcyanglofila.

Sir Dariuszowi rozbłysnęły oczy. Natychmiast przystał na zonine plany.

- Starsze rodziny wypadły z gry z powodu błędów wiadomokogo - wywodziła (stać ją było na takie najwyżej napomknienie o dziewiętnastu morderstwach popełnionych przez Cyrusa) - więc ci Kalamańdżowie spadają nam z nieba jak pięknie skrojony latawiec.

Problemem była Wina. Kiedy Ormus ją poznał, zakomunikował z powagą matce, że nieopatrznie się zakochał, więc zaręczyny z urodziwą Persis już nie wchodzi, niestety, w rachubę. A kiedy wskazał obiekt tych niesłychanych uczuć, matce - dotąd przekonanej, że świeżej daty lśnienia w Ormusowych oczach, świeżej daty lekkość kroku, skwapliwość, z jaką wita każdy nowy dzień, są sprawką Persis - oczy wyszły z orbit i wpadła w furję.

- Ty diabelskie nasienie! Dwunastoletnia szczeniara bez pensa, nie wiadomo czyja, nie wiadomo skąd?! - wrzasnęła lady Spenta. - Wybij ją sobie z głowy, syneczku; tej zawodniczki w ogóle nie ma.

Lady Spenta Kama i Dolly Kalamańdża uzgodniły, że nadal będą postępować w myśl planu, jakby nic nie zaszło.

- To się rozwieje - Dolly zapewniała przyjaciółkę. - Chłopcy to chłopcy, tacy sami przed ślubem i po ślubie, a jednak umieją być dobrymi mężami i w ogóle. - Mocno zaskoczona tą uwagą lady Spenta zdołała w porę ugryźć się w język.

W parę dni później Persis Kalamańdża i Ormus Kama zostali zabrani, każde przez własnych rodziców, na wspólną imprezę obu rodzin na gruntach Luxxus Milk

Colony. Młodych zachęcono, by pospacerowali wśród zieleni i krów, a kiedy już się znaleźli poza zasięgiem rodzinnych uszu, ta wspaniała Persis, za którą zastępy młodych mężczyzn z radością oddałyby życie, zapytała o nieletnią rywalkę.

- Słuchaj, możesz mi powiedzieć, nie ma sprawy. Nie będę robić scen - zapewniła. - Nieważne, czego chcą nasze matki. Miłość jest zbyt ważna, żeby ją zakłamywać.

Przynajmniej raz w swym czarownym życiu Ormus wydał się zakłopotany; wyznał, że nie wie, jak to się stało, ale tego dnia poznał w sklepie z płytami jedyną dziewczynę, którą może pokochać. Persis przyjęła cios, pożegnała się z nadziejami, poważnie skinęła głową i obiecała pomóc. Odtąd Persis aż po szesnaste urodziny Winy, dopuszczając się mniejszych i większych oszustw, skrycie przyłączyła się do Ormusa i Winy. Wpierw oświadczyła matce, że jeszcze nie jest sobie tak całkiem pewna, jeśli chodzi o ów rzekomy dar z niebios, Ormusa Kameę; jest co się zowie ładną kobietą, z klasą, i ani myśli poprzestać na pierwszym z brzegu okazie, który przyprowadzi matka, a jeśli to ma być Ormus, musi upłynąć naprawdę kawał czasu, zanim to ona nabierze pewności, czy rzeczywiście ten Ormus wchodzi w grę z jej punktu widzenia, po rozważeniu, rzecz jasna, wszystkich pro i kontra.

- Te dzisiejsze dziewczęta naprawdę przesadzają z nowoczesnością - westchnęła Dolly Kalamańdża; może by próbowała forsować to małżeństwo, gdyby nie apele słane przez Persis do ojca w Anglii, na skutek których Patangbaz Kalamańdża powiedział Dolly, że ukochana córka nie jest paczką, którą się komuś przesyła, zwłaszcza jeżeli nie chce zostać nadana, więc stanęło, na czym stanęło; Dolly dąsała się, ale przełknęła długie "przednarzeczeństwo". Mniej więcej raz na miesiąc skarżyła się, że córka potrzebuje stanowczo za wiele czasu na decyzję, a Persis odpowiadała niezmiennie:

- Żona na życie poślubiona; długo źle będzie po błędzie.

Maski Persis, miny Persis. Mogła płakać po nocach, zanim zasnęła. Ormus i Wina byli zbyt zajęci sobą, by poświęcić tej pięknej dziewczynie, która dla nich wyrzekła się własnych nadziei, choć trochę uwagi. Lecz w miłosnej historii Ormusa i Winy to właśnie Persis, z wielu względów, przypada rola prawdziwie heroiczna.

Opowiadała matce, że umówiła się z Ormusem na kawę; albo że się wybrali "popływać i na frytki w Willingdon"; albo że Ormus zabrał ją na niedzielną poranną jazzową jam session, które wówczas były popularne w paru restauracjach w Kolabie; albo że "dają niezły film".

- Miłosny? - wypytywała Dolly gorączkowo, a Persis kiwała głową, z wszelkimi oznakami przejęcia:

- *Miłość niejedno ma imię* - odpowiadała lub: - *Przygoda, którą zapamiętam* - a Dolly przytakiwała:

- Świetnie! Wpraw go w ten nastrój!

I oto Persis wychodzi, siada za kierownicą swego hindustan ambasadora i jedzie ze Wzgórza Malabarskiego na tę jałową schadzkę. Bo rzeczywiście umawiała się z Ormusem w tym klubie, tej restauracji, kawiarni czy kinie; dosłownie rzecz biorąc, nie okłamywała matki; lecz w chwilę później zjawiała się Wina i Persis wychodziła bez słowa. Godziny spędzone na samotnym wałęsaniu się po mieście, zanim mogła wrócić do domu, nie podważając alibi kochanków, były w jej życiu jamą, raną, przez którą wysącza się wszelka nadzieja i cała niemal radość.

“Myślę o czasach, kiedy służyłam Ormiemu za przykrywkę romansu, którego sami nie mieliśmy nigdy” - pisała do mnie. “Wmawiałam sobie, że jest ze mną, blisko, przy boku, ale, oczywiście, to były brednie. To nie tak, że niejedno ma imię, że warta jest pamiętania. Lecz jeśli o mnie chodzi, nie umiem zapomnieć”.

Między jestestwem własnym a cudzym, wizjonerem a psychopatą, między kochankiem a jego miłością, między naziemiem a podziemiem pada Cień.

Czas płynie. Teraz Ormus wciąż ściga w snach Gajomarta w tym Las Vegas świata podziemi, ale tak samo, a może częściej staje oko w oko z samym sobą na ulicach jakiegoś obcego, lecz znajomego miasta i wysłuchuje, co ma do powiedzenia jego wyśnione ja. Wciąż jest młody.

Świat nie jest cykliczny, nie jest odwieczny, nie jest niezmienny; bez końca przekształca się i nigdy nie cofa, my zaś możemy towarzyszyć tej transformacji, nawet ją wspomóc.

Żyj i przeżyj, nie daj się, bo ziemia czyni cuda. Może pożre ci serce, lecz one wciąż się będą zdarzać. Staw się przed nimi z odkrytą głową, wypowiedany. Oczekuje się od ciebie baczności.

Twoje pieśni są twymi planetami. Bywaj na nich, lecz nie czyn ich swym domem. To, o czym napiszesz, utracisz. O czym zaśpiewasz, odleci od ciebie na skrzydłach pieśni.

Śpiewaj przeciw śmierci. Powściągnij dzikość miasta.

Jedyna wolność to wolność odmowy. Wolność wspierania jest niebezpieczna.

Życie jest wszędzie. Przekraczaj granice. Odlatuj.

Wina Apsara wypatruje kogoś, kto ją powiezie; Ormus odkrywa, jak przewodzić. Czytają razem książki, szukają odpowiedzi. Na początku były woda i muł, czyta na głos Wina. I z nich zrodził się Czas; wąż trzygłowy. Czas stworzył świetliste powietrze, rozdziawioną jak ziewnięcie zatokę, w powietrzu zawiesił srebrne jajo. Pęknięcie jaja i tak dalej. Ta część, która interesuje Ormusa, to dwoistość natury człowieka. Który jest zarazem tytaniczny i dionizyjski, ziemski i boski. Przez oczyszczenia, ascezę i rytuał możemy odnowić element tytaniczny, zmyć z siebie, co ziemskie, fizyczne. Ciało jest słabe, złe, zatrute i zepsute. Musimy z siebie to zedrzeć. Musimy przysposobić się do boskości.

Nie, krzyczy Ormus. Oboje siedzą w Wiszących Ogrodach wśród krzewów przyciętych w kształcie słoni, wśród hedonistów spędzających tu wieczory i krzyk Ormusa zwraca uwagę. Ormus zniża głos. Naprawdę jest odwrotnie. Musimy się oczyszczać z boskości i przygotować na pełne wstąpienie w ciało. Musimy zmywać, co przyrodzone, i przygotować się na pełne wstąpienie w to, co sami budujemy, w wytwór człowieczy, w co sztuczne, w sztuczność, sztukę, sztuczkę, w konstrukcję, żart, pieśń.

Tak, mruczy Wina. Ciało, żyjące ciało.

Co jawne, jest, czym jest. Świat ukryty to kłamstwo.

Są tu sprzeczności. Nawet to, że Wina mu wierzy, bierze się z siły jej pragnień, by wierzyć, z siły pragnienia skierowanego ku niemu; więc Wina jest tylko na wpół świadoma tej drugiej strony własnej natury i natury Ormusa. Ponieważ Wina jest - będzie - dionizyjska, boska, taki też jest - będzie - on. Będą ludzi wprawiać w szalę pożądania, muzyki, zostawią za sobą długi ślad zniszczeń i rozkoszy. Czy przyjemność to domena rozumu czy marzeń i snów?

Wina pyta: Dlaczego szukasz brata w tym domu-śnieniu? Mój brat nie żyje, krzyczy Ormus, na co obraca się jeszcze więcej głów. Nie mieszaj go do tego. Mój brat Gajomart nigdy nawet nie żył.

Dotknij mnie, prosi Wina. Weź za rękę.

Nie bierze. Przecież przysiągł.

Nie może dotknąć. Wina to nie dziecko, już nie dziecko, a jednak dziecko. W snach i w rojeniach na jawie Ormus widzi, jak jej ciało rośnie, widzi pączkowanie i rozkwitanie piersi, wschodzenie włosów, krwawą czerwień plamiącą uda. Czuje, jak

Wina porusza się pod dotknięciem ręki, czuje, jak pod jej czułym dotknięciem w nim samym ciało napina się, wzbiera, rośnie. W zaciszu własnych myśli jest lubieżny, dziki, zbrodniczy, lecz w świecie rzeczywistym, który z dnia na dzień wydaje mu się coraz bardziej nierzeczywisty, on, Ormus, po raz pierwszy w życiu gra dżentelmena bez skazy.

Wina zawsze będzie się tym chełpić.

- Czekał na mnie. - To wbijają w dumę z niego, lecz i z siebie. Być aż tak wartą miłości. (Ja również na nią czekałem, lecz nigdy się tym nie chełpiła.)

Znamię na powiece dokucza Ormusowi. Walczą w nim matka i ojciec: anioły i tajemnice lady Spenty z zachwalanym przez ojca apollińskim racjonalizmem. Choć należy też przyznać, że lady Spenta z jej dobrymi uczynkami mierzy się ze światem rzeczywistym, z jego przypadłościami, chorobami, okrucieństwami, tymczasem pogrążony w nierzeczywistości własnej biblioteki sir Dariusz żyje życiem skłamanym, i to w niejednym wymiarze.

Zmagają się w nim także żyjący bracia, zabójca i ten łagodny. A zmarły bliźniak rozpływa się, odstępuje.

Rozum i wyobraźnia - i to światło, i to światło - nie współżyją w pokoju.

Dwa światła wielkiej mocy. Razem czy z osobna mogą oślepić.

Niektórzy widzą w ciemności. I to nieźle.

Wina, patrząc, jak Ormus urasta, słysząc tę walkę myśli, którą toczy, czując udrękę pożądania wziętego w karby, widzi spowijającą go świetlistość. To przyszłość. Być może. Ormus skąpie się w świetle. Będzie jej idealnym kochankiem. Okiełzna tłumy.

On też jest kruchy. Bez jej miłości bezgranicznie wyobcowany, może straszliwie pobłądzić. Idee rodziny, wspólnoty niemal już w nim umarły. Został tylko milczący Wirus i te seanse fortepianowe. Gdyby nie to, byłby kimś tak nigdzie nieprzynależnym, jak astronauta unoszący się w przestrzeni po wyjściu z kabiny kosmicznej. Ormus jest czystym działaniem, akcją, słyszy tylko samogłoski wywleczone z taniej muzyki, kleci wyzbyte znaczenia hałasy. Może z łatwością osiągnąć mniej niż zero. Może nie zdoła uskładać tyle, by starczyło na postać.

(Powiedziano, że kiedy Kama, bóg miłości, popełnił zbrodnię, próbując dosięgnąć potężnego Siwe strzałą miłości, wielki bóg spalił go na popiół piorunem.

Żona Kamy, bogini Rati, błaganiami o jego życie zmiękczyła serce Siwy. W tym odwróceniu mitu Orfeusza to kobieta wstawia się u bóstwa i wyprowadza Miłość - czystą Miłość! - spośród martwych... Więc także Ormus Kama, wyzuty z miłości przez rodziców, których nie zdołał sam przesyć miłosną strzałą, skarłały z braku ich uczucia, zostaje przywrócony światu za sprawą miłości Winy.)

Lgnie, nie dotykając jej. Spotykają się, szepczą, krzyczą, nawzajem się kształtują. Oboje są Pigmalionem, oboje Galateą. Są jednym istnieniem w dwóch ciałach: co żeńskie i co męskie, konstruuje ich oboje. Jesteś moją jedyną rodziną, mówi do niej. Jesteś moją jedyną ziemią. To ciężkie brzemiona, lecz ona chętnie się nimi obarcza, podobnie obarczając w zamian jego. Oboje doznali szkód i oboje nawzajem naprawiają te szkody. Później, wstępując w świat rujnowanych istnień, w świat muzyki, będą już wiedzieć, że w życiu takie szkody to los, normalna historia, jak bliskość miażdżącej krawędzi, rozstępującej się ziemi. W tym piekle poczują się jak w domu.

6. Dezorientacje

Jesienią 1960 roku, kiedy już bardzo niewiele dzieliło Winę Apsarę od magicznych szesnastych urodzin, sir Dariusz Kserkses Kama wreszcie wyprawił się do Anglii, o czym marzył od niepamiętnych czasów. W owym późnym okresie życia uległ błaganiom żony i wznowił badania nad mitologią indoeuropejską (lady Spenta miała nadzieję, że może uda się wyprzeć rujnującą skłonność męża do whisky, wskrzeszając uzależnienie wcześniejsze i bardziej szacowne). Nowe pokolenia europejskich uczonych, w tym wielu młodych błyskotliwych Anglików, wywabiało z obszaru badań krzywdzące nazistowskie plamy i na nowych, wyższych piętrach wyrafinowania dobierało się do zagadnień, które dzisiaj wydają się prymarnymi potknięciami Mullera, Dumezila i reszty. W bibliotece sir Dariusz usiłował zafascynować lady Spentę nowymi porywającymi go myślami, jakże uszlachetniającymi i pogłębiającymi rozumienie “suwerenności”, “siły fizycznej” i “płodności”, owych trzech podstawowych reguł indoeuropejskiego postrzegania świata. Lecz kiedy zabierał się do wyłuszczenia nowych, przyprawiających go o dreszcz poglądów - w myśl których w każdym członie pojęciowej triady istnieje ten sam trójdzielny układ jako podpodział - ciężkie ciało lady Spenty zamieniało się w omdlewającą galaretę. Nie zrażony sir Dariusz przekonywał, że odtąd “suwerenność” należy dzielić na “suwerenność w zakresie suwerenności”, “siłę w zakresie suwerenności” i “płodność w zakresie suwerenności”; “tym samym trybem” trójdziała się “siła fizyczna” i “płodność”. Wówczas galareta oświadczała:

- Głowa mnie boli - i pośpiesznie wylewała się z biblioteki.

Sir Dariusz rzeczywiście odzegał się od whisky. Co ani trochę nie zmniejszyło jego mąk spowodowanych widocznym upadkiem kultury. Zdany na własne teorie sir Dariusz rozważał, jak ów upadek odbija się na sytuacji jego własnej rodziny. Z mocy prawa dzierżył tu suwerenność w zakresie suwerenności, zarówno w pierwotnym - magicznym i budzącym trwogę - aspekcie słowa, jak i w bardziej potocznym, kodeksowym; skoro jednak oddalił się aż tak od dzieci, w żadnym od dawna nie budzi trwogi i szkoda mówić o magii. Jeśli zaś chodzi o siłę w zakresie suwerenności, pojmowaną jako chronienie rodzinnej solidarności i ciągłości, zwłaszcza przez rodzinną młodzież, “wojowników”, cóż, śmiechu to warte.

- Osunęliśmy się - roztrząsał na głos - i ugrzęźli na poziomie najniższej

podsekcji w dziale trzecim: “płodność w zakresie płodności”, co w naszym wypadku oznacza tylko niemożność, marzycielstwo i muzykę.

Wysiłki badawcze sir Dariusza doczekały się nagrody: redakcja znamienitych “Zeszytów Towarzystwa Studiów Euro-Azjatyckich” postanowiła zamieścić opatrzoną jego nazwiskiem rozprawę “*Pisz na Coventry*” albo *Czy istnieje czwarta reguła?*, autora zaś poproszono, by zechciał w formie wykładu przedstawić ów tekst podczas dorocznego walnego zgromadzenia Towarzystwa w Burlington House. Tematem była hipotetyczna “czwarta jakość”, mianowicie “poboczność”, kondycja trędowatych, pariasów, wyrzutek i wygnańców, których nieuchronne występowanie sir Dariusz dawno temu odkrył intuicyjnie, teraz zaś tezę wsparł dowodami: od hinduskich niedotykalnych nie mieszczących się w żadnej kaście (według Gandhiego haridżanów, według Ambedkara dalitów) po sąd Parysa; bo czyż sam Parys nie jest wcieleniem autsajdera w owym fundamentalnym micie? Chyba że za autsajderkę uznamy Eris, boginię ukazującą złote jabłko. Tak czy inaczej, przywołał ten przykład.

Trzeźwego teraz sir Dariusza zaczął znacznie dotkliwiej gryźć straszny sekret, na jawie i w snach o Skandalii, nagiej kobiecie w nieskazitelnie białej wiejskiej rezydencji; gryzło go przeświadczenie, że jest - jak ci, o których pisze - pariasem bądź powinien nim być i może jeszcze zostanie, gdy wyjdzie na jaw jego Wielkie Kłamstwo; skutkiem czego sir Dariusz wlał w swą pracę tyle namiętności, że zdania płonęły na stronicach żywym ogniem. Był wówczas starym, osamotnionym dżentelmenem. Nawet masoneria nie dostarczała mu pociechy; z końcem imperium niewiele zostało z węzła kojarzącego Indie z bractwem i sir Dariusz już dawno przestał brać udział w tych bezbarwnych spotkaniach nowej łoży, której mizéria i obskurność rzucały się w oczy równie dobitnie jak wspaniałość starej. (Później przypomniał sobie jeszcze o porzuconym przyjacielu, bracie w wolnomularstwie i squashowym partnerze, Homim Catracku, napomknął nawet żonie, że powinni zaprosić faceta i odnowić stare związki; więc lady Spenta musiała mu delikatnie przypomnieć, że Catrack nie żyje, jakieś trzy lata wcześniej zastrzelony w dość głośnych okolicznościach, w miłosnym gniazdku z kochanką przez urogaconego oficera marynarki. Sprawa miesiącami nie schodziła z gazetowych kolumn, lecz jakimś trafem sir Dariusz ją przeoczył.)

Zaproszenie do Anglii oznaczało dla sir Dariusza koniec życia w cieniu; dość już trawienia w myślach podłoża zdarzeń, w których nie uczestniczył!

- No i będzie tam Methwold - przypomniał lady Spencie rozpromieniony. - Ależ się zabawimy! Wrzosowiska i cietrzewie! Ateneum! Angielski miód! I te skowronki!

Lady Spenta zagryzła wargi. Z biegiem lat anglofilia sir Dariusza nasilała się. Często wychwalał “Zjednoczone Królestwo” za wdzięk, z jakim się wycofało z imperium, oraz za “krzepę”, z jaką się odbudował ten pokiereszowany przez wojnę naród (o planie Marshalla nie padła nawet wzmianka). Co do Indii, przeciwnie, wciąż gromił je za “stagnację” i “zacofanie”. Słał do gazet bezlik listów wyśmiewających plany pięcioletnie.

“Co nam z hut, jeżeli nic nie wiemy o naszych naturach?!” - grzmiał. “Wielkość Brytanii opiera się po prostu na Trzech Ideach...” Owych listów nie drukowano, ale sir Dariusz nadal pisał. W końcu lady Spenta nawet się nie trudziła wysyłaniem i niszczyła je; ukradkiem, by nie ranić mężowskich uczuć.

Dlaczego William Methwold przestał pisać? Sir Dariusz często zadawał sobie to pytanie, nie przypuszczając nawet, że odpowiedzi może udzielić, jeśli zechce, lady Spenta.

- Niewykluczone, że z powodu moich badań - dociekał. - Może go wciąż odpycha piętno wyciśnięte dawno temu na tej dziedzinie? Jest w służbie publicznej i musi, rzecz jasna, zachować ostrożność. To nic! Już ja mu przy obiedzie wyłożę kawę na ławę.

- Jedź, jeśli musisz. Ja zostaję - oświadczyła lady Spenta. Nie wiedziała, jak przestrzec sir Dariusza przed upokorzeniem czekającym go w ukochanej Anglii, więc postanowiła nie być świadkiem jego upadku.

Sir Dariusz odleciał na pokładzie Super Constellation BOAC, ubrany w koszulę z egipskiej bawełny ze sztywno wykrochmalonymi mankietami i kołnierzem, w zasadzie zastrzeżoną dla sali rozpraw, w garniturze z pierwszorzędnego kamgaru, z lśniącym łańcuszkiem na brzuchu. Na jego twarzy lady Spenta dostrzegła ów wyraz tragicznej nieświadomości, tak uderzający u kóz wyprawianych do rzeźni. Wcześniej błagała lorda Methwolda w liście: “Proszę okazać mu uprzejmość, jeśli pan może”.

Lord nie okazał. Mimo ponaglących listów sir Dariusza, próśb, które tylko od siebie wniosła lady Spenta, nie przywitał starego przyjaciela na Heathrow, nikogo tam nie posłał, nie ugościł sir Dariusza u siebie, nie wprowadził do swego klubu. Lady Spenta przezornie poprosiła Dolly Kalamańdżę, by ta wyprawiła na lotnisko swego męża, i to widokiem wesołej okrągłej twarzy Patangbaza mógł się nacieszyć sir Dariusz w prymitywnym baraku przylotów (w owym czasie lotnisko wciąż było w budowie i pasażerom oferowano tu znacznie mniej wygód niż na bombajskim Santa Gruz). Po nużącej podróży i nużących indagacjach służby granicznej sir Dariusz

wymizerniał, wydawał się zmięty; funkcjonariusze zdumiewająco mało przejmowali się jego wyjaśnieniami, dokumentami, ba, nawet szlachectwem, którą to wiadomość potraktowali w najwyższym stopniu nieufnie. Wielokrotne powoływanie się na czcigodnego lorda Methwolda wzbudzało tylko pusty śmiech. W końcu wpuszczony do Anglii po kilkugodzinnym przesłuchaniu sir Dariusz był człowiekiem zdeorientowanym, z którego, nie da się ukryć, uszło trochę powietrza.

Pat Kalamańdża mieszkał w Wembley, w przestronnej podmiejskiej rezydencji z czerwonej cegły, zdobnej w białe imitacje pilastrów i kolumn, mające przydać budowli szacowniejszego, klasycznego charakteru. Sam Pat był człowiekiem układnym, dobrodusznym, starał się nienagannie przyjąć ojca swego przyszłego zięcia, był też straszliwie zabiegany, zatem poprosił sir Dariusza o rozgoszczenie się, ale przez cały ten czas zdołał z nim zjeść pośpiesznie tylko parę posiłków. Podczas tych krótkich spotkań sir Dariusz był rzeczowy i zaprzątnięty myślami. Nieskory do czczych pogwarek, rekin biznesu po czubki wypielegnowanych paznokci, Pat Kalamańdża robił, co mógł, by przy śniadaniu wprawić gościa w lepszy nastrój.

- Nawab z Pataudi! Młody zuch! Nadzieja krykieta! A Blanchflower's Hotspurs! To dopiero piłkarze! Istne diabły!

Przy obiedzie poczęstował gościa komentarzami politycznymi. W sprawie nadchodzących wyborów w Ameryce Pat Kalamańdża stanowczo trzymał stronę Richarda M. Nixona, z racji tej dżentelmeńskiej “rozmówki bez owijania w bawełnę” z przywódcą Ruskich, Chruszczowem, we wzorowej kuchni na targach w Moskwie.

- Kennedy? Zbyt przystojny; a więc za sprytny, nie uważa pan?

Ale sir Dariusz był myślami gdzie indziej. Trwonił dni na telefonowaniu do swego przyjaciela, lecz go nie zastawał; wysyłał telegramy z opłaconą odpowiedzią, a odpowiedzi nie było; raz nawet, tak się złożyło, odbył długą podróż autobusem i metrem, by stanąć przed bramą rezydencji Methwolda przy Campden Hill Square, i zostawił list: długi, pełen urazy i wyrzutów. W końcu lord się odezwał. Do Wembley dotarł zwięzły tekst, zaproszenie sir Dariusza na wspólną przechadzkę po terenach Middle Temple, “nasuwających ci z pewnością liczne wspomnienia, które być może zechcesz odświeżyć”.

To wystarczyło. Sir Dariusz Kserkses Kama zrozumiał wszystko. Opuściły go wszelkie siły ducha, powietrze uszło do reszty. Kiedy wieczorem Pat Kalamańdża wrócił do domu, w living roomie było ciemno, ścięty z nóg gość tkwił na krześle przy wygasłym kominku, a u jego stóp poniewierała się pusta butelka johnny walkera. Pata

przeszył lęk o najgorsze, ale sir Dariusz głośno jęknął przez sen i był to jęk duszy, którą w rozżarzone kleszcze bierze demon. To Skandalia przytuliła mocno we śnie sir Dariusza. Poczul, że trawione przez wstyd i hańbę ciało staje w płomieniach, i krzyczał co sił w płucach. Patangbaz spiesznie objął sir Dariusza, a ten obudziwszy się z przekrwionymi oczami, rozdygotany, odepchnął współczującego Pata i wybiegł z pokoju. Nazajutrz rano sir Dariusz, zmięte i zastraszone indywiduum, zapytał Kalamańdżę, czy biuro podróży może mu załatwić wcześniejszy lot do domu. Nie podał żadnych wyjaśnień, a gospodarz za mało znał gościa, by zagadnąć. Sir Dariusz Kserkses Kania odleciał do Bombaju, nie spotkawszy się z Williamem Methwoldem, nie wygłosiwszy odczytu na temat Czwartej Reguły, za to wyzbywszy się wszelkich ambicji życiowych z wyjątkiem jednej: umrzeć w spokoju, czego też nie udało mu się dopiąć. Po powrocie sięgnął po to, czym szczylił się najbardziej, a co trzymał pod kluczem w sejfie z gudzárackiej stali przez pół życia, słowem po swe wspaniałe patenty szlacheckie, które teraz odesłał do brytyjskiego konsulatu w Bombaju. Jeżeli chodzi o historię Kamy, było po wszystkim. Zamknięty w bibliotece czekał nad butelką na kres.

Dom opuszczamy nie tylko po to, by znaleźć sobie miejsce, lecz także by nie patrzeć na rodziców, z których uchodzi życie. Nie chcemy oglądać, do czego doprowadziły ich własne charaktery, nie chcemy patrzeć, jak ich historie rzucają im się do gardła, druzgocą, jak życie zatrzaskuje pułapkę. Kiedyś i my się okażemy kolosami na glinianych nogach. Ślady razów zadanych przez życie demitologizują nas wszystkich. Ziemia się rozwiera. Potrafi czekać. Ma czas. Mnóstwo czasu.

Moją rodzinę zrujnowały dwa miraży: matczyzna wizja “drapaczy”, gigantycznych żelbetonowych wykrzykników, które na zawsze unicestwiły znacznie subtelniejszą składnię starego Bombaju, oraz ojcowskie dziwokino. Wina Apsara miała wielkiego pecha, że zapuściła u nas korzenie - ba, wyidealizowała moich rodziców w roli architektów zgodnie współprojektujących w szczęsnym domku z dziecięcej czytanki - kiedy nasz mały klan szedł już w rozsypkę. Kiedyś powiedziała do mnie:

- Raj, ty sukinsynu, szczęściarz z ciebie, ale i miluch, bo chętnie się dzielisz tą szczęśliwą gwiazdą.

Powodzenie się zużywa. Moi rodzice spadli z piedestałów na długo przed

przedwczesnym odejściem. Łatwo wyliczyć ich błędy. Największą ojcowską słabością był hazard, a uleganie mu przyniosło ciężkie straty. Przegrane fantowe - te zapalczone wzgórze - urosły i w 1960 roku przeistoczyły się już w prawdziwe długie podobnej skali, trudniejsze do uregulowania. V. V. przegrywał w karty, na wyścigach, w kości, w końcu wpadł w szpony pewnego "prywatnego bukmachera", który przybrał nazwisko Radża Dżua, bo "Szansa to król i nie wybiera, czy padnie numer czy numerant", a poważanym bombajskim hazardzistom pozwalał się zakładać, o co chcieli: o wynik procesu o morderstwo, możliwość najechnia Goą przez Indie, liczbę chmur, które w ciągu dnia przepłyną zachodnim skrajem nieba, kluczową dla powodzenia liczbę widzów w pierwszym tygodniu wyświetlania filmu, rozmiar piersi jakiejś tancerki. Książę bukmacherów Radża Dżua przyjmował zakłady nawet w tej starej grze barsatka satta, polegającej na obstawianiu, kiedy i ile spadnie deszczu. W Bombaju zawsze odchodziło mistrzowskie rolowanie; takie to miasto. Ale mój ojciec, chodząca naiwność, V. V. Merchant nie tyle sam rolował, co jego rolowano.

Jeśli zaś chodzi o matkę: jej cynizm - kiedyś tylko pancerz idealistki, poza, dzięki której znajdowała obronę przed otaczającym zepsuciem - zaczął nadgryzać młodzieńcze zasady. Oskarżam ją o chęć niszczenia tego, co piękne, na rzecz tego, co zyskowne, i nazywanie owych jakości słowami "wczoraj" i "jutro". Znalazła się w czołówce lobby budowniczych zajadle zwalczających projekt "nowego miasta", mianowicie Nowego Bombaju po drugiej stronie portu, po to by przeforsować znacznie bardziej lukratywny zamysł odzyskania lądu w pobliżu Nariman Point i - także! - Cuffe Parade. Ten właśnie zamiar, przebudowy Cuffe Parade, przeraził Vivvy'ego Merchanta. Ojciec przez całe życie był wydany na pastwę wewnętrznej walki między umiłowaniem dziejów i chwały starego Bombaju a zawodowym zaangażowaniem w tworzenie przyszłości miasta. Perspektywa zniszczenia najpiękniejszego nadmorskiego ciągu obudziła w nim nie wygasający, lecz niestety niemy sprzeciw wobec żony. Niemy, bo Amir Merchant wciąż była kobietą niezdolną ścierpieć ani słowa krytyki. Najzwyklejsze napomknienie, że może robi coś niewłaściwie, rozpętywało burzę; lzy i kłótnie nie miały końca, póki Vivvy nie ukorzył się i nie przyznał, że pod każdym względem ukrzywdził ją okrutnie, a uraza i potoki łez Amir są w pełni usprawiedliwione, z racji zranienia niewinności. V. V. Merchant, nie mogąc porozmawiać z żoną o swych poważnych obawach, ulegał nakazom własnej natury - i kopał.

Równie łatwo drażył ludzi jak piasek. Drażył mnie, kiedy podрастаłem, i

dokopał się jednej z tajemnic.

- Za twoimi zdjęciami - przynajmniej raz powiedział prosto i zwięźle - na pewno przepadają młode i ładne dziewczyny?

Byłem zbyt zamknięty, by odrzec: "Tak, ojcze, lecz nie w tym rzecz. Mnie inspiruje twój paillard bolex, rolleiflex, twoja leica oraz zbiór prac Dajala i Haselera; to dla mnie ostroga. Fotografia to również sposób drażenia". Nie powiedziałem nic takiego, chociaż byłby dumny, gdyby usłyszał. W zamian zadrwiłem:

- O kurczę, tato, strzał w dziesiątkę!

Lekko drgnął, uśmiechnął się niewyraźnie i dał spokój.

Ale z drażeniem matki było inaczej. Nie rezygnował, aż wreszcie się dokopał czegoś, co zrujnowało ją, niszcząc i jego.

A czy to ojcowskie arcywidzimiście, kino Orpheum, w którym topił kapitał przedsiębiorstwa z bezmyślną gorliwością (nawet Amir nie umiała położyć jej tamy), nie było samobójczą ripostą wobec żony i kartelu futurystycznych wandalów? Vi wyroił o Orpheum jako świątyni art deco na lata sześćdziesiąte, hołdzie złożonym złotemu wiekowi miasta, zarazem o mekce napędzającej pieniądze, przybytku maniaków "fylmu", których pełno w naszym szurniętym na punkcie kina mieście. Lecz to także był hazard, beznadziejnie zawalona partia. Spirala kosztów rosła, kredytowanie potrzeb wymknęło się spod kontroli, a nierzetelność podwykonawców skutkowałą sięganiem po materiały i instalacje grubo gorsze niż wymagane w dokumentacji. Szefowie konkurencyjnych kin opłacili miejskich inspektorów, ci wywijali się z zatwierdzeń i biurokratycznymi kruczkami utracali projekt. Amir, skupiona na czym innym, zostawiła sprawę Orpheum Vivvy'emu, nie za mądrze, jak się okazało. Bo w końcu pod zastaw hazardowych długów Vivvy musiał dać Radzi Dżui dokumenty własności nowego kina. A Vivvy wówczas nie miał jeszcze pojęcia, dla kogo pracuje ten Dżua.

Na trzynaste urodziny ojciec podarował mi doskonałego niemieckiego voigtlandera vito CL z wbudowanym światłomierzem i gorącą stopką do flesza, a ja zacząłem od zdjęć śpiewającej Winy Apsary. Była lepsza niż radio Cejlon. Zbieraliśmy się niemal co wieczór, a wtedy Wina sadziła tym bezbłędnym głosem, z tygodnia na tydzień pełniejszym, bogatszym, a to bezwstydnie wyznającym się na rzeczy, a to anielsko czystym; tym głosem, który właśnie ruszał w drogę ku nieśmiertelności. Posłuchać Carly Simon śpiewającej *Most nad wzburzoną wodą*, to zrozumieć, ile

włożyła w ten układ Ginewra Garfunkel. To samo było za wielkich dni VTO. Są kapelemachiny do produkowania przebojów, kapele, które zapracowują na szacunek zasłuchanego tłumu; kapele do zapelniania stadionów; kapele ociekające seksem; kapele nieziemskie i jednodniowe, chłopięce i damskie, spryciarskie i melepetów; kapele plażowe i autostradowe, letnie i zimowe, pościelowe i takie, że człowiek musi się nauczyć na pamięć słów ich wszystkich kawałków. Większość kapel jest beznadziejna i gdyby jacyś obcy z innych galaktyk monitorowali nasze pasma radiowe i telewizyjne, najpewniej zwariowaliby od tego jazgotu. A w liczącej pół wieku całej historii rocka jest niewiele kapel - można je wręcz policzyć na palcach - które by wkradły się człowiekowi w serce, zagnieździły i stały częścią widzenia świata, mówienia, rozumienia prawdy, aż po czas, kiedy człowiek będzie stary, głuchy i głupi; będzie słyszał te kapele jeszcze na łożu śmierci, jak mu śpiewają, kiedy zagłębia się w tunel wychodzący na światłość: Sz...szasza... szalala... szangalang, szangalang... szbum... szup...sz. I po krzyku.

I taką kapelą była VTO. Ormus miał wizję, lecz Wina głos, i to głos ustawiał kapele; jak zawsze, bo beat przykuwa uwagę, melodia wbija się w pamięć, ale człowiek staje bezbronny dopiero wobec głosu, tego bezbożnego kantora, bluźnierczego muezzina, zewu syren, który świetnie wie, gdzie zmierzać, wprost w jądro rytmu - w duszę. Wszystko jedno, co za rodzaj muzyki. Co za gatunek głosu. Lecz kiedy człowiek go usłyszy, konkretny głos, jak brzmi, to pada plackiem, wierzcie mi. Finito, chyba że jak Odys da się przywiązać do masztu swej łupiny i napcha w uszy gliny. Cóż to za duby? Świeżo smalone!

Teraz uważam, że w owych czasach trzymaliśmy się razem dzięki śpiewaniu Winy. Była naszą opoką; skałą, której nie da się obejść. Kiedy V. V. Merchant tonął w długach, cichaczem śledził własną żonę i gromadził grubą teczkę na temat jej nielegalnych machinacji z miejskimi władzami budowlanymi, krótko mówiąc: kiedy pod naszym całym życiem tykała już bomba - Wina śpiewała nam o miłości.

Och, ta zapamiętałość, ta intensywność dziecięcego patrzenia! W dzieciństwie wszyscy jesteśmy fotografami i nie trzeba nam kamer, bo obrazy wypalamy wprost w pamięci. Mam przed oczami naszych sąsiadów przy Cuffe Parade, ich pretensje i pretensjonalności, małżeństwa szczęśliwe i nieszczęśliwe, kłótnie, samochody, okulary słoneczne, torby, mdłe uśmiechy i uprzejmości, ich psy. Mam przed oczami weekendy i te dziwne, importowane rozrywki. W Willingdon rodzice grają w golfa, a

ojciec pilnie stara się przegrać, by matka nie straciła humoru. Mam przed oczami młodych parsów po ceremonii Nawdzoti, wprowadzenia do wspólnoty, pochłaniających potrawy podane na liściach bananowca, jakichś ludzi świętujących Holi oblanych farbami i co najmniej jedną wizytę na ogromnym majdanie modlitewnym na Big Eid, której wspomnienie przyłgnęło do mnie, bo aż taka była to rzadkość. Chyba ojciec chciał po prostu, żebym ocenił, co i dlaczego tracę. Mam przed oczami Nilam Nath, moją przyjaciółkę, sam urok, która potem zginęła z własnymi dziećmi w katastrofie Air India u wybrzeża Irlandii. Mam przed oczami Jimmy'ego Kinga o ciastowatej cerze i ostrej czarnej bródce; zmarł w szkole, młodo i nagle. Drzwi i okna klasy były zamknięte, więc nie mogliśmy zobaczyć ojca Jimmy'ego, zajeżdżającego na czworokątny dziedziniec, by zabrać do domu ciało syna. Mam przed oczami jakiegoś wysokiego chudzielca wspinającego się z przyjaciółmi po skałach Scandal Point. Patrzył poprzez mnie, jakbym w ogóle nie istniał. Mam przed oczami reklamy gold flake'ow. The Royal Barber Shop, ostrą mieszanekę zapachów oczyszczenia i nadziei. Zostawmy Mumbaj. Mam przed oczami Bombaj.

A potem dali mi kamerę, oko mechaniczne mające zastąpić oko świadomości, i odtąd większość tego, co zapamiętałem, to płyty, które kamera zdołała wykroić z czasu. Skończyły się memuary, zaczął voyeurizm - odtąd mam przed oczami fotografie.

Oto jedna z nich. Szesnaste urodziny Winy, siedzimy u Gaylorda przy Wir Nariman Road, jemy kurczaki po kijowsku. Postaci rodziców, ojca i matki, wyrażają coś u nich niecodziennego. On wydaje się gniewny, ona roztargniona, ledwie obecna. Wina, przeciwnie, promienieje. Wydaje się, że wessała całe światło tej fotografii. A my, ciała nieświejące, wirujemy wokół tego słońca. Ormus obok Winy, przypomina psa żebrzącego o karmę. Na fotografii jest też pół mnie. O zrobienie tego zdjęcia poprosiłem kelnera; źle skadrował. Nie szkodzi. Pamiętam, jak wtedy wyglądałem. Jak człowiek, który ma właśnie stracić coś, na czym najbardziej mu zależy.

Na serdecznym palcu prawej ręki Winy lśni selenit, urodzinowy prezent od Ormusa. Przez tydzień spała z pierścionkiem pod poduszką, by go przebadać, zanim przyjmie, i co noc ogarniały ją sny tak intensywnie erotyczne, że budziła się nad ranem, drżąc ze szczęścia, doszczętnie zлана potem.

Ormus prosi, chce zabrać Winę na "koncert", a V. V. i Amir omijają się wzrokiem, o włos od stoczenia walki.

- Na Five Pennies - mówi Ormus.

- To weźcie też Umida - mówi Amir, machając ręką.

Spojrzenie Winy zmienia się w dwa sztylety. Mierzą we mnie, przesywają moją trzynastoletnią pierś.

Po sukcesie *Pensylwańskiej Piątki*, biograficznego kawałka z Dannym Kaye'em, bohater tego filmu, Red Nichols, postać autentyczna i szef zespołu, zjechał do Bombaju na koncerty z nową, przebudowaną Piątką. W mieście jazz wciąż był w modzie (tę koniunkturę nakręcały poranne weekendowe jam sessions, wspomagane śniadania-obiadami) i na występ zwały się tłumy. Zrobiłem trochę zdjęć, żeby to udokumentować, ale już nie pamiętam, gdzie się ten koncert odbył. Na majdanie Azad, majdanie Cross, na Cooperage czy gdzie indziej. W każdym razie nie w sali, bo pamiętam wysoką estradę pod gołym niebem. Skoro matka wyprawiła mnie z nimi, to Ormus zabrał Wirusa. Przyszliśmy wcześniej i całe czwórcę udało się załapać z przodu. Kiedy wyszli Pennies, przeżyłem rozczarowanie, bo okazało się, że Red Nichols, siwy i krótko ostrzyżony facecik, w niczym nie przypomina Danny'ego Kaye'a o rozwianych lokach koloru marchwi. Wziął błyszczącą trąbkę i zadał. Stary dobry jazz. Lubilem go, przyznaję, przynajmniej od czasu do czasu. A potem Wina wciąż powtarzała, że nie mam gustu.

Ów koncert Five Pennies zyskał sławę dzięki temu, co się wydarzyło pod koniec, po oklepanym zestawie kawałków nie przyprawiającym o przyspieszenie tętna. Kiedy zamarły niezbyt szaleńcze brawa, szkarłatnie usmokingowany kwintet szykował się do bisu. Rzecz jasna, do *Świątych*, czegożby innego, lecz zanim Red Nichols zapowiedział temat, ktoś z publiczności wskoczył na estradę, wymachując drewnianym fletem i szczerząc zęby w dziwacznym, lecz zaraźliwym uśmiechu.

- O Boże! - krzyknął Ormus Kama i wskoczył na deski za bratem.

- Poczekajcie na mnie! - wrzasnęła rozpromieniona Wina, pędząc za braćmi Kamami ku nieuchronnemu, ku przeznaczeniu. Liczba najeźdźców na estradzie wzrosła do trójcy. Jeżeli o mnie chodzi, jestem tchórzem. Zostałem w tłumie i fotografowałem.

Pstryk. Przerazona twarz Reda Nicholasa. A przestrzegano go przed Indianami i indyjskim tłumem mogącym w jednej chwili przeistoczyć się w morderczą tłuszczę. Więc Danny Kaye przywrócił go do życia po to, by teraz miał zginąć, zdeptany na śmierć w tym Bombaju? Pstryk. Jak zwykle czyni cuda uśmiech Wirusa Kamy; przerażenie na twarzy starego bandleadera ustępuje miejsca samozadowoleniu, ba, rozbawieniu. *Pstryk*. To ci dopiero. A niech ten kmiot sobie zagra. A wy tam, dwoje?

Co tu robicie? *Pstryk*. Wina Apsara podchodzi do mikrofonu.

- Śpiewamy.

Oh when the sun (oh when the sun)

begin to shine (begin to shine).

Ardawiraf grał biegle, to fakt, ale fletowe frazy brzmiały jakoś wadliwie; to był odgłos innej monety, anna chciała zabręczyć jak cent, ale nie miało to znaczenia, dlatego po części, że Ardawiraf i tak był uszczęśliwiony, mogąc wygrywać, co chce, również dlatego, że Nichols, sprytny rutyniarz, wyłączył swój mikrofon, więc Wirusa mogły dosłyszeć tylko pierwsze rzędy, ale przede wszystkim z innego powodu: kiedy Ormus i Wina otworzyli usta, kiedy zaczęli śpiewać, nikt już nie myślał o niczym innym. A kiedy skończyli, publika oszalała, Nichols zaś komplementował: są tak dobrzy, powiedział, że trudno, godzi się z tym podebraniem estrady.

Było już po koncercie, tłum się rozplýwał, a ja stałem jak przymurowany i fotografowałem. Świat się walił. Ormusa i Winę pochłoneły rozmowy z muzykami pakującymi instrumenty, pokrzykującymi na ludzi z miejscowej obsługi sceny, żeby uważali. Serce mi pękało. Chociaż Ormus i Wina rozmawiali z jazzmenami, to ich ręce i ciała już rozmawiały ze sobą. *Pstryk, pstryk*. Widzę was, oboje. *Pstryk*. Widzę was! A kuku! Wiecie, że to robię? Naprawdę pozwalacie mi patrzeć, mimo że zbieram tu coś na was, do tej magicznej niemieckiej szkatułki? Już macie to w nosie, prawda? Chciecie, by wszystko wyszło już na jaw. *Pstryk*. A co ze mną, Wino? Ja też dorosnę. On na ciebie zaczekał. Dlaczego ty nie miałabyś poczekać na mnie. Też chcę się znaleźć w tym utworze!

Od początku moje miejsce było w kącie ich życia, w cieniu ich osiągnięć. I zawsze będę uważał, że zasługiwałem na więcej. Swego czasu niemal to miałem. Nie tylko ciało Winy; także uwagę. Wzgląd. Niemal.

Muzycy załadowali graty do mikrobusu. Ich zaproszenie, przyjęte z zadowoleniem, nie dotyczyło mnie. Ormus podszedł, by mnie splawić: promienny, kwitnący, napompowany seksem i muzyką.

- No dobrze, Raj - oznajmił miodopłynnie. - Teraz pójdziesz z Ardawirafem, zgoda? Wirus cię odprowadzi. - Chciałem krzyknąć: Co ty sobie wyobrażasz? Ze kim jesteś? I kim ja? Dzieckiem, które ma odstawić do domu miejscowy debil? Ale Ormus już odchodził, już obejmował Winę, aż się zataczali, i całował ją, całował.

Niebo runęło mi na głowę. Wirus Kama wyszczerzył do mnie zęby i obdarzył tym swoim idiotycznym uśmiechem.

Kochali się tej nocy w apartamencie Nicholasa w hotelu Tadź, o rzut kamieniem od rezydencji Kamów. Wielki kornecista znalazł sobie inny pokój, dla kochanków zamówił ucztę i kazał zanieść do apartamentu wraz z listami i depeszami, które zaczęły do nich napływać na adres orkiestry, bo nikt nie wiedział, jak skontaktować się z tą parą. Propozycje występów napływały z całego miasta, poczynając od hotelu, w którym się właśnie znajdowali. Mimo że ogarnięcie tego wszystkiego wbijało Winę w dumę, to dania i drinki pozostały do rana nietknięte, a przesyłki nie rozpieczętowane. Mieli coś lepszego do roboty.

Wiadomo, jak przebiegała ta defloracja, jej szczegółowy opis już dawno temu Wina Apsara uczyniła własnością publiczną, więc nie ma się co rozwodzić nad uściśleniem stopnia dolegliwości (były znaczne) ani wyważaniem, na ile mogła je równoważyć biegłość Ormusa Kamy w uwodzeniu dziewic (w parę lat później Wina z dumą wyliczyła z imienia i nazwiska jego wcześniejsze podboje, co zaowocowało epidemią skandali wśród bombajskiej śmietanki), ani nad początkowymi trudnościami (był nazbyt delikatny, oględny, co ją nudziło i uczyniło zbyt agresywną, zbyt szorstką fizycznie jak na jego gust), ani nad obopólnymi pierwszymi osiągnięciami (on pieścił jej maleńkie wgłębienie u podstawy kręgosłupa, przemierzał czubkiem języka krawędzie jej nozdrzy, powoli ssał jej zamknięte oczy, wpierał główkę penisa w jej pępek, wędrował palcem przez jej krocze, a jeśli o nią chodzi, to było zarzucanie nóg na szyję, poruszenia pośladków, kiedy chłonęła go w siebie, jej hojne usta, a nade wszystko odkrycie nadzwyczajnej, niespotykanej u mężczyzny wrażliwości jego sutków; jak widzicie nie pomijam absolutnie niczego w tym katalogu lubieżności). Starczy powiedzieć, że do czynu - ściślej: czynów - doszło; tej nocy kochankowie nie wrócili do łóżek w swych domach; przez co w ciemności nawiedziła ich radość, a omroczył troskami świt.

Zamiłowanie Winy do publicznych wynurzeń na temat własnych prywatności - tragicznego dzieciństwa, przygód miłosnych, upodobań seksualnych i skrobanek - było równie ważne jak talent, a może i ważniejsze w tworzeniu tej kolosalnej, ba, przytłaczającej postaci symbolicznej, którą stała się Wina Apsara. Dla dwóch pokoleń kobiet Wina była kimś w rodzaju megafonu rozgłaszającego na cały świat ich wspólne tajemnice. Niektóre czuły się wyzwalone, inne obnażane; ale jedne i drugie spijały z ust Winy każde słowo. (Także mężczyźni byli zarazem zniewoleni i podzieleni, wielu bezgranicznie jej pragnęło, niektórzy, dla pożytku, dopatrywali się w niej czegoś

kurewskiego i odpychającego; wielu kochało ją za muzykę, inni z tego samego powodu nienawidzili - bo wszystko, co wzbudza wielką miłość, natychmiast i nieuchronnie wzbudzi też nienawiść; wielu bało się jej niewyparzonego języka, lecz byli nawet tacy, którzy czcili ją, twierdząc, że również ich wyzwoliła.) Lecz skoro często zmieniała zdanie, porzucając żarliwie bronione pozycje na rzecz ich przeciwnostw - przy których obstawała równie płomiennie i nieugięte, głucha na wszelkie argumenty - wiele kobiet, właśnie za czasów trzęsienia ziemi w Meksyku, zaczęło w niej dostrzegać zdrajczynię tych postaw, dzięki którym Wina kiedyś pomogła im się wyzwolić.

Gdyby nie zginęła, mogłaby popaść w starość, zapomnienie i nierówności pod sufitem; odjechać na tle szajby, zaświntuszenia czy sklerozy, chociaż niegdyś to ona, sama, buntowniczo i tryumfalnie, ruszyła paradnym krokiem, zanim inni uformowali za nią pochód i pomaszerowali w rytm wybijany jej stopami. Jednakże los ją oszczędził. Nie zidiociała, nie zdziwaczała. Za to śmierć w pełni wyzwoliła moc skonstruowanego przez Winę symbolu. Władza, jak miłość, objawia pełną miarę, kiedy zostanie bezpowrotnie stracona.

Ilekróć myślę o tych wydarzeniach, maszerują mi przez mózg *Święci*. Wyobrażam sobie Ormusa i Winę: budzą się mocno objęci w zakrwawionych prześcieradłach. Widzę, jak rozpieczętowują koperty, puszczają wodze wyobraźni i zaczynają snuć marzenia o wspólnej przyszłości, zawodowej i miłosnej. Widzę, jak się ubierają, żegnają z amerykańskimi muzykami i łapią żółto-czarną taksówkę na Cuffe Parade, gotowi stawić czoło wszystkiemu. A towarzyszy tej sekwencji kornet Reda

Nicholsa, może zresztą słyszę trąbkę Louisa Armstronga: *Oh, when the band begin to play. A kiedy już kapela gra...*

Na horyzoncie zjawia się pierwsza chmura. Ormus wypowiada ważne słowa:

- Wyjdź za mnie. - Ściąga pierścionek z selenitem z jej prawej ręki i próbuje wsunąć na serdeczny palec lewej: zaręczynowy. - Wyjdź za mnie. Od razu.

Wina sztywnieje, broni się przed pierścionkowymi operacjami. Nie, nie poślubi go. Odmawia, stanowczo odrzuca propozycję, nawet nie potrzebuje czasu do namysłu. Nie broni się natomiast przed pierścionkiem jako takim, przyjmuje, nie przestaje na niego spoglądać. (Taksówkarz, ciekawski sikh, zamienia się w słuch.)

- Ale dlaczego?! - żałośnie, wręcz patetycznie brzmi okrzyk Ormusa.

Wina sprawia taksówkarzowi frajdę, o której nawet mu się nie śniło.

- Jesteś jedynym mężczyzną, którego będę kochać - przyrzeka Ormusowi. - Ale

czy naprawdę uważasz, że jesteś tym jedynym facetem, z którym się będę grzmocić?

(Trąbka - to jednak Satchmo - rozbrzmiewa coraz głośniejsze. Instrument Armstronga to złoty róg doświadczenia, trąba mądrości tego świata. Śmieje się - *ullua, ullua* - z najgorszych rzeczy, którymi rzyga życie. Słyszała już to wszystko, słyszała.)

Musi być jakieś lepsze gdzie indziej. Każdy tak myśli, każdy po swojemu. Dla sir Dariusza Kserksesa Kamy tym "lepszym gdzie indziej" była Anglia, ale zwróciła się przeciw niemu, zmieniając go w porzucony wrak. Dla lady Spenty tym dobrym miejscem były sfery czystej iluminacji zamieszkałe przez Ahura Mazdę z aniołami i błogosławionymi, lecz były daleko, daleko, więc Bombaj tym bardziej wydawał jej się labiryntem bez wyjścia. Dla Ormusa Kamy "lepiej" oznaczało zagranicę, lecz wybór tego przeznaczenia równał się przecięciu wszelkich więzów rodzinnych. A jeśli chodzi o Winę, właściwe miejsce zawsze było tam, gdzie Winy nie ma. Wciąż nie tam, gdzie trzeba, w nieustającym poczuciu tracenia czegoś, mogła nieskończenie wiele razy (tak było) rzucać się do ucieczki, ładować na pokład samolotu i zniknąć, by potem odkryć, że to nie to, że w nowym miejscu jest równie źle jak w tamtym, z którym się właśnie rozstała.

Dla Amir Merchant, mojej matki kosmopolitki, tym lepszym miejscem było miasto, które zamierzała wzniesić. V. V. Merchanta, prowincjusza w każdym calu, dręczyła myśl, że dobre miejsce już było, już posiadliśmy je i zasiedli, teraz idzie w ruinę, a w wymazywanie go z ziemi wdała się żarliwie ukochana żona Vivvy'ego.

1960 był rokiem podziałów. Rozpołowiono wówczas stan Bombaj; a jeśli nowemu Gudźaratowi pozostawiono swobodę wyboru, to my, bombajczycy, zostaliśmy po prostu poinformowani, że nasze miasto staje się odtąd stolicą stanu Maharasztra. Wielu z nas nie umiało się z tym pogodzić. I wtedy zaczęliśmy żyć, jako zbiorowość, w jakimś prywatnym Bombaju, który po trosze zdryfował ku morzu, trzymając się z dala od reszty kraju, a tym naszym Bombajem stawał się każdy z nas. A nie da się dzielić i rozcinać - na Indie i Pakistan, na Maharasztrę i Gudźarat - bez wyczuwalnych skutków na poziomie komórki rodzinnej, kochających się małżeństw, głębi duszy. Wszystko zaczyna się zmieniać, przeinaczać, dzielić i grodzić, okrywać kordonami, ćwiartować, kawałkować, rozkrawać, oddalać. Siły odśrodkowe biorą górę nad dośrodkowymi. Zanika ciężenie. Ludzie lecą w przestrzeń.

Po koncercie Five Pennies, splawiwszy nie bez trudu Wirusa, wróciłem piechotą na Cuffe Parade, by się przekonać, że tymczasem dom zamienił się w strefę działań wojennych; ściślej, w usłane ofiarami poboju. Moi rodzice, jak para zapaśników, krążyli w living roomie wokół dywanu, jakby ten isfahański kobierzec nie leżał na solidnej mahoniowej podłodze, lecz był cieniutką szmatką rozpostartą nad wrzącą otchłanią. Piorunowali się spojrzeniami przekrwionych oczu; twarzą w twarz z czymś gorszym niż utrata przyszłości i niż utrata przeszłości. Bo waliła się w gruzy ich miłość.

Pod moją nieobecność wpadł w odwiedziny Pilu Dudhwała; nie ten nadęty, którego zdążyliście już poznać, otoczony zgrają służalców, lecz Pilu stonowany, w ledwie jednoosobowej asyście; kompan płci męskiej został przedstawiony jako Sisodia, pod czterdziestkę, w biznesowym garniturze, zadziwiająco malutki, łysiejący, w grubych na palec okularach. Straszliwie się jąkał, a niósł wypchaną skórzaną walizkę na akta, z której wyciągnął tekę dedykowaną planom rozbudowy Cuffe Parade, gdzie wśród wymienionych na okładce sponsorów przedsięwzięcia znajdowała się Mrs Amir Merchant z firmy Merchant & Merchant (Pvt.) Ltd. Kiedy Vivvy wdawał się w poszerzanie wiedzy za pomocą wykopalisk, Amir Merchant złączyła siły z ludźmi Pilu, by przepchnąć projekt. Teraz pomagier Pilu rozkładał na stoliku do kawy odbitkę urzędowego planu zagospodarowania Cuffe Parade. Wiele rzutów willi pociągnięto zielenią, co oznaczało "załatwione". Przemienne pasy zielone i białe na innych rzutach oznaczały "w trakcie negocjacji". Tylko parę rzutów, naprawdę niewiele, pociągnięto czerwienią. Była wśród nich willa Thracia, nasz dom.

- Papanńska szanooowna małżożonka już wyraziła zgooodę na sprzedaż - wyjaśniał pan Sisodia. - Tutaj są wszywszystkie stososowne dookumenty. A poonieważ nieruruchoooooość formalnie rzecz biooorąc jest zapisasana na pańskie nazwiwisko, koonieniecznie musi pan tę zgooodę podpipisać. Oooo tutaj - wskazał palcem i podsunął wieczne pióro marki Shaeffer.

Vivvy Merchant spojrział na żonę. Pod powiekami zamiast oczu miała kamienie.

- To rewelacyjny projekt - zapewniła. - Niebywała okazja. Pilu wychylił się z fotela.

- Kupa forsy - wyjaśnił konfidencjonalnie. - Mnóstłło dla łszystkich.

Mój łagodny ojciec przemówił łagodnie, mimo że jego myśli niewiele miały

wspólnego z łagodnością.

- Wiedziałem, że coś się wyrabia - powiedział. - Lecz sprawy zaszły znacznie dalej, niż sądziłem. Rozumiem, że miasto masz w kieszeni. Zasady użytkowania gruntów nie obowiązują, mamy tu kpiny w żywe oczy z norm wysokości budynków.

- Łszystko załatłhione. - Pilu życzliwie pokiwał głową. - Mucha ni siada.

Pan Sisodia rozwinął drugi rulon, plan przewidywanych budów. Zakładał znaczne pozyskanie gruntów z morza.

- Cuffe Paradę łchodzi łparade - zażartował Pilu, lecz Vivvy patrzył w bok. - Trzeba poślicić te promenadę. - Pilu opuścił kąciki ust, co miało oznaczać ubolewanie. - Co za strata.

- A las mangrowców? - zainteresował się Vivvy.

Pilu robił wrażenie dotkniętego.

- Przeciż tu si ni dyskutuje, szanołny pani, o budołłani trzech chałupin, prałda?

Vivvy otwierał usta.

- Nim pan odmółłi - Pilu wstrzymał go uniesieniem dłoni - proszę rozłłazyć następująco kłłesti.

Pan Sisodia podszedł do drzwi wejściowych i wpuścił drugiego pomagiera, najwyraźniej poproszonego, by na wejście poczekał na dworze. Widok wkraczącego do living roomu przybysza sprawił, że V. V. Merchant dostał zadyszki i wyraźnie zmalął.

Pomagierem numer dwa okazał się Radża Dżua, monarcha bukmacherów. On również taszczył skórzaną walizkę. Z której wyciągnął teczkę, a z teczki pełny spis długów mojego ojca oraz komplet papierów dotyczących kina Orpheum. Podał je pomagierowi numer jeden.

- Z raracji głęboookiego szacucunku woobec pańskiej szanooownej małżożonki - oświadczył pan Sisodia - oooraz by nie pogagarszać sytutacji, szanooowny pan Pipilu goootów jest skrerreślić tę drooobiazgotekę. Osooobiście moźliliwooości projektu budowlanego oceniniłbym na milililiardy rupii. A coo tu wiwidzimy? Drooobiazg. Niech pan podpipisze umowę. Pan sprzeprzedaże wiwille Thracia, a my zadłudłuzenie likwiwidujemy doo czzysta.

- Papiery Orpheum? - spytała Amir. - Jak mogłeś do tego doprowadzić?

- A nasz dom? - odpalił V. V. - Jak mogłaś do tego dopuścić?

Twarz Pilu pociemniała.

- Gdybym był królem łączasach łilkich bohaterów - powiedział - łyzłałbym ci na jeszcze jedno grę. Łygrałeś, tabliczka łyczyszczona na glanc. Przegrałeś, zabieram ci żonę. - Uśmiechnął się, w świetle lampy błysnęły zęby. - Ale jestem tylko marnym człołłikim. Lic tylko si ułóżę z tobo, żeby uratował tój honor za dom. Łicej, pani Merchant zgadza si zaangażował pana Sisodie jako pańskigo pełnomocnika do tego kina. Trzeba łnaszym partnerstłłi łrócił do starych dobrych praktyk finansowłłych. Kino to druga namitność pana Sisodii; pirszo so piniodze.

V. V. Merchant wstał. Łagodnym jak zwykle tonem powiedział:

- Na nic się nie zgadzam. A teraz wynocha.

Amir też wstała, ale jej zachowanie nie przypominał mężowskiego.

- Wynocha?! Co to ma znaczyć?! - krzyknęła. - Mamy stracił wszystko, dosłownie wszystko, co zbudowałam, i został bez centa przez twoje słabostki? Stracił kino, kontrolę nad firmą, największą okazję finansową ostatnich dwudziestu łat i żył w nędzy, żeby i tak w końcu sprzedał ten dom, bo nie będzie co jeść? Tego chcesz?

- Przykro mi - powiedział V. V. Merchant. - Niczego nie podpiszę.

Musi być jakieś lepsze gdzie indziej. Jakże zabójcza to myśl! Spośród nas tylko Pilu Dudhwala brał warunki, które dyktuje życie, jakimi są; godził się z nimi jak z losem. Nie trwonił energii na chimery ani utopie. Więc jakże mógłby się nie wyłonił tam przed nami jako wielki wygrany? Nasze życie u jego stóp, zdane na jego łaskę. Czy mogłó być inaczej?

Pilu wydał na rzeź nie tylko kozy. Wielkie rzezie zarządził w wielu dziedzinach. Moje życie popłynęł innym kursem, lecz nigdy nie zapomniał lekcji, której udzielał mi ojciec - ściślej: doznający klęski rodzice - w chwili, w której gdzieś tam w Bombaju Wina z Ormusem kochali się bez wytchnienia.

Jest jak jest.

Bój toczył się przez cały wieczór, całą noc. Leżał w łózku z otwartymi oczami, jak jaszczurka, nawet nie mrugając; wsłuchiwał się w pojedynk dwóch złamanych serc. Ojciec położył się o świcie, lecz Amir nadal krążyła po living roomie, jak łyzka w misie, w której uciera się najbardziej trującą namiętność: gniew z porozsiewanych po cieie resztek umarłej miłości. A kiedy Wina i Ormus wkroczyli do domu, Amir runęła z furią na młodą wychowankę.

Obelg, którymi matka obrzuciła kochanków, a zwłaszcza Winę, nie mógłbym tu opisał bez obrazy przyzwoitości. Darła się przez trzy godziny i dwadzieścia jeden

minut, zdawałoby się bez zaczerpnięcia tchu, wylewając na młodziutką dziewczynę wszystko, co przeznaczyła dla Vivvy'ego. Skończywszy, wyszła z domu chwiejnym krokiem i padła, skonana, na siedzenie ukochanego starego packarda. Aten ją poniósł jak spłoszony koń. W chwilę później ojciec, o trupiej twarzy, powlókł się chwiejnie do buicka. Odjechał równie zamroczony jak Amir - ale w przeciwnym kierunku - i bałem się o jego życie. Lecz żadne nie padło ofiarą jakiejś niedorzecznej kolizji. Niemal wrakami byli już w chwili opuszczania domu.

Obelgi to zagadka. Co postronny obserwator uznałby za zniewagi ciężkie, okrutne i niszczycielskie jak ciosy młota - *ty kurwo! ździro! suko!* - może w ogóle nie dotknąć adresata; natomiast przycinek wyraźnie pomniejszy - *nie jesteś, dzięki Bogu, moim dzieckiem, nie znacysz dla mnie więcej niż błoto na zelówkach* - okaże się pchnięciem prosto w serce. Więc obszernego katalogu raniących wyzwisk rzucanych przez moją matkę nie przedstawiam również dlatego, że nie umiem ocenić ich skutków. Czym było to zdanie, czym tamto, co sztychem, co smagnięciem? Czy zadziałała sama tyrada, czy nawarstwiony efekt tego toksycznego wyczynu, który doszczętnie wyczerpał fizycznie obie, Amir i Winę, jak zapaśników zmagających się do utraty tchu?

Wina Apsara, młoda osoba, która za wiele widziała i której ufność wobec świata doznała straszliwych spustoszeń, z wolna pozwalala sobie wierzyć - podczas lat spędzonych w willi Thracia - że trwałym gruntem, na którym mogłaby ufnie postawić stopę, jest nasza miłość. Nasza i Ormusa. Na skutek czego Wina pokochała nie tylko nas, lecz i nasze zainteresowania, nasze miasto i kraj, do których - niemal zaczynała w to wierzyć - może jakoś należeć po swojemu. A tego dnia moja matka wyrwała po prostu Winie spod stóp ten perski dywan wiary w miłość i odsłoniła otchłań pod spodem.

Wina stała bez ruchu, półprzytomna, ze zwróconymi przed siebie dłońmi, które tylko pytają, nie licząc na odpowiedź, jak ktoś ocalały z maskary, patrzący w oczy śmierci. Ormus ujął jej twarz. A Wina bardzo powoli wysunęła się, wyzwoliła z jego dłoni. Wielka miłość Ormusa musiała jej się nagle wydać wielką pułapką. Wpadnięcie w nią groziło unicestwieniem w przyszłości, kiedy ukochany zwróci się ku niej znienacka z wykrzywionymi rysami i nienawiścią w głosie. Już dość ryzykowania, mówiła twarz Winy. Koniec. I to od zaraz.

W trzy dni później willa Thracia, cudowny dom mego dzieciństwa, doszczętnie

splonęła. Nieznany sprawca zadbał, by nie popełnić morderstwa. Widocznie dom obserwowano tak długo, aż podpalacze upewnili się, że jest pusty; wówczas podłożono ogień ze wszystkich stron. Wracaliśmy jedno za drugim, zbijali w grupkę na promenadzie, stali z pochylonymi głowami, a wokół padał czarny śnieg.

A Wina Apsara nie wróciła.

Wybaczcie, że pożegnanie willi Thracia wygłoszę z lekko ściśniętym gardłem. Należała do pomniejszych willibungalowów przy starej edwardiańskiej Cuffe Parade, lecz byliśmy rodziną małą i zupełnie nam wystarczała. Okna frontowe tkwiły w konstrukcji częściowo drewnianej, lecz resztę domu wzniesiono z cegły, tu i ówdzie ozdobionej kamieniem. Kryte czerwoną dachówką przyczółki wieńczyły okna i frontowe wejście - malowniczy ganeczek. Jeszcze wyżej wznosił się nieco pompatycznie - czy też, powiedzmy, dufnie - element wyróżniający, kwadratowa, centralnie ulokowana neoklasyczna wieżyczka, udekorowana zewsząd pilastrami i attykami, podtrzymującymi kopułkę z zielonych muszlowatych płytek, z poszerzającą się minispiralą na szczycie. To tam, w ozdobnym pomieszczeniu na górze, moi rodzice spali ze sobą podczas tych długich szczęśliwych lat małżeństwa.

- To jak sypianie w dzwonnicy - mawiała matka.

Ojciec ujmował jej rękę i odpowiadał:

- A ty, najdroższa, jesteś sercem dzwonu.

Poszło z dymem. Odarci z własności, ze wspomnień i szczęścia poczuliśmy, że popiół na policzkach to pożegnalna pieszczota naszego domu. Wpatrujący się w pożar naoczni świadkowie twierdzili, że nawet ogień trawił go z miłością; objął ciasno i przez kilka chwil zdawało się, że willa Thracia odradza się w płomieniu. A potem górę wziął dym, czarny i nieczuły, złudzenie się rozwiało i wszystko spowiła ciemność.

Zagłada domu dzieciństwa - willi, miasta - jest jak śmierć rodziców: osieroceniem. Na miejscu zapomnianej kremacji wyrasta kamień nagrobny: "drapacz". Miasto kamieni nagrobnych wznosi się na cmentarzysku utraconego.

Tam, gdzie stała kiedyś Dii Kusz, dwupiętrowa okazała rezydencja Dolly Kalamańdzi - stare arcydzieło przy Ridge Road na Wzgórzu Malabarskim, skomponowane z galerii, werand i światła, z holami wykładanymi marmurem, pośpiesznie stworzoną kolekcją obrazów Souzy, Zogoiby i Husajna, a przede wszystkim z ogrodami tropikalnymi w pełni rozkwitu, chlubiącymi się najstarszymi w mieście okazami tamaryndowca, chlebowca, płątana i jednymi z najpiękniejszych

pnący bugenwilli - dziś nie ma ani śladu drzew czy pnący, ani śladu gracji czy przestrzeni. Drapacz chmur Everest Vila, podobny do rakiety na wyrzutni, wypełnił ten obszar szarym betonem odzierającym wszystko z barwności i nic nie wskazuje, żeby miał zamiar wkrótce zwolnić to miejsce. Ma dwadzieścia osiem pięter, ale na szczęście żadne z nich nie jest piętrem mojej opowieści. Ilekroć rzucam okiem w tamtą stronę, zjawa przeszłości nie odstępuje Ridge Road. Dii Kusz wciąż żyje, jak ów dzień, w którym spłonęła willa Thracia, a Dolly uprzejmie i stanowczo zaprosiła nas pod ten przestronny, lekko nachylony dach.

Zjawił się Ormus, skonany i rozdygotany. Było już późno, lecz nikt nie kładł się spać. Wciąż nie wiadomo było, co z Winą. Ormus poruszył niebo i ziemię, przetrząsnął ulubione kąty i kryjówki Winy, aż z nadmiaru napięcia zwymiotował. W końcu wyczerpany i zdezorientowany dowlókl się do Dii Kusz, tak roztrzęsiony, oszołomiony, zagubiony, a przede wszystkim nieszczęśliwy, że Amir Merchant - którą, trzeba przyznać, już zaczynały zjadać żywcem wyrzuty sumienia - zasnurowała usta. Pewien, że Wina zginęła w płomieniach, że zamieniła się w popiół, wyzbyty nadziei, pogrążony w żalu, mówił o pójściu za nią, towarzyszeniu aż za grób. Życie straciło wszelką wartość; a śmierć ma tę przynajmniej zaletę, że pozostała jedynym doświadczeniem, które Ormus może podzielić z ukochaną. Złowieszczo mówił coś o składaniu siebie w ofierze. I dopiero mój ojciec, zaalarmowany tym stanem ducha, pokrzepił młodego człowieka.

- Pomyśl trzeźwo - powiedział Vivvy, chociaż w naszych uszach słowa zabrzmiały pusto. - Na razie nie ma żadnego konkretnego dowodu, że zginęła.

Persis Kalamańdża miała wzrok, trzeba powiedzieć, trochę rozbiegany, co dzisiaj przypisuję oczywistej dwoistości jej sytuacji; bo wszyscy mogliśmy sobie uzmysłwić, że jej nadzieje na poślubienie Ormusa otrzymały bezsporną, chociaż straszną pożywkę. A przecież ta święta Persis nie mogła nie pomyśleć o przyszłości: czy z tragicznych popiołów, z kresu Winy, wyniknie radosne odrodzenie? Zaraz potem młoda kobieta o wrażliwym sercu gorączkowo usiłowała stłumić podłe wyobrażenia (jeszcze podlejsze przez wybuch rozkosznego, pełnego niepokoju oczekiwania w piersiach). Persis opuściła oczy i sumiennie wsparła pogląd mego ojca. Nie jest powiedziane, że Wina nie żyje, może się tylko zawieruszyła. Położyła dłoń na ręce Ormusa, który wlepił w dziewczynę dzikie spojrzenie i strząsnął tę dłoń. Wargi Persis zadygotały; cofnęła się i zostawiła Ormusa sam na sam z jego łzami.

Kto podłożył ogień?

Rankiem zjawili się z nowinami dwaj funkcjonariusze kryminalni: nieznośnie zadowolony z siebie detektyw inspektor Sohrab oraz jego żywe przeciwieństwo, przeprasający, że żyje, detektyw policjant Rustam. Dżentelmeni powiadomili nas, że w wyniku przesłuchania sąsiadów oraz tych przechodniów, kierujących się duchem obywatelskim, którzy sami skontaktowali się z policją, dokładnie ustalono godzinę wybuchu pożaru - na pierwszą po południu. Niestety, jak oświadczył detektyw inspektor Sohrab:

- Świadkowie nie dostrzegli, by z miejsca wydarzenia zbiegł jakiś łajdak.

Staranne przeszukanie zgłiszcz willi Thracia nie zostało jeszcze zakończone, jak dotąd nie znaleziono na szczęście żadnych ciał. (Kiedy Ormus usłyszał, że Wina nie spłonęła, wydawał się bezgranicznie uradowany, aż moja matka musiała mu surowo przypomnieć, że tak czy inaczej doszło do wielkiej tragedii.)

Bez trudu udało się zlokalizować trójkę zamieszkałych w domu służących, kucharza, tragarza i hamala. Ze strachu przed ogniem i posądzeniem o winę ukryli się w Koli, pobliskiej osadzie rybackiej. Ale policja nie sądzi, by pożar spowodowało niedbalstwo służby. Ich zeznania sprawdzono; chociaż trochę to niecodzienne, że wszyscy trzej byli na zakupach w krytycznym czasie, pozostawiwszy willę bez opieki. W każdym razie istnieją:

- ...niezbite dowody rozmyślnego podpalenia - zapewnił stanowczo inspektor Sohrab - chociaż szczegółów na razie nie można ujawnić.

Powoli docierało do nas, że jesteśmy podejrzani o spalenie własnego domu. Teraz Sohrab obrzydliwie sugerował, że firma Merchant & Merchant popadła rzekomo w tarapaty finansowe, a szanowny sri Merchant coraz głębiej pograża się w hazardowych długach. Wypłata ubezpieczenia byłaby więc błogosławieństwem, prawda? Ojciec poczuł się znieważony "ohydnyimi pomówieniami".

- Przesłuchajcie tego, kto odniesie korzyść - z niezwykłą jak na niego ostrością głosu poradził ozdobom służb kryminalnych. - Wpadnijcie do Pilu Dudhwali i jego kompanów, a znajdziecie się znacznie bliżej łajdaków z zapalkami.

Gliniarze poszli, wątpliwości zostały. Okropna prawda brzmi tak, że moja nieopanowana matka niemal podejrzewała o tę zbrodnię mego ojca, ba, nawet mój delikatny ojciec jał żywić podejrzenia wobec swej drogiej Amir. Te trzy dni po kłótni rodzice przemieszkali oddzielnie: matka w willi Thracia, ojciec u przyjaciół w Kolabie.

Ogień zetknął ich tylko ze względu na mnie. Niechętnie, dla zachowania pozorów dzielili jedną z obszernych gościnnych sypialni Dolly. Lecz atmosfera była lodowata.

Spałem w sąsiednim pokoju i w nocy znów słyszałem, jak syczą na siebie, jak walczą. Wściekła na męża Amir wmawiała mu, że usiłował zamordować ją i nas wszystkich, w łóżku, we śnie. Vivvy łagodnie zwracał uwagę, że ogień wybuchnął w biały dzień i raczej byłoby dziwne, gdyby spała. Amir wzgardliwym prychnięciem skwitowała ów zlepek nieważnych szczegółów. A Vivvy głowił się, czy Amir nie została podpalaczką, by związać mu ręce.

- Czy możliwe, że posunęłaś się do tak nagannych skrajności, byle powstały te barbarzyńskie "rozdrapywacze Cuffe Parady"?

Na co Amir - w nocy! - odwrzasnęła na cały dom:

- Boże, jakich plugawych gali muszę tu wysłuchiwać!

Niestety, to strona Pilu wygrała bitwę w wojnie z bezkompromisowością mego ojca. Już nie było willi Thracia, Vivvy sromotnie uległ i - grubo poniżej ceny, którą odrzucił wcześniej - sprzedał Pilu parcelę, na której wypalona ruina upamiętniała zgon idealizmu. W ten sposób gigantyczny plan budowlany Dudhwali posunął się o krok ku sukcesowi. Monstrualne budynki, które załęży się w wyobraźni Pilu, mogły obsiać miasto jak marsjańskie statki kosmiczne w *Wojnie światów*. W sprawach, w których chodzi o tak pojemny gar złota, skromne podpalonko nie jest niczym wyjątkowym.

Pilu Dudhwala był przecież człowiekiem wpływowym. Zdaniem astrologów wpływ to eteryczny fluid emanujący z gwiazd, który objawia się w działaniu marnych jak my śmiertelników. Powiedzmy zatem, że Pilu odkorkował butelkę ze swymi eterycznymi fluidami - a dysponował sporym wyborem - by, uwolnione, spowiły najwyższe formacje bombajskiego wydziału dochodzeń i opadły aż na poziom mizernych detektywów prowadzących wiadomą sprawę. I już po paru dniach owi funkcjonariusze oznajmili, że ze śledztwa "ostatecznie wykluczają" osobę Pilu. Kiedy ojciec wyraził zdumienie, detektyw inspektor Sohrab odrzekł szorstko:

- Powinien pan być wdzięczny. Bo wykluczenie obejmuje wspaniałomyślnie także pana oraz szanowną małżonkę.

Śledztwo "zostało przestawione na bardziej obiecujące tory". Te zaś prowadziły do zaginionej obywatelki USA, panny Nissy Shetty, alias Winy Apsary. Podczas dochodzenia w porcie lotniczym Santa Gruz ustalono, że w parę godzin po wybuchu

pożaru panna Apsara opuściła Bombaj na pokładzie maszyny TWA odlatującej do Londynu i dalej do Nowego Jorku. Nie wyjaśniony odlot został uznany za okoliczność niezwykle istotną. Dalsze działania detektywistyczne, podjęte we współpracy ze Scotland Yardem i siecią Interpolu, ujawniły, że bilet panny Apsary został sprzedany w Zjednoczonym Królestwie, w kasie londyńskiego towarzystwa Kalatours, należącego do pana P. Kalamańdzi. I to on osobiście opłacił podróż panny Apsary, w funtach szterlingach.

Pani Kalamańdza była kobietą drobną, obwieszoną dużymi klejnotami; nowobogacka wielka dama wierzyła, że "trzeba się pokazać". Miała włosy koloru stalowobłękitnego, a fryzurę modelowała na wzór królowej angielskiej, ze szczególnym uwzględnieniem zdobiących skronie charakterystycznych jońskich loków. Podobnie było z biustem, solidną jednolitą wypukłością, przypuszczalnie niezdolną do zakolysań, rozciągającą się na klatce piersiowej jak ów fałd na drodze zwany "śpiącym policjantem", dostatecznie wydatny, by zmusić do hamowania kierowców nierozważnie dodających gazu: on także nawiązywał do Elżbiety II. Dolly była stanowcza, bardziej konserwatywna niż większość bombajskich parsów, ludzi o otwartych głowach; ton wysokiego głosu zdradzał, że nawykła wydawać polecenia. Na ogół własne życie odczuwała szablonowo, co ani trochę nie przytępiało w niej emocjonalności. Zatem Patangbaz Kalamańdza był jej "opoką", a córka Persis "radością i dumą". Wiadomość, że Pata coś wiąże z ucieczką domniemanej podpalaczki "za siódme morze", dotkliwie ugodziła Dolly. Zakręciło jej się w głowie. Wszechświat utracił kształt i sens. Zadrżała ziemia. "Opoka" zachwiała się i zarysowała. Persis podsunęła krzesło, na które matka, wachlując się chusteczką, opadła "z zamętem w głowie".

Okazały paradny salon Dii Kusz - z tekowymi stolikami, lustrami o ekstrawaganckich geometrycznych kształtach, napęczniałymi bidermajerowskimi sofami, bezcennymi lampami art deco, dywanami z prawdziwych skór tygrysich i kiepskimi olejami na ścianach (między którymi, bądźmy sprawiedliwi, znalazłoby się parę niezłych) - przypominał wnętrze wielkiego liniowca, powiedzmy *Titanica*. I fakt, zmieszana Dolly poczuła się jak na pokładzie ciężko podziurawionego statku. "W tym jej stanie" pokój najwyraźniej przechylał się i zaczynał osuwać w jakieś straszne piekielne czeluści.

- Jak ta dziewczyna dotarła do mego Pata? - zawodziła omdlałym głosem. -

Zaraz zamawiam rozmowę ze Zjednoczonym Królestwem; oberwie po uszach, psiakość!

Była to scena jak z powieści z Poirotem: salon, w nim my, garść gości, siedząc bądź stojąc, przyglądamy się melodramatycznym fochom Dolly. Persis naląła matce wody do szklanki, a uplasowane na tygryziej skórze ozdoby wydziału kryminalnego wydawały się zachwycone wstrząsem, który spowodowała nowina. Lecz ani butny Sohrab, ani milczący Rustam jeszcze nie wiedzieli, co ich czeka; żadna tam szpikowana pogrózkami rozmowa z Patangbazem w Wembley. Bo po tym, co zaszło, nie było sensu trudzić centrali międzynarodowej. Persis Kalamańdża - która przysiadła u stóp matki i masowała je - patrząc bez mrugnięcia powiek wprost w oczy Ormusowi Kamie, przyznała się.

I nie tylko się przyznała; zapewniła też Winie niezbite alibi.

Kiedy koniecznie potrzebujemy czegoś nieosiągalnego, czasem udaje się tego dopiąć. W parę godzin po wysłuchaniu tyrady Amir, druzgocącej wiarę Winy w realność miłości, Wina zatelefonowała do Persis i poprosiła o spotkanie w (gdzieżby indziej?) sklepie z płytami Rhythm Center. Niezwykłe u Winy jąkanie sprawiło, że Persis odłożyła na bok gorycze i zgodziła się.

W sklepie weszły do kabiny, udając, że chcą posłuchać albumu ze ścieżką dźwiękową ówczesnego przeboju roku z Gordonem MacRae i Shirley Jones, musicalu *Południowy Pacyfik* Rodgersa i Hammersteina. I kiedy panna Jones wyśpiewywała, że musi sobie wymyć z włosów pewnego mężczyznę, Wina - w budzącym lęk nastroju, każącym myśleć o stłuczonym lustrze, utracie ciąży, w którym Persis nigdy jej nie widziała - z tego samego powodu wydała się na łaskę i niełaskę rywalki. Muszę wyjechać, powiedziała, i nie prosz, żebym coś opowiedziała, bo nie mogę, i nie sądzę, żebym się rozmyśliła, bo nie mogę. A ty musisz mi pomóc, bo tu już nie mam nikogo, bo możesz, bo jesteś, kurwa mać, taka słodka, że mi nie powiesz odpierdol się, bo poza tym chcesz tego. Chcesz, że aż przykro.

Potem jednak opowiedziała. Pojebało im się ze mną, mówiła, oni myślą, że mogą mnie faszerować swoimi uczuciami, a później mogą je sobie normalnie wydrzeć ze mnie, nie wiem, jacyś Marsjanie czy co, muszę się stąd wynosić. Persis spytała kto. Zamknij się, do kurwy, odpaliła Wina, przecież mówiłam, że nie chcę mówić.

To samo i więcej, i jeszcze raz na tle *Bali H'ai* i *Happy Talk*, w kółko. Jesteś w stanie zapłacić, spytała Persis, a Wina odparła, wydostanę pieniądze, owszem, ale

musisz się do tego zabrać teraz, w tej chwili zarezerwować bilet, wyraźnie mówię, natychmiast, mam na to, jestem wypłacalna, jakoś wytrzasnę to dla ciebie - *ona po prostu błagała, to z niej buchało, była jak ktoś uwieszony na końcu liny, śmiało wyjawiała Persis w salonie Dii Kusz, kto wie, co ją doprowadziło do takiego stanu, ale ktoś musiał ją ugodzić, zranić, więc podałam jej rękę, pomogłam, to wszystko,* dodała, wciąż patrząc w oczy oszołomionemu Ormusowi, po swojemu błagając o pomoc, równie bezwstydnie i rozpaczliwie, jak Wina błagała ją. Prosząc choćby o słowo, o najniklejsze, a dodające wiary poruszenie brwi, a nawet - niczego nie wykluczajmy - o tę cudowną pociechę, jego uśmiech; prosząc, by mogła usłyszeć: tak, teraz masz szansę.

Bezwzględnie miała rację. Chciałam. Więc zrobiłam.

Persis zadzwoniła do ojca, a Pat Kalamańdża nigdy by nie powiedział "nie" swojej małej dziewczynce; to dla przyjaciółki, zapewniła Persis, zbyt skomplikowana historia, by opowiadać. OK, nie ma sprawy, wszystko załatwione, poddał się ojciec, jeszcze dziś prześlę przez AOP, więc możesz jutro odebrać bilet w biurze linii. Góra pojutrze. Więc widzi pan, tu Persis zwróciła się do inspektora Sohraba, nie może pan go winić, nic nie wiedział, ja załatwiałam.

AOP to agencja obsługi pasażerów, wyjaśniła. Płaci się po jednej stronie, a bilet wydają po drugiej. Zresztą do głowy by mi nie przyszło, że może mieć gotówkę, a tato na pewno i tak by anulował rachunek, gdyby wiedział, na co ten bilet, lecz w dniu pożaru, przed południem, Wina zjawiała się tu z dwiema pełnymi walizami i powłóczką wypchaną bizuterią, a ja wiedziałam, ciociu Amir, skąd ona to wzięła, niech ciocia nie myśli, że zamierzałam to ukryć, absolutnie, ale to już się wszystko potoczyło, zaczął się ten cyrk z wydziałem kryminalnym, wystraszyłam się, nie wiem, co teraz powiedzieć, trzymałam szkatułkę pod kluczem, ale ją właśnie otwieram, wybac, proszę, to opóźnienie. Potem była ze mną przez cały czas. Zabrałam ją na lotnisko, osobiście wsadziłam do samolotu, odleciała i mam nadzieję, że nigdy nie wróci.

Może jest złodziejką, przyznała uczciwie Persis, ale ognia nie podłożyła.

Przesłuchanie Persis Kalamańdży - którego czcigodni panowie Sohrab i Rustam dokonali w jej rodzinnym domu za zamkniętymi drzwiami prywatnego pokoju - trwało ładnych parę godzin, a przybierało chwilami wysoką temperaturę; jednak w najmniejszym stopniu nie wpłynęło na zmianę zeznań. Persis wypełniła natomiast luki. Okazało się, że Pat Kalamańdża wyłożył tylko na bilet do Londynu, nie do Stanów. Serdecznie przywitał Winę - jak zażądała Persis - przy schodkach samolotu i

zabrał do Wembley, do domu, bo nie miała gdzie się podziać w Londynie. Nazajutrz rano pożyczyła trochę angielskiej gotówki, zostawiła w domu walizki i sama wybrała się do centrum. Nie wróciła na noc, a kiedy zaniepokojony Pat zamierzał już zadzwonić na policję, wmaszerowała z rana, nie tłumacząc się ani słowem, oddała pieniądze co do pensa - i pożyczkę, i za bilet - powiedziała Patowi, że „już się ustawiła”, zadzwoniła po taksówkę, złapała walizki, nie pozwalając sobie pomóc, wymamrotała zdawkowe podziękowanie i rozplynęła się. Obecne miejsce jej zamieszkania pozostaje nieznane.

Wkrótce po przesłuchaniu Persis Kalamańdzi oficjalnie ogłoszono, że Wina Apsara „została uwolniona od podejrzeń” w sprawie podpalenia. Z kolei Amir Merchant nie zamierzała jej oskarżać o kradzież, bo w miarę jak się rozwijała opowieść Persis, moją matkę coraz boleśniej dręczyło sumienie. Amir wiedziała, że to jej sprawką jest ucieczka Winy; że to ona zabiła radość w sercu uciekinierki; i chociaż Amir po mistrzowsku obnosiła kamienne oblicze, to przez szczeliny zapór i grobli widziałem wezbraną falę bólu. Amir - oplakującą stratę dziewczyny na swój sposób szczerze kochanej - mało interesowała strata błyskotek. Zresztą dzięki wyniesieniu klejnotów z willi Thracia przynajmniej parę rodzinnych skarbów przetrwało. A jeśli Wina dała drapaka z kraju, taszcząc walizy wypchane najpiękniejszymi sukienkami Amir, tymi ze lśniących materiałów, obszytych cekinami, jeśli prysnęła, uginając się pod ciężarem toreb z resztką zbioru szmaragdowych kolczyków, perłowych naszyjników i brylantowych pierścionków mojej matki (które z pewnością posprzedawała w Londynie, by zaopatrzyć się w gotówkę), to Amir machnęła ręką na wszystko; i cóż wielkiego, wzruszyła ramionami, zawsze przyjmujemy to biedne dziecko z otwartymi ramionami, a gdyby nie zwędziła tych rzeczy, poszłyby z ogniem. Potem matka zamknęła się w pokoju, by długo i gorzko płakać nad Winą, sobą i własnym szczęściem, które też spakowało manatki.

Zatem Persis Kalamańdza nie tylko pomogła Winie opuścić Bombaj, czego pragnęła, lecz także uratowała Winę przed posądzeniem o nie popełnioną zbrodnię. Policji nie udało się Persis złamać; zresztą ani myślę sugerować, że danemu przez Persis alibi czegoś brak; było z pewnością prawdą-całą-prawdą-i-tylko-prawdą.

Zmartwionej Persis zdarzało się krzywić piękne usta, aż w końcu wyglądały, jakby wykręcił je dhobi. Co nasuwało skojarzenia nieodparcie erotyczne. Całe ówczesne pokolenie młodych mężczyzn żywiło nadzieję, że Persis zechce wykrzywiać dla nich usta. Tymczasem ten mężczyzna, dla którego z całego serca krzywiła je w tej

chwili, ledwie wynurzywszy się zza drzwi po policyjnym przesłuchaniu, gotowa odpowiadać na pytania lśniące w jego oczach, pozostawał nieporuszony. Taka czekała ją odpłata za pomoc Winie: właśnie w tej chwili Ormus Kama kończył wymazywać Persis z geografii i historii własnego życia. Wpatrywał się w nią z nie ukrywaną nienawiścią, potem z pogardą; potem z obojętnością; potem jakby już nie pamiętał, kto to taki. Wycofał się z Dii Kusz jak z obcego domu, dokąd zabłądził przypadkiem. Ona zaś stała się odtąd “tą biedną Persis”, by nią pozostać do końca staropanieńskiego życia.

Nikogo już nie oskarżano o podpalenie willi Thracia. Herosi wydziału kryminalnego, Sohrab i Rustam, oświadczyli, że “na tym etapie” wykluczono trop “rozmyślnych działań przestępczych”, i wymiksowali się ze sprawy. W wielu bombajskich nieruchomościach straszyły jeszcze stare i niebezpieczne kable, więc można było w końcu uznać, że pożar wybuchł na skutek zwarcia instalacji elektrycznej.

Można było, zwłaszcza że pewne wpływy wciąż się sączyły z góry na dół, aż wszyscy podejrzani - by użyć pełnych satysfakcji słów pana Sisodii, pomagiera Pilu - “zoostatali rzeczywiście oczyszczeni”.

Dezorientacja to postradanie Wschodu. Spytajcie byle nawigatora: w żegludze potrzebny jest zmysł Wschodu. Postradać go to postradać namiary, poczucie pewności, rozeznanie w tym, co jest, a co może być, nawet postradać życie. A gdzie świeciła ta gwiazda, za którą wędrowaliście do tego żłobu? No właśnie. Wschód orientuj e. Oto wersja oficjalna. Tak powiada język, a z językiem nigdy nie należy się spierać.

Pobawmy się w domysły. Jeśli cały ten układ - orientacja, wycucie własnego miejsca i tak dalej - to jeden wielki kant? Co wtedy? Jeśli to wszystko - dom, pokrewieństwo, cały ten pasztet - to tylko największe, zaiste globalne, prastare pranie mózgów? Przypuśćmy, że tylko wtedy zaczynamy prawdziwe życie, kiedy zdołamy się na tamto wypiąć. Kiedy krążymy luzem, uwolnieni od macierzystego statku, kiedy odetniemy liny, wyslizgniemy się z łańcucha, wykroczymy poza mapę, urwiemy się bez przepustki, damy dyla, nawiejemy, wszystko jedno; przyjmijmy, że wtedy i tylko wtedy jesteśmy na tyle wolni, by działać! By wieść życie, w którym nikt nam nie mówi, jak żyć, gdzie i kiedy. W którym nikt nam nie wyda rozkazu, by ginąć za niego czy Boga, i nikt nie dobierze się nam do skóry, bo naruszyliśmy którąś z reguł bądź okazaliśmy się - z powodów, które niestety muszą pozostać dla nas tajemnicą - ludźmi

po prostu niedozwolonymi. Przypuśćmy, że wytrzymamy poczucie kompletnego zagubienia, tkwienia w chaosie lub w czymś jeszcze bardziej nieokreślonym; przypuśćmy, że się zgodzimy na samotność, na dzikie przerażenie na skutek zerwania kotwic, na panikę i zawrót głowy na widok horyzontu wirującego w najlepsze jak krawędź rzuconej monety.

Nie pójdziecie na to. Na pewno nie większość z was. Naczelną światową pralnią pierze mózgi aż miło: nie skacz z tego zbocza nie łaź przez te drzwi nie zbliżaj się do wodospadu nie wierz w tę szansę nie przekraczaj tej linii ostrzegam nie doprowadzaj mnie do szalu a tym co robisz właśnie mnie doprowadzasz. Nie masz szans nie masz nic do gadania jesteś skończony jesteś już prehistorią mniej niż zero dla mnie już nie istniejesz umarłeś dla swej rodziny swego narodu swej rasy wszystkiego co powinienesz kochać nad życie słuchać jak głosu swego pana ślepo iść za kłaniać się głęboko i czcić i być posłusznym; już nie żyjesz, nie ma cię, posłuchaj mnie i wybij sobie z głowy, głupi bękarcie, nawet już nie wiem, jak się nazywasz.

Lecz wyobraźcie sobie, że jednak stać was na to. Przekroczyliście krawędź ziemi bądź przepłynęliście ten straszliwy wodospad i oto jesteście na miejscu: w czarodziejskiej dolinie na kresach wszechświata, w błogosławionym królestwie powietrza. Wszędzie wspaniała muzyka. Oddychacie nią; wdech, wydech; to ona jest teraz waszym żywiołem. I nierównie wam lepiej z muzyką w płucach niż z jakąkolwiek “przynależnością”

Spośród nas Wina zrobiła to pierwsza. Drugi skoczył Ormus, a ja, jak zwykle, zamykałem pochód. I możemy się spierać całą noc o przyczyny: czy sami rzuciliśmy się w to, czy zostaliśmy zepchnięci, lecz nie da się ukryć, zrobiliśmy to, wszyscy. Troje Królów Dezorientacji.

Tylko ja jeszcze żyję, by ciągnąć opowieść.

Przeprowadziliśmy się do czynszowego bloku przy Nabrzeżu Apollińskim, własności Kamów; matka mieszkała osobno, ojciec osobno, ja między nimi, jak jojo, uczyłem się niezależności; karty chowałem wciąż przy piersi, dorastałem. W owych czasach Ormus i ja trzymaliśmy się blisko; bliżej, niż udawało się nam przedtem bądź potem. Powód? Wspólna strata. Podejrzewam, że obaj mogliśmy u tego drugiego tolerować tęsknotę za Winą, bo Winy nie było z żadnym z nas. Dzień w dzień spędzaliśmy obaj masę czasu na myśleniu o niej, w naszych sercach kołatały te same pytania. Dlaczego nas opuściła? Bo przecież była nasza, prawda? Bo przecież

kochaliśmy ją? Ormus miał lepszy tytuł do roszczeń, jak zwykle. Założył się o nią i wygrał, dosłużył się jej, czekając latami w pełni samozaparcia. A teraz przepadła, w tym ogromnym podziemiu, zaświecie złożonym z rzeczy, ludzi i miejsc, o których nie mieliśmy pojęcia.

- Znajdę ją - zaklinał się raz po raz. - Żadna granica mnie nie powstrzyma. Pójdę na koniec świata, Raj. I nawet dalej.

Pewnie, pewnie, myślałem, ale co będzie, jeżeli cię nie zechce? Jeżeli byłeś tylko jej hinduską zachcianką, szczyptą curry i niczym więcej? Jeżeli dla niej jesteś już przeszłością; co będzie, kiedy po długim poszukiwaniu wreszcie ją namierzysz, w apartamencie na szczycie wieżowca bądź w taniej przyczepie campingowej, a ona przed nosem zatrzaśnie ci drzwi?

Czy Ormus gotów był rzucić się w inferno, w otchłań zwątpień? Nie pytałem; byłem młody, więc musiało upłynąć wiele czasu, zanim zrozumiałem, że piekielne ognie niepewności paliły go już wtedy.

W owych czasach podróż nie była prostą sprawą, jeżeli człowiek miał w ręku tylko indyjski paszport. Urzędas pracowicie wpisywał tam parę krajów, do których rzeczywiście można było wyjechać, z tym że do większości człowiek ani myślał się wybrać. Reszta zaś, wszystkie miejsca naprawdę interesujące, nie wchodziły w rachubę bez specjalnych zezwoleń i do pierwotnej, ręcznie nagryzmołonej listy mogły zostać dodane dopiero piórem innego urzędasa, też ręcznie. A potem się pojawiał problem zagranicznej waluty. Czyli jej braku (bo na tym ten problem polegał). Doskwierał wówczas ogólnokrajowy niedostatek dolarów, funtów szterlingów i innych walut wymiennalnych, więc oczywiście nie wolno ich było mieć, a nie mając, nie wolno było podróżować; jeśli zaś człowiek kupił je po złodziejskim kursie na czarnym rynku, mógł zostać wezwany do złożenia wyjaśnień, skąd mianowicie coś podobnego trafiło mu w ręce; co oznaczało dalszą zwyżkę kursu, teraz powiększonego o koszt zatykania dzioba, czyli łapówkę.

Ów krótki wykład ekonomii nostalgicznej ma wyjaśnić, dlaczego Ormus nie ścigał swej wielkiej miłości pierwszym samolotem. Dariusz Kserkses Kama - wówczas już zwykły pan, nie sir - przeważnie zgłębiał butelkę, zaznawszy zaś wstydu odtrącenia przez Anglię w ogóle, a Williama Methwolda w szczególności, głuchł na jakiegokolwiek napomknienia o międzykontynentalnej podróży. Natomiast pani Spenta Kama (utrata tytułu wciąż ją paliła żywym ogniem) stanowczo odmówiła, kiedy cieszący się jej pomniejszymi względami syn poprosił, by mu kupić najtańszy zniżkowy bilet

arabskiej linii lotniczej oraz najmniejszą wymaganą sumę (stu) sprzedawanych “na lewo” funtów.

- Ta bezczelna smarkula nie jest warta nawet dziesięciu pajsów - brzmiało bezwzględne oświadczenie. - Po prostu popatrz w końcu na tę piękną Persis, oślepieś, czy co? Biedna dziewczyna, zakochana w tobie po uszy. I raz na zawsze ściągnij te klapy z oczu.

Lecz Ormus nosił je przez całe życie. Przez następnych parę lat miałem dość okazji, by przyjrzeć się z bliska naturze Ormusa, i wiem, że w głębi, pod tą mieniącą się i iskrzącą powierzchnią, pod kameleonową, poplątaną osobowością sprawiającą, że każda napotkana dziewczyna chciała go koniecznie usidlić, pod naturą skrytą a skłoną do obnażania się, do otwarcia jak zachęta bądź kiedy indziej do zamknięcia jak pułapka, raz lgnącą, raz odpychającą, otóż pod tą całą jego improwizowaną melodyką tętnił stały, niezmienny beat. Wina, Wina. Ormus na dobre oddał się temu rytmowi w niewolę.

Pozwólcie, że coś wyjaśnię: nie dochowywał wierności tej nieobecnej osobie czy też pamięci po niej. Nie wyrzekł się towarzystwa, nie palił po nocach świec w opustoszałej świątyni. Co to, to nie. Natomiast szukał Winy w innych kobietach, po wariacku i niezmordowanie, w głosie jakiejś ślicznotki doszukiwał się modulacji Winy, jej odrzucania włosów w spływających lokach innej. Z większością doznawał tylko rozczarowań. Pod koniec tych spotkań często odrzucał rytualne uprzejmości i wyznawał, na czym polega prawdziwa natura podboju, a te rzeczywiste kobiety, które go rozczarowały, czasem były gotowe wspaniałomyślnie wysłuchiwać jego ciągnących się godzinami wynurzeń na temat nieobecnej kobiety-cienia, aż po świt, kiedy wreszcie milknął i wymykał się. Nieliczne bez mała go zaspokajały: w pewnym oświetleniu, jeśli niewiele mówiły i leżały tak a nie inaczej; lub jeśli znienacka nałożył im na twarz koronkową chusteczkę czy maskę i w anonimowych teraz ciałach wyświetlił się jakiś jej odbłysek, w piersiach, w krzywiźnie uda, w ruchu szyi; wówczas, ach, wówczas Ormus mógł przez piętnaście czy dwadzieścia sekund łudzić się, że Wina wróciła. Lecz nieuchronnie odwracały się w końcu, odzywały się pieszczotliwie, wyginały nagie, mocne grzbiety, zmieniał się oświetlenie, maski zsuwały z twarzy, ułudy szły w rozsypkę i w końcu Ormus zostawiał je tam, gdzie leżały. Lecz mimo ckliwych wynurzeń i niezamierzonych okrucieństw młode kobiety, od których wciąż się roiło na występach Ormusa (tymczasem zaczął śpiewać zawodowo), wciąż zabiegały o owe bardziej prywatne i niemal zawsze raniące audiencje.

Poszukiwania Ormusa nie ograniczały się jednak do młodych szpanerek. Rejestr ówczesnych zastępczych miłości Ormusa pokrywał się z przekrojem ówczesnej kobiecej społeczności miasta: to były kobiety najróżniejszego wieku, najróżniejszych zawodów, szczupłe i grube, wysokie i niskie, hałaśliwe i ciche, delikatne i wulgarne, które łączyło jedno: bądź tkwił w nich jakiś okruch Winy Apsary, bądź tylko w to wierzył oszalały, porzucony przez nią kochanek. Kury domowe, sekretarki, robotnice budowlane, mieszkanki chodników, umęczone robotnice, służące, kurwy... jakby Ormus w ogóle nie potrzebował snu. Dniami i nocami wałęsał się po ulicach; wypatrywał Winy znajdującej się nie wiadomo gdzie i usiłował wydostać ją z kobiet znajdujących się wszędzie, szukając cząstek, do których można przyłgnąć, kosmyków, których się można uczepić w nadziei, że ów okruch w końcu zmusi Winę, by odwiedziła go w snach.

Taki był pierwszy pościg za Winą. Na mój gust bez mała nekrofiliska wampiriada. Ormus wysysał soki z żywych kobiet, by utrzymać przy życiu widmo Nieobecnej. Często zwierzał mi się z podbojów. Czułem się jak Dunjazada, siostra Szeherazady, siedząca w nogach łoża nie zasypiającej królowej, która snuje niesłychane opowieści, by uratować życie; Ormus zwierzał się ze szczegółami - jakimś cudem nie zakrawało to na przechwałki - a mnie, oszołomionemu, podnieconemu na równi jego namiętnościami i opisami, zdarzało się czasem szepnąć:

- Kto wie, może powinienes dać sobie spokój. Może już nie wróci.

Kręcił głową, potrząsał coraz dłuższą grzywą i wykrzykiwał:

- Idź precz, szatanie! Nie będziesz wstępował między kochankę i kochanka - co przyprawiało mnie o wybuch śmiechu, chociaż Ormus ani myślał o rozśmieszaniu.

A co za postać odstawał na pokaz! Błyszczał, promieniał. Uplasowanie się Ormusa wyznaczało układ każdego wnętrza, w którym się znalazł. Jego uśmiech działał jak magnes, zmarszczenie brwi brano za druzgocącą porażką. Minęły czasy próżniactwa i wałęsania. Wystawania przy bramach żeńskich szkół. Większość wieczorów pochłaniały mu teraz śpiew, gra na wszystkich instrumentach, jakie się nawinęły, a dziewczyny same uganiały za nim stadami. W staraniach o jego występy rywalizowały bombajskie kluby, hotele, nawet producenci filmowych hinduskich wersji dźwiękowych. Ormus grywał to tu, to tam, żadnego kontraktu nie podpisał, z nikim nie związał się wyłącznie i miał na tyle pary, że dawał sobie z tym radę. Za sprawą Ormusa rock'n'roll brał górę nad jazzem na porannych niedzielnych śniadania-obiadach w miejskich hotelach, a na widok głównej atrakcji tych imprez,

mianowicie Ormusowego kręcenia biodrami, panienki ze śródmięscia mdlały. Matki młodych dam nie szczędziły potępień, jednocześnie nie mogąc od Ormusa oderwać oczu. Kto znał ówczesny Bombaj, musi pamiętać młodego Kame. W owych dniach dawnej świetności jego nazwisko i twarz stały się częścią miasta. Pan Ormus Kama, gwiazda przewodnia naszych dam.

Kiedy zagadywał, a zwłaszcza kiedy - z tymi lokami, w rozpiętej różowej koszuli - nachylał się nad jakąś smarkułą, intensywność kontaktu, jego siła seksualna niemal budziły lęk. Czuj fizyczność, mógł syknąć, bo jesteśmy ciałem i krwią. Albowiem dobre jest, co dogadza ciału i rozgrzewa krew. Ciału, mówię, nie duchowi. Skup się na ciele. Co teraz czujesz? Że dobrze? No właśnie, mnie też. A to? Och, kotku, krew. Ciało i krew. Kipiąca.

My, a nie nasze dusze... Głosił tę erotyczną ewangelię na swój sposób niewinnie, z jakąś mesjaniczną czystością, która doprowadzała mnie do szału. Słowem, był to najlepiej grany numer w mieście. W następnym latach życia wychodziłem z siebie, by to kopiować, i nawet marna imitacja zapewniała niezłe skutki z dziewczynami mojego pokolenia, chociaż często śmiały mi się w twarz. Ścisłej: zwykle się śmiały. Mogłem się uważać za szczęściarza, jeśli udało mi się coś wskórać z jedną na dziesięć. Który to wynik dzieliłem, jak się później zorientowałem, z ogółem osobników rodzaju męskiego. Odtrącenie to norma. A wiedząc o tym, jeszcze bardziej tęsknimy za akceptacją. Bo to nie my rozdajemy w tej grze karty. A finezji i doskonałości nabywamy, kiedy mamy jakiś chwyt... Lecz Ormus, cóż, był artystą i w rękę miał atutowego asa, czytaj: szczerłość. Zabierał mnie na te jam sessions, czasem nawet na noc (rodzice konkurowali wtedy o moje względy i miłość, więc owijałem ich wokół palca, otrzymywałem zezwolenia, o których kiedy indziej szkoda by marzyć), a kiedy skończył śpiewać, mogłem się z bliska przyjrzeć mistrzowi w akcji, jak siada w boksie czy przy stoliku z jakimś młodym stworzeniem pijącym mu z ust każde słowo. Przyglądałem mu się uważnie, zażarcie, wręcz fanatycznie, byle nie przegapić jakiejś drobnej nieostrożności, mgnienia, w którym by się odkrył, opadłaby z niego maska, kiedy by objawił szpiegującemu go uczniowi, że to tylko występ, ciąg skalkulowanych chwytów, blaga.

Nigdy nie nadszedł taki moment. Dlatego że naprawdę w to wierzył, to szło z głębi, podbijał tym fanów, sympatyków, serca, kochanki; wygrywał grę. Dionizyjskim kredo - porzuć ducha, zaufaj ciału - którym czarował kiedyś Wine, załatwił teraz pół miasta.

Jednej tylko kobiety nie próbował uwieść, Persis Kalamańdzi. Może nie pozwalał pokosztować nawet przez jedną noc tych swoich legendarnych rozkoszy, karząc ją za to, że pomogła uciec Winie; a może to było co innego, oznaka szacunku i sugestii, że gdyby nie Wina Apsara, to właśnie Persis miałaby szansę.

Lecz Wina istniała, więc “biedną Persis” wymazano.

Ormus prywatny, którego miałem sposobność obserwować przy Nabrzeżu Apollinińskim (cóż za przywilej!), bardzo się różnił od znanego powszechnie boga miłości. Świerzbiała wybroczyna na powiece. Ormusa często opadały stare mroki, a wtedy całymi godzinami leżał bez ruchu, otwierając to wewnętrzne oko, które wgłębiało się w przedziwne, apokaliptyczne wizje. Ormus niewiele już opowiadał o Gajomarcie, ale wiedziałem, że w wizjach występuje zmarły bliźniak; niestrudzenie umyka przed Ormusem, w głąb, coraz niżej i niżej, w nie kończący się labirynt umysłu, gdzie u kresu czeka nie tylko muzyka, ale niebezpieczeństwa, potwory i śmierć. Wiedziałem o tym, bo z krainy “Kama obscura” Ormus wciąż wracał z naręczami nowych piosenek. Może zstępował teraz głębiej, ryzykował więcej, może Gaj o zbliżał się do niego i śpiewał prosto do ucha, bo wracał już z czymś więcej niż sekwencje samogłosek bądź poprzekręcane nonsensowne wersy (choć czasami, kiedy na przykład zagrał mi po raz pierwszy kawałek *Da du roń roń*, trudno by zauważyć różnicę). Teraz bywał obdarowywany piosenkami pełnymi. Piosenkami z przyszłości. Piosenkami, których tytuły w roku 1962 i 1963 nikomu nic nie mówiły. *Eve of Destruction, I Got You, Babe, Like a Rolling Stone*.

Ormus lubił komponować na płaskim dachu mieszkalnego bloku; spędzał tam wieki, zabląkany w sobie, szukając punktów, w których jego własne życie przecina się z życiem tego wielkiego świata na zewnątrz, i punkty przecięcia nazywając potem “piosenkami”. Kiedyś pozwolił mi się sfotografować przy takiej pracy; oczy zamknięte, nieobecny, trzyma na skrzyżowanych nogach gitarę, błądzi palcami po strunach, próbuje. Mój voigtlander umknął płomieniom willi Thracia, bo odkąd staliśmy się nierozłączni, aparat i ja, zabierałem go do szkoły. Wcześniej przeczytałem w książce *Fotografia dla początkujących*, że prawdziwy fotograf nigdy nie rozstaje się ze sprzętem, i wzięłem tę radę do serca. Ormusowi spodobała się ta postawa, uznał ją za “poważną”, tak też powiedział, a ja, mimo niebotycznej zazdrości o Winę, zawsze poządlawie wyczekiwałem na jakieś jego życzliwe słowo, a kiedy mnie pochwalił, straszliwie się puszyłem. W owych czasach zwracał się do mnie wymyślonym przez

siebie przezwiskiem "Niekiepski".

- To mój przyjaciel, Niekiepski Raj - przedstawiał mnie, zaledwie szesnastolatka, w 1963 roku, tej swojej paczce podszytej fałszem, pielgrzymującej od klubu do klubu. - Jeszcze nie słyszeliście o nim. Zawsze wypatrzy jakieś zdjęcie. Trzech obcych ludzi w kolejce do autobusu podnosi jednocześnie nogi jak na sali baletowej albo jacyś pasażerowie machają z pokładu parowca odbijającego od brzegu, ale jedną z tych rąk macha goryl. Więc wypatrzy zdjęcie i zaraz wykrzykuje "niekiepskie, co?" "niekiepskie?" A tego oczywiście nikt nie dostrzeżga poza nim, ale potem, moi mili, wszystko wychodzi na jaw na filmie. Młody Niekiepski! - W tym momencie klepał mnie po plecach, a towarzyszące mu osobki płci żeńskiej obdarowywały mnie swymi najpotężniej siejącymi wzburzenie między nogami, najczarowniejszymi spojrzeniami. - Palecpiorun na spuście, najszybszy na Wschodzie. - Na co po szczeniacku, upokarzająco rumieniłem się po uszy.

Więc w listopadzie 1963 roku pozwolił mi się sfotografować przy pracy. Sporo piosenek, które wówczas pisywał, to były kawałki idealistyczne, mocne, typu protest. Co do oceny, ile co warte, którą to sprawą jakże często sam zaprzątałem sobie głowę, Ormus podzielał przekonanie, że gorzej jest ze światem jako całością niż ze zwykłymi obywatelami. Przypominał w ten sposób moją matkę; przy czym ona uznała, rozczarowana, że skoro nie zdoła pokonać zepsucia tej ziemi, to może się przyłączyć do skorumpowanych mocy. Natomiast Ormus nie rezygnował ze stawiania na zmysł doskonałości zarówno człowieka, jak i ludzkich zbiorowości. Lecz wówczas, na dachu, z tymi zamkniętymi oczami, chyba mocno się głowił.

- Nie tak się to powinno toczyć - mrucał co parę minut. - Wszystko wyskakuje z szyn. Raz trochę, raz całkiem. A powinno iść inaczej. Normalnie inaczej.

W końcu wyszła z tego piosenka Me tak. Ale kiedy wpatrywałem się w Ormusa, skradając się po dachu kocim krokiem, tak niewidzialny, że przestawałem dla niego istnieć, miałem dziwne wrażenie, że Ormus nie mówi przenośnią. Podobnie jak mogła człowieka zaskoczyć głębia szczerości Ormusa, mogła zbić z tropu jego dosłowność. Czulem, jak włosy stają mi dęba. Jak gruzłowacieją mięśnie brzucha.

- Nie tak stoją sprawy - powtarzał. - Nie tak. - Jakby uzyskał dostęp do innego wymiaru egzystencji, do jakiegoś równoległego "właściwego" świata i poczuł, że nasze czasy są zwichnięte, wykolejone. Wyrzucał to z siebie tak gwałtownie, że nagle uświadomiłem sobie: wierzę mu, na przykład wierzę w możliwy inny świat, z którego nigdy nie znika Wina, w którym żyjemy razem, we troje, wspólnie dążąc do gwiazd. A

potem potrząsnął głową i czar prysnął. Ormus otworzył oczy i uśmiechnął się smutno. Jakby wiedział, że zarazili mnie myślami. Jakby zdawał sobie sprawę ze swej władzy. - Lepiej się z tym pogodzić - powiedział. - Brać świat, jakim jest.

Później, kiedy już się powlokłem spać do pokoju, zaczęły mnie znów nachodzić Ormusowe udreki z dachu: to jego nagłe opętanie myślą, że świat gdzieś zбочzył jak pędzący pociąg towarowy, wypadł z właściwej trasy i teraz obija się, łomocze samopas w wielkiej żelaznej sieci zwrotnic,górek rozrządowych, rozgałęzień. W przedsennym odrętwieniu drażniła mnie myśl: jeżeli świat przeistacza się nieprzewidywalnie, to już nie można na niczym polegać. W co wierzyć? Czemu ufać? Jakie znaleźć zakotwiczenia, podstawy, trwałe punkty w odmienionym, pokruszonym czasie? Pierzchła senność, łomotało mi serce. To nic. To nic. To nic. To tylko sen, który budzi.

Świat jest, jaki jest.

Pomyślałem więc, że dręczące Ormusa wątplenie w świat rzeczywisty to swego rodzaju odwet ducha, wtargnięcie tego, co irracjonalne i niematerialne, w życie ufundowane na rzeczywistości i zmysłach. Nad odrzucającym niepoznawalność Ormusem pastwiło się niepoznawalne.

W dzień po tym, jak prezydent Stanów Zjednoczonych cudem uszedł cało z zamachu w Dallas w Teksasie, po tym jak zapadły nam w głowy nazwiska niedoszłych zabójców, Oswalda, któremu zaciął się karabin, i Steela, obezwładnionego na trawiastym pagórku przez niejakiego Zaprudera, nie pierwszej młodości filmowca-amatora, prawdziwego bohatera, który na widok strzelby z całej siły grzmotnął w łeb niedoszęłego zabójcę ośmiomilimetrową kamerą... otóż owego pamiętnego dnia Ormus Kama zmierzył się z innym czarodziejskim nazwiskiem, zjawiwszy się bowiem w Regal Cafe w Kolabie dowiedział się, że wśród słuchaczy występu zaplanowanego na późny wieczór znajdzie się grupka ludzi ze Stanów, a wśród nich sam pan Yul Singh. Już wówczas najgorliwsi melomani indyjskich metropolii słyszeli o Yulu Singhu, niewidomym hinduskim producencie nagrań, który w 1948 roku założył w Nowym Jorku wytwórnię płyt Kolchida, przy czym dziesięć tysięcy dolarów włożył w przedsięwzięcie jego optyk. Po tym jak Kolchida zbiła forszę, nadając "muzykę etniczną", czyli rhythm and bluesa dla białych radiosłuchaczy, ów optyk, Tommy J. Eckleburg, szybko sam stał się znakomitością Manhattanu. Występowali nawet z Yulem Singhem, odstawiając podczas promocyjnej trasy talkshow.

- Jak to jest, Yul? Na co ślepemu optyk?

- *To sprawa optymizmu, Johnny. Optymizmu.*

- *A na co optykowi ślepy, T. J.?*

- *Ślepy? Niechże pan nie ubliża mojemu przyjacielowi, panie C. Po prostu Yul to gość patrzący inaczej.*

Kiedy Ormus dowiedział się w Regal o paczce Singha, mocno zmarszczył brwi i zaczął się skarżyć na straszny ból głowy. Wziął tabletki i położył się w garderobie z okładem lodu na czole, a ja przysiadłem obok, masując mu skronie.

- Yul Singh - powtarzał bezustannie. - Yul Singh.

- Bananisko! - powiedziałem, dumny ze świeżo nabytej wiedzy*.[* W oryginale *top banana*. Dosłownie: gwiazda wieczoru w komedii czy rewii. Ale *banana* to także zamerykanizowany Azjata (żółty z zewnątrz, biały w środku).] - Aretha, Ray, Beatlesi. No wszyscy.

Ormus drgnął, jakby ból głowy się nasilił.

- Co jest? - spytałem. - Nie działają tabletki?

- Jego nie ma - szepnął. - Ten facet, kurwa, w ogóle nie zachodzi.

To był jakiś absurd.

- Coś ci się przywiduje - powiedziałem. - Jeszcze powiesz, że nie ma żadnego Jesse'ego Garona Parkera.

To do niego dotarło. Zakrył twarz. Dobięły mnie jakieś urywki piosenki.

Nie jest tak, jak powinno być

Nie zacznę dziś inaczej żyć

Noce są czarne, czarne są dni

Ja wiem, gdzie jestem, nie wiem, gdzie ty

Czarna jest noc, niejasny dzień

Bo brak tu ciebie, by rozwiązać cię

Czarny dzień, czarny rok

Nie ma cię, by rozświecić mrok

Bo brak tu ciebie, by objąć mnie

I jest, jak jest. Żle.

Potem głowa puściła; chyba odpaliły tabletki. Ormus usiadł na leżance.

- Co się ze mną dzieje? - powiedział. - Nie pora się rozklejać.

- Złam kark - powiedziałem i Ormus ruszył na estradę.

Po zestawie kawałków, który na cześć amerykańskich gości Ormus zadedykował szczęśliwie ocalałemu prezydentowi Kennedy'emu, gniotłem się w maleńkiej garderobie z nim i trzema młodymi kobietami (bo tylko dla tylu starczyło miejsca). Rozebrany do pasa Ormus wycierał się ręcznikiem, wprawiając damy w uniesienie. Tymczasem do drzwi zastukał Yul Singh. Ormus wypchnął dziewczyny, a mnie pozwolił zostać.

- Młodszy braciszek? - spytał Yul Singh, a Ormus uśmiechnął się.

- Mniej więcej.

Singh to był nie lada aparat. Miał na sobie najpiękniejszy garnitur z niebieskiego jedwabiu, jaki widziałem, nosił koszule z własnym monogramem, a zazdrość o buty w dwóch odcieniach przyprawiła mnie normalnie o ból w stopach. Po czterdziestce, drobny, ciemnoskóry, koziobrody i łysy, w słonecznych okularach - najniewątплиwiej dziele dr. T. J. Eckleburga optykakraatora *par excellence* - których kształt tak dostosowano do krzywizny głowy, że nie sposób było dojrzeć niewidzących oczu nawet przez moment, choćby ciekawość wykręcała człowiekowi kark. Singh trzymał w ręce białą laseczkę z kości słoniowej, ze srebrną gałką.

- No dobrze, teraz słuchaj - z miejsca wyłożył kawę na ławę. - Dla jasności: nie przyjechałem do Bombaju szukać gwoździ programu. Przyjechałem odwiedzić matkę. Skończyła siedemdziesiątkę, a wciąż, niech Bóg ma ją w opiece, jeździ konno. Ale to cię nie musi obchodzić. Więc posłuchałem tych twoich kawałków, i co, myślisz, że nie łapię? Kogo ty, kurwa, chcesz wodzić za nos?

Cały tekst wypowiedział przez zęby lśniące w najuprzejmiejszym uśmiechu. Jeszcze nigdy nie widziałem tak zmieszanego Ormusa.

- Nie rozumiem pana, panie Singh - powiedział głosem, który nagle zabrzmiał bardzo, ale to bardzo młodzieńczo. - Nie spodobał się panu mój występ?

- A kogo to obchodzi, co mi się podoba? Już ci mówiłem, ja tu mam wolne. Tam siedzi moja matka. I ona słyszała, ja słyszałem, całe miasto słyszało. Co to jest, jakieś śpiewanie pod kogoś, ku czci, czy co? Przyznaję, odstawiłem kawałki jak należy, frazę, żywcem jak któryś z tych facetów. No nic. Co mnie obchodzi. Robisz to dla kobiet? Paru groszy? Dla kobiet, trafiłem?

- Dla jednej kobiety - powiedział słabym głosem Ormus, tak zszokowany, że szczyry.

Singh zatrzymał się i przekrzywił głowę.

- Zostawiła cię, co? Wyśpiewywałeś te śmieszne podrabiane pod innych kawałki i miała dość.

Ormus sięgnął po resztki ambicji.

- Wiem, w czym rzecz, panie Singh, dziękuję za szczerość. Ale teraz nie śpiewałem moich piosenek. Może dam im szansę kiedy indziej.

Singh zastukał w podłogę laseczką.

- Czy powiedziałem, że już skończyłem? No bo jak skończę, to powiem, a nie skończę, synku, póki się nie dowiem, skąd wytrzasnąłeś ten ostatni numer, co za zasraniec go podpierdolił i przeszmuglował aż tutaj, a tak się właśnie wyraziłem, kiedy zacząłeś to śpiewać, więc zobacz, do czego doprowadzasz; przez ciebie kłąłem w obecności mojej siwowłosej matki, czego nie cierpię. Robiła na drutach i przez ciebie spuściła oczko. Ale co to ciebie obchodzi.

Ostatnim utworem była pełna czułości ballada; jak sądziłem, piosenka dla Winy, powolna, tęskna, jedna z kompozycji, które Ormus układał na dachu pogrążony w rojeniach o utraconej miłości. Myliłem się jednak. Piosenka nazywała się *Yesterday*.

- Słyszałem ją - słabym głosem wykrztusił Ormus, a Yul Singh znów wyrzwał laską w podłogę.

- Niemożliwe - powiedział. - Bo jak? Wypuszczamy tę piosenkę dopiero w przyszłym roku. Jeszcze nie nagrywaliśmy. Nic. Nawet żadnego jebanego demo. Facet dopiero co napisał, dopiero co przegrał mi w Londynie przy fortepianie, no dobrze, zaraz potem lecę do Bombaju zobaczyć starą mateńkę, którą, niech Bóg jej błogosławi, zostawiłem samą na tyle minut, a ona się tam zastanawia, dlaczego syn przy niej klnie, więc sam rozumiesz, że to nie w porządku. Nie jest tak, jak powinno być.

Ormus milczał zamurowany. Bo co miał powiedzieć? Widuję zmarłego bliźniaka, podążam za nim we śnie, on śpiewa, ja słucham, a ostatnio dużo lepiej rozróżniam słowa. I wciąż mi to lepiej wychodzi.

Yul Singh nie ruszał się.

- Pozwól, że powiem ci dwie rzeczy. A więc: jeżeli jeszcze raz zaśpiewasz ten kawałek, to się natniesz na moich prawników, skuteczniejszych niż kaftan bezpieczeństwa, i ani się obejrzyysz, a ja będę miał na śniadanie twoje własne jaja na stole, obok porcelanowej miseczki płatków kukurydzianych. A teraz po drugie: ja nie klnę. Nigdy. Jestem znany z nienagannego języka. Zechciej docenić moje udręki.

Był już w drzwiach. Za nimi dostrzegłem dwa krzepkie typy w smokingach.

Obstawa. Singh odwrócił się. W zapasie miał jeszcze kwestię na wyjście.

- Nie powiedziałem, że nie masz talentu. Bo nie powiedziałem, prawda? Bo gdybym powiedział, to wbrew sobie. Talent masz. Może wielki. Ale nie masz czego innego. Własnych kawałków; pomijając to, co ukradniesz, nie wiem, jak kradniesz, zabij, bo się nie kwapisz powiedzieć. I czego jeszcze nie masz, to zespołu, bo ci faceci w różowych marynarkach, przystrzyżeni na bigband, zajdą najdalej na przystanek autobusowy, linia do domu. No i nie masz motywacji. Na mój nos, synu, tego też ci brakuje. Więc kiedy wytrzaśniesz jakiś przyzwoity materiał, przynajmniej twoim zdaniem, kiedy już przygotujesz numer, który twoim zdaniem jakoś pociągnie, to nie przyjeżdżaj, nie szukaj mnie. Szkoda fatygi. Co innego, gdybyś miał motywację; więc może kiedyś ją będziesz miał, może nie, czym ja się zresztą nie przejmę, nie moja sprawa. Może kiedy znajdziesz tę dziewczynę, bywa. Znajdź, a ona ci zapewni powodzenie. Ja osobiście wszystko zawdzięczam mojej ukochanej żonie, która, niestety, nie towarzyszy mi w tej podróży. Ale co to ciebie obchodzi. Dobranoc.

- Tego faceta w ogóle nie ma - powiedziałem. - I całe szczęście.

Ormus wyglądał jak rażony gromem.

- Wszystko jest nie tak. Wszystko - wymamrotał w odurzeniu. - I może właśnie tak musi być.

7. Więcej niż miłość

Dlaczego Ormus Kama nie ruszył w pościg za Winą? Muszę wyznać, że nie do końca brałem za dobrą monetę wyjaśnienia paszportowe-walutowe. Chcieć to móc, itede, trudno i darmo; więc kiedy Yul Singh wnikliwie wypytał piosenkarza o motywację, pojąłem, że trafia w sedno, po prostu głośno mówi coś, o czym już wiem. Lecz Ormus demonstrował tyle pewności siebie, tę dufność seksualną, łatwość władania ciałem i głosem, ten wdzięk, że chętnie uwierzyłem (ściślej: mamilem się, że wierzę) w co innego: iż jego widywane tylko prywatnie pogrążanie się w sobie i te dramatyczne napaści na niedoskonałość świata należy przypisać nadzwyczajnej wrażliwości artystycznej, spychającej nieuchronnie - jak powiada Browning - ku niebezpiecznej krawędzi rzeczy.

“Uczciwy złodziej, czuły morderca”. Równie ciekawe jak owe paradoksy było zmierzanie Ormusa na krawędzi dużo niebezpieczniejsze, na kresy umysłu, duszy, świadomości, gdzie ścigał zmarłego brata; wracał z tych wypraw z proroczą muzyką, ale za każdym razem ryzykował, że w ogóle nie wróci. Nic dziwnego, myślałem z przemądrzałością nastolatka, że takie podróże w nieznaną muszą kosztować, a sam podróżnik wraca ponury i otumaniony. Krótko mówiąc, byłem przekonany, że Ormus Kama jest trochę stuknięty, że o niezrównoważenie przyprawia go - jak to się zdarza rozdzielonym bliźniakom (i zwiedzionym kochankom) - pewien brak. Pozostali przy życiu męscy Kamowie byli, każdy inaczej, jak garść ann nie dopełniona do rupii, lecz obdarzonemu talentem i charyzmą Ormusowi - który ani mordował, ani oniemiał, ani w poczuciu wstydu i klęski ogłupiał się whisky - owa dziwność dodawała tylko powabu. Zatem z wielu względów odsunąłem na bok wstępne wątpliwości, przymknąłem oczy nawet na tę oczywistość, że nagła ucieczka Winy, tuż po tak długo odwlekanej, a głęboko satysfakcjonującej pierwszej (i jedynej) nocy miłosnej, ciężko uszkodziła jestestwo Ormusa; to była dziura pod linią wodną, on sam szedł w przechył i rozpaczliwie walczył przy pompach, byle nie zatonać. A teraz przenikliwość Singha otworzyła mi oczy, mogłem dojrzeć tę gęstą, paralizującą mgłę, lęk spowijający Ormusa, poczucie głębokiej niedostateczności, ujawnione w graniu roli bombajskiego Casanovy, w niezmordowanym donżuanizmie. Ormusa Kamę mniej by zaskoczyła rezygnacja Afrodyty z miejsca na Olimpie czy oświadczenie Wenus, że nie warto już się trudzić, niż to, że Wina zawiodła się na miłości. Ormus też stracił zaufanie i wiarę

w tę Winę idealną, w wizję wieczystej i doskonałej partnerki, którą on może pokochać wieczyście i doskonale, a która odpłaci mu również wieczyście i doskonale. Przechwalał się: “Pójdę za nią na koniec świata”, tymczasem nie dojechał na lotnisko.

Zaczął się bać tego, czego pragnął najmocniej. W najważniejszym dniu kariery zafundował sobie migrenę, a potem - przed znakomitym producentem siedzącym na sali obok robiącej na drutach matki - nie zdobył się na wykonanie choćby jednej własnej piosenki. Popisał się za to śpiewkami Gajo, podziemnymi wersjami współczesnych przebojów, których niepotrzebnie nasłuchał się dawno temu w snach; więc producent wziął go za taniego nowinkarza, prowincjonalny pogłos metropolii, za kołka. To samo było z Winą: stracił pazur. Strach przed tym, że Wina może go już nie kochać - że naprawdę zatrzaśnie mu przed nosem drzwi jakiejś przyczepy - rósł i zaczynał górować nad miłością; to strach trzymał Ormusa w domu.

W ciągu trzynastu miesięcy, od kiedy Yul Singh obnażył skrywane lęki, utrata pazura Ormusa Kamy stopniowo stawała się dla wszystkich oczywistością. Wcześniej różni stali muzycy z klubów i kawiarni, powiedzmy Różowe Flamingi z Regał Cafe - akompaniujące combo - traktowali Ormusa jak herosa, jednego z mitycznych półbogów, których losem jest w końcu przemienić się w pomrukiwanie z niebios. Po tym, jak szef wytwórni Kolchida pokazał Ormusowi kciuk skierowany w dół, bombajscy muzycy bez zbędnej zwłoki dali Ormusowi odczuć, że koniec z zadzieraniem nosa, może sobie rozmyślać, jaki to z niego boski Modernus Fama (godność raczej kalamburyczna, wynalazek krytyki), lecz jeśli o nich chodzi, niech nie uważa się za lepszego: normalny wokalista śpiewający z kapelą, mamy takich na pęczki, więc niech uważa. Klęski dopełniła utrata czegoś, co wśród nas uchodziło za “dryg”.

Pierwsze kobiety, które oparły się Ormusowemu podrywom, gwiazdki Fadia Wadia i Tipple Billimoria, zyskały wśród miejskiej śmietanki kawiarnianej chwilowy rozgłos jako przekłuwaczki balonu, czyli Ormusowej sławy pożeracza serc. W parę tygodni po tej pierwszej odprawie cała “armia Ormiego” zdezerterowała. Została tylko Persis Kalamańdza, szlachetnie a żarliwie czekająca w pustelni: w matczynej rezydencji na Wzgórzu Malabarskim. Ale Ormus nigdy by do Persis nie zadzwonił. Wykonać ów telefon znaczyło tyle, co przyznać, że jest skończony. Tyle co zadzwonić na wieżę milczenia, żeby wynająć skrawek zasiedzianej przez sępy platformy. Persis Kalamańdza, nieskończenie cierpliwa, która nie żywiła niechęci wobec żadnej istoty

ludzkiej, Persis piękna, wymarzona synowa każdej matki, a dla większości mężczyzn wymarzona panna młoda, przemieniła się w tych pełnych udręki Ormusowych rojeniach w awatarę Anioła Śmierci.

W ciągu tego roku zaniedbywał się coraz bardziej, nadal nie kiwnął palcem, by ruszyć na poszukiwanie Winy. W końcu pani Spenta Kama, jakoś nigdy nie owładnięta miłością do najmłodszego syna i z całych sił przeciwna obsesji Ormusa na punkcie tej małolaty, usłyszała zdumiona własny poirytowny głos:

- Co ty sobie wyobrażasz, że co ona robi, skoro minęło tyle czasu? Może wpadnie przez komin na Boże Narodzenie, obwiązana wstążeczką i może z dedykacją?

Dom Kamów nie chlubił się kominem; rodzina nie zwykła świętować Bożego Narodzenia; Wina Apsara nie zjawiała się na zawołanie, w opakowaniu świątecznym czy bez. Ktoś jednak wrócił. Potem Kamowie nadal nie mieli powodu świętować Bożego Narodzenia, chociaż przyszło im na zawsze je zapamiętać.

W wigilię Bożego Narodzenia Cyrus Kama, przebrany za syromalabarskiego księdza, uciekł z więzienia, wmówiwszy strażnikowi, że jest wielkim wieszczem, czas dusicielstwa ma już za sobą, a swemu narodowi przyniesie znacznie więcej pożytku jako człowiek wolny, głoszący na cały kraj swe wyjątkowe posłanie. Zjawia się w chwili, w której naród rozpaczliwie potrzebuje przywództwa. Dżawaharlal Nehru nie żyje. Indira Gandhi to tylko pionek w rękach baronów Kongresu: Śastriego, Morardźiego Desaja i Kamaradźa. Oś Mumbaj, fanatyczna banda politycznych awanturników, jest o włos od przejęcia władzy nad Bombajem, hinduski nacjonalizm zalewa kraj. Wszyscy odczuwają, że sprawy mkną za szybko, że narodowy pociąg pędzi bez maszynisty, bez zawiadowców, że decyzje o zniesieniu barier celnych i deregulacji gospodarki zostały podjęte pochopnie. "Może za jakieś dwadzieścia lat, kiedy będziemy mocniejsi" - podsuwał wstępniak "Indian Express" - "lecz czemu teraz? Gdzie się pali?"

Tej nocy, kiedy uciekał Cyrus, jego bliźni brat Ardawiraf zerwał się ze snu wstrząsany dreszczami, jakby wzdłuż kręgosłupa poczuł pełnięcie jakiegoś paskudztwa. Siedział na łóżku i dygotał, aż zjawiała się matka; owinęła w koce, nakarmiła rosółem z kurczęcia, poczekała, aż zaróżowią mu się policzki.

- Jakby zobaczył ducha - opowiadała przez telefon Dolly Kalamańdzi, której trzeźwo-błyskotliwe kpinki z wszelkich bzdurnych paranormalności nieodmiennie

sprawiły, że skłonna do mistycyzmu Spenta czuła się w duchu kimś znacznie lepszym.

- Biedactwo - ze współczuciem ćwierknęła Dolly. - Diabli wiedzą, co za głupoty kłębią się chłopcu w głowie.

Nazajutrz rano gazety podały wiadomość o ucieczce Cyrusa; Spenta obrzuciła Wirusa przeciągłym spojrzeniem, lecz syn odpowiedział tylko zwykłym, niewinnym uśmiechem i odwrócił się. Spentę ogarnął jednak dziwny lęk. Wiedziała, że o alarmującej sytuacji nie ma co rozprawiać z coraz bardziej zamkniętym w sobie mężem. Zatem wezwała na pomoc najbliższą sojuszniczkę.

- I co teraz zmałuje mój Khusro? - zawodziła żałośnie. - Jaki nam wstyd ściągnie na głowy?

Lecz Dolly, dobrze znająca przyjaciółkę, dosłyszała lęk ukryty pod lamentami, trwożę, która każe Spencie mówić otwarcie o problemie dotąd tak pomijanym, jakby nie istniał. Dolly już nie była nieświadomą niczego arywistką, już wywiedziała się niejednego o Cyrusie. Ale wielka życzliwość wobec Spenty i dobre serce (tę cechę odziedziczyła po matce Persis) sprawiły, że nigdy nie tykała tego tematu.

- Jeżeli Spenta chce "sza!" - wyjaśniała córce - to sza. Obie damy czekał pracowity dzień. U Dolly zaplanowano "charyteę", potem był w programie specjalny dobroczynny pokaz mody w Orpheum, czyli "Ekstragwiazdkowagancja", potem tura wizyt w szpitalach.

- Przyjdź wcześniej - zapraszała Dolly. - Nie susz sobie głowy. Przed nami mnóstwo spraw.

Nękana obawami pani Spenta Kama z wdzięcznym sercem podreptała przez Wzgórze Malabarskie, by z ulgą i energią rzucić się w wir dobroczynności.

Później Ormus też opowiadał, że wyszedł z domu podminowany, ale w ciężkich dla niego czasach to się zdarzało. Otrząsnął się z przykrego samopoczucia i ruszył do pracy. Umowa przewidywała na ten wieczór przyśpiewywanie do kolacji klubowej w Cosmic Dancer Hotel przy Marine Drive; hotelowa restauracja otrzymała, jako dodatek do paru plastikowych choinek i mnóstwa waty, jakieś bożonarodzeniowe kawałki. Ormus musiał się przebrać w czerwony kostium, przykleić białą brodę i śpiewać, od *White Christmas* po *Santa Baby* Earthy Kitt, nie wydziwiając, że ta ostatnia piosenka została najoczywiściej napisana dla kobiety. Umowa należała do kategorii B i był to dobry przykład podupadającej reputacji Ormusa.

Czasami trzeba sięgnąć dna, żeby pojąć, któredy w górę; zapuścić się w

falszywą drogę, żeby odnaleźć właściwą. Ormus Kama tonął bez walki, w stanie jakiegoś okropnego bezwładu i zniechęcenia, czym przypominał ojca. Ale tej nocy, której zginął Dariusz, Ormus w końcu jasno zobaczył, kim jest. Po występie w Cosmic Dancer Hotel, odwaleniu tych dwóch upiornych godzin, spędzonych na przepychaniu przez brodę świętego Mikołaja starych piosenek, posłuchał skąpych, zdawkowych oklasków i się roześmiał. Ściągnął brodę, infułę i śmiał się, aż łzy pociekły mu na policzki. Później nie brakowało bombajczyków zapewniających, że na własne oczy widzieli ostatni w mieście występ Ormusa Kamy; starczyłoby ich w sumie na wypełnienie paru stadionów Wankhede, a opowieści o Ormuspwych pożegnalnych uwagach były liczne i nader sprzeczne. Świadczone, że przemawiał gniewnie, że potulnie, że arogancko, że po francusku. Oskarżano, że perorował o przyszłości muzyki popularnej, że rugał publikę za nieuwagę, że błagał o ostatnią szansę i dlatego wybuczano go z estrady. Twierdzono, że wygłosił mowę polityczną, w której napadł na kartel grubych ryb od umów kategorii B, zarzucając im korupcję i chciwość, że bluźnił i to nie tylko przeciw Bożemu Narodzeniu i chrześcijanom, lecz przeciw wszelkim bogom i obrządkom - "pantomimom" - sakralnym. Według zgrai samozwańczych świadków Ormus był nadzwyczajny, był żaloszny, był bohaterem, był klaunem.

Prawda wyglądała tak, że nieprzerwanie śmiał się, a jedyne wygłoszonego tekstu nie skierował do nikogo na sali. Wsparty pod boki powiedział:

- Usrać się, Wina! Szkoda, że zeszło tyle czasu, zanim się połapałem.

Tymczasem w mieszkaniu przy Nabrzeżu Apollińskim butler Gieve podał kolację Dariuszowi i Ardawirafowi Kaniom, a następnie udał się do pomieszczeń dla służby, gdzie ze zdumieniem stwierdził, że wszyscy mieszkający w domu służący uciekli, z wyjątkiem kucharza, który właśnie pakował manatki.

- I gdzie ty się wybierasz? - spytał Gieve.

Facet tylko pokręcił głową i mało nie gubiąc nóg, ewakuował się zewnętrznymi schodami dla służby, poszczekując żeliwną spiralą przytwierdzoną do tylnej ściany budynku. Widocznie Gieve nie poczuł lęku, żadnych ostrzegawczych dźwięków, bo jak zwykle umościł się w łóżku i szybko zasnął.

Ostatnie godziny życia pan Dariusz Kama spędził samotnie w swej ukochanej bibliotece, w pomrokach starości, mitologii i whisky. Męczyła go myśl, że greckie postaci tytanów Prometeusza "przewidującego" i jego brata Epimeteusza "mądrego po szkodzie", potomków "praojca" Uranosa, mogą wywodzić się od puranicznych

herosów Pramantu i Mantu, a swastykę, stary hinduski symbol ognia, można powiązać z Prometeuszową symboliczną rolą złodzieja, który olimpijski ogień skradł, by wspomóc swoje dzieło: ludzkość. Naziści ukradli i splugawili swastykę - zresztą skojarzenie z nazistami zbrukało całą tę dziedzinę - i stary dżentelmen-badacz żywił mglistą, jak to on, nadzieję, że ostatnie jego dociekania mogą w jakiejś niewielkiej mierze wybawić swastykę i w ogóle studia nad mitem aryjskim od tych okropnych zwyrodnień, których sprawczynią jest historia. Lecz nie był w stanie myśleć na tyle jasno, by wgryźć się porządnie we własną argumentację. Myśli pana Dariusza umykały, zataczały się od Prometeusza i Epimeteusza do ich najmłodszego stryja Kronosa, który sięgnął po ów okrutny sierp, by własnemu ojcu odciąć jądra. Ostatnie słowa, które napisał Dariusz Kserkses Kama, odbiegły daleko od dziedziny badań, za to obnażyły tkwiące w nim ból i zamęt.

/ po co obcinać mi jaja, napisał. Sam sobie obciąłem; potem głowa autora opadła, spoczęła na papierach, Dariusz Kserkses Kama zasnął.

Spenta wróciła późno i cichutko przemknęła do swego pokoju; promieniejący Ormus, śpiewając w najlepsze, zjawił się dopiero na godzinę przed świtem i zapalił wszystkie możliwe lampy i kandelabry. Zmordowana Spenta nie słyszała piosenek, nie spostrzegła świateł, spała kamiennym snem. A Ormus wypoczywał, mrugając pośpiesznie, jakby wychynął na światło po latach spędzonych na ciemnym strychu; wcześniej spędził noc na wałęsaniu się ulicami, gdzie śmiał się, wykrzykiwał imię Winy, pijany tylko podnieceniem, płonący z pożądania. Głośno wkroczył do swego pokoju, padł w ubraniu na łóżko i natychmiast stracił ze wszystkim kontakt. Dom pogrążył się we śnie, nieświadomy tragedii, która rozegrała się w jego murach.

Ranek nadszedł w trybie tropikalnym: raptownie i bez ceregieli. Spentę jak zwykle zbudziło poranne przeciąganie się miasta, ów niefrasobliwy hałas złożony z okrzyków, warkotu silników, dzwonekórowerowych. Na okiennym parapecie bezczelnie przysiadły wrony i wykrakiwały ją z łóżka. Lecz Spenty nie poderwał z pościeli hałas, ale przeciwnie, cisza w paśmie, które także powinno się odezwać. W porannej orkiestrze zabrakło pewnej sekcji: milczał dom. Spenta nałożyła na nocną koszulę powiewny szyfonowy peniuar i ruszyła w obchód; ale nie zastała w domu sprzątaczkę ani jej córki schylonych przy miotłach, nie był hamala zajętego odkurzaniem i pucowaniem. Kuchnia świeciła pustką. Nie wiadomo, gdzie się podział Gieve. Spenta głośno krzyknęła:

- Arę, koi hai?

Żadnej odpowiedzi. Takie lenistwo nie mogło ujść płazem. Spenta z zaciętą miną pomknęła przez kuchnię do pomieszczeń dla służby, zdecydowana natrzeć uszu niemrawej gromadce i niemal natychmiast wróciła; wbiegła z ręką na ustach, jakby dławiała krzyk. Z rozmachem otworzyła drzwi do sypialni Ardawirafa. Śpiący chłopiec błogo pochrapywał. Potem ruszyła na terytoria Ormusa. Ten półprzytomnie przewrócił się na łóżku i stęknął. Sypialnia Dariusza była pusta. Spenta ruszyła do biblioteki, potem zamarała przed zamkniętymi podwójnymi drzwiami, jakby nie była w stanie ich otworzyć, nie przygotowana na to, co wypadnie oglądać. Położywszy obie ręce na gąłkach, pochyliła się, aż wparła boleśnie czoło w lśniący mahoń, i zapłakała.

Podobno z odejściem króla-pomazańca jego dusza chroni się w ciele wrony. I wolno też przypuszczać, że imię Kronosa, ojcobójcy, wywodzi się od greckiej nazwy wrony, a nie - jak sądzi się znacznie częściej - od nazwy czasu. Jest za to faktem, że kiedy Spenta otworzyła drzwi, na biurku męża tuż obok obojętnej głowy siedziała wrona. Na widok Spenty głośno zakrakała, poderwała się, zatoczyła w panice krąg, dwukrotnie obila się o skórzane grzbiety starych ksiąg i wreszcie uciekła przez wysokie okno, rzecz dziwna, szeroko otwarte mimo włączonej klimatyzacji. Spenta Kama delikatnie przytknęła grzbiet prawej dłoni do mężowskiego policzka. Był zimny.

Zarówno Dariusz Kserkses Kama, jak i służący Gieve rozstali się z życiem na skutek uduszenia. To był morderczy "znak firmowy" Cyrusa Poduszkowca. Moment zgonu określono mniej więcej na wpół do jedenastej wieczorem. Butler stawiał zaciekły opór. Pod długimi paznokciami Gieve'a pozostały ślady krwi, zapewne zabójcy. A Dariusz najpewniej się nie bronił. Twarz miał spokojną, brakowało śladów walki. Jakby wyzionął ducha zadowolony; uradowany, że ostatnim tchnieniem zwraca się do syna.

Dobra mitologia prowadzi detektywa złym tropem. Grecy każą nam wierzyć, że Praojciec zginął z ręki najmłodszego syna za namową Pramatki Gai, samej Matki Ziemi. Lecz kiedy ginął Kama, jego syn Ormus śpiewał w sali pełnej znudzonych biesiadników, a Spenta gładziła ręce śmiertelnie chorych pacjentek szpitala położniczego.

Detektyw inspektor Sohrab z bombajskiej kryminalnej, uniósłszy w potępiającym grymasie brwi, wyraził zaskoczenie: niedługo po tajemniczym pożarze przy Cuffe Parade musi znów przesłuchiwać Kaniów, Kalamańdźów oraz (w roli

bliskich sąsiadów, mogących dostrzec coś istotnego) Merchantów. Lecz bez wątpienia głównym podejrzanym jest teraz zbiegły psychopatyczny morderca Khusro alias Cyrus Kama, o tej samej grupie krwi, co ślady spod paznokci zamordowanego butlera. W wypadku “świrusa”, który - jak zauważył detektyw inspektor Sohrab - “może zrobić wszystko, co między jednym a drugim mrugnięciem wpadnie człowiekowi do głowy”, motyw to rzecz pomniejsza. Inspektor był przekonany, że Gieve zginął pierwszy, bo należało usunąć przeszkodę. Celem prawdziwym był Dariusz Kserkses Kama, może dlatego - “to tylko luźny domysł” - że Cyrusa wpierv dotknęło wygnanie z domu, potem chłostali go nauczyciele, tak czy owak na żądanie rodziców, wreszcie został formalnie wydziedziczony. Inspektorzy Sohrab i Rustam spoglądali na Spentę Kamę z nieukrywaną wrogością.

- Całe szczęście, że pani nie było - złośliwie zauważył Sohrab - bo może i pani by się dostało za zasługi.

Niektóre dodatkowe okoliczności wyjaśniły się same. Wróciła służba; łącząc w żywe oczy, zapewniali, że jako chrześcijanie poszli po prostu do katedry na pasterkę, a potem w odwiedziny do rodzin na odległe przedmieścia. W końcu jest Boże Narodzenie i stanowczo chcieli świętować, nawet jeśli nieludscy pracodawcy odmawiają w ten dzień wychodnego. Gieve nie był chrześcijaninem. Nic więcej nie trzeba było wyjaśniać.

Zdaniem Sohraba i Rustama tylko dwie sprawy wymagały jeszcze prześwietlenia. Po pierwsze, kiedy tej nocy dokonano podwójnego morderstwa przy Nabrzeżu Apollińskim, w mieście Lakhnau, od którego Bombaj dzieli pół subkontynentu, widziano osobnika do złudzenia odpowiadającego rysopisowi rzezonego Khusro Kamy, mordercypsychopaty; osobnik opuszczał miejsce zbrodni, tak się składa, że uduszenia. Po drugie, cechy krwi spod paznokci Gieve'a dokładnie odpowiadają też cechom krwi bliźniego brata Khusro, milczącego Ardawirafa Kamy, na którego przedramionach widać zadrapania aż tak głębokie, że mogły krwawić.

Wirus siedział w kącie biblioteki, spojrzenie utkwiał w biurku, przy którym znaleziono ojca. Wciągnął stopy na krzesło, objął kolana ramionami i kołysał się z wolna. Sohrab pytał go, dokuczał, przymilał się, groził; na próżno. Wirus nic nie powiedział.

- Zostawcie chłopca w spokoju! - krzyknęła w końcu Spenta. - Czy pan nie widzi, jak on cierpi? Czy pan czuje tym swoim nosem, że my tu wszyscy cuchniemy nieszczęściem? Niech pan stąd idzie i zajmie się swoją robotą, a kiedy pan go złapie -

tu zalała się łzami - kiedy pan znajdzie mego tamtego chłopca, niech pan zadba, żeby był cały i zdrowy.

W dniu Nowego Roku 1965 Cyrus Kama wkroczył główną bramą do więzienia Tihar i oddał się w ręce sprawiedliwości. W czasie przesłuchań zaprzeczył, że coś wie o morderstwie w Lakhnau (na skutek czego został w końcu aresztowany i powieszony inny mężczyzna, zapewniający do ostatniego tchu o swej niewinności). Natomiast dobrowolnie przyznał się do ojcobójstwa oraz potwierdził, że śmierć służącego - tu zacytował Audena - była "morderstwem koniecznym". Pokazał obrażenia na przedramionach, dotkliwsze od Wirusowych, i stanowczo odrzucił sugestię samookaleczenia, a podwójną zbrodnię opisał tak dokładnie, tak szczegółowo, zgodnie ze znanymi faktami i wynikami obdukcji, że przeciął wszelkie spekulacje. Znowu umieszczono go w izolacie w najstaranniej strzeżonym skrzydle dla więźniów chorych psychicznie, zarządzono też wymiany ekipy strażników "z dużą częstotliwością", by jakiś biedny smarkacz znowu nie uległ pełnemu żaru, erudycji i fanatyzmu, śmiertelnemu urokowi Cyrusa.

Winę uwolniło od podejrzeń alibi, którego dostarczyła jej Persis po pożarze willi Thracia. A teraz Cyrus Kama uniewinnił brata. Zatem musimy porzucić wszystkie alternatywne akapity opowieści! Tę na przykład historię, w której pożar naszego domu to zemsta Winy; kiedy ogień tłący się w tej zbyt ciężko doświadczonej dziewczynie wydobył się na zewnątrz i rozgorzał, by strawić także moje dzieciństwo. I tę historię jeszcze dziwniejszą, Wirusa Kamy, jego zagadkowej umysłowości jakoś powiązanej z umysłowością bliźniego brata oraz historię morderstw, których Wirus dopuścił się przy Nabrzeżu Apollinińskim na zlecenie bliźniaka. Wreszcie i to, jakim cudem Cyrus mógł się znaleźć w dwóch miejscach naraz i za sprawą niepojętej komunikacji jednojajowych bliźniąt poznać każdy szczegół morderstw, których popełnienie nakazał milczącemu bratu. Teraz te historie błakają się po otchłani straconych możliwości. A nam, zwyczajnie, brak podstaw, by uznać je za prawdziwe.

A jednak, jednak! Od śmierci męża Spenta Kama zawsze już na noc zamykała się w sypialni na klucz. Podobnie Ormus, już nie urządzał z milczącym bratem - którego uśmiech nie tracił słodczy - wspólnych muzycznych posiedzeń przy domowym fortepianie.

Opowieści niemożliwe, opatrzone napisem "wstęp wzbroniony", zmieniają nasze życia i myśli równie często jak wersje legalne, które podaje się nam do wierzenia, byśmy na nich - jak się nas o to prosi, jak zaleca - opierali nasze sądy i losy.

Dwa metry siedemdziesiąt od końca do końca skrzydeł; oto w ogrodach Dungerwadi na Wzgórzu Malabarskim sępy krążą nad wieżą milczenia, dachmą. Krążenie przypomina Ormusowi przelot samolotów podczas żałobnej ceremonii na cześć kogoś z wielkich. *Parsa i sępa mocno wiąże zażyłość w sprawach ostatecznych. Nam się nie śpieszy. Czekamy na siebie przez całe życie, ty na mnie, ja na ciebie. I obaj wiemy, że na spotkanie stawimy się na czas.*

Przemierzamy pokoje wzdłuż ciągu portretów naszego sławnego zmarłego i wkraczamy do długiej sali żałoby. Jest kapłan i człowiek z drewnem sandałowym; jest też ogień, reprezentuje boga, choć bogiem nie jest. Są nassasalarowie, noszący ciało. I mój brat, milczący Ardawiraf. Z białą szarfą w rękach obaj prowadzimy procesję do ogrodu, w którym wznoszą się wieże. Dzisiaj jest mnóstwo ptaków, trzydzieści, jak tych trzydzieści z wielkiego poematu Attara, które odbyły podróż do Simorga, by stać się bogiem, którego poszukiwały. Trzydzieści sępów złączyło się i stało Sępem. Oto myśl, która by mogła przyjść do głowy ojcu, związek, który by wytropił. Musisz wiedzieć, kto się tu stawia na spotkanie, sępie, muszę ci go objaśnić, milcząco, w towarzystwie milczącego brata, u stóp wież milczenia.

Trzymał się od nas z dala, ale nie mieliśmy innego. Zawiódł się na nas. Nie takich synów oczekiwał. Nie dorastaliśmy do jego marzeń. Lecz ciebie, sępie, sławił, za umysłowość racjonalną i naukową. Pochwalał nasze ostatnie spotkanie, w którym odtwarza się cykl życia. A na jego biurku, w notatkach sporządzanych tuż przed śmiercią, znalazło się też coś o tobie:

Prometeusz przykuty do skały w górach Kaukazu i sęp Zeusa szarpiący mu wątrobę od świtu po zmierzch. Wątroba nocą odrasta. Kara nie kończącego się bólu. Sęp Prometeusza jako widomy dowód mściwości Z. Każdy cios dzioba wykazuje, dlaczego winniśmy się odwrócić od bogów & wybrać ścieżkę racjonalizmu. Bogowie kłamią, oskarżają nas fałszywie (p. Prometeusz, ta dęta sprawa potajemnego romansu z P. Ateną). Są kapryśni, irracjonalni, boscy. Za naszą zbrodnię bycia sobą przemieniają nas w skały, pająki, rośliny. Męka spowodowana zawziętością wyż.w. to nic innego jak męka rozumu. Radosna. Wykazuje, kim jest Prometeusz, jak mógłby żyć dalej, dlaczego bogowie są w błędzie, a on ma rację. Jesteśmy twymi dłużnikami, sępie. Na zawsze złączonymi z tobą węzłem krwi utoczonyj wprost z naszego życia. Może to więź mocniejsza niż miłość.

Prometeuszu, twórcu ludzkości, który zbawiłeś nas od gniewu Zeusa, każąc Deukalionowi zbudować przed potopem arkę. Prometeuszu, ojciec wiedzy & nauk, który podarowałeś nam ogień, a ciebie w zamian obdarowano sępem. Daj nam odnaleźć, co w nas tytaniczne, i daj odrzucić, co olimpijskie. Jestem synem mojego ojca. Sądziłem, że jestem od niego wolny, że sam siebie ulepiłem, ale to tylko próżność. Śmierć nam ujawnia moc więzów krwi.

Jestem synem mego ojca. Biorę na siebie karę Prometeuszową. A ty, Prometeuszowy sępie rozumu, pomóż mojemu ojcu znaleźć drogę do zasłużonego spoczynku.

O odejściu Dariusza Spenta Kama powiadomiła jego starego przyjaciela, lorda Methwolda, nadal pisującego do niej nadspodziewanie często. Odwrotną pocztą otrzymała długi list z wyrazami współczucia; autor w najcieplejszych słowach wyrażał się o Dariuszu i bardzo ubolewał nad przepaścią, która się między nimi rozwarła, wreszcie zapraszał do Anglii Spentę z synami. “Wprawdzie tutaj teraz zima, lecz inny klimat i nowe otoczenie mogą stanowić zaletę, może odmiana zdoła złagodzić, a nawet ukoić ból”. Nadejście listu sprawiło, że Spencie Kamie niemal jednocześnie przemknęły przez głowę myśli wcale różne; że ból jest mniej dotkliwy, niż się spodziewała; że po latach podupadania śmierć (o czym świadczy brak śladów walki) okazała się błogosławioną pociechą nie tylko dla Dariusza; że przez pół życia nie miała zamiaru dzielić z mężem anglofilskich rojeń, a teraz, dziwna rzecz, wyobrażenie angielskiej zimy wprawiają w podniecenie, budzi niecierpliwość, nawet radość; że po tylu latach byłoby bardzo miło znów zobaczyć Williama Methwolda. Naprawdę.

Istniał też problem pieniędzy. Dariusz zmarł bez grosza, a dochody Ormusa - wspierające dom w mierze znacznie większej, niż chciałyby przyznać mało życzliwa synowi matka - bardzo zeszczuplały. W ostatnich miesiącach Spenta sprzedała parę “świecidełek”, by jakoś zachować poziom. Zgryzoty finansowe poźłobiły gładkie dotychczas czoło, co rychło zauważyła Dolly Kalamańdża, lecz dyskrekcja nie pozwalała poruszyć tematu otwarcie. Zamiast tego Dolly, prawdziwa przyjaciółka, wynajdowała preteksty, pod którymi przesyłała Spencie “drobne upominki” - kupony jedwabiu na sari, koszyki ze słodyczami, wózki śniadaniowe ze sławnych kuchni Dii Kusz załadowane nowinkami międzynarodowej *cuisine* - mówiąc krótko i węzłowato: niezbędne środki do życia. Jeśli chodzi o Spentę, przyjmowała prezenty bez zahamowań, jak zwyczajne dowody przyjaźni, i sama z kolei - by to potwierdzić - słała

Dolly upominki: małą rzeźbę z kości słoniowej wyciągniętą z sekretnej skarbczyka pod łóżkiem czy powieść podebraną z Dariuszowej biblioteki.

W ten sposób Spenta mogła korzystać z hojności przyjaciółki, nie tracąc twarzy. Za dobrze jednak znała kodeksy towarzyskie; wiedziała, że jej sytuacja finansowa wkrótce stanie się w mieście tematem rozmów, a to, co Dolly dostrzegła i zachowała dla siebie, rychło dostrzegą oczy mniej kochające, a mniej oględnych języków nic nie zmusi do dyskrecji. Wdowieństwo tylko podkreśliło ten kryzys, odsłaniając przed Spenta rozmiary Dariuszowych długów. Nieuniknione wydawało się sprzedanie mieszkania przy Nabrzeżu Apollińskim i zakosztowanie z rodziną dużo skromniejszych warunków, słowem dołączenie do rozrastającej się kategorii podupadłych szlacheckich rodzin parsyjskich, których skrajne ubóstwo było znakiem czasu i jeszcze jednym śladem przeminięcia Imperium, na które ci ludzie postawili, by przegrać.

W narastającym kryzysie mogło się zdawać, że zaproszenie lorda Methwolda spada z nieba jak błogosławieństwo aniołów stróżów. Spenta przytuliła list do piersi i zachichotała; wielce niestosownie wobec kogoś utraconego tak niedawno. Interesujący facet z majątkiem, uskrzydlające zjawisko! Lady Methwold, szepnęła Spenta, a potem wykazała tyle przyzwoitości, by się zarumienić i pomyśleć o synach.

Oczywiście, żadną miarą nie można zostawić bezradnego Ardawirafa, lecz kiedy znajdą się już w Anglii, lord Methwold powinien wiedzieć, co będzie najlepsze; jeśli zaś chodzi o Ormusa, tego próżniaka, amoralnego refrenistę z nocnych klubów, z którego wyrosła taka marność, to Spenta - jako uczciwa kobieta - nie może zwinąć manatków, nie wspomniawszy, że i on został zaproszony. Więc powiedziała mu, stawiając sprawę jasno: oczekuje, że Ormus nie przyjmie zaproszenia; Spenta potrafi zrozumieć decyzję Ormusa, że czas inaczej ułożyć sobie życie, bardziej "cyganeryjnie". (Z jakże delikatną wżgardą wypowiadała słowo "cyganeryjnie"!)

Krótko mówiąc: na tyle otwarcie, na ile jej pozwalał charakter, Spenta wyjaśniła Ormusowi, że byłby niepożądanym towarzyszem podróży. Tymczasem Ormus, ku matczynemu przerażeniu, nie tylko zaproszenie przyjął, lecz niemal popadł w uniesienie.

- Najwyższy czas wiać z tej taniej metropolii - powiedział. - Więc skoro nie ma przeszkód, ruszam z wami.

Pod koniec stycznia 1965 roku Spenta Kama opuściła Bombaj w towarzystwie synów. Z tych trojga nikt już nie wrócił do Indii. A Spenta pod koniec roku nazywała

się lady Methwold. Zabiegi Methwołdów sprawiły, że Wirus Kama znalazł się w sanatorium, w którym mógł liczyć na pierwszorzędną opiekę oraz lekcje gry na flecie, udzielane dwa razy w tygodniu przez zawodowego muzyka indyjskiego pochodzenia. Co do Ormusa, to przepadł na resztę życia, o czym wiele się tu jeszcze powie. A świeżo poślubieni Spenta i Methwold znaleźli się w jedynie słusznym położeniu: mieli wolną rękę. Nowemu mężowi Spenty nieobce były skrupuły: jakże oziębłe potraktował Dariusza z racji tych podrabianych prawniczych papierów.

- Był na swój sposób gigantem - zapewnił Methwold. - Ale gigantem, który nie utrafił w czas. Bo wiek gigantów minął, a my, śmiertelnicy, coraz mniej dbamy o tę garstkę niedobitków. Możemy jednak oboje zewrzeć dłonie w tę długą zimę i pamiętać. - Tekst został ogłoszony obok rozległej, ściętej mrozem rabaty, przed obszerną rezydencją, której Spenta stała się nową dziedziczką: była to biała palladiańska rezydencja w podlondyńskim hrabstwie, na wzgórzu nad wijącą się Tamizą. W otwartych weneckich oknach oranżerii powiewały białe firanki. Fontannę zdobił tłum bogów.

Była to rezydencja ze snów Dariusza Kamy.

Śmierć to więcej niż miłość, a może miłość. Sztuka to więcej niż miłość, a może miłość. Miłość to więcej niż śmierć i sztuka, a może nie. Oto temat. W tym rzecz.

Od tematu odwodzi nas strata. Ukochanych, Orientu, nadziei, naszego miejsca w księdze. Strata to więcej niż miłość, a może miłość. Więcej niż śmierć, a może śmierć. Więcej niż sztuka, a może nie. "Czwarta reguła" Dariusza Kamy dopisana do trójdzielnego systemu kultury indoeuropejskiej (suwerenność religijna, siła fizyczna, płodność), ów konieczny naddatek, kategoria egzystencjalnie nieprzynależnych: człowieka izolowanego, odepchniętego przez środowisko rozwodnika, ucznia wyrzuconego ze szkoły, zdymisjonowanego oficera, kogoś prawem zaliczonego do obcych, wykorzenionego obieżyswiata, buntownika, przestępcy, banity, żeglującego pod wiatr, wyklętego myśliciela, ukrzyżowanego rewolucjonisty, zagubionej duszy.

Obraz całości ogarną tylko ci, którzy wykroczą z ram. Jeśli miał rację, to też jest temat. Jeśli nie - strata to tylko strata. Ci, co wykroczą z ram, przestają po prostu istnieć.

Piszę tu o końcu czegoś, nie tylko o końcu części mego życia, lecz o końcu mego związku z krajem, jak to się dzisiaj mawia - z krajem pochodzenia, rodzinnym krajem, w którym nauczyłem się mówić, z Indiami. Staram się teraz powiedzieć żegnajcie,

żegnajcie jeszcze raz, żegnajcie w ćwierć wieku po rozstaniu się fizycznym. Dziwnie plasuje się to zakończenie, w środku opowieści, ale bez niego druga połowa mego życia nie wyglądałaby tak, jak wygląda. I jeszcze to - trzeba czasu, by się ugodzić z prawdą: co było, to było. Nie wyjechałem nieprzymuszony; zdarza się. Zostałem wywleczony jak pies; zdarza się. Musiałem wiać, żeby ratować skórę.

W kilku regionach Indii pod koniec lat sześćdziesiątych i z początkiem siedemdziesiątych odnotowano niewielkie wstrząsy; nic poważnego, żadnych śmiertelnych ofiar, nikłe straty materialne, ale starczyło, żebyśmy sypiali mniej błogo. Jeden zakolebał sikhijską Złotą Świątynią w świętym mieście Amrytsar w Pendźabie, inny podzwonił zębami w południowym miasteczku Sriperumbudur. Trzeci wystraszył dzieci w Nelli, w Asamie. Wreszcie zapieniły się i zmaciły malownicze wody kaszmirskiego górskiego jeziora Śiśnag, zwierciadła, w którym przegląda się niebo.

Geologia w roli przerośni. Nie brakowało różnych ryszy i mahaguru, a nawet felietonistów politycznych i autorów wstępniaków, gotowych - skwapliwie! - łączyć owe wstrząsy z wielkimi ówczesnymi wydarzeniami w życiu publicznym, z objawieniem się pani Gandhi w roli znakomitej przywódczyni ("Pani Goń-i-Trząś"), jej zwycięstwem nad Pakistanem w wielkiej wojnie z 1965 roku trwającej dokładnie dwadzieścia dwa dni, prowadzonej na dwóch frontach, w Kaszmirze ("Szokmar") i w Bangladeszu ("Bangladreszcz"). "Rozsypuje się stary porządek" - wykrzykiwali pandici, a kiedy pojawiły się oskarżenia pani G. o manipulacje wyborcze: "Niejasne pogłoski wstrząsają administracją Indiry Gandhi".

Lecz ja nie potrzebuję geologii, żeby wyjaśnić wypiętrzenia w moim najbliższym kręgu. Ja, Umid Merchant, znany szerzej jako Raj, skończyłem w roku wojny osiemnaście lat. Ormus wyjechał, Wina stała się gasnącym wspomnieniem, a ja kursowałem między mieszkaniem moich poróżnionych rodziców, wraz ze służbą, bo oboje dzielili się też służącymi, jak mną, a kiedy byłem na nich zły - w tym wieku człowiek często się złości - mawiałem, że czuję się jak jeden z ich nie dopłaconych służących. A potem wykryto u matki nieoperowalny guz mózgu i po paru tygodniach po prostu umarła, pstryk, jakby ktoś wyłączył światło; zostawiła mnie z brzemieniem całych tomów zapisanych dużo czulszymi słowami, których już nigdy nie wypowiedziałem. Miała pięćdziesiąt jeden lat.

Wieczorem po pogrzebie pojechaliśmy z ojcem popatrzeć na Cuffe Parade. Długi proces odzyskiwania i niwelacji gruntu dobiegał końca. Wille, promenada i las

mangrowców zniknęły dawno temu, a morze ustąpiło przed potęgą wielkich maszyn. Przed nami rozciągał się olbrzymi brunatny obszar ziemi, niemal czysta tablica, którą historia właśnie zaczynała zapisywać. Ogromna płaszczyna została przełamana, wyrżnięły się z niej metalowe ogrodzenia, duże znaki zakazujące tego czy owego, pierwsze żelbetonowe fundamenty wysokich budynków: a także kafary, walce parowe, ciężarówki, taczki, dźwigi. Chociaż było po pracy, mogliśmy jeszcze popatrzeć na grupki robotników to tu, to tam; mężczyźni opierali się o betonowe kikuty, które wraz z wyłazającymi z nich stalowymi prętami poskręcany jak gałęzie wyglądały jak drzewa wyhodowane przez jakiegoś Frankensteina botaniki; kobiety w podciągniętych sari trzymały oparte na biodrach metalowe misy do przerzucania ziemi, zaciągały się bidi pod znakami "palenie wzbronione" i śmiały ochryple, choć ich ponure, poszczerbione twarze już naznaczyła wiedza, że życie nie jest do śmiechu.

To nie pustka pustkowiec, pomyślałem, ale pustkowiec ducha.

- Nie - odrzekł ojciec, czytając w moich myślach. - To puste płótno, zagruntowane i czekające na rękę artysty. Twoja matka była wizjonerką. Tutaj, z tej sztucznie zwielokrotnionej płaszczyny wydartej spod wodopłodów i teraz zdolnej wydać ziemiorosty, wzniosą się jej ormusdoarymańskie kolosy; a ta potęga będzie spoglądać na Bombaj i rozpaczać. - Mówił teraz o jedynym rywalu (rywalce), który mógł (która mogła) rozdzielić tych dwoje ludzi kochających się tak głęboko, i nie wiedziałem, czy znienawidzić miasto, które ich rozdzieliło, czy naśladować pełną rozpachy wspaniałomyślność Vivvy'ego, przebaczyć Bombajowi, jak przebaczał Vivvy, zapłakać jak on nad Bombajem w imię tej drogiej, utraconej miłości. Pomyślałem o zamkach z piasku, lodach z tłumikiem i kalamburach, na nowo pomyślałem o Winie, w której pozostało teraz więcej Amir Merchant niż gdziekolwiek na ziemi.

Zmierzchało, wieczorne owady dobrały mi się do skóry.

- Chodźmy - powiedziałem, ale Vivvy nie usłyszał. Na mnie przypadła kolej czytania w myślach. Amir stała się cyniczna, myślała, że zawarła pakt z diabłem, diabeł wpuścił jej do głowy potwora, a potwór ją porwał. - To nie tak - powiedziałem. - Nic z tych rzeczy. Zresztą nie wierzysz w diabła. Po prostu idiotyczna choroba, to wszystko. - Kiedy otrząsnął się ze zwidów, wyglądał tak żałośnie, że go objąłem. Byłem już wyższy od niego o jakieś piętnaście centymetrów i ta jego mizerna główka z dziko sterczącymi strąkami siwych włosów opadła mi na piersi; Vivvy załkał. Światła miasta - w oddali Wzgórze Malabarskie, a bliżej oskrzydlające Queen's Necklace i Marine Drive - zaciskały się wokół nas jak pętla.

Miałem wówczas słabość do powieści science fiction. I była taka powieść europejska, chyba polska, o planecie, która powołuje do życia ludzkie myśli. Człowiek pomyśli o zmarłej żonie i żona ląduje mu w łóżku. Pomyśli o potworze, a ten mu wpęła przez ucho do mózgu. Takie historie.

Światła jak pętla. Przyszło mi to do głowy, kiedy ojciec wypłakiwał mi się na piersi. Powinienem bardziej uważać na to, co myślę. Powinienem zostać z ojcem tej nocy, chociaż chciałem być sam, chciałem usiąść, wstać, pochodzić po pokojach Amir Merchant, jeszcze zaciągnąć się przeszłością, zanim to wszystko na zawsze się zmieni. Powinienem się zastanowić, dlaczego kazał mi wyłączyć wiatrak, kiedy wychodziłem, zostawiwszy go siedzącego na łóżku, w pasiastej piżamie. Ani śladu księżycy, zatęchłe powietrze. Powinienem z nim zostać. Ciemność miasta zaciskała się wokół niego jak pętla.

Jedni mogą spać pod kręcącym się wiatrakiem, inni nie. Ormus Kama umiał odwrócić pokój do góry nogami i wylegiwać się pod wiatrakiem jak w jakiejś mechanicznej oazie. Natomiast Wineę, jak mi kiedyś powiedziała, zawsze dręczyła myśl, że to cholerne coś obluzuje się i spadnie na nią we śnie. Śniła koszmarne sny, że któraś z wirujących łopat ucina jej głowę. Co do mnie, to zawsze lubiłem wentylator. Nastawiałem go na minimum, kładłem się na wznak, na ciele czułem łagodny powiew, delikatne zawirowania. Kojące. I wtedy zwidywało mi się, że leżę rozciągnięty na brzegu równikowego oceanu, omywany falami wody cieplejszej od krwi. Ojciec odwrotnie.

- Wszystko mi jedno, czy jest gorąco czy nie - mawiał Vivvy. - Ten zakichany pionowy przeciąg ściąga katar i dreszcze. W sumie niech go lichy porwie.

Wiedziałem o tym, więc bez sprzeciwu wyłączyłem wentylator i zostawiłem Vivvy'ego; zostawiłem, by wybierał między życiem i śmiercią, a nie był to chyba trudny wybór, skoro rzeszę zgasłych powiększyła Amir, a w zgrai żywych tkwiłem zaledwie ja. Miłość to więcej niż śmierć, a może śmierć. Niektórzy utrzymują, że kował pieśni, Orfeusz, był tchórzem, bo nie umarł z miłości, zamiast połączyć się z Eurydyką w zaświecie, próbował ją przywrócić dotychczasowemu życiu; wbrew naturze, więc nic z tego nie wyszło. Mierzac tą miarą, ojciec był człowiekiem dzielniejszym niż tracki mistrz liry, bo w pościgu za Amir nie zabiegał o jakieś specjalne przywileje u strażników zaświata, nie żądał powrotnego biletu od potworów strzegących wrót. Ale Eurydyką i Orfeusz byli bezdzietni; w przeciwieństwie do moich rodziców.

To ja muszę sobie radzić z wyborem, którego dokonał mój ojciec.

O Nissy Poe, której matka przed laty zakołysała się w koziej szopie w Wirginii! Wino, łączy nas ten sam widok i brzemię, które musimy nosić. Nie chcieli widzieć, jak dorastamy. Nie kochali nas na tyle, żeby poczekać. Przypuśćmy, że wyrastaliśmy jakoś nie tak. Przypuśćmy, że ich potrzebowaliśmy. Przypuśćmy tysiąc i jedną rzecz.

Morderstwo to gwałt na zamordowanym. Samobójstwo to gwałt na pozostałych przy życiu.

Z samego rana zbudzili mnie służący i zaprowadzili do jego sypialni. Stłoczeni w drzwiach, z wytrzeszczonymi oczyma, zdawałoby się opętani, przypominali postaci z obrazu Goi, zafascynowane i pełne trwogi, wlepiające spojrzenia w Kozła. U sufitu wisiał na wiatraku V. V. Merchant. *Światła jak pętla*. Z kabla od zwykłej lampy zrobił narzędzie autoliquidacji. Wirował powoli, kręcąc się jeszcze wokół własnej osi w podmuchu powietrza. To właśnie do mnie dotarło, wyrwało z odrętwienia, uchroniło przed zduszeniem w sobie wszystkiego i patrzeniem na wypadek chłodnym okiem; myśl, że ktoś tu wszedł i włączył ten wiatrak.

- Który?! - wrzasnałem. - Który włączył to draństwo?

- Jest gorąco, sahibie - odezwała się postać z Goi. - Chodzi, sahibie, o zapach.

Nigdy naprawdę nie uwierzył w ich separację, wciąż liczył, że odzyska Amir. Ona pewnego dnia się obudzi, roił sobie, i zdziwi się, że obok w łóżku nie leży on, Vivvy; wtedy przejrzy, dostrzeże fałszywość swej drogi. To było ważne, żeby przejrzała, dostrzegła własny błąd, bo Vivvy pragnął kobiety, którą poślubił, a nie cynicznej czcicielki mamony, która przystała do oddziałów Pilu Dudhwali. Jego własny ciężki błąd przyprawiał go co dzień o męki. Z hazardem wziął się za bary tak stanowczo, że poprosił o pomoc mnie; aż do tego się posunął. Chciał, mianowicie, żebym został jego bukmacherem, więc otworzyłem mu księgę. Jeżeli żarł go robak karciany, graliśmy w karty. Co wieczór w zapalczanego pokera. Każdą partię zapisywałem w księdze i skrupulatnie pilnowałem wysokości zapalczanych przegranych, jak zwykle znacznych. Jeżeli chodzi o wyścigi, udawało mu się unikać toru, z wyjątkiem dni gymkhany, kiedy na trybunach mile widziano rodziny. Wówczas ruszałem z nim, upewniwszy się, że nie zabrał pieniędzy, i zamiast zakładać się, robiliśmy zdjęcia koni, które mu wpadły w oko. Jeżeli taki koń wygrał, zachowywaliśmy fotografię i wklejali do księgi wraz z notą o stawkach biegu; jeśli

przegrał, darliśmy zdjęcie i wrzucali do kosza na śmieci jak bezwartościowe kupony totalizatora. Ale szczegóły tych “przegranych” także trafiały do księgi odwyku. Jeżeli chciał się zakładać o pogodę, przyjmowałem zakład. Mógł zobaczyć na szybie dwie muchy i zaraz chciał się zakładać, która poderwie się najpierw. Jeżeli spacerował po mieście, często wdawał się w spory na temat wyników krykieta, obsad filmów, autorstwa piosenek i wtedy zamiast zakładać się o prawdziwe pieniądze, Vivvy dzwonił do mnie: wpisywałem zakład do księgi, a potem dodawaliśmy wyjaśnienie, czy miał rację czy nie miał. W ten sposób, bardzo powoli, wyleczył się. Wymyślne pseudo-zakłady w moim zeszyciku - z żółtą okładką, napisem *Globe Copy* i obrazkiem saturnicznie upierścienionej planety - zaczęły mu stopniowo zastępować autentyk. Co miesiąc ubywało notek, aż nadszedł taki, w którym Vivvy już nie potrzebował księgi. Wtedy wziął ją ode mnie i pokazał Amir.

- Było, minęło - powiedział. - Więc może kopnąć Pilu w tyłek i zacząć wszystko od nowa?

- Co do jednego masz rację - odpowiedziała. - Było, minęło. Fakt. - W dwa tygodnie później wykryto guz, a po sześciu już nie żyła.

Czasami jest po wszystkim, było, minęło i nic się nie da odrobić. Odkupienie przez czyny? Stanowczo przereklamowana idea. Są wygrani i przegrani, a jeśli człowiek znajdzie się wśród tych ostatnich, nie zbawi go żaden spis zakładów na niby. W życiu zaliczyłem swoją porcję wygranych (głównie z kobietami) i nie za często trafiałem między przegranych. Z wyjątkiem tego, rzecz jasna, że mój ojciec - którego chyba mocniej zabolalo to ostatnie odtrącenie przez Amir niż jej śmierć - zostawił mnie w zawieszeniu, powiesiwszy się, uczyniwszy siebie zarazem przegrany i wygranym. I z wyjątkiem tego, że Wina zawsze odwracała się ode mnie, kiedy uwagi wymagała jej miłość do Ormusa, jej uzależnienie od Ormusa, ten jej nałóg.

Lecz nawet Ormus musiał się nauczyć, jak to jest być odrzuconym, trafić do czwartej kategorii, między ludzi zbytucznych; jak zostać wygnanym poza niewzruszone ramy.

8. Decydujący moment

Wygłosimy tu pochwałę człowieka niesłusznie zapomnianego. Pierwszą trwałą fotografię wykonał w 1826 roku w Paryżu Joseph Nicéphore Niepce, lecz w naszej pamięci zbiorowej jego miejsce przywłaszczył sobie Louis Daguerre, późniejszy współpracownik, który wspólny wynalazek, magiczną skrzynkę, ową “kamerę”, sprzedał po śmierci Niepce'a rządowi francuskiemu. Należy stwierdzić bez ogródek, że przesławnych płyt dagerotypicznych nie dałoby się stworzyć bez wiedzy naukowej Niepce'a, który w tej mierze znacznie przewyższał partnera. Zresztą sztuka fotografii nie jest jedynym dzieckiem Niepce'a; był również twórcą potężnego “pyreolofora”, czyli silnika spalinowego. Ojciec Nowego, nie da się ukryć.

Jak wyglądała Pierwsza Fotografia, zwiastunka Wieku Obrazu? Technicznie: obraz pozytywowany na płycie ze stopu cynowego, uzyskany po wielogodzinnym naświetlaniu w “kamerze” i obróbce chemicznej. Temat: widok z okna pracowni, zero wzniosłości. Mury, spadziste dachy, wieża ze stożkowym hełmem, dalej otwarta przestrzeń. Wszystko niewyraźne, zastygłe, ciemne. Nic nie wskazuje, że to pierwszy cichy dźwięk czegoś, co stanie się grzmiącą symfonią, a raczej - bądźmy uczciwi - ogłuszającą kakofonią. Tymczasem (w podnieceniu zmian przenośnie jak rękawiczki) otwarta została śluza i trzeba już nadażać za szalejącą powodzią obrazów ohydnych i pięknych, wbijających się w pamięć i zapominanych, pornograficznych i obnażających, które stworzą kwintesencję Nowoczesnego; przemogą nawet język, ogarną, przekręcą i wyrażą po swojemu tę ziemię, jak woda, plotka, demokracja.

Niepce, chylę przed panem czoło. Ściągam beret, wielki Nicephorze. Jeżeli Daguerre - jak tytan Epimeteusz - otworzył puszkę Pandory, uwalniając nie cichnące kliki i pstryki, nie gasnące błyski fleszów i przewijanie filmów, to jednak ty, wielki Anarcho, skradłeś boski dar utrwalonego spojrzenia, przekształcania widzenia w pamięć, przeistaczania tego, co rzeczywiste i chwilowe, w wieczne, słowem skradłeś ów dar, tak jest, nieśmiertelności i oddałeś ludziom. Gdzie teraz jesteś, wieszczy tytanie, Prometeuszu taśmy? Jeśli bogowie cię skarali, jeśli tkwisz gdzieś wysoko w Alpach przykuty do skały, a sęp ci szarpie wnętrzności, niechaj przyniesie ci pociechę nowina. Oto ona: bogowie są martwi, a fotografia cała & zdrowa. Olimp? Ścisłej: Olympus? Pff! Dzisiaj to taka kamera.

Fotografia to mój sposób rozumienia świata.

Kiedy umarła matka, sfotografowałem ją, zastygłą, na łóżku. Mimo przejmująco wychudzonego profilu wciąż była piękna. Wydobyta z mroku przez jaskrawe światło, z cieniem drążącym w policzkach wielkie jamy przypominała egipską królową. Pomyślałem o Hatszepsut, kobiecie-faraonie, którą przypominała także Wina. Zaskakujące. Matka wygląda jak Wina; a raczej: tak by mogła wyglądać Wina, gdyby się zestarzała i umarła w łóżku. Na odwrocie odbitki 18 x 24 (mój ulubiony format) napisałem czarnym markerem "Szeptsutka".

Kiedy umarł ojciec, zrobiłem zdjęcia, zanim go odcięli. Zażądałem, żeby mnie zostawiono z nim; zużyłem całą rolkę. Na większości ujęć pomijałem twarz. Bardziej mnie obchodził układ cieni na wiszącym ciecie i cień rzucany w świetle poranka przez całe ciało; długi cień niepozornego mężczyzny.

Uważałem te działania za wyraz szacunku.

Kiedy odeszli, wędrowałem ulicami miasta, które oboje kochali według miar niezłomnie innych, każde po swojemu. Chociaż ta miłość często dławiła mnie, ciążyła, teraz jej pragnąłem; chciałem odzyskać rodziców, kochając to, co oni, więc stając się tym, czym oni. A fotografia była sposobem wgrzania się w ich miłości. Więc fotografowałem robotników na wielkiej budowie przy Cuffe Parade, spacerujących niedbale po ramieniu dźwigu, z idealnym zmysłem równowagi, trzydzieści metrów nad ziemią. Udało mi się też utrwalić gigantyczny wir słomianych koszy na targu Crawford; zawłaszczając owe apatyczne postaci obecne na każdym kroku, śpiące na twardej poduszce chodnika, twarzą do zlanych moczem ścian pod krzykliwym plakatem filmowym, wizerunkiem dorodnej bogini o wargach jak poduchy na sofę. Fotografowałem hasła polityczne na budynkach w stylu *art dekho* i śmiejące się dzieci w wielkim palcu gigantycznego Buta Staruchy. Bombaj mógł nęcić leniwych fotografów. Tu było łatwo o ciekawe zdjęcie, a bardzo trudno o dobre. Miasto kipiało, przykuwało wzrok, by nagle z wyższością odwrócić się plecami. Gdzie skierowałem obiektyw - *niekiepskie, co, niekiepskie?* - wszędzie błyskało coś wartego uchwycenia, zwykle naznaczonego przesadą, coś zbyt kolorowego, zbyt groteskowego, zbyt oczywistego. Miasto było ekspresjonistyczne, wrzeszczało na człowieka, ale nosiło maskę. Byli kurwy, linoskoczkowie, transseksualiści, gwiazdy filmowe, kalecy, miliardrzy, sami ekshibicjoniści, zarazem sami pozasłaniani. Był ten niezmierny poranny tłum na Churchgate Station, mogący przyprawić o dreszcz i wpędzić w popłoch, ale bezmiar powodował niepoznawalność tłumy; było to sortowanie ryb na

nabrzeżu portu Sassoon, ale czynności niczego mi nie objawiały; czynności jak czynności. Roznosiciele lunchów taszczyli do klientów pudła z daniami, ale te pudła nie kryły żadnych zagadek. Tu było za wiele pieniędzy, za wiele nędzy, za wiele nagości, za wiele przebierania, za wiele złości, cynobru, purpury. Tu było za wiele zawiedzionych nadziei i ograniczonych głów. I o wiele za wiele światła.

Wobec tego zacząłem się wpatrywać w ciemność. Co doprowadziło mnie do posługiwania się iluzją. Komponowałem fotografie o ostro wyodrębnionych obszarach światła i mroku, a oddawałem się temu z taką maniacką starannością, że pola światła na jednym zdjęciu korespondowały z ciemnością na drugim. Łączyłem te obrazy w ciemni urządzonej w mieszkaniu po ojcu. Montowane obrazy dzięki różnicom perspektyw bywały czasem olśniewające, często bałamutne, czasem nieczytelne. Wolałem montowane mroki. Przez pewien czas rozmyślnie fotografowałem w ciemności, wydobywając ludzkie życie z cienia za pomocą skrajnie skąpej strużki światła.

Zamiast studiować w college'u, postanowiłem skupić się na fotografii. Chciałem się też przeprowadzić. Nie mogłem już dłużej znieść życia w dwóch oddzielnych mieszkaniach pod tym samym dachem, w schizoidalnej strukturze wytworzonej przez unieszczęśliwiających się na śmierć rodziców. Tymczasem firma Cox & King, oficjalni przedstawiciele nowej lady Methwold, która nie zamierzała już wracać, wystawiła na sprzedaż mieszkanie Kamów, znacznie większe. Wziąłem klucze i ruszyłem na oględziny. Zamknąłem za sobą drzwi i przez chwilę nie zapalałem światła; pozwoliłem ciemności wybierać, niech ujawni kształt, który zechce. Oswoivszy się z mrokiem, zobaczyłem miękkie Himalaje: meble w pokrowcach, delikatnie żeberkowane, co było sprawką odrobiny wścibskiego światła, sączącego się z ukosa przez nieszczelne okiennice. W bibliotece stanąłem obok brył spowitych w całuny, biurka i krzesła Dariusza, potem zerknąłem na nagie, nieruchomo gapiące się na mnie z półek książki. W pierwszej chwili wydawały się martwe jak zeschnięte liście. Natomiast meble jakby wyczekiwały nadejścia wiosny pod zimowym okryciem białych pokrowców. Zdziwiłem się, że mieszkanie mnie nie peszy; nawet ów pokój, w którym zmarł jakiś świat, już niezdolny się obracać. Pooglądałem inne takie pokoje. Wyciągnąłem aparat i bardzo szybko, w coraz większym rozgorączkowaniu zrobiłem parę zdjęć.

Jednak po przeprowadzce to książki ożyły i przemówiły do mnie. Dożywotnie kształcenie się Dariusza nie obeszło na dłuższą metę jego synów, mimo podniosłych

myśli pogrzebowych Ormusa i nadzwyczajnej, chociaż zwichniętej inteligencji Cyrusa; więc biblioteka - ów niespokojny cień po starym człowieku - zaadoptowała mnie. Pod wpływem impulsu kupiłem ją wraz z mieszkaniem i zacząłem czytać.

Na pewien czas stałem się fotografem rozstań. Niełatwo fotografować pogrzeby obcych. Ludzie się irytują. A interesowało mnie, że indyjskie ceremonie tak otwarcie, jawnie, tak bezpośrednio odnoszą się do fizyczności ciała. Ciało na stosie pogrzebowym, na dachmie, w ciasno zaszytym muzułmańskim całunie. Jedyłą wspólnotą ukrywającą swych zmarłych w skrzyni są chrześcijanie. Nie wiedziałem, co to znaczy, ale wiedziałem, jak wygląda. Trumny wykluczają intymność. A moje podkradane zdjęcia - bo fotograf musi być złodziejem, musi rabować zawartość cudzych chwil, by stworzyć własne maleńkie wieczności - utrwały tę intymność, którą dostrzegałem, bliskość żywych i umarłych. Lśniące z bólu oczy sekretarza wpatzonego w spowite ogniem ciało wielkiego szefa. Syn nad otwartym grobem trzyma w dłoniach głowę ojca owiniętą całunem i z czułością składa głęboko w ziemi.

W tych wszystkich ceremoniach gra wonną rolę drewno sandałowe. Szczapki sandału w muzułmańskich noszach, w parsyjskim ogniu, w hinduskim stosie. Bo odór śmierci to już nadmiar intymności. Ale kamera nie ma wężu. Obywa się bez kwiatowych girland i pcha nos byle dalej, wdziera się. Często musiałem zawracać i wiać, ścigany wyzwiskami i kamieniami. Morderca! Zbir! - wykrzykiwali za mną żałobnicy, jakbym był winny śmierci tych, których oplakują. Ale w wyzwiskach było coś z prawdy. Fotograf strzela. Jak zamachowiec koło furki w ogrodach pani premier, jak morderca w hotelowym holu; musi wymierzać pewnie, nie pudłować. Ma cel, celownik, krzyż w celowniku. Żąda od obiektów widoczności, chłonie ich światło i cień, które są - tak to ujmijmy - ich życiem. Lecz i te zdjęcia, obrazy zakazane, uważałem za gest szacunku. Szacunek obiektywu nie ma nic wspólnego z powagą ani dewocyjnością, ani prywatnością, ani nawet z dobrym smakiem. Ma coś wspólnego z wyteżaniem uwagi. Z jasnością tego, co rzeczywiste i co wyobrażone. A także z zagadnieniem uczciwości, cnoty rutynowo sławionej i zalecanej przez wszystkich, póki bez taryfy ulgowej nie zostanie z całą bezwzględnością zastosowana wobec nich samych.

Uczciwość to nie najlepsza postawa życiowa. Może z wyjątkiem sztuki.

Śmierci, rzecz jasna, nie są jedynymi rozstaniem i w mojej nowej roli fotografa rozstań starałem się też dokumentować pożegnania bardziej codzienne. Szpiegując

smutki rozstań lotniskowych, wypatrywałem tych pojedynczych członków zapłakanego tłumu, którzy zachowywali suche oczy. Badałem przed miejskimi kinami twarze widzów, którzy wprost z kręgu marzeń wkraczają w zjadliwą codzienność, wciąż z obłoczkami iluzji na powiekach. Próbowałem wytropić jakieś historie czy tajemnice z wchodzenia i wychodzenia przez progi wielkich hoteli. Po jakimś czasie nawet nie wiedziałem, dlaczego to robię, i to był, zdaje się, moment, w którym zacząłem się podciągać, bo zdjęcia już nie były o mnie. Poznawałem tajemnicę niewidzialności, rozwiewania się podczas pracy.

Niewidzialność to po prostu coś nadzwyczajnego. Teraz, kiedy wdałem się w wypatrywanie rozstań, byłem w stanie dotrzeć na skraj grobu i sfotografować kłótnię między gotowymi rozrzucić kwiaty na ciele zmarłego a wywodzącymi, że religia nie pozwala na jałowe przyjemności; lub byłem w stanie podsłuchać rodzinną awanturę w porcie na skraju nabrzeża, by potem uchwycić moment, w którym świeżo poślubiona córka staroświeckich rodziców - dziewczyna sprzeciwiająca się małżeństwu aranżowanemu, nalegająca na "małżeństwo z miłości" - wyrывa się besztającej matce i mknie na czekający parowiec, lgnąc do uśmiechającego się niepewnie, obdarzonego śladem wąsika, katastrofalnie niewydarzonego męża, i wyrusza w nowe życie z brzemieniem wyrzutów sumienia, których już nigdy nie zdoła z siebie strząsnąć; lub byłem w stanie wnikać w którąś z owych dyskretnych sytuacji zazwyczaj ukrywanych przed światem - ostatniego pocałunku przed wyjazdem, ostatniego sikania przed odmarszem - i z powodzeniem odgryźć z tego, co swoje. Byłem zbyt przejęty własnymi możliwościami, by ich wykorzystywanie podsuwało mi skrupuły. Fotograf z zahamowaniami niech lepiej odłoży kamerę, myślałem, i więcej nie bierze do ręki.

Jako jedyny spadkobierca zostałem po śmierci rodziców młodym zamożnym dżentelmenem. Rodzinną firmę Merchant & Merchant, z grubym portfelem zamówień architektonicznych, z niebłahym udziałem w robotach przy Cuffe Parade i Nariman Point, sprzedałem za okrągłą sumę konsorcjum budowlanemu kontrolowanemu przez Pilu Dudhwalę. Podobnie kino Orpheum, kwitnące pod nowym zarządem; odstąpiłem je promieniejącemu panu Sisodii, który zdążył już wydzierżawić parcelę w Film City i założyć filmowe studio Orpheum, by pomnażać rozgłos i majątek.

- Jest papan zawsze mile widziany w Ooorphephe Pheum - zapewnił pan

Sisodia, kiedy podpisywałem papiery. Umyłem jednak ręce, jeśli chodzi o pasje rodziców. W tych starych historiach nie znalazłem dla siebie żadnej roli. Zrobiłem panu Sisodii zdjęcie - grube ciemne szkła, zęby kościotrupa, łysa methwoldowska głowa, bezwzględny, czarujący, nieszczery, embrionowaty, mogół filmowy w każdym calu - i szybko się wyniosłem.

Z początkiem lat siedemdziesiątych powietrze w mieście doznało poważnych zanieczyszczeń i publiczności, zawsze skorzy do alegoryzowania, uznali to za oznakę skalania narodowych klimatów. Miejscy lekarze odnotowali alarmujący wzrost migren, okuliści donieśli o częstych przypadkach podwójnego widzenia u pacjentów, którzy ani nie przypominali sobie urazu głowy, ani też nie stwierdzono u nich innych oznak wstrząsu. Na ulicach na każdym kroku widywano mężczyzn i kobiety, którzy przystawali, pocierali głowy, marszczyli brwi. Narastało poczucie rozstroju, bezładu, jakiegoś wykołowania. *Nie jest tak, jak powinno być.*

Bombaj z rozkazu swych władców - partii OM, której naczelnym protektorem i sprzedawcą stanowisk okazał się, rzecz jasna, śri Pilu Dudhwała - został Mumbajem. Wpadłem do Persis Kalamańdzi, by się poskarżyć na nową nazwę.

- Skoro mawialiśmy Trombaj, to jak teraz mamy mówić, "Trumbaj"? Co z Back Bay? "Backbaj"? I co zrobią z naszym Bollywood? Zmienią na "Mollywood"?

Ale Persis dręczona migreną nie roześmiała się.

- Chyba idzie ku czemuś - odrzekła z powagą. - Czuję, że ziemia zaczyna drżeć.

Pięknej Persis stuknęła trzydziestka. Jej uroda w pełni kobiecego rozkwitu nabrała rysu dziwnie aseksualnego, jakiejś poza-płciowości, sądziłem, że na skutek coraz bardziej rzucającego się w oczy zagadkowego uśmiešku, który wydawał mi się nieznośnie nabożny. Ale tej sarkastycznej krytyce należy się nawias, bo istic święty charakter i gorliwość, z jaką wspierała matkę w poważnej działalności dobroczynnej, zapewniły Persis szacunek całego miasta, jej niezachwiana niezamężność zaś, niegdyś przedmiot prześmiewek i plotek, później współczucia, powodowała teraz u wielu ludzi kielkowanie jakiegoś areligijnego kultu. Innymi słowy, pojawiło się wówczas u Persis coś nie z tego świata; wcale się nie zdziwiłem, że ów pokład mistyczny, który zazwyczaj ukrywamy pod zewnętrznościami, u niej się uzewnętrznił, a Persis wygłasza ponure przepowiednie. Siadywała wśród wspaniałości Dii Kusz w prostym samodzielnym stroju i wieściła zgubę; cóż, jeśli Persis jest naszą Kasandrą, to może -

tylko może - Bombaj znalazł się w przededniu upadku, jak Troja.

To właśnie nas, Persis i mnie, złączyła niezwykła zażyłość, przyjaźń wynikła z przeciwności, zrodzona ze straty. Po wyjeździe Winy i Ormusa zaczęliśmy ciężać ku sobie, jak uczniowie po wyjeździe mistrzów, jak echa po umilknięciu dźwięku. Ale z upływem lat ciążenie przerodziło się w nałóg. Ja potępiałem to jej świątobliwe samowyrzeczenie. Skończ ze staropanieństwem, daj się przelecieć - mój styl skrzył się jak brylantyna - dosyć tych kuchni dla ubogich, zafunduj sobie własne tarapaty. Z kolei Persis łązała mnie za moje liczne a niewątpliwe potknięcia i w taki to nieoczekiwany sposób polubiliśmy się; aż za bardzo. Nigdy nie wysłała najmniejszego nawet sygnału, że chce czegoś więcej ponad tę platoniczną, siostrzanobraterską przyjaźń; a madonno wąte rozchylenie ust Persis, ten uśmieszek jak miecz ognisty na szczęście podciął u korzeni wszelkie moje apetyty.

To było święto latawców. Dachy zaroily się od dzieciarni i dorosłych puszczających w powietrze technikolorowe kara. Zjawiłem się w Dii Kusz z własną kolekcją latawców i szpulek mańdża, z nawiniętym na jedną z nich specjalnym sznurkiem bojowym, czarną żyłką zanurzoną w kleistej zawieszynie pełnej okruszków tłuczonego szkła, bronią w walce latawców: kala mańdża. Jakim cudem rodzina, która najwyraźniej zapracowała kiedyś na nazwisko sprzedawaniem broni tak okrutnej, istnej bomby wodorowej świata latawców, może wydać takie wcielenie sentymentu jak ty, wypytywałem Persis, którą tego dnia dręczył niezwykle jak na nią, wyjątkowo paskudny humor; była zbyt ścięta, by przynajmniej zdobyć się na ten swój wnerwiający uśmieszek.

- Pewnie udało mi się zobaczyć jakiś kawałek czystego nieba nad tymi zaświnionymi latawcami - odpaliła. Coś ją trapiło, mocniej, niż chciała dać poznać.

Do pokoju weszła Dolly z goszczącym w Dii Kusz wysokim, zgarbionym Francuzem po sześćdziesiątce, w nedorzecznym kapelusiku zsuniętym tak nisko, że niemal dotykał nosa. Gość był uzbrojony w małą leicę i bardzo go ciągnęło na dach.

- Persis, rusz się! - krzyknęła Dolly. - Nie tkwijże tak, chodź, bo przegapisz coś zabawnego.

Ale Persis buntowniczo pokręciła głową. Więc zostawiliśmy ją i dokonali nadach-wstąpienia.

Latawce toczyły w górze podniebne walki. Rzuciłem w bój moich wojowników i strącałem nieprzyjaciół, jednego, drugiego, trzeciego. Na zatłoczonym niebie trudno było o pewność, czyj latawiec atakuje, czyj spada. Zamieniły się w niezidentyfikowane

obiekty latające. Człowiek przestawał w nich widzieć przedmioty należące do właścicieli. Same były sobie sterem i żeglarzem, błędne latawce, pojedynkujące się na śmierć i życie.

Na schodach na dach Dolly niby to poznała mnie z Francuzem, nazywając go po prostu "naszym panem H.", przy okazji popisując się okrucieństwem francuszczyzny: *Notre tres cher Monsieur "Asz"*. Nie bez przykrości zauważyłem, że właściwie nie patrzył na niebo i w ogóle nie zwracał uwagi na moje przewagi. Jego uwagą całkowicie zawładnęły dachy wypełnione ludźmi: płaskie i pochyłe, dwuspadowe i kopulaste. Postąpił parę kroków to tu, to tam, aż się usadowił. A potem zamarły, zgarbiony czekał z tą leicą w pogotowiu. Jego cierpliwość i bezruch były wręcz nieczłowiecze, godne drapieżnego zwierzęcia. Pojąłem, że oto patrzę, jak pracuje mistrz niewidzialności, artysta, mag. W miarę jak go obserwowałem, roztopiał się, stawał czystym mnietuniem, nieobecnością, aż scenka, na którą czyhał, wreszcie go zadowolila, wtedy wypalał z leiki, pstryk, tylko raz; rematerializował się. Musi być z niego niezły snajper, pomyślałem, skoro mu starcza jedna klatka. Potem znów wykonywał ten taniec, kroczyki, sadowienie się, znów się rozwiewał, pstryk, i tak dalej. Przyglądając mu się, straciłem ulubiony latawiec. Podcięła go czyjaś kła mańdża. Niewiele się przejąłem. Dość zobaczyłem, by się domyślić, kim jest ten Francuz.

W tym momencie zaczęło się trzęsienie ziemi. Kiedy poczułem wstrząs, pierwsza myśl była taka: niemożliwe, to jakieś udawanie, nieporozumienie, bo my w Bombaju nie miewamy trzęsień ziemi. W owych czasach, kiedy różne regiony kraju zaczynały dygotać, bombajczycy przechwalali się, że wstrząsy ich nie dotyczą. Dobrze żyjące ze sobą społeczności i ten solidny grunt, chełpił się. Pod miastem nie ma żadnych zdradliwych uskoków. Lecz teraz chłopcy Pilu Dudhwali, Oś Mumbaj, rozniecali ogień niezgody - i miasto się zatrzęsło.

Persis to wyprorokowała. Ona. Rozwinęła w sobie jakiś szósty zmysł, trudno zaprzeczyć, nadprzyrodzoną wrażliwość na zasadzki życia. W Chinach przepowiada się trzęsienia ziemi na podstawie zachowania krów, owiec i kóz. Widocznie w Bombaju wystarczy obserwować Persis Kalamańdżę.

To prawda, że trzęsienie nie zaliczało się do ciężkich; wskazówki na skali wychyliły się tylko na chwilę i niedaleko. Mimo to w nie przygotowanym mieście poczyniło rozległe szkody. Runęły nie tylko budy, barakowiska, wiatowate dżopadpatti, zwykłe slamsy, lecz także trzy duże czynszówki ćaul i parę opuszczonych willi na Wzgórzu Kamballa. Popękały większe budowle, w tym fasada kina Orpheum,

drogi, pod ziemią kanalizacja; było mnóstwo połamanych mebli i zbitego szkła; pożary. Pękła grobla Hornby Vellard i po raz pierwszy od ponad stulecia fale morskie wdarły się przez Great Breach; zanim zdołano naprawić szkody, tor wyścigowy Mahalakszmi i pole golfowe Willingdon Club zamieniły się w mokradła, pokryte ponad trzydziestoma centymetrami słonej wody. A kiedy morze się cofnęło, zostawiło na lądzie zagadki: nieznanne ryby, zaginione dzieci, pirackie flagi.

Nigdy nie ustalono liczby pracujących na wysokości robotników ani uczestników latawcowych bitew, którzy spadli i zginęli. Straciło życie jakichś parunastu ludzi przywalonych na budowach. Tory tramwajowe pogięły się i sterczały w jakichś dzikich skrętach wprost z ulic; potem powyrywano je na zawsze. Przez trzy dni zdawało się, że nic nie uruchomi miasta. Pozamykane biura, żadnych monstrualnych ulicznych korków, nieliczni piesi, o szmat drogi jeden od drugiego. Natomiast na otwartych przestrzeniach gromadziły się całe rzesze; ludzie tłoczyli się jak najdalej od budynków, ale na majdany rzucali niespokojne spojrzenia, jakby i ziemia stała się przebiegłym, złośliwym nieprzyjacielem.

W nadchodzących miesiącach, we wciąż mocniejszym uścisku dyktatury stanu wyjątkowego pani Gandhi, w nastroje całej indyjskiej zbiorowości sączyło się coraz więcej ponurości i załębienia. Ale najgorsza okropność tych czasów objawiła się gdzie indziej; ludzie w Bombaju zapamiętali trzęsienie ziemi, bo wstrząs skruszył nasze pewniki: kim jesteśmy, jakie wybraliśmy życie. Felietonista z ostatniej kolumny miejscowego wydania "Times of India" wręcz rozważał, czy kraj nie rozpadnie się dosłownie.

"Ery temu - przypominał - Indie wybrały się na schadzkę z przeznaczeniem; oderwały się od potężnego południowego prakontynentu Gondwany, by związać się z lądem północnym, Laurazją. Świadectwem spotkania są Himalaje: są pocałunkiem, który nas złączył z losem. Czy ów pocałunek był daremny? Czy nowe poruszenia ziemi to preludium tytanicznego rozwodu? Czy Himalaje zaczynają bardzo powoli maleć?" Osiemset słów, pytań bez odpowiedzi, a właściwie przepowiedni spowodowanych wstrząsem, że Indie staną się "nową Atlantydą", kiedy nad płaskowyżem Dekanu zamkną się wody Zatoki Bengalskiej i Morza Arabskiego. Zamieszczenie w gazecie tak panikarskiego tekstu świadczy, jak głęboko to przeżywaliśmy tutaj.

Podczas paru sekund wstrząsu, zresztą niewiarygodnie długich, siedzący na dachu wielki francuski fotograf, pan Henri Hulot, przekornie skierował obiektyw ku

niebu. W całym mieście przerażeni latawcowicze puścili szpule z rąk. I niebo zapełniło się dogorywającymi latawcami, pikującymi, roztrzaskanymi w zderzeniu z innym, rozdartymi w kotłujących się podmuchach i w przystępie dionizyjskiego szaleństwa, w które wprawiła je nieoczekiwana wolność, tragiczna, którą zyskuje się podczas katastrofy, a która niemal natychmiast zostaje odebrana przez nieubłagane przyciąganie rozpadającej się w dole ziemi. Pstryk, wypaliła leica. Rezultatem było sławne zdjęcie, *Trzęsienie ziemi 1971*, na którym rozrywanie się w powietrzu pojedynczego latawca mówi wszystko o niewidocznej tragedii rozgrywającej się w dole. Niebo staje się metaforą ziemi.

Dii Kusz był zbudowany solidnie, na głęboko wpuszczonych w skałę fundamentach, więc rezydencja zatrzęsała się, ale nie rozpadła. Ale na dachu pękł jeden ze zbiorników, a ja odciągnąłem Hulota na bok, bo fotograf najwyraźniej nie zauważył rozlewającej się wody. Dolly Kalamańdza w tym momencie pędziła w dół po schodach, głośno nawołując córkę. Francuz grzecznie mi podziękował, tknąwszy kapelusza, potem delikatnie poklepał kamerę i wzruszył ramionami w geście samoobwinienia.

Na dole wśród potłuczonego szkła Persis łkała, nieutulona, jak domorośla księżniczka obsypana kosztownościami, jak samotna kobieta na ruinach wspomnień. Wstrząs ziemi wydobył na jaw uczucia, które dawno temu próbowała pogrzebać; teraz wylewały się jak woda z pękniętej kadzi. Dolly bezradnie uwijała się przy niej z wielką chustą w dłoni, ocierała twarz Persis opędzającej się od matki jak od émy.

- Wszyscy pakują manatki - zawodziła Persis. - Znikają. A nas się tu zostawia, żebyśmy się zeschli i poumierali. Nic dziwnego, że już samo miejsce się sypie, rozlatuje, zgarbione, stare, zdane na siebie.

Pan Hulot odchrząknął i wyciągnął rękę, niepewny, czy dotknąć Persis: palce Francuza bezradnie zatrzepotały nad jej ramieniem. Następna éma, której uprzejma Persis nie śmiała pacnąć.

- Mademoiselle, zapewniam panią, że jedyny, jaki tu mamy zgniły owoc, sprowadzono z Francji.

W śmiechu Persis zabrzmiała obłąkańcza nutka.

- Nieprawda, monsieur. Pan może jest po sześćdziesiątce, ale ja mam pięć tysięcy lat i rozpadam się teraz na kawałki, a oni wszyscy wyjeżdżają. - Nagle odwróciła się i wbiła we mnie dzikie spojrzenie. - Dlaczego i ty nie wyjedziesz? Od lat się nad tym zastanawia - znienacka, zaskakująco gwałtownie warknęła na

zaskoczonego Hulota. - Ciągłe fotografuje rozstania. I o co tu chodzi, jeśli nie o przymiarkę do własnego wyjazdu? Marzy o jednym, żeby dać dyla do tej swojej ukochanej Europy, do tej Amriki, ale jeszcze brak mu ikry.

- Pan fotografuje? - spytał Hulot.

Skinąłem głową, bez słowa. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że znajdę okazję pogadać o swojej manii z taką sławą. A teraz, kiedy pojawiła się szansa, nie sposób było skorzystać, bo właśnie Persis wrzała.

- Mieszkać w siedzibie umarłych, niemych, morderców i uciekinierów - drwiła Persis, podniesionym, załamującym się głosem. - Po co? Żeby być ich zbląkanym cieniem, ostatnim markietanem, jak któryś z tych podawaczy kijów golfowych czy przedpotopowych wapniaków, którzy siedzą i czekają na powrót Brytyjczyków?

- Widzę, że sporo można wywnioskować ze zmiany adresu - powiedziałem; chciałem zlekceważyć jej wrogość, coś tryskającego z głębin i godzącego we mnie za tę tylko zbrodnię, że jestem kim innym; że mieszkam w domu tamtego, nie będąc nim.

- Miałeś od urodzenia wszystko - szalała, nie oglądając się już na nic - i pozbyłeś się tego. Rodzinnych interesów, reszty. A potem pozbędziesz się nas. Tak samo. Jasne! Wyjeżdżasz, a tak masz namieszane we łbie, że nic o tym nie wiesz. Paradujesz po ulicach z tą idiotyczną kamerą, wydaje ci się, że mówisz wszystkiemu "hej ho", a naprawdę to jest jedno wielkie pożegnanie. Arę, tobie się wszystko pokręciło, Umidzie, przykro mi. Tak chcesz być kochany, a nie wiesz, co zrobić, żeby cię pokochano. Czego chcesz, no? Mnóstwa-kobiet-kupę-forsy? Białych kociaków, czarnych czekoladek, funtów szterlingów, amerykańskiej sałaty? I to cię zadowoli? To za tym uganiaasz, prawda?

Jeśli nawet powiedziała coś, czego się nie da skreślić ani wybaczyć, to ja te słowa skreśliłem i wybaczyłem, bo wiedziałem, że zbieram razy wymierzone innemu. Ale uderzyło mnie, że pytania, którymi we mnie ciska, tak bardzo przypominają tamte sprzed lat, zadane Ormusowi Kamie przez Singha. A skoro już padły, wiedziałem, że odpowiedziałbym tak samo jak Ormus. Chociaż nie byłbym w stanie wykrztusić tej odpowiedzi przed Persis, wyczytała ją z mojej twarzy i parsknęła pogardliwie:

- Zawsze ten drugi - ukąsiła. - A jeśli jej nigdy nie dostaniesz, to co?

Nie umiałem nic odrzec. I wcale nie musiałem, jak się szczęśliwie okazało.

Pan Hulot zapytał, czy może obejrzeć moje prace, i zaraz się wymknęliśmy.

Powiozłem go przez cały ten chaos - miasto pełne zwalonych drzew, pozrywanych jak wojskowe naszywki balkonów, ogłupiałych ptaków, zawodzenia - do mieszkania, które teraz było moje. Hulot, niczego nie kryjąc, opowiadał o swej technice; o "prekomponowaniu" obrazu w wyobraźni, a potem o nieruchomym a pełnym napięcia wyczekiwaniu na decydujący moment. Wspomniał o Bergsonowskiej koncepcji jaźni jako "czystego trwania" *już nie pojmowanego w aspekcie ciągłości "cogito", lecz intuicji trwania.*

- Jak japoński artysta - powiedział. - Godzina przed pustym płótnem, zgłębianie pustki, a potem te trzy sekundy pociągnięć, pac! pac! jak w szermierce, szalenie precyzyjnych. Chce pan jechać na Zachód - ciągnął. - Ale ja się nauczyłem najwięcej od Wschodu.

Byłem zdumiony, że człowiek tak bezpretensjonalny, tak dobitnie zwyczajny, może tyle mówić o magiach, o "duszy materii", który to oksymoron przypominał mi "cud rozumu" Dariusza Kamy.

- To Balzac powiedział Nadarowi, że fotografia obnaża osobowość modela - ciągnął Hulot. - Idea kamery zawsze wiązała się ściśle z tą znacznie starszą, ale współbieżną koncepcją duchów; idea kamery zapisującej obrazy nieruchome; a co dopiero ruchome!

Powiedział, że ogromnie podziwia pewien film: *Ugetsu**[* *Ugetsu Monogatari* - *Opowieści księżycowe.*] japońskiego mistrza Mizoguchiego. Biedaka podnosi z nizin wielka dama, zapewnia życie na poziomie, podsuwa niewyobrażalne rozkosze, ale dama to duch.

- Film sprawia, że z łatwością wierzymy w to niepodobieństwo, bo na ekranie wszyscy są widmami, na równi nierzeczywiści. - A dużo nowszy film, *Karabinierzy* Jean-Luca Godarda, potwierdza w całej rozciągłości sądy Balzaca. - Dwaj młodzi chłopcy ze wsi idą na wojnę i obiecują swoim dziewczynom, że przyniosą im, wracając, wszystkie cuda świata. I zjawiają się, bez grosza, ze sfatygowaną walizką. A dziewczęta nie zwalniają ich z obietnicy, domagają się przyrzeczonych cudów. Na to żołnierze otwierają walizkę i *voilà!* Statua Wolności, Tadź Mahal, Sfinks, kto wie, jakie bezcenneści. Dziewczęta są usatysfakcjonowane; obaj *beaux* dotrzymali słowa. Później żołnierze giną: karabin maszynowy z piwnicy. Zostaje po nich tylko skarb przyniesiony do domu. Cuda świata. Poczówki - śmiał się Hulot. - Dusza przedmiotów.

W dawnej bibliotece sir Dariusza Kserksesa Kamy, na tym samym stole, przy którym prowadzili badania Dariusz i William Methwold, rozłożyłem przed panem Hulotem moją tekę. Na podłodze leżał potrząskany kandelabr i książki, zwalone z półek. By czymś się zająć, kiedy Hulot oceniał zdjęcia, zacząłem podnosić upadłe woluminy. Po swojemu wgryzałem się już w stare teksty i komentarze. Przyznaję bez bicia: książki wydane po grecku bądź w sanskrycie pozostawały dla mnie niedostępne, lecz te, które mogłem przeczytać, pochłaniały mnie, wciągały w kosmos dzikiej, pierwotnej boskości, losu, którego nie da się ani rozmyć, ani uniknąć, a któremu trzeba się tylko heroicznie poddać, i że czyjś los i czyjaś natura to nie są właściwości oddzielne; że to tylko inne nazwy tego samego zjawiska.

- A zerkał pan w przeszłość?

Pochłonięty książkami, nie zrozumiałem w pierwszej chwili pytania Francuza. A potem spieszenie zacząłem trajkotać o ojcowskim zbiorze zdjęć, o Haselerze i Dajalu. Dosłyszałem, jak prowincjonalnie to brzmi, więc zaraz, niczym nadgorliwy uczeń, sypnąłem nazwami i nazwiskami bardziej światowymi, Niepce i Talbot, dagerotypia i kalotypia. Napomknąłem o portretach Nadara, koniach Muybridge'a, Paryżu Atgeta, surrealizmie Mana Raya; o magazynach "Life" i "Picture Post".

- Czy pan jest rzeczywiście aż tak nobliwym młodym człowiekiem? - ukłął z kamienną powagą. - Czy pan nigdy nie widział jakiejś świńskiej pocztówki, nie oglądał magazynów porno?

Zarumieniłem się, lecz oto pan Hulot spoważniał i odmienił moje życie, a raczej pozwolił mi uwierzyć w coś, w co wcześniej nie śmiałem uwierzyć naprawdę: że mogę żyć tak, jak wymarzyłem.

- Pan coś już wie o skupieniu i zaskoczeniu - powiedział. - O dwoistości fotografa, o, *tant-pis*, bezlitosnym zabójcy, a zarazem dawcy nieśmiertelności. Lecz widzę też niebezpieczeństwo manieryzmu, co pan na to?

Rzecz jasna, maestro, dziękuję, maestro. Manieryzm, rozumie się, szalenie niebezpieczny, coś okropnego, będę się na przyszłość wystrzegał, maestro może być pewien. Dziękuję. Skupienie i zaskoczenie. Dokładnie. To będą moje hasła. Nie ma obaw.

Odwrócił się od tej paplaniny, spojrzął z wysokiego okna na Gateway i zmienił temat.

- Pańska przyjaciółka Persis przypomina mi wielu wybitnych ludzi poznanych w Azji - powiedział. - Weźmy przepowiedzenie wstrząsów. Coś nadzwyczajnego,

prawda? Może to dzięki ascetyczności, może to ją otwiera, wyzwala te rzeczy? Persis widzi na wylot bez kamery, jest *iluminee*, jeżeli chodzi o decydujące momenty. To zrozumiałe, że po tak zadziwiającym dokonaniu może się zdarzyć jakieś niekontrolowane odreagowanie uczuciowe, tak bywa. - Obrócił się, by zobaczyć, z jakim przyjęciem spotyka się oświadczenie, i przyłapał mnie na robieniu min. Ryknął ze śmiechu. - Za tym pan nie przepada - zauważył.

Wypadało coś odrzec, więc twardo - mimo że nie umiałem żadną miarą wytłumaczyć zdumiewających przewidywań Persis - przyjąłem postawę racjonalisty.

- Przepraszam, monsieur, lecz tutaj bardzo nam doskwierają boskości przebrane za cnotę. Przez całe życie tkwimy, jak w areszcie, na pułapie nadprzyrodzonego. I ta nasza głęboka duchowość prowadzi nas za każdym razem do mordowania się nawzajem jak dzikie bestie. Ale, proszę wybaczyć, niektórzy z nas w to nie popadają, tylko usiłują się wyrwać na wolność, ku rzeczywistości.

- No dobrze - odrzekł łagodnie. - Dobrze. Niech pan odnajdzie wroga. Wiedzieć, przeciw czemu się jest, to pierwszy krok do odkrycia, za czym się jest.

Zbierał się do odejścia. Zaproponowałem, że podwiozę, ale się wymówił. Chce się pobłąkać po mieście dotkniętym wstrząsem i znaleźć te obrazy, które "prekomponował" już w głowie. Wychodząc, wręczył mi wizytówkę.

- Proszę zadzwonić, kiedy pan przyjedzie - powiedział. - Może zdołam panu trochę pomóc.

Pan Hulot opowiadał historie o duchach: o zjawie Japonki, o pocztówkach poległych *carabiniers*. Że obrazy na filmie to duchy w maszynach. Tymczasem w trzy dni po trzęsieniu ziemi ujrzałem ducha z moich własnych historii; objawił mi się nie na zdjęciu, lecz naprawdę; wrócił z przeszłości. W domu przy Nabrzeżu Apollinińskim pomagałem w wielkim sprzątanym, tkwiłem wśród potłuczonego szkła i porozrzucanych książek. Nie działały telefony, a w najgorętszej porze dnia przytrafiały się "spadki napięcia", słowem wyłączano prąd. Złany potem, podminowany, najmniej się mogłem spodziewać głośnego walenia w drzwi. Otworzyłem z grymasem złości na twarzy i zobaczyłem widmo Winy Apsary, chyba równie zaszokowane jak ja.

- Coś się nie zgadza - powiedziała, marszcząc brwi jak z bólu głowy. - Nie spodziewałam się tu ciebie.

Wyglądało na to, że duchy mogą rosnąć. Ostatni raz widziałem ją przed dziesięciu laty; teraz była w porywającym wieku dwudziestu sześciu lat. Włosy

wybuchły jej na głowie, tworząc wielką lokowatą aureolę (nigdy jeszcze nie widziałem afro); zadbała o wykoncypowany, daleki od niewiniątkowości wygląd, obowiązkowy wśród kobiet ówczesnej "alternatywy", zwłaszcza wśród zaangażowanych politycznie piosenkarek. Lecz jak to Wina, zawsze niezła w nadawaniu złożonych sygnałów, nosiła jedną tylko czarną rękawiczkę amerykańskich czarnych radykałów, na prawym policzku wymalowała szkarłatny symbol mantry *Om*, a włożyła sukienkę z brytyjskiego butików Czarownica na Miotle, z ciemnymi frędzlami, stylizowaną na Indie i okultyzm, wówczas w modzie, dosyć umownie zakrywającą część długiego i bezczelnie wyzywającego ciała. Lśnienie ciemnej skóry też miało udział w wywyższeniu. Jeszcze nie wiedziałem, że ów blask bierze się z lśnienia oczu na widowni, z pierwszych, szorstkich liźnięć tygrysięgo jęzora: sławy.

- Spóźniłaś się do niego o całe lata - powiedziałem, może zbyt okrutnie. - Nikt nie czeka bez końca, nawet na ciebie.

Odepchnęła mnie i weszła do mieszkania jak do siebie. Wiedząc, że się wywodzi znikąd i nie ma nic prócz tego, co sama sobie da, przywykła traktować cały świat jak własność, na co godziłem się potulnie, wraz z resztą planety, uznając prawa Winy do mnie i tego, co moje.

- Ale rumowisko - powiedziała. - Jak po katastrofie kolejowej. Czy ktoś stąd uszedł z życiem?

Odgrywała niewzruszoną, twardą, kawa-na-ławę, ale na moment głos jej zdrzął. Wtedy zrozumiałem, że trzęsienie ziemi potrząsnęło też Winą; zdała sobie sprawę, że wciąż jest związana z Ormusem, a Ormus jest tym jedynym mężczyzną stworzonym dla niej; obawa, że może zginął lub coś mu się stało, wzięła górę nad wszelkimi niepewnościami, które ją stąd wyгнаły i potem skłoniły do skonstruowania sobie twardego wizerunku. Trzęsienie ziemi rzuciło ją wprost na pokład samolotu do Bombaju, pchnęło przed drzwi Ormusa, a te już od dawna nie były jego drzwiami. Inne wstrząsy i wypiętrzenia ulokowały na jego miejscu mnie. Zaparzyłem Winie kawy, a ona powoli, jakby na nowo odkrywając stary sposób bycia, wyzbywała się tych napastliwości i przeistaczała w dziewczynę, którą kiedyś znałem i, cholera jasna, kochałem.

Terminowała w londyńskich kawiarniach i klubach, od beatnikowskich folkowych melin w rodzaju Jumpy's po kipiące psychodeliczne Middleearth i UFO, a potem przeniosła się do Nowego Jorku. Tam zabrnęła w ślepią uliczkę Folkville: trafiła nawet na afisz gwiazdy, Joan Baez, lecz czuła się obco i źle. Folkowych fanów zraziła i

straciła, przerzucając się na *mainstream*; zaliczyła sezon w sukni syreniego kroju, obszytej cekinami (kreacji skradzionej mojej matce, bywa), na początek śpiewając w Copacabanie, w grupie Supremes, bo chciała być pierwszą brązową kobietą w chóрку pierwszej czarnej kobiety, której przypadł w udziale kontrakt tak szacowny i konserwatywny. No i dlatego, że miała ochotę zmieść z estrady Dianę Ross, co jej wyszło. A potem znów wzięła inny kurs, by przetrzeć, jak pionier, szlak wiodący z kawiarni Manowiec do Radosnej Wyspy Sama i Rzeźni Amosa Voighta, gdzie schodzili się i pieprzyli wszyscy, cały świat filmu i muzyki, czemu Voight przyglądał się okiem zamglonym a bezwzględny.

Zyskiwała niejaki rozgłos w roli nie znającej zahamowań ekshibicjonistki; uzasadniała tę opinię sukienka od Czarownicy, głównie nie istniejąca. W Bombaju noszenie takiej kiecki mogło być niebezpieczne, co Wina miała w nosie; umiała się ordynarnie rozedrzyć. Trafiała regularnie na okładki undergroundowych magazynów, które pojawiły się w tych nowych pęknięciach na fasadzie mediów, w rozpadlinach spowodowanych młodzieżowym trzęsieniem Zachodu. W magazynach o narkotycznej typografii, pozując w natchnieniu do tych pornoliberalnych fot, stała się - dając upust wściekłości i pasji - jedną z pierwszych świętych bestii kontrkultury, agresywną obrazoburczynią, wpół geniuszem, wpół egomaniaczką, która nie zmarnowała żadnej okazji, by ryknąć, zbesztać, przycisnąć, popuszyć się, zdemolować, podopingować, zrewolucjonizować, zacząć od nowa, błysnąć, pochełpić się, zmieszać z błotem. Ale było też prawdą, że te popisy w stylu lagaplagadrzymorda zarazarazzarazem przystopowały karierę piosenkarską. Dzisiaj taka agresywność, jebał-cię-w-oko-pies, bywa zaledwie konwencją, wręcz nieodzowną przy ciągach do kariery osiągających moc rakiety; lecz w owych czasach te bitwy jeszcze nie zostały wygrane. Ludzie mogli się poczuć obrażeni, wstrząśnięci i często się czuli. Można sobie było nasikać do zupy.

Tak więc cudowny głos zappełniał portfel umów, ale znaczną ich część marnowały niewyparzone usta. Kontrakt w Copacabanie, na przykład, anulowano po tygodniu, kiedy do tamtejszej publiczności w sztywno wykrochmalonych gorsach zechciała się zwrócić per "martwi Kennedy". Stany Zjednoczone, toczące wciąż wojnę ze sobą i w Indochinach, były wówczas pogrążone w głębokiej żałobie po niesamowitym podwójnym zabójstwie: prezydenta Bobby'ego Kennedy'ego oraz jego poprzednika i starszego brata, byłego prezydenta Jacka; obaj zginęli od tego samego pocisku, wystrzelonego przez jakiegoś sfiksowanego palestyńskiego zamachowca. To była tak zwana kula magiczna, która w holu hotelu Ambassador w Los Angeles

podskakiwała i objiała się, bucząc jak odchodzący od zmysłów szerszeń, by w końcu zaliczyć zdumiewające podwójne trafienie. Zważywszy stężałą z bólu atmosferę, kiedy setki tysięcy Amerykanów cierpiały na rozsadzającą czaszkę migrenę i gwałtowne zawroty głowy, kiedy na rogach ulic zdumieni ludzie mówili “nie jest tak, jak powinno być”, Wina miała szczęście, że ten numer kosztował ją tylko utratę pracy. Powinno się ją wygnać z miasta. Powinno się ją zlinczować.

Kiedyś dość przypadkowo wyszła za mąż, potem rozwiodła się, a lista jej kochanków nie była krótka. Co ciekawe, mimo że lubiła napomykać o biseksualności, ta lista była wyłącznie rodzaju samczego. Wina, niekonwencjonalna w sferze zawodowej, przynajmniej pod tym względem okazywała się tradycjonalistką, chociaż jej promiskuityzm całkowicie dorównywał standardom epoki.

Kiedy zjawiła się u mnie na progu, jej sława jako piosenkarki nie wykraczała poza średniej miary krąg wtajemniczonych; dosłownie w ostatniej chwili zaskoczył ją kontrakt z Kolchidą, wytwórnią Yula Singha, ale ten wyraz uznania dla jej talentu jeszcze nie zawędrował na Wschód. Wzburzona, nikomu tu nie znana, wyciągnęła się na jednej z moich sof i popalała trawę. Wstyd przyznać, ale wcześniej nikt mnie tym nie poczęstował (do dziś używam malowniczej nazwy skręt”); skutki nadeszły szybko, wcale wyraziste. Położyłem się koło niej, Wina się przysunęła. Długo tak leżeliśmy, dając czas odległej przeszłości na powiązanie się z terażniejszością, pozwalając, by cisza wymazała spomiędzy nas przeszłe lata. Ściemniło się. Znowu włączyli prąd, ale nie zapaliłem świateł.

- Już nie jestem za młody - powiedziałem w końcu.

- Nie - odrzekła i pocałowała mnie w piersi. - A ja? Może jestem za stara?

Po tym, jak się kochaliśmy - na łóżku, na którym został poczęty Ormus Kama - Wina rozplakała się, zasnęła, a potem znowu płakała. Jak wiele kobiet w owych czasach, posługiwała się aborcją jako dodatkową metodą antykoncepcyjną i ten czwarty raz uczynił ją bezpłodną, jak się niedawno dowiedziała. Zgodnie z własnym zwyczajem wyciągania wniosków ogólnych z gorzkich doświadczeń osobistych, na wiadomość, że nie może mieć dzieci, zareagowała wszczęciem wielkiego sporu z zachodnimi metodami kontroli urodzin; wygłaszała tyrady przeciw naukowemu manipulowaniu ciałami kobiet, byle dogodzić mężczyznom, i wpiery były to strzały w dziesiątkę, lecz wywody szybko się wyrodziły i zamieniły w pomyłone wielbienie znacznie bardziej “naturalnych” zwyczajów kobiet Wschodu. Tej nocy w pewnej

chwili, kiedy - muszę wyznać - myśli zaprzętało mi co innego, Wina wymruczała mi na ucho, że główny powód, który ją skłonił do powrotu, to pragnienie, by ruszyć tu na wieś i od indyjskich wieśniaczek nauczyć się naturalnych metod kontroli urodzin. To wyznanie, dokonane ze śmiertelną powagą, przyprawiło mnie o wybuch śmiechu. Był to na pewno końcowy efekt haszyszu, ale śmiałem się, aż po policzkach pocięły mi łzy.

- Kiedy już skończysz je wychwalać za to nadzwyczajne wyczucie rytmu, dzięki któremu tak dobrze wiesz, kiedy przerywać - chichotałem - wtedy cię spytają, czy nie masz dla nich jakiejś zbytecznej wkładki, a przy okazji paru gum. - Zanim skończyłem, Wina, już ubrana, wkurzona iście operowo, stała przy drzwiach. - Zresztą nie dlatego tu wróciłaś. - Wciąż się śmiałem. - Przykro mi, że jechałaś na marne.

Rzuciła we mnie czymś łatwo tłukącym się, ale miałem zaprawę, jeśli chodzi o zbite szkło i porcelanę.

- Łach z ciebie, Raj, dupek - warknęła.

Jeszcze nie znałem jej skłonności do takich zachowań: wpierw łatwo ulec, potem zjadliwie złać. Znowu zdawało mi się, że otrzymuję razy przeznaczone dla kogo innego, że jestem karany za zajęcie miejsca innego mężczyzny.

Po wyjściu Winy zaraz oprzytomniałem. Kiedy kobieta, o której wciąż myśliśmy, krytykuje nas tak bezwzględnie, to słowa zapadają głęboko. A kiedy nastarczy się okazja potwierdzająca te oceny, może uznamy krytykę, może zaczniemy odrabiać przewiny, nękami przez resztę życia zasadnym oskarżeniem, dźgającym nas w serce jak nóż.

Po nocy spędzonej z Ormusem Kamą Wina ulotniła się na dziesięć lat. Po nocy spędzonej ze mną też zniknęła. Jedna parszywa noc i myk! Widzicie zatem, skąd to uczucie upiorności? Dlaczego jej odwiedziny kazały mi myśleć o siostrach-zjawach z *Rękopisu znalezionej w Saragossie*, mogących kochać się z bohaterem tylko w jego snach? A jednak ta noc - pod której koniec wyszła, jakby się prawie nie zjawiała - zmieniła wszystko. Tej nocy spełniło się proroctwo Persis i ja także, z poczuciem, że Indie to jakaś kłapa, zacząłem pakować manatki.

Wkrótce Wina Apsara, w serii wielce kontrowersyjnych wystąpień, zaczęła swym amerykańskim i europejskim siostronom zalecać stosunek przerywany jako ulubioną metodę zapobiegawczą wsi indyjskiej, niezmiernie zasłużoną w opanowywaniu eksplozji demograficznej na subkontynencie. Ja w każdym razie mogę

potwierdzić, że Wina pozostała osobą wielce przywiązaną do przerywania stosunków, ba, może absolutną mistrzynią tej sztuki.

Oficjalne powody jednonocnego występu w Bombaju - podczas którego nie śpiewała, nie trzaskała dziobem, lecz roznieciła stary ogień, potem zalała go zimną wodą i znów się ulotniła, pozostawiając palenisko mokre i drżące - były inne. Wszystkim, może nawet Ormusowi, opowiadała przez całe życie historię, że na wiadomość o trzęsieniu ziemi w Bombaju natychmiast pomknęła na lotnisko, bo nagle zdała sobie sprawę z niczym nie stepionej miłości do mężczyzny, którego nie widziała przez dziesięć długich lat.

- Takie mam szczęście - wyznawała. - Najbardziej romantyczna rzecz, jaką w życiu zrobiłam, a jego tam w ogóle nie było.

Trzydziestosześciodzinna wizyta nie poszła jednak na marne. Szczęśliwym trafem Winie udało się spotkać w hotelowym apartamencie z wielce czczoną mieszkanką Indii Matką Teresą, prawdziwą świętą, która z całego serca podzieliła poglądy Winy. Doszło też do spotkania z czołowymi indyjskimi feministkami. Te budzące szacunek kobiety opowiedziały jej, że Sandżaj Gandhi podobno zamierza wprowadzić siłą zasadę sterylizacji, również w niechętnych temu kręgach społeczeństwa. Wina natychmiast zadała cios, który w zarodku miażdżył tę próbę ludobójstwa.

- Niegdyś zachodnia technologia i medycyna szły ręką w rękę z tyranią i zniewoleniem - oświadczyła podczas uroczystej konferencji prasowej. - I dzisiaj nie możemy temu człowiekowi pozwolić na podbój macic indyjskich kobiet. - To w owych czasach Zachód najzapamiętalej romansował z mistycyzmem indyjskim, więc oświadczenie Winy spotkało się z niezmiernie szerokim poparciem.

Wracając do spraw osobistych, do miłosnej historii słuchanej gorliwie tysiąc i jeden razy przez cały świat, do opowieści o narodzinach nieśmiertelnego VTO: otóż pod koniec tej krótkiej wizyty Wina (jak zapewniała) dostała swego rodzaju wyróżnienia, a był nim cud. Tuż przed wyjazdem na nowe międzynarodowe lotnisko Sahar, kiedy miała jeszcze na zbyciu parę minut, włączyła radio i pokręciła galką, szukając pasma Głosu Ameryki. A tu zniemacka zabrzmiał inny głos, dobrze znany.

- Serce mi zamarło i pogalopowało jak koń - wyjaśniała, posługując się tą czarującą sprzecznością, za którą zwykle szła następna. - Nie mogłam znieść myśli, że piosenka się skończy, a bardzo chciałam, żeby się zaraz urwała; chciałam usłyszeć

didżeja, co powie.

Piosenka *Ziemia pod jej stopami* pochodziła z maksisingla (sąsiedni kawałek na stronie A, *Nie jest tak, jak powinno być*, windował nagranie na szczyt listy). Kapela nazywała się Rhythm Center, płytę wydała Kolchida.

- Zabawne, nie? - powtarzała później tysiącu i jednemu dziennikarzom. - Po tylu latach okazuje się, że mamy kontrakt z tą samą firmą. Uważam, że oboje jesteśmy winni panu Yulowi Singhowi wielkie i głośne "dzięki".

Persis żaliła się, że Ormus wymazał ją z zapisów; mógłbym się skarżyć na takie samo traktowanie przez Winę. Lecz tak naprawdę między nami było inaczej. Nie umiałem się uleczyć z Winy, fakt, i to przypominało uczucia Persis wobec Ormusa. Lecz Ormus zapomniał o Persis Kalamańdzi, tymczasem Wina, bez względu na to, co powiedziała bądź przemilczała, wracała wszędzie, gdzie można mnie było znaleźć. Byłem jej ulubionym cierniem; nie umiała wydłubać mnie spod skóry.

Może i usłyszała Ormusa przez radio, kto wie. Kupuję, u diabła, jasne, nie, też lubię baśnie. Wina słyszy Ormusa śpiewającego dla niej wielką miłosną pieśń z drugiego końca świata i czuje, że się zamyka pętla czasu; osuwa się w przeszłość o dziesięć lat, ląduje w pobliżu rozdroża, na którym kiedyś stała; bądź podjeżdża, jak pociąg, pod starą swojską zwrotnicę. Przedtem ruszyła tamtym torem. Teraz może przelożyć dźwignię i przeskoczyć w inną, alternatywną przeszłość, przed którą kiedyś tak głupio się wzbraniała. Wyobraźcie ją sobie w bombajskim hotelu Tadź: patrzy na port i słucha piosenki kochanka. Znów wygląda na szesnaście lat. Zauroczyła ją muzyka. I Wina tym razem wybiera miłość.

A teraz czas zaśpiewać ostatnią pieśń o Indiach, jaka mi jeszcze przejdzie przez gardło; bo pora porzucić na zawsze stare miłe podwórko. Jest w tym jakaś ironia warta pokręcenia głową lub litościwego śmiechu: ta mianowicie, że odrzucenie związków z rodzinnym krajem może nadejść w chwili najgłębszej z nim zażyłości, najrozleglejszej o nim wiedzy, najżywszego poczucia przynależności. Bez względu na to, co pomyślała Persis, lata spędzone na fotografowaniu otworzyły mi na ten stary kąt i oczy, i serce. Zacząłem od szukania tego, co w nim widzieli rodzice, lecz szybko zacząłem patrzeć na własny rachunek, zacząłem komponować portret po swojemu, kompletować własny wybór tej przytłaczającej, wszechdostępnej obfitości. Po okresie dziwnego wyobcowania czy odłączenia, odczuwania *jest, jak jest*, a nie czegoś

wybranego, zacząłem - przez obiektyw - dostrzegać własny sposób na bycie Hindusem "do szpiku kości". I właśnie fotograficzna biegłość, sprawiająca mi najwięcej radości, doprowadziła do mego wygnania. Na moment postawiła mnie przed problemem wartości, wyboru właściwych myśli, działań. Bo nie wiedziałem, która droga prowadzi wzwyż: co jest ziemią, co niebem. Jedno i drugie wydawało mi się równie nierzeczywiste.

Czy pamiętacie kozy Pilu? Sporo czasu minęło, odkąd puściłem je samopas. Lecz teraz muszę powrócić do tych widmowych stworzeń. To, co odśpiewam, to koźła pieśń.

W porze trzęsienia ziemi krążyły najróżniejsze szalone pogłoski. Te o pani Gandhi - o sfalszowaniu wyborów, mogące zaprowadzić do Sądu Najwyższego w Allahabadzie i zakazu zajmowania stanowisk publicznych - brzmiały tak sensacyjnie, że przykuły bez reszty uwagę większości ludzi. Czy pani premier odejdzie, czy się uczepli władzy. To, co nie do pomyślenia, stawało się do pomyślenia. O strony tego medalu ludzie spierali się jak kraj długi i szeroki, przy każdym stole, każdej studni, każdej dhabie i na każdym rogu. Codziennie rozchodziły się nowe plotki. W Bombaju trzęsienie ziemi sprawiło, że histeria sięgnęła jeszcze wyższego pułapu. W atmosferze, o której tu mowa, nikogo nie obchodziły kozy.

I oto nazajutrz po dezorientującej, migawkowej wizycie Winy zadzwoniła do mnie Anita Dharkar, młoda i błyskotliwa redaktorka "Illustrated Weekly", gdzie publikowałem od czasu do czasu pojedyncze zdjęcia bądź zestawy.

- Chcesz usłyszeć plotkę o Pilu? - spytała. - Prosto z pieca, jeszcze gorąca. - Znała mój wstręt do faceta, który zrujnował małżeństwo rodziców. "Niech pan odnajdzie wroga", radził Henri Hulot. Wiedziałem, kim jest mój wróg. Tylko nie wiedziałem, jak go ugodzić. Póki nie zadzwoniła bystra Anita.

(Muszę wyjawić, że coś tam było między nami. Drobną historią, raczej koleżeńską, ale na tyle poważną, że musiałem jakoś zamaskować ten wewnętrzny zamęt, w który popadłem po wizycie Winy. Przydawał się stary nawyk trzymania kart przy sobie. Nie sądzę, żeby Anita czegoś się domyśliła.)

- Pilu? Czyżby ziemia go pochłonięła? - spytałem pełen optymizmu. - A może wspiał się na palce i sięga pani Gandhi do tylnej kieszeni, jak ci wszyscy tani kanciarze?

Anita nie zwracała uwagi na moje odzywki.

- Co wiesz o jego kozich fermach?

Oficjalnie Pilu wycofał się teraz z branży mlecznej i łaskawie oddał ją konkurentom z Luzzus Milk Colony. Zamiast tego wdał się na dużą skalę w interesy mięsno-wełniane. "Nie można zarzącać ich, czy jak? To mięso, skóry! Kupców brak?" - spytała kiedyś młoda i arogancka Wina. No cóż, posłuchał. Gospodarstwa Pilu rozprzestrzeniły się po zabitych deskami obszarach stanów Maharasztra i Madhja Pradeś, od spieczonych nizin w dolinie rzeki Godawari po zbocza licznych łańcuchów wzgórz w środkowych Indiach, od grzbietu Hariśandra, płaskowyżu Adżanta i wzgórz Elury po wzgórzka Sirpur i wyżynę Satmala na wschodzie i wzgórzka Miradź koło Sangli na południu. Lokował śmiało wielkie trzody w pobliżu opanowanych przez bandytów jarów w Madhja Pradeś i Andhra Pradeś. Jakoś się nie bał. Był teraz jednym z największych w kraju pracodawców koziej branży; poziom higieny i pierwszorzędna kontrola jakości przysporzyły mu ogólnokrajowych nagród i uprawniały nie tylko do zwykłych subsydiów na paszę (liczonych od koziego łba), lecz także do znacznych ulg podatkowych, nie mówiąc o grantach, na które mogli liczyć przedsiębiorcy działający na rzecz rozwoju obszarów zacofanych.

- Wiem dosyć - odpowiedziałem. - Ale co cię to obchodzi? Jesteś wegetarianką i masz alergię na moher. - Lubilem Anitę. Lubilem za wygląd, a było na co popatrzeć, za śpiewny głos, najładniejszy od czasu, kiedy słyzałem Winę. Lubilem połysk ciemnego, nagiego ciała, jego ciemną poświatę, wyrazistość, śmiałość. Lubilem ją też za to, że podobały jej się moje zdjęcia, że wyklócała się o nie w piśmie, gdzie miały paru przeciwników.

- Nie wiem, czy ci mówiłam - odezwała się Anita - że tych kóz w ogóle nie ma.

Wielki artysta przekreću dysponuje wyobraźnią twórczą najwyższej próby; nic, tylko sięść i podziwiać. Projektuje oszustwa ze śmiałością surrealisty, urzeczywistnia z odwagą linościzka i biegłością magika! Mistrz szachrajstw to superman naszych czasów, gardzi normami, lekceważy konwencje, mknie swobodnie z dala od dobrze widzianych pozorów, niepodatny na ich siłę przyciągania, wyzwolony ze skorupy purytańskiego naturalizmu, obezwładniającej większość zwyczajnych śmiertelników. A jeśli w końcu powinie mu się noga, zawiodą podstępny - jak miękący wosk Ikarowych skrzydeł - to wówczas tym bardziej go kochamy, za ujawnienie ludzkiej kruchości, za tragiczny upadek na ziemię. Tą chwilą niepowodzenia pogłębia naszą miłość, czyni ją wieczną.

W Indiach mamy ten przywilej, że ekstraklasie oszustów, śmietance,

panteonowi, przyglądamy się z bliska. I niełatwo nam zaimponować; od publicznych kanciarzy wymagamy występów na najwyższym poziomie. Za wiele widzieliśmy, ale wciąż się nam zachciewa śmiechu do łez i kręcenia głową z niedowierzaniem; polegamy na oszustach, wierzymy, że rozjarzą w nas na nowo zmysł cudowności, stłumiony przez nadmiar tego, co powszednie.

Po tym pionierskim wyczynie Pilu pod koniec lat siedemdziesiątych zadziwił nas przekręt z Samochodem Popularnym (ogromne publiczne pieniądze wyparowały z projektu, któremu patronował Sandżaj G.), potem w latach osiemdziesiątych afera Dział Szwedzkich (ogromne publiczne pieniądze wsiąkły w międzynarodową transakcję zbrojeniową, zapaskudziwszy reputację Radziwa G.) i wreszcie w latach dziewięćdziesiątych Przewal Giełdowy (energiczne wysiłki w celu podtrzymania kursu kluczowych akcji wymagały, rzecz jasna, ogromnych publicznych pieniędzy). Ale kiedy się zejdą badacze zagadnienia - słowem, kiedy w dowolnym miejscu i czasie dwóch lub więcej Hindusów siądzie do pogawędki nad kubkiem kawy - są na ogół zgodni, że złoty medal wszechkategorii należy się Wielkiemu Przekrętowi z Kozami. Jak *Obywatel Kane* zawsze wygrywa w ankietach na film wszech czasów, a w głosowaniach na najlepszy album płyta VTO *Quakershaker (Jak Ziemia uczyła się Rock & Rolla)* niezmiennie spycha na drugie miejsce *Klub Samotnych Serc Sierżanta Pieprza*; jak *Hamlet* jest Najlepszą Sztuką, Pele Najlepszym Piłkarzem, Michael Jordan Cherubem Kosza, a Joe DiMaggio Najlepszym Amerykaninem (nawet jeśli trzeba mu tłumaczyć sens sławnego wersu sławnej piosenki, bo dosłyszał w nim afront zamiast dowodu szacunku), tak Pilu Dudhwala na zawsze zostanie zapamiętany jako indyjski pięciogwiazdkowy Masterkuglarz Deluxe.

Facet, który go ustawił w tej roli, to ja.

Na pierwszy rzut oka przekręt na paszy nie wydaje się tak romantyczny jak łżeprzetarg na kupno dział czy szwindel na rynku inwestycji. Do tego kozy, wiadomo, żrą byle co, zatem subwencje dla chłopów są ograniczone do minimum: jakieś sto rupii na kozę rocznie, wszystkiego trzy dolary na łeb. Wzgardliwie można podsumować: tyle tej paszy dla kozy, ile dla kury. Pole manewru niby niewielkie jak na numer wszech czasów. Ale nie traćcie wiary, którzy wątpicie. Szumności nie bierzcie za geniusz ni lśniącego badziewia za złoto. To właśnie nikłość sum wchodzących w grę pobudziła Pilu do nakreślenia sławetnego planu, to krystaliczna banalność projektu chroniła go przez tyle lat przed publiczną kontrolą. Bo chociaż sto

drobniaków to pestka, ale ta pestka zostaje człowiekowi w kieszeni, jeżeli koza należy do rasy Fikcyjnej. A ponieważ Kozy Fikcyjne rosną szybciej, wymagają mniej opieki i miejsca niż kozy innych odmian, cóż może powstrzymać energicznego hodowcę kóz od spieszego powiększania trzód, niemal w nieskończoność? Bo też Kozy Fikcyjne nigdy nie chorują, nie błakają się, nie padają, chyba że należy je wyprawić z tego świata, i - rzecz niespotykana - mnożą się dokładnie w takim tempie, jakiego zażyczy sobie właściciel. Naprawdę, trudno sobie wymarzyć lepszą i bardziej sympatyczną odmianę: cicha, nawet nie trzeba sprzątać łajna.

Skala Wielkiego Przekrętu z Kozami niemal przekraczała ludzkie pojęcie. Pilu Dudhwała pysznił się posiadaniem stu milionów nie istniejących kóz; dodajmy, kóz najwyższej jakości, o legendarnie miękkiej wełnie i nieopisanie delikatnym mięsie. Elastyczność tej rasy pozwalała lekceważyć prastare mądrości hodowlane. W samym sercu środkowych Indii Pilu dokonał niesłychanego wyczynu, bo na rozprażonych równinach dochował się pierwszorzędných kóz kaszmirskich, wbrew tradycyjnym mniemaniom, że tym zwierzętom odpowiadają pastwiska wysokogórskie. Nie pętał też sobie ręk lokalnymi uprzedzeniami. Kozy mięsne hodowali wegetarianie, lecz pracy przy owych czarodziejskich istotach nie przyplacali utratą przynależności do kasty. Było to nieopisanie piękne przedsięwzięcie, nie wymagało bowiem żadnego trudu, z wyjątkiem wysiłków potrzebnych do podtrzymania Wiary w Istnienie Kóz. Zainwestować należało w milczenie tysięcy chłopów, rządowych inspektorów i innych urzędników, we względy kresowych bandytów, i były to wydatki znaczne, fakt, lecz całkowicie do przyjęcia, zważywszy całość obrotów, której to całości stanowiły tylko ułamek, zresztą (patrz wyżej) znakomicie umniejszony ulgami podatkowymi i subsydiami.

Sto rupii razy sto milionów daje dziesięć miliardów. Czyli dwieście milionów funtów szterlingów. Czyli trzysta milionów dolarów rocznie, wolnych od podatku. Koszty trzymania języków za zębami, przymykania oczu, roczne pensje chłopów troszczących się o Fikcyjne Trzody plus rozmaite inne wydatki nie sięgały nawet pięciu procent tej smakowitej sumy; w sumie pryszcz, a raczej pieprzyk, znamię piękności na ślicznym a nieśmiertelnym wizerunku znamienitego przewału, którego maszynierią Pilu posługiwał się bez przeszkód (mało tego, przy entuzjastycznym wsparciu licznych wybitnych osobistości stanu Maharasztra) przez niemal piętnaście lat.

Trzysta milionów razy piętnaście daje cztery i pół miliarda dolarów. Piętnaście

bilionów rupii. Rzecz jasna, minus koszty. Zatem nie przesadzajmy. Powiedzmy cztery miliardy USD, netto.

Pojechałem do redakcji przegadać pomysł. Anicie chodziło o satyryczną rozkładówkę. Po lewej puste "kozy fermy" Pilu; po prawej hodowle bardziej typowe.

- Przedstawiamy Niewidzialne Kozy Pilu - improwizowała zachwycona. - Są tutaj, jak widzicie, ponieważ ich nie widzicie. W przeciwieństwie do Kóz Widzialnych, które, jak widać, widzicie.

I to mnie, który przechwalał się talentami do niewidzialności, zlecono sfotografowanie widm, Dudhwalowych "koziornic" czy "koziorów". Te czarodziejskie stada Anita chciała mieć na kliszy.

- Nie tylko korupcja chroni Pilu. - Anita spoważniała. - Jest też ta bezgraniczna obojętność Indii. Čalta hai, prawda? i tak to idzie. Spodziewamy się, że nasz Pilu to kanciarz, wzruszamy ramionami i odwracamy się. Tylko kiedy wytrzaszniesz zdjęcia, które posłużą za murowany dowód, zdołamy coś wskórać.

Zdobyła spis wszystkich zarejestrowanych kozich hodowli Pilu, pełną listę.

- Skąd to wytrzasnęłaś? - spytałem pełen podziwu.

Ale Anita miała dosyć oleju w głowie, żeby nikomu nie zdradzać źródła, nawet mnie.

- Prawda wypływa na wierzch - powiedziała. - W końcu zawsze znajdzie się jakiś dobry człowiek, jeśli umiesz szukać. Nawet w Indiach.

- A może zawsze znajdzie się ktoś - skomentowałem mniej idealistycznie - kogo Pilu zapomniał przekupić.

- A może - Anita pociągnęła wątek - leży w naturze szydła, że wyłazi z worka; bo jedyny sposób na zachowanie tajemnicy to nic nikomu nie mówić; dlatego nie odpowiadam na twoje haniebne pytanie o informatora. A Pilu dzieli swoje tajemnice ze zbyt wieloma ludźmi. Aż dziw, że to wszystko nie wyszło na jaw przed laty. Widocznie Pilu płacił cholernie, ale to cholernie dobrze.

- A może - odrzekłem - twoje źródło to raczej jakiś patriota. Ludzie wciąż narzekają, prawda? Że Indie zbyt gorliwie małpują Zachód. Tymczasem mamy pewien własny talent. Byłoby co czcić. W dziedzinie kantów nie musimy się uczyć niczego. Przeciwnie, możemy wykładać. Posłuchaj, właściwie jestem dumny z Pilu. Nienawidzę sukinsyna, ale zakombinował pierwsza klasa.

- Nie ma sprawy - powiedziała Anita. - Spróbujmy mu przyznać to, na co

zasłużył. Padmaśri, a nawet Bharat Ratna. Ale nie; te zaszczyty to za mało. Co powiesz na urzędowe portrety: en face i z profilu, garnitur w paski, karta z nazwiskiem i numer; może da radę?

Spodobało mi się, nie powiem.

- Tylko zrób te foty, Raj. Dobrze? - rzuciła i wyszła z pokoju.

Nic mi nie powiedziała o innym fotografii, którego wysłała przede mną i który nie wrócił; nie to, że bała się mnie spłoszyć, skądże, po prostu wiedziała, jak mnie urazi wiadomość, że zostałem wyznaczony do drugiego rzutu. Teraz chciała, żebyśmy się wybrali razem; zaplanowała wszystko. Mieliśmy polecieć do Aurangabadu, grając nowożeńców w podróży poślubnej; nigdzie się nie obnosić z aparatem. Dla zachowania pozorów oraz z innych jeszcze względów mieliśmy się zatrzymać w Rambagh Palace Hotel i kochać przez całą noc. Żeby wesprzeć historyjkę o miesiącu miodowym - bo wkraczaliśmy w kraj Pilu, gdzie donosicielem mógł być każdy portier, każdy ćaprasi - mieliśmy się wybrać do Adżanty, by tam stać w mrokach jaskiń, kiedy przewodnik zapala i gasi światła, w których pojawiają się i nikną buddyjskie arcydzieła: bodhisattwowie, różowe słonie, na wpół ubrane kobiety o figurach jak klepsydry i idealnie okrągłych piersiach. Ciało Anity było godne każdego fresku, a propozycja atrakcyjna, niemniej wymknąłem się z Bombaju sam, bez słowa i dałem nura w serce Indii, chcąc zrobić to, czego zamiar wyśmiałem u Winy i czego prawie nigdy nie robią w Indiach mieszkańcy miast. Chciałem się wybrać na indyjską wieś. Nie w celu studiowania rytmu i stosunków przerywanych, lecz żeby dorwać kozy starego Pilu.

Po tej dziwnej, przeplatanej gadaniem jedynej nocy z Winą wyjazd dobrze mi zrobił. *Jasne, że niczego nie podpalałam. Myślisz, że puściłam z dymem wasz dom? Twoja matka tak myślała? O rany, cale szczęście. Bo mogę być sobie złodziejką, ale mi nie odbiło.* Chciała się spotkać z matką, zaproponować rekompensatę. Nowe klejnoty zamiast starych. Ale już było za późno. Rozpadlin w naszym świecie nie da się zaplombować. Co spłonęło, nie odpłonie, nie zlepi się, co pękło. Martwa matka, wirujący powoli ojciec, rozsiewający te gorzkie, cuchnące perfumy spod kręcącego się nad sypialnią wiatraka. Agregat. Próbowałem sobie wyobrazić reakcję Amir Merchant na powrót Winy. Myślę, że po prostu otworzyłaby ramiona i przytuliła Winę do serca.

Rozmyślanie na nowo o tamtych czasach - o Amir, Vivwym, pożarze, utraconej miłości, zmarnowanych szansach - tylko denerwowało. Skala tego zamiejskiego

krajobrazu, pośepny, asentymentalny zarys, stwardniałość; służyło mi to. Przemierzanie ogromnej, zakurzonej, obojętnej przestrzeni przywracało poczucie proporcji; lokowało człowieka na swoim miejscu. Jechałem jeepem - wyładowanym zapasami, puszkami i suchym prowiantem, kanistrami z benzyną i wodą, zapasowymi oponami, moimi ulubionymi butami turystycznymi (o tajemniczych obcasach) i nawet małym namiotem - na wschodni kraniec stanu Maharashtra. Trafiłem do imperium Pilu, a teraz rozglądałem się za kuchennymi drzwiami.

Zawsze byłem człowiekiem kuchennych drzwi.

Podróż do środka ziemi. Z każdym kilometrem powietrze stawało się gorętsze, wiatr dotkliwiej palił policzki. Miejscowe robactwo wydawało się większe i bardziej zgłodniałe od żerujących w mieście kuzynów, a ja, jak zwykle, stanowiłem obiad. Droga nie pustoszała ani na chwilę: rowery, konne wózki, strzelające rury wydechowe, przeraźliwe trąbienie autobusów, ciężarówek. Ludzie, wciąż ludzie. Przydrożni gipsowi święci. O zmierzchu krąg mężczyzn obsikujących prastary zabytek, zapewne grobowiec królewski. Biegające psy, włóczące się bydło, popękane, sterczące z wysypisk opony i wszechobecne śmieci, jak przyszłość. Grupy młodzieży z pomarańczowymi opaskami na głowach i flagami. Na murach polityczne hasła. Straganiki herbaciane. Małpy, wielbłądy, tresowane niedźwiedzie na rzemieniu. Mężczyzna uprasuje na poczekaniu spodnie. Fabryczka, komin i dym koloru ochry. Wypadki. *Nocleg na dachu, Rp. 2*. prostytutki. Wszechobecność bogów. Chłopcy w tanich koszulach z kolorowego sztucznego jedwabiu. Wszędzie wokół pączkuje życie, gdzieś zmierza. Karaluchy, juczne zwierzęta, słabnące papugi, wszystko to walczy o pokarm, o schronienie, o prawo do ujrzenia jeszcze jednego dnia w życiu. Młodzi mężczyźni o lśniących od oliwy włosach paradują i puszą się jak jacyś wychudli gladiatorzy, tymczasem starzy doglądają ich dzieci, podejrzliwi, tylko czekają, aż się ich porzuci, odtrąci na bok, ciśnie w błoto. Życie w czystej formie, któremu jedno przyświeca: jeszcze pożyć, nic więcej. Jedynym prawem we wszechświecie tej drogi był instynkt przetrwania, jedyną uznawaną grą - pchać się, póki sił, do upadłego. Być tu znaczyło rozumieć, na czym polega popularność Pilu Dudhwali. Wielki Przekręt z Kozami to było życie tej drogi, tylko na większą skalę. Był arcyprzepchnięciem, które tych ludzi uwalniało od codziennych przepychanek, przedwcześnie wpychających ich do grobu. Był mężem opatrnościowym, cudem, prorokiem. Nielatwo go było ustrzelić.

Mój plan - raczej impuls niż jakaś strategia - polegał na tym, żeby dotrzeć jak najdalej od bitej drogi. Z listy Anity wynikało, że Pilu wiele widmowych ferm ulokował w najodleglejszych zakamarkach stanu, w wielce niegościnnych stronach, gdzie zarys sieci komunikacyjnej ledwie majaczy. Byle hodowca Kóz Rzeczywistych miałby mnóstwo trudności, a także byłby narażony na przesadne i rujnujące wydatki przy najzwyczajszym zapędzeniu zwierząt do rzeźni czy na strzyże. Rzecz jasna, Kozy Fikcyjne nie nastroczały takich problemów i niedostępność "ferm" tylko ułatwiała ukrywanie prawdziwej natury przedsięwzięcia Pilu. Stawiałem na nadmiar zadufania jego pomagierów w tych odległych zakątkach. Ostatnią osobą na świecie, której by mogli się tam spodziewać, był fotograf "Illustrated Weekly".

W tym czasie rozgrywano wrzaskliwie reklamowany samochodowy Rajd Transindyjski; postanowiłem odgrywać zagubionego zawodnika, szukającego jedzenia, wody, wypoczynku i drogi. To mi powinno zagwarantować, jak sądziłem, parę godzin w towarzystwie "koziornic" Pilu. Skorzystanie potem z okazji zależało już od moich zdolności do stawania się niewidzialnym. Zakurzony i zmęczony zjechałem z głównego traktu i poprowadziłem jeepa coraz węższymi, wyboistymi ścieżkami w stronę wzgórz.

Po dwóch dniach dojechałem do rzeki, właściwie strugi pośrodku suchego, kamienistego łóżyska. Przechodził tamtędy chłop - tak bywa zawsze - z nosidłem na ramionach i uwieszonymi dzbankami. Zapytałem o nazwę rzeki, a kiedy w odpowiedzi usłyszałem "Wainganga", ogarnęło mnie dziwne wrażenie, że pomyliłem drogę, że zjechałem ze świata realnego i jakimś cudem ześlizgnąłem się w fikcję. Jakbym przypadkiem nie przekroczył granicy Maharasztry, nie wjechał w stan Madhja Pradeś, lecz w jakąś istniejącą równoległe zaczarowaną krainę. We współczesnych Indiach te wzgórza przede mną, niski grzbiet z parowami porośniętymi dżunglą, to powinno być pasmo Seoni, ale na terytorium magicznym, do którego właśnie trafiłem, te wzgórza wciąż nazywały się po dawnemu: Seeonee. W ich dżunglach mogłem się natknąć na legendarne gadające zwierzęta, których nigdy nie było; stworzone przez pisarza i ulokowane przez niego w odległych ostępach, których nigdy nie widział na oczy: na panterę i niedźwiedzia i tygrysa i szakala i słonia i małpy i węża. A na skraju stromych zboczy mogłem przez moment dostrzec mityczną postać, młodziutkiego człowieka, Fikcyjnego Chłopca, wymysł, ludzkie szczenię tańczące z wilkami.

Hasło dał Chil ścierownik - i już

z mrocznych wądołów

Mang nietoperz wyfrunął bez tremy.*

[*Przekład Józefa Birkenmajera.]

Dotarłem do miejsca przeznaczenia. Błotnista ścieżka o głębokich koleinach wiodła od polnej drogi ku tajemnicom Pilu Dudhwali. Wciąż dławiony tym dziwnym poczuciem nierzeczywistości ruszyłem na spotkanie losu.

Nieodmiennie zdumiewa człowieka, do jakiego stopnia prowincjonalne Indie, te ich najbardziej zapadłe zakątki, pozostają lądem autentycznie nieznanym. Zjedzie się z traktu na wiejskie drożyny i człowiek czuje się od razu jak dawni żeglarze; jak Cabot czy Magellan kontynentu.

Zniknęła teraz polifoniczna rzeczywistość drogi, wyparła ją cisza, bezgłos równie ogromny jak kraj. Była to jakaś prawda bezsłowna, która objawia się przed językiem: coś, co jest, a nie, co się staje. Żaden kartograf nie naniósł dokładnie na papier zarysu tych bezkresnych przestrzeni. Były tu wioski pochowane po różnych zakamarkach, w których nigdy nie usłyszano o Imperium Brytyjskim; byli chłopci, którym nie mówiły nazwiska przywódców narodowych ani ojców założycieli, chociaż Wardha, gdzie Mahatma założył aśram, leży zaledwie o jakieś sto mil dalej. Podróż tymi drózkami to podróż w czasie wstecz o tysiąclecie.

Mieszkańcom miast wmawia się bezustannie, że Indie wiejskie to Indie “prawdziwe”; przestrzeń wyzbyta czasu, a pełna bogów, pewników moralnych i praw naturalnych, odwiecznego porządku kast i wiary, płci i klasy, właścicieli ziemskich i dzierżawców, chłopów pańszczyźnianych i niewolników. Wygłasza się takie oświadczenia, jakby rzeczywistość była czymś solidnym, niezmiennym, dotykalnym. Tymczasem podstawowa nauka, wyniesiona z podróży na wieś, z zatłoczonej ulicy na otwarte, puste obszary powiada, że jedna rzeczywistość została wyparta przez inną. Kiedy zderzają się płyty dwóch różnych rzeczywistości, wówczas odczuwamy wstrząsy, pojawiają się pęknięcia. A człowiek może postradać życie.

Piszę tu o podróży w głąb kraju, w samo serce, bo to tylko inny sposób powiedzenia “żegnajcie”. Ruszam w długą okrężną drogę ku odejściu, bo sam ze sobą spieram się co do tego wyjazdu, przelknięcia go; co do machnięcia na wszystko ręką i ruszenia ku nowemu życiu, po prostu zadbania o tę pomyślną egzystencję. Ja jako szczęściarz: Ameryka!

Lecz piszę i dlatego, że moje życie kręci się wokół tamtych zdarzeń nad brzegami Waingangi, znad których widać wzgórze Seeonee. To był decydujący

moment; to wówczas powstawał pewien obraz utajony, którego nikomu jeszcze nie pokazałem, tajemny autoportret, duch w maszynie.

Teraz większość czasu mogę spędzać jak nigdy dotąd. Jestem człowiekiem szczęśliwym, mogę swemu psu rzucać patyki na amerykańskiej plaży, nie przejmować się, że zamoczyłem w falach Atlantyku mankiety kamiennoszarych bawełnianych spodni, ale czasami budzę się w nocy i przeszłość zawisa tuż przede mną, kołysze się powoli, wokół warczą bestie z dżungli, rozpala się ponury płomień, a oni podchodzą coraz bliżej.

Wina: Przysięgam, że otworzę przed tobą serce, przysięgam, że niczego nie ukryję. Więc i ja muszę się zdobyć na odwagę i też ujawnić tę straszną historię o sobie, której prócz mnie nikt nie zna. Muszę ją wyjawić i stanąć bezbronny przed sądem kogokolwiek, kto się pokwapi sądzić. Jeśli ktoś jeszcze został. Znaście tę starą piosnkę. Nawet prezydent Stanów Zjednoczonych musi stanąć czasem nago.

Czyli: myłem ręce w mętnej wodzie, myłem, lecz wcale przez to nie odmyłem.

W pewnym momencie zostawiłem jeepa przy ścieżce i ruszyłem dalej na piechotę. W miarę podpełzania do celu ogarniało mnie podniecenie - chociaż nie, to było coś więcej, dużo więcej niż zwykły kop: prawdziwe spełnienie - i nie miałem już śladu wątpliwości, że odkrywam, czego pragnę najbardziej. Bardziej niż pieniędzy, niż sławy, może nawet bardziej niż miłości.

Własnymi oczami spoglądać w oczy prawdzie i przejrzeć ją, przewiercić. Widzieć, **jakie** to jest, i **takie** pokazać. Zedrzeć wszystkie zasłony, a bijący w niebo wrzask tego, co się objawi, zamienić w czystą ciszę obrazu i pojmać; najtajniejsze cuda świata włożyć do walizki i przynieść z wojny do domu swej jedynej-w-życiu, a przynajmniej redaktorce pisma, z którą człowiek sypia dwa razy na tydzień.

Ten świat nie był jednak wrzaskiem. A bezruch nie był zaciszą wsi, o nie. Wkroczyłem na terytorium kozy za cztery miliardy dolarów, a koza, jak wiadomo, to prastara awatara diabła. Pozwólcie, że wyznam: w tej magicznej ciszy poczułem trochę lęku i to, że nie ma tu skąd liczyć na pomoc.

Pospędzano już trzody do zamkniętej zagrody

Teraz do dnia my hasać będziemy.*

[*Przekład Józefa Birkenmajera.]

Widziałem przed sobą jakieś zabudowania. Parę chałup i obór, ale gdzie

wieśniacze trzody? Z tych kanciarskich szop Pilu coraz donośniej niosło się milczenie, wymowne jak ryk lwa. Sięgnąłem do naszywanej kieszeni na prawej nogawce, poczułem tę dodającą pewności obecność małej płaskiej leiki, którą sprawilem sobie na pamiątkę spotkania z wielkim Henrim Hulotem. A potem wokół mnie podnieśli się ludzie trzymający w rękach proste rolnicze narzędzia - i tyle na temat fotografowania.

Widzieli, jak nadchodzę, co najmniej na milę; co zresztą niewiele znaczy. W moim długim a urozmaiconym życiu zawodowym opłaciłem lub wybałamucilem sobie drogę przez posterunki lokalnych watażków w Angoli i byłej Jugosławii, w dwudziestu siedmiu różnych rewolucjach i większych wojnach umiałem znaleźć drogę tam i z powrotem. Kordony bezpieczeństwa mediolańskich i paryskich pokazów mody, pierścienie uzbrojonych i nie uzbrojonych ochroniarzy na trasie kobiet i mężczyzn sprawujących prawdziwą władzę, różni *maitres d* najważniejszych restauracji na Manhattanie, a ja, pstryk, strzelam palcami przed tym ich zbiorowym nosem. I nawet podczas tej wczesnej przygody, jeszcze żółtodziób, spokojnie stawiałem na umiejętność zamydlenia oczu tym przedpotopowym kmiotom, a potem wywiedzenia się wszystkiego o hodowlanym szwindelku.

Chyba że to nie żadne kmioty, lecz mordercy, jedna z budzących lęk band, pętających się po owych niewidzialnych stronach. Chyba że Pilu strzeże swych machinacji właśnie ich rękami. Chyba że mnie tu zamordują, a ciało rzucą sępom i krukowi.

Zabrakło nam wspólnego języka. Ci, którzy mnie schwytali, mówili jakimś lokalnym dialektem, z którego nic nie rozumiałem. A konwersacja szybko okazała się zbyteczna. Najpierw obrali mnie z aparatu, rolek filmu, kluczyków od jeepa i pieniędzy, potem zawlekli na miejsce, gdzie powinny meczeć rzekome kozy. A tam spotkałem innego dziennikarza; tego właśnie, o którego istnieniu nic nie wiedziałem. Czekał w oborze, gdzie wisiał na długiej belce i obracał się powoli w podmuchach gorącego wiatru; ubrany niemal tak jak ja. Te same kieszenie naszyte na nogawkach, te same buty do pieszej wędrówki. Pod nogami ten sam pusty futerał od aparatu. Nie żył od dawna, zbyt dawna; kiedy zacząłem wymiotować, uświadomiłem sobie, że w moją bajeczkę o Rajdzie Transindyjskim raczej by tu nie uwierzono.

Dlaczego nie powiesili mnie od razu? Nie wiem. Pewnie przez nudę. Na takim zadupiu nie ma co robić, nawet nie sposób posunąć sobie kożę, bo nie ma kóz. Więc trzeba dawkować przyjemności. A co najmniej połowa frajdy to czekanie. Tak samo

robią krokodyle. Czasem trzymają całymi dniami półżywą zdobycz, na później. Tak mi opowiadano.

Lenistwo i nuda ocaliły mi życie. Ci hodowcy fikcyjnych kózek i koziołków od piętnastu lat zarabiali nielegalnie na życie nicnierobieniem. Jeżeli byli bandytami (wątpiłem w to coraz bardziej), to zupełnie już stracili ikrę. Na ogół tędzy, zwiotczali, raczej nie wyglądali na chłopów ani bandytów. Korupcja spulchniła im ciała i wyżarła ducha. Związali mnie i porzucili, wciąż wymiotującego (choć nie miałem już czym) z powodu odoru, który wydzieliał martwy kolega, wydane go na łup wszelkich pełzających paskudztw, dla których trup stanowi okazję do wielkiego międzygatunkowego spotkania.

W nocy pasterze widmowych trzód urznęli się w sąsiedniej chacie, a wrzaski towarzyszące pijatyce ustały, kiedy wszyscy stracili przytomność. Udało mi się uwolnić ze sznura, niedbale zawiązanego wokół nóg i rąk; po paru chwilach uciekłem. Jeep stał, gdzie go zostawiłem, obrabowany, lecz z odpowiednią porcją paliwa w baku, by dostać się do miasta. Połączyłem przewody na ostro i odjechałem najszybciej jak pozwalał teren. Nie włączałem świateł. Na szczęście drogę oświetlał jasnożółty, jeszcze dosyć okrągły księżyc.

- Dzięki Bogu - powiedziała Anita, kiedy dorwałem się do telefonu, zamówiłem rozmowę na koszt odbiorcy i obudziłem ją.

“Dzięki Bogu”. Byłem o tę odżywkę tak wściekły, że naurągałem jej przez telefon. Lęk, niebezpieczeństwo, panika, ucieczka, stres: te rzeczy owocują bardzo dziwnymi, zastępczymi skutkami.

Dzięki Bogu? Nie, nie, nie. Nie wyszukujmy kogoś tak okrutnego, złośliwego, mściwego, nietolerancyjnego, niekochającego, niemoralnego, aroganckiego jak Bóg po to tylko, by wyjaśnić łut głupiego, niezasłużonego szczęścia. Nie potrzebuję żadnego wielorękiego Kosmicznego Tancerza ani siwobrodego Bezimiennego, ani gwałcącego dziewice Gromowładcy czy pustoszącego świat potopem i ogniem Maniaka, by przypisać któremuś z nich zasługę ocalenia skóry. Tego drugiego faceta nikt nie ocalił, prawda? Nikt nie ocalił ludzi w Indochinach, w Angkorze, nikt nie ocalił Kennedych ani Żydów.

- Znam to na pamięć - powiedziała. Uspokajałem się.

- No dobra - odburknąłem. - Chciałem tylko, żeby pewne sprawy były jasne.

Zdjęcia, które przywiozłem do Bombaju, wywołały wielką sensację, chociaż z czysto estetycznego punktu widzenia były tak nudne i nijakie jak Pierwsza Fotografia,

ów stary monochromatyczny widoczek na mury i dachy z okna studia Josepha Nicephore'a Niepce'a. Przedstawiały pustkę, zagrody i pastwiska, obory i szopy, w których nie ma ani jednego zwierzęcia; to były fotografie płotów i drzwi, pól i stajni. Zdjęcia nieobecności. Za to wszędzie było widać malowane przez szablon napisy Dudhwała Industries, na ścianach drewnianych domów, na słupkach płotów, na różnych pojazdach, wózkach czy ciężarówkach. Jak banalność koziej strawy natchnęła Pilu do obmyślenia potężnego kantu, tak banalność tych zdjęć - coś, co by można nazwać rozstrzygającym upustkowaniem - posłużyła do dekonstrukcji szwindlu. W parę tygodni po publikacji zdjęć wyborowa ekipa prowadziła już śledztwo w sprawie nadużyć, a w trzy miesiące później wydano nakazy aresztowania Pilu Dudhawli, lwiej części "bufonarium" oraz parudziesięciu pomniejszych współników w obu stanach.

Osobliwość afery zainteresowała zagranicę. Zdjęcia doczekały się licznych reprodukcji, na skutek czego otrzymałem krótki, odręczny liścik od pana Hulota, w którym gratulował mi scoop *de foudre* i proponował pracę dla znanej na całym świecie fotograficznej Agencji Nabuchodonozor, którą - z Amerykaninem Bobbym Flowem, "Chipem" Boleynem z Anglii i jeszcze jednym Francuzem, Paulem Willym - założył w roku moich narodzin. To tak, jakby sam Zeus poklepał mnie po ramieniu i zaprosił, bym się przyłączył do niego i tych innych nagich wszechwładnych figlarzy i usadowił na szczycie ich legendarnej góry.

Był to początek życia, które już odtąd prowadziłem zawsze; pierwszy dzień, można powiedzieć, życia męskiego. A jednak, jak uważny czytelnik już chce wyprorokować, coś tu paskudnie nie gra.

Pora, by po latach odpowiedzieć na parę pytań.

Raj - brzmi pierwsze z nich - jakim cudem człowiek z zawiązanymi rękami i nogami może zrobić całą rolę zdjęć? I jak może sfotografować "kozią fermę", na której nigdy nie był (bo na zdjęciach wyraźnie widać dwa zupełnie różne gospodarstwa w różnych częściach kraju)? Ale najbardziej zdumiewające jest to, jak człowiek może coś sfotografować, kiedy mu zrabowano cały sprzęt?

Mógłbym odrzec, że był jeszcze jeden aparat schowany w jeepie, przyklejony taśmą we wnęce błotnika nad prawym tylnym kołem, a te krwiożercze sukinsyny go przegapiły. Mógłbym odrzec, że bodźcem do furiackiej, niebezpiecznej misji był dzień spędzony na totalnym rzyganiu w towarzystwie wisielca ubranego jak ja, w identycznych butach, o rozdętej, szerniałej twarzy, na której malowało się - takie miałem wrażenie, ku swej udręce - coś więcej niż powierzchowne podobieństwo do

mojej. Mógłbym odrzec, że zrobiłem to dla niego, dla zamordowanego, cuchnącego kolegi, *mon semblable, mon frere*. Dla bliźniaka, o którego istnieniu nic wcześniej nie wiedziałem.

Zamieniłem się cały w czujność i rozwagę. Znalazłem w nocy kryjówkę, z której mogłem coś zrobić w dzień. Stałem się niewidzialny, nieruchomy, niepokonany. I zrobiłem te zdjęcia. Oto one. Te sukinkoty są za kratami. Czym mogę jeszcze służyć? Czy państwo chcą się jeszcze czegoś dowiedzieć? Co takiego? Co pan powiedział?

Dlaczego nie dokupił pan filmu?

Ależ, na miłość boską, obrabowali mnie. Byłem goły.

A potem przyjechała Anita i zabrała pana do domu.

Zgadza się.

Więc kiedy pan się dostał w to drugie miejsce, dalej, na wzgórzach Miradź?

Później. Dotarłem tam później. W czym rzecz?

W takim razie dlaczego pan nie wziął więcej filmów?

No cóż, wydaje się państwu, że o tych parę fotek było łatwo? Zrobienie pięciu czy sześciu graniczyło z cudem. A ja przywiozłem całą rolkę.

Proszę nam opowiedzieć o butach, Raj. Niech pan opowie o tych butach turystycznych.

Dosyć. Zamknijcie się. Nie mogę.

Nie możesz; ale musisz.

W porządku; z tymi specjalnymi, importowanymi butami turystycznymi jest tak: jeśli delikatnie poluzujemy wkręt pod obcasem, możemy obrócić cały obcas, a wtedy się odsłoni mała wnęka. Jak znalazł na rolkę filmu. Do tej sztuczki uciekałem się parę razy, na przykład podczas fotografowania wieców Osi Mumbaj. I teraz, szczerze mówiąc, też. Kiedy wysiadałem z jeepa w roli "pogromcy koziornic", miałem w każdym obcasie po rolce.

Wisielec i ja spędziliśmy ze sobą kawał czasu. Jego stopy dyndały wcale blisko mego nosa pełnego odrazy tak i pomyślałem o obcasach jego butów tak a kiedy ściągnąłem sznury tak zmusiłem się żeby do niego podejść i mimo smrodu że koniec świata tak gryzących insektów tak gardła jak otwarta rana tak i oczu obolałych od wyłazenia z orbit kiedy haftowałem tak przytrzymałem te jego obcasy wpierw jeden potem drugi i lewy okazał się pusty tak ale prawy zachował się jak należy tak w dłoń wpadła mi rolka tak i na to miejsce włożyłem nie naświetlony film wyciągnięty z

własnego buta tak i wtedy to jego ciało wydało mi się istnym pachnidłem tak a serce biło mi jak szalone tak i wtedy uciekłem trzymając w dłoni los Pilu i mą świetlaną przyszłość tak do diabła ze wszystkim powiedziałem tak ponieważ równie dobrze mogłem to być ja tak jako jeszcze jeden wiszący okaz i powiedziałem tak chcę tak i zrobiłem to. Tak*.[* W nawiązaniu do przekładu Macieja Słomczyńskiego (James Joyce, *Ulisses*).]

Oglądałem teraz *Ugetsu Monogatari*, japoński film, wychwalany przez Hulota. Chyba ze dwanaście razy. To nie tylko historia o duchach; jest i wątek poboczny. Biedak chce zostać wielkim wojownikiem, samurajem. Widzi pewnego dnia, jak ginie sławny zabijaka. Biedak się chełpi, że pokonał herosa. I tak zyskuje sławę. Do czasu.

Nigdy nie powiedziałem, że to moje zdjęcia. Ja je tylko wywołałem, w redakcji "Weekly" dałem Anicie to, co wyszło, i pozwoliłem, by wszyscy uznali je za moją zasługę. To co innego niż chełpienie się.

Kogo nabieram?

No właśnie. Teraz zdejmuję maskę, możecie zobaczyć, kim rzeczywiście jestem. W tych przeplatanych wstrząsami, niepewnych czasach wybudowałem dom - mówiąc oględnie - na indyjskich ruchomych piaskach. *Terra infirma*.

Pilu Dudhwała wykręcił swój numer, a ja - jak widzicie - swój. On się dorobił czterech miliardów dolarów. Ja po prostu nazwiska.

Przyniosłem film, chociaż nie ja zrobiłem zdjęcia. Nie ujrzałyby nigdy światła dziennego, gdybym nie znalazł rolki; ale to nie były moje prace. Pilu mógłby nigdy nie zostać oskarżony, mógłby nigdy nie trafić do więzienia, mógłby do śmierci tłuc te kozie miliardy, gdyby nie ja. Lecz to nie były moje zdjęcia. Zdarzyło się to wszystko ćwierć wieku temu i przez ten czas naprawdę dorobiłem się ostróg, zasłużyłem na tę swoją cholerną sławę, zapracowałem na wszystko, co mam. Ale zdjęcia, które mi dały nazwisko, które ściągnęły na mnie uwagę świata? Nie były moje, nie były moje, nie były moje.

Zbyt ludzki dla Wilczej Gromady, zbyt wilczy dla człowieka Mowgli postanowił samotnie polować na wzgórzach Seeonee. Niezła decyzja jak na fotografa. Po przygodach nad brzegami Waingangi przywłaszczyłem sobie to wycie; zew Ludzkiego Szczęścia stał się moim.

Inna gorzka pigułka: zdemaskowanie zaprowadziło Pilu do celu, lecz zamiast go zrujnować, uczyniło jeszcze większym. Skala produdhwalowych demonstracji w

wiejskich obszarach stanów Maharasztra i Madhja Pradeś przestraszyła i zdumiała elitę władzy w Bombaju i Delhi. W oskarżeniu Pilu zaczęto się dopatrywać aktu zemsty ze strony "sitwy angielskiej", elit liberalnych, na człowieku naprawdę wywodzącym się z mas, synu tej ziemi. Kiedy już siedział, ogłosił, że zamierza się ubiegać o urząd publiczny, a wkrótce jego kampanii nic nie mogło powstrzymać. Bombajski kryminal szybko się przeistoczył w królewski dwór Pilu. W celi urządzonej jak sala tronowa Golmatol z córkami codziennie wydawała uczty. Wizyty i hołdy składały bardzo ważne osobistości. Dygnitarze OM wsparli starania Pilu o urząd burmistrzowski i po sześciu miesiącach spędzonych w pudle Pilu te wybory wygrał. Wniesiono więc o ułaskawienie, które spiesznie przyznał prezydent Indii po stanowczej interwencji coraz potężniejszego Sandżaja Gandhiego, murowanego kandydata na premiera. Rozpisano wybory powszechne i Partia Kongresowa kierowana przez Indirę, w koalicji z sojusznikiem, nowymi nacjonalistami hinduskimi, w tym z Osią Mumbaj w Bombaju i Maharasztrze, zmiotła przeciwników w całym kraju i odzyskała władzę. Zniesiono stan wyjątkowy. Już do niczego nie był potrzebny: to elektorat sam ustanowił tyranie i korupcję. Calta hai.

Tak to leci.

Większość tego - ubóstwienie Pilu, całkowite zwycięstwo piluistycznych wartości nad wszystkim w Indiach, co zaczynałem z wolna kochać - to już czasy po moim wyjeździe. Posłuchajcie: mając w kieszeni propozycję Agencji Nabuchodonozor, wyjechałbym z Indii tak czy owak, ale zachowałbym więzi ze starym krajem, uczyniłbym go, jak sam Hulot, jednym z moich tematów, bo Indie tkwiły we mnie, skolonizowały każdą z moich komórek, były uzależnieniem tak głębokim, że zniszczyć można je było, tylko zabijając uzależnionego; tak to przynajmniej sobie naiwnie wyobrażałem. Ale tymczasem coś się zdarzyło: pod koniec tygodnia, w którym Pilu powędrował do więzienia, Anitę Dharkar w środku nocy pobito i zgwałcono we własnym domu, a napastnicy, którzy nawet nie potrudzili się zamaskować twarzy, zawiadomili, że następny port, do którego zawiną, to ja; kazali jeszcze powtórzyć, że w moim wypadku nie okażą się tak delikatni i uprzejmi jak teraz.

- Masz dokąd iść? - spytała. Wybierałem się do niej, ale powiedziała, że nie, pod żadnym pozorem, jest pod opieką rodziny; wydobrzeje. Wiedziałem, że nie wydobrzeje. - Musisz wyjechać z kraju - powiedziała. - Sprawy się znacznie pogorszą, zanim się polepszą.

Spytałem, czy chce pojechać ze mną. Głos dobiegający niewyraźnie spomiędzy opuchniętych warg był nadpęknięty, potrząskany, a ciało, cóż, nie wiedziałem, co myśleć o tym, co z nim zrobiono. Ale nie chciała wyjeżdżać.

- Ze mną już skończyli - powiedziała. - Więc nie ma problemu. - Wciąż uważała Indie, jakie są, znieprawione, oszukańcze, nieczułe, pełne przemocy, za swe jedyne miejsce na ziemi, nie wyobrażała sobie przynależenia gdzie indziej. I należała do nich; wbrew tej przerażającej napaści nie umarły w niej optymizm i nadzieja. Tylko tu umiała się określić, znaleźć sens w sobie; jej korzenie wrosły tu za głęboko, za szeroko się rozprzestrzeniły.

Coś domagało się ode mnie wyjazdu. Od niej, coś innego - pozostania. W mojej historii - która jest również historią Ormusa Kamy i Winy Apsary - cięta, przemiła, słodko śpiewająca Anita Dharkar, którą splugawiono, karząc za zbrodnię prawości, Anita redaktorka, Anita bohaterka i patriotka, jest łodzią płynącą pod prąd, uparcie zmierzającą w przeciwnym kierunku niż ta opowieść.

Jej ideałem były Indie, które by na nią zasługiwały, udowodniły, że miała rację, zostając. Zdarzają się kobiety, które nie rozwodzą się z mężem-chamem bijącym żonę. Widzą dobro w tych złych mężach.

A ja miałem dokąd jechać, fakt. Zamknąłem dom na klucz, odprawiłem służbę i poszedłem do Persis. *Załatw mi bilet, Persis. I tak to ulóż z twoją linią lotniczą, żebym mógł podróżować pod fałszywym nazwiskiem. Nie pytaj dlaczego. Zresztą nie chcesz wiedzieć. Wyjeżdżam, Persis; robię to, co zawsze przepowiadałaś. Dziękuję. Przepraszam. Żegnaj.*

Persis, szlachetna odzwierciedlająca nasze losy. Stoi nad rzeką dzielącą światy; pomaga nam się przeprawiać, lecz sama jej przebyć nie może.

Nawet po napaści na Anitę nie miałem tego przeświadczenia, że na dobre opuszczam mieszkanie przy Nabrzeżu Apollińskim, że wychodzę i moja noga już nigdy nie postanie w tych pokojach; ani na tej ulicy, na której już nie będę się opędzał od paczki urwisów Wirusa Kamy; ani w mieście, gdzie już nie będę obserwował wgrzyzania się domów w niebo; ani w żadnej części Indii, chociaż Indie pozostają częścią mnie, równie nieodzowną jak kończyna. Indie, gdzie pochowałem rodziców; Indie, których zapachy są zapachami domu. Pełen oczekiwań zmierzałem ku nowemu życiu, jakiego pragnąłem, ale nie miałem wcale poczucia, że palę mosty. Wrócę, to jasne. Sytuacja się uspokoi. Pulu teraz się pną, ale wkrótce da ciała. Poza tym nikt nie

pamięta wszystkiego, powrót w roli wielkiego fotografa Agencji Nabu zapewni mi przyjęcie z otwartymi ramionami i dostęp do wszystkich drzwi. Jasne, że tak. Prawdziwe życie to nie trzęsienie ziemi. Może pojawią się jakieś pęknięcia, lecz większość da się z grubsza załatać. To nie rozwieranie się rozpadliny z science fiction, nieprzekraczalnie szerokiej. Po prostu koniec-części-pierwszej, początek-części-drugiej.

Ale bitwę wygrali piluiści; piluizm i jego bliźniak: delhijski sandżaizm. Kiedyś Delhi i Bombaj nienawidziły się nawzajem. Bombajscy ważniacy drwili, jak to delhijczycy wpierw liżą władzę w tyłek, a potem obracają, by jeszcze obciągnąć znudzoną fujarę. A delhijczycy wyśmiewali ciągnący do pieniądza jak robak do łajna, połączany, szpanerski bombajski materializm. Nowy sojusz połączył przywary obu stron. Korupcja pieniądza i korupcja władzy zjednoczyły się w nadkorupcję, z którą nie mógł się mierzyć żaden oponent. Nie przewidziałem tego nigdy, ale wyczuła to przed laty lady Spenta Kama.

To, co w nas jest najlepsze, tonie w najgorszym.

Nie sposób było tknąć tych dwóch. Prawo nie mogło dosięgnąć Pilu, a Sandżaj też sobie żył jak w bajce. Nawet kiedy wykręcał, jak idiota, pętlę nad oficjalną rezydencją matki, a silnik jego sportowego samolotu właśnie zgasnął, udało mu się przeżyć awaryjne lądowanie. Och, to całe kaliguliańskie barbarzyństwo Indii za konsulatu tych strasznych bliźniaków! Pobicia, zastraszanie, sadzanie do kryminału, branie pod obcas, podpalenia, wygnania, kupowanie, sprzedawanie, bezwstyd, jeszcze raz bezwstyd; wstyd.

Wiem, że teraz jest inaczej. Poczwórne zabójstwo. Wiem. Ludzie mogą powiedzieć, że za długo mnie nie było, że nie rozumiem sytuacji, że to nie tak, że pod pewnymi względami jest lepiej, mimo że pod innymi gorzej.

Ale ja opowiadam, jak to się odczuwa po latach. Otóż jak zakończenie; w środku życiowej drogi. Nieodzowne, bez którego ta druga połowa byłaby niemożliwa. Więc to wolność? Niezupełnie. Ani też jakieś wyzwolenie. Nie. Raczej rozwód. W którym byłem stroną przeciwną rozpadowi małżeństwa. Byłem tym, który siada, czeka i wmawia sobie: wszystko będzie dobrze, ona dostrzeże te lepsze strony, wróci do mnie i sprawy na pewno się ułożą. Ale nie wróciła. A teraz wszyscy jesteśmy starsi, już za późno, łańcuchy nawet się nie zerwały, przetarły się już przed laty. Pod koniec małżeństwa przychodzi taki moment, że człowiek musi się odwrócić od żony, bo już

nie do zniesienia jest wspomnianie, jak pięknie było kiedyś, i kieruje wzrok ku reszcie życia. To właśnie ja w tym punkcie tej opowieści. Znowu porzucony.

Więc zegnaj, mój kraju. Nie martw się; nie zastukam do drzwi. Nie zadzwonię w środku nocy, by odłożyć słuchawkę, kiedy się odezwiesz. Nie będę snuł się za tobą po ulicy, kiedy wyjdiesz na spacer z innym facetem. Mój dom spłonął, rodzice nie żyją, ci, których kochałem, w większości powyjeżdżali. Tych, których wciąż Kocham, muszę porzucić na dobre.

Jadę - poluję - samotnie.

Moje Indie! Pływałem w ciepłych indyjskich wodach, biegałem roześmiany po indyjskich górskich łąkach. Och, dlaczego wszystko, co mówię, zaczyna w końcu brzmieć jak filmi gana, jakaś cholerna tandetna śpiewka z naszego Bollywoodu? Proszę bardzo, nie ma sprawy: chodziłem brudnymi indyjskimi ulicami, zwiąłem się z bólu, dotknięty chorobami spowodowanymi przez indyjskie zarazki. Soliłem niepodległą indyjską solą i piłem do mdłości słodką herbatę z indyjskich przydrożnych kramów. Przez wiele lat malaryczne indyjskie komary żarły mnie wszędzie, gdzie się znalazłem, a latem na pustyniach całego świata kłuły mnie te niezrównane kaszmirskie pszczoły. Indie, moja *terra infirma*, mój maelstromie, mój rogu obfitości, mój tłumie. Indie, nadmiarze, wszystko-naraz, moja pięciojęzyczna hugma, moja baśni, moja matko, ojczyzna i pierwsza wielka prawda. Możliwe, że nie jestem cię wart, mój kraju, bo jestem niedoskonały, przyznaję. Może nie pojmuję, czym się stajesz, czym może już jesteś, lecz mam dość lat, by powiedzieć, że twoje nowe ja to byt, którego już nie chcę ani nie muszę rozumieć.

Indie, krynico mojej wyobraźni, przyczyno mojej dzikości i złamania serca.

Żegnajcie.

9. Błona

Jeden wszechświat się kurczy, drugi rozszerza. W połowie lat sześćdziesiątych Ormus Kama rzuca Bombaj, rusza do Anglii i znów jest sobą; czuje w żyłach tętno swej prawdziwej natury. Samolot wzbija się z rodzinnej ziemi Ormusa, wraz z nim Ormusowe serce, a sam Ormus - istota zmiennokształtna, zmiennoskóra, wąż - bez namysłu zrzuca starą powłokę i przekracza granicę, jakby jej w ogóle nie było. W najtańszej klasie współpasażerowie spowijają się w kokon obojętności; siedzą stłoczeni, czeka ich życie obcych, a odgrywają niedociekliwość, by podtrzymać iluzję, że się nie obserwują nawzajem. Wyzwolony Ormus ani myśli wdawać się w te pruderyjne komedie. Jest uskrzydłony. Wyrasta z siebie. Jawnie, przeciągle przygląda się podróżnikom, utrwala ich w pamięci, *to z tymi ludźmi zmierzam w Nowy Świat*, nawet przemawia do nich, rozbraja uśmiechem.

Witamy na *Mayflower*, pozdrawia; ściska dłonie pasażerom przechodzącym obok fotela w drodze do pustynnych królestw, zalęknionym, nic nie rozumiejącym chłopom z wiosek w głębi kontynentu, straszliwie spoconym podrzędnym menedżerom w tanich garniturach, marszczącym brwi przyzwoitkom: orszakowi panny młodej, zawołowanej i omdlewającej w różowej ghararze z przesadnymi złotymi haftami, pewnemu nierozważnemu studentowi, którego czekają cztery żalosalne lata angielskiej szkoły z internatem - i dzieciom. Bo dzieci są tu wszędzie: biegają w przejściach, udając samolot, czym wprawiają w popłoch stewardesy, stoją nieruchomo na fotelach, poważne spojrzenie świadczy, że może lepiej niż dorośli rozumieją doniosłość chwili; zapięte pasami drą się wniebogłosy, jak lunatycy w kaftanie bezpieczeństwa; a ich ubiory, wełniane, workowate jak cyrkowy kostium śpioszki w praktycznych szarościach i granatach, wkrótce zdradzą obcość dzieci w nowych, jeszcze nie widzianych domach, wyjawiają trudność przystosowania do północnych niedoświetlonych klimatów.

Jesteśmy Dziećmi Pielgrzymami, myśli Ormus. Miejsce, gdzie postawimy stopę, nazwiemy Bombay Rock. Bum, czikabum, czikabum, bum.

On też starannie wystroił się do podróży, postawił na niedbałą kombinację amerykańską: bejsbolowa czapeczka Yankees, biała beatnikowska koszulka z obciętymi i postrzępionymi rękawami, zegarek z Myszka Miki. Jest też akcent europejski, czarne dzinsy biodrówki, które Ormus dosłownie sperswadował z tyłka

jakiemuś włoskiemu turyście; egzaltowany smarkacz, jeden z pierwszych długowłosych z Zachodu, przyjeżdżających do Indii w poszukiwaniu plaż i iluminacji, okazał się absolutnie bezbronny wobec Ormusowych oszalamiających zdolności przekonywania; w efekcie został przy Gateway oniemiały, bez spodni, z prawą dłonią pełną pieniędzy i podarunkiem - starannie złożonym lungi Ormusa - przewieszonym przez lewe ramię, wyciągnięte w geście zdumienia.

Niech sobie Anglia będzie najbliższym przystankiem, ale nie celem podróży, oznajmiały ciuchy Ormusa, nie ugrzęznę na wyspie; niech Stara Anglia udaje gibanie, ale ja wiem, że się tylko zatacza. Tam nie strzelają korki, tam się korkuje^ Dzisiejsza Anglia to namiastka Ameryki, jej spóźnione echo; to Ameryka o lewostronnym ruchu. Jesse Garon Parker to biały amerykański łach, któremu się zachciało śpiewać jak czarne chłopaki, fakt, ale Beatlesi, na miłość boską, to białe angielskie gnojki, którym się zachciało śpiewać jak amerykańskie *girls*. Jak Crystals Ronettes Shirelles Chantels Chiffons Vandellas Marvelettes; więc czemu, chłopcy, nie wbijecie się w kiecki z cekinami, nie ufryzujecie na łbach pszczelich uli zamiast tych słodkich kędziorków i nie zafundujecie sobie chirurgicznej zmiany płci, jak już to już, idźcie na całość.

Oto myśli Ormusa przed postawieniem stopy w Anglii, w Ameryce, gdziekolwiek poza ziemią rodzinną porzucaną właśnie na zawsze, bez żalu, bez oglądania się za siebie: **chcę do Ameryki, do Ameryki**, gdzie wszyscy są jak ja, bo są skądinąd. Te wszystkie historie, prześladowania, rzezie, piractwo, niewolnictwo; te tajemne rytuały, wieszanie czarownic, lejące łzy dziewice z drewna, rogaci niezłomni bogowie; te tęsknoty, nadzieje, chciwość, bezprawie, cała ta masa dodana do bajecznego, hałaśliwego, wyzbytego historii, samowynajdującego się społeczeństwa, w stanie kotłowaniny i wirów; te różnorakie językowe łamańce dodawane do najżywszej angielszczyzny świata; a nade wszystko cała przemycona tam muzyka. Bębny afrykańskie, których rytm niósł niegdyś wiadomości poprzez rozległe krajobrazy, gdzie muzykują nawet drzewa, jak choćby te chłone wodę po suszy, wsłuchajcie się: jakitaka, jakitaka, jakitak. Polskie tańce, włoskie wesela, Grecy z cytrami i zorbą. Pijane rytmy świętych salsy. Ta łagodna muzyka od serca, która uzdrawia nasze obolałe dusze, i ta gorąca demokratyczna muzyka, której nigdy dość czadu, sprawiająca, że nawet gacie rwą się do tańca. Ale jest taki chłopak z Bombaju, który dopełni tę amerykańską opowieść, podchwyci muzykę, potem rzygnie nią, pchnie na anteny, ona runie na ludzi i zainspiruje całe pokolenie, dwa pokolenia, trzy. Hej, ho, Ameryko! Tańcz, jak ci zagrają.

Chociaż żąda się od niego, by tkwił na miejscu, rozpiera się w ciasnym fotelu jak na tronie, rezyduje w tej ograniczonej przestrzeni, stwarzając wrażenie całkowitej, iście królewskiej beztroski. W przepływających pod nim krajach inni królowie krzątają się koło swych spraw. Król Afganistanu bawi się oprowadzaniem nadzianych turystów, tymczasem szykowne sklepy przy głównych stołecznych ulicach oferują haszysz w pakietach opatrzonych rządową gwarancją jakości i mocy; szach Iranu kocha się z żoną, jej jęki rozkoszy mieszają się z wrzaskiem tysięcy pochłoniętych przez izby tortur SAVAKu; królowa angielska je obiad z Lwem Judy, a król Egiptu kona. (W Ameryce zaś - czarodziejskiej krainie, której zarys z wolna, ale nieustępliwie rośnie przed dziobnicą prywatnego Ormusowego *Argo* - kona inny król, Nat "King" Cole.)

A Ziemia - zdumiewająco, nieodpowiedzialnie - wciąż się obraca.

Nie wszystkich zachwyca zmierzanie na Zachód. Wirus Kama siedzi prosto, jak wryty, między matką a bratem i pewnie czuje, jak rośnie odległość dzieląca go od osadzonego w więzieniu Cyrusa; więź łącząca go z bliźnim bratem rozciąga się i napina, aż zdaje się, że niema twarz nabrzmiewa z bólu. Uroczyście wystrojona panna młoda cicho płacze pod welonem, czym jej spoceni stróże niewiele się przejmują. A Spenta Kama w stanie najwyższego napięcia zaciska kciuki; uskrzydłona, rozmodłona leci na randkę w ciemno z Williamem Methwoldem, rozegrać tę wielką partię o przyszłość.

Ormus przymyka oczy i osuwa się, jak w omdleniu, w samolotowe mętne sny. W zakamarkach śnionego Las Vegas ściga smoka, kłęb dymu, nicość: zarazem zmarłego bliźniego brata Gajomarta. Z Ormusa opada przeszłość. Wina wymyka się z Ormusowego wczoraj, teraz jest jutrem, czeka, jest jedyną przyszłością. Ormus Kama pogrąża się we śnie i prosi Los: Wstrząśnij mną. Ukołysz na piersi muzyki jak dziecko. Wstrząśnij, aż wszystko we mnie zadudni, ale nie połam; zahuśtaj, zachybocz, zakoleb, tocz mnie jak echo grzmotu, jak kamień. *Shake, rattle, rock and roll me, like thunder, like a stone.*

To dzieje się, kiedy lecą, no właśnie, nad czym, Bosforem czy Złotym Rogiem? Stambułem czy Bizancjum? Ormus odurzony lotem, oderwany od obojętnej ziemi, czuje opór w powietrzu. Coś przeciwstawia się pędowi maszyny. Jakby w przestrzeni niebios rozpięto przezroczystą błonę, barierę z ektoplazmy, jakby postawiono Ścianę, chronioną przez widmowych strażników, usadowionych wysoko na kolumnach

chmur, zbrojnych w pioruny, gotowych otworzyć ogień. Ale trudno i darmo, to jedyna droga na Zachód, więc naprzód, sieroca trzódka, przed siebie. Elastyczna niewidzialna przeszkoda odrzuca samolot, odbija, *boeing!*, *boeing!*, lecz w końcu *Mayflower* przedziera się, błona pęka! Odbicie słonecznego światła od skrzydła pada wprost w zamglone Ormusowe oko. W chwili przekraczania niewidzialnej granicy Ormus dostrzega na niebie rozdarcie, a przez nie - ta chwila tężeje od trwogi - nadziemski rozbłysk: wizję, dla której brak mu słów, misterium istoty rzeczy, eleuzyjskie, promienne, nieopisane. Ma wrażenie, że każda kość ciała zostaje napromieniowana czymś buchającym z niebiańskiej rozpadliny, że na poziomie każdej komórki, genu, cząstki dokonuje się mutacja. Wylądował kto inny, niż wystartował; nie całkiem ten sam. Ormus przekroczył strefę czasów: z wieczystego przeszłego młodości przeniósł się w pełen napięcia teraźniejszy dojrzały, ten zaś, gdy Ormus umrze, stanie się szczególną odmianą przeszłego dokonanego - przeszłym niebyłym.

Wizja dopada go znienacka, obezwładnia. Ale po paru sekundach rozdarcie znika; na niebie są już tylko wieże chmur, smugi po odrzutowcach, resztki księżyca w ostatniej kwadrze i bezkresniejący bezkres. Ormus czuje drżenie palców, dreszcz przebiegający ciało; to biochemia, czegoś podobnego doznajemy, obrywając w twarz, kiedy ktoś nam ubliży lub tylko zatoczy się na nas po pijanemu i zwymyśla od zasańców i dupków; tak człowiek czuje się po zniewadze. Ormusa nie kuszą charyzmatyczne doświadczenia, chce od świata, żeby był rzeczywisty - tym, czym jest, i kwita - jednak wie, że jemu samemu grozi zawsze ześlizgiwanie się z krawędzi rzeczy. A teraz, kiedy leci, cudowność napadła go, przedarła się przez rozpęknięte niebo, namaściła magią. Na ramionach Ormusa spoczywa płaszcz ze słonecznych promieni. Spadajcie ze mnie, protestuje, jazda. Dajcie mi tylko śpiewać. Wciąż drżącymi palcami prawej dłoni ujmuje lewą rękę matki. Ścisła.

Spentę - wstrząśniętą niespodziewanymi słowami Ormusa, przekonaną, że skierowane są do niej - zbija z tropu ta sprzeczność: synowska dłoń na jej upierścienionej ręce. Fizyczne okazywanie uczuć to coś niezwykłego między Spentą a Ormusem, rzadkość. Matka czuje się oszołomiona, oblewają rumieniec jak młodą dziewczynę. Obraca się, patrzy na syna i nagle żołądek podchodzi jej do gardła, jakby samolot zapadł się w dziurę powietrzną na kilometr. Ormus siedzi w promieniach słońca, a ona ma wrażenie, że teraz sączy się z niego jakaś inna światłość, jego własne promieniowanie spokrewnione z tym słonecznym. Spentą, która większą część życia spędziła na przechadzkach z aniołami, patrzy na własne dziecko, jakby je zobaczyła

pierwszy raz. To jej syn, którego próbowała odwieść od wspólnego wyjazdu do Anglii, jej ostatnia krew z krwi, kość z kości, a ona gotowa była zerwać z nim więź. Gryzie ją sumienie. Patrzcie, myśli, mój syn to już ktoś więcej niż mężczyzna, niewiele mu brakuje do bycia młodym bogiem; ale nie dzięki mnie. Niezręcznie, bo niewprawnie, nakrywa jego dłoń drugą ręką i pyta: Coś myślisz, Ormi? Mogłabym coś dla ciebie zrobić? On kręci głową, roztargniony, ona nalega, pili ją poczucie winy; musi się jakoś przysłużyć, czymkolwiek.

Mówi, jak zbudzony ze snu. Musisz mnie puścić, mamo.

Spadajcie ze mnie, jazda. Więc jednak żegnał się, myśli, a z oczu płyną jej głupie łzy: Co ty opowiadasz, Ormi, czy nie jestem, nie kończy zdania, bo zna odpowiedź, która brzmi Nie. Dobrą matką? Nie, nie.

Odwraca się zawstydzona. Siedzi między synami. Przy oknie wyprostowany, niczego nieświadomy, milczący Ardawiraf z tym pogodnym uśmiechem na twarzy. Lekko rozchylone usta, idiotyczne rozradowanie. Spentą rozumie. Przekraczamy w przestworzach most. My także podróżujemy między światami; dla starego świata umarliśmy, od nowa rodzimy się dla nowego, a parabola przestworzy jest nasz most Czinwant. Na pokładzie już nie ma wyboru, możemy tylko zmierzać naprzód w tej podróży ducha, w której zostanie nam ukazane, co najlepsze i co najgorsze w człowieczej naturze. Naszej własnej.

Odwraca się, zdecydowana błagać Ormusa: Przynajmniej weź trochę pieniędzy.

Ormus zgadza się przyjąć pięćset funtów. To mnóstwo grosza; jeżeli będziesz uważał, możesz przeżyć pół roku, nawet więcej. Ormus bierze, bo wie, że to on obdarza. Przedmiotem transakcji nie jest jego wolność, lecz jej. On już jest wolny. Teraz ona kupuje wolność od niego, a on nie mówi nie. Cena jest wcale przyzwoita.

Przebił się przez tę błonę. Zaczyna nowe życie.

Europa rozwija się pod nim jak czarodziejski dywan i wyczarowuje pewną nieoczekiwaną Kleopatę. Oto zjawia się młoda Hinduska, przykuca w przejściu obok Ormusa. Długie włosy opadają na koszulę wyrzuconą na wierzch i na czarne obcisłe spodnie, słowem na wielkowiejski artystowsko-beatnikowski uniform. Przedstawia się poufale a ogniście. Jestem tu, kochanie, mówi, zdziwiłeś się, co? Ormus przyznaje, że owszem, tak, czuje się napomnianą żabką. Nie dokuczaj, krzyczy dziewczyna i wydyma usta. Nie byłeś takim milczkiem, kiedy w hotelowym pokoju robiłeś, co chciałeś, z ciałem moim namaszczone oliwą i pachnidłami, a spienione morze, całe

w księżycowej poświacie, zagłuszało nasze krzyki. Wtedy mówiłeś, że jestem najpiękniejszą dziewczyną na świecie, a u szczytu namiętności przysięgałeś, że jestem dla ciebie tą jedyną, itede itede, więc co cię zaskakuje, że tu jestem, że lecę tym samolotem, jakbyśmy się umówili, odtąd na zawsze możemy żyć szczęśliwie w starym wesołym London Town, itede itede itede.

Mimo że Ormusowi dopisuje pamięć, nie kojarzy dziewczyny. Ona przypomina nazwę hotelu, numer pokoju, a wtedy już jest pewien: nieprawda. Nie zapomniał - bo jak? - świętomikołajowej chałtury w Cosmic Dancer przy Marine Drive, ale pokoju nigdy tam nie wynajmował, ani z widokiem na morze, ani bez. Kobieta przysiadła na brzegu Ormusowego fotela. Patrzyłam, jak śpiesz, nawet twój oddech był muzyką, wspomina. Nachylałam się nad twoim ciałem, moja nagość od twojej o uderzenie serca, itede, czułam, jak twoja melodia omywa mi skórę, itede itepe. Zaciągałam się zapachem twego rozleniwienia, wchłaniałam rytm twych snów. Itede. Itede. Itede.

Spaleś i przyłożyłam ci nóż do gardła. Spenta, która to wszystko słyszy - wraz z resztą pasażerów w najbliższych sześciu rzędach - jest zbита z tropu, na buldogowatą twarz wciąga opryskliwy grymas. Nieporuszony Ormus zaczyna delikatnie osadzać tę obcą kobietę. Najwyraźniej zaszła pomyłka.

Spiesznie nadchodzi druga kobieta, podenerwowana, starsza, w okularach i sari, odzywa się ostro do pierwszej: Mario, jak możesz pana tak niepokoić? Ciebie, taką inteligentną, stać na więcej wyczucia! Natychmiast wracaj na miejsce! Tak, proszę pani, odpowiada skromnie beatniczka. I raptem całuje Ormusa w usta, pchając między zdumione wargi długi, ruchliwy język. To ja będę wszystkimi kobietami, których zapragniesz, kobietami wszystkich ras i figur, wszelkich najdzikszych skłonnościami itede, szepce. Będę niewypowiedzianymi, tajemnymi kaprykami twego serca. Już idę, proszę pani, dodaje innym, łagodzącym tonem i odchodzi. Rusza w głąb przejścia, wyśpiewując beztrudnie przez ramię: Szukaj mnie w snach itede. I poślij po mnie, kiedy nadejdzie pora.

Pasażerowie pomrukują i wyrzekają. Dziewczyna macha ręką i znika.

Starszej się nie śpieszy. Panie Kama, mówi niezręcznie, lecz śmiało, przepraszam za najście, czy pozwoli pan, że zadam parę pytań osobistych?

Przedstawia się jako była nauczycielka młodej osoby, z Sophia College: Moja najlotniejsza studentka, a taka głupia. Tyle w tym dziecku chęci uzewnętrznienia, po prostu brak mi słów. Ale to zagadnienie umysłowości, istna tragedia, dostaję szału... Mówi, że jedzie z podopieczną zrobić rundę po londyńskich galeriach i

przedstawieniach. Dziewczyna ma ten przemożny twórczy impuls, wzdycha, niestety, chętnie zmyśla.

Bierze oddech i wdaje się w dochodzenie. Słyszała, panie Kama, jak pan śpiewa, odtąd sama wyśpiewuje tylko o panu. A ta historia miłosna? Trzeba ustalić, to ważne. Czy pan ją zna jeszcze z domu? Stamtąd, skąd jesteśmy?

Mówi, jakby jej Bombaj, jej Indie były jakieś inne niż moje, myśli Ormus, ale nie komentuje. Może przysłała na występ, odpowiada, chociaż nie, za diabła jej sobie nie przypominam.

Tak bywa, mówi do kobiety w sari. Na razie jest tylko podrzędnym artystą, ledwie żaróweczką oślepiających światel sławy, ale i on nie pierwszy raz styka się z czymś takim. Była pewna dziewczyna, Rosjanka, córka urzędnika konsularnego z Bombaju; przysłała mu siedemnaście numerowanych listów po angielsku, dołączając do każdego wiersz po rosyjsku. Dzień w dzień list, aż za osiemnastym razem nie było już wiersza, za to donosiła melancholijnie o przebudzeniu. *Wiem już, że mnie nie kochasz, więc moje dziewicze pragnienia pozna teraz kto inny, wielki poeta A. Wozniesiński.* Na pokładzie samolotu do Londynu nauczycielka ubrana w sari kiwa głową: *Więc sam pan widzi, musiałam zapytać. Nigdy nie wiem, co myśleć. Co za obsesja! Szczegół goni szczegół, więc pomyślałam, czy to możliwe, że zmyśla, tymczasem to fantazje, no jasne. Proszę się nie gniewać. Pewnie jest pan wściekły. Błagam o wyrozumiałość. Kiedy zdolnemu dziecku dzieje się krzywda, wówczas tracimy wszyscy, prawda? Nie, nieważne, to nie ma nic wspólnego z panem. Nie należymy do pańskiego świata. Tak czy inaczej: dziękuję.*

Ormus ją zatrzymuje: teraz on pyta.

Akcencik przebiegłości w oczach nauczycielki. To już niestety trwa od pewnego czasu, potwierdza. Najwyraźniej macie miłosne gniazdko w Worli, ale oczywiście nie macie. Twierdzi, że pan chce się z nią ożenić, ale ona nie życzy sobie żadnych więzów, chociaż łączy ją z panem coś znacznie głębszego, niepojętego dla przeciętnych małżonków, ślub o wymiarze mitycznym, kiedy pan umrze, przypadnie panu posiadłość wśród gwiazd itede. Oczywiście, pan nie myśli o małżeństwie; ją przyciągnął pański półcień, stał się prawdziwszy niż jej własny. A jest nieprawdziwy. To znaczy prawdziwy dla pana, nie dla niej.

Znowu dziwaczne wywody. To jakaś tajemnica.

Ona pisze wiersze, wybucha nauczycielka, maluje, nauczyła się słów pańskich piosenek. Jej pokój to świątynia nie istniejącej pańskiej miłości. Musi pan wiedzieć, że

maluje dobrze, wiersze pisze nie bez talentu, a kiedy śpiewa, słyhać mocny głos, któremu umie dodać słodyczy. Może powiedział jej pan coś miłego po występie. Może się pan kiedyś uśmiechnął, dotknął jej ręki. Kiedy wsiadaliśmy do samolotu, powiedział pan głośno: Witamy na *Mayflower*. Niemądrze, lepiej było nie mówić. Zresztą ten samolot nie nazywa się *Mayflower*, lecz *Wainganga*. Och, wszystko jedno, jak się nazywa.

Ma na imię Maria? - pyta Ormus i odwraca się w fotelu, próbuje ją wypatrzeć. Nauczycielka kręci głową. Darujmy sobie imiona, mówi na odchodnym. Stuknięta nieznajoma z przyjaciółką, ubaw po pachy, co? Imiona? Po co? Już nigdy nie zamienimy ani słowa.

Ormus patrzy, jak w przejściu maleje postać nauczycielki, a w uchu słyszy szept Gajomarta: W imieniu tej opętanej młodej kobiety nie ma nic dziwnego. Nie przyszła z przeszłości. To przyszłość.

Za pierwszego naprawdę ważnego człowieka, który wziął mnie pod skrzydła, uznałbym pana Johna Mullensa Standisha XII, radiopirata, znanego szerzej jako Muli, opowiada mi Ormus Kama (w wiele lat później, w okresie, który obaj nazywamy w myślach P. W., czyli Po Winie); a kim jest ów impresario obdarzony naturalną przenikliwością, o wyjątkowych zdolnościach przywódczych, swoistym wdzięku i rysie bezwzględności, ów głęboki myśliciel, pierwszy autentyczny dżentelmen, jakiego spotykam w podróży na Zachód? Zwyczajnym awanturnikiem, desperado, facetem, którego w godzinę czy dwie po naszym spotkaniu czeka być może aresztowanie na Heathrow. Ale tym się w ogóle nie przejmowałem. Przeciwnie. Już jako chłopiec nabiłem sobie głowę rozbójnikami morskimi. Kapitanowie Blood, Morgan, Kidd, Korsarze z Maghrebu, Czarnobrody. Wielki Brynner z włosami i wąsem w roli Jeana Lafitte'a w filmie De Mille'a o bitwie pod Nowym Orleanem. Powieści Quinna i Rafaela Sabatiniego, czyny kaprów elżbietańskich. I nie ograniczałem się do historii z książek. Ciebie, Raj, z twoim szukaniem ciemniejszej perspektywy, zbyt zaślepiła groza tego świata, więc nie widzisz. Nie wiesz, jak delectować się bandytami żeglującymi na horyzoncie naszego dzieciństwa. Bo oni tam byli, przemierzali go cały czas, uprawiali swój proceder tuż pod naszym nosem. Patrzyliśmy na morze z Cuffe Paradę czy Nabrzeża Apollińskiego - ty i ja - na arabskie jednomasztowe dhow, na małe motorowe rybackie barkasy. Sylwetki na widnokręgu, czerwone żagle o zachodzie. Licho wie, jaki szmugiel, licho wie, gdzie...

Zostaw te bajdy czasopismom, przerywam. Przemyt narkotyków wygląda zbyt romantycznie, taka jest prawda. Podobnie mafie.

Nie zwraca uwagi, pochłonięty wywoodem: A gdyby pirat Drake nie pokonał Wielkiej Armady, gdyby to Hiszpanie podbili Indie, a nie Anglicy? Byłbyś zachwycony, tak? (Chwile, w których anglofilska ksenofobia Dariusza Kserksesa Kamy przemawia ustami jego syna, są naprawdę niesamowite.)

Brytyjczycy, Hiszpanie, co za różnica, wykrzykuję, by go sprowokować.

No cóż, łyka przynętę, skoro tak uważasz... ale zaraz dostrzega, że go nabieram, powstrzymuje się i uśmiecha z żalem. W każdym razie, wzrusza ramionami, kiedy dostałem propozycję od Standisha, to było tak, jakby sam Jazon zaprosił mnie na pokład *Argo*, na wyprawę po Złote Runo. A miałem robić tylko jedno: muzykować.

Już w niemieckiej przestrzeni powietrznej stewardesa - tylko tremą w obliczu spotkania oraz bombajską angielszczyzną można tłumaczyć, że Ormus wciąż ją nazywa w myśli kelnerką pokładową - wzywa pana Kamę do pierwszej klasy. Na przywitanie wstaje Muli Standish: wysoki bostończyk, jeszcze przed pięćdziesiątką, już z posrebrzoną głową, patrycjuszowski, w jedwabiach z Savile Row i butach Lobba rozsiewa zapaszek starych pieniędzy. Niech pana nie mamiać pozory, wita Ormusa, wręcza bez pytania szkocką z wodą sodową i dodaje: To przeważnie podróbki. Przekona się pan, że ze mnie kawał drania.

Widziałem, jak pan odstawiał Mikołaja, napomyka i mruga. Kiedy byłem poprzednim razem. Niezłe zejście.

Ormus wzrusza ramionami, nie bawi go zbieg okoliczności: znów ten Cosmic Dancer. Jakby się gdzieś tu krył Nataradża, stary Pan Tańca, jakby układał choreografię i kroczy, którymi Ormus zmierza ku swemu nieważnemu ludzkiemu przeznaczeniu. Miałem parszywy okres, odpowiada. Teraz jest lepiej. Nie dodaje, że w miarę zbliżania się do wyspy wzbiera w nim podniecenie Anglią, jakby był nie skanalizowaną ulicą bombajską podczas monsunu. Ale Standish, nie byle kto, widzi, co widzi: rozgorączkowanie Ormusa, gotowość na wszystko, co może nadejść. Jego, nazwijmy to, protagonizm. Z pana to żywiołowy typ, zauważa. Dobrze. Mamy już coś wspólnego na początek.

Standish wydaje się tak żywiołowy, jakby miał zaraz wyskoczyć z garnituru i butów, istny Tarzan w mieście, Hulk. Człowiek, który prowadzi interesy ze światem i

oczekuje od wypadków, że wesprą jego plany. Aktor i demiurg. Wypielegnowane paznokcie i włosy dowodzą niejakej *amour propre*. Pod koniec długiego lotu świeży jak stokrotka. To o czymś świadczy. Wymaga woli.

Co mogę dla pana zrobić?

Pytanie Ormusa spotyka się z prawdziwym uznaniem Standisha. W panu jest jeszcze więcej pędu, niż przypuszczałem, gratuluje młodszemu starszy. A ja tu sobie myślę, że na Wschodzie czas stoi w miejscu i tylko my, zaatlantyckie szczury, ścigamy się bez wytchnienia, do piekła i z powrotem.

Nic podobnego, odpowiada Ormus. Prawdziwą egzotyką, baśnią, nierzeczywistością jest Zachód. A my, ludzie światów niższych... Dostrzega, że Standish nie słucha. Proszę się nie gniewać, panie Kama, mówi Amerykanin powściągliwie, niemal bezbarwnie. Może przez pewien czas popracujemy razem, więc musi nas być stać na powiedzenie, co nam gra w duszy i w co sami gramy. Na Pierwszą Poprawkę może się powoływać nawet pirat, więc mam nadzieję, że i mnie da pan szansę. (W oczach Standisha znów zapala się ognek.)

Był w Cambridge, tym angielskim; zaliczył dwa lata studiów magisterskich. Był wówczas pierwszorzędnym sinologiem i roilo mu się założenie po dyplomie własnego instytutu naukowego. Lecz sprawy nie ułożyły się po jego myśli. Rozleciało się wczesne małżeństwo z kobietą handlującą fatalaszkami, tymczasem przyszła na świat dwójka synów, którzy zostali w Anglii wraz z ekszoną, gniewną i mściwą, kiedy zdecydował się wrócić na drugą stronę Atlantyku. Przez pewien czas uczył chińskiego w Amherst College. Potem, zniechęcony - daremnie czekał na szybki awans - podjął dziwną, acz błyskotliwą decyzję: zajmować się przez parę lat prowadzeniem wielkich ciężarówek przez kontynent, ruszyć tyłek, odłożyć trochę pieniędzy, uruchomić tę wymarzoną szkołę chińskiego. Od belferki do szoferki: przeobrażenie w sam raz jak na pierwszy etap prawdziwego wychodzenia na ludzi, zaistnienia po amerykańsku. Bez złudzeń i żalu dał dyla z college'u.

Cytuje z pamięci Sala Paradise'a: *Tak się zaczęła ta część mego życia, którą możecie nazwać życiem na drodze. Przedtem często marzyłem, by ruszyć na Zachód, zobaczyć ten kraj; wciąż mgliście coś planowałem, a tkwiłem w miejscu*.*.[* Przekład Anny Kołyszko.] Przez dwa, może trzy lata (bo czas był rozciągliwy, człowiek nigdy nie wiedział, ile co trwa) przemierzałem Amerykę tam i z powrotem, wożąc jej produkty ludziom, którzy ich potrzebowali, ludziom uzależnionym od tych produktów jak byle ćpun; ludziom, którym tak często wmawiano potrzeby, że już uzależnionym od

wmawiania. Żyłem zmordowany; odurzony szybkością, przestrzenią, muzyką i tą cierpką, łakomą wszystkiego wolnością. Oczywiście nie odłożyłem ani centa, poszło na kobiety i różne rzeczy, a większość wydawałem w Vegas, gdzie wciąż mnie sprowadzały te wielkie, kręcące się jak ruletka koła moich wieloosiowych monstrów.

Standish zatapia się w myślach. Ormus popija szkoocką; rozumie, że został obdarzony bezwzględną szczerością, natychmiastowym i wyzbytym zahamowań otwarciem własnego Ja”, i że to dowód dobrej woli monologującego. Na moment przymyka oczy: oto jego Vegas, blask, w którym się pławi zmarły brat. Więc mają jeszcze coś wspólnego: Las Vegas.

Jak Byron, jak Talleyrand... Nie waham się porównywać Mulla Standisha do tych postaci, opowiada mi Ormus już P. W., bo sam Muli sięgał często po to porównanie, a w owych czasach szybko podchwytywano różne autoprzydomki - Clown Prince, Comeback Kid, Sister of Mercy, Honest John - więc czemu żałować Standishowi?... Amerykanin miał sztywną nogę jak Gertie MacDowell, ta Joyce'owska Nauzykaa. Buty szyto mu u Lobba specjalnie, z myślą o dopasowaniu i wspomaganium. A jeśli chodzi o powab seksualny, powszechnie wiadomo, że Talleyrandowi ani Byronowi kaleka kończyzna nie przeszkadzała. W latach młodości, które wybrał na temat zwierzeń, Muli Standish jeszcze bardziej przypominał Gertie; kaleka noga okaleczyła jego pewność siebie. Cóż, ostatniego zaskórniaka pozbył się w pierwszych rundach pokerowych mistrzostw świata; to wówczas podszedł do niego jakiś młody człowiek, wyraził się z uznaniem o jego urodzie i zaproponował znaczną sumę za dotrzymanie towarzystwa w apartamencie w Tropicanie. A Standish - który czuł się wypluty, załatwiony, śmieszny - zgodził się. To spotkanie zmieniło jego życie.

Taki był początek podróży przez granicę, którą zawsze uważałem za nieprzekraczalną. (Teraz głos Standisha omdlewa, ciało wyciąga się, rozpamiętuje upojenia, marzy.) Przez tę wyrwę w żelaznej kurtynie dzielącej hetero i homo dostrzegłem wzniosłą wizję. Rzuciłem ciężarówkę i parę lat spędziłem w Vegas w roli samca pracującego. Prostytucja przekonała go, że jest piękny i pożądany; pozwoliła mu wymarzyć i stworzyć takiego Mulla Standisha, który nie zawaha się wniknąć w ducha czasu i wstrząsnąć tym wszystkim dookoła. Następny łatwy do przewidzenia krok zaprowadził go z Las Vegas na nowojorską Czterdziestą Drugą; tam Standish zaznał dobrodziejstw klasycznej sytuacji z cyklu “tylko-w-Ameryce”. Zajeżdża limuzyna, w dół sunie elektrycznie opuszczana szyba, wychyla się ten sam młody człowiek, anioł przeistoczeń, dzieciak z Tropicany. *Chryste. Szukam cię od miesiący.*

Jezu! Okazało się, że pan Tropicana (a) odziedziczył majątek, (b) zdążył uznać, że Muli Standish to jego jedyna prawdziwa miłość. W jej dowód podarował Mullovi licowaną czerwonym piaskowcem kamienicę w St. Mark's. W mgnieniu oka nocny kowboj przeistoczył się w obywatela klasy posiadającej, członka szacownej Greater Gotham Business Guild zrzeszającej gejów-biznesmenów, słowem w podporę społeczeństwa. A potem Standish szybko i z powodzeniem przekształcił ów zadatkowy łut szczęścia w początki imponującej księgi nieruchomości (na myśl o której opada szczęka), wszystko dzięki pielęgnowaniu związku z Chłopcem z Tropicany - nazwijmy go Sam - i wynikającej stąd honorowej przynależności do jednej z nowojorskich prawdziwie Czołowych Rodzin, dynastii zrosniętej z ogromnymi konstrukcjami, do arcymistrzów fachu, wybitnych znawców czasu terażniejszego tego miasta.

Burmistrzowie, bankierzy, gwiazdy filmu, koszykówki, kongresmeni, Ormus po raz pierwszy słyszy w głosie Mulla nutę chępliwości, ci ludzie byli stale, tak to powiedzmy, na moje usługi.

W końcu Ameryka nie różni się zbytnio od Indii.

Dlaczego pan jest tu, nie tam? Ormusa stać na przenikliwość. W tej opowieści jest jakiś ukryty wymiar, nie ujawniona perspektywa. Muli Standish kwituje bystrość spostrzeżenia uniesieniem szklaneczki. Są kontrowersje z urzędem skarbowym, wyznaje. Trochę się poszło na skróty. Swego rodzaju niezręczność. Od pewnego czasu odpowiada mi Anglia. W której bycie pedałem wciąż jest nielegalne. A co do Indii, odwiedzam je z potrzeby ducha. Widzę, że ta uwaga nie przypada panu do gustu. Co odpowiem? Przeżył pan całe życie wśród drzew, więc nie widzi pan lasu. Dzięki amazońskiej dżungli mamy na tej planecie świeże powietrze. A dzięki Indiom duszę. Człowiek jeździ tam jak do banku; odnawia zawartość duchowego portfela. Proszę wybaczyć tę wulgarną, pieniężną metaforę. Zachowuję się wykwintnie, lecz prawdę mówiąc, typem wykwintnym nie jestem. Z wierzchu stateczny garnitur, pod spodem majtki z lamparczej skóry. Podczas pełni skłonność do wilkołactwa. Swoista dwuznaczność. Mimo której miewam duchowe potrzeby; duszę niewolną od łąknień.

Stewardesa opowiadała, że nazwał pan ten samolot *Mayflower* i że cieszył pana ten dowcip. Wie pan, że Standish to sławne mayflowerowskie nazwisko? Dziś pewnie nikt już nie czyta Longfellowa, zwłaszcza w Bombaju. W każdym razie jest poemat, tysiąc wierszy z górą, kawałek długi i marny. Zawodowy wojak Miles Standish, po wojskowemu mało wymowny, chce się żenić z Priscillą Mullens czy Molines, purytańską gąską, i popełnia coś, co bym nazwał błędem Cyrana, w swoim

imieniu bowiem wysła przyjaciela, Johna Aldena, który to facet ma gadane i nie może zawieść. Niestety, młody Alden - bednarz, sygnatariusz *Kompaktu Mayflower*, założyciel Kolonii Plymouth - któremu natura nie poskąpiła urody ani miłego obejścia, bardzo się kocha w tejże damulce, lecz zgadza wystąpić w imieniu przyjaciela. I cóż! Szanowna pani Molines czy Mullens wysłuchuje go, a potem, szczerze patrząc w oczy, pyta: Dlaczego, John, nie mówisz za siebie? W jakieś sto nudnych wersów dalej są już po ślubie, a szorstki stary wiarus, mój przegrany odległy przodek, godzi się z losem. Mówię o tym, bo chociaż nie jestem purytaninem, słowa panny Priscilli są dziś moim mottem. Nie staram się o nic w imieniu innych, jestem zaś bezwstydnym i nieubłagany, kiedy chodzi o własne interesy. Jak teraz, w tej chwili, kiedy składam tu panu ofertę.

Ormus się czerwieni, a Standish wybuchając śmiechem na widok jego zakłopotania. Nie chodzi o seks, zapewnia. O piractwo na pełnym morzu.

Anglia mknie ku nim, a potem przystaje. Korek w powietrzu, już w 1965 roku. Kołują po niebie, niezdolni usiąść. A w dole zbiera się piracka armada, inwazja trwa. Oto na Morzu Północnym stoi stary wyrejestrowany prom pasażerski *Frederica*, powiewa nad nim flaga piracka. Obok *Georgia* zakotwiczona koło Frinton, u brzegów Essex. A spójrzcie ku ujściu Tamizy, na te trzy kropeczki. Też częśćka rozbójniczej formacji. Ormusa męczy i raduje ten napowietrzny stan ducha: pustka, nierzeczywistość, niezdolność panowania nad biegiem spraw. Muli Standish, nie stropiony, ciągnie opowieść, teraz o dzieciństwie.

W mojej sypialni stała na parapecie ciężka szklana kula. Ojciec obracał ją, by łowić i odbijać promienie światła. Tkwiły w niej bańki powietrza, jak galaktyki, jak miraż. Wzruszają nas te drobiazgi z lat najwcześniejszych, nie wiem czemu. Teraz, kiedy się wzięłem do pirackich armad, wciąż widzę szklaną kulę. Może to niewinność, może wolność, trudno powiedzieć. Może przejrzystość świata, bo kulę przenika światło. A może to tylko szklana kula, nic więcej, ale jakoś mnie wzrusza, popycha do tego, co robię.

Standish mówi, a Ormus dostrzega, że za wiele tu wyjaśnień; Standish przedkłada jakieś nadinterpretacje w końcu jawnie komercyjnego przedsięwzięcia, o którym wieść dotarła już do Indii. Brytyjskie radio okazuje się absolutnie nieczułe na chwilę świetności brytyjskiej muzyki. Ograniczenia czasu nadawania, "skoków strzałki", oznaczają, że kiedy człowiek chce posłuchać najnowszych hitów - Johna

Lennona śpiewającego *Satisfaction*, The Kinks śpiewających *Pretty Woman* czy kawałka *My Generation* w wykonaniu nowej supergrupy High Numbers, dawnych The Who, którzy po przemeblowaniu natychmiast zrobili furorę - może najwyżej liczyć na kawałki Joego Lossa czy Victora Sylvestra, słowem muzykę dla umrzyków. Lecz komercyjne radio łamie prawo tylko wtedy, kiedy nadaje z rozgłośni lądowej; zatem to, na co dzieciaki mają ochotę, nadają pirackie statki. Hallo, popfani, tu Radio Freddie nadaje na 199... Słuchacie Radia Gaga... Mówi Radio Big Em, zostańcie z nami. Piraci wymierzili anteny w Brytanię, a kraj się poddał. Władca Desperadia zaś, król pełnomorskiej rozbójmuzyki, to Muli Standish.

Wciąż leją się z niego te racje. Może trafił do Anglii, jeżeli ma być bezwzględnie szczery, bo sprawy z jego kochankiem, Samem Tropicana, już się nie układają jak dawniej, przekwitło to i owo. A może ten cały przemysł budowlany po prostu go znudził, te twarde meloniki, teowniki, te wszystkie puste pomieszczenia, które ma wypełnić cudze życie. A może to wina CIA, tak, tak, bo w paru sytuacjach robili podchody, ekspert mówiący po chińsku to pierwszorzędny materiał na szpiega, więc usiłują dorwać człowieka, podsunąć cyrograf, zanim podkradnie się Żółta Zaraza, by przeciągnąć na swą mroczną stronę, a kiedy im odmówił dwukrotnie - facet nazwiskiem Michael Baxter czy Baxter Michaels składał mu propozycję w foyer Sherry Netherland - Mulla oskarżono o niewłaściwą postawę i zagrożono odebraniem paszportu. *Przekroczyłem pewną granicę, kiedy do tego doszło, Ameryka zmieniła się w moich oczach, możliwy stał się wyjazd.* W końcu - dziw, że tak długo kluczy, nawet o tym nie napomykając - jest wojna, Ameryka prowadzi wojnę. Urny wyborcze pękały od głosów na Kennedy'ego, bo wojna zawsze sprzyja urzędującym prezydentom, wskaźniki znacznie przewyższyły ów wymęczony wynik w walce z Nixonem z 1960 roku, facet wygrywa kolejne cztery lata władzy - i ciągłego wzrodu - przy Pennsylvania Avenue, lecz teraz w tych zabagnionych, porośniętych dżunglą, niepojętych Indochinach pojawili się tacy wyborcy, całe pokolenie, młody żołnierski elektorat, których w porażającej liczbie pakuje się w skrzynki i odsyła do domu pod różnymi adresami; i ci nie są tak zachwyceni jak wyborcy JFK. Te wskaźniki też rosną.

Muli jest przeciwko wojnie, ale akurat nie to chce powiedzieć. Chce powiedzieć - oczy Standisha teraz się jarzą, a energia bucha z niego w groźnych, zdwojonych dawkach - że wojna skierowała go ku muzyce uwikłanej w wojnę, bo w tych mrocznych czasach artystyczne zaangażowanie w sprawę zagłady dzieci tego kraju najgłębiej wyraża się w rocku, to nie tylko muzyka pokoju i prochów, ale pasji, trwogi

i rozpaczy. A także młodości, która przetrwa na przekór wszystkiemu, na przekór wygubieniu tej dziecięcej krucjaty. (Mina, snajper, nocą nóż: gorzki kres dzieciństwa.)

To wtedy naprawdę pokochałem rocka, Standish kołysze się i recytuje, zachwyił mnie odzew rocka humanistyczny i demokratyczny, pełen duchowej treści. Coś więcej niż te zwroty: jebać Wuję Sama, daj szansę pokojowi, czuję, że zakombinowałem sobie śmierć, czy nawet to wzniesienie patriotycznej wrzawy: wał, przywał w Cong. To raczej kochanie się na polu walki, upieranie, by w porze śmierci i winy pamiętać o niewinności i pięknie; rock stawia życie ponad śmierć i żąda od życia: wykorzystaj szansę, w tańcu, kochanie w tańcu, na ulicach, w piwnicach, w rozmównicach, ubaw, ubaw, ubaw, zanim nadejdzie zguba.

Jego zachowanie zupełnie się zmieniło, z bostońskiego patrycjusza Muli przeistoczył się w napalonego muzyko-beatniko-pacyfistę, a Ormus na widok przemiany zaczyna wreszcie pojmować, z kim rzecz. Do diabła z wywodami, prawda jest taka, że facet to jeszcze jeden z nas, kameleonów, jeszcze jeden magik. Nie tylko wcielenie Jazona Argonauty, ale i Proteusza, zmiennoskórego Starucha Morskiego. A kiedy my, protejanie, już nauczymy się przeistaczać, to bywa, że nie potrafimy sobie powiedzieć stop, mkniemy między własnymi ja, zmieniamy pasy ruchu jak szaleni, usiłując nie wypaść z drogi i nie rozbić się. Ormus pojmuje: także Muli Standish należy do zmiennokształtnych, to facet, który wie, co to znaczy obudzić się jako gigantyczny owad. Dlatego mnie dostrzegł i wyłowił, bo należymy do tego samego szczepu, tego samego podgatunku ludzkiej rasy. Jak obcy na obcej planecie zawsze się rozpoznamy w tłumie. Teraz przybraliśmy formę człowieka, tutaj, na tej trzeciej bryle, licząc od środka, od Słońca.

Ten nowy, rozweselony, frunący jak latawiec Standish mówi: Pojechałem do Anglii, żeby się wydostać z kraju toczącego wojnę. A w miesiąc po przyjeździe nowy rząd laburzystowski postanawia wesprzeć Amerykanów i śle na śmierć własne dzieciaki. Sprawy już nie są teoretyczne. Brytyjskich chłopców i dziewczęta zaczęto odsyłać do domu w pudełkach. Nie mogłem uwierzyć, jako Amerykanin czułem się odpowiedzialnej akbym obszedł kwarantannę i zawłókl tu śmiertelną zarazę, czułem się jak rozsadnik pcheł. Pies dzumy. Takiego biegu zdarzeń nie było w programie. Załamany poleciałem do Indii, zawsze tak robię, żeby odzyskać równowagę. Nawiasem mówiąc, to wtedy zobaczyłem pańskie wspaniałe zejście z estrady Cosmic Dancer.

Z Bombaju Standish wybrał się do Bangaluru, posiedzieć u stóp nastoletniego

mahaguru, a potem do Dharamśali, pobyć w buddyjskiej świątyni Szugden. *Znowu - myślałem, kiedy Ormus to opowiadał - ta dziwna, obsesyjna fascynacja hedonistycznego Zachodu ascezami Wschodu. Arcywyznawcy linearyzmu, mitu postępu, oczekują od Orientu tylko jednego, baśniowej wyimaginowanej niezmienności, mitu odwieczności. Bóg-chłopiec, który tu zstąpił. Prastary duch w młodym ciele, opowiada Muli z respektem, mistrz tantry w ostatecznym wcieleniu. Wszystko wyznałem temu dziecku mędrcom, wyobcowanie, winę, rozpacz, a ono przybrało ów czysty uśmiech i powiedziało: Muzyka to szkło, to szklana kula. Niech załśni.*

*Zrozumiałem, że limit nadawania to wróg, cenzor, sprzymierzeniec programów gównorała Westmorlanda, żdzira genitariała Haiga. Dość już bigbandów, dość umuszkowanych dupków udających w białych smokingach, że to wszystko to nic. Słowem, za mną! Naród toczący wojnę zasługuje na muzykę, która idzie *mano a mano* z machiną wojenną, kładzie kwiaty w narodowe lufy, wystawia na rakiety obnażoną narodową pierś. Takie pieśni śpiewają żołnierze, idąc na śmierć. Ale już nie śpiewają jak kiedyś; idąc w bój, nie ryczą hymnów, nie mają się, że Bóg jest z nimi; to nie te zasrane patriotyczne śpiewki rzućsiebienaszaniec. Te dzieciaki śpiewem głoszą pochwałę tego, co prawdziwe i naturalne, śpiewem odsłaniają nienaturalność i kłamstwa wojny. Ich śpiew to sztandar młodości wydanej na zatrącenie. Żadne *morituri te salutant*, Jack, oni ci pokazują ten w dupę pchany palec. I ja dlatego postawiłem na te statki.*

Wali się ciężko na oparcie fotela, wykończony przemową. Sprzedał sporą część amerykańskich aktywów i nieruchomości, by kupić, wyposażyć i obsadzić te ledwie unoszące się na powierzchni stateczki. Okrążone zostały Anglia i Szkocja, załatwiono żeglugowe certyfikaty. I teraz przez całą dobę wypuszczamy czad, mówi, Hendrix, Joplin i Zappa wydają wojnę wojnie. I oczywiście te urocze rozczochrańce z Motown. No i Lovin' Spoonful, The Love, seksmaszynowe klimaty Mr Jamesa Browna, zajebiste Carly Simon i Ginewra Garfunkel i tak dalej. Żałuję tylko, że nie możemy rzucić kotwicy na Tamizie przed Parlamentem, zamontować na pokładzie gigantofonów, żeby zdmuchnąć tych zadowolonych z siebie skurwysynów z ich bandyckich ław. Ale nie wolno się poddawać: nad tym projektem też się pracuje. Więc co pan na to? Z nami? Czy pan odpada? Tak czy siak?

Zupełnie mnie wytrącił z równowagi, samym trybem propozycji, mówi mi

Ormus P.W.; ja dojrzałem do przygody, a on mnie podbił.

Pilot zawiadamia, że już ma zgodę na lądowanie. Zjawia się “kelnerka pokładowa” i prosi Ormusa na miejsce. Ormus wstaje i na odchodnym pyta: Dlaczego ja? Muli Standish odpowiada: Niech pan to nazwie przecuciem. Nie, raczej natchnieniem. Pochlebiam sobie, że jestem znawcą ludzi. Coś było w tym zrywaniu brody Świętego Mikołaja. Coś mnie tej nocy uderzyło w panu, nadal uderza, że ho!

Coś pirackiego? - podsuwa Ormus.

Symbolicznego, Muli Standish znajduje słowo, a jednocześnie, rzecz podejrzana, nad półsztywnym kołnierzykiem koszuli Turnbull & Asser wykwita coś w rodzaju rumieńca. Trochę wypytywałem, wie pan. Pan chyba jest w stanie wygenerować coś, co pociąga. Ludzie na pana patrzą. Więc może ich pan zmusi, żeby nas słuchali.

Staram się zostać piosenkarzem, a nie didżejem na mokrej, zimnej łąbnie, to ostatnie słowo Ormusa; nie brzmi najpewniej. Już się udało zawładnąć wyobraźnią Ormusa i Standish o tym wie.

Zostanie pan, obiecuje Standish. Prawdę mówiąc, pan już jest piosenkarzem i niezłym, mogę dodać. Nawet w tej chwili - słuchajcie - mogę przysiąc, że pan właśnie tu śpiewa. Tak. Potrafię dosłyszeć pańską pieśń.

Podczas lądowania Ormus czuje łomot w skroniach. Jest coś dziwnego w tej Anglii, do której przybywa. Są rzeczy, którym nie może zaufać. W powierzchni rzeczywistości znów się rozwarła jakaś rozpadlina. Wylewa się przez nią niepewność, w oczy wdziera się mroczne promieniowanie. Na Heathrow Ormus zeskakuje ze schodków i ulega wrażeniu, że tu nic nie istnieje naprawdę, z wyjątkiem kawałka betonu, na którym postawił stopę. Podróżni powracający do domu niczego nie dostrzegają, krocą pewnie przez to, co znajome, powszednie, lecz nowi przybysze z lękiem patrzą na rozpuszczanie się lądu. Jakby z pluskiem brodzili po czymś, co winno być solidnym gruntem. W miarę ostrożnego marszu Ormus czuje, jak pod stopami kondensują się i utwardzają kawałeczki Anglii. W jego wszechświecie jedyne trwałe punkty to ślady własnych stóp. Rzuca okiem na brata: Wirus jest beztroski, pogodny. Co do Spenty, to matka utkwiała wzrok tam w górze, w tłumie witających, machających rękami. Usiłuje wypatrzyć znajomą twarz i nie ma czasu patrzeć w dół. Nigdy nie patrz w dół, myśli Ormus, to nie dostrzeżesz niebezpieczeństw, to nie zapadniesz się poprzez zdradziecką miękkość tego, co naoczne, w ognistą otchłań na

dole.

Musi zamienić wszystko w rzeczywistość, krok po kroku, mówi sobie. To miraż, światwidmo, który staje się rzeczywisty tylko pod naszym czarodziejskim dotknięciem, pełnymi miłości stąpięciami, pocałunkami. Musimy przywołać go do istnienia siłą wyobraźni, od podstaw.

Lecz pierwsze dni Ormus spędzi tu w morzu, a ląd, chociaż w zasięgu wzroku, pozostanie nieosiągalny; natomiast będzie słuchał jak zahipnotyzowany uwodzicielskiego, rozpalającego wyobraźnię głosu Ormusa.

Za barierą czekają William Methwold i Muli Standish, dwa wielkie różowawe kciuki nad rozkrzyczanym hinduskim tłumem; oto na spotkanie kuzynów, którzy sfrunęli z wyżyn, mkną dzieci lądu, poprzedzane zadziwiająco stentorowymi okrzykami starszych kobiet w okularach o grubych oprawkach i bordowych płaszczach narzuconych na wspaniałe sari; mkną poprzedzane rykliwymi połajankami starszych mężczyzn o wywiniętych dolnych wargach, pobrzękujących kluczykami od samochodów. Młodsze kobiety, prawdę mówiąc mało pruderyjne, zbite w grupki odgrywają skromnisie; spuszczenie powiek, szepty, uśmiechy na wynos. Młodszy mężczyźni, prawdę mówiąc ani w połowie tacy młodzieńcy, jak okazują tutaj, rzadko klepiący się po plecach jak tutaj, też zbijają się w grupki, oplatają nawzajem ramionami, wrzeszczą i żartują, chichoczą, trącają łokciami. Wstępujący do Anglii Ormus znów jest przez chwilę w Indiach, oszołomiony słyszy echo domu. I przez moment targa nim nostalgia. Ormus otrząsa się, uwalnia. W powietrzu niesie się inna muzyka.

Nad imigrancką cizbą - Brytyjczykami nowej modły - wznoszą się jak Alpy dwaj biali. Methwold jest chodzącym zabytkiem, skórę na bezwłosej i nie okrytej peruką kopule okrywają cętki, czyniąc z łysości coś w rodzaju mapy Księżyca z suchymi "morzami" cienia i spokoju, nitkami żyłek, kraterami po ospie. Luźne fałdy ciała zwisają nad kołnierzykiem, który stał się za duży jak na tę szyję. Kroczy z laseczką, rozgląda się, a Spenta z przyjemnością dostrzega, że na jej widok tak się ucieszył jak ona (to widać, rzecz jasna) na jego. A Muli Standish umknął najwyraźniej aresztowania. Może urząd skarbowy nie bardzo mu następuje na piętę i Muli się obawia na zapas; bo też piracka flota, te statki Mulla formalnie nie łamią prawa, chociaż rządowi prawnicy dzień i noc szukają pretekstu, który pozwoli położyć na nich łapę.

Kamowie się zatrzymują. Są na rozstajach. Różne przyszłości ciągną ich w różne strony.

No cóż, mówi Ormus do matki.

No cóż, odpowiada Spenta zdławionym głosem.

No cóż, Ormus trąca Wirusa w ramię.

Wirus ledwie widocznie porusza na boki głową.

No cóż, do zobaczenia, dodaje Ormus. Nikt go nie dotknął, lecz czuje, że coś go trzyma. Zmaga się z polem przyciągania, odwraca plecami, mocno prze.

No cóż, do zobaczenia. Spenta może się zdobyć tylko na powtórzenia; staje się częścią tego tłumy ech odbijających się wokół, cichnących, gasnących.

Ormus odłącza się od matki, nie patrzy za siebie, rusza ku Standishowi. Wprawdzie na tym ostatnim ujęciu widać jej drżące wargi i koronkową chustkę przy kąciku oka, to Ormus we wstecznym lusterku pamięci wciąż widzi na twarzy matki wyraz wdzięczności. Dostrzega przyszłość lśniąca jak brylant na matczynym czole, tę wielką rezydencję, srebrną nitkę rzeki, zielen i uroczy krajobraz. I chociaż brzydzą go sielskie krajobrazy, przecież z powodu matki jest szczęśliwy. Dała mu, co mogła, mimo że nigdy go nie kochała. Dała mniej, niż przewidują miary przeciętne, lecz jest gotów uznać, że to starczy. Bo w pewien sposób ów brak gorących uczuć, brak bezwarunkowej miłości przygotowały go do tej wielkiej przyszłości, ustawiły na pasie startowym, tak to powiedzmy, jak odrzutowiec gotów do lotu. Teraz Spenta poluje na męża. Jest jednoosobową flotą rybacką. Najlepiej, gdyby tu wylądowała jako osoba możliwie nieskrępowana. U jej boku Wirus bezgłośnie uśmiecha się do nadchodzącego angielskiego milorda, a Ormus się usuwa. Spenta, komponująca teraz dla Methwolda swój uśmiech, nie ma czasu na sentymentalne pożegnania. Matka i syn ruszają każde w swoją stronę: ona w ramiona starej Anglii, on ku temu nowemu krajowi, wciąż w trakcie narodzin. Oboje wzywa przeznaczenie, które właśnie targa rodzinną więź.

Dobiega muzyka z trzeszczącego tranzystora. Przymilne szczotki szeptem narzucają beat, niżej przechadza się bas, w górze piskliwy riff niewidzialnego klarnetu. Byłoby teraz piosenkarz umiał to zgarnąć, może wejść w ciemno. Wchodzi kobieta, bluesowa koloratura pnie się spiralą nad jazzowymi podziałami tematu. Wina! To brzmi jak jej głos, bo czyj, pogrążony w tych trzaskach i zgiełku sali przylotów, ale mocny, wysoki. Jak pewnego dnia ona usłyszy go w bombajskim radiu, tak dziś, u progu wędrówki ku jej sercu, on ma wrażenie, że ją słyszy, i nawet kiedy

Wina już po ponownym ich zejściu się zapewnia, - że to niemożliwe, bo przed rokiem 1965 nie nagrywała, Ormus nie przyzna, że się przesłyszał. Długi jak tunel terminal był tego dnia komorą pogłosową - komorą ech - dlatego usłyszał echo odbite od czasu przyszłego, jej głos przyzywający Ormusową miłość.

Ormus jasno widzi cel: pracując nad sobą, stworzyć kogoś, kto znów będzie jej wart. Kiedy już będzie gotów, znajdzie ją, przywróci rzeczywistości, dotykając i całując, a ona to samo zrobi z nim. Będę ziemią pod twymi stopami, Wino, a ty w tym happy endzie będziesz dla mnie całą ziemią, wszystkim, czego mi trzeba.

Ormus oddala się od matki i idzie ku niej: w muzykę.

Szybkie rozczarowanie Ormusa baśnią o Zachodzie - które uczyni go artystą, a niemal unicestwi w nim człowieka - zaczyna się w chwili, w której wzrok Ormusa spoczął na Radiu Freddie, zardzewiałej siedmiusettonowej krypie niepewnie kolebiącej się na morzu z rufy na dziób, niczym sędziwy emeryt rodeo na końskim grzbiecie. Ormusowe serce truchleje. W wysnionej podróży z peryferiów do centrum nie było miejsca na ciemną, niską, rozmokłą płaskość Lincolnshire ani na dający w kość rejs na południowy zachód. Ma wrażenie "odlądowania"; tu szczur lądowy jest jak ryba na piasku. Słowem, chce się stąd zabrać, a nie ma gdzie, jest tylko obrany kurs. Przybywający na Mauritius indyjscy robotnicy, wymazujący ze swojego słownika bhodźpuri takie słowa, jak "powrót" i "nadzieja", nie czuliby się w skórze Ormusa mniej zniewoleni.

Inaczej Standish, wyprostowany na dziobie motorówki, która niesie go ku jego królestwu; orli profil, powiewające srebrzyste włosy, wydaje się wniebowzięty, w aureoli. Człowiek z poczuciem misji to niebezpieczny okaz, myśli Ormus, w ich jakże krótkiej znajomości czuje po raz pierwszy wstrząs podobny do lęku. Standish odwraca się; promieniejąca twarz zdradza, że nie może się doczekać. Oto oni, wskazuje i krzyczy. Proszę spojrzeć, Tweedledee i Tweedledum, Kubek i Wkubek. Nienawidzą mnie, rzecz jasna, o czym wkrótce się pan przekona. (Głos brzmi dziwnie, dysonują dwie tonacje: tragizmu i dumy.) Oto panowie Nathaniel Hawthorne Crossley i Waldo Emerson Crossley, kończy i unosi ramię w geście pozdrowienia, pańscy nowi koledzy. Moi synowie. Mężczyźni przy relingu *Frederiki* nie odwzajemniają powitania.

Hawthorne Crossley - długi płaszcz, długi jedwabny szal, sztruksy, kłapiąca

zelówka - odziedziczył po ojcu wygląd i elokwencję. Używa nazwiska matki, ale to wykapany Standish w angielskim wydaniu, w wieku lat dwudziestu czterech lub pięciu, wypełniony alkoholem i złością. Bądź pozdrowiony, Standishu, przedrzeźnia, kiedy Muli z Ormusem wkraczają na pokład Radia Freddie, bądź pozdrowiony bohaterski pionierze, kreślicielu map, zdobywco ludów. Tak wyglądali twórcy imperiów u szczytu powodzenia, prawda, Waldorf? To mój młodszy braciszek, wyjaśnia Ormusowi. Wcale nie nazwany tak na cześć wielkiego filozofa, co mógłby wmawiać pan Standish, ale na cześć jakiejś sakramenckiej sałatki, której w noc poczęcia braciszka nawpieprzali się moi obecnie rozwiedzeni rodzice. Zakatarzony Waldo, mniejszy, kędzierzawy maminsynek w skórzanej marynarce i lennonowskich okularkach, uśmiecha się promiennie, potakuje, łzawią mu oczy, kicha. Zapatrzony jest w Hawthorne'a, gwiazdę swego prywatnego wszechświata.

Bądź pozdrowiony, Standishu, skwapliwie powtarza Waldo.

Pomyślcie o dzielnym Cortezie z wiersza Keatsa, zapatrzonym w Pacyfik, chociaż tak naprawdę był to Balboa, judzi Hawthorne. Wspomnijcie Clive'a na polu bitewnym pod Plassi w Indiach, kapitana Cooka zawijającego do Sydney. Muzułmańskich zdobywców, którzy wysypali się z Arabii, by zmierzyć się z potęgą Persji, a na miejscu przekonać się, że dawne supermocarstwo przegniło i popadło w ruinę. Zmiotli je w pył. A Standish chce zgotować to samo programowi BBC Light.

Dlaczego któryś nie siedzi w studiu? - pieszczotliwie przerywa Muli Standish.

Bo postanowiliśmy zagrać ten jebany album Floydów w całości, odpowiada Hawthorne, do ostatniego trzasku, ostatniego pęcherzyka na płycie. Więc wzięliśmy wychodne. Ufamy Eno, wierzymy, że zdoła odwrócić płytę, kiedy będziemy witać sędziwego rodziciela. Wyciąga z kieszeni płaszcza odkorkowaną butelkę burbona. Muli bierze ją, wyciera szyjkę, zamierza pociągnąć.

Właściciel teatru otruł Roberta Johnsona, bo podejrzewał, że Johnson dmucha mu panienkę, referuje zatroskany Hawthorne, a Sonny Boy Williamson próbował go uratować, wytrącił mu z ręki butelkę, nie pij nigdy z odkorkowanej, powiedział, bo nigdy nie wiadomo, co w środku. Ale rada nie przypadła Johnsonowi do gustu, nigdy nie zabieraj mi sprzed nosa butelki, powiedział i napił się z innej, też otwartej; bingobango! Koniec powiastki.

Muli Standish pije, oddaje butelkę, przedstawia Ormusa.

A, indyjski słowik! - mówi Hawthorne. (Zaczyna padać, lodowata mżawka sączy się między ludzi i ich odzienie, między Ormusa a jego uszczęśliwienie, między

ojca a synów.) Słodczy Bombaju. Więc znalazł cię. Właściwie, kurwa, w porę. I teraz jesteś jego kohinoorem, jego zajebistym brylantem w dupie. Dosyć sobie sfatygowanej, raczej przedemerytalnej. Mogę powiedzieć tyle: mam nadzieję, że umyjesz dziób, zanim go, kurwa, przyłożysz do mego mikrofonu.

Jezu Chryste, Hawthorne. Standish mówi cicho, co brzmi groźnie, młodemu człowiekowi drewnieje język. Ale za późno, szydło wyszło z worka. Dlaczego ja, zapytał Ormus, a Standish odrzekł: Niech pan to nazwie natchnieniem. Ale, rzecz jasna, tu nie chodzi o żadne natchnienie. To miłość.

Z odkrytą głową na deszczu, zdemaskowany, zawstydzony Muli Standish tłumaczy się Ormusowi Kamie: Nie byłem do końca szczery. Wypytywałem o pana, jak mówiłem. Lecz powinienem przyznać, że z tym wiązały się uczucia osobiste. Zapamiętałość. Chodzi o zapamiętałość moich wypytywań. Dławiłem w sobie to spostrzeżenie, karygodna historia. Ale na tysiąc procent gwarantuję panu, że z tego nie wyłoni się między nami żaden problem... Hawthorne parska, tłumiąc śmiech. Waldo z ciekącym nosem nie chce być gorszy i też parska. Nos eksploduje, zwiesza się z niego śluz jak sztandar. Waldo ociera nos grzbietem przemarzniętej dłoni.

Ormusu znów dobiegają echa. W Hawthornie Crossleyu dostrzega wcielenie Winy z dzieciństwa, kiedy była jeszcze Nissy Poe; rodzinna historia Hawthorne'a kryje przejmujące podobieństwo do opowieści o tamtym zawziętym, wyszczekanym dziecku z rozbitego domu. Ormus też widzi, że długi fragment autobiograficznych wynurzeń Mulla poświęcony kochankowi "Samowi Tropicanie" to parabola, przypowieść z kluczem, której prawdziwy sens brzmi: *To właśnie mogę zrobić dla ciebie. Prawda: uganiałem za tobą gnany obsesyjną miłością, jesteś zdobyczą. Lecz teraz mogę zmienić twoje życie, teraz moja kolej dawać to, czym kiedyś obdarowano mnie, być szafarzem dóbr, które mnie kiedyś dano. Od ciebie chcę tylko jednego: chcę zostać twoim Świętym Mikołajem.*

Od pana nie chcę nic, mówi właśnie Muli Standish żałośnie. Ale dla pana naprawdę chcę wiele.

Proszę mnie stąd zabrać, nalega Ormus, a Mulla, któremu zabrakło nagle słów, stać tylko na moknięcie na deszczu i płynący z głębi mimowolny gest: błagalne rozłożenie drżących rąk. Otwarte dłonie są puste.

Hawthorne mięknie. Och, zostań. Zostań, do kurwy nędzy. Z tych powodów, co my, słowem, bo są tu procenty, jest muzyka, wprawdzie żadnych prochów, cholera, bo nas ciągle nachodzą, szukają szansy, żeby wypierdolić, ale naprawdę można się tu bać

tylko jednego, że pewnego pięknego poranka bóg morza uzna za stosowne rozewrzeć paszczę i nas chapnie. Tymczasem tam - niepewnym gestem, nie wypuszczając butelki beama, wskazuje ład - tam jest, kurwa, tak strasznie, że szkoda gadać.

Tam są zбочeni biskupi, wyjaśnia Waldo, szkoccy spryciarze i łapanka ludzi, żeby ich dać porąbać, skorumpowani gliniarze, laleczki voodoo i napalm. Krowy karmione anabolikami, naloty na cywilów na północ od strefy zdemilitaryzowanej. I Bideford Parva, zaszczające trydenckie, AshbydeleZouch, wieśniacy w ziemiankach, delta Mekongu, gdzie z ziemianek niewielki pożytek, i Tet, co nie oznacza miejsca, ale datę, jak Boże Narodzenie, to też tam jest. Oraz Arsenal F. C. i Ringo, który się żeni z fryzjerką, i Harold Wilson, i Rosjanie łąjący po kosmosie. I ludzie, mordujący siekierą, gwałciciele matek i gwałciciele ojców.

No i pobór, przyznaje Hawthorne, czkając. Łopocemy na tym wietrze. A liczymy tylko na to, że jeśli będziemy to ciągnąć, rzygać, zamiast się kocić i mnożyć na świecie nieszczęścia, uznają nas za niegodnych wcielenia do wojska ze względów moralnych. Jeśli będziemy mieli fart, uznają nas za niegodnych posuwania lasek ze względów moralnych, robienia dzieci i w ogóle. Może uznają nas za niegodnych skonania, ze względów moralnych.

Jak Ario Guthrie, wyjaśnia Waldo, w stanie chwiejnym. (Już wykończyli tę butelkę beama.) Nawiasem mówiąc, spod kuł uchodzą całkiem niewłaściwi ludzie. Zamach przeżył król Bhutanu Dżigme Wangczuk. Skichały się te pistolety maszynowe wycelowane w szacha. Prezydent Sukarno przeżył przewrót komunistyczny.

Bunty rasowe w Watts, podejmuje wątek Hawthorne, na lidera torysów wybrano Edwarda Heatha. Dwóch oskarżonych o zabójstwo Arabów. Churchill nie żyje, Albert Schweitzer nie żyje, T. S. Elliot nie żyje. Stan Laurel nie żyje. Z sondaży wynika, że Brytyjczycy wierzą w Boga, ale wolą telewizję. Chiny mają bombę atomową, Indie i Pakistan na krawędzi wojny. A Anglia się bawi, giba jak jakieś pierdolone wahadło. I to mnie, kurwa, śmiertelnie martwi. Na okrągło.

Zostań, powtarza Waldo, szczyrzy zęby i podsuwa butelkę sherry Harveys Bristol Cream. Nic lepszego teraz nie zrobisz. Witamy w cudownym paśmie 199.

Ormus bierze butelkę. A kim jest Eno? - pyta. Zastępcą zastępcy zastępcy?

Hawthorne wzrusza ramionami. Nie ma się co przejmować Eno. To książę. Taki agregat. Igła w stogu siana. Eno to biznes. Jest OK.

Pada coraz mocniej. Muli zbiera się do odjazdu. Synowie nie zwracają na niego uwagi.

Naprawdę ma na imię Enoch, mówi Hawthorne, odwraca się do ojca plecami, okrytymi przemoczonym płaszczem. Zrezygnował z "ch", bo nie ma ochoty na rasistowską ksywę, co zrozumiałe u osób o pewnym odcieniu skóry*.[* Nawiązanie do Enocha Powella (1912-1998); brytyjski konserwatysta, bez powodzenia ubiegający się o przywództwo partii w latach sześćdziesiątych, znany z ksenofobicznych poglądów.] To tak, jakbyś był Żydem, przypadkiem miał na imię Hitler i wobec tego postanowił nazywać się Hit. Albo gdybyś, taki pech, miał na imię Stalin i skrócił sobie na Star.

Gorzej by było, gdyby miał na imię Mao, mówi Waldo. Ale zawsze można się nazwać Tung.

Hawthorne wyznaje: Tak naprawdę nazwał się Eno, bo en się wyznaje na tej jebanej aparaturze, no wie, jak działa ten szajs, a my nie mamy pojęcia.

Raczej dlatego, podsuwa Waldo, że en często mówi no. Chociaż się rzadko odzywa.

Albo dlatego, ciągnie Hawthorne, że biedak szczodrze soli i pieprzy. Ze względu na swój trzecioświatowy typ trawienia. Tak czy owak, kiedy go poznasz, mów mu Ali. Eno Barber, Ali Barber. Myślę, że spodoba ci się ten dowcip. Mam nadzieję, że dowcip o takim podglebiu kulturowym nie okaże się dla ciebie, kurwa, za trudny.

Waldo wydyma wargi. On nie łapie. Nie wypił nawet połowy tego, co trzeba, dodaje.

Hawthorne nachyla się, opiera na Ormusie, z głębi płuc zionie whisky. Słuchaj, Mowgli, mówi nienapastliwie, jesteś tu naszym pierdolonym gościem, nie. Jak ty sobie wyobrażasz zrozumienie miejscowej kultury, jeśli zamierzasz trwać w abstynencji, jeśli uparcie unikasz, kurwa, zintegrowania, i uparcie się upierasz w tym twoim jebanym pakistańskim stylu?

Może on jest za dobry jak na nas, rozmyśla Waldo. Za dobry, jak na Harveys Bristol Cream. Za dobry na tę najlepszą z brytyjskich sherry, które można kupić za pieniądze naszego ojca.

Muli Standish pod opieką kapitana motorówki opuszcza *Fredericę*. Teraz chłopcy, skoro już tak przypadliście sobie do serca, mówi, jestem pewien, że rozgłoszenia będzie kroczyć od sukcesu do sukcesu.

Hawthorne Crossley ekstrawagancko salutuje ojcu: Boże, zachowaj nam królową pedałów. Ale nie spuszczaaj też z oczu tej Elżbiety Windsor.

W klasycznym rock'n'rollowym kawalku Ormusa *O Tar Baby* - zaszyfrowanym

wspomnieniu Ormusowych lat w Anglii, gdzie śpiew to ów gorzkogorzki, totalnie złachany i nieprzyzwoity pomruk równego faceta; to był trwały wkład Ormusa w śpiewaczy styl nowojorskich undergroundowców - Tar Baby to Anglia. Później w wywiadach, podczas sentymentalnej trasy, już w czasach rozkwitu kariery, kiedy przełamał stary nawyk i zgodził się na parę spotkań z dziennikarzami, mówił, że Anglia porywa ludzi. Bierze w uścisk i nie pozwoli odejść. Coś niesamowitego. Człowiek tam trafia z jakiegoś powodu, po prostu przejazdem, z perspektywą na dalszy ciąg życia, a musi uważać, by nie ugrząść na lata. Tę starą Tar Baby człowiek grzecznie pozdrawia, a ona nic, ani dnia nie daruje, można do niej wygłaszać teksty słodkie jak miód, a ona ani myśli o uprzejmości, w końcu człowiek jest tak osaczony, że nie ma wyjścia, musi ją trzepnąć po buzi, bo inaczej będzie za późno, ona złapie i nie puści. Kiedy ją człowiek zaatakuję, już jest w jej władzy. Dziwna odmiana miłości, powiedziałbym kleista, a wydostać się nie sposób. Człowiek się czuje głupi jak królik, choćby nie wiem jak sprytnie próbował przyłożyć starej kleistej siostrze, kojarzycie, o co chodzi. Więc się pęta, kręci, nie może ze sobą dojść do ładu, zaczyna myśleć, że ona na swój sposób jest wcale ładna, a potem zaczyna się nagle martwić, że może gdzieś w krzakach przywarował głodny lis, że się czai, sza, i tylko czeka na kolację.

Ooch Tar Baby przylgnęliśmy do siebie, Ooch Tar Baby, nie ma życia bez ciebie, Chodź, chodź Tar Baby, tul mnie do rana, Ooch Tar Baby, chyba - chyba, chyba - jesteś kochana.

10. Czas czarownicy

Z początku umie zapanować tylko nad muzyką. Mull Standish XII, który osobiście układa repertuar dla wszystkich statków, naprawdę ma ucho i nosa. W miarę rozgryzania kawałków z listy Ormus przyznaje w duchu, że rock'n'rolla granego po tej stronie Atlantyku skreślił przedwcześnie, nie wyczuł. To złoty wiek rocka Wielkiej Brytanii. Trzecia rewolucja, po Sinatrze i Parkerze.

Na każdym statku Muli zjawia się co dwa tygodnie. (I podobnie pracują didżeje Radia Freddie, czternaście na czternaście, dwa tygodnie w morzu, dwa wolnego na lądzie.) Wkracza z furkocącym płóciennym worem pełnym najnowszych krążków i wydaje rozkazy, ustawia muzyczne szyki na najbliższe dwa tygodnie: to ma się przebić, tamto trzeba nagłośnić, to grajcie tylko czasami, bo nie wolno nam nadawać kawałka, a tego sobie posłuchajcie, najmilsi, giganty rosną z tych szczeniaków. Znać w tym zmysł tworzenia sobie publiczności, więc lądowym ważniakom puszczają nerwy. Co widać po coraz częstszych najściach brygady antynarkotykowej. W trakcie pierwszej Ormusowej tury wchodzi na pokład dwa razy; przetrząsają statek, wywracają wszystko do góry nogami, a ładunek ludzki zostaje w ramach poszukiwań rozebrany do naga, szcudrze wydrwiony i wyszturchany, aż w końcu znów zostają sami.

Mój, kurwa, odbył tak się przyzwyczaił do tych gliniarskich paluchów w gumach, że zaczyna mu się mylić przeszukanie z dymaniem, oznajmia Hawthorne.

Waldo potakuje poważnie. Pewnie już tak ma. Geny.

Natomiast Ormus nie widzi w nalotach nic śmiesznego. Nagi i bezbronny przed obliczem stróżów prawa, wydany na pirackie dowcipasy, trzęsie się ze wstydu i wściekłości. Oto Anglia, o której jego ojciec nie miał pojęcia; której istnienia nawet nie podejrzewał.

Na *Frederice* kapitan Pugwash (nazwisko przybrane) nie miewa czasu dla radiowców, podobnie jak załoga. Mieszkają oddzielnie, zamieniają niewiele słów. Wyjątkiem są desanty policji. Stwarzają dziwną więź między obozami. Szykany to siła jednocząca. Wtargnięcia i szyderstwa policyjnych przyjemniaczków tworzą most nad otchłaniami dzielącymi klasowo czy światopoglądowo wilków morskich od radioparweniuszy. Po którymś nalocie sam Pugwash - szczeciniasty mruk z bandziochem piwosza i stosownym pirackim wąsiskiem - raczy nawet zagadać do

Hawthorne'a Crossleya: "Do tego pijesz, kolego, co? No to dajcie draniom popalić". Potem stopniowo powraca dystans.

Takie są te oddziały uderzeniowe najeźdźczej floty Mulla Standisha, floty muzyki i pokoju, której - w myśl pirackiej strategii herszta - nieuchronnie ulegnie cała Anglia. Musi. Wprawdzie Ormus znów się zachwyca tą muzyką, ale też widzi, że z Anglią pójdzie niełatwo. Pod stopami chlupoce woda. Wszystko zamienia się we wszystko. Owszem, wie, że angielskie dzieciaki szaleją za Radiem Freddie, lecz widziana na horyzoncie Anglia to niski ciemny zarys pod niskim szarym niebem, obojętny jak porykująca w oddali krowa.

Kulawo, w pijanym widzie rozgłośnia brnie przez noce i dni. Ciągłe koszmarna pogoda: leje, wieje, mocniej wieje, mocniej leje. *Frederica* kołysze się na boki i wzdłuż. Waldo Crossley wciąż zwraca, nie zawsze za burtę. Ale minimum higieny udaje się zachować; inspektorzy sanitarni, którzy podczas nalotów na próżno szukają pretekstu do przerywania zabawy, schodzą ze statku wściekli i zgnębieni. Ormus, ucząc się sztuki czadowego radia, zaczyna dostrzegać, że kluczową postacią jest Eno, ów osobnik o pewnym odcieniu skóry. Nosi nieskalane biele, paraduje w kremowym borsalino i stanowi odrębny świat; nie chce mieć nic wspólnego z didżejami ani załogą. Wydaje się, że nie jada, nie pija, nie sypia, ba (wbrew Crossleyowskim oszczerstwom na temat trzecioświatowego trawienia), nawet nie srywa ani leje. Za pulpitem przypominającym jakiegoś elektrycznego jeża, z przełącznikami i kolcami, Ali Barber zawiaduje biegiem spraw w pokładowym studiu. Tkwi za szybą w grocie Aladyna, a na ścianie za jego plecami widnieje duży napis *Znaj swoje miejsce*. Eno wierzy w apartheid, wyjaśnia Hawthorne, co dotyczy też ciebie. Wiesz, że w RPA czarni nienawidzą Hindusów jeszcze bardziej niż białych.

Więc on jest z RPA? - domyśla się Ormus.

Poważny Waldo kręci głową. Nie. Ze Stockwell.

Muzyka jest super. Te przejmujące, niespieszną ręką przywoływane do życia kawałki gitarowe; te głosy starych mędrków bluesa w gardłach niedorzecznie młodych, białych bluesowych zaklinaczy, te rąb-and-rollowe ostre jak brzytwa kobiety i dziewczątka o eterycznych, krystalicznie czystych głosikach, ten psychodeliczny wizg sprzęganej aparatury, te ballady o wojnie i miłości, te halucynacyjne wizje wielkich trubadurów. Ormus przywiera do muzyki i może w ten sposób wyczuć puls

rzeczywistości. A muzyka zwiastuje prawdy, które, jak się okazuje, Ormus już zna. Muzyka to wielki dziki ptak nawołujący ptaka tej samej rasy ukrytego jak w jajku w Ormusowej krtani, w jabłku Adama, skąd się wykluwa, bo już czas.

Ormus, Hawthorne i Waldo ustalili grafik: mikrofon i sen. Gniotą się w ciasnym studiu po dwóch: Ormus i Hawthorne, Hawthorne i Waldo, Waldo i Ormus. Czas rozciąga się przed nimi w nieskończoność, ląd oddala jak miraż, niewiele trzeba, by spowitym w deszcz i opar alkoholu zaczęło się wydawać, że rozmawiają tylko ze sobą. Więc między muzyką wzlatują na antenę monologi wewnętrzne, leją się zanieczyszczone zmęczeniem i whisky strumienie nadwerężonej świadomości.

Podczas jednego z nocnych dyżurów, nad ranem, w porze wypełniania potworów, Ormus widzi, że partner w didżejowaniu, Waldo, po prostu zasnął. Ormus szeptem, jakby mówił do ukochanej prywatnie, wzywa przez eter Winę. Za szybą obojętny Eno, nie komentuje. Tkwi po uszy w kablach, zajęty bez reszty podtrzymywaniem sygnału, oddany sprawie czystości dźwięku. Może się nawet nie wsłuchuje w Ormusowy zew, a tylko w jego barwę i natężenie, popycha tłumiki, pilnuje parametrów, coś przełącza, w oczach lśnią odbicia podświetlonych wskaźników.

Halo, moja miłości, szepcze Ormus. Moja dawno utracona. Nie zaufałaś mi, a ja, zraniony, dumny, pozwoliłem ci odejść. Teraz muszę pokazać, że jestem ciebie wart, sprostać trudom, wyzwaniom, udźwignąć ten świat jak brzemię.

Przez pokładową radiostację Muli Standish przysyła pilną wiadomość. Tekst przepisuje bosmanmat, zarazem radiotelegrafista, a Pugwash tak się był wzruszył usłyszanym z anteny Ormusowym monologiem (naprawdę się rozkleił, ma kluchę w gardle), że teraz niesie osobiście wiadomość do Eno, ten zaś rozpląszcza papier na szybie. To już jest jakaś inspiracja, czyta Ormus. Kim jest ta kobieta? Rzeczywiście istnieje? Wymyśliłeś ją? Oczywiście, nie wolno ci jej odnaleźć za szybko. Niech to tak leci. Noc w noc nowy odcinek. To nam napędzi słuchaczy, jak nic. Chory z miłości, kołysany falami Romeo śpiewa do obojętnej ukochanej. Palisz się do kariery piosenkarskiej? Znalazłeś właśnie drzwi. Będziesz miał wreszcie jakiś rys, odrębność, działkę w świadomości. To ci wyrobi nazwisko.

Wina nie słyszy Ormusowego zewu. Jest w Ameryce i nie wie, że Ormus kołysze się na morzu u angielskich wybrzeży; że mokry i stęskniony wykrzykuje jej imię.

Nikt jej o tym nie mówi. Jeszcze nie czas.

Nadchodzą migreny. Coraz cięższe. Czasem nie może zasnąć podczas tych przydziałowych wolnych godzin. Sięga po tanio wydane książki porzucone w kabinie; widocznie Muli przytaszczył je na pokład w nadziei skromnego chociażby dohumanizowania synalków, a ci z miejsca cisnęli je do pustej, przez nikogo nie odwiedzanej kajuty, teraz zapewniającej Ormusowi prywatność dziupli. Książki sławnych amerykańskich autorów, ody Sala Paradise'a do zmysłu włóczęgi, *Carnovsky* Nathana Zuckermana, science fiction pióra Kilgore'a Trouta, tekst sztuki - *Von Trenck* - Charliego Citrine'a, na której podstawie powstał scenariusz ekranowego *Caldofreddo*. Poezje Johna Shade'a. No i Europejczycy: *Dedalus*, *Matzerath*. Ten jeden jedyny *Don Kichot*, dzieło nieśmiertelnego Pierre'a Menarde'a. *Mechaniczna pomarańcza* F. Alexandra.

No i hit roku - *Afera Watergate*, skrzyżowanie dreszczowca z fantasy: przysły prezydent Nixon (Oto wybryki fantasy! Nixon na prezydenta!) musi ustąpić z urzędu, bo usiłował założyć podsłuch w biurach demokratów, a zarzut zostaje w końcu udowodniony po zupełnie zakręconym zwrocie akcji, wychodzi bowiem na jaw, że Nixon podsłuchiwał także sam siebie, ha ha ha, wprost boki zrywać, jak ci faceci coś wymyślą.

Ilekoć jednak sięga po książkę, ma wrażenie, że mózg wiruje mu w głowie, łomocze, i Ormus musi odkładać tom, nie przeczytany. Czaszka mu pęka od zamętu, a przymknąwszy oczy, Ormus widzi, że tam, za powiekami, zmarły brat Gajomart zachowuje się teraz inaczej. Już nie umyka, ale podchodzi do Ormusa i patrzy w niego jak w lustro. Zmieniłeś się, jesteś inny, Gajomart uśmiecha się szeroko. Może to Gajomart jest teraz tam, a ty tutaj, w pułapce nierzeczywistości; może teraz to ja śnię ciebie. Ormus jest przerażony wrogością promiennego uśmiechu Gajo. Dlaczego mnie nienawidzisz, pyta. Jak myślisz, odpowiada bliźniak. Ja nie przeżyłem.

Żeby trzymać Gajo na dystans, Ormus musi otworzyć oczy. Jest tak zmordowany, że ołowiane powieki rozdziela palcami. W maleńkiej kabinie włącza kontrolny głośnik i usiłuje się skoncentrować na tym, co robią na swojej zmianie Crossleyowie.

Jeśli mnie słuchasz, Antoinette Corinth, więdźmo bezsennico, a dobrze wiem, że słuchasz, bo zawsze słuchasz, tak, tak, to ten kawałek zagram dla ciebie. Od Hawthorne'a, wprost spod serca. Waldo dodałby własne powinszowania, ale niestety,

cokolwiek niedysponowany, przebywa aktualnie w kiblu. Tym kawałkiem uhonorujemy twój geniusz, cesarzowo czarnych magii, księżniczko pentagramu, baronessa Sabatu, kapłanicho Wikki, powiernico tajemnic Wielkiej Piramidy, dawczyni wszelkich dóbr, znamienita krawcowo, o matko, która dawałaś nam cyca. Przyjęliśmy twoje nazwisko, a ty się go pozbyłaś i połączyłaś ślubem ze szlachetną tradycją koryncką. Wybacz nam, matko, tę naszą szczodłą dziurodupność. Wybacz, że połączyliśmy się na grosz od niego, co tak cię zabolalo. Ale jak ty przemogłaś w sobie zawziętość, jak w swej mocarnej duszy zdołałaś wznieść się ponad najsprawiedliwszy z gniewów, tak i nas nie wpisuj do swych czarnych ksiąg, jeśli to w ogóle możliwe, naprawdę bowiem potrzebowaliśmy forsy, szmalcu, kapusty, kasy, normalnie kasy. Wybacz, matko, że jesteśmy żołnierzami królowej, czyli naszego pedalskiego ojca; a to nasza cudowna fala 199, Radio Freddie, gra dla was wszystkich, nocne marki, i naszej drogiej mamuni, oto Manfred Mann, zaraz zaręczy, że Bóg jest z nami.

Ormus słucha tyrady Hawthorne'a i przychodzi mu na myśl legendarna niechęć Sandżaja Gandhiego do jego matki Indiry, która rzuciła jego ojca, Feroza. Muli, myśli Ormus, to przeistoczona Indira, bezradna wobec szalonego syna, dostarczająca mu dożywotnich zapasów furii.

Czy jest jakiś Bóg? - zastanawia się Waldo między Manfredem Mannem a Searchersami. Gigapytanie, co? Zeżre wam trochę czasu.

Jeżeli nie ma Boga, to dlaczego mężczyźni mają sutki? - ripostuje Hawthorne między Searchersami a Temptations.

Z drugiej strony, brak Boga by wyjaśniał, po co nam Peter, Paul & Mary, rozważa Waldo między Temptations a Righteous Brothers.

Jeżeli nie ma Boga, to kto nie dokręcił kranu?! - ryczy na cały głos Hawthorne pod koniec *Unchained Melody* i grzmoci pięścią w stolik w studiu. Widocznie współzałogant. Szach i mat!

Teraz śpiewają Miracles. Wciąż pada.

Po pierwszej dwutygodniowej turze bracia Crossleyowie zabierają Ormusa Kamę do domu matki, gdzie czeka nie używany pokój. Ów dom to nadbudowa nad matczynym sklepem z ciuchami, w zaścianeczku szeregowców z czerwonej cegły, odciągniętym na stronę, między budynki gazowni a Wandsworth Bridge Road, w tej gorszej części Chelsea, już za nadmiarem zakrętasów King's Road; ale zdaje się, że wokół tego miejsca czas krąży, wiruje, bo wie, czym się różni wielkość od masy.

Zapętlić może go tylko coś naprawdę masywnego. Tutaj, w otchłani, czas wykrył potężną siłę grawitacyjną, wszystkożerną czarną dziurę.

Kiedyś zajrzała tu Wina. Kupiła dość umownie okrywającą ją sukienkę.

Butik - nowe słowo, które nie przetrwa - nazywa się Czarownica na Miotle i już stał się legendarny; tak jest, arbitrowie z branży są zgodni, to jedna z enklaw, dzięki którym uda się z czasem zdefiniować *Zeitgeist* (kolejne modne słowo, które wypadnie z łask). Wygląda na to, że pocałunek potomności już teraz pobłogosławił Czarownicę. A ona w pole przyciągania wsysa miasto, nadaje chwilom kształt stosownie do swej woli. W jej horyzoncie zdarzeń przestają działać prawa wszechświata. Tu włada mrok. Jedynym prawem jest Antoinette Corinth.

Mówi się, że te ciuchy nosi Mick Jagger, krótkie atłasowokoronkowe kompozycje. Raz w tygodniu zatrzymuje się tutaj biała gabłota Johna Lennona, a kierowca zabiera całe wieszaki szmat, by wielki człowiek i jego żona mogli coś poprzymierzać. Przyjeżdżają niemieccy fotografowie z modelkami o kamiennych twarzach, by za tło rozkładówek w żurnalach mieć wystawy sklepu. Butik stał się bowiem sławny dzięki pomalowanym wystawom, na których króluje Zła Czarownica z Zachodu z Krainy Oz. Leci na tych malunkach nad Szmaragdowym Grodem i chichocze. Płonąca miotła kreśli na niebie napis *Podдай się, Doroto*. (Ludzie nieobcyi i niedokształceni myślą ów napis z nazwą sklepu. Takich osób po prostu się nie wpuszcza. Antoinette Corinth brzydzi się Dorotą Gale, jej psem i mieszkańcami Kansas, tego miastametafory, zwykłego, sennego, nieekscytującego. Antoinette Corinth to Panna Gulch.)

Antoinette - rozłożysta, w koronkowej, czarnej, ledwie sięgającej uda mini, z komponującym się szalem - tkwi w drzwiach butiku oświetlonych żółtą żarówką lampą uliczną i rozmawia z ukamizelowanym dandysem Tommym Ginem, skądinąd wielce cenionym w środowisku projektantem mody, swą podporą numer jeden. Antoinette łaskawie zezwala synom na dziobnięcie w policzek. Ignoruje uprzejme przywitanie Ormusa. Dla Giną Ormus też jest powietrzem. Hawthorne i Waldo wprowadzają go do Czarownicy.

W środku ciemno jak w grobie. Człowiek przechodzi przez ciężką zasłonę z paciorków i natychmiast ślepnie. Powietrze gęste od zapachów kadzidla, olejku paczuli, a także od aromatu substancji stanowczo zakazanych na pokładzie Radia Freddie. Psychodeliczna muzyka zastrasza bębenki. Dopiero po chwili człowiek dostrzega nikłą purpurową poświatę i kilka nieruchomych kształtów. Pewnie szmaty,

pewnie na sprzedaż. Lepiej nie pytać. Wnętrze Czarownicy budzi lęk.

W butikowych głębinach niewyraźnie wyczuwa się czyjaś obecność. To Ona. Prowadzi sklep, a przypomina nastolatkę o pulpetowatych skłonnościach pragnącą wyglądać jak Twiggy. Bardzo blada, pewnie dlatego, że spędza życie na siedzeniu po ciemku. Lśniące czarne wargi. Też w czarnej mini, nie w koronkowej, lecz atłasowej. To charakterystyka na wielkowiejską wampirzycę. (Inną jej stylizację - czarny chałacik, pod oczami czarne podkowy Antoinette Corinth nazywa "martwym dziecięciem"). Stojąc, zwraca kolana ku sobie, podobnie palce stóp, jak każe moda; układ stóp to litera T, jak *time*, o jakimś dzikim kroju. Na palcach ogromne srebrne pierścienie, istne kastety, we włosach czarny kwiat. Pół dziecko, pół zombi, Ona jest tutaj znakiem czasu.

Ormus próbuje czarować, przedstawia się, napomyka o niedawnym przyjeździe do Anglii, rzuca parę słów o pierwszym dyżurze na pokładzie Radia Freddie; bazyliżkowy błysk Jej oczu przedziera się przez purpurową poświatę i oto Ormus niemieje, akcja pali na panewce.

Już po gadanym radiu, mówi Ona. Dialog to trup.

Zdumiewająca wiadomość. W siedmiu słowach neokantowska, Bachtinowska definicja natury ludzkiej - że stale zmieniamy się wzajemnie, jedni drugich, przez dialog, przez międzypodmiotowość, przez twórczą wzajemną grę naszych licznych niepełności - zostaje wyrzucona do lamusa. Wszechświat porozumiewania się, do głębi apolliński, kurczy się poddany wzdorliwym mocom Jej dionizyjskiego postwerbalizmu. Lecz zanim Ormus zdoła wchłonąć, oswoić się z tak rewolucyjną zmianą, do sklepu wpada Tommy Gin, w ślad za nim pohukuje Antoinette Corinth. Posłuchaj, chłopie, przepraszam, wykrzykuje Gin pojednawczo, ujmuje obie dłonie Ormusa i klaszcze nimi, u Czarownicy tak już jest, lubi pożartować. Więc jesteś Hindusem; ja kocham Indie. Maharyszi, chłopie. I Budda, i Kryszna. To piękne.

I Ravi Shankar, podsuwa Ormus, chce, żeby to zabrzmiało przyjaźnie; lecz Tommy Gin już wyczerpał listę Hindusów i tylko zapamiętałe potakuje. Właśnie, właśnie, kiwa głową, promienieje.

Właśnie, dopowiada Ormus.

Ale co chciałem powiedzieć, chłopie - Gin wraca do przeprosin i tonu zakłopotania - tak się paskudnie zachowałem, bo ona zawsze sra ludziom do mózgu, powiedziała, nie uwierzyłbyś, że jesteś Żydem. Kapujesz, chłopie, coś podobnego. Ale nie jesteś, normalnie nie jesteś. Bomba!

Hej tam, Hindusie, pokrzykuje Antoinette Corinth i wywija skrętem w długiej lufce. Może i mnie powinieneś nauczyć paru uwagadrozdypaństwoczarymary numerów z wiązaniem supełków. Bo chyba udało ci się omotać naszą królową pedałów, jeśli zbyt się nie mylę.

Ormus Kama patrzy na Ginę, na Antoinette i ma wrażenie, że wszedł w krąg czystej jadowitości. Gin się nie liczy, wredny palant na kaczych łapach, menda. Ale z Antoinette wylewa się ledwie ukrywana, mściwa złośliwość. To nie ta mądra, niezgryźliwa kobieta opiewana przez synów na falach pirackiej radiostacji. Przeciwnie, jej mściwość wydaje się tak namacalna, że Ormus - chociaż nie ma powodu sądzić, że jej jad miałby być przeznaczony dla niego - czuje się wręcz zagrożony fizycznie. Mimochodem zaczyna się cofać i w ciemności uderza w coś twardego. Na podłogę wali się wieszak sukienek, słychać łoskot ramiączek.

Ha! Ha! (Śmiech Antoinette, czyli krztuszenie się nałogowej palaczki.) Pieszczoszek. Ormus po prostu jest przerażony. Ormus, moje dziecko. Witamy na Unfold Road.

Wieczorem dzwoni Muli Standish: Wszystko gra? Jak ona się zachowuje? W porządku? I zanim Ormus otworzy usta: Twoja muzyczna przyszłość. Pracuję nad nią. Plany są bliskie zapięcia. Słyszałeś, że to nagranie Georgie Fame'a, które nie miało prawa polecieć w BBC, teraz jest dzięki nam w pierwszej trójce na listach? Duży krok naprzód. Dowód siły piratów. Następnym dowodem będziesz ty. Bo jeśli to samo nam wyjdzie z kimś nieznanym, to każdy zobaczy, że naprawdę rozdajemy karty. Musimy przegadać kawalki. Musimy przegadać skład. Musimy przegadać moment. Nie pytaj, kiedy. Cisnę. Jestem o parę okrążeń przed tobą. Bądź przygotowany.

Po latach nie sposób wątpić: Muli Standish pokochał Ormusa miłością podrostka o maślanych oczach, miłością spod księżycy na nowiu. Lecz Muli był też mężczyzną z charakterem, miał klasę i dotrzymywał słowa. Podczas lat, w których byli partnerami, nigdy nie okazał się natrętny seksualnie wobec artysty, któremu pomógł się stać światową supergwiazdą. Bez Standisha - który montował kapele, dostarczał instrumenty, zamawiał na własny koszt studia nagrań i jeszcze zaangażował sam siebie na agenta promocji - z pewnością by nie powstał Rhythm Center. A bez Rhythm Center nie byłoby VTO.

Ale podczas tej nocnej rozmowy, pierwszej nocy w mieszkaniu nad Czarownicą,

Ormus wciąż jest sceptykiem: Czego właściwie ode mnie chcesz? - wypytuje.

Głos Mulla drży, rwie się, matowieje. Chodzi o synów, słycać jąkanie. Mógłbyś mi powiedzieć coś dobrego o synach.

Niełatwa sprawa. Po wyrwaniu się z niewoli Radia Freddie Hawthorne i Waldo szeroko otwierają drzwi przed doznaniem. W matczynym gnieździe - Zodiak na suficie, astrolabia, łodygi I Cing, ulotki reklamujące pozaskalowe śpiewy tybetańskie, kot, miotła, księgi - leżą na wpół przytomni, wprawieni w błogostan z pomocą mamuni.

Kręcą nimi cukiereczki, kręcą, promienieje Antoinette. Po dwóch tygodniach wywiesili te biedne jęzory. A ty, mój książę Orientu? Jednego? Dwa?

Chociaż spędził całe życie na tym rzekomo egzotycznym Wschodzie, nie nauczył się obcować z czarownicami. Siedzi niezgrabnie na afgańskim dywanie na skrzyżowanych nogach, ciężar ciała przenosi z biodra na biodro i wymawia się od narkotyku. Zerka w zakomponowane przez Antoinette mroki i dostrzega papugę w klatce, meksykańską urnę, brazylijskie bębny do samby. Książki o starych religiach żądnych krwi i ofiar z ludzi. Czarownica z rysem latynoskim. Ormus przestaje brać ją serio. To poza, prawda?, rodzaj gry, teatru. W tej "kulturze" ludziom nie brak czasu na gry. Może nigdy nie wyrastają z zabaw. "Kultura" dorosłych dzieci.

Zarazki na płytce.

Antoinette dostrzega Ormusowe zainteresowanie parafernaliami, wyczuwa sceptycyzm; tryska z niej potok samousprawiedliwień.

- Ludzie szukają czegoś lepszego. Jakiejś alternatywy. A przecież istnieje zbiór wiedzy wzbronionej, całkowicie spójny, niesamowicie podbudowany przez uczonych, to jest tajemna wiedza całej ludzkiej rasy, całkowicie wypchnięta poza granice szacunku. Dlaczego? To jasne. Bo oni nie chcą, żebyśmy mieli dostęp do władzy. Energii. Energii jądrowej sztuk tajemnych.

I to się jakoś zgadza. Teraz Ormus zaczyna ją postrzegać wyraźniej. Chyba typ demagogiczny: depozytariuszka jedynie słusznych racji, Prawdziwa Wyznawczyni. I chyba coś ukrywa; niedojrzała retoryka lunatycznych modnych alternatyw zapewne ma ubarwić historię życia tak boleśnie banalną, że można się przestraszyć. Kim właściwie jest? Krawcową, której poszczęściło się w interesach, lecz nie w miłości. Dorośli synowie, puste łóżko. Ormus ma wrażenie, że Antoinette infantylizuje chłopców; karmienie halucynogenami to sposób, żeby wciąż byli dziecinni, bezradni, zależni, żeby wciąż należeli do niej. Ormus, w nagłym mdlącym przyływie niechęci

wobec ducha czasów, ma wrażenie, że nie polubi tej Antoinette Corinth: zaborczej, komedianckiej, natarczywej.

Pyta, czy można pograć na bębnach. Antoinette - która zstępuje w głąb samej siebie, niknie za koliskami dymu - niepewnie macha ręką. Spod koniuszków Ormusowych palców spływają jedwabście pozakręcane rytmy, cicho, ochoczo. Jakby bębny pragnęły z nim pogadać, a on z nimi. Ormus myśli: Nareszcie znaleźli się przyjaciele.

Jebiański Raj, pochrząkuje Antoinette i odjeżdża na dobre. Ormusa mało to wzrusza: pochłania go samba, karnawał wyczarowany przez lotne ręce wybijające rytm.

Później, już w łóżku pod jej sypialnią, Ormus słyszy, jak Antoinette budzi się, potem słyszy kataklizm, czyli wspinanie się po schodach, wreszcie dziwną pieśń: brzęk pompejańskich krotali towarzyszy kobiecemu wyciu do księżycy.

Zaczyna go przerażać ta Anglia, skołowana mistycyzmem, hipnotyzująca się cudownościami i psychotropami, romansująca z obcymi bogami. To obszar ogarnięty katastrofą; starzy niszczą młodych, ślą ich na śmierć na jakichś odległych polach bitew, w rewanżu młodzi niszczą samych siebie. Ormus zna odpowiedź, z gruntu konserwatywną, odpowiedź nie tylko wobec wojny, ale i wobec przeciwstawnej zasady tego wieku łeseferyzmu; coraz bardziej oczywistą, w miarę jak coraz więcej dowiaduje się o tych stronach. To bunt przeciw rujnowaniu, samozranieniom, samounicestwianiu, przeciw tym porozrzucanym po łózkach marynarkom i łykaniu najrozmaitszych bełkotów wypierających ćwiczenie własnej inteligencji, przeciw podatności na różnych guru i innych mistrzów mącenia w głowie, przeciw zstępowaniu w otchłań przywilejów.

Wkrótce o tym obszarze klęski Ormus napisze piosenki, będzie w nich smagał pokolenie zagubione w kosmicznej pustce, będzie z nich kipieć wściekłość i oburzenie, a ludzie atakowani przez Ormusa - oto jedna z ironicznych inwersji kulturowych - uczynią z nich sobie hymny. Pokolenie dryfujące, pęknięte, konające, samo siebie częstujące wielkim kłamstwem - że mianowicie reprezentuje nadzieję i piękno - usłyszy w Ormusowych utworach prawdę, w owych kawałkach o sile trzęsienia ziemi; ci ludzie spojrzą w okrutne zwierciadła i zobaczą siebie. Ormus wynajdzie sobie Ton Zachodni, zrozumiawszy, mówiąc słowami monsieur Henriego Hulota, przeciw czemu

jest. A dzięki Winie, swej jednej jedynej miłości - za kim jest.

Kiedy sir Dariusz Kserkses Kama powrócił z katastrofalnej podróży do Anglii, butler Gieve wypytał go o ów kraj; bo Gieve słyszał różne kłamstwa, wieści zbyt niedorzeczne, stanowczo nieprawdziwe, chciał jednak, by sir Dariusz potwierdził nonsensowność pogłosek.

Mówi się, proszę pana, że jeśli w Zjednoczonym Królestwie człowiek nie ma pracy, to rząd mu płaci pieniądze. Jeżeli nie ma domu, rząd daje mu dom pakka, wcale nie budę dżopadpatti na chodniku, ale coś solidnego. Jeżeli człowiek zachoruje, albo jego rodzina, rząd płaci za szpital. Jeżeli człowiek nie może posyłać dzieci do szkoły, to rząd załatwia, że się uczą za darmo. A kiedy człowiek jest stary i do niczego, rząd płaci mu za nic, tydzień w tydzień żywą gotówką do końca życia.

Myśl, że rząd mógłby postępować tak niedorzecznie, najwyraźniej nie dawała butlerowi spokoju, raniła jego poczucie naturalnego ładu. A kiedy Dariusz potwierdził, że domniemania z grubsza odpowiadają prawdzie, Gieve nie wytrzymał. Pacnął dłonią w czoło, pokręcił głową i nie mógł przez chwilę wykrztusić ani słowa. Potem zapytał:

- W takim razie, proszę pana, dlaczego w Zjednoczonym Królestwie może się w ogóle trafić ktoś nieszczęśliwy?

Dlaczego w tym uprzywilejowanym zakątku globu może być ktoś nieszczęśliwy? W porządku, wojna, przyznaje Ormus. Ale czy wszystko tłumaczy? Słowem, czy ludzie mogą na każdym rogu wywnętrzać się po same bebechy i nazywać to pokojem? Czy mogą poodwiązywać wszystkie sznurki świata - *jazda, nieważne, co zazgrzyta* - i nazywać to wolnością?

Jego lęki, złowieszcze przeczucia, wrażenie, że idzie ku gorszemu, ku zgubie - pęknięcie ziemi, otchłanie, czterej jeźdźcy, cała ta anachroniczna machina milenarystycznej eschatologii - pogłębiają się za sprawą wiedzy o własnym bezwiednym darze wizji, postrzegania dziur rzeczywistości otwierających wgląd w rzeczywistość inną, przed którą Ormus się wzbrania, mimo zaproszeń, by w nią wstąpił; otóż nie wstępuje, bo czuje - więcej, bo wie - że wstąpienie bardzo by przypominało obłąd. Czyżby podszyte szaleństwem wizje - zdolność, której u siebie najbardziej się lęka - najżywiej współbrzmiały z tym nowym światem?

U schyłku nocy przychodzi przymulona jakimś narkotykiem Ona i rzeczowo, bez emocji lokuje się na jego materacu. Seks w porze przekrwionych oczu i

nieświeżego oddechu, już po chłodnym świcie, jest nieprzekonujący, kościsty, zwięzły; pocieranie na sucho, pełnienie obowiązków. Jak koniec seksualności, jak wyschłe, ostatecznie zbliżenie starego, wieki temu poślubionego małżeństwa. Dopada ich wyczerpanie, zasypiają. Po dwóch tygodniach Ormus wróci na statek, a jeśli w jego pokoju będzie sypiał ktoś inny, Ona może też przyjdzie, jak lunatyczka.

Na niebie nad nimi przechadza się po kosmosie major Ed White. Wyszedł z ram. Na zewnątrz pokryw statku Gemini 4 jest przez czternaście minut absolutnie nieprzynależny, jedyne wiszące nad Ziemią stworzenie obdarzone zmysłami. Jego partner, jego kosmiczny bliźniak musi go - ogarniętego uniesieniem - zwabić z powrotem do Gemini.

W telewizji występuje koń, który się wabi Mister Ed; osuwając się w sen, Ormus Kama pozwala sobie pomieszać jednego z drugim. Pierwszy centaur w kosmosie. Lub Pegaz, ostatni skrzydlaty koń, który powraca w nasze zepsute, postklasyczne czasy.

Ona zabiera Ormusa do klubu, nazwanego UFO, by zaspokoić ludzką potrzebę wiary w istnienie w kosmosie istot innych niż major czy nawet Mister Ed. Barwiony olej zgniatany między dwiema szybkami pulsuje w takt muzyki. Kudłate głowy kolebią się rytmicznie, jak łby pudlimaskotek za szybą samochodu. Aż gęsto od dymu o przenikliwym zapachu. Co on tu robi, w jałowych i niepotrzebnych mrokach, skoro Wina jest gdzie indziej i czeka. Lub nie czeka. Tymczasem obok niego Ona, ukrywająca się za maską niemowności, coś gryzmoli na serwetce ozdobionej napisem "unfold": w nazwie ulicy zaznacza nazwę klubu. *UnFold Road*.

Nawet tutaj, w podziemiu, Ormus czuje się jak astronauta z Gemini, na zewnątrz, na wysokościach, zapatrzony. Rozsadzany uniesieniem czeka, by się zićić.

Za dnia wędruje ulicami, wypatruje innych, starszych Anglii, czyni je rzeczywistymi. Nie nęci go doładowanie narkotykowe. Kręci go wystarczająco samo miejsce, jego jaskrawa a znajoma dziwność. Zagubić się zupełnie wśród rozpoznawanych właśnie budynków, nic nie wiedzieć o krajobrazie miasta, które nosiło się wszędzie ze sobą, przez lata, uważając je za obszerny i niewyczerpany skład wizerunków, to doznanie dostatecznie oszałamiające. Po co jeszcze śmieszne papierosiki?... Podczas wałęsaniny Ormus Kama, w stanie zachwycenia widokiem tej wielkiej, brudnej rzeki i ponurych zachodów słońca, zniemacka traci głowę dla zapachu świeżego, pieczonego na zakwasie białego chleba.

W Bombaju, owszem, pieczono chleb na zakwasie, ale z żalonym skutkiem: był to suchy, wyzbyty smaku, kruszący się nieszczęsny ubogi krewny. "Nieprawdziwy". Bo "prawdziwym" chlebem były ćapati lub phulka podawane na gorąco, parzące; "prawdziwe" były tanduri nań i ich słodsza, przygraniczna odmiana peszawari nań; a z luksusowych odmian reśmi roti, śirmal, paratha. W porównaniu z tą arystokracją drożdżowe bochenki z dzieciństwa Ormusa najwyraźniej zasługiwały na określenie, które wymarzył sobie wobec ludzi takich jak on nieśmiertelny śmieciarz ze sztuki Shawa, Alfred Doolittle: były, po prawdzie, niezasłużenie biedne. W niczym nie przypominały tych lśniących, wyrośniętych, pulchnych i kuszących bochenków na tyłu wystawach stołecznych piekarni - MacFisheries, ABC, samej Chelsea Bakery. Ormus Kama dał nura w ten nowy świat, sprzeniewierzając się bez mrugnięcia przesławnym chlebom rodzimym.

Ilekoć mijał piekarnię, po prostu musiał wstąpić. Codzienne kupowanie i zjadanie mnóstwa chleba było, nawiasem mówiąc, pierwszym przeżytym do głębi serca erotycznym obcowaniem z życiem londyńskim. Ach, ta miękka poduchowatość, materacowość. Sprężystość wyczuwana między zębami. Twarda skórka i miękkie wnętrze: zmysłowość tego doskonałego kontrastu struktur. O Wy, Białe Chrupiące Bochenki roku 1965, te całe i te krojone! O Wy, Małe i Duże Chleby z Formy, Duńskie, Wy, Bułki Pytlowe! O chlebie nadzmysłowy, drożdżowy, nakarm mnie! Do syta! W zamtuzopiekarniach Ormus bez gadania płaci za te schadzki z bochenkową rozwiązłością. Są czyjeś, lecz wręczenie królewskiej monety sprawia, że ukochane połykalności, wytęsknione kąski są jego i tylko jego. Wschód to Wschód, myśli Ormus, ale drożdże to Zachód.

Standish kupił mu gitarę. Ormus - z kieszenią wypchaną bułkami - siada w parku i wdaje się w techniczne eksperymenty, szuka nowego głosu współbrzmiącego z nowym ja w tym nowym świecie. Dłubie nad czymś, co z początku różni się od ostrego szycia hardrockowym ściegiem, które niegdyś ulubił i do którego - w odpowiednim nastroju - zawsze będzie wracał. Natomiast nowy głos jest słodszy, wyższy, Ormus śpiewa nim pieśni o dłuższych wersach, bardziej złożonych liniach melodycznych, przepływających nad i pod sobą nawzajem, wznoszących się, wirujących jak tancerze. Jedną z nich Muli Standish wybierze do nagrania: *Ona (Śmierć rozmowy)*.

(Bębny tabla: rakataka takatak. Melduje się gitara. Rogi. Uuaaa łąp łąp uuaaa, uuaaa łąp łąp uuaaa. Pełny, soczysty dźwięk, nic z typowych dla okresu rzeżeń, pisków i grzmotów. Brzmi świeżo. Podobnie głos: komunikuje coś zrodzonego

z osobistych, nie wyjaśnianych odniesień, lecz jakimś cudem w owym prywatnym świecie lokuje też słuchacza. W ciemności leży dziewczyna i pyta, co ja tu robię, co robię na tej podłodze, kiedy reszta mego życia jest takim nieporozumieniem. Potrzebny mi karnawał, kostium, dni spędzane na słońcu, nie chcę być czarną kocicą ze starego żurnala.)

Ormus w pełni odzyskuje wabiki. Kobiety obezwładnione jego urodą, wdziękiem, z jakim kroczy na długich nogach, zgarniają go wprost z ulicy. W mieście samotności rozwierają się przed nim drzwi. Czasami zdradza, że jest tym nowym chłopakiem z Radia Freddie, i po raz pierwszy czuje, że sława Zachodu przymilnie ociera się o niego jak kot wskakujący na kolana.

Powoduje to wkrótce, że Ormus znów, jak dawniej, zaczyna się czuć Hindusem mającym jakieś więzy rodzinne, korzenie. W rozpalonym do białości czasie teraźniejszym te rzeczy skurczyły się i umarły. Rasa już nie wydaje się tak trwałym punktem odniesienia jak kiedyś. Ormus widzi, że dla nowych oczu jest kimś niedookreślonym. Bywał już brany za Żyda, a kiedy teraz te dziewczyny na skuterach i motocyklach, w garbusach i mini cooperach, dziewczyny ze sztucznymi rzęsami i w wysokich butach, hamują przy nim z piskiem, proponując przejażdżkę, bywa brany za Włocha, Hiszpana, Cygana, Francuza, Latynosa, Indianina, Greka. Nie prostuje; podczas tych krótkich przypadkowych spotkań przyjmuje, jak barwy ochronne, tę postać, którą postrzegli w nim inni. Pytany wprost, zawsze mówi prawdę, lecz w coraz większe zakłopotanie wprawia go fakt, że ludzi, zwłaszcza młode kobiety, jego prawdziwa tożsamość przyciąga seksualnie tak mocno na tak szarlatańskiej, płaskiej zasadzie. *Och, jakie to duchowe*, mówią i ściągają kiecki. *Jakie duchowe* i ujeżdżają go jak konia. *Duchowe* i kołyszają się przed nim na psa. Upokorzony, nie umie jednak oprzeć się zaproszeniom. Uduchowiony Hindus w stanie wzwołu podbija cielesnie Zachód.

Dociera na granicę oszustwa. Z Mullem Standishem spotykają się na kawie w Chelsea, w Cafe Braque. Niczego nie zamierzamy ukrywać, oznajmia Muli. Ale na tym po prostu nie zrobimy interesu, a ty utkwisz na dobre w getcie etnicznym. Więc przekłamiemy ci datę urodzenia. Podejście pod trzydziestkę to nie wiek, w którym zaczyna się karierę w branży. Bo branża to elektroniczny żłobek.

Pochłaniając puszysty chleb z masłem, porcję za porcją - które przynoszą coraz bardziej pogardliwi i zirytowani, odwiecznie grubiańscy kelnerzy Cafe Braque - Ormus rozważa związek między wykorzeniem a sukcesem i tłumaczy sobie, że

przyjęcie estradowego pseudonimu to nie jest akt haniebnny, niehonorowy. Kto słyszał o Issurze Daniłowiczu, nie mówiąc o Marian Montgomery, Archibaldzie Leachu, Bernie Schwartzu, Stanleyu Jeffersonie, Allenie Konigsbergu, Betty

Joan Perske, Camille Javal, Grecie Gustafsson, Dianie Fluck, Frances Gumm czy biednej zmarłej Julii Jean Mildred Frances Turner, zanim pozmieniali nazwiska. Erte, Herge, Ellery Queen, Weegee... Usprawiedliwia go cała historia pseudonimów. Lecz w końcu widzi, że nie może tego zrobić. Zatem kompromisowa propozycja Ormusa przedstawia się tak: jego nazwiskiem nie nazwie się kapeli, chociaż skrzyknięci przez Mulla muzycy to artyści sesyjni. Swoją pierwszą ekipę Ormus nazwie na cześć miejsca, w którym po raz pierwszy spotkał Winę. Rhythm Center. Słuchajcie, dziatki, oto Ona: gra Rhythm Center. Lubię, co lube, mówi Muli Standish, popija kawę i postukuje laseczką. Klawe do klawego; klawe *con* klawe.

Dzięki ci, Chryste, dodaje, bo już myślałem, że chcesz ich nazwać Bułeczka z Masłem.

Będzie już za późno, kiedy Ormus odkryje, że Muli opublikował fałszywą biografię swej nowej gwiazdy; że skomponował bajedę z motywami tygła, tęczowej koalicji, patchworku i mieszania się genów, osnutą wokół lat przebijania się w różnych dziwnych miastach europejskich, wyjąwszy Hamburg (by uniknąć porównania z Beatlesami). Ubóstwo i rozpacz, tychże przewycięzanie, wreszcie stworzenie skończonego produktu. Kiedy Ormus to odkryje, wygarnie Standishowi, który, nieskruszony, wyłoży zasadę: Nie liczy się prawda, a ta historyjka ma akurat ręce i nogi. Długie nogi. **Bajeczne** nogi. Śpiewaj, dziecko, piosenki i pozwól wujkowi Mulłowi pilnować interesu.

Później, za czasów kariery, Ormus będzie często i zjadliwie atakowany za wyrzeczenie się korzeni. Lecz Mulla Standisha nie będzie wówczas wśród żywych.

Standish pyta o chłopców i zmienia się w oczach. Twardy światowiec przedzierzga się w postać kruchą i niepewną swego. Co mówią? - wypytuje, drży i unosi ręce nad stolikiem, krzyżuje je, jakby się zasłaniał przed ciosem. Co mówią o mnie? Ona ich zatruwa już od dwudziestu lat, nastawia przeciw mnie. Czy są z nią bezpieczni? Bóg jeden wie. Jest szajbnięta, widziałeś, mogłeś się przekonać. I nic z tego nie wynika. To jej się należą prawa rodzicielskie; ona jest na swoim miejscu, a ja, cóż, ja nie mogę się bronić. Odszedłem, rzuciłem ich, zmieniłem orientację, jak to dziś mówią, wyorientowałem się. Nic nie poradzę. Ale teraz tu jestem, chcę tu być, chcę

być kimś dobrym, rzeczywistym, chociaż może za późno, może nie zdołam.

Ojciec, mówi Ormus. Unikasz tego słowa.

Więc nienawidzą mnie, no jasne. Opowiadaj, zniosę to. Zresztą nie. Kłam.

Ormus na nowo roztrząsa rozmowę z Antoinette Corinth. Może cię to zdziwi, ale chcę, żeby go polubili, powiedziała. Od niego zależy zbudowanie mostu. Późno się do tego zabiera, Bóg świadkiem, ale w końcu, jak widzę, przynajmniej próbuje. Nie ma sprawy. Chcę, żeby się zbliżyli do ojca. Chcę nawet, żeby go pokochali, żeby mu sprawiła przyjemność synowska miłość, żeby sam pokochał głęboko tę ich miłość, żeby się już nie mógł bez niej obejść, chcę tego, nawet dla niego, czemu nie?

Muli kręci głową, nie dowierza. Tak powiedziała?

Tak powiedziała: Na to czekam, cytuje Ormus.

O co tu chodzi?

Że chyba na to liczy. (Ormus próbuje nie brać niczyjej strony, traktować oboje na równi.) Może widzisz duchy, których nie ma. Może nie chcesz jej poznać z bardziej wspaniałomyślniej strony.

Jasne. A może księżyc to ser, Standish zasłania się sarkazmem. O, popatrz, nad Bazantarnią, na niebie. Fruwa świnia. Widziałeś? Świniolot.

Łąd, woda, woda, łąd. Czas sączy się, płynie, rozciąga, kurczy, mija. Historia pierwszego nagrania Rhythm Center, piracka natura przedsięwzięcia, Standish przemierza cały kraj od sklepu do sklepu, żebrze, łąsi się, grozi, znów żebrze: znane sprawy. Piosenka spisuje się nieźle, lecz na kolana nie powala. Ormusowe nocne przyzywania utraconej miłości przyjmują się szybciej niż jego utwór. Ale Winy tu nie ma. Bawi za oceanem, śpiewa z Dianą Ross w Rainbow Room, pęta się z Amosem Voightem itede, nie słyszy zewu swego chorego z miłości wielbiciela.

Jest wojna i protest przeciw wojnie. Pokolenie uczy się maszerować, buntować, wynajduje pieśni, które przemienia sfory dzieciaków w armię zdolną przerażać państwa. Kiedy chcemy, to chcemy. Raz dwa trzy cztery, dwa cztery sześć osiem. Ho ho ho.

Wiadomości niewojenne też strzelają rozstrzelonym drukiem, porąbane, wywichnięte. W Hiszpanii grupa arystokratów nie może wyjść z salonu w miejskiej rezydencji, gdzie raczono się podczas wystawnego bankietu. Nic ich nie wstrzymuje, mimo to nie wychodzą. Przy wrotach posiadłości niewidzialna siła wstrzymuje podobnie od wchodzenia. Gapie, służba, pogotowie ratunkowe i policja tłoczą się w

otwartej bramie, lecz nikt jej nie przekracza. Szeptanie o boskiej klątwie. Ktoś się zarzeka, że usłyszał nad głową łopot skrzydeł anioła Azraela. Jego cień przesuwa się jak czarna chmura.

Polski patriota Zbigniew Cybulski ginie na podwórku wśród powiewającej na sznurkach świeżo wypranej pościeli. Krew plami białe prześcieradło, które Cybulski przyciska do brzucha. Z rąk wypada mu poobijany blaszany kubek; staje się symbolem ruchu oporu. Nie - czcigodnym świętym zabytkiem. Kapelusze z głów.

W Paryżu przedmiotem adoracji staje się amerykańska dziewczyna. Niektórzy głoszą, że jest nowym wcieleniem zbrojnej dziewicy, świętej Joanny. Zaczyna się rodzić kult.

To nie są czasy świeckie. W sferze świeckiej istnieją tylko bomby i śmierć. Przeciw którym seks i muzyka nie okażą się chyba dostateczną zaporą.

Tragicznie ginie wielka gwiazda filmowa. Kochała dwóch, ci zaś, dwaj przyjaciele, twierdzili, że jej twarz i uśmiech przypominają rzeźbę antyczną. Pokłócili się o nią. A ona, po lunchu w kafejce, wzięła jednego na przejażdżkę samochodem i z rozmysłem poprowadziła wóz na koniec zrujnowanego mostu, do wody. Giną oboje. Ten drugi, przy stoliku, widział, jak ukochana i przyjaciel nikną mu z oczu na zawsze.

Niedługo przed śmiercią gwiazda nagrała przebój, przy własnym akompaniamencie gitary akustycznej. Teraz wciąż słycać to nagranie, pierwsza francuska piosenka, która się wspina na brytyjskich listach, toruje drogę Françoise Hardy i innym. Ormus, który słabo sobie radzi z francuskim, usiłuje zrozumieć słowa.

Każdemu według smaku, krążyć, krążyć, w wirze życia?

To o to chodzi?

Na pokładzie *Frederiki* Ormus Kama dostrzega, że na ścianie kabiny Eno zmienił się napis. *Zachowaj odstęp*. Odtąd Ormus obserwuje napisy, zmian przybywa. Pewnego tygodnia widzi słowa *Nie za blisko*. Inne, *Nie uszczelniajcie ogrodzeń*. Inne, *Nie kochaj tylko dlatego, że nie jesteś kochany*. Inne, *Walcz z chętką na słodycze. Zachowasz nie tylko zdrowe zęby*. Jeden z tekstów, długi, napisany jest białym wierszem:

Niechaj bogowie oszczędzą mi wygnania i nędzy cudzych praw!

Po co nieznośnie wlec życie w rozpacz i bezsile!

Lichszych już cierpień być nie może;

Więc śmierć jest lepsza.*

[* *Medea*, Stasimon II.]

Ali się sypie, mówi Hawthorne Crossley, to pewnie przez tę bezsenność.

A może przez ten kapelusz, upiera się Waldo. Przy okazji, czy Ali nie jest przypadkiem nielegalny?

Gdyby był nielegalny, z punktu by nas zwinęli, wywodzi Hawthorne.

Na widok tego dłuższego tekstu Ormus nie mówi nic. Wie, że Eno adresuje go wprost do niego. Czuje palące żądło tej przygany i szuka spojrzenia dźwiękowca. Lecz Eno wydaje się nieobecny.

Upłynie wiele lat, zanim Ormus Kama się dowie, że autorem długiego tekstu nie jest Eno Barber, lecz Eurypides. Ale te krótsze pisywał Eno.

Pilnujcie tyłków. Pilnujcie głów. Do kogo są adresowane te apele?

Ormus odbiera przesłania także u Czarownicy. Do Ormusowego łóżka wciąż trafia Ona, jeśli ją najdzie kaprys. Żadnych dialogów. Nie rozmawiają. Gest powitania, grzmocą się, rozstają; kopulacja duchów. Ale czasami i Ona zostawia noty. Niektóre melancholijne, niejasne. *Gdyby muzyka mogła leczyć smutek, byłaby cenna. Lecz nikomu nie przychodzi do głowy, by instrumentów strunowych i pieśni używać do przepędzania goryczy i bólu istnienia.* Większość notek jednak dotyczy Antoinette, której dominująca osobowość chyba zawładnęła Nią bez reszty. Dzieje ciężkiego życia Antoinette. Zamożni krewni wyparli się jej, bo poślubiła chromego Standisha, a potem ten skurwiel zostawił ją z dwoma dziećmi, bez środków; z rynsztoka wydzwignęła się tylko dzięki własnym talentom i pracy od świtu do nocy. *To groźna kobieta; kto zostanie jej wrogiem, niech nie liczy na łatwe zwycięstwo.*

Notki nie są konsekwentne. Czasem mówią o lęku przed furią Antoinette, kiedy indziej sławią jej wielkoduszną miłość. Natomiast jeśli chodzi o Tommy'ego Ginę, z fircykową strzechą rudych kudłów, kwiecistymi kamizelkami, stroszeniem piórek, apodyktycznością, to Jej gryzmoły są jawnie wrogie. *Wydaje mu się, że ją wymyślił, że wszystko wymyślił, szmaty, muzykę, podejście, marsze protestacyjne, pacyfę, ruch kobiecy, Czarne Jest Piękne, ćpanie, książki, czasopisma, całe pokolenie. Słowem, jeśli w ogóle mamy coś w głowach, to dzięki niemu, a prawda jest taka, że jest nieważny, to rozszoszczone gówienko, które umie tylko zaistnieć, dać się zauważyć, a prawdziwą artystką jest ona i nie wdaje się w te brednie, piękno, które tworzy, pochodzi z głębi jej zranionej duszy, tylko poczekaj, a zobaczysz, jak z nim któregoś dnia zerwie, raz na zawsze wszystko przetnie, bo Czarownicy na nic*

Czarodziej, a tego dnia, kiedy go przegna, facet skurczy się i skona jak wampir w promieniach słońca. Wygląda na to, że milcząca Ona więzi w sobie, mimo wszystko, masę słów, ma mnóstwo do powiedzenia. Kryje się za tym Apollo. Przez spowijające tę młodą kobietę czarne dionizyjskie chmury usiłuje się przedrzeć świetlisty bóg słońca. Ormus bez trudu spostrzega, że Ona jest przepastnie zakochana we własnej szefowej. Mężczyźni mogą przychodzić i odchodzić, lecz miłość nieprzerwanie wiąże dwie mroczne damy - dużą i świetną na górze, małą i zaniedbaną na dole, w purpurowych ciemnościach.

Ormusowi pochłoniętemu odkryciem umyka może to, przed czym go przestrzegają Ona na lądzie, Eno Barber na morzu. Czai się niebezpieczeństwo, podkrada coraz bliżej. Zaczyna drzeć ziemia. Ormus jak większość protagonistów jest głuchy na ostrzeżenia chóru. Mimo że śni coś strasznego - chłopcy z otwartymi, porozrywanymi czubkami głów podobnych do rozpękłych puszek fasoli staczają się ze schodów domu nad sklepem - nie przywiązuje wagi do złej wróżby. Odsuwa wizjonerskie skłonności; w środowisku przesyconym kabalistyczną bzdurą usilnie stara się pomijać wieszczby, a skupiać na rzeczywistym, na muzyce, brać za pewny grunt dzienną stronę życia w Anglii.

Zachować radość, która go tu sprowadziła, trwać w uniesieniu, w zamiarze odnowy.

Ormus coraz częściej zwraca się w duchu ku Winie. Tę istniejącą tylko w jego myślach, znaną lepiej niż jakakolwiek żywa istota, wysyła na scenę wyobraźni na spotkanie z innym wcieleniem Winy, dorosłym, z nieznaną bliźniaczką tamtej. Która zderzyła się z życiem, a ono przeistoczyło ją w kogoś obcego. Nowe życie i wiecznie żywe upiory przeszłości. Martwa rodzina, pozarzynane kozy, matka morderczyni wisząca w opuszczonej szopie. Pilu, Chickaboom, owszem, ale przede wszystkim ta martwa, kołysząca się matka i siedząca przy niej Nissy, nie wzywająca nikogo, przepelniona lękiem, że terażniejszość wróży jej przyszłość. Kołyszące się nad ziemią kostki i długie nagie łydki to refleks jej samej.

Nadpełzają stare lęki: Ormus widzi, jak Wina wpatruje się w niego bezmyślnie i mówi, *Nie, to już przeszłość*, i odchodzi w jakiś inny zachód słońca, sprawia, że z jego życia znika sens. Ale te mroczne wyobrażenia nie mogą nim zawładnąć. Przepelnia go światło, promienieje; to możliwości. W Cosmic Dancer dotknął dna i odnalazł w ten sposób drogę ku górze. Teraz płynie ku niebu, nie zawiodą dzielne fregaty, a we właściwej chwili odnajdzie ją, weźmie za rękę i razem wzleczą w noc nad rozjarzonym

Metropolis. Jak wróżki, jak długowłose komety. Jak gwiazdy. Taka jest historia, którą pisze sam sobie i wobec której rzeczywistość nie ma wyboru, musi się podporządkować.

Tymczasem na Ormusa zasada się inna historia. Podobno jakaś galaktyka właśnie się wdziera w naszą Drogę Mleczną, wwirowuje swą obcość w naszą swojskość, wpisuje swą historię w nasze. Jest niewielka, my (stosunkowo) sporzy; rozerwiemy ją na strzępy, zniszczymy jej słońca, rozbijemy atomy. Żegnaj, maleńka, bywaj, galaktyczko, amen.

Historie Ormusa i Czarownicy na Miotle właśnie się splatają. Która unicestwi tę drugą?

Lub gorzej: może okażą się w końcu tą samą historią?

Myślę o (tak to nazwijmy) zagadnieniu Medei. Oczywiście w roli czarownicy pani Corinth: z synami i dezerterującym ojcem. Nie da się ukryć podobieństw, zwłaszcza że Antoinette postanowiła je podkreślić, porzuciwszy "Crossley" na rzecz "Corinth". I co chce zrobić, przerazić ludzi? Czy tylko Mulla? Czy dorasta do miar tragedii? Czy zdoła przekroczyć granice macierzyństwa i zdrowych zmysłów aż tak, by jej czyny przybrały postać przeznaczenia? Czy jest powołana? Ormus, który w pierw widział w niej jędzę, zaczyna o niej myśleć jako o komediantce po części, a po części o lunatycznej alternatywistce, raczej mętnej niż mrocznej, projektantce-wiedźmie, która potrzebuje numerologii, by łatwiej podrywać, a symbole okultystyczne zamiast do zaklinalnia diabła, przydają jej się do wpinania w biusty tych dzidzibudkowatych czarnych jak noc sukienek. W przeciwieństwie do Eno i do Onej - autorów notatek - Ormus nie daje się nabrać. Zwłaszcza że milczący twórcy gryzmołów - z racji własnych niedostosowań - to analitycy o ograniczonej wiarygodności. Zatem Ormus Kama nie może uwierzyć, że wkroczył na scenę, na której rozlegnie się jakaś straszna współczesna koźła pieśń. Antoinette Corinth nie może i nie będzie odpowiadać za jego los.

Nie doceniamy bliźnich, bo nie doceniamy siebie. Jesteśmy - oni, my - zdolni być kimś więcej, niż sądzimy. Wielu z nas jest w stanie odpowiedzieć na najmroczniejsze pytania stawiane przez życie. Po prostu nie wiemy, czy stać nas na rozwiązanie zagadki, zanim ktoś ją nam zada.

Rozegra się tragedia. Antoinette Corinth zaś nie zostanie uznana za odpowiedzialną.

Muli Standish z uporem garnie się do własnych dzieci, co Hawthorne i Waldo zaczynają powoli odwzajemniać. Kiedy z wacht pirackiego żywota złoży się rok, potem dwa, kpiarski stosunek synów do ojca nabierze rysu szczerzej uczuciowości. Pojawiają się gesty świadczące o miłości: objęcie ramieniem, żartobliwy synowski sierpowy, który w końcu zamienia się w krótkie tknięcie czubkami palców otwartej dłoni. Wspólna krew domaga się zbliżenia. Nadchodzi dzień, w którym jeden - rzecz jasna Waldo, o słabiej opancerzonej osobowości - przypadkiem zwraca się do Standisha "tato", a chociaż Hawthorne go ruga, chociaż karci za tę gafę tasiemcem zniewag, Standish wzrusza się do łez. A Hawthorne też nie jest przeciw. Nawet on ma wrażenie, że "tato" jest właściwym słowem. Mimo to, co było.

Wspierają ich przeciwności, to jasne. Przepchnięto ustawę ukrecającą łeb piractwu. Pogoda - która niegdyś rozproszyła i zdruzgotała hiszpańską Armadę - mocno się daje we znaki pirackiej flocie Standisha. To stare krypy i ciekną. Jeżeli porządny sztorm da im szkołę, pójdą na dno ze strachu. Piętrzą się problemy ubezpieczeniowe, bo co tu gadać, to bardzo niepewne jednostki.

Jest Radio 1, nowa stacja naziemna. Podkrada Standishowi najzdolniejszych ludzi. Zwijają kram, statek za statkiem. Wkrótce zostaje tylko Radio Freddie; pierwsze rozpoczęło nadawanie i do końca trwa na posterunku.

Rdzewiejąca *Frederica* wie, że zbytnio nie przewlecze odejścia na emeryturę.

Pierwsza kapela Ormusa, Rhythm Center, zaliczyła serię skromnych sukcesów, dochrapała się miejsca w Pięćdziesiątce, ale w Czterdziestce chyba nie zagości dłużej. Porażka - jeżeli mówić o prawdziwym przebicciu - po części bierze się stąd, że kapela nie gra na żywo, Standish uważa bowiem, że klubowa publika ich "nie kupi". Jego strategia polega na podtrzymywaniu tajemniczości, tworzeniu kultu, undergroundowych zafalowań. Są też kłopoty z nagrywaniem w niewielkiej, niezależnej wytwórni, pod firmowym znakiem Standisha Mayflower; trudności z rozpowszechnianiem, z ograniczonym budżetem promocyjnym. Właśnie doniesiono o śmierci amerykańskiego didżeja Alana Freeda, który przedwcześnie zapił się na śmierć, a przedtem puścił w światowy obieg słowo "payola", zbitkę "pay" i "Victrola"*. [* To słowo istnieje i jest właśnie taką zbitką; pay - płacić, *Victrola* - umowna nazwa wytwórni nagrań; kombinacja dwóch prawdziwych nazw znanych

wówczas firm.] Freed przeniósł się na cmentarz, w przeciwieństwie do praktyki brania łapówek za nadawanie, a Muli Standish może sobie być dzianym gościem, proszę, lecz w tych licytacjach nie sprosta grubym rybom. Standishowi piraci, owszem, zagrają singla Rhythm Center, a inni już nie. BBC zaś, cóż, ludziom z BBC nikt nigdy nie udowodnił korupcji, lecz - z drugiej strony - to nie Ormus układa ich repertuar. Chociaż odniósł niejaki sukces. BBC podejmuje decyzje samodzielnie i nie da się wodzić za nos gawiedzi. Jeszcze czego, żeby szczeniaki decydowały o tym, co idzie na antenę? Państwo wybaczą.

A poza Anglią? Szkoda gadać. Nie dajesz, nie nadajesz. Wina jest w Ameryce, a głos Ormusa uwiązł w pułapce z tej strony Atlantyku; więc Wina nie usłyszy jego próśb.

Prawdziwym problemem nie są same piosenki. Coś zgrzyta w pisaniu. W Ormusie tkwi zbyt wielu ludzi, kłębi się w nim cała kapela, grają na różnych instrumentach, wymyślają różną muzykę, a on sam jeszcze nie odkrył, jak nad wszystkimi zapanować: nad kochankiem tęskniącym za utraconą miłością, omdlewającym na myśl o Winie w te noce na Morzu Północnym; nad śniącym podsłuchiwcem, który postępuje za zmarłym bratem, śpiewającym piosenki z przyszłości; nad zwykłym rock'n'rollowcem, który ukochał beat spleciony z łomotaniem serca; i nad tym przekornym komikiem układającym ironiczne pseudobukoliczne ody do chleba; nad gniewnym moralistą gromiącym ów czas mętniactwa, jego błagę, didżejozofię, pijackie przywoływanie śmierci; wreszcie nad krnąbrnym wizjonerem, któremu bywają dane chwile wglądu w inny możliwy wszechświat, chociaż wolałby się obejść bez nich.

Jeszcze nie w pełni uchwycił, jak sprawić, by różnorodność mnożyła w nim siłę, zamiast nadwątląć go i rozpraszać. Jak z licznych „ja” stworzyć w piosence jedność wielości. Nie kakofonię, ale orkiestrę, chór, olśniewający wielogłos. Martwi się, w ślad za Standishem, że jest za stary; jeszcze nie pojął, że to można wziąć w nawias, uznać za nieistotne. Krótko mówiąc, wciąż usiłuje wytropić jedyną istotną regułę, by się jej trzymać. Wciąż szuka gruntu pod stopami, jądra i środka ciężkości swej sztuki.

Do przełomu dochodzi w połowie roku 1967 (jak się bez trudu dowiedzą wszyscy prawdziwi fani Ormusa), w studiu nagrań w zaułku Bayswater, za domem handlowym Whiteleys. Historię nagrywania piosenki Ormusa *Kamy Nie tak* - a następnie trzyletniego odkładania jej komercyjnego debiutu - opowiada się tak często,

że szkoda powtarzać. Wersja znana powszechnie jest z grubsza prawdziwa, a gdyby nawet nie była, warto rozważyć radę redaktora pisma "Wild West".

Jeśli fakty nie pasują do legendy, drukuj legendę.

Muli Standish czeka za stołem mikserskim, kiedy zjawia się Ormus; widać po nim zaciętość. W porządku, jestem gotów, mówi. Spław muzyków.

Standish sztywnieje, wycisza się. Czy wszystkich? - pyta.

Co do jednego, potwierdza Ormus, pada luźno na wygniecione narożne siedzisko, przemyka oczy. I obudź mnie, kiedy już pójda, dorzuca.

Teraz Rhythm Center to Ormus i tylko Ormus. Jest w studiu sam z gitarami, klawiszami, perkusją, blachą, drzewem, kontrabasem i wczesną wersją mooga. Siada za bębnami i zaczyna.

Co takiego, pan chce zagrać za wszystkich? - wypytuje reżyser dźwięku. Ale jak? Bo mam tu tylko cztery ścieżki.

(To znaczy: Co to za gość? Bo tu, kolego, mamy świat rzeczywisty; szesnastoślady, trzydziestodwuślady, czterdziestoośmioślady to na razie baśń, przyszłość, przede mną stoi tylko stół mikserski, a nie wehikuł czasu.)

Normalnie, nagramy na przekładkę, warczy Ormus. Coś w niego wstąpiło. Lepiej z nim dziś nie zadzierać.

Na przekładkę, mówi mikser. Jasne, czemu nie.

Tak się robi, kiedy potrzeba wolnej ścieżki. Dwie już nagrane miksuje się i wgrywa na trzecią. Wtedy na dwóch pierwszych znów można nagrywać kolejne warstwy, zmiksować i zgrać na czwartą. I teraz mamy na dwóch nagranych ścieżkach po dwie nagrane wcześniej, zmiksowane i zgrane. Jeśli zostało jeszcze parę warstw, można i te dwie ścieżki zgrać na jedną; teraz mamy na niej cztery warstwy nagrania i wolne trzy ścieżki w czterośladowym.

Itede.

Problem polega na tym, że jeśli się zrobi taką przekładkę, już nigdy nie będzie można rozdzielić zgranych ścieżek. Jak się zmiksowało, tak zostanie. Nie można też wyjąć jakiejś warstwy i nagrać od nowa. Raz po raz podejmuje się decyzje ostateczne i nieodwołalne. Słowem, recepta na katastrofę, chyba że nagrywa geniusz.

A Ormus Kama to geniusz.

Cykl: nagrywa ścieżkę - a na każdym z instrumentów w studiu gra lepiej niż ci sesyjni muzycy, których właśnie wyrzucił - wchodzi do reżyserki, kładzie się na siedzisku, zamyka oczy. Reżyser dźwięku przesuwając tłumiki, obraca pokrętła filtrów, a

Ormus tak długo dyryguje, aż dźwięki w głośnikach staną się tą tajemną muzyką, która rozbrzmiewa mu w głowie. To podciągnij, to zdejmij, mówi. Teraz dołoż, tamto wycisz. W porządku, dobrze. Tak ma być. Już nic nie zmieniaj. Jedziemy.

Już jest pan pewien, mówi mikser. W tym rzecz. Tu nie ma odwrotu.

Przekładka, przekładka, uśmiecha się Ormus, mikser śmieje się i w odpowiedzi improwizuje.

Bouncy, bouncy... and like a rubber ball I come bouncing back to you.

Włazł kotek na płótek i mruga, raz jedna przekładka, raz druga...

Dźwięku przybywa, staje się pełny, soczysty, frapujący. Reżyser dźwięku to wielkie, pewne swego chłopisko, płacą mu, więc czym się przejmować; jest dobry w tym, co robi, pracował już ze wszystkimi, nic go nie zadziwi. Tymczasem patrzcie, facetowi ozywają ramiona, pach, z frazą, z beatem. Ten indyjski agregat, który tam i z powrotem biega ze studia do reżyserki, dmie w blachę, miksuje, przekłada, łapie za smyczki, za elektroniczną perkusję, co tu gadać, ma ucho, ma, kurczę, klasę.

Przekładka, przekładka.

Teraz pora na wokal. *Noce są czarne, czarne są dni, Ja wiem, gdzie jestem, nie wiem, gdzie ty.*

Po skończeniu nagrania mikser wstaje i wyciąga ogromne łapsko. Życzę wszystkiego najlepszego, mówi. Dziś mi się trafił niezły dzień.

Ormus staje przed Standishem, nos w nos. Jeszcze nie opadła z niego furia.

Więc jak? - pyta stonowanym głosem, wrze. Jestem już gotów, czy jak?

Standish kiwa głową. Jesteś.

Ale ta sławna scena następuje po innej, o której nic się nie mówi:

Otóż w ostatni wieczór Radia Freddie, podczas przejmującej ceremonii pożegnalnej na pokładzie byłego promu, kapitan Pugwash i jego piraci wzruszają się do łez dolą przerdzewiałej krypy: Słuchajcie, żałobnie zawodzi Pugwash, jak u łoża konającej kochanki, wasza paka schodzi z anteny, a ona, ta dziewczyna, stara nieszczęśnica, schodzi z fal. Tak jest, *Fredericę* zaprowadzi się do tej rzeźni, gdzie ją potną na żyłki, i w tej sprawie można się już tylko napić.

Obficie się polało. Za szybą Eno Barber z butelką rumu. Napis na ścianie *Spadajcie*. Hawthorne i Waldo śpiewają kawałki szkolnej drużyny rugby. Ta zdumiewająca utrata chłodu zmienia się niepostrzeżenie w odurzenie ogólne i po prawdzie czyni ich miłszymi paczce kapitana Pugwasha, która z wigorem dołącza do

radiowców. Dinah, pokaż nogę, o jard nad kolano. Gdybym był miał żyłkę do żeniaczki, jak jej dzięki Bogu nie mam. Ponure kawałki, chełpliwe, samcze, absolutnie niewinne.

Ormus zderza się ze Standishem na pokładzie. Są pijani. Statek się kołysze, Muli, by zachować równowagę, kładzie rękę na ramieniu Ormusa, śpiewak ją strąca. Muli się zatacza, wreszcie wraca do pionu. Ty sukinsynu jeden, mówi do przyjaciela Ormus, przytrzymujesz mnie. Już od dwóch, kurwa, lat. Co ja mam robić? Ile czekać? Paliwo sztuki to optymizm, zachwyty, uniesienie, ale z zapasów nie można korzystać bez końca. Może po prostu nie chcesz, żebym się przebił; chcesz, żebym tkwił na drobnych kontrakcikach, nawet nie jako były, ale w ogóle niebyły, zdany na ciebie, uwieszony u klamki, mucha w twojej sakramenckiej pajęczynie.

Mull nie daje się sprowokować. To prawda, mówi łagodnie. Nie popychałem cię na sto procent. Moje skromne odkrycie indyjskie itede. Możesz to nazwać przytrzymywaniem, dobrze, powiedzmy, że cię przytrzymuję, ale dlatego, że gdyby cię teraz wykatapultować, to spadniesz, wyrzniesz w ziemię. Nie umiesz z siebie wykrzesać odwagi latania. Może jej w ogóle nie masz. To nie jest problem techniczny. Martwisz się o skrzydła? To rzuć okiem na własne ramiona. Są. Bo problem, przyjacielu, to nie skrzydła, lecz jaja. Może po prostu jesteś eunuchem cierpiącym na bezjajstwo i resztę eunuchowatego życia spędzisz na materacu u Czarownicy.

Statek się kołysze, na nim oni. Ormus otrzymuje wielki dar. Wypowiedziane zostają słowa, które go zobowiązują, by się zmierzył z problemem własnego ja.

Cokolwiek chcesz mi powiedzieć o sobie, mnie to nie wadzi, odzywa się Standish. Mówisz, że masz zmarłego brata, a on słucha kawałków z samego czubka przyszłych list przebojów? Proszę bardzo, nie szkodzi. Opowiadasz, synku, o wizjach, a ja ci na to: idź za tą gwiazdą do samego Betlejem, obejrzyj sobie tego smyka w żłobie, sprawdź, jak jest z tą bajką. Bo kłopot w tym, że uciekasz; że w twojej muzyce jest o wiele za mało ciebie. Nabierasz w niej, oszukujesz. A ludzie to słyszą. I pytam, kurwa jego mać, dlaczego ty nie słyszysz? Bo widzę możliwości, które leżą odłogiem. I nie zachwyca mnie to jako inwestora. Wiem jedno, muzyka wypływa z samego jestestwa, danego, jestestwa samego w sobie. *Le soi en soi*. Zjedwabistości jedwabiu, jak mawialiśmy w czasach mej frankofońskokalamburycznej młodości.

Teraz Standish ciężko oddycha. Całe jego ja trzeszczy w uwięzi ciała, iskrzy jak ogniki świętego Elma. Ponieważ kocha tego mężczyznę, napina granice własnej fizyczności, by mu pokazać drogę. Wiesz, kogo potrzebujesz, ryczy, Winy. To ją

znajdź. Przestań skomleć do mikrofonu na tej sypiącej się krypie. Znajdź ją i zaśpiewaj swoje kawałki. Co mógłbyś zrobić najniebezpieczniejszego? Zrób właśnie to. Widzisz najbliższe urwisko? To skacz! Dosyć. Powiedziałem swoje. Kiedy będziesz gotów, jeżeli w ogóle, to zadzwoń.

W kabinie eksplodują śpiewy. Znowu mnie bierze, znowu cię bierze, znowu nas bierze oboje. Będzie w porządku, moje dzieciątko, poużywamy we dwoje.

Mija tydzień, dzwoni Ormus.

Załatwiaj. Jestem gotów. Ustaw to.

A później, pod koniec sesji nagraniowej, kiedy już mają tę cenną taśmę, stoją przed sobą, nos w nos, niepewni, czy całować się, czy walczyć.

Chcę, żeby po muzyce było znać, że nie muszę wybierać, odzywa się w końcu Ormus. Żeby z niej wynikało, że nie muszę być facetem takim czy siakim, chłopakiem stąd czy stamtąd, kimś we mnie, kogo uważam za własnego bliźniaka, czy kimkolwiek, kto widuje gdzieś tam prześwity w niebie, a tylko gościem, który stoi przed tobą tu i teraz. Będę wszystkimi naraz i potrafię to zrobić. I tu się schodzą ci wszyscy, jasne? Stąd pomysł, żeby zagrać na wszystkich instrumentach. Chciałem to udowodnić. Bo nie masz racji, mówiąc, że to nie problem techniczny. W sztuce rozwiązania problemów zawsze są techniczne. Znaczenie to sprawa techniki. I serce.

No cóż, mówi Muli Standish, technicznie rzecz biorąc, przyrzekłem cię nie dotykać, ale teraz sprawiłeś, że jestem szczęśliwy, więc może pozwolisz się uścisnąć?

Wydanie tej piosenki w końcu sprowadzi do niego Winę Apsarę. I zapoczątkuje ich wręcz przerażającą totemiczną sławę. Lecz przez najbliższe trzy lata jeszcze do tego nie dojdzie.

Tym, na co czeka Antoinette, jest szczęście Mulla Standisha (za sprawą Ormusa, za sprawą synów). O co jej chodzi i czyją winić za to, co wkrótce nastąpi, musi osądzić sam czytelnik.

Mija parę tygodni. Potem w domu nad Czarownicą:

Widocznie to sobota, zaledwie południe, więc rzecz jasna na górze nikt jeszcze nie wstał, sklep zamknięty. Dzwonek - do domu, nie do sklepu - urywa się tak długo, że wreszcie Ormus (obok na materacu półprzytomna Ona, twarz lekko pokryta popiołem) podejmuje walkę z parą czerwonych wymiętoszonych sztruksowych

dzwonów i maszeruje na dół.

W progu obcy: mężczyzna w garniturze biznesmena, ze statecznym wąsem, teczką w jednej ręce, a w drugiej z błyszczącym żurnalem, otwartym na zdjęciu modelki w jednej z najnowszych propozycji Czarownicy.

Dzień dobry, mówi nienaganną angielszczyzną. Mam sieć sklepów w Yorkshire i Lancashire...

Naga pod rozpaczliwie kusym szlafrokiem Ona zstępuje chwiejnie ze schodów, z ust zwisa papieros, ręka zatopiona we włosach. Obcy purpurowieje, zaczyna wodzić wzrokiem po kątach. Ormus się wycofuje.

Tak? - wypytuje Ona.

Dzień dobry, jeszcze raz zaczyna obcy, lecz angielszczyzna zaczyna mu nagle sprawiać kłopot. Mam sieć sklepów w Yorkshire i Lancashire, sprzedaję modną konfekcję damską i bardzo mnie interesuje ten tutaj konkretny model. Z kim mogę załatwić zamówienie na sześć tuzinów, z opcją powtórki?

Największe zamówienie w dziejach Czarownicy. Teraz na schodach pojawia się okazała postać w czarnożółtym kaftanie, sama Antoinette Corinth. Nie sposób przeniknąć, co myśli. Ormus roi sobie jakieś iskrzenie w powietrzu, ma poczucie, że wszyscy znaleźli się w punkcie zwrotnym. Obcy cierpliwie czeka. Ona zgłębia zagadnienie. Wreszcie menedżeressa kilkakroć kiwa głową. Powoli, jak każe moda.

Zamknięte, człowieku, mówi i zatrzaskuje drzwi.

Antoinette Corinth schodzi po schodach i całuję Ją w usta. Potem Ona, wciąż w ramionach Antoinette, odwraca się do Ormusa i - niesłychane! - odzywa się.

Ależ, kurwa mać, artystka, mówi. Ta piękna kobieta.

W tym momencie jeszcze raz ożywa dzwonek. Ona odwraca się i idzie na górę, teraz z Antoinette. Najwyraźniej ani myśli wracać na nędzny materac Ormusa. W łóżu Antoinette czekają poduszki i jedwabie, egzotyczne kolory i draperie. Ormus stoi i wpatruje się w zamknięte drzwi.

Znów dzwonek.

Na progu, z łozinowym koszem pełnym najrozmaitszych a najwspanialszych chlebów drożdżowych, stoi władca wytwórni Kolchida, ślepy anioł nagrań, Yul Singh we własnej osobie; za nim limuzyna długa na całą ulicę.

Nie myślą pana oczy, panie Kama. Widzi pan, kogo widzi. Teraz jest pan gotów, czego muszę pogratulować, nie spodziewałem się, ale pański człowiek, pan Standish, przegrał mi pańską taśmę i zapewnił, że pan się tu całkiem nieźle odnalazł, a ja mam

uszy ku słyszeniu, słyszę, co słyszę, więc jak się okazuje, nie musiał mnie pan szukać, co jak pamiętam sam panu odradzałem. Tak się toczy ten stary świat, przeciw czemu nic nie mam, przeciwnie, twierdzę, że to zabawne: oto za pańskim pozwoleniem, panie Kama, to ja przyszedłem do pana.

Lorelei z pierwszego albumu VTO, pod tytułem VTO (Kolchida, 1971):

Jakieś ścigają mnie zjawy, nie odpędzone. Jakieś mnie trwożą twarze, jak moja naznaczone. Niepewny los mnie odtrąca, w twardych jesteśmy układach. Nad złym czy dobrym, sztucznym czy nawet prawdziwym panować nie mam prawa. Mówię, co wiem, zwyczajnie, bo prawda cię może wybawi; dla mnie czy nie, kto wie; nadziei nie dam się pozbawić.

Czuję twą miłość, Lorelei. Utonę w niej, Lorelei. W twojej miłości, Lorelei.

Pewnego letniego popołudnia 1967 roku Ormus, z bliskimi przyjaciółmi Hawthorne'em i Waldo Crossleyami, wybiera się mini cooperem S Hawthorne'a (kabrioletowa wersja Radford) na przejażdżkę po wiejskich okolicach; chce uczcić podpisanie umowy z wytwórnią Kolchida. Antoinette Corinth w przyпіływie niezwyklej u niej macierzyńskiej troski dogląda upakowania lunchu na piknik. Kanapek i termosu z herbatą.

Ależ mi sprawiłeś przyjemność, zapewnia wspaniałomyślnie Ormusa. A przez twój sukces i to, jak w końcu odnoszą się do ojca chłopcy, cieszę się też z powodu Mulla. Nigdy w życiu nie był taki szczęśliwy. Na horyzoncie nie widzi żadnych chmur. Jak okiem sięgnąć, błękit. Bywajcie, słoneczka. Radosnego dnia.

Z początku idzie jak po maśle. W parku mijają gromadkę mimów o malowanych na biało twarzach, którzy w zwolnionym tempie grają partię tenisa bez piłki; Ormus i bracia przystają, popijają gorącą herbatę z termosu, przyglądają się toczonej zażarcie grze. Gawędzą o tym i owym. Biorą na tapetę samobójstwo Briana Epsteina, menedżera Beatlesów; bunty rasowe w Ameryce; Cassiusa Claya, który odmawia walki w Indochinach, zostaje pozbawiony tytułu i przeistacza się w Muhammada Alego; nawet muzykę konkretną Stokhausena. Głównie jednak dyskutują, czy jechać na antywojenny festiwal muzyczny do Woburn Abbey, wbrew powszechnym obawom przed zamieszkami. Na obrzeżach Woburn skoncentrowano oddziały wojska i uzbrojonej policji konnej, a rzecznik rządu przestrzega muzyków i

tłum przed jątzeniem i podżeganiem. W odpowiedzi wielu muzyków zaklina się, że będzie jątżyć i podżegać, jak tylko się da. Krążą plotki o możliwym ataku gazowym, nawet o użyciu broni maszynowej.

(Nastroje w kraju są tak ponure, że kiedy pewien dziennik - naświetlając coraz wyraźniejszą obecność hippisów, a nie umiając powiązać hippisowskich pokojowych haseł z przytłaczającą wszystko wojną - nazywa ów okres "latem miłości", zostaje to poczytane za śmieszny przykład rządowej propagandy.)

Lecz kiedy nadchodzi katastrofa, nie ma nic wspólnego z ruchem protestu ani oddziałami gotowymi go tłumić. Ormus jest znanym przeciwnikiem podjętej przez rząd Wilsona decyzji posłania Brytyjczyków do Indochin - *dlaczego laburzystowscy przywódcy wciąż muszą udowadniać, że się nie boją wojaczki?* - ale tym, co go powstrzymuje, nie jest zapora wojskowa ani oskarżenie policji.

Przytrafia się coś apolitycznego: wypadek.

Za kierownicą siedzi Hawthorne Crossley; może jedzie za szybko, na pewno nie dość skoncentrowany, jawnie przemęczony, nieobliczalny; i oto w sennym angielskim miasteczku, w sąsiedztwie autostrady M1, mini cooper najeżdża na potężną ciężarówkę załadowaną towarem nielekkim a cuchnącym: nawozem. Hawthorne ginie na miejscu; ciężko ranny Waldo przypląci zderzenie nieodwracalnym uszkodzeniem mózgu; na tylnym siedzeniu Ormus też odnosi poważne obrażenia. Wszystko pokrywają odchody. Służby ratunkowe muszą przekopać się przez zwały ekskrementów. Randka z zagównioną ciężarówką; śmieszne, gdyby nie było takie nieśmieszne.

Ormus tkwi na tylnym siedzeniu. Na chwilę zamyka oczy, bo z jego gałek ocznych zaczyna się spiralnie rozwijać alternatywny wszechświat; tęczowe korkociągi inności napełniają go przerażeniem, bo Ormus nic nie wie o zanieczyszczeniu termosowej herbaty, myśli, że halucynacje nawiedziły go samoistnie. Więc zaciska powieki, by się odgrodzić od siejących te wizje dwóch bliźniaczych kłosów, a kiedy znów otwiera oczy, całym światem jest już tylko ciężarówka. Niewiarygodnie głośny zgrzyt metalu o metal. Wyhamowanie w ułamku sekundy, podczas którego wszyscy wydają dźwięk podobny do stłumionych złowieszczych uderzeń żałobnego bębna. Kiedy małym samochodem wpakujemy się w wielką ciężarówkę, przypomina sobie skądś, najgorzej dostać się pod nią, może to oznaczać urwanie głowy, a przynajmniej zmiżdżenie. Suną po tej heavymetalowej barierze dźwięku. Odbija ich wielki resor

tylnych kół, wirują, uderzają w coś, w dom czy drzewo, potem stają. Nikt nie zapiął pasów. Ormus, straszliwie poturbowany w ciasnej przestrzeni, dostrzega w ułamku sekundy Waldo zwisającego jak pacynka na siedzeniu pasażera, z otwartymi ustami; potem w polu widzenia pojawia się kierowca, Hawthorne Crossley, który z wytrzeszczonymi oczami zmierza ku przedniej szybie. Hawthorne gwałtownie wydycha, *haaahaaaa*, co przypomina śmiech szaleńca, Ormus widzi ulatującą z jego ust białą chmurkę, która zawisa na moment jak komiksowy "dymek" i się rozwiewa. A potem Hawthorne, jak pływak wynurzający się spod wody, przebija głową szybę, przelatuje przez nią i to już wszystko. Kiedy Ormus będzie w stanie przypominać sobie wydarzenia, przypomni sobie i ten moment, w którym zobaczył, jak z ciała Hawthorne'a uchodzi życie, co by znaczyło, że mimo wszystko w ciele - nie z ciała - jest jakiś duch czy dusza, że w tej miękkiej maszynerii gnieździ się jakiś fantom. Będzie się z tą historią zmagał kiedy indziej, bo teraz wszelkie rozgryzania muszą zostać zawieszane: coś twardego jak pięść wyrznęło go w lewe oko.

W miarę jak zwalniają, czas nabiera pędu. Wali się nawóz. Ormus traci przytomność.

Oto, jak brzmią doniesienia. Ofiary zostały przewiezione do pobliskiego wiejskiego szpitala. Wkrótce potem zjawiają się tam amerykański impresario Ormusa pan Mull Standish ("kulejące indywiduum, wykapany Svengali") wraz z szefem wytwórni płytowej Yulem Singhiem, kosztownie wyekwipowanym w garnitur koloru akwamaryny, słoneczne okulary a la Ray Charles, czarne skórzane rękawiczki oraz godną Pilu Dudhwali świtę pomagierów i ochroniarzy. Doszczętnie zdruzgotany losem synów Standish Ika bezradnie przy ich łóżkach; a śpiewak znika - rzekomo za sprawą sikhijskiej ekipy Singha - mimo poważnych ran i złamań ulatnia się tylnym wyjściem, zostaje przetransportowany do kryjówki, gdzie trafi pod prywatną opiekę. Krążą pogłoski, że został ukryty w wiosce przy granicy walijskiej, w szkockich górach, a może w suburbiach Essex. Podobno widziano go Paryżu i w Szwajcarii; w Wenecji (podczas karnawałowej maskarady) i w Rio (gdzie, znów podczas karnawału, tańczy wśród kobiet o małych piersiach i rozłożystych pośladkach, w których tak gustują Brazylijczycy); we Flagstaff w Arizonie, nie mówiąc o Winonie - gdzie w najlepsze zabawia się na drodze 66. Rozchodzą się pogłoski, że został straszliwie oszpecony, że popękały mu struny głosowe; z "niezbitych" dowodów niedzielnej gazety wynika, że na zawsze porzucił życie muzyka, nawrócił się na islam i przyłączył

do tajemniczej sekty - "Kotów Allaha" - usadowionej, rzecz nie do wiary, w sercu wspólnoty żydowskiej na przedmieściu Hampstead Garden. Z najuporczywszej pogłoski wynikałoby, że Ormus w stanie głębokiej śpiączki leży na absolutnie utajnionym oddziale intensywnej opieki, odizolowany w szklanym boksie, jak Królowna Śnieżka w trumnie.

Przez trzy lata i kwartał pozostanie w odosobnieniu, z dala od publicznego widoku. Żadnego oświadczenia nie wydadzą ani wytwórnia Kolchida, jego producent, ani przedstawiciele należącej do Mulla Standisha agencji Mayflower.

Historyjki jak historyjki, krążą i nie ma co się z nimi spierać. Zresztą część jest bliska prawdy, jeśli pominąć fantastyczne, rozsiane po świecie przypadki spotkań z człowiekiem z nagłą niewidzialnym, który dzięki zniknięciu - nie umkniemy gorzkiej ironii, trudno i darmo - zostaje z pozycji trzeciorzędnego piosenkarza wywindowany w strefę prawdziwego rozgłosu. Im Ormus dłużej trwa w niewidzialności, tym bardziej rośnie jego sława. Rozwija się kult, którego wyznawcy wierzą, że Kama się zbudzi, by przeprowadzić ich przez niespokojne czasy, naszą dolinę łez, ku odkupieniu. Na rynku zaczynają krążyć wznowienia jego nagrań dla Mayflower wraz z pirackimi nagraniami wczesnych występów bombajskich; sprzedają się, legenda rośnie. Ludzie jak ludzie, zaczynają się cynicznie rozwodzić nad karkołomnym wyczynem reklamowym. Yul Singh to znany lis, a Standish, wprowadzie mniej znany, to też niezły cwaniak.

A jednak historia ze śpiączką nie jest wymysłem. Ormus nie umarł, lecz śpi.

Spekulacje narastają tak gwałtownie, że niemal całkiem zostaje zagubiony człowieczy wymiar tej tragedii. W uwikłanych w tę sprawę ludziach przestaje się widzieć istoty żyjące i wrażliwe; stają się abstraktami, kawałkami układanki, nic nie odczuwającą zwierzyną łowną, pustymi naczyniami, które napelni bezlik publicznych spekulacji.

Pewnych faktów nie wyciągnięto na światło dzienne. Yul Singh, z najbliższym kręgiem w Kolchidzie, pracuje nad ich wyciszeniem, a sprzyjają temu, jak na ironię, mgławice domniemań.

We krwi braci Crossleyów oraz Ormusa Kamy lekarze wykryli niebezpiecznie wysoki poziom halucynogennego dietyloamidu kwasu dlizergowego 25. Ale wyników badań lekarskich nigdy nie podano do publicznej wiadomości.

W szczątkach mini coopera znaleziono termos. Którego jakimś cudem nie przejęła policja, a upoważnione służby nigdy nie przebały. I który z jakichś powodów zostaje przekazany "przyjacielowi rodziny". A ów przyjaciel już nigdy nie

wychynie na światło dzienne. Podobnie jak termos.

Więc nie ma żadnego dowodu, że ktoś tę herbatę posłodził.

Wartość człowieka objawia się w godzinie największego nieszczęścia. Ile jesteśmy warci, kiedy kości zostają rzucone? Czy tylko ludzimy się, mamimy, czy rzeczywiście jesteśmy wykuci z solidnej materii, z kruszcu wyśnionego przez alchemików? To także pytania, na które większość z nas, dzięki litościwości losu, nigdy nie zostanie wyrwana do odpowiedzi.

To, jak Muli Standish stawia czoło sytuacji tragicznej, nie zdziwi ludzi, którzy go znają, natomiast winno być przykładem dla wszystkich. Z bólu, który osiągnął go w prowincjonalnym szpitaliku, wynurza się z suchymi oczami, by służyć przymiotom życia. Niewyczerpana energia, z jaką organizuje jak najlepszą kurację dla Waldo, to istny cud. Waldo wyleczy się z obrażeń fizycznych. Starania specjalistów zaczną po kilku latach owocować, wysiłki zespołu sprawią, że Waldo zdoła wznowić ograniczoną, lecz nadspodziewanie zadowalającą go obecność w świecie.

Ludzie Yula Singha stosują się do poleceń Standisha. Ormus Kama zostaje przewieziony do białej rezydencji - na wzgórzu nad Tamizą, z powiewającymi w weneckich oknach białymi firankami - gdzie zaopiekuje się nim matka. W ten sposób może jedno przynajmniej rozdarcie na świecie zablizni się. Spenta przyjmuje okaleczone dziecko głośnym płaczem, wstrząsana wyrzutami sumienia; natychmiast wydaje majątek na urządzenie w starej, przestronnej i słonecznej oranżerii wymuskanego sanatorium i postanawia pielęgnować Ormusa, przywrócić mu zdrowie własnymi rękami, na stałe lokuje się przy jego łóżku, chociaż od czasu do czasu zmęczenie zmusza ją do uszczknięcia kilku godzin na sen. Niedawno zmarł lord Methwold, spokojnie zszedł z tego świata we śnie; bezpotomnie; a jego żona zostaje jedyną i niekwestionowaną dziedziczką imponującego spadku. Teraz do niej należy ta rezydencja wiejska, a także budynek przy Campden Hill Square, okazałe konta bankowe, liczące się aktywa w najlepszych akcjach. W sumie, zabezpieczenie, jakich mało. Wiadomość o tak korzystnym obrocie spraw niegdysiejsza lady Spenta Kama odebrała jako napomnienie boże. Nagłe zyskanie bogactwa, tylu światowych dóbr, otworzyło jej oczy na naturę własnego, głębszego zubożenia. Z trzech synów jeden siedzi za kratami za zbrodnie, drugi został odesłany (jakże nieczuła matka!) do domu opieki, by nie niepokoić leciwego oblubieńca Spenty. A najmłodszy odsunął się dawno temu, uważając się za niekochanego; co teraz ciężko ją rani. Ona, uważająca się za

osobę nabożną, sprzeniewierzyła się obowiązkom wobec własnej duszy.

Ukradkiem, z dala od gasnącego Methwolda, nastawiała odbiornik na Radio Freddie, podtrzymując w ten sposób kontakt z synem. Ciężko zniosła zamknięcie stacji; to było drugie rozstanie, kolejne zerwanie. Ckliwy i pełen usprawiedliwień list Spenty do Ormusa, wysłany na adres pirackiej rozgłośni, dociera do rąk Standisha w dniu tragicznej przejażdżki. To interwencja Standisha sprawia, że Ormus wraca na łono rodziny. (W domu jest także Wirus Kama, uwolniony z zamknięcia po zgonie ojczyma.)

Po szlachetnym wykonaniu tej posługi Muli Standish wraca do Londynu, do krematorium Wandsworth, bo pora spopielić własnego syna.

W krematorium wspiera się na lasce, zamyka oczy i nagle widzi, jak buchający z dysz kłęb ognia spowija ciało młodego człowieka, oczyszcza go z samego siebie. Muli nie płacze, chociaż jest Amerykaninem i żył co się zowie po amerykańsku. Otwiera oczy. Antoinette Corinth i Ona, objęte ramionami, muskają twarze pod czarnymi, koronkowymi woalami, przybrudzone tuszem do rzęs. Teraz trupem jest nie tylko dialog. Standish znowu zamyka oczy i widzi przyszłość Waldo Crossleya. Wypadek zamieni go w głuptasa, słodko uśmiechającego się na widok jesiennych liści, które na kwietniku, w szumie wiatru, nabija na pręt. Wyżej, z okna wielkiego białego domu spogląda matka Ormusa. Życzy sobie tylko wiecznego odpracowywania tego, że zawsze była złą matką. I teraz zaopiekuje się Waldo, jakby i on był jej ukochanym dzieckiem.

Już po wszystkim. Milknie szloch. Standish przekracza nawę, by cicho przemówić do byłej żony. Jestem przekonany, że to twoja robota, odzywa się spokojnie. Nie przypuszczałem, że możesz zrobić coś takiego, teraz jestem pewien, że zrobiłaś. Nie pojmuję ciężaru twojej nienawiści. Nie pojmuję, jak można tak długo nosić w sercu tyle trucizny. Zabić własne dzieci na złość ich ojcu. O tym się tylko czytuje w książkach.

Kochałeś ich, a oni pokochali ciebie. Jej głos jest jak lód. Zęby lśnią nienawistnie. I to mi dopiero dogadza, to mnie najbardziej cieszy.

Morderczyni, mówi Muli. Dzieciobójczyni. Może bogowie zdruzgocą ci życie.

Ona zwraca się wprost do niego. Od chwili, w której ich rzuciłeś, ci chłopcy nie znali spokoju. I całym latami wdawali się we wszystko, co pozwala uciec od prawdy. Mówiąc wprost, od faktu, że mają ojca pedała, który spierdolił od nich, aż się kurzyło.

Jeszcze jako dzieci mogli zeżreć pudełko pasty do butów, byle sobie załatwić godzinę zapomnienia. Mogli litrami pić syropy na kaszel. Klej, pigułki, te wieczne erekcje, spuszczenie się do reklamówek, oto, co tu się działo, więc przestań mi tu pieprzyć, Muli. Bo ty się potem pojawiasz jak Bóg Wszechmogący, dajesz im pracę, w końcu nawet postanawiasz pokochać tych małych skurwieli. I to dopiero popchnęło ich do picia i wszystkiego innego. Tak jest, ten czas antenowy. Może nie zauważyłeś? A kiedy zamknąłeś stację, sprzątnąłeś im to sprzed nosa, gorzej, nie kryłeś przed tymi nieszczęsnymi szczeniakami, że bardziej kochasz jakiegoś kutasa niż ich. Ty tego normalnie nie kapujesz. Nigdy nie kapowałeś. Byli tobą przerażeni; przerażeni, że wytniesz ten sam numer i znów spierdolisz. Odbijało im ze strachu. Ledwie cię zaczęli kochać, a ty zaraz się na to wypiąłeś na widok tego hinduskiego księcia.

Kryje przed nią, że drży; panuje nad sobą; znów ją oskarża.

To ty im wyprawiaś piknik. Chciałaś wszystkich zabić, mówi.

Albo, odparowuje Antoinette, sami sobie domiesza. Żeby umrzeć i zabrać ze sobą twego kochasia. Biedaczyska. Nawet to im się nie udało.

Muli Standish czeka samotnie na prochy. Prochy Hawthorne'a są życiem Mulla. Trzeba podjąć decyzję: być albo nie być. Człowiek mierzy się z życiem, daje mu najlepszą porcję siebie, podchodzi do niego z całą otwartością, najbardziej po ludzku, jak potrafi, i oto ono wypłaca się czymś takim. Jeden chłopak w podróbce greckiej urny, drugi stał się pustą skorupą. To nie tak miało być.

Ciasno obejmuje urnę i całuje ją, całuje. To mój syn ukochany, którego sobie upodobałem.

Mała galaktyka, która przekracza większą galaktykę mojej opowieści, zostaje rozerwana i unicestwiona. Antoinette i Ona zamykają Czarownicę, by wyjechać na meksykańskie wybrzeże Pacyfiku; teraz ich sukienki przybrały ognistą tropikalną barwę; harmider i jaskrawe światło zastąpiły mroczną ciszę. Nikt nie rozważa wniesienia oskarżeń. Każde z nas musi wybrać tę prawdę, zgodnie z którą postępuje: prawdę tragedii, prawdę opowieści, prawdę StandishowskoMedeańską, a może oskarżycielską prawdę Antoinette Corinth bądź trzeźwiejszą prawdę Prawa. Niewinna, póki nie udowodniono winy, itede.

Jakkolwiek by patrzeć, już nic z tego nie przyjdzie Hawthorne'owi ani Waldo.

Wkrótce po wyjeździe kobiet wybucha przy Unfold Road pożar, sklep zmienia się w pogorzelnisko. Mówi się o podpaleniu, ale dowodów brak, więc towarzystwo

ubezpieczeniowe otwiera kasę, zresztą nie bez ociągania. Lwią część ubezpieczenia otrzymuje pan Tommy Gin, jako główny udziałowiec, lecz czek na wcale godziwą sumę trafia do meksykańskiej prowincji Oaxaca nad zatoką Tehuantepec, do pięknego kąpieliska morskiego Zopilote. Zostaje zrealizowany, lecz ani Antoinette Corinth, ani Ona nie nadsyłają żadnych wieści. Zniknęły na pewien czas w nieprzeniknionym gdzieindziej, dokąd ta opowieść nie ma wstępu.

Pewne figury powtarzają się, wydają nieuniknione. Ogień, śmierć, niepewność. Dywan wyrwany spod nóg, by odsłonić nam otchłań tam, gdzie miała być podłoga.

Dez-orientacja. Utrata Wschodu.

W późniejszych stadiach owych tak zwanych straconych lat, już po wyjściu z przewlekłej śpiączki, Ormus Kama będzie przez jakiś czas prowadził doraźne notatki, dość przypadkowy dziennik, zaśmiecony machinalnymi gryzmołami, nonsensami, "poezją", opisami widzeń, rozmów ze zmarłym i licznymi pomysłami na piosenki.

W jednym z najwcześniejszych zapisów odtworzy halucynację, która go nawiedziła na tylnym siedzeniu zdążającego ku zagładzie mini coopera, najprawdopodobniej tuż przed zderzeniem z ciężarówką załadowaną nawozem.

Wierzch głowy miałem otwarty, jak oderwany przez wybuch, a on się stamtąd wydostał i uciekł. Odtąd mnie nie odwiedza, bo niby po co, jest wolny, już nie biega po korytarzach i schodach kasyna, nie szuka wyjścia, już uciekł, jest gdzie indziej. Jeśli go spotkasz, pamiętaj, że on to nie ja. On tylko tak wygląda. Nie jest mną.

A oto inny wczesny wpis.

Teraz już znam cię lepiej, Wino. Spotkałem, ukochana, twą matkęzabójczynię. Stałem przed jej sobowtórem - i żyję.

11. Wyższa miłość

W pierwszych dniach, przed przerobieniem oranżerii, Spenta lokuje Ormusa - podłączonego do kroplówek, przewodów i monitorów - we własnym łóżku. Ta część domu jest stara i sypie się jak Anglia, która ów dom wydała na świat. Tynkowy pył mży delikatnie i osiada na Ormusowych policzkach. Spenta siedzi przy łóżku i wzorzystą jedwabną szmatką ściera białawe plamki. W kącie sypialni Wirus Kama, znów w domu; z rękami luźno spoczywającymi na kolanach siedzi na rzeźbionym składanym krześle z czarnego drewna tekowego, z którego niegdyś korzystał poborca podatkowy w podróży po przestrzeniach dzisiejszych stanów Maharasztra i Madhja Pradeś, podczas wypraw wzdłuż Waingangi, na wzgórze Seeonee. Spenta spogląda na dwóch poszkodowanych, Śpiącego i Niemego, kłoni głowę, by po raz setny i pierwszy postanowić, że naprawdę coś zrobi dla swych nieszczęsnych synów, uzdrowi ich swą spóźnioną miłością. Nie jest, nie może być za późno na odkupienie: ich i siebie. Spenta modli się do aniołów, lecz one już nie odpowiadają. Jedynymi aniołami są teraz jej dzieci.

I Cyrus, żali się głucho. Dla niego już za późno.

Wokół pamiątki z brytyjskich Indii. Nad leżakiem o długich podłokietnikach wisi kopia chatri. Obrazki ze szkoły Kompanii Wschodnioindyjskiej, ręcznie kolorowane ryciny Daniella. Srebrny serwis do herbaty, kamienna głowa boga, zdjęcia upamiętniające owe wspaniałe dni, spędzane na strzelaniu do ptaków i dzikich bestii, rzucona na podłogę tygrysia skóra, szkatułki na biżuterię ze srebrnymi inkrustacjami bidri, skrzynka sprzedawcy pachnideł itr, fisharmonia, dywany, ubiory. W ramach list od Morgana Forstera z opisem jaskiń o dziwnym echu, w zбочu porośniętego krzakami wzgórze.

Zjawia się indyjska pielęgniarzka.

Zaraz po tym, jak Spenta uprzytomni sobie, kim jest ta kobieta i gdzie się spotkały, oboje z Mullem uświadamiają sobie, że nikt jej nie sprowadzał. Jakby się zjawiła znikąd; jakby pełna troski nadleciała za Spenta i Standishem w czyściuteńkim, wykrochmalonym niebieskawobiałym pielęgniarzkim fartuchu, z przypiętym na piersi zegareczkiem. Przysłała mnie agencja, mówi wymijająco, zajęta prześcieradłami i ręcznikami, czytaniem karty w nogach łóżka ogarniętego śpiączką piosenkarza. Spenta i Muli ledwie żyją. Wyczerpanie i wstrząs zrobiły swoje, więc kiedy Wirus

podnosi się z krzesła poborcy podatkowego i zatroskany pociąga matkę za rękaw, Spenta po prostu otrząsa się, opędza przed nim i kryje twarz w dłoniach. Także Standish jest u kresu wytrzymałości, od katastrofy właściwie nie zmrużył oka. Indyjska pielęgniarka gasi światła w sypialni i przejmuje pieczę nad chorym z biegłością, która wyklucza sprzeciw. Dziewczyna jest przystojna, uprzejma, obeznana z najważniejszymi rodzinami bombajskiej społeczności. Napomyka Spencie o praktyce w szpitalu sióstr Maria Gratiaplana, aczkolwiek, śpieszy dodać, sama nie jest mniszka. Może z powodu tego napomknienia o szpitalu Spenta, której myśli błądzą gdzie indziej, zaczyna zwracać się do dziewczyny Maria, na co nowo przybyła gładko przystaje. Odpocznijcie, mówi Maria, a Spenta i Standish potulnie odchodzą, za nimi Wirus Kama, który wciąż się ogląda przez ramię na pielęgniarkę i potrząsa siwiejącą głową.

Sam na sam ze śpiącym Ormusem zaczyna przemawiać głosem pełnym tęsknoty i żaru. Nareszcie, ukochany. To nie nasz piękny kącik w Worli, ale nie szkodzi, wystarczy, bo gdzie ty leżysz, tam się wznosi mój pałac itede, każde łóżko, na którym spoczywa twe ciało, jest tym jedynym, w którym pragnę lec itepe, nawet gdy umrzesz, kochany, pójdę za tobą do grobu i dalej, itede itepe itede.

Potem zaczyna przypominać nieprzytomnemu mężczyźnie dawne miłosne zmagania, nadzwyczajności, które robili ze sobą, te wspaniałe dowody namiętności, swobody, żyłki wyczynu, nie mówiąc o zmysłowych mocach pewnych naturalnych wydzielin. Jej długa przemowa to arcydzieło erotyki, które by bezpowrotnie przepadło dla potomnych, gdyby nie grundig zainstalowany przez Mulla Standisha pod łóżkiem, na wypadek gdyby Ormus szybko odzyskał przytomność i coś powiedział pod nieobecność matki oraz impresaria. Ormus milczy jak milczał, lecz cieniuteńka brązowa taśma flegmatycznie chłonie wszystkie intymności, wszystko, co Maria ma do powiedzenia, jak te inne, fikcyjne taśmy wsłuchujące się w głos fikcyjnego “prezydenta Nixona” z powieści *Afera Watergate*. W pewnej chwili Maria porzuca wspomnienia na rzecz działań, w najdrobniejszych szczegółach przedstawia nieprzytomnemu Ormusowi, jak zamierza go wyrwać z odrętwienia, otóż wzbudzając w nim pragnienia cielesne, potem słycać brzęk szklanego naczynka, następnie odgłos dłoni namaszczonej oliwą, ocierających się wpierw o siebie, potem dobierających do śpiącej postaci.

Jakość dźwięku jest pierwszorzędna. Każdy słuchacz z łatwością wyobrazi sobie wspinanie się Marii na łóżko (odgłosy materaca), a ponieważ ludzka wyobraźnia aż za

łatwo idzie w trop za takimi domysłami, mogą więc szybko przeskoczyć do późniejszego, wyraźnie nagranego otwierania drzwi, do przepelnionych zgrozą głosów Spenty i Standisha; wtargnęli do środka, kiedy Spenta w końcu przypomniała sobie lot do Londynu i tę nimfomankę.

Oboje natychmiast każą indyjskiej pielęgniarce wyjść, ubrać się i wynosić, jak śmie, to brak chociażby śladu elementarnej przyzwoitości, wstydu, postarają się, by utraciła uprawnienia pielęgniarские, powinna natychmiast zasłonić piersi, tak, i te jeszcze bardziej wstydlive części ciała, a przede wszystkim niech się przestanie śmiać i to natychmiast, tu nie ma nic śmiesznego, ma pięć sekund, potem zadzwonią na policję.

Kiedy dziewczyna wychodzi z sypialni, taśma aż drży od jej śmiechu.

Ormus pozostaje w uśpieniu; mimo wszelkich zabiegów Marii - tak się układa ta historia - w uśpieniu pod każdym względem.

Wciąż się pojawia. Ormus zostaje przeniesiony do oranżerii przystosowanej do nowych potrzeb, a następnej nocy Maria już tam jest. Spenta wychodzi do toalety dosłownie na minutę, wraca i zastaje ją całkiem nagą, jeśli nie liczyć czarnej woalki, schyloną nad odsłoniętą męskością Ormusa, ruchy jej obszernych ust na w pół zakrywa koronka. Jest naprawdę ładna, wyuzdana i zupełnie szurnięta, myśli Spenta, co jednak nie wyjaśnia, skąd się wzięła. Spenta zarządza stały dozór, lokuje przy drzwiach strażnika, na noc spuszcza się psy z uwięzi. A Marii wciąż udaje się dostać do środka. Którejś nocy dyżuruje Standish; by jakoś przetrwać noc, czyta najnowszego Yossariana, lecz mimo genialności komicznego zmysłu pisarza opada mu głowa; Muli przysypia, jak sędzi najwyżej na parę minut. Budzi się zdumiony, widząc ją w pełni materialną, namaszczone oliwką, nagą pod welonem, mimo psów, zamków, krat i fotokomórkowego systemu alarmowego: tym razem dziewczyna po prostu dosiada Ormusa okrakiem, z werwą podskakuje i opada, ujeżdża mu tego wiotkiego konia. Nigdy nie zdołasz oddzielić mnie od niego, kracze. Jestem jego przeznaczeniem, jego intymną potrzebą itede. Ta kobieta (chodzi o Wine) nie da mu tego, czego on chce, a ja wiem lepiej od niego, czego pragnie, i dam mu, zanim sam się zorientuje, że chce o to poprosić itepe. Przychodzę tu z jego tajemnego świata.

Kim jesteś, stanowczym głosem wypytuje Standish i mruga. Ocieęzały od snu, na nosie wciąż ma okulary do czytania, więc wszystko, co dalej niż ćwierć metra, widzi jako zamazane i nierzeczywiste.

Kiedy usiłuje się jej przyjrzeć, dziewczyna znika. Jakby w powietrzu rozwarła się jakaś szczelina, ona zaś przechodzi przez nią i znika.

Ludzka zdolność racjonalizowania to istny cud. Pozwala wątpić w dowody widziane na własne oczy. Ponieważ Standish mętnie dostrzegł coś niemożliwego, dochodzi więc do wniosku, że nic nie widział. Sądzi, że musiała się wyslizgnąć przez drzwi, kiedy wciąż był zaspany. Wstaje i patrzy, ale nikogo nie ma. Standish odnotowuje kolejną wpadkę systemu alarmowego i podejrzewa kogoś w domu. Ta szalona dziewczyna prawdopodobnie kupuje sobie względy któregoś z pracowników, ogrodnika czy posługacza. To jasne, ktoś ją tu wmyca, jest za to wynagradzany, zapewne poczynaniami seksualnymi, które przychodzą jej z taką łatwością. Trzeba się temu przyjrzeć. Poza tym Ormusowi nie dzieje się w końcu żadna krzywda. Standish wraca do lektury.

A Ormus spokojnie śpi.

Muli, człowiek nowoczesny, szuka odpowiedzi w codzienności. Spenta równie naturalnie zwraca się ku paranormalności, lęka się duchów, wzywa miejscowego pastora anglikańskiego, z Londynu sprowadza parsyjskich kapłanów. Zostają odprawione egzorcyzmy oraz rytuał ognia. Po tych obrzędach następują przerwy, często długie, kobieta z Indii przestaje się pojawiać. Nieobecności są niewytłumaczalne, podobnie jak obecności; lecz Spenta ufa sługom Ahura Mazdy i Boga chrześcijańskiego.

A potem Maria znów się pojawia i trzeba na nowo odprawiać rytuały.

Są dni, kiedy Spenta czuje śmiertelne przerażenie. Opuszczona przez anioły boi się, że teraz ona wraz z rodziną może paść łupem demonów. W takich chwilach szuka pociechy w widoku Mulla Standisha. Zawsze nieskazitelnie zadbany, kosztownie wystrojony w płaszcz z wielbłądziej wełny z jedwabnym kołnierzem bądź w norki, impertynencko żując cygaro, w tych pełnych udręki czasach Standish stoi pewnie na niepewnej ziemi, to mocno zakorzenione drzewo, któremu nie śpieszy się upaść. Łagodny, dźwięczny głos, powaga, gładko zaczesane włosy, oto, co dodaje Spencie ducha i sprawia, że oko zaczyna jej lśnić, chociaż jest starsza o siedem lat i trudno w jej sytuacji o realne perspektywy. Mimo to poświęca teraz więcej uwagi wyglądowi, spuszcza powieki, flirtuje. Standish, który dostrzega to nadciąganie miłości bez szans na wzajemność, tak już polubił Spentę, że nie mać jej marzeń.

Mimo całej rzucającej się w oczy solidności Muli Standish przeżywa lata

niepowodzeń. Po niespodzianym zawaleniu się zespołu biurowców w Newark, do którego jedna z jego amerykańskich firmcórek dostarczała systemy klimatyzacyjne, doszło do znacznie poważniejszej erozji zaufania wobec przedsięwzięć Standisha. Po zerwaniu związku z "Samem Tropicaną" rodzina byłego kochanka zajadłe wyciera sobie usta Standishem, a w nowojorskim ratuszu zaczyna się marszczenie brwi nad jego projektami budowlanymi i ofertami. Żądania urzędu skarbowego ustały, ale po zapłaceniu zaległości z karnymi odsetkami. Koniec pirackiej przygody w Wielkiej Brytanii nie tylko przyprawił Mulla o straty finansowe; pozbawił go też istotnej fascynacji. Muli zdjął swój szyld z wytwórni nagrań i teraz zarabia na masło do chleba wynajmowaniem nieruchomości, przemyślnie nabytych w latach pirackiej koniunktury.

Rzecz jasna, jak każdy dynamiczny przedsiębiorca (trafność takiego określenia nie podlega dyskusji), wciąż ma pomysły, snuje marzenia. Hippisi sprzedają jojo przy Sloane Square, plac aż się mieni od wzlatujących i opadających stożków. To Standish maczał palce w tym przedsięwzięciu i nie tylko, stoi chociażby za tandetą ozdabianą Union Jackiem, sprzedawaną po nieprzyzwoitych cenach przy Carnaby Steet. Wycucie tego, co spece nazywają "luką rynkową", każe Mullowi uruchomić wydawnictwo rankingowe "Co Gdzie Kiedy", z początku marną składaną ulotkę, która prowadzi młodych w świat uciech zarówno uznanych, jak i "alternatywnych"; owa ulotka szybko staje się prawdziwym tygodnikiem i maszynką do robienia pieniędzy. Taka lista przedsięwzięć może być dla zwykłych śmiertelników dowodem zdrowia i krzepkości, a krzepkość to cecha, nad której uwidocznieniem Standish - tuż po pięćdziesiątce, wciąż nie do zdarcia, kipiący energią - bardzo ciężko pracuje. Ale to człowiek o złamanym sercu. Jeśli go wolno porównać do wielkiego drzewa, to o gnijącym już rdzeniu; które pewnego dnia bez ostrzeżenia nagle pada. Dopiero wówczas zwykli przechodnie zdołają dostrzec i zrozumieć słabość.

Kiedy spaceruje z Waldo po nadrzecznej posiadłości Methwolda, kiedy gratuluje synowi coraz większej zręczności w nabijaniu liści i innych resztek na pręt, kiedy go chwali za wygląd, ubranego w liberię Methwolda, co Waldo wynagradza szczęsnym, głupawym uśmiechem - lub kiedy pełni dyżur u łóżka Ormusa Kamy, widząc w dotkniętym komą piosenkarzu cień własnego zmarłego syna Hawthorne'a - wówczas plecy Standisha są jeszcze prostsze niż zwykle, żuchwa dobitniej wyraża siłę, a w oczach trudno dopatrzeć się zawilgnięć. A jednak Standish ciężko oberwał, nie ma dwóch zdań. Niebezpieczeństwo w tym, że skoro Ormus nie budzi się ze śpiączki,

Standish też może zapaść w sen ostateczny. Ich losy się łączą. Mija rok i miesiąc, Standish traci nadzieję, narzucona na ramiona szata dyscypliny zaczyna się strzępić. Czasem w kąciku oka pojawia się tik. Są dni, w których paru niesfornym włosom udaje się podejść wszechmocną dotąd szczotkę. Kiedy Standish wstaje, Spenta dostrzega pierwsze ślady przygarbienia.

Gdybym była trochę młodsza, mówi Spenta i bierze go pod rękę, kiedy późnym popołudniem spacerują między klombami, dałabym ci w kość.

Muli słyszy to echo samotności, widzi kobietę w pustym pokoju, z którego zniknęła przeszłość, i uznaje, że trudno, trzeba powiedzieć prawdę.

Należę do tych, mówi, a język staje mu nagle kołkiem w gardle, którzy nigdy nie stawiali na kochanie kobiet.

Cudownie, Spenta klaszcze w dłonie. Bo w naszym wieku ja też bym na te rzeczy nie stawiała. Lecz koleżeństwo? Można się nim darzyć, kiedy zapada zmierzch.

Muli Standish czuje, że brak mu słów.

Z nagłą Maria przestaje się pojawiać, może zrozpaczona rokowaniami Ormusa. Spenta ani Standish nic nie mówią, ale oboje uważają zniknięcie Marii za zły omen.

Zaczynają mówić o niewypowiadalnym: o podtrzymywaniu życia. Od ponad trzech lat Ormus Kama nie może się obejść bez monitorów, kroplówek, plazmy. Czasem nie może się też obejść bez respiratora. Zanikają mu mięśnie, jest słabszy niż niemowlę, nie przeżyłby bez pielęgniarek, posługaczek, aparatury. Spenta zadaje Standishowi niezadawalne pytanie.

Mów, ale szczerze, czy on się zbudzi.

A Standish już nie potrafi jej umocnić przekonującym Tak.

Można zaaranżować nieszczęśliwy wypadek, mówi. Padnie prąd, a na dodatek awaryjny agregat. A może nocą z nosa śpiącego wyślizgnie się rurka albo wysunie z żyły życiodajna igła. To by było, jakby powiedzieć, jąka się Standish. Miłosierne.

Wciąż wierzę, uparcie zawodzi Spenta. Nie wiem, w co: w cud, znak z wysokości, nazwij, jak chcesz, w łaskę wyższej miłości.

Wypuszczenie maksisingla (dwie strony A) 45 *Pod jej stopami i Nie tak*, nagranych przez świętej pamięci kapelę Rhythm Center, miało być pożegnalnym gestem wytwórni Kolchida, poddaniem się nieuniknionemu. Standish po wypadku był

nieugięty: Ormus wyzdrowieje i od tej chwili Muli zajmie się wznowieniem jego kariery, wcześniejsze wydawanie jakichś płyt byłoby makabrą, do tego żadnym interesem.

Yul Singh zgodził się, jak to on, dwuznacznie.

Jeśli takie jest pańskie życzenie, panie Standish, na którego temat się nie wypowiadam, to niech tak będzie, pańska wola. Jeśli pan zmieni zdanie, przyjdzie pan i porozmawiamy. Branża się kręci na najwyższych obrotach, tego nie trzeba panu powtarzać, więc wtedy zobaczymy, co i jak. Jeżeli Bóg pozwoli i wciąż będę siedział w tym samym fotelu, to może uda mi się pomóc.

I oto nadchodzi czas, kiedy Standish i Spenta zgadzają się, że Ormus znów powinien zaśpiewać, po raz ostatni, zanim maszyny przestaną podtrzymywać życie, zanim odejdzie. Standish prosi Singha, żeby wypuścić te kawałki, któremu to życzeniu, niezależnie od twardych negocjacji i prawnych zawarowań, okrutny władca Kolchidy - rozumiejący, że owa prośba to jakiś wyrok śmierci - nie jest w stanie odmówić. Wówczas ku ogólnemu zdumieniu nagranie staje się przebojem. A Wina Apsara w bombajskim pokoju hotelowym słyszy ten śpiew Ormusa, wsiada w samolot, mknie z powrotem ku jego życiu - i ocala je.

Oto ona przy łóżku, szepcze mu do ucha. Oto Spenta, która nie wie, czy bać się jeszcze jednego powracającego demona, czy boleć wraz z Winą nad wspólną stratą, czy ożywiać nadzieje. Oto Muli Standish, wstrzymuje oddech. Oto, jak kołujące sępy, doktor, pielęgniarka i posługacz.

W drzwiach, z kapeluszem w ręce, niewidomy Yul Singh.

Ormus, szepcze Wina, to ja.

Na to on najzwyczajniej w świecie otwiera oczy. Drżą mu usta. Wina nachyla się i słucha.

Rzuca się doktor, odpycha ją ramieniem. Przepraszam panią. Musimy ustalić stopień upośledzeń. Zwraca się do Ormusa i błyskając zębami w krzywym uśmiechu pyta: Kim jestem?

Dilerem. Handlujesz pastylkami.

Siła głosu i sarkastyczny ton zaskakują wszystkich. Doktor wskazuje Yula Singha w drzwiach. A on?

To dyktator.

Potem o posługaczu, z czystymi prześcieradłami i ręcznikami.

On się nie liczy.

A co powiesz o sobie, pyta doktor. Wiesz, kim jesteś? Czego chcesz?

Wina, woła. Wina podchodzi, bierze go za rękę. Tak, odpowiada Ormus. *Teraz już wiem.*

Jak mamy opiewać spotkanie kochanków po tak długiej rozłące, rozdzielonych na czas ponurej dekady przez głupie niedowierzenie sobie, a pojednanych dzięki muzyce? Czy powiemy (bo pieśń uwalnia od grubiańskiej pedanterii, przez co możemy raczej słać lotnego ducha prawdy niż jej sfatygowaną literę): oto biegną, śpiewając, przez pola złotowłosu i piją nektar bogów, a piękno ich pocałunków równe jest horyzontowi o zmierzchu, kiedy ziemia dotyka niebios, by zespolić się z nimi? Czy mamy porównać jego szczodre pieczyoty do bryz i szkwałów mknących po powierzchni morza, raz namiętych, raz czułych, a jej pełne napięcia odwzajemnienia, tak skwapliwe, tak nieokiełznane, do wzburzonych fal morskich? Czy mamy się posunąć do mówienia o miłości boskiej, zaćmiewającej wszystkie, by dojść do wniosku, że jest gdzieś jakiś Wielki Kochanek spoglądający na nas z wyżyn, a ta ziemiska para to lśniące zwierciadło, w którym przegląda się jego nadziemiska, nie stawiająca warunków namiętność i otwartość serca?

Nie, to historia miłości głębokiej, lecz dalekiej od równowagi, pełnej zerwań i pojednań; miłości nie kończących się przezwyciężeń, określanej poprzez przeszkody, które musi pokonać, wspartej na kardynalnych trudach. To miłość jak bieg przez płotki. Rozstajne, rozstępujące się pod stopami ścieżki, na których czyha niepewność, kręte labirynty podejrzeń i zdrad, pusta droga ku pogrążeniu w śmierci: tymi tropami to podąża. To miłość ludzka.

Pozwólmy mówić Winie. Po prawdzie on tego dnia już umarł, może nie wiesz, wyjawia; naga i oszalamiająca leży w poprzek mego wielkiego mosiężnego łóżka: parny, letni dzień, połowa lat osiemdziesiątych, Nowy Jork. Tak było, mówi i krzywi usta, zawsze miał to fantastyczne wyczucie czasu. Ja tu pędzę, przetrząsam cały świat, żeby go znaleźć, a ten sukinsyn właśnie postanawia zabrać zabawki. Bo odmeldował się na całych sto pięćdziesiąt sekund, żadnej lipy, stuknął w kalendarz, kipnął. Ormus płaskowykresowiec. Zapuścił się tym tunelem ku światłości. A potem w tył zwrot. I co, może później powiedział, że dzięki mnie?, że usłyszał jak nawołuję? Obejrzał się i to mu ocaliło życie, na mur. Monitor bip, blip, blip, tylko-nie-zanikaj, ta prosta linia zaczyna skakać, pulsować, och, doktorze, doktorze, on żyje, błogosławieństwo, cud,

wraca do nas, jak boni dydy. Na dwie minuty zmarł, w trzeciej zmartwychwstał.

Nie wrócił do nas, chełpi się Wina, lecz do mnie. Nie ocknął się, zanim się zjawiłam, jasna sprawa, bo mnie nie było. Zawsze twierdzili, że nic się z nim złego nie dzieje, poziom aktywności elektrycznej mózgu w normie, wysokie prawdopodobieństwo, że żadnych trwałych ubytków nie ma, więc co, normalnie zdrów jak byk, pomijając ten drobiazg, że się nie obudził? Otóż nie, proszę lady Methwold, to żadne wyjaśnienie, bo w tych wypadkach oni się budzą albo nie budzą, w tym rzecz. Gość może spać latami, przespać resztę życia albo jutro otworzyć oczy. Lub za dwadzieścia lat, nawet nie wiedząc, że stracił chociażby dzień, a najgorsza historia to te przebudzenia, bo oni wtedy patrzą sobie na ręce i krzyczą, co za choroba pomarszczyła im skórę, więc jak tu wyczuć moment, w którym podaje się takiemu lustro?, to bardzo delikatna sprawa, wierz mi, groźba samobójstwa.

Wina powtarza z dumą: Czekał na mnie, śpiąc przez te lata. Bo już nic w życiu go nie interesowało, póki się nie zjawiłam przy nim. A potem się pokazuję i, hurra, jak na komendę otwierają mu się gały. Jeżeli to nie miłość, to nie wiem. Co nie znaczy, że potem nie dałam mu solidnie popalić. Tylko dlatego, że jest mężczyzną.

W centrum Mexico City pojawiła się dziura, rozpadlina trzydziestometrowej szerokości. Pochłonęła autobusy, kioski, dzieci. Spod bagiennego podglebia wysysano przez całe lata wodę, by poić spragnione miasto, i oto podziemie się mści. Materiał powierzchni zostaje pod spodem rozpleciony. Tutaj, na Manhattanie, budynki zaczynają się zataczać. Ledwie parę przecznic na północ od mego mosiężnego łóżka sypie się piaskowcowa okładzina. Montują siatkę, by chronić pieszych. W Nowym Jorku ludzie zawsze rzucali się z budynków, ale teraz pojawia się nowość. Budynek spada sam z siebie.

W gazetach pełno takich katastrof, lecz Wina chce mówić tylko o dawnych. Z nastaniem czasów, w których nie wiadomo, czy już się wycofali z estrady czy nie, zaczyna przychodzić do mnie coraz częściej, a kiedy tylko się rozbierze, musi zaraz manifestować jakieś urazy wobec wielkiego Ormusa Kamy, wobec przypisywania wybitnej roli jego talentowi w mnożących się właśnie historiach zjawiska o nazwie VTO. To cena, którą muszę płacić za cieszenie się jej względami: nieustająca ormusoza, obsesyjna kamamania. Wina przychodzi do mnie, by sobie ulżyć. Gdybym zaoponował, skończyłyby się wizyty. Wina nigdy nie przejmowała się seksem. Banał, jak wysiłek nosa. Przychodzi, bo znam jej historię. Zjawia się, by dopisać te nowe akapity: żale. I na tym, zdaniem Winy, polega intymność. To ją bawi, podnieca. Wina

rozciąga się na łóżku, obraca, dręczy mnie, wiedząc, że te udręki mnie uszczęśliwiają, a przynajmniej gotów jestem je znosić. Ma czterdzieści lat i jest po prostu bajeczna.

Więc nigdy nie zapominaj, że to ja go wywlokłam z tego podziemia, chełpi się, jak ta hinduska bogini, jak ona się tam nazywa, Rabbi.

Rati, poprawiam.

No właśnie. Rati, która uratowała Kameę, boga miłości. Nawiasem mówiąc, kiedy nasz bóg miłości otworzył oczy, lewe było niemal całkiem wyzbyte barwy. Lekarze winili za to uraz w chwili wypadku i ubolewali, że źrenica została "rażona" w pełnym rozszerzeniu i już nie może się zwężać, nie?, więc to oko widzi niewiele i niewyraźnie. Ale powiedziałam lekarzom, że to nie żaden wypadek. On się po prostu wpatrywał w tunel, a do oka wlała mu się światłość. Na końcu tego tunelu jaśnieje jednooka śmierć, wpatruje się w Kanię. Ormus ma szczęście, że ocalało to drugie.

(Ale to lewe mnóstwo dostrzegło. Bo wpatrywało się za głęboko, za daleko, zbyt uparcie.)

Nie przerywam. Kiedy Wina wda się w fantazje i mistycyzmy, można się najwyżej położyć na wznak i czekać (na ogół niedługo), aż ją to znudzi. Teraz dorwała się do historii Kamy i Rati. Tak czy owak, beze mnie usmażyłby się, synu, jak na krześle elektrycznym, mówi, mając na myśli fatalne skutki pioruna, którym Wielki Siwa raził hinduskiego błędnego boga miłości. Beze mnie byłby niczym, garstką popiołu.

Teraz Wina rozprawia o wielkiej miłości swego życia. Kiedy się zbudził, byłam jego zwierciadłem. Przejrzał się w moich oczach, spodobało mu się, co zobaczył. I ożył.

Kiedy chcę ją sprowokować, bo monolog o Ormusie już mnie wkurza, poruszam temat Marii, widmowej nimfomanki. Robię to tak, że wyczarowuję znakomity stary numer z *West Side Story*. Nucę *Marię*, a Wina momentalnie sztywnieje; jej skóra rozpala się, czuję, jak rośnie temperatura, oczy wrą. Potem Wina ukrywa już zazdrość, przekształca w wyzywające zachowanie. Chcesz zobaczyć? - pyta rozjuszona. Mam pokazać na tobie? Te zboczenia? Co wyrabiał ten jej tak zwany duch? Jazda, kładź się na wznak i zamknij oczy, będziesz Ormusem, zawsze chciałeś, a ja nią, tą zaślinioną sukubą. No, Raj, polubisz to, na pewno. Jej przeraźliwy podniesiony głos, w pół drogi między wrzaskiem a szlochem, przyprawia mnie o gwizd w uszach.

Odpuść sobie, Wina, mówię, trochę wystraszony tą jawną, podłą napaścią. Daj spokój. Ani ja tego nie chcę, ani ty.

Lecz może Wina naprawdę tego potrzebuje, bo rani ją, obraża sam fakt istnienia Innej. Dla Winy nienawiść do Innej to lustrzane odbicie samouwielbienia.

Młoda kobieta z Indii, która już nie udaje pielęgniarki, ale wciąż reaguje na imię Maria, znów zaczyna odwiedzać Ormusa; po raz pierwszy pojawia się w parę dni po obudzeniu go przez Winę z wielkiego snu. Jest jednak dyskretna; obecność Winy to gwarancja nieobecności Marii, jakby taki był warunek pojawień, takie prawo jej fantastycznego królestwa. Z powodu tych tajemnych wizyt Ormus zaczyna na równi bać się samotności i pragnąć jej.

W obawie przed pośpiesznym odtrąceniem Maria rozwija nową strategię: pięknoślowie. Zamiast zdzierać z siebie ubranie i wskakiwać na Ormusa, teraz uwodzi go mówieniem, potoczystym, interesującym, a Ormus słucha, bo od kiedy otworzył na nowo to blade lewe oko, zaczął dostrzegać rzeczy, których nie może zrozumieć, chociaż chce. Jakby każde z jego oczu miało wgląd w światy trochę odmienne bądź w dwie odmiany tego samego świata, prawie identyczne, a całkowicie oddzielone. Podwójne widzenie: Ormus wciąż cierpi na bóle głowy.

Teraz masz oczy otwarte, szepce Maria i masuje mu skronie. Ormus nie protestuje. Teraz mogę w ten sposób zbliżyć się do ciebie, to dużo łatwiejsze, kiedy zechcę. Twoje oko wie, pamięta. Worli, Cosmic Dancer, nasze życie w innoświecie. Te miejsca są jak ze snów ite.de, lecz przecież tam byłeś itepe. Wiem, to dla ciebie niełatwe. Teraz musisz tkwić tutaj. Rozumiem. Musisz wymazać pewne rzeczy, by zachować zdolność działania itede. Co do niej, to nie jest odpowiednia kobieta dla ciebie, ale zniosę nawet to. Nigdy cię nie opuszczę. Zesłano cię tu, żebyś to zrobił. Wślizgnąłeś się do łona matki tuż za zmarłym bratem, a oni uznali, że należysz do nich. Twoje piosenki mogą zmienić ten świat. To twój los. Otworzysz im oczy, oni pójdą za tobą ku światłu, itede itepe. Twój czas już świta. Już są w drodze wszystkie twoje marzenia. Spójrz, lśnią.

Czy to możliwe, że istnieje jakiś innoświat, zdumiewa się Ormus.

A jeśli tak, zastanawia się prywatnie, to czy możliwe, że w innoświecie też mają tę dziewczynę za szurniętą?

Jej wizyty w sypialni są, rzecz jasna, krótkie. Osłabiony, wracający do zdrowia Ormus rzadko kiedy jest sam. Maria mówi pośpiesznie, wciąż powściąga własne namiętności, chce się dać poznać jako osoba inteligentna i wykształcona, warta miłości Ormusa.

Rzeczywistości się zwalczają, mówi. Twe prawe oko, twe lewe oko, każde widzi inną wersję itede. W takiej chwili rozmywa się też granica między działaniem prawym a nieprawym. Ja sama powstrzymuję się od sądów moralnych, a żyję w myśl znacznie głębszych imperatywów, z których wynikają moje apetyty itede.

Ormus zamyka lewe oko, eksperymentuje. Maria znika, jak za naciśnięciem przełącznika.

Podczas następnej wizyty żali się na gwałtowne odtrącenie, domaga szacunku. Jestem tu dla ciebie, jakiej sobie tylko zażyczysz, mówi, ale wypraszam sobie podle traktowanie, itede itepe. Odrobinę uprzejmości.

Najbardziej pociąga ją mówienie o trzęsieniach ziemi. Będzie ich więcej, prorokuje. Trzęsienia ziemi są zawsze, odpowiada Ormus. Tak, mówi Maria, lecz są trzęsienia i trzęsienia. Zderzają się dwa światy. A przetrwać może tylko jeden. W końcu ten świat skruszy się, zawali itede, a my znajdziemy się w domu, na zawsze razem, wtedy dzięki mnie zwariujesz ze szczęścia, itede itepe itede, o czym, oczywiście, już wiesz.

Kiedy z nim nie. jest, mówi, odwiedza miejsca przeszłych i teraźniejszych trzęsień ziemi w Chinach, północnej Kalifornii, Japonii, Tadżykistanie, wszędzie; te wszystkie miejsca, gdzie materia ziemi podważa samą siebie. Ormusowi to hobby wydaje się dość upiorne, jak i liryzm, z jakim Maria przedstawia te wielkie tragedie. Mówi, że ziemia zaczyna śpiewać, potem huśta ludzkimi domami, jakby kołyskami. Ziemia, która grzmi kołysankę, nie kojącą, lecz burzącą, sposobiącą istoty ludzkie i ich dzieła nie do snu, lecz śmierci. Spędziła mnóstwo czasu w Turcji, podróżowała, a jakże, do odległych regionów - Tochangri, Wan - i Indii, co pozwala jej mówić i mówić: o zniszczeniach w Dharamsali i Palampurze na początku stulecia, o tym, jak w Simli cudem ocalała lady Curzon, żona wicekróla, kiedy o włos ominął ją komin walący się wprost do sypialni; podobnie o trzęsieniu ziemi w Monghirze, kiedy z wielkich otworów w ziemi wypłynęło siarkowe błoto i woda, jak dowód na istnienie piekła, a miejscowe władze zatrudniły Latający Cyrk Kapitana Barnarda, by przefrunął nad tym obszarem i oszacował zniszczenia.

Wielkie rozpadliny na ulicach Orleansville w Algierii, fale, które zalały Agadir, zatopiły Messynę, zapadnięcie się Managui i ucieczka Howarda Hughesa, dramat Tokio i Jokohamy w 1933, endemiczna niestabilność Iranu i dziwne zachowanie się sir J. A. Sweetenhama, brytyjskiego gubernatora Jamajki, który w 1907 roku, po zrównaniu z ziemią przeważającej części Kingston, odmówił przyjęcia

pomocy od amerykańskiej marynarki; to wszystko Maria gorliwie objaśnia przerażonemu ukochanemu, z aż nazbyt okropnie wysmakowanymi szczegółami.

Istotą wszelkich trzęsień ziemi jest zasada Braków, mówi. Ziemia, rzecz jasna, ma ich mnóstwo. Wykryto wręcz miliony itede. Ale przyczyną trzęsień ziemi są także Braki ludzi. I oto nadchodzi dzień sądu.

Teraz już wiem, że świruje, myśli Ormus, lecz trzyma język za zębami.

Trzęsienia ziemi, gorliwie objaśnia Maria, to środki, za pomocą których ziemia za własne zło karze siebie i swych mieszkańców. Chociaż Maria rzekomo odrzuca uniwersalną moralność, to kiedy zacznie się już unosić - jak miotający ogniste i siarczyste potępienia kaznodzieja - po prostu głosi Ormusowi płomienną ewangelię. Przywołuje z przeszłości utopijny złoty wiek, kiedy nie znano trzęsień, na ziemi panował pokój, nie było zwalczających się wersji świata, ziemi był obcy jej dzisiejszy tragizm, owa niezdolność do pojednań. Sama litosfera, wywodzi, na początku była nietknięta, deformowała się dopiero później, stopniowo, na skutek powolnych przemieszczeń we wnętrzu planety itepe. To gorące, podobne do kotła wewnątrz można uznać za jej brak elementarny, za Grzech Pierworodny, a trzęsienia są tylko skutkiem. Już za późno, by zastanawiać się nad jakimś powrotem do pierwotnego stanu równowagi, łaski. Za późno, by ziemia pogodziła się ze sobą. Musimy sami wziąć w karby te ruchy tektoniczne, osunięcia, tsunami, osuwiska, kamienne lawiny, rozkołysane miasta, itede itepe itede, to potrząskanie rzeczywistości. Musimy być gotowi na wstrząsy, podział planety zmierzającej ku wojnie ze sobą, ku końcowym rozgrywkom ziemi zwalczającej siebie.

Ludzkie Braki też powodują trzęsienia ziemi. Podczas kolejnych wizyt Maria powraca do poglądu najszaleńszego z szalonych. Uważa, że istnieją osobniki, u których oczywiste jest skłócenie z samym istnieniem, wrodzona konfliktowość wrze w nich wściekle jak wojna termojądrowa; te istoty cechuje taka siła ciężenia, że wokół nich czas i przestrzeń zakrzywiają się i deformują. A stąd już biorą się rozdarcia, łzy, osunięcia, niedostosowania. I to nie tak, że za zniekształcanie wszechświata odpowiedzialne są owe istoty; one są tylko instrumentami, za których sprawą jasno i przerażająco objawia się owa narastająca deformacja.

Jej zdaniem taką istotą jest Ormus.

Ale nie mówi, jaka jest pod tym względem Wina.

Dosyć już powiedziała. Teraz ma inne plany. Zbliża się ku niemu. Ormus leży w łóżku, za słaby, by stawiać opór, a Maria wie, że wzbudziła zainteresowanie.

Podnieciła go. Tym razem śpiewak nie zdoła się oprzeć.

Ormus Kama zamyka oko.

Od naszej pierwszej nocy miłosnej w starym Bombaju mija prawie czternaście lat, a Wina wciąż leży nago w naszym nie ostygniętym łóżku, nawet nie przykryta prześcieradłem. Jeszcze jedna śpiąca królewna czeka na swego księcia (nie na mnie, nie).

W połowie lat siedemdziesiątych fotografowałem pewnego wielkiego tancerza rosyjskiego, który we Francji uciekł z zespołu Kirowa; pędził ku grupie żołnierzy ścigany przez łobuzów z KGB i łamaną angielszczyzną wykrzykiwał: *Pomocy do mnie, pomocy we mnie. Pomocy na mnie, pomocy przy mnie.* Wkrótce po ucieczce wylądował tam, gdzie my wszyscy, na Manhattanie, i jakoś trafił do mnie do studia okutany w futra, podobny do rozpląsanego, szerokopyskiego niedźwiedzia. Ustawiłem go na białym tle przed starą kliszówką osiem na dziesięć cali. Był najrozkoszniejszym stworzeniem, jakie widziałem, naprawdę rzadkiej wspaniałości, więc z (niewielką) pomocą białego wina namówiłem go, by zrzucił z siebie wpierw to futro, potem kolejne szmaty, jedną po drugiej, aż w końcu tryumfalnie stanął nago, cały zachwycony. Poprosiłem, żeby luźno zwiesił głowę i swobodnie spuścił ręce. I żeby potem wolno uniósł głowę, później uniósł i rozwarł ramiona, o taką pozę mi chodzi, powinien ją wytrzymać, bo naświetlanie musi trwać całą sekundę, w starej kliszówce głębia ostrości to pewien problem. Zrobił, o co prosiłem, a kiedy uniósł tę mocną, zwierzęcą głowę, zobaczyłem zamknięte oczy, był tak głęboko zasluchany w rapsodię miłości własnej, że przy okazji wznoszenia ramion doszło synchronicznie - ku niespodziewanemu pożytkowi kamery - do okazałej, lśniącej, radosnej erekcji.

Miłości do mnie, miłości we mnie, miłości na mnie, miłości przy mnie.

Co najmniej taka sama jest miłość własna Winy.

Bywa, że coś mi śpiewa, to jest mściwa odpłata za nucenie drażniącej ją Bernsteinowskiej melodii, wywołującej zakazany temat Marii, rywalki z alternatywnego świata. Raj - to wstęp parlando - ty sobie wyobrażasz, że jesteś jakąś jebaną gwiazdą. To pozwól, że powiem ci, kim naprawdę jesteś. (Tu się zaczyna piosenka.) Ty jesteś dupek, a ja kocham klasę, wołę brylanty niż szkiełka tani błysk. Brązowa myszko z wiosennym kutasem, wołę kocura ciężki czarny pysk. Możesz się ze mną zakręcić w tańcu, lecz na nic więcej nie licz, jebańcu.

(Koniec pieśni.)

Raj, ty jesteś hamburger, a ja mam w domu befsztyk. Nie jesteś tym, czego chcę, nie byłeś i nigdy nie będziesz. Jestem kobietą zachłanną. Chcę więcej, niż chcę.

Wiesz, czego chcesz, dwakroć zapytali Ormusa: najpierw kiedy się zbudził z długiego snu, a potem drugi raz. Mnie nie pytali nigdy, chociaż miałbym gotową odpowiedź. Wbiła mi ją do głowy dobra nauczycielka, najtwardsza na świecie.

W wierzbach gra wiatr i może to szczur wodny pomyka do dziury. Balsamiczny dzień, łagodna bryza, na wodę wylegli wioślarze w leniwych jedykach, w zgodnie falujących ósemkach. Na przepływającej spacerowej łodzi łopocą flagi. Pod wydętymi żaglami schylają się i krzątają młodzi ludzie *en matelot*. Na motorówkach pełen relaks. Bluzki z mosiężnymi guzikami, białe dunkry, długie nogi pięknotek. Kanonada korków. Przepiórcze jaja i wędzony łosoś na razowcu. Ludzie machają do siebie podczas mijanek i gdyby rzeką w tej płaskodennej krypie płynął dziś sam Jezus Chrystus w słomkowym kapeluszu, również on doczekałby się życzliwego przywitania, byłby godzinami chwili tego błogosławionego piękna, owej istic książkowej angielskiej błogości.

Wygląda na to, że wojna się toczy bardzo daleko.

Spenta schodzi ścieżką ku rzece, po stoku porośniętym dzikimi hiacyntami, a Waldo Crossley zbiera zeschnięte liście, gdzie lubił popróżnować ten stary sukinkot Castlereagh. Podczas pobytu tutaj zabił się, podobno podciął sobie gardło od ucha do ucha i w takim stanie wynurzył się z toalety, wykrwawiając się na śmierć z tego zabójczego drugiego uśmiechu. Chociaż duch zmarłego błąka się po tej ścieżce, Spenta lubi nią spacerować wzdłuż liczącego półtorej mili, należącego do niej brzegu; tutaj, chłonąc świeże powietrze, nauczyła się toczyć rozmowy z pierwszym mężem.

Ależbyś to pokochał, Dariuszu, to dogłądanie historii, ten rzeczny brzeg, zaznawanie tej szczęśliwości. Życie zwycięża śmierć i nawet meble się cieszą. Te ponure stare skórzane chesterfieldy lśnią, a wåsaci przodkowie prężą się we frakach, coś sprawiło, że się przemogli, nie patrzą ponuro, zaczęli się uśmiechać.

Nasz syn powrócił i zakwitnął cały świat.

To tutaj, Dariuszu, zjeżdżały znakomitości tego kraju, by porozpinać się, poczuć swobodnie w przekonaniu, że nikt ich nie obserwuje, że są tu wolni od nadzoru i krytyki. Lord Methwold był porozpinanym gospodarzem tych wielkich i tutaj w kwiecie wieku oferował im wyszukane przyjemności. Ale na starość rozpustnik stawał się samotny, znużony i wziął sobie za pannę młodą owdowiałą parsyjkę. Po

czym wielcy tego kraju uznali dom za nieodpowiedni do uprawiania ulubionych sportów, karnawał przeniósł się gdzie indziej. Pod moim dachem nie ma miejsca dla takich rozrywkowych ananasów, Dariuszu, to mogę przyrzec.

Ale powiedz: czy trzecie małżeństwo to dowód braku zasad? Zwłaszcza gdyby to był, na przykład, ktoś młodszy? Jeśli nawet ów dżentelmen nie skupia się, hm, na tych rzeczach?

Oprowadzając Dariusza, dogadzając jego cieniowi i szukając jego przyzwoleń, Spenta jakoś łagodzi poczucie winy. Teraz posiada coś, do czego on tęsknił nade wszystko: jakieś miejsce w Anglii, może nawet w angielskości. Przez całe twoje życie, Dariuszu, opierałam się temu, więc nigdy tego nie zaznałeś, a w zamian mnie to przypadło. Jeżeli spaceruję z tobą po tych stronach, jeśli ci opowiadam różne historie tego domu, czynię je na równi twoimi, mój mężu prawdziwy, czy mi przebaczysz, moja miłości. Sam widzisz, jaka ze mnie nieszczęsna kobieta. Wszyscy mi muszą wybaczyć. Ty i moi synowie.

Chwała Bogu. Powrócił nasz syn Ormus. Już jest przytomny, Dariuszu, lecz wkrótce go stracimy. Nie do nas wrócił. Ormi, maleństwo. Karzeleczek.

Masz się ochotę gapić na to gówno, kpi Wina; spogląda z kwietnika na połyskującą w dole Tamizę i na Spentę. Ormus znów chodzi, powoli, wspiera się na jej ramieniu. On, który poruszał się tak pięknie, teraz stąpa jak pijana marionetka. Przecież to muzeum, mówi Wina. Prehistoria. Dla takiego chłopaka to śmierć za życia. Nie ma się co dziwić, że popadłeś w śpiączkę. Ale teraz? Chyba ci przeszło? W twoim wieku najwyższy czas dać dyla z tego Brytyjskiego Imperium.

Pełno motyli, śpiewających ptaków, dzikich kwiatów. W lasach ambonki, kryte cebulastym daszkiem. Wina wygadana, niecierpliwa, sprawia, że owa świetnie utrzymana, starannie wymanikiurowana (bądź umiejętnie zaniedbana) posiadłość wiejska wydaje się dżunglą, czymś w rodzaju krytych liśćmi chat afrykańskich. Słowem, Ormusie, dajemy nogę. Chcę stąd wiać. Pożegluj ze mną.

Jest taka pieśń o wrobieniu w niewolę, oponuje Ormus. o oszustwach i kłamstwach. Ironiczna.

Anglia to sztuczki, mówi Wina. Ty jesteś Amerykaninem. Zawsze nim byłeś.

Ormus zaczyna śpiewać, że Ameryka to nie Afryka, na szczęście nie ma w niej lwów, tygrysów ani morderczych mamb,

Ormus po raz pierwszy od wybudzenia ze śpiączki wskrzesza głos w śpiewie.

To już zajęli Sonny Terry i Brownie McGhee, mówi Wina i odwraca się, więc Ormus nie widzi w jej oczach łez. Musisz ich posłuchać. Newman mógł sobie to napisać, owszem, ale dopiero ci faceci domieszali tam czadu.

Wina pozbywa się kluchy w gardle i gorączkowo wznawia atak: Ugrząłeś tutaj, fakt, ale to był wypadek, nie jesteś uwiązany, człowieku, nie? Bo możesz tu zostać i, nie wiem, wydawać z siebie przez resztę życia imigranckie imijęki-imistęki, nie zapominając o imipodziękach na imiklęczkach, na co tu tak czekają, nie? Ale możesz też przebyć potężny ocean i skoczyć w tamten stary tygiel. Człowiek zostaje Amerykaninem przez to tylko, że chce, nie?, a kiedy już jesteś tym Amerykaninem, to musisz być jakimś, którymś z możliwych, najlepiej nowojorczykiem, nie? Bo jakikolwiek byś przeżył dzień w Nowym Jorku, jakkolwiek by ci poszło, lepiej, gorzej, to po prostu chodzi o dzień nowojorski, nie?, i czy jesteś bombajskim piosenkarzem, który coś tam wyśpiewuje na bombajską nutę, czy taksówkarzem voodoo z łbem nabitym zombi, czy terrorystą z Montany z bombą w kieszeni, czy islamskim brodaczem z Queens, to co masz w głowie? Stan. Stan Nowy Jork. Bo Nowy Jork to stan ducha.

Jasne, są i tacy Amerykanie, że nie da rady, żadnym z nich nie zostaniesz, ciągnie Wina, mandaryni z Bostonu, synowie właścicieli niewolników z Yoknapatawpha albo te smętne baryły na religijnych seansach wlokących się od świtu do nocy, spasieni faceci w kraciastych koszulach i grube babska, którym ciągle kieca zjeżdża z uda, bezwstydnie noszą na sobie gołe napisy i obnażają nedorobione duszyczki. Bo nie pamiętają własnej historii, nie?, co nie znaczy, że Amerykanie jej nie mają, że nie są skazani na jej powtarzanie. Ale ty na pewno masz to z głowy, nie twój zgryz. Nie? Możesz tu mówić od rzeczy, a to się zaraz stanie mówieniem amerykańskim. Możesz gównem wiedzieć, a to się zaraz stanie ignorancją czysto amerykańską. Nieprzynależność to stara amerykańska tradycja, nie?, amerykański styl. Nigdy nie będziesz wirginijskim dzieckiem w kotlinie, gdzie straszy, nie zobaczysz własnej matki dyndającej w szopie, w porządku, masz własne koszmary. Obejdiesz się. Ale gdybyś udawał przynależność, że ci na tym zależy, to proszę, wyklócaj się po barach, jaką też rotację miał pitcher Yankees, albo trzymaj z Metsami, możesz odgrywać scenkę zapamiętacie: Brooklyn Dodgers, Broadway z czasów Runyona, czym w latach pięćdziesiątych była Greenwich Village, narodziny bluesa. Jest tak, że człowiekowi utną nogę, a ona go wciąż swędzi, nie?, tylko że tu na odwrót, człowiek zaczyna czuć swędzenie nóg, których nigdy nie miał, i zobacz, kurczę, co się

dzieje, jeśli człowiek się zgrywa dostatecznie długo, trochę poniańczy to udawanie, aż ono wyrośnie na starego Amerykanina, to się okaże, że na tych wymyślonych nogach można chodzić, bez kuł, zanoszą cię, gdzie zechcesz, bo musisz wiedzieć, że w ten sposób zgrywa się pół kraju, wprowadzie drugie pół nie, ale nikt nie potrafi odróżnić jednych od drugich. Więc bierz się w garść, Ormus, słuchaj, co mówię, wstań, weź łoże i nie, że chodź, tylko normalnie spierdalaj stąd w podskokach. Ze mną. Od dziś Ameryka.

Uuuuch, myśli wyczerpana i zdumiona gwałtownością własnej agitacji. Uuch. No trudno, uderzcie w bębny, owińcie mnie we flagę, powiedzcie, że padła na polu chwały. Ale jeśli go zaraz stąd nie wyciągnę, to rzeczywiście padnę, bo kto jest w stanie oddychać tym powietrzem, przecież tu się można normalnie udusić.

Wina od chwili przyjazdu jest w stanie wojny ze Spentą. Matka i kochanka krążą wokół łóżka Ormusa jak bokserzy na ringu; on sędziuje.

Ta cała technologia, Wina syka na widok aparatury. Może dobra do leczenia zębów, ale ona nic nie rozumie, niczego nie objaśnia i dlatego nic nie wskóra.

Najlepsza, jaką można dostać. Utrzymała go przy życiu, żałośnie wyjaśnia Spentą, nie wie, dlaczego mówi tonem przeprosin, nie umie wyjść z defensywy.

Nierównowaga dosza, ocenia Wina. Przerwały dopływ prany, energii życiowej, nie?, i zdławiły ogień ciała. Stłumienie agni prowadzi do wytwarzania ama. Trucizn. Musimy się skupić na pańcakarmie: oczyszczeniu go. Na jego kale, urynie, pocie. Te trzy mała są kluczowe.

Co ty wygadujesz, mówi Spentą. To słowa.

To wasza kultura, szydzi Wina. Największy i najstarszy na świecie system holistyczny. Nie wiedziałas? Pięć żywiołów: ziemia, woda, powietrze, ogień, przestwór.

Och, ajurweda, w głosie Spenty słuchać ulgę. Tak, córeczko, wiem, że często teraz was, młodych, znowu interesują te stare historie, ale to nigdy nie było w naszym zaratusztriańskim stylu. Ja, osobiście, bardzo się cieszę, że zmarły ojciec Ormusa nauczył mnie wierzyć w najlepszą zachodnią opiekę. Jak ty, dziecko, naprawdę rozwiniętą tylko tutaj, na Zachodzie.

Ja to wszystko urządzę, Wina nie zwraca uwagi na Spentę. Będzie potrzebował masażystów i leków ziołowych. Jak tylko się wzmocni, nauczę go jogi. Ćwiczeń oddechu. I rzecz jasna prawdziwej wegetariańskiej diety.

Mięso jest dobre na mięśnie, protestuje Spentą. A ryby na mózg. Najlepiej zostaw te sprawy zawodowcom, słowo daję, od tego są lekarze. Najlepsze rokowania na pewno daje system wymyślony przez specjalistę.

A kto go obudził, lekarze? - zionie Wina. Eksperci wyekspertowali? No nic. Czas, żeby ktoś się zajął tym, co rzeczywiście pomaga.

Może, córeczko... Nie wiem... Może i racja.

Rasajana, zdecydowanie zaleca Wina. To go odmłodzi.

To znaczy co, dziecko?

Kąpiele słoneczne. Zioła, joga, medytacja. I śpiew.

Śpiew, powtarza bezradnie Spentą. Czemu nie. Zawsze to lubił.

To nie bitwa o sposób leczenia, lecz międzypokoleniowa wojna o posiadanie, a Spencie przeświadczonej, że już przegrała, brak broni. Lecz oto niespodzianie nadchodzi odsiecz, wsparcie ciężkiej artylerii. Wczłapuje wielki jak wór Patangbaz Kalamańdża w obszernym ciemnym garniturze i obwieszcza złą nowinę. Dolly nie żyje: do jej szczodrego, nic nie podejrzewającego serca dostał się zakrzep.

To trzęsienie ziemi coś w niej naruszyło, przypuszcza Pat; dobroduszny zazwyczaj uśmiech, poszerzony teraz o grymas bólu, każe myśleć o zębach obnażonych w warknięciu. Zwróciła się przeciw niej własna krew, stała się zabójczynią, tak to wygląda.

Mówi jak o morderstwie w rodzinie i tak to odczuwa. Wini, rzecz jasna, siebie. Przez te lata stawiałem na pierwszym miejscu interesy i zaniedbywałem żonę, boleje; istna porzucona panda. Miała Persis, lecz ten jej mąż, przygłup jeden, tkwił w Wembley, wolał być wielkim szefem. A teraz jej nie ma! I co mi z Dollytonu, jeśli nie słyszę mej Dolly słodkiego tonu?

Dom w Wembley poszedł na sprzedaż. Pat jak Pat, nie mówi złego słowa na kraj, który opuszcza. Wielka Brytania jest najlepsza, zapewnia stanowczo. Lecz teraz jedynym domem jest dla mnie Persis.

Stoją na kamiennym tarasie, przed starannie wypielegnowanym klombem, dołącza do nich Wina. Pata Kalamańdżę wytrąca z równowagi pojawienie się kobiety, której urok wziął górę nad urokiem ukochanej córki. Podczas przedstawiania Pat sztywnieje. Wina składa konwencjonalne kondolencje, a potem, niezdolna zapanować nad odruchami, pyta, czy zmarła przestrzegła zasad diety wegetariańskiej i tradycyjnej medycyny, wreszcie dodaje - Wina jak już palnie, to palnie - że gdyby Dolly traktowała je rygorystycznie, z należyłą powagą, mogłaby wygrać z tą grudą

zakrzepłej krwi, nokautującą jej serce.

Teraz warto zobaczyć Patangbaza Kalamańdżę, czerwony jak burak wywija rękami; ten zadziwiająco inny Pat okrąża Winę i atakuje. A kim ty jesteś, krzyczy, żeby w ogóle coś mówić o starych naukach? Tanią piosenkarką, zgadza się? Więc właśnie ajurweda, którą tak wychwalasz, jest oczywistym przeciwieństwem - absolutnie, niezbywalnie - twojej kategorii poczynań: zepsutych i rozwiązłych. Muzyka, narkotyki, telewizja, agresja seksualna, odurzanie się kinem, pornografia, osobiste odtwarzacze stereo, alkohol, papierosy, fizyczne podniecenie, ciągle ocieranie się ciał w klubach i dyskotekach. Ta znieprawiona materia wypełnia twoje osobiste środowisko, zgadza się? Nasza wiedza uważa te bodźce za zbyt silne i szkodliwe, prawda? A ty masz czelność pleść o warzywach, kiedy całe twoje życie to jedna ohyda.

Widokiem równie niezwykłym jak rozgniewany Pat jest oblana rumieńcem Wina, niemal niezdolna wykrztusić słowa. Owszem, jestem artystką estradową, mówi w końcu, trzęsąc głową, jak bokser po przyjęciu ciosu. Ale czy pan, jako fabrykant, producent radioodbiorników i tak dalej, powinien...

Twoje ja doprasza się podnieć, żeby wypełnić pustkę zrodzoną z braku poczucia bezpieczeństwa, grzmi Pat. I tylko osobowość podatna na nałogi sięga po taką tandetę. Pewnie w poprzednim wcieleniu nie zaspokoiliś pragnień.

Pat, daj już spokój. (Spenta czuje się w obowiązku ratować rywalkę.)

Nastał zły czas, ryczy król radioodbiorników Dollytone. Kalijuga, wiek zniszczenia! Widzimy karlenie zwierząt, degenerację, to samo dotyczy wiedzy. Wszechświat zmierza przed siebie jako ciąg odbić, a każdy zbiór replik i imitacji jest mniejszy od poprzedniego. Nawet moja ukochana Persis to dla mnie tylko echo Dolly! Karol Darwin! Ewolucja! Czysta blaga! Czysty wstyd.

Jak pan tak może mówić o własnej córce, oponuje Wina, już się ocknęła.

Zamknij się, odczep! - wykrzykuje Pat Kalamańdża. Niech święta wiedza Indii pozostanie w narodowych granicach. Co to jest wiedza? To umysł Wiśwarupy, Kosmicznej Jedności. To oprogramowanie uniwersalnej świadomości. I trzymaj się od niego z daleka, ty wirusie.

Daj spokój, łagodzi Spenta i bierze przyjaciela pod ramię. Wina nie jest odpowiednim celem dla twego gniewu. Los zadał ci okrutny cios, musisz się starać to zrozumieć. Nie pora folgować sobie.

Patangbaz uspokaja się, dyszy. Już nie jest bogiem gniewu, lecz znów przygarbionym, kompletnie rozbitym wdowcem. Ty też powinnaś wrócić do domu,

radzi Spencie, kiedy już zostawiają zdumioną Winę. Co cię tu trzyma?

Dariusz, odpowiada Spenta. Mieszkam w czymś, co jest jego rajem, więc jest mu dobrze u mego boku. Idziemy sobie i rozmawiamy. Tak to wygląda.

Wszędzie się roi od kobiet siedzących samotnie z powodu mężczyzn, którzy nie wracają, mówi Pat Kalamańdża, myśląc o Persis. I mężczyzn wypatrujących kobiet, które odeszły. Życie jest jak popsute radio, nie usłyszysz pięknej piosenki.

Jedź do Persis, mówi Spenta i całuje go w policzek. Lgnij do miłości, skoro możesz. On ma przynajmniej córkę, myśli Spenta. A jeśli o nią chodzi, to teraz pewna amoralna wegetarianka ze zdwojoną stanowczością zajmie się odebraniem jej syna.

To już dziesięć lat, z górą. Red Nichols zmarł, za Five Pennies nikt nie da złamanego szeląga. Kiedy Ormus i Wina rozprawiają o miłości, mogliby ścigać ułudę. Lecz ciało, chociaż ulega przemianom, pamięta. Oboje pamiętają nawzajem własne ruchy, zachcianki, zapachy, dotyk, niepohamowania.

Oprócz pamięci są niepamięci. Ona wraca, on się budzi; obojgu się wydaje, że dotarli do miasta, które wcześniej odwiedzali w snach. Wszystko jest znajome, chwytają za serce; lecz nic nie wiedzą o ścieżkach, które ich tu doprowadziły. Ani o poboczach tych ścieżek.

Znów uczą się nawzajem siebie.

Byłam samotna, mówi Wina. Nawet kiedy miałam w łóżku mężczyznę; może zwłaszcza wtedy. Nawet nie wiesz, mówi. Nie masz pojęcia. Samotna kobieta w tej bandyckiej branży złodziei, gwałcicieli, morderców. Czasem nie płacą. Potem ukradną ci pieniądze, twoją robotę przehandlują na czarno, zaświnia opinię, a na koniec zwyzywają od kurew.

Nie chcesz wiedzieć, co robiłam. W jakichś plugawych norach na Środkowym Zachodzie tańczyłam ubrana tylko w paciorki na tyłku, w spelunach w Atlantic City obmacywali mnie menele, ale wiedziałam zawsze, że jestem królową na wygnaniu, bo miałam to w sobie, nie?, oczekiwanie, tę wiedzę, że jeszcze nastanie moje królestwo. Że pewnego dnia biedak wyciągnie do mnie rękę, a ja mu powiem, spadaj, synu, szkoda gadać, dość się już naganiałam za forszą, teraz twoja kolej. Ludzie. Zawsze naciągną, zawsze na krzywy ryj.

To brzmi, jakbyś przeżyła sto lat, mówi Ormus zgaszonym głosem.

Dwieście, odpowiada. Pękło mi serce, a do środka runęła historia, runęła

przyszłość. Cofam się o cały wiek ku tej okropnej Ma Rainey, która poucza Żadnemu Nie Wierz, skacząc przed siebie o wiek, ku jakiejś kosmicznej żyłce, która nieważka krąży wokół księżycy i śpiewa na sunącym przez przestworza stadionie. Siedziałam już u nóg Memphis Minnie, trudno wyczuć, czy w ogóle żyje, nie?, gruba beczka na fotelu inwalidzkim, która tylko wtedy przestaje płakać, kiedy się może pochwalić, jak dołożyła na gitarze samej Broonzy i pracowicie wpuszcza człowieka w minningitis. A to, co Holiday mówiła o sobie, to, widzisz, też jest prawdą, jeśli o mnie chodzi. Byłam kobietą, kiedy miałam szesnaście lat. Teraz już jestem stara jak pieniądze, jak samo złoto. Stara jak miłość.

Ormus chwiejnie wędruje przez ogrody, walczy o utracone siły, o sławny, miniony wdzięk.

Chcę mieć mężczyznę, nuci Wina, chcę mieć mężczyznę na miarę. Nie bekę, nie szczapę, nie lalę. Niech mi nie kadzi, nie słodzi, niech mnie nie leje za karę. Chcę mieć mężczyznę na miarę. Niech piór nie stroszy, nie wtrąca trzech groszy, nie mówi "proszę", do gwizdka nie będzie parą. I już znalazłam, słuchajcie, znalazłam mojego mężczyznę na miarę.

Blues to normalnie znaczy nie mieć kąta ni gniazda, śpiewa Wina. Stamtąd na Ziemię patrzeć, z góry, gdzie pustka, chłód i gwiazdy. Teraz znalazłam chłopaka i z bluesem koniec, kochani; obejmę go i westchnę: przybiłam do przystani. Rock and roli; głos Winy nabiera pełnej mocy, niech mój chłopak teraz mnie weźmie w obroty, wiruj i świruj; niczego nie odkładaj na potem. Rock and roli; byłam dotąd połową, dzisiaj z nim to jest to, odtąd on będzie drogą, a ja zapłacę cło. Rock and roli.

Wina poi Ormusa sokiem aloesowym, by odnowić Ormusowe energie, uczy oddechów jogi. Najbardziej ją trapią Ormusowe vibracje. Rozpłaszcza mu dłoń na stole, nad nią wieszka wahadélko z kryształem. Natychmiast kryształ zaczyna wirować, jak oszalały kreśli w powietrzu zagadkowe wzory, jakby się znalazł w polu o niewyobrażalnej mocy. Wina dyszy i znienacka łapie wahadélko. Musiałam, wyjaśnia, jeszcze trochę, a rozleciałoby się na kawałki. Nie wytrzymuje tej gwałtowności, która z ciebie promieniuje. Nie wiem, cholera, co w tobie siedzi, ale to mocniejsze od bomby atomowej.

Z Bombaju ruszyliśmy, troje, na zachód; Winę - odbywającą podróż powrotną - pierwszą dosięgnął zamęt zachodniego świata złaknionego duchowości, jego żrąca niepewność, rozpadliny i pustki, syndrom przewróconego na grzbiet zółwia: twardej

skorupy okrywającej miążgę. Wina radykalistka o awanturnicznym jęzorze, banitka doprowadzona na skraj, lecz jeśli człowiek ją otworzy, znajdzie krzysztaly i przestwór: istotę tęskniącą do bycia uczennicą, której wskazuje się prostą drogę. Po części stąd się brała władza Ormusa nad Winą, i władza Indii. Co do mnie, widziała we mnie odmieńca, oksymoroniczne oskarżenie, które może rzucić samej sobie (ale nigdy nie rzuciła) i zyskać. Raj, ahinduski Hindus, człowiek Wschodu wyzbyty strony duchowej: potrzebowała mnie jako podboju, żeby wytykać mi prawdę o mnie, której, jak usilnie sądziła, starannie się wypieram. Więc wciąż wracała do mnie, wędrowała między łóżkiem Ormusa i moim.

Ponadto przepadała, rzecz jasna, za pokątnym seksem. *Chcę więcej, niż chcę.*

Kiedy na tyle nabrał sił, by móc się kochać, wspomina Wina, teraz z kolei my, on i ja, krążyliśmy wokół łóżka. (Właśnie jestem w łóżku i mam po dziurki w nosie ormusowania Winy, nie potrafię jej zamknąć dzioba, nikt nie potrafi.) Jak magnesy na żyłkach. Jak tancerze na balu maskowym, ale rozebrani.

Wina, na rany koguta. Już późno.

W porządku, ale tak było. I w chwili, w której powinny już nastać radosne dni, prawda?, po tym wszystkim, nie?, oboje, że tak powiem, doszliśmy nagle do ściany, słowem pojawił się problem, nazwijmy to, naszych zaległości w wydziale zaufania.

Ale po co wam były jakieś spory, zastanawiam się i przytykam wargi do jej umiarkowanie tym zainteresowanego sutka. Dlaczego w ogóle was naszło, mmff, oboje, ffwf, na jakieś dyskusje w tej mierze. To mmhm, naprawdę, mmhm, mmhm miłe.

Powiniennem wiedzieć, że owe wymruczane sarkazmy pobudzą Winę do tyrady. Ich podtekst (łaskawa pani okazała się złamaną obietnicą, to pani go zostawiła, a teraz ta obecność w murach mojej sypialni też czegoś dowodzi, wcale przekonująco, że drugie imię łaskawej pani brzmi "niewierność") sprawia, że Wina zrywa się jak oparzona, prostuje na łóżku, gniewnie wpycha ręce we włosy, jakby szukała tam broni. Wina w pięć minut - góra dwadzieścia - może się rozprawić z niemal każdym tematem pod słońcem i oto teraz częstuje mnie pełnym wykrzykników i nieistotnych wstawek, które usunę, improwizowanym, lecz nadzwyczaj wyczelowanym riffem na temat zaufania, przechodzącym, jak zwykle u Winy, od spraw ogólnych - zaufanie jako aspekt nowoczesności; jego możliwości i konieczności powstałe na skutek naszego wyzwolenia się z więzów plemiennych i wyakcentowania własnego ja - do szczegółów,

tych mianowicie, które dotyczyły (lub nie) jej i Ormusa; a obocznie i mnie.

Rzekomo permanentny kryzys zaufania między mężczyznami i kobietami: w tym zwrocie już od dawna nie słyhać oryginalności, chociaż trzeba przyznać, że Wina ma prawo poruszać temat jako pierwsza kobieta, która uczyniła go własnym i poty krzyczała, póki inne nie uznały go za taki. Kolejna teza jest niewiele bardziej interesująca, że kobiety już nie postrzegają mężczyzn jako indywidualności, widzą w nich tylko powierników i produkty nędznej historii ich płci. Teraz nadchodzi jednak zgrabna wołta. Jeśli otóż mężczyźni nie są w pełni indywidualnościami (podobnie jak kobiety), nie mogą w pełni odpowiadać za to, co robią, ponieważ pojęcie odpowiedzialności można rozpatrywać jedynie w kontekście nowoczesnego pojmowania samookreślającej się jednostki. Jako produktom historii, zaledwie automatów wytworzonym przez kulturę, nie przysługuje nam prawo do zaufania ani bycia obdarzonymi zaufaniem, bo zaufanie może istnieć tylko wtedy, kiedy można ponosić - i się ponosi - odpowiedzialność.

Profesoressa Wina. Zdaje się, że nawet dorobiła się jakiejś honorowej katedry jednej z tych nowszych dyscyplin w małym, szpanerskim college'u sztuk wyzwolonych w AnnandaleonHudson. Rzecz jasna, pamiętam zdumiewające lata jej turystyki wykładowej. (Po tym, jak VTO zakończył występy, a Wina jeszcze się nie wdała w ów końcowy, tragiczny powrót solo.) Do obiegu college'ow weszła ze swoimi "chautauquas", które to słowo zwędziła z bestsellera Roberta Pirsiga o zeń, poddała recyklingowi i nazwała nim własne produkcje nie poddające się żadnej klasyfikacji, w których mieszała tyrady ideologiczne, kabaretowe wołty, życiorysowy ekshibicjonizm i powalające na kolana piosenki. Autentyczna *chautauqua* to było kiedyś zgromadzenie się północnoamerykańskich Indian na pogaduchy, ale mocną stroną Winy nigdy nie była dyskusja ani rzecz jasna autentyzm, które to zgubne jej zdaniem pojęcia należało koniecznie poddać "dekonstrukcji". *Chautauquas* Winy okazywały się w rzeczywistości improwizowanymi monologami, najbliższej spowinowaconymi z seansami opowieści w wykonaniu wielkich indyjskich pisarzy, autentycznie istniejących Indusów z autentycznie istniejących Indii, jak chętnie mawiała, w ten sposób sugerując rozmyślnie wyższość mieszkańców Indii nad Indianami czerwonoskórymi, w którą naprawdę wierzyła, ale tak - i to była część jej magicznych zdolności, pozwalających zostać tak wybitną postacią - że żaden rdzenny Amerykanin nigdy nie odczuł urazy.

Pamiętam, jak fotografowałem te uniesione twarze młodych ludzi z college'u, z

czcią i zachwytem wsłuchujących się w słowa wielkiej ocalałej z wieku heroizmu, która kręci się po scenie - porażająco eklektycznie zagraconej symbolami etnicznymi: mojos, galabije, pióra quetzala, klasyczne urimitumim, znaki tika - i nie pomijając szokujących szczegółów, rozprawia o wzlotach i upadkach własnego życia, przygodach seksualnych i spotkaniach politycznych (niekiedy splatając ponętnie te wątki, na przykład w historyjce o długim weekendzie w prywatnym bungalowie pewnego karaibskiego dyktatora noszącego za dużą brodę, by ukryć za mały podbródek). Znienacka zelektryzowała młode audytorium, przeskakując od anegdoty do zapierającego dech popisu *a capella*, z repertuaru gospel, standardów bluesowych, jazzowego scata wzorowanego na Elli, łagodnych figur bossa novy, rockowych hymnów, a wszystko tym głosem Naszej Władczyni, prawdziwym darem, którego nam użycza, instrumentem po prostu za dobrym jak na ten świat. Takim, że normalnie można skonać.

Czy na podium college'u, czy u mnie w łóżku, Profesoressa była jednym z wcieleń Winy budzących najgłębszą bojaźń; to była swego rodzaju rola, fakt, ale cierpliwie słuchając kanonady jej argumentów, przyłapywałem się na wypatrywaniu rys i rozpadlin, które właśnie usiłuje ukryć, na pęknięciach duszy; uważałem, że znikająca i pojawiająca się nimfomanka Maria trafiła w sedno, mówiąc o naszej wewnętrznej niezdolności do pojednań, o tektonicznym skonfliktowaniu, które wniknęło we wszystkich i zaczęło nas rozrywać na strzępy, jak rozrywa niespokojną ziemię.

Wina Profesoressa i Wina Krystaliczna, Wina Święta i Wina Świecka, Wina Padlinożerna i Wina Wegetarianka, Wina Femina i Wina Seksmaszyna, Jałowa-Bezdzietna-Tragiczna Wina i Rażona-Tragedią-Dzieciństwa Wina, Wina Przywódczyni wytyczająca drogi całemu pokoleniu kobiet i Wina Uczennica widząca w Ormusie swego Jednego Jedynego, odwiecznie wytęsknionego. Była nimi wszystkimi i kimś więcej, bo zawsze i bezkompromisowo ustawiała sobie we wszystkim poprzeczkę najwyżej. Nie było Winy Odpuszczającej Sobie, którą by można przeciwstawić Winie Napiętych do Bólu Skrajności.

Pamiętajmy, że za to kochali ją ludzie: za zrobienie z siebie patetycznej awatary ucieleśniającej ich skotłowane ja, ale doprowadzone na skraj, bądź lepiej, wywindowane na wyżyny; za talent, wyrazistość, bezwstyd, promiskuityzm, za autodestrukcyjność, intelekt, pasję, za życie. Wina Wyższa, obficie rodząca wzajem wyższą, chociaż zupełnie ziemską miłość.

A co do szczegółów - czyli sprawy zaufania między nią a Ormusem Kamą, zagadnienia, w którym sam stanowiącym czynnikiem znaczącym, chociaż zupełnie ubocznym - Wina sięga po własne porąbane teorie o zewnętrznie determinowanym ja, by wydać wyrok uniewinniający jej liczne niewierności i porzucenia. Dziewczyna nic nie poradzi; do tego się sprowadza jej teza, jeśli obedrzeć wywód z przydługich słów. To, co leży w jej naturze, leży, bo zostało wygenerowane przez historię albo geny, albo politykę wobec seksu, w końcu nieważne już, przez co. To tak, jakby Olive Oyl przywłaszczył sobie powiedzonko Marynarza Popeye'a. *Jam jezd, czym jezd, dlatego tym jezd.* Co przypomina wszelkie usprawiedliwienia niewierności, które jak świat światem przytaczali mężczyźni.

Kup lub rzuć, powiedziała; a Ormus to kupił - Ormus, któremu nie sposób się oprzeć, z miłości do którego usychało tyle kobiet, dla którego święta piękność Persis Kalamańdża poświęciła wszelkie nadzieje na radosne dni.

Czy wielka miłość może się obyć bez zaufania?

Jaasnaa spłaaauaa, Łai, kooaanie, przeciąga się jak pantera i przeciąga słowa na modłę murzyńskiego getta, jaasnaa jaak słońce, że moożee. A Oołmuus i jaa, jeeeśmy wieeniee żyłym doołodem.

(Wiecznie żywym dowodem, powtarzam w myśli. Wina, nie kuś losu.)

A głośno mówię: Wiesz, naprawdę tego nie kapuję. I nigdy nie kapowałem. Jak wy jesteście ze sobą.

Wina się śmieje. To wyższa miłość, odpowiada. Na wyżynach. Tak na to popatrz. Normalnie, jak na ekstazę.

Teraz Wina się odpręża, wywody wprawiły ją w dobry nastrój. Kiedy nie przemawia wyłącznie dużymi literami, nie nawija jak nakręcona, potrafi się zdobyć na żart. To na czym stanęło? I znów kładzie mi głowę na brzuchu. O, tak. Więc tańczyliśmy koło tego łóżka. A musisz wiedzieć, że już przenieśli go z oranżerii. Adios, cholerna szklarnio. Zamiast niej ta zakurzona sypialnia, pełna członków klubu wzgardliwie patrzących ze ścian, marszczących brwi, a nad nimi, wyobraź sobie, gipsowe kopie klasycznych fryzów. Marmurowe popiersia na korynckich postumentach. Typy w togach i laurowych wieńcach spadających na uszy. Lata siedemdziesiąte, świat się kończy, sypie na kawałki, nie?, a nam wypadło spać na jakimś, kurwa, Partenonie. I jeszcze te zasłony, coś podobnego jeszcze się trafia w

starych kinach, jasnogranatowy materiał, tylko czekasz, aż się rozsuna i zobaczysz na ekranie, bo ja wiem, reklamy, zwiastuny następnych filmów, nie? Ale nic. Bo główną atrakcją byliśmy my sami.

Kiedy Wina zabiera się do jednego z tych całonocnych maratonów, kiedy zaczyna na osobistym ekranie wyświetlać wybór z filмотeki z klasycznymi scenami z jej życia - a to może być seans podwójnej bądź potrójnej długości - człowiek odpuszcza popcorn z colą light i przełącza się na opcję snu, nie ma wyboru. A przez lata sen nie był stanem, na który tęsknie czekałem. W mojej głowie też tkwią obrazy, a większość niechętnie oglądam na nowo.

Mam wiele do opowiedzenia o sobie, mam swoje historie. Jeszcze poczekają. (Bo kiedy środek sceny zawłaszczają bogowie, my, śmiertelnicy musimy się pętać po kulisach. Ale kiedy gwiazdorzy już odprawiają te wszystkie tragiczne konania, na scenę wkroczą naddatki - taki jest koniec wielkiej sceny z ucztą - zjawimy się, by wpięprzyć pieprzone resztki z uczty bogów.) Ale teraz obrazy tkwią tutaj. Nie mogę ich pochować do pudeł.

Bo fotograf ma zawsze ten drugi album, którego nie może pokazać, ze zdjęciami, których nie zdołał umieścić na taśmie. A jeśli jest reporterem, większość tych zdjęć nawiedza go we śnie, zakłóca i tak już niespokojne noce. Bobby Flow, szajbus samokontroli, geniusz Agencji Nabuchodonozor, znał trzy słowa, które, jak twierdził, uczą wszystkiego, by być dobrym w tym fachu: *Podejdź jak najbliżej*. Co błyskotliwie praktykował, aż ktoś odstrzelił mu głowę na bagnach w Indochinach. Ryzyko zawodowe. Na inne ryzyko naraża się głowa nie odstrzelona, która zapełni się światem rzeczywistym, utkwi w niej wielka podobizna świata jaki jest, wręcz obdartego ze skóry. Świat oskórowany. O czerwonych kłach i pazurach. Ponowne sfotografowanie wschodu Ziemi jako krwawej spękanej czaszki zawieszanej w eksplodującej przestrzeni.

Wiele razy podchodziłem jak najbliżej, za wiele, mam swoje opowieści bitewne, swoje historie niesłychane, jak każdy. Zdjęcia robione w chwili krycia się przed ostrzałem za ciałami innych, martwych już fotoreporterów. Bezzębni lunatycy o kamiennej twarzy wpierają człowiekowi w brzuch lufę uzi, a nawet, zdarzyło się, w usta. Ten dzień, kiedy pchnięto mnie pod ścianę koloru ochry i urządzono pozorowaną egzekucję, słowem subtelny dowcip słowiańskiego watażki. Słuchajcie: to wszystko nic. Ani szukam pochwał, ani chcę się żalić. Pchałem się, moja sprawa, taka mną rządzi potrzeba. Jedni ruszają, bo szukają śmierci, taka nimi rządzi potrzeba,

inni szukają widoku śmierci, inni chcą się przechwalać po powrocie cało. (Każdy jest filozofem.) Mogę powiedzieć, że nic wspólnego nie ma z tym poczucie winy: rolka filmu wyciągnięta z obcasa zabitego to już zamierzchła historia, chociaż kłamię nadal. A skoro mowa o tym kłamstwie, owszem, przyznaję, ilekroć staje twarzą w twarz z wrzeszczącym dzieciakiem uzbrojonym w bazookę, próbuję udowodnić, że zasługuję na bycie w tym miejscu, że mam prawo nosić aparat, akredytację; jeśli już wam zależy na psychoanalizie za trzy grosze na modłę Lucy van Pelt, proszę, tak to się przedstawia. Tymczasem naprawdę interesuje mnie i trwoży popęd bardzo głęboki, gnieżdżący się głębiej niż obraz mężczyzny wiszącego na obracającym się powoli skrzydle wentylatora.

Coś domaga się we mnie straszności, chce wglądu w najczarniejsze scenariusze z repertuaru ludzkiej rasy.

Chcę wiedzieć, że zło istnieje, i jak je rozpoznać, kiedy przechodzę obok niego ulicą. Chcę, żeby nie było abstrakcyjne; chcę je zrozumieć, odczuwając jego skutki na sobie, korozję, wypalanie. Kiedyś podczas egzaminu z chemii upuściłem na rękę kroplę stężonego kwasu i szybkość, z jaką brązowa plama rozprzestrzeniała się po skórze, wydawała mi się czymś bardziej przerażającym niż sam kwas; szybkość rodem z science fiction. Ale rzecz w tym, że wyzdrowiałem, nic mi nie jest, ręka funkcjonuje. Czy to brzmi jak samousprawiedliwienie? Że ilekroć wyjdę cało z rosyjskiej ruletki ze złem, to jakbym udowodnił przynajmniej sobie, że źli faceci trochę stracili, że może nawet skończy im się passa.

Starczy?

W porządku, po prostu jestem uzależniony od przemocy i któregoś dnia przeciągnę strunę. Jak Bobby Flow. Mądry facet z tego Hulota. Rzucił fotografię dla akwareli. Maluje okropnie, najgorsze banały w manierze *petitmaitre*. Na starość odkrył sentymenty oraz dobry smak i te dwie podstarzałe pielęgniarzki trzymają go przy życiu.

Nie muszę wam opowiadać, gdzie byłem. Bo wiecie. Te bagna południowoschodniej Azji palące się niesamowitym płomieniem napalmu; ten niedbale ułożony na poboczu zakurzonej afrykańskiej drogi stos ludzkich głów; ten atak terrorystów na bazar na Bliskim Wschodzie; ta wioska w Ameryce Łacińskiej oplakująca cały autobus dzieci, który wjechał na minę. Jasne, że wiecie. Po prostu widzieliście moją robotę. Wykonujemy ją wszyscy. Tak trzeba.

Kiedy już nie wytrzymuję piekła, przebieram się, wkładam najlepsze byle co, jakie można dostać na Siódmej Alei, biorę kurs na studio i wpadam w przytulne niebiosa: fotografię mody, kiedy człowiek zmusza piękne, kosztownie ubrane kobiety, by zachowywały się jak na wojnie. Wpatrują się, okręcają, dyszą, odchylają, miotają, wyginają w łuk. Widziałem, jak podobne rzeczy robi z ciałem ogień maszynowy.

Wrabiam je w coś więcej. Zależy od dziewczyny. Niektóre to sam spokój i tego się trzymam, otaczam je morzami spokoju, oceanami światła i cienia i tak je pogrążam w tym spokoju, aż się przestraszą, co je przywraca do życia. Inne coś wiedzą o mojej bardziej brutalnej pracy i chcą pokazać, jakie są naprawdę, ile wiedzą o wulgarności, o ulicy. Kontrast między wulgarnością a pięknnością zwykle się sprawdza, póki nie stanie się kalką. Potem przez chwilę idę tropem piękna, piętrzę piękno na pięknie, sprawiam, że staje się przytłaczające, niemal nieprzyzwoite, że gwałci.

Więc i to się kończy przemianą w przemoc.

I jeszcze jest portretowanie, chociaż nie zawsze szczęście mi tak dopisuje, jak z facetem od erekcji. Są zdjęcia reklamowe. Bywają też bardziej prywatne roboty studyjne, ale to już odłożę na kiedy indziej. Jestem zmęczony. Nachodzą mnie obrazy. Te nie widziane zakradają się nocą.

Na początku było plemię, zbite w gromadkę wokół ognia, pojedyncza wielowcieleniowa zbiorowość, całość stająca ramię w ramię przeciw nieprzyjacielowi, którym jest cała reszta istnienia. A potem, ledwie po chwili, wyłamaliśmy się, dorobili imion, indywidualności, prywatności i wielkich idei, od czego zaczęło się znacznie poważniejsze rozszczepianie, bo jeśli możemy - my, królowie planety, żarłoki trzymające w garści kłodę od łańcucha pokarmowego, faceci z tylnego siedzenia - wyodrębnić sami siebie, to podobnie może się wyodrębnić wszystko: wydarzenie, przestrzeń, czas, opis, fakt; może się wyodrębnić sama rzeczywistość. W porządku, nie spodziewamy się podążania naszym tropem, nie rozumiemy, że coś w ten sposób uruchamiamy, i chyba tak przejmująco wystraszyło nas to walenie się ścian, ta namiętność-boską wolność, że co sił w nogach mkniemy z powrotem do naszych starych skór pomalowanych w wojenne kolory, z postmodernizmu gnamy w premodernizm, słowem powrót do przyszłości. To właśnie widzę, kiedy sam jestem kamerą: szyki bojowe, tabory, obozy, palisady, potajemne uściski dłoni, insygnia, mundury, języki i żargony, oblężenia, płytkie groby, arcykapłanów, waluty o nienegocjowalnym kursie, narkotyki, alkohol, pięćdziesięcioletnich dziesięciolatek, przypływy barwione krwią, człapanie ku Betlejem, podejrzania, wstręt, zamknięte okiennice, uprzedzenia,

pogardę, głód, pragnienie, tanie życia, tanie strzały, klątwy, pola minowe, demony, demonizowanych, fuhrerów, wojowników, żałoby, okaleczenia, ziemie niczyje, paranoje, umarłych, umarłych.

Wywód Profesoressy Winy: tam jesteśmy, gdzie doszliśmy.

Może uważacie, że mój głos brzmi gniewnie? W porządku. Czytam książkę o gniewie. A w niej się twierdzi, że gniew dowodzi naszego idealizmu. Coś potoczyło się źle, ale w gniewie “wiemy”, że sprawy mogłyby się ułożyć inaczej. *Nie jest tak, jak powinno być.* Gniew jako nie sformułowana teoria sprawiedliwości, którą wcieloną w życie nazywamy zemstą. (A z drugiej strony, jestem po prostu jeszcze jednym zgorzkniałym pstrykaczem wykrzywionym przez życie, przez nie kończące się granie drugich skrzypiec na tle wydarzeń głównych. Na tym polega niezbywalna, lecz jakoś niższa praca pstrykacza: granie drugich skrzypiec, gdy płonie Rzym... A teraz w łóżku z Winą? To samo. Za pulpitem pierwszego skrzypka siedzi Ormus Kama.)

Kiedy Wina się na mnie złości, przypomina mi furie mojej matki, Amir Merchant, które odwoziły ją od nas, od miłości. Dlatego wybaczam Winie mściwe odżywki. Wiem, że kiedy Wina napada, jestem obsadzony w roli Amir; jakoś tam przekonany, trudno i darmo, że Wina ma prawo do napaści.

Kiedy złościę się na Winę, także wspominam matkę. Wspominam Amir, która bierze Winę pod skrzydła, uczy ją, namaszcza oliwą i czesze, czerni jej rzęsy i barwi włosy henną, w tę błyskotliwą a sponiewieraną dziewczynę wlewa samą siebie. Pamiętam nie rozstrzygniętą kłótnię z matką, mój gniew z powodu rozbicia domu, moje oskarżenia, ból, który kładłem na karb jej własnych goryczy i nieszczęścia. Patrzę na Winę i widzę w niej Amir. I nagle pokazuję Winie zdjęcia mojej matki w dniu śmierci. I chcę zobaczyć, czy Wina to dostrzeże: podobieństwo.

Jasne, że dostrzegła. Szeptsutka, powiedziała. Lecz nie myślała o faraonie-kobiecie, ja też nie. Myślała: *To ja. To zdjęcie przyszłości, mojej śmierci.*

I jak się okazało, miała właściwie rację: bo kiedy umarła, nie było zdjęć na łożu śmierci. Nie było łoża śmierci, nie było ciała, by je sfotografować.

Zdjęcie mojej matki to niemal wszystko, co mamy.

Wina wciąż mówi, lecz oto dręczy ją jakaś niepewność, doszła do tego punktu opowieści, w którym koniecznie potrzebuje mojej wyteżonej uwagi, tymczasem świadomość wymyka mi się, wyslizguje, pogrążam się w sobie, wykończony, zapadam się.

Raj?

Mhmhm?

To tak, jakbyśmy wypatrywali oboje... że coś, no wiesz... nawzajem... jak u ciebie, nie?... kiedy fotografujesz?... czekasz czasem i czekasz, a to, na co czekasz, nie nadchodzi, ale wreszcie nadchodzi i już masz, nie?, bang, nie?, jedno zdjęcie i już to jest twoje. Jak to się nazywa? Raj? Jak to nazwać?

Unhnh.

I to się wydarzyło. Koniec z wszelkimi udawaniami, nie?, z wszelkimi ranami, nie?, całą przeszłością, nie?, i my po prostu, jedno i drugie, pstryk. Decydujący moment.

Otóż to. *Pstryk*.

Hynhnyhm.

A przy okazji, mówi dalej, ale jej głos umyka, zniknęła ta wybroczyzna, to znamię na powiece. Nie wiedziałeś? Już się nigdy nie pojawiło.

Mało mnie to obchodzi. Śpię.

12. Manipulator

Nocny rejs do Nowego Jorku, w polu światła przy rozkładanym stoliku bezsenny dzieciak, Latynos o złym wejrzeniu, ponuro zmagają się z nową zabawką science fiction. Wygląda to na pojazd, lecz chłopiec nie ma ochoty na żadne brrrumbrrrum; rozbiera wóz. Obracają się spojlerzy, koła ustawiają pod odpowiednim kątem, karoseria rozwiera jak model anatomiczny. I oto - błysk, trzask, ukłucie w mózgu - zabawka przepoczwarzą się, dokonuje autodekonstrukcji i składa w jakieś nowe, zupełnie nieprzewidziane konfiguracje. Chłopak nie może rozgryźć ostatnich sekretów metamorficznej łamigłówki. Raz po raz tłucze o stół zabawką uwięziona w niedokończeniu, w przejściowości. Hałas budzi pasażerów śpiących z przepaskami na oczach, chłopięce rozdrażnienie zaraża dorosłych. Wreszcie mężczyzna drzemiący na fotelu koło przejścia, zapewne ojciec, ściąga poirytowany osłonę z oczu i ruchliwymi, włóchatymi rękami pokazuje chłopcu stosowną sztuczkę: oto pojazd nagle znika, a zamiast niego na metalizowane tylne łapy wspina się mały wielki potwór, groteskowa technoistota, coś w rodzaju wściekłego robotoida, z ogromniastymi łapskami w rękawicach, który wywija niesamowitymi, okrytymi wyrostkami miotaczami promieni. Wiek dwudziesty - samochód - zostaje wyparty przez przybysza z abstrakcyjnej przyszłości.

Dzieciak zaczyna się bawić. Bum! Bum! Robot anihiluje najbliższy fotel, podłokietniki, licznych pasażerów. Po chwili chłopak zapada w sen; tuli w ramionach potwora, nie nękany myślą, że w banalnej współczesnej maszynerii kryją się tajniki apokaliptycznego jutra, że nasze kabriolety powszednie, nasze poczciwe busy mieszkalne i mieszczańskie sedany możemy przekształcić w przerażające maszyny wojenne, jeśli tylko poznamy odpowiednią sztuczkę.

Bum! Bum! Chłopiec marzy o zniszczeniu świata.

Ormusa Kameę, który przygląda się temu z sąsiedniego ciągu foteli, opadają własne fantazje; tyle że nie są to fantazje. Oto jakiś świat inny niż nasz wybucha i przedziera się przez cieniuteńkie zapory naszego kontinuum. Jeśli sprawy przybiorą gorszy obrót, rozpadnie się cała tkanka rzeczywistości. Ormusa nawiedzają niezwykle myśli, wchodzi w zatrzważającą zażyłość z kresem rzeczy, a jednocześnie łamie sobie głowę nad zagadką: Dlaczego tylko on jeden dostrzega tę wizję? To wydarzenie na kosmiczną skalę? Czy inni to lunatycy? Czy to nikogo nie obchodzi?

Wokół samolotu rozwija się zorza polarna, w wietrze słonecznym falują - jak odpowiedzi - wielkie złociste zasłony, ale Ormus dręczony pytaniami nie jest ciekaw widoku. Co takiego, mówi zaalarmowana Wina, uważnie w niego wpatrzona. Trwoży ją, co Ormus robi z powiekami, na przemian zamyka, otwiera, wreszcie puszcza oko ku nocnemu niebu nad Grenlandią jak stary podrywacz.

Co jest, Ormus, straszysz mnie.

Nie uwierzysz.

Już raz ci uwierzyłam, prawda? Pamiętasz Gajomarta? Te piosenki w głowie?

Zgadza się. Wtedy tylko ty mi wierzyłaś.

No widzisz. Czyli co?

Więc wyznaje jej prawdę, w którą sam nie może uwierzyć: od kiedy Wina go obudziła, wyrwała z roli śpiącej królowny, Ormus żyje w dwóch światach; a raczej z dwoma. Próbuje opowiedzieć, co wpierw zobaczył podczas lotu do Londynu, rozpadlinę w rzeczywistości. To jakaś dziura? Czarna czy inna? W niebie? Opis idzie jak po grudzie. Nie, mówi i nagle jak deski ratunku czepia się falującej zorzy. Pomyśl, mówi i macha ręką, jeśli my, nasza przestrzeń, w ogóle wszystko, to film na ekranie i my gramy w tym filmie, ogromny ekran, jak w kinie samochodowym albo po prostu zawieszony w kosmosie jak zasłona, to przypuśćmy, że w tym ekranie są rozcięcia, jakby do kina wpadł jakiś zwariowany nożownik i rzucił się na płachtę, to teraz mamy wielkie rozcięcia biegnące przez wszystko, przez ciebie, to okno, skrzydło, przez gwiazdy, i wtedy możesz dostrzec, że za ekranem dzieje się co innego, jest jakaś inna sceneria, inna całość, nie wiem, na jakim poziomie, może inny ekran, na którym wyświetlają inny film, grający w nim ludzie patrzą ku nam przez te rozcięcia i może nas widzą. A za tym filmem jest następny i następny, kto wie ile.

Są rzeczy, o których tym razem nie mówi. Że pewni ludzie chyba odkryli sposób prześlizgiwania się między światami. Nie mówi o kobiecie, której, trudno i darmo, nie umie powstrzymać; zjawia się, kiedy chce. Ormus nie wypowiada imienia Maria.

W następnej sekcji samolotu kino pokładowe zabawia bezsennych. Wina widzi w głębi niewielki ekran. Szkocki doktor przemienia się w oszalałego potwora, potwór w doktora, tak w kółko. No właśnie, odnowiony stary horror, Doktor Taki i Mister Siaki. Chyba totalny niewypał. Odpadają nawet wytrwali. Nad sunącą na wysokości śpiącą gromadą, której sny przyciąga już Ameryka, bezgłośnie polatują filmowe ujęcia. Wina siedzi na krawędzi fotela. Czuje uniesienie, popłoch i zamęt, wszystko

naraz; męczy się z wybraniem sensownych słów. Co się stało z twoim magicznym znamieniem? Katastrofa, która pochłania wybroczynę. Zupełny nonsens.

Widoku Ormusa można się przestraszyć. Jego nie ma, mówi. Gajomart wyrwał mi się z głowy i zniknął. To było jak detonacja. Teraz jestem tu sam. On się uwolnił.

Przepadło znamię, a Ormus ma różnobarwne oczy.

Nie koniec na tym, mówi. Zniknęła wybroczyna, a teraz to przyśleple oko roi. Przywidzenia znikają, kiedy je zamknę. Zazwyczaj znikają. Bo czasem są tak intensywne, że widzę je nawet przez zaciśnięte powieki. Zamknięcie lewego oka skutkuje na jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent. Ale jeśli zamknę prawe i patrzę tylko tym drugim, to jakbym umierał. Wszystko znika, zostaje tylko inność. Jakbym podczas zamieci patrzył przez okno na jakieś inne miejsce, w którym - nie wiem, jak to wytłumaczyć - nawet nie jestem pewien, czy w ogóle mógłbym istnieć.

Nie dodaje, że tam jest jeszcze Maria.

Mówi piskliwie, jak pijany. Opowiada niebywale historie. Już się zastanawiałem, wyjawia niepewnie, może przepaska na oko.

A głosy, pyta Wina, czy słyszysz głosy? Co mówią, może coś oznajmiają. Może trzeba się wsłuchiwać, czekać na przesłanie, na coś ważnego, żeby przekazać dalej.

Stosowny moment, by wspomnieć o nocnych wizytach, lecz Ormus omija temat. Wcale cię nie zamurowało, mówi z podziwem. Inni by zaraz podnieśli wrzask, że mi odbija, że bredzę; większość, ale nie ty. Na ponad tysiąc i jedną noc dopadła mnie śpiączka, może wyszedłem z tego *doolally*, z szurnięciem, chyba nie wiesz, czysto indyjskim. Rdzennym, miejscowej marki Deolali. Gdzie brytyjskim żołnierzom rzucała się na mózg gorączka*.[* Ściślej *doolally tap* - słowo z żargonu dziewiętnastowiecznej brytyjskiej armii kolonialnej, od nazwy obozu Deolali w Bombaju, gdzie po ukończeniu służby, w beczynnym oczekiwaniu na statki powrotne, wojskowi popadali w rozstrój nerwowy.] Ale ty nie uważasz, że mam kręcka; sądzisz, że to możliwe.

Zawsze wiedziałam, że jest coś dalej, więcej, poza, mówi Wina i w tym hermetyzowanym mroku podsuwa Ormusowi piersi pod głowę. Zawsze, nawet kiedy ty czy Raj robiliście sobie ze mnie jaja. Bo co my mamy, tylko to bagno? Bez widoków na droższe lokale? Wykluczone. Ale nie wiem. Porządnie oberwałeś w katastrofie, więc może to jest podwójne widzenie - tylko umówmy się, nie jestem lekarzem - takie halucynacje na tle nerwowym, mózg potrafi wykręcić taki numer, nie?, ale może to prawda i widzisz jakąś inną całość. Zawsze miałam otwarty umysł. Teraz czekam, aż

któregoś dnia wydrażą mnie obcy. Ale może ci jednak odbiło. Zresztą, co za różnica. Zauważyłeś, ilu ludzi ma szajbę? Boję się już, że wszyscy, chociaż większość tego nie dostrzega. Zresztą nie chodzi o żaden problem zdrowych zmysłów. Kluczowe pytanie brzmi: co o tobie myślę, i już na nie odpowiedziałam, wsiadając kiedyś do samolotu, tego z Bombaju. Nadałeś sygnał i odpowiedziałam. Potem odezwałam się do ciebie, a ty otworzyłeś oczy. Radio nadawczo-odbiorcze. Czego chcesz więcej, żeby zaświecić neon? Czuję, że ziemia kołysze mi się pod stopami. Jeżeli to nie miłość, to co, jakieś walnięte czary? Czytaj z moich ust. Już wybrałam.

Żadnych przesłań nie ma, mówi Ormus.

To nie jest raj, ciągnie. I niezbyt się różni od tego, co tutaj. Nazwałbym to, co prześwituje w rozdarciach - a widzę już coraz wyraźniej - wariacjami, ruchomymi cieniami znanych historii. Nie musi to być nadprzyrodzone, nie musi to być Bóg. Może być - ale nie pytaj - zwyczajna fizyka, nie? Jakieś zjawisko fizyczne wykraczające poza nasze obecne zdolności postrzegania. Może wynalazłem po prostu sposób wykraczania z ram. Jest taki popartowy numer Amosa Voighta, schemat tańca. W stylu szkoły Arthura Murraya, strzałki i linie, tu lewa noga, tam prawa, wchodzisz w to i odrabiasz te kroki. Tylko że w pewnej chwili cały ciężar ciała opierasz na tej nodze, którą masz ruszyć. Więc okazuje się, że wzór nie działa, że to żart, pułapka. Chyba że się wyłamiesz, staniesz inaczej, przemieścisz ciężar i pójdziesz dalej. Musisz złamać reguły, odrzucić wzór, strzaskać ramy. Jest takie rosyjskie słowo, mówi Ormus. Zewnętrzność. Może znalazłem zewnętrzność tego, wewnątrz czego tkwimy. Wyjście z karnawałowych błoni, tajemny przesmyk. Drogę na drugą stronę lustra. Technikę skoków z jednej ścieżki na drugą. Wszechświaty jak równoległe proste albo kanały telewizyjne. Może są ludzie, którzy potrafią przeskoczyć z prostej na prostą; którzy potrafią, jeżeli mnie rozumiesz, przeskoczyć z kanału na kanał. Wyskakujący jak diabeł z pudełka. Może sam do nich należę. I ćwiczę zabawę pilotem.

W owych czasach nowością były piloty do telewizorów. Właśnie wkraczały w sferę porównań i metafor.

Jaki on jest? - pyta Wina. Ten inny świat.

Już ci mówiłem, odpowiada, jakby nabijał wstęp do pełnego znużenia bluesa. Taki sam. Tylko inny. Osiem lat temu zastrzelono Kennedy'ego. Nixon, tylko się nie śmieje, został prezydentem. Oderwał się właśnie Wschodni Pakistan. Uchodźcy, partyzanci, ludobójstwo, cały ten kram. W Indochinach, wyobraź sobie, nie ma Brytyjczyków; chociaż wojna toczy się tam w najlepsze, tylko miejscowości mogą się

nazywać inaczej. Nie wiem, ile jest tych wszechświatów, ale te sakramenckie wojny toczą się chyba w każdym. Z chemią i napalmem. *Lewa, prawa, sukinsyny, dość naftenopalrinityny* - na to też mają inną nazwę, chociaż substancja tak samo zwęglą dziewczynkom skórę. Naftatyna.

Ormus opowiada, że mają tam zatrzęsienie ucekinowanych piosenkarzy z brwiami podkreślanymi ołówkiem, ale ani śladu Zoo Harrisona, Jerry'ego Apple'a, Iconów, The Clouds, a Lou Reed to mężczyzna. Mają Hollywood, ale nigdy nie słyszeli o Elrondzie Hubbardzie, Normie Desmond ani wielokrotnym mordercy Charlesie Mansonie, Allen Konigsberg nigdy nie wyreżyserował tam filmu, a kogoś takiego jak Guido Anselmi po prostu nie ma. Nawiasem mówiąc, Dedalus ani Caulfield, ani Jim Dixon nigdy nie napisali tam żadnych książek, klasycy też są inni.

Jej oczy ogromnieją, trudno i darmo, Winie nie udaje się stłumić chichotów niedowierzania.

A Ogród rozstajnych ścieżek, Ormus przywołuje tytuł ukochanej powieści Winy, dziewiętnastowiecznego arcydzieła, które wyszło spod pióra chińskiego geniusza, byłego gubernatora prowincji Junan, Ts'ui Pena.

No właśnie. Chyba mi nie powiesz, że oni tam nie...

(Jest naprawdę zła, twarz Winy zapowiada: to już ostatnia kropla.)

Tam nie ma takiej książki, mówi Ormus i uderza pięścią w otwartą dłoń.

Niech cię szlag trafi, Ormus, ale Wina zaraz odzyskuje panowanie nad sobą, zabrania dostępu do warg uwadze: *Dobrze, to taki dowcip, w porządku. Albo naprawdę zwariowałeś.*

Lecz Ormus czyta jej w myślach. Do jego głosu zakrada się rozpacz, zniekształca brzmienie. Życie było dla mnie królestwem zmysłów, mówi, tego, co można dotknąć, powąchać, usłyszeć i zobaczyć, czego można posmakować. Weź te moje tyrady ku czci rzeczywistego, które jest i trwa, żadnych treli moreli. A teraz, jak na złość, zlatują się z tego, kurwa, przestworu te wszystkie bajdy. I miesza się z nimi wszystko, co konkretne, i się zamienia, kurwa, w zwid. Taki klimat. Co z tym począć?

Spraw, niech zaśpiewa, mówi Wina. Opisz to, włóż w to całe serce, cały talent, wczep się w te słowa, w te melodie chwytające za gardło. Weź mnie na ten księżyc.

Wtulony w jej niosące ukojenie piersi Ormus nuci stłumionym głosem ody innych mężczyzn.

Jesteś mym słońcem, ja królem pszczół. Utul mnie mocno. Dostałem tyle miodu, że pszczoły mi zazdroszczą.

Muzyka nas ocali, uspokaja Wina. Ona i, i.
Miłość, mówi Ormus. Brakuje ci słowa miłość.
No jasne, Wina uśmiecha się i pieści policzek Ormusa. Znałam je.
Wyjdiesz za mnie?
Nie.
Czemu, do cholery?
Bo masz, dupku jeden, źle w głowie. Śpij.

Świat jest nieugięty, nie trzyma się kupy; lecz gdybyśmy się nie dogadali ze sobą, że jednak się trzyma, nie bylibyśmy zdolni osądzać ani wybierać. Nie moglibyśmy żyć.

Doznając wizji, Ormus Kama odkrył, że jest prawdziwym prorokiem; co mówię jako czystej wody niedowiarek. Bo Ormus naprawdę wyprzedzał swój czas, który dzisiaj doścignął wszystkich. Ale Ormusa już nie ma, już nie widzi, jak sprzeczności w tym, co rzeczywiste, stają się jaskrawe, nieubłagane, a my uczymy się przechodzić nad nimi do porządku. Kładziemy się spać, myśląc - przykład na chybił trafił - że szanowny pan N. M. albo G. A. to osławiony terrorysta, a budzimy się, wielbiąc go jako zbawcę ludu. Jednego dnia wyspiarze, mieszkańcy kawałka jakiejś zimnej mokrej zapomnianej przez Boga skały są nędznymi czcicielami diabła, chłepącymi krew i składającymi ofiary z dziatwy, a nazajutrz jest tak, jakby przenigdy nic podobnego nie zaszło. Przywódcy krajów znikają, jakby w ogóle nie istnieli, w magicznym trybie zostają wykasowani z zapisu, a potem zjawiają się na nowo jako goście w programach gadających głów czy zachwalacze pizzy i, hyc, znowu wskakują na stronie annałów.

Ta czy inna choroba dziesiątkuje wielkie zbiorowości, a potem dowiadujemy się, że owych chorób w ogóle nie ma. Kobiety i mężczyźni przypominają sobie, że byli w dzieciństwie wykorzystywani seksualnie. Fik mik, i już nie byli, a ich rodzice stają się znów ludźmi kochającymi i tak godnymi pochwał, że przechodzi pojęcie. Wychodzi na jaw ludobójstwo; nie, ludobójstwa nie było. Odpady nuklearne zatruwają wielkie połacie, uczymy się takich zwrotów, jak "quasi-życie". Ale w mgnieniu oka całe skażenie się rozwiewa, owce przestają świecić, człowiek już może w spokoju zajadać jagnięce bitki.

Mapy myślą. Przez sporne terytoria granice pełzną, wiją się, pękają. Droga już nie prowadzi tam, gdzie wczoraj. Znika jezioro. Góry wypiętrzają się, zapadają. Powszechnie znanym książkom dopisuje się nowe zakończenia. Z czarnobiałych

filmów bucha kolor. Sztuka to bzdura. Treścią jest styl. Zmarli zawadzają. Zmarłych nie ma.

Człowiek pasjonuje się sportem, ale ilekroć kibicuje, zasady gry są już inne. Masz pracę! Nie, nie masz! Ta kobieta przypudrowała panu Prezydentowi Johnsona! We śnie. I oto fetowana jest jako fantastka. Jesteś boginią seksu! Jesteś seksualną trucizną! Człowiek dałby się za nią pokroić! Co za pinda! Nie ma pan raka! Prima aprilis, ma pan! Ten poczwieć z Nigerii to morderca! Ten morderca z Algierii to porządny chłop. Ten psychopatyczny morderca jest amerykańskim patriotą! Ten amerykański psychol jest patriotycznym mordercą. A w angkorańskiej dżungli, czy to zdycha sam Poi Pot, czy tylko Nol Not?

Oto rzeczy szkodliwe: seks, wieżowce, czekolada, niewygyminastykowanie, dyktatura, rasizm! Skądże, *au contraire!* Celibat pada na mózg, drapacze chmur przybliżają nas do Boga, badania wykazały, że tabliczka czekolady dziennie wydatnie poprawia szkolne stopnie dziecka, ćwiczenia fizyczne mogą zabić, tyrania to część naszej kultury, więc będę wdzięczny, jeśli te kulturalnoimperialistyczne idejki zechcecie trzymać z dala od moich, kurwa, włości; a co do rasizmu, to nie śpieszmy z potępieniami, lepiej, że sprawę widać, niż gdyby ją upychać pod brudny dywan. Oto umiarkowany ekstremista! Oto uniwersalne prawo, rdzenne kulturowo! Oto obrzezana kobieta szczęśliwa kulturowo! Aborygeńskie wymachiwanie fujarą to barbarzyństwo kulturowe! Zdjęcia nie kłamią! To zdjęcie falsyfikuje! Wolność dla prasy! Nie wpuszczać wścibskich dziennikarzy! Powieść umarła! Honor umarł! Bóg umarł! A kuku, żyją i nas przeżyją! Ta gwiazdka pnie się! Nic podobnego, już spada! Jedliśmy kolację o dziewiątej! Nie, o ósmej! Byliśmy na czas! Nie, spóźniliście się! Wschód to Zachód! Góra to dół! Tak to Nie! Wewnątrz jest Zewnątrz! Kłamstwa są Prawdą! Nienawiść to Miłość! Dwa i dwa to pięć! A wszystko zmierza ku najlepszemu na tym najlepszym ze światów.

Muzyka nas ocali, i miłość. Kiedy rzeczywistość kasa, a kasa mnie prawie co dzień, potrzebuję Ormusowej muzyki; pewnego nagrania. Mam je właśnie w ręce, lśni jak okładka "Ojczystej Gitary", wybieram *Wszechpiosenkę*, pierwszy kawałek, jaki napisał w Ameryce, w Tempe Harbor w parę dni po przyjeździe. Siedzę tu, już u kresu czasów, przeżytych z bliską przyjaciółką Mirą Celano - jeszcze się o niej opowie w dalszej części programu - zatem Mira, ten numer gramy dla ciebie.

Myślałaś, że wiesz, czym "tak", czym "nie" jest; nic podobnego. Że wszystko, co powiesz, to twoje, że tkwi w głowie; a to nie na tym polega. Tu czy tam, z tobą

czy sam, kiedyś czy teraz - nie ty wybierasz. Pułapka, to nam dolega. Cudzy mózg nami myśli, wiemy dobrze dlaczego; cudzy mózg myśli za nas, dowiedziałaś się tego; cudzy mózg wciąż nas mami, nie umkniemy od niego.

Widzisz same uludy; prawda to tylko ja.

Pamiętaj, kochana, czy w nocy, czy za dnia - tylko ja.

W czasach nieustającej transformacji błogosławieństwem jest radość płynąca z wiary i pewności. Błogosławiona kąpiel w przepotężnej miłości, przywołaj czysty uśmiech, każ zagrać harfom i akustycznym gitarom. Otuleni ich kokonem, bezpieczni od burzy przemian, błogosławieni, którzy dziękują za ich niezmiennność, a nie zwracają uwagi na kajdany. Oto wiekuista szczęśliwość, ale uwaga, uwaga, tę celę w kryminale możesz sobie zachować. Beatsi ze swą Generation byli w błędzie. Błogosławieństwo to pojednanie więźnia z łańcuchem.

Teraz szczęście jest znów czymś innym. Jest człowiecze, nie boskie, a pogoń za nim to coś, co moglibyśmy uznać za miłość. Ta miłość, ziemską, to metamorficzny rozejm, umowa o chwilowe zawieszenie przemian, kiedy się całujemy lub trzymamy za ręce. Miłość to plażowy ręcznik na ruchomych piaskach. Miłość to rodzaj intymnej demokracji, umowa domagająca się odnowień, bo co noc można przegrać wybory bez względu na większość, jaką się dysponuje. Jest krucha, w każdej chwili odwoływalna i to już wszystko, na co możemy liczyć, nie zaprzędając duszy tej czy innej stronie. Na tyle tylko możemy liczyć, jeżeli chcemy zachować wolność. I tak to rozumiała Wina Apsara, mówiąc o miłości bez zaufania. Wszelkie traktaty mogą zostać zerwane, a obietnice złamane. Nic nie podpisuj, nie przyrzekaj. Zawieraj tymczasowe ugody, kruche pokoje. Jeśli dopisze ci szczęście, potrwać pięć dni; a może i pięćdziesiąt lat.

Przedstawiam to wszystko - samolotowe trwogi i wątpliwości, moje własne myślatka post factum, teksty Ormusa (które pewien brytyjski profesor uważa za poezję, ale jakiś profesor zawsze się znajdzie; bo dla mnie, kiedy je widzę na kartce odarte z muzyki, trochę kuleją, a może nawet nie trochę) - by czytelnik mógł się wczuć w te zdumiewające osiągnięcia, które stały się wkrótce udziałem Kamy. Po raz drugi otrzymał w życiu szansę, rozpoczął drugi akt w kraju, w którym żywoty obywateli - coś fantastycznego - nie miewają drugich aktów; wreszcie uznał, że znów otwiera się przed nim droga do celu. Walczył o inny język, który nie wmusza wyznaczników ani dokonanych już wyborów, ale niełatwo walczyć z bezwładnością języka, z nieubłaganie, jak walec toczącą się masą historii skumulowaną w języku. I to

wszystko wypełniło go nową muzyką. Tryskała z niego twórcza materia, a dziś już wiemy, że owa materia, wizerunek jego przybycia do Ameryki - wybladłego mężczyzny dobrze po trzydziestce, o nawiedzonym spojrzeniu, wiecznie ponurej twarzy, w wytartych dżinsach - wydaje się osiłą, wokół której tyle się obróciło, że stała się naszym wspólnym doświadczeniem, częścią tego, jak widzimy i konstruujemy samych siebie.

Ormus Kama widzi o świcie Manhattan, potężną krawiecką poduchę ze szpilkami przekłuwającymi rozpostartą w górze mgiełkę, i zaczyna się uśmiechać; to uśmiech człowieka, który właśnie przekonuje się, że ukochana fantazja to nie wymysł, ale przeciwnie, fakt. Samolot kładzie się na skrzydło i schodzi ku ziemi, a Ormus wspomina miłość, jaką Vivvy Merchant, mój ojciec, darzył królową Katarzynę Braganzę, dzięki której na zawsze sprzęgły się Bombaj i Nowy Jork. Lecz to wspomnienie niemal natychmiast blednie: bo drapacze chmur z wyspy Manhattanitów od początku kłuły Ormusa w serce; również jego, jak moją matkę, poruszało marzenie o podboju nieba, natomiast nigdy nie pociągały go zatłoczone ulice Queens, tamtejsze wielojęzyczne bazary, na których uwija się cały świat. Z drugiej strony Wina, ukochana przez Amir Merchant Wina, nigdy w głębi serca nie przestała być ulicznym urwisem, nawet kiedy ogromna sława wepchnęła ją w lśniącą klatkę. Lecz dla Ormusa Nowy Jork oznaczał od początku odźwiernego, szybką winę i wspaniały widok. Słowem Wzgórze Malabarskie.

Lecz miasto pozostanie jeszcze w oddali; ideał (sięgnijmy po słowa Langstona Hughesa) jeszcze korzysta z odroczenia. Nie dość, że Yul Singh wszystko zorganizował - dokumenty, zezwolenia, limuzynę - to jedną z wiejskich rezydencji przeznaczył na "gniazdko miłosne" dla "ptasząt", by zaznały "dekompresji", doświadczyły "miękkiego lądowania". Miejsce jak diabli, sam to sobie powtarzam, winnica, gdzie się tłoczy kolosalne pinot noir, powinniście trochę odetchnąć przy winie, pomyśleć o przyszłości, a powiedzmy szczerze, Ormus, nie jesteś taki młody, ale starzy skubańcy umieją być niezli, łapiesz, o co mi chodzi, jest w tym potencja, a z Winą u boku, ależ to lufa, nie muszę ci powtarzać, ten jej głos, jak jakaś jebana syrena transatlantyku, przepraszam za francuszczyznę, więc ten głos może wszystkich załatwić, to nie obiecanki, już mam odpowiednie kawałki, nad którymi, nie muszę ci tłumaczyć, zaraz

powinieneś popracować, ale to betka, odpuść sobie trzydzieści sześć godzin, no, powiedzmy dwa dni, nie uwierzysz, co za kolejkę talentów mam przed drzwiami, co dzień dłuższą, wiesz, o co mi chodzi, ale nie ma co o tym gadać, fakt.

Powitalnego monologu (w którym język Yula Singha nie okazuje się aż tak klarowny, jak kiedyś zarzekał się mówca) Ormus wysłuchuje przez pokładowy telefon na tylnym siedzeniu za ciemnymi szybami potwornie długiej limuzyny, której kierowcą jest jeden z legendarnych pomagierów z plemienia Kolchida, zamerykanizowanych ponuraków pochodzenia pendżabskiego, którzy są Yulowymi ochroniarzami i szoferami, jego wykidajłami i kamerdynerami, księgowymi i prawnikami, strategami i egzekutorami, publicystami i rzecznikami; w ciemnych okularach, ubrani w identyczne czarne garnitury od Valentina, padają ofiarą (lecz nigdy w elektryzującej jak sam piorun obecności Ormusa i Winy) sikhijskich kpiniek Yula. Will Singh, Kant Singh, Gota Singh, Beta Singh, Foto Singh, Mini Singh, Singh Singh i tak dalej. Bo czym, jeśli nie kpina, są te niewyszukane pseudonimy, zamiast prawdziwych nazwisk, których od dawna nikt nie pamięta. W tej chwili Ormusowi i Winie dotrzymuje towarzystwa wspomniany już Will. Zawiozę państwa na lądowisko helikoptera, mówi, ledwie odwracając głowę. Dalszą podróż odbędą państwo osobistym Sikorskim pana Yula.

Nie ma sensu się wymawiać. Ulegają z wdzięcznością i opadają w głębiny skórzanych siedzeń. A gdzie to nasze gniazdko na miodowy miesiąc? - pyta machinalnie Ormus.

Koło Finger Lakes, proszę pana. Czy to coś panu mówi, proszę pana?

Wina wynurza się ze skór. Mnie mówi. Koło czego to jest?

Słucham pani, na południowym skraju jeziora Chickasauga. Serce plantacji winogronowych w tym stanie, proszę pani. W sąsiedztwie miasteczka, o którym może pani słyszała, nazywa się Chickaboom, proszę pani.

Niewola egipska, jęczy Wina i zamyka oczy. Nawet Izraelici nie musieli wracać tam, skąd uciekli.

Przepraszam? Czy powiedziałem coś niejasno, proszę pani?

Nie, nic. Dziękuję.

Tak, proszę pani.

Dom w Tempe Harbor - z malowanego drewna, jasnoszary z białymi ozdobami i koronkową snycerką - który czułby się chyba lepiej w Key West, przezierając przez

liście palm i pnącza bugenwilli, jest, rzeczywiście, dziełem pewnego perwersyjnego milionera z Florydy; Manny Raabe, z pochodzenia Niemco-Szwajcar, w podeszłym już wieku uciekł przed jałowym ciepłem Południa (i nierzadkimi tam huraganami) w rześkie a nostalgiczne szerokości północne, gdzie natychmiast zmarł z zimna. Po tym wydarzeniu Yul Singh zainstalował ogrzewanie podłogowe, namnożył dodatkowych kominów na dachu, a kominków wewnątrz. W sumie kawał budynku, z dwoma mansardowymi spadami dachu zakrojonego na skalę godną Alp szwajcarskich; Singh przegrzewa ten dom pełen papużek i tropikalnej roślinności, jakby łajał zmarłego Raabego za bzika. Jest sauna. Szef - Kitchen Singh - otrzymuje polecenie, by skupić wyobraźnię na ostro przyprawionej kuchni subkontynentu. Nowy właściciel przekształcił Tempe Harbor w świątynię ciepła. Może masz to w nosie, w takim razie przepraszam, Yul Singh telefonuje podczas lądowania helikoptera, lecz jeśli już człowiek kupuje dom, w którym straszy, to moim zdaniem powinien ducha trzymać krótko.

Ducha tu ani śladu, ale nie są jedynymi gośćmi. W rezydencji przycupnęły też inne "ptaszęta", reżyser filmowy i szef galerii Otto Wing z nowo poślubioną długą, gumowatą nordycką pięknnością imieniem Ifredis; piękność stanowczo chce mknąć nago o północy przez trawniki, by zanurzyć się w zimnej, ciemnej toni jeziora Chickasauga, a ma ją ścigać belferskie ciało strojne jedynie w okulary, słowem nagi mąż, który na całe gardło wyrzaskuje odę *An die Freude*, kiedy jeziorny chłód kąsa go w genitalia. *O radości iskro bogów*, wrzeszczy Wing po niemiecku, *córo elizejskich pól*.

Jak się okazuje, wrzasków tu nie brak. Wing i Ifredis, wciąż siebie niesyci, grzmocą się niepowstrzymanie, gdzie tylko i kiedy dopadnie ich chęćka, a dopada wciąż i wszędzie, jak posiadłość długa i szeroka. Ormus i Wina wciąż są świadkami miłosnej pasji w licznych pokojach, na balkoniku wychodzącym na jezioro, na stole na brzegu basenu, na korcie tenisowym, na pomoście.

Co za ludzie, mówi trochę rozzłoszczona Wina. Wyglądamy tu przez nich na dziewice.

Kiedy się nie grzmocą i nie wrzeszczą, Wing i Ifredis śpią bądź pochłaniają ser i całe litry soku pomarańczowego. (Okazuje się, że mają własne zapasy i zwykle rezygnują z wystawnych bankietów Kitchen Singha. Całą tę swoją gorączkę wytwarzają sami, bez wsparcia Singhowych kulinariów.)

Ich rozmowy, tak to wygląda, przeważnie dotyczą Jezusa Chrystusa. Ifredis jest

studziesięcioprocentową adoratorką, niepowstrzymaną dziewczyną. Do religii podchodzi z taką samą gorliwością jak do kąpieli nago w zimnej wodzie i wrzaskliwych trudów seksualnych. Szybko odkrywa słaby punkt Ormusa, to wahliwe pogaństwo, dopada go w wannach z gorącymi kąpielami w skrzydle uzdrowiskowym i wypytuje; wielkie niebieskie oczy aż ociekają od litościwego zdumienia. Więc nie masz naprawdę żadnego boga, w ogóle? Chyba nie, mówi Ormus; nie ma ochoty rozprawiać o swej nowej, wizjonerskiej sytuacji. Następuje długa, przepełniona smutkiem cisza, wreszcie do Ormusa dociera, że tu się czeka na jakieś odwzajemnienie. No tak, mruczy. A jak jest z tobą?

Ifredis wydaje długi orgazmowy odgłos: aaaach, jęczy. Po prostu kocham Jezusa Chrystusa. Zjawia się Wing, przysiadła na brzegu wanny i całuje ją, jakby pił ze źródła, wnika głęboko, potem odrywa się od jej ust, by wyrazić myśl. Uwielbiam w tej kobiecie jej bezpośredniość, mówi. Ten brak ironii. W punkcie, do którego dotarliśmy w tym stuleciu, należy unikać wszelkich ironicznych sposobów komunikowania, to bardzo ważne. Nastął czas mówienia wprost, unikania dwuznaczności. Takim zachowaniom należy się bezwzględnie priorytet.

Oblubienica ciągnie go za rękaw. Otto, doprasza się, wydymając gumowate wargi. Otto, chcę siedzieć ci na ramieniu. Podnosi się z wanny jak parująca Wenus i oboje wybiegają. Ona miewa kłopoty z angielskim, wywodzi przez ramię Otto na odchodnym. Muszę wyjaśnić, żeby uniknąć nieporozumień, że przy jej obecnym słownictwie zdarza jej się mylić nazwy członków.

W jakimś paranoidalnym nastroju (a dni nastąpiły paranoiczne) można by podejrzewać Yula Singha o wielce przemyślane sterowanie tym długim weekendem; z odległej Park Avenue ślepy Yul pociąga za sznureczki jak lalkarz, manipuluje gośćmi jak ten boski usadowiony na chmurze George Bernard Shaw marionetkowymi Higginsem i Elizą na okładce nagrania z premierową obsadą *My Fair Lady*.

Tak czy owak, każdy szczegół życia w Tempe Harbor świadczy o dalekosiężnym wpływie mogła. Cool Yul, jako gospodarz, nawet nieobecny trzyma wszystko w rękę. Nieprzewidziane a częste telefony do gości i personelu, skrupulatna dbałość o szczegóły: wegetariańskie menu dla Winy, lekarz na wypadek jakiejś nagłej zapaści Ormusa. Wystrój jest zadziwiająco mieszaniną najlepszego europejskiego smaku i natarczywej hinduskoamerykańskiej ostentacji: chociażby krzesła sprowadzone z Francji, ludwiki XV, obite na nowo szaroniebieskim jedwabiem z monogramami. YSL.

Ten monogram (Yul Singh Lahori rzadko używa nazwiska w pełnym brzmieniu) jest wszechobecny na większości mebli, na specjalnych ręcznie skręcanych na miejscu cygarach i papierosach, na srebrnych spinkach do mankietów, darowywanych na pamiątkę przez zarządczynię Cleę Singh wszystkim goszczącym mężczyznom, widnieje nawet na każdym płatku spersonalizowanego papieru toaletowego; z kolei rezydencyjny znak TH na wyborze prezerwatyw, chusteczek higienicznych bądź tamponów, dyskretnie porozmieszczanych w łazienkach zależnie od płci, rzuca się w oczy w każdym apartamencie gościnnym. Ściany pokryte są złotymi i platynowymi płytami w ramach; wiszą także portrety wielkiego człowieka (po którym znać coś więcej niż przypadkowe podobieństwo do aktora Vincenta Price'a, tego gładkiego nocnego księcia drapieżnych wyższych klas) oraz jego arystokratycznie wybladłej, schorowanej małżonki, Francuzki Marie-Pierre dIlliers. Która, muszę to osobiście wyznać, jest moim symbolicznym ideałem, moją nieśmiertelną magdalenką, bo kiedy dotykam jej warg, przypominam sobie wszystko, co ważne w moim życiu, wyznaje Ormusowi przez telefon Yul Singh. W porządku, chcesz, to pytaj, nie męcz się udawaniem, że nie słyszałeś, chodzi o te moje z pozoru gorszące, skrajnie upublicznione związki z, jak to mówią, łańcuszkiem młodych pięknotek. Słynny rozbrajający uśmiech i bezradne rozłożenie rąk docierają do Ormusa nawet przez telefon. Niestety, wyznaje nie zmieszany Singh - hinduską małomówność wyparła nabyta amerykańska maniera zwierzeń - pamięć to wielka wartość, w której kryje się nie byle jaka siła erotyczna, ściśle rzecz biorąc, nie musisz o tym wiedzieć, to prywatna historia między mną a tą damą, niemniej, jak wspomniałem, pamięć jest super, ale czasami, dla odmiany, lepiej zapominać.

Yul to wizjoner bezlitosny, amoralny intrygant. Kto wie, może przestroga - wylanie kubła zimnej wody na wielką, odrodzoną namiętność Ormusa i Winy, podsunięcie w osobach Winga i Ifredis icense Vargasowskiej karykatury ich samych - jest częścią szerszej zakrojonego planu? Szczęście pisze na biało, powiedział Montherlant, a Yul Singh, człowiek wykształcony (lepiej nie dać się nabrać na handlarskie pozy), umie zręcznie podsunąć wskazówkę. Zakochane ptaszęta czule gruchają i niewiele robią. Więc może warto trochę zakłócić rajski wywczas?

A ta manijka Jezusowa? Dodatek do pikantnego sosu i już?

Te dialogi i sytuacje to scenariusz? A ta para? To aktorzy?

Wniknijmy trochę głębiej w epizod Tempe Harbor, a może wytropimy jakiś przyszły zarys. YSL to nieuleczalny kobieciarz, który jednak kocha i szanuje swą

absolutnie zachwycającą i bezspornie *complaisante* żonę; nigdy jej nie porzuci. A w Winie może już dostrzegł awanturnicę seksualną równie śmiałą jak on, kobietę, która szuka kotwicy, szuka solidnego gruntu, z którego mogłaby dokonywać wypadów w nieznane mroki. I Ormus - jak wyczuwa Yul Singh - może się właśnie okazać tą kotwicą, nieruchomym środkiem wirującego koła, osią. Jeśli on jest opoką, ona toczącym się kamieniem; on to *rock*, ona *roll*. To będzie napędzać jego muzykę i jej śpiew, będzie źródłem energii obojga; bo sztukę trzeba tworzyć tajemnie, w zaciszach, natomiast śpiewaczy głos musi się wzbijać w otwartych przestrzeniach i szukać podziwu tłumu. Niewidomy Yul Singh ma spojrzenie wizjonera i umie wypatrzyć możliwe przyszłości, twardo stawiać na nie, a nawet powołać je czasem do istnienia. I oto, co dostrzegł: geniusz Ormusa i Winy, ich zdolność stania się tym, czego załóżek już w nich tkwi, zależą od stworzenia i utrwalenia szczególnych rodzajów bólu. Krzykliwego bólu przymusowej wędrowczyni i głuchego bólu tego, który pozostaje na miejscu.

Wing i Ifredis nie potrzebują snu ani jedzenia, jeśli nie liczyć pochłanianego potajemnie sera. Rzną się na kuchennym stole, pod dywanem w living roomie. Łomot i wrzaski narastają, wydłużają się, odczłowieczają z godziny na godzinę. Wina i Ormus mają wrażenie, że więzną, że przez tę pornograficzną operetkę ugrzęźli. Pragną siebie, ale chwilowo są niezdolni dać temu wyraz fizycznie (ani wokalnie). Jak para tkwiących w staropanieństwie ciotek sączą drinki na najodleglejszych tarasach Tempe Harbor i mają za złe.

Na trzeci dzień wczesnym rankiem Wina znajduje w trzcinach nad jeziorem martwego jelonka; zwierzak sam padł, nikt nie strzelał. Łeb do połowy zanurzony; rogi rozrywają powierzchnię wody jak zeschnięłe chwasty. Owady bzyczą requiem. Nogi sztywne, jak gigantycznej zabawki. Ściślej - tak to Wina kojarzy - jak nogi drewnianego konia. Wina głośno szlocha. W pierwszej chwili nie uświadamia sobie, co za nieproszona myśl przyprawiła ją o ten wybuch. Pamięć powraca po kilku spazmach. To drewniany woźnica, koń i rydwan sprzed dawno zlikwidowanego sklepu tytoniowego Egypcusów. *Jednokonne miasto, a koń drewniany*. Wina zamawia rezydencyjną gablotę - Gablo Singh, przedstawia się kierowca w uniformie i turbanie (bez śladu ironii, zakazywanej przez awangardzistę Otto Winga) - Ormusa zostawia na pastwę wrzeszczących kochanków, a sama mknie do Chickaboom.

Ormus obchodzi potem okolicę w poszukiwaniu Winy z nowością na oku, aksamitną przepaską koloru burgunda, którą wyszukała uczynna zarządczyni Clea

Singh, i tym drugim, patrzącym okiem dostrzega jelonka; szef ogrodników, Agro Singh, wywleka go z wody niewielkim traktorem. Ormus natychmiast myśli o Winie. Ale oko zaraz pokpiwa z serca walącego jak młotem. Cztery nogi nie dwie, kopyta zamiast stóp. Tylko nie przyznawaj się Winie do takiej pomyłki.

Wraca do rezydencji dręczony resztką lęku, tą jazgotliwą biochemią krążącą w żyłach. Idzie do studia muzycznego - jest dźwiękoszczeme, więc nie słyhać duetu OttoIfredis - i siada do gabinetowej Yamahy. Widzisz padłe zwierzę, a myślisz, że to ukochana kobieta. Nie można wierzyć własnym oczom. Nie można wierzyć jej. Taka to muzyka płynie mu spod palców.

Myślałeś, że wiesz śpiewa czym góra, czym dot jest; nic podobnego, kolego.

Jeżeli Yul Singh - ten Machiavelli i Rasputin, nie dbający o ludzkie języki, póki śpiewają artyści, a publika płaci za bilety - rzeczywiście śledzi swych umęczonych gości z wyżyn (z obłoku imienia G. B. Shawa sunącego po bezchmurnym niebie), to na jego twarzy pojawia się teraz z pewnością najszerszy z uśmiechów samozadowolenia.

Po sklepie tytoniowym od dawna ani śladu, ale nazwisko Egiptus coś mówi miasteczku. Starczy godziny z okładem, by się dowiedzieć, że ten dziadyga już dawno temu zadławił się kością, ale kobieta wciąż gdzieś tu żyje, chociaż rozedma płuc nie pozwoli, by to potrwało długo. Faraonica, jak się wyraził zasłużony bywalec baru. I teraz Gablo Singh jedzie długą i prostą wiejską drogą wśród winnic i kukurydzy. Widać czerwony silos i jeden z tych nowomodnych wiatraków. Kiedy wiatr cichnie, bywa tu gorąco, lecz dziś dmie, kąsa i ani myśli odpuścić.

Droga zaczyna kluczyć, zwęża się, waha, gubi w odpryskach, a tuman kurzu poderwanego przez wiatr jeszcze bardziej zaciera trop, wreszcie przy bocznej dróżce - na cmentarzysku starych maszyn, które nawet nie ma zarysu, jak twarz brzydko starzejącego się mężczyzny, którego żuchwa tonie w rozlanym podgardlu - znajdują winnebago, rdzewiejącą na skraju kupy wraków, byłych aut i traktorów z wyżartymi po kanibalsku wnętrznościami; palisada wysokich traw sprawia, że plac wygląda jak kryjówka.

Mieszka w przyczepie, myśli Wina, tylko że to nie jest plan filmowy. Limuzyna przystaje; przez chwilę Wina nie rusza się z miejsca; czuje bliskość zapętlenia czasu i napływ wzruszenia, doznania niepodobnego do gniewu ani chęci zemsty.

To współzucie.

Wysiada z limuzyny i idzie przez złomowisko. Otwierają się drzwi przyczepy,

wyłania się siwy świeczek głowy i rozlega pełne furii pohukiwanie z przerwami na zaczerpnięcie tchu w chore płuca.

Na co się gapisz, bzdziągwo, ze mnie żadne, kurwa, widowisko. Żadne miejscowe dziwo, żeby mi się przyglądać, bo się coś, kurwa, wyczytało w przewodniku. Powinnam brać za wstęp. Właśnie. Kto cię nasłał? Masz jakiś interes czy normalnie zajechałaś tą bryką, żeby się pogapić na ludzi, którzy mieli mniej szczęścia niż ty?

Napad sapania. Wina po prostu stoi.

Czy ja cię znam?

Wina ściąga okulary słoneczne. Stara zamiera, porażona.

Och, nie, mówi Faraonica. Dziękuję bardzo. Było, minęło.

Zatrząskuje Winie drzwi przed nosem.

Wina stoi.

Drzwi uchylają się na parę centymetrów. Słuchaj, odmawiam wszelkich komentarzy. Nic cię nie upoważnia do najeżdżania mnie i gwałcenia mojego konstytucyjnego prawa do prywatności. Żeby mnie teraz tu oskarżać. Ja tu nie jestem przed sądem, panienko, tylko, kurwa, zajmuję moje osobiste miejsce pobytu, na moim, kurwa, osobistym parszywym skrawku trawy, a nie przed żadnym twoim sądem. Razem z tym fagasem wkroczyliście na mój teren i chyba zaraz zadzwonię po gliniarzy. Myślisz, że możesz sobie pozwalać, bo ledwie zipię.

Nagle drzwi otwierają się na całą szerokość. Wdowa Egiptus jedną ręką wczepiona w klamkę, drugą trzyma się za pierś. Jak brzmi jej głos? Jak ryk muła. Jak sama śmierć.

Wina czeka.

Nie pogrywałam z tobą, jak należy, sapie kobieta. To ci chodzi po głowie. Dla ciebie jestem śmieć. Wzięłam do domu poturbowane młode stworzenie, a traktowałam jak gówno. To zobacz, na co wyszło. Ty masz radochę nie życie, a ja się kończę w tym, kurwa, trawsku. I pewnie nie uważasz, że coś mi jesteś winna. A skoro dałam ci kopa w dupę, skoro cię wywaliłam, to dostałaś porządną wyprawę na drogę i się przydała. Popatrz na siebie, kawał twardej suki. To dzięki mnie. Więc nie zwalaj mi się na łeb, nie stercz tu, ni w chuj, jak sam Sąd Ostateczny przed ogłoszeniem wyroku. Zabrałaś mi całą siłę i zostawiłaś na to, kurwa, wyzdychanie. Może nie widzisz, że korkuję na twoich oczach? Guzik cię to obchodzi, co? Zabierzesz dupę w troki, a ja tu kipnę. Może moje ciało znajdą po całych tygodniach, kiedy już spuchnie jak sterowiec

i rozśmierdzi się na całe hrabstwo jak nieczyste sumienie. Ja mam twoje wyroki wiesz gdzie; bo jest całkiem inny, kurwa, trybunał. Inny wyrok, inne uzasadnienie. Jezus.

Pani Egiptus znów zatrzaskuje Winie drzwi przed nosem, a Wina wsłuchuje się w odgłosy zaawansowanej rozedmy. Odwraca się do Gablo Singha. Jeżeli chodzi o mnie, to na razie wszystko. Zostaw jej adres. Zaproś na kolację o ósmej i powiedz, że będzie po domowemu, nie musi wkładać szklanych pantofelków ani długiej jedwabnej sukni. Poczekam w tej cholerniej gablocie.

Słowem, Kopciuszek zaprasza złą macochę na bal.

Na trawniku Tempe Harbor przedkolacyjne drinki i prochy: szampan, koka. Skoro już o tym mowa, proszę o jedno, Yul Singh w imieniu firmy raz po raz apeluje do gości przez telefon, dogadajcie sobie konwencjonalnie, przez nos. Bo teraz nastąpi moda faszeringowania się odcylocowo, wybaczenie, że walę prosto z mostu, jest facet, który mawia o sobie Ćpana Dupa, to jedna z supergwiazd Voighta, może znacie, szczerze mówiąc, coś okropnego. Rzecz jasna, to wolny kraj, gość może się zaprawiać, jak chce, ale jestem trochę staroświecki, zresztą, co mnie może obchodzić, że moi goście na oczach służby raczą się przez dziurę w dupie.

Faraonica - pani Marion, wdowa Egiptus - wkracza jak pogromczyni gangsterów, a niemałe zdenerwowanie kryje za zaporowym ogniem nieprzyzwoitości; odwetem uprzedza ataki. Nieskazitelnie czysta sukienka w kwiaty wisi na wynędzniałym ptasim ciele jak na szkielecie. Otto Wing popisuje się rzekomym odlotem: unosi nos znad lusterka i wpatruje w przedpotopowe zjawisko.

Uau! Wina zaprosiła jakąś starą torbę, oznajmia na cały głos.

Więc teraz jesteś bogata, bez namysłu mówi przy wejściu Marion Egiptus do Winy. Siedzisz tu z bogatymi kumplami i szprycujecie się aż miło. Wiem, o co biega, jasne. Zmiana w tej sakramenckiej równowadze sił. Ja jestem załatwiona, ty na fali. To Ameryka, tu forsa daje ci prawa. Więc masz prawo zawlec mnie tutaj i upokarzać, a twój kumpel Podtrzyjdup obraża mnie, kurwa, w żywe oczy. Nie ma sprawy. Znam zasady. Wszystko zależy od transakcji. Dasz dwadzieścia papierów, a ja tu zaraz przeproszę za to, jak cię kiedyś traktowałam; dołożysz jeszcze dwadzieścia, a zapomnę, jaka z ciebie zawsze była rąbnięta dziwka. Za pięćdziesiąt padnę na kolana i ucałuję twoje bogate stopy, a za sto, kto wie, może wylizę ci tę czarną pizdę, czemu nie. Tego twojego okularnika też dopiszemy do umowy. Stara torba, co? To ci pokażę śmieszny numer. Nałóż mi, profesorku, na łeb jakąś torbę, wytnij dziurę na usta, a za

dwieście baksów zrobię ci coś, o czym się nawet nie śniło samej gołej Marii Magdalenie, żadnej jebanej zagranicznej kurewskiej małolacie. Proszę bardzo. Ale sięść do kolacji z taką śmierdzącą chujowizną jak ty? Za skarby.

Lubię tę kobietę, entuzjazmuje się chwilowo pozbawiony okularów Otto Wing. Wali prosto z mostu, a propozycja jest intrygująca. Intymny stosunek z kimś stojącym u wrót wieczności. Coś w tym jest.

Ale te bluźnierstwa, Otto, protestuje Ifredis. My głośno musimy odciąć ten język. Wieczorowa sukienka Ifredis pozostawia niewielkie już pole dla wyobraźni, a młoda kobieta jeszcze ją zsuwa z ramion, by przykuć uwagę Ottona. To działa. Święta, promienna młodość tryumfuje nad bluźnierczą i świntuszącą starością.

Już wkrótce pod jej stopami dziura się pewna otworzy w wiekuisty ogień, oznajmia zwycięska Ifredis. Poza tym nie jestem zamałolata, jeśli na diabła chce wiedzieć ta jakaś w worek uboga.

W torbę biedna, delikatnie poprawia zakochany Otto i sunie ręką w dół po odsłoniętych plecach. Jeśli, do diabła, chce wiedzieć ta jakaś w torbę biedna.

Wszystko jedno, kochanie. Mieszają mnie słowa, bo tu za dużo mowy o torbach.

Wina bierze pod rękę sapiącą Marion Egiptus; opierającą się staruchę wyciąga nad jezioro po trosze siłą, w miejsce, gdzie padł jelonek. W porządku, Marion, mów, masz rację i nie masz. Masz, że jechałam do przyczepy, żeby cię wziąć pod obcas, bo chciałam coś zamknąć, nie?, po latach pilnowania się, żeby twoje nazwisko nie przeszło mi przypadkiem przez gardło, chciałam pokazać, że mi wyszło, żebyś mi, cholera jasna, pozazdrościła. Ale nie po to cię tu zapraszałam, żebyś marnowała czas i żeby ci obrabiali dupę. Jak zobaczyłam, że ci tak dojechało, poczułam, że chcę pomóc. Załatwię z lekarzami, rachunki za lekarstwa, co tylko trzeba.

Chcesz dać forszę?

No jasne. Gotówkę. I nie musisz mi wylizywać cipy.

Zgoda, skwapliwie mówi stara. Ile?

Wina wzrusza ramionami, mniej, niż myślisz, jestem tylko piosenkarką, to wszystko tutaj to nie moje, tylko wytwórni, wyznaje szczerze.

Marion Egiptus chichocze, a chichot zamienia się w napad kaszlu. Z oczu płyną strumienie. Oparta o Winę dochodzi do siebie i mówi: Gównno, złotko, tyle to ja już wiem. Gdybyś była rzeczywiście bogata, a nie na tym poziomie, na którym się tylko bogatą udaje, anibyś pomyślała, żeby wojować z przeszłością czy zawierać z nią

pokój. Zostaw to wszystko, dziecko. Już dałaś nogę.

Przez chwilę wdowa Egyptus opiera się o bok Winy.

Cieszę się, że cię nie zostawiłam, mówi Wina. Ich ręce się spotykają.

Marion ją odpycha. Jasne, warczy. Skoro zapłacisz, nie musisz mnie już, kurwa, dźwigać. Nie myśl, że robisz coś dla mnie. Kupujesz osobistą wolność, o to chodzi.

W porządku, zgadza się Wina, może i tak. Nikt nie chce być niewolnikiem.

W Tempe Harbor jest też Maria. Nie powstrzymują jej żadne drzwi. Żaden alarm nie reaguje. Maria zjawia się, ilekroć Wina zostawi Ormusa samego choćby na chwilę; skończyła z mówieniem, znowu napiera fizycznie, jest nawet natarczywa, jakaś widmowa duchowa siostra erotomanki Ifredis Wing. Ciało wydaje się wcale rzeczywiste, Maria jest silna. Zaciska ręce na przegubach Ormusa i ciągnie go na łóżko. Ormus wciąż się opiera. Myśli o Winie i moc Marii topnieje. Uścisk słabnie. Uchodzą siły.

Nic nie poradzisz, mówi niepokieszona na odchodne. Przyłgnąłeś do tego idiotycznego miejsca, nieczystego rozstaju na właściwej drodze. Do tej niepewnej ziemi, burzących się wód, jej zatrutego powietrza itede. Do jej opaczności. Nic dziwnego, że tworzy te złośliwe objawy uboczne. Jesteś zatruty, biedactwo, cierpisz na dolegliwość psychotropiczną itepe, myślisz, że to, co czujesz, to miłość.

Dziwna rzecz, bo Maria już się nie zjawia ani nie znika, jak chce. Jakby wkroczenie w pole widzenia Ormusa przez to pojaśniało, inaczej widzące oko pozbawiło ją starych możliwości wejść i wyjść. Chyba stała się częścią Ormusowych wizji, jego widzenia, i Ormus potrafi kontrolować jej pojawianie się. Maria już nie może materializować się, a potem po prostu znikać, skręciwszy gdzieś w bok, jakby środek niczego przecinała jakaś szpara. Nie może sama siebie jak listu przysyłać na ten świat bądź odsyłać z powrotem; już nie.

Zatem przepaska Clei Singh czyni możliwym to, z czym nie umieją sobie poradzić systemy alarmowe. Ormus postanawia zasłaniać lewe oko, trzymać je w ciemności.

Wszystkim, co Ormus widzi i chce widzieć, jest Wina.

Nawet z przepaską na oku Ormus Kama odkrywa, że lepiej nie przesadzać z zaufaniem do Ameryki. W holu przed apartamentem, który zajmują z Winą, stoi

maszyna z napojami, która przyjmuje papierowe pieniądze. Zdumiewa Ormusa. Papier nie nadaje się do prostych mechanicznych zmyślnostek, a to one wyznaczają granicę Ormusowej wyobraźni technicznej. Elektronika - skanery, obwody drukowane, ścieżki binarne - to zagadki wykraczające poza jego wiedzę, równie tajemnicze jak misteria starożytnych Greków. Machina operująca papierem to odzwierciedlenie nowego świata cudów i nieporozumień, w którym klamki w drzwiach obracają się odwrotnie, a wyłączniki elektryczne montowane są na odwrót, górą w dół.

Z gazet jasno wynika, że poza granicami Stanów Zjednoczonych (wyjątkiem są Indochiny) świat właściwie przestał istnieć. Resztę planety postrzega się tu jako fikcyjną w gruncie rzeczy, a co do wojny w Indochinach najgorszą udręką jest to, że ów w zasadzie wymaginowany kraj pozbawia amerykańską młodzież jej rzeczywistego życia, do którego prawo gwarantuje konstytucja. Co zakłóca naturalny porządek rzeczy i podsycza protesty. Telewizja pokazuje uzbrojone postaci w hełmach i z tarczami, które maszerują przez campusy, by odnowić dane Amerykanom przez Boga prawo zabijania i kaleczenia własnej młodzieży, zanim taka okazja przytrafi się Indochińczykom.

Dla Ormusa telewizja to nowość; objawi mu jeszcze niejedyn cud.

Mnóstwo reklam zachwala antyludzkie wytwory, pomysłowo i różnorodnie przebrane za potrawy, a zaprojektowane tak, by żołądki i przewody pokarmowe Amerykanów zamienić w pola zaciekłych, szaleńczych bitew. Inne filmy zachwalają bardzo bogaty wybór chemikaliów, a każdy specyfik jest przedstawiany jako ów jedyny zdolny przywrócić spokój znękanym wnętrzościom. Między reklamami pada parę słów o śmierci Louisa Armstronga, za którym, grającym w filmie *Pensylwańska piątka* i innych, Ormus kiedyś przepadał. Ormus widzi parę rodzin - w tym rodzinę niezdolnych muzyków - z których w ich własnych domach śmieją się jacyś niewidzialni obcy, zresztą bardzo łatwo dający się rozśmieszyć. Jest mowa o latających spodkach lądujących na szerokich, otwartych przestrzeniach Środkowego Zachodu. Starszy facet, aktor zapominający wszystko, co usłyszał wcześniej niż przed kwadrans, a ubiegający się o urząd gubernatora Kalifornii, jest najzwyczajniej przedstawiany jako typowy Amerykanin.

Za to dzięki muzyce Ormus czuje się jak w domu. W dźwiękoszczelnym pokoju muzycznym radośnie podniecony słucha albumu *200 Motels* kapeli Uncle Meat, nagranych na żywo podczas legendarnej trasy z Zoo Harrison's Caledonia Soul

Orchestra, słucha Eddiego Kendricksa śpiewającego *Just My Imagination*, słucha *Imagine* Plastic Ono Band. Lecz kiedy dociera do niego, że szczeniaki coś mamroczą o końcu rock and rolla, wpada w gniew. Rock umiera? Ta muzyka dopiero się rodzi. Wina jest matką, on ojcem, a każdy, kto myśli inaczej, niech zmiata przed nimi z tej drogi szybkiego ruchu.

Ormus wie, skąd się bierze ów gniew, lecz wiedzę kryje w najgłębszym zakamarku serca. Bo spóźnił się na przyjęcie o piętnaście lat. To miały być jego lata, tymczasem przypadły innym. Czas ucieka. Każdy dzień to o dzień mniej do schwytania.

Jest teraz w domu i patrzy, jak w dole nad jeziorem Wina rozmawia z Faraonicą, jak wpycha banknoty w zniszczoną torebkę dogorywającej kobiety. Ormus strząsa z siebie niezdrową aurę, rezultat wizyt Marii poskromionych dzięki wielkiej miłości do kobiety, która odnowiła jego życie. Jakże jest niezwykła, ileż musiała się nawalczyć, ileż pokonać przeszkód. Musi ją poślubić, zaraz. Musi sprawić, żeby skończyła z tymi śmiesznymi odmowami i zgodziła się wyjść za niego bez zwłoki, może nawet tu, w Tempe Harbor. No właśnie, tak by było najlepiej! Odszukując kobietę, która była dla niej niedobra w czasach młodości, Wina zakląła ducha, kazała mu się uspokoić. Jak Yul Singh, który za pomocą ciepła wyegzorcyzmował ducha Manny'ego Raabego. Wina odpędziła zwidy, patrząc im w twarz i rezygnując z zemsty. Porachowała się z przeszłością. Małżeństwo w takiej chwili to odwrócenie stronicy.

W Ormusie wzbiera pragnienie, przepełnia go. Tylko jej miłość może scalić - i scali - pęknięte postrzeżenie Ormusa; uczyni go kimś pełnym. Tylko jego ramiona pozwolą się Winie pozbierać po wszystkich walkach i cierpieniach.

Dywan polnych kosmosów nad jeziorem. Wymarzone miejsce.

Ormus aż skrzy się od miłości. Zbliża się dzień zaślubin.

Gdyby nie doszło do ostatecznego wyrównania rachunków z panią Marion Egyptus z Chickaboom w stanie Nowy Jork, gdyby cierpień dzieciństwa nie załagodził przepływ gotówki między dorosłymi, może wówczas Wina Apsara byłaby na tyle nieodporną i słabą, by przyjąć odnowioną propozycję Ormusa. Gdyby Otto i Ifredis Wingowie nie dogonili jej na trawniku i - mijając odchodzącą panią Egyptus - nie zaproponowali maleńkiej aranżacji *d trois*, bądź *d quatre*, gdyby koniecznie chciała włączyć tego jej poważnego i zatroskanego dżentelmena, wówczas Winy by nie przepełniał aż taki wstręt; może jej pogarda wobec postmałżeńskich wyczynów

Wingów nie przeniosłaby się na samą instytucję małżeństwa.

Ale to wszystko już się stało i nie odstanie. Dlatego zbliżający się Ormus - brzeg jeziora, ostatnie promienie słońca, naręcze polnych kwiatów i serce przepełnione miłością - trafi na jeden z najbardziej zmijowatych humorów Winy.

Spadajmy stąd, ale już, syczy Wina do głupio uśmiechającego się kochanka, który w romantycznym nastroju zjawia się po to tylko, żeby zobaczyć, że ukochana właśnie przemieniła się w harpię. Gorzki gniew byłej opiekunki rozpałił w Winie arcyfurię. Ornius, na rany Chrystusa, co my tu robimy? Odbiło nam, czy co? Lepiej podpalić ten koszmarny pałacyk, zamiast grać, nie wiem, prywatny harem Coola Yula. Jego eunuchów i jego, cholera, jak to się mówi, konkubiny. Spalić, kurwa, do fundamentów. I po to wyjeżdżaliśmy z Anglii? Jeśli to ma być, złotko, dwudziesty wiek, to trzeba raz dwa zaplanować podróż w jakąś inną epokę. Pędź, towarzyszu, zostaw za sobą stary świat, mówili studenci w Paryżu w 1968. Do diabła ze światem, gdzie gwarancja, że nie zdechniemy z głodu, została przehandlowana za gwarancję, że nas szlag trafi z nudów! Zwycięstwo przypadnie tym, którzy wiedzą, jak stworzyć nieporządek, nie kochając go! No jazda, Ormus. Co robimy? Rozpieprzamy ten dom wariatów czy wprowadzamy się tam, do jakiejś sakramenckiej celi wyłożonej materacami i, nie wiem co, zaczynamy gaworzyć?

Właśnie przychodzę, mówi Ormus - widzi, że zjawia się nie w porę, nie umie na to nic poradzić, czuje, że sprawy znów wymykają mu się z rąk; to małżeństwo wśród polnych kwiatów już znika na rozstajach rzeczywistości, wsiąka w świat, w który on sam nie zdoła wnikać - właśnie przychodzę cię prosić, żebyś za mnie wyszła.

Już ci mówiłam, dziecko, odpowiada Wina, a kukurydziany akcent ze Środkowego Zachodu oznajmia, że są o włos od kłótni. Nie mam małżeńskiej natury. Po prostu jestem dziewczyną, która nie wykrztusi "tak".

Nie potrafi. Nie zdoła się nagiąć. Kocha go, kocha jak wszyscy diabli, ale nie chce tego potwierdzać na papierze, podpisywać imieniem i nazwiskiem. Uwolniona od gryzącego bólu wspomnień z dzieciństwa nie godzi się na nową niewolę. Proponuje Ormusowi konwencjonalny, antymatrymonialny radykalizm owych czasów. Monogamia to kajdany, wierność to łańcuchy. Będzie rewolucjonistką, nie żoneczką. Kobieta, która zmienia świat, nie babrze się w pieluchach.

Ormus nie słucha. Cel go opętał. Jeśli nie chcesz mnie teraz poślubić, chcę wiedzieć, kiedy, nalega, a jego upór jest tak zaciekły, że przeistacza się w co innego,

może w przeznaczenie. Siła żądań jest tak namacalna, że Wina - która go kocha jak życie, która wie, że jego miłość jest równa jej miłości, która jednak nie może ufać ani własnej miłości, ani jego miłości dłużej niż przez pięć minut - traktuje je poważnie. Wymień dzień, wybucha Ormus. Nawet najdalszy. Jeśli zechcesz, niech to będą twoje sto pierwsze urodziny. Ale powiedz, kiedy, i trzymaj się tego, a ja do tego dnia już nie zapytam. Daj niezatapialne słowo, a ja się go uczepię, utrzyma mnie na powierzchni przez całe życie. Po prostu powiedz, kurwa, kiedy.

Wina ma dwadzieścia siedem lat, przez które nauczyła się jednego: nic nie zostaje takie samo nawet, cholera, przez pięć minut, nawet nie wyłączając, kurczę, nazwiska. Więc żądanie, żeby wyznaczyć jakiś nienaruszalny dzień, to pomysł z preliteratury, jakiś przedpotopowy układ w stylu Rycerzy Okrągłego Stołu, Camelotu. Jakieś odsmażanie miłości dworskiej. Ormus prosi, by przyszłość potraktować jak zastaw, a przecież ona w przyszłości znów się stanie kimś innym, zmieni dziesiątki razy i nikomu nie wolno oczekiwać, że czyjąś nieznaną przyszłość miałyby ograniczać błędy i obietnice młodości. To jak sprzedawać księżyc. Można go sprzedać, jeśli się trafi kupiec, ale tylko skończony osioł zaczeka na dostawę towaru. Przyrzeknij mu, cholera, myśli Wina, a potem *caveat emptor*. Strzeż się, nabywco.

W porządku, mówi Wina. Dobrze, wyhamuj. Więc dziesięć lat od dzisiaj, tak to wygląda. (A myśli, że dziesięć lat to nieprawdopodobieństwo, wieczność. Za dziesięć lat, zważywszy gwałtowny temperament, burzliwy życiorys oraz to, czym jest muzyczny biznes, będzie u czubków lub w grobie. Albo będzie miała trzydzieści siedem lat, co chyba jeszcze gorsze. Za dziesięć lat światło, które przygasa wokół nich tego wieczoru, będzie o dziewięćdziesiąt cztery biliony sześćset osiem miliardów kilometrów stąd, a Wina może równie daleko. Dziesięć lat to Kraina Nigdy-Nigdy; obróć się przez prawe ramię i idź, gdzie pokaże gwiazda. Tu nie ma reguł. Tyle tylko, że za plecami, czary mary, hokus pokus, Wina zaciska zdradzieckie kciuki.)

Dziesięć lat od dzisiaj? Od zaraz? Tak?

(Chryste, Ormus to bierze poważnie. Nie szkodzi, chłopak to przełknie, wszystko się ułoży.)

Jasne, Ormi. Dziesięć lat. Zegar już tyka. Trzy, dwa, jeden, hop.

Potem on jej przedstawia swoje warunki.

Czekanie, krótkie posiadanie, utrata; oto jego los. Czekał, aż Wina dorośnie, potem nadeszła ta jedna jedyna noc, potem Wina zniknęła. Ormus stoczył się,

podniósł, starał być jej wart, nie szczędził trudów, by rozwiązać zagadkę jej wyjazdu, i wreszcie po przeróżnych przygodach sam siebie nakierował na odpowiedni kurs, aż przypadkowa katastrofa znów go powaliła; zawiesiła to stawanie się kimś. Wtedy wróciła Wina i sprawiła cud, nie da się ukryć, cud miłości; potem przez parę chwil byli razem, aż wyzdrowiał. Lecz mimo nieustannych wyznań miłosnych, także jej wyznań, Wina nie chce zapewnić mu stałości, czegoś najnaturalniejszego, czego Ormus w swej zwariowanej dwuokiej sytuacji naprawdę potrzebuje. Uważa, że czekanie - przez dziesięć lat, jak ustaliła - będzie lepsze niż jej codzienne kaprysy i dziwactwa. Czekanie jest przynajmniej czymś konkretnym, ma początek, środek i koniec; Ormus może powierzyć mu swój ciężar, wiedząc, że się nie usunie spod nóg w ostatniej chwili i nie sprawi, że Ormus runie. Ale w czekaniu nie ma przejściowości, żadnych możliwych do przyjęcia niuansów, półśrodków, teorii względności. Tak jak w miłości. Bo człowiek kocha albo czeka na miłość, albo wyklucza miłość na zawsze. Taka jest skala wyboru. I skoro wybrał czekanie, wybiera też coś, co treść czekania pomnaża.

Przez dziesięć lat, do chwili, w której Wina będzie miała lat trzydzieści siedem, a on czterdzieści cztery, Ormus jej nie tknie ani ona Ormusa. Nie wchodzi w grę nawet branie się za ręce, nawet pocałunek w policzek. Teraz, kiedy oboje są w kwiecie wieku, Ormus znów przejdzie przez to, co już przecierpiał z powodu miłości, kiedy Wina była nieletnia. Ormus nie wątpi, że Wina dotrzyma przyrzeczenia. I może być pewna, że on dotrzyma swego. Te przyrzeczenia zastąpią małżeńskie ślubowanie. To niespełnienie, to puste naczynie - rozpięty między nimi brak, jak hamak między bliźniaczymi słupami ich twardych wyborów - będą łóżem ich *grand amour*.

Ujmując rzecz inaczej: przez dziesięć lat będą ich wiązać tylko interesy. Ba, więcej, będzie to więź mocniejsza, bo tu nie chodzi o rozstanie ani umowę rozwodową, ale o pakt kochanków, który zakończy odległa, a z całych sił wyczekiwana schadzka. Zakończy go wieczność. Zatem Ormus podporządkuje się regułom miłości. Nie tylko nie tknie jej palcem przez zastrzeżone dziesięć lat, lecz jednocześnie - dobrowolnie i bez przymusu - wstąpi w stan celibatu. Z żadną inną kobietą nie będzie dzielił tego, czego nie może dzielić z nią.

Przysięga.

Za dziesięć lat czas odmów się skończy i wstąpią oboje w radość.

Umiłowanie Boga, jak wszechstronnie udowodnili Otto i Ifredis,

błogospragnieni siebie Wingowie, nie musi hamować popędu seksualnego. Niestety, wzajemne miłowanie się śmiertelników aż za łatwo zdaje się na swoje własne prawa.

Rosjanin wchodzi do salonu samochodowego, wita go sprzedawca. Tak się składa, że nie wystawiamy teraz żadnego auta, właśnie zabrakło, ale, zapewnia, mamy zdjęcia i będę szczęśliwy, jeśli zechce pan zamówić wóz. Klient szybko podpisuje papiery i pyta: Kiedy go mogę odebrać? Od dziś za dwa lata, odpowiada sprzedawca.

- W porządku, ale rano czy po południu?

- Przepraszam, nie zrozumiałem pana; powiedziałem, że za dwa lata.

- Zgadza się, ale czy za dwa lata to będzie rano czy popołudnie? Bo wolalbym rano.

- To śmieszne, proszę pana, cóż to ma za znaczenie?

- Bo widzi pan, za dwa lata mam po południu hydraulika.

To taki postkomunistyczny kawał, który lokuję tu anachronicznie, o jakieś osiemnaście lat przed czasem, bo ta parabola mówi o ludziach, których jak Ormusa i Winę sytuacja zmusza do spoglądania daleko w przyszłość. I niech już inni oceniają, czy ta kochająca się para - której talent do miłości ustępuje tylko talentowi do stawiania tej miłości potężnych przeszkód - sama stwarza sobie życiowe sytuacje, czy też, po prostu, tymi ludźmi bawi się przeznaczenie; nie mnie to osądzać.

Wina tego nie zniesie. *Dosyć, już więcej nie chcę twoich jebanych przysiąg.* Skarzy się, błaga. Ormus w imię jakiejś przedpotopowej konwencji odrzuca to, co między nimi cudowne. Niech wszystko przemyśli na nowo. Niech natychmiast idzie do łóżka.

Mogłaś powiedzieć dziesięć dni, zwraca uwagę Ormus. Mogłaś powiedzieć dziesięć minut. Ty wybierałaś czas narzeczeństwa, ja warunki.

Wina widzi przed sobą barierę; niemal sapie z desperacji, twarzą w twarz wobec przełomu. I jak zawsze, kiedy nie umie z siebie wykrzesać czułości - bo sądzi, że nigdy nie umiała i nigdy się nie nauczy - ucieka się do okrucieństwa.

W porządku, mówi. Niech wyjdzie na twoje. Interes i kropka. Taki układ.

Na dziesięć lat, przypomina Ormus. Dałaś słowo. Jak podpis.

Ty sobie żyj jak mnich, jeśli chcesz, kąsa kwestią na zejście, lecz nie licz, że młoda dama zrobi to samo.

Kiedy już Winy nie widać, Ormus ściąga przepaskę z oka, a inność wlewa się w

odsłoniętą źrenicę. Ormus przeżywa zawrót głowy, potem bierze się w garść. Stopniowo musi się nauczyć podwójnie widzieć, nie tracąc przytomności umysłu ani równowagi. Jeśli nie będzie się cieszył miłością, to przynajmniej pełnią postrzegania. I muzyką.

Od zawarcia układu, tego diabelskiego paktu, który unieszczęśliwia ich oboje, już nic ich nie powstrzyma. W epicentrum przyszłego trzęsienia ziemi, któremu na imię VTO, tkwi ta bardzo orientalna dezorientacja. Wstrzemięźliwość stanie się ich paliwem raketowym i wyniesie między gwiazdy.

13. Na wyspie radosnej

Podróż do środka ziemi. (Taksówka spod domu Winy 4 USD z napiwkiem.)

Pierwszy od środka ziemi przystanek za rogiem to studio artystyczne Amosa Voighta, czyli Rzeźnia numer 22. Nazwisko rodowe Voighta brzmi Wojtyła i po wielu latach, kiedy nastął polski papież, bardzo już stary Amos najpoważniej w świecie oznajmił, że będzie ścigał Jana Pawła II za plagiat nazwiska.

Na tle grafik i zdjęć pętają się po kątach Rzeźni pomniejsi miliarderzy; jak kania dżdżu wyglądają dziewczyn z dostatkami okrągłości, niestrudzenie odwiedzających studio filmowe w towarzystwie grubych palantów. Amos nie zapomina o miliarderach, ignoruje ich, póki to jest zabawne, ale nigdy dłużej, więc czują się szczęśliwi. Właśnie wygłasza mowę do Winy o Ericu, zmarłym przyjacielu, którego znaleziono nagiego w górnej West Side, w jakimś zapuszczonym mieszkaniu. Jak Davidowskiego Marata zadżganego przez tragiczną heroinę, mówi Voight tym głosem hojnie wysyłanym w przestrzeń jak kobiece westchnienie. Paskudna historia. W każdym razie, kiedy się zjawił hrabia von Cięc, wanna już była pełna. Wina obejmuje Amosa. Pojechałem tam taksówką, mówi Amos. Coś straszego. 11 USD z napiwkiem.

Żeby poprawić nastrój, Wina zabiera Voighta do środka ziemi na szampana, sok pomarańczowy i kanapkę ze stekiem (36,93 USD z podatkiem). Zaledwie parę przecznic dalej. Lokal nazywa się Radosna Wyspa Sama, z tym że żadnego Sama nie ma i nigdy nie było, lecz jeśli kogoś radują tamtejsze radości, to trafił pod właściwy adres.

(Nawet ci, których noga nigdy nie postąpiła w takim lokalu, odczuwają jakąś przewrotną satysfakcję zastępczą - może złośliwą - na myśl, że takie miejsca istnieją; że spełnia się w ten sposób niezbywalna część umowy wiążącej Amerykę z jej obywatelami: prawo do pościgu za szczęściem; i śmiercią.)

Amos wchodzi i mówi: Ojej! Kocham Nowy Jork. Pełen ludzi robiących rzeczy, które porzucili dawno temu.

Lou śpiewa *Wagon Wheel*. Rany, ale daje czadu. Popatrz, tam siedzą Remy Auxerre i Marco Sangria, nikt nie wie o muzyce tego, co Remy i Marco. I jak, chłopaki, pyta Amos, podoba się wam, co ona teraz robi?

Odpowiada Remy: Musimy uwolnić dusze od codzienności i otworzyć się na

influxus mentium superiorum, wpływ wyższych umysłowości. Za narzędzia służą nam beczynność i wyobcowanie. Kiedy wpływ wyższy dostrzeże, że nasz rozum próżnuje, dopatry się w nim śladu mądrości uniwersalnej.

W porządku, znaczy, że mu się podoba, mówi Amos do Wina.

Skąd wiesz? - pyta Wina.

Proste, Martynikanin, sama rozumiesz, mówi Amos. Wielki francuski szajs, Martynika, a Remy szprycuje się tym jak Francuz. W różnych miastach różnie się tańczy, na ogół się dostosowujemy, ale nie nasz Remy. Przepadam za tym, coś nadzwyczajnego, tyle dufności, tyle pustki, nie uważasz?

Nie chcesz pogadać z Ormusem? - pyta Wina. Jesteśmy teraz kapelą.

Tylko mnie nie proś, żebym wydał wasz album, mówi Amos. (Tego wieczoru jest naprawdę zgnębiony.) Po prostu namów innego frajera.

Nikt cię o nic nie prosi, Wina częstuje go żartobliwym trzepnięciem po głowie; strzecha Amosa rozlatuje się, frunie na wszystkie strony, istny bezgłośny wybuch. Bądźże miły. Jesteś na Wyspie.

Ormus z przepaską na oku wydaje się jeszcze bardziej ponury niż Voight.

Powiem ci, co nas łączy, oprócz prawie takiego samego imienia, zwierza się Amos; ramieniem ociera się o ramię Ormusa. Obaj wstaliśmy z martwych. Tobie przytrafiła się ta katastrofa, ja dostałem kulą, nie uwierzysz, kobieta-macho. Myśleli, że się nie wylizę, a mnie przyszło do głowy, że może jednak.

Ty stary krętaczu, gromi go Wina. Wiesz wszystko o wszystkich. Zgrywasz ciemniaka, jak kret wywleczony z nory; mruga, że niby wie tyle, ile zje.

Kret drąży dziurę, a ja ryję tę górę, mówi Ormus. Ojej, negro spiritual, kasa Voight; rozmyślnie przywołuje określenie brzmiące przedpotopowo w erze, w której Czarne jest Piękne. Nagle wpatruje się bezceremonialnie w Ormusą. Bóstwa zabarwione kąpią twarze w światłach czerwonych i szkarłatnych. Swoją drogą, w tych czasach trudno wyczuć, jak kto jest zabarwiony; dopytywanie się brzmi ostro, jak połajanka. Wiesz, co mówią o Winie. Że to brązowa, która próbuje być czarna, no czyste gówniarstwo, niesprawiedliwość wobec dziewczyny o naturalnie kręconych włosach i zamiłowaniu do kłopotów. No, ale jeśli chodzi o jej zabarwienia, to mam jakąś pewność; natomiast jestem, niestety, nie doinformowany, jeśli chodzi o trendy pigmentacyjne samczej populacji paryjskiej, więc nie mam wyjścia, chyba zapytam wprost.

Czy muszę mieć jakieś zabarwienie, mruczy Ormus i rumieni się. Może

wreszcie wyjdziemy poza to, może zajrzemy pod skórę?

Ooo, ktoś psuje zabawę, postaraj się być chociaż limonowy, co?, zieleń jest taka miłutka. (Voight zwraca się do najbliższej madamy z grupy ucekinowanych żonglerów płcią.) A ty, aniele, jakie masz zabarwienie skóry?

Och, chyba aksamitne, jest super, prawda?

Jasne, aksamit, to się liczy; a twój kompan?

Ona? To Gemini.

Voight zwraca się do Ormusa. Sam widzisz, mamy tu wszystkie odcienie i kolory, cały katalog. Nawiasem, może znasz Anatole'a Broyarda? Ten dopiero wykręca numer. Wsiada codziennie do metra w Brooklynie czarny, a potem stawia się do pracy w "New Yorkerze" bielusięki. Może słyszałeś nazwisko Jean Toomer? Najważniejszy pisarz Czarnego Renesansu. Jeszcze w 1923 Waldo Frank uznał jego *Trzcinę* za zwiastunkę literackiej dojrzałości Południa, uwolnienie się od umysłowej obsesji na tle ciągłego kryzysu rasowego. Za przedświt twórczości mówiącej wprost, wyzbytej obaw, tak to zdaje się ujął. Pewnie spodobałaby ci się ta stara książka.

Ormusa kusi popełnienie nieostrożności. Kiedyś miałem taki pomysł na piosenkę, podsuwa. *Granica skóra*.

Na pewno spodobałby ci się Toomer, subtelnie wzbrania się Voight. Jasnoskóry, jak ty. Przepadł, wyobraź sobie. Plotkowano, że przekroczył granicę zabarwienia. A Arna Bontemps zapewniała: To wcale nie znaczy, że się uwolnił od problemu rasy. Niewidzialny płaszcz wcale go nie wybawił z kłopotów, w których inni tkwią po szyję.

Nie gniewajcie się, mówi Ormus, nie chcę wam zepsuć wieczoru, ale padam, głowa mi trzeszczy, dobranoc.

Auuu, mówi Amos, wpatrując się w plecy spieszącego Ormusa. Auuu, więc to go boli.

Teraz jest czarujący. Ścisła ramię Winy. Miałaś taki świetny pomysł, kotku. Bardzo zabawny.

W samym sercu Radosnej Wyspy Sama rezyduje dwór Króla Yula. Jeśli człowiekowi dopisze szczęście, może przysiąść obok ślepego Singha w jego ulubionym boksie - insygnia: manhattan z lodem i grube cygaro cohiba - a prędzej czy później zobaczy cały świat, który przewinie się, składając hołdy. Nikt nie przebije Yula strojem, drinkiem, dymem ani luzem. Do boksu wślizguje się Wina; po jej lewej

Amos.

Yul szczyrzy zęby: Dziś wieczór są tu wszyscy. Zresztą sprawdźmy to, sprawdźmy.

Oto Wampiryczne Lesbijki z Sodomy. Kochanie, mówią, wszyscy urodziliśmy się nago; reszta to kula u nogi.

Oto gigantyczny grubas, nagi, jeśli nie liczyć tego, co na głowie, niewolniczego kaptura z zamkiem błyskawicznym. Spójrz, facet ma palanta do tyłu, wystaje mu spomiędzy tych miękkich fałd dupska.

Oto Anielski Pył i Słodkie Imadło, dwie ze słynnych porno aktorek Voighta. Nazywam wszystkie koźmi, mówi, bo co parę tygodni wywozi sieje do fabryki kleju, kończą na jakiejś brązowej kopercie, dziesięciocentowym znaczku albo czymś w tym rodzaju. Więc pewnie je jeszcze ktoś polize, ostatni raz.

A to Lou, właśnie ma przerwę. Wspaniała, co? I Laurie, jej nowy posuwacz. Ale ogier.

Tamtego gościa warto poznać, jeśli człowiek wpada do miasta i chce się dowiedzieć, gdzie jest przyjęcie i kogo później wydupczyć.

Tamtej babce nigdy nie przyszłoby do głowy, że trafi na faceta, który sam zadusi się pętlą, byle się zdobyć na erekcję dla niej; pomyśl, jakie musi mieć teraz marne mniemanie o sobie, biedne dziecko.

Tam siedzą podpalacze pieniędzy.

Tu mamy pytogmiotów, pytowarów, jądrowarów, jądroidów, gównojadów. A dalej wszechświatowa Królowa Spermotonu, która grzmociła się ze stu i jeden mężczyznami, po czterech naraz, w siedmioipółgodzinnym megajebie. Wciąż jest w kontakcie z tymi mężczyznami; traktuje ich jak dalmatyńczyki. Rzecz jasna, wypracowała własny wizerunek: to futrolubna Cruella de Vii.

A tu matka ziemia, która zaadoptowała dziewiętnaścioro dzieci z różnych znękanym miejsc planety. Ale kiedy niepokoje cichną, wymienia te dzieci na bardziej potrzebujące, z innych płonących stref. (Ileokroć obsługuję jakąś wojnę, zastanawiam się, który z osieroconym brzdąców skończy w jej domu, a który na ulicy.)

A to Ifredis Wing. Cały jej żywot to akt uwielbienia, które bez reszty kieruje ku Jezusowi Chrystusowi. Jest też czarny brat z koroną cierniową na głowie; jakoś powinien się spiknąć z tą biedną dziewczyną. Bo Otto już dał dyla, jest teraz buddystą, zwał do Dharamsali z taką laseczką z ogoloną głową, w której się dopatrzył autentycznej świętej, ale że laseczka jest też oblatana w sztukach walki, więc lepiej

uważać, panie Wing.

Wyznawców jest więcej. Wierzą w Boską Matkę, Goddess Ma, która mieszka w betonowym wieżowcu w Diisseldorfie. Wierzą w szprycę. Wierzą w imię Boże wypisane na pestkach melona. Wierzą w mądrości, które lecą ku nim na ogonie komety. Wierzą w rock and roli. Wierzą, że rozum i psychologia to protezy, zresztą pożyteczne, nim człowiek odkryje mądrość. A kiedy ją odkryje, odrzuca te kule i tańczy. Wierzą, że sami są przy zdrowych zmysłach, a inni mają nie po kolei. Wierzą w Przyjemność i jej wyspę. Nie wierzą w plotkę o wyspie: kto pomieszka na niej zbyt długo, zostanie osłem.

Hej, dziś wieczór są bóstwa z kosmosu. Oto heros gitary, urodzony na asteroidzie gdzieś w okolicach Marsa. A tam Sun Ra, jeszcze jeden obcy. Jest ten chudy Angol, kiedyś wykrywacz UFO, już po tym, jak sam wylądował na Ziemi.

A to Neil. Neil ze Srebrzystego Statku Kosmicznego. Neil, żywy dowód na istnienie rock and roila na innych planetach.

Są wszyscy. Cały zachodni świat.

Tego wieczoru Voight nie ma skrupułów. Czy to nie Ormus Kama wyśpiewuje o granicach, pyta Yula, o kresach i ich przekraczaniu? No właśnie, właśnie. A dziś ten chłopczyk z trudem przekroczył wycieraczkę.

Wina nie reaguje na przynętę: Pepek świata nie może być kresem, albo, albo.

Jasne, że może, moja piękna, odzywa się Yul Singh. Rozejrzyj się. Może.

Wypluci, podzieleni przez wojnę Amerykanie - których wiara w światowy prymat potężnego orła legła w gruzach po wycofaniu z Indochin amerykańskich sił - najwyraźniej chcą słuchać tego, co ma do powiedzenia Ormus Kama. Nad ambasadą w Sajgonie krążą helikoptery jak anioły sądnego dnia, lgną do nich żywi, błagają o zbawienie. Tymczasem zmarli już zostali osądzeni i uznani za winnych, bo przegrali. W leśnych i górskich kryjówkach zaszywają się ze swymi psychozami weterani bez kończyn, by śnić pola ryżowe, gdzie spod wody nagle wyrasta przed nosem King Cong, tuż przed ich rozkrzyczaną twarzą, a śmigłowiec nadlatujący koszącym lotem na pomoc kosi człowiekowi głowę. Chłopaków da się wyciągnąć z wojny, fakt, ale wojny z chłopaków już nie. W owej chwili żalości Ameryka, wyzbyta steru, niezwykle chętnie słucha paradoksów w śpiewach Ormusa; jak chętnie słucha o własnej paradoksalności, o zagadce antagonistycznego bliźniactwa. Amerykańska armia (i jej rockowe piosenki) powędrowała na jakiś Wschód, by wrócić z rozbitym nosem. A

teraz, jak potwierdzenie, powraca z innego jeszcze Wschodu Ormusowa muzyka, by trafić do muzycznego serca amerykańskości, by zasilić rzekę snów; lecz tę muzykę napędzają demokratyczne przekonania zachowane przez Ormusa od czasów, kiedy Gajomart wspięwał mu do ucha przyszłość, i słysząc wyraźnie, że to jest jego muzyka, zrodzona nie w USA, lecz w jego własnym sercu, dawno temu, daleko stąd. Jak Anglia już nie może rościć sobie wyłącznych praw do angielszczyzny, tak Ameryka już nie jest jedyną właścicielką rock and rolla, brzmi nie wypowiedziany Ormusowy podtekst (ale Wina, która nie trzyma języka za zębami, zawsze skora rzucać rękawice, wyrwie się z tym na głos już wkrótce i utrzyma parę patriotycznych nosów). Błyskawicznie rozprzestrzenia się historyjka o dziesięcioletnim narzeczeństwie i zaprzysiężeniu celibatu; również to sprawia, że Ormusowi i Winie już nie sposób się oprzeć. Nowa kapela podrywa się do lotu niemal natychmiast, a od mocy, z jaką się wzbija, drży cały kraj. Zaczynają jako osobliwostka, by szybko wyrosnąć na gigantów. Ormus, zarazem zdobywca i mistrz ceremonii, bierze szturmem twierdze rocka, a jego bronią - jak przewidywał Yul Singh - jest głos Winy. Jej głos jest sługą jego melodii, jego śpiew jest sługą jej głosu. O ile głos Winy to instrument zupełnie wyjątkowy, zdolny jeżyć włos na głowach, kiedy rzuca się w przepaści, spada, nurkuje, o tyle głos Ormusa, niższy, wędrujący po delikatniejszych tropach harmonicznym, pierwszorzędnie równoważy jej wokalną pirotechnikę; a kiedy te dwa głosy się zespolą, tworzą magiczny trzeci, w którym czuje się supremację potężniejszą niż u Supremes, suwerenność pełniejszą niż u Sovereign Brothers, szerszy oddech kosmosu niż u Cosmits. Ormus i Wina to idealny mariaż, rodzieleni przysięgą, zjednoczeni muzyką. *V-T-Ochhh!* Zdezorientowana, szukająca nowego głosu Ameryka ulega właśnie im. Młodzi Amerykanie ruszają na poszukiwanie nowych rubieży Orient Expressem VTO.

Ta część amerykańskiej duszy, która jest teraz w odwrocie, znajduje osłodę w odświeżeniu przez nowe gwiazdy paru wielkich prawd amerykańskiego musicalu: tych temp i rytmów, które nieuchronnie przeobrażają każdy krok w taniec; tego beatu, który zmusza nasze ciała do ruchu; tej - *szepcz mi, szepcz* - rhythm and bluesowej intymności. Ta Ameryka zaś, która utraciwszy pewność, świeżo otworzyła się na świat zewnętrzny, reaguje na co innego, na brzmienia nieamerykańskie, które Ormus dodaje do tamtych tropów: na seksowność kubańskiej blachy, na te zakręcone schematy brazylijskiej perkusji, na chilijskie drzewo żalące się jak gnębione wichrem, na afrykańskie męskie chórki brzmiące jak szum liści poruszanych swobodnie

wiejącym zefirem, na tęskne zawodzenia starych znakomitych dam muzyki algierskiej, na świętą pasję pakistańskich kawwali. Czemuś tak niewielkiemu służy aż tyle muzyki tylu ludów, mówi Ormus przy okazji wydania pierwszego albumu (tego z burgundową opaską na oko na okładce), nazwanego jak zespół. Podsuwa ludziom okruchy, chociaż należałoby się ucztę.

Ormus chce pracować z zespołem, który nazywa pełną orkiestrą; nie chodzi mu o załogę sztywniaków w smokingach, lecz o pełnię emocjonalnych, intelektualnych i, tak jest, moralnych możliwości muzycznych, chce, by taka muzyka była zdolna mówić cokolwiek wszystkim, a nade wszystko coś komuś. Ormus zaczął przemawiać tym nowym, potężnym głosem, którego gdzieś tam słuchają różni ludzie.

Słucha zawzięcie także Ameryka gniewna: ta Ameryka strat, która dostała w skórę i nie do końca rozumie, jak i czym zasłużyła na taki ból (ta Ameryka nie dba o zabitych indochińskich, tylko o swoich). I Ameryce wścieklej dogadza Ormusowy gniew, bo Ormus to człowiek bardzo gniewny - z powodu Winy, samego siebie i okrutnego przeznaczenia - który dziesięć lat największego tryumfu opłaca czczością pustego łóżka.

Ameryka odpowiada dwojako. Jeden odzew to uznanie. Lecz za plecami Ameryki otwierającej się przed VTO kryje się także inny kraj, który obraca się przeciw Ormusowi, złorzeczy mu, zamyka przed nim umysł.

Ormus i Wina zyskują potężnych wrogów.

Ktoś tym krzykliwym ważniakom powinien, kurwa, raz na zawsze zamknąć dziób.

Czystość i melancholia umożliwiają sublimację, twierdził piętnastowieczny Florentyńczyk Marsilio Ficino, a sublimacja wyzwala *furor divinus*. Najpierw w *Peace Ballads of Ormus Kama*, potem w legendarnym albumie *Quaker shaker* nieomylnie wyczuwa się furię w każdym akordzie, każdym takcie, każdej linijce tekstu, furię zaczerpniętą z głębin, jak czarna woda z zatrutej studni. Tematem na poważną debatę byłaby boskość bądź ziemskość tej furii.

O ile Ficino był przekonany, że muzykę komponujemy za pomocą własnego życia, o tyle współczesny nam Czech Milan Kundera, przeciwnie, uważa, że komponujemy życie na podobieństwo muzyki. "Nawet o tym nie wiedząc, jednostka komponuje swe życie stosownie do reguł piękna, nawet w czasach wielkich cierpień". I oto - skoro postępujemy pod dyktando naszej potrzeby formy - na głowie staje stara, elegancka zasada dobrego projektowania.

Brawo, Ormus. Muszę to oddać facetowi. Z torbą ciężko wywalczonych zdjęć upadającego Sajgonu, z zapasem koszmarów na całe życie wracam do domu na ostatnich nogach, do słodko śpiących sprzedawczyń haftów, do pudrowanej szczęśliwości zakochanych obsiadających piaskowcowe tarasy Św. Marka i oto, patrzcie, na narożnych stojakach z gazetami nasz Ormi, ten znany z unikania prasy Ormi przebija bejsbolistę, który trzykrotnie zaliczył home run; Ormus ozdabia okładkę "Rolling Stone'a" (z Wina), "Newsweeka" (Wina zredukowana, włamana tylko w rogu) oraz "Time'a" (Winy ani śladu). Zepchnął z czołówek nie tylko wiadomości wojenne, lecz także zmarginalizował jedną ze świetniejszych ówczesnych piękności, która tak szybko stała się jedną z najślawniejszych kobiet świata. Samotnik! Tak popularny! Naprawdę musiał tknąć jakiś nerw. Szybko wydane albumy, *VTO* i *Peace Ballads* - w owych czasach, przed nastaniem wszechwładzy wideo i marketingu, muzycy wydawali nagrania znacznie częściej - i oto raz, dwa! Ormus już siedzi na dachu świata.

Na tamtym świecie, jak na twoim, już pokój. (Mam jeden taki tamten świat, na więcej nie licz, aniele, ale w gromadzie różniej.) Ziemia spalona, wojna skończona. (Ale ty nie odbierasz telefonu.) Wykręcą numer, nie ma cię w domu. Wykręcą numer, nie ma cię w domu. Długa ta podróż, niepotrzebna nikomu. Do domu.

VTO w *Peace Ballads* lekce sobie waży nauki postironicznego filmowca nazwiskiem Otto Wing. *Picking up the Pieces, (You Brought Me) Peace Without Love, Long Journey Home, Might As Well Live*: w licznych Ormusowych tekstach łatwo się dosłuchać gorzkiej i już nadużytej ironii. Ale muzyka, którą je opatrzył, śmiało, wręcz perwersyjnie sunie synkopami naprzód. A efekt całości to dziwna afirmatywność, nawet hymniczność, i dla wielu młodych ludzi te pełne rozmachu, a dalekie od doraźności frazy stają się, dziwna sprawa, pełnymi dojrzałości hymnami ulgi, nowego początku, wyzwolenia. Zdarza mi się słyszeć, jak w najbliższym sąsiedztwie szczawiwoci handlarze działek - NicelyNicely Johnson, Harry Koń, Sky Masterson, Big Julie, Nathan Detroit - pogwizdują kawałki Ormusa Kamy. Pokój bez miłości; to właśnie ten produkt sami promują, oryginalny i pierwszorzędny, gwarantowanej jakości, na uncje. Taki to fach i już, zawsze tak było. Kiedy człowiekowi zabraknie soczku pokoju, dropsów błogości czy dożylnych słodczy, może zawsze wrócić, zostanie serdecznie powitany w Dolinie Radości, gdzie może liczyć na

smakowite pomoce, póki starczy wymaganego tu szmalcu. To więcej, zapewnią handlarze, niż może dać miłość.

Amerykanie kupują *Ballady* wagonami, ale antywojenne przesłanie wzbudza parę podziemnych dudnień. Agencje sądzące, że ich rola polega na strzeżeniu kraju przed piątą kolumną (a zwłaszcza felietonistami i cyklistami) oraz destabilizacją, okazują dyskretne zainteresowanie. W domu Yula Singha dzwoni telefon o zastrzeżonym numerze, odzywa się uprzejmy głos kogoś, kto mówi “dzień dobry” jako Michael Baxter, a “do widzenia” jako Baxter Michaels. Pada strzał ostrzegawczy. Słowo dla kogoś, komu nie trzeba dwa razy powtarzać: Nieco nas niepokoi treść paru wersów w tekstach. Oczywiście nie chodzi o gwałcenie czyjegokolwiek prawa do Pierwszej Poprawki, absolutnie, ale autor, jeśli rzecz ująć ściśle, nie jest obywatelem Stanów Zjednoczonych. Gość zaś, który chce być nadal dobrze widziany, chyba nie powinien szczać gospodarzowi na reprezentacyjny dywan.

Yul Singh wzywa Ormusa i Winę do kompleksu biur w pobliżu Columbus Circle i proponuje przechadzkę po parku. Zazwyczaj nowojorczyści chlubią się niezwracaniem uwagi na sławę swych sław, lecz wyjątkowy sukces *Peace Ballads* wymaga wyjątkowych środków. Dla Ormusa to stara hippisowska marynara z afgańskiego koca, wielkie koliste purpurowe okulary słoneczne i godna stracha na wróble peruka. Winę przebrać trudniej. Nie da się ukryć ani wzrostu, ani afro na głowie, ani figury. Po wielu targach godzi się włożyć jasnoszkarłatny miękki filcowy kapelusz z ogromnym rondem, bo pasuje do jej długiego skórzanego włoskiego płaszcza. Yul Singh jak zawsze wzbrania się przed białą laską, zamiast tego wspiera się na stalowym ramieniu Willa Singha. Dyskretnie towarzyszy im pół tuzina innych Singhów, na wypadek kłopotów z tłumem. Cool Yul, śmielszy wśród parkowego listowia, streszcza rozmowę telefoniczną. Wina pogardliwie parska, nie zamierza brać pogroźek serio - *Ci federalni już każdemu następują na ogon, od doktor Niny po Winstona O'Boogie, czy to jakiś bajer reklamowy, czy co?* - i nagle przerzuca się na farsowy monolog. Co oni tam wiedzą, zresztą nikt nigdy nie rozumiał rockowych tekstów. Przez całe lata myślałam, że Hendrix to ciota. Głupio mi, rozumiecie, kiedy całuję tego faceta. Ale co to? Zatrzęśły mi się łydki? Może się zachwyciłam surrealizmem rockowych tekstów? Brednie. Pokapowałam, że to tylko przez te moje jebane uszy.

Posłuchaj, Ormus, łagodnie odzywa się Yul Singh, mogę ci tyle powiedzieć, że czasy są drażliwe, no wiesz, ludzie przeczuleni, z nerwami na wierzchu, może rąbiesz

im w oczy za wiele prawdy. Twoja sprawa, w porządku, wiem, że się wtrącam, ale trochę kontroluj ostrzejsze wstręty, a także, jeśli mogę coś dodać, trochę tych jej szurniętych, nie uzgodnionych odżywek.

Już to widzę, odpala Wina, zrzuca kapelusz, ściąga okulary słoneczne i spiesznie odchodzi, okryta mieniącymi się plamkami światła, wypowiadająca wojnę gigantessa. Odwraca głowę, lecz ludzie zostawiają ją w spokoju, spowijające ją burzowe chmury wydają się zbyt groźne.

Nie rusza pościg. Ktoś uznał, że lepiej się nie wtrącać. Atak dosięgnie Ormusa po piętnastu miesiącach, w ślad za piosenkami o trzęsieniu ziemi.

Kulturze potrzeba próżni, do której mogłaby się wdrzeć; to amorficzność w poszukiwaniu form. Odroczone miłość Winy i Ormusa, owa boska wstrzeźliwość, którą możemy wypełniać własnymi wyobrażeniami, staje się pępkiem naszego świata. Najwyraźniej miasto organizuje się teraz wokół tej pary, jakby oboje byli zasadą, czystą platońską esencją, która nadaje sens reszcie.

Pochlebiam sobie, że użyłem właśnie słówka “możemy” na określenie zbiorowości, której nie jestem częścią.

Mieszkają oddzielnie. Ona na dolnym Manhattanie, na poddaszu przemysłowego budynku wychodzącym w całości na zachód, na Kanał; uratowana przed postindustrialną zagładą wielka przestrzeń na drugim piętrze i budynek pełen elementów brutalnie pospolitych zaspokajają skłonność Winy do szorstkości, chociaż samo poddasze wręcz ostentacyjnie zapewnia o dostatku wygod. Wina lokuje tam akwaria zapewniające niemą asystę, a całe ściany zastawia aparaturą hifi, by odciąć się od hałasu miejskiej autostrady West Side i jeszcze głośniejszej, krzyczącej nieobecności Ormusa, drążącej ucho jak szum oceanu muszlę. On zajmuje ogromne puste mieszkanie w górnej części Manhattanu - w starym Rhodope Building, okazałej pamiętce po klasycznym okresie art deco - spowite w przestrzeń, wychodzące na wschód, z widokiem na sztuczne jezioro. W całym pokoju są tylko fortepian, gitara, parę poduszek. Na wytłumienie dźwięku i system oczyszczania powietrza poszedł majątek. Ormus nosi na oku opaskę, kiedy pokazuje się innym, zawsze podczas występu, to pomoc w skupieniu się, lecz tu, w luksusowej, wyściełanej celi puszcza wodze szaleństwu, uwalnia podwójne widzenie; niełatwo je ujeździć, Ormus walczy, jakby to było rodeo. Zatrząskuje za sobą świat i słucha muzyki sfer. Chociaż ślubował celibat, wpuszcza Marię.

Przybywa publiczności, powiększają się audytoria. Przybywa decybeli. Mimo że Ormus wychodzi na estradę z zatyczkami, już go dosięgły ubytki słuchu. Wina ma w uszach wciąż szum oceanu, on jazgotliwe dzwonięcie, jakby odległego alarmu. To ostatni odgłos, który słyszy przed zaśnięciem, i pierwszy, który wwierca mu się w świadomość co rano. Czasem bierze je za hałas powietrza w podpodłogowych rurach bądź zawodzenie wiatru na krawędzi rozbitej szyby. *To dzwonięcie to moje życie*, pisze w dzienniku. *Jeszcze jedna rzecz, przed którą nie mogę uciec.*

Po napięciach wstępnego okresu, kiedy widywali się czasem wieczorami (czego efektem było tylko bolesne zakłopotanie), postanawiają spotykać się tylko na próbach, przy innych członkach zespołu, na omawianiu spraw finansowych i wreszcie podczas występów. Odtąd nigdy już nie są ze sobą sami, nie tańczą ani nie jedzą razem, nie dzwonią do siebie, nie wpadają do kina, nie karmią zwierząt w zoo, nie dotykają się. Wzajemnie unikają spojrzeń, jak rozwiedzione małżeństwo. A jednak wciąż mówią, że łączy ich nieodwołalnie głęboka miłość, po wsze czasy.

Co to może znaczyć?

To znaczy, że oboje wciąż są ze sobą, nawet rozdzieleni. Wina bierze prysznic i wyobraża sobie, że po drugiej stronie szyby Ormus wpatruje się w spływającą po jej ciele wodę, że przyciska wargi do zaparowanego szkła. A Wina sama przyciska wargi od wewnątrz, wyobraża sobie, że tam po drugiej stronie Ormus czeka. Woda staje się jego dłońmi, jej ręce suną po ciele, szukając jego dotyku i często stając się nim. Ormus leży w łóżku i wmawia sobie, że obok w materacu jest ciepłe wgłębienie, jakby Wina właśnie wstała i wyszła z pokoju; Ormus zamyka oczy, Wina wraca, przysuwa się. Dwa skulone ciała stają się parą znaków zapytania na końcu zagadkowej maksyminy dnia.

Kiedy Ormus pisze takt, zawsze się zastanawia, co pomyśli Wina, słyszy jej boski głos, który przejmuje Ormusową muzykę i katapultuje na wyżyny, by lśniła na nieboskłonie jak gwiazda. A kiedy Wina je, sama bądź z innymi, nigdy nie zapomina o mięsożernych upodobaniach Ormusa, o codziennej dużej porcji krwistej, lekko wysmażonej wołowiny; na jej twarzy znać wtedy rozdrażnienie, którego to wyrazu (jeżeli nie jest sama) nie zamierza tłumaczyć, dziwna rzecz, jak na nią.

Postanowienie Winy, by prywatne życie prowadzić publicznie, wprawia w zakłopotanie, wręcz upokarza człowieka o takim poczuciu prywatności, jakim stał się Ormus; co dzień zadziwia go ta nieprzyzwoita odwaga, z jaką Wina mierzy się ze światem, jej gotowość chodzenia po ulicy nago w służbie czegoś, co uważa za prawdę. Ormus na paplaninę Winy odpowiada zbudowaniem muru powściągliwości. Wina

grzmoci w ten mur pięściami, podobnie chce się rozprawić ze sławetną przysięgą; a jednocześnie traktuje Ormusowe wybory jak samego Ormusa, z szacunkiem, na który nie może u Winy liczyć nikt inny.

Oboje w jednym pomieszczeniu aż iskrzą, to elektryczność miłosna nagromadzona w samotności. Kłócą się, jasne. Ormusowe zobowiązanie do monogamii Wina uważa za postępujący absolutyzm. Oskarża Ormusa o tyranie, on twierdzi, że chodzi o wierność. To jej charakter ich rozdziela, atakuje Ormus. Jej stanowcza niewierność, jej odmowa cenięcia tego, co cenne samo przez się, mówiąc wprost: odmowa cenięcia miłości dobrego człowieka. On to nazywa niewiernością, ona wolnością. To, w czym on widzi promiskuityzm, ona prowokacyjnie przemianowuje na demokrację. Te kłótnie donikąd nie prowadzą; podobnie jak, zapewne, wszelkie kłótnie kochanków, chociaż nie mogą się tak skończyć jak kłótnie innych, rozpuścić w pocałunku zapomnienia.

Tu wszystko się pamięta.

A oni mogą się całować tylko z zamkniętymi oczami. W snach.

Wina nadal wyjawia bezustannie wszystko wszystkim. Im bardziej intymny szczegół, tym pewniej wynurzy się na światło dzienne. Po wejściu na estradę Ormus staje plecami do publiczności, patrzy muzykom w twarze jak dyrygent, gromowładny Karajan, tymczasem ona ryczy w tłum publiczności liczbę, a wszyscy już wiedzą, że to liczba dni upływających od chwili, kiedy grzmocili się z Ormusem po raz ostatni. Wina przedstawia nazwiska najświeższych kochanków zastępczych, wywiedzioną z Reicha wiarę w uzdrawiającą moc energii orgonicznej i wielokrotnych orgazmów, a także starannie opisuje naturę własnych upodobań seksualnych.

(Dominacja, zniewolenie, agresja, wymiennie z uległością, przyjmowaniem kar, zdaniem na łaskę i niełaskę: na długo przed jej naśladowcami z lat osiemdziesiątych Wina ujawniła te delikatne a nagminne sekreciki naszych zakazanych serc, obnosząc po scenie w całej jaskrawości reflektorów to, co wcześniej czało się w mroku; rujnujące - bo ukrywane - tabu. Zapewne z tej racji pornografistką fonografii i stereofoniczną stereotypantką obwołali ją ci, którzy nie potrudzili się, by na jej twarzy dostrzec to, co wszyscy: potężne i rosnące pragnienie imieniem Ormus, które wykrzykiwała całej planecie, by je umniejszyć, a przez to ocalić, które co rano atakowało ją ze zdwojoną energią - powiększającą się geometrycznie w sejsmicznej skali serca, serdecznym Richterze - i zmuszało do jeszcze większych skrajności w

zachowaniach kompensacyjnych, krzykliwości, promiskuityzmie, narkotykach. Naprawdę była tylko jedna osoba na świecie, której usiłowała dopiec: wszystko jedno, jak liczne było audytorium, jak obelżywe popisy, prawdziwy cel krył się w głębinach prywatności, a prawdziwa widownia Winy ograniczała się do jednego tylko widza.

A może, jeśli mogę sobie pozwolić na błysk próżności, do dwóch.

Wspominam o tym, bo królowa nadekspozycji nigdy nie wyeksponowała mnie.)

Arcynieprzyjaciółka ukrywania, trzymała mnie do końca w ukryciu. O naszych długich popołudniach na łóżku z mosiężnym stelażem Ormus nie dowiedział się, póki żyła. Dlaczego? Bo nie jestem dla niej nikim; oto dlaczego. Mamy trwanie, terażniejszość i przyszłość; oto dlaczego. Bo kotu wolno patrzeć na królową, więc czasem i królowa może (po prostu może) rzucić okiem na tego zgłodniałego kocurka.

Jej przygodne amory, które czyniła sprawą publiczną, stawały się nieistotne właśnie przez ich nazwanie. Nigdy nie trwały długo; parę tygodni, w najlepszym razie miesięcy. A nasza historia miłosna” - nazwijmy ją raczej półhistorią, bo tylko dla połowy z nas to była miłość - potrwa lat niemal osiemnaście.

Gajomart Kama wyskoczył z Ormusowej głowy i zniknął. Wielki człowiek utracił bliźniego brata, lecz (nie wiedząc o tym) zyskał mnie. To ja jestem jego prawdziwym Innym, żywym cieniem, drugim ja. Dzieliłem z nim jego dziewczynę. O czym Wina nic mu nie mówi, bo to by rzeczywiście ważyło. Mogłoby go rozedrzeć. Ludzie, z którymi dzieli się jakąś historię: mogą człowieka posłać na dno, uprzednio zamieniwszy go we wrak.

Tak będzie, kiedy pewnego dnia Wina porzuci nas obu.

Jeśli nie wolno mówić o Innym, to siłą rzeczy cień musi się pozbyć własnego ja. Nie mam do Winy żadnych praw; zjawia się i znika, kiedy chce; przywołanie lub wygnanie zależą od jej faraonicznego kaprysu. Orszak jej amantów nie powinien mnie obchodzić; nie mogę też, rzecz jasna, być zazdrosny o samego Ormusa. Ale każde nowe seksualne odkrycie staje się czymś, co nauczyłem się nazywać “zet” w kiszce. A istnienie Ormusa - miłości, która ani może się spełnić, ani wypalić - to nóż niespiesznie obracany w sercu. Wina publicznie stroi żarty z Ormusowego celibatu, lecz ja inaczej odliczam czas. Bo każdy upływający dzień przybliża Ormusa do celu: chwili, w której Ormus poprosi Winę o dotrzymanie obietnicy.

Na świecie istnieje dla mnie tylko jeden mężczyzna, a nie mogę go mieć, wykrzykuje Wina do tłumu. Zamiast tego, cóż, posłuchajcie tych jego pięknych

piosenek.

Na estradzie Ormus wciąż stoi plecami do widzów. Nie może okazać bólu.

Renesansowe przełamywanie granic, które Erwin Panofsky nazwał deseparacją, dało początek nowoczesnemu pojęciu geniuszu. Piętnastowieczne manifesty i traktaty Albertiego, Leonarda i Cenniniego nie pozostawiają cienia wątpliwości, że deseparacją jest głęboko a poufnie powiązana ze zurbanizowaniem artystycznej wyobraźni, a raczej z podbojem miast przez artystów. Renesansowy artysta już nie jest pszczołą-robotnicą, li tylko zręcznym rzemieślnikiem tańczącym, jak mu zagra patron, lecz znawcą matematyki, anatomii, filozofii, mitografii, praw widzenia i postrzegania; biegłym w arkanach poznawania głębi, zdolnym skutecznie wnikać w istotę rzeczy. Osiągnięcia nowoczesnych artystów, twierdzi Alberti, dowodzą, że nowoczesny świat nie został wyczerpany. Przekraczając granice, jednocząc rozmaite dziedziny wiedzy technicznej i humanistycznej, wysokiej i niskiej, współczesny artysta uprawomocnia cały plan społeczny.

Taki jest geniusz! Leonardo, Michał Anioł: twierdzą, że są krewni bogom, wręcz równi. Udziałem ich są sprzeczne przeznaczenia: nieśmiertelności i destrukcji.

Jeżeli chodzi o Ormusa, to na początku, w momencie helikopterowego zstąpienia na Manhattan, Ormus rozdziawia usta i zdumiony tym Nowym Rzymem popada w stan wielbicielstwa, jak Alberti we Florencji w latach trzydziestych XV wieku. Każdy zagrany akord będzie peanem na cześć miasta sięgającego nieba, przyrzeka sobie. Jeżeli miasto może podbić wyżyny, to on też tego dokona.

Powinien być synem mojej matki. Ja synem jego ojca.

Można podsuwać, że cześć, jaką Ormus Kama oddawał miastu, została rychło odwzajemniona; miasto zaczęło czcić Kamę. A gdzie zmierza to miasto, ów Rzym, tam śpieszą wszystkie miasta świata.

Niestety, to już naduproszczenie. Ormus ląduje na Manhattanie jako prowincjusz zapatrzony w światła estrady, lecz radość przybysza szybko zatrują okoliczności. Rdzewienie i dekadencja miasta na poziomie parterów, brzemień wulgarności, trzecioświatowe klimaty (ubóstwo, korki samochodowe, poruszające się w zwolnionym tempie wraki pijaczków, przeliczne ruiny szklanych elewacji, te nie zaplanowane perspektywy ukazujące miasto trawione zarazą, to ponure urządzenie ulic), panoptika, w których Wina każe mu się z początku pokazywać, te cyganeryjne

mekki jak Radosna Wyspa Sama czy Rzeźnia, otóż te rzeczy tylko wzmagają jego sławetną odrazę moralną. Bombowy Manhattan ani trochę nie jest lepszy od odlotowego Londynu. Ormus wymyka się na niebotyczne wyżyny i stamtąd obserwuje dryfowanie miasta w kosmosie. Ten podniebny Manhattan Ormus kocha. Spowity w szlachetną ciszę Ormus może nizać swe ukochane brzmienia.

On także jest od środka jednym wielkim krzykiem. Ale jego męka ujawni się jako muzyka.

Dajcie miedziaka, a opowiem historię szczerozłotą. Tym wstępem, zapewnia Pliniusz, bajarze rozpoczynali fantastyczne opowieści o ludziach przemienianych w zwierzęta, a potem znów przyjmujących ludzką postać, o widzeniach i cudach: nie snuli tych opowieści językiem chropawym, lecz na wszelkie sposoby zdobili ekstrawaganckimi ornamentami, błyskotliwościami i zawijasami, nie żalowali pirotechniki ani popisu. Pisarze przyswajali sobie manierę bazarzy, bo przekonali się - twierdzi Robert Graves - "że popularna przypowieść daje o wiele rozleglejsze możliwości opisywania współczesnych obyczajów i norm, wtęptów filozoficznych nie wyłączając, niż jakakolwiek inna szacowna forma literacka".

A czego mogę się spodziewać ja - marny wyrobnik pstrykactwa, żniwiarz obrazów naszych powszednich - po obfitości tego, co istnieje: jakiejś literackiej doniosłości? Jak Lucjusz Apulejusz z Madaury - ów kartagiński kolonista greckiego pochodzenia, pragnący znaleźć się w rządzie łacińskich gigantów Rzymu - powinienem (poniewczasie) przeprosić za moje (post)kolonialne nieobycie i mieć nadzieję, że nie odrzuci cię, czytelniku, dziwność mej opowieści. Jak Apulejusz, który nie w pełni "zromanizował" swój język i styl, uważając, że lepiej wynaleźć mowę samoswoją, by wyrażać siebie w stylu greckich przodków, podobnie ja... Lecz spójrzcie, jest pewna istotna różnica między mną a autorem *Metamorfoz*, lepiej znanych jako *Złoty osioł*. Tak, powiesz czytelniku, jest jeszcze ta drobna kwestia talentu, w tej mierze nie usłyszysz ode mnie słowa sprzeciwu, zmierzam jednak do czegoś innego: otóż kiedy Apulejusz radośnie przyznaje się do bajeczności swych baśni, fikcyjności swych fikcji, ja nadal będę się upierał, że to, co opowiadam, jest szczerą prawdą. Apulejusz w swych dziełach bardzo czytelnie rozgranicza królestwa wyobraźni i faktu, a ja w marnym trudzie usiłuję zrelacjonować autentyczne życie człowieka, który dostrzegł, na długo przed innymi, sztuczność takiego podziału: który był świadkiem zniszczenia tej żelaznej kurtyny spojrzeniem własnych oczu i odważnie

ruszył do tańca na jej szczątkach.

Zatem:

Sam w kolosalnym, pustym mieszkaniu ściąga z oka przepaskę, a wtedy podwójne widzenie powraca. Ormus wpatruje się w jądro inności, w jej tonie. Pada bariera między światem snów a czuwania, między sferami rzeczywistego i wyobrazonego. Widać tu postęp. Coś się zmienia. Teraz nie ma już rozcięć, przez które wcześniej miewał wgląd w wizje, a okna wychodzące na inną naturę rzeczy mają niewyraźne krawędzie. Czasem bardzo się powiększają i wtedy trudno powiedzieć, gdzie ten świat się kończy, a zaczyna tamten. Mieszkanie Ormusa wygląda tak samo tu, jak mieszkanie Ormusa tam.

Granice się rozmywają. Może wkrótce zupełnie znikną. Ta myśl zamiast podniecać, przyprawia Ormusa o straszliwy lęk. Jeśli rozwidlone drogi się schodzą, a przed nami leży punkt ich złączenia, to kto wie, co to znaczy dla życia na ziemi? Jeśli dojdzie do takiej deparacji, jeżeli nagle wszystkie twierdzenia zawiodą, czy nie zniszczą nas energie tego zjawiska? Może powinniśmy budować bunkry, zbroić się, zakładać oznaki, które będą nas wyróżniać jako współczłonków tej właśnie rzeczywistości, a nie przerażającej (wkrótce może znieawidzonej) tamtej?

Jeśli alternatywy każdego z nas istnieją w innych kontinuumach, to które z tych naszych możliwych istnień pozostanie przy życiu, a które zniknie?

Jeśli wszyscy jesteśmy bliźniakami, to które z bliźniąt musi umrzeć?

Przekonawszy się, że przysięga wstrzemięźliwości jest niewzruszona, gniewna Maria odwiedza Ormusa znacznie rzadziej. Kiedy się zjawia, zwykle zgnębiona, oprotestowuje zasłanianie oka, czyli jej samej; nie mówiąc o protestach przeciw przysiędze. Maria nie bawi długo, lecz nigdy nie omieszka przypomnieć, co Ormus traci.

Ornius widzi, że Maria zjawia się często bez tchu, zlaną potem. Wydaje się zmęczona. Czy to możliwe, że - w miarę łączenia się i mieszania dwóch istot - Marii coraz trudniej prześlizgiwać się tam i z powrotem w ów najwyraźniej nadprzyrodzony sposób? Czy to możliwe, że kiedy przemieszanie dokona się już w pełni, oba światy podporządkują się tym samym prawom przyrody, a Maria będzie musiała, jak wszyscy, wchodzić i wychodzić przez drzwi?

A skoro tak, czy pojawi się jakieś mieszkanie - jej mieszkanie - czekające na

niego w Bombaju? I czy w rejestrach hotelu Cosmic Dancer znajdzie się ślad rezerwowania przez nich apartamentu na tę rzekomą noc namiętności i szaleństw, dawno temu?

Jakim cudem on sam zdoła znowu odróżnić fakty od fikcji?

Odzywa się ból głowy. Ormus nakłada na nowo opaskę i kładzie się na łóżku.

Na razie starczy.

Już nic ci więcej do tego, pokój czy wojna, nie twoja rzecz, o wybieraniu zapomnij, kolego, bo nocna zmora ściska w dłoni miecz. Kiedy już dzień stanie się nocą, kiedy od dobra nie odróżnisz zła, kiedy zapomnisz, z kim walczyć i po co, kiedy pomyślisz, że światło to mgła, nie mów ostatkiem tchu: I feel blue.

Bo Jack i Jill stracili styl, z królewskiej głowy spadła korona wielka, a błaznów rząd już zmył się stąd, królowa nie ma pantofelka, kotu gdzieś przepadł długi wąs; więc niech się Jack pośpieszy, bo gdy zegarów ustanie tykanie, historii wszelkich koniec nastanie, pusta już czasu kieszeń.

I ziemią wstrząśnie rock and roli, potoczą się kamienie, muzyka ziemi na twogę gra, nie myśl, że coś odmienisz; bo tobie, dziecko, nic do tego, nic, nic do tego, nic.

Piosenki Ormusa Kamy o trzęsieniu ziemi to peany ku czci nadchodzącego chaosu skomponowane, paradoksalnie, przez artystę obracającego się na najwyższym piętrze muzycznego wyrafinowania. Mówią o upadku wszelkich murów, granic, rani. Opiewają zderzenie się światów, wdzieranie się w siebie dwóch kosmosów pragnących stać się jednym, a w rezultacie niszczących się nawzajem. Sny szturmują nasz dzień, a monotonny puls jawy tętni w snach.

Niektóre z tych kawałków to zawile gobeliny utkane z dźwięków przewiercających uszy. W innych Ormus z rozmysłem porzuca kuglarskie fantazje, którymi mógłby sypać jak z rękawa, i decyduje się na surową dysonansową formułę, wymagającą od Winy ochryplej agresywności; ona doda tu jeszcze tę swoją przerażającą intensywność. Celowa dysharmonia to u Ormusa coś zupełnie nowego. Oto przemawia żalność celibatu, Miltonowski ból nie skonsumowanej miłości: *Rozpleść wszelkie łańcuchy pętające ukrytą duszę harmonii.*

Wiele z tych nowych piosenek to jeremiady kierowane wprost do Winy, co wywołuje wręcz magicznie dezorientujący efekt, bo Ormus wkłada w jej usta - no właśnie, Wina wypluwa z siebie te teksty - słowa, które chciałby jej powiedzieć. W

sztuce Ormus się nie umartwia. Muzyka to jego nagość. Co nas podnieca. Patrząc na nich na estradzie, słuchając taśm i płyt, możemy zobaczyć i usłyszeć napięcie tej dziwnie tamowanej miłości. Ich miłość ogromna a zepsuta - w której oboje wzbraniają się przed sobą przez tyle czasu - czyni z nich kochanków jedynych; takich, że nowin o nich nie możemy się doczekać.

Niektóre pieśni, śpiewane przez Winę porywającym, obezwładniającym głosem, wywołują w słuchaczach coś pierwotnego, wręcz zwierzęcego. Chociaż przesłanie można uznać za nihilistyczne, to szata muzyczna ma dość mocy, by podbić wyżytych praw, bałwochwalczą młodość świata. Ormus - niepamiętny własnych młodzieńczych wyskoków, sensualista prawdziwie przemieniony przez niesłychaną obietnicę powściągliwości, czciciel ciała, który stał się głosi-cielem ducha, przejętym grozą na widok tego, jak rozpustnie Nowy Świat trwoni swe uprzywilejowanie - teraz ruga swych wielbicieli za ich lubieżność i wyuzdanie, za lekkomyślne schodzenie na drogę rozpusty; a chociaż z cnotliwych wyżyn czystości grzmi o pokoleniach grzęznących w hedonizmie, straconych na archipelagach użycia i pożądania, to cele jego furii kochają go właśnie za ów gniew. Prorokując zagładę, jest najbardziej kochany przez rzekomo na nią skazanych. Wina wyśpiewująca magicznym głosem Ormusowe klątwy i wyklinana młodzież Zachodu zostają zaczarowani. Mkną do swych rhythm centers i kupują.

Podczas każdego wykonania piosenek z *Quakershaker* z publiczności bucha coś pierwotnego. Słysząc głośne wycie, wręcz wilcze. W strugach światła kierowanych na publiczność widać dzikie, dionizyjskie sceny. Opętani muzyką wielbicieli szarpiają i zdzierają ubrania swoje, cudze, rzucają w górę. Wyciągnięte ramiona młodych kobiet wiją się jak węże, splatają, dłonie trzepocą jak skrzydła. Kobiety siedzą okrakiem na ramionach kochanków. Nieobecne twarze mężczyzn, wmyślonych w rozwarte, nagie krocza partnerek; prychnięcie, ślinienie się, świńskie pochrząkiwania. Kiedy ów tłum ryknie, brzmi to jak ryk lwów, spod którego czasem dobiega syczenie węży.

Dochodzi do zaginięć. Młodzi ludzie nie wracają do domów i zostają w końcu uznani za uciekinierów. Lecz tu i ówdzie mówi się o zwierzęcych przeistoczeniach; o węzach w rynsztokach, dzikich świniach w miejskich parkach, o dziwnych ptakach o fantastycznym upierzeniu przysiadających na drapaczach chmur niczym deszczowe rzygacze czy anioły.

Może zmieniają się prawa kosmosu. I może takie metamorfozy - nie do wiary, coś strasznego - staną się normą.

Może wymyka nam się z rąk nasze człowieczeństwo. A kiedy w końcu się wymknie, to co nas powstrzyma przed metamorfozami, przemianą w dinozaury, tygrysy szablozębe, szakale, hieny, wilki?

Co nas powstrzyma przed staczaniem się, kiedy zapada ciemność i (jak w orfickim hymnie do Nocy) *wszystkim już włada straszliwa konieczność?*

Mnożą się konserwatywne potępienia nowej supergrupy i jej zwolenników, którym przykleja się przeróżne etykiety: neurotyków, pasożytów, rabusiów, libertynów i oszustów. Podczas koncertu w Toronto paskudnie spocony komendant policji w ciemnych okularach wielkości bocznych lusterek autobusu przestrzegł Winę przed pewnymi jednoznacznymi gestami, których nie szczędzi podczas występów. *Ręce przy sobie. Żadnego pajacowania. Żadnej samooblapki, jasne?* Widząc kamerę telewizji, Wina poczęstowała nieszczęsnego gliniarza pięciominutowym wykładem na temat Pierwszej Poprawki oraz swobód artystycznych, a na scenie tak się obmacywała, tak jeździła po sobie łapami, aż trwożono się, że sama się z siebie obedrze. Wobec prawdopodobieństwa zamieszek komendant policji postanowił nie interweniować.

Kult VTO - wyznawcy zaczynają o sobie mówić New Quakers; oto przypadek, w którym dzikość podkrada nazwę łagodności* [**Quake* - trzęsienie, także ziemi; *Quaker* - kwakier.] - rozrasta się z dnia na dzień, wsparty ekstatycznymi egzegezami tekstów Ormusa i śpiewu Winy, wyłożonymi w całym ciągu krytyk - odtąd stanowiącym punkt odniesienia - przez strażników rockandrollowego ognia, Amerykanina włoskiego pochodzenia Marca Sangrię i frankofońskiego Martynikanina Remy'ego Auxerre'a.

Charakterystyczne dla rocka jest to, że ludzi skądinąd rozsądnych popycha w przesadę, wprawia w uniesienie. Lecz Marco Sangria i Remy Auxerre to ekstremiści, nawet jak na bombastyczne miary dziennikarstwa muzycznego. Wspięli się obaj na wyżyny, sięgnęli po ton rapsodu, co kolegów po piórze przyprawiło o atak zazdrości.

Głos Winy jak najdosłowniej, pieje Sangria, sam jest muzyką; jej otchłanną praistotą. Stosunki między Ormusem a Winą to wyraz napięcia między mądrością a wymownością. Pochody interwałów Ormusowej gitary mogą być, ujmując rzecz matematycznie, strukturalną podstawą nie tylko całego kosmosu, lecz także duszy ludzkiej. Po przebadaniu naszych przestrzeni wewnętrznych - w tej mierze fizycy subatomowi zgadzają się z buddystami - odnajdziemy mikrokosmos identyczny z

makrokosmosem: muzyka Ormusa odsłania przed nami jedność małego i wielkiego.

To rozprzestrzenia muzykę duszy na inne członki; zatem w tańcu nie tylko tańczą ciała, lecz także dusze.

Remy podbija bębenka po swojemu, ezoterycznie.

Mamy tu do czynienia ze zmaganiem wielkiego muzyka, pisze Remy, który nie tylko szuka czystego, nieskalanie apollinijskiego tonu pieśni, lecz sięga także po nieczystą dionizyjską rytmikę. Za harmonię możemy uznać zażegnanie konfliktu między tym, co apollinijskie, a tym, co dionizyjskie. Gdzie z szaleństwem i mrokiem zderzają się rozum i jasność, sztuka z nauką, dziecko z dorosłym, gdzie śmierci urągliwie patrzy w oczy życie, tam twórcie muzykę.

Śpiewaczka popada w szal bogów, zapewnia Remy. Pod naporem jej boskiej furii przełamuje się granica między imperiami Apollina i Dionizosa. *Furor divinus* ma bowiem cztery poziomy. *Furor* poetycki koi duszę, kapłański przygotowuje ducha do uniesień, prorocki unosi nas na anielskie wyżyny, a *furor* erotyczny jednoczy duszę z Bogiem. Wszystko to, w najwyższym stężeniu, zawiera muzyka Ormusa.

Są dwa wielkie duchy, wywodzi Remy: Spiritus Humanus, który wiąże ciało i duszę, oraz Spiritus Mundi łączący światy podlunarny i zalunarny. Owa lunatycka terminologia Auxerre'a to wersja Ormusowej doktryny dwóch rzeczywistości, świata i innoświata. *W muzyce VTO jednoczą się te właśnie dwa duchy*. Co, jak skromnie zapewnia Remy, może się składa na wielką jednolitą teorię duszy: na pewnych niewyobrażalnie wysokich poziomach temperatury i ciśnienia - słowem, na poziomie geniuszu - my i kosmos zaczynamy stanowić jedność. A żywym dowodem na prawdziwość tej teorii jest Ormus Kama.

Ogromne kawały powyższego chłoną legie zapelniające stadiony, głodne strawy duchowej. Ale naprawdę podnieca je katastrofa: brana dosłownie, wiersz po wierszu, obraz po obrazie, eschatologiczna wizja Marca Sangrii. *Nadchodzi Wstrząs, Wielki Wstrząs, który pochłonie nas wszystkich. Tańczmy do tej muzyki, bo jutro, skurwiele jedne, pomrzemy*.

Eschatologia i plotka: uran i pluton dwudziestego wieku. Wina własne życie, a także Ormusowe, wpisała w światową operę mydlaną. Sławetna przysięga czystości wznieca dreszcz, który mobilizuje połowę kobiet na świecie, gotowych wabić Ormusa czymś, co uważają za nieodpartą pokusę. Te Ewy zbrojne w jabłka nie tak bardzo się różnią od barowych chełpliwych samców, zawsze gotowych sięgnąć po swój nieopisany wręcz urok wobec wszystkich niedostępnych kobiet: gwiazd filmowych,

lesbijek, żon najlepszych przyjaciół. Ormus, trzymając się z dala od wszelkich pochlebstw, wzbudza wręcz agresywność pewnych kobiet, uważających tę jego wstrzeźliwość za niedorzeczną, ba, węszących w owym wyrzeczeniu zniewagę tych wszystkich kobiet, w których żyłach tętni gorąca krew. Nadchodzą groźby, na skutek czego pojawia się policyjna ochrona zarówno koncertów VTO, jak i Rhodope Building. Owa furia bachantek to jeden z rysów czasu.

Wina ma teraz u Sama własny boks. Otoczona wiankiem kochanków i uczniów - Marca, Remy'ego, przeróżnych ludzi z miasta - głosi nauki. Chce się dzielić swą wiedzą; na przykład chce, żeby świat poznał jej pogląd na najnowsze paranauki. Na biosprężenie zwrotne, kognitywną terapię behawioralną, ortomolekularyzm i makrobiotykę. Wychwala błogosławione skutki jamajskiego derenia, obranej ze skóry kapusty, terapeutycznego stosowania fal dźwiękowych. Chociaż wojujący wegetarianizm zabrania jej picia krwi jaszczurek i nietoperzy, to z wdziękiem przyznaje, że zbawienne skutki zażywania tych trunków zostały udowodnione ponad wszelką wątpliwość.

Jej książka o diecie, a także porady zdrowotne i sprawnościowe staną się światowymi bestsellerami. Później z powodzeniem wprowadzi na rynek sławne kasety wideo z ćwiczeniami i zastrzeże sobie prawa do całej gamy wegetariańskich potraw, które także podbiją rynek pod znakiem handlowym Vina'sVegeTable™. (W reklamach młode zdrowe konsumentki wykonują trójfazowy gest rockowych wielbicieli Winy: dwupalcowe pokojowe V, następnie T, jak "czas na przerwę", sygnał próżniaczosportowy, wreszcie kciuk i wskazujący palec stykające się w pełnym uznania O. Ów język znaków zaleca nam wiarę w *VegeTableOrganics*, chociaż to najzwyczajniejsza dwuznaczność naprowadzająca.)

Młode kobiety z całego świata najczęściej wymieniają Winę jako swój wzór.

Wina wyciąga zaciśniętą pięść przeciw niesprawiedliwości rasowej na amerykańskim Południu i Zachodzie, śpiewa z politycznych trybun wśród zgłiszcz domów spalonych podczas zamieszek rasowych. Majestatyczne obejście, szczerozłoty głos, a nade wszystko sława to dość, by nikt nie spytał Winy o prawo do występowania w imieniu czarnych Amerykanów. Zresztą sama także się określiła wobec odcienia własnej skóry; przekroczyła tę granicę, nie poza, ale ku kolorowości.

Jest płomienną, błyskotliwą mówczynią, która o prawa kobiet walczy przeciw rozmemłanemu imperium mężczyzn. To ją wystawia na ataki pewnych odłamów ruchu kobiecego. Jakim cudem, chciałyby wiedzieć te siostrzyce, wybitna, jakże

otwarta i wyzbyta uprzedzeń istota żeńska może być do tego stopnia opętana przez zjawisko jawnie przestarzałe, mianowicie męskiego członka, dlaczego tak anachronicznie dręczy ją potrzeba penetracji, że publicznie chełpi się swymi “podbojami”? Czy aby nie jest, podobnie jak ów samooskarżający się szowinista Norman Mailer, niewolnicą seksu?

Dlaczego śpiewa tylko piosenki Ormusa?

Dlaczego nie użyczy swego głosu wizjom artystycznym współczesnych kobiet?
Dlaczego nie pisze i nie komponuje sama?

Jak może być wolna, jeśli jest tylko instrumentem sztuki męskiej?

Taka debata - namiętna, inteligentna, nadziana ideologią - też się składała na ducha tych burzliwych czasów. Lecz Wina nie zwraca uwagi na krytykowanie, płynie w dal; jest wielkim żaglowcem, który wyruszył na poszukiwanie legendarnego skarbu. Wina to *Argo*; na pokładzie Ormus. Złote Runo, po które wyruszyli, to muzyka.

Oboje jednocześnie ulegają tej samej potrzebie; łamią własną regułę, by się spotykać tylko w związku z pracą, i jadą pod wpływem kaprysu na pustynię w Nevadzie, gdzie napędzani na cztery koła kartami piszą na piasku własne imiona, tak ogromne, zapewnia Wina, że można by je dostrzec z Księżycą, jak Mur Chiński. I zaraz potem nadają sobie przydomek Chiński Mur. Kiedy po powrocie do Nowego Jorku Wina wyjaśnia dziennikarzom, co to oznacza, żart zniemacka eksploduje; zostają oskarżeni o arogancję, nawet o napad na religię, bo Wina jak to Wina, chlapanęła przy okazji, że te imiona wypisali na powierzchni większej niż jakikolwiek kościół na świecie. *Z Księżycą nie widać żadnych kościołów*. Tego już było za wiele: tej odżywki, wraz z pięścią niedawno wznoszoną na rzecz Black Power i dostrzeżeniem w Ormusowych tekstach antyestablishmentowych treści. Przeprowadzone zostaje długo odkładane natarcie. Wina, jako urodzona w USA obywatelka amerykańska, poznaje dobrodziejstwa nie spowodowanych policyjnych wizyt w środku nocy, podczas których otrzymuje “zaproszenie” na komisariat, tam zaś przesłuchują ją godzinami na okoliczność kontaktów z yippisami, Panterami, najróżniejszej maści związkowcami i lewakami, wreszcie z gromadą źle widzianych w tym kraju dziwadł zgrupowanych wokół Amosa Voighta. Przeżywa najazdy brygady antynarkotykowej (bezowocne; taka głupia nie jest), a urząd skarbowy gruntownie przetrząsa jej finanse, jakby były skałami, pod którymi muszą się kryć wszelkie

odmiany jadowitych węży. Obcokrajowcem Ormusem zajmie się Urząd do spraw Imigracji i Naturalizacji. W marcu 1973 roku sędzia imigracyjny daje Ormusowi sześćdziesiąt dni na opuszczenie kraju. Jako powód wymienia fakt, że swego czasu Ormus uczestniczył w tragicznym wypadku samochodowym; wprawdzie nie kierował pojazdem, ale badanie wykazało w jego krwi obecność niedozwolonej substancji narkotycznej. Słyszając w sądzie to orzeczenie, Ormus pojmuję, że teraz mierzy się z potęgą, z jaką nigdy nie miał do czynienia, potęgą, która potrafi zniweczyć wszystko, co dobrego zrobili Muli Standish i Yul Singh; która potrafi publicznie rozgłosić, co tkwiło w ukryciu przez sześć lat.

(Powtarzam: pewne bitwy nie zostały niegdyś wygrane. Więc wciąż jest możliwe, że przyszłość nie wygra z przeszłością; że przyjemność i piękno przegrają z nabożnością i spluwą. Jakaś wojna się kończy, jakaś zaczyna. W gruncie rzeczy rasa ludzka nie wie, co to pokój.)

Niemniej, natrafiwszy na ślad czegoś, co okazało się grubym i niepomijalnym pokładem tutejszego gruntu, Ormus wnosi apelację. *Ameryka to miejsce, w którym chcę mieszkać*, mówi dziennikarzom na schodach sądu, podczas niezwyklej jak na niego konferencji prasowej. *Nie zamierzam się tylko powałęsać, żeby potem dać nogę z lupem.*

Prawdę mówiąc, niewiele widać szans na wałęsanie. Ormusowi towarzyszą trzej lśniączożębi spasieni prawnicy, ponadto dobiegający sześćdziesiątki Muli Standish, wciąż wymuskany, o tej samej prezencji twardego zawodnika, oraz Wina, która postanowiła tego dnia włożyć na czarną koszulkę i do legginsów złoty napierśnik, co musiało Ormusowi, synowi znawcy antyku, przywieść na myśl gotową do boju Pallas Atenę, dodajmy, Atenę z pierścieniami jak kastety i w ciemnych szklach gwiazdy filmowej. Otacza ich siedmiu Singhów, ukrytych za identycznymi okularami słonecznymi, a kolejny pierścień tworzą spleceni ramionami policjanci, kwiat nowojorskiego garnizonu, którzy nie żałując pogrózek, odpychają czeredę dziennikarzy, a także bluzgających i wyjących New Quakers; bo w radykalnym skrzydle fanów zagnieździł się kudłaci charyzmatyca o profilu psychiatrycznym bardzo przypominającym tych szytów samookaleczających się podczas procesji w miesiącu muharram: to rezydenci psychotropiku Koziorożca, krainy ofiarnego kozła.

Czemu za niego nie wyjdiesz, prosto z mostu wali reporterka, nie owija w bawełnę, to Nowy Jork. Gdybyś wyszła, byłoby po sprawie. Z miejsca dostałby prawo pobytu.

Jemu to prawo przysługuje tak czy owak, odpowiada Wina, z racji daru, jaki przynosi. Samym pojawieniem się sprawił, że to miasto stało się lepsze.

Dlaczego się z nią nie ożenisz, ta sama reporterka odpytuje teraz Ormusa, jakby nie słyszała Winy. Bo po co szukać długich dróg, skoro jest taki skrót, no nie?

Między nami obowiązuje układ, mówi Ormus; ma na myśli przysięgę dotyczącą wiadomego dziesięciolecia. Wykłada rzecz punkt po punkcie, a dziennikarskie komando chichocze z niedowierzaniem. Ormus krzywi się i przekrzykuje prasę. Dałem słowo.

Muli Standish szybko reaguje na nadchodzący niż; stuka laseczką w stopień. (Nienaganny brytyjski strój niezmiennie obezwładnia gawieź: bo, prawdę mówiąc, jakie szansę mają dzinsy i adidas w zderzeniu z trzyczęściowym garniturem z Savile Row, koszulą z Jermyn Street z guzikami z masy perłowej, butami na miarę i lodenowym płaszczem z Aquascutum?) Panie i panowie, to wszystko. Kończymy dzisiejsze przedstawienie. Dziękujemy za zainteresowanie i uwagę. Sierżancie, czy zechce nam pan pomóc, bo teraz chcemy się przedostać do limuzyny.

To był pomysł Winy: na nowo i w pełni wprząc Standisha w menedżerski kierat. Wcześniejsze narzucenie dystansu między kapelą a Mullem - dystansu o szerokości Atlantyku - też było jej strategią. Wzorem licznych pewnych siebie a utalentowanych ludzi nie widziała powodu, by dzielić się tortem z jakimś nietwórczym osobnikiem, jeśli nie musi; da sobie radę z Kolchidą. Jasne. Już podpisała tutaj umowę solistki i mnóstwo wydusiła (opcje nagrywania do skutku, szczodre fundusze na studio), była więc przekonana, że potrafi poruszać się po zdradliwych dzielnicach Miasta Umów tak swobodnie, jak po olśniewających, rześście oświetlonych bulwarach; na równi po ciemnych zbójceckich zaułkach drobnego druku, jak i pod skrzącymi się markizami tantem; więc kiedy Yul Singh wziął do swej stajni VTO, chciała wynegocjować i ten kontrakt.

Po podpisaniu zaczęły ją nękać wątpliwości. Kolosalna sprzedaż osiąga poziom supergwiazd, płyty tłoczy się milionami, ale przelewy na ich rachunki okazują się wstrząsająco niskie. Z poduszczenia Winy Ormus kupił to baśniowe mieszkanie na górnej West Side, a teraz na wyciągach z wszystkich jego kont mnożą się dramatycznie debetowe wykrzykniki. Ormus - zawsze ufniejszy z nich dwojga - zostawił interesy Winie oraz zaangażowanym przez nią prawnikom i księgowym. Podczas spotkań poświęconych interesom Ormus naprawdę zasypiał; w odpowiednim momencie Wina potrząsała nim, wkładała pióro do ręki, a on podpisywał się na

wszystkich wskazanych wykropkowanych liniijkach. Teraz poczuła obawy, że pewnie byłoby lepiej, gdyby miał oczy szeroko otwarte. Nie podzieliła się wątpliwościami, lecz napomknęła, że przyda się druga niezależna opinia, i dlatego chce, by do ekipy powrócił Muli Standish.

Zacznijmy od tego, że byłam, prawdę mówiąc, trochę zazdrosna?, wyznała Ormusowi, bo on się w tobie tak kocha?, raczej żałośnie. Jak na mój gust, rzecz jasna. Ale potrzebujemy kogoś pośredniczącego między nami a panem Yulem Singhiem. Potrzebujemy amortyzatora, dystansu. To znacznie wzmocni nasz potencjał negocjacyjny.

To było po *Peace Ballads*; mniej więcej wtedy YSL zaczął strzelać z bata z powodu politycznych odzywek Winy itede. Więc kiedy Winie zaświtało, że Cool Yul, kto wie, może ich strzyże - nazywała to strzyżą złotorunną - Ormus wpierw podejrzewał, że chodzi o prywatne porachunki, a nie interesy. Chciał protestować, jak dotąd Yul jest dla nas taki dobry, ale błysk w oku Winy wykluczył spory. Zresztą Ormus stęsknił się za Standishem.

Muli został w Anglii, niezdolny oderwać się od nieszczęsnego Waldo ze zbutwiałą piątą klepką, zbierającego butwiejące liście w ogrodach lady Spenty Methwold. Spenta dopatruje się w coraz dłuższym pobycie Mulla oznak poważnego zainteresowania tą jej beznadziejną propozycją koleżeństwa, niestety bezpodstawnie, i tak się z wolna toczy melancholijna komedia pomyłek w konwencji teatru No bądź żywych obrazów; bo ani Spenta nie wypowiada na głos swych nadziei, ani Muli Standish nie umie znaleźć słów na ich unicestwienie; Wirus Kama widzi to wszystko, lecz nic nie mówi, tymczasem Waldo jest zdolny tylko do najprostszych, najniewinniejszych uwag o ptakach, pszczołach, kwiatach, drzewach i niebie nad głową. Standish czuje się jak w pułapce, między wdzięcznością wobec Spenty, za stworzenie Waldo pozoru własnego miejsca na ziemi, a niepokojami w związku z nią samą, bo pozwolił sprawom zajść za daleko, a prawda - taka, że starzejące się serce oddała komuś, kto daru nigdy nie przyjmie - mogłaby ją teraz tylko upokorzyć. Muli czuje, że w tej dusznej atmosferze uchodzi z niego energia. W głowie lęgną mu się myśli nie do pomyślenia: że jednak życie może najwyżej okazać się kłęską.

Telefon Winy jest jak transfuzja krwi. Muli nagle uruchamia dawno obmyślony plan spiesznego wycofania się z wszystkich brytyjskich przedsięwzięć, nie wyłączając budzącego zachwyty tygodnika rankingowego, który właśnie odparł parweniuszowski

atak konkurencji i - wraz z mutacjami, pierwszorzędnie przyjętymi w Manchesterze, Liverpoolu, Birmingham i Glasgow - zachował rynek w garści. No i pojawiła się droga odwrotu, pozwalająca zachować twarz, jeżeli chodzi o Spentę. Muli powiedział, że grozi mu wyjazd, a Spencie natychmiast zatrzęsł się podbródek. Lecz potem, godząc się z losem, powiedziała, rzecz jasna jedź. A ja się zajmę naszymi pokrzywdzonymi dziećmi. Mimo wszystko jesteśmy czymś w rodzaju rodziny, z przypadku, ale jednak; a nasze więzy to kalectwo i utraty.

Muli Standish uklonił się i wycofał.

W Nowym Jorku, na widok najzupełniej przerażających umów, które wynegocjowała Wina, jeszcze raz wcielił się w to swoje obszerne, potężne ja. Zażądał pełnego nadzoru, żadnych dyskusji, a zgraję doradców wyrzucił na zbity łeb w pięć minut po przeczytaniu dokumentów. Następnie ściągnął Ormusa i Winę na kryzysowe zebranie w otwartym na nowo biurze w centrum miasta. W tym momencie składało się tylko z sekretarki i wielkiego kserografu, ale plany ekspansji były już bardzo zaawansowane. To katastrofa, oświadczył, bębniąc palcami po stole. Ścisłej, zakontraktowany zaledwie jeden album więcej, lecz zastrzeżonych kolejnych osiem. Co znaczy, że was udupią, kiedy zechcą, a wy nie możecie nawet pisać, powiedzieć "dziękuję" ani zmienić warunków. Na pokaz to jest całych jedenaście procent sugerowanej katalogowej ceny detalicznej, z czego trzy dla producenta; ale spójrzcie na liczby dotyczące promocji i gratisów. I pozwólcie, że wszystko wytłumaczę słowo po słowie. Na kasetę *Peace Ballads* wchodzi maksisingiel; przyjmijmy w zaokrągleniu siedem dolarów. I na tym się opierają wszystkie wyliczenia, bez względu na to, po ile kasetę naprawdę chodzi w sklepach. Teraz odejmijcie dwadzieścia procent na opakowanie, co daje podstawę tantiem pięć czterdzieści. Przy jedenastu procentach macie po sześćdziesiąt dwa centy od sprzedanej kasy. Z których musicie odliczyć jedenaście centów dla pana producenta, a jest nim, jak sądzę, nasz przyjaciel pan Singh, któż by inny; no trudno, żegnajcie. Ale teraz mamy te kompletnie obłąkane dwadzieścia procent na darmochoy, więc pora na pożegnalny pocałunek z jedną piątą tego, co zostało. Co daje nam trzydzieści dwa przecinek osiem dziesiątych centa, z których musimy opłacić pozostałych członków kapeli, LaBeef i Bathów, po procencie, hojnie do bólu, kosztuje to kolejnych dwadzieścia jeden centów. W ten sposób zostaje wam dokładnie jedenaście przecinek osiem dziesiątych centa za sprzedaną kasetę, do podziału na dwoje, lecz wpierw musicie odprowadzić ćwierć miliona na koszty

nagrania i równe sto pięćdziesiąt kawalasów za niezależną promocję - sto procent jej kosztów, i wy to podpisaliście? - a na dokładkę, wyobraźcie sobie, mamy tu trzydziestopięcioprocentową rezerwę jako zabezpieczenie przed zwrotami. Czyli od tego, co sprzedano, od sześciu milionów nakładu, liczymy góra sto tysięcy dolarów z miliona sztuk, tymczasem płacicie podatki i przekonujecie się, że to będzie jakieś pięćdziesiąt pięć procent całości, ale tylko kiedy ma się dobrego księgowego, więc nie w waszym wypadku. Zatem po zapłaceniu podatków jakieś pięćdziesiąt tysięcy to góra - i tak się przedstawia rozliczenie megamegahitu. Właśnie tak, droga dziatwo. Tymczasem wydajecie pieniądze w sposób wychodzący z mody, mieszkanie za milion, wymyślne zabawki elektroniczne, a założę się, że wasi współkapelanci też przepuszczają forszę. Dodam, że jeszcze nie zacząłem czytać tych wzruszających umów z Ormusem o twórczość; a wy się dziwicie wykrzyknikom na kontaktach. Chryste.

To co zrobimy? - pyta Wina uległym, niezwykłym jak na nią tonem. Bo rozumiem, że systematycznie dajemy dupy, nie? Jak to teraz rozegrać?

Standish odchyła się w fotelu i uśmiecha szeroko. Siądziemy do brydza. Niegłupia gra. I zaimpasujemy.

Kontynentalne oraz międzykontynentalne posunięcia uczyniły z Yula Singha człowieka, którego niełatwo zahaczyć. W Napa Valley ma winnicę, w Arizonie ranczo na odludziu, na Karaibach wyspę, w Toronto, Bostonie i Savannah w bankowych skarbcach rzekomo zachomikował wielki zbiór klasycznych rzeźb. Podobno odwiedza samotnie te skarbcce w nocy, by w podziemnych komorach za stalowymi ścianami półmetrowej grubości pieścić marmurowe skrzydlate Nike i piersiaste Afrodyty. Ma kochanki i protegowane, intrygi i schadzki, lecz karty zawsze trzyma przy sobie. Ma również krowy. Warte sześćdziesiąt sześć milionów dolarów stado mlecznych holsteinek, słowem okazała część pogłównia całego stanu Massachusetts. Bo krowy są święte, mistyczne, mówi ludziom pytającym dlaczego. Oraz bo to interes mało powiedzieć pierwszorzędnym.

Z niepojętych powodów zgłębił arcytajniki bezpieczeństwa, a teraz ich przestrzega, rezerwuje miejsce w kilku samolotach startujących równocześnie w różne strony, używa fikcyjnych nazwisk, wymyka się wszelkiej przewidywalności. Przecież, na miły Bóg, jesteś tylko stereofonicznym, kantującym na potęgę menago, drwi bezczelnie Standish podczas pierwszego spotkania w Kolchidzie w pomieszczeniu pełnym platynowych i złotych krążków. To czemu odstawiasz jakiegoś Carlosa czy

Arafata?

Na co Yul replikuje: Posłuchaj, Standish, bez urazy, lubię cię, ale wypadłeś z gry, to fakt podpisany, przypieczętowany i obwieszczony, twoi artyści leżą na moim prywatnym ołtarzu ofiarnym związani i zakneblowani i dodam, żeby być dobrze zrozumianym, że są moją własnością; kolega diabeł nie trzymał Fausta w garści mocniej niż ja te dzieciaki; są moje.

Standish ma dobre uszy, słyszy, co w trawie piszczy, był kiedyś jednym z największych przedsiębiorców budowlanych w mieście, jeszcze zachował kontakty, więc kiedy Yul Singh odprawia go z kwitkiem (rzecz łatwa do przewidzenia), Muli budzi z uspienia swoich podsłuchiowaczy. Gość musi pojąć, że koniec z grami w bambuko, mówi Muli do Ormusa i Winy, musi zrozumieć, że negocjacje przeniosły się teraz do pierwszej ligi. Stąd konieczność posiadania materiałów. Muli nie dodaje, że płatni podsłuchiowacze przynoszą mu przede wszystkim ostrzeżenie: winien zadbać o własne bezpieczeństwo, bo Sam Tropicana, dawno porzucony kochanek, dowiedział się o powrocie Mulla do miasta i padły jawne pogroźki, ba, ze spurpurowiałą twarzą rzucano gromy w koturnowej, ponurej scenerii ekskluzywnego Knickerbocker Club, a także w środowisku mniej wykwintnym, bo w Bronksie na 187 Ulicy, ściślej koło Madonny z Karmelu i masarni (specjalność: wieprzowina) braci D'Auria, na chodniku przed pizzeria Katania. Nie da się ukryć, że Sam Tropicana to teraz gruba ryba, lecz Standish nie wpada w panikę.

Nie myślcie o tym, mówi swym uszom, to przeszłość. Czas płynie tylko w jedną stronę, a ja nie wierzę we wczoraj.

W końcu ekipie udaje się wywęszyć, co trzeba, i oto kiedy Yul Singh, trzymając się ramienia Willa Singha, zmierza ku salom aukcyjnym w San Narciso w Kalifornii - w najstarszym budynku w mieście, rzeczywiście pamiętającym czasy sprzed drugiej wojny światowej - w chłodnym holu przesiąkniętym zapachem papieru i wosku wita go pukaniem laski w czerwoną lśniącą sekwojową podłogę Muli Standish. Po co się tu wpierdalasz, niezbyt elegancko docieka Yul, rzeczywiście zmieszany. Mam wrażenie, że twoje zasłony dymne trochę zawiodły, uśmiecha się szeroko Standish, pewnie się teraz potoczą głowy.

Yul szybko dochodzi do siebie. Czego tu szukasz, napiera.

Pozwól, że wpierw opowiem, czego ty szukasz, mówi Muli. Bo okazuje się, że ciebie interesują spiski, podziemne organizacje, różne milicje, ta cała prawicowa amerykańska paranoja. Kto wie czemu. I zjawiasz się startować po pamiętki po

pewnej zdechłej imigranckiej konspiracyjnej grupce, która pętała się kiedyś i pisała ludziom na murach TRUMNA. Ten Róg Uderzy Mocniej Niż Ajit. Jako logo mieli trąbkę. Coś pięknego.

Straciłeś rozum, w porządku, twoja sprawa, Singh już odzyskał równowagę, kontratakuje. Lecz bądź tak dobry i pozwól, że ci objawię prawa wszechświata. Prawo Disneya: nie robi się myszy w chuja. Z moim uzupełnieniem: ani takiej mendy jak ja. A teraz prawo sir Isaaca Newtona: każda akcja powoduje równoważną reakcję. Tylko że to było dawno, zanim wymyślili telewizję, do tego w Wielkiej Brytanii. Więc mówię nie, proszę pana, reakcja nie będzie równoważna, jeśli ja mam z tym do czynienia. Robisz mnie w chuja, proszę bardzo, to ja cię zrobię w chuja do kwadratu, a przy okazji wyjebię ci nieletnią siostrzyczkę. Ten róg uderza mocno, masz rację, przy czym, wyobraź sobie, ja akurat grałem na klarncie. Czyli mamy taki układ. Prawo nad prawami. Orzeł, Yul wygrywa; reszka, ty przegrywasz.

Miło się gawędziło, mówi Standish i wychodzi: rozmyślnie powoli jak matador, który odwrócił się do byka plecami. Niejedną corridę wygrywa się pogardą. Chociaż, też bywa, róg może zadać cios w plecy.

Sądowa wojna między dwoma najlepiej ubranymi mężczyznami wszechświata muzyki, legendarnym szefem Kolchidy a menedżerem superkapeli VTO, wstrząsa całą branżą. Walka toczy się za pomocą broni, której nazw angielszczyzna nie zna, na paragrafowym polu bitewnym równie zagadkowym jak księżycowe morza. Standish angażuje ekipę hinduskich prawników i wyprawia przeciw Kolchidzie całe floty skarg, wystrzeliwuje arsenały pozwów. Firma płytowa odpłaca pięknym za nadobne. Obaj są jak walczące pająki, a muzyka VTO wydaje się muchą uwięzłą w lepkich sieciach.

Wina pyta Standisha: Czy nie moglibyśmy się, no nie wiem, jakoś ułożyć?

Nie, brzmi odpowiedź Mulla.

To się nigdy nie skończy, mówi Ormus.

Właśnie, zapewnia Mull. Posłuchajcie, mówi. Próbujemy tu wygrać wojnę po prostu przegraną. On ma wasze podpisy, nam pozostaje tylko nękanie. Jeśli będzie dostatecznie dotkliwie i potrwa dostatecznie długo, jeśli uziemy dostatecznie duże sumy jako przedmiot sporu, to w końcu musi się do stołu i jakoś się ułożyć.

To wszystko? - pyta rozczarowana Wina. Nie możesz wydusić więcej?

Wszystko, z kamienną twarzą odpowiada Standish; i hinduscy prawnicy. Mistrzowie odroczeń. Dla tych facetów sprawa *Jarndyce v. Jarndyce* to spacer.

Prawdziwi maratończycy, i Yul o tym wie. Złoci medaliści kruczków.

Co będzie, jeśli, zaczyna Ormus, a Mull go osadza.

Szeroki gościniec prowadzi przed frontowe wejście, mówi Muli. Ale może się znajdzie ścieżynka do drzwi kuchennych. A ona, zresztą lepiej nie pytać. Bo może nigdy się nie znajdzie; w każdym razie nie teraz.

Sprzedaż albumu *Quakershaker* - wydanego przez Ormusa w Muscle Shoals i Montserrat samodzielnie; noga Singha nie przekroczyła progu studia - sięga dwudziestu milionów egzemplarzy, a dochód co do centa ląduje w sądowym depozycie. Singh zaprasza Standisha (który wydatki na życie Ormusa i Winy pokrywa zaliczkowo z własnej kieszeni) do nowojorskiego biura, kiedy Muli skończy europejską podróż, *żeby po prostu pogadać*. Na tydzień przed spotkaniem władze przypuszczają atak na Ormusa i Winę.

Muli Standish nie należy do ludzi, którzy wierzą w takie zbiegi okoliczności. Angażuje jeszcze więcej prawników, hinduskich i nie, ale to on zza kulis koordynuje działania. Im większe trudności, tym więcej w nim energii, więcej precyzji. Organizuje solidarnościowe koncerty w salach Fillmore, Wschodniej i Zachodniej. By wesprzeć Ormusa, śpiewają Dylan, Lennon, Joplin, Joni, Country Joe and the Fish. Za prawość i walory Ormusa ręką przed sądem burmistrz Lindsay Dick Cavett i Leonard Woodcock, prezes związku zawodowego transportowców. Zostaje wniesiona sprawa o ujawnienie całej dokumentacji i o uchylenie decyzji urzędu imigracyjnego. Do samego zaś urzędu imigracyjnego zostaje skierowane odwołanie.

W lipcu 1974 przegrywają apelację. Ormus znów ma sześćdziesiąt dni na opuszczenie kraju, w przeciwnym razie zostanie wydalony siłą.

W czasach tej wojny nie wychodzą nowe nagrania VTO.

Ormus zaszywa się w Rhodepe Building, a jeśli coś pisze, to nikomu o tym nie mówi, nawet Mullovi, nawet Winie. Między Winą i Standishem, zakochanymi w Ormusie, wytwarza się zaskakująca zażyłość, przyjaźń, oparta po części na tym, że Ormus obojgu z nich odmawia ciała, a po części na wspólnym umiłowaniu walki. Wina towarzyszy Standishowi na spotkaniach z gejami-przedsiębiorcami w Greater Gotham Business League, wspomaga ich naciski na polityków w sprawie narastających właśnie ataków na społeczność gejowską, zyskując w ten sposób wsparcie GGBL w sprawie Ormusa. Standish i Wina stają się znakomitą parą lobbystów. Angażują Jacka Andersona, którego raport wkrótce ujawni nie tylko to, że narkotyk wykryty po wypadku z braćmi Crossleyami dostał się do krwi Ormusa bez

jego wiedzy, przez podanie zaprawionego napoju, ale i fakt, że z prawa pobytu w Stanach korzysta ponad sto tysięcy cudzoziemców przyłapanych na znacznie gorszych występkach narkotykowych. A raport sprawia, że kongresmen ze stanu Nowy Jork, nazwiskiem Koch, wnosi projekt ustawy, dzięki której prokurator generalny USA mógłby przyznać prawo stałego pobytu Ormusowi Kamie. Bardzo powoli wahadło rusza w drugą stronę.

W sądzie apelacyjnym w październiku 1975 roku zostaje uchylony nakaz opuszczenia kraju, a w rok później Ormus Kama otrzymuje prawo stałego pobytu. Znowu ma pod nogami coś w rodzaju trwałego gruntu.

Lecz świętowanie rychło się skończy, jak popremierowa impreza na widok gorliwca powiewającego "Timesem" z miażdżącą recenzją. Jak uśmiech na wargach Makbeta, gdy staje przed nim nie tyle Duch Bańka, ile Bankietu, jak to w pamiętnych słowach ujął Yul Singh. Bo Singh sam stał się teraz widmem nawiedzającym ucztę. Jawnie zatrwożony Ormusowym zwycięstwem, przyjmuje jeszcze twardszą postawę. Spotyka się ze Standishem i zapowiada: Żadnych układów. Potem się okopuje i wdaje w wojnę o uprawnienia, licząc na wzięcie Ormusa i Winy głodem. W końcu to ich pieniądze zablokowano. Bo Singh ma kont pod dostatkiem, i to wszędzie.

Kiedy staje się jasne, że nadchodzą długie lata ciągania się po sądach, Standish zaczyna rozmiękczać dystrybutorów Kolchidy, firmę WEC, tłumacząc, że szlaban na pierwszą kapelę świata oznacza bicie po kieszeni także ich, sprzedawców; takie są skutki zawziętości Singha, jego iście carskiego wstretu, by sięść do stołu i rozsądnie porozmawiać.

Ormus Kama to twardy aparat, zapewnia Mull. Jeżeli trzeba, za ćwierć dolara zaśpiewa na ulicy, ale zniewolić się nie da. Nawiasem mówiąc, czy widzieliście ten numer "Rolling Stone'a" z Ormusem i Winą na okładce, nagimi i w łańcuchach? Kawał promocji, co?

Słuchają życzliwie, ale Yul Singh to gruba ryba i umie przydusić. Do końca bitwy upłynie jeszcze pięć lat. Do roku 1980 Muli Standish wyda większość osobistego majątku, a w oczy zacznie mu zaglądać klęska. Do roku 1980 Muli wyzbędzie się wszystkich kart.

A potem otworzą się kuchenne drzwi i ścieżynka do sukcesu.

W nadirze wojen z Kolchidą Ormus zainstalował w mieszkaniu chlebowy piekarnik, całe dni spędza na wypiekaniu ukochanych bochenków - chrupiącego

białego, razowego ciemnego, bułeczek z czterech mąk - i zniechęca wszelkich gości. W ten sposób zaszywa się w kryjówce. Standish i Wina pod wpływem impulsu postanawiają zaszyć się w innej: Dharamśali w łańcuchu wzgórz Pir Pandźal, w miejscu wygnania Tenzina Giaco, czternastego Dalajlamy, zdaniem Mulla najuczciwszego człowieka na Ziemi. Wina odwiedza Ormusa, by powiadomić o wyjeździe. Ormus mówi wyłącznie o chlebie.

Wciąż są tu z nimi Indie. Trwają; to trzeci motyw wiążący Winę z Mullem. W Delhi wrze. Kipi niezadowolenie po ataku na sikhijskich ekstremistów, którzy, osaczeni, wybrali na miejsce ostatecznego oporu Złotą Świątynię w Amrytsarze. (To była tak zwana terrorystyczna banda Wagahwale; przewodził łysy jak kolano Man Singh Wagahwale, brodaty człowieczek, wykoślawiony przez wciąż żywą pamięć o rzezi, której ofiarą padła jego rodzina podczas masakr Podziału, teraz tragicznie zakochany - jak tylu małych, łysych i brodatych mężczyzn na całym świecie - w marzeniu o mikropaństewku, które można nazwać własnym; o małym obozie, wokół którego wzniesie własne fortyfikacje i nazwie to wszystko wolnością.) Terrorysty już nie żyją, ale ceną za świętokradztwo, którego dopuściła się armia indyjska, szturmując najświętsze miejsce sikhów, wciąż są wstrząsy. Ludzie boją się odwetów, kontrodwetów i tak dalej; znana żałosna spirala. Nie takich Indii pragną Wina czy Muli. Spieszą do podnóży Himalajów.

Hindusi - ściślej Hindusi z równin - na widok śniegu zachowują się jak dzieci; śnieg wydaje im się substancją z innego świata. Piętrzące się góry, bezpretensjonalność drewnianych domów, ludzie, którzy wydają się wolni od wszystkiego poza najprostszymi dążeniami na ziemi, rozrzedzone, przejrzyste powietrze, czyste jak wlatujące dyszkanty chłopięcego chóru, chłód, a nade wszystko śnieg: te zjawiska otwierają najbardziej wyrafinowanych mieszczuchów na to, czego normalnie nie cenią. Na dźwięki dzwoneczków, zapach szafranu, powolność, kontemplacyjność, ciszę.

(W owych dniach był też Kaszmir. Teraz pokój w Kaszmirze został zdruzgotany, może na zawsze - nie, nie ma żadnych na zawsze - lecz pozostaje Dharamśala.)

Wina znowu się przekonuje, że w towarzystwie Mulla Standisha wcale jej nie przeszkadza granie drugich skrzypiec. Początki tybetańskiego buddyzmu w naukach indyjskich mistrzów mahajany, powstawanie różnych sekt, wybicie się Żółtych Kapeluszy, doktryna czterech szlachetnych prawd: Muli w tych i innych sprawach jest

niewyczerpanym źródłem wiadomości. Wina chłonie. Przed laty Standish poznał samego Dalajlamę i wówczas wykształcił w sobie szczególne przywiązanie do bóstwa imieniem Dordże Szugden, które przemawiało do Giaco, jak zapewniano, poprzez będącego w transie mnicha, i to ono wskazało tajemną drogę, którą Dalajlama uciekł przed chińskimi zdobywcami Tybetu i trafił do Indii.

Dordże Szugden ma troje czerwonych oczu i miota błyskawice. Ale jest jednym z Opiekunów; sądząc z wyglądu gniewnym.

Niestety, podczas tej podróży nie ma mowy o audiencji u Wielkiego Lamy, bawiącego za granicą, lecz Standish zamierza odprawić rytuał należny Szugdenowi; Muli także szuka drogi.

Pyta Winę Apsarę, czy chciałaby współuczestniczyć w obrzędzie.

W porządku, mówi Wina. Czemu nie. Skoro już tyle przejechałam.

W takim razie będziemy bratem i siostrą wadźra, mówi Standish. Wadźra to coś niezniszczalnego, piorun, diament, więź najmocniejsza, jak więź krwi.

Ale u drzwi zaniedbanej świątyni Szugdena czeka na nich ze złą nowiną Otto Wing. Z ogoloną głową, w długiej szacie, wzór wyznawcy najwierniejszego z wiernych - tylko grube okulary w ciemnych oprawkach przypominają tamtego Ottona, który wieki temu zabawiał się z Ifredis w Tempe Harbor - Wing zawiadamia Standisha karcącym tonem, przez zasznurowane wargi, że Dalajlama zerwał z Dordże Szugdenem. Mistrz potępia teraz to bóstwo i zniechęca jego czcicieli. Twierdzi, że kult Szugdena odciąga od samego Buddy. Szukać pomocy na zewnątrz u takich duchów jak Szugden to odwracać się od Buddy; to niewdzięczność. Nie powinieneś się tu modlić, poucza Wing wstrząśniętego Standisha. Droga do czterech szlachetnych prawd już tędy nie wiedzie.

Zjeżeni mnisi Szugdena przyznają, że to prawda. W raję nastąpił rozłam. Tybetański buddyzm zawsze miał ciągoty do sekciarstwa i oto kolejny podział zaczyna się poszerzać. Standish jest tak zbrzydzone, że postanawia wyjechać. Otto Wing uwija się, bzczy, przekonuje, że powinni razem pomedytować, ale Standish go przepędza. *Mc z tym nie mamy wspólnego.* Czyli: już nie przynależę. Nawet w tym niebie nie mogę odnaleźć pokoju.

Zaledwie dotarli w góry, już muszą pakować się do ślamazarnych autobusów, do pociągów wiozących ich w żar miasta. Wina towarzyszy Standishowi, bo widzi na jego twarzy wyobcowanie, które każe się lękać o niego. Walczył tak zażarcie i tyle stracił: dzieci, złudzenia, pieniądze. Wina się boi, że Muli może nie przetrzymać tego

ostatniego ciosu.

Zastają Delhi rozpalone do białości. Sikhijscy goryle dokonują poczwórnego mord; giną Indira Gandhi, jej obaj synowie i coraz potężniejsza postać życia politycznego, śri Pilu Dudhwala. Na sikhijską ludność Delhi spadają straszliwe represje. W powietrzu cuchnie mordem. Wina z Mullem meldują się w starym hotelu Aśoka, gdzie siedzą razem, wstrząśnięci, nie wiedząc, co począć. I oto rozlega się pukanie do drzwi. Pracownik hotelu w firmowej czapce wręcza Standishowi grubą kartonową teczkę, szczerze obwiązaną włochatym sznurkiem. Zostawił ją w recepcji jakiś mężczyzna, który nie podał nazwiska. Nieznany jest także rysopis. Ale po licznych zachętach recepcjonista w końcu nie wyklucza, że posłaniec zjawił się w szafranowobordowej szacie tybetańskiego mnicha. Przez hotelowy hol przewinęli się także członkowie idącego w rozsypkę "światnodworu" Pilu Dudhwali; może nawet widziano - co jednak trudno potwierdzić - pogrążoną w boleści wdowę po wielkim człowieku, samą Golmatol Dudhwale.

W tym czasie wrzenia nie tylko Wina, lecz nawet Muli gotowi są dać posłuch niemal każdej plotce, uwierzyć w każdą możliwość; nawet taką, że dostawcą pakietu nie jest śmiertelnik, lecz bóstwo, które - w godzinie niełaski - poczuwa się może do powinowactwa z VTO w obecnym położeniu; może bezcenny dar przesłał im w swej mądrości sam Szugden Opiekun.

W pakiecie znajdują się niezbite dowody - w formie kopii dokumentów z podpisami, czeków itepe, których zgodność z oryginałem, co do jednej, jest najpoprawniej potwierdzona notarialnie - że sławny, na stałe przebywający za granicą Hindus, pan Yul Singh, ten sam, który tak się interesuje amerykańskimi podziemnymi kultami i grupkami, Yul Singh, niedościgniona postać rock and roilla, zawsze przedstawiający się światu jako skrajny kosmopolita, całkowicie zeświecczony i zokcydentalizowany, ów boss Yul, Coolest of the Cool, YSL, jest od lat nabywcą bomb i broni palnej, tajnym sprzymierzeńcem i, krótko mówiąc, jedną z finansowych podpór nacjonalistów sikhijskich, ściślej ich terrorystycznego odłamu, a jeszcze ściślej: kultu Wagahwale, którego przywódcy niedawno zginęli w Amrytsarze, a teraz domagają się z za grobu straszliwej pomsty za szturm.

Czyżby nowy wątek pośmiertnej zemsty Pilu na jego mordercach?

Wina i Muli siedzą w chłodzie klimatyzacji i wglębiają się w ten dar, który Indie - największe ze wszystkich *deorum ex machina* - rzuciły im, zdumionym, w dłoń. Na dworze, zaledwie o parę kilometrów dalej, krwiożerczy tłum urządza odwetową rzeź

niewinnych sikhów; a tłuszczą kierują przedstawiciele rządzącej partii.

Dar wprawia Standisha w takie uniesienie, że ów niezwykle wybredny człowiek, jeden z najrozumniejszych pod słońcem, pozwala sobie na uwagę, która w tych okolicznościach może uchodzić za pomnik złego smaku.

Im lepiej znam Zachód, mówi, tym wyraźniej widzę, że to, co w życiu najlepsze, przychodzi ze Wschodu.

Kiedy w lesie pada wielkie drzewo, można zarobić, sprzedając opał. Standish po powrocie do Nowego Jorku przesyła Singhowi pocztą wybrane fotokopie - dla zachowania dyskrecji na adres domowy - i oto władca płytowego imperium zaprasza na drinka na Park Avenue; wychodzi na spotkanie do windy, bez śladu urazy. Z miejsca przyznaje: Rozłożyłeś mnie na łopatki. Można powiedzieć: dobra robota. Tym dzieciakom wciąż powtarzałem, że dla nich jesteś dobrą wróżką. Człowiek nosi wiele masek, a tylko nieliczni umieją je ściągnąć do skóry, do kości. Przestępcę i detektywa, szantażystę i ofiarę łączą związki tak bliskie, że niewiele małżeństw stać na głębsze. To więzy stalowe.

Więzy wadzra, myśli Standish. Pioruny i skały.

W domu pocztę czytuje mi żona, dodaje Yul Singh, więc nie muszę wyjaśniać, że wszystko wyznałem, i żona jest na bieżąco. Prowadzi Standisha do ogromnego pokoju, którego ściany uwodzą zakochanego w Indiach przybysza: srebrny słoniowy czaprak rozpostarty i oprawiony, małe brązowe posążki tańczącego Siwy; gandharskie głowy. Marie-Pierre d'Illiers stoi nieruchomo w drugim końcu pokoju, w ręce kieliszek, rurka szampana. Kok ciemnych, ciasno zebranych włosów opada z tyłu na długą, już nieco wychudłą szyję. Marie-Pierre jest wysoka, szczupła, całkowicie opanowana, nieprzejednana. Sprawia, że Standish czuje się kimś, kim zapewne jest: szantażystą, gorzej, złodziejem grabiącym ją z wszelkiej radości. Chcę rozstrzygnąć tylko jedną kwestię, monsieur Standish, mówi z lekkim akcentem. Pan i te pańskie oskarżenia będą nas kosztowały fortunę, prawdziwą fortunę, niewyobrażalne bogactwo. (Słowa kwestia i fortuna wymawiane są po francusku.) Pytanie brzmi: czy kupi pan moje krowy po przystępnej cenie? Zawsze czułam odrazę do tego, że żyliśmy z mleczarstwa, ale w końcu zakochałam się w naszych holsteinach. Jestem pewna, że pan się doskonale nadaje do tej branży. Dojenie i tak dalej.

Krótki uścisk rąk niewidomego męża i wszystkowidzącej żony. Czas przeszły zdań Marie-Pierre brzmi w uszach Standisha jak klangor dzwonu żałobnego; w tym

momencie Muli się domyśla, jakie zamiary wyjawiał Singh żonie i co przyrzekła w odpowiedzi.

Proszę, tędy; Yul doprowadza Mulla do stołu zasłanego papierami. Działanie dokumentów sięga wstecz, a warunki przewyższają wszystko, na co może dziś liczyć jakikolwiek wykonawca na świecie, i uwzględniają korzyści płynące z prawa pobytu w tym kraju. Proszę, nie śpiesz się i popraw, gdzie zechcesz.

Przeczytawszy wszystko, Standish sięga po pióro i raz po raz podpisuje. Obok wcześniejszych podpisów Yula Singha.

Podnosi się do wyjścia.

Czy teraz nie wyłania się możliwość, szepcze Marie-Pierre d'Illiers, jakiegoś załatwienia sprawy tych dokumentów?

Byk czeka na kolanach na litościwe dobitcie.

Nie, mówi Standish. Przykro mi. Proszę zrozumieć: tutaj ktoś się mną tylko posłużył i nie wiem, kim jest ten sprawca. Jeśli nie kiwnę palcem, na pewno wyciągnie na jaw te papiery w inny sposób. Więc nic nie wskóram. Lecz jeśli chodzi o mleczną trzodę, owszem, jeżeli cena będzie rozsądna, jesteśmy zainteresowani.

Zostawia ich; długie ujęcie trwa i trwa, w głębi wielkiej komnaty ich życia tych dwoje popija szampana Cristal jak truciznę. Jak cykutę, myśli Standish, kiedy zasuwają się drzwi i winda rusza na dół.

Nazajutrz zostaje wydany komunikat o ich śmierci (przedawkowanie tabletek nasennych). Ogromne i pretensjonalne nekrologi, jakby chodziło o wielką gwiazdę. Na znak szacunku wobec muzycznego geniusza, który opuścił ten świat, wiadomość o zakończeniu sporu VTO z wytwórnią Kolchida jest wstrzymywana przez całe dwa tygodnie.

Co ciekawe, do publicznej wiadomości nie przedostaje się treść dokumentów sikhijskich, chociaż w pożegnalnym liście do zarządu Kolchidy Yul Singh zarysował ich zawartość, wyjaśniając zarazem motywy swego postępowania. Ale upowszechnienie tych wyznań nie przysłużyłoby się interesom firmy. Standish postanawia zachować dla siebie to, co wie; z kolei nikt się nie kwapi, by go wyręczyć w mówieniu. Najwyraźniej śmierć Yula zaspokoila sprawcę. Pościg ustaje nad grobem.

W Radosnej Wyspie Sama przez cały miesiąc boks Yula Singha stoi pusty, a doborowa kohorta Singhów chroni go przed wtargnięciem jakiegoś głupca czy ignoranta. W ciągu tego miesiąca personel wciąż się upewnia, czy są na miejscu

manhattan z lodem oraz grube cygaro cohiba; czy czekają obok Yulowego nieobecnego łokcia.

A potem życie miasta toczy się dalej.

14. Totalna katastrofa

Smutniej, zanim radośnie. Muli Standish nie nacieszy się wielkim zwycięstwem; nie zdąży. W 1981, w wigilię swego zniknięcia pracuje do późna w biurze, a o północy dzwoni do Ormusa i Winy, by zmyć im głowy. Standish, który nigdy się o nic nie dopominał, ruga oboje za tę ich miłość zawieszoną, zamrożoną, a wymazującą jego własną. Już prawie upłynęło tych dziesięć lat, najwyższy czas, żebyście się przestali wygłupiać. Mówi Ormusowi: Twoją niezdolnością odwzajemnienia moich uczuć nikt się specjalnie nie przejmuje prócz mnie; na szczęście umiem z tym sobie radzić. (Nie, nieprawda, nie umie, ale stoicko znosi ból, jak przystało na angielskiego dżentelmena, którym nie jest; napięta górna warga to właściwość nabyta, pochodna ulubionych garniturów z Savile Row.) Lecz roztrwonienia resztek takiego ogromnego majątku, waszej miłości, kiedy zmarnowaliście już tyle czasu, tego wam nie wybaczę, gromi. Dzwoniąc do Winy, dodaje: Zawieszenie mnie dobija. To chcesz, to nie chcesz, a tak, a nie. Mówię wyraźnie, ruszcie, cholera jasna, w tany. I pozwól, że coś dodam, jeżeli tego nie zrobicie, rozczarowanie może zabić także mnie, a jeśli zabije i jeśli na końcu tego sławetnego tunelu jest jakieś światełko, to może wróćę i rozjarzę je wam przed oczami. Jeśli będę was musiał straszyć, żebyście zrobili coś sensownego, to trudno, znajdę sobie białą szmatę i zawyję.

Nazajutrz bogactwo tego życia zostaje sprowadzone do ostatecznej nędzy miejsca zbrodni: zdemolowane biuro, powybijane szyby, nieobecność. Trochę krwi na dywanie, niewiele; może z nosa. Złamana laseczka. Zaskakujące, bo w otwartym notesie na biurku można przeczytać coś w rodzaju listu pożegnalnego. *Najczęściej do samobójstw dochodzi na wiosnę. Kiedy świat oddaje się miłości, jej brak najmocniej rani.* Z jakiej racji człowiek miałby napisać taką notkę, potem spustoszyć własne biuro, walnąć się w nos, złamać laskę, a potem zniknąć bez śladu? To nie żaden list samobójcy, mówi Wina policjantom, tylko zapis w dzienniku. Rozmawiał z nami przez telefon o miłości i pewnie posmutniał. Ale to nie człowiek, który odbiera sobie życie. Uwielbia walczyć, urodzony zwycięzca.

Po wstępnych wahaniach właśnie ta wersja zostaje uznana za najbardziej prawdopodobną: uprowadzenie i przypuszczalnie morderstwo. Podejrzenia ogniskują się na pewnym porzuconym kochanku, lecz nie wychodzą na jaw żadne bezsporne

dowody, nikt nie przesyłał w porannej gazecie ryby; nikomu nie postawiono zarzutów. Nie odnaleziono też ciała. Musi upłynąć trochę czasu, zanim Muli Standish zostanie oficjalnie uznany za zmarłego, a Waldo Crossley, nierozgarnięty ogrodnik Spenty, stanie się człowiekiem naprawdę bogatym.

(Kiedy wieść o zniknięciu Standisha dotrze do białej rezydencji na wysokim brzegu nad wiejskim biegiem Tamizy, lady Spenta Methwold wpakuje Ardawirafa i Waldo na tylne siedzenie mercedesa i będzie przez trzy godziny jeździć bez celu po okolicznych drogach i drożynach. Jest już starą kobietą, oboje oczu pokrywa jej bielmo, więc to jazda jak w końskich okularach, do tego Spentę oślepiają gromadzone przez całe życie łzy, stalaktyty bólu. W miejscowości Fawcett w hrabstwie Buckingham przejeżdża znak podporządkowania i w tym momencie najeżdżają na nią, z obu stron jednocześnie, mitsubishi 4WD ze zdumionymi żonami miejscowych farmerów za kierownicami. Do wypadku dochodzi przy minimalnej szybkości, nikomu nie dzieje się nic poważnego, blokują się tylko drzwi mercedesa. Spenta bez słowa przeprosin rusza do najbliższego warsztatu, gdzie mechanicy rozcinają karoserię, a cała trójka w środku cierpliwie czeka na uwolnienie. Wracają taksówką, a kiedy Spenta staje we frontowych drzwiach domu, oznajmia Wirusowi i Waldo, że to była jej ostatnia podróż; odtąd Spentę przestaje obchodzić świat za drzwiami. *Chcę zwyczajnie siedzieć i rozmyślać o tych, którzy odeszli, a wy, nasi synowie, zatroszczycie się o mnie.* Potem wzywa lekarza i odwołuje zaplanowaną operację usunięcia katarakty. Ograniczone, tunelowe widzenie zupełnie wystarczy. Nie ma ochoty oglądać rozległych widoków.)

Standish wybył i kropka. Ormus i Wina patrzą z wysokiego okna na park, gdzie roztańczyła się wiosna. I oto jesteśmy tutaj bez rodziny i bez plemienia, utraciwszy największego sprzymierzeńca, mówi Ormus. Zostaliśmy teraz tylko ty, ja i dżungla. Czy wszystkiemu, co nas spotka, najgorszemu i najlepszemu, możemy stawić czoło wspólnie? Co powiesz? - pyta Ormus. Dotrzymasz słowa?

Tak, odpowiada Wina. Wyjdę za ciebie. Spędzę z tobą resztę życia i będę cię kochać, to wiesz. Lecz nie proś o wierność, o klasę hifi. Bo nie jestem taką dziewczyną. Przeciwnie, moja klasa wierności to lofi.

Cisza. Ramiona Ormusa opadają; to skutek miłosnego porażenia, nieme poddanie się. Tylko nic mi nie mów, odzywa się wreszcie. Po prostu nie chcę wiedzieć.

Lubię wspominać Winę Apsarę z tych ostatnich lat, z czasów małżeństwa, jej najszczęśliwszych, kiedy stała się najczęściej śnioną kobietą świata, ukochaną już nie Ameryki, jak Mary Pickford wieki temu, lecz całej stęsknionej planety. Wina po trzydziestce, w pełni rozkwitu, przemierza Drugą Aleję, płynie w powietrzu, nurza się w woniach tajskich, indochińskich i indyjskich potraw, mija afrykańskie ozdoby i wyplatanki, batikowane sukienki. Dawno pożegnała się z afro, chociaż jej długie włosy nigdy nie przestały się kręcić; minęły też czasy potrząsania zaciśniętą pięścią. Starzy kumple od zaciśniętej pięści teraz, w tym społeczeństwie sukcesu, stali się spasionymi jak kocury republikanami lub macherami od tandety, których projekty erotycznych dzinsów - naszyty koło rozporoka, idiotycznie dyndający sączek na penisa - zasypywały rynek, zanim zdążyli wstać od rysownicy. Co było, to było, mawiała Wina, nie roztkliwiając się nad dawnymi czasami, a z echem skargi w głosie dodawała, że - choćby stanęła na głowie, biorąc nawet pod uwagę przejścia z młodości z Marion Egiptus i nawet lata molestowania przez taksówkarzy i policjantów - nigdy nie doświadczy setnej części bezprawia i cierpień, jakich na tle rasowym zaznali jej afroamerykańscy przyjaciele. *Nie oszukujmy się, Raj, to nie nas tu brano na muszkę.* Fakt, przyznawałem, nie dopowiadając, bo po co, że na swój sposób skórę wybiela także sława.

A mechanizmy sławy Wina rozumiała na wylot, jak nikt. W tych czasach przemierzały już firmament pierwsze gwiazdy-mieszance: O. J., Magie i inni, których talent sprawił, że ludzie stawali się ślepi na kolor skóry, rasę, dzieje. VTO należała do najwyższej notowanych członków tej elity, której istnienie Ormus zawsze uważał za oczywistość, rzecz najnaturalniejszą i najwłaściwszą na świecie. Lubił cytować biologów, genetyków. Istoty ludzkie są niemal identyczne, mawiał. Różnice rasowe, ba, różnice płci to w oczach uczonych ledwie ułamek ułamka tego, czym jesteśmy. Procentowo rzecz naprawdę bez znaczenia. Natomiast Winie nigdy nie dawało spokoju życie w rygorach skóry. Wciąż nachodziły ją koszmary senne, w których matka w asyście ojczyma tłumaczy komuś z władz wirginijskiej szkoły, że córka nie jest czarnuchą, ale na wpół Induską; nie, nie Indianką, jakąś czerwonoskórą Pocahontas; Induską z owych dalekich Indii ze słoniami, radżami, tym sławnym Tadz Mahalem, które to pochodzenie sprawia, rzecz jasna, że miejscowe fanatyzmy nie dotyczą jej córki, za to uprawnia ją do jeżdżenia żółtym autobusem szkolnym białych dzieci. Winie śnił się też linczujący motłoch, płonące krzyże. Jeżeli kogoś mógł gdzieś osiągnąć ten horror, pewnego dnia może dopaść i ją.

Pamiętam Winę płonąca owym ciemnym płomieniem dojrzałej piękności, obnosząca na serdecznym palcu klejnot darowany przez innego i platynową obrączkę, a także ten jej ukochany selenit na prawej ręce. Jestem przekonany, że nie miała pojęcia, jak mnie rani, kiedy brała mnie na spowiednika i leżąc w moich ramionach, opowiadała o sobie i Ormusie, nie oszczędzając mi dosłownie niczego. Teraz, kiedy już byli po ślubie, umiała trochę powściągać język, przynajmniej publicznie, i nienasycony świat skutecznie trzymała z dala od prywatności małżeńskiego łóżka, mocno jednak odczuwała potrzebę mówienia do kogoś, tymczasem mimo całej tej jej teologii wyzwolenia nie miała bliskich przyjaciółek. Więc byłem jej tajemnicą, której zwierzała się z tajemnic. Miała mnie.

W początkach lat osiemdziesiątych przeprowadziłem się o parę przecznic na północ, by połączyć siły z trzema partnerami (Agencję Nabuchodonozor porzucili Mack Schnabel, AimeCesaire Basquiat i Johnny Chow, a był to bunt przeciw nałogowemu już trzymaniu na coraz krótszej smyczy nabuchodonozoriańskich artystów); wspólnie kupiliśmy starego kolosa na tym zielonym kawałku Wschodniej Piątej Ulicy między Drugą Aleją a Bowery, naprzeciw biur "Voice" przy Cooper Square. Ogromna nieczynna hala tanecznomuzyczna nazywała się Orpheum; nazwa wyczarowywała wspomnienie bombajskiego kina rodziców, ścisła za gardło i sprawiała, że nie miałem wyboru, nie mogłem się uchylić od udziału w nabyciu sypiących się murów. Zakup i odnowienie kosztowały więcej, niż kiedykolwiek zamierzałem wydać na mieszkanie, ale trafiliśmy dobrze, to był początek koniunktury na rynku nieruchomości, więc na papierze szybko osiągnęliśmy zysk, chociaż nikomu z nas nie śniła się wówczas sprzedaż. Urodzeni włóczędzy, czwórka ludzi, którzy spędzili życie na pętaniu się po świecie, żywiliśmy dziwne a mocne przekonanie, że oto we wnętrznościach naszego białego wieloryba znaleźliśmy prawdziwy dom. Co do mnie, wylądowałem na najwyższym piętrze w ogromnym pomieszczeniu ze studiem i tarasem na dachu. Był też dodatek - na prawach współwłasności - przepaścista dawna sala, ogrom mogący służyć za studio, halę muzyczną lub galerię.

W holu wejściowym widniało wryte w kamieniu łacińskie motto. *Venus significat humanitatem*. Czyli miłość świadczy o naszym człowieczeństwie. Wszystkich nas przygotowano do życia właśnie w tym duchu.

Świetnie. Tak się to właśnie odczuwa, pomyślałem: korzenie. Nie te, z których wschodzimy, nie mając na to wpływu, lecz te, które zasadzimy sami w ziemi wybranej,

po bezwzględnej selekcji. Nieźle. Wcale nieźle. Zacząłem myśleć o dłuższych pobytach w domu, lecz z drugiej strony pewien motyw, którego zabrakło trzem pozostałym buntownikom, skłaniał mnie wciąż do podróży; po części podróżowałem, by uciec od nieobecności Winy. Byle dalej od mosiężnego łóżka, w którym jej nie ma; tego pustego łóżka, w którym prześladują mnie wspomnienia o chwilach, kiedy ona zjawia się, zwykle bez uprzedzenia, by mi przypomnieć, dlaczego nigdy się nie ożeniłem, i by świadomość naszego nieszczęsnego związku uczynić czymś (prawie) wartym bólu.

Wina przeprowadziła się na północ, do superapartamentu Ormusa w Rhodope Building, teraz powiększonego, “żeby sobie nie siedzieć na głowie”, dzięki odblokowanym, wręcz nieograniczonym funduszom zamienionego w zespół czterech osobnych mieszkań. Tęsknotę za duchami zagnieżdżonymi w starym domu przy Canal Street Wina wynagrodziła sobie susem na rynek nieruchomości. Zaczęła skupować historyczne domy wzdłuż całej East Side, czasem nie wiedząc, jak wyglądają. Zobaczyłam na planie i poczułam, że to coś fajnego. Zresztą, zapewniała, czasem się konsultuję z numerologami. I właśnie taka pozostała do końca: dziwna kompozycja znakomitej inteligencji i idiotycznych przesądów jej czasu. Pokochała Orpheum, przepadała za opalaniem się nago pod iskrzącą się iglicą Chrysler Building i, po przeciwnej stronie, gigantycznymi szarymi megalitami World Trade Center. Blżej domu czuwała na marsjańskich łapach ciemna wieża ciśnień. Jak rakieta, fantazjowała Wina. Spójrz na to miasto. Na dachach cała flota rakiet. Odleca, grabiąc nas z wody; rykną silniki, rozniosą miasto w strzępy, a rakiety wystartują, zostawią nas w ruinach miasta jak na pustyni, wydanych na śmierć z pragnienia. Winę ciekawiły apokalipsy. Ulubionymi kawałkami były szurnięty bestseller Velikovsky'ego *Zderzenie światów* z dalszym ciągiem, *Chaosowiczem* i opisaną tam teorią “kosmicznego katastrofizmu”, nowa powieść eschatologiczna Johna Wilsona i wreszcie ten toporny zimnowojenny *Film Niebezpieczeństwo*. Teraz można zrozumieć, dlaczego polubiła też *Władcę Pierścieni*. Bo i tam chodzi o koniec świata, który jednak, dziwna rzecz, jest swego rodzaju happy endem.

Naprzeciw Orpheum, po drugiej stronie ulicy nowojorsey buddyści prowadzili lokalik kawowowegetariański. Kawa była w porządku, wegetarianizm chwalebny, lecz Winę po powrocie z Dharamśali zaczął wkurzać wszechobecny w centrum miasta klangor buddyjskich dzwoneczków. Całym sercem była za szlachetnymi prawdami, lecz wcale jej nie zachwycało, że dzisiejsi naśladowcy Buddy - bogatego i potężnego księcia, który wyrzekł się władzy i bogactwa, by doznać iluminacji już jako żebrzący

starzec - wywodzą się z najbogatszej i najpotężniejszej klasy w najbogatszym i najpotężniejszym mieście, należącym do najbogatszego i najpotężniejszego narodu na ziemi. Dzieciaki w lokaliku były przemiłe, żadną miarą miliarderzy, lecz z drugiej strony nie chodziły z żebraczymi miseczkami, nie sypiały na ziemi, a ich buddyjscy współwyznawcy, śmietanka artystycznej Ameryki, najwyraźniej posługiwali się bardzo szczególną definicją życia prostego i Drogi. Wina nie była pewna, jak daleko posuwa się proces wyrzeczeń, lecz, powiedziała, gdyby Dalajlama zechciał, a konstytucja przecież nie zabrania?, mógłby przy takich zwolennikach próbować zostać tu prezydentem, a przynajmniej burmistrzem Nowego Jorku. Wina już przygotowała muzykę na kampanię wyborczą. *Hello Dalai. LamaLamaDingDong*. Jeśli kogoś zawiodło poczucie humoru i usiłował ją przyprzeć do muru, przyznawała, że popiera Dalajlamę w walce z Chińczykami, któż by nie popierał, ale zmuszanie do takich deklaracji drażniło ją. Z zasady nie chodziła w nogę, w szeregu, wolała szyderstwo. Wolała sprawiać wrażenie surowszej, bardziej nieczulej, niż była. I dziwne, bo nikogo nie zwiodła. Jej maniera grania twardziela nie przesłoniła ludziom oczu, nawet im się to podobało, więc im bardziej bezceremonialnie nadawała, im bardziej starała się być osobnikiem radykalnym i wyobcowanym, tym dogłębniej ją kochano.

Wciąż słyszała zew Indii i nie mogła pojąć mego postanowienia, żeby nie wracać. Ty i Ormus, kręciła głową, ale mam szczęście, poderwać akurat dwóch facetów, którzy się wypięli na swoje stare śmieci. I co? Mam jechać sama? Ze zgrają ochroniarzy?

Posłuchaj, powiedziałem (jej szczerowość dodała sił mojej chęci do zwierzeń), nie ma dnia, żebym nie myślał o Indiach, żebym nie przypominał sobie scen z dzieciństwa: walk zapaśniczych Dary Singha pod gołym niebem, śpiewu Tony'ego Brenta, Nepalczyka Tenzinga machającego ręką z tylnego siedzenia otwartego samochodu przed parkiem Kamala Nehru. Filmu *MughaleAzam*, nagle mieniącego się kolorem w tej wielkiej scenie tanecznej. Legendarnej tancerki Anarkali kroczącej na czele swego zespołu. Tego nieprzerwanego atakowania zmysłów przez kraj, który nie zna rejestrów pośrednich, przez owo kontinuum złożone z samych skrajności. Jasne, że to wszystko pamiętam. To przeszłość; moja przeszłość.

Lecz więź została zerwana. W Indiach dzień w dzień rozprawia się o rzeczach - a bylibyśmy w to wciągnięci - o których my już nie chcemy rozprawiać; nie potrafimy znieść myśli o powtórzeniu jeszcze raz tych samych zmiętoszonych wywodów na temat autentyczności, religii, wrażliwości, czystości kulturowej i deprawatorskich

skutków podróży za granicę.

My, dziwiła się. Więc pewnie też mówisz o Ormusie.

Zgadza się, odrzekłem. A jak myślisz, o czym jest w końcu ta piosenka *Językowy twist*?

(Na pozór jeden z kawałków Ormusa pisanych lekką ręką, niby prosta piosenka o goryczach nastolatka, parę wersów o pragnieniu, parę o rozczarowaniu. Jej krok, jej zapach, jej wzrok, jej słowa; rzuć na mnie okiem, dostrzeż na nowo. Już wiem, że jesteś trochę szalona, Dotknij mnie, śmiało, otwórz ramiona. Gdybyś zechciała, choć nie naciskam, to językami zatańczmy twista; to by była radocha; jak ciebie kocham. Niestety, ogłaszam, że z historii miłosnej nici. Nie przypadł jej do gustu dom, w którym śpię, I guzik ją obchodzi, co czuję i co śnię, Choć mogę dać jej tyle, mówi, spadaj, debilu, Choć maluję jej portret, choć piszę do niej wiersz, Odwraca się plecami i mówi, rób, co chcesz. Więc więcej nie naciskam; z kim innym zatańczę twista, będzie radocha, z kimś, kto mnie pokocha, tak że języki odtańczą twista.)

Myślę, Wino, że jeśli chodzi o nasze znużenie, byliśmy zawsze identyczni; jak w miłości do ciebie, czyli - co tu kryć - w umiłowaniu radości życia w tobie ucieleśnionej. *Vina significat humanitatem*. Oto prawda. To ty.

Cóż, ta przemowa zasługuje na nagrodę, zamruczała Wina, uniosła rękę, sięgnęła po moją głowę i ściągnęła ku sobie, nagiej i wspaniałej u podnóża ślepych drapaczy chmur pod wszystkowiedzącym niebem. W języku hugma pada komenda "przytulmnie", a ja wykonuję rozkaz.

Coś w rodzaju Indii przytrafia się wszędzie, to też jest fakt; wszędzie bywa niesamowicie, przytłaczająco, wszędzie się trafia metamrowie, byle człowiek miał oczy otwarte, a ucho wrażliwe na puls chwili. Dziś od żebraków roi się na ulicach Londynu. Jeśli Bombaj jest pełen ludzi o amputowanych członkach, to co powiedzieć o Nowym Jorku, o licznych okaleczeniach duszy widocznych na każdym rogu, w metrze, w ratuszu? Są tu także ludzie okaleczeni na wojnie, jasne, lecz teraz mówię o przegranych w wojnie z samym miastem, o ofiarach metropolii, z lejami po bombach w oku. Więc nie wódz nas ku egzotyce, wybaw od nostalgii. Nazwisko Dara Singh czytaj tu Hulk Hogan, mów Tony Bennett, nie Tony Brent, kolorowa wersja *Czarodzieja z krainy Oz* robi nierównie większe wrażenie niż cokolwiek z kanonu Bollywoodu. Żegnajcie indyjscy tancerze, Widzajantimala, bywaj gównojadzie Madhuri. Wybieram Kelly'ego. Wybieram Michaela Jacksona, Paulę Abdul, Rogers i Astaire'a.

Lecz, szczerze mówiąc, co noc zaciągam się słodkim jaśminowym zapachem ozonu znad Morza Arabskiego, wciąż wracam do rodziców pochłoniętych miłością do *art dekho* i do siebie nawzajem. Trzymali się za ręce, kiedy zdawało im się, że nie patrzę. Ale, rzecz jasna, zawsze patrzyłem. Patrzę wciąż.

Imprezantka, krzykaczka o żyłce promiskuitycznej i pustelnik, zapatrzony w małżeństwo milczek; w gruncie rzeczy nigdy nie wierzyłem w ten ich ślub, tymczasem związali się, zgodnie z planem. Zaprzyjaźniony z Winą Amos Voight zapewniał, że przesławne dziesięcioletnie narzeczeństwo to tylko zwariowana zgrywa tych dzieciaków, jakiś flirt, może świadczący o wzajemnej skłonności, ale już pogodzony z klęską na tle braku wzajemnego zaufania, czyli braku solidnego gruntu, na którym by mogli urzeczywistniać zamiary małżeńskie. Co więcej, zapewniał, to się świetnie sprawdza w biznesie. Chodzi o rozgłos, moje dziatki, tego nie można kupić: mediów. Z nauk Voighta wynikało, że nie należy czytać wycinków o sobie, trzeba je ważyć; wszystko jest cacy, póki rozgłos przybiera na wadze. I rzeczywiście, w tej historii powstrzymywanej miłości, branej za temat dziennikarskich popisów, tkwił nerw. Nawet w czasach milczenia, kiedy kapela nie nagrywała, uwagę ludzi wciąż przykuwał niezwykle związek Ormusa i Winy.

Współczesna publiczność gruntownie przećwiczyła voightiański cynizm: już nie wierzy w to, co się jej podtyka. Jest przekonana, że za każdym tekstem kryje się podtekst, za każdym jawnym katalogiem - sekretny; że toczy się świat, a równolegle innoświat. Ponieważ Wina podtykała ludziom pod nos swój promiskuityzm, celebrowała go i wykpiwała, wielu nie uwierzyło, że jest "prawdziwy". Owi obywatele wątpili również w Ormusowe dochowywanie wierności. Nieprzeciążone skrupułami dzienniki i magazyny zleciły temat śmietance tropicieli, napuściły na Ormusa nawet zawodowych szpicli, byle wywiedzieć się, z kim Ormus kręci po cichu; lecz psy wracały z niczym. Pragnienie, by sponiewierać niezwykłość, ta pilna potrzeba odrąbania stóp, by całość pasowała do pospolitych ramek, to płód zawiści i nieudolności. Większość, z nas, przekroczywszy progi osławionej gospody Polipemona Prokrustesa w attyckim Korydallos, uznałaby, że proponowane łóżko jest stanowczo za duże. I nocą Prokrustes pochwyciłby nas i rozciągał, wyjących, aż pasowalibyśmy do ramy. Wielu z nas, dręczonych przez wiedzę o własnej małości, odmawia tym paru prawdziwym herosom wielkiego wymiaru.

Ormus, Wina i ja: wszyscyśmy troje ruszyli na Zachód i wysoko na niebie

przeniknęli przez błonę przekształcającą. Ormusa - młodzieńczego wyznawcę tego, co tu i teraz, sensualistę, wielkiego kochanka, człowieka materii, piewę tego, co rzeczywiste - nawiedziła wizja innego świata; przeistoczył się pod jej wpływem w wieszacza, na dziesięć lat w mnicha, samotnika w artdekoracyjnej pustelni. Co do mnie, muszę w końcu wyznać, że i ja przeniknąłem przez błonę. Stałem się cudzoziemcem. Bo mimo szans i przywilejów, które dał mi dom, mimo zdolności zawodowych, fakt porzucenia miejsca pochodzenia umieścił mnie w rzędzie wygnańców, zresztą w roli członka honorowego. Rzecz jasna, pomogły mi Indochiny, niezapomniane Indochiny pełne zapomnianych martwych żółtych, pstryk, i nawałnica bomb w sąsiednim Angkorze, która zrodziła krwiożerczego potwora, Khmera, pstryk, a ten wynurzył się z płomieni jak zły feniks, by wydać wojnę okularom, plombom w zębach, słowom, liczbom i czasowi. (A także aparatom fotograficznym. Podczas tej ucieczki najmocniej otarłem się o zgubę; na równi ze starą sztuczką, niewidzialnością, potrzebny był mi wówczas łut szczęścia. Wypatrzyły mnie i zaatakowały sprzymierzone z Khmerami insekty, nie przejmując się żadnymi moimi czarodziejskimi płaszczykami; potem przeleżałem całe tygodnie złożony chorobą; malarią i cierpieniem ducha, na wyspie Cheung Chau w Hongkongu, cholernie zadowolony, że na tym się skończyło, na powolnym zdrowieniu wspieranym dietą makaronową z dodatkiem przybrzeżnych ryb.)

Z biegiem lat dostrzegałem rękę Potężnej Ameryki twardo opadającą na tyły świata, pstryk, żadną tam pomocną dłoń wyciągniętą nad morzami do przyjaciół, ale pięść Tego-Który-Jest-Potęgą walącą w stolik do gry - twój kraj - i w ten sposób komunikującą, czego i kiedy On chce, to znaczy już, natychmiast, szczeniaku, stój prosto, do ciebie mówię. Wróciłem, pstryk, z angkorańskiej jatki Tuol Sleng, i odtąd przestała mi się wydawać zabawna nazwa studia Amosa Voighta; z przyprawiającego o mdłości Timoru, pstryk, po to by się dowiedzieć, że oficjalnie, zgodnie z zapewnieniami Przepotężnej Centrali, takiego miejsca w ogóle nie ma na ziemi; z Iranu w 1979, gdzie, pstryk, Marionetkowy Władca rzucił swych poddanych w ramiona rewolucji, ta zaś, pstryk, zaczęła ich natychmiast pożerać żywcem; z rozrywanego eksplozjami Bejrutu, pstryk; z upstrzonej rewolucjami bananaramy zwanej Ameryką Środkową, pstryk. Wracałem do domu jak ci żołnierze z filmu Godarda, ze zdjęciami mrocznych cudów świata, z pstrykniętymi stosami ciał i wzgórzami czaszek, wzlatającymi na minach autobusami szkolnymi, z załatwiającymi porachunki mordercami, czystej krwi ludobójcami, głodami, a kiedy otwarłem tę

moją tanią walizeczkę, by pokazać, że dotrzymałem obietnicy, to zamiast ukochanej byli przy mnie redaktorzy graficzni wypytyjący: Panie Merchant, czy kocha pan Amerykę? Ray - nawiasem, czy to jakiś pseudonim? - powiedz nam, Ray, w jakiej mierze jesteś komunistycznym sługusem?

Życie przedziera nas na pół. Ormus Kama - ów niechętny mistyce mistyk, ów bliźniak, który przeżył - utracił sobowtóra gnieźdzącego się w głowie, by w zamian odkryć dwoistość wszechistnienia. Dwoje oczu, którymi widział dwie odmienne istotności, przyprawiły serce i głowę Ormusa o ból. Czymś podobnym był mój los w zderzeniu z Ameryką. Bo Ameryka, w której wiodłem dostatnie życie na zieloną kartę, Ameryka spod znaku Orpheum, w której miłość jest znakiem rozpoznawczym humanizmu, Ameryka na południe od Czternastej Ulicy, wolna jak powietrze, luzblues, zapewniła mi więcej poczucia przynależności niż strony rodzime. Jak każdy głęboko pokochałem także Amerykę wyśnioną, bo ludzie mają głowy nabite Ameryką Piękną, ziemią Langstona Hughesa, nigdy nie istniejącą, chociaż spragnioną bytu. Ale spytajcie resztę świata, co znaczy Ameryka, wówczas ta reszta świata odpowie jednym głosem: Potęga, Władza, chodzi o mocarstwo tak wielkie, że kształtuje nasze życie codzienne, nawet nie wiedząc, że w ogóle istniejemy; które nie potrafi wskazać nas na mapie. Ameryka to nie trzaskanie palcami jazzmana. Ameryka to pięść.

To także coś w rodzaju podwójnego widzenia. Moje bóle serca zaczęły się od niego.

Strefy, w których toczy się walka, nie mają struktury, postać zjawisk i sytuacje wciąż się zmieniają. Bezpieczeństwo, niebezpieczeństwo, porządek, panika, takie i siakie etykiety błakają się, bezustannie przylepiają do miejsc, do ludzi, odlepiają. Kiedy człowiek wynurzy się z tej strefy, ona zostaje przy nim, idzie w trop, jej odmienność nakłada się zupełnie przypadkowo na tę uderzającą stateczność ulic w rodzinnym mieście. Staje się prawdą coby-było-gdyby, człowiek wyobraża sobie wybuchające budynki w Gramercy Park, widzi kratery dziurawiące środek Washington Square, widzi, jak kobiety z torbami pełnymi zakupów użądłone kulą snajpera padają trupem na Delancey Street; robi zdjęcia swego małego skrawka Manhattanu, a na nich zaczynają mu się zwidywać obrazyupiory, negatywowe zjawy dalekich zmarłych. Podwójna ekspozycja, jak Kirlianowskie fotogramy, staje się nowym gatunkiem prawdy.

Zacząłem się wdawać w kłótnie, nawet bójki. Tak jest, ja. W barach, z obcymi, też walczącymi o nic. Słuchałem samego siebie, jak napastliwie truję głosem zgrubiałym z przepicia, który ledwie rozpoznaję - i nie umiałem się powstrzymać. Jakby przemoc, na którą patrzyłem, rozpałała gdzieś głęboko we mnie inną przemoc, replikę tamtej. I oto z głębi mnie, przez pęknięcia osobowości, wydobywają się ognie, zioną z kraterów oczu i ust. Wkrótce po zniknięciu Standisha któregoś wieczoru asystowałem Wini w wypadzie do Xenonu, później do 54. Ormus nie znosił tych lokali, więc bez budzenia podejrzeń mogłem zagrać rolę orszaku. (Poza tym Wina nie umiała wyjść z takich klubów sama, to był swego rodzaju nałóg, przy czym nie dbała, co mogą pomyśleć ludzie.) Była na czarno, ale sukienka nie przypominała zbytnio żałobnej; przeciwnie, na taką okazję byłoby jej stanowczo za mało. Cóż, w 54 znalazł się gość z tłustymi włosami, który błysnął dowcipem, że może to przedwczesne i że zniknięciem Mulla nie ma się co przejmować... Wina odciągnęła mnie w samą porę. Powiedziała, że doświadczam właśnie samczego gniewu, uwarunkowanego płcią, *skoro tracisz panowanie nad sobą*. Mężczyźni tak mają. Co wydało mi się strzałem poza tarczę, tak chybionym, że nawet nie wiadomo, gdzie szukać zbłąkanej strzały; w rewanzu zacząłem nadawać na Ormusa. Te jego innoświatowe piosenki, powiedziałem, przekrzykując muzykę, on sobie myśli, że co, że podsuwa ludziom ziemię obiecaną, czy jak? Wkurza mnie to, powiedziałem, bo jeśli się człowiek uważnie wsłucha we wszystko, to Ormus po prostu zapewnia, że ten innoświat jest inny; nie lepszy, tylko inny; ale tego już dzieciaki nie słyszą. Sama zresztą powiedziałaś, kto uważnie słucha słów? Może New Quakers, ci jebani lunatycy? Może oni rozumieją, o co tam chodzi? Im się tylko roi Dzień Sądu, modlą się o nadejście końca, niech już będzie ten *dies irae*, dzień gniewu, żeby nastąpiło potem to sakramenckie królestwo. Ja już, kurwa, nie wytrzymuję. Wyciszcie, chłopaki, co?

Powiedziała mi właśnie wtedy. Robimy to, krzyknęła. Bierzemy ślub. Mam nadzieję, że w porę oprzytomniejesz i przyjdiesz.

Muzyka zamilkła, a krzyk Winy zabrzmiał w nagle zapadłej ciszy. W gruncie rzeczy to było zawiadomienie. Cała knajpa zaczęła głośno gratulować, Wina uśmiechnęła się i ukłonami dziękowała za oklaski. W końcu, nie mając wyboru, ja też zacząłem bić brawo.

W świecie muzycznym przydarzyło się coś nieoczekiwanego, młodszym

kapelom nie szła karta, tandeta traciła blask, a dzieciarnia wgapiała się w starych repów. Jakby ludzka rasa odwracała się od bieżącego etapu ewolucji, by czcić dinozaury zapełniające ziemię wcześniej. Właściwie coś haniebnego, lecz bycie starszym stawało się atutem. Ormus Kama miał czterdzieści cztery lata i wiek działał na jego korzyść. Stary jak muzyka, powtarzano niczym mantrę, stary jak muzyka, jakby to miało coś znaczyć; jakby muzyka nie przekraczała bez trudu granic czasu i przestrzeni. Być starym jak muzyka nagle znaczyło: znać to wszystko, jak prehistoryczni bracia bluesmeni z czasów wytwórni Delta, jak sam Praojciec Adam. Teraz poszukiwanym towarem było wtajemniczenie i Ormus miał na zbyciu wiedzę pustelnika, delfickiego wieszacza, ba, wiedzę godną samego Briana Wilsona z Beach Boys. Na dodatek w oczach rzesz kupujących płyty Ormus posiadał coś nieosiągalnego w Delfach czy na surfingu w Kalifornii: słowem, mądrość Wschodu.

VTO znów wypuściła łątową płytę, niesamowitość, czyste nieokiełznanie; napakowany improwizacjami podwójny album *Doktor Love i totalna katastrofa*. Ormus polubił i przyhołubił ów zwrot gdzieś przeczytany czy zasłyszany. Mawiał, że muzyka może być albo o prawie niczym, pasemkiem dźwięku jak srebrny włos z głowy Muzy, albo o niemal wszystkim, dosłownie wszystkim, *tutti, tutti*, życiem, małżeństwem, zaświatami, trzęsieniami ziemi, niepewnościami, ostrzeżeniami, złorzeczeniami, podróżami, snami, marzeniami, miłością, pełnią księżyca, serca, totalną katastrofą. Nowy album był bogatą mozaiką złożoną z tego wszystkiego: piosenki miłosne i jeremiady, zapierające dech ody i wizje zagłady. Musiało chwycić.

Na okładce Ormus i Wina pozowali nago, jak klasyczne posągi, okryci tylko figowym liściem. Jak mityczni kochankowie Eros i Psyche, Orfeusz i Eurydyka, Wenus i Adonis. Lub jak para współczesna. On był doktorem Love, a ona, idąc tym tropem, Totalną Katastrofą. Za przepowiednię śmierci uznali tę okładkę ludzie, którzy wierzyli, że Paul McCartney umarł, bo na okładce *Abbey Road* jedyny przechodzi przez zebkę boso, ci sami, którzy zapewniali, że jeśli igłę gramofonową ustawić na końcowym, podnoszącym ramię aparatu rowku *Sierżanta Pieprza*, a potem obrócić palcem przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, można usłyszeć Johna Lennona mówiącego *Wyjebię cię jak superman*. Czasem świat muzyki popularnej - w kręgu i kibiców, i artystów - wydaje się zaludniony wyłącznie przez osobników, którym brak piątej klepki.

Wina i Ormus pozwolili sobie w końcu, zwyczajnie, na miłość, ale ich rozkwitłe szczęście było czymś wręcz postawionym na głowie. Wkrótce po ślubie zapłacili za

całostronicowe ogłoszenia w najlepszych światowych gazetach, by powiadomić, jak to szczęście przeżywają. Z pewnością pomysł Winy. Lwia część tekstu też wydawała się jej dziełem. A oto, co zakomunikowali światu: że nawzajem nauczyli się bez reszty kochać, pełną piersią, ufać sobie całkowicie, nawet w snach. Odkryli, że noc w noc snią nawzajem o sobie; *że to te same sny. Teraz naprawdę, najrzeczywiście, chociaż o tym nie wiemy, opuszczamy własne dala, by się przedostać w sny tego drugiego. Miłosnym trudem oddają się nasze dusze, a od dusz uczą się teraz zaufania nasze przebudzone ciała.*

Zatem przez dziesięć lat nękały ich polucyjne sny, tak to widziałem. A teraz mieli wznioślejsze poglądy na potęgę miłości i muzyki, *która jest brzmieniem miłości.*

Miłość to stosunek między pułapami rzeczywistości.

Miłość tworzy harmonię i jest władczynią sztuk. Jako artyści chcemy w naszej sztuce osiągnąć stan miłości.

Miłość to próba uporządkowania chaosu, złożenia absurdu w sens.

Jest wynalazcza, o dwoistej naturze, wyposażona w klucze do wszystkiego.

W kosmosie jest miłość.

Miłość, zrodzona wcześniej niż prawa natury, jest od nich potężniejsza.

Miłość wynosi nas ponad ograniczenia ciał i obdarza wolną wolą.

Opowiadamy się za miłością człowieka do jego współtowarzyszy.

Opowiadamy się za kosmiczną siłą, sprawczynią stworzenia.

Niezmiennie się przekształcamy, pozostając niezmienni. Muzyka to most spinający nasze światy. Muzyka wyzwala i jednoczy.

Wypełnia nas szaleństwo miłości, które wiedzie nasz umysł poza to, co zrozumiałe, ku wizji piękna i radości.

Pieśni są czarem miłości. Są codzienną magią. Pieśni Syren wabiły mężczyzn na śmierć. To pieśnią Kalipso zatrzymała u swego boku oczarowanego Odyseusza. Żaden mężczyzna nie umiał się oprzeć pieśni Afrodyty ani Perswazji, jej śpiewającej wiedźmie.

Czar pieśni odpędza nasz ból.

Obyśmy zawsze mieli, którzy jesteśmy pełni pragnienia, swą pieśń słodką, słodsza niż jakikolwiek narkotyk.

Miłość to harmonia. Harmonia to miłość.

(Dedykujemy to nagranie pamięci naszego przyjaciela i wybawcy, Mullensa Standisha, pirata pełnego miłości. Oby twa czaszka i skrzyżowane piszczele zawsze

powiewały wysoko.)

Prawdziwym ich kochaniem się była muzyka. Dużo już powiedziano i napisano o ostentacyjnie niewyparzonym języku Winy, ale więcej chciałbym usłyszeć o tym, jak tych niepohamowanych ust używała w pieśni; ust, płuc, mózgu. Chciałbym więcej usłyszeć o tym głosie, uznanym za "głos stulecia". Jak doskonaliła frazowanie, studiując filmy o skrzypkach - Heifetzu, Menuhinie, Grapellim - i jak zafascynowana prowadzeniem smyczka, zapewniającą tę uderzającą ciągłość dźwięku (żadnych szpar, same zęby; tak to ujęła), starała się podobnie formować śpiew. Śpiewać jak skrzypce. By zapewnić sobie tę sławną, długą i płynną frazę, długo podpatrywała, jak biorą oddech waltorniści, całe godziny spędzała na ćwiczeniu płuc, przemierzała pod wodą pełne długości basenu w klubie odnowy. A potem po prostu łaps (w tych starych złych czasach) za butelkę burbona, z którą zmagala się tak dzielnie, jakby to robiła od urodzenia. Sztuka tajenia sztuki: najjaśniej roziskrzona gwiazda rocka była gorącą zwolenniczką dyskrecji artystycznej. Nigdy im nie pokazuj, jak to robisz, brzmiało jej credo. Kiedyś odezwała się do mnie: Czego chcą? Dowiedzieć się jak? Nic im do tego. Nie muszą wiedzieć. Moja sprawa robić, ich klaskać.

Rozszczepiacz atomu, Oppenheimer, uzmysławiając potęgę dziecięcia swego umysłu, Bomby, cytował *Bhagawadgītę*: "I stałem się Śmiercią, Burzycielem Światów". Śmiercionośne czarodziejskie grzyby, zrodzone ze związku materiałów rozszczepialnych... Przez osiem lat małżeństwa Ormusa i Winy, aż po jej przedwczesny kres, rozlegały się cierpkie i małostkowe głosy, szczególnie ich dotychczasowych wielbicieli Remy'ego Auxerre'a i Marca Sangrii, zapewniające, że dwoje najważniejszych członków VTO to osobowości wysoce nieźrównoważone, wciąż na granicy rozejścia się, i że gdyby nie chodziło o arcybogie gwiazdy rocka, powinni oboje trafić do czubków. Cóż, mogę powiedzieć tyle, że gdyby byli rozszczepialni, wówczas energia wyzwolona z tego związku - ich miłosnego Projektu Manhattan - byłaby raczej jasnością niż mrokiem, źródłem przyjemności niż bólu, raczej spod znaku Życia-Stwórcy niż Burzycielki-Śmierci.

Musicie sobie wyobrazić, jak zgrzytam zębami, kiedy to piszę.

Dzięki miłości stali się nieodparci, niezapominalni. Jako wykonawców i ludzi uczyniły ich pełnymi kres niespełnienia i ulga spełnienia (jeśli wolno mi sięgnąć po tę niewyszukaną grę słów). Kiedy gdzieś wchodzili, trzymając się za ręce, promienni, ludzie milkli owładnięci nabożną czcią. Miłość wydoskonaliła ich. Mieli się też czym

dzielić. Długo tamowane potoki radości runęły na wszystkich w pobliżu, dzięki czemu zupełnie obcy ludzie pławili się w nieoczekiwanej szczęśliwości. Przeinscenizowali występy. Ormus zwracał się teraz twarzą do widowni. Na rozstawionych szeroko nogach, ze złotą, iskrzącą się gitarą, wysoki, szczupły, o twarzy jak pomnik czekania i późnego tryumfu, ze złotą przepaską na oku dodającą wizerunkowi mocy, użyczającą aury piractwa, ucieleśniał niebezpieczeństwa muzyki i jej rzeczowość, na równi z ukrytą pod nimi nadzieją. Niestety, uszkodzonym świszczącym bębenkom należała się już ochrona przed decybelami, które kapela pełną mocą pompowała w widownię, trzeba więc było skonstruować Ormusowi dźwiękoszczelną szklaną szkatułę z klimatyzacją i pedałami na podłodze, sterującymi siłą i barwą brzmienia łkającej Ormusowej gitary. Zatem w centralnym punkcie estrady, w rzęsistych światłach, stawał się figurą z kosmicznej odysei czy baśni; Ormus Kama, kiedyś leżący w śpiączkowym odrętwieniu w szklanej trumnie w przearanżowanej oranżerii, teraz śpiewał i grał, całkowicie świadomy, z wnętrza innego szklanego puzdra.

Ormus tkwił w miejscu, zatrzaśnięty w szkło, tymczasem Wina biegała, defilowała, skakała, tańczyła, fantastycznie sprawna, naładowana, że aż lecą skry, Wina odpowiadająca za całość i siebie. Jeżeli on był Bytem, to ona Stawaniem Sie; za ich plecami sekcja rytmiczna sporządzała ciąg rzetelnych praw, a rytm bębnów niósł to przesłanie prosto w niebo.

Wokół nich i o nich - może po to, by odwrócić uwagę od swej z musu statycznej roli - Ormus zaczął aranżować wielkie inscenizacje; bombastyczne popisy udowodniły, że w głębi serca wciąż jest urwisem z Bombaju, w tak naturalny sposób sięgnął po mityczną wulgarność hollywoodzkiego musicalu. Otóż to, widowicho jak lichy; chimery z science fiction, bajkowe smocze światy, wizje serajów z karawanami poubieranych w szarawary tancerek brzucha z błyszczącymi kamykami w pępkach, czarnoksiężskie ogniste koła, nad którymi wznoszą się nadmuchiwane podobizny barona Samedi i cała ta wieloobrazowa wideorama, która jest teraz chlebem powszednim wielkich rockowisk, lecz w tamtych czasach była tak szokująca, jak Bob Dylan podłączający gitarę do prądu. (To, co kiedyś można było osiągnąć przez włączenie gitary do kontaktu, dziś wymaga operacji wręcz militarnej. Już niełatwo nami wstrząsnąć, już nie jesteśmy niewiniątkami.)

Wkroczyli w ten obszar sławy, w którym poza nią już nie liczy się nic. Dodanie inscenizacji, widowiskowość, zjednało nowe zastępy wielbicieli VTO. W najlepsze rozkręciły się pełne omdleń i wrzawy kamamania i winamania, chociaż z autobusu

wyskoczyło tymczasem paru gorliwych egzegetów. Sangria i Auxerre zaatakowali VTO: że kapela zdradziła dawnych entuzjastów, że się zaprzedała. Perspiracja zamiast inspiracji, oświetlenie zamiast oświecenia, pazerność zamiast pazura, pisał Marco Sangria, oskarżając zespół, że stał się największym na świecie kawałkiem balonowej gumy do żucia i chyba niczym więcej. Czy nie byłoby lepiej, drwił, gdyby Ormus zamiast kłaść tę złotą przepaskę na oko i wchodzić do gigantycznej szklanej mufy, po prostu naciągnął na łeb jakiś, cholera, kondom?

Później, kiedy Wina i Ormus zaczęli “robić politykę”, organizować dobroczynne koncerty Rock the World, spotykać się ze światowymi przywódcami i żądać działań ograniczających głód na świecie, oprotestowywać cynizm międzynarodowych koncernów naftowych w Afryce, wpisywać się w kampanię na rzecz zmniejszenia długu Trzeciego Świata, demonstrować przeciw narażaniu ludzkiego zdrowia w elektrowniach atomowych, dokumentować coraz głębsze wdzieranie się w amerykańską prywatność coraz bardziej wszędobylskich macek tajemnego państwa, nagłaśniać gwałcenie praw człowieka w Chinach, nawracać na wegetarianizm, ci sami komentatorzy, którzy kiedyś rugali ich za płytkość, teraz ganili za pompatyczność, za wyjście z piaskownicy, żeby posprzeczać się z dorosłymi.

Kroplą przelewającą kielich okazało się drugie całostronicowe ogłoszenie prasowe Ormusa Kamy *Czym jest totalna katastrofa?*, w którym publicznie wyraził obawę, że zagraża nam swoista apokalipsa, zderzenie - jak w science fiction - odmiennych i niekompatybilnych wersji świata.

Dostać świat do zabawy to na pewno przyjemność, pisał Remy Auxerre. Lecz wtedy trzeba zmysłu do wielkich gier tego świata. A dostać świat jako scenę to wielki przywilej, dodawał. Ale na scenie świata występuje tylko paru bohaterów, za to kręci się po niej mnóstwo bełkoczących bałwanów.

Na swój sposób przestali być rzeczywisci. Dla Auxerre'a i Sangrii stali się już czymś niewiele ważniejszym niż znaki czasu, wyzbyte rzeczywistej suwerenności, które można odczytywać stosownie do czyichś skłonności i potrzeb. Marco Sangria, najgłębiej przekonany, że prawda dwudziestego wieku jest prawdą tajemną, a historia stulecia to sekretne dzieje antychrysta i odrzuconych, oznajmił, że nadzjawisko VTO jest teraz zbyt jednowymiarowe otwarte, zbyt wulgarnie jawne. Ich sukces jest wobec tego figurą płaskości, jednowymiarowości kultury. Była to reprimenda skierowana do wielbicieli. Martynikanin Auxerre, orędownik domieszek ras i kultur, kreolizacji dusz, obrał za cel ukazanie Ormusa i Winy - tej honorowej Pantery! - jako osobników

wykorzenionych, wręcz jako tanich tomistów. Po długich badaniach wydał tysiącstronicowy młot na oboje, powywlekał z rodzinnych szaf Ormusa wszystkie szkielety, kolonialistyczną anglofilie i fałszerstwo egzaminacyjne sir Dariusza Kserksesa Kamy, Ardawirafa z kontuzją mózgu, seryjnego mordercę Cyrusa, lady Spentę odgrywającą nad Tamizą rolę brytyjskiej milady; dobrał się też do szaf Winy; do jej matki morderczyni i samobójczyni, do "skwapliwości", z jaką chciała dojeżdżać do szkoły autobusem niedostępnym dla czarnych dzieci i tak dalej. Z tego dzieła dowiedzieliśmy się, że Marion Egiptus "zmarła w nędzy", nie doczekawszy nawet telefonu od dziewczynki, którą niegdyś wychowała, ale nie dowiedzieliśmy się nic o niedolach małej Winy w Chickaboom w stanie Nowy Jork ani tego, że całymi latami Wina opłacała lekarzy i lekarstwa Marion. Mogliśmy się także dowiedzieć, że ojciec Winy, usunięty z zawodu hinduski prawnik i były rzeźnik Shetty, wiele lat temu notowany z powodu bankructwa, teraz jest bezdomnym menelem, który zebrze w okropnej dzielnicy Miami. *Cóż to za pośledni gatunek istot, grzmiał Auxerre, wielcy kochankowie, którzy kochają tylko siebie, a odtrącają własne rodziny, swoich najbliższych?*

Tylko jeden szkielet nie został wywleczony z cienia, nie wykonał publicznie obrzydliwego tańca, z grzechotaniem kości.

W rok i dzień po ślubie Wina wróciła do mego łóżka. Zjawiała się tam nie za często, bawiła nie za długo, ale wróciła. Do mnie.

Powiem ci, czemu te napaści zatrutych piór w końcu się ukichały, mruzczała Wina w moich ramionach. Wszyscy kochają kogoś, kto kocha. Kocham, więc jestem kochana.

To co tu robisz? - spytałem.

Jak z tym Amosowym wzorem tańca, odpowiedziała. Żeby rozwiązać zagadkę, musisz wyjść z ram.

Zgrabna odpowiedź i tyle. Bo były też inne. Z których jedna brzmi: Wina chciała mnie ocalić. Spójrz, Raj, na swoje życie, dokąd zmierzasz, co robisz. Z tą kamerą rzucasz się głową naprzód w gnojowisko rodzaju ludzkiego, więc myślisz oczywiście, że wszyscy są ulepiani z gówna. Potem wracasz do domu; to żadna pociecha te tutejsze dupencje jak deski, wieszaki, z których wciąż spadają majtki. Te laseczki, które otwierają usta tylko z jednego powodu, nie po to, żeby, kurwa, jeść albo mówić. Przyjrzyj się swemu żalasnemu życiu. Przecież była dziewczyna, która cię

kochała, ale ją rzuciłeś; jak ona się nazywa? (Wina wiedziała. Te wyrzuty były rytuałem. Chciała, żebym sam wypowiedział imię.) Anita, odrzekłem. Anita Dharkar. Postanowiła zostać. Taki wybór.

A prosileś ją? - wypytywała Wina. Jeśli nawet prosileś, to byle zbyć, nie włożyłeś w to serca. To teraz coś ci powiem o twoim życiu. Jeden brud. Bardziej przypominasz Ormusa, niż myślisz, tylko że on jest czystością i jasnością, a ty brudem i mrokiem. Jeśli jesteś tym, co najlepsze na składzie, to zaraz możemy się wszyscy zastrzelić.

Dzięki, Wina, dzięki, ja też cię kocham, mruczę, mocniej dotknięty, niż chciałbym okazać.

Ale kiedy już jestem z tobą, ciągnie, czuję, że stanowisz część jakiegoś, bo ja wiem, strumienia życia? Chyba każde z nas tym jest, odnogą większej rzeki, i wszystko jedno, czy ten albo inny fragment biegu będzie mętny czy zatruty, bo jednak można z niego wyłowić treść przyniesioną przez szczodre, szerokie wody. Chodzi o cały ten kram z życiem i śmiercią, to o nim mówię, Raj. Poganin z ciebie, udajesz, że potem nie ma już żadnego życia, a ja ci mówię, że jesteś tu i teraz częścią czegoś, obojętnie czego, ale dobrego, lepszego niż bycie tylko sobą, na własny rachunek?, i chociaż ona cię niesie, nawet nie znasz nazwy tej swojej rzeki.

Dość, mówię. Jest środa, a w środy wynoszę śmieci.

Podejrzewam, że Winę dręczył mój brak zainteresowania sferą jej mistyki, czuła potrzebę przełamywania tego oporu i może była to jedna z okoliczności, które sprawiały, że wracała. Ale w końcu podstawowe są zwykłe sprawy fizyczne, męsko-damskie. Dobrze nam to wychodziło i kwita. Chociaż już była poważną mężatką, pozwalałem jej myśleć, że nie, że nie jest. O nic nie prosiłem, a dawałem to, czego potrzebowała. Przy mnie znikало małżeństwo. Znow była wolna.

No i jeszcze jedno: Ormus, jej jedyna prawdziwa miłość, zaczynał ją przerażać.

Była atutem podczas zwycięskiego odpierania ataku Sangrii i Auxerre'a na VTO. W owych czasach na estradzie przewodziło kapelom coraz więcej kobiet i coraz więcej budowało sobie solowe kariery. Niektóre były gniewne, bo miłość i mężczyźni nie wyszli im na zdrowie, innym doskwierały rozstroje, jeszcze innym odbijało na tle przejść w dzieciństwie, *muskaj mnie, tato, och, nie muskaj; tul mnie, mamó, och, nie tul; kochaj mnie, tato, i nie rzuć, bo nie chcę być samiutką, kochaj mnie, mamó, bądź tylko moja. Wiesz, że mi nie brak pamięci, więc co dziś począć z twym Czulym Dotknięciem*. Nie brakowało też gładkich, sprawnych kobietonów z chłodną pustką w

oczach. Gniewna siostra Marca Sangrii, Madonna, teraz także wpływowy krytyk, stwierdziła po prostu, że jedyny temat to ciało i płeć. Dawno temu Crystals śpiewały *oberwałam od niego, i dobrze*. Teraz to brzmiało *tknij mnie, a przetrączę ci, kurwa, szczękę*. (Nie da się ukryć: postęp.)

Na tle tej nędzy jedyna Wina wydawała się - i była! - kimś, kto śpiewa z czystej radości. I już ten prosty fakt sprawiał, że nasze serca wlatywały, nawet kiedy z jej ust płynęły najbardziej zgorzkniałe teksty Ormusa. Radość jej śpiewu wyjawiała nam, że można przewyciężyć dosłownie wszystko, nie ma za głębokich rzek, za wysokich gór. I to ją czyniło ukochaną świata.

(Używam przy tej okazji słów “nasze” i “nam”, by wskazać na zbiorowość, której z pewnością byłem członkiem, opętany równie delirycznie jak byle wielbiciel z pierwszego rzędu pod sceną.)

Zaczęto postrzegać VTO jako jej zespół. Ormus przygotowywał nagrania, wraz z ekipą inscenizacyjną wyczarowywał widowisko, pisał piosenki, a na estradzie wyglądał jak mały, obszarpany bóg, który zstąpił z Olimpu, ale zamknięcie w szklanym pudle oddalało go, czyniło abstrakcją. Stawał się bardziej ideą, animowanym efektem specjalnym niż obiektem naszych marzeń, snów i pragnień. Możemy też powiedzieć, że miał hopla na punkcie samokontroli. Dziesięć lat czekania nie dowodzi nadmiarów spontaniczności. Ta jego mityczna monogamia, wyskok determinacji; był w tym jakiś despotyzm, jakaś zatwardziałość, nie da się ukryć. Mogliśmy zobaczyć sprzeciw, jakim Wina reaguje na miłość tak zaborczą. Kiedy, kochając go, ba, wielbiąc, ucieknie, by szukać sobie własnego miejsca.

Więc dla nas to była przede wszystkim Wina, Wina-Głos, której nieprzerwany ruch na scenie był jak przesłanie: Ormi, ukochany, jedyny mój chłopcze, kocham cię, Ormi, ale nie możesz mnie związać. Możesz poślubić, ale nie schwytać. Jeżeli jestem radosnym duszkiem, to ty dzinnem w butelce. Możesz ustawić widowisko, ale nie mnie; ja mogę zwinąć manatki. Tak, to była Wina, której chcieliśmy, Wina o kalekim, przerażającym dzieciństwie, która zamiast jęczeć na ten temat w milionie wywiadów, po prostu wzrusza ramionami i ma to za nic, Wina, która nie prosząc o współczucie ani go oczekując, opowiada o swych aborcjach, bezpłodności, wreszcie żalu i zasługuje w ten sposób na naszą miłość; Wina, która zabiera w trasę książki zarówno Mary Dały, jak i Enid Blyton, Wina, z tysiącem bzików, uprawiająca tysiąc kultów, która przysłusznemu prezydentowi potrafi spojrzeć prosto w oczy i zapytać, jak się czuje z tym nazwiskiem wywiedzionym z kobiecych włosów łonowych.

Teraz opowiem o czymś niezbyt dotąd uwydatnionym w tej długiej sadze: otóż dla mnie historia z Winą - pozycja rezerwowego palanta, przywoływanego na boisko na parę minut gry - to nie była bułka z masłem. Moja wyobraźnia miała do zagospodarowania za wiele czasu i obszarów. Tak często wyobrażałem sobie, jak się kochają, z tak kamasutrańskimi urozmaicheniami, że dostawałem wysypki. Dostawałem naprawdę: nie wiem, czy z gorąca, czy wściekłości. Jedyne wojna za granicą, świeża partia fotomodelek dostarczona samolotem wprost z Teksasu lub zimny prysznic mogły mnie trochę ostudzić, przywrócić normalny rytm serca.

Usiłowałem sobie wmówić, że małżeństwo z Ormusem nie przetrwa. Kiedy mi opowiedziała o osiągnięciu z nim porozumienia - Ormus będzie na jej *amours* patrzył tylko tym okiem ślepym (a w każdym razie zakrytym przepaską), chyba że Wina zacznie się z nimi głupio obnosić - poczułem w pierwszej chwili przypływ gorącej radości: oto Wina popada w tak ryzykowne kłopoty, by w swoim życiu zrobić miejsce dla mnie. Później, kiedy jej nieobecność bywała już zbyt bolesna i zwracałem się pod prysznicem do moich namydlonych rąk, by zagrały jej rolę - jak niegdyś jej ręce, wgłębiające się z kolei w rolę Ormusa, w czasach dekady jego wstrzemięźliwości - poczułem, że moje reakcje są bardziej złożone. To tak, myślałem, jakbym w ich akcie małżeńskim stanowił klauzulę; był uśpionym partnerem fuzji. Co skazywało mnie na wieczne granie drugich skrzypiec; taki to był kontrakt. Wzbierający we mnie gniew uświadamiał mi głęboko tłumioną prawdę: otóż wciąż hołubiłem nadzieję, że będę miał Winę tylko dla siebie.

Często wprawiałem się w pogardzie dla Ormusasamotnika zasklepionego w szkle. Jaki mężczyzna godzi się zostać *mari complaisant* takiego okazu piękności jak Wina Apsara? Na co moje zwierciadło odpowiadało: Jaki mężczyzna godzi się żywić tym, co skapnie innemu ze stołu, a ściślej, z łóżka? Według złośliwej i zapewne zelganej historyjki mąż kochanki powieściopisarza Grahama Greene'a sadowił się na chodniku przed blokiem, w którym mieszkał autor *Spokojnego Amerykanina*, i wywrzaskiwał na cały głos obelgi, niosące się w ciepłym, nocnym powietrzu: *Salaud! Crapaud!* Greene zaś pytany o tę historyjkę miał rzekomo odpowiedzieć, że w swym mieszkaniu na jednym z wyższych pięter nie słyszy wrzasków, zatem, z przykrością, ani potwierdza, ani zaprzecza.

Salaud! Crapaud! W moim wypadku to ja, partner tego grywanego na strome epizodu Winy, czułem potrzebę ciskania obelg. I ja, który w fotoreporterskim

kapelusiku khaki szczyłem się sztuką wtapiania w tło, znikania, zacząłem się rychło brzydzić swą niewidzialnością w historii Winy, tym usunięciem z publicznego widoku śladów wielkiej przygody mego serca. Aim częściej Winę i mnie widywano razem, zasłaniających się płaszczkiem zwyczajności, tym ludzie mniej byli skłonni do plotek. Natrętna jawność naszego przestawiania ze sobą naprawdę stanowiła dowód niewinności, nawet dla Ormusa. Przynajmniej zawsze tak utrzymywał.

Pewnego dnia w orwellowskim roku 1984 - dogodny moment, by porzucić dwójmowę, zrównać z ziemią straszliwe Ministerstwa Prawdy i Miłości - czując, że nie mogę już dłużej znieść sytuacji, pogałem do Rhodope Building, rozpalony i pewien swego. W ręce trzymałem kopertę z serią nagich zdjęć Winy, pokłosem naszych namiętności. Bo Wina - uważająca ufność bądź bycie godną ufności za coś bardzo trudnego - ufała, że tak rewelacyjne zdjęcia zachowam dla siebie. Ale wyzbyte zaufania małżeństwo przedkładała nad te kradzione godziny ze mną. I - jak wielce wymownie wskazywało moje postępowanie - lepiej, gdyby też nie zaufała mnie.

Rzecz w tym, że nawet Ormus Kama musiałby zrozumieć, co oznajmniają te zdjęcia: że od lat cieszę się względami jego ukochanej żony. Trudno, musiałby wybierać broń. Pruskie szable, kije bejsbolowe, pistolety o świcie przy fontannie Bethesda; byłem gotów na wszystko. Na zamknięcie dyskusji, jak by powiedziała Wina. Z czerwoną mgłą przed oczami wparowałem do holu Rhodope, gdzie przystopował mnie portier w liberii.

Kto? Były prawnik i rzeźnik Shetty, ojciec Winy, teraz po siedemdziesiątce, ale wyglądający o dziesięć lat młodziej. Okropne życie wcale go nie naznaczyło. Serdeczny, wręcz jowialny, brał, co dawało, i trwał wyprostowany. Kiedy gazety opisały jego położenie, Wina zatrudniła poszukiwaczy w sile kompaktowej armii. Po odnalezieniu poleciała na Florydę, by odegrać wielką scenę pojednania i zaferować ojcu, co zechce: emeryturę, własny kąt na przyflorydzkich wyspach, oczywiście pokrycie wydatków na zdrowie, lecz to wszystko spotkało się ze stanowczą odmową. Ze mnie już taki typ, że woli chodzić w uprząży, odrzekł. Załatw mi coś takiego, żebym mógł wykorkować na stojąco. Teraz, zachwycony uniformem, promieniał na nowym stanowisku. W zimie ciepło, w lecie chłód, człowiek wymienia ukłony ze śmietanką miasta. W moim wieku i z moją ankietą to lepiej, niż można się spodziewać, zapewniał. Indie? Odpuśćmy sobie ten dopust. (Hinduskie wykształcenie językowe, z naciskiem na precyzję wypowiedzi, dziwnie kontrastowało z tutejszą skłonnością Shettyego do zabaw amerykańskimi idiomami.) Dla nas już Indie minęły. Wybieram

Manhattan.

W furiackim pędzie do starcia zapomniałem o Portierze Shetty, tymczasem to on miał zmianę, dziarski, pełen dobrej woli, gotów uprzedzać życzenia. Hej, panie Raj, jak leci, co pan powie, czym można służyć?

Z kopertą w ręce stałem i czułem, jak wycieka ze mnie stanowczość. Może zadzwonię na górę, panie Raj? A może zechce pan przejechać się windą? Albo po prostu oddam list córce lub panu Ormusowi, czy mogę to zrobić dla pana? Keine problemo. To moja rola, proste jak drut.

Nie, nie, powiedziałem i cofnąłem się. Po prostu pomyłka.

Wołał za mną, pozdrawiał uniesioną ręką. Brakuje tu pana, panie Raj, proszę zaraz wracać, słyszy pan?

Z ulicy dobiegł tymczasem przerażający jazgot orkiestry rupieciarzy. Shetty już nie promieniał. Ominął mnie, gotów natrzeć na grupę wyrostków grających na zlewie kuchennym, wózku na zakupy, kubie na śmieci, taczkach, wiadrach i - może na cześć VTO - jakimś koszmarnym kakofonie, strunowym brzękadle, który nazwali gisitarem, zbitym z resztek dwóch porozbijanych instrumentów.

Więc jak to się niby nazywa? - dociekał Shetty. I gdzie się wybieracie?

Jesteśmy Promenadówką, palnął czerwonooki młodzik z kozią bródką, chełpiąc się zwierzchnictwem nad skołtunionym, drżącym plemieniem. (Dla siebie zachowałem uwagę, że w orkiestrowym wyposażeniu czegoś brak: prochów.) Dedykujemy tę serenadę bogom rocka mieszkającym w niebie, oświadczył. W obliczu radykalnej niepewności naszego wieku fabrykujemy ody do materializmu, posługując się paradoksalnie przedmiotami, które dla społeczeństwa nie przedstawiają wartości. Czcimy tu kulturę obwarzankową, bo obwarzanek to pycha, smakuje, ale w środku jest pusty, no nie?

Zjeżdżajcie spod mojej markizy, zakomenderował Shetty. Ale już.

Ranga nowojorskiego portiera wyklucza kłótnie. Promenadówką posłusznie zwinęła manatki i się wycofała. A potem ów tknięty dygotaniem frontman odwrócił się i - istna awatara Wieku Chciwości - wlepił wzrok w pana Shetty'ego. Kiedy będziemy już wielcy, ważniaku, wielcy w trzy dupy, to ja tu jeszcze, kurwa, wrócę i, kurwa, kupię tę jebaną budę, a wtedy, kotku, dobiorę ci się do tyłka, i nie ma przebaczyć, nie mów, że nie ostrzegałem.

Zrozumiałem, że moja groźba - ta koperta - jest równie pusta. Ufając mi, Wina miała jednak rację. Nie zrobiłbym tego. Nie zaryzykuję wycofania się jej z mego życia.

Ja także jestem uzależniony i zaszedłem beznadziejnie daleko, a moją odlotową pastylką jest ona.

Odkryłem, że w dziedzinie miłości i pożądań Wina zachowuje się jak mężczyzna; jak większość mężczyzn okazuje, że potrafi całym sercem kochać, a jednocześnie bez śladu poczucia winy czy sprzeczności półsercem zdradzać tę miłość. Wina mogła się chwalić nie tyle podzielnością uwagi, ile siebie samej, zwielokrotnianiem, aż starczyło dla wszystkich. My - Ormus i ja - byliśmy jej kobietami; on lojalną żoną stojącą murem za swym skłonnym do flirtów mężem, pogodzoną z nim, mimo jego błędzących na wszystkie strony oczu i żyłki włóczęgowskiej, a ja lubieżną i wiecznie cierpiącą kochanką, biorącą, co może dostać. Okrężny wywód, który jednak nieźle trzyma się kupy.

Pamiętam chyże, długopalce ręce Winy, siekające ukochane warzywa, wydawała się wtedy najwyższą kapłanką pogańskiego kultu, rzeczowo wyliczającą dzienną ofiarną porcję należną bogom. Pamiętam jej głód wiedzy, sposób, w jaki jej bystry a niedokształcony umysł wczepiał się w te liczne, uginające się pod ciężarem wiedzy intelekty, z którymi spotkania zapewniała jej sława (władcy prasy i telewizji, szefowie hollywoodzkich studiów, specjaliści rakietowi, grube ryby z Morgan Guaranty i waszyngtońskiego establishmentu), i pamiętam, jak całą siłą pompowała z tych źródeł, jakby fakty miały ratować jej życie. Pamiętam lęk przed chorobą i rychłą śmiercią.

Wina uczyła się błyskawicznie; jeszcze zanim odszedł Muli Standish, przestała być tą arogancką głupencją, która spycha Ormusa i siebie na dno piekła umów. Pod ręką Mulla stała się rasową kobietą interesu, równie znakomitą jak liczne VIP-y, których umysłowościom składała przesadne hołdy, zwykle niezasłużone. Obracała akcjami, obligacjami i nieruchomościami, powiększała kolekcję dzieł sztuki, zarządzała piekarniami, winnicą w Santa Barbara i krowami. Legendarny pociąg Ormusa do chleba oczywiście pociągnął Standisha ku temu rynkowi: teraz Wina gwarantowała, że od oceanu do oceanu można stawiać na jakość koncesjonowanego pieczywa BułKama, ChałKama i KamaTost. Wypieki miały ustaloną markę; ale tylko nieliczni kojarzyli Winę Apsarę i Ormusa Kamę z pierwszorzędną plantacją kalifornijskiej winorośli, a jeszcze mniej liczni z największą produkcją nabiału na północnym wschodzie Stanów; a teraz tak to naprawdę wyglądało. Winnica prosperowała znakomicie, ogromne trzody holsteinów, odkupione przez Standisha z

majątku Singha, jeszcze się powiększyły, ich mleko i ser stały się wszechobecne. Od kóz do krów, mawiała do mnie Wina. Trudno, nie odczepię się od wymion.

I to wszystko mimo popadnięcia Winy nie tylko w wegetarianizm, ale i pełną makrobiotykę. Ani kropli wina, żadnych produktów mlecznych. Z rzadka, od święta, pozwalała sobie na garstkę wędzonych rybek japońskich. Zawsze mnie intrygowała umiejętność dokonywania takiego podziału: że interes pozostaje interesem, na przekór wszystkiemu. Nauki Mulla nie poszły w las.

Teraz to ona żywo kontaktowała się ze światem, a o władnięty katastroficzną obsesją Ormus medytował, zwracał się ku wnętrzu, stawał się dziwny. I, na przykład, to Wina tyleż z finansowego rozsądku, ile z powodów mocno sentymentalnych postanowiła kupić Tempe Harbor, tę dawną posiadłość Yula Singha, którą prawnicy od nieruchomości tanio zaoferowali VTO (podobnie jak mleczne trzody), powiadomiwszy, że na mocy woli zmarłego Wina z Ormusem korzystają z prawa pierwokupu na bardzo korzystnych warunkach. (Takie było pośmiertne zawarcie pokoju, w stylu Yula. Nie obrażał ich, nie darowywał posiadłości wprost. To było upomnienie się o przyjaźń, której od lat brakowało; finezyjna, wyważona decyzja. Okazanie szacunku.)

I również Wina postanowiła zatrudniać nadal Singhów. Nowe kierownictwo Kolchidy bez żadnych wyjaśnień zwolniło ich ze służby i oto w biurach VTO zjawiała się delegacja - na czele z Willem, owym pierwszym w Ameryce kierowcą Ormusa i Winy, i Cleą, kasztelanessą Tempe Harbor, krojczynią pierwszej Ormusowej przepaski na oko - by wyłożyć sprawę całej świty. Will uwolniony z czarnego garnituru Valentina i okularów słonecznych, już nie obligowany do grania twardziela, okazał się niezbyt pewnym siebie młodym człowiekiem w dżinsach i białej koszuli. A Clea była tą samą co w Tempe maleńką, zadbaną, starszą damą, tyle że bardzo strapioną. Walczący o swoje, zwykli ludzie zassani przez królestwo niezwykłości, zagrali jedyną posiadaną kartą. Do ich uszu, oświadczyli, dotarły pogłoski o potajemnych poczynaniach Yula, a w rezultacie, jak sądzą zapewne nie bez racji, to oni zostają ukarani za występki byłego szefa. Jak w Indiach, gdzie po Poczównym Zabójstwie mordowano niewinnych sikhów - kiedy tak wielu ucierpiało na skutek poczynań tak niewielu - tak tutaj oni, Singhowie z Kolchidy, stają się ofiarami amerykańskiej nerwowości. Jeżeli Yul Singh finansował terrorystów, to taka etykieta robi swoje, przylepiana jego wszystkim sikhijskim współtowarzyszom, mierzonym tą samą miarką. Ale my nie jesteśmy tacy, proszę pani, powiedziała Clea prosto i godnie. Jesteśmy ludźmi

sprawnymi, którzy chcą i potrafią służyć, a panią prosimy o przyjęcie naszych najlepszych życzeń.

Wina natychmiast zatrudniła całe bractwo.

W 1987 roku zmarł Amos Voight, Radosna Wyspa Sama na zawsze zamknęła podwoje, wyglądało na to, że kończy się pewna epoka, Ormus Kama zaliczył pół wieku na ziemi. Ugodziło go przekroczenie pięćdziesiątki. Coraz rzadsze stawały się wypadki z labiryntów Rhodope, chociaż Wina wyciągała go czasem do miasta, zjawiali się w asyście wysypu Singhów tam, gdzie chadzano słuchać, co jest teraz grane. Najczęściej kończyło się na rozczarowaniu, chociaż nie, ostatnio zrobił na nich wrażenie młody irlandzki kwartet, Vox Pop, niezły jak na debiutantów. Ale na ogół wyprawy do Świata Muzyki potwierdzały tylko, że stary układ - coś niesłychanego - ani myśli się sypać. Czasy zaniedbały swą zmienność. Ci starzy, Lennon, Dylan, Phil Ramone, Richards, także VTO, wciąż byli gigantami, tymczasem różne Trex, Sigue Spangell, Karmadogma i glam to były najwyżej przeciągi.

Ormusa nie zainteresował nawet Lilip, nowy, spieniony kondemnacjonizm, który zresztą zgasł po krótkim skandalizującym rozbłysku, obliczonym na zwrócenie uwagi. Jak mógł przetrwać, zachnął się Ormus, trudno zaczynać rewolucję w butikach. Lilip był owocem umysłów Antoinette Corinth, Tommy'ego Giną i Jej, znów wynurzających się na powierzchnię Trzech Czarownic, jak nazwał tę załogę Ormus Kama. Znowu w Londynie, w nowym magazynie przy Fulham Road wyśnili sobie nową gniewną modę scifi - guma, nieobrębione materiały, okręcanie się rzemieniami, piercing, sylwetka i makijaż androida umykającego przed łowcą - następnie wymyślili zespół rockowy, Swindlersów, żeby jakoś to sprzedać. Oczywiście, pokazali się w Nowym Jorku, zachowując się jak rada nadzorcza londyńskiej śmietanki dyktującej gust dyktatorom gustów, która wpadła na Manhattan, żeby go trochę rozruszać po brytyjsku. Podpuszczona przez Antoinette Ona w straszliwie skąpej skórzanej mini wykonała przez całą długość baru przy 44 Ulicy gwiazdę w stylu Daryl Hannah. Oczywiście bez majtek, kochani, informowała głośno Antoinette, zupełnie niepotrzebnie. Ta spódniczka nazywa się Lilip'Izda. Nowy Jork poświęcił ekipie cały kwadrans, a potem o niej zapomniał. Wytypowani na oddział szturmowy nowej fali Swindlersi zrobili klapę przed amerykańską *pudeur* i zakończyli trasę w wyniku wystrzelania się nawzajem w apartamencie hotelu Chelsea; przy okazji śmiertelnie oberwali Corinth i Gin. Uratowała się tylko Ona, która ewakuowała się na pięć minut

przed końcową wymianą ognia tej rewolucji. Przybrana w gumy i czarne koronki przemknęła z wrzaskiem przez hotelowy hol i przepadła w nocnych czeluściach wielkiego miasta, by już nigdy nie pofatygować się z powrotem po resztę garderoby.

Przypomniałem sobie Jej dawne obrzydzenie do Tommy'ego Giną i zastanawiałem się, czy nie odegrało jakiejś roli w tej strzelaninie. Ale Ona zniknęła na zawsze i pytanie pozostało bez odpowiedzi. Za wystarczające wyjaśnienie uznano tępotę i zdziczenie Swindlersów.

Ormus prawie nie zareagował na wieść o śmierci Antoinette. Wszystko wskazywało, że ta kobieta usiłowała go kiedyś zabić, spowodowała wypadek, który pozbawił go paru lat życia, lecz Ormus nie potrafił żywić niechęci. Rozmyślał nad zbliżającym się kataklizmem.

Ślub wzięli w Rhodope Building, z widokiem na wspaniałości parku. W tym samym prywatnym wszechświecie zażywali miesiąca miodowego, obojętni na pokusę czegoś więcej, Wenecji, świątyni Hatszepsut, słonecznej wyspy. Rankiem po ślubie Ormus Kama obudził się, otworzył jasne oko i nie ujrzał innoświata. Tym ciemnym widział świat, jaki jest, nowy i radosny, w którym Wina leży tu obok w łóżku; a drugim, kontuzjowanym w katastrofie (otwartym w katastrofie) nic nie widział, jakąś plamę. Wizja podwójności zniknęła i Ormus już nie potrafił jej przywołać.

Minęły lata, a innoświat nie wracał. Już nie zjawiała się Maria, a z biegiem czasu Ormus zaczął powątpiewać w jej istnienie; zaczynał o tym wszystkim myśleć jak o figlu spletanym przez umysł, o nieporozumieniu. I było to jak przebudzenie się ze snu - w szczęśliwość.

Przez jakiś czas miał ochotę spasować, wepchnąć to do królestwa fantazji. Poprzestać na radości, na długo oczekiwany nastaniu pełni, doskonałości: cóż za pokusa! *Niegdyś zgubiony, dziś się odnalazłem, niegdyś ślepy, dziś widzę.**[* Słowa legendarnego negro spiritual *Amazing Grace*.]Lecz prawda dręczyła go, nie dawała spokoju. To istnieje, powiedział sobie. Odwróciło się, zakryło przede mną oblicze, ale co jest, to jest.

Gdyby zaginiony innoświat porównać do Wieloryba, to Ormus byłby Ahabem. Parł jak szaleniec do własnej zguby. W lecącym samolocie wypatrywał rozdarć w rzeczywistości. Zasłaniał oko przepaskami w najróżniejszych kolorach, z najróżniejszych materiałów, uznać bowiem, że są zbyt cenne, znaczyłoby ludzić się, że innoświata nie ma.

Zmieniła się muzyka Ormusa. W latach osiemdziesiątych obok utworów dla VTO pisał też długie luźne kawałki zatytułowane *Brzmienia innoświata*, których żadną miarą nie można by uznać za rock and roli. Wynajął Carnegie Hall, furę instrumentalistów grających klasykę; trudy te skwitowano kpinami, ale Ormus się uparł i garstka ludzi zaczęła nowe kawałki traktować serio.

Im dłużej innoświat pozostawał w ukryciu, tym był straszniejszy.

Ormus, jak Ahab, wiedział, że wieloryb tylko się zanurzył, lecz w chwili wynurzenia potwora stanowczo chciał być w pobliżu. Wieloryb potrafi pogrążyć się w toni z oszłamiającą prędkością, sążeń za sążniem. I w mrocznej głębi czeka na swój czas, by potem strzelić ku górze, przebić powierzchnię morza i wedrzeć się w królestwo powietrza z takim impetem, jakby nastał koniec świata.

Tego Ormus bał się najbardziej. W 1984 roku ogłosił swoje przemyślenia w światowej prasie i natychmiast został uznany za kolejnego zdiwaczałego rockmana.

Najbardziej lękam się kruchości tkanki naszej przestrzeni i czasu, pisał. Czuję, jak się staje coraz węższa. Może już nie ma dość energii, może zbliża się do pisanego jej końca. Może odpadnie jak skorupa, by odsłonić wielką granitową prawdę innoświata.

A może innoświat jest światem następnym, nie w sensie nadnaturalnym, jakiegoś życia pozagrobowego, lecz światem, który nastąpi po naszym. (Jestem wciąż przekonany, że rozwój wiedzy naukowej pozwoli wyjaśnić takie zjawiska bez uciekania się do przesądów. Po prostu chodzi o nowy aspekt rzeczywistości.)

Może nasz świat to tylko wizja drążąca jakieś inne, naruszone w katastrofie oko.

Nie wiem, co mówię. Za to dobrze zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa końca, ustania istnienia. Dobrze wiem, że nie możemy ufać naszej uszkodzonej ziemi. Jest inny kosmos, ukryty przed nami, w zanurzeniu. Lecz kiedy się między nas wedrze, może nas zmieść, zetrzeć, rozerwać, jakbyśmy nigdy nie istnieli.

Jesteśmy na pokładzie wielorybicznych statków Pequod i czekamy na ostateczny atak wieloryba. Jako człowiek pokoju nie wołam: "Do harpunów!" Mówię tylko wyraźnie: trzeba wyteńczyć siły i przygotować się na szok.

A przy okazji warto zauważyć, że na pokładzie Melville'owskiego statku jest pars, który odgrywa rolę czarownic z *Makbeta*: wieści zgubę Ahaba. *Ani cię czeka karawan, ani trumna*, mówi. W historii, którą wypadło mi opowiadać, ta

przepowiednia nie pasuje do Ormusa. Za to do Winy jak ulał.

Imię moje: Izmael*.[* Izmael - narrator w *Moby Dicku* Melville'a; odwołania według przekładu Bronisława Zielińskiego.]

Mimo całej wiedzy o lękach Wina nie miała pojęcia, jak sobie radzić z pogłębiającymi się obsesjami Ormusa. I to ja byłem jej zaworem bezpieczeństwa, jej odwodem, odsieczą. Nie uwierzysz, rozpaczala, chce, żebym wymogła na burmistrzu zgodę: ma nam dać akr parku i niech tam się pasą krowy. Bo one, jak twierdzi, najwcześniej nas ostrzegą, kiedy nadejdzie trzęsienie ziemi. Mówi, że wszyscy powinni non stop grać jakąś muzykę, a co dzień mają się odbywać święta miłości na wszystkich głównych placach miasta, bo pozostaje nam tylko jedno, wrócić do harmonii, a na swą obronę mamy jedynie moc muzyki i miłości.

To oraz krowę Ermintrudę, zauważyłem.

Nie wiem, co robić, powiedziała. Nie wiem, co o tym, kurwa, myśleć.

Pamiętam jej rozpacz. Pamiętam, jak przyrzekałem sobie w tym momencie, że rozerwę to zwariowane małżeństwo, choćbym miał potem paść trupem. Choćbym miał na tym, kurwa, zakończyć życie, uwolnię ukochaną.

Wina codziennie rozgrywała rundę walk ze zwątpieniem w siebie i egzystencjalną niepewnością, wszechobecnymi biesami wieku. Kiedy była mała, matka pewnego razu zabrała ją na festyn stanowy. I był tam taki szczególny model diabelskiego młyna, opowiadała mi Wina, z siedzeniamikłatkami i lewarkiem, który sprawiał, że ta kapsuła natychmiast obracała się, człowiek wisiał do góry nogami, a wielkie koło szło w ruch. Oczywiście, jeżeli ktoś chciał się przejechać normalnie, mógł jednym ruchem odblokować urządzenie, ale operator, znudzony smarkacz o wiewiórczych zębach, nie potrudził się i o niczym nie pisał ani słowa, więc kiedy nimi zawinęło, pomyślały, że to jakaś potworna awaria, i niemal poumieraly ze strachu. Winę w snach wciąż nawiedzało te pięć minut w wirującej klatce, ten wrzask. Już wiem, jak się czuje szmata w pralce, żartowała, ale to, o czym mówiła, nie było zabawne. Bo opowiadała, jak nam wymawia posłuszeństwo nasz własny okruch świata, jak nas zawodzi, jak zdradza coś, na czym polegamy. Opowiadała o panice, o kruchości istnienia, o trupiej czaszce, którą mamy pod skórą. Mówiła, że wyszła za opętanego, że go kocha, że nie umie sobie poradzić, że nie wie, co się wydarzy, jak to się skończy. Boi się śmierci: jego, swojej. A śmierć jest zawsze z nami, na diabelskim młynie, w szopie dla kóz. W sypialni, gdzie kołysze się jakiś ciężar, uwieszony u skrzydła wolno wirującego wentylatora. Śmierć jest jak czekający w cieniu paparazzo.

Uśmiechnij się, aniele. Uśmiechnij do Żniwiarki. I powiedz *To już koniec*.

Jak pamiętacie, w 1987 prezydencki kandydat demokratów Gary Stanton wycofał się z wyścigu o nominację po odgrzaniu starego skandalu, słowem historii z dziewczyną i śmiercią na plaży Wasque w Martha's Vineyard. Parę mniejszych krajów zachodnioeuropejskich - Iliria, Arkadia, Midgard, Gramarye - głosowało przeciw ekonomicznej i politycznej unii, w obawie, że mogłaby zaszkodzić zaściankowości, cennym idiosynkrazjom oraz charakterowi narodowemu. Na olimpiadzie bieg na sto metrów wygrał pewien sprinter z Kanady, który następnie popadł w niesławę i wymazano go z historii. Wszystkie oficjalne fotografie zostały wyretuszowane, a taśmy wideo przeszły taką kurację komputerową, żeby można było zobaczyć tylko biegaczy finiszujących na drugim, trzecim i czwartym miejscu. Przytrafiły się też ataki wyjątkowo złej pogody - o które molestowani meteorologicznie Kalifornijczycy obwiniali pewnego latynoskiego parobka nazwiskiem Elvis Nino; rozsierdzeni mieszkańcy Orange County sprali go na ulicy - a rynki pieniężne znalazły się w tarapatkach, kiedy wielcy wymyślacze, autorzy tasiemcowego sitcomu *Forsa*, doznali zakłócenia procesów twórczych.

Lecz dla milionów miłośników muzyki rok 1987 okazał się pamiętny jako ostatni z wielkich w historii VTO. (Nawet nowy przywódca Angkoru, kompozytor z górą osiemdziesięciu piosenek, z których każda obowiązkowo trafiała na czołówki krajowych list, nazwał Ormusa i Winę swymi "inspiracyjnymi światłami nr 1", następnie zaprosił ich na występ w Phnom Penh, którego to zaproszenia nie mogli przyjąć ze względu na nawał pracy.) A kulminacją owego roku był ogromny darmowy "Koncert w parku" pod koniec lata. Potem zaprzestali publicznych występów; to znaczy Ormus wycofał się z widoku publicznego i zamknął w domu, by piec chleb, a reszta nie miała wyboru, musiała się pogodzić z tą decyzją.

Żegnajcie, VTO, napisała Madonna Sangria. Kiedyś sprawiliście, że lampy tego miasta świeciły jaśniej, samochody jechały prędzej, a smak miłości był słodszy. Kiedyś, jak Vermeer, wydobyliście z mroku przemoc w naszych zaułkach, przemieniliście tę metropolię w liryczny ideał. A teraz, moi mili, staliście się kupą śmiecia, którym bym nawet, k...a, nie cisnęła za kotem.

Jednostronne Ormusowe / iiaż rozjuszyło Winę - w wieku czterdziestu trzech lat ani myślała się wycofywać - ale na zewnątrz okazywała pełną solidarność z mężem. Wbrew wszelkim moim ponagleniom, by razem uciec, Wina stała murem za

Ormusem, zapewniając wszystkich nastawiających ucha, że ich miłość jest mocna jak zawsze, Wina właśnie czeka na nowy, fascynujący etap wspólnej kariery, a rozpocznie się on lada moment.

Troje pozostałych członków kapeli zerwało wszelkie stosunki z Kamami, by ogłosić powstanie odszczepieńczej pogrobowej grupy OTV, która na kupującej płyty publiczności nie zrobiła najmniejszego wrażenia, zwłaszcza po okrutnym wyjawieniu przez Winę, że przy nagrywaniu *Doktora Love i totalnej katastrofy* i innych albumów, w tym sprzedawanych jako "live", całą partię gitary rytmicznej, graną przez obecną frontpersonę odszczepieńczej zgrai, niejaką Simone Bath, blondynę o kamiennej twarzy, po wielkich trudach podmieniali w studiu montażyści, bo nędznemu wykonaniu Simone zabrakło klasy.

Tymczasem czterdziestka okazała się dla mnie równie trudną przeszkodą jak pięćdziesiątka dla Ormusa. Bez powodzenia próbowałem wszystkiego, co by mogło oderwać Winę od coraz bardziej zagadkowego partnera. Nie zaczynaj, Raj, mówiła: ani myślę szukać z tobą kłopotów, mam ich pod dostatkiem w domu. Idealnie, jak na idealne małżeństwo z miłości, pomyślałem, ale ugryzłem się w język i oddałem lżejszym przyjemnostkom. Które w ostatnich czasach już nie wprawiały mnie w tę dawną deliryczną radość. Popeliłem kardynalny błąd człowieka wpuszczanego kuchennymi drzwiami: liczyłem na więcej, niż mi się należy, na więcej, niż mogę dostać. Zachciało mi się klucza do drzwi frontowych.

Dla pociechy i żeby, rzecz jasna, podrażnić Winę, zwróciłem się ku innym kobietom. Nawet poszukałem kontaktu z Anitą Dharkar w Bombaju; niegłupie wydało mi się takie sprowokowanie Winy: pójść podsuniętym przez nią tropem i na nowo rozniecić płomień w sercu dawnej kochanki, ale Anitą tak zawładnęła telewizja, że nie miałem szans. Z Anity zrobiły gwiazdę zwiastuny groźnej inwazji satelitarnej, wideokasetowe indyjskie serwisy informacyjne i muzyczne. Miała cotygodniowy godzinny program *Nowiny i nowinki*, miała też program muzyczny i odrodzona jako "Nita Darker" stała się ikoną zwesternizowanych - oraz gwałtownie się westernizujących - indyjskich japiszonów. Przesłała mi zdjęcia promocyjne, na których wystylizowała się na rockową ślicznotkę, a mnie ogarnął żal za tamtą poważną, patriotyczną dziennikarką, którą niegdyś znałem.

Życie ludzkie wyzbyło się już ciągłości, pomyślałem. W 1987 wyświetlono *Ostatniego cesarza*, w którym Bertolucci sugeruje, że istota ludzka - ów tytułowy

cesarz Pu Yi - może prawdziwie i szczerze zmienić własną naturę tak gruntownie, że urodzona jako władcabóg Chin, kończy pogodzona z losem, uszczęśliwiona, jako skromny ogrodnik i staje się przez to lepsza. Może to przypadek komunistycznego wyprania mózgu, cierpko dociekała Pauline Kael, a może nie. Może przeskakujemy z kanału na kanał dużo łatwiej, niż nam się zdaje. I może (tu wracam do Anity) rock and roli jeszcze nam w tym pomaga.

By stworzyć jakiś dystans między sobą a Winą, pojechałem tego roku znów do Indochin robić zdjęcia, które później opublikowałem w książce *Koń trojański*. Główna myśl była taka, że wojna w Indochinach nie zakończyła się z chwilą haniebnego odwrotu amerykańskich wojsk. Bo Amerykanie pozostawili u bram drewnianego konia, a kiedy Indochińczycy przyjęli dar, wówczas z drewnianego brzuszyska wyroili się prawdziwi wojownicy Ameryki - wielkie korporacje, sportowa kultura bejsbolu oraz koszykówki i oczywiście rock'n'roll - by zawładnąć okolicą. To teraz Ameryka okazała się prawdziwym zwycięzcą w Mieście Ho Chi Minha i w Hanoi. Bo Indochiny stały się kolejnym konsumpcyjnym niewolnikiem (i dostawcą taniej siły roboczej) Americana International. Niemal każdy młody człowiek w Indochinach chciał jeść, ubierać się, przebijać przez życie i zarabiać w starym dobrym amerykańskim stylu. MTV, Nike, McŚwiat. Gdzie zawiedli amerykańscy żołnierze, tam nie zawiodły amerykańskie wartości; tak jest, zielone i z podkładem muzycznym. To właśnie fotografowałem. I były to wieści (jeśli nie liczyć materiału z fabryczek, gdzie wyciskano z ludzi siódme poty), które chciało usłyszeć wielu Amerykanów. Satisfakcjonowały nawet dawnych antywojennych manifestantów. Z mojego punktu widzenia te zdjęcia zawierały pokłady dwuznaczności, napięć. Były, jak mi się zdaje, ironiczne. Ale prawie wcale nie dostrzegała ironii większość ludzi chwalcących te zdjęcia. Gdzież tu miejsce na ironię, skoro fetujemy nową Rewolucję Kulturalną? Niech gra muzyka. Niech się rozdzwoni wolność. Niech żyje rock'n'roll.

Timeo Danaos et dona ferentes. Nieciągłość, zapominanie przeszłości: oto drewniany koń u bram Troi. Jej okupanci palili, palą i z pewnością będą palić strzeliste wieżycy Ilium. Ale i ja jestem istotą nieciągłą; nie tym, kim miałem być ani kim byłem. Więc muszę wierzyć - i pod tym względem staję się rzeczywiście Amerykaninem, wymyślając na nowo siebie, by tworzyć nowy świat wraz z innymi także odmienionymi istotami - że w tym metamorficznym przeznaczeniu jest jakaś przyprawiająca o dreszcz korzyść, nie tylko bolesna strata.

Skoro mowa o niepamięciach: wkrótce po powrocie zacząłem sypiać z Ifredis

Wing, która usiłowała teraz zostać fotografem i zjawiała się w Orpheum w roli asystentki Johnny'ego Chowa. Chów mieszkał na parterze, a Ifredis krok po kroku wypracowywała sobie drogę wzwyż, przez Schnabla i Basquiata, aż do mieszkania na szczycie, czyli do mnie. Wciąż miała seksualne apetyty królicynimfomanki (kiedyś Wina, bo któż by, zreferowała mi szczegółowo tamtą manipulację z Tempe Harbor), a wyglądała jeszcze lepiej, jeżeli to możliwe: sterczące włosy blond, ostrzyżone przy skórze na chłopaka, i bardzo kobiece, długie, smukłe ciało. Lecz jako asystentka była totalnym niewypałem, a to z powodu fatalnej pamięci, co prowadziło do licznych katastrof przy wywoływaniu filmów, w czym nikt z nas nie widział nic śmiesznego. Co innego wyśmiewać życie w kulturze amnezji, a zupełnie co innego, kiedy amnetyczka myli etykiety na kasetach z naświetlonym filmem.

Przykro mi, bo ja pamięci nie mam, tłumaczyła się, kiedy wykrzykiwałem w ciemni, że ją zabiję, poćwiartuję i upiekę w mikrofali. Ale to znaczy też, dodawała już rozpogodzona, że ja nie pamiętać będę twoich beztaktownych słów jutro rano, na twym ramieniu wyspana.

Nawiasem mówiąc, Otto przeczucił się z buddyzmu na superkapitalizm, poślubił starszą o piętnaście lat miliarderkę i był teraz prominentną postacią zarówno w Hollywood, jak i na imprezowym Eurosyfodromie. Nie kręcił już filmów artystycznych, skierował natomiast uwagę ku kawałkom akcji o siedemdziesięciomilionowych budżetach. Stał się niekwestionowanym mistrzem czegoś nazywanego w branży **dupnięciami**: ujęć z pedałem wciśniętym do dechy, nadzianych wybuchami i aktami straceńczej odwagi, którymi takie filmy się żywią. (Kiedyś widziałem, jak podczas festiwalu w Cannes udziela wywiadu telewizyjnego, napaści krytyków zbywał wzruszeniem ramion i objaśniał swą nową kinematograficzną filozofię: *W pierwszym akcie ile wlezie dupnięć. W drugim te lepsze dupnięcia. Trzeci akt: nictylkodupnięcia!*)

Przez pewien czas czułem, że naprawdę mnie pociąga wyzbyta pamięci Ifredis Wing, która wobec żadnego śmiertelnika nie żywiła śladu niechęci, cały gniew rezerwując dla Boga. Porzucona przez Ottona, straciła zupełnie wiarę. Dawniej w pierwszym szeregu bożych hufców, teraz gorliwa odstępczyni z zaciekłością brygady desantowej atakowała wszystko. Wyznawców indyjskich mahaguru, scjentologiczne gwiazdy filmowe, adeptów kultów japońskich, brytyjskich dziennikarzy sportowych przedzierzgniętych w kościół Chrystusa Zmartwychwstałego, opętanych amerykańskich obrońców posiadania broni okopanych na pustyni z jakimiś

charyzmatycznymi wieszczoprzywódcami, którzy mówią, z kim i jak często robić dzieci: otóż większość czasu pozostałego po grzmoceniu się Ifredis poświęcała na monologi o takich właśnie szaleństwach. Wielkie religie światowe też mogły liczyć na schłostanie i muszę powiedzieć, że wcale mi się to podobało. Nieczęsto spotykam kogoś bardziej rozczarowanego wierzeniami świata niż ja. No i w łóżku była naprawdę fantastyczna. Czasami leniwie bawiła się w seks podrostków, z tymi wszystkimi ustami i rękodzielami; ale znacznie częściej zamieniała się po prostu w ośmiornicę, oplatała ramionami, nogami i jazda, rżniemy się. Popierałem i jedno, i drugie.

Rozsypało się; odzeglowała, czego się spodziewałem. Nic się między nami nie popsuło, bo nie miało się co psuć. Oboje wypełnialiśmy sobie czas pustki i oto pewnego dnia Ifredis obudziła się, spojrzała i nie mogła sobie przypomnieć, kim jestem. Poszedłem pod prysznic i nawet nie usłyszałem, jak wychodzi.

Po powrocie z Indochin zacząłem od nowa zastanawiać się nad swoim zajęciem. Dziennikarstwo (i jego szyderczy kompan - cynizm) to już nie było to. Na swój sposób zazdrościłem Ormusowi szaleństwa. Bo nie tak łatwo było wyśmiać tę wizję świata najdosłowniej rozpadającego się a scalanego, ocalanego i odkupywanego mocą bliźniaczych potęg miłości i muzyki. Na myśl o tej zakręconej spójności, o tym obejmowanym zarysie kłula mnie zazdrość. A muszę wyznać, że rozglądałem się za jakimś odkupieniem dla siebie. Coś wreszcie musiało powstrzymać sny o bucie nieboszczyka i obracany wydrążonym obcasie z rolką filmu zdolną odmienić życie znalazcy. Tak wiele zdołałem zapomnieć, a ta myśl nigdy mnie nie opuszczała. Była ze mną nawet w podróży bez bagażu, schowana w kieszeni snów.

Nastaly dni niepewności naznaczonej poczuciem winy. Bo Ormus znalazł sposób pertraktowania z duchem czasu. Nawet ta koszmarna kapela, jak się tam zwała, Promenadówka, nawet ci smarkacze mieli plan. Tymczasem mój układ okazywał się niewypałem, ślepym zaułkiem. Z Winą i sobą, jakim byłem, zmierzałem donikąd.

Moi "orficy" druhowie ze Wschodniej Piątej porzucili na dobre fotografię prasową, a zapal, z jakim zwrócili się ku innym dziedzinom, wzbudzał we mnie uczucie zazdrości (stanowi ono naszą głęboką potrzebę, a jeśli żyjemy w aurze bezbożności, namiastkę skrwawionego serca Chrystusa), na którym zawsze można polegać jako przewodniku ku utajonemu sednu spraw (*le secretcoeur*, jak mawiał tym swoim szerokim jankeskim *franglais* Bobby Flow, partner Hulota w Agencji

Nabuchodonozor). Aime Cesaire Basquiat, nasz piękny frankofon o wygolonym ciele, sięgnął po starą kliszówkę osiem na dziesięć cali, długie ekspozycje i sprzyjające wysokiej rozdzielczości rzęsiste oświetlenie, by nadać lapidarny, klasycznorenesansowy wyraz zestawowi bardzo oficjalnie portretowanych głów oraz już bardziej kontrowersyjnemu ciągowi klasycznie komponowanych scen, przedstawiającemu absolutnie zdumiewające - przynajmniej mnie - praktyki seksualne. Wymowa tych naprawdętuzrobionych zdjęć sprawiła, że poczułem się jak niewinne dziecko z prowincji, bez pojęcia o prawdziwej różnorodności świata, które nawet wpatrzony w trzewia strachu nigdy nie zdobyło się na domysł, jakie pierwotne impulsy rzeczywiście drażną nas w głębi, w tajemnych mrokach. Na tym polegał prosty pomysł Basquiata, wywlec to wszystko z ciemności pod strumienie światła i zmienić w ten sposób nasze wyobrażenia o pięknie.

Trzeci zamysł to była swego rodzaju fotograficzna polemika ze sławnym poetyckim *Cahier d'un retour au pays natal*, ową pochwałą *negritude*, pióra Cesaire'a. Basquiat, który wyjechał z Martyniki jako dziecko i od tej pory demonstracyjnie ją omijał, komponował powoli fotograficzny esej *Cahier d'un exit*: o wygnaniu, o wykorzenieniu, o włóczęgach takich jak on sam, fotografowanych jako piękni obcy unoszący się o cal nad ziemią, na równi błogosławieni i przeklęci. Niekiedy te trzy wątki splatały się w jeden: pewnego dnia zdumiałem się na widok mocnego, wyrazistego portretu Remy'ego Auxerre'a, martynikańskiego ziomka Basquiata przyjmującego jak pokarm - w aureoli światła i maksymalnym zbliżeniu - coś, co niewątpliwie było Basquiatowym kutasem; ów organ znaleźliśmy świetnie wszyscy, dzięki nudystycznej skłonności właściciela.

Łatwo powiedzieć, że Basquiat znalazł się na ekspresowej drodze donikąd; po jego przedwczesnej śmierci, z kompletnie wynędzniałym ciałem, zaszuszoną skórą, przerażonymi oczami, nie brakowało chętnych wygłaszających na wyścigi takie opinie. Ale tym, co zapamiętałem, było codziennie widoczne na twarzy uniesienie. To także był pokój, do którego rozpaczliwie chciałem odnaleźć klucz.

Johnny Chow i Mack Schnabel robili teraz kariery w dziedzinach mniej szarpiących nerwy, a równie opłacalnych, w modzie i reklamie, elektryzowali życie manhattańskiej śmietanki, które uwielbiali obaj; a jednocześnie, dla duchowego zdrowia, lepił bardziej osobiste fotoeseje. Schnabel - niewielki człowieczek z ogromną jastrzębią głową i naddatkiem nocnych demonów - dwa razy w roku jeździł na pokazy mediolańskich kolekcji. A później robił wypad do Rzymu, skąd przywoził porażające

foty: na wpół zmumifikowanych, przegniłych ciał w katakumbach, z wylażącymi spod skóry szkieletami. Od tego przeszedł do fotografowania zwłok zwykłych zmarłych, zafascynowany demokracją śmierci. Już go nie interesowały gwałtowne zgony; wystarczał goły fakt, nasze wspólne dziedzictwo, dostojność Jakubowe. Młodzi i starzy stają się po śmierci rówieśnikami, powiedział. *Są w jej wieku*. Znikają też inne różnice. Obok siebie, na rzędach zdjęć Schnabla, znaleźli się odarci z rozgraniczeń, na zawsze zrównam kukluxklanowiec i bluesman, hamasowski fundamentalista i żydowski osadnik, Afrykaner i mieszkaniec Soweto, Hindus i Pakistańczyk, wyrzutek miejski i wiejski, farmer i pastuch, Mr Tomayto i Ms Tomahto. Temu powiększanemu wciąż zbiorowi nadał szekspirowski górnolotny tytuł *Panny, chłopcy wyzłoceni*, których, jak pamiętacie (*Cymbelin*, akt IV, scena 2), „jak kominiarzy śmierć w proch zamieni”*. [* Przekład Macieja Słomczyńskiego.]

A jeśli chodzi o Chowa, całkowicie oddanego akcji, niestrudzonego ptakaszybkobiegacza, szaleńca i ryzykanta, który uważał się za ideał nowojorczyka, *bo nim jestem, chłopie; jak to miasto ani chwili, kurwa, nie śpię*, to od piętnastu lat pracował nad studium zatytułowanym *Queens*, portretem tej wielojęzycznej dzielnicy. Ale był równie (lub bardziej) dumny z reklamowych zdjęć dla Heinza. Wielokulturowe życie uliczne to już jest, chłopie, coś. Bogactwo. Ma fakturę, głębię, samo odwała za ciebie pół roboty. A masz pojęcie, jakiego zachodu wymaga zrobienie interesującej powierzchni śmietany na zupie grzybowej? To dopiero jest wyzwanie.

Któregoś dnia Basquiat (ubrany) wpadł do mnie posiedzieć i posłuchać płyt. Przekopując złoża winylu, wyciągnął jakąś starość, *Exile on Main Street*, i położył na talerz. Hai, może wzięłaś ten film z thasy, *Cocksucker Blues*, do khęcenia wzięli Hobehta Fhanka, tego, co hobił te okładkę, wypytywał AimeCesaire. Bo mogę go dostać, znam faseta, może puścimy w któhys wieczóh, que pensestu?

Słuchałem *Sweet Virginia*, heroinowej muzyki z innej ery, dziwnej, pyskatej mieszanki południowego Londynu i amerykańskiego Południa, i wpatrywałem się w kolaż na okładce albumu: skrawki filmu z pogrzebu (cywile i żołnierze salutują karawanowi), reporterskie zbliżenia twarzy znanych i nieznanymi, pierwsza strona gazety, strzęp kartki z rękopisem tekstu piosenki, zwielokrotnione zdjęcie drogi. Odręcznie a koślawo wypisany skład: *Azotan Amylu - marimby. Clydie King, Vanetta plus przyjaciółki - podkład wokalny. Bili Plummer - bas, że mózg staje*. Z muzyki niewiele wynikało poza nostalgią, ale zdjęcia wciąż coś mówiły. Tak jest, pomyślałem, Robert Frank. Znak, na który czekałem.

Cocksucker Blues był w porządku, krzykliwy, bałaganiarski, z żyłką do odbierania apetytu, lecz do mnie, człowieka fotografii przede wszystkim, przemawiało naprawdę co innego: Mabou. W 1970 roku, po separacji z Mary Frank, Robert Frank wraz z malarką June Leaf kupili dom w Mabou w Nowej Szkocji. Surowe, mocne kawałki, które tam zrobił, były i są dowodem, ile może zawrzeć zdjęcie, ile ogarnąć, kiedy porzuci zamysł ogarniania wszystkiego, pogodzi się z faktem, że nie włączy się, nie wejdzie w jakąś prawdę uniwersalną. Odcieleśnione oko ludzkie szybuje w kontrastowej oceanicznej scenerii. Słowa i obrazy wiszą i schną na wietrze, przypięte do sznura od bielizny. Sporo zdjęć zrobionych przez szybę, na której wydrapano słowa, sporo słów pisanych wprost na obrazie. *Nie ma strachu* nad maszyną do pisania; i znów to wszechobecne morze. *Spokojnie naprzód*. Na tle nagiego, płaskiego, posępnego krajobrazu, z wykrzyknikami słupów i zrębów zacierające się imię zmarłej córki. *Andrei, która umarła. Codziennie o niej myślę. Wypatruję nadziei*. Szpitale. Chłodnie. Tusze świń. Łód. Skrzynie do pakowania. Nie wykadrowane, nie pozostawiane. Zdjęcia jak poszarpane odbicia w rozbitym szkle. Jakaś przepelniona radością kobieta, chyba June Leaf, leży na piasku. Kiedyś już patrzyłem na te zdjęcia, nie widząc, czym są. Teraz sprawiły, że odrzuciłem większość drążących myśli, i dały to, czego potrzebowałem: wyjście, wskazówkę, jak zacząć na nowo.

Patrząc na zdjęcia z Mabou, przypomniałem sobie słowa Virginii Woolf: arcydzieło nie jest wynikiem nagłej inspiracji, lecz wytworem myśli całego życia. Mój pierwszy mistrz Henri Huloł głęboko wierzył w nagłą inspirację, w decydujący moment, który odsłania właściwą, podstawową harmonię. A Frank nie wierzył i zapewne przygotował ten zbiór *Czarne białe i rzeczy jako* polemikę z tezą Hulota, podobnie jak *Paragraf 18* jest odpowiedzią na *Nagich i martwych*. Pojąłem, że ścigam nieosiągalne: wglądam w potworności, szukając Potworności przez duże P, tropię zbyt wiele śmierci, by dotrzeć do Śmierci.

Teraz postanowiłem pozostawić powszechniki i ogólną harmonię absolutystom w rodzaju Hulota czy Ormusa, a samemu skupić się na niewyczerpanej przypadkowości życia.

Uznałem, że nie ma rzeczy zakazanych. Od nowa uczyłem się alfabetu wyobraźni i na pewno nie było złe sięgnięcie po wszystkie zabawki.

Z pewnego powodu (naprawdę nie sędzę, że należy go tu wyluszczać) zacząłem się interesować podwójną ekspozycją. Komponowałem zestawy, w których na ciała

pięknych, często nagich młodych mężczyzn i kobiet - wywarła na mnie wrażenie permanentna nagość Basquiata - nakładały się cienie: matka z rozpostartymi ramionami na szczycie drapacza chmur, jak andyjski Chrystus, ojciec wiszący na skrzydle wentylatora, wyśniona kochanka, moje drugie ja. Kiedy otworzyłem się na język snów, zobaczyłem - i próbowałem przetworzyć - obrazy, których znaczenie było niejasne, niejasnością porywającą. Mężczyznę przy biurku nawiedza widmo konia i kopytem przebija mu oczodół. W pustym pokoju nagi mężczyzna rozmawia z zamaskowanym na biało sobowtórem. (Zdania nagryzmolone przeze mnie na dole ramy zestawu: *Czy wiesz, kim jesteś? Czego chcesz?*) Ku memu zaskoczeniu przekonałem się, że większości nachodzących mnie wyobrażeń towarzyszy przydźwięk religijny: sekwencja podwójnie naświetlonych zdjęć przedstawia pozacielesne doświadczenia umierającej kobiety, w innej eksplodujący nagle mężczyzna zamienia się w czyste światło: wpierw głowa, potem ciało i ubranie. Pozwalałem sobie na historie nadprzyrodzone, transcendentne, ponieważ - jak uznałem - nasze umiłowanie metafory jest czymś prereligijnym, zrodzonym z potrzeby wyrażania tego, co niewyraźalne, z naszych marzeń o inności, czymś więcej. Pojawiła się religia i uwięziła anioły w szpiku naszych kości, nasze skrzydlate piękno przywiązała do drzewa, przygwoździła naszą wolność do gruntu. A w tych zestawach próbowałem odzyskać zmysł cudowności, nie zginając kolana przed żadnym bogiem. Bogiem wyobraźni jest bowiem sama wyobraźnia. A jej prawem to, co się sprawdza. Bo prawo wyobraźni nie jest prawem uniwersalnym, ale wywalczonym i zwycięskim prawem utworu.

Wymyśliłem sobie sobowtóra, tajemniczego środkowoeuropejskiego fotografa nazwiskiem Moosbrugger (jak morderca u Musila), kręcącego się po ulicach Nowego Jorku i szukającego w Nowym Świecie śladów Wiednia, Budapesztu, Pragi. Pseudopostać fotografowała romanse ozdobnych rynnowych rzygaczy, arturiańskie przygody okazałej populacji rzeźb na wysokościach, nad ulicami miasta. Te rzeźby ożywały; kochały, wojowały, postępowały w myśl osobistych kodeksów. Były jednocześnie jak rycerze Karola Wielkiego i amerykańscy pionierzy. Moosbruggerowskie posągi to jeden z moich ulubionych cykli.

Pracowałem nad odbiciami, cieniami, szkłem. Operując lustrami, nabrałem biegłości w przeinaczaniu skal. Nauczyłem się umieszczać galaktykę w ludzkiej dłoni, wiedziałem, co się stanie, kiedy ulokuję jakiś zwierciadlany obraz pomiędzy innymi, jakąś fotografię wśród innych fotografii, mamilem, oszalałem oko, by wreszcie ostatni z obrazów zmiąć w dłoni. Wpierw stworzyć złudzenie, następnie pokazać, że to

złudzenie, w końcu rozwiązać złudzenie; zaczynałem dostrzegać, że na tym polega uczciwość.

I oto pewnego dnia po wywołaniu rolki filmu zobaczyłem widmowy obraz kobiety, której nie wfotoграфowałem w żadne z ujęć. Nie mogłem dojść, o co chodzi. Byłem pewien, że tego akurat filmu nie przepuszczałem przez aparat dwukrotnie, zresztą nie umiałem też rozpoznać sylwetki. Jakoś przypominała ciało Winy, fakt, lecz to nie było jej ciało. Obca przemierzająca kosmos, który jest mój i nie mój.

Jakbym przebił błonę i otarł się o innoświat.

Kiedy spałem tej nocy, wynurzyła się ze snów i wyjawiała imię. Powiedziała, jak na mój gust nieco zbyt pogardliwym tonem, że może czytać we mnie, jakbym był książką. Może mnie zamknąć, jeśli zechce, i odłożyć na półkę, a wówczas moja historia nigdy się nie skończy, zamrze w pół zdania. Leżałem nago, a ona pochylała się nade mną, szepcząc groźby. Próbowałem się spierać. Powiedziałem, że wewnątrz książki jest, jakie jest, czy ktoś czyta czy nie. A jeśli nawet nie czyta, ono jest, nie próżnuje. I to wystarczy, powiedziałem. Wystarczy być; to się liczy.

Pamiętasz, jak byliśmy kochankami? - syknęła. Pamiętasz naszą wspaniałą pierwszą noc miłosną? Nie, powiedziała, w ogóle mnie nie pamiętasz, ty sukinsynu, nie pamiętasz, prawda? Chuj ci w dupę. Idę sobie. I może nigdy nie wrócę.

Obudziłem się zlany potem, sam. To Maria, pomyślałem. Spotkałem dziewczynę imieniem Maria.

Zacząłem fotografować niewierność: moje mieszkanie przed wejściem Winy w kadr lub tuż po wyjściu. Skotłowane łóżko, ślad zdrożnej namiętności. Woda na terakocie obok prysznic. Brudne kieliszki. Nie dojedzone dania. Po pewnym czasie Wina zgodziła się w tym uczestniczyć. Twarz zamaskowana. Anonimowe nagie ciało, gwałtownie wrywające się z kadru. Ramiona rozpostarte na przyjęcie zakazanego. Te zdjęcia zbliżyły nas w nowy sposób, Winę ten pomysł wciągał coraz mocniej, coraz bardziej stawała się raczej współpracownikiem niż tematem, a ja popadałem w zabobonny lęk przed mocą ukrytą w szalonym, szamańskim, zakrytym przepaską Ormusowym oku. Były dni, kiedy mogłem przysiąc, że czuję, jak to jego spojrzenie błąka się po kosmosie, niczym promień reflektora przeciwlotniczego, jak oko Roberta Franka w *Mabou*, jak księżyc w *Psie andaluzyjskim*, przecięty chmurą jak brzytwą. Jak oko Czarnego Władcy Saurona w poszukiwaniu Pierścienia.

Potem stałem się autobiografem, sięgając po wszystko, co się nawinie, rysunki, opowieści, kredki, surrealizm, Winę, teksty. Realizm to nie zbiór reguł, lecz intencja, obwieszczalem rozbawionej, zadziwiająco tolerancyjnej Winie. Świat nie jest już realistyczny; co z tym począć? Wyobraź sobie zdjęcie ludzi, którzy się w ogóle nie zmieniają, wiodą życie według utartego wzoru, z odrobiną - jeśli dopisze szczęście - sypialnianej psychodramy: to dopiero jest fantasy. Pole bitwy, które nie ukazuje podskórnych nurtów historii, niewiele ujawnia prawdy; pole, na którym człowiek nie widzi tak zwanych diabłów ani aniołów, tak zwanych bogów z ich superorędem, ani tak zwanych duchów. Po tym, co rzeczywiste, trzeba jakoś pokazać metaforyczność, napęd, siłę nadającą bieg rzeczy.

Jak chcesz sfotografować podskórność? - zapytała.

Nie wiem, uśmiechnąłem się szeroko. Chyba wpierw trzeba zajrzeć w te właściwe miejsca.

Zmieniasz się, powiedziała. Tak trzymaj, dobrze? Bo to mi się podoba. Naprawdę. Bardzo.

Zmienialiśmy się wszyscy. Za zmienianie się Ormusa, wycofanie z zasłoniętymi oczami w zamknięte i ciemne pokoje, w końcu już na całe dni, za coraz cięższe migreny, napady łkania, krzyk, Wina płaciła rosnącym zamętem, rozdarciem, bezradnością, wyobcowaniem; dochodziło do tego, że siadywała przed zamkniętymi drzwiami Ormusa i błagała, by ją wpuścił. A w końcu wpuszczona przesiadywała w ciemności przy łóżku przez całe dni, trzymając go za rękę, pielęgnując, kiedy miotał się jak wielka ryba wyciągnięta z wody i z wrzaskiem zapowiadał nieuchronną katastrofę. Wezwani lekarze zapisali środki uspokajające. Ale stan Ormusowego umysłu był nienadzwyczajny. Wina zjawiała się u mnie coraz częściej, by wyrwać się z melodramatu w Rhodope Building; zostawiała Ormusa pod opieką bezgranicznie cierplivej Clei i Singhów. Jego załamanie to wyrwa w miejscu, w którym kiedyś było to, co nas łączy, powiedziała. Widzisz, wciąż go kocham, bo miłość jest zagadką, tajemnicą, lecz między nami już nic nie ma. On gdzieś na zewnątrz, w kosmosie czy piątym wymiarze, wyczekuje na koniec świata. I czasem myślę, że nie wróci.

Wiedziała, że musi odnowić życie niezależne, wynaleźć sobie nową drogę. Stopniowo, z coraz większym entuzjazmem angażowała się w alternatywy artystyczne, współpracowała z twórcami filmów pozakinowych, z performerami, tancerzami. Jednocześnie - zupełna nowość - zaczęła pisać dla siebie piosenki; wypróbowywała je

przy mnie, improwizowała z licznymi przyjaciółmi, pierwszoligowcami muzycznego świata. Wzbudzała sensację, pojawiając się w jakichś małych salkach w śródmieściu, gdzie wychodziła na estradę z zebraną naprędce kapelą, najwyraźniej zadowolona z przyjęcia. Jesienią 1988 roku był już gotowy album *Wina*, a ona planowała trasę. Na początek ani Ameryka, ani Europa, powiedziała. Chyba jeszcze nie jestem gotowa. Mała trasa po Ameryce Łacińskiej, żeby jakoś zacząć, co? Zresztą muzyka jest mocno pod tych facetów. Brazylia, Meksyk, byle jakoś zamoczyć palec.

Chcę ją pamiętać taką jak wtedy, rwącą w środek czterdziestki w pełni piękna i odwagi, samotną i zalęknioną, która wyrывa się na poszukiwanie życia dla siebie. Chcę pamiętać, że w tych dniach przed wyjazdem wypowiedziała w końcu coś, co zawsze pragnąłem usłyszeć; że stałem się po prostu problemem. Już nie byłem przypadkową przekąską. Już nie mieściłem się w szufladce. Za długo trwała ta sprawa z żeglującymi Ormusem i Winą oraz Rajem ucepionym ich regatowego jachtu. To była ich historia: lecz teraz także moja. Wreszcie.

Powiedziała, że jest zdezorientowana, że czuje zamęt, musi wszystko przemyśleć, a nie ma czasu. Owszem, zastanawia się nad rzuceniem Ormusa. Już nie wytrzyma, nie będzie tu tkwić dłużej. Rzucenia też nie wytrzyma. W ogóle nie może wytrzymać.

Nie wiesz, jacy jesteście obaj podobni, powiedziała, z wyjątkiem tego, że on się pogrąży już po raz trzeci, a ty dopiero wynurzasz.

Muszę stąd zmiatać, powiedziała. Jadę w tę trasę. Muszę pomyśleć.

Pojadę z tobą, pewnie, powiedziałem. Mogę być oficjalnym fotografem tury. Proszę tylko o jedno, o dostęp. Bezwarunkowy. Rozumiesz? Totalny.

Nie, nie jedź.

Po tym wszystkim nie mogę cię puścić, Wino. Jesteśmy teraz tak blisko. Muszę.

O Jezu, o Jezu. Nie wiem. Dobrze, jedź. W drogę. Zostaw. Nie. Jazda. Nie. Nie. Tak. Jazda.

No to jazda.

Nie. Zostaw.

Trzeba było słuchać Ormusa uważniej. Bo nie skończyło się na wielkim trzęsieniu ziemi w San Francisco z 1984 roku; lata osiemdziesiąte to był zły czas dla tego splekanego globu. W październiku 1980 w AlAsnam w Algierii w katastrofie o sile 7,3 skali Richtera zginęło dwadzieścia tysięcy ludzi, we wstrząsie tak potężnym, że

zniszczył liczne miejscowe instrumenty pomiarowe. W miesiąc później zginęło trzy tysiące ludzi w południowych Włoszech. W październiku 1983 trzęsienie dosięgło wioskę Hasankale we wschodniej Turcji (dwa tysiące ofiar); we wrześniu 1985 władze Mexico City musiały zamienić stadion bejsbolowy w kostnicę (ponad dwa tysiące zabitych). Wstrząs średniej siły obrócił w gruzy San Salvador w sierpniu 1986, a w dwa lata później tajemnicza fala wstrząsów rozprawiła się z paroma granicami państwowymi. Gigant kalibru 6,7 Richtera zakołysał granicą nepalskoindyjską w sierpniu 1988 (ponad pięć tysięcy zabitych), w trzy miesiące później ginie tysiąc ludzi, tym razem na granicy chińskobirmańskiej. W miesiąc później trzęsienie z siłą 6,9 Richtera pustoszy granicę armeńskoturecką. Miasto Spitak zamieszkane przez pięćdziesiąt tysięcy ludzi zostaje całkowicie zniszczone; wali się osiemdziesiąt procent budynków w Leninakanie (zamieszkanym przez trzysta tysięcy dusz); ginie sto tysięcy, na miejscu zjawia się z wizytą Gorbaczow. Kiedy w styczniu 1989 roku dwie wioski w przygranicznych rejonach Tadżykistanu toną pod osunięciami ziemi i błota (tysiąc zabitych ludzi, wiele tysięcy bydła), powszechną uwagę zaczyna przykuwać zjawisko zwane "rozpadliną graniczną". *Świat pęka w szwach?* - brzmiało pytanie na okładce "Time'a" i chociaż oficjalna, sejsmologiczna odpowiedź brzmiała Nie, zacząłem po raz pierwszy się zastanawiać, co takiego widywał w przyływach szaleństwa Ormus Kama. Jeżeli psy, świnie i bydło potrafią wyczuwać trzęsienia ziemi wcześniej, zanim drgną instrumenty pomiarowe, to kto wie, może istota ludzka potrafi je przepowiedzieć na miesiące, ba, lata naprzód?

No dobrze, jeśli nawet wsłuchalibyśmy się w głos Ormusa, to co? Jak wszystkie Kasandry, nie dysponował dostatkim środków zaradczych. Koniec końców takie wieszczby są jałowe. Człowiek po prostu musi żyć swoim życiem, dokonywać wyborów, pruć przed siebie, póki może.

W lutym 1989 Wina Apsara z nową kapelą poleciała do Meksyku na serię koncertów na stadionach. Nic jej nie mówiąc, też wsiadłem w samolot do Mexico City. Miałem harmonogram trasy, listę hoteli i tak dalej. Nie chciałem, żeby znowu uciekła.

15. Pod jej stopami

Kiedy w centrum Mexico City, w Cattlemen's Club zjawiam się przed Wina, ona przebija atutem mojego asa, przyprawia mnie o opadnięcie szczęki: otóż natychmiast i niezwłocznie zalewa się łzami. Pogrążona w głębinach fotela, poziom płynu w stojącej obok butelce potwierdza, co wiem już z gazet: nie bardzo wypaliła ta pierwsza tura. Pisano, że zespół wciąż się uczy zgrania, a Wina wydaje się dziwnie nieswoja bez wsparcia Ormusa, kiedy na estradzie nie ma tego Kamy w szklanej szkatule. Owszem, znajdowano powody do pochwał, urodę i tak dalej, lecz Wina dobrze wie, kiedy w prasie chlaszczą. Pociąga nosem, sapie; z powodu łez nie umiem należycie ocenić stanu jej nozdrzy. Gdzie mam uciec przed tobą, Raj, szłocha nieszczerze, jak głęboko się zaszyć. Jacyś wielcy mężczyźni groźnie ruszają w moją stronę, lecz Wina odprawia ich gniewnym gestem.

Sięgam po nazwę Cattlemen's Club, bo gruborybia pewność siebie owego miejsca to latynoskie echo *Dallas*, nie miasta, ale opery mydlanej, w której przyspawani do szklanek burbona faceci w wielkich kapeluszach wkurwiają się na ceny ropy. Ale *Dallas* na tle tej budy wydaje się pierwszą lepszą przestrzenią, beznadziejnym pustkowiem, z widokiem na dwie krzyżujące się drogi plus horyzont. Tutaj potężna licowana głazami piramida usadowiona na szczycie lśniącego wieżowca koło Zócalo sprawia wrażenie, że do jej zbudowania ekshumowano wszystkie zgładzone na tym obszarze ludy: Olmeków, Zapoteków, Majów, Tolteków, Misteków, Purepezców, Azteków. Na swój szmalcowny sposób jest świątynią: siedzibą władzy, tyle że wyposażoną w leżanki i kelnerską asystę w liberiach. Człowiek podejrzewa ukrytą obecność ołtarzy i kapłanów dzierżących noże. Winie, ofierze *du jour*, odstąpiono obszerny apartament, po którym kręcą się tam i z powrotem publicyści, reporterzy, fotografowie, natręci i goryle. Żeby się przebić przez ochroniarzy, muszę wysłać wizytówkę. Wina każe mi długo czekać, aż zaczynam się martwić, że może mnie upokorzy, nie przyjmie. Wreszcie zostaję doprowadzony przed jej oblicze, a ona wita mnie fontanną łez, wstrząsającymi włosami ufarbowanymi na czerwono, mnie zaś, rzecz dziwna, zasycha w ustach, łomocze serce; naprawdę się boję. Zjawiam się w tej sali konferencyjnej nagi, mając w ręku - sparafrazujmy Jamesa Caana w *Ojcu chrzestnym* - tylko własnego kutasa. Nie mogłem jej ofiarować nic prócz tej niemej miłości, która po dziesiątkach lat grania drugich skrzypiec koniecznie chce

zadyrygować orkiestrą. Bierz mnie lub rzuć; z tym się zjawiałem, wiedząc, że jeśli mnie nie zechce, będę bezbronny, jak uczeń z czapką w garści, który nawet nie ma jabłka, by spróbować przekupstw.

Tymczasem pobyt w jednym z najgęściej zaowadzonych obszarów Ziemi przyplacam bogactwem pokąsań, drapię się jak ów grany przez Toshiro Mifune wykolejony samuraj (choć brak mi jego smykałki do miecza). Przeżywam koszmar. Zaczyna się ostatni akt sztuki, a w głowie nie mam nic, ani linijki tekstu, żaden szept nie dobiega z budki suflera. Wina, mówię. A ona kładzie palec na ustach, wyciera oczy i wskazuje mi krzesło. Nie, nie, odpowiada. Pomówmy o czym innym. W ostatnich meksykańskich dniach często wydaje ów rozkaz.

Chce opowiedzieć o najświeższym skandalu politycznym, coraz głośniejszym, bo brat prezydenta, sprzeniewierzywszy równowartość osiemdziesięciu czterech milionów dolarów, uciekł, lecz żaden kraj nie chce mu przyznać azylu, nawet Kuba, więc teraz krąży wokół globu, jak statek z odpadami nuklearnymi, który nie ma gdzie zawinąć. Tak wyglądają te nowe rządy rzekomo czystych rąk! (Na usta ciśnie nam się nazwisko Pilu Dudhwała, ale nie ma potrzeby wypowiadania go na głos.) Wina chce także porozmawiać o argentyńskim piłkarzu, niejakim Achillesie Hectorze, którego na południu porwali rewolucjoniści. Ma zdumiewające nazwisko, co?, zarazem Grek i Trojańczyk?, zwycięzca i pokonany?, zdwojony heros, mówi Wina. Porywacze wyznaczyli ostateczne terminy. Zagrozili, że jeśli nie zostaną spełnione żądania, zaczną mu obcinać palce nóg, jeden po drugim. Ale terminy minęły, a poczta nie doręcza żadnego palca. Rewolucjoniści też się pasjonują futbolem. Pytanie, która pasja przeważa.

Wina chce także mówić o rezydencji nad brzegiem Pacyfiku, w której spędziła pierwsze trzy meksykańskie dni i gdzie wkrótce wróci. To willa Huracan za Aparajitos, wpasowana między dżunglę i ocean. W dżungli śpiewa ten nieprzyzwoity nocny ptak, może ów cudownie zagadkowy *trogon ambiguus ambiguus* Lowry'ego? A z głębi oceanu dobiega echo ryków boga burz, *huracdn*. "Willa" jest ciągiem pomalowanych na różowo budyneczków - "pokoi" - krytych wysokimi muszlami *palapas* jak strzechą. To wspólna własność Mo Mallicka, porażająco młodego nowego szefa Kolchidy, i hollywoodzkiego konkwistadora nazwiskiem Kahn. Śmierć Yula Singha i wycofanie się VTO, największego przedsięwzięcia firmy, ciężko uszkodziło Kolchidę, ale ze względu na Winę Mallick zepchnął ciekącą łódź na wodę, postawił na sukces bez Ormusa. Stąd zaproszenie do Huracanu. I stąd, także, powód obecnego przygnębienia

Winy. Ma wszystko, wsparcie jak się patrzy, a wygląda na to, że nie potrafi spełnić oczekiwań. Mallick, solidnie dziany dwudziestoosmiolatek z Vegas, potrafi przyjąć cios, jeśli musi, trudno, jak każdy z graczy przy wielkich stołach wie, że nie w pieniądzech rzecz, liczy się styl. Ale wynik to wynik. Wygrana z wielkimi przynosi chlubę. A przegrana? Pomówmy o czym innym.

Innymi gośćmi, chce opowiedzieć Wina, byli sławny chilijski powieściopisarz ze znacznie od siebie młodszą żoną, nieprzeciętnie atrakcyjną amerykańską Irlandką. W połowie wysokości klifu jest tam taras śniadaniowy, na który opuszcza się na linie i krążku kosz z owocami, tortillą i szampanem. *El desayunismo magical*, jak mawiał o tym pisarz. Amerykano-irlandzka żona opowiadała o swych bliskich związkach z republikańskim ruchem "tam w domu" (słowem w Ulsterze, na którego gorzkiej ziemi jeszcze nie zdążyła postawić stopy), o wysiłkach przy gromadzeniu funduszy i głębokim zaangażowaniu, z jakim republikańskie przywództwo działa na rzecz pokoju. Tymczasem powieściopisarz z wielkim upodobaniem jadł, pił i ani myślał wdawać się w komentowanie sprawy Irlandii; oświadczył, że jest istotą zbyt kruchą, by się przemieszczać jeszcze niżej. *Poziom morza będzie się musiał obejść beze mnie*. Siedział na tarasie w starej koszulce polo i szortach khaki. Dotrzymywała mu towarzystwa Wina, a tymczasem w dole władcy estrad harcowali na skraju oceanu, ubiegając się o uważniejsze spojrzenie bostońskoirlandzkiej arystokratycznorewolucyjnej żony, człapali koło niej na płycznach jak wielkie psy, wcielenia gorliwości z dyndającym jęzorem. A skoro mowa o dyndaniu, na tym śniadaniowym tarasie Wina przyglądała się szeroko rozstawionym nogom pisarza i zauważyła, że facet nie włożył majtek. Jaja miał wielkie, gładkie i różowe, w odcieniu ścian willi, a kutasa okazałego i szarego, ciemną szarością kamiennej płyty, na której siedział na tle oceanu. Nie mogłam się powstrzymać od patrzenia, opowiada Wina, jak na siedemdziesiąt pięć lat to nieźle, pomyślałam. Potem wypytywała Mallicka, czy stary dżentelmen próbował imponować, słowem, może facet flirtuje, czy jak?, ale Mallick powiedział, że nie, gość tak się zachowuje cały czas, to całkiem niewinny pokaz. I teraz tak już myślę o Huracanie, dowcipkuje Wina. O uświęconym miejscu, gdzie trwa wystawa niewinności.

Nie ma pojęcia, jak dokonać wyboru, do którego ją zobowiązuję.

Jest krucha, napięta, przesadnie rozpromieniona.

Chętnie pomówi o wszystkim, byle nie o miłości.

Wino, odzywam się znowu. Wlepia we mnie spojrzenie, już wściekła. To takie

spragnione miasto, mówi. Bo poziom wód podskórnych alarmująco spada i któregoś dnia to wszystko osiadzie, rozumiesz?, po prostu zniknie z oczu. Takie, powiedziałabym, spijanie do upadłego. Teraz jest tu papież, a ja mam występować zaraz po jego imprezach, powiedz, co to za wszawy, kurczę, tajming.

Papież dał właśnie występ w Mexico City i nawet on mówił o rock and rollu. *Tak, moje dzieci, odpowiedź rzeczywiście zna wiatr, ale nie wiatr bezbożnej żalostnej pustki, lecz harmonijny powiew wypełniający żagle statku wiary, niosącego swych pasażerów ku niebiosom.* Wina, której komplety słuchaczy nie mogą się równać z papieskimi (choć potężną konkurencję, wie o tym, mogłoby tu stanowić VTO), szuka pociechy w kpinach z nadmiernie rozciągniętej metafory i w mściwym powtarzaniu najświeższej plotki o papieżu. Ta jego zwięzła gniewność wobec księży-robotników, teologii wyzwolenia, cały ten zgiełk. A oto krąży sobie taka historyjka o jego kierowcy. Nie, nie tym z papamobilu. Z czasów, kiedy papież był jeszcze zwykłym kardynałem Wojtyłą. Znasz? Bo ten szofer woził go całe lata, a kiedy przyszła pora wyboru nowego papieża, ruszyli obaj z Krakowa jakąś małą, kopczą, poobijaną polską pyrkawką. Pierwszorzędne kino drogi, co?, przyszły papież oraz jego pracownik i kompan zasuwiają ku chwale. No i dojechali do tego Watykanu, kierowca czeka i czeka, wreszcie leci ten dym, *habe.rn.us Papam*, a w końcu gość słyszy nowinę, że to właśnie jego dobry kumpel, z którym tyle zjeździli, jego szef. I zjawia się posłaniec. Wracaj do Krakowa, znajdź sobie jakąś inną robotę, mówi. Dostajesz kopa w dupę.

Widywałem już Winę we wszelkich możliwych nastrojach, ale nigdy w tak dennym. Rankiem leci do Guadalajary - gdzie Pancho Villa przestrzelił zegar i zatrzymał czas, przypomina - wie, że show nie jest w porządku, jej życie też nie, Wina nie ma pojęcia, jak naprawić przynajmniej jedno. Patrzy mi w twarz, widzi wciąż to samo *zostaw go, Wina, chodź do mnie, będziemy żyć razem, zostań moją miłością* i nie umie się z tym uporać, *pomówmy o czym innym* i zaczyna się popisywać orfickimi dowcipami. To jej stary riff, który ułożyła i po raz pierwszy wykonała na wieść o mojej ostatniej przeprowadzce: Raj w Orpheum, dziecię klanu obdarzonego najgorszymi głosami w muzycznej historii Indii. Lepiej zmień tę nazwę, powiedziała, miej trochę szacunku i wybierz sobie na patrona jakiegoś innego, kurwa, boga. Niech już będzie ten od snu, Morfeusz. Podjąłem zabawę: To może Metamorfeusz, bóg zmiany. I poszło z górki. Wymyśliliśmy Endomorfeusza i Ektomorfeusza, bliźniaczych bogów typów ciała. Waldorfeusza Astorfeusza, boga hoteli. Motorfeusza, boga

motocyklistów. Hansa Castorpeusza, czarodziejskiego górala. Wkurweusza, boga gniewu. Konfuzeusza, drapiącego się w głowę boga mniemanologii.

Chciała rozprawiać o bogach, bo przerażał ją kult śmierci w Meksyku. W porównaniu z bóstwami, które oni tu mają, Apollo to jakiś teatrzyk, Posejdon to skautowskie przygody, a Hermes, kurwa, jest jak jedwabna chusteczka.

Traci rozpęd, patrzy na mnie. Wina nieczęsto o coś błaga, lecz teraz widzę, że chce, żebym przejął pałeczkę w tych pogwarkach i pobiegł dalej. Nie po to mnie potrzebuje, żebym ją zmuszał do stawiania czoła czemuś, z czym i tak się musi zmierzyć. Bez słowa prosi o współczucie, nawet o zmiłowanie.

Zaczynam więc posłusznie improwizować: niewiarygodna przemoc, oto, czego dostatek bogowie mają na składzie. Gwałty, morderstwa, straszliwe odwety. Człowiek zdąża ku bogom z otwartymi ramionami, ale ich uścisk to tragedia. Starzy bogowie, Indii Skandynawii Grecji, nie ustalali żadnych praw moralnych, żądali tylko jednego: czci. Szacunek, powiada boski Herakles Filoktetowi w sztuce Sofoklesa, jest tym, co Olimp ceni ponad wszystko. Jeżeli się nie wgłębiać, to brzmi wcale zachęcająco dla facetów z tych nowszych miotów, żadnych tam kazań na górze, żadnych islamskich podręczników, co i jak robić, ale uwaga, bo czyha wilczy dół. Czcić bogów to znaczy bać się ich gniewu; w sumie, bezustannie ich jednać. Katastrofy w przyrodzie to dowody niezadowolenia bogów, bo ten tu świat to nasza wina. Stąd ciągle przebłagiwanie. Ofiary z ludzi. Itede.

Właśnie za tym u ciebie przepadam, mówi Wina, a sardoniczny ton nie całkiem zagłusza ulgę i wdzięczność. Podpuścić cię i już przez pół godziny trajkoczesz, dzięki czemu dziewczyna może się wyłączyć i trochę odpocząć.

To zdanie pada przy napomknieniu o trzęsieniu ziemi.

Co nie takie zaskakujące, zważywszy, że znajdujemy się w znanym z upodobania do trzęsień Meksyku, nie wspominając o tematyce najświetniejszego hitowego albumu VTO ani o najświeższych wieszczbach Ormusa, przestrzegającego przed bliską apokalipsą. Nie jestem przesądny ani - ufam, że jasno to wyłożyłem - religijny. Nie wierzę, że ściągnąłem na nasze głowy gniew bogów mówieniem o trzęsieniu ziemi. Ale mówiłem, to fakt, i trzeba go odnotować.

I bądźmy ściśli: gniew nie spadł na moją głowę, lecz Winy.

Trzęsienia ziemi, wywodziłem, zawsze wzniecały w ludziach gorliwość w przebłagiwaniu bogów. Po wielkim trzęsieniu ziemi w Lizbonie 1 listopada 1755 - Wolter uznał tę katastrofę za niezbity argument na rzecz postrzegania życia w

kategoriach tragizmu, wbrew optymizmowi Leibniza - miejscowi postanowili urządzić prześlągalne auto da fe. Powieszono sławnego filozofa Panglossa (lepiej widziany w tej sytuacji konwencjonalny ogieniaszek jakoś się nie chciał rozpałić). Jego współnik, Herr Kandyd von Stopiorunsky zu Gzhmot (nazwisko jak z okultystycznego zaśpiewu), prawdopodobnie wywołujący trzęsienia ziemi swą obecnością, otrzymał długą, rytmiczną chłostę po zakrwawionych poślądkach. A w ślad za owym auto da fe zaraz nadchodzi jeszcze większe trzęsienie ziemi i w mgnieniu oka zamienia w gruzy tę część miasta, która dotychczas się ostała. Taki to problem z ofiarą z ludzi, heroiną bogów. Bardzo łatwo o uzależnienie. A kto nas uratuje przed bóstwami, które popadły w nałóg i ćpają?

Więc Bóg jest teraz ćpunem, mówi Wina.

Bogowie, poprawiam. Monoteizm, jak każdy despotyzm, tumani. Nasz gatunek jest najnormalniej demokratycznie politeistyczny, z wyjątkiem tej elity ewolucyjnej, która wymóg boskości uznaje za zbędny. Człowiek chce instynktownie, by bogów było wielu, bo on sam jest Jeden.

A opowieści? - mówi Wina, już w dużo lepszym nastroju. Teraz po prostu żartuje, gawędzi, nie myśli o kłopotach. Zdołałem sprawić, że na jej twarzy znów się pojawia niepewny uśmiech. Co z nimi? - powtarza. Czy taki cholerny, ciemny poganin jak ty nie lubi nawet opowieści?

Kiedy przestajemy wierzyć w bogów, możemy uwierzyć w ich historie, replikuję. Cudów, rzecz jasna, nie ma, lecz gdyby były, gdybyśmy się jutro obudzili i przekonali, że na ziemi już nie ma żadnych wyznawców, pobożnych chrześcijan, muzułmanów, hindusów, żydów, to czemu nie, wówczas można by się skupić na pięknie tych historii, bo już nie byłyby niebezpieczne, mogłyby najwyżej wymusić jedyną wiarę wiodącą do prawdy, czyli ochoczą niewierzącą wiarę czytelnika w dobrze skomponowaną baśń.

Mit, może zauważyłaś, wymaga od protagonistów głupoty. Żeby mogli radośnie kroczyć ku śmiertelnym niebezpieczeństwom, ślepi na najoczywistsze pułapki.

(Pozwoliłem sobie na powiedzenie tego wszystkiego, a może i czegoś więcej; od dawna nie mówiłem w ten sposób, tak obszernie, niepowściągliwie. I powtarzam, nie wierzę w grzech pychy, zbrodnię grania na nosie bogom, więc nie wierzę w nadejście nemezis. Ale przysiągłem opowiedzieć wszystko, więc muszę też opowiedzieć, że zanim się zdarzyło, co się zdarzyło, wygłosiłem te uwagi, bez wątpienia nieroztropne w oczach ludzi wierzących.)

Chodźmy się do mnie pogrzmocić, raźnie proponuje Wina. Kęs somy, łyk ambrozji. No jasne, jestem za. Prowadź, królowo. I uświadamiam sobie, nie pierwszy raz, że znajduję się w sytuacji śmiertelnika, który, jakby to powiedzieć, pokornie prosi boginię o miłość. Wina i Adonis, coś takiego. Wiem, że istoty ludzkie zazwyczaj kiepsko wychodzą na takich kontaktach.

Ale nie istniejący bogowie też mogą upaść.

Jej styl w tych czasach to hiperczarowności z końcówki lat osiemdziesiątych; koniec z fasonem hippisów (i radykałów). Francja-elegancja gwiazdy filmowej z dodatkowym szok'n'rollowym akcentem bezwstydu. Tyler, Gaultier, Alaia, Leger, Wang, ale i wcale często Santo Medusa: te jego garnitury kicikoci z technikolorową tęczą świecidelkowych aplikacji, dwurzędowe, wrzaskliwie różowe smokingi na gołe ciało, kolczugowate mini z rozcięciem do talii. Wina i Tina, mówią ludzie, wzięły się za łby, każdej się marzy korona wiecznie-kwitnącej diwy.

Oto pokój hotelowy. Oto kobieta, którą kocham. Oto kilka ostatnich chwil jej życia na ziemi; na ziemskiej skorupie. Każde głupstwo, dowcip, który palnie, każde złamane serce to historie, które na zawsze przycisnę do piersi, by nie przepadły w otchłani, w *barranco*. Oto kompakt, który nastawiła: *Raindogs*, otrzepany z kurzu honkytonk blues, na nowo wyłkany przez Lee Baby Simmsa. Wina zaczyna śpiewać wraz z nim, a mnie włosy się jeżą na karku. *Czy zobaczę cię jeszcze / W oknie tramwaju w mieście*. W rytm tej muzyki chyba kołyszą się ściany. Tojak Valery, wtrącam. *Le roc marche, et trebuche; et chaque pierre fee / se sent un poids nouveau qui vers l'azur delire!* Jakiej Walerii?, pogrążona w muzyce i kłębach dymu Wina wzrusza ramionami, nie uważa.

Jest już w drodze do Guadalajary, miasta, w którym zatrzymuje się czas. Do Guadalajary i dalej.

Oto my, w łóżku. Wina zawsze kocha się, jakby to był ostatni raz, tak robiła zresztą wszystko, tak żyła; ale to dla nas rzeczywiście ostatni raz, chociaż jeszcze tego nie wiemy. Ostatni raz te piersi. Piersi Heleny Trojańskiej były tak zdumiewające, że kiedy po upadku Troi odsłoniła je przed mężem, ten nie był w stanie wyrzucić jej krzywdy. Z bezwolnej dłoni Menelaosa wypadł miecz. Oto kobieta, którą kocham, oto jej piersi. Raz po raz, bez końca przewijam w głowie tę taśmę. Czemu nie pokazałaś piersi trzęsieniu ziemi, Wino, czemu nie obnażyłaś ich przed bogiem burz? Na pewno byś ocalała.

Oto piersi kobiety, którą kocham. Wsuwam między nie nos i wchłaniam przenikliwy zapach, ich dojrzałość. Układam między nimi ptaka i czuję ich nabrzmiałą pieśczętę.

Oto Wina, jak zawsze rozmowna po miłości. Chce się wyzalić na problem wieku dręczący piosenkarki: Dianę, Joni, Tinę, Ninę, ją samą. Popatrz na takiego Sinatrę, mówi. Gość ledwie się trzyma na nogach, o niektórych dźwiękach już nawet nie może marzyć, ktoś powinien zatłuc zwierzę, które mu siadło na łbie, ale to facet, więc dla niego to żaden problem w karierze. (Tak jest, Wina porównuje się tu z Głosem, bo nie uznaje fałszywej skromności, sama też jest Głosem. Zna swoją wartość w sztuce. Tina i ja piszemy tę książkę od nowa. *Nie znikaj*, tak brzmi ten nowy tytuł, złotko. Opowiadamy, jak to powinno wyglądać.)

Potem rozwodzi się nad młodszą generacją, jej nieudolnościami, uzalaniem się. Taka Madonna Sangria, w "Rolling Stone" znów ta szajba na punkcie kobiecego ciała. Już się go nie używa, lecz nadużywa. Już nie ma płci, jest rodzaj. Jak można słuchać tych tanich opryskliwości, które serwuje ta mała zrzęda, mruczy Wina przede wszystkim do siebie. Bo my, człowieku, mamy inny stopień sprężania. Furię. Żalić się na facetów? Wypłakiwać na mamunię i tatunia? Odpada. My braliśmy się do tego, co główne, do wszechświata. *Chłopak mnie rzucił, mężczyźni to dupki*. No nie mogę dalej. Któregoś dnia dołożę tym rozrywkowym dziewczyneczkom. Bop ja. Bop mama tata bop kizi mizi bop. (Teraz śpiewa.) *Taka jest śliczna...*

Gówno i tyle, warczy znienacka. Zmarnowana, na wpół śpiąca wyklóca się ze sobą. Bo za sznurki zawsze pociągają faceci. Ike Turner Berry Gordy Phil Spector Ormus Kama. Ike Spector Berry Turner. Mężczyzna ma rządzić, kobieta cierpieć. Wciąż to powtarzam. Orfeusz żyje, a Eurydyka ginie, zgadza się?

Pewnie, mówię, ale ty także jesteś Orfeuszem. Twój głos sprawia, że oczarowane kamienie tego miasta ulatują w błękit w obłąkaniu, a ławice pijanych obrazów tego miasta ruszają w tan. Wszyscy wiemy, że to ty masz *oraia phone*, najlepszy głos; ty, nie on. Bo on tymczasem tonie w tym innoświecie czy podziemiach i kto go uratuje, gryzę się w język, bo mówię na przekór temu, czego chcę dopiąć w tej podróży na południe: *kto, jeśli nie ty*. I mówię zamiast tego: Już czas, żeby tacy mężczyźni zaczęli sami ratować się z kłopotów.

I ciągnę: Zresztą Orfeusz też umiera. Co powiedziawszy, chcę sobie odgryźć język. Fatalnie, fatalnie! Ale co się powiedziało, to się powiedziało.

Teraz Wina siedzi na łóżku, zupełnie trzeźwa, nagle i niedorzecznie rozjuszona.

Myślisz, że możesz wskoczyć w jego buty, mówi. Że możesz spać w dołku, który on wygniótł w łóżku. Tylko w marzeniach, Raj, w snach. Nigdy w życiu. Odwaliłeś kawał drogi tylko po to, żeby powiedzieć, że chcesz, żeby nie żył? A może i ja mam umrzeć, jeśli się nie pokłonię przed tobą, twoimi chętkami, przed twoim, kurwa, kutafonem? Przyjechałeś tu zamordować miłość i rozgłosić miłość mordercy.

Nie, to nie tak, mówię niepotrzebnie. Wina, bogini rozkoszy i zniszczeń, podnosi się w dionizyjskim gniewie. Jazda stąd, rozkazuje, a ja pokornie spadam.

Nazajutrz w Guadalajarze - bo pojechałem za nią i tam, lecz na własną rękę, wygnany z orszaku, niezdolny dotrzeć do niej prawem ni lewem, ni gołębiem pocztowym - błąkam się, nieszczęśliwy, z głową pełną myśli *krzyczących na całą okolicę*, jak mówi Mojżesz Herzog. W USA jest teraz kobieta-biskup, może powinienem do niej zadzwonić, a ona jakoś połączyłaby się z Winą, dogadała po siostrzanemu i, sam nie wiem jak, wstawiła za mną. W Paragwaju koniec ze Stroessnerem, przewrót, lecz w dniu, w którym ogłosi się światowy niedobór dyktatorów, w piekle powieje chłodem. Zwiduje mi się stracenie tych sikhów od Poczwórznego Zabójstwa. Pozdrówcie wiecie kogo, może Cool Yul już nie jest taki *cool*, nie tam, gdzie siedzi.

Zmieniasz się, powiedziała. Tak trzymaj.

Metamorfoza - to właśnie powinienem jej wyjaśnić - wypiera z nas potrzebę boskości. Bo tego możemy dopiąć sami, to nasza magia ludzka. Mówię tu nie o zwyczajnych, codziennych zmianach, o materii współczesnego życia (w którym, jak ktoś powiedział, tylko tymczasowość jest na czasie); nawet nie o tych przystosowywalnych kameleonowych naturach, tak pospolitych w naszym migracyjnym stuleciu; lecz o pewnej głębszej, bardziej szokującej możliwości, która ujawnia się tylko pod skrajnie wysokim ciśnieniem: kiedy stajemy twarzą w twarz z Ogromem. Czasem w takim momencie możemy się zmutować, przemienić w inną postać, w finalną formę postmetamorfotyczną. W nową jakość: trwałą.

Nasza trójka przebiła błonę na niebie i została przekształcona przez doświadczenia. To prawda. Lecz jest też prawdą, że w tym momencie transformacje się nie zakończyły. Ścisłej byłoby powiedzieć, że wkroczyliśmy w strefę przekształceń. W fazę przejściowości, w której możemy utknąć na zawsze, skąd tylko dyktatorska siła Ogromu może nas pchnąć ku spełnieniu.

Ogrom objawił Ormusowi oblicze. Sam Ormus stał się sprawczym czynnikiem owego objawienia. Dla Ormusa, bez względu na konsekwencje, odwrotu już nie było.

Dla Winy i dla mnie - pragnę, by to właśnie zrozumiała - Ogrom przybrał formę dozgonnej, przerywanej, ale nieuniknionej miłości. Więc gdyby tylko rzuciła Ormusa dla mnie, nasze życie zupełnie by się przeobraziło, oboje zdumiewająco byśmy się odmienili; a nowy kształt, który by się wówczas wyłonił - ona i ja, miłośnicie razem - przetrwałby na zawsze. Na zawsze i, kurwa, jeszcze dłużej.

Przydusić ją? Pewnie. Powtarzam: tylko pod absolutnie najwyższym ciśnieniem możemy zmienić się w coś, co tkwi najgłębiej w naszej naturze i stać się tym. Zmartwiały ze strachu Lichas, wtrącony do morza przez Heraklesa, skamieniał. Stał się skałą. Na zawsze. Można teraz usiąść sobie na niej - na nim - w Zatoce Eubejskiej, w pobliżu Termopil.

Co ludzie myślą, gdy mowa o transformacji? Otóż nie jesteśmy płytkimi imitacjami Proteusza, zmieniającymi kształt bez końca. Nie należymy do science fiction. To jak z węglem przemieniającym się w diament. Jego zdolność przemiany ustaje. Można go zgniatać do woli, już nie zamieni się w gumową kulkę, w pizzę quatro stagioni ani w autoportret Rembrandta. Dokonało się.

Naukowców wdiabla, kiedy laik mylnie pojmuje, na przykład, regułę nieoznaczoności. Bardzo łatwo pomieszać naukę z banałem w czasach naszych wielkich niepewności, uwierzyć, że Heisenberg jedynie mówi, o rany, chłopaki, po prostu nie możemy być niczego pewni, to wszystko jest takie, kurczę, niepewne, nieoznaczone, ale prawda, że piękne? Tymczasem odwrotnie, Heisenberg mówi zupełnie co innego: jeżeli człowiek wie, co robi, może w dowolnym eksperymencie, w dowolnym procesie wyłuskać i ściśle wymierzyć porcję niepewności. Zarówno wiedzę, jak i tajemnicę możemy teraz określić w punktach procentowych. Zasada nieoznaczoności jest także miarą oznaczoności, pewności. Nie jest lamentem na temat ruchomych piasków, ale miarą twardości gruntu.

Przeto, jak mawialiśmy w języku hugma, miałem już dość fałszywego rozumienia przemian. Bo przecież nie mówimy tu o jakiejś cholernej księdze *I Cing*, ale o najgłębszych zawirowaniach naszej natury, o naszych sercach tajemnych. Metamorfoza to nie widzimi się. To objawienie.

W różnych barach wokół Plaža de Armas, na Calzada Independencia Sur, Calle de Mariachis uczę się rozpoznawać odmiany tequili. Są trzy wielkie gorzelnie: Sauza, Angel i Cuervo. Wyczuwam różnicę między Sauzą i Angelem, ale może za słabo przebadałem zasoby innych pól w innych barach, hej, *camarero*, jeszcze jednego, *hombre*, *muy pronto*. Tequila biała to bimbrowata taniocha; następnie mamy

trzymiesięczną reposado; ale jeśli się szuka czegoś dobrego, trzeba łyknąć tres generaciones, tkwi w tej nazwie pewna przesada, ale naprawdę warto poczekać, aż dojrzeje przez tych sześć do dwunastu lat. W pewnej chwili przyjrzałem się uważnie *Człowiekowi w płomieniach*, muralowi Orozco. Teraz to markowy kawalek, instytucja narodowa, ale w latach trzydziestych facet musiał uciekać do Ameryki i tam zdobył rozgłos, znana historia, człowiek musi porzucić dom i sprawić, by pokochali go *gringos*, zanim to samo go spotka na własnych starych śmieciach. Zresztą już po pięciu minutach można zazwyczaj usłyszeć, że człowiek się sprzedał; ale Orozco, szczęściarz, wciąż jest w łaskach.

Wina dokonała wyboru i nie ja nim jestem. Jej wybór: żadnych zmian.

Wzmocniony trzema pokoleniami z gorzelnii don Angela rozważam, co począć z resztą życia. Mam zaledwie czterdzieści dwa lata. Cholera, Wina jest starsza ode mnie, otóż to, czy wszystkie kobiety poniżej czterdziestki spisały mnie na straty? Nie wiem. Podejrzewam, że kiedy człowiek już wysuszy do ostatniego te pokolenia, staje się niewiarygodnie stary. I jeszcze trzy pokolenia, *camarero*. O, tu jesteście, jedno spłodziło drugie, a drugie trzecie. Już lepiej. Kobiety wyglądają młodziej. Pikolakowi wyrastają skrzydła.

Gdybym miał duszę, sprzedałbym ją teraz i ukoił pragnienie mego serca. I jeszcze trzy pokolenia, jeżeli można.

Senor, mam wrażenie, że może dosyć. W którym hotelu zechciał się pan zatrzymać? Jeśli pan sobie życzy, sprowadzę taksówkę.

13 lutego 1989, ostatnia noc jej życia (już tu byliśmy); legendarna piosenkarka Wina Apsara obiera sobie niejakiego Raula Paramo - zaćpaną nicość, playboya obwieszzonego robioną na zamówienie biżuterią - za narzędzie mego upokorzenia seksualnego. Czekam na nią w hotelowym holu, a ona wparowuje, półnaga, już przeleciana, w ramionach tego żalostnego zera, kretyńsko uśmiechniętego, jak wiejski przyglup, który wygrał na loterii; jego kres, jak się okaże, jest jeszcze bliższy niż jej. Wina zatrzymuje się naprzeciw mnie, wczepiona w faceta, całuje się z nim po samo gardło, nie dalej niż o metr. I wygłasza oświadczenie. *Mc w moim życiu nie znaczysz, Raj, jeszcze mniej niż ten śmieć, więc zrób mi tę grzeczność, odpiardol się i zdechnij.*

Lecz ja otrzymałem już od tej damy lekcję na całe życie, by pielęgnować sztukę czekania na cokolwiek, na byle strzęp, który raczy rzucić w moją stronę. Zmuszając do milczenia sponiewierane resztki dumy, opłacam ochroniarza pilnującego piętra,

dzięki czemu udaje mi się spędzić noc na korytarzu przy drzwiach jej apartamentu na małym składanym krzeselku (każdy fotograf ma takie, wraz z żyłką do pakowania się w kłopoty i lekką rozkładaną drabinką) i przygotować na to, że padnę jej do stóp, wyblagam prawo powrotu do jakiegoś brudnego pokoiku na tyłach jej życia.

Jak Wina, która usiadła niegdyś pod zamkniętymi na klucz drzwiami udręczonego Ormusa, czekając, aż zostanie wpuszczona, by móc się nim opiekować, tak teraz ja czekałem na nią. Jedno echem drugiego, dzwonieniem w uszach; tak to już z nami jest.

A teraz mamy świętego Walentego, południe. Już tu byliśmy. Oto Wina w korytarzu hotelowym, ogarnięta paniką, zagubiona, odcięta od własnego apartamentu, którego drzwi zatrzasnęła, ucieka od umierającego kochanka, i oto czekający jak pies Raj, wierny dworzanin, jak zawsze gotów do nędznych, zdyszanych usług.

Już tu byliśmy. Po dwóch godzinach nad błękitnymi agawami sunie helikopter. Moje krótkie wygnanie dobiega końca; uczucia Winy karnie słuchają jej potrzeb, Wina znów widzi we mnie niezachwianego sojusznika, w tej chwili jedyną pomoc i ostoję. Ja jestem skałą, jak Lichas rzucony w morze. A skały nie czują bólu.

Przelatujemy nad jej orszakiem. *Spośród was wszystkich, sukinsyny, mogę zaufać tylko jemu.* Dla Winy nie zawieść zaufania to dać się uwięzić, i oto Wina ogłasza, że ufa właśnie mnie.

Wstrząsnęła nią dotkliwie historia z Raulem Paramo. W słuchawkach hełmofonu słyszę nostalgiczne brzmienie "przytulmnie", żargonu naszej młodości hugma. Ileż to upłynęło czasu. Później, rozpamiętując, bardzo się wzruszę myślą, że Wina krążyła u kresu wokół tego, jak zaczynaliśmy. Jasne, jasne, prywatny język był tu przydatny, osłaniał naszą rozmowę przed słuchawkami pierwszego i drugiego pilota, chociaż do tego wystarczyłby pewnie zwykły angielski. Posunęła się dalej, niż trzeba, i w ten sposób w gorącym i suchym meksykańskim powietrzu wskrzesiła stary Bombaj. Trudno i darmo, rozpamiętując, myślę, że ów wybór był zapowiedzią naszej zażyłości; obietnicą tego, co miało nadejść.

Już tu byliśmy. Już wiemy, że obietnicy nie dotrzymała, nie mogła dotrzymać.

Jest zgnębioną kobietą: policja, Paramo, narkotyki. Przejmuje się także - zdumiewające - mną. Czy wybaczę jej to straszne zachowanie itede, czasami smaga i rani ludzi, na których najbardziej jej zależy, i ile muszę mieć w sobie siły, że wciąż tu

dla niej jestem?, bo nie odejdę?, by dać jej jeszcze jedną szansę. Ale czy może, prosi, bardzo prosi, przełożyć tę sprawę miłości na później, bo teraz nie potrafi jasno myśleć, bo ta trasa i w ogóle?, jest mi to winna, żeby poczekać, aż jej się przetrze w głowie. A ty, Raj, tyle czekałeś, kochanie, możesz jeszcze wytrzymać tych naśnaście dni.

Słówko z języka z dziecięcych czasów naszej miłości przyprawia o dreszcz moje wciąż oszołomione dorosłe serce. W porządku, mówię, poczekam. Jeszcze poczekam, Wino, ale niedługo.

Przytul mnie kochanie przytul przytul. Chodź tu, no chodź no chodź.

Wściekły zar tego dnia, wiwatujący tłum na futbolowym boisku, dwa srebrne bentleye don Angela Cruza, przerażone zwierzęta, kapela *mariachi* i Wina, która śpiewa *Trionfi Amore*, ostatnią pieśń, którą usłyszano z jej ust.

...U cor tormenta

Al fin diuenta

Felicita.

A potem trzęsienie ziemi. Porywam aparaty i fotografuję, odtąd przestają istnieć dla mnie dźwięki, jest tylko cisza wydarzeń, cisza fotografii.

Tequila! Już tu byliśmy.

W czasach Woltera wierzono, że podziemne żyły siarczane łączą miejsca trzęsień ziemi. Żyły siarki, która cuchnie piekłem.

Artysta skonfrontowany z płomienistą świetnością dnia powszedniego zostaje zarazem upokorzony i sprowokowany. Dysponujemy teraz fotografiami o niewyobrażalnej skali: śmierć gwiazd, narodziny galaktyk, zawirowania z pobliza świtu Czasu. Tłumy słońc zbijają się na pustkowiach nieba w wizje. W kadrze układają się magellaniczne obłoki chwały, pizańskie wieże w niebieskim Campo dei Miracoli. Patrząc na te obrazy, tak jest, legitymizujemy cudowność w naszym ogromniejącym zasięgu. Jałowe byłoby wychwalanie naszych karzełkowatych prac - mistrzostwa sterowników Hubble'a, komputerowych wzmacniaczy obrazu, skanerów, koloryzatorów, tych wszystkich najprawdziwszych fantazmatów, które równie dobrze mogli stworzyć w Hollywood tamtejsi technomagowie, filmowi imażynierzy - kiedy kosmos daje ten pokaz, absolutnie odbierający mowę. Przed majestatem bytu możemy tylko skłonić głowy.

To drażni, rzecz jasna. Jakby nas ktoś obsikał.

Jest w nas to coś, co wierzy, że jesteśmy warci gwiazd. Na owym rozstaju człowiek obraca się w prawo i znajduje Boga; lub w lewo, gdzie jest sztuka, z jej nieustraszoną ambicją i chlubnym, zuchwałym zasięgiem. W głębi serca ufamy - ba, wiemy - że nasze obrazy mogą się równać z tym, co przedstawiają. Nasze twory mogą pokonać dystans dzielący je od Stworzenia; więcej, nasza wyobraźnia - obrazotwórstwo - jest niezbywalną częścią wielkiego dzieła - czynienia rzeczywistości rzeczywistą. A tak, będę się nawet przy tym upierał. (Zazwyczaj takie stanowcze sądy formułuję w opieczętowanej prywatności łazienki, ale trudno, dziś wszystkie prawdy łazienkowe muszą wyjść na jaw, wchodzić w grę.)

Na przykład: jeszcze nikomu nie udało się sfotografować tych rozstępów w kosmosie, które - jeżeli wierzyć Ormusowi Kamie - odpowiadają za obecny zalew katastrof. Zrobienie takiego zdjęcia skutkowałoby potężną zmianą rzeczywistości, kolosalnym wstrząsem w naszym rozumieniu zjawisk.

Jednakże mamy nowe zdjęcie wstrząsów na Słońcu. Trafiło na pierwsze strony na cały świecie, w pełnym, wzmocnionym kolorze. I to trzęsienie wygląda jak wielki bąbel pary, który przebija się przez gorącą powierzchnię gęstej, złocistej owsianki. A solarne sejsmiczne rozpryski kaszki są wyższe, co widać wyraźnie, od siedmiu Everestów; mają ponad sześćdziesiąt pięć kilometrów.

Gdyby tego zdjęcia nie było, z wiadomości o solarnym trzęsieniu nie powiałoby aż takim realizmem. A skoro zdjęcie jest, każdy czytelnik gazet na świecie zadaje sobie, nie bez drżenia, to samo pytanie.

Więc Sionce też się znalazło w opalach?

Zatem fotografia może wytwarzać sens wydarzenia.

Czasami nawet kiedy wydarzenie jest bujdą.

Na moim ostatnim zdjęciu Winy ziemia pod jej stopami jest spękana jak jakiś wariacki bruk, wokół ciecz. Wina stoi na przekrzywionym w prawo ułamku ulicy; żeby to zrównoważyć, wychyla się w lewo. Szeroko rozpostarte ramiona, rozwiane włosy, twarz w pół drogi między wściekłością a strachem. Za Winą świat już jest nieostry. Wokół przechylonego ciała aż gęsto od aury wybuchów, panoszącego się ognia, strachu, kurzu, walących zewsząd wody i tequili. Ta ostatnia Wina to wcielenie kataklizmu, kobieta *in extremis*, która także, przypadkiem, jest jedną z najslawniejszych postaci na świecie.

Wraz z przepadnięciem Winy Apsary w willi Huracan moje zdjęcie trzęsienia ziemi dołączyło do tej garstki fotografii - podfruwająca spódnica Monroe, płonąca

dziewczynka w Indochinach, wschód Ziemi - które rzeczywiście stają się doświadczeniem, częścią zbiorowej pamięci rodzaju ludzkiego. Jak każdy fotograf miałem całe życie nadzieję, że moje nazwisko zostanie przypisane do paru superfotografii, ale to zdjęcie Winy prześcignęło najambitniejsze, najbardziej samochwalcze oczekiwania. *Ginie dama*, jak je później nazwano, z pewnością pozostanie gorzkim śladem po mnie. Jeśli ktoś będzie o mnie pamiętał, to tylko dzięki temu zdjęciu. Przynajmniej w tym sensie Wina i ja zostaliśmy złączeni na zawsze, wbrew wszystkiemu; w ten sposób doszło do spełnienia, którego przez całe życie pragnąłem może goręcej niż sukcesu zawodowego. Tak, zostaliśmy złączeni po wsze czasy, dalej niż sięgają nadzieja i życie; przez Ogrom przekształceni w Wieczność. Ale myliłem się co do istoty przekształcającej siły, która dokonuje z nami cudów. W naszym wypadku nie była to miłość, lecz śmierć.

Uważajcie z pragnieniami.

Na początku mego fotograficznego żywota byłem winien niechlubnego nadużycia: przypisałem sobie zdjęcia zabitego reportera. I od tamtej pory - do czego czasem przyznawałem się przed sobą, chociaż w niektórych sytuacjach umiałem stłumić to wspomnienie obracanego obcasa, przesłonić je widokiem innego ważnego w moim życiu wisielca - potrzebowałem czegoś, co jest bezbożnym równoważnikiem zbawienia; możecie to nazwać szacunkiem wobec siebie. I co za ironia: kiedy wreszcie udaje mi się stworzyć jedną z ikon naszego wieku, marzę tylko o jednym, żeby nie było okazji do jej stworzenia; uznałem raz na zawsze, że Wina - obiekt - jest o wiele więcej warta niż jakakolwiek fotografia, którą mógłbym jej zrobić; nie mogę znieść, że pozostałem z tym jednym, niemy odbiciem jej nieskończonej różnorodności.

Wy macie to sakramenckie zdjęcie. A ja chcę, żeby Wina wróciła.

To zdjęcie także - ponieważ wpięrow opublikowane łącznie z depeszami o czymś, co wciąż nazywam zaginięciem, bo inne słowa nie chcą mi przejść przez gardło - będzie odtąd w publicznej świadomości na stałe wiązane z kulminacją horroru. Tacy są ludzie. Chociaż wiemy, że żaden fotograf nie był świadkiem kresu Winy, to bez oporu akceptujemy autentyczność takiego ujęcia. Pod presją światowego zapotrzebowania na rzeczy ostateczne, pod presją objawienia się Ogromu na skalę globalną, moja fotografia Winy na zalewanej tequila ulicy przemienia się w portret gwiazdy w chwili jej, wypowiedzmy to, śmierci.

To coś w rodzaju mimowolnego fałszerstwa. Kolejny kant. I chociaż chcę już uporządkować rachunki, chociaż w kółko opowiadam historię tego zdjęcia, to nikt jej

w istocie nie słucha. Ludzie już wiedzą wszystko, co chcą wiedzieć. *Ginie dama*. I kwita. Świat tak ustalił.

Już tu byliśmy.

Oto helikopter tuż nad porozrywaną ziemią. Oto kobieta, którą kocham, woła przez otwarte drzwi. *Ja w każdym razie odlatuję*. Ja nie mogę, odkrzykuję. *Co? Leć! Kurwa! Co? Trzymaj się, Nadziejo!*

Oto, jak ludzie mówią, kiedy nie mówią, co myślą.

Ja w każdym razie odlatuję. (Leć ze mną, proszę, nie mogę uwierzyć, że nie chcesz.) Ja nie mogę. (Moja najdroższa, za żadne skarby nie chcę cię znów tracić z oczu, ale cholera jasna, trochę mnie, wiesz, sponiewierałaś, może chcesz zobaczyć bliźny?, no i tym razem nie ciebie stawiam na pierwszym miejscu. Pobędę tu trochę, i tym razem to ty poczekaś na mnie. Jeśli mnie pragniesz, wytrzymasz. Zgadza się, próba. Mhm. Może tak rzeczywiście jest.) *Co? (Ty sukinsynu?, myślisz, że co, że możesz mnie przetrzymać? Jezu, Raj, odpuść zagrywki, nie teraz, nie dziś.)* Leć. (W porządku, to nie jest gra. Kocham cię na zawsze i poza grób. Ale to moja praca. Zjawię się w okamgnieniu. Leć. Zjawię się zaraz po tobie. Kocham cię. Leć.)

Kurwa. (Nigdy nie chciałam kurwa żebyś leciał za mną do tego Meksyku to raz ale skoro już kurwa przyleciałeś to chyba o czymś świadczy jasna sprawa a mimo to cię kurwa zraniłam miałam porąbane nie miałam kurwa racji a potem mi pomogłeś rzeczywiście mnie to ruszyło więc zaufałam ci naprawdę ci kurwa uwierzyłam a potem poruszyła się ziemia a ty mnie kurwa zostawiasz robisz zdjęcia ja mogę sobie umierać mogę być połamana i konająca ale ty kurwa masz swoją robotę i ani myślisz ze mną lecieć teraz kiedy w końcu doszło do mnie że cię potrzebuję że kurwa chcę cię może nawet cię kocham naprawdę cię kurwa kocham, Raj, kocham kocham.)

Co? (Co???)

Żegnaj, Nadziejo. (Żegnaj na chwilę, ty skurwielu, ale potem nigdy cię już nie spuszczę z oka. Kiedy cię znowu zobaczę, to będzie początek reszty naszego życia.)

Przez całe lata co noc powtarzałem sobie ten wykrzykiwany dialog i teraz myślę, że może o to chodziło. Może Żegnaj rzeczywiście było nie dokończonym nigdy zaczątkiem *Hej! Witaj!* Wierzę w to, wierzę. Chociaż ten sens sprawia, że strata ciąży bardziej, a ból znieść jeszcze trudniej.

Oto, co mówi pilot w Televisa: No cóż, señora, mamy ją przerzucić nad górami na wybrzeże, a w dole wszędzie takie zniszczenia, że serce pęka. Pilne myśli ku rodzinom, prawda, ale obowiązek mamy wypełniany do końca. Wywoływanie willa Huracan bez odpowiedzi, telefon nie ma połączenia, a sławna osoba na pokładzie nalega lecieć dalej, jak w planie. Mówi przez cały czas: szybciej, czy nie możecie szybciej. I to dla niej, bo który mężczyzna powie jej nie, wprost wyłazimy ze skóry, a kiedy jest dolot do El Huracan, to się okazuje, że los jej błogosławi, bo wszystko ma nietknięte, w całej naszej zrujnowanej ojczyźnie ten jeden zakątek cały, jak na jej przyjęcie. I jak mamy ustalone, lądujemy na piasku pod klifem, skąd już ma sama wejść na górę do Huracanu. Ale na plażę nikt nie schodzi, ona ma mnóstwo tego bagażu, łatwo sobie wyobrazić, szyk. Oczywiście można nieść te torby i walizy, żaden problem, ale trzeba, panowie, zrozumieć, że mamy obawy o maszynę, a także, muszę wyznać, mamy to wielkie pragnienie, żeby jeszcze raz zobaczyć żonę i synów w Acatlan. Ale że ona ma osobowość o wielkiej sile wyrazu, nalegającą, jeśli państwo rozumieją, więc zgodnie z życzeniem te bagaże zostają na pierwszym stopniu escalinaty na górę i tam mówimy sobie "do widzenia" i tyle, koniec. - Przepraszam, że jak? - Oczywiście, mamy na względzie jej bezpieczeństwo. Właśnie dlatego mamy potem te dwie rundy nad posiadłością, aż go zobaczyliśmy, tak, inną osobę, która tam jest. - Niestety, nie mogę zidentyfikować, prócz szanownej pani na piasku, mój partner też nie, absolutnie. A z drugiej strony, pod żadnym pozorem nie zostawiamy jej samotnej. To grubiańska insynuacja. W tym momencie sytuacja w Huracanie jest normalna. Aż do końca nie ma zaobserwowania żadnego nieszczęśliwego przypadku.

Mo Mallick, szef Kolchidy, rozmawia w CNN z Larrym Kingiem. Jasne włosy do ramion, dodające powagi okulary, słynny profil. Wyimki: Jasne, Larry, baliśmy się, muszę przyznać, kto by się nie bał... Dom ma, to znaczy powinienem powiedzieć miał, wciąż mi to kiepsko przechodzi przez gardło, więc miał własny agregat, ten zapewniał nieco energii, ale telefony, woda, to wszystko wysiadło, w sumie na całym wybrzeżu, mówię ci, tam były poważne wypiętrzenia, przesunięcia... No i miałem gości, Larry, prawdopodobnie największego z żyjących pisarzy Chile z uroczą żoną, Amerykanką, to także była odpowiedzialność, i tyle mogę powiedzieć, że po prostu nigdy mi do głowy nie przyszło, że mogłaby się zdobyć na taki wypad, rozumiesz, o co mi chodzi?, to nie był właściwy moment na parę superdni nad starym dobrym Pacyfikiem. Posłuchaj, tam w ogóle już nie było personelu, bo piorunem, raz dwa, oczywiście to nie brak szacunku z mojej strony, rozumiem, jak się czuli, na ich miejscu prawdopodobnie

postąpiłbym tak samo, ale po prostu się zmyli. A ja miałem w głowie jedno, jak najszybciej dostać się z gośćmi w jakieś bezpieczne miejsce, byle gdzie, rozumiesz? Bo jak dotąd mieliśmy szczęście, ale lepiej nie kusić losu... Ani przez chwilę nie przeszło mi przez myśl, że ona może tam wylądować, bez żadnego planu ewakuacji, nie wiedząc, jak się dostać do domu, rozumiesz?, na tej już tykającej, przepraszam, tylko skończę, plaży. - Słucham? - Że pilot mówi, że widział...? - Nie, Larry, nie powiem ci, kto by to był, nie mam pojęcia. Jeżeli chodzi o personel, jestem w pełni zorientowany, co do gości i do mnie jak wyżej. To dla mnie coś nowego, że się tam pętał jakiś nieszczęsny skurwiel. Może rabuś, nie chciałbym tu nikogo poniżać, to samo może się zdarzyć w Kalifornii, to jasne, ale w niepewnych czasach spod ziemi wyrastają złodzieje. Obawiam się, że drogo zapłacił.

Moment sejsmiczny trzęsienia ziemi mierzy się, mnożąc jego obszar (długość razy szerokość strefy uskoku) przez wielkość przesunięcia skał oraz ich sztywność. Moc trzęsienia ziemi określa się raczej poprzez logarytm momentu sejsmicznego - zwany magnitudą - niż przez sam moment. W ten sposób wszystkie trzęsienia ziemi wystopniowane są od jednego do dziewięciu, przy czym każda jednostka magnitudy oznacza dziesięciokrotny wzrost mocy. Wstrząs dziewiątego stopnia jest miliard razy potężniejszy niż pierwszego. Ten system nazwano od amerykańskiego sejsmologa Charlesa Richtera. Intensywność trzęsienia ziemi, określaną na podstawie katalogu zniszczeń, klasyfikuje się dodatkowo od I do XII w tak zwanej modyfikowanej skali Mercallego. Potworne trzęsienie ziemi, które nawiedziło meksykańskie wybrzeże Pacyfiku wczesnym wieczorem 14 lutego, wymazując z powierzchni ziemi wille Huracan, sąsiednią wioskę Aparajitos, miasta Puerto Vallarta na południu i Mazatlan na północy, a oprócz tego mnóstwo innych, zostało uznane za pełną dziewiątkę w skali Richtera, co znaczy, że gorzej nie można. A także uznane zostało za XII w modyfikowanej skali Mercallego, co oznacza zniszczenie totalne. Sejsmolodzy donoszą o powstaniu gigantycznego nowego uskoku długiego na blisko tysiąc kilometrów, szerokiego na sto, biegnącego mniej więcej wzdłuż linii brzegowej. Najgorsze wstrząsy dotknęły strefę ubytku, gdzie jedna ze zderzających się płyt tektonicznych zostaje wepchnięta pod drugą. W 1960 trzęsienie o magnitudzie osiem przecinek pięć strzaskało spory kęs Chile. Dla międzynarodowej społeczności sejsmologicznej trzęsienie z 1989 roku w Aparajitos to sygnał nagłego, niszczycielskiego przeniesienia się na północ tej potężnej podziemnej wojny, owych miażdżących zderzeń wielkich płyt. To największe wydarzenie w geologicznej historii

ziemi. Pęknięcie wzdłuż odwiecznej granicy między lądem i oceanem.

Inna możliwość to, rzecz jasna, pierwsza wielka katastrofa w wyniku zderzenia światów opisanego przez Ormusa Kanię w jego tak wyszydzanym, skierowanym do całego świata komunikacie; początek niewyobrażalnego końca.

Jest sama, kiedy to następuje. Może stoi na śniadaniowym tarasie pod gigantycznym kalifornijskim jesionem, popija margaritę na tequili tres generaciones i rozmyśla o eksponowanych tu genitaliach starego powieściopisarza lub Ormusie Kamie, jego przepasce na oko, migrenach i prorocत्वach. Lub o przyszłości; o mnie. Wyobrażam ją sobie i znów mnie spowija cisza fotografii. Jeśli pokrzykuje ptak, jeśli zniecka zaszumi wiatr w drzewach, jeśli - jak na wyspie Prospera - dżungla za El Huracan kipi od odgłosów, to ja nic o tym nie wiem. Nadchodzi burza, ale mnie nie interesują czary ani przywłaszczenia.

Albo nie jest sama. Z dżungli wyłania się jakiś Kaliban, żeby upomnieć się o prawo pierworództwa. Jest przerażona. Albo nie jest. Walczy. Nie, żadnych walk. Nie ma żadnego Innego. Ten pilot kłamał, by wydać się rzetelniejszym, niż jest, zachować twarz; to wszystko. Ów Inny to wymysł, fantom. Jest sama z margaritą, piękny zachód słońca. W ostatnich minutach życia kąpie się w pięknie tego świata. Może śpiewa. Chcę myśleć, że śpiewa na tle pomarańczowo-purpurowego nieba.

I chociaż nic nie słyszę, to jednak dobiega mnie jej heroiczny głos rwący się do śpiewu.

A wtedy ziemia po prostu rozwiera się jak paszcza i pożera ją.

W tej samej chwili zostaje podobnie pożarty wielki łuk pacyficznego wybrzeża. Krawędź uskoku ma jedenaście metrów wysokości: ogrom. Ocean wrze i wypełnia rozcięcie ziemi, rozdarcie rzeczywistości. Woda, ziemia i ogień buchają w niebiosa. Śmierci i zaginięcia mierzy się w dziesiątkach, setkach tysięcy.

Ziemia zamyka się nad jej ciałem, rozgryza je, przeżuwa, przełyka i oto już jest po niej.

Nie jestem w stanie sensownie ułożyć myśli. - *Obawiam się, że jestem w nie najlepszym stanie ducha.* - Och, ona jest gruzem na dnie otchłani! - Wina, radość życia, znak naszego człowieczeństwa - zaginęła!, w tym stuleciu zaginięć, stuleciu zaginionych - w którym tylu ludzi zabrakło w spisach - rasa ludzka ofiarowuje ziemi swój największy skarb, Winę!!!, a bóstwo, zamiast się nasycić, ostrzy sobie apetyt

ponad wszelką wytrzymałość, wszelkie granice, i pochłania setki tysięcy - Ormusie, jest stracona dla nas obu, zmiażdżona w tym błotnistym uścisku - zapowiedziałeś to, Ormusie, to twoje słowa, że ziemia uczy się rock'n'rolla - czy mam cię oskarżać, czy objąć, Szaleńcze? - bo właśnie to wyśpiewywałeś, czyżbyś sprawił, że się ziściło? - Czy możesz więc śpiewem przywrócić ją do życia, sobie, mnie?

*Tę ukochaną tak, że z jednej liry
wyszło skarg więcej niż z lamentu wszystkich płaczek;
że powstał cały świat ze skargi, w której
wszystko raz jeszcze było: las, dolina
droga i sioło, pole, rzeka, zwierzę;
że wokół tej elegijnej planety
jak wokół jakiejś innej Ziemi słońce
i ciche niebo gwiazdziste krążyło,
niebo elegii z odkształconymi gwiazdami: - tę tak umiłowaną*.*

[* Przekład Mieczysława Jastruna (R. M. Rilke *Orfeusz, Eurydyka, Hermes*); fragmentem w przekładzie angielskim, z którego korzysta Rushdie, rządzi mianownik: *Ta ukochana tak [...] ta tak umiłowana.*]

Skala zdarzenia pomniejsza tragedie indywidualne. Tyle ofiar, takie zniszczenia struktur i podstruktur, taki cios zadany jak młotem w duszę kraju, i więcej, w poczucie bezpieczeństwa rodzaju ludzkiego na ziemi. Drogi, mosty, pasy startowe, ba, całe góry w gruzach lub pod powierzchnią wdzierającego się na ląd morza. Trwa gargantuiczna operacja ratunkowa, a dostęp do spustoszonych obszarów mają tylko wojskowi i służby ratownicze. Kilka ekip telewizyjnych oraz paru fotoreporterów otrzymuje akredytacje i trafia na pokład wojskowych helikopterów zdążających nad spustoszony rejon. Międzynarodowa pomoc wymaga zdjęć. Okazujemy się potrzebni. Legitymacja Agencji Nabuchodonozor - bo nigdy nie zadałem sobie trudu, by formalnie się rozstać - zapewnia mi przejazdówkę.

Więc kiedy zdjęcie Winy staje się przebojem pierwszych stron gazet na świecie, kiedy Wina staje się ikoną kataklizmu, ja tkwię w sercu zniszczeń. Patrzę na sceny z Boscha - pościanane głowy dziecięce zwisające z gałęzi połamanych drzew, kobiece nagie nogi sterczące jak bliźniacze miecze z wnętrza "solidnej" skały - które okazują się problemem nawet dla żołądka wojennego fotokorespondenta. Nie zdaję sobie sprawy, że właśnie wspomogłem stworzenie mitu. I jeszcze nic nie rozumiem, kiedy

wyznaczony do kontaktów z prasą pułkownik zmienia plan i organizuje przelot nad miejscem, gdzie stała pochłonięta przez ziemię willa Huracan. Widocznie chce połęchtać kult sław uprawiany na Zachodzie, myślę. I pewnie ma rację: wyniknie z tego parę szpalt, które w przeliczeniu na język dolarów przemienia ów etap trasy w maszynkę do robienia pieniędzy. Jak dotąd zdjęcia niewiele się od siebie różnią; porozrywana ziemia, wlewający się ocean, powyrywane drzewa. Typowa sceneria katastrofy, to nie to, *copalapa* czy basen pływacki zmarłej gwiazdki. I tak te gorzkie myśli krążą mi po głowie, aż tu niespodziewanie rozklejam się. W helikopterowym fotelu płaczę, aż z nosa cieknie mi grube pasmo śluzu. Szlocham, wyję jak pies na grobie pani. W końcu ktoś z telewizyjnych dźwiękowców prosi, żebym do kurwy nędzy stulił dziób, bo drę się głośniejsz niż ten wirnik i moje nieszczęście rozpieprza im ujęcia.

Więc te zwalone głowy to jej kamienie nagrobne; a więc to rumowisko to jej mogiła. Wykrzykuję na głos: Wina, Wina.

Po lądowaniu, znów na lotnisku wojskowym w Guadalajarze, podchodzi do mnie pułkownik, gość w moim wieku. Pewnie znał ją pan, co? - Tak, odpowiadam. - Więc to pańskie zdjęcie? Wyciąga portfel, z niego złożoną fotografię Winy łapiącej równowagę na zalanej tequila ulicy. Gapię się w to kiepsko zreprodukowane zdjęcie w zmiętoszonej i zabrudzonej gazecie, a wiatr usiłuje mi je wyrwać. Dla pana to bardzo smutny moment, señor, odzywa się pułkownik, a ja oczywiście odnoszę się z wielkim szacunkiem do pańskiego osobistego cierpienia, ale przepraszam, czy mógłby pan na tym zdjęciu złożyć swój cenny autograf?

Podpisuję się oszołomiony.

Ormus Kama zjawia się w Guadalajarze w czarnym lnianym garniturze i atlasowej przepasce na oko tego samego koloru, wsparty na ramionach Willa Singha i maleńkiej, staruteńskiej Clei, z kohortą Singhów, która ma chronić go przed światem. Zajmują dwa piętra gigantycznego Hyatta na Plaža de Soi w nowoczesnej, jankizowanej Żona Rosa: piętro dla Ormusa, a drugie dla Singhów. Odwiedza mnie Clea, zjawia się w moim znacznie podlegszym lokum w starej dzielnicy miasta. Przyjdź, proszę, mówi. Spośród wszystkich ludzi na świecie chce widzieć tylko ciebie.

Poważna, wąska twarz aż nazbyt wyraźnie wyjaśnia, jak wielki ciężar przyszło dźwigać Clei; na nosie za duże okulary w przezroczystej plastikowej oprawce, soczewki tak grube, że bez szkieł Clea musi być prawie ślepa. Zastanawiam się nad jej wiekiem; od sześćdziesiątki po setkę wszystko możliwe. Nad żelazną lojalnością wobec Ormusa, nad sprawnością i niestrudzeniem Clei zastanawiać się nie trzeba.

To było dawno, mówię. (I myślę: Cóż rzec temu osamotnionemu, pogrążonemu w żałobie, ciężko zranionemu sercu? Ja spośród wszystkich. Mam powiedzieć prawdę? A gdzie się kończy szczerłość i zaczyna okrucieństwo? Co waży więcej: moje pragnienie, by stać się znanym jako jej kochanek, czy jego pragnienie, by nic nie wiedzieć? Pozwólmy mu żyć w nieświadomości. Ma dosyć zmartwień z tym zagrażającym nam końcem świata i w ogóle.)

Clea sznuruje wargi, wygładza długą spódnicę z paskiem, ledwie widocznie kręci głową. Nie zadowala jej odpowiedź.

Kiedyś byliście przyjaciółmi, mówi, jakby to załatwiało sprawę. Potulnie ruszam za nią do czekającej limuzyny.

Piętro Ormusa w Hyacie przypomina *Marie Celeste*: spokój ociera się o niesamowitość. Pięciogwiazdkowe wymarłe miasteczko na szczycie metropolii. Ormus kazał je przearanżować w zgodzie ze swymi minimalistycznymi upodobaniami. Wyniesiono niemal całe umeblowanie, wszystkie obrazy, ozdoby, większość drzwi. Ściany pozasłaniano białymi płachtami, narzucono płachty na dywany. Maleńki znak przy windzie prosi o zdjęcie butów. To świat odseparowany i nieobuty.

Przemierzam w skarpetkach ten złagodzony krajobraz księżycowy i szukam wielkiego człowieka. W końcu słyszę dźwięk gitary akustycznej; dobiega z pokoju wciąż szczyłającego się drzwiami. Stara piosenka, poznaję od razu, tyle że słowa są nowe.

Przez całe życie czciłem ją. Urodę, głos i ducha między nami. Poprzez nią czciłem świata sens. Ziemię pod jej stopami.

Teraz pewnego nie ma nic. Czerń to jest biel, upały są zimami. Bo to, co czciłem, okradło mnie. Ziemia pod jej stopami.

Była opoką. Aleją, traktem. Niebem, muzyki dźwiękami. Chlebem i solą, mą jedyną miłością. Ziemią pod moimi stopami.

Stąpaj tam lekko, przez mroki krąż, lecz nie zalewaj się łzami. Nie trwóż się, ruszam, odnajdę cię za świata granicami.

Pozwól mi kochać, wybawić cię, wodzić prostymi drogami. Powróć na górę, gdzie miłość i ja; i ziemia pod stopami.

Może ona żyje w innoświecie. Muszę jej tam poszukać, mówi Ormus, patrzy, jak stoję w drzwiach, speszony i drżący. W ten sposób Ormusowa rzekoma rzeczywistość alternatywna staje się stworzonym z żałoby światem Rilkego, wszechświatem-lamentacją *jak wokół jakiejś innej Ziemi słońce i ciche niebo*

gwiazdziste krążyło. Świat bólu, który stał się rzeczywistością przez pieśń, sztukę. Cokolwiek. Otrząsam się z czaru muzyki. Wina nie żyje i na nic już te fantazje.

A głośno mówię: Miała rację, że niczemu nie dowierzała. Zdradziła ją nawet ziemia. Ale niczemu nie dowierzając, była gotowa zaryzykować miłość, a to heroizm, tak jest. Tu urywam, nie wnikam, do kogo miłość, do ilu. Niech tak zostanie.

W pustym pokoju Ormus siedzi na podłodze na skrzyżowanych nogach, z dwunastostrunową gitarą folkową. Wygląda okropnie; rzednące włosy niemal zupełnie zbielały. Cera szara i niezdrowa. Nigdy nie miał śladu nadwagi, a teraz jeszcze wychudł. Wygląda na starca. Ma zaledwie pięćdziesiąt dwa lata.

Czy to ty? - pyta, nie patrząc. W willi, to byłeś ty? Bo to zdjęcie i tak dalej. Chcę wiedzieć.

Nie, mówię. Zdjęcie zrobiłem wcześniej. A tam byłem dopiero potem, z ekipą prasową.

Cisza. Ormus powoli kiwa głową, dwukrotnie.

Zawsze wiedziałem, że są inni, jakiś inny, mówi głucho, wpatrzony w struny gitary. Chciałem, żeby mi oszczędziła szczegółów. I oszczędziła. Powiedziała tylko, że zupełnie mnie nie przypomina.

(A mnie, pamiętam, powiedziała coś innego. *Nie wiesz, jacy jesteście obaj podobni, z wyjątkiem tego, że on się pogrąża... a ty dopiero wynurzasz.*)

Powiedziała, że tam chodzi tylko o pociąg fizyczny, ciągnie Ormus, tymczasem między nami istnieje pełnia: miłość. (Gorzki grymas wykrzywia mu usta. Mnie też.) To było bolesne, bo najwyraźniej nie zaspokajałem jej potrzeb, a jednocześnie mi dogadzało, bo powiedziała, że zostanie. Ale teraz rozwodzą się po gazetach, że ten inny człowiek, nie wiadomo kto, wyglądał kubek w kubek jak ja. Naprawdę pomyśleli przez chwilę, że to ja, i wydzwaniali, żeby się dowiedzieć, czy jestem może w Meksyku. Clea musiała sobie jakoś z tym radzić, wraz z całym biurem. Zabawne. Po raz pierwszy usłyszałem o jej śmierci, bo ludzie się chcieli dowiedzieć, czy przypadkiem już nie jestem trupem.

To tylko domysły, mówię. O ile wiem, oprócz opisu faceta - albo kobiety - nie ma śladu tego kogoś. Gazeciarskie bicie piany.

Kiedy żyła, mogłem się tym kimś nie przejmować, mówi. A teraz chcę wiedzieć kto. Bo dla mnie jest bramą do niej, rozumiesz. Do jej podziemnego świata, do jej innej rzeczywistości. I kimkolwiek by był, może pomóc ją odnaleźć. Sprowadzić z powrotem. Mogę powiedzieć, kogo podejrzewam?

Serce mi łomocze. Kogo? - pytam.

To Gajo, mówi Ormus. Mój bliźni brat Gajomart, który wymknął mi się z głowy. To się naprawdę trzyma kupy, nie uważasz? Grzmociła się z nami obydwoma, chciała znać obie strony medalu. I może Gajo wraz z nią zginął, a może nie. Muszę wiedzieć, jak jest.

Teraz widzę, że Ormus naprawdę nie jest w pełni poczytalny. Jest świadomością, która okresowo ujawnia się między długimi, rujnującymi hibernacjami i już nie potrafi ogarniać zjawisk wykraczających poza okryte całunami ściany. Mylisz się, mówię. To bez sensu, Ormus, to głupie. Śpiewaj po prostu swoją piosenkę, śpiewaj i powiedz "żegnaj".

Nie, nie pojmujesz, mówi i po raz pierwszy patrzy mi w oczy. Teraz tajemnica jej życia jest równie straszna jak fakt, że nie żyje. Byłeś jej przyjacielem, Raj. Wiem, że życie was rozdzieliło, ale zawsze cię lubiła. Pomóż.

Czas na mnie. Wzruszam ramionami i kręcę głową.

Nie.

Woła, kiedy wychodzę. Miejsce trzęsienia, chce się dowiedzieć. Czy było kruche? To sprawia, że staję i odwracam się. Było rumowiskiem, jeśli ci o to chodzi, mówię. Sfotografuj coś pięknego, a potem metodycznie podrzyj całe zdjęcie. Tak to wyglądało.

Kręci głową. Bo wszystko się wszędzie nadwątła, mówi. Nie sądzę, żeby to mogło przetrwać, już nie jest na tyle mocne. Więc miejsca, gdzie puszcza, gdzie się rozdziera, muszą być prawie przezroczyście. Zauważyłeś to, chyba musiałeś? Kruchość. Wątkość wszystkiego.

Widziałem kataklizm, mówię. Widziałem miejsce, w którym zginęła.

Ormus użyje wszystkich swych niebagatelnych środków, by wytropić widmowego kochanka Winy. Zatrudni agencje detektywistyczne, wyznaczy nagrodę. Kiedy stanie się o tym głośno w Nowym Jorku, czyli wszędzie, ludzie zaczną śmiać się w kułak. Ormus wystawia się na śmieszność, lecz nie dba o to.

Niejeden raz (jak się później dowiedziałem od Clei) wynajęci przez Ormusa detektywi mierzą palcem we mnie. I kiedy do tego dochodzi, Ormus wybucha śmiechem, wywała ich na zbity łeb i angażuje nowych.

Jest przekonany, że przez powierzchnię rzeczy umie wypatrzeć pod spodem inną prawdę, a nigdy nie zdoła dostrzec czegoś, co leży pod nosem.

Co mamy wspólnego, Ormus i ja? Otóż obaj próbujemy przywrzeć do rzeczywistości ukochanej kobiety, próbujemy zachować i pogłębić jej pamięć. A tak, obaj tęsknimy za zmartwychwstaniem, za niespełnialnym powrotem ze świata umarłych: naszej Winy, takiej, jaka jest. Lecz nasze pragnienia przestają cokolwiek znaczyć. Na martwą Winę rzuca się druga siła sejsmiczna i pożera ją jeszcze raz. Pożera i zwraca w milionach ohydnych strzępów.

Ta siła jest także znana pod nazwą miłości.

16. Wina divina

Zawsze wiedziałem, że jest kochana, oczywiście. Trudno się spierać o publiczny wizerunek Winy, fakty to fakty: w krajach, do których nigdy nie zawitała, wielbiono ją za piękno głosu; miliony ludzkich samców pragnęły jej ciała i śniły o nim po nocach; kobiety wszelkich roczników zachwycała nieulekłością, muzycznym powołaniem, wreszcie sztuką walenia prosto z mostu (jakże były jej wdzięczne); kiedy nawoływała do walki z głodem lub do oddłużania Trzeciego Świata, kiedy wspierała różne stowarzyszenia ekologiczne lub wegetariańskie, światowi przywódcy - którzy spodziewali się, że protekcyjnie poklepią ją po tyłku i zlekceważą żądania - najpierw wpadali w podziw wobec bystrości jej umysłu, stanowczości, pojętności, potem dawali się zauroczyć, by w końcu uznać istotne ustępstwa za jedyne wyjście; niesamowicie sławna, bajecznie fotogeniczna, porażająco seksowna, czysty dynamit; była wreszcie pierwszą supergwiazdą wieku wyznań, która dzięki skłonności do obnażania blizn, wystawiania na widok publiczny swego prywatnego życia, rozprawiania o własnych okaleczeniach i pomyłkach znalazła prostą drogę do zawstydzonego i drażonego niepewnością serca świata, zatem tak nadzwyczajna, ciesząca się takimi wpływami i takim powodzeniem, była postrzegana jako zwykła kobieta w niezwykłym wydaniu, niewolna od skaz, lecz wartościowa, mocna i słaba zarazem, polegająca na sobie i pragnąca oparcia. Bogini złotego wieku rocka, była także, wprost nie do wiary, jedną z nas.

I cóż, można było wiedzieć to wszystko, a w ogóle nie przewidzieć skali, w jakiej świat zareaguje na jej śmierć. Była w końcu "tylko piosenkarką" z kręgu "kultury niższej", żadną tam Callas czy Sutherland, zaledwie popularną artystką estradową, której grupa rockowa VTO rozleciała się niemal dwa lata temu. Trudno by uznać za tryumf próbę powrotu, solowa płyta rozchodziła się zaledwie przyzwoicie. Tak wyglądają zapowiedzi zmierzchu gwiazdy. Zważywszy sławę Winy, można się było spodziewać, że prasowe, radiowe i telewizyjne doniesienia o jej śmierci zabrzmiały, owszem, donośnie, że zbiorą się gromadki zboliałych fanów; że spontanicznie bądź oportunistycznie poleją się łzy, nierzadko krokodyle; że rozlegną się przeżarte żółcią głosy garstki zazdrośników zawodowo płynących pod prąd, usiłujących zbrukać i pomniejszyć jej pamięć; może nawet wyjdą na jaw ukrywane

dotychczas skandale. Dotychczas nie słyszano o zachowaniach wykraczających poza tę miarę. Retrospektywy, jakiś album "w hołdzie", akcje charytatywne, zwyżka sprzedaży nagrań z odkurzonych katalogów, jeden czy dwa upamiętniające koncerty, a potem jazda do kolejnych interesów: typowe stadia, uświęcone rytuały w takiej sytuacji.

Lecz zmarła Wina poczęstowała nas wszystkich wyciągniętą z rękawa niespodzianką.

Ta pośmiertna bogini, zaświatowa post-Wina, królowa Podziemia spychająca z tronu straszliwą Persefonę, wyrastała na zjawisko wręcz oszalamiające. Żywa, była w szczytowych chwilach kariery ukochaną postacią, ba, ikoną, elektryzującą wykonawczynią i charyzmatyczną mówczynią, ale w miarach przyjętych; nie porywała nas poza najdalsze dale. Tymczasem ginąc w chwili, w której zatrzęsł się świat, sama tak wstrząsnęła światem, że śmierć wyniosła ją, jak ginącego Cezara, do rangi boskości.

Natychmiast po wielkim trzęsieniu ziemi '89 uwolniony zostaje cały i zdrowy Achilles Hector, piłkarz; nie tknięty przez porywaczy okazuje się jedynym może człowiekiem, który zyskał na straszliwym wydarzeniu. Podczas konferencji prasowej mówi, że czuje, jakby coś rozpoczął na nowo; że po otarciu się o śmierć widzi w odzyskaniu wolności życie po życiu, że naszą śmiertelną ziemię postrzega jako raj. Za owe nierozważne słowa zostanie zapewne potępiony przez przywódców Kościoła i w hańbiący go sposób zmuszony do odwołania radosnych metafor.

Tymczasem to zdumiewające życie po życiu Winy Apsary błyskawicznie potężnieje, wymyka się spod wpływu jakiegokolwiek władzy duchowej czy doczesnej, spod jakiegokolwiek cenzury czy kontroli.

Wiadomość o jej śmierci biegnie przez świat, a ludzie wylęgają na ulice, nie bacząc na godzinę na lokalnych zegarach; wypędza ich z domów siła, której nie umieją nazwać. Nie elektryzuje ich wieść o trzęsieniu ziemi, nie pogrąża w smutku bezlik meksykańskich ofiar; po prostu chodzi o nią. Żałoba po obcych nie wykracza poza konwencję; tak już jest, bo ci, którzy by mogli z głębi serca oplakać setki tysięcy ofiar, sami zginęli. Lecz Wina to nie obcy. Tłumy ją znają i wszędzie, na ulicach Jokohamy, Darwin, Montevideo, Kalkuty, Sztokholmu, Newcastle, Los Angeles, ludzie uznają

śmierć Winy za stratę osobista, za zgon w rodzinie. Ta śmierć momentalnie odrodziła w nich poczucie szerszego pokrewieństwa, przynależności do rodziny człowieczej.

Gdzie w zbrojnych konfliktach na świecie biegną linie frontów, tam w trujących oparach odwiecznych waśni, na drogach zrytych lejami, na alejach snajperów zbierają się i obejmują mężczyźni i kobiety. To Ormus Kama zawsze wierzył, że istoty ludzkie - on też - mogą się wznieść ponad granice skór nie poprzez przekraczanie kolorowej krechy, lecz jej wymazanie, a Wina sceptycznie podważała te uniwersalistyczne założenia; tymczasem to ona pośmiertnie wzniosła się ponad wszelkie granice: ras, religii, języków, historii, narodów, klas. W paru krajach generałowie i duchowni nie żałują rozkazów ani grózb: usiłują zdławić zjawisko, zaalarmowani jego odmiennością i globalnością. Bezskutecznie. Zbite w tłum kobiety społeczeństw segregowanych według płci zrzucają zasłony; żołnierze strzegący tyranii opuszczają lufy karabinów; członkowie zbiorowości dyskryminowanych rasowo wylewają się z gett, ze slumsów; rozpada się przerdzewiała żelazna kurtyna. Wina obala mury i to czyni ją niebezpieczną. Miłość do jej omroczonego promieniowania rozprzestrzenia się, wrasta na terytoria uciśnionych. Głusi na głos władz, tańczący przed czołgami żałobnicy splatający ramiona na widok karabinowych luf (już tkniętych wahaniem) kołyszą się w rytm wybijany przez jej ducha, coraz wyraźniej uczestniczą w obrzędzie, nawet wydają się gotowi ponieść męczeństwo za Winę. Zmarła odmienia świat. Porusza rozmiłowane tłumy.

Z podstawowego modelu wszechświata wynika, że po Wielkim Wybuchu materia nie została równomiernie wyrzucona w nowy kosmos. Powstawały skupiska, dopiero z nich rodziły się galaktyki i gwiazdy. Podobnie powstają skupiska, kiedy wybucha rodzaj ludzki; kiedy wyłamuje się z ram. A ulubionymi centrami zgromadzeń nie stają się światowe szacowności: żadne pałace, parlamenty, budowle sakralne, wymuskane place. Najpierw ludzie kierują się ku tej pośledniej scenerii muzycznej: salom tanecznym, klubom, sklepom z nagraniami. Lecz wkrótce te lokale wykluczy ciasnota. I tłumy zaczynają ciężać ku stadionom, amfiteatrom, parkom, błoniom - miejscom największym. Stadionowi Shea, Candlestick Park, Soldier Field, San Siro, Bernabeau, Wembley, olimpijskiemu stadionowi w Monachium, bajecznej Maracanie w Rio. Zatłoczony jest nawet stary tor żużlowy Altamont. W Bombaju, gdzie Wina nigdy nie wystąpiła jako zawodowa piosenkarka - tutaj raz tylko dostała się na estradę, podczas występu Five Pennies, z górą ćwierć wieku temu - tłumy kłębią się na Wankhede. W Tokio, Sydney, Johannesburgu, Pekinie i Teheranie ludzie zbijają się w

wielkie gromady i po prostu czekają.

Po opieszalej, wręcz wrogiej pierwszej reakcji, władze na świecie zmuszone są do powściągliwych ustępstw. Ogłasza się dni żałoby, zapowiada upamiętniające nabożeństwa. A tłumów w ogóle nie obchodzi spóźniona reakcja ważnych i możliwych. Od swoich rządów oczekują tylko żywności, wody i toalet; i rzeczywiście, z wolna dostają.

Firmy od nagłośnienia proponują zatłoczonym stadionom nagrania Winy. Ten dar zostaje przyjęty. Gdzie tylko można, wyświetla się na stadionowych ekranach materiały wideo z jej występów. W wielu krajach odwołuje się wielkie imprezy sportowe, zamyka kina i teatry, restauracje świecą pustkami. Na całym świecie, tak to przynajmniej wygląda, liczy się tylko jedno jedyne jednoczące wydarzenie: cud stadionów, ludzie gromadzący się, by dzielić się stratą. Jeżeli ze śmiercią Winy została zabita cała radość świata, to jej życie pośmiertne wydaje się teraz radością odrodzoną i pomnożoną.

Na wielu stadionach tłum domaga się wybudowania estrad, i posłusznie się je wznosi. Na te sceny wchodzi kolejno zwyczajni ludzie i zaczynają deklamować; mówią od serca, prosto i bezinteresownie, opowiadają, gdzie byli, kiedy po raz pierwszy usłyszeli jej muzykę, co znaczyła w ich życiu, ślubach, narodzinach dzieci, śmierci ukochanych; w samotnościach i koleżeństwach, w dniach niezwykłych i powszednich, w ramoleniu i w młodości.

Waga tej muzyki - jej muzyki, zarazem muzyki, której sama była częścią - po raz pierwszy chyba objawia się przez to, że ludzie ponagleni wspomnieniem martwej-żywej Winy odnajdują własny głos, by błyskotliwie lub niezdarnie wypowiadać słowa miłości. Muzyka - głos Winy śpiewającej melodie Ormusa - wzbiera jak świat długi i szeroki, przekracza wszelkie granice, przynależy wszędzie i nigdzie, jej rytm jest rytmem życia. A Ormus odpowiada jej *Pieśnią dla Winy*. Ich miłość wyzuta z ciał, a raczej wcielona w pieśń, unosi się teraz w powietrzu, a jej historii już nie ograniczają rygory cielesności i czasu. Ta miłość jest teraz muzyką.

Nieśmiertelna, myślę. Ta ich nieśmiertelna historia, której w ogóle nie towarzyszy pogłos mojej opowieści miłosnej, śmiertelnej.

Oto rysunek Gary'ego Larsona z Winą i Jesse'em Garonem Parkerem; z tym groteskowo świecidłowym grubym Jesse'em z Vegas, z późniejszych czasów, kiedy się upodobnił do zaćpanego hamburgera. W pokoju motelowym, sami, podglądają świat

przez szpary w okiennicy. O co tu biega, jakaś garderoba niedomarłych? Strefa przejściowa dla zombi w drodze na Drugą Stronę? Ha, ha, ha.

Nieoczekiwany kolosalny odzew na śmierć i pośmiertność Winy zakłóciły drzemkę baronom informacji, lecz już po paru godzinach rozkręca się największa operacja medialna stulecia, przy której bledną olimpiada, festiwal filmowy w Cannes, wręczanie Oscarów, ślub pary królewskiej i mistrzostwa świata piłki nożnej; stopy kaset popakowane, transmisje dźwięku ugadane. Zaczynają się globalne zmagania, w których nagrodą jest coś, co wykracza nawet poza sprawy oglądalności i wpływów z reklam. Nagrodą jest sens wydarzenia. W ciągu jednej nocy sens śmierci Winy staje się najważniejszym tematem na ziemi.

Vina significat humanitatem.

Oto Madonna Sangria mówi o bólu kobiet jako jedynym dostępnym mężczyznom wglądzie w transcendencję - *umarła, żeby mężczyźni mogli się nauczyć uczuć* - rozwodzi się też o sublimacji. *Teraz, kiedy po śmierci przestała być zagrożeniem, mogą już mówić, jak bardzo jej pożąдали, i nie uprawiać żon we wściekłość.* (Madonna Sangria, która Winę i jej muzykę ostatnio mieszała z błotem, teraz - w poczuciu winy - odkurza rolę strażniczki świętego ognia.)

Oto młoda japońska piękność, futurologiczna elegantka w kostiumie z planu *Planety małp*, melofanka, nazywa Winę wielką miłością swego życia; żaden mężczyzna ani małpa nigdy nie byli jej tak bliscy jak ta prywatnie jej nie znana kobieta.

Oto trajkotliwa Włoszka powołuje Winę do Panteonu bohaterek stulecia, to Wina była prawdziwym geniuszem VTO, jej głos mógł czynić cuda. Ormus Kama? Phi! Pasożyt. Pijawa.

Oto gruba Angielka, ostatnia z załogi lilipu, przechwala się kłamliwie, językiem z owego ćwiekowoskórzastego zapętlenia czasu, jak to ostrzegła Winę, że ta już jest za stara na rocka. *Rusz się, babuniu, i zanieś tę nowinę dziadziowi Ormusowi.*

Oto esej wielkiej amerykańskiej intelektualistki *Śmierć jako metafora*, w którym autorka zapewnia, że tą wyzwalającą siłą nie jest śmierć Winy, lecz jej życie; śmierć to śmierć i tylko tak ją należy postrzegać, jako zemstę nieuchronnego na nowym.

Oto świeżo wyświęcona kobieta-ksiądz wywodzi, że zjawisko Winy ujawniło duchowy głód świata, głód duchowej strawy. Zaprasza tłumy na stadionach, by co niedzielę gromadziły się w najbliższym kościele, *boz dużym prawdopodobieństwem*

można przyjąć, że Wina tego by sobie życzyła.

Oto islamistki z głowami w czarczafach jak w klatkach. Szumnie głoszą, że szaleństwo rozpętane wokół pewnej amoralnej kobiety ujawnia całe moralne bankructwo dekadentckiego, bezbożnego zachodniego świata i wróży jego rychłą zagładę.

Do Winy, niegdyś przeganianej od domu do domu, przyznają się miejsca, które kiedyś jej się pozbyły: zabita deskami Wirginia, północ stanu Nowy Jork. Przyznają się Indie, z racji ojcowskiej krwi; Anglia, bo tutaj rozpoczęła piosenkarską karierę; Manhattan, bo każdy dzisiejszy mit na tej planecie ma nowojorskie obywatelstwo.

Oto Primo Uomo, guru nauk o kulturze, po raz milionowy powtarza wytartą myśl, że Wina stała się bóstwem opiekuńczym wieku niepewności, boginią na glinianych nogach.

Oto dwóch brytyjskich psychoanalityków. Jeden, młody, czarny, o leniwym wejrzeniu, autor książek *Rzęsami, zębami, językiem oraz Seks: dzień po*, mówi pełnym nabożnej czci tonem o spontanicznym akcie kolosalnej terapii grupowej. Drugi, zgryźliwy przyk ze starej szkoły, przepelniony pogardą i butą, gromi na tle wypadków z Winą faworyzowanie prostackiego sentymentalizmu kosztem rozumu; już nie umiemy myśleć, sądzi, tylko czuć. Jeden ocenia zjawisko jako populistyczno-demokratyczne, drugi obawia się kryptofaszyzmu, narodzin nowej odmiany nietolerancyjnego motłochu.

Oto krytycy literacy i teatralni. Literacy są podzieleni; stary rumak bojowy Alfred Fiedler Malcolm cytuje, sepleniąc, *Fausta* Marlowe'a - *Wtedy runę w głęb, głową naprzód, we wnętrzości ziemi. Otwórz się, ziemio! Nie, ziemia nie zechce dać mi schronienia...* - i usiłuje zbudować skomplikowaną teorię wielkiej sławy: prometejskiej kradzieży boskiego ognia za cenę pośmiertnego piekła na ziemi, w którym zmarłej kobiecie odbiera się w istocie prawo do śmierci, więc nieszczęśnica musi wciąż odżywać jak odrastająca wątroba Prometeusza, by ją na nowo mogły pożerać nienasycone sępy, zwące się jej czcicielami. Oto, objaśnia, wiekuista udręka w kostiumie wiekuistej miłości. Zostawmy już tę damę, niech odpoczywa w spokoju. W panelowej dyskusji zostaje brutalnie ośmieszony przez dwóch młodych ludożerców, Nicka Carrawaya i Jaya Gatsby'ego, którzy szydzą z jego nieuleczalnego elitaryzmu i biorą w duchową obronę strefę zajmowaną w społeczeństwie przez muzykę rockową; chociaż i oni, jak każe moda, pogardliwie odnoszą się do żalostnego języka stadionowych mówców, do ubożego słownictwa, rymów od siedmiu boleści, klisz z

prasy brukowej, do tej niepokojącej obfitości zapożyczonych koncepcji życia pozagrobowego (Wina wiecznie żywa: wśród gwiazd, w naszych sercach, w każdym kwiecie, w każdym nowo narodzonym). Te koncepcje, rąbie Gatsby, nie są jak brzytwa; umówmy się, nie są rock'n'rollowe.

Panel teatralny także się podzielił. Nie skąpi pochwał spontanicznej, improwizatorskiej ubogości zjawiska (tak jest, pokrewnego teatrom ulicznym), lecz Brytyjczycy ubolewają nad nieumiarkowaną dłużyzną globalnej żałoby, Francuzom brak tu mocnej ręki reżysera, Amerykanów trapią albo nieobecność wyodrębniającej się czołówki wykonawców, albo marne widoki na pełnowymiarowy drugi akt. Natomiast wszystkich ludzi teatru jednoczy gorycz, ich spostrzeżeniom bowiem nie poświęca się należytej uwagi, są jak zwykle traktowani niczym ubodzy krewni, wręcz żebracy przy biesiadnym stole.

Oto producenci telewizyjnych kawałków biograficznych wszczynają poszukiwanie sobowtórów. Oto zawiadomienia o castingach. Oto długie na kilka przecznic kolejki chętnych.

Oto Remy Auxerre, który skalę wydarzenia nazywa produktem sprzężenia zwrotnego. Zanim doszło do zglobalizowania masowej informacji, wywodzi, mogło się wyłonić jakies zjawisko, rozwinąć, kulminować i zniknąć, a większość mieszkańców globu nie miała nawet o nim pojęcia. Lecz teraz pierwotna czystość wydarzenia zostaje niemal natychmiast wyparta przez jego telewizualizację. Z chwilą pojawienia się na telewizyjnym ekranie ludzie przestają działać czy postępować, a zaczynają występować. Już nie boleją, lecz występują w roli bolejących. Nie tworzą zjawiska, powodowani oryginalnymi, niezapośredniczonymi pragnieniami, lecz jak najszybciej chcą odegrać rolę w zjawisku ekranowym. Ta pętla tak się teraz zaciska, że już nie sposób odróżnić dźwięk od echa, wydarzenie od jego medialnego odbicia. Co Remy koniecznie chce nazwać wmediawstąpieniem historii.

Oto dwaj potwornie rozczochrani New Quakers, paranoik i mistyk, zapewne miłośnicy Gary[^]go Larsona, negują jej zgon... A gdzie jest ciało? Pokażcie mi po prostu ciało, nie? Ona żyje, zawadzała komuś i tyle, trzeba szturmować Pentagon, ONZ, jasne? No nie, chłopie, ona jest wolna, tylko że my nie jesteśmy jej warci, musimy się oczyścić, a w godzinie oczyszczenia ona tu zstąpi, nadleci jak kometa, kapujesz, statkiem kosmicznym albo rydwanem bogów, by nas wyzwolić, nie? Jak Budda Jezus, człowieku, zaprawdę, powiadam ci, żyje.

Telewizja.

I znów w Orpheum, zimowy chłód, samotność i żaloba, drzę skulony we własnych tylko objęciach, a w powietrzu unoszą się białe smugi mego tylko oddechu. Siedzę na dachu w płaszczu i kapeluszu, osłaniam dłońmi uszy przed kłującym mrozem i usiłuję wyczarować Winę, skąpaną w słońcu, w zenicie lata, nagą, która przeciąga się i obraca ku mnie z tym leniwym, wiarołomnym uśmieszkiem. Lecz jest za zimno, wszędzie ten jazgot, nie ma ucieczki od wojny znaczeń; czyste powietrze pełne jest słów. *Ujmując rzecz diachronicznie, oto jakieś historyczne wydarzenie, które należy rozumieć jako umiejscowione w czasie; jako zjawisko o pewnych linearnych antecedencjach społecznych, kulturalnych, politycznych. Lecz synchronicznie rzecz biorąc, wszystkie jego aspekty istnieją jednocześnie, tworząc zbiorowo współczesną definicję życia i sztuki... jego ważność polega na losowości i beztreściowości śmierci... absolutna nieobecność Winy to pustka lub otchłań, w którą może się wlać fala sensów... stała się pustym naczyniem, areną debat, i oto możemy ją sobie wynaleźć w naszej własnej wyobraźni, jak kiedyś wynaleźliśmy Boga... nie ma szans na rychłe dopalenie się afery, bo trwa teraz w najlepszej fazie eksploatacji, koszulki z nadrukiem ostatniego zdjęcia, pamiątkowe monety, kubki z podobizną, uwieszanie się, wyprzedaż opowiadań koleżanek ze szkolnej ławy, ta cała armia przypadkowych kochanków, jej dwór, przyjaciele... oto zwielokrotnienie efektu, Wina schwytna i zamknięta w komorze pogłosowej, odgłosy odbijają się to tu, to tam, huczą, coraz bardziej rozmywają się, stają mniej wyraźne... teraz już tylko hałas... zresztą wyobraź sobie, gdyby żyła, gaśnięcie tego płomienia, to ubywanie sławy, powolne zstępowanie w nicość... to by dopiero był prawdziwy koniec, prawdziwe zapadnięcie w Podziemie, kiedy jej najgorsza część wciąż cieszyłaby się życiem. Może już lepiej, że jest, jak jest. Na zawsze młoda, no nie? W każdym razie zawsze wyglądająca młodo. I fantastyczna dupa, jak na kobietę w jej wieku.*

Przylapuję się na tym, że stoję i ryczę w nieartykułowany sposób, wymachuję rękami, wygrażam ślepym niebiosom, a na twarzy zamarzają mi łzy. Jakby ten mój dach był wieżą milczenia, na której leży żywe wspomnienie Winy, nagie, pod kręgiem sępów, bezradne, strzeżone tylko przeze mnie.

W odpowiedzi na apel Ormusa Kamy po czterdziestu dniach tłumy opuszczają stadiony i z wolna odtwarza się powierzchowna normalność codziennego życia na planecie. Singhowie w imieniu Ormusa regularnie nachodzą sąd, by chronić

“własność Winy” przed bezczelną eksploatacją. Celem jest zwłaszcza Quakette, Winopodobna lalka, która wyśpiewuje z cokolika kretyńską piosnkę, potem ów cokolik zaczyna dygotać, wreszcie rozwiera się i pochłania ją jak rozwartą ziemią. Wydaje się, że wszystkie te opadające emocje związane ze zjawiskiem Winy skończą się na targu niewolników kapitału. W jednej minucie jest boginią, w następnej własnością.

I znów jej nie doceniam. To prawda, że rynek sięgnie po wszelkie obrzydliwości, by ją zawłaszczyć i skonsumować, że jej twarz wciąż będzie na okładkach magazynów, że się pojawią gry wideo, CD-ROM-y, pisane na kolanie biografie, pirackie taśmy, cyniczne spekulacje na temat możliwego przeżycia i to “czatowe” internetowe badziewie. Jest też prawdą, że i jej ludzie - wydawca oraz Ormus z Singhami w roli biznesowego zarządu - skapitalizują Efekt Winy, lokując jej twarz na opakowaniach mleka, wina, potraw wegetariańskich i nagrań.

(Czytałem swego czasu historyjkę o kobiecie, która nie cierpiała wałkoniącego się męża. Kiedy umarł, kazała go spalić, prochy ulokowała w klepsydrze, tę zaś postawiła na kominku, opatrzywszy napisem *W końcu coś robisz, sukinsynu*. Nie sposób wątpić w miłość Ormusa do Winy, ale i on zapędził jej ducha do nakręcania rodzinnych interesów.)

To wszystko prawda. Lecz w ciągu roku okazało się bezspornie, że takie trzęsienie ziemi może zbudować coś między ludźmi, że ów ogół czczący na całym świecie Winę nabrał chęci do działań we wspólnocie i do radykalnych zmian. Niepewność, ta współczesna kondycja człowiecza, przestała tych ludzi trwożyć; teraz ją postrzegają tylko jako możliwość. I to jest prawdziwy spadek po Winie, a nie te hektary kliwych komentarzy czy armia koszmarnych śpiewających lalek.

A ziemia, której się zbiera na wymioty, też ma w zapasie parę zmian.

Zapamiętałem to tak.

Cały pierwszy rok po jej śmierci to była zupełna utrata równowagi; nie bardzo wiedziałem, co sensownego począć, gdzie ulokować cierpienia, co dalej. Wciąż wspominałem ten dzień na plaży Dżuhu i dziewczynę w gwiazdzistopasiastym kostiumie kąpielowym, wygadującą, co popadnie. Tego dnia nakreśliłem sobie obraz świata, jakiego bym chciał; obraz, w którym odtąd mieszkałem, aż do chwili jej śmierci. A teraz czuję się, jakby ktoś mi wydarł go z rąk i porwał na strzepy.

Kiedy człowiek nie ma obrazu świata, nie umie dokonywać wyborów “materialnych, w sumie nieistotnych, ani moralnych. Człowiek nie wie, którą wybierać drogę, czy zbliża się nią do czegoś, czy przeciwnie, odchodzi; nie umie zliczyć do trzech.

(Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty to rok, w którym obrazek stłukł się też wszystkim; rok, w którym zanurkowaliśmy w bezbrzeżną otchłań: w wyzbytą kształtu przyszłość. Znam fakty. Ale polityką i sejsmologią zajmę się później. Teraz mówimy o tym, co przydarzyło się mnie.)

Budziłem się z myślą, że jest w pokoju, że leży w ciemności i drży. Mogłem kątem oka dostrzec ruch jakiegoś cienia i ów cień także stawał się nią. Pewnego razu zadzwoniłem na jej prywatny numer w Rhodope Building i Wina odpowiedziała zaraz po pierwszym dzwonku. *Halo, nie mogę teraz podejść do telefonu. Proszę, zostaw wiadomość, odezwę się, gdy tylko będę mogła.* Zrozumiałem, że Ormus nie umiał się zdobyć na skasowanie taśmy z jej głosem. Odtąd wystukiwałem ten numer po dziesięć razy dziennie. Często okazywało się, że linia jest zajęta. Zastanawiałem się, ile jeszcze zagubionych dusz naciska klawisze telefonu, by usłyszeć tych parę słów. A potem pomyślałem, że może tylko jedna. Że Ormus Kama, jak ja, wciąż pragnie słuchać ostatniego nagrania zmarłej żony.

Odezwę się, gdy tylko będę mogła; pragnąłem, by dotrzymała tej obietnicy. Ale jaką wiadomość powinienem zostawić? Co mogłoby ją przywołać spośród zmarłych?

Krótko mówiąc, czułem, że jestem sercem wraz z Ormusem Kama, moim rywalem w miłości. Teraz jest sam jak palec. Oto dwaj rozbitkowie na środku tego oceanu “miłości”, kochankowie Ormus i Raj, niezdolni pomóc sobie nawzajem, ze swych tonących tratw dzwonią jak idioci do zmarłej.

W rok po jej śmierci ktoś skasował nagranie - podejrzewam, że Clea Singh próbowała wyciągnąć Ormusa z grzesznego bagna beznadziei - i tego dnia jeszcze raz się rozplakałem, jakby zgłodniała ziemia pożarła Winę właśnie w tym momencie.

Ze wszystkiego, co o niej powiedziano czy napisano, najrozsądniejsza wydała mi się uwaga, że śmierć to śmierć, i nie ma co interpretować. Nie zamieniajcie zmarłej w przenośnię. Niech odpoczywa w spokoju. Kropka. Chciałem podjąć walkę z potężniejszą pożogą sensów, chciałem nałożyć hełm strażacki i wymierzyć wąż w płomienie. Z góry, z zatłoczonych satelitami niebios tryskały wiązki znaczeń; a te

znaczenia były jak amorficzni obcy, wessani pseudopodiami w jej ciało i rzeczywiście ssący te zwłoki. W pewnym momencie usiłowałem sklecić własny tekst, jakieś bzdury o heroizmie odrzucania interpretacji: subtelne jak papier ścierny, lecz bardzo przydatne zwrócenie się ku absurdowi. Ale zaraz unurzałem się w etyce. Jak żyć moralnie w absurdalnym kosmosie i tak dalej. Nie chciałem też opowiadać się za kwietyzmem, mówić, że już lepiej zwyczajnie uprawiać własny ogródek. Coś we mnie tamowało tę chęć wadzenia się ze światem. Dziełko podarłem, a dni spędzałem na przeglądaniu tek z fotami Winy i na dzwonieniu pod jej numer, póki nie skasowano taśmy.

Podczas tego pierwszego roku moi współtowarzysze z Orpheum zauważyli, że właściwie przestałem wychodzić z domu, zamawiam jedzenie z dostawą pod próg, przeważnie jakieś płynności, moja stała sprzątaczką zwolniła się, bo mieszkanie jej zdaniem zaczynało przypominać chlew; postanowili wobec tego wziąć na siebie "ratowanie mnie". Wpadł Johnny Chow, by jak najpoważniej przestrzec mnie przed nadmiernym zaprzątaniem sobie głowy śmiercią. Śmiechu warte. Sugar Ray Robinson, Lucille Ball, ajatollah Chomeini, Laurence Olivier, R. D. Laing, Irving Berlin, Ferdynand Marcos, Bette Davis, Vladimir Horowitz, "La Pasionaria", Sacharow, Beckett i Wina, jednego roku, zauważyłem ponuro: normalny Armagedon. Chów wyzbyty żyłki polemicznej wycofał się, kręcąc elegancką głową. Mack Schnabel poradził przebrać zdjęcia Winy i zrobić w naszej galerii, w Orpheum, wystawę. Akurat trudna sprawa. Bo może taka wystawa zostanie odebrana jako osobisty hołd, uczczenie, a może jako wyczyn kolejnego oportunistycznego bubka, skok do wciąż pędzącego pociągu Winy? Nie mogłem się zdecydować. Zresztą trzeba czasu, żeby taki wybór dopiąć na ostatni guzik. A ja przez większość dni cierpię na zaburzenia widzenia, czasami nawet widzę podwójnie. W tych fatalnych miesiącach klarowność nie jest moją mocną stroną.

Basquiat zjawiał się, żeby pogadać o dziewczętach, cudownie konwencjonalnie, jak na jego zdumiewające skłonności. Wyhoiły się kobiety, postanowił poinformować. Wphost fantasticzne. Thochę bez sensu zadawać się tyle czasu z fantomami.

No właśnie, z fantomami, odrzekłem. Bo pewna piękność wciąż mi się pokazuje na zdjęciach, nie wiem, jakim cudem. Fotografuję puste pomieszczenie, powiedzmy łazienkę, gdzie spędzam masę czasu, wywołuję film, a z lustra patrzy na mnie ta

kobieta. Nie, nie Wina, ktoś inny. Straszy mnie jakaś obca. Jak widzisz, są dwa fantomy.

Ja myślę ten twój projekt double exposition, mówi, jest idący za daleko.

W końcu podeszli mnie wspólnie; stawili się grupą, żeby odczytać pisaną od serca wariację policyjnego przywołania do porządku. Od tej chwili jest pan zobowiązany mówić życiu "tak", działać systematycznie, poświęcać minutę na wachanie róż i tak dalej. Muszę przyznać, że się spięli. Doprowadzili mieszkanie do jakiego takiego stanu, odczyścili kredens z pamiątek pod drinkach, sprzątnęli łazienkę, zawlekli mnie na dół do fryzjera, który ogolił mnie i ostrzygł, i zorganizowali w domu imprezę, ściągając najponętniejsze wolne kobiety, jakie znali (co w naszym zawodzie oznacza okazały zastęp). Rozumiałem, co dla mnie robią i dlaczego. Przede wszystkim, fakt, stała za tym przyjaźń, za co byłem i pozostałem głęboko wdzięczny. Lecz trzeba też pamiętać o odwrotnej stronie medalu. Ludzie nie lubią obcować z rozpaczą; nasza tolerancja wobec osobników naprawdę wyzbytych nadziei, nieodwołalnie złamanych przez życie jest ściśle ograniczona. Lubimy tylko te załkane historie, które się kończą, zanim nas znudzą. Rozumiałem, że mam w tych trzech mężczyznach dobrych i szczerych przyjaciół, że jeden za wszystkich i wszyscy za jednego, że jesteśmy muszkietierami. Ale dostrzegałem też, że trzeba się z nimi bardziej liczyć. Bo stałem się ich bolącym zębem, zgagą, wrzodem na dwunastnicy. Powinienem się wyleczyć, zanim oni postanowią wyleczyć się ze mnie.

Jeżeli przyjaźń jest paliwem, to jej zapasy nie są bez dna.

Podczas tego mojego przyjęcia, powiedzmy, reprezentacyjnego, przyglądałem się Aime-Cesaire'owi i dostrzegłem na nim piętno śmierci; od tego momentu impreza zaczęła mi nagle przypominać czuwanie przy tym przystojnym mężczyźnie, który - jak Finnegan w piosence - siedzi radosny i zachwycony dedykowaną sobie ceremonią pożegnalną. Wiedziałem też coś o Schnablu: od katastrofalnego rozwodu trwał w stanie wojny z byłą żoną, która z powodzeniem wydebiła od sądów wyroki zakazujące mu zbliżania się na mniej niż milę do dwojga własnych dzieci i która dorwała się do leżącego na łożu śmierci ojca Macka, by nakłamać, że uzależniony od heroiny Mack skazany został za gwałt i seksualne molestowanie tych chłopców. Inną złożoną z katastrof sagę skomponował sobie Johnny Chow, głównie na tle hazardu. I od tych akurat ludzi miałbym przyjmować rady?

Tak, odpowiedziałem sobie. Bo lepsza kurwa niż zakonnica, lepszy ranny żołnierz niż facet, który nie wahał prochu.

I w tym momencie zobaczyłem Johnny'ego Chowa, który demonicznie uśmiechnięty przepychał się przez tłumek zabawowiczów, z uwieszoną u ramienia Winą Apsarą.

Słyszałem o tym amoku wcieleń, o klubokabaretach sobowtórów Winy; o Winach undergroundowych, heavymetalowych, reggae-Winach, rap-Winach, Winach parkieciarach, transseksualistkach, prostytutkach z Vegas Strip, striptizerkach liczniejszych niż zastępy Marilyn czy Smukłych Teksanek na estradkach amatorskich nocnych klubów w owych nieskończonej różnorodności Stanach Zjednoczonych, o porno-Winach w kanałach kablówek dla dorosłych i w zamkniętych kablówkach hotelowych, o perwersyjnych wideo-Winach-tylko-spod-lady i o niewinnie zbierających się co dwa lata pilnych Winach, które nauczyły się śpiewać do podkładów Winy; ich liczba konkurowała nawet z niestrudżonymi uczestnikami zgromadzeń spod znaku *Star Trek*. Prawdę mówiąc, Wina wystąpiła kiedyś gościnnie jako gwiazda w serialu *Następne pokolenie*, gdzie wyczarowano ją na holodeku, z którego śpiewała rozkochanemu w niej Worfowi. On uczył ją klingońskiego, ona jego hugma czy innego podobnie brzmiącego języka. Kiedy trekici przypomnieli sobie o tym, zaprosili winistów, by złączyć siły, lecz Wina była już wówczas większa niż cały *Enterprise*, tkwiła we własnym kontinuum, może nawet była bajecznym Q.

Grano takie sławne przedstawienie *Hamleta* z Jonathanem Pryce'em; który w roli duńskiego księcia "wywoływał" Ducha z głębi samego siebie, jakby był medium spirytystycznym; zdumiewający popis panowania nad ciałem i głosem, wręcz zmienianie kanałów na żywo. Impersonatorki Winy mnóstwo sobie ułatwiały, sięgając po kostium i nagranie; lecz zamysł był ten sam. We własnych ciałach wyczarowywały z martwych wyfantazjowaną ukochaną.

To sięga dalej niż u Mizoguchiego, pomyślałem. W *Ugetsu* biedne chłopisko omotane przez tajemniczą arystokratyczną piękność po prostu kocha ducha. A ci tutaj ludzie nie tylko byli zauroczeni zmarłą; usiłowali nią być naprawdę, wkładali jej kimona, podobnie pudrowali twarze, chodzili jej krokiem. To jakaś nowa odmiana autoerotyzmu. Przebrane za Winę, imitujące ją kobiety po prostu kochały się ze sobą.

Istniała różnica zdań, która z Win najbardziej zasłużyła na upamiętnienie, płomienna AfroWina z czasów młodości, chodząca seksplozja z gigastrzechą na głowie i niewyparzoną jęzorem czy czerwonołosa Mexi-Wina, starsza, a wciąż z ikrą, o głosie lepszym niż kiedykolwiek i aurze kogoś już mądrzejszego, czy może Wina-

Śmierć o smutnym wejrzeniu, władczyni zdruzgotanych ziem. W końcu zwyciężył pragmatyzm. Młodzież wcielała się we wczesną Winę, a starsi mężczyźni (a tak, zresztą kobiety również) uznawali za własną Winę z lat późnych.

Winą uwieszoną u ramienia Chowa był najniewątплиwiej jakiś starszy gość, do tego Chińczyk, który, trudno i darmo, nie mógł marzyć o idealnym upodobnieniu, mimo wielogodzinnych trudów przed lustrem, pociemniania skóry, zmagania z wykrojem oczu. Za to podpatrzył rozkołysany krok, poruszenia ust, postawę. Bardzo dobra była też krzycząco czerwona peruka. I powiedz teraz, czy to zły pomysł, zapytał Johnny, kiedy przyżęglowali do mnie, pomyśleliśmy tylko, cholera, że może coś się wyklaruje, jeżeli ona tu się w pewnym sensie zjawi. Co grupa to grupa, jak te Dorosłe Dzieci Alkoholików, to może pomóc, kiedy wiesz, że nie jesteś sam.

Wcale cię nie chcę szokować, odezwała się ChinoWina miłym, rozbajającym barytonem i ukloniła. To nie tak. Poważałem ją bardzo od dawna; to mój sposób wyrażania szacunku.

To miłe, odpowiedziałem Johnnymu. Naprawdę. Pierwsza klasa. I kawał dobrej roboty, dodałem pod adresem uszczęśliwionego transprzebierańca. Chciałbyś później zaśpiewać czy coś wykonać?

Robię pantomimę, powiedział, a na jego twarzy rozkwitł szeroki, pełen dumy uśmiech. Przyniosłem kasetowicę z taśmą, gdyby tak wyszło, że można coś pokazać.

Wal, nie ma sprawy, poradziłem i zmusiłem się do odplaty olśniewającym uśmiechem. Wyraz ulgi na twarzy Chowa zasygnalizował mi, że postępuję słusznie. Teraz przyjaciele poczują się lepiej i - przy obustronnym poczuciu ulgi - poczują się też różnie, zostawiając mnie już w spokoju.

Długo, przez cały drugi rok po śmierci Winy, mieszkałem samotnie nad oceanem w Ameryce. *Co kochasz?* - pytałem na plaży Dżuhu, na co odpowiedziała: *No więc przepadam za morzem*. Przynajmniej to odzyskałem, chociaż jej już nie było: bryzę znad oceanu, w której wyczuwałem zapach jej podniecających, już zapomnianych perfum; i plażę. Długi złoty pas wybrzeża niewiele miał wspólnego z miejskim wdziękiem Cuffe Parady czy krzątaniem na Nabrzeżu Apollińskim, ale napełniał mnie nostalgią w niejednej odmianie. Dojazd do oceanu - obok pól ziemniaczanych, kukurydzianych, przesuwających się ławic słoneczników, lśniących koni do gry w polo, słodkich ptaków młodości, cętkowanych jeleni; obok egzotycznie niedbałych amerykańskich bogaczy w dzinsach z poobcinanymi nogawkami, z tymi

sznurkami na szyi, w bawełnach, koszulkach polo, w kabrioletach i range roverach, obok ich dzianej starości, połączanego dzieciństwa i pełnego możliwości, prężnego rozkwitu; obok Indian Szinekoków strzygących żywoploty, czyszczących baseny, porządkujących korty, koszących trawę i w ogóle doglądających tej skradzionej cennej ziemi; obok wrzasków dzikich gęsi, sygnałów kolejowych, obok szumiących letnich trawników - podsunął mi po wielu latach myśli o domu. Jako o jeszcze jednym klejnocie, utraconym z wyboru, porwanym przez czas; jako o czymś innym, teraz niedostępnym, połyskującym w głębinie jak zatopione złoto, boleśnie wzdychającym pod zaoraną ziemią, jak kochanek zstępujący do piekła.

Na tyle się pozbierałem, by przygotować tę fotograficzną wystawę *Po Winie*, przyjętą poważnie i dobrze. Nie przeczę, sprawiło mi to przyjemność. Prawda przedstawia się tak, że i ja byłem podatny na chorobę przemieniania Winy w jakieś sensory, a dla mnie Wina oznaczała miłość, to jasne, lecz także tajemnicę, była kobietą absolutnie nieklasyfikowalną, nie do ogarnięcia, była moim oknem na to, co nie wytłumaczone.

Jądro znaczenia, a w nim sekret. Cała Wina.

Na otwarcie zaprosiłem Ormusa, ale nie przyszedł. Czego się, prawdę mówiąc, spodziewałem. Doszło do niewielkiej awantury: w pewnej chwili wdarła się do Orpheum grupka New Quakers, by głośno mnie oskarżyć o wmawianie ludziom śmierci Winy, i trzeba było pomóc owym podciętym harleyowatym typom trafić do wyjścia. Kiedy znaleźli się za drzwiami, zobaczyłem, że obok mnie stoi szczupły starszy dżentelmen, Hindus, w kraciastej koszuli w stylu J. Crewa i w dżinsach, którego w pierwszej chwili nie poznałem w tym niesłużbowym wcieleniu.

Chciałbym panu podziękować, powiedział z tym swoim osobliwym płaskim akcentem, za podzielenie się ze mną córką. Wizyta tutaj to doświadczenie o skutkach z pewnością dobroczynnych. Ootóž too, prooszę paana.

Był to Shetty, portier z Rhodope. Pograżony w bólu zapomniałem gruboskórnice, że ojciec Winy wciąż żyje.

Spotkanie z Portierem Shetty'ym jest jak chluśnięcie w twarz lodowatą wodą. Budzi mnie z długiej i niezdrowej zapaści w wyobrażenia, wyrывa ze zwrócenia do wewnątrz dyktowanego przez zranione serce, odnawia wrażliwość na zjawiska ulotne a rzeczywiste (a to istota sztuki fotograficznej). Więc zachodzę nazajutrz do znów umundurowanego Shetty'ego, a kiedy kończy zmianę, ruszamy na kawę do rdzennie

buddyjskiego lokalu naprzeciw Orpheum, do salki przesyconej wonią Wschodu, z dziwnie kojącą kombinacją złożoną z wielkich czarnych kaw, szczapek ciemnego drewna i bosych białych kelnerek w białych omiatających podłogę sukniach, pozapinanych po szyję. Shetty wydaje się spokojny, chociaż pamiętam, że ten jowialny sposób bycia może wprowadzić w błąd. Jest szczęśliwy, mówi, że Wina odnalazła go na starość, przez co chociaż trochę się zmniejszył dystans między nimi. Mówiąc to, używa nowego słownika, świadczącego o niezłej samoocenie. *Zajęliśmy się pewnymi zagadnieniami. Nie unikaliśmy tego gniewu, któremu należało sprostać, i odwaliliśmy kawał dobrej uzdrowicielskiej roboty. Okazywaliśmy sobie czułość. Było nam ze sobą naprawdę dobrze. Ten czas był coś wart.*

Wspólnie poddali się nawet terapii, wyjawia. Indochińska terapeutka, niegdyś kontestatorka, teraz przemianowana na Honey żona specjalisty od arbitrażu świetnie prosperującego na Wall Street, z pochodzenia Nikaraguańczyka, w swym gabinecie powiesiła kiedyś pińatę o kształcie królika, na sufitowym wentylatorze, a Winie wręczyła kij. Grzmocenie królika miało Winę otworzyć; miała powiedzieć, komu i za co naprawdę garbuje skórę. Wina wdała się w akcję wielce zajadle, a Shetty mógł się nasłuchać licznych bolesnych skarg pod własnym adresem, lecz widowisko, w którym jego sławna córka pałuje co tchu ogromnego królika z papiermache w łososiowym kolorze, wydało mu się taką niedorzecznością, że wybuchnął śmiechem. Śmiał się do łez, kiedy pińata nie przetrzymała szarży Winy, a ze środka wysypały się słodczyce i dziecinne przytulanki, te akurat prezenty, którymi nie obdarowywał córki, kiedy była mała.

Co teraz czujesz? - spytała terapeutka Honey. Shetty wytarł oczy, nie przestając chichotać.

Pozwoli pani, że powiem, co myślę, zaczął i ryknął śmiechem.

Nieważne, co myślisz, przerwała. Zostańmy przy tym, co czujesz.

Shetty nie zdołał poważnie potraktować radosnego idiotyzmu tej uwagi; wstał i wyszedł, wciąż się śmiejąc.

Kłopot w tym, opowiada ze smutkiem w głosie, że Wina uważała pomysł z pińatą za coś nadzwyczajnego i miała wrażenie, że wyśmiewam się z niej. Potem, cóż, odnowił się w nas ten poprzedni negatywizm nie rozplatanych ustosunkowań. Pozostaliśmy w przyjaznych relacjach, ale bez zaangażowania. Typowe zachowanie unikowe. Nie zdobyliśmy się na konfrontację. Tylko na obejścia. Nie zmierzaliśmy się serce w serce.

Chce wyznać dużo więcej: jak wyglądało długie staczanie się; jak świetnie prosperujący rzeźnik ruszył ku wcieleniu włóczęgi, odpadka ludzkiego, nazajutrz po kolacji z Winą w Rainbow Room, po której wpakował córkę w samolot do Bombaju i wysłał do Dudhwalów. Chce mówić o losie, o klątwie, którą sam na siebie rzucił, o bólu, o aż nazbyt głębokich i przewlekłych cierpieniach z powodu rodzicielskich uchybień. Zbiera się prosić o odpuszczenie win, którego nie doczekał się w pełni od córki. Portier Shetty też ściga zmarłą Winę, chce, jak my wszyscy, by zmartwychwstała i zapewniła mu spokój.

Wciąż zbyt roztrzęsiony, by dźwigać dodatkowe brzemie Shetty'ego, przecinam wylew zwierzeń. Żeby to nie wypadło grubiańsko, wypytuję o zięcia, o Ormusa. Jak legenda rocka radzi sobie ze stratą? Ku memu zdumieniu grzecznościowe pytanie daje początek dzikiej tyradzie.

Jakże? Przecież to wszystko było w "National Enquirer"! Pisali w "People"! Nie słyszał pan? Był pan poza miastem? Ale chyba nie na Księżycu?

Bez mała, odpowiadam, myśląc o morzu zapomnienia, o morzu burz, o białych, jakże białych piaskach i oceanie.

Shetty parska i wali kawę na ławę.

Ormus Kama, ów sławny eremita, do listy swych obsesji i szaleństw dopisał to krzewiące się na przemysłową skalę winoimitatorstwo; zgromadził kolekcję wszystkich dostępnych pornograficznych filmów i nagrań wideo, nie zapowiadany pojawiał się w asyście krzepkich sikhijskich ochroniarzy w klubach nocnych i knajpach ze striptizem, by sprawdzać jakość wcieleń. Uważa się go za mecenasa niektórych burdeli i elitarnych ekip specjalizujących się w wynajdowaniu "z dostawą do domu" sobowtórów sław. Pewnego razu Ormusa naprawdę przyłapano *in flagranti* z podrabianą Winą na tylnym siedzeniu długachnego krążownika, lecz kiedy bystrooki gliniarz - wpierw zobaczywszy kurwiszona odpowiadającego na znak i wsiadającego do limuzyny - zajrzał do wozu i zrozumiał, co jest grane, co robi czyja podróbka i z kim, nie miał już serca ciągnąć sprawy i bez krzyków wypuścił obsadę zajścia. (Uczestnicząca w nim Celeste Blue, kurwa, usiłowała potem przemienić incydent w żyzny finansowo skandalik, lecz wyłożyła się właśnie na braku formalnych zarzutów. Wywiad panny Blue dla "Enquirerera" zwięźle skomentowała Clea Singh: Zdaje się, że dama ma długi jęzor.)

Ormus Kama, człowiek od lat jak najgłębiej ukryty w prywatności, ów Ormus z

przepaską na oku i w dźwiękoszczelnej mufie teraz, mówi Portier, systematycznie odwiedza konwencje wyrastających jak grzyby po deszczu Winostowarzyszeń, zgadza się bywać jurorem sobowtórowych konkursów piękności, pod warunkiem że będzie jurorem jedynym. Jeżeli trafi się zwycięska Wina na odpowiednim poziomie, bywa po konkursie odsyłana do Ormusowego apartamentu, a potem pod eskortą trzymającej język za zębami Clei Singh odprowadzana i wynagradzana na tyle sownie, że dotychczas nie słyszano o reklamacjach.

Ormus odwiedza także - wcześniej rzecz nie do pomyślenia - pewną guru. Nazywa się Boska Matka, Goddess Ma, i w miarę jak mnożą się dramatyczne wypiętrzenia i osuwiska stulecia, jej popularność wśród nowojorskiej śmietanki - zawsze skorej do paniki z powodu globalnych niepokojów i loskotów - rośnie jak na drożdżach. Goddess Ma pochodzi z Indii, zapewne analfabetka, zyskała rozgłos w Diisseldorfie, a do Stanów przybyła "cudem". Mówi się, że w papierach żadnej linii lotniczej ani oceanicznej nie ma zapisu dokumentującego jej podróż. Mimo to imigrancki status Goddess Ma nigdy nie stał się przedmiotem dochodzenia; w oczach sceptycznego obserwatora wskazywałoby to, że prawda jest znacznie bardziej konwencjonalna, niż się wydaje; z kolei dla zwolenników to kolejny dowód na bytowanie Goddess Ma w aurze błogosławieństwa i nienaruszalności. Jest małeńka, młoda i na tyle ładna, że mogłaby być gwiazdą filmową; ma też potężnych - anonimowych - popleczników, którzy lokują ją oto w Rhodope Building, trzy piętra pod Ormusem. Z wyżyn wspaniałej rezydencji obdarzyła ludzkość garstką "Wieszceń Ma", których pogłos najlepiej brzmiał w wyrefinowanej aurze co lepszych lokali miasta. Indiobajdy, bharatbanialuki, tak zwana mądrość Wschodu znowu wróciły do łask, stanowczo są w modzie. Prawdę mówiąc, Indie są na fali jak nigdy: indyjskie dania, materiały, kobiety o sarnich oczach, sztywne połączenie z Centralnym Serwerem Ducha, indyjskie bębny, plaże, święci. (Kiedy Indie detonują ładunek jądrowy, na wizerunku Świętej MatkiIndii pojawia się parę rys, lecz wkrótce *le tout* Manhattan uznaje, że w tym wypadku niemądrzy przywódcy polityczni Indii po prostu zdradzili prawdziwego ducha kraju. Cenna idea Mądrości Orientalnej doznaje uszczerbku krótkotrwałego, w przeciwieństwie do mocno wstrząśniętej planety.)

Byłoby dziwne, gdyby Goddess Ma nie skomentowała zjawiska Winy. Pod chwiejną ziemią, Rzecz, zawsze kobieta trzyma to wszystko w jakimś porządku, we wszystkich kulturach. Nasza indyjska Matka Ziemia rozwarła wargi, by wchłonąć czystą Sitę, fałszywie oskarżoną, że zbeczczył ją Rawana, po tym jak był ją odtrącił

Pan Rama, za namową przydupasów i krętaczy. Nasza grecka matka Persefona siedzi po prawicy Hadesa w jego podziemnym królestwie.

A teraz Wina, nasza ukochana, dołączyła do kobiet, które podtrzymują Ziemię, jak potężny Atlas niebios.

O Ziemię tańcząca. Rzecze Goddess Ma. Nasze indyjskie Purany uczą, że Pan Siwa przywołał Cię do istnienia tańcem; On, Pan Tańca. A Grecy opowiadają o kochającej taniec Eurynomie, bogini wszystkiego, która stworzyła morze i ląd, by miała co zaorać. I oto Powiadam Wam, że i My tacy jesteśmy!, Mężczyźni i Kobiety!, tańcem przywołujemy świat do istnienia. Przeto Powiadam Wam, Tańczcie! A jeśli ziemia drży, myślcie, że Wina też tańczy, czekajcie, jakie nowe Cuda odsłoni.

W miarę jak popularność Goddess Ma rośnie, a piękna twarz i krzepiące Wieszczona robią swoje w mieście, w którym uroda i pochlebstwo najprościej prowadzą do sukcesu, rozlegają się też zgrzyty; to sprawka wyznawców starszych duchowych ścieżek i w ogóle sporych odłamów nowojorskiej indyjskiej społeczności. Pytana o swych krytyków Goddess Ma reaguje ostro. Prawdziwie indyjskie jest to, co Głoszę, Rzecze z niewzruszoną pewnością. A ci konwertyci i z dawien dawna wychodzący najlepiej robią, nadal żrąc i wyprzedając domokrażnie tę swoją ulizaną egzotykę.

(Goddess Ma już zna regułę odwracania kota ogonem. Trzeba wziąć najgorsze, co o nas mówią, i oskarżyć oskarżycieli o ten sam błąd; być od nich piękniejszym i bardziej medialnym, wtedy idzie się naprzód jak burza.)

Piszac to, myślę o Dariuszu Kamie. O Williamie Methwoldzie. Pamiętam, jak się trudzili budowaniem mostów między mitologią Wschodu i Zachodu. I pamiętam godziny, które sam spędziłem w bibliotece Dariusza; pamiętam urok, jaki rzuciła na mnie ta składnica starożytnych opowieści. I zastanawiam się, co by poczęli ci starzy dżentelmeni - zamiłowani badacze, obojętni na pokusy szarlatanerii - z taką Goddess Ma, z bezczelnymi zabiegami o status transkulturowego bóstwa, nie mówiąc o bezwstydnym próbie uczenia się zmarłej Winy, o plądrowaniu jej powszechnie znanej tragedii. Nowy Jork, gdzie się przybywa po wielkość, nie jest zgorzony rynkowymi zagraniami Goddess Ma, tej żyłoty; przeciwnie, budzą podziw i przysparzają zwolenników. Ba, miejskie tancbudy donoszą o dużo większym ruchu. Manhattańska młodzież słucha terpsychońskich rad kieszonkowej wieszczki.

Shetty na równi gardzi ładniutką, ambitną Goddess Ma co jej admiratorami. A Ormus Kama po parę razy w tygodniu schodzi trzy piętra, by ją odwiedzić; oto dowód

kompletnego zagubienia, brzmi stanowcza opinia Portiera.

A nadchodzi coś jeszcze gorszego. Najwyraźniej Ormus szuka Winy w każdej mysiej dziurze, którą wytropi. Shetty'ego nie zachwyca, że bóg rocka ćpa teraz jak oszalały, ściga zmarłą żonę tropem prochów, odczytuje jej znaki w kłębach dymu, w żyłach czuje ukłucia jej igieł. A ci Singhowie dbają o wszystko, o interesy, tantiemy, kobiety, narkotyki; zamknęli go w pierścieniu żarliwej lojalności, nigdy nie było tak trudno dostać się w jego pobliże. Niewykluczone, że ta pełna oddania świta - której członkowie gotowi są w każdej chwili spełnić każdy jego kaprys, ugasić każde pragnienie, zaproponować każde częściowe zaspokojenie chwilowo równoważące stratę nieodwołalną - zabije go miłością.

To szlak tchórzów, mówi Shetty, a mnie zaskakuje niespodziewana brutalność tych słów. Jeżeli aż tak bardzo chce być z moją biedną dziewczyną, to niech okaże się mężczyzną, prawda, włoży lufę do ust i strzeli. Właśnie. Dlaczego sobie nie rozwali łba, koniec, w diabły ze wszystkim. I wtedy będą razem aż po kres czasu.

Wolałem, kiedy był pan wesoły, mówię. Bardzo lubiłem, kiedy pan sypał kawałami.

Nawzajem, mówi na odchodnym. I nie myśl, że jesteś jedynym sukinsynem, który pamięta, kiedy to było.

Portier Shetty nieświadomie przytacza Platona. Oto, co wielki filozof każe powiedzieć Fajdrosowi o miłości w pierwszej mowie *Uczty: Tak to i bogowie najwięcej szanują zapal i dzielność na polu Erosa. Za to Orfeusza [...] odprawili z niczym z Hadesu; pokazali mu tylko widziadło żony [...] bo im napapinka wyglądał, ot, jak kitarzysta; a nie miał odwagi umrzeć z miłości jak Alkestis, tylko się chytrze myślał za życia dostać do Hadesu*.*[* Przekład Władysława Witwickiego (nie używane już dziś słowo papinek to pieszczoch, maminsynek).] Orfeusz, ów wzgardzony kitarzysta - śpiewak z lirą albo, powiedzmy, gitarą - oszust, który się posługuje muzyką i sztuczkami, by przekraczać granice między Apollinem a Dionizosem, człowiekiem i przyrodą, prawdą i iluzją, rzeczywistością i wyobrażeniem, nawet między życiem i śmiercią, najwyraźniej nie przypadł do gustu surowemu Platonowi, który wyżej stawia męczeństwo niż żalobę, Platonowi - ajatollahowi miłości.

Ściganie miłości poza śmierć to sprawa nieradosna i przykra. Osądzam Ormusa łagodniej niż Platoński Fajdros czy ów mniej wybitny myśliciel, Ormusowy osobisty

odźwierny i ojciec jego zmarłej żony. Wiem, co przechodzi Ormus, bo sam przemierzam ten tunel. Tam tkwię.

I tam on tkwi: niezdolny pracować, ulega słabościom Winy - picciu, narkotykom - bo zamyślają odnaleźć, czyniąc jej przywary własnymi. Są też te wzbudzone chemią wizje Winy, w wielu postaciach. Teraz Wina ma tysiąc twarzy kobiet, u których jej poszukiwał po ucieczce z Bombaju, i tysiąc twarzy kobiet, którym się dla niej oparł podczas dziesięciu lat celibatu. Teraz wszystkie są Winą.

Jest wreszcie ona jako ona. Ormus patrzy na nią i czuje, że kamienieje.

Wraz z urastaniem Winofenomenu Ormus czuje, że pierzcha prawda o niej samej; że jego Wina wymyka mu się na zawsze, że znowu umiera. Raz upomniało się o nią trzęsienie ziemi, a teraz, jak tsunami, Winę zatapia gigantyczna fala jej wcieleń i odbić.

W miarę stawania się wszystkim dla wszystkich, Wina dla niego staje się niczym; na pewno nie kimś, kogo znał i kochał. A tu nasuwa się gorsza myśl; w miarę jak Wina coraz głębiej osuwa się w otchłań, grzebana pod lawiną własnych wcieleń, w miarę jak wkracza do komnat podziemia, by zasiąść na swym ciemnym tronie, czy może jeszcze pamiętać Ormusa?

Wkraczającą w dolne królestwa Eurydykę Rilkego szybko opuszcza pamięć światła. Ciemność kazi jej oczy, kazi serce. Gdy Hermes mówi o Orfeuszu, ta Eurydyka zadaje straszne pytanie: Kto to?

Imię Euridice / Eurydyka oznacza "szerokowładna". Na pierwsze zanotowane w podaniach o Orfeuszu sięgnięcie po to imię natrafimy w pierwszym wieku przed Chrystusem. Więc może to być względnie nowy dodatek do opowieści. Bo w trzecim stuleciu przed Chrystusem zwała się Agriope, "dziką strażniczką". A jest to też jedno z imion wiedźmowatej bogini Hekate; no i samej szeroko władnej królowej Persefony.

Co zaraz powoduje lawinę pytań: czy Eurydyka - o której pochodzeniu niewiele wiemy, chociaż oficjalna wersja powiada, że była nimfą leśną, driadą - rzeczywiście wynurza się z podziemia, by zawładnąć sercem Orfeusza? Czy może to wcielenie Królowej Ciemności, polujące na miłość w świecie światła na *górze*? A wobec tego, pochłonięte przez ziemię, może po prostu wraca do domu?

Może niepowodzenie Orfeusza to znak nieuchronnego losu miłości (która umiera); może słabości sztuki (która nie może wskrzesić zmarłych); może tchórzostwa w ujęciu Platona (Orfeusz nie umrze, by pozostać z kochanką, to nie Romeo), a może zawziętości tak zwanych bogów (którzy kochankom nie szcędzą twardości serc)?

A może - co najbardziej zdumiewające - to skutek odzyskania przez Eurydykę prawdziwej tożsamości, strony mrocznej, obywatelstwa nocy? I oto Gajomart, zmarły bliźni brat Ormusa, jego nocne drugie ja, jego Inny; może to on jest jej prawdziwym mężem, zasiadającym teraz przy niej na obsydianowym karle?

Oto moja odpowiedź. Obsesyjne rozpamiętywanie śmierci może sprawić, że dobiegną nas szepty zmarłych, ich napomknienia, jak żyją. Hades, Persefona; moim zdaniem to wszystko należy do dziedziny takzwaną. Lecz żadną metaforą nie było „ja” ukryte przez Winę za życia. Bo ukrywała kogoś, mianowicie mnie, i osobowość zasłanianą przed mężem odsłaniała przede mną. Dajmy spokój Gajomartowi: to ja byłem obok niej tym Innym, z krwi i kości. Byłem jej inną miłością.

Może właśnie tego Ormus nie chce przed sobą przyznać: że Wina, której nie zna, to co innego niż ów twór zrodzony z jej śmierci, życia po życiu. I nie może znieść tajemnicy godzin spędzanych przez nią tutaj. Nocy spędzanych na ziemi.

Oto i zagadka, której nie rozwiążę, chociaż mogę. *Tak to ja, mógłbym powiedzieć, zamierzała cię rzucić, ty walnięty sukinsynu, doszła do punktu, w którym już miała puścić w trąbę ciebie, twoje wizje z przesłoniętego oka, twój świst w uszach, tych dziesięć lat pustych gestów, twoją sławną wielką namiętność, by jak po sznurku pognać do mego mosiężnego łóżka.*

Jestem Królem Podziemia, mógłbym powiedzieć. Wina należy do mnie.

Ale nie przechodzi mi to przez usta, bo ja także ją utraciłem i dziś nas obu pali ten sam płomień. Och, Ormusie, mój bracie, mój drugi ja. Krzyczysz, a krzyk się wydobywa z mego gardła. Płaczę, a łzy tryskają z twoich oczu. Ani myślę cię ranić.

A ponieważ nie mogę tego powiedzieć, nie chcę, Ormus coraz głębiej osuwa się w przepaść bez dna: i to nie otchłań Winy, lecz jego własna. Nie może uwierzyć w zbrukanie Winy, chociaż Wina zapadła się głębiej niż wszelkie bruki. Widzi ją, jak jaśniej przez ziemię i kamień, jak przez opar. Jej ciało, nie zaćmione, jest dla niego płonąca świecą, fosforyzuje. W pościgu za Winą Ormus przetrząsa noc.

Co noc oczekuje, że zbudzi się i zobaczy znajomą postać przy oknie, wpatrzoną w ciemny park przed świtem. I jakże często wyobraża sobie, że się wysuwa z łóżka, cicho staje obok słodkiego cienia i patrzy, jak palce brzasku delikatnie przebiegają po szczytach domów i czubkach drzew.

Znam wszelkie Ormusowe lęki, nadzieje, sny, bo także są moimi.

Trzęsienia ziemi, zapewniają uczeni, to zjawiska zwyczajne. W skali globu

dochodzi do jakichś piętnastu tysięcy wstrząsów na dziesięć lat. Trwałość i spokój są wyjątkiem. Czymś niezwykłym, skrajnym, operowym, sprzecznym z naturą; tak się przedstawia reguła. Nie istnieje jakość zwana normalnym życiem. Lecz dzień powszedni jest naszym pragnieniem, to dom, który budujemy, by nas chronił przed wielkim i złym wilkiem zmiany. A jeśli się w końcu okaże, że wilk to jednak rzeczywistość, dom nas chroni przed burzą zwaną cywilizacją. Wznosimy ściany ze słomy i cegiel nie tylko dla ochrony przed wilczą niestabilnością czasów, lecz także przed naszą własną drapieżniczą naturą; przeciw wilkowi w nas.

To jeden pogląd. Ale dom może być także więzieniem. A wielkie wilki (zapytajcie Mowglię, Romulusa z Remusem, zapytajcie Kevina Costnera, przecież nie musimy polegać tylko na opinii Trzech Świnek) niekoniecznie są złe. Ten nowy czas wstrząsów i pęknięć do przeciętnych nie należy, zgodzą się z tym nawet sejsmolodzy. Liczba wstrząsów przekracza piętnaście tysięcy rocznie.

Wszyscy czytają gazety, więc nie muszę tu recytować ze szczegółami przemian, których świat doznał w ostatnich latach, nagłego obniżania się Himalajów, rozpadliny wzdłuż granicy Hongkongu z Chinami, która Nowe Terytoria zamieniła w wyspę, zatonięcia wyspy Robbena, wydzwignięcia się Atlantydy obok Santorynu-Thiry w najbardziej wysuniętej na południe części Cykladów, przekształcenia rock'n'rolla w broń, która dopadła w kryjówce i rozerwała na strzępy panamskiego dyktatora-zbiega i tak dalej. Wszyscy łapią te nowe, depešowe stacje, więc wspólnie, na żywo, śledzimy trzęsienia ziemi, walenie się starego porządku, widzimy, jak rozwierają się bramy więzień, tak że - powiedzmy - łamiąca się ostatnia siódma pieczęć staje się wiadomością z ostatniej chwili o siódmej, a my się tylko zastanawiamy, kim są właściwie ci czterej jeźdźcy. Jak Butch Cassidy i Sundance Kid na widok ludzi z agencji Pinkertona patrzymy na siebie i zaciekawieni pytamy: Co to za faceci?

Można i tak powiedzieć.

Te graniczne trzęsienia ziemi to istny cud stulecia, prawda? Widzieliście tę wyrwę, która po prostu rozdarła całą żelazną kurtynę? "Niezapomniane" nawet nie próbowało dotrzymać placu. A czy widzieliście, jak na całej długości Muru Chińskiego rozstała się ziemia po tym, jak Chińczycy otworzyli ogień na placu Tiananmen? Więc z powierzchni Księżyca teraz już niczego nie można w Chinach dostrzec (ale w Japonii wybudowano nowe ogromne lotnisko), to ich czegoś nauczy, jasne? Jasne.

Och, człowieku, co też wyrzucają te trzęsienia ziemi. Poetów-prezydentów, koniec apartheidu, nazistowskie złoto ukryte od pięćdziesięciu lat w trzewiach

szwajcarskich banków, Arnolda Schwarzeneggera, *Titanica*, mamy też wrażenie, że pod którymś z rumowisk leży komunizm. A ci Ceausescu? No, strzał w dziesiątkę.

Kiedy dochodzi do takich wielkich zmian, można być pewnym, że zlecą się politycy i będą się domagać uznania ich zasług. Wychodzi na to, że wstrząsy, które rozdarły żelazną kurtynę, są skutkiem całych lat sekretnych podziemnych poczynań Zachodu. Że odszukaliśmy właściwe punkty nacisku i posłużyliśmy się nimi, aż ten domek z kart runął. Że teraz trzęsienia ziemi, ta ostateczna broń masowego rażenia, znalazły się w naszym władaniu. Ktoś nam się stawia, a my po prostu wyciągamy mu dywan spod nóg. To się właśnie przytrafiło Saddamowi Husajnowi w operacji znanej pod nazwą "arabski szejker". No nie, fakt, jeśli ktoś chce grymasić, to trzeba przyznać, że operacja nie była stuprocentowym sukcesem, Saddam przeżył i tak dalej, ale widzieliście? Musicie przyznać, że chłopcy się spisali, walnęli widowicho jak diabli. Zatrzęsło się, kurna, że szkoda gadać. I zauważyliście, mam nadzieję, że nie doszło do żadnych zniszczeń ultra - ani infrastruktury tej najważniejszej na świecie saudyjskiej ropy. Zero. Nic. Nul.

I co, teraz Meksyk chce się dowiedzieć, czy w to ich wielkie trzęsienie byli może zamieszani agenci Stanów Zjednoczonych lub Unii Europejskiej? Może to była jakaś ćwiczebna zagrywka, pokaz szczytów siły, coś spod znaku Chłopczyka*, [* *Little Boy* - "Chłopczyk" - kryptonim bomby zrzuconej na Hiroszimę.] powiedzmy Grubas? Chryste, zawsze się znajdzie miglanc, który napaskudzi. Czytajcie z naszych ust. Oczywiście, że nie. Czy dopuścilibyśmy do tego, żeby w jakiejś przemysłowo-wojskowej mega-intrydze zginęła sama Wina Apsara? Totalna bzdura. Kochaliśmy tę kobietę. Co byśmy dali za to, żeby mieć ją tu i teraz, żeby żyła, śpiewała. Trzęsienie ziemi w Meksyku było dziełem przyrody, zjawiskiem, w związku z którym, cholera jasna, stajemy na głowie, żeby coś z niego zrozumieć. Skierowaliśmy do tego naszych najlepszych ludzi. Matka Natura miewa humory i musimy się jakoś z nimi układać, musimy dobrze żyć z ziemią, tym naszym domem. Musimy tak rozbudować naszą wiedzę, żebyśmy mogli wdrożyć systemy i technologie, które zminimalizują ryzyko następnej takiej katastrofy. Nasze serca jednoczą się z Meksykanami w smutku po tych, których utracili.

W porządku? Dobrze wypadło? To dobrze. To w porządku.

Koniec Związku Radzieckiego był czymś dobrym. Czymś dobrym jest zwycięstwo wolnego świata. Porządni z nas faceci. Z głów te żałobne kapelusze. Nowy interes świata to dopiero interes. Radujmy się.

Pokój.

A ja? Lepiej nie pytać. Już wam mówiłem, od śmierci Winy mam w głowie korkociąg. Jeżeli pytacie (lepiej nie pytać), to zjawisko Winy zainspirowało ludzi, którzy sprostali wyzwaniu i zmienili swe życie. Jeżeli pytacie, *all you need is love*. Trzęsienie ziemi, cóż, lepiej nie pytać. Może trzeba je przypisać Naturze, może NATO, może Pentagonowi. Jeżeli o mnie chodzi, widuję duchy. Po trwającej całe życie niezgodzie na irracjonalność wyłania się ona tu, w mojej pracy. Oto ta pozarozsądkowość, cud: kobiece widmo na moich fotografiach. Zderzające się światy. W głowie skłębione szalone myśli, bo przypuszczam - na przekór wszelkim przechwałkom, biciu się w piersi, na przekór całej tej retoryce o końcu historii - że obecny cykl katastrof może niewiele ma wspólnego ze zwycięstwem czy przegraną, że trzęsienia ziemi są może poza naszą kontrolą, że może nie widać znaków ostrzegających przed bliskim wydarzeniem głównym, czyli, rzecz jasna, końcem świata. Czy końcem jednego świata. Naszego albo innego; lepiej nie pytać, czyjego.

Powtórzę: ilekroć nawiedza mnie potrzeba zanurzenia się w fantazjach, czuję bliskość mitów z biblioteki Dariusza Kamy. Wpływ starych religii na nasze historie - Asz Iggdrasil, krowa Audumla, UranosWaruna, indyjska wycieczka Dionizosa, pyszałkowaci Olimpijczycy, legendarne potwory, cały zastęp zmalretowanych, złożonych w ofierze kobiet, metamorfozy - otóż to wszystko wciąż przykuwa moją uwagę, a zupełnie nie są nią w stanie zawładnąć judaizm, chrześcijaństwo, islam, marksizm czy rynek. To wiary w sam raz na czołówkę CNN, ale nie dla mnie. Niech sobie walczą o swoje stare i nowe Jeruzalemy! Bo to, co dla mnie jest nowiną, głoszą Prometeusz i Nibelungowie, Indra i Kadmos.

Na dodatek już w latach szczenięcych Ormus i Wina dorzucili mi na talerz dwa okazałe, smakowite kęsy żywego mitu. Dla mnie aż nadto.

Wiedziałem, że moja miłość do Winy będzie wystąpieniem z własnych szyków. Lecz stać mnie było na ten krok, nie padłem, nie nabiłem sobie guza. Oto człowieczy heroizm. Niewiele rzeczy napawa mnie taką dumą. Miłość męska to rodzaj samooceny. Pozwalamy sobie kochać tylko te kobiety, które, jak wyczuwamy, zasługują na naszą dworność i o które ośmielamy się ubiegać. Młody Ormus, przystojny diabeł, miał prawo śnić o boginiach. Udzielił sam sobie przyzwolenia na pospólne zwidy siebie z nimi, na ściganie i zazwyczaj (w jego wypadku) dościganie

marzeń. A potem jego prawdziwa bogini, Wina, zjawiła się i przepadła. Kiedy rzuciła go po raz pierwszy, szukał jej w ciałach innych kobiet, jej pocałunku na cudzych wargach. Teraz nie ma o tym mowy. Wina we własnej osobie lub żadna. - Lecz jej już nie ma na świecie. - To znajdź ją, wszystko jedno gdzie.

Co, wyznam, jest i moim podejściem. Bo mając mniej podstaw niż Ormus, ja także ośmieliłem się starać o Winę; a ona uśmiechnęła się także do mnie; i także mnie pozostawiła ze spustoszonym sercem.

I jeszcze słowo o Ormusie: ten jego młodzieńczy dar jasnosłyszenia, kiedy w głowie rozbrzmiewała mu z wyprzedzeniem muzyka przyszłości; otóż poddało to moje antyfantastyczne instynkty surowej próbie. I natychmiast znalazłem schronienie, sensowną obronę opartą na ograniczeniach ludzkiej wiedzy; na tym, że niezrozumienie jakiegoś zjawiska nie jest uznaniem go za cud, ale jedynie i zdroworozsądkowe pogodzeniem się z ograniczeniami ludzkiej wiedzy. Boga wynaleziono, by wyjaśnić to, czego nie umieli wyjaśnić nasi przodkowie: promieniującą tajemnicę bytu. Istnienie czegoś niepojętego to żaden dowód na istnienie Boga... A jeśli tu odsmażam wczorajsze kotlety, to - posłuchajcie - dlatego, że niewiele brakuje, a uznam, że jakieś przedziwności tkwią we mnie; przedziwności, bo należą do królestwa "magii", nie wyjaśnionego. Muszę tu wspomnieć o "Marii" i jej "nauczycielce" i w mych dojrzałych latach wyznać prawdę, która z wielkim trudem przechodzi przez gardło dojrzałemu mężczyźnie, a do której uznania Hamlet - też zapatrzony w ducha - zmusza ćwiczzonego w naukach Horacego: że nie brak na niebie i ziemi rzeczy, których nawet w snach nie dopuszcza jego - i moja - filozofia.

Po długiej przerwie wracam do pracy - jest jesień 1991, odbyła się już poświęcona Winie wystawa w Orpheum - i postanawiam przygotować zestaw zdjęć o Winie zapamiętanej, o pamięci i jej rojącym się od pomyłek, stroniczym zawłaszczaniu przeszłości. Znów jestem nad morzem, w domu Macka Schnabla w pobliżu Montauk Point, miejscowości rozpostartej nad krawędzią klifu, gdzie rozbijające się oceaniczne fale stwarzają wrażenie nieustannego sztormu, nawet przy pogodnym niebie. Do aranżacji wziąłem dwa twarde krzesła z prostymi, pionowymi oparciami, dwa lustra, parę manekinów naturalnej wielkości i parę innych rekwizytów. Jak to ma wyglądać? Otóż na jednym z krzeseł będzie siedział zamaskowany mężczyzna - maską są dwie przepaski na oczy skrzyżowane na czole w znak X - pod ścianą, na której wiszą w owalnych ramach niewyraźne wizerunki kobiet z zarania fotografii, zdjęcia Niepce'a, Daguerre'a. Mężczyzna trzyma na kolanach

lustro okrągłe. A na pierwszym zdjęciu cyklu będzie też widać lustro prostokątne, z odbiciem nagiego, przetkanego światłem kobiecego ciała, odbite w tym lustrze okrągłym, sugerującym kobiecość samym kształtem.

W następnych zdjęciach cyklu w lustrze okrągłym, odbijającym to prostokątne, widać będzie coraz więcej, coraz wyraźniejsza stanie się głowa kobiety i zajmie coraz większą część lustra prostokątnego. W pewnym momencie stanie się jasne, że to głowa Winy. A potem głowa się zmieni i stanie głową kobiety bardzo do Winy podobnej, ale innej. (Muszę jakoś znaleźć tę kobietę.) W kolejnych sekwencjach cyklu w pewnej chwili znikną obramowujące zwierciadła i ta nie-Wina przejdzie z wolna z półzblizeń w plany coraz szersze. Będzie siedziała na twardym krześle o prostym oparciu, podobnym do tego, na którym siedzi na pierwszym zdjęciu cyklu ów mężczyzna z opaskami na oczach; będzie siedziała na krześle podobnym, ale nie tym samym; będzie trzymała na kolanach lustro prostokątne, w którym odbije się lustro okrągłe z odbiciem nagiego przetkanego światłem ciała męskiego. Na oczach nie-Winy pojawią się przepaski. A mężczyznę na pierwszych zdjęciach będę ja, a potem ktoś inny, jeszcze mniej podobny do mnie niż sobowtór Winy do Winy; po prostu jakiś nie-ja. Oczywiście taki cykl można pociągnąć w nieskończoność, ale zamierzam go skończyć rozjaśnieniami, przejściami w biele. Zmieniamy to, co pamiętamy, a potem zapamiętane zmienia nas i tak to idzie, aż razem zanikniemy, wspomnienia i my sami. Coś w tym rodzaju.

Ustawiam ujęcie, sadzam na krześle kobiecą lalkę. Potem zestrąjam cały ten zygzak odbić, lalka w lustrze prostokątnym, prostokątne w okrągłym, ulokowanym na kolanach drugiej lalki, wreszcie lalka numer dwa w kadrze kamery.

Jestem w tym domu sam. Po ustawieniu zdjęcia nalewam kieliszek wina, siadam i przyglądam się aranżacji. Widocznie jestem zmęczony, bo wino mnie usypia. Zadowolony ucinam sobie drzemkę.

Budzi mnie najniewątpliwiej trzask migawki. Dwukrotny.

Zrywam się na równe nogi, otumaniony snem i winem i wołam, lecz nikt nie odpowiada. Aranżacja jest nietknięta. Sprawdzam leicę na statywie. Dwie pierwsze klatki są naświetlone.

Wina, szepczę, a z wiatrem ulatuje cały mój zdrowy rozsądek, Wina, to ty?

Po wywołaniu nie ma jednak Winy na filmie. Jest za to ktoś inny. Młoda kobieta, która już ukazywała się na różnych rolkach jako widmo. Foto-zjawa. Tym razem siedzi na miejscu, na którym powinien czekać na sfotografowanie manekin - i

wciąż czeka, w tej nietkniętej aranżacji - a w ręce trzyma kartkę z jakimś napisem.

Na pierwszej klatce ten napis brzmi POMÓŻ.

Na drugiej kobieta wygląda na wyczerpaną, gorzej niż wyczerpaną, jakby dokonała wysiłku, który wszystko z niej wyssał. Tym razem zwała się na krzesło jak lachman. Z dłoni zwisa kartka.

POMÓŻ

Kim jesteś? - mówię do zdjęć, które wiem i suszę. O co ci chodzi? Jak pomóc? Pomóc?

Ale zdjęcia już powiedziały, co miały powiedzieć.

Mija dzień, zanim wpadam na pomysł użycia kamery wideo, mija następny, zużyty na jazdę do miasta, kupno potrzebnego sprzętu, potem do domu, pędem, jak burza. Lecz zanim uda się wszystko dopiąć, jest środek nocy, poza tym mam wrażenie, że nic się nie zdarzy, jeśli się będę przyglądał. Zostawiam więc pracującą kamerę i kładę się spać.

W pokoju zjawiam się z samego rana, drzę z podniecenia, lecz licznik wskazuje 0000, wygląda na to, że taśma nawet nie drgnęła. Rozczarowanie, istny nokaut. Siadam na podłodze i trzeba pięciu minut, zanim zaświta mi myśl, że jeśli taśma nagrała się do końca, mechanizm sam przewinie ją na początek. Zrywam się, staję zgięty w pół. Jak postać w którymś z tych filmów sci-fi o pierwszym kontakcie. Na wideo są obcy. Istoty pozaziemskie, które wylądowały na naszym globie. Przybywamy w pokoju i tak dalej. Poddajcie się, ziemskie robaki, wasza planeta jest otoczona. Bez paniki. Licho wie, czemu zaczynam się śmiać.

Kamera ma opcję odtwarzania. Przykładam oko do wizjera i trącam klawisz *play*. Taśma zaczyna się przesuwać.

Kobieta na krześle, na którym powinien siedzieć manekin, to nie ta zjawa wczorajsza. Jest starsza, po pięćdziesiątce; strapiona; o sympatycznej twarzy i siwiejących włosach zwiniętych w kok. Wygląd i akcent wskazują na Hinduskę, ale na pewno nigdy jej nie spotkałem.

Kaszelek zakłopotania, potem mówi.

Widzisz, jeden z naszych starożytnych filozofów powiada, zastanówmy się nad nędznym nietoperzem. Wiesz, o czym mówię, prawda? Żeby spróbować doświadczać rzeczywistości jako nietoperz. Cel ćwiczenia to wnikać w ideę inności, zasadniczej odmienności, z którą nie może nas łączyć prawdziwa więź, ale o którą się ocieramy.

Nietoperze żyją w tej samej przestrzeni i tym samym czasie co my, lecz ich

świat jest do naszego zupełnie niepodobny. I właśnie nasz świat jest równie niepodobny do waszego jak świat nietoperzy. Wierz mi, takie światy są liczne. I te nietoperze, my wszyscy, trzepoczemy sobie wokół głów. Pewnie to można lepiej wytłumaczyć.

Cóż, jedni dla drugich jesteście jak nietoperze, tak to wygląda.

Przepraszam za Marię. To nadzwyczajna dziewczyna, ale jak widzisz, w nie najlepszej formie. Również kapryśna z natury, próżna, wścibska, po trosze nimfomanka, zgadza się? Rodzina zupełnie sobie z nią nie radzi. Podejrzewam, że trafia do twoich, jak wy to nazywacie, marzeń? snów? Właśnie, snów. Nie gniewaj się na nią. Jest, jeśli wolno mi to wyjawić, krucha. Obawiam się, że nie przetrwa tego, co ma nadejść. Brakuje jej siły charakteru. Może i mnie. Nikt z nas nie potrafi przewidzieć, jak Maria odpowie; chodzi o wywołanie do odpowiedzi przez wielkie pytanie, rozumiesz? O życie lub śmierć.

Nie nadążasz. Jasne, że nie. Taka jestem głupia.

(Pauza.)

Nie wiem, jak mówić, żebyś pojął. Przypuśćmy, że pewnego dnia idziesz za róg i trafiasz na sklep z wideo, którego istnienia w ogóle nie podejrzewałeś, a w środku całe ściany zastawione są nagraniami wideo, o których jeszcze nigdy nie słyszałeś. Jasne? I przypuśćmy, że paru z was znajduje ten sklep, może więcej niż paru, ale nie wszyscy, bo wielu wysłanych tam ludzi wróci i powie, że tam nic nie ma. Ani sklepu. Ani wejścia do niego. To naprawdę wygląda inaczej, ale opowiadam, jak potrafię.

Pewnie nie zauważyłeś, bo i jak mógłbyś, że kiedy was odwiedzamy, nie starzejemy się. To jakbyś oglądał wideo, w historii może upłynąć sto lat, ale dla ciebie to tylko sto minut, którymi możesz się nie przejmować. Szybkie przewijanie, stop-klatka, cofanie, co zechcesz. Twój czas to nie czas ludzi na taśmie.

Ale to też nie tak, bo co się okazuje, że tych paru z nas - może więcej niż paru, lecz w sumie nie za wielu - jeżeli już przejdzie przez drzwi, to w środku może się znaleźć na tych taśmach wideo, rozumiesz? Oczywiście, to moje porównanie nie broni się, bo powiedziałam, że są drzwi, wejście do sklepu, że jest sklep i taśmy wideo, a w rzeczywistości nie ma sklepu ani taśm, ale te drzwi są, właśnie te szczeliny, jesteś fotografem, więc coś ci mówi to słowo, szczelina jak w migawce rozwiera się, do środka wpada światło, jak cud, naznacza tę inną rzeczywistość, bo pozostawia po sobie obraz.

Nie potrafię już lepiej tego objaśnić. Jesteśmy światłem, które pada skądinąd.

Myślę, że w jakiejś mierze domyślasz się reszty. Przypadkowo splątane struny czasu, jak sznurki latawców. Światy na kolizyjnym kursie, to się już zaczęło, trzęsienia ziemi, chyba pojąłeś ich znaczenie. Twój przyjaciel Ormus od dawna obawia się najgorszego, co go zrujnowało, szkoda. Dostrzegł zbliżanie się kresu waszej struny. Tymczasem wasza struna jest mocniejsza, niż się spodziewaliśmy, a zniszczenia naszej struny są straszne, absolutnie przerażające. Całe obszary po prostu spustoszone, porozrywane, poszły w strzępy, nie ma ich. Teraz na ich miejscu jest niebyt. Ludzi doprowadza do szału niepojmowalna nicość. Spróbuj to sobie wyobrazić.

Czy mieszczą ci się w głowie takie okaleczenia rzeczywistości? Ze to, co wczoraj było faktem - terroryści atakujący bakterią wąglika nowojorskie metro - dziś już nim nie jest: nie było żadnego zatruwania, żadnego wąglika. Wczorajsze bezpieczne jest dzisiaj niebezpiecznym. Nie ma nic spajającego, klamrującego, na niczym nie można polegać, tak to jest.

Rozumiesz? Wasza struna jest mocna jak linka latawca - kala mańdża. Wygląda na to, że wy możecie nas odciąć, a my was nie. Wy będziecie mieli dalszy ciąg, dojdziecie do końca, do krawędzi, do bólu. A my będziemy waszym rozwiewającym się, jak się to mówi, marzeniem, waszym snem.

Spustoszenie już teraz jest zbyt ogromne; nie możemy uciec. Szczeliny, drzwi, widzisz, już się zablokowały. Jeszcze możemy patrzeć przez szybę, przez chwilę wykrzykiwać wiadomości, jak ta, ale już nie udaje się nam prześlizgnąć i pobyć po waszej stronie. Jacy byliśmy szaleni, sądząc, że nasz czas nieskrępowanej eksploracji, czas błogich podróży między wszechświatami będzie trwał wiecznie! Pewnie mogliśmy się dostać do was jako uchodźcy, tak teraz mówią niektórzy z nas, lecz inni twierdzą, że kiedy na strunę przychodzi koniec, kończą się też wszystkie nanizane na nią chwile. Wszystko musi zginąć. A więc jesteśmy zgubieni.

Jedyne, co po nas zostanie, to nasze światło w waszym oku. Nasz cień na waszych zdjęciach. Nasze polatujące sylwetki, spadające przez nicość po tym, jak usunął się nam grunt spod nóg, jak przepadł, jak zniknęła solidna ziemia pod naszymi stopami.

(Nagranie zaczyna się psuć. Obraz i dźwięk siadają. Coraz więcej zniekształceń, przeskakujące ramki, słychać trzaski i pisk. Kobieta podnosi głos.)

Dawno temu - w samolocie - zamieniłam parę słów z twoim przyjacielem - mówię o panu Kamie! - Ormusie! - Kiedy ona, Maria, podeszła do niego, w pierwszej chwili pomyślałam, że pan Kama jest jednym z nas. - Czy mnie słuchasz? Myślałam,

że przeszedł z naszej strony! - Ale nie - nie - to tylko jej urojenia - twierdzą, że Maria żyje w świecie złudzeń - fantazji! pozorów! - nieszczęśliwe dziecko.

Trzask. Bach. Łups.

O Panie! - Łaskawy Panie! - To się rozpada, strzępi, drze! - Jest takie cienkie, wątłe, kruche! - Nie wytrzyma. - Wkrótce wszyscy będziemy tylko waszą uludą.

(Już z trudem można dostrzec kobietę przez "teleśnię", z trudem dosłyszeć przez narastający przydźwięk. Kobieta krzyczy, co sił; głos raz zanika, raz dobiega. Raz coś słyhać, raz nie, jak w kiepsko odbierającym komórkowcu.)

Słuchaj! - zakochała się w nim! - naprawdę - to nie jest zła dziewczyna, pamiętaj! - nie jesteśmy ludźmi złymi - nasz świat jest równie piękny jak wasz - ale ta jego miłość - Ormusa! - do tej kobiety, akurat do niej - z tym już Maria nie umiała sobie poradzić - Słyszysz mnie? - I właśnie to Maria chciała ci powiedzieć - To jej ostatnie życzenie. - I moje. - Uważaj na niego. Dbaj. - Z nami już koniec. - Słyszysz mnie? - Nie daj mu umrzeć.

...POMÓŻ ORMUSOWI...

W tym miejscu nagranie urywa się ostatecznie. Śnieg zasnuwa obraz. Wyobrażam sobie, że wpatruję się w koniec świata. W tańczących po ekraniku kropkach i plamkach widzę walące się wieże, widzę ocean wzbierający, pochłaniający obcy ląd. W sykach i hałasach białego szumu łatwo dosłyszeć śmiertelny krzyk całych gatunków, kołatanie śmierci dosięgającej innej Ziemi.

A potem zmiana na taśmie. Szalejący śnieg znika. Na jego miejscu pojawia się obraz manekina na krześle, lalki trzymającej okrągłe lustro, które odbija obraz lustra prostokątnego, które z kolei odbija obraz innego manekina.

Większą część dnia spędzam samotnie z moimi manekinami, z ich obrazami wideo, rozmyślam o Marii i jej nauczycielce, ich historii i wszystkim, co tu przeniknęło. I przychodzi mi na myśl, nedorzecznie, a może dorzecznie, pewna scena z filmu: Superman w swym polarnym, lodowym pałacu dopasowuje kryształ i w ten sposób wyczarowuje dawno zmarłych rodziców, pogodnie, skazane na zagładę małżeństwo, gotowe dzielić się mądrością świata, który już zniknął, przepadł za łukiem czasu. Ta pomyłona, rozstrojona Maria z nagryzmlonymi komunikatami i ta starsza goszcząca u mnie dama, bezimienna, opanowana, przyjmująca przechodzenie w niepamięć z wielką godnością: ledwie je znałem - obce, przybyłe z obszaru innego, chociaż jakoś znajomego, wślizgujące się przed nasze oczy jakimś niewyobrażalnym

trybem - a jednak ich zguba głęboko mnie porusza. Usiłuję sobie wyobrazić dlaczego. W końcu uznaję, że chociaż ja, my, naprawdę ich nie znamy, to one znają nas, a jeśli kiedyś znika ktoś, kto nas zna, tracimy jakąś wersję samych siebie. Sposób, w jaki byliśmy postrzegani, w jaki nas osądzano. Budują nas ci, którzy nas znają, kochanek lub wróg, matka czy przyjaciółka, a ich poszczególne wiedze tendencyjnie uwidoczniają różne strony naszego charakteru, obrabiają je, są jak tarcze w ręku szlifierza diamentów. Każda taka strata to krok do grobu, w którym wszystkie wersje zblakną i rozwieją się na dobre.

To spostrzeżenie zawraca moje myśli ku Winie, bo tam wciąż wiodą wszystkie moje myślowe tropy. Jej wiedza o mnie była taka głęboka, wersja tak przekonująca, że spajała moją tożsamościową rupieciarnię. Żeby nie zwariować, wybieramy między odmiennymi, kłócącymi się przedstawieniami naszego ja: i ja wybrałem jej. Wybrałem imię, które mi nadała, przyjąłem krytyki, miłość i nazwałem ten dyskurs mną.

Od śmierci Winy i utraty jej przenikliwej wersji, utraty jej Rają, czułem, jak w wielu sprawach rozpadam się na fragmenty nie mające ze sobą związku, przeciwstawne; które przestają, jak teraz widzę, przystawać do siebie. "Cud na wideo" pokazał mi, co już dawno temu sam powinienem był dostrzec: że jest nas dwóch, że obaj oplakujemy utratę zbawczych sądów; i że już nadszedł czas, żebyśmy zbudowali most nad rozpadliną, która z biegiem lat, niepostrzeżenie, rozwierała się między nami coraz szerzej. Teraz, kiedy nie ma Winy, może zdołamy nawzajem się wybawić, sami.

Pomóż Ormusowi. Jasne. A może on pomoże mnie.

Chcę już wracać do miasta; ładuję jeepa i myślę o dawnych bombajskich czasach z Ormusem, siedzeniu w jego szatni albo o chwilach na dachu domu przy Nabrzeżu Apollińskim. Prawdę mówiąc, jestem wcale zadowolony, czując nawrót starych zauroczeń ze szczęśliwszych czasów dzieciństwa. Ale pojawia się Molly Schnabel, w białej koszuli, reszta w kolorze khaki, była żona Macka; członkini światowej czołówki w obrabianiu tyłka w stylu dowolnym przechadza się w bojowym nastroju po ogrodowej ścieżce; rączęta w kieszeni, krzywa zmarszczka uśmiechu na wargach.

No niech mnie, to przecież nasze niepokieszone Hindo-chłopię, ścięte z powodu śmierci żony innego faceta. Popatrz na siebie, Raj, ty duża dziewczynko. Istna spłakana Niobe.

Staram się nie angażować. Hej, Molly, *quelle surprise*.

Zmienia akcent, z irlandzkich zaśpiewów przechodzi na hugma.

Och, baba? Wehikuł brumtrask, może telefonodomechaniko?

Spędziła trochę czasu w Indiach - jest wielonarodowym dziewczęciem, ojciec był grubą rybą w Union Carbide, póki nie ulotniła się stamtąd trucizna, chmura izocyjanianu metylu, który wytrawił oczy i płuca bhopalczyków; stary Molony był jednym z członków kierownictwa, którzy wylecieli z powodu katastrofy w mediach - i Molly szczyci się zdolnością podrabiania hinduskiego idiolektu. Podczas jakiejś wystrzałowej imprezy w Kolchidzie doprowadziła Yula Singha do szału pozą wdzięczącej się cnotki, aż w końcu ukąsił: Na miłość boską, Molly, to Ameryka. Mówże więc po amerykańsku.

Jeżeli się pojawi, nie wpuszczaj jej do domu pod żadnym pozorem, ostrzegął Mack. Jeśli ma ranę postrzałową i krwawi, to guzik mnie to obchodzi. Zabarykaduj się, a jeśli trzeba, kryj się i przygotuj na oblężenie. Wiem, co mówię. Pewnego razu, kiedy wpadł tu Chów, zajechała samochodem z podnośnikiem i usiłowała wyczyścić cały ten dom. A teraz zjawia się z głową przekrzywioną na bok tak, że jej zrobione pod Veronicę Lakę włosy opadają falami na jedno (zresztą przeogromne) oko, pod dętym pretekstem i z podlizywałską odżywką w hugma. Posłuchaj, Molly, mówię, wiesz, że nie mogę cię tu wpuścić. Jeżeli chcesz zadzwonić, proszę, oto moja komórka.

Komóra-srajrura, zawsze mam przy sobie taką zabawkę, mówi, wzrusza ramionami i natychmiast porzuca ten swój przykrywkowy wstępniak; podkręca głos o parę kresek. Co ty sobie myślisz, że mnie przetrzymasz na progu mojej własnej posiadłości? I co, tylko dlatego, że tak sobie życzy ten wkładacz własnego kutasa w piąstkę własnego dziecka?

Przestań, Molly, mówię. Przestań w tej chwili.

I co, bo taką otrzymałaś instrukcję od tego wdłubywacza narkotyków w nosy własnych pędraków? Od tego sadystycznego koprofila, tej bestii, która własnym perwersjom dogadza w łóżku małżeńskim i niemalżeńskim? Od tego pobielanego grobu, w którym tylko ja dostrzegłam wijące się robaki rozkładu?

Bywa wersja, która spaja tożsamość, i bywa taka, która rozrywa człowieka na strzępy. Dla mego przyjaciela Macka jest nią ta trzydziestotrzyletnia kobieta, na swym dawnym trawniku wywrzaskująca z podrabianymi akcentami teksty zniesławiające to, co kiedyś kochała, rzucająca oskarżenia, które w umysłach wielu ludzi spowodują natychmiastowe wydanie werdyktu "winien", posługująca się argumentem własnej urody oraz słów "żona" i "matka", by dla swych kłamstw zyskać wsparcie samego

prawa. Ta błyskotliwa przeciwniczka, która już odarła byłego męża z dobrego imienia, chce teraz w ogóle wszystkiego, co Schnabel ma. Bez względu na to, co Mack pocznie z resztą życia, tę wersję już wypalono mu na czole; jest jak litera wyszyta na płaszczu szkarłatnymi nićmi.

Zawiozę cię z powrotem do twego samochodu, mówię. Chyba że naprawdę wysiadł, w takim razie ściągniemy mechanika.

Byłby z ciebie, Raj, pierwsza klasa przydupny goryl na dworze jakiegoś zlanego juchą, trzecioświatowego, cholera, królika, mówi (już zapomniała o indyjskim akcencie). Albo czołowy łańcuchowy lizodup prezesa, na czterech tylnych łapach. Albo taki szczurobuc, żołnierz donów, popychadło od brudnej roboty. Jest kobieta, której trzeba naubliżyć, którą trzeba zranić, nie wiem, jak to się nazywa w tym twoim żargonie, którą można wyrzucić z jej własnej ziemi? Dzwon po tego przygłupa, Raj, ściągnij go tu, kurwa, tym twoim komórasem.

Wsiadaj, Molly, mówię. I Molly wsiada; z miejsca kładzie mi rękę na udzie. Czy to już wszystko, ho, ho, oto praojciec Adam, mówi, czując coś, czego nie potrafię opanować. To tu trzymasz teraz klucze, czemu wcześniej nie powiedziałaś, biedactwo tam czeka i czeka, chwileczkę, zaraz cię Molly obejrzy, zna kody tego zamka.

Odsuwam jej rękę i włączam silnik.

Może innym razem, dobrze? - mówię trochę zbyt zduszonym głosem; ruszamy.

W holu Orpheum pod łacińską miłosną maksymą czeka Clea Singh; usiadła z kopertą zaadresowaną odręcznie, niepewnym pismem, przez Ormusa Kamę. Znów pana potrzebuje, mówi Clea. Musi pan przyjść.

Nota w kopercie składa się z trzech tylko słów.

Znalazłem ją. Żyje.

17. Mira

Portier Shetty już nie strzeże holu Rhodope Building. Małeńka Clea mówi poprzez ściągnięte wargi, że wreszcie wyprawiono go na zasłużony odpoczynek. Wiekowa, wymykająca się rachubie lat Clea wywodzi bez ironii, nieco wzgardliwie, że Shetty dawno powinien zejść z posterunku. *Trzymali go tylko ze względu na Panią*, mówi, a *teraz lepiej, że zażyje wczasu*. Mieszka w Mineoli, stan Nowy Jork; jest w pobliżu pierwszorzędny dom starców, także dogodny ze względu na krematorium, a Shetty'emu zapewniono, mówi Clea, całkiem godziwe środki, *uprawdzie nie mieliśmy żadnych zobowiązań, ale to bądź co bądź jej tatuś*. Singhowie i Shetty nie przepadali za sobą, więc kiedy skończyło się wraz z Winą oparcie, los Portiera był przesądzony. Dla przyzwoitości zarządzono okres ochronny, a potem Clea wykonała kończący ruch. Nie miał szans. Szach i mat w jednym posunięciu.

Wyszepeczę mowę pożegnalną. Chciałeś, mój stary, umrzeć w biegu, ale w podeszłym wieku siła pisanych przez nas scenariuszy słabnie, więc o kształcie naszych ostatnich poczynań decydują komercyjne przeróbki. Bywaj, Portierze! Raduj się zachodami słońca, jeżeli zdołasz.

W sprawie Portiera Clea postąpiła, jak to ona, stanowczo i twardo, więc tym bardziej zastanawiające wydało się głębokie wzburzenie niewzruszonej zazwyczaj damy, widoczne w Ormusowej limuzynie podczas jazdy przez miasto. Wiem, że niewielu ludzi spoza zamkniętego kręgu Singhów trafiło tam, dokąd zmierzam: w jądro ciszy i cienia, które bez reszty spowiły teraz Ormusa Kamę. Od kiedy po raz ostatni zaprowadzono mnie przed jego oblicze w guadalajarskim Hyacie, popadł w niewidzialność. Wiedziałem od Shetty'ego o jego poczynaniach - wizytach u Goddess Ma i tak dalej - ale możliwe, że nikt przez ten czas nie odwiedził Ormusa w jego pilnie strzeżonym leżu. Uderzający niepokój Clei z pewnością świadczy o wyjątkowej sytuacji. Żadnych kamer, mówi przed wyjazdem. I chociaż nie zamierzałem ich zabierać, ciekawi mnie stanowczy zakaz. Czy Ormus wygląda aż tak marnie? I czego nie chce ujawnić światu - Ormus lub jego asysta?

Typowe myślenie z branży, karcę się. Nie ma takiego prawa, które powiada, że ktoś się musi godzić na sfotografowanie, bo chce pogadać z fotografem. Nie czepiaj się człowieka.

Przez całą drogę z Orpheum do Rhodope Building Clea nieprzerwanie nadaje.

Panie Raj, sam pan wie, jacy są ludzie, co powtarzają złe języki, że nie umiemy zadbać o Pana. Pewnie pan czytał te okropne artykuły o jego zdrowiu fizycznym i umysłowym, z tymi okrutnymi insynuacjami, jak my rzekomo gospodarujemy jego majątkiem. Panie Raj, błagam tylko o jedno, o otwartość. Jeśli pan sobie życzy, mogę pokazać wszystkie księgi, rachunki, pan się przekona, że się wyliczamy co do centa, a wszystkie firmy są we wzorowym stanie, tiptop. Jeżeli pan zażąda, ściągnę osobistego lekarza Pana, który potwierdzi, że ściśle wypełniamy polecenia. Na pańskie życzenie wszystko wyjaśnimy.

On umiera, myślę nagle. To jego ostatnie chwile, a Clea z Singhami są śmiertelnie przerażeni.

Dlaczego mi to wszystko mówisz? - pytam.

Bo Pan jest taki samotny. Przez siedem dni w tygodniu i dwadzieścia cztery godziny na dobę myśli tylko o drogiej Pani. A pan jest dla niego jak brat, panie Raj, przez to, że był pan dobrym przyjacielem Pani. Smuci go, że tak długo nie miał pana u boku.

Postanawiam nie podważać tej znamiennej opinii. *Pomóż Ormusowi*. Oto moje nowe postanowienie i nie czas na zgryźliwości, zadawnione żale, złą wolę.

A to nie koniec wyznań w limuzynie. Panie Raj, mówi Clea, Pan się znalazł w strasznych opałach. Ufa za bardzo tym złym rzeczom, które mu pomagają znosić stratę. Boję się o niego, panie Raj.

Złym rzeczom, powtarzam. Wygląda na strapioną. Zaplata z całej siły dłonie i cicho wylicza zakazane nazwy. Kierowcą jest dziś Will Singh. Patrzy przed siebie, prowadzi z kamienną twarzą, nieprzenikniony.

Ostro bierze, dociekam, a kiedy Clea odpowiada, wiem, że do katastrofy już blisko. A jak trafiają do niego te substancje?

Clea patrzy nieufnie. Mówi po prostu: Potrafię zdobyć wszystko, czego Pan zażąda. To mój obowiązek, jak wcześniej u pana Yula i Pani.

Wyobrażam sobie Cleę, w sari, która gdzieś na tyłach Prochistanu dobija targu z typami w rodzaju Harry'ego Konia czy Dropsiarza C., zyskując ich szacunek spokojem, pilnowaniem szczegółów, żądaniem towaru najlepszej jakości. Widzisz, Clea, staram się o życzliwy ton, ludzie mogą nie zrozumieć, że ktoś, kto się ma za szczerą przyjaciółkę, dogadza nałogom Ormusa i jeszcze pozwala, żeby się aż tak rozwinęły. Mogą podważyć twoje motywacje.

Clea Singh prostuje się dumnie, wyprężona w tej limuzynie jak struna, niemal

wstrząśnięta. Ależ panie Raj, mówi, nie jestem jego przyjaciółką, jak pan mógł coś podobnego pomyśleć. Jestem służącą. Od kiedy Pani i Pan nas uratowali, jesteśmy wszyscy ich zaprzysiężonymi sługami. Ja nie dyskutuję z pragnieniami Pana, panie Raj, nie spieram się; ja działałam. Akceptuję.

Aten lekarz, mówię. Widzi, co się dzieje, i nie ma skrupułów?

Człowiek z muzycznej branży, mówi Clea Singh, a w jej głosie znów słychać dawny stalowy przy dźwięk. Pan zna życie, panie Raj, na pewno. Więc po co to niewinne wypytywanie? Życie jest, jakie jest.

Ormus czeka przy windzie; mimo ostrzeżeń jego widok przyprawia o wstrząs. Stoi, chociaż ledwie się trzyma na nogach. Mam wrażenie, że to pokaz na przywitanie, zresztą mało przekonujący. Gdyby nie ja, Ormusa podtrzymywałby któryś z Singhów. Kątem oka widzę czujnego, młodego siłacza w białym stroju karateki; mocno się niepokoi.

W Guadalajarze widziałem, że wychudł; teraz jest już zupełnie wyniszczony. Chyba mógłbym go jedną ręką podnieść i posadzić sobie na ramieniu. Stracił prawie wszystkie włosy, a szczeciniasta resztką, ogolona do skóry, bieli się jak mleko; nos niebezpiecznie zaostrzony; sam Ormus w ten ciepły wieczór dygoce, mimo pięknego szala z paszminy na ramionach. Chodzi o lasce; pięćdziesięcioletni wygląda na dziewięćdziesięciolatka. Może za późno już na pomoc.

Nie ma przepaski na oku. Pojmuję, że już wie o końcu innoświata. Co do którego miał rację - bo rzeczywiście dwa światy znalazły się na kolizyjnym kursie - i jednocześnie się mylił - bo innoświat nie był sam przez się lepszy od naszego. W końcu okazał się wersją, która zawiodła. Nasza wygrała; a raczej powiedzmy - przetrwała.

I na tym polegało szaleństwo Ormusa: w myśli faworyzował tę inną wersję świata kosztem naszej. Może teraz, jeśli tylko przeżyje, zdoła odzyskać równowagę, na nowo wkraczając w świat istniejący naprawdę. Nasz.

Dzięki, że wpadłeś, szepcze. Mam coś, co powinieneś zobaczyć i, mmm, potwierdzić. Zawraca i kuśtyka przez swój pusty biały wszechświat.

Zdumiewa zakrój tej rezydencji, karleje przy niej nawet meksykańska kwatery Ormusa w Hyacie; nie kończące się albinotyczne strefy, przejścia bez drzwi, pustka, przestrzeń. W odległym kącie kolosalnego nie zamieszkanego obszaru dostrzegam biały materac na ramie i białą lampkę na niskim białym stoliku, w innej gigantycznej

sekcji widzę biały koncertowy fortepian i stół. Ani śladu kurzu, brudnych naczyń, bielizny. Nawet nie usiłuję dociec, ilu trzeba Singhów, by sprzątać po Ormusie i stworzyć tę niepokalaną nieziemskość.

Idzie i szepcze; muszę podejść, żeby dosłyszeć.

Curtis Mayfield sparaliżowany, Raj. Zleciał na niego reflektor. Potem się spalił dom. Steve Marriott też się spalił, słyszałeś. Dziwny pożar. Fakt. Nie żyje Doc Pomus. Przedawkował David Ruffin. Pewnie przesadził z pokusą. A Will Sinott z Shamen? Utopił się. Leo Fender, Uncle Meat, Johnny Thunders, Professor Longhair, Stan Getz, *requiescant in pace*, synku. I ten dzieciak, który wypadł z okna na samej górze. Okropne. Mówią, że Mercury”emu niewiele zostało, Brian Jones zamordowany, Brian Jones, podobno mają dowody. Co się dzieje, Raj, co jest grane? No nie wiem. Oni nas wymazują.

Dziwny, oparty na wolnych skojarzeniach monolog ma być, jak pojmuję, grzecznościową pogawędką. Nie osądzam Ormusa. W głowie mam przecież swoją listę, mógłbym ją zacząć od niedawno zmarłego Johnny'ego Chowa. Inne nazwiska, obsesja ta sama. Nowi towarzysze Winy, pierwszy krąg towarzyski jej piekła lub nieba.

Przemierzam za Ormusem hektary bieli, wreszcie za którymś rogiem otwierają się, potem zamykają obite na biało drzwi, a ja niespodziewanie ląduję w czymś, co wygląda na skromną kopię Centrum Kontroli Lotów w Houston; studio zajmuje co najmniej sto metrów kwadratowych, na wszystkich czterech ścianach od podłogi po sufit monitory, na środku stanowisko dowodzenia godne odysei kosmicznej, ławy komputerów, mikerskomagiczne stoły audio i wideo, moduły i klawiatury Yamahy, Korga, Hammonda, MIDIB i Kurzweila, dwa fotele na kółkach.

Na każdym ekranie - jest ich tu ze trzysta lub więcej - puszy się i wiruje jakaś podrabiana Wina. Fonii brak, a trzysta niemych Win zajadle gada i paraduje. Skoro do nie dokończonego zestawu zdjęć potrzebuję modelki, tej niemal-Winy - a potrzebuję - nie mogłem lepiej trafić.

Nawet po tylu latach nie mogę się nadziwić pieniądzom, które wytwarza rock and roli. Jakich potrzeba środków, żeby wejść w posiadanie tych przestrzeni, a w środku zainstalować obłądną aparaturę audio-wideo o kosmicznej nadrozdzielczości, ten kompleks zmiennoprzecinkowych komputerów muzycznych, które po przeprogramowaniu mogą z powodzeniem pokierować systemem naprowadzania rakiet średniego zasięgu; wreszcie jakich potrzeba środków, żeby zatrudnić armię ludzi, którzy wytropią i nagrają te dziesiątki tysięcy namiastek Winy?

Niewyobrażalnych, jak niewyobrażalny jest ten luksus, że można poprosić o wszystko, co się zamarzy; załatwią to odpowiedni ludzie, kosztów nawet się nie dostrzeże.

Dostać zabawkę zwaną światem.

Kończy się zawrót głowy, zaczyna klucie w sercu, nie chodzi tylko o mnie, lecz także o Ormusa. Obsesja to objaw skrywanego bólu. Pojmuję, że dotąd nie traktowałem notki Ormusa z należną powagą. Zbyt łatwo ją tłumaczyłem jako wołanie tonącego; nie przyszło mi do głowy odczytywać dosłownie. A teraz, kiedy błędę wzrokiem po tych podrabianych Winach, pojmuję, w co Ormus naprawdę wierzy: że któraś z tych żalonych imitacji to autentyk: że nieszczęsna zmiążdżona Wina, którą kochał, zmartwychwstała i teraz, wydobyta z otchłani, śpiewa swoje stare przeboje kowbojom, gwardzistom, przyszłym Unabomberom i pijakom w Grand Island w Nebrasce lub innym śmierdzącym centrum życia muzycznego.

Wreszcie Ormus siada za pulpitem i mówi: Zobacz; wciska całe sektory przełączników i oto zjawia się, pomnożona przez co najmniej trzysta, jarzy się na wszystkich ekranach. Ormus otwiera kanał dźwiękowy; opływa mnie, zatapia ten cudowny, niepowtarzalny głos.

To Wina. Wróciła spomiędzy umarłych.

Bo tobie, dziecko, nic do tego, śpiewa. I jeszcze raz, i jeszcze, ależ ten stary kawałek nabiera gazu pod koniec, do tego nic nic nic, do tego nie, dziecko, nie, nic. A ona robi niesamowite rzeczy - i nowe, i znane - z głosem, z linią melodyczną, rozciąganiem dźwięków, podjazdami, dodaje jazzowego rajcu; typowe u Winy, kiedy wpada w nastrój spod znaku Billie Holiday. W kulminacyjnym momencie leci skatem, jak sama Ella.

Bebop! Rebop! Ree!

Skeedleyooh!

Oh, mam'! Ramalam'!

Nic ci do tego, nieee...

Wo, pop! Dedop!

Mop! Alopadoo!

Och, nic ci do tego, niieeee

Nie twoja rzecz

...o, yeeeee...

Niewidzialny tłum szaleje. A ona się uśmiecha; tym uśmiechem Winy, który

potrafi rozświetlić najciemniejsze kąty. Och, Wina, Wina, myślę. Skąd ty tu wyskoczyłaś, niemożliwe, nie żyjesz. Wokół mnie trzysta Win śmieje się i kłania.

Nie rozpoznaję koncertu, jąkam się. Co to, stare nagranie pirackie, na krzywy ryj?

Ale spostrzegam już kod z datą. Taśmę nagrano niespełna tydzień temu. I widzę, że chociaż to Wina przywołana do życia, to zarazem jakaś dziwna Wina-składanka, która nigdy nie istniała naprawdę. Ma na głowie te ufarbowane na czerwono włosy zebrane w tryskającą fontannę, w czub Woody'ego Woodpeckera, który tak dobrze pamiętam, ma lśniący złocisty stanik obsypany cekinami i skórzane spodnie, kostium z ostatniego koncertu; lecz nie jest kobietą po czterdziestce, dojrzałą solistką z trasy mającej przywrócić ją estradzie. Ta Wina ma najwyżej dwadzieścia lat. Mimo to nosi pierścionek z selenitem.

Obracam się i widzę łzy w mlecznych, zmętniałych oczach Ormusa.

Tak właśnie myślałem, szepcze. Że to. nie jest złudzenie.

Jak się nazywa? - pytam. Spostrzegam, że też mówię szeptem.

Daje mi cienką białą teczkę.

Mira, mówi i kaszle. Tak się teraz nazywa.

Mira Celano wprost z Manhattanu, zapewnia teczka. Urodzona w szpitalu Lenox Hill w styczniu 1971, więc miałem rację co do wieku. Rok 1971, kiedy Ormus poprzysiągł czystość, oto, ile ma lat. Jedynaczka. Ojciec, Tomaso, miał w chwili jej narodzin lat sześćdziesiąt jeden. Zapamiętała go (tu nieco ubarwiam raport agencji detektywistycznej i opatruję szczegółami, które poznałem później) jako mężczyznę krępego, o wydatnej klatce piersiowej, z gęstą lwią grzywą, który w obecności ukochanego a późnego dziecka stawał się nieporadny, obejmował ją czy ścisnął szorstko niemal w popłochu, by zaraz oddać w ręce najbliższej stojącej krewnej. Był szanowanym, ambitnym prawnikiem wielkich korporacji, w ekstraklasie zawodu, miał pierwszorzędny adres na wschodnim Manhattanie, ale wciąż podtrzymywał związki ze społecznością, z której wyszedł; szczyił się pochodzeniem z Asyżu. Był także bohaterem wojennym, odznaczonym za drugą wojnę światową; medal dla zasłużonych otrzymał za nie lada wyczyn, był najstarszym amerykańskim asem bombowców nurkujących, które podczas bitwy o Midway posłały na dno japoński lotniskowiec *Hiryu*.

Uzupełnienie: zmarł niedawno, w wieku osiemdziesięciu jeden lat.

Matka nie była Włoszką. Zaskakujące, że Celano, mężczyzna wielce konserwatywny, który długo pozostawał kawalerem, sprawiając zawód niejednemu pokoleniu młodych włoskich Amerykanek, wreszcie wpadł grubo po pięćdziesiątce, za sprawą pewnej hinduskiej lekarki, która “urzekła go” (jak mawia się na ekranie) na Central Park South; jechała taksówką, której kierowca, Ibo, rozmyślnie staranował taksówkę prowadzoną przez Hausę. Obaj namiętni stronnicy wrogich obozów, pogrążonych w coraz bardziej krwawym konflikcie o oderwanie Biafry od Nigerii, najpierw wzajemnie rozpoznali przeciwnika dzięki miniaturom flag, ostentacyjnie nalepionym na tylnych i bocznych szybach wozów, i napastliwym hasłom na zderzakach. Potem opuścili szyby i w trybie stopjazdastop, omijając na centymetry inne wozy w szczybie ruchu, wdali się w wymianę obelg - *Na drzewo, banany prostować!* - *Ropojad!* - *Palant Gowona!* - *Ciul Ojukwu!* - wreszcie młody Ibo, rozjuszony sprawą secesji, a może tylko otumaniony żarem letniego popołudnia, skręcił i wyrznął w bok auta urągającego mu Hausy, sprowadzając na ulicę deszcz szklanych odłamków. Kierowcom nic się nie stało, ale pasażerowie wyfrunęli z tylnych siedzeń w zamkniętą przestrzeń i oberwali.

Tomaso Celano, zawsze szarmancki, koniecznie chciał się upewnić, czy dama w tej drugiej taksówce nie doznała obrażeń, lecz zaraz potem przyznał, że widzi podwójnie i przysiadł na krawężniku, ciężko dotknięty dokuczliwymi, jak powiedział, ćwierkaliami. Na szczęście dama okazała się biegłą lekarką. Mehra Umrigar Celano urodziła się w Bombaju (wciąż nie możemy uciec od tych bombajskich parsów), wyjechała na Zachód studiować medycynę, została tam, a w dziewięć tygodni po wybuchu wojny taksówkarzy o Biafrę poślubiła Tommy'go; dała córce imię Mira, ponieważ jest znane i w Indiach, i we Włoszech; cóż jeszcze można powiedzieć, chociaż została konsultantką onkologiczną nowojorskiego szpitala, zmarła na wyjątkowo złośliwego raka piersi, nie doczekawszy czterdziestki, pozostawiając zaledwie czteroletnią córeczkę. Starszawy Celano uznał się za osobnika zbyt przedpotopowego, by się zajmować małą; oddawał Mirę na płatne wychowanie całej galerii krewnych, którzy, jak szybko wykryła dziewczynka, okazywali się Włochami nietypowymi, z dodatkowych rodzinnych obowiązków wywiązywali się niechętnie, miłością darzyli Mirę skąpo, a myśl o zatrzymaniu jej na dłużej nie wprawiała ich w zachwyt. Mimo tych zmiennych, perypatetycznych warunków, mimo utrudnień wynikających z pobierania nauk w liceach aż trzech różnych dzielnic, Mira okazała się uczennicą piątkowoszóstkową, wzorem pilności; lecz po przyjęciu na Wydział

Dziennikarski Uniwersytetu Columbia bezzwłocznie poszła w kurs, jakby całe jej dotychczasowe dobre sprawowanie i solidna nauka były podstępem więźnia, sztuczką umożliwiającą przedterminowe zwolnienie; jakby przez całe życie ukrywała skrzydła, a teraz postanowiła polatać.

Na pierwszym roku ujawniła głos, który natychmiast zrobił z niej gwiazdę campusu, wynalazła sobie rozrywkowe towarzystwo i zaszła w ciążę, a wszystko w ciągu jednego semestru. Zdecydowała się urodzić, rzuciła college i momentalnie została wydziedziczona przez ojca, który wkrótce bezmyślnie padł trupem podczas partii tenisa w Cape Porpoise w stanie Maine, uniemożliwiając w ten sposób pojednanie. Przykucnął, by odebrać serwis, ale załatwił go as, potężny atak serca; z rakieta w dłoni Celano padł twarzą na beton i oto skreczował, oddał gema, seta i mecz. Umarł, nie zdążywszy zasłonić twarzy, co się skończyło fatalnym przemieszczeniem nosa, bo nie ma żartów z masą padającego ciała; jako nieboszczyk wyglądał okropnie, jak nigdy za życia. Z wydatnym nosem wyłamany w prawo już nie był żadną grubą rybą, ale paskudnie trafionym bokserem, który przegrał ostatnią z serii przegranych walk. Szybki koniec, a mimo to za późny, bo ojciec zdążył już wykreślić z testamentu córkę. *Ani złamanego centa Mirze, rozczarowaniu mojej starości.*

Pieniądze rozdzielono. Część poszła na dobroczynne programy włoskiej społeczności Manhattanu, Brooklynu i Bronxu, reszta przypadła tym samym krewnym, którzy zatruli dziecięce lata Miry. Szczęśliwi spadkobiercy nie wykonali żadnego ruchu, by jakoś wesprzeć wydziedziczoną, ba, podczas ojcowskiego pogrzebu dali jej nawet po nosie, więc teraz, jakby powiedzieć, zapomnij, kochanie, nie dzwoń, nie pisz, już jesteś na swoim. Mira podjęła wyzwanie. Skoro nie wypaliło dziennikarstwo, nawet to najpodlejsze, zaczęła wyśpiewywać sobie kolacje po zakazanych barach; brała ze sobą córkę w przenośnym łóżeczku, stawiała gdzieś na scenie za kotarami, pod fortepianem, w damskiej ubikacji, byle gdzie, błagając, by podczas matczynego występu spała; przekupywała kelnerki i pomywaczy, żeby zajęli się małą, gdy się rozbudzi.

Dziewczynka ma teraz nieco ponad roczek; na imię ma Tara, co w "przytulmnie" - hugma - znaczy gwiazda.

Czytam, a kulejący Ormus rusza do łazienki i przepada. Powiniennem coś zrobić, lecz nie wiem jak; zresztą może nie czas alarmować. Zresztą czytam. Zresztą nie wiem, gdzie jest łazienka.

Łatwo odgadnąć, myślę, skąd u Miry Celano to zainteresowanie Winą. Mimo różnicy klas, środowisk, perspektyw, Mirę wiele łączy z jej bożyszczem: rodzina mieszana rasowo, wczesne osierocenie, wyzbyte miłości lata dziecinne i to głębokie, jak u wyrzutka, poczucie odrzucenia, wygnanie. Poczucie bycia poza kręgiem i jednocześnie popychania przez potężną siłę dośrodkową ku centrum gry. I jest bez grosza, jak na początku Wina.

Wreszcie, rzecz jasna, ten głos, z którym się tyle czasu kryła. Może, jak Wina, chodziła pośpiewać w ustroniu; może gdzieś w parku miała własną Jefferson Lick.

Bez trudu mogę sobie wyobrazić, jak podczas tego jedyne semestru na Columbii, kiedy zaczęła śpiewać, czereda adoratorów zaczyna jej wmawiać, że jest co najmniej nową Winą Apsarą, że musi strzelić sobie demo, wybić z głowy dziennikarstwo i sięgać gwiazd. A kiedy nagle się okazało, że jest bez forsy, zniknęli przyjaciele z college'u, których pełno, gdy wali karta; nagrania demo, producenci i gwiazdozbiory wydali się zjawiskami z innej planety. Lecz kwitnął przecież rynek pseudo-Win. Więc, jak mi później opowiadała: *Skoro nie mogę zostać nową Winą, będę tą starą. Tak do tego podeszłam. Na ścianie pokoju nakleiłam to zdjęcie, które zrobiłeś - no wiesz, Wina podczas trzęsienia - i powiedziałam sobie: dobrze, od teraz jestem nią.*

Ormus wraca z kibla, wygląda zarazem lepiej i gorzej. Mam inne taśmy, mówi i zabiera się do przycisków.

Na trzystu ekranach jest teraz Mira Celano ze śpiącym dzieckiem, śledzi ją kamera ukryta w kącie pod sufitem. Okropna, ciasna garderoba, Mira w cienkim kimonie zaczyna zmywać sceniczny makijaż. Kiedy ściąga czerwoną perukę, a potem siatkę, wydaję cichy okrzyk. Po plecach Miry stacza się aż do pasa fala czarnych włosów. Mira potrząsa nimi, sięga po grzebień, nachyla się do przodu, włosy zasłaniają jej twarz, opadają na podłogę, a Mira rozczesuje zaplątania. Potem, przed lustrem, zabiera się do twarzy. I znowu jestem zdumiony. Większość zabarwienia skóry ląduje na serwetkach. Dziewczyna poczernia się, by zagrać ciemniejszą Winę; po swojemu przekracza niebezpiecznie zaminowaną granicę koloru. W rzeczywistości ma skórę ciemnooliwkową, chociaż trudno o pewność przy tak kiepskiej taśmie.

Skończyła. Teraz widzimy w lustrze piękność, może troszeczkę zdzirowatą, raczej Latynoskę niż Hinduskę, młodą samotną matkę, która walczy o przetrwanie w marności miasta i jest naprawdę niepodobna do swego źródła utrzymania, bezpłodnej

Winy, pani Ormusowej Kamy, mojej umarłej miłości. Uświadomienie sobie tego jest jak przebudzenie ze snu.

Po co to robisz? - mówię Ormusowi i próbuję wyliczyć, ilu ludzi trzeba przepłacić tam w mieście, żeby nam tu, na górze, zapewnić seans podglądactwa. To nic dobrego, dodaję.

Popatrz, szepcze Ormus, głuchy na moje skrupuły. Na monitorach widać, jak Mira Celano ściąga kimono. Spod niego wylania się nagie ciało Winy. To Wina o jaśniejszej skórze, niemniej Wina, w najdrobniejszych szczegółach, ciężkość i spadek piersi, zawadiackie zarzucanie biodrem, niezrównany pełny tyłek Winy, ta gęsta nie wygolona kępa. Stoję za Ormusem, wpycham sobie pięść w usta i z całej siły zagryzam. Gdybym jęknął czy westchnął, mógłbym zdradzić tajemnicę, a teraz chcę zachować ją dla siebie jak nigdy.

Ponieważ wróciła, słyszę opętańcze myśli. Ponieważ wstała teraz z grobu.

Ormus wciska kolejne klawisze. Oto Mira Celano idzie sama do domu, popycha wózek z Tarą. Kolejne łomotanie serca, bo poznaję Bowery, Cooper Union, St. Mark's. Właściwie jest moją sąsiadką. Macha do wałęsających się biedadilerów, taszczy wózek po paru schodkach, otwiera drzwi. Wchodząc, coś wykrzykuje, lecz dźwięk nagrał się byle jak i nie rozumiem, o co chodzi.

Poczekaj, mruczy Ormus, a ja pojmuję, że właśnie mówiłem na głos. Po trzydziestu sekundach Ormus demonstruje cud inżynierii dźwiękowej, usuwa tło, aktywizuje funkcje wyolbrzymiające niewyraźne dotąd słowa. W porządku, szepcze, odtwarzamy.

Ho, ho, moi mili, już w domu! Fikmik! To my!

Jeśli tam w środku jest mężczyzna, myślę, jeżeli ona odzywa się do kochanka, a nie do jakichś przyjaciółek, to nie wykluczam, że mogę go zabić.

Rozumiesz, co mówi, odzywa się Ormus, zatrzymuje taśmę na tej ramce i więzi Mirę Celano na progu, w pół fikmika. Mówi, że wraca. Mówi hej, jestem w domu, kochanie.

To szajba, wtrącam, bo znowu przytomnieję. Musisz z tym skończyć. Zupełnie jakbyś ją śledził. Nie, rzeczywiście ją śledzisz.

Ormus nie słucha. Maria Dziewica ma doskakiewicza, który naprawdę wyjeżdża z takimi tekstami, mruczy. Wyobrażasz sobie? Facet co wieczór przychodzi pod próg i obwieszcza przez domofon jak czuły mąż wracający z roboty za dawnych lat. *Hej, słonko, jestem.*

Jasne, mówię i ścieram pot z czoła; tak, wyobrażam sobie, jasne, tym razem ten świr to ty.

Znowu uparte wciskanie guzików. Zdjęcia przez teleobiektyw, Mira Celano w pokoju, drugie piętro domu bez windy, front, zapalone światła przy podniesionych zasłonach. Mira krząta się po domu w fartuszkach nałożonym na stanik do karmienia, dzwoni, wkłada coś do ust, na pewno nie czekoladki ani *nachos*, popija z butelki, na pewno nie evian ani pellegrino, pada na łóżko - ma łóżko z mosiężną ramą! - skacze po kanałach telewizyjnych, ogląda koszykówkę, a może po prostu śni na jawie, błądzi wśród niebieskich migdałów, z głową w gwiazdach tańczy wśród księżyców, tymczasem Tara, gwiazdka, którą trzyma w ramionach, ssie sobie wielce zadowolona. Gdyby nie pokarm, rozmyślam, piersi Miry nie byłyby tak pełne jak Winy. Musiałaby wypychać stanik. Z drugiej strony, Wina też lubiła się gapić na sport, zwłaszcza na kosza, więc i to je łączy. Wina świetnie odróżniała tego swojego Magica od Kareema czy Birda, a kiedy na parkiet trafiło nowe cudowne dziecko, odezwała się do mnie, niemal serio: Przeprowadźmy się wszyscy do Chicago, popatrzymy sobie na Mike'a.

Już jestem pewien: w tamtym pokoju nie ma żadnego mężczyzny. I niezmiernie mnie to cieszy.

Jeszcze: myślę o tej młodej kobiecie, jakby była moją kochanką.

Ormus niespodziewanie wyłącza aparaturę. Mira Celano znika i zaraz mi jej brak, więc pomóż, zrób coś, bo tęsknię. To ta obca, w której intymność się wdzieram: kobieta-nikt z jedynym - co z tego, że tylko chwilowo - ciałem, które kochałem naprawdę. Robię się cikliwy, mówię sobie, to sprawka Ormusa Kamy, tego siwobrodego chłopczyny.

Trzeba ci pomóc, Ormus, zmuszam się do mówienia. Skoro mnie zaprosiłeś, nie mogę cię nie ostrzec. Jeśli odrzucisz pomoc, to góra rok, a będziesz w środku trupem.

Wciąż patrzy w wygasłe monitory. Jeśli to ona, szepcze, to wszystko jest możliwe. Jeśli to ona, to jest też nadzieja.

To nie jest ona, mówię. Niesamowicie podobna, lecz to ktoś inny. To Mira Celano i koniec. Której nie znasz i w której prywatność wdarłeś się, łamiąc prawo. Dwa razy młodsza od Winy, zdolna rodzić. Widziałeś taśmę z tej garderoby. Daj spokój.

Jeśli wybrała taki sposób, cicho odzywa się Ormus, że powraca w cieniu, sekretnie, incognito, stopniowo, powiedz jej, że potrafię to zrozumieć. Powiedz, że

czekam.

Niespodziewane podniecenie wyostrza mi język. Chcesz, żebym wtargnął w życie tej kobiety i powiedział, że co?, nalegam. Że dogorywający narkoman śledzi z wyżyn gwiazdozbioru rocka każdy twój ruch, że chce, żebyś grała rolę jego zmarłej żony nie tylko na scenie za pieniądze, ale przez resztę swego życia w jego łóżku? Czy raczej mam powiedzieć przez resztę jego życia? To chore, Ormus, nie oczekuj tego ode mnie.

Musisz iść, szepcze, po prostu błaga. Tylko ty, nikt inny. Ja nie mogę. Spójrz na mnie. Nie mogę.

Skeedleyooh!, przypominam sobie. *Mc ci do tego, nieee... Mop! Alopadoo!*

Przypuśćmy, że pójdę, mówię, obaj wiemy, że ulegam, bo obaj wiemy, że i ja pragnąłbym teraz poznać Mirę Celano - nawiasem mówiąc, Siej no to zamerykanizowana wersja włoskiego Czelano - przypuśćmy nawet, że pójdę i zaaranżuję to wariackie spotkanie, to, kurwa, po co? Powiedz mi, po co mam iść, co mam zaproponować? Powiedz, o jaki chodzi układ?

Po prostu wróć, szepcze tak cicho, że muszę się nachylić nad splekanymi, odbarwionymi przez narkotyki wargami. Do domu. Wina, kochanie, po prostu wróć.

Nowe lokale to Izwiestja na Bowery, w sumie parę przecznic od Orpheum, gdzie głównie grywa się muzykę transową i ambient techno dla nowych acidowców (LSD jako nazwa to prehistoria), następnie grunge'owy Soundgarten, w zakątku, gdzie stale słyhać głośny zgrzyt pyt, i wreszcie Voodoo Dollhouse w dawnym CBGB na rogu Wschodniej Dziesiątej i Alei A, gdzie wrzące zespoły indie grają dla ostrych posokowców przemysłowych ścigających grubego zwierza. W normalnych warunkach w żadnym z tych lokali nie przeszedłby imitatorski numer ku czci, powiedzmy taka Wina w wydaniu Miry, ale postmodernistyczna spirala ironii coraz szybciej się zacieśnia i tego roku akurat trafia się te pięć minut dla Miry. W Dolls ktoś wpada na pomysł bajecznej imprezy, może się nią okazać wieczór nekromotywiczny - publiczność i wykonawcy zejda się przebrani za ich ukochane zmarłe ikony; coś nadzwyczajnego, oaza kiczu, może nawet obrzęd, święto życia muzyki w czasie, który ludzie przemysłu nazywają rokiem śmierci. Więc rzecz się dzieje w sali Voodoo Dollhouse przekształconej na tę okazję w swoisty neonowy cmentarz, w tętniące rytmami nekropolis; zbliża się przełomowy wieczór w muzycznym życiu Miry Celano, a ja po raz pierwszy zobaczę ją na żywo.

Czekam na Mirę i z musu odsiaduję całą serię produkcji moim zdaniem wartych tylko zapomnienia, jakaś elektro-popłuczyna Beach Boysów obrabiających Monster Mash, grupa zgranych, ale bezdusznych klonów Temptations, rywalizująca z nimi Mama Cass Elliot w kiece jak namiot i z herbatą, nawet jakiś niesłychany, wyprany z wszelkiej ironii Liberace. A potem zjawia się Mira i już w chwili, w której otwiera usta, zmienia się nastrój wieczoru. To już nie tylko wyrefinowany bal kostiumowy. Ludzie słuchają. Jest dobra.

Nie przebrałem się, ale słówko ludzi Ormusa - ściślej, Clei - starcza za zaproszenie. Wolę słuchać przy barze i popijając już trzecią margaritę - tequila to teraz mój prywatny hołd składany pamięci Winy - dziwię się łatwości, z jaką popadam w stare koleiny. Znów jestem posłusznym "braciszkiem" Ormusa, znów gram Joego Cottena na usługach Obywatela Wellesa, odwałam brudną robotę. *Pomóż Ormusowi*. Teraz zjawiam się tutaj, by przedstawić tej nieznannej kobiecie sprawę Ormusa, bo uważam, że może ratuję mu życie.

Z estrady Dollhouse Wina Miry Celano wbija mi w serce nóż za nożem. Zamawiam margarity, by koić ból.

Od sukcesu do karesu. Nie od razu udaje mi się dostać do Miry. Tłum gratulantów, agencyjnych łowców głów, amatorów uwiedzenia. Przyklejam się do ściany wąskiego korytarzyka, naprzeciw drzwi damskiej garderoby, i czekam, aż z fanklubem odpłyną pozostali wykonawcy: Lady Day, Bessie, Judy, Janis, Patsy Cline, Tammi Terrell, Mama Cass i Thornton, przeraźliwie chuda Karen Carpenter i pseudoikona, którą stać tylko na numer "będę twym lustrem"; chcę się dostać bliżej do Miry. Wreszcie przychodzi kolej na mnie, Mira Celano zbiera się do wyjścia. Peruka i ciemna skóra zniknęły, sama Mira ma dość, to widać, lekko pod gazem, jakby zbita z tropu, a mała Tara kompletnie umęczona i roztrzęsiona. Pod jakąś flagą czy nago? - buczy Mira, zbyt wykończona, by silić się na uprzejmości. Nie jestem z branży, odpowiadam, ale byłaś fantastyczna, wprost fantastyczna. (Po margaritach staję się uczuciowy.) Tylko mi nie mów, wzrusza ramionami, że byłeś wielkim fanem Winy, a ona największą sprawą w twym życiu, więc została ci po niej sakramencka dziura w kształcie serca, i tak to szło, aż nagle ja wstrząsnęłam twą duszą. Odwraca się i zapala papierosa, widać w tym jakiś wyuczony i już zużyty cynizm; nie zwraca uwagi na wrzeszczącą dziewczynkę, która zaczyna zrzucać rzeczy na podłogę, w tym przepelnioną szklaną popielniczkę. Brzęk, podłogę zasłały okruchy szkła i niedopałki.

Ale Mira Celano nie zrywa się na równe nogi. Lepiej ci teraz? To się uspokój; zdziwiony rejestruję, że to działa, dziewczynka pada zrezygnowana na leżącą w kącie poduchę, wzdycha, cichnie. Jej matka obraca się ku mnie. Więc o co chodzi, jakieś uwagi? Nie, mówię, nie mam uwag. Kiwa głową, udaje, że uważa, marszczy brwi. Autograf? Nie, mówię, nie chodzi o autograf. O coś ważnego. Zejdź teraz z wyżyn i skup się trochę.

Mówię z naciskiem, spłoszyła się. Zasłania sobą córkę i odpala: Góra dwie minuty i już cię nie ma. Wskazuję palcem na ścianę nad jej ramieniem: naklejona Wina w Tequila usiłuje złapać równowagę. Jestem Raj, mówię, fotograf. Mirze, nie spełnionej dziennikarce po nie skończonych studiach, no i znawczyni spraw Winy, moje nazwisko coś mówi. Rozszerzają jej się oczy i nagle pęka skorupa, to już nie ta ostentacyjnie twarda dupa; to znowu młoda dziewczyna, której coś jeszcze może - i zaczyna - imponować.

Ty jesteś Raj? Więc Raj to ty? Rany boskie, zgadza się. Naprawdę, Raj.

To, co robiłaś dzisiaj, mówię niepotrzebnie, to było moje życie, miłość, kochałem ją, trzymałem w ramionach, a ona zamierzała, chciała, żebyśmy, żebyśmy, no nieważne, wdrapała się do tego helikoptera i już nigdy, już nigdy nikt. Odwróciłem się, a ona przepadła.

Przeepaaaadłaaa. Rozplakałem się w tym momencie, co okropnie mnie peszy. Znowu we łzach! Co o mnie pomyśli, facet przynajmniej dwa razy starszy, który zrobił To Zdjęcie, a teraz ryczy tu jak dziecko, zasłania rękami twarz. Staram się opanować. Szczerze zdumione dziewczynka i matka świdrują mnie oczami. Chcę patrzeć na ciebie, naprawdę mi tego trzeba, wrywa mi się, chociaż słyszę, jak śmiesznie i przedwcześnie to brzmi. Po paru sekundach już wszyscy się śmiejemy, lody pękły, a najgłośniejszemu ze wszystkich śmieje się mała.

W porządku, a ja próbowałam odgadnąć, czy jesteś seryjnym mordercą, czy tylko gwałcicielem, w końcu uznałam, że równy gość z ciebie, mówi Mira Celano i ociera oczy. To co, idziemy?, odprowadzisz mnie do domu?, dzieciak musi się przespać.

Pewnego dnia włączył się za mną starszy facet, opowiada po drodze (a ja popycham wózek, pomarańczowy fotelik ze śpiącą Tarą), który twierdził, że jest - pozwoli pani, że się przedstawię - Ormusem Kamą. Nie do wiary, że łążą nawet za taką jak ja. Co za miasto; no dobrze, dobrze.

Dobrze, mówię. A myślę: niedobrze, niedobrze, sprawy idą nie tak, mam pomóc wielkiemu O, mówić w jego imieniu. Tymczasem czuję odradzanie się pragnień, które zgasły, sądziłem, wraz z Winą: pociągu, pożądania. Ciekawe, że to nie ma już związku z żadnymi podobieństwami, impersonacją, nie. To Mira Celano jako Mira odpowiada za mój zamęt. Jej długie włosy (ich miękkość, w przeciwieństwie do twardych jak druty włosów Winy), sprężystość kroku, uśmiech pełen rozradowania, który zadaje kłam zgrywaniu się na żyłętę; to dziewczyna wciąż w pełni oczekiwań, z mnóstwem nieczęstych zalet na zbyciu.

Dociera do mnie odczucie własnego wieku i zaczyna pętać. Gdybym powiedział, o czym myślę, pewnie by się po prostu roześmiała. Wiadomo, dziadunio sobie marzy.

Mówi o sobie, słucham jednym uchem; mówi szybko, trudno nadążyć, lecz kiedy wreszcie się skupiam i wsłuchuję w wywód, pojmuję, że Mira wciska mi fałszywą wersję siebie, w której widocznie mości się od chwili wydziedziczenia: Ta dzisiejsza wieczorna fucha, mówi, połowa wykonawców jakby z wyższej klasy średniej, typki z prywatnych szkół, wiesz jakie, idą się poszłajać, no to już w pale się nie mieści komuś z planety Białej Hołoty, i w ogóle, prawda?, bo ja mam tatuaże, jestem z subkultury. Takie postnastoletnie babsko, to właśnie ja.

Pora jej uświadomić, że nie kupuję kitu. Mira, mówię, to jest pieprzenie w bambus. Wiem, skąd pochodzisz. I opowiadam krótką wersję tego, co wyczytałem w teczce Orrnusa Kamy. Myślę przez cały czas, że pod pancerzem kryje się istota bardzo krucha. Nie truj jej dupy, Raj. Nie dobieraj się do serca, aż będziesz pewien, że to na serio. Już się dosyć poraniła.

Właśnie skręcamy w jej ulicę. Mira staje jak wryta, wrywa mi z rąk uchwyt, zasłania sobą wózek i rozdziera się na całe gardło. Co to ma, kurwa, znaczyć, czego chcesz, ty w dupę jebany podglądaczu, szpiclu jeden, wydziera się i sięga po torbę niesioną na ramieniu. Ostrzegam cię, że umiem się obchodzić z bronią.

W przestrodze rozlega się warknięcie: z brrrrronią.

Oglądają się ludzie. Nie ustępuję.

Mira, przysłało mnie, żebym z tobą pomówił. A przysłał mnie Ormus Kama, najprawdziwszy. Podobasz mu się na estradzie; no to cię sprawdził, tyle ci mogę powiedzieć, Ormus Kama chce cię poznać, to wszystko. Wszystko.

Uspokaja się, lecz wciąż jest wściekła. Potrafię to zrozumieć. Może wkurzyć, że ktoś tropi to nasze ja, którego z takim trudem chcemy się pozbyć. Jak się ma dwadzieścia lat, może wkurzyć odkrycie, że przeszłość przyłgnęła do człowieka, że

wyskakuje z grobu w najmniej oczekiwanej chwili i wczepia się, cap, w kostkę, cuchnącym, gnijącym pazurem. Mira wciąż na dystans, w postawie świadczącej o najwyższym napięciu, na rozstawionych nogach, z prawą ręką w torebce, lekko wychylona w przód, wyciąga przed siebie lewą rękę z rozczapierzonymi palcami. Jej ciało mówi: Tylko z daleka, sakramencki maniaku. I chce mnie koniecznie przekonać, że ma na podorędziu pistolet.

Podnoszę dłonie jak poddający się kowboj. Nie strzelać do posłańca, mówię niezbyt oryginalnie i wtłaczam uśmiech na twarz.

Od Ormusa Kamy? - wypytuje; wciąż krzyczy. A co on ma za problem? Chodzi o to, co robi ostatnio, że wszedł w ten biznes z wcieleniami? I teraz posyła po sobowtóry? Trochę pizzy, trochę czerwonej Winy, przy okazji trochę *jalapeños*, więc to cię tu sprowadza, uroczą maseczko? Naganiasz towar?

To Nowy Jork, późny wieczór. Nikt się do nas nie zbliża; występ Miry Celano opustoszył ulicę. Jesteśmy teraz sami: my dwoje, śpiące dziecko i publiczność za szybami ciemnych okien.

Ciepło, mówię spokojnie, ciepło, ale nie gorąco. Uspokój się, Mira. To nie chodzi o seks. O coś więcej, bo on umiera, od kiedy odeszła Wina, dobija się ćpaniem i uważam, że pilnie potrzebuje motywu do życia.

Więc o co prosisz? - pyta znacznie spokojniej; jej ciało się rozluźnia, a nastrój zmienia w oczach, Mira bierze rozbrat z gniewem. Naprawdę nie łapię. To co chcesz, żebym zrobiła?

Myśli, że jesteś nią, mówię. Naprawdę myśli, że wróciła. A raczej, powiedzmy, myśli nie naprawdę. Właściwie myśli na w pół, lecz w pełni wierzy, kiedy tak myśli; a kiedy indziej nie wierzy. Rzecz w tym, że chce się ludzić i chce, by inni, jego bliscy, brali te złudy za dobrą monetę; a jeśli weźmiemy - i ty je tak weźmiesz - to może znajdzie powód, by skończyć z ćpaniem i przetrwać. Zrób to dla niego. I idź tam, w kostiumie. Daj mu nadzieję.

Zakrawa to na łóżko, mówi; znów ma się na bacności, ale jest zaintrygowana. Ta kobieta niezmiernie łatwo zmienia klimaty.

Teraz by nawet nie podniósł ręki na konia, mówię, jest za słaby. Widzisz, już dawno temu oddaliliśmy się, Ormus i ja. To misja miłosierdzia. Przysługa, którą przyrzekłem nieżyjącej wspólnej znajomej. Że twarz Ormusa odwrócę od bram śmierci.

Idzie dalej, aż wreszcie stajemy u schodów jej drzwi.

Więc chodzi o przypadek jakiegoś niewiarygodnego samolubstwa, mówi zupełnie nowym tonem; żartobliwie, niemal serdecznie. I przyszedłeś na ten koszmarny show, czekałeś na korytarzu, a potem cały ten czas ze mną poświęciłeś na mówienie w imieniu innego mężczyzny.

Nie, nie jestem świętym, odpowiadam, to nie tak. Czyli że pomaganie Ormusowi to tylko część, ale przecież nigdy bym nie przyszedł, gdyby nie, gdyby nie.

Gdyby nie co? - pyta i zaczyna się uśmiechać, lecz to nie jest uśmiech drwiący, za wiele w nim radości i chęci, żebym głośno powiedział coś, do czego boję się przyznać.

Gdybym sam nie chciał, zdobywam się na kiepski unik.

A co z twoimi pragnieniami, pyta, jaki jest twój przedmiot pożądania? - i podchodzi. Również nekromotywiczny? Pragniesz Winy, ale przecież nie starszawej, czterdziestopięcioletniej damy: pragniesz Winy znowu dwudziestoletniej, prawda? Chcesz, żeby dla ciebie wstała z grobu, ale młodsza?

Może tak było z początku, mówię i zwieszam głowę. Ale teraz to ty, po prostu ty.

Czytałeś Longfellowa? - pyta niespodziewanie, zupełnie zrywa z pozowaniem na tępą białą hołotę; podchodzi tak blisko, że jej oddech wypełnia mi nozdrza. Chyba nie. Ale jest taki jego poemat o milkliwym żołnierzu, Milesie Standishu, który błaga swego przyjaciela, Johna Aldena, by ten się za nim wstawił i w jego imieniu poprosił o rękę panny Priscilli, bo Standish nie wie, że John Alden też ją kocha. No i dobry John Alden idzie, przyjaźń to przyjaźń, tymczasem na pannie Priscilli misja nie robi wrażenia. Pamiętasz?

...I oto przy moim boku pojawia się znienacka duch Johna Mullensa Standisha XII, wyczarowany przez tę cudowną młodą kobietę, i ponagla mnie. Lecz terytorium, na którym się znalazłem, nie ma na żadnej mapie, nie wiem, jak się posuwać, gdzie stawiać stopy. Chodnik się chwieje, ugina. Nie mogę ruszyć...

Dlaczego, John, nie mówisz za siebie? - cicho cytuje Mira Celano. Właśnie tak powiedziała mu dama.

Zgadza się, pamiętam, mówię. (W rzeczywistości pamiętam Winę w łóżku, w trakcie któregoś z nie kończących się monologów, jakiejś ormusjady; opowiada o pierwszym spotkaniu Ormusa z Mullem, w samolocie do Londynu.)

Więc jutro przyjdź tu znowu, Raj, mówi Mira Celano i całuje mnie. Nie bądź posłańcem, lecz mów za siebie.

Nie zabrałem jej jeszcze do Ormusa, za to znam parę jej tajemnic, a ona wszystkie moje. Leżymy, trzymam Mirę w ramionach, czasem Mira mnie; mówię, mówię i mówię, a długość tych słowotoków zależy od zmiennego rozkładu snu Tary. Spostrzegam, że tak opowiadam Mirze o Winie, jak niegdyś Wina mnie o Ormusie. A więc pielęgnujemy w sobie błędy tych, których pokochaliśmy. Także Mirę fotografuję na setki sposobów, wglądam w nią przez to cyklopie oko, a ona oddaje się kamerze otwarcie, z szokującą swobodą. Ale mówi o sobie zwięźle i ostrożnie. Szybko pojmuję, że trzeba uważać, bo mówi o czymś raz i nie godzi się na powtórki. Jeżeli umknie mi jakiś szczegół jej biografii, szeroko otwiera oczy i gromi mnie spojrzeniem istoty zdradzanej. *Więc nie trudziłeś się słuchać.*

Już na początku mówi, że interesuje ją wyłącznie ten najrzadszy z uczuciowych związków kobiety i mężczyzny: całkowite oddanie i bezwzględna wierność, od zaraz. Z miejsca wszystko lub nic, całe serce albo szkoda gadać. To właśnie jest gotowa ofiarować, a jeśli nie potrafię tego odwzajemnić, jeżeli nie wytrwam w tym, i to na długi dystans, to do widzenia, fajnie, że cię poznałam, żadnych uraz, *szczęśliwej drogi.* Jej córka, mówi Mira, zasługuje na odrobinę stabilności, na ciągłość w życiu, a nie procesję nieodpowiednich mężczyzn sunącą przez matczyną sypialnię; i Mira jej to zapewnia, brzmi postscriptum.

W tej mierze biegunowo różni się od Winy.

Im więcej się o niej dowiaduję, tym wyraźniej zaczynam w jej bezkompromisowości dostrzegać heroizm. Wyzbyta lęku odwaga niewiniątek - dziecka, które ufnie pcha rękę w ogień, swawolącego studenta, który posągowi tyrana nakłada na głowę błazeńską czapkę, młodzika w nowym mundurze, który śni o czynach wymagających straceńczej brawury, czy Pięknej w chwili, w której po raz pierwszy daje nura w otchłań miłości - otóż to nie robiło na mnie nigdy wrażenia. Nieostrzelani rekruci werbowani przez życie maszerują nad przepaść i dalej, bo oślepia ich ogrom własnej niewiedzy. Lecz Mira jest odważna mimo doświadczeń, mimo szeroko otwartych oczu, mimo sińców i lęków. Odepchnięta przez ojca i rodzinę, porzucona przez ojca jej dziecka, z otwartymi ranami po zawiedzionych miłościach, mimo to wciąż jest gotowa ryzykować serce. Aspirować do najlepszego, zamiast dać się zastraszyć najgorszemu. Oto brawura.

Bo Mira także straciła kochanka. Także w jej głowie gnieździ się duch, chociaż

Mira bardzo unika zachowań napomykających o stracie, udaje, że nie jest w żałobie. Ojciec Tary, Luis Heinrich, odebrał sobie życie, strzelił sobie w głowę i jeszcze potrzebował całych trzech dni na skonanie; nawet to spaprał, prycha Mira, w jej głosie znów słyhać akcent żyłety. Luis też był muzykiem, niespokojnym duchem, swego czasu frontmanem grunge'owej grupy ze Wschodniego Wybrzeża o nazwie Wallstreet. Nowy Jork podchwytyjący klimaty Seattle: oto, jak się zmieniają czasy. A więc już nie ma zastosowania stara koncepcja peryferiów i centrum, koncepcja muzyki jako biletu z zadupia do wielkomiejskich świąteł. Luis przez całe lata grywał na manhattańskich ulicach i w metrze; późno wystartował, a wykończyło go zbliżanie się sukcesu, aplauz w Soundgarten, nagranie pierwszej płyty, takie historie. Im bliżej było do wydania albumu, tym częściej rozprawiał o samobójstwie. Opowiadałam ci, że lubiliśmy broń, mówi Mira, mieliśmy pistolety, rewolwery, strzelby, pięć czy sześć sztuk, i Luis bardzo o nie dbał. Kiedy zaczęły się tyrady o śmierci, znalazłam kogoś, kto to wszystko zabrał, a wtedy jakiś uliczny *compadre* przyniósł co innego, prawda, że dobre?, i w parę dni później to zrobił, palnął do siebie w holu firmy płytowej, więc podejrzewam, że coś sobie udowodnił, tylko co?

Rrrrrrrrewolwerrrrrrrrry, firrrrrrrrrrrmy, compadrrrrrrre.

Ten wypadek pamiętam jak przez mgłę. W prasie właściwie nie chwycił. Potem Mira podaje mi zdjęcie i oto kojarzę, już go spotkałem. Ta uliczna orkiestra nazywała się Promenadówka. I pamiętam Luisa: przekrwione oczy, kozia bródka, granie na hybrydowym gitarze, wymyśli pod adresem Portiera Shetty”ego, który przepędził chłopaka z Rhodope. *Kiedy będziemy już wielcy, ważniaku, wielcy w trzy dupy, to ja tu jeszcze, kurwa, wrócę i, kurwa, kupię tę jebaną budę.* Co takiego? - pyta Mira. Nic, odpowiadam, po prostu słyszałem o tej śmierci, ale nie wiedziałem o nim i tobie, że to był ojciec Tary; więc ona się nazywa Tara Heinrich, tak?

Nie, tym zaprzeczeniem Mira aż kąsa, jej wargi w gniewie bieleją i przemieniają się w kreski. Tara Celano, i żebyś o tym, kurwa, pamiętał, pierdolę tego gada Luisa razem z tym, kurwa, łacińskoteutońskim nazwiskiem. Teraz jest w klubie dupków, z Delem Shannonem, Gramem Parsonsem, Johnnym Ace'em i Śpiewającą Zakonnica. A ja jestem tą z rodzicielskiej pary, która została z dzieckiem.

Po jego śmierci rozkleiła się na pewien czas, brała wszystkie prochy tej ziemi, raz już płukali jej żołądek, więc, mówi, wiem, jak się czuje Ormus, już przerabiałam, niemal wsiąklam. W karetce dwaj pielęgniarze zagrali dobrego i złego; pierwszy leciał tekstem *no kochanie nie śpij dziecko potrafisz popatrz na siebie jesteś dużą*

fantastyczną dziewczynką nie zasypiaj laleczko chcemy dziecko żebyś żyła potrzebujemy cię no zrób to dla mnie kruszynko tonem z jakiejś świńskiej linii telefonicznej, opowiada Mira, a drugi warczał żeby cię kurwa pokręciło ty pizdo głupia śmieciu jeden mamy się tobą kurwa zajmować a w mieście pełno chorych trafionych pełno ludzi którzy naprawdę oberwali i my musimy jechać do ciebie opiekować się pindą która nic poza sobą nie widzi to już lepiej cię stąd wywalić wprost na ulicę i zdychaj. To on mnie uratował, ten zły, wyznaje Mira. Przez cały czas myślałam o rany, przeżyję i lunę w pysk sukinsyna choćbym miała po tym paść trupem.

Już po płukaniu żołądka zorientowała się, że jest w ciąży, potem było to wydziedziczenie i tak dalej, w sumie dupnięcie do kwadratu, ale tym razem już się nie załamała, tylko poszła do pracy. Nigdy mnie nie widziałeś w roli Winy Ciężarnej, mówi i nagle zaczyna się dziko śmiać. Człowieku, historia nie z tej ziemi.

Niewiele mówi o rodzinie. Częstoje podstawowymi wiadomościami, lecz potem wciąż się z tego robi temat zakazany. Ale pamiętam, jak długo Wina chowała dla siebie te historie z paskudnego dzieciństwa w Chickaboom, więc chcę powiedzieć Mirze, słuchaj, złotko, nawet nie wiesz, jak teraz przypominasz Winę, ale już czuję, że to kiepsko wypadnie. Odkąd zaczęliśmy ze sobą sypiać, odróżnianie od poprzedniczki stało się dla niej ważne. Wylicza wszystkie rzeczy, które lubiła Wina, a których sama nie znosi. *Nie cierpię Tolkiena, wiesz?, i tego pierdolonego "Dalekiego Drzewa", już dawno je powinni porąbać, no i naprawdę nie znoszę wegetarian, jestem kobietą spragnioną miecha, dajcie mi miecha.* Słucham jej i muszę się nieźle namęczyć nad spędzeniem z twarzy uśmiechu, bo mówi dokładnie tym tonem co Wina na plaży Dżuhu, kiedy nienawidziła Indii jak wszyscy diabli, a jeszcze nie odkryła ich zalet, w tym Ormusa Kamy i mnie.

Pewnego dnia Mira zaczyna opowiadać o muzyce religijnej. Wprawdzie praprzodkowie ojca pochodzili z Asyżu, nie byli jednak, jak się zdaje, bezwzględni pacyfistami na modłę świętego Franciszka. Praszczur Tomaso di Celano (zmarł około roku 1255) prawdopodobnie był pierwszym, mówi Mira, biografem świętego, lecz także skomponował jeden z wielkich bombastycznych hymnów apokaliptycznych, mianowicie *Dres irae*. Niewiele tam miłości, pokoju i zwierząt, zauważam. Gdzie jest niezgoda, możemy wnieść harmonię, oto świętofranciszkowa postawa, jeśli pamiętam, lecz najwyraźniej tego Tomaso di Celano znacznie mniej obchodziła boża

miłość, a bardziej gniew boży. Moje zaczepki Mira puszcza mimo uszu. Mogę cały kawałek wyrecytować z pamięci po łacinie, mówi z dumą, a ja rzecz jasna, przystaję. Tak to jest z nową miłością.

*Rex tremendae maiestatis
qui salvandos salvas gratis,
salva me, fons pietatis.*

Fragment kończy się finansowo znamiennej chwalbą kierowaną do króla tronu straszliwego*,[* Odniesienia do *Dies irae* i cytaty według przekładu Stanisława Grochowskiego.] który godnych zbawienia zbawi *gratis*, z łaski. Oczy Miry lśnią. Cały świat odczuwa teraz potrzebę większej duchowości, ogłasza; pewnie na skutek tych wszystkich trzęsień ziemi, katastrof, poczucia końca ludzie szukają znaczenia, rozumiesz, o co mi chodzi?

Ujmij to tak, ironizuję, że widocznie istnieje wyższa miłość. (I zastanawiam się: chyba nie zedrze z twarzy jakiejś maski, nie przeistoczy się we wczesną Ifredis Wing.)

Otóż to, mówi, wręcz doskonale mijając się z sensem mojej uwagi - ludzie zupełnie nie radzą sobie z ironią - i staje się nagle promienną, arcygorącą dwudziestolatką, właśnie, otóż to, powtarza, a słyszałeś te kawałki? Na przykład muzykę sufich, chyba azerską albo uzbecką, nie wiem, może marokańską, nie jestem *au courant* w sprawach wiar, jasne?, ale coś niesamowitego. Zresztą nie tylko ta suficka, bo różnych muzyk jest więcej i one teraz przekraczają granice, muzyka globalna, bębny Jorubów, stare pieśni Żydów wypędzonych z Hiszpanii, te perskoirackie koncerty makama, w których się odwołują do mistycznych wierszy, sintoistyczne bębny, gospel, zaśpiewy buddyjskie, a może znasz te kawałki Arvo Parta, to coś w rodzaju minimal music w zderzeniu z New Age? Słyszałeś Fatty'ego Ahmeda, tego, co grywa z Rubym Goo?

Jasne, że coś się o nim słyszało, mówię i teraz śmieję się na głos. Umarł, ważąc bez mała dwieście kilogramów; to zła wiadomość dla świty wydrwigroszy wyciągających łapska po każdego dolara, którego uda się zgarnąć, kiedy ten naiwny, niczego nieświadomy nieszczęśnik siedział i śpiewał nabożne pieśni w Hollywood Bowl, jak pajak omotany własną siecią. Z religijną muzyką wszystko gra. Co w tym śmiesznego? - chce wiedzieć Mira. Ludzie naprawdę tego potrzebują, cudu i bezpieczeństwa, jakiejś idei, która mówi, że jest coś poza nami, coś większego, coś więcej. Medytowanie, celebrowanie, suplikowanie to jest... no kurwa, Raj, z czego się

śmiejesz?

Nie, nie, wszystko w porządku, uspokajam. Nie chciałem, to tylko nostalgia. Znałem kogoś, kto mówił właśnie w ten sposób.

Oż, w dupę, syczy Mira. To moi krewniacy już się tym zajmowali w cholernym trzynastym wieku, ale ona, zdaje się, jak zawsze była pierwsza.

Oto mój taras na dachu, na nim siedemnastomiesięczna Tara, w futrzanej różowej kurteczce lotniczej i cytrynowych rajtuzach, przygląda się budynkom World Trade Center, Chryslera i podśpiewuje, a tekst, jak przypuszczam, brzmi w wolnym tłumaczeniu *Da Du Ron Ron*. Tymczasem Mira wyleguje się na macie, pali i najwyraźniej w ogóle nie zwraca uwagi na małą. Korzystając z pełni swobody, Tara dorasta jako szczególna kombinacja dwóch osób, przedwcześnie dorosłej i cudem ocalałej. Z jednej strony potrafi teraz bez skargi czekać za kulisami podczas matczynych występów; może w tym czasie zatańczyć twista, stompa, watusi, nawet deptanie kapusty, zagrać autostopowicza i auto, a jeśli człowiek nie wie, to Tara pokaże, jak chodzi pies; nie ma mowy, nie zgubi się w damskich garderobach ani na zapleczu dziesiątków manhattańskich klubów i barów, tych klimatyzowanych i tych zdrowych inaczej. A z drugiej strony, wybiera kamyczki z wysypanych żwirem donic z kaktusami i próbuje połknąć. Elektryczne gniazdko w moim mieszkaniu przyciągają ją jak magnes. Mam wrażenie, że dziesiątki razy dziennie ratuję jej życie, ale skoro zdołała już tyle przeżyć beze mnie, to może Mira jej dogląda i tylko udaje, że puszcza małą samopas. W każdym razie wolę tak myśleć, wciąż sprawdzając, czy Tara zdołała się już wspiąć na murek okalający taras i złożyć do skoku jaskółką, skutkującego przedwczesnym zgonem tam w dole, na Piątej Wschodniej.

Ciekawe, że już nie wraca temat duchowy. Mira wszystko pojmuje w lot i widać zrozumiała dwie dotyczące mnie rzeczy: po pierwsze, kiepsko reaguję na tego typu wywody, po drugie, to trakt wiodący wstecz do Winy, z której cieniem Mira pierwszy raz w krótkim życiu zaczyna żdziebko rywalizować. Więc nie wiadomo, czy Mira jest rzeczywiście religijna czy w grę wchodzi tylko pozostałości katolicyzmu zmieszane z resztką nastoletniej mistyki. A może, bądźmy sprawiedliwi, Mira zwyczajnie traktuje muzykę sakralną jako coś użytkowego, więc po co być, jak powiada, *au courant*; to tylko sposób na ludzi, żeby słuchali; skład, w którym można sobie pomyszkować, jak Picasso w afrykańskich złożach wizji, jak imperia Zachodu przetrząsające kiedyś cały świat.

Więc tak się odczuwa lukę międzypokoleniową, myślę. W pewnej mierze już nie rozumiem, jak funkcjonuje tak młody i świeży umysł. Po prostu.

A w sprawie rrrrrrewolwerrrrrrów skonstruowałem prywatną teorię. Mam wrażenie, że broń wiąże się jakoś z tatuażami (motyl na kostce, mały smok pod lewą łopatką), z kurrrrrewskimi ciuchami, ekshibicjonizmem (choć wciąż upominam, ani myśli opuszczać zasłon, kiedy półnaga paraduje po domu), krótko mówiąc, wiąże się z tym odgrywaniem wyrzutka społeczeństwa. To bunt klasowy, sposób określenia się wobec tych, którzy ją odtrącili. Pukawki to pantomima. Sprawdzam torebkę Miry i owszem, znajduję negocjatora, małego giulianiego&kocha, kaliber .09 mm, lecz broń jest nie nabita, a nabożów w torebce nie ma. Dla Miry miasto to teatr; a pistolet to rekwizyt.

Rano przed spotkaniem z Ormusem Mira denerwuje się jak nastolatka przed pierwszą randką. Natomiast Tara jest zupełnie wyluzowana, jeśli pominąć, że z upodobaniem zawiadamia każdego, kto się nawinie: Idziemy oglądać starego! Na śniadaniu zjawia się Johnny Chow, a mała wykrzykuje nowinę. Ho, ho, ale mówca, uśmiecha się Chów i wgryza w jagodziankę. Uważaj, dziecko, nic ci tak nie napędzi kłopotów jak własny język. Potem z sypialni wychodzi Mira ucharakteryzowana na Winę i Chów się dławi. Muszę go parę razy wyrznąć w plecy, wreszcie udaje mu się ochłonać, łapie oddech, wyciera oczy i zwraca się do Tary: Rozumiesz, o co mi chodzi?

A Mirę częstuje zachwytaami: Raj mówił, że jesteś dobra, ale tego się, kurwa, nie spodziewałem, ani mi się śniło. Bomba. I śpiewasz jak ona; jak jasny szlag! Muszę powiedzieć, że zwalasz z nóg. Sani cud.

Wychodzi, potrząsa głową, wciąż jeszcze kaszle. Mira niepewnie się uśmiecha i wykrzykuje: Hej, chyba nie roztrąbisz dobrej nowiny na cały dom.

W taksówce do Rhodope - Ormus proponował Willa Singha i wóz, ale uznałem, że lepiej jechać niezawisłe - Mira sprawdza ormuspis. Biografia, dyskografia, wpływy, czułe punkty, czyli dzwonięcie w uszach, skazujące Ormusa na występy w szklanym pudle. Zdaje się, że w codziennym życiu niezbyt mu to przeszkadza, mówię. Pamiętam, jak filtrował dźwięk tej kręconej z ukrycia taśmy, kiedy wreszcie usłyszałem głos Miry. Nawet z gnieźdzącymi się w uszach trzaskami i gwizdem służył na tyle dobrze, by pracować za stołem mikserskim. Chryste, nagle nachodzi mnie myśl, chyba nie zwariował i nie pokaże jej tych taśm. Kto wie? Jeżeli Mira zobaczy siebie na tych trzystu ekranach, to wymaszeruje z życia Ormusa i mojego, nigdy nie

wróci, i trudno by ją winić.

Więc ja też jestem zdenerwowany.

Jego żyłka heterotopiczna, te wypadki w odmienne, alternatywne rzeczywistości na równi przyciągają ją i trwożą. Wychowała się na piosenkach Ormusa, na zwiastowaniach innoświata, lecz nie dogadza jej myśl, że może to być miejsce zaledwie inne, a nie lepsze; zaledwie taka wariacja, która szwankuje; a już zupełnie odstręcza Mirę myśl, że innoświat przepadł, a Ormusowa opaska na oko stała się niepotrzebna. Zwięźle opowiedziałem jej też o Gajomarcie, bądź co bądź oryginalnym heterotopicznym odkryciu Ormusa. Gajomart i piosenki z przyszłości. Ucieczka Gajomarta z głowy Ormusa podczas wypadku samochodowego, dawno temu. Ormusowe posądzenia, że Wina spędziła ostatnie chwile właśnie z Gajo i może spędza z nim też czas w otchłani. Wciąż trudno mi o tym rozprawiać bezstronnie, uchylać się od ocen, ale Mira jest zafascynowana. Lubię posłuchać dobrej historii z bliźniakami, mówi. Bo dotyczy tych innych połączeń mózgu; bo właściwie nie mamy pojęcia o swoich różnych zatamowanych możliwościach, o własnych mocach, nie? A ten facet rzeczywiście przetrząsnął swoją ciemną połąć. Zdumiewające, Raj, co?

Chyba świetnie się dogadacie, mówię. (Czuję, że jestem nie tylko podminowany, ale i przykry; to słycać.)

Zazdrosny? - pyta zachwycona. Myślałam, że jest stary, z zabzykanymi uszami, że we łbie ma pojebane. Co to za rywal? A ty jesteś zazdrosny, mówi, trąca mnie w ramię i śmieje się od ucha do ucha. Rozluźnia się.

Z zabzykanymi uszami, odzywa się z kąta taksówki mała Tara. Pojebanymi.

Clea czeka w holu Rhodope, w tych grubych okularach; przypomina do złudzenia maleńką panią Mole w sari. Na widok Miry wzdycha: Och, dzięki Bogu, proszę pani! I ledwie widocznie dygoce, jakby dokonywała nadludzkiego wysiłku, by okiełznać uczucia, potem odwraca się do Tary, którą wita, jakby były starymi kumpelkami, przybija piątkę z góry, z dołu i natychmiast zawłaszcza staro-młode serce małej. W windzie (z głośników płynie muzyka VTO) są pochłonięte sobą, a ja wpatruję się w lustro. Nie jest najgorzej, lecz obok Miry wyglądam na kwintesencję wapniaka. Nawet wyrażam się jak filister. A Ormus, przypuszczam, przy całym obecnym zgrzybieniu wciąż ma ten luz. Uznałbym go raczej za hippisa drugiego naparu niż za oryginał, lecz co innego widzi dwudziestoletnia dziewczyna, której właśnie dane jest wstąpić w niedostępność, w sanctum jednego ze świętych potworów rocka.

Ormus wygląda nas przy windzie, widać, że niecierpliwie; kruchy, w białym japońskim stroju karateki, wsparty na ramieniu Willa Singha wpatruje się w Mirę i wpija palce w ciało Willa; to musi boleć, ale Will stoi nieporuszony; spokój to mocna strona dużych mężczyzn.

Tak, mówi Ormus Kama. Załedwie jedno słowo. Przypatrują się sobie w milczeniu, a trwa to wieczność: piętnaście sekund, dziesięć lat, coś koło tego. Nie bez satysfakcji rejestruję wyraz jej twarzy: coś w rodzaju maskowanego niedowierzania. Jakby zobaczyła ducha, jakby w Ormusie - zrujnowanej istocie, która kiedyś była samym Ormusem Kamą - rozpoznała upiora powracającego spomiędzy zmarłych. Tak zresztą, sądzę, ma wyglądać jej rola w dzisiejszym skromnym przedstawieniu. Proszę, mówi Ormus i, wciąż z pomocą Singha, prowadzi ją do białej koncertowej yamały. Po paru krokach Mira dotyka barku Willa. Jeżeli można, ja to zrobię, mówi i podaje Ormusowi młode ramię. W oczach Ormusa lśni podniecenie; przytakuje, znów idą, Will zamyka pochód. Tara ujęła dłoń Clei. Na chwilę wszyscy milkną.

Jesteśmy już przy fortepianie, Ormus siada i zaczyna grać powolny, natarczywy temat gospel. Przy nim Mira, stoi trochę cofnięta. A reszta grupki czeka zakłopotana, czujemy się jak intruzi. Przez parę minut Mira nic, po prostu pozwala mu grać, a muzyce wnikać w ciało; przymyka oczy, kołysze się. Ręka Miry przysiadła na barku Ormusa i nie odfruwa, ba, nawet przemierza po tym barku parę centymetrów i oto czubki jej palców muskają Ormusowy kark. Fala gorąca przetacza mi się przez twarz, ale nic, nie mieszam się.

A potem Mira śpiewa, całe to pomieszczenie wypełnia zdumiewająco mocny głos o kolosalnej skali, od głębin wielkiej rzeki po szczyty górskie. Głos Winy. Ormus Kama to słyszy i musi przerwać, bo zaczynają mu się trząść palce; ale śpiew Miry rozbrzmiewa dalej, jest jak promień słońca w zrujnowanym kościele.

Wyprowadź mnie ku światłu, śpiewa, och, prowadź, gdzie twój dzień. W bezkresnej nocy, wśród mroźnych wichrów chcę mieć nadziei cień. Pokaż mi drogę, proszę, najmilszy, bo jeśli nie ty, to kto? Choć pragnę blasku, utknę w tym mroku na zawsze, gdzie trwoga i zło.

Stary kawałek ze złotej serii VTO, zew zagubionej duszy, przywoływanie kochanka; lecz teraz to Mira wyprowadza Ormusa z mroków, ratuje z otchłani. To jego, tkwiącego w przepastnym lochu wyzwala jej głos.

Ręce Ormusa znowu na klawiaturze, tempo rośnie, głos Miry wzbija się w radosnej odpowiedzi. Teraz Clea i Tara klaszczą. Dołącza do nich nawet Will

Kamienna Twarz. A ja? Nie klaszczę. Nie jestem muzykalny.

Później, podczas kolacji w domu, kiedy w moim łóżku w najlepsze śpi Tara, patrzę na Mirę nad fettuccine i chianti, nad stołem, który sam nakryłem, i widzę kogoś obcego: twardą, wyzbytą złudzeń młodą kobietę, na tyle jeszcze złańcioną życia, że jest gotowa na oczach kochanka flirtować z innym mężczyzną, byle nie przepuścić wielkiej okazji. Kobietę, która wciąż nie wie, czy było to najważniejsze spotkanie w jej karierze muzycznej; może tak, może nie. Może się właśnie otwiera przed nią przyszłość, a może były to tylko niepoczytalne fantazje, które ulotnią się rankiem bez śladu. Nie wątpię, że wyobraża sobie przyszłość, nic na to nie poradzi, że staje jej przed oczami odrodzenie jednej z legendarnych kapel, w której zajmie puste miejsce po Winie.

Niech cię zbytnio nie ponosi, wrywa mi się. Widziałas, jak wygląda. Może odstawi, może nie. Szansę są takie sobie, sama wiesz, nałóg, jak dorwie, może nie popuścić. W każdym razie jeszcze daleko od tego, co dziś, do imprez na stadionach.

Posłuchałbyś, cholera, sam siebie, mówi i zgrzyta zębami. To ty mnie wrobiłeś w tę historię, o ile pamiętam. I chyba ty powiedziałeś, żeby mu o nas nie wspominać. *Pomóż Ormusowi*, to jasne, ale po co pomagać Mirze, po co się nią przejmować.

Nie wiem, co odrzec. Po prostu siedzę i jem.

Nie ufasz mi, w tym rzecz, atakuje Mira. Nie wierzysz, że dotrzymuję przyrzeczeń. Masz mnie za kurwę.

Nie, mówię po długiej pauzie, w porządku, naprawdę ci ufam. Naprawdę.

Naprawdę jest tak, że ufam tej nieprzewidywalności jej uczucia. Chciałbym na jej miłości polegać ślepo, lecz wciąż pamiętam, że stanowczo nie doceniłem atutów Ormusa Kamy. Jego muzyka, status legendy, wreszcie, tak jest, wygląd. Tu Mira nie ma wątpliwości. Ślepy jesteś, mówi, to bardzo piękny mężczyzna. Te oczy, ten cichy, łagodny głos, takiemu, kurwa, trudno by się oprzeć. Jasne, rąbnęło go, i to jak, ale ty chyba nie uważasz, że przez to jest mniej pociągający.

Co powiesz o jego wieku? - staram się, żeby mój głos brzmiał beztrósco. Wspomnienia z dzieciństwa tego faceta to lata czterdzieste, druga wojna światowa, *White Christmas*, konwulsje Podziąłu, *New Look*, *Oklahoma*. Za tym przepada dzisiejsza młodzież?

To jego muszla, klosz nad płomieniem, zbywa mnie Mira machnięciem ręki.

Wciąż młody duchem i płomienny; to się liczy. Młody duchem jak ty, dodaje na pocieszenie, przechodzi na moją stronę stołu i dopowiada pees. Twoją muszlę też lubię.

W nocy, długo po zaniesieniu Tary do sąsiedniego pokoju, kiedy obie już śpią, wpatruję się w sufit i zastanawiam nad zmiennymi kolejami losu. Z Winą zawsze byłem tym kochankiem potajemnym, facetem, który wchodzi tylnymi drzwiami. Dzisiaj Mira i ja jesteśmy razem i kochamy się, no cóż, podobnie; lecz teraz to ja muszę się gryźć jej potajemnościami z Ormusem. Bo znowu rywalizujemy, Ormus i ja, w tej mierze Mira już weszła w skórę Winy. A chociaż w tym nowym trójkącie energie przepływają na odwrót, to pewne rzeczy się nie zmieniły: znowu problemem jest zaufanie; Ormus Kama znowu nic nie wie o moim prawdziwym znaczeniu w historii jego życia.

Taśmy wideo, ów rezultat szpiegowania, to tajemnica, którą Ormus i ja ukrywamy przed Mirą; i musimy ją ukryć na zawsze. To zaś, że zostaliśmy kochankami, Mira i ja zachowujemy w tajemnicy przed Ormusem. Tę tajemnicę wolałbym rozgłosić, na co jednak w żadnym wypadku nie mogę sobie pozwolić, z uwagi na kobietę, którą kocham: straszliwie lękam się odwetu. A jeśli chodzi o Ormusa i Mirę, to ich potajemnym językiem jest muzyka, poprzez nią mogą ze sobą obcować i ani się potrudzą coś tłumaczyć.

Oto ostatnie zdjęcie z mojego foto-zestawu poświęconego Winie. Siedzę na krześle, a na kolanach trzymam okrągłe lustro. Odbija się w nim lustro prostokątne, z odbiciem Winy Apsary. Nie, nie Winy, ale największej z nie-Win. To Mira Celano, moja nowa udreka, moja miłość.

Mira, Mira, powiedz przecie, kto uczciwszy na tym świecie?

W czwartą rocznicę śmierci Winy Mo Mallick ściąga do Kolchidy prasę (jego uśmiech można porównać do podniosłego akordu otwierającego nowy stuprocentowy przebój); oznajmia bliskie już wyłonienie się Ormusa Kamy z przejściowego niebytu i ponowny wzlot supergrupy VTO na trajektorię. Słowem, druga faza w następującym składzie. Na gitarze rytmicznej zamiast Simone Bath zagra wschodząca ikona gejów lii dagover, która nalega, by pisywać jej nazwisko małymi literami; nosi męskie garnitury, monokl, strzyże się na Louise Brooks, a jej gra jest jak sen ekspresjonisty. (Sama Bath, rozgoryczona dawną napaścią Winy na jej kwalifikacje, grozi, że zaskarży Ormusa o nadużycie nazwy VTO; posunięcie, którym nikt się nie przejmuje i które

kończy się niczym.) Jak dawniej frontmanem supergrupy będzie Ormus Kama, wokół i gitara prowadząca, kończy Mo Mallick, a w roli prowadzącej wokalistki będę miał zaszczyt przedstawić nową śpiewającą sensację, Mirę Celano, niebywałe objawienie, najbliższe naszej ukochanej Winy.

Z większym hukiem nie ogłoszono by, że skrzyknęli się znów Beatlesi. Sprzedaż nagrań z dawnego katalogu VTO wciąż przebijała wyroby większości kapel, a klasyczny *Quakershaker*, wydany na nowo jako kompakt, z dołożoną ekstra, odświeżoną *wersją Pod jej stopami*, nie wypadł z pierwszej trójki na liście "Billboardu" od dnia śmierci Winy. Pozyskanie dagover spotyka się z ogólną aprobatą, jako dowód zrozumienia, że kapela musi iść z duchem czasu, brylantowa lii wnosi nadzwyczajne *resume*; mając siedemnaście lat, kręciła z tajemniczymi facetami z Kraftwerku i wymyślała muzykę dla wyłącznie kobiecej japońsko-zachodniej mieszanej kompanii tanecznej Takarazuka - w której połowa kobiet przebierała się za mężczyzn - czczona przez całe zastępy fanek; lii bezustannie szła naprzód. Wysoko ceniona przez producenckich guru, bo całkiem inna niż Glimmer Twins, niż Mutt Lange i niż ta Toni C. z paczki didżeja Jellybeana, zarazem producentka Whitney i Debbie H. W ciągu roku czy dwóch kapela VTO powinna wywindować dagover do ścisłej czołówki; słowem, zręczne posunięcie dla niej i dla zespołu.

Natomiast Mirę Celano wciąż trzyma się w ukryciu - żadnych wywiadów, zdjęć, taśm - niezbyt popularna strategia. Zawsze mawiano, że VTO to Ormus, Wina i kto bądź; otóż okoliczności wycofania się Ormusa są dobrze znane, dojście do formy nie takie pewne, a co do Miry, to musiałaby bezapelacyjnie udowodnić, że zasługuje na miejsce wielkiej Winy, co na razie wydaje się mało prawdopodobne. Jej osoba stanowi temat ożywionych, zresztą sceptycznych spekulacji, a kiedy wychodzi na jaw, że zaczynała w roli podrzędnej niby-Winy, nastroje się psują. Rodzeństwo Sangria jak zwykle przypuszcza atak, oskarżając Ormusa o wandalizm w odniesieniu do własnej legendy, zamienianie nazwy VTO w kiepski dowcip, a kapeli w jakiś park tematyczny, ściślej: autotematyczny. (Natomiast nie słyhać frankofońskich bombastyczności Remy'ego Auxerre'a. Zmarł na Chorobę i grzecznie leży. Nie ma już Remy'ego, a jego okazjonalny kochanek, mój przyjaciel Aime-Cesaire Basquiat, jest Chory.)

Tymczasem operacja VTO przenosi się na teren zamknięty, do odległego, nie używanego hangaru na lotnisku w hrabstwie Nassau; tkwimy tam za parawojkowym kordonem ochronnym. To także pewien współczesny rys muzyki rockowej: zbliżenie się do skali i precyzji operacji militarnych w celu nie poważniejszym niż gibanie się i

rock'n'roll. Dawno temu taki Jerry Apple z gitarą mógł się zjawić na zapleczu na pięć minut przed rozpoczęciem koncertu, skasować od menago te swoje dziesięć tysięcy baksów gotówką i wyjść na estradę, ledwie rzuciwszy okiem na lokalną kapełę, mającą mu towarzyszyć. Jeżeli któryś z jej członków ośmielił się zapytać o program, w najlepszym razie mógł usłyszeć: Tu się dziś zagra, synu, parę piosenek Jerry'ego Apple'a. Teraz wszystko wygląda inaczej. Ci prehistoryczni faceci sunący przez estradę kaczym kroczeniem byli jak wędrowni druciarze. A dziś muzycy robią w przemyśle.

Oto sekwencery, syntetyzery, samplery: fairlighty, synclaviery. I artyści, którzy się głowią, jak wpleść swą muzykę w te zwoje, jak ją ułożyć na materacach dźwiękowych zaawansowanej technologii, po których rozhasają się podczas występu. To zwłaszcza, co się teraz dzieje między Ormusem i lii dagover, to prawdziwa muzyczna komunia dusz; uwagi o rzeczach niepojętych wymieniają z technokapłanem nazwiskiem Eno Barber. (Tak, Eno z Radia Freddie; jest teraz niekwestionowanym królem obwodów, carem struktur, Królem Uchem. Nasze żywoty spinają się i rozpinają, idziemy dalej, a potem znów kontaktujemy na stykach, i znów nie. Taki jest odczuwalny kształt ludzkiego życia, ani to prosta linearność, ani zupełne rozczłonkowanie, ani wreszcie niezliczone rozstaje; raczej sekwencyjność podobna do zabawy na sprężystych materacach: to się zderzamy, to odpadamy.) Ormus ściągnął Eno do pracy przy nowym programie i wydawaniu towarzyszącego albumu, stąd mnóstwo tych narad. Mira ich nie cierpi. Jako piosenkarka w zasadzie nie ma prawa wstępu do wielce prywatnego klubu instrumentalistów. Nie ma dostępu do tej strony Ormusa; gdy widzi Ormusa z dagover, czuje się jak ja, gdy widzę ją z Ormusem.

Dziś Mira jest podminowana, niepewna, nie może spokojnie usiedzieć, dwa kroki tam, dwa z powrotem, plaskanie dłońmi, strzelanie palcami; mówi za szybko, a oczy ukrywa za czarnymi jak noc, goglokształtnymi okularami słonecznymi. Tara pod opieką Clei zażywa prywatności w cieniu ruchomego domu Miry. Mądre dziecko już wie, że jeśli mama jest w takim nastroju, najlepiej trzymać się z daleka. A ja wciąż nie dorastam do tej mądrości. Siedzę i samą obecnością próbuje jej dodać pewności siebie, przyjmować na siebie napaści, kiedy Mira chce się wykrzyczeć. Jestem tu żoną.

Mira monologuje; w takim stanie, trudno, trzeba przeczekać solówkę. O rozstrój przyprawiły ją niezyczliwe domysły mediów; decyzja, by się dać zamknąć na cztery spusty i unikać przedwczesnej prezentacji, ciąży dotkliwiej, niż przypuszczała. Niełatwo stać z założonymi rękami, kiedy tropem człowieka rusza połowa krajowego miotu dziennikarzy; niełatwo trzymać głowę na kłódkę, gdy mówią rzeczy okrutne i

chce się walczyć o grunt pod nogami. Ale Mallick przestrzegał, jeśli cię teraz przedstawimy, to tylko pokażemy im cel, zanim będziemy gotowi do odparcia ognia. Jak już się znajdziesz na scenie, to zamkniesz im mordę, więc czekaj, proszę cię, czekaj. Mallicka wspierał Ormus, w końcu dwaj zawodowcy, więc się zgodziła, lecz dręczą ją wątpliwości, czuje, że już nie powinna się pokazywać na scenie w kostiumach Winy, czuje się w tym wcieleniu jak w klatce, chce być sobą.

Sam powiedz, to nie Wina obudziła go tym razem ze śpiączki, warczy, to ja, Mira, wyciągnęłam go spomiędzy martwych, ja wylałam na zbity pysk tego szarlatana lekarza, któremu z gęby jedzie cebulą, a który chciał się do mnie dobierać, kiedy mu pokazałam drzwi; to ja go posłałam na odwyk z tymi wszystkimi facetami o krzywych zębach i błędnych oczach, a potem dopilnowałam, żeby przeszedł ten program i zaliczył *summa cum, kurwa, laude*. Jeżeli czegoś potrzebował, w środku nocy dzwonił po mnie i małą, a ja wstawałam i zjawiałam się u niego, i to za każdym razem, w porządku, przynajmniej przed pierwszą w nocy, sześć razy na tydzień, to znaczy nie w środku nocy, kiedy byliśmy razem i kiedy, słuchaj, wiesz, o czym mówię, zostawiałam dziecko pod twoją opieką, w porządku, twoją albo kogoś do doglądania, czasem też Clei Singh, kiedy ją przysłał, ale, cholera jasna, nikt go częściej nie doglądał niż ja, wchodziłam w te jego wszystkie porabane gry, pozwalałam, żeby poprzez mnie przytrzymał się Winy, póki nie znajdzie dość siły, żeby stanąć na nogach, i popatrz teraz na niego, jak nowo narodzony, w porządku, brawo, chwała mu, a zawdzięcza to mnie, już może ode mnie odebrać swoją blaszkę i czas, żeby mnie zwolnił. Wyciągnęłam go, ale to nie znaczy, że mam się dać za niego usmażyć. Te brednie z Winą to błąd, tylko że mnie tu nikt nie słucha, a kiedy włączą reflektory, ja pierwsza jestem do odstrzału.

W tej sytuacji nie wywlekam, że i ja osuwam się teraz w piekło. Im dalej posuwają się próby, tym dalej nam do siebie, im bardziej Mira nie cierpi lii dagover, tym bezczelniej lgnie do Ormusa. Wciąż odkrywam, że dla pragmatyzmu Miry niewiele istnieje granic. Oto jej motto: *Skoro się sprawdza*. Wciąż rozmyślam o drzwiach jej sypialni. Czy są nienaruszalną granicą? Czy też Mira ją przekroczy, skoro to się sprawdzi?

(Zaufaj. Nie wierzysz mi?)

(Tak, kochanie, wierzę ci, dziecko, naprawdę wierzę. Dlatego może jestem idiotą, jeszcze jednym osobnikiem ogłupionym przez miłość. Jedną więcej rock'n'rollową żoną.)

Świat obiegają plotki o kłótniach w hangarze. Mira przypuszcza, że źródłem przecieków jest dagover. Obie coraz energiczniej biorą się za łby; uparte, twardo forsują własne zdanie i współzawodniczą o uznanie w oczach Ormusa Kamy. Mira twierdzi, że Ormus dał sobie namącić w głowie technologią, zaprzęga wóz przed koniem, że przypomina generałów z ich sprytnymi bombkami, którzy są, kurwa, jak chłopcy z zabawkami. To ja znam kluby, dodaje, na scenie spędziłam więcej czasu niż wy wszyscy razem, słyszę tu taki naukawy bełkot, może fajnie brzmi, tylko że gównowiecie. W klubach już koniec z tym szmelcem, już nie wystarcza. Ludzie są złaknieni, jasne? I maszynerią się nie nakarmią, to znaczy, że trzeba im dać coś, w co się wgryzą, normalnie trochę stawy duchowej.

Ormus słucha.

Lecz lii dagover kontruje dopracowaną teorią, że poprzez technologię muzyka zwraca się ku korzeniom, ku źródłom tkwiącym w północnoafrykańskich atonalnych rytmachzawołaniach i rytmachodpowiedziach. Kiedy powywożono niewolników, za morzem nie mieli prawa używać instrumentów, tych ich gadających bębnow; ale tam nasłuchali się muzyki irlandzkich poganiaczy, ludowych celtyckich piosenek opartych na trój dźwięku i tak się to przerodziło w bluesa. Wraz z końcem niewolnictwa odzyskali bębny, i to był r&b; potem wzięły to od nich białe dzieciaki, dodały wzmocnienie, tak się narodził rock'n'roll. Który z powrotem przemierzył ocean, trafił do Anglii i Europy, został przekształcony przez Beatlesów, pierwszą wielką grupę rockową, która użyła technologii stereo; a ta mutacja stereofoniczna wróciła do Ameryki i stała się muzyką VTO i tak dalej. Ale technologia też się przekształca i wraz z wynalezieniem samplingu można starą muzykę zaszczepiać na najnowszej materii dźwiękowej i oto wyrasta, uou!, hiphop, scratching, człowiek znów wraca do zawołań i odpowiedzi, słowem, powrót do przyszłości. Technologia nie jest nieprzyjacielem, przekonuje lii, jest środkiem.

Co to, Mira żąda od Ormusa odpowiedzi, seminarium z historii rock'n'rollowych kapel? Bo jeśli ona ma rację, to znaczy, że muzyka jest pętlą, czymś zamkniętym, a w takim razie już po niej, szkoda czasu, chodźmy do domu. Żeby iść naprzód, rozerwać tę pętlę, musimy popchnąć dalej to, co zaczęła robić VTO, to, przy czym zawsze, jak myślę, upierała się Wina. Przekraczać granice. I niech w to potem, kurwa, wejdzie reszta świata.

Impas; i co ciekawe, wydaje się, że Ormus nie chce lub nie potrafi nimi

pokierować, objawić drogi. Rozwiązanie zaś nadchodzi z innej strony; Eno Barber sprawia, że wyda się zaskakująco proste. Eno wciąż jawi się tu jako brat z innej planety, nieskalanie zadbany o każdej porze dnia i nocy; nikt nigdy nie widział, jak Eno je, pije, nie mówiąc już o szczaniu. To wcielenie schludności woła Mirę i lil do stołu mikserskiego i spokojnie mówi: Chyba trzeba osiągnąć jedno i drugie. A kiedy obie słuchają jego dźwiękowych pętli, rytmów tabli i sitaru i riffów granych, tak jest, na winie, przepuszczonych przez sekwencery wraz z czystym, syntetyzowanym dźwiękiem, kiedy słuchają, jak Eno wycisza, miesza i równoważy ten swój musujący, pełen auralnych klimatów wywar, coś się zaczyna dziać, lii bierze gitarę, zaczyna grać, odnajduje rytmy, albo pozwala rytmom odnaleźć siebie, daje się nieść fali, a Mira zaczyna śpiewać, mieszając skata z tekstami Ormusa i indyjskimi bólami, Ormus Kama już zaczął się uśmiechać. W przepastnym hangarze zamierają elektrycy, obsługa, obsługa obsługi i sztywniaki z wytwórni nagrań; zaczynają słuchać. Tak brzmią narodziny dziecka. Oto rytm nowego życia.

Mamy kapelę.

Nadchodzi poczta z wyzwiskami. Jasne, zawsze nadchodzi, kiedy o czymś jest głośno; od prymitywów *odwieczne zdychajcie zboczone komuchy*, od maniaków religijnych *możesz uciec przede mną, lecz nie przed bogiem*, groźby dobiegają z rynsztoka, odzywają się zawiedzeni seksualni mitomani, fani rywalizujących kultów, kryptowariaci, którzy tkwią na zwyczajnych posadach, w niedzielę urządzają grilla, a w sypialnianej szafie zebrali stertę wycinków z kolorowych magazynów, na których podstawie gryzmolą epitety świadczące o głębokim wstręcie. Jeżeli dzieła zatrutych piór są liczniejsze niż zwykle, to po części dlatego, że zespół na długo zniknął i brudna woda wzbierała przed tamą. Dopingujących listów od fanów też nie brakuje, skądże, lecz ważą mniej, są ledwie ułamkiem poczty, z którą człowiek ma do czynienia w codziennych sprawach. Dalej, wrogość wobec zespołu objawia się tym razem mocniej niż zwykle, bo kapela, która pozwoliła sobie na długie milczenie, ma teraz nowy skład, co rodzi niepewności. Wreszcie, ta wyzwiskowa poczta nie kończy się na obiegowych obrzydliwościach. Znaczna część listów kryje nową falę jadu, żółć wyborowej wręcz goryczy.

Bo imitacje Winy protestują, że Mirę wybrano zamiast któregoś z nich; puryści wyrażają niesmak z powodu ekshumowania grupy, którą lepiej zostawić na zawsze w spokoju, w złotej przeszłości, zamiast poddawać teraz godnej zombich procedurze

powrotu; a wrogowie lesbijek, nadsyłający kilkuliterowe opinie o lili dagover i jej safickich siostrzyczkach, stanowią tu elegancką śmietankę. Liczni korespondenci ślą niemal nieczytelne bazgroły, by ostrzec, że wstrząsowe piosenki VTO mogą być rzeczywiście odpowiedzialne za obecną falę katastrof sejsmicznych, więc żądają, żeby kapela trzymała się z daleka od tak niebezpiecznej materii. *Zabrać te łapy i wogule nie mieszać, jużście swoje zarobili na ludzki kżywdzie.*

A inny jeszcze odłam wini Ormusa, długie zaś milczenie VTO nazywa zdradą; sugeruje, że prawdziwą przyczyną rozwiązania kapeli była Ormusowa zawiść o geniusz Winy, więc Ormus musi ponieść odpowiedzialność za to, do czego doprowadził. Gdyby VTO nie zawiesiła występów, Wina nie musiałaby się wdać w robienie solowej kariery, według wszelkiego prawdopodobieństwa nie znalazłaby się w Meksyku w ten feralny dzień świętego Walentego, słowem, jeszcze by żyła, ty pierdolony morderco, Ormusie Kamo, nie myśl, że kiedyś zapomniny lub przebaczymy.

Jednakże inni korespondenci są nastawieni pozytywnie, sławią proroczą ścisłość starych piosenek Ormusa, wyrażają przekonanie, że jego muzyka może jak najdosłowniej odmienić świat, i błagają, by swą magiczną siłą Ormus kierował ku dobru. *Uzdrow tę rozpadającą się planetę. Śpiewaj nam, śpiewaj, i uśmierz ból ziemi.*

Wśród ludzi czekających na debiut Miry pięcioro liczy, z różnych powodów, że powinnie się jej noga.

W pewnej chwili, kiedy jeszcze dojrzewały plany - w miesiącach przed lądowaniem w hangarze - sam dałem się trochę ponieść wyobraźni. Mira mówi, że pomysł Ormusa na nowy program to wgryzienie się w dualizm naszoświata i innoświata, z czym sam się zmagam przez kawał życia. Pochłania go temat rozpląnięcia się granic między światami i to ten wątek Ormus by rozwijał, taka historia miłosna, powiedzmy taki nadświat i podświat, ruszenie na ratunek... Kiedy uświadamiam sobie, że Ormus nic nie wie o muzyce, która powstała przed nim - jak podświadomie wciąż nie znosi swego uczonego ojca, jak wciąż musi się czuć stłamszony! - wpadam w podniecenie, gorączkuję się, pędzę kupić stos wczesnych oper, *Eurydykę* Jacopo Periego (1600) z librettem Ottavia Rinucciniego, *Orfeusza* Monteverdiego z roku 1607 z librettem Alessandra Striggia i oczywiście Glucka; ostatnia pieśń, którą zaśpiewała Wina w Tequili, pochodziła właśnie z jego opery. Nie mogę odnaleźć

konkurencyjnej opery do libretta Rinucciniego, którą napisał Giulio Caccini, ale nie warto się przejmować, bo w gruncie rzeczy kiepska.

Kiedy Mira znów się wybiera do Rhodope, ruszam z nią i przynoszę Ormusowi te płyty. Dziękuję, wkłada do odtwarzacza Periiego i nawet cierpliwie słucha, co mam do powiedzenia, że nie tylko cała historia opery zaczyna się od tych utworów, ale że to jest mit, który przekroczył wszelkie granice kulturowe, jego echa można dosłyszeć w historii Odyna, nawet w celtyckiej sadze o Ługu, nawet, jak sądzę, w opowieściach etnicznych Amerykanów, i że wszystkim tym wersjom towarzyszą ich własne pieśni, że naprawdę warto by się potrudzić i je wytropić. Opowiadam mu o narodzinach nowego stylu solowej pieśni z akompaniamentem - przecież to jego forma! - w szesnastowiecznej Florencji, na dworze hrabiego Giovanniego Bardiego pod koniec lat siedemdziesiątych szesnastego wieku: chodzi o pieśń, której celem jest wyrażenie znaczeń tekstu. Owo radykalne rozstanie się z madrygałową zasadą ornamentyki otwarło drogę, przez rozczłonkowanie partii, do powstania opery, arii, całej nowoczesnej tradycji pieśni, aż po te trzyminutowe przeboje rodem z Tin Pan Alley z chwytliwym szlagwortem. To także należy do historii, mówię, powinien mieć o tym pojęcie.

Próbuję mu odmalować pierwsze wystawienie opery Periiego w pałacu Pittich, na cześć ślubu Marii Medycejskiej z Henrykiem IV, i tę późniejszą premierę opery Monteverdiego w Accademia degli Invaghiti podczas karnawału w Mantui, której książe, Gonzaga, był zarówno mecenasem Monteverdiego, jak i Striggia... Ale jeszcze nie dojrzałem do szczegółów technicznych, wariacji zwrotkowej, *stile concertato* i tak dalej, a Ormus przerywa mi, zresztą uprzejmie: Wiem, to bardzo stare dzieje, tak już śpiewano, zwłaszcza po włosku, szepcze wcale grzecznie. Aleja tu usiłuję zmajstrować własny styl, mój, i dalej, jeśli pozwolisz, pokuśtykam sobie tą wyboistą dróżką.

W porządku, przepraszam, mamroczę zakłopotany, po prostu chciałem wspomnieć, że zawsze jest ten problem z zakończeniem, bo nigdzie nie ma mowy o tym, że została uratowana czy zbawiona, no wiesz. Wszyscy to kończą takim czy siakim happy endem, ale to błąd, zwyczajnie na to ci chciałem zwrócić uwagę. W końcu Wina nie była, przerywam i gryzę się w język.

W porządku, mówi Ormus, w ogóle nie daje poznać po sobie, że dosłyszał te ostatnie parę słów. Zakończenie na smutno. Rozumiem. Dzięki, że się przy tym zatrzymałeś.

Wina to wszystko znała, mamroczę idiotycznie, może cokolwiek krnąbrnie, i

wracam do domu.

(Skoro zeszło na klasyków, wypada powiedzieć, że Ormus napisał muzykę do *Dies irae*. Najwyraźniej Mira recytowała mu ten hymn, a Ormus, jak widać, nie poklepał jej w czoło ani nie wywalił na łeb. *Dzień ów, dzień gniewu* to może w ogóle pierwszy rockowy tekst, przełożony z łacińskiego oryginału, napisanego przez pewnego mnicha z Włoch już w *duecento*.)

Jedźmy dalej: pomysł jest taki, by najpierw zorganizować krótką trasę angloamerykańską w nie za wielkich salach, jak Roseland, United Center, Cambridge Corn Exchange, Labatt's Apollo, w sumie nie więcej niż pięćście grań, żeby kapela mogła odsapnąć przed późniejszą o pół roku osiemnastomiesięczną trasą przez stadiony sześciu kontynentów z pełnym programem, zapiętym na ostatni guzik. Sławny inscenizator rockowych widowisk na stadionach, Mark McWilliam, obmyśla na tę trasę wielką fantasmagoryczną scenerię. Tymczasem niech te pierwsze koncerty, całkiem inaczej, polecą w klimacie elementarnym, surowym, jak najmniej bajerów, tylko to, co istotne. Przede wszystkim muzyka, mruczy Ormus, widowiskiem zajmiemy się potem.

Jego głos znów brzmi nieźle, chociaż jest nieco mniejszy niż kiedyś i trzeba intensywniej wzmacniać. Natomiast gra na gitarze - jak twierdzi Eno, z którego uchem nie ważyłbym się spierać - jak nigdy, bardziej emocjonalnie. Jest znowu w formie, a zespół ma to pełne, czadowe brzmienie. W ostatnim dniu odbywa się w hangarze koncert dla zaproszonej publiczności: w pełnej wersji na ful, tyle że bez kostiumów. Nawet w koszulkach i dżinsach brzmią, jak należy. Brawa są długie i szczere. VTO żyje.

Jesteśmy w Roseland, wrzesień 1993, dokładnie w tydzień po koncercie w hangarze; czeka parę tysięcy nielecho podnieconych fanów, już teraz wprawianych w stan wrzenia przez błędzące punktowce: rusza machina VTO.

Raz, dwa, raz-dwa-trzy-cztery!

Perkusistka, Patti LaBeef, wysoka, rodowita Teksanka, jedna z pierwszych kobiet, które trafiły do pałkarskiej ekstraklasy, jest w swej oszczędnej w słowa branży nie mniejszą sławą niż Ormus i Wina wśród gwiazd z pierwszego szeregu. Dawno temu szczeniaki darły się do niej: Rany, aleś ty jebliwa, Patti puszczała to mimo uszu,

spluwała i równo sadziła dalej. Basista VTO, Bobby Bath, pochodzi z wyspy Montserrat znanej z trzęsień ziemi i studiów dźwiękowych, i gra, jakby jego życiową ambicją była stabilność co najmniej absolutna. *Mnóstwo muzyków leci na sztuczki, mówi, ale ja zawsze kochałem kłaść funty, być w rocku niewzruszonym jak skała, nie?, dać porządną linię basową, a wtedy oni mogą tam z przodu zatańczyć się z nią na amen.* Bobby Bath był krótko mężem usuniętej Simone, ale nie widzi żadnych problemów z powrotem do składu. *Jeżeli ona jest przeciw, to ja bym był za,* brzmi deklaracja Bobby'ego. *Powiedzmy sobie, nie był to żaden rum, tylko lewizna i swoje już wypilem.*

Jest też dagover, na cześć brylantowej lii rozlega się potężna wrzawa, jej osobisty fanklub stawiał się w komplecie, potem rozwiewa się mgła z suchego lodu, z niej wyłania się Ormus Kama w swojej szkatule, z pedałową gitarą stalową, i zaczyna przygrywkę do pierwszego kawałka, podrasowanej wersji tej starej, ostro kręcącej *O, Tar Baby*. Początek śpiewa sam i już jest jak za dawnych czasów, tylko że lepiej, bo lii dagover pierwszorzędnie zapełnia wyrwę w kapeli, to, co paskudziła kiedyś Bath; wreszcie wparowuje na scenę Mira i z miejsca zaczynają się sęki.

Siedzę z Mo Mallickiem i obaj natychmiast widzimy, w czym rzecz: Mira miała w stu procentach rację, a Ormus zaślepiony potrzebą wiary, że Wina Apsara wróci spomiędzy martwych, mylił się najzupełniej. Publiki to nie bawi. *Więc naprawdę wciskacie nam tu jakąś dziewczynę w kostiumie Winy i myślicie, że co, że to lykniemy?* W chwili, w której dostrzegamy tę reakcję, wiemy już, że ten koncert to kłapa, a VTO jeszcze dziś umrze po raz drugi. Wygląda na to, że w tej gigantycznej sali tanecznej Ormus Kama zatańczy już ostatni raz.

Albo i nie zatańczy, bo szczeniaki przed estradą ani drgną, po prostu stoją z kamiennymi gębami, wgapiają się w estradę, wylewa się z nich niema wrogość wobec Miry. Pytanie brzmi: kiedy zaczną buczyć? I kiedy zaczną wychodzić?

W tym momencie Mira Celano robi coś zdumiewającego. Podnosi rękę i zatrzymuje kapelę. A potem częstuje wrogi tłum tekstem.

Hej, jebał was pies, nawzajem. Nie podoba się wam mój wygląd; no to prawda jest taka, że mnie też nie, ale na razie nic nie poradzimy, ani wy, ani ja, więc może przekonajcie się najpierw, czy ta muzyka jest coś warta, bo jak nie, to mnie możecie zastrzelić, wasze prawo, lecz jeśli ta muzyka to jest to, o co biega, a wam się tylko nie podoba kostium, to radzę, zgoda?, otwórzcie uszy, a zamknijcie te swoje, kurwa, ślepie.

Tu wkracza Patti LaBeef, leci po bębnach, kaskada jak grzmot, potem daje po talerzach. Patti trzyma z tą dziewczyną, a Patti ma u publiczności kredyt, jak mało kto, ma u niej to swoje konto. Tłum trochę się uspokaja, coś pomrukuje, nie do końca przekonany. Tymczasem wkracza lili, dziś wieczór to dagover wyrąbuje drogę Mirze, walczy o nią, sady ten sławny riff z *Tar Baby*. *Raaz, dwaaa, pięćsześćsiedemosiem*, *Ooch Tar Baby*, nie daj się dłużej prosić, *Ooch Tar Baby*, przyłgnęliśmy do siebie, Diabła już warta każda noc bez ciebie.

Ormus i Mira dyskutowali o zanurkowaniu między słuchaczy. Ormus nie może - ma pięćdziesiąt sześć lat i tkwi uwięziony w dźwiękoszczelnym pudle - ale Mira uważa, że powinna to zrobić. Skoro mowa o przekraczaniu granic, przekonuje, to musimy usunąć linię dzielącą ich i nas.

Jestem przeciw, ale im bardziej chcę osłaniać Mirę, tym bardziej pociągają niebezpieczeństwo i w końcu staje na tym, że to zrobi mniej więcej w połowie imprezy, w środku zestawu piosenek z *Quakershaker*. Ale teraz, kiedy koncert ruszył jak po grudzie, mimo że kapela zasuwa rewelacyjnie, tłum dał się złapać za gardło najwyżej na osiemdziesiąt procent, więc na pewno nie powinna ryzykować, myślę, ma chyba dość oleju w głowie, żeby odpuścić.

A Mira rusza między ludzi.

Przez moment myślę *chyba jej nie dopadną*, wyobrażam sobie okaleczone ciało Miry, rozdeptywanej na śmierć przez tłum, myślę o Tarze. Ale unoszą się ramiona, na nich Mira, płynie przez morze rąk, jest bezpieczna.

Tak myślę, ale nie widzę tego, co ona - gniewu malującego się na tyłu twarzach tam w dole pod bezradnym ciałem - nie mam pojęcia, że ręce zaczynają ją szarpać, wpijać się w nią. Wszystko staje się jasne, kiedy ktoś zdiera jej z głowy czerwoną perukę Winy. Zrywam się na równe nogi, Mallick wrzeszczy do komórkowca, jest zadyma, zabierzcie ją stamtąd, ale zanim do niej ochrona, Mira jakimś cudem dostaje się z powrotem na scenę, a kiedy staje na niej, wszyscy mogą zobaczyć krechy rozdrapań na brzuchu, na plecach, nawet na twarzy, długie, szaleńczo zmierzwiłone włosy opadają jej na plecy, gdzieś przepadł stanik, lecz Mira śpiewa dalej, ani na włos nie gubi rytmu, a kiedy staje tak przodem, na środku sceny, w rozdartych skórzanych spodniach, wystawia krwawiące krechy i nagie piersi wprost na widok tych sakramenckich, niegodziwych morderczych ryjów, wiem w tym momencie na pewno, na pewno wiedzą wszyscy w całej hali Roseland, że Mira Celano będzie wielką, bardzo wielką gwiazdą.

Już potem na zapleczu chcę ją objąć i uspokoić, do diabła z Ormusem, z mydleniem oczu. Ale Mira jest rozgniona i nie potrzebuje żadnego wsparcia, żadnego silnego męskiego ramienia. Zeszła ze sceny, żeby teraz wszystko wygarnąć. Nie ma tu żadnej garderoby, tłoczmy się wszyscy razem i wiemy, co się tu powie, a ta kobieta, która ma dość ikry, by wejść między tłum, nawet gdy mu nie ufa, zaraz znowu pokaże, że ma jaja, spojrzy wprost w oczy Ormusowi Kamie i rozryje jego najgłębszą ranę.

Koniec z Winą, mówi. Stoją nos w nos, ale z nich dwojga Mira jest wyższa i mocniejsza, i ani myśli dać mu się wywinąć. Co teraz, Ormus? Albo robimy to po mojemu, albo od razu zapominamy o całej zabawie. Słuchasz czy nie? Wchodzisz? Nikt nie wraca spod ziemi. Nikt się nie zjawi. Winy Apsary nie ma.

Ale Ormus Kama jest teraz w Bombaju w sklepie z płytami i rozmawia z wysoką, nieletnią jeszcze piękną o tym, kto napisał *Heartbreak Hotel*.

Mira krzyczy. Ormus! Słyszałeś, co powiedziałam?

Tak, szepcze Ormus. I nuci tamtą piosenkę.

Nie doprowadzaj mnie do szału, Ormus. Wcale nie jesteś taki opętany. Chcę wiedzieć, jaki jest układ. Tu i teraz.

O co chodzi? - pyta cicho Ormus Kama. O Winę Apsarę? Przykro mi. Wina nie żyje.

18. Dies irae

Dzień on, dzień gniewu Pańskiego Świat w proch zetrze, świadkiem tego Dawid z Sybillą wszystkiego.

Na Zachodzie ustały trzęsienia ziemi i przyszedł czas brygad budowlanych. Banki i towarzystwa ubezpieczeniowe wznoszą nad uskokami nowe pałace, jakby o prymarności swej władzy chciały przypomnieć samej piekłającej się ziemi. Blizny po wstrząsach przekształca się w strefy odnowy, w ogrody, zespoły biur, multikina, lotniska, markety. Ludzie zaczęli już zapominać i - co nieuniknione - żywić niechęć wobec pamiętliwych. O czarnowidztwo i panikarstwo oskarża się między innymi Ormusa Kamę i VTO, wciąż bowiem grają kawałki z *Quakershaker* i tę ich nowość: przearanżowane w duchu gospel, ciężkie od gróźb stare wersy Tomasa Celano.

Trwa natomiast niszczenie Południa. Jakby ziemia rozmyślnie gnębiła najbezradniejsze ze swych dzieci. W Indiach, gdzie domy wznosi się z gliny i marzeń, gdzie konstrukcje życia są kruche, a fundamenty nadwątlone przez korupcję, biedę, fanatyzm i niedbalstwo, powstały przeogromne szkody. Nie dogadza to ludziom utrzymującym, że Indie to kraj jak inne, podważającym istnienie tej szczególności, która dane miejsce czyni danym miejscem. Prawda jest taka, że w Ameryce ziemia nie drży, natomiast spłachetki Indii, tu pola, tam ulice, gdzie bądź, niemal co dzień smagane są razami spod ziemi.

Wielu obserwatorów z Trzeciego Świata poważnie podejrzewa, że trzęsienia ziemi to nowy rodzaj hegemonistycznej geopolityki, narzędzie supermocarstwowych manipulatorów do wstrząsania - aż po zapaść - rozwijającymi się gospodarkami Południa, Południowego Wschodu i wybrzeży Pacyfiku. Trwoży chępliwy triumfalizm Zachodu, odrodzony podczas rewolucyjnych przełomów 1989 / 90. Teraz każdy podziemny wstrząs przypisuje się euroamerykańskiej broni; całe państwa są bliskie uznania za akt wojny tego, co agenci ubezpieczeniowi brali niegdyś za czyny boże; altruizm, który każe obywatelom krajów zachodnich organizować fundusze na rzecz usuwania skutków klęsk, a nawet wysiłki śpieszących z pomocą niestrudzonych agencji międzynarodowych wyglądają na próbę prania nieczystych sumień, podejmowaną przez moźnych tego świata post factum, po wyrządzeniu szkód. Indie, Pakistan, Izrael, Syria, Iran, Irak i Chiny zapowiadają kolosalne wydatki na "wojny sejsmiczne". Zaczyna się dobijanie o nowy rodzaj broni.

W uporczywych wysiłkach zachodnich dziennikarzy i polityków - którzy chcą zbadać sprawę i obwinić własny kompleks wojskowo-przemysłowy za sejsmoglobalny serial z lat 1989 / 90 - uczestnicy nowego wyścigu zbrojeń widzą tylko dezinformację; interwencje międzynarodowych ruchów pokojowych powszechnie się lekceważą. Apele międzynarodowych przywódców o zamrożenie prac nad nową "bombą tektoniczną", niebezpiecznie zagrażającą stabilizacji, uznawane są za przejaw arogancji i hipokryzji. Niemordowany sekretarz generalny ONZ nakłania wszystkie strony do udziału w pilnie zwołanym sympozjum LIRA (Ludzie i Rządy Apeluja), na którym można rozwiązywać konflikty przy stole, w drodze konstruktywnych rozmów; lecz wahadłowa dyplomacja zawodzi. Na rzecz poparcia decyzji podejmowanych przez przywódców Sejsmicznej Siódemki odbywają się masowe demonstracje. Wraz z dumą narodową odżywa poczucie godności: ludzie zapewniają, że zgodzą się, by ich dzieci głodowały, jeżeli to pomoże w osiągnięciu zdolności wstrząsania światem, którą dziś cenią na równi ze zwycięstwem w tak prestiżowych zmaganiach, jak finał konkursu Miss World czy mistrzostw świata w piłce nożnej. Z murów Delhi, Islamabadu i stolic innych tektojastrzębi krzyczą napisy popierające tektotechnologię. *Precz z LIRA! Najpierw sejsmika potem muzyka. Chcecie się bratać? Po wstrząsie świata!*

W Indiach trzęsienia ziemi nie ustają, a miejscowi politykierzy niemordowanie (i tradycyjnie) oskarżają wrogów z północy i północnego zachodu (i wciąż też Zachód przez duże Z); w życiu publicznym wytwarza się klimat tak spazmatyczny, że w każdej chwili może wybuchnąć wojna. Z tego potrząsania pięściami szczególne korzyści polityczne odnosi Golmatol Dudhwała, wdowa po zamordowanym Pilu. W stuleciu, w którym tak często obejmowały władzę wdowy po zamordowanych mężczyznach, ta okrągłutka, niepiśmienna Golmatol, pałająca niewygasłym pragnieniem zemsty, okaże się ostatnią na liście; może w ogóle ostatnią, bo jeśli skutecznie podjudzi do wojny, nastąpi koniec świata. Nie w trybie eksplozji, lecz drgawek.

Teraz wszyscy należą do klubu New Quakers.

Nieustanne wstrząsy powodują, że wychodzi na jaw mnóstwo spraw tkwiących przez lata w ukryciu. Odrodzona rockowa supergrupa VTO ogłasza, że trasę swego światowego maratonu zamierza uzupełnić o Bombaj i Delhi - a w ramach wspomaganie pokojowych inicjatyw Zachodu wykona podczas tych dodatkowych koncertów *Dzień ów* oraz piosenki z *Quakershaker* - i oto sprzeciwem wobec powrotu Kamy dyryguje zupełnie nieoczekiwana ręka. Więziony w Tiharze Cyrus Kama,

starszy brat Ormusa, wydaje oświadczenie, które szybko zyskuje szerokie poparcie.

Sześćdziesięcioletni Cyrus Kama, wciąż uznawany za groźnego szaleńca, nie ma żadnych widoków na zwolnienie warunkowe. Więcej, podkreśla stanowczo, że w “ukochanym Tiharze” winien pozostać do śmierci; tylko w więzieniu nie trwoży go myśl, że może wciąż w nim drzemiący Poduszkowiec wynurzy się, by wznowić zbrodniczy proceder. Jest wielokrotnym mordercą, to bezsporne, lecz wciąż ujmujące usposobienie zjednuje Cyrusowi licznych przyjaciół, mimo uwięzienia. Strażnicy zmieniani częściej czy rzadziej, zawsze wychodzą z Tiharu jako jego uczniowie, bo Cyrus stał się mędrce; w spokoju pędzi lata na nauce starych języków, zgłębianiu starych ksiąg, w ten sposób podtrzymując obyczaje Dariusza Kamy. Zamieszczone w uczonych czasopismach Cyrusowe *Rozważania o Kalkim* (Kalki, ostatnia inkarnacja Wisznu, zjawia się po to tylko, by obwieścić koniec świata) przedrukowywały potem, jako broszury i ulotki, różne małe wydawnictwa filozoficzne; na uniwersytetach nie brakowało profesorów ani studentów uważających Cyrusa za jeden z najgłębszych umysłów kraju, głos naszych niespokojnych i zapewne bliskich kresu czasów. Cyrus wiodący życie pełne samozaparciu i uderzającej (a nawet nieuniknionej) prostoty, zarazem poważany autor o świetnym piórze, stał się symbolem tego, co człowiek może zrobić ze swą ziemską chwilą, jeśli pogodzi się z pisaniem mu losem. Ciało Cyrusa jest wprawdzie w więzieniu, wywodzili zachwyceni Cyrusowi fani, lecz jego duch to radosny ptasi śpiew, rozbrzmiewający w przestworze nieba.

Cyrus postanawia zwrócić się do Ormusa w liście otwartym, przepelnionym raczej smutkiem niż gniewem: Bracie mój, z bólem powiadam ci, kim się stałeś, otóż człowiekiem nienawidzącym własnego rodzaju. Ta inicjalna fraza otwiera zatroskanej Cyrusowej polemice drogę do mediów indyjskich, a potem światowych. Nawet najnowszy publiczny sprzeciw Ormusa wobec sejsmicznych wojen zostaje obrócony przeciw niemu. Ormus zaczyna przewrotnie: *Skoro sam nie władam żadną bronią masowego rażenia, to mam nadzieję, że nie zostanę posądzony o hipokryzję, kiedy powiem...* Ach, replikuje zmartwiony Cyrus, niechaj mój brat nie będzie taki skromny; któż bowiem układa pożałowania godne śpiewki, które przemieniają się w totemiczne hymny nowego Wieku Wstrząsów? Nie dajmy się zwieść samolekceważeniom Ormusa Kamy, rzekomo tylko trubadura i piosenkarza; a czyją to wykorzenioną, autoagresywną muzyką posługiwano się tak długo?, powiem więcej, była ona jądrem arogancji Zachodu, gdzie tragedie tego świata wyprzedaje się jako

rozrywkę dla młodzieży, opatrując je zaraźliwym, wprawiającym w drgawki łomotem.

Co zaczął Cyrus, inni skwapliwie podchwycili. Ówczesni ulubieńcy rządowi, istne bożyszcza Uluryszi i Aurhum Baba obwieszczają, że były obywatel Indii, zbłąkany zaratusztrianin “sejsmopropagandysta” Ormus Kama musi, rzecz jasna, ponieść poważną odpowiedzialność za ów zachodni, wywołujący trzęsienia ziemi “scenariusz sądnego dnia”; piosenki i występy Kamy stanowią otwarty atak na ład inter - oraz intrakulturowy; zatem ani on, ani jego wspólnicy nie powinni pod żadnym pozorem uzyskać prawa występowania na indyjskiej ziemi. A w parę dni po wydaniu przez Ulurysziego i Babę tego bezprecedensowego wspólnego oświadczenia minister spraw wewnętrznych Golmatol Dudhwała (jej piluistyczna frakcja właśnie zgodziła się poprzeć chwiejącą się koalicję rządową, ceną zaś było ministerstwo spraw wewnętrznych) potwierdziła, że całej ekipie VTO, w tym członkom zespołu, odmawia się wydania wiz wjazdowych zarówno ze względu na dobro publiczne, jak i dobro samych zainteresowanych, którym w obecnej zapalnej atmosferze nie da się zapewnić osobistego bezpieczeństwa.

I oto przeszłość dosięga pazurem Ormusowej kostki i ciągnie w dół. Po opublikowaniu listu Cyrusa lawinowo wzrasta napływ nienawistnych listów z Indii. Pełno w nich gróźb, ale to nic nowego. Przez całe lata Winopodobnice, mniej więcej tuzin tygodniowo, groziły Ormusowi zabiciem jego i / lub siebie, za wzgardzenie ich miłością i uwięznięcie w czymś, co uważają za niezdrowy post ku czci zmarłej żony, tym samym za odrzucanie zaproszeń, a przecież uczt miłosnych jest pod dostatkiem. Ormus, w przeciwieństwie do Clei Singh, nie traktował pogróżek poważnie; ów nowy Ormus, Ormus w kokonie, Ormus dziwnie nieobecny, od kiedy Mira wyrąbała mu w oczy prawdę o Winie, błędny, szybujący Ormus jest również odporny na żądlenie nadlatujących z subkontynentu jak strzały nowych gniewnych listów. Niemniej Singhowie, czego wymaga Clea, są w ciągłym pogotowiu.

Gdy wiadomość o zakazie wjazdu VTO do Indii dociera do Nowego Jorku, Sangriowie natychmiast uznają, że Cyrus Kama to paląco aktualny, nie napisany fragment historii zjawiska, i rezerwują miejsca w najbliższym samolocie startującym do Delhi.

O gniewne dni, o gniewne noce. Tak oto myślę o dwóch długich latach tego zakończenia następującego po trzech śmierciach Winy: jako o dniach i nocach gniewu. O wy ostatnie, minione już czasy.

Uważam, że po raz pierwszy Wina zginęła w otchłani w El Huracan; po raz drugi - gdy świat ją przemieniał w ikoniczną Winę Divine, przestając się interesować jej osobliwością czysto ludzką - umierała bardzo powoli, aż Clea Singh skasowała jej głos z automatycznej sekretarki; do jej trzeciej zaś i ostatniej śmierci doszło, kiedy moja kochana Mira Celano zmusiła Ormusa Kameę, najmocniej kochającego Winę, do wypowiedzenia słów, które zabiły Winę po wsze czasy. Ormus wiedział, że oto przecina ostatni węzeł, który go wiąże z ziemią; utraciwszy całą radość życia, zaczął szukać śmierci, wpatrywać się w twarz każdego napotkanego człowieka, jakby pytał: To ty? Proszę; mój przyjacielu, proszę, mój obcy człowieku, niech będzie, że to ty mi niesiesz dar, na który czekam.

Trasę *W podziemiu* pomyślano jako gigantyczne wędrowne upamiętnienie Winy, przy czym na estradzie już nie pojawiała się Mira w roli inkarnacji Winy, natomiast widowisko rozpoczynało się i kończyło wyświetleniem obrazu Winy tańczącej w zwolnionym tempie, w zupełnej ciszy, na gigantycznym telebimie, horyzoncie sceny. To rozwiązanie także krytykowano (tu i ówdzie) za hiperkomercjalizację powracania do tej świętej ostatnich czasów, nawet mówiono o gorszącej próbie zbijania forsy na bardzo dalekim od równowagi małżeństwie, lecz Ormus, nadal niewrażliwy na krytykę, uśmiechał się spokojnie i dalej szedł swoją drogą. Człowiek musi do czegoś należeć, choćby do klubu golfowego czy ulubionego psa, a Ormus przynależał teraz do swej pamięci. Ranić mogło go jeszcze tylko to, co stracił; Ormus Kama przynależał do Winy - i do muzyki.

Przez większą część lat 1994 i 1995 żył wyłącznie w świecie trasy, w namiastkowym podziemiu, podzielonym na podobieństwo kręgów piekła, półkuliście ograniczonym przez gigantyczny, największy na świecie telebim, prowadzący nieprzerwane nocne bombardowanie publiczności obrazami niebios i piekieł, przy czym jedne i drugie były to miejsca ziemskie: motele dla nowożeńców, knajpy, gdzie skwierczy pieczone na wolnym ogniu mięso, malownicze arkady, szkoły baletowe, tłumy kibiców futbolowych, strefy wojenne, pustynie lodowe, zjazdy polityczne, plaże surfowe i biblioteki; a każdy mógł po swojemu uznać jedne obrazy za niebiańskie, inne zaś za piekielne. To technoinferno wybudowała Ormusowi ekipa McWilliamy, lecz główną zasadę obmyślił sam. I stworzywszy tę fikcję, pograżył się w niej na dwa lata. Fikcyjny wszechświat widowiska zdawał się szybować nad prawdziwym światem jak oddzielna rzeczywistość, która od czasu do czasu miewa kontakt z ziemią, na wieczór czy dwa, więc ludzie powinni wpaść, nie marnować okazji. Dobrowolne

zamknięcie się w prywatnej rock'n'rollowej czasoprzestrzeni sprawiło, że także Ormus Kama stał się szybującym bytem, raczej obcym z innoświata niż istotą ludzką, bardziej pozorem niż obiektem.

Z hotelowych pomieszczeń, obranych z wszelkich zbyteczności i przekształconych w białe przestrzenie, wyposażonych jedynie w białe fortepiany, wielkie odtwarzacze audiowideo i stare toskańskie piece chlebowe, ruszał osłonięty ciemnymi szybami limuzyny (nawet nie chodziło o zaporę przed gapiami, raczej o odcięcie się od obrazów z zewnątrz), na zaplecze stadionu, zawsze takie samo w każdym zakątku świata; uznał wówczas, że zdoła przetrwać w takiej złudliwości. Gdy nadchodziła pora odlotu, Ormus brał tabletki i na pokładzie 727 specjalnie dostosowanego do potrzeb kapeli spał do chwili, w której znów mógł wstąpić w zamknięty świat limuzyny, hotelowych bieli i infernalnej scenografii, teraz jedyne miejsce na świecie, które chciał jeszcze oglądać lub odwiedzać.

To tak, jakby widowisko nie ruszało się z miejsca, a świat mknął za ogrodzeniem stadionu; jakby widowisko było czymś trwałym, a życie ludzkie przelotnością, jakby stadion był zawsze tym samym stadionem, jakby zawsze ta sama była limuzyna z Willem Singhiem za kierownicą i Cleą Singh u boku Ormusa, jakby pomieszczenia hotelowe, gdzie spędzał wolny czas na pieczeniu i jedzeniu chleba, były zawsze te same, a tylko miasta za oknami nadlatywały i odlatywały, jak te kraje na wierzchołku Dalekiego Drzewa.

Rio, Sydney, Londyn, Hongkong, Los Angeles, Pekin: to nie były miejsca realne. Nie liczył się zakaz wjazdu do Indii, bo także Indie nie należały do rzeczywistości, były tylko kolejną strefą tranzytową. Nic nie miało znaczenia, wciąż inne rasy tłumów, inne odcienie skóry, parada sław zachodzących na zaplecze, by się z nim napić i jeść pieczony w domu chleb, który podsuwał, lokalni bohaterowie, sponsorzy trasy, pięknotki z okładek grzecznie przeżuujące Ormusowe bochenki i w żywe oczy łgające, że świetnie wygląda - to także były iluzje. Rzeczywistością było tylko widowisko; tylko ono i muzyka były domem. Wszystko inne fikcją, nawet kosmos był lipny.

Gruntem była dla Ormusa wyobraźnia; z niej - i tylko z niej - wyczarował rzeczy, które bez niego nigdy by nie powstały i powstać by nie mogły. A odkąd powstały, Ormus istnieje tylko w nich. Stworzywszy własne terytorium, już nie ufa innej ziemi pod stopami.

Podczas występu wałęsał na scenę takie potoki światła, że Ormus właściwie nie

widzi tłumu, najwyżej parę pierwszych rzędów, za nimi jest już tylko wielka rycząca bestia, którą musi poskromić, grać na niej jak na instrumencie, lecz właśnie na tym Ormus się zna, oto jego prawdziwe życie. Poskramiacz lwów, który wchodzi do klatki i wkłada głowę w rozwartą paszczę bestii, wie, że to jest rzeczywistość pierwszej próby, a bijący brawa, kolorowy, balonikowo-popcornowy świat za prętami to podrzędność, malowana zastawka, dekoracje. Więc i Ormus czuje się w tym wrzątku widowiska jak w domu; panuje zgodna opinia, że wykonania są nadzwyczajne, że gitara Ormusa nigdy tak nie brzmiała, tonem boleśnie wyrazistym, jak rojenia pustynnego wędrowca o wodzie w głębi chłodnej, czystej studni; śpiew Ormusa nigdy nie był tak subtelny i mocny zarazem. Gdzieś zniknęła jego niedawna słabość; teraz był to instrument potężny jak nigdy, potężniejszy niż w tych dawnych czasach, kiedy jeszcze Wina hojnie słała w świat strumienie koloratury.

Pozostali muzycy zdumieni, niemal przerażeni mruzcili pod koniec każdego występu: Co się z nim dzieje? Nawet LaBeef i Bath musieli przyznać, że nigdy go nie widzieli w tak nieprawdopodobnej formie, i to przez tyle czasu. *Jest jak odrzutowiec na dopalaczach*, powiedziała któregoś wieczoru Patti LaBeef, *może palić podwójnie, bo wie, że nie potrzebuje rezerwy na powrót*. A skoro już to wypowiedziała, wszyscy członkowie kapeli zrozumieli, że Ormus umiera, a paliwem, którego używa na estradzie, jest on sam. Spalał się w ogniu swej sztuki, każdy wieczór nie tylko był darem dla Winy, lecz krokiem ku zapomnieniu, ku niebyciu, w którym Wina znalazła się wraz z Ormusową, powierzoną jej radością; Ormus wiedział, że wraz z końcem akcji na scenie odechce mu się mówić, śpiewać, ruszać, oddychać, być. A muzycy zaczynają już o nim myśleć jak o istocie nie z tego świata, bo widzą, jak usilnie stara się dostać do innego, może przez jakiś prześwit w przestworzach, może w inny wymiar, w którym Wina wciąż żyje. Lecz takich prześwitów już nie ma ani dla Ormusa, ani nikogo, lii dagover powiedziała Mirze: Od zawsze przepadałam za tą parą, więc dziś nie mogę na to patrzeć, ale zobacz, z faceta przynajmniej nie zrobiła się jakaś kopczą, zakapana świeczka za trzy grosze, to jakiś, kurwa, rozbłysk, supernowa, tak się kończą prawdziwe gwiazdy.

(W rzeczywistości widowisko zawdzięcza ciągłość potrojeniu działań. Ponieważ wybudowanie sceny trwa tydzień, trzy oddzielne brygady montażowe skaczą po globie, jedna nad drugą, stawiając i rozbierając dekoracje. Zawsze trwa demontaż jednej sceny po ostatnim koncercie, druga czeka gotowa na stadionie na

występ, a trzecią już się buduje na kolejnym przystanku w tej drodze.

Trzeba do tego energii. W podziemiu ssie cztery miliony watów mocy wytwarzanej w sześciusetkonnych generatorach. Sam system nagłaśniający, trzysta pięćdziesiąt zestawów, zżera półtora miliona watów. A jeszcze reflektory, dwa tysiące sztuk, co oznacza, że widowisko można dostrzec nawet z Księżycy.

Za jego obejrzenie zapłaciło sześć milionów ludzi. Sprzedano dwadzieścia milionów kompaktów i taśm. Zarobiono setki milionów dolarów. Może Ormus Kama niezupełnie się myli, wyobrażając sobie, że sam stoi w miejscu, a świat się kręci wokół niego. Oto potęgą wyobraźni.)

Na końcu długiego "palca" - który po drugiej stronie niknie w wielkiej paszczy mającej się kojarzyć z wrotami piekieł strzeżonymi przez trzygłowego cyberCerbera - zamontowano pomniejszą scenkę i to na niej ukazuje się po raz pierwszy Ormus, samotny jak Orfeusz w Aornos w Tesprocji, rozmyślający nad swym straszliwym zstąpieniem. To stamtąd Ormus gra pierwsze solo, akustyczną wersję *Pod jej stopami*, kiedy na gigantycznym telebimie nad stadionem pojawia się obraz Winy. (Ponieważ to solówka grana akustycznie, więc może ją wykonać wyzwolony z zamknięcia, wystawiony na podmuch powietrza, nie narażając słuchu.) W finale pieśni mechaniczny brytan kładzie się i zasypia, a Ormus wchodzi do swego przezroczystego bąbla, który porusza się na szynie i zostanie "pożarty" przez Paszczę. Teraz mknie jak błyskawica pod wąską galerijką łączącą obie sceny - najszybszą kolejką linową, jaką zbudowano - by wparować prosto w McWilliamowski fantasmagoryczny Hades, gdzie już czekają pozostali członkowie kapeli z całą menażerią zionących ogniem żelaznych demonów, ogromnych nadmuchiwanek i innych obywateli Pandemonium: poprzebieranych mimów i machin. Dzięki zawilej kombinacji linii i punktów na podłodze sceny Ormus może się poruszać po tej kolosalnej dekoracji, nie opuszczając szkatuły; w pewnym momencie - coś niesamowitego - chwyta go i unosi metalowe ramię, zamienia szkatułę w szklaną windę, w której Ormus wzbija się ku niebu jak w rakiecie, wysoko, hen nad wrzeszczący tłum. Ale zamknięty tam w szklanym bąblu Ormus nie zostaje wyłączony z akcji; bąbel staje się symbolem życia, uprzytomnia uczestnictwo w świecie żywych podczas przygód w krainie zmarłych.

Mira jest tu, rzecz jasna, kobietą, którą przyszedł wybawić z władzy Księcia Ciemności. Teraz we własnych kostiumach, Mira jako Mira, śpiewa całym sercem, z

dnia na dzień rośnie, przybliży się do czekającego na nią gwiazdozbioru, uwalnia od cienia Winy, gra rolę Miłości schwytej w pułapkę Piekła i tęskni za uwolnieniem.

Słuchajcie, wiem, że to się nie liczy, nieważne, jak się zachowują na scenie, rozumiem. Ale byłem zazdrosny, jasne?, pozwólcie, że się przyznam przed całą klasą: szalałem z zazdrości, i bezpodstawnie. Bo też, kochani, z mojej Miry zrobiła się fantastyczna artystka, trzeba było widzieć, co wyprawia z krzywiznami tej Ormusowej bani, jak wpiera w nie ciało, najpierw piersi, potem uda, potem wygięte w łuk plecy, ten ocierający się tyłek, jakby się grzmociła z tym cholernym urządzeniem; nie mogłem na to patrzeć. Kiedy wchodziła w końcu do środka i zatrząskiwano ją z Ormusem, cała ta przezroczysta bańka nagle rozbłyskiwała jak czysta światłość i znikła, a zaraz potem Mira i Ormus pojawiali się niespodziewanie na tej drugiej scenie, wyzwoleni z bąbla, zbiegli z Piekła; Ormus sadził wtedy na gitarze, jakby była samym seksem, a Mira łała się na niego jak drink z naczynia, no, kurwa, nie, nie mogłem tego znieść. Trudno. Musiałem wyjechać.

Opuściłem koncerty. Zostawiłem trasę, wróciłem do Nowego Jorku, do pracy, nawet - po raz pierwszy od lat - do fotografii prasowej, co się skończyło na ukrywaniu przed ostrzałem w miejscach, których nazw nawet nie umiem wymówić, w jakimś UrgenczuTurkulu nad Amudarią, TargulSacuesc w Siedmiogrodzie czy tych nowych postradzieckich wesołych miasteczkach, AłtynajAzymuratowej czy odległym, leżącym za siedmioma górami NadieżdaMandelstanie; w nocy nawiedzały mnie jednak pornograficzne sny z Ormusem i Mirą. Czasami wyobraźnia dodawała, żeby było pikantniej, paru Singhów i lii dagover; budziłem się złany potem, z erekcją, w jakiejś brudnej, przeraźliwie zapchlonej dziurze, pod napisami cyrylicą, pełen zrozumienia, że każda istota ludzka jest zdolna do przemocy, jeżeli dostatecznie ją rozjuszy gwałt zadawany na przykład jej krajowi albo prawdziwe czy wymaginowane uwiedzenie dziewczyny.

Wiem, do cholery, że to nie to samo, pojmuję, kurwa, różnicę między niewiernością a ludobójstwem, lecz jeśli człowiek się znajdzie daleko, w jakimś łubudubskim, w jednym śpiworze z karaluchami, za nie wiadomo czyim jeepem, jeżeli żre go słowiańskie i azjatyckie robactwo, insekty rzymskokatolickie, rosyjskie prawosławne, syjonistyczne i islamskie, kiedy wokół wszystko jest wielkim eksplodującym kosmosem walących się granic i roztrzaskiwanych rzeczywistości, kiedy człowiek tkwi w środku anarchii i zmienności, a ma nadzieję jeszcze wrócić na Piątą Wschodnią w Nowym Jorku i poczytać szóstą stronę "Posta", choćby raz, kiedy

wysoka, uśmiechnięta blondyna-buddystka poda człowiekowi jagodziankę i filiżankę parującej kawy ze świeżo palonych ziaren, choćby raz, więc proszę, *i niech mi pan tu przysięgnie, że już nigdy ani słowem nie zażartuje z twórcy buddyzmu, bo teraz panu brak kochającego pokój Buddy, o dajcie mi go, o Rinpocze Ginsbergu, Richardzie Lamo, Stevenie Seagalu, bierzcie mnie, jestem wasz*; więc kiedy człowiek budzi się z głową nabitą wyobrażeniami orgii, w której nie bierze udziału, za to pełnej wręcz nieopisanych rzeczy wykonywanych z ciałem i ciałem rozpoznawanym jako ciało ukochanej... no cóż, zapewniam was, że w takim momencie człowiek nie myśli *cosi fan tutte**,[* *Tak czynią wszystkie* (wł.) - tytuł opery Mozarta; Fiordiligi i Dorabella - postaci z tej opery.] nie gwizdże wesołej melodyjki, nie obraca się na drugi bok i nie wraca w krainę snów, lecz siada, gotów mordować nie tylko swą małą Fiordiligi, ukochaną Dorabellę, ale i każdego napalonego wieprza, który je zwiódł z drogi przyzwoitości, dawać mi tu skurwysyna, wydrę mu z piersi i rozszarpię jego wszeteczne serce.

A więc szalałem bezpodstawnie? Otóż to.

Bo znowu nie pojąłem Ormusa Kamy. Pozwoliłem sobie nie pamiętać, że w jego miłości do Winy było coś, jakby powiedzieć, nadludzkiego, przewyższającego człowieczą zdolność kochania. Była to miłość po kres czasu; próba wyprowadzenia Winy spomiędzy martwych zawiodła - a Mira zmusiła go, by zrozumiał, że Winy się nie wskrzesi - i od tej pory kobiety przestały dla niego istnieć. Teraz już nie pragnął, by Mira, skoro jest Mirą, zajęła miejsce Winy; nawet gdyby do niego przyszła namaszczona oliwą, naga i kipiąca pożądaniem, poklepałby ją machinalnie po głowie i poradził, żeby coś włożyła, bo się zaziębi.

A więc przyznaję, że miłość Ormusa do Winy przewyższała moją, bo chociaż oplakiwałem Winę jak nikogo, to jednak znów się zakochałem. Jego zaś miłość była z tych, których nie zastąpi inna, o nie, i po trzech śmierciach Winy Ormus wybrał celibat, z którego mogą uwolnić tylko zmysłowe objęcia śmierci. To ona, śmierć, była teraz jedyną kochanką, której pozwoliłby się uwieść, jedyną, którą mógłby dzielić z Winą, bo tylko ta kochanka może ich na zawsze połączyć, w piołunowym gaju bezpowrotnie umarłych.

Wreszcie przyznaję - i tu przepraszam publicznie - że powinienem był ufać Mirze. Byłem większym szczęściarzem, niż myślałem: z popiołów starej miłości urodziła się nowa. Miry nie interesował Ormus, najwyżej zawodowo, a może i trochę się przydawał przy wymuszaniu na mnie przyzwoitości. Byłem za głupi, by w to

uwierzyć; otóż pod koniec tej długiej niewesołej sagi okazuję się chłopakiem, który trafia główną wygraną.

Cztery lata temu Francis Bacon zapewniał, że Orfeuszowi nie mogła się powieść wyprawa w podziemie; nie dało się uratować Eurydyki, a Orfeusz musiał zostać rozerwany na strzępy, ponieważ - jak sądzi Bacon - mit Orfeusza nie mówi o klęsce sztuki, lecz samej cywilizacji. Umrzeć musi Orfeusz, bo umrzeć musi kultura. U bram już stoją barbarzyńcy i nie ma przed nimi ratunku. Wali się Grecja, płonie Rzym; z przestworzy bucha światłość.

Wonna inaczej, arcynatrętna rzeczywistość Indii natychmiast wprawiała w zdumienie Marca i Madonnę Sangriów; lecąc do Delhi, sądzili, że może trafią do jakiegoś gorszego o stopień czy dwa Queensu. Lecz Indie to niełatwa dla Amerykanów kraina, bo są w niej postrzegani jako chodzące banknoty dolarowe i gorzej, jako ludzie, którzy za granicą zamieniają się we frajerów, słowem, jako cel uzasadnionego ataku, łatwy łup. W ciągu paru godzin, które poświęcili na moszczenie się w pięciogwiazdkowym hotelu South Delhi, naciągano ich, na miejscu, na wymianę pieniędzy, tej ich sałaty, po fantastycznym czarnorynkowym kursie, na kupno półszlachetnych kamieni przypominających polerowany bruk, nachodzili ich taksówkarze, których kuzyni tuż obok prowadzą szlifiernię marmuru, chiromanta z hotelowego holu, porządnie wyglądający młodzi mężczyźni i kobiety, gotowi za rozsądną cenę odkupić ubrania i aparaty fotograficzne, szczegóły do negocjacji, wreszcie starsi mężczyźni wypyujący Marca, czy, po pierwsze, Madonna jest kobietą wykształconą i, po drugie, przystępną, a jeśli tak, to po ile; poznają też windowego kieszonkowca, zarazem nieudolnego i nie stropionego, bo kiedy Marco zwraca mu uwagę, że wepchnął łapę do niewłaściwej kieszeni, facet cofa przestępczą kończynę, uśmiecha się szeroko i z rozbrajającym wzruszeniem ramion oświadcza: To tłoczny kraj, co robić, kieszenie sąsiadów traktujemy jak własne.

Dużo gorzej wypadło więzienie Tihar, co już nie było niespodzianką. Sama podłoga, kochanie, już nie mówię o celach, tych strażnikach, a w żadnym wypadku o tych więźniach, sama podłoga jak z filmowego horroru, jakiegoś *Krzyku Wschodu* albo *Upiora z ulicy Delhi*, brud, kochanie, a kiedy mówię o robakach, to nie mam na myśli zwierzątek z filmów rysunkowych. W każdym razie to nie jest miejsce dla wymuskanego dandysa w spodniach od Narcisa i bucikach od Jimmy'ego ani dla ekstrakózki rasy Madonna, żeby wycierała to klepisko bawełnami od Isaaka czy

nowymi sandałami od Manola. i jeszcze coś okropnego, zauważyła Madonna, ludzie drą się bez przerwy na całe gardło, niekoniecznie po angielsku, chyba nie umieją mówić inaczej, co wy na to?

Lecz kiedy w pomieszczeniu widzeń zjawił się Cyrus Kama, skuty z góry i z dołu, zrobiło się już znacznie ciekawiej; jak później opowiadała w swym kółku, po prostu namacalnie wyczułam mądrość, on ma tę aurę, a ja, no nie wiem, myślałam, że mnie coś rozsadzi.

Cyrusowi zaś powiedziała: *Well, you're the cutest jailbird I ever did see. Jesteś najmilszym ptaszkiem w klatce, jakiego widziałam.*

Po opuszczeniu więzienia Tihar Sangriowie poprzysięgają sobie, że uruchomią natychmiast międzynarodową akcję - sławy zbierające fundusze, pikiety przed ambasadami, waszyngtońskich lobbystów, oświadczenia - by jak najszybciej uwolnić tę wyjątkową istotę. Marco bezzwłocznie wrócił do Ameryki, by zorganizować kwaterę główną grupy nacisku. Natomiast Madonna została w Indiach, włożyła skromny samodziół i sznurkowe sandały, zmyła makijaż, zlikwidowała przedłużenia włosów, henną wymalowała sobie znaki na krawędziach dłoni i podeszwach stóp, jak panna młoda, i dwa razy tygodniowo odwiedzała Cyrusa, co stanowiło granicę możliwości regulaminu. Przepraszała za swój wygląd podczas pierwszego widzenia - rany, chyba wyglądałam jak dziwka, ale to jest moja kultura, ale nie chcę tu wypaść jak jakaś pomyłka, chcę się nauczyć, zaraz, co to za słowo, w porządku, pamiętam, tych dróg.

Dotychczas słuchaliśmy nie tego Kamy, co trzeba, pisała; pierwsze po powrocie z Indii felietony muzyczne, zaklepane przez całą pulę czasopism, miały zainicjować akcję Uwolnić Cyrusa. Teraz już pora odwrócić się od efemerycznych uproszczeń zamierzchłego Ormusowego rock'n'rolla i zwrócić ku głęboko kontemplacyjnej, ponadczasowej filozofii jego starszego brata. Jeżeli nie jesteśmy za starzy, by się uczyć, to od Cyrusa Kamy dowiemy się niejednego. PS Jest milutki jak gliniarz, lecz mężczyzn kochamy nie za te ich stalowe tyłki, prawda? Jasne, że jasne.

Podczas tej długiej światowej trasy VTO kampania na rzecz Cyrusa nabrała rozpędu. W Nowym Jorku Goddess Ma, zawsze świetnie zorientowana, skąd wiatr wieje, wyprowadziła się z Rhodope Building i potępiła Ormusa w jawnie Cyrusowych kategoriach. *Ormusowskie zacieranie różnic ras i odcieni skóry w interesie nienaruszalnego na Zachodzie dogmatu uniwersalności jest w istocie rzeczy ucieczką od własnego ja prosto w ramiona upragnionego, wielbionego Innego.* W sprawę Cyrusa wgryźli się prominentni prawnicy nowojorscy i hinduscy; zakłopotane

tym zainteresowaniem władze w Indiach sygnalizowały gotowość do elastycznych zachowań, a wreszcie Madonna Sangria zaproponowała interesujące wyjście. Posłuchaj mnie uważnie, powiedziała Cyrysowi, zaskakująco jak na nią podniecona. Wiem, że to jakby idzie za daleko, w twojej kulturze kobiety tak nie postępują, ale ja chyba jestem jakby, no nie, nie tak, chcę tylko powiedzieć, że jeśli za mnie wyjdiesz, w porządku, Cyrus?, wyjdiesz?, to możesz dostać amerykański paszport, to jest naprawdę duża sprawa, u o u!, wtedy cię pakujemy do samolotu i opiekujemy się tobą tam w domu.

Było to pod koniec 1995 roku, supergrupa VTO występowała w Ameryce Południowej, kończąc ostatni etap trasy; i wtedy, po pięciomiesięcznym namyśle, Cyrus Kama udzielił odpowiedzi.

Panno Madonno, ów fakt, że z początku zgodziłem się przyjąć pomoc, którą ofiarowała mi pani wraz z bratem, postrzegam dzisiaj jako słabość. Była pani taka piękna i wymowna, że pomyślałem, świetnie, jeśli oboje wierzą we mnie, to jestem gotów, oddam się w ich opiekę i opuszczę mój ukochany Tihar. Wiedziałem jednak przez cały czas, że wyjeżdżając z panią, poczuję się zobowiązany do zabicia pani, tak jest, pani i pani brata, a może i mojej własnej matki, która mnie wydziedziczyła, wreszcie mego brata Ardawirafa, a przy okazji wielu innych ludzi, by u kresu zaznać tego, co byłoby jedynym prawdziwym celem tej podróży: słodczy zamordowania mego młodszego brata Ormusa Kamy, do którego nienawiść zrujnowała mi życie.

Jak pani widzi, była to okoliczność w najwyższym stopniu kusząca. Lecz po stosownym namyśle postanowiłem odmówić. Jeszcze raz dziękuję pani za zainteresowanie, za wyznanie miłości, za wielkoduszną propozycję małżeństwa, za podarunki. Zwłaszcza chciałbym podziękować za zestaw wideo i taśmę z nagraniem koncertów brata oraz za nakłonienie władz więziennych, by wyraziły zgodę, wbrew regulaminowi, na korzystanie z tego sprzętu w mej lichej celi. Otóż przyjrzałem się uważnie nagraniu mego brata i przekonałem, że w gruncie rzeczy już opuścił ten świat. Proszę spojrzeć w jego oczy. Jest martwy, tkwi w piekle. Widzi więc pani, że ustały powody, by go zabić; zostałem już na zawsze zwolniony z nakazu ciężącego mi przez całe życie. W tak odmienionych warunkach popełnienie innych morderstw byłoby dla mnie szczytem złego smaku; mogę zatem szczęśliwie nadal pozostać w więzieniu. Składając podziękowania, życzę wszystkiego najlepszego.

Czas na ostatnie wydarzenia.

Po zakończeniu trasy z Podziemiem nastąpiła najsrońsza za naszej pamięci zima. Nie widywaliśmy Ormusa, Mira ani ja; zaszył się jak zwykle w Rhodope i nie zdradzał ochoty na kontakt. Jeżeli już myślałem o nim, to stawał mi przed oczami jako indiański wódz, który uznał, że pora umierać, nadszedł właściwy dzień, więc rusza na upatrzony skrawek ziemi, potem siada i czeka po prostu na anioła. Ale przez większość czasu skupiałem się na czym innym. Musiałem naprawić pewien związek. Powrót z trasy to dla muzyków w najlepszym razie nieprosta sprawa. Przywykli do własnego towarzystwa, do morderczego planu, niedospania, szlifowania parkietów w nocnych klubach wszystkich kontynentów, do bycia wędrownym centrum uwagi świata, do napięć przed wyjściem na estradę, wrzenia podczas występu, wyczerpania i osamotnienia po, do znudzenia muzyką i odkrywania jej na nowo, do powodzeń i niepowodzeń kapeli, do wszechobecnych sygnałów seksualnych, przelotnych romansów, poczucia wagarowania, do bycia pędzącymi wygnańcami, którym padają krople deszczu na głowę.

Jeszcze trudniejszy jest powrót muzyków, którzy zabrali w trasę małe dzieci. Tara Celano dorosła już do szkoły, chodzi do Little Red, rzecz w tym, że inne dziewczynki w jej wieku nawet dobrze nie wiedzą, jak wygląda Manhattan, tymczasem Tara zdążyła kilka razy objechać świat i widziała więcej, niż jest gotowa opowiadać, a to z obawy przed zranieniem idealistycznej, liberalnej wrażliwości nauczycieli.

Lecz ze wszystkiego najtrudniejszy jest powrót do ustabilizowanych związków, bo po z górą roku takiego wykorzenia sama myśl o stabilizacji zakrawa na mrzonkę, a w tym konkretnym przypadku zszargałem sobie reputację, o czym Mira wiedziała. Nie wykazałem dość zaufania (coś podobnego!), gdy chodzi o nią i kogoś innego. Zwątpiłem w jej wierność w tych wirach niewierności. Na tym polegał problem, z którym musieliśmy się zmierzyć.

Pamiętam pewną niedzielę w parku. Około Bożego Narodzenia rozpadał się śnieg i nieprzerwanie padał dalej. Tarę zachwyciły biel, przestrzeń i cisza po dwóch latach wrzawy, życia w przyczepie na zapleczu i bezustannych przeprowadzkach. Rzucanie śnieżkami sprawiło tej niedzieli, że uszczęśliwił ją dom, poczuła się szczęśliwa z nami, a jej uszczęśliwienie znów pchnęło nas ku sobie, odkryliśmy znaczenie wspólnej obecności w jej życiu, sens jej poważnych, ukrytych za psotami potrzeb. Takie są rodziny epoki nowoczesnej: sojusznicy z wyboru, w walce z trwogą i rozpaczą. Ta dziewczynka, dziecko jakiegoś zmarłego obcego, była dla mnie najbliższą istotą w przyszłości, którą wynalazłem sobie na świecie.

Mira objęła swymi dłońmi moją, ukrytą w rękawicy, i od tej chwili sprawy między nami już się zaczęły toczyć lepiej. Poszliśmy do kina, Nowy Jork demolowały jakieś potwory czy obcy (taki losandzeliński dowód troski o Manhattan), a potem wróciliśmy do domu, gdzie czekała poczta głosowa od Clei.

Umarła Spenta. W Anglii też było zimno i w białej rezydencji na wzgórzu nad Tamizą gromadka złożona z osiemdziesięcioletniej damy i jej “chłopców” grzała się w salonie przy przedpotopowym gazowym kominku. (Obaj, sześćdziesięcioletni Wirus i Waldo w pół drogi między czterdziestką a pięćdziesiątką, dawno już zapomnieli, że nie są braćmi jednej krwi, bo tutaj, prawdę mówiąc, powstały z wolna inne stosunki rodzinne, jako dzieło raczej okoliczności niż biologii.) Od lat już nie konserwowano systemu ogrzewania i tego wieczoru rozszedł się przewód pod poroższochanymi deskami starej, nie przykrytej niczym podłogi; wypływający gaz wpierw uspił łagodnie trójkę mieszkańców, a potem nastąpił wybuch; wielka rezydencja spłonęła do fundamentów, zajęło się jeszcze kilka pięknych dwustuletnich dębów. Od kiedy Spenta zamknęła się w odosobnieniu, a sprawy codzienne powierzyła Wirusowi i Waldo, dom niezmiernie podupadł; po pożarze ludzie z sąsiednich wiosek kiwali głowami z grymasem przygany. *Musiało do tego dojść, zgadzano się powszechnie. Ci synowie do niczego się nie nadawali. Powinna była wykazać więcej rozsądku.* A już utrata drzew, tu nikt nie miał wątpliwości, stanowiła dla okolicy prawdziwą tragedię.

W wiadomości od Clei nie było ani słowa o jakimś wspólnym opłakiwaniu zmarłej czy spotkaniu. Uznał, że chciałby pan o tym wiedzieć, zakończyła nagranie, ze względu na dawne czasy. Tak brzmiała ostatnia wiadomość od Ormusa.

Nie poleciał do Anglii na pogrzeb. Na otwarciu testamentu posłał kilku Singhów-prawników. Kiedy się okazało, że wraz ze Spenta zginęli jedyni wskazani przez nią spadkobiercy, zebrani kuzyni Methwolda przypasali miecze. Dom wprawdzie spłonął, lecz warto było wojować o grunty i akcje. Methwoldowie wpatrywali się w amerykańskich singho-prawników z nieukrywaną obawą i niesmakiem: znów ci Hindusi! Czy to się nigdy nie skończy? W tym momencie Singhowie z powagą oznajmili, że Ormus Kama zamierza zrzec się wszelkich praw do majątku Methwolda, potem wstali, złożyli uprzejmy ukłon i wyszli, zostawiając zebranych z szeroko otwartymi ustami; teraz pretendenci mieli już wolną rękę w toczeniu swych parafiańskich, niedorzecznych, krwawych i dzikich wojen.

Wprawdzie Ormus zachował dystans wobec matczynego grobu, ale śmierć

Spenty wstrząsnęła synem. Nazajutrz po odczytaniu testamentu powiedział Clei, że chce samotnie pospacerować po parku. Clea, przekonawszy się, że nie wyperswaduje Ormusowi przechadzki, pomogła mu włożyć parę dobrych śniegowców, ubrała w najcieplejszy płaszcz z granatowego kaszmiru, szyję owinęła miękkim szalem z paszminy, na wyciągnięte w potulnym geście starcze dłonie włożyła dziecięce rękawiczki, a na głowę, w akcie ukoronowania, ulubioną czapkę z chińskich królików, z kłapami na uszy, którą dawno temu Wina kupiła za szesnaście dolarów na Canal Street. Clea opuściła kłapy, zawiązała tasiemkę pod brodą, wspięła się na palce i pocałowała Ormusa w oba policzki. Dobry z ciebie człowiek, powiedziała. Matka byłaby dumna. Co oznaczało, że teraz myśli o sobie jako matce, którą w rzeczywistości była od lat, ale za życia Spenty nigdy by tych słów nie wypowiedziała. A oznaczały, że Clea kocha Ormusa i jest z niego dumna jak żadna matka na świecie.

Uśmiechnął się słabo, zjechał windą, przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył do parku.

Oczywiście, posłała za nim Willa, lecz w pewnej odległości, nie ważył mu się pokazać, kładła do głowy. Co nie było łatwe w dniu, w którym śnieg zmiotł z drogi wszystkie pojazdy, a po opustoszałych alejach ludzie sunęli do pracy na nartach. Nowy Jork wydawał się tego dnia najsympatyczniejszym miastem-widmem na świecie, a my graliśmy w nim rolę dygocących, zziębniętych duchów; był dekoracją filmową, a my zaledwie aktorami. Zdawało się, że rzeczywistość może być wszędzie tylko nie tu, w tym miejscu pobłogosławionym baśniową czapą śniegu.

Nie uszedł daleko. Było za zimno, miał wrażenie, że powietrze zamraza mu płuca. Po jakichś dwudziestu minutach zawrócił do domu różnym krokiem i w trzydzieści pięć minut po wyjściu znów dotarł pod wysokie, łukowato sklepione wejście do Rhodope Building. W tym zimnie nie było na zewnątrz pod markizą żadnego portiera. Wszyscy schronili się w środku.

W momencie, w którym Ormus doszedł przed Rhodope, po drugiej stronie ulicy nadchodzący właśnie Will Singh poślizgnął się na lodzie, upadł i skręcił prawą nogę. A jednocześnie wyłoniła się dosłownie znikąd wysoka ciemnoskóra kobieta o czerwonych włosach zebranych nad głową w czub podobny do tryskającej fontanny i podeszła do Ormusa. Zdumiewające, zważywszy pogodę, bo miała na sobie tylko złoty stanik obrzucony cekinami, obcisłe skórzane spodnie, a na nogach szpilki. Ramiona i brzuch były nagie.

Ormus Kama obrócił się ku niej i znieruchomiał. Jestem pewien, że na widok

tej kobiety rozszerzyły mu się oczy, więc musiał też zauważyć w jej ręce mały pistolet, który uniosła, by z najbliższej odległości opróżnić magazynek, mierząc mu w pierś. Potem pozbyła się broni; automatyczny giuliani&koch kaliber .09 mm upadł na śnieg obok leżącego ciała, kobieta zaś spiesznie odeszła, nadspodziewanie rącho mimo szpilek, skręciła w najbliższą przecznicę i zniknęła z oczu. Kiedy przeszyty bólem Will Singh dokuśtykał do rogu, nie było już nikogo. Tylko sznurek śladów kobiecych stóp na śniegu. W miejscu, gdzie się urywał, leżała czerwona peruka, skórzane spodnie, stanik z cekinami i para szpilek. Nic więcej. Żadnego samochodu. Żadnych świadków, ani w tym momencie, ani później. Jakby naga kobieta uleciała w powietrze z górnego Zachodniego Manhattanu, zniknęła i nikt nic nie zauważył.

Na broni też nie znaleziono śladów, chociaż Will Singh pamiętał (ale nie przysięgłby), że zabójczyni nie miała rękawiczek.

Zbrodnia doskonała.

Ormus zmarł w kilka minut później, z głową na kolanach Clei. Niespokojnie chodziła po holu tam i z powrotem, a kiedy usłyszała strzały, nie musiała pytać, w kogo mierzono. Wybiegła, by zobaczyć już tylko znikające za rogiem plecy, krzyknęła więc na Willa, by ruszył w pościg, lecz sama została z Ormusem świadoma, że w tak surowy dzień nie ma mowy, żeby karetka dotarła w porę, bo śpieszące się wozy wpadały na lodzie w poślizg nawet z łańcuchami na kołach, zresztą dziury w pięknym płaszczu Ormusa powiedziały jej wszystko; zbite gęsto jedna przy drugiej objaśniały, że tu nic nie pomoże.

Ormus, zatkała, on zaś otworzył oczy i spojrział na nią. Ormi, lamentowała, mój karzeleczku, co zrobić? Czego byś chciał? Czego ci trzeba?

Spojrział na nią zamglonym wzrokiem, ale nie odpowiedział. A potem zapytała zrozpaczona: Ormus, czy wiesz, kim jesteś? Czy nie? Czy jeszcze wiesz, kim jesteś?

Wiem, matko, odrzekł, wiem.

Ponieważ Ormusa zabito z takiej samej broni, z jakiej posiadaniem nie kryła się Mira, więc dwóch zakłopotanych detektywów poddało ją krótkiemu przesłuchaniu. Z racji szeroko kolportowanych plotek o moich szaleńczych napadach zazdrości, skutku tych zbliżeń Ormusa do Miry podczas trasy, przesłuchano i mnie, ze znacznie mniejszymi zahamowaniami. Ale nawzajem z Mirą potwierdziliśmy sobie alibi, dodatkowo mogła za nas poręczyć Tara, a próby wykazały, że pistolet Miry od lat nie wystrzelił. W końcu policja uznała, że dość przypadkową morderczynią, podobną do

zbląkanej kuli, musi być jakaś niezrównoważona kobieta, może jedna z rozczarowanych Wino-podobnych istot wysyłających nienawistne listy, a użycie tej akurat broni było albo zbiegiem okoliczności, albo rozmyślną próbą skierowania detektywów na fałszywy trop. Kiedy tę interpretację podano do wiadomości, liczne Winy płci obojga natychmiast przyznały się do zbrodni, lecz nikt się nie pokwapił sprawdzać ich wyznań.

Detektywi nie umieli rozwiązać zagadki zniknięcia zabójczyni. W najlepszym z domysłów przyjmowano, że miała współnika w budynku mieszkalnym przy ulicy, z której zniknęła; że jakoś dostała się do mieszkania, nie zostawiając śladów na śniegu, przebrała się i zbiegła. Może współnik (niczka?) czekał (ła) z miotłą, by *zatrzeć* ślady? Nawet detektywi przyznawali, że to wszystko jest zbyt wymyślne. Lecz cóż, kończyli wywód, popełnia się wiele morderstw, które na zawsze pozostają nie rozwiązana zagadką. I to jest właśnie jedna z tych zbrodni.

Jeśli mnie zapytacie, myślę, że była to Wina, prawdziwa Wina, sama Wina Apsara. Moja Wina. Nie: muszę się i z tym pogodzić, że była wciąż Winą Ormusa, zawsze i na zawsze. Myślę, że się zjawiała i zabiła, wiedząc, jak bardzo Ormus pragnie umrzeć. Skoro nie zdołał jej wyprowadzić spomiędzy zmarłych, ona zabrała go ze sobą, by był już przy niej, gdzie przynależał.

Takie jest moje zdanie. Racja, chyba zapomniałem dodać: powiedzmy, że.

Więc tak to było; w mroźny styczniowy dzień Mira Celano, jej córka Tara, Clea Singh i ja wystartowaliśmy w prywatnym helikopterze Mo Mallicka z lądowiska na Zachodnim Manhattanie, z urną z prochami Ormusa Kamy na kolanach Clei, by w ostatnim obrzędzie żegnać życie, które rozpoczęło się na drugim końcu świata, a toczyło naprawdę nie w tym czy innym miejscu, ale w muzyce.

(Na marginesie: Clea i Singhowie zostali w testamencie potraktowani szczerze; już nie zaznają głodu. Lecz prócz pokaźnej sumy dla Singhów całe pieniądze Ormusa wraz z kolosalnymi przyszłymi wpływami z tantiem za nagrania i prawa do wydań nutowych, ponadto z piekarniami, winnicą, nieruchomościami i krowami - krótko mówiąc, cały wielomilionowy majątek Kamy - przeznaczone zostały na założenie fundacji na rzecz wspierania dyskryminowanych dzieci na całym świecie, upamiętniającej Ormusa i Winę. Ten testament był jedyną wskazówką świadcząca o smutku Ormusa bezdzietnego z bezpłodną Winą. Niewiarygodna wielkość zapisu stanowiła miarę głębokiego, nie wypowiedanego żalu.)

Tara zabrała radioodtwarzacz. Głośniki wzmocniła do granic, by przebić się przez łoskot wirnika; zagrała ostatni kompakt VTO, z tą bajecznie wykonaną partią matki, a ja nie chciałem tłumaczyć małej, że moim zdaniem to nie jest dobry wybór, bo teraz powinna być z nami Wina. W dole widniało miasto skute lodem, spowite śniegiem, jeżące się i majestatyczne jak Himalaje. Park opustoszał, jeśli nie liczyć pary narciarzy i kilku samotnych, okutanych, podobnych do niedźwiedzi spacerowiczów. Fontanny i sztuczne jezioro zamarły, a kiedy tak patrzyłem z nieba, owinięty w tę zimę Manhattan wciąż wydawał mi się prezentem.

Pilot chciał już rozsypywać prochy. Clea z ociąganiem podała urnę i oto Ormus odleciał od nas, rozsunął się nad miastem, które kochał, był teraz maleńką ciemną chmurką rozwiewającą się nad wielką białą metropolią, aż cały zatracił się w bieli; zmieszał z nią i zniknął. Niechaj te prochy opadną na miasto jak pocałunki, pomyślałem. Niechaj z chodników i krzaków, na których leży, wszędzie piosenki. Niech będzie muzyka. Z muzycznej maszynerii Tary dobiegł głos Miry śpiewającej zakończenie *Dies irae*, a sama Mira siedząca u mego boku zawtórowała:

Królu tronu straszliwego

Który zbawić chcesz każdego

Zbaw z łaski i mnie grzesznego.

Nie wiadomo, dlaczego pomyślałem nagle o Persis Kalamańdzi, tej najpiękniejszej na świecie dziewczynie, o Persis, która dla Ormusa zachowała samą siebie i tym samym zatraciła. Znowu ją zobaczyłem, wciąż młodą i śliczną, wciąż na dachu dawno już zburzonego domu Dii Kusz na Wzgórzu Malabarskim w Bombaju, a nad nią wielobarwne indyjskie latawce wzbijające się i spadające, toczące zabawy i wojnę. Stój tam, gdzie jesteś, Persis, pomyślałem, niech ci nie drgnie ani jeden mięsień. Nie starzej się, nie zmieniaj. W porządku, zamieńmy się w popiół i dajmy rozsypać na wietrze, ale ty, Persis, stój tak na zawsze, milcząc, w podmuchu wieczornego wiatru znad morza i wpatruj się w tych tancerzy na niebie. Chcę myśleć o tobie w ten sposób: wieczna, niezmienna, nieśmiertelna. Zrób to dla mnie, Persis. Patrz na te radosne latawce, nie spuszczaaj ich z oka.

Czytam w dzisiejszej gazecie, że znów zastrzelili piosenkarza *raj*. Na świecie jest coraz więcej okolic, z których usiłuje się doszczętnie wymieść śpiew, gdzie można

zginąć za zanucenie melodii. Tego akurat piosenkarza ostrzeżono, że lepiej zrobi, ruszając na wygnanie, więc zamienił dom w północnej Afryce na celę bez okien w Marsylii. A jednak mordercy dopadli go i tam. *Pif! Paf!* Czytam teraz nekrolog “Timesa” i myślę, co za wspaniały świat.

Raj to muzyka. Raj to bezbożnie zakazane brzmienie radości.

Niedawno ziemia zatrzęsała potężnie włoskim Asyżem i miasto przodków Miry porządnie oberwało. Słuchając tej wiadomości, nie pomyślałem o żadnych wojnach ani bombach tektonicznych, ale o Marii z innoświata i jej nauczycielce, która z takim spokojem mówi do kamery wideo, kiedy wokół wali się jej świat. Chyba znów się zaczyna, pomyślałem. Jakaś inna odmienna wersja na kolizyjnym kursie i zaczynamy odczuwać pierwsze wstrząsy poprzedzające zderzenie. Może tym razem to my nie przetrwamy Wielkiego Łomotu, chociaż okazaliśmy się tacy odporni i tyle zdołaliśmy przetrzymać. Ale może nie warto wdawać się w hipotezy, nie warto wyobrażać sobie jakiejś innej rzeczywistości, która strzaska naszą. Przypuśćmy, że ziemia po prostu rozchorowała się od naszej chciwości, próżności, okrucieństwa, bigoterii, nieudolności i nienawiści, ma dość naszego mordowania śpiewaków i innych niewinnych istot. Przypuśćmy, że ziemia przestała na nas polegać; albo doszła do wniosku, że pora otworzyć paszczę i połknąć nas, pochłonąć tę całą naszą marność. Jak kiedyś Zeus, który zgładził ludzką rasę, a potop przetrwał tylko Deukalion, by powierzchnię globu zaludnić istotami ani gorszymi, ani lepszymi od zmarłych.

Dziś wstałem późno, parzy się kawa, wyciskam sok z pomarańczy, miło pachną podpiekane właśnie jagodzianki. Jest weekend. Gdzieś za sobą słyszę Mirę i Tarę, spierają się, śmieją, błaznują z Cerberusem, kundlem Tary, pełnym wdzięku starym włóczykijem, którego chyba przygarniemy. Zaraz się tu pokażą. Teraz wszyscy mieszkamy w Orpheum - po śmierci Basquiata Mira zajęła jego piętro, więc mamy masę miejsca - i sprawy stoją dobrze, naprawdę dobrze. Nie twierdzę, że nie ma problemów, bo są, głównie te tradycyjne, w związku z następnym dzieckiem, ale na opak, bo to ja go chcę. Mira ma już jedno, a jej kariera rozwija się wręcz lawinowo, pierwszy solowy album *Po tobie* w ciągu paru tygodni zdobywa platynową płytę, Mira właśnie skończyła zdjęcia do nowego filmu, jest dosłownie zasypywana propozycjami. Nie najlepsza pora na ciążę czy coś w tym rodzaju, mówi Mira. Lecz rozmawiamy o tym. I nie przez grzeczność. Istnieje taka sprawa.

Jest także moja przeszłość. Zdaniem Miry wcale nie wyzbyłem się Winy do

końca. Sądzi, że po cichu wciąż porównuje: fizycznie, psychicznie, wokalnie. Mówię, że jeśli porównuję, to mimowolnie, i robię, cholera, co mogę, żeby z tym skończyć. Mira jest cierpliwa, więc cierpliwie czeka na ów dzień.

No i jest Tara: Tara, którą kocham. Jak to jest, że dorasta, i widzę na jej głowie grube, twarde jak druty, sprężyste włosy Winy; nie mam pojęcia, jak to jest, że ma cerę znacznie ciemniejszą niż matka. Może nie nie słyszeliśmy o tej czy innej babce Luisa Heinricha? W każdym razie łączy nas z Tarą wspólny ważny rys: od zawsze i na zawsze otoczeni śpiewakami, sami nie potrafimy czysto zaśpiewać ani jednego dźwięku. Czyni to z nas sprzymierzeńców, muszkieterów do grobowej deski wśród nieustannych kpiniek zachwyconej sobą melolunatycznej elity.

Po tobie, tytułowa piosenka albumu, to elegia Miry dla Ormusa. Byłeś tym obcym i ciebie szukałam, śpiewa, wędrowcem wsłuchanym w wezwanie; byłeś tym, który zmienia świat z ciała i krwi, dziś jesteś zdjęciem na ścianie; po tobie tylko obcość, tyle po tobie zostanie.

We wszystkich starych opowieściach pojawia się w różnych wariantach sytuacja, po której bogowie już nie dzielą życia ze śmiertelnymi mężczyznami i kobietami, lecz umierają, schną, znikają, schodzą na dalszy plan albo postanawiają odpocząć. Opuszczają scenę, pozostawiając nas samotnych, do końca dukających swe role. Oto, wskazuje mit, nasza dojrzała cywilizacja: obszar, na którym bogowie przestają się rozpychać, spędzają nas na bok, uwodzą nam kobiety i posługiwać się naszymi armiami, by kąpać we krwi naszych dzieci własne parszywe spory; to czas, kiedy - wciąż lubieżnie łypiący okiem, wciąż wzwodliwi, wciąż nieobliczalni - przenoszą się z królestwa rzeczywistości do, powiedzmy, swoich Walhalli, na Olimp, pozostawiając nam tu wolną rękę w czynieniu jak najlepiej lub jak najgorzej, bez autokratycznego wtrącania się w cudze sprawy.

Dzięki temu, że byłem tak blisko miłości Ormusa i Winy, nabyłem wiedzy o tym, co mityczne, przechodzące oczekiwania, boskie. Teraz ich nie ma, tragedia skończona. To, co zostało, to zwykłe ludzkie życie.

Spoglądając na Mirę i Tarę, moje wyspy podczas sztormu, mam wrażenie, że toczę spór z gniewnym postanowieniem ziemi, by nas wymazać (jeśli takie postanowienie, rzecz jasna, zapadło). Oto dobroć i wartość, prawda? Okaleczenia postępują, nie przeczę, lecz damy sobie radę. Cnota, która popija sok pomarańczowy i pogryza jagodzianki. Oto pod moimi stopami zwykła ludzka miłość. Rozstąp się, jeśli

musisz, ziemio wzdardliwa; kołysz się, drzyj, roztapiaj, tężej. Stoję na swoim, tu i teraz. To właśnie odkryłem, wypracowałem, na to zasłużyłem. To moje.

Tara nie wypuszcza z rąk pilota. Podczas śniadania nigdy nie oglądam telewizji, ale to jest dziecko amerykańskie, nie do powstrzymania. A dzisiaj jakimś cudem we wszystkich programach kablówki wciąż Ormus i Wina. Może to jakiś weekend poświęcony VTO, a ja nic o tym nie wiem? Nie do wiary, mówi Tara, wciąż skacząc z kanału na kanał. Nie dhoo whhiarry. No nie, błhhaghham. Więc tak to będzie teraz i na zawsze? Rzekomo zmarli, pomyślałem, fakt, ale w prawdziwym życiu będą wciąż śpiewać.

Podziękowania od tłumacza

Zawsze gotowym służyć czasem i radą, Michałowi Błażejowskiemu, Andrzejowi Ceynowie, Przemkowi Dyakowskiemu, Ewie Obniskiej, Alkowi Szostakowi, pani Urszuli Płużyńskiej, dziękuję za pomoc, dzięki której udało się w tym przekładzie rozgryźć niejedną orzech.

Tłumacz

Słowniczek*

[* Słowniczek opracowała Monika Browarczyk; hasła oznaczone (W. B.) opracował Wojśław Brydak.]

Adżanta - miejscowość w indyjskim stanie Maharasztra, gdzie znajdują się słynne buddyjskie jaskinie ozdobione freskami z okresu II w. p.n.e.VII w. n.e. (wpisane na listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO).

afery korupcyjne - w latach siedemdziesiątych Sandżaj Gandhi zapalił się do projektu produkowania w Indiach samochodu skonstruowanego w kraju z części wyłącznie indyjskich, otrzymał koncesjonowane tereny (w stanie Harijana) oraz preferencyjne warunki ze strony rządu indyjskiego. W tym nieudanym interesie utopił mnóstwo pieniędzy państwowych. W latach osiemdziesiątych rozpisano przetarg na zakup przez Armię Indyjską haubic, potem oskarżono Radżiwa Gandhiego, lub przynajmniej jego żonę Sonię (z pochodzenia Włoszkę), o przyjęcie łapówki za zapewnienie kontraktu (afery Dział Szwedzkich). W latach dziewięćdziesiątych ówczesny premier Narasimha Rao został oskarżony o przyjmowanie pokaźnych łapówek od animatora rynku dokonującego oszustw giełdowych na ogromną skalę.

agni - z sanskrytu: ogień, również imię boga ognia.

Ahura Mazda - najwyższe bóstwo w parsyzmie, dosłownie Pan Mądry, stwórca świata i ładu kosmicznego.

aja - z hindi: opiekunka, piastunka, niania.

ajurweda - tradycyjna medycyna indyjska, w starożytności uznawana za jedną ze świętych nauk.

Akbar (1542-1605) - z arabskiego: Wielki, indyjski władca z dynastii Mogolów. Był mecenasem nauk i sztuk pięknych, szanowany za tolerancję i szacunek wobec wszystkich religii. Stworzył własną religię, która łączyła elementy islamu i hinduizmu.

ama - z sanskrytu, tu: choroba.

Ambedkar, Bhimrao Ramji (1892-1956) - indyjski polityk, prawnik, uczestnik ruchu niepodległościowego, współtwórca konstytucji. Wywodził się z niedotykalnych, był rzecznikiem i obrońcą ich praw; rozpowszechnił termin dalit (prześladowany), obecnie najpopularniejszy termin na samookreślenie przez niedotykalnych.

amesza spentowie - w parsyzmie "nieśmiertelni święci", dobre moce,

archaniołowie, emanacje Ahura Mazdy, najwyższego Boga.

Angra Mainju - w parsyzmie Zły Duch, uosobienie zła, ciemności, kłamstwa, zniszczenia i wróg dobra. Toczy odwieczną walkę z Ahura Mazda przy pomocy demonów; skazany na ostateczną klęskę, kiedy nadejdzie koniec świata i zwycięży dobro.

Anguthijon ka Seth - w hindi: *Władca Pierścieni*.

apsara - żeńska istota półboska. Apsarasy mieszkają w niebie i służą bogom jako tancerki i kurtyzany, są wiecznie młode i piękne, pełne uroku, któremu trudno się oprzeć nawet bogom, demonom czy ascetom, mogą zmieniać swoją postać. Często zstępują na ziemię, lubią wodę, więc zamieszkują na brzegach rzek lub jezior. Istnieje wiele legend o najczęściej tragicznych dziejach miłości apsaras i śmiertelników, które kończą się nagłym powrotem apsaras do nieba.

aranżowanie małżeństw - w Indiach rodzice wybierają swoim dzieciom żonę lub męża, zgodnie z odpowiednią kastą, religią i statusem społecznym. W większych miastach czy wśród wykształconych zdarzają się małżeństwa z miłości, ale młodzi, dokonując samodzielnego wyboru, muszą się czasem liczyć z zerwaniem kontaktów z rodzinami, co w społeczeństwie indyjskim opartym na silnych więziach rodzinnych umieszcza ich na marginesie, pozbawia wsparcia.

arę - w hindi wykrzyknik: hej!, ach!, o!

art dekho - art deco przerobione na grę słów: art (po angielsku: sztuka) i dekho (w hindi: patrz), czyli "patrz na sztukę" lub "patrz sztuka".

Attar (114271220) - poeta perski, jeden z najwybitniejszych poetów i myślicieli muzułmańskiego mistycyzmu (sufi). Jego najbardziej znane dzieło to *Mantigh ottajr* ("rozmowa ptaków"), poemat alegoryczny opisujący wędrówkę ptaków (symbolizujących adeptów sufi) w poszukiwaniu mitologicznego Simorga (Feniksa), którego chcą uczynić królem (symbol Boga). Pod koniec długich i męczących poszukiwań ptaki, które wytrwały, oglądając swoje odbicia w królewskim tronie, zdają sobie sprawę z tego, że one i Simorg to jedno.

awatara - z sanskrytu, zstąpienie boga na ziemię, wcielenie, inkarnacja bóstwa, dla podtrzymania ładu we wszechświecie, walki ze złem i opieki nad ludźmi.

Awesta - święta księga parsyzmu, powstała ok. VI w. p.n.e. w języku staroirańskim; większość oryginalnego tekstu uległa zniszczeniu, przetrwało około jednej czwartej.

bakra - z hindi: koziół. **bakri** - z hindi: koza. **bakwas** - z hindi, tu: bzdura.

barsat ka satta - z hindi: barsat - pora deszczowa; satta - siódemka w kartach lub w grze w kości, ka - postpozycja dzierżawcza.

Bhagawadgita - poemat filozoficznoetyczny, wchodzi w skład *Mahabharaty* (ks. VI), jego znaczenie i popularność wśród hindusów można porównać ze znaczeniem i popularnością Biblii wśród chrześcijan. Polskie tłumaczenie J. Sachse, *Bhagawadgita, czyli Pieśń Pana*, 1988.

Bharat - rodzima nazwa Indii, wywodzi się od jednego z plemion Arjów (Bharatów).

Bharat Ratna - z sanskrytu: Klejnot Indii, najwyższe odznaczenie państwowe przyznawane za szczególne zasługi dla Indii.

bhel - pełna nazwa: bhelpuri, dmuchane placuszki, przypominające kulkę, puste w środku, smażone w głębokim oleju, popularna przekąska szczególnie w Mumbaju i stanie Maharashtra, często jedzone razem z ćaną.

Bhimadewa (1179-1242) - jeden z władców dynastii Čalukjów.

bhindi - rodzaj warzywa bardzo popularnego w Indiach (*Hibiscus esculentus*), nazywanego po angielsku *lady's fingers*, palce damy, bo wyglądem przypomina smukłe zwięzające się palce.

Bhindranwale, Jarnail Singh (1946-1984) [tu jako Wagahwale] - separatysta sikhijski, przywódca zbrojnych sikhijskich oddziałów terrorystycznych walczących o niepodległe państwo sikhów (Khalistan). Od początku lat osiemdziesiątych siał krwawy terror w Pendźabie, nieformalnie rządził tym stanem; zginął wraz ze swoimi zwolennikami w 1984 r. w Złotej Świątyni, która była jego siedzibą, w starciu z wojskami indyjskimi.

bhodźpuri - jeden z dialektów języka hindi, rozpowszechniony w stanie Bihar w Indiach wschodnich.

bidi - inaczej birhi, lokalne indyjskie papierosy, tytoń zawijany w wysuszone liście lub papier.

bidri - inkrustacje z metalu w metalu innego koloru.

bodhisattwa - w buddyzmie istota dobrowolnie zrzekająca się oświecenia, aby pomagać innym w jego osiągnięciu, przez co wyraża swoje nieskończone współczucie.

boi - z hindi: słowo, dźwięk; wyśpiewywane lub recytowane układy sylab. W muzyce służą do kodowania odpowiednich rytmów / uderzeń dla bębnów, w śpiewie do wyrażania emocji bez używania liryki, w tańcu do zapamiętania sekwencji ruchu.

Bollywood - nazwa części Bombaju, jednego z największych w Indiach ośrodków produkcji filmowej (ponad 200 filmów rocznie).

Bombaj - stolica stanu Maharasztra w Indiach zachodnich; rozwinął się z osady rybaków Koli, w 1996 r. przemianowany na Mumbai. Inicjatorem zmiany była Śiw Sena, miało to być symboliczne zerwanie z kolonialną przeszłością i powrót do korzeni. Pierwotnie osada, z której powstało miasto, nazywała się Mumbai od imienia bogini Mumba, której świątynia się tam znajdowała. Portugalczycy przekreślili nazwę rodzimą i w takiej postaci odziedziczyli ją Anglicy.

Bombaj Saćiwalaj - w hindi: Sekretariat Bombaj ski.

Brama Indii - kolonialna budowla przypominająca łuk triumfalny, wzniesiona w Bombaju dla upamiętnienia wizyty króla Jerzego V w 1911 r., znajduje się na Nabrzeżu Apollińskim.

Bundahiszn - "Opowieść o początkach", tekst z IX w. oparty na zaginionych częściach *Awe sty*.

Calzabigi, Ranieri (1714-1795) - librecista włoskiej (pierwszej) wersji *Orfeo ed Euridice* (1762) Christopha Willibalda Glucka (W. B.).

Czinwant - w parsyzmie most podziału, na nim po śmierci dokonuje się podział ludzi na dobrych i cnotliwych, którzy przejdą po nim do miejsca szczęśliwości, i złych, którzy udadzą się do miejsca ciemności.

cztery szlachetne prawdy - doktryna w buddyzmie, odkryta przez Buddę w czasie oświecenia. Cztery prawdy mówią o cierpieniu, jego przyczynie, zniweczeniu cierpienia i drodze prowadzącej do jego zniweczenia.

ćalta hai - z hindi, tu: idzie, ujdzie.

Ćalukjowie - dynastia panująca w Bekanie między V a XII w.; rozbita na wiele odgałęzień.

ćambeli - z hindi: jaśmin.

ćana - cieciorka (groch włoski) smażona z przyprawami i / lub warzywami, popularna przekąska szczególnie w indyjskim stanie Maharasztra

ćapati - rodzaj okrągłych placków z mąki i wody (przypominają podpłomyki), w Indiach północnych niezbędna część posiłku.

ćaprasi - z hindi: goniec, stróż.

ćaul - kamienica z tanimi mieszkaniami na wynajem.

ćawanni - monety o nominale czterech an.

ćhatri - z hindi: baldachim, parasol; w Indiach symbol władzy, wysokiego

statusu społecznego.

ćhokra - z hindi: chłopiec, młodzieniec.

Dalajlama - duchowy przywódca Tybetu, uważany za ziemskie wcielenie jednego z bodhisattwów (Awałokiteśwary). Obecny XIV Dalajlama (ur. 1935 r.) od 1959 r. przebywa na przymusowej emigracji w Indiach północnych w Dharamśali (inaczej w Dharmasali), zmuszony do opuszczenia Tybetu z powodu zajęcia go przez Chińczyków i ich wyniszczającej naród tybetański i jego kulturę polityki. Jest najlepszym i najbardziej zaangażowanym rzecznikiem poprawy losu Tybetańczyków.

Desai, Morardźi Ranćhodźi (Morarji Ranchhodji Desai) - członek ruchu niepodległościowego, polityk Indyjskiego Kongresu Narodowego, w latach 1967-1969 wicepremier, w latach 1977-1979 premier Indii.

dewowie - w parsyzmie złe moce, takie jak zawiść, zazdrość, nienawiść, chciwość itp., stworzone przez Angrę Mainju do walki z dobrem.

dhaba - z hindi: tania jadłodajnia.

dhobi - z hindi: pracz, członek jednej z kast niedotykalnych.

dhol - indyjski instrument perkusyjny, rodzaj dwustronnego bębna, na którym gra się pałeczkami, popularny na wsiach.

dii - z hindi, tu: serce.

do, tin - w hindi: dwa, trzy, tu: kilka.

dosza - według tradycyjnej medycyny indyjskiej trzy elementy w ciele ludzkim, zachwianie równowagi między nimi powoduje chorobę.

dudhwala - z hindi: mleczarz, sprzedawca mleka.

dźopadpatti - tu: slumsy, rzędy chat, szałasów, zbudowanych z czego się da.

Elefanta - wyspa położona w pobliżu Mumbaju, słynna z wykutych w skale świątyń, powstałych między V a VIII w.

filmi gana - z hindi: filmowa piosenka, która jest niezbędnym elementem komercyjnych filmów indyjskich.

Front Wyzwolenia Gęsistanu - w oryginale Goosistan Liberation Front, aluzja m.in. do działających w Indiach separatystycznych organizacji, takich jak Jammu and Kashmir Liberation Front (Front Wyzwolenia Dżammu i Kaszmiru), który skupia kaszmirskich terrorystów, żądających powstania niepodległego państwa

Kaszmir, obejmującego część Indii i Pakistanu. Przeprowadzają terrorystyczne akcje, m.in. porwania obcokrajowców.

Gajomart - według parsizmu, pierwszy człowiek stworzony przez Ahura Mazdę; po jego zniszczeniu przez Angrę Mainju (Złego Ducha) Ahura Mazda stworzył inkarnację Gajomarta, która ponownie padła ofiarą Angry Mainju, z ciała Gajomarta powstały ziemskie minerały i metale, a z jego złotego nasienia narodziła się rasa ludzka.

gali - z hindi, tu: przekleństwo.

Gandhi, Indira Prijadarśini (Priyadarshini) (1917-1984) - córka Dżawaharlala Nehru, polityk i przywódczyni Indyjskiego Kongresu Narodowego, doprowadziła do dwóch jego rozłamów (w 1969 i 1978 r.), wieloletni premier Indii (w latach 1966-1977 i 1980-1984). W 1975 r. po oskarżeniu o nadużycia w kampanii wyborczej w 1971 r. i aby powstrzymać rosnący sprzeciw wobec jej coraz bardziej autorytarnych rządów, doprowadziła do wprowadzenia w Indiach stanu wyjątkowego (prześladowania opozycji, manipulowanie sądami, cenzura mediów). Zamordowana przez sikhów z własnej straży przybocznej podczas przechadzki w ogrodzie swojej delhijskiej rezydencji w odwecie za wkroczenie oddziałów wojska indyjskiego do najświętszej świątyni sikhów (patrz Złota Świątynia).

Gandhi, Radźiw (Rajiv) (1944-1989) - syn Indiry Gandhi, był pilotem Indian Airlines, początkowo zgodnie z wolą matki nie zajmował się polityką, zostawiając tę dziedzinę swemu młodszemu bratu, po jego śmierci zajął miejsce politycznego doradcy i następcy matki; od 1984 r. premier Indii, zginął w zamachu, w czasie kampanii wyborczej, aktywistka Tamilskich Tygrysów wręczyła mu girlandę z ukrytą bombą (patrz afery korupcyjne).

Gandhi, Sandźaj (Sanjay) (1946-1980) - młodszy syn Indiry Gandhi, promowany przez nią jako jej polityczny następca, miał duży wpływ na politykę indyjską jako najbliższy doradca pani premier, zginął nagle i tragicznie w wypadku samolotowym, nie udowodniono próby zamachu. Jego rozsądek i odpowiedzialność polityczną świetnie ilustruje przeprowadzana w czasie stanu wyjątkowego z jego inicjatywy (lata 1975-1977) sterylizacja na siłę. Dokonywano jej głównie w Indiach północnych, po kraju jeździły autobusy z przenośnymi gabinetami zabiegowymi, wyłapywano mężczyzn, a w nagrodę za przejście sterylizacji wręczano im radyjka tranzystorowe. Miał to być sposób Sandźaja na wypełnienie ustalonych wcześniej limitów liczby osób poddanych sterylizacji, które założono w ramach programu kontrolowania urodzin.

Ganeśa - syn boga Siwy i jego żony, bogini Parwati, bóg obfitości, mądrości i

opiekun nauki, zapewnia również powodzenie i sukces, usuwa przeszkody, wszelkie ceremonie religijne w hinduizmie zaczynają się od zwrócenia się do Ganeśi, przywołuje się go również, podejmując inne ważne przedsięwzięcia, mając nadzieję, że opieka Ganeśi zapewni powodzenie. Według jednej z legend Ganeśa został stworzony przez samą Parwati z pyłu lub piany, aby strzegł jej w kąpielu; kiedy Ganeśa próbował powstrzymać przed wejściem samego Siwe, ten rozłoszczony obciął mu głowę, ale potem widząc rozpacz swojej żony, obiecał ożywić go przez przywrócenie mu głowy pierwszej napotkanej istoty, którą okazał się słoń. Ganeśa wyobrażany jest jako tęgi mężczyzna z głową słonia.

gańdża - z hindi: konopie indyjskie.

gazel - śpiewany utwór poetycki, wywodzi się z tradycji perskiej, zdobył ogromną popularność w Indiach i Pakistanie, słowa utworu najczęściej dotyczą miłości.

Gęsie Brygady - w oryginale Goose Sena, aluzja do Śiw Sena ("armia Siwy"), skrajnie nacjonalistycznej organizacji hinduskiej, głoszącej hasła typu: "Indie dla hindusów" itp.

gharara - rodzaj kobiecego ubrania, szeroka, długa i mocno marszczona spódnica.

gillidanda - indyjska gra, w której gra się dwoma patykami, krótszym (gilli) uderza się w dłuższy (danda).

Gondwana - po polsku zarówno nazwa historycznego obszaru w Indiach (drawidyjscy Gondowie, język Gondi), jak i prakontynentu, z którego ukształtowały się Afryka, Ameryka Południowa i Australia (po angielsku odrębna nazwa *Gondwanaland*) (W. B.).

guru - z sanskrytu: mistrz i nauczyciel, szczególnie duchowy. **gymkhana** - z hindi: stadion.

halwa - nazwa słodkiej potrawy, indyjskiego deseru przyrządzanego najczęściej z kaszy manny, mleka, bakalii i dużej ilości cukru.

hamal - w hindi: tragarz lub portier.

haridżanowie - "dzieci Boga", terminem tym Mahatma Gandhi określał niedotykalnych, prowadził on kampanię na rzecz polepszenia ich statusu w Indiach.

Harun arRaszid (766-780) - kalif, przyczynił się do największego rozkwitu kalifatu, bohater wielu opowieści z *Księgi tysiąca i jednej nocy*.

hidżra - hermafrodyta, w Indiach określenie osoby łączącej cechy obu płci,

może to być mężczyzna przebierający się za kobietę, osoba posiadająca cechy obu płci lub mężczyzna pozbawiony organów płciowych. Hidźrowie mieszkają w grupach, czasem świadczą usługi seksualne. Otwarcie i przesadnie demonstrują swoją seksualność. W czasie pewnych obrzędów w hinduizmie, szczególnie tych związanych z płodnością (jak śluby czy narodziny dziecka itp.), obecność hidźrów uważana jest za dobrowróżbną.

hindustani - forma języka potocznego używanego w Indiach północnych i na Półwyspie Dekkańskim, oparta na jednym z dialektów hindi, rozpowszechniona w Indiach wraz z rozszerzaniem się zasięgu władzy muzułmańskiej (XIII-XVIII w.). Z hindustani rozwinęło się hindi (zapisywane w dewanagari, ze słownictwem głównie sanskryckim) i urdu (zapisywane w zmodyfikowanym alfabecie arabskim, ze słownictwem i elementami gramatyki perskiej i arabskiej).

Holi - hinduskie święto, które wypada w lutym lub marcu (data ustalana jest według kalendarza księżycowego), podczas którego ludzie oblewają się barwioną wodą i obsypują kolorowymi proszkami. Ma przypominać radosne i swawolne zabawy boga Kryszny z pasterkami.

hugma (w oryginale **hugme**) - skrót stworzony przez autora z pierwszych liter języków: hindi, urdu, gudźarati, marathi, English (angielski). W konstytucję indyjską (weszła w życie w 1950 r.) wpisanych jest piętnaście głównych języków, które są językami urzędowymi poszczególnych stanów. Językiem urzędowym Republiki Indii są hindi (o największej liczbie użytkowników) i angielski. Poza tym mieszkańcy Indii posługują się około 900 różnymi dialektami. Taka sytuacja wymusza wielojęzyczność, przeciętny mieszkaniec Indii często posługuje się co najmniej dwoma językami. Takie zjawisko można zaobserwować szczególnie w wielkich miastach, gdzie kontakt użytkowników różnych języków jest nasilony z powodu dużego napływu ludzi z różnych części Indii. Mieszkańcy miast posługują się więc często językiemhybrydą, mieszając słowa czy gramatykę różnych języków. W Mumbaju spotyka się ludzi posługujących się hindi (językiem urzędowym w Delhi i stanach: Bihar, Harijana, Himaćal Pradeś, Madhja Pradeś, Radźasthan, Uttar Pradeś), urdu (najpopularniejszym językiem muzułmanów indyjskich), marathi (językiem urzędowym stanu Maharashtra, którego stolicą jest Mumbaj), gudźarati (językiem urzędowym sąsiadującego z Maharashtra stanu Gudźarat) i angielskim.

Ibn Battuta (1304-1369) - podróżnik arabski, w latach 1325-1354 odwiedził wiele krajów w Azji (m.in. Indie, Chiny i Persję) i Europie (m.in. Rosję), swoje

wrażenia opisał w dziele *Osobliwości miast i dziwy podróży*.

Indra - w okresie wedyjskim jedno z najważniejszych bóstw, król bogów i bóg wojny, władał gromem i błyskawicą; później stracił czołową pozycję i stał się bogiem burzy oraz strażnikiem jednej ze stron świata (wschodu).

itr - z hindi: perfumy, esencje, pachnidła.

Jasna - należy do ksiąg tak zwanej *Młodszej Awesty*, zawiera psalmy liturgiczne i hymny do dziś używane przez parsyjskich kapłanów.

jatra - z sanskrytu, tu: pielgrzymka.

Kajlasa - góra w Himalajach, uważana w hinduizmie za siedzibę boga Siwy. W Elurze w Indiach znajduje się słynna świątynia Kajlasa, ma ona przedstawiać wyobrażenie góry. Jest potężną, wykutą w skale świątynią (dwa razy większą od Partenonu). Nosi również nazwę świątyni Kajlasanathy, czyli Pana Kajlasy, Siwy.

kalijuga - w hinduizmie ostatnia i najgorsza z czterech epok (juga), w której świat ogarnia zło, wojny i zniszczenie, trwa teraz.

Kalki - ostatnie wcielenie boga Wisznu, ma się pojawić na ziemi, aby zniszczyć świat pod koniec kalijugi; wyobrażany jako jeździec na białym koniu z ognistym mieczem, sprawiedliwie nagrodzi dobrych, a ukaze złych.

Kama - z sanskrytu: pożądanie, pragnienie, przyjemność, miłość, zwłaszcza zmysłowa. Imię boga miłości, pięknego młodzieńca, który wzbudza miłość, strzelając w serca z łuku z trzciny cukrowej lub kwiatów, o cięciwie z roju czarnych pszczoł. Jego żonami są Rati (z sanskrytu: rozkosz) i Priti (z sanskrytu: przyjemność). Pewnego razu Kama próbował strzelić ze swego łuku do medytującego boga Siwy, żeby wzbudzić w nim uczucie do Parwati, rozgniewany Siwa spopielił ciało Kamy jednym spojrzeniem swojego trzeciego oka, rozpacz i błagania Rati skruszyły jego serce i przywrócił Kamie ciało.

Kamaradź (Kamaraj), Kumaraswami (1903-1975) - mąż stanu i polityk Indyjskiego Kongresu Narodowego, przyczynił się do wybrania Śastriego i Indiry Gandhi na premierów; odsunięty od władzy w Kongresie przez Indirę Gandhi w 1969 r., wraz z grupą starszych działaczy Kongresu planował usunięcie jej, czego skutkiem był rozłam w Kongresie. Kamaradź pochodził z niskiej kasty, zdobywał dla Kongresu poparcie kast niskich i niedotykalnych.

Kamasutra - traktat o teorii i praktyce sztuki miłosnej, powstał ok. III w., przypisuje się go Watsjajanie, przekład polski M. K. Byrski, *Kamasutra, czyli traktat o milowaniu*, 1985.

karnatik - klasyczna muzyka indyjska dzieli się na Hindustani (z północy Indii) i karnatik (z południa subkontynentu). Na rozwój stylu hindustani duży wpływ miała muzyczna tradycja muzułmanów, natomiast styl karnatik pozostał bardziej rodzimy.

kasta - grupa społeczna o dziedzicznej przynależności. Wszystkie kasty mają ustaloną pozycję w hierarchii usankcjonowanej religią. Przynależność do kasty określa rodzaj zajęcia, który można wykonywać, jak również zasady żywieniowe (rodzaj pożywienia i najczęściej obowiązek przestrzegania zasady współbiesiadnictwa), w większości kast obowiązuje również endogamia. Wykroczenie poza te ścisłe normy może doprowadzić do wykluczenia z kasty.

Kaurawowie - stu braci, w *Mahabharacie* przeciwnicy Pandawów.

kawwali - wierszowane utwory wyśpiewywane przy akompaniamencie klaskania, opowiadają o miłości do Boga, ale również o radościach i smutkach życia.

Khadźuraho - wioska w stanie Madhja Pradeś w Indiach północnych, dawna stolica królów z dynastii Candelów (IX - XI w.), którzy wybudowali w niej 85 świątyń. Do dziś w dobrym stanie zachowało się ok. 20 bogato rzeźbionych budowli słynnych ze zmysłowych, a nawet erotycznych rzeźb.

Khalistan - "państwo czystych", nazwa państwa sikhijskiego, o którego powstanie walczą skrajne organizacje sikhijskie zarówno w Indiach, jak i za granicą. Poza Indiami działa ok. 30 organizacji sikhijskich popierających ideę Khalistanu, część z nich to grupy terrorystyczne, np. Dal Khalsa, Nankana Sahib czy Babar Khalsa (rekrutuje sikhów do Armii Wyzwolenia Khalistanu, przeprowadza samobójcze zamachy). Mają swoje siedziby tam, gdzie koncentruje się diaspora sikhów, która częściowo finansuje ich działalność (Anglia, USA, Niemcy, Holandia, Kanada).

Kohinoor - Góra Światła, okazały diament zdobiący koronę królów angielskich, wydzielony z większego (Wielkiego Mogoła), który od XIV w. przechodził w ręce poszczególnych władców Indii.

koi hai? - z hindi: jest [tam] kto?

"Kompakt Mayflower" - tak polskie piśmiennictwo historyczne nazywa umowę zawartą podczas rejsu sławnego statku, dotyczącą praw i reguł życia przyszłej kolonii (Mayflower Compact) (W. B.).

Kryszna - bóg w hinduizmie, wcielenie Wisznu, choć przez wielu wyznawców uznawany za najwyższego boga. Narodził się w rodzinie królewskiej, ale aby uchronić go przed śmiercią z powodu prześladowań, oddano go na wychowanie pasterzom. Był

psotnym dzieckiem i młodzieńcem, istnieje wiele opowieści o jego figlach i zabawach z pasterkami (gopi); potem powrócił do swego królestwa.

kundalini - w ezoterycznych naukach hinduizmu energia wyobrażana jako wąż spoczywający u podstawy kręgosłupa; poprzez podniesienie tej energii do poziomu najwyższego čakramu sahasrara (jednego z ośrodków energii w ludzkim ciele) osiąga się wyzwolenie z kręgu narodzin i śmierci.

Lakszmana - brat Ramy, wierny towarzysz jego wygnania i walki z Rawaną, ideał wiernego brata.

linga - symboliczne wyobrażenie boga Siwy, fallus, najczęstsze wyobrażenie Siwy w świątyniach, obecne również w domowych ołtarzykach.

lungi - w Indiach część męskiego ubioru, szeroki pas materiału zawiązywany na biodrach.

Ma - w hindi: matka.

mahaguru - z sanskrytu: wielki guru, mistrz, nauczyciel.

maja - z sanskrytu: iluzja. W hinduizmie potężna moc, która sprawia, że ludzie postrzegają świat jako realny, choć w rzeczywistości jest ułudą, iluzją, ponieważ jedynym bytem rzeczywistym jest Brahman (Najwyższa Istota). Maja sprawia, że człowiek postrzega również własne ja jako odrębne od Brahmana, choć w rzeczywistości ja i Brahman są tożsame, oświecenie polega na uświadomieniu i doświadczeniu tej jedności.

majdan - z hindi, tu: plac, boisko.

mała - z sanskrytu, tu: nieczystości wydalane przez ludzkie ciało.

Middle Temple - brytyjskie towarzystwo prawnicze dopuszczające do praktyki sądowej (W. B.).

muharram - w czasie 10 dni miesiąca muharram (jeden z muzułmańskich miesięcy księżycowych) szyici oplakują śmierć Alego (zięcia Mahometa) i jego potomków (Hasana i Husajna z rodzinami) z rąk rodu Omajjadów. Dla upamiętnienia ich męczeństwa szyici obnoszą w procesjach wyobrażenia zmarłych, głośno ich oplakują, przypominają opowieści o ich śmierci, a także umartwiają się (biczują, samookaleczają itp.).

multani mitti - z hindi: glina multañska o podobno cudownych właściwościach kosmetycznych.

nakhra - z hindi, tu: zachcianka, humory, pozy.

narodziny dziewczynki - w Indiach kojarzą się rodzinie z obowiązkiem

zebrania posagu (prawnie zakazane), poważnie obciążającym budżet domowy. Po ślubie córki opuszczają dom i stają się częścią rodziny męża, natomiast synowie zostają w domu i mają obowiązek opieki nad rodzicami, co jest szczególnie ważne, ponieważ przy niezbyt sprawnym systemie opieki społecznej rodzina jest jedynym wsparciem. Synowie są również niezbędni przy kremacji zmarłego rodzica oraz odprawiają obrzędy zapewniające spokój zmarłym. Stąd w niektórych rodzinach narodziny syna przyjmuje się z większą radością niż narodziny córki. Znane są też przypadki zabijania nowo narodzonych dziewczynek, a także dokonywania aborcji po określeniu płci płodu.

Nataradża - z sanskrytu Pan Tańca (inaczej Pan Tancerzy), jedno z wyobrażeń Siwy, który w tej postaci swoim tańcem stwarza, zachowuje lub niszczy świat.

nawab - muzułmański władca.

Nehru, Dżawaharlal (Jawaharlal) (1889-1964) - polityk Indyjskiego Kongresu Narodowego, uczestnik ruchu niepodległościowego, pierwszy premier niepodległych Indii od 1947 do śmierci; w 1950 r. stanął na czele Komisji Planowania, która była odpowiedzialna za odbudowę i rozwój gospodarki narodowej. Politykę tę wprowadzano w życie poprzez plany pięcioletnie (w 1992 r. uchwalono VIII plan) dotyczące przekształceń gospodarczych.

niedogęsieni - w oryginale *ungoosables*, na wzór *untouchables* (niedotykalni), pozakastowych, którzy z powodu wykonywanej pracy (np. związanej z zabijaniem czy zajmowaniem się odpadkami) uznawani są przez wyższe kasty za nieczystych rytualnie; od wieków żyją na marginesie, traktowani przez resztę społeczeństwa jak społecznie "trędowaci", poprawa ich statusu jest jednym z założeń niepodległych Indii (patrz zgęsiowani).

"Opuścić Indie" - rzucone przez Mahatmę Gandhiego w 1942 r. i przyjęte przez Narodowy Kongres Indyjski hasło wzywające Anglików do opuszczenia Indii i nadania im niepodległości, które doprowadziło do czasowego zakazania działalności Kongresu i wielu aresztowań jego działaczy.

Ormuzd - średnioperska wersja staroirackiego imienia Ahura Mazda.

Padmaśri - najwyższe odznaczenie państwowe przyznawane za szczególne zasługi dla Indii.

pakka - z hindi, tu: murowany.

Pandawowie - pięciu braci (Judhiszthira, Bhima, Ardżuna, Nakula i

Sahadewa), bohaterowie eposu *Mahabharata*, który opowiada o konflikcie między dwiema gałęziami rodu Bharatów Pandawami

i Kaurawami; Judhiszthira, najstarszy z braci, sprawiedliwy i zacny, ma słabość do gry w kości, dzięki podstępowi Kaurawowie wygrywają od niego w grze w kości należną Pandawom połowę królestwa, Judhiszthirę i jego braci oraz żonę wszystkich pięciu, Draupadi. Pandawowie, aby odzyskać swoje królestwo, zmuszeni są do udania się na 12letnie wygnanie i ukrywania się przez rok na obcym dworze. Po ich powrocie wybucha bitwa, ponieważ Kaurawowie nie chcą zwrócić im królestwa. Pandawowie wygrywają, wszyscy Kaurawowie i ich sojusznicy giną w walce.

pandit - z sanskrytu; uczonek, również sposób zwracania się do braminów.

pañćakarma - z sanskrytu; w tradycyjnej medycynie indyjskiej pięć rodzajów leczenia: przez środki wymiotne, przeczyszczające, napotne i dwa rodzaje lewatyw.

paratha - okrągłe cienkie placki z nadzieniem warzywnym.

Pasztun - po persku Afgan, przedstawiciel ludów zamieszkujących południowoschodnią część obecnego Afganistanu, gdzie stanowią większość, i północnozachodnią część obecnego Pakistanu; dzielą się na około 60 plemion, tradycyjnie rolnicy, pasterze i żołnierze.

patangbaz - z hindi: latawcowy.

peszawari nań - odmiana lokalna (z Peszawaru) grubszych, pulchniejszych placków chlebowych (nań).

phulka - rodzaj indyjskiego "nadmuchanego" placuszka.

Pierwsza Poprawka - Pierwsza Poprawka Konstytucji Stanów Zjednoczonych dotyczy prawa obywateli do wolności religii, wypowiedzi, druku, pokojowych zgromadzeń i interpelacji kierowanych do rządu (W. B.).

pinata - przystrojony garnek lub zwierzę czy postać z papiermache; uwieszona u sufitu, napełniona słodyczami i zabawkami czeka, aż do zawartości dobiorą się dzieci, z zawiązanymi oczami, wyposażone w kij; meksykański i środkowoamerykański odpowiednik drzewka bożonarodzeniowego.

Plassi - wioska w obecnym indyjskim stanie Bengal Zachodni, miejsce zwycięskiej bitwy Anglików (dowodzonych przez Clive'a) z siłami nawaba Bengalu, która odbyła się 23 czerwca 1757 r.

podział Indii - podział Indii brytyjskich na dwa niepodległe państwa - obecne Indie i Pakistan - dokonany w 1947 r. na skutek nalegań Ligi Muzułmańskiej (mającej reprezentować muzułmanów indyjskich) nawołującej do stworzenia dla nich

oddzielnego państwa. Indyjski Kongres Narodowy, przeciwny idei podziału kraju, został zmuszony do zaakceptowania planu podziału, z powodu rozniecanych przez działaczy Ligi starć pomiędzy muzułmanami a hindusami, w czasie których doszło do walk, zabójstw, gwałtów i kradzieży. (W skład Pakistanu w 1947 r. wchodziło również terytorium obecnego Bangladeszu.) W czasie migracji po podziale, kiedy to część muzułmanów z całego terytorium Indii wędrowała do Pakistanu, a hindusi zamieszkujący te tereny przenosili się na ziemie leżące w granicach obecnych Indii, ponownie doszło do wielu bratobójczych walk i okrutnych aktów przemocy. To traumatyczne doświadczenie było udziałem wielu indyjskich rodzin, zostawiło niezatarte piętno na społeczeństwach państw subkontynentu indyjskiego.

prana - z sanskrytu: oddech, energia witalna, często utożsamiana z „ja”, według jogi kontrola prany jest jednym z niezbędnych elementów uzyskania oświecenia.

Purany - “stare [opowieści]”, zbiory zawierające legendy i mitologiczne dzieje wielkich bohaterów.

raga - w klasycznej muzyce indyjskiej kompozycja składająca się z co najmniej 5 dźwięków, na których podstawie muzycy budują improwizację, złożoną z kilku części, których długość sami określają. Każda raga ma nastrój, który w słuchaczu ma wzbudzać określone uczucia. W tradycji klasycznej muzyki północnoindyjskiej (hindustani) raga przypisana jest określonej porze roku i dnia.

raj - styl muzyki z Algierii, radosny, z wyraźnymi rytmami tanecznymi. W latach sześćdziesiątych został unowocześniony przez użycie klawiszy i perkusji, w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych stał się popularny również na Zachodzie. Muzyka raj budzi sprzeciw w kołach fundamentalistów islamskich w Algierii; teksty piosenek, którym ortodoksi zarzucają szerzenie zepsucia (zachowań na wzór zachodni) i nowoczesnych, obcych idei, często zawierają ukrytą krytykę fundamentalistów. Po apelu niektórych radykalnych przywódców islamskich o zabijanie piosenkarzy raj, w imię fatwy, został zamordowany bardzo popularny Cheb Hasni (29 września 1999), nazywany księciem raj. Inny znany piosenkarz Cheb Khaled (twórca popularnego przeboju *Aisha*) wyemigrował do Francji.

Rama - wcielenie boga Wisznu; przez wielu wyznawców hinduizmu uznawany za najwyższego boga. Jest *bohaterem Ramajany*. Rama był księciem, podstępem został wygnany ze swego królestwa na 14 lat, w tym czasie przebywał w pustelniach leśnych, towarzyszyła mu żona i wierny brat. Pokonał okrutnego demona Rawanę,

który porwał jego żonę Sitę. Przedostał się do siedziby demona na wyspie Lanka mostem wybudowanym przez wspomagającą go armię małp i niedźwiedzi z pomocą innych zwierząt (m.in. ryb). Rama uznawany jest w Indiach za wzór posłusznego syna, kochającego męża, cnotliwego człowieka, sprawiedliwego króla.

Ramajana - jeden z najsłynniejszych, obok *Mahabharaty*, eposów indyjskich, jego legendarnym autorem miał być wieszcz Walmiki; przypuszczalne datowanie V przed Chr. II po Chr. Inspiracja dla wielu późniejszych twórców nie tylko indyjskich.

rasajana - jedna z gałęzi tradycyjnej medycyny indyjskiej, skupia się na powstrzymaniu starzenia i przedłużaniu życia; również nazwa eliksiru młodości.

rasgulla - indyjski deser, kulka z masy serowej moczona w bardzo słodkim syropie.

Rati - z sanskrytu: rozkosz; imię żony boga miłości, Kamy, która ubłagała Siwe, żeby przywrócił ciało jej małżonkowi.

Rawana - okrutny dziesięciogłowy i dwudziestoramienny demon, władca demonów, który dzięki ascezie i wyrzeczeniom posiadał ogromną moc i zdobył błogosławieństwo boga Brahmę. Demon poprosił o zapewnienie mu nietykalności ze strony różnych istot, ale ponieważ był pełen pychy, nie wspomniał o człowieku, którego uważał za niegodnego przeciwnika. Aby pokonać demona bóg Wisznu zstąpił na ziemię pod postacią człowieka - królewicza Ramy. Rawana porwał Sitę, żonę Ramy, i więził ją w swojej siedzibie na Lance, Rama zabił Rawanę i w ten sposób uwolnił ziemię od krwawego terroru potężnego demona.

reśmi roti - odmiana okrągłych placków chlebowych (roti) uważana za szczególnie delikatną w smaku, jedwabną” (reśmi).

Rupia - jednostka monetarna w Republice Indii, 1 rupia dzieli się na 100 pajsę.

rysi - z sanskrytu: wieszcz. W hinduizmie uważa się ich za świętych mędrców, którym zostały objawione święte teksty (Wedy), ryszi mieli też być autorami ksiąg zawierających różnego rodzaju wiedzę (np. ryszi Watsjajana to mityczny autor *Kamasutry*). Są obdarzeni nadprzyrodzonymi mocami, m.in. widzenia przyszłości czy czytania myśli.

sahib - z hindi, tu: pan.

Salsette - wyspa, połączona od strony południowej z wyspą Bombaj, od wschodniej z lądem.

Seoni - pasmo górskie, część wzgórz Satpura (na Wyżynie Dekkańskiej,

przechodzą przez indyjskie stany Maharasztra i Madhja Pradeś). W *Księdze dżungli* Kiplinga zapisywane jako Seeonee.

Siedem Wysp - na nich położony jest Mumbaj; w 1534 r. zostały one przekazane Portugalczykom przez muzułmańskiego władcę Bahadura Szacha

Singh - po duchowej inicjacji do bractwa Khalsy ("czystych") sikhowie otrzymują przydomek Singh, czyli "lew". Wszyscy przyjęci do bractwa noszą to nazwisko.

Sita - żona królewicza Ramy, jej historię opowiada *Ramajana*. Dzielila z mężem 14-letnie wygnanie, porwana przez demona Rawanę i więziona w jego siedzibie na Lance, uwolniona przez Ramę i wspierającą go armię. Udowodniła swoją wierność mężowi, weszła w ogień, a wyniósł ją z niego bóg ognia (Agni), zaświadczając o jej cnotliwości. Powróciła z Ramą do jego królestwa; po jakimś czasie znów została oskarżona przez poddanych Ramy o niewierność. Mąż wygnał ją wówczas do lasu, gdzie urodziła dwóch synów. Kiedy Rama poprosił ją o ponowne udowodnienie niewinności, wezwała na świadka Ziemię (swoją matkę) i poprosiła, żeby pochłonęła ją w dowód jej czystości, tak też się stało. Sita w kulturze indyjskiej jest symbolem wiernej, cnotliwej, kochającej i posłusznej mężowi żony, uznaje się ją również za wcielenie bogini dobrobytu (Lakszmi).

siti badźana - z hindi: gwizdać.

soma - nazwa halucynogennego napoju i rośliny, z której go przyrządzano. W Wedach niezbędny do odprawienia ofiary.

sowa - uważana w Indiach za symbol głupoty.

stan Bombaj - w 1960 r. podzielono go według kryteriów językowych na Gudżarat, z większością ludności mówiącą w języku gudżarati, i Maharasztrę, gdzie większość posługuje się językiem marathi.

Stowarzyszenie na Rzecz Świadomości Krysznykonserwatywny i autorytarny ruch religijny założony w USA przez A. C. Bhaktiwedantę w 1966 r. Jego członkowie przejmują indyjski sposób ubierania się i hinduskie zwyczaje.

strajk marynarzy - w lutym 1946 r. marynarze floty stacjonującej w Bombaju domagali się od Brytyjczyków lepszego traktowania i poprawy wyżywienia; strajk zdobył szerokie poparcie w całych Indiach, w większych miastach odbywały się wspierające go demonstracje. Kongres przekonał jednak marynarzy do przerwania strajku pod groźbą Anglików, że zniszczą indyjską flotę.

stworzenie świata - jeden z hinduskich mitów o stworzeniu mówi o

powstałym z wód pierwszym zarodku życia przedstawianym jako jajo.

Svengali - postać z powieści George'a du Mauriera *Trilby* (1894); występny hipnotyzer, szerzej: człowiek manipulujący innymi w złej intencji (W. B.).

Śastri (Shastri), Lal Bahadur (1904-1966) - uczestnik ruchu niepodległościowego, polityk Indyjskiego Kongresu Narodowego, sprawował urząd premiera w latach 1964-1966. Zasługę podpisania traktatu pokojowego z Pakistanem w 1966 r. w Taszkencie przypisuje się Śastriemu, który zmarł tamże tuż po podpisaniu pokoju.

Siwa - jeden z trzech najważniejszych bogów hinduizmu (najwyższy bóg jednego z głównych odłamów hinduizmu - śiwaizmu). Przedstawiany pod wieloma postaciami o często przeciwstawnych cechach, jest na przykład zarówno opiekunem, jak i niszczycielem (patrz: Nataradża).

śri - z sanskrytu, tu honorificum pojawiające się przed nazwiskiem lub imieniem: czcigodny.

święto latawców - w czasie hinduskiego święta Wasant Pańcami, obchodzonego pod koniec stycznia lub na początku lutego (według kalendarza księżycowego) na cześć bogini Saraswati (patronki nauki i sztuk) i na przywitanie wiosny. Jednym z ulubionych sposobów świętowania jest powszechne puszczanie latawców.

Tadž Mahal - jeden z najwspanialszych zabytków architektonicznych Indii, z białego marmuru, inkrustowany czarnym marmurem i półszlachetnymi kamieniami. Wybudowany przez Szachdżahana (cesarza Indii z dynastii Mogołów) na cześć żony po jej śmierci, ukończony w 1643 r.

tamaśa - z hindi: przedstawienie.

tanduri nań - grubszy, pulchniejszy placek (nań) wypiekany w specjalnym glinianym piecu tandur.

tantra - kierunek religijno-fuzoficzny w tradycji indyjskiej, w którym poszukuje się wyzwolenia poprzez pobudzenie wewnętrznej energii i intuicji, praktykując jogę i sekretne rytuały, obejmujące łamanie wielu istniejących w hinduizmie tabu (np. spożywanie mięsa, picie alkoholu, praktyki orgiastyczne itp.).

tara - z hindi, tu: gwiazda.

tika - znaki, którymi hindusi ozdabiają czoło na znak błogosławieństwa po wizycie w świątyni lub po odprawieniu rytuałów w domowym ołtarzyku.

tragedia bhopalczyków - 3 grudnia 1984 r. w mieście Bhopal w indyjskim

stanie Madhja Pradeś nocą z fabryki nawozów należącej do międzynarodowego koncernu wywodzącego się z USA wyciekło 40 ton toksycznego gazu. Rano wśród odurzonych oparami mieszkańców zapanowała panika; duża część urzędników i służb porządkowych zamiast organizować akcję ratowniczą, opuściła miasto. Liczbę ofiar szacuje się według statystyk rządowych na 16 tyś. zmarłych, a ponad pół miliona ludzi trwale utraciło zdrowie. Do dziś mieszkańcy Bhopalu chorują z powodu tamtego tragicznego wypadku.

Transcendentalna Medytacja - inaczej TM, system praktyk medytacyjnych i relaksujących opracowany przez Guru Dewa, rozpowszechniony na Zachodzie przez jego ucznia Maharishiego. Medytację tę praktykuje się dwa razy dziennie przez koncentrację na specjalnej frazie lub dźwięku (mantra). Bardzo popularna w latach sześćdziesiątych, kiedy to praktykowały ją znane osobistości (m.in. członkowie grupy The Beatles).

ummid - z hindi: nadzieja. **urdu** - patrz: hindustani.

Victoria Terminal - dworzec kolejowy w Mumbaju, wybudowany w neogotyckim stylu według projektu Williama Stevensa w 1887 r. W 1921 r. po raz pierwszy w Indiach wyruszył z niego pociąg.

wadźra - z sanskrytu: diament lub / i piorun; symbol wadźrajany, Wozu Diamentowego, czyli buddyjskiego tantryzmu, odłamu buddyzmu włączającego prastare elementy wierzeń ludowych, obrzędów, rytuałów i praktyk magicznych. Jego odmianą jest buddyzm tybetański (inaczej lamaizm).

Wardha - miasto w indyjskim stanie Maharasztra w Indiach zachodnich; w 1936 r. Mahatma Gandhi założył tu aśram Sewagram.

Waruna - jeden z głównych bogów okresu wedyjskiego, strażnik kosmicznego porządku, sprawiedliwy sędzia grzesznych, w późniejszym okresie traci czołową pozycję, w hinduizmie staje się opiekunem i panem wód oraz strażnikiem jednego z kierunków świata (zachodu)

Wibhiszana - cnotliwy brat okrutnego demona Hawany, przeszedł na stronę Ramy w czasie jego walki z Rawaną.

wieża milczenia - inaczej dachma, wieża, w której parsowie pozostawiają zmarłych, aby nie zanieczyszczać żywiołów (przez grzebanie czy palenie ciał); pozostawionymi w dachmach zwłokami zajmują się ptaki.

wina - instrument muzyczny, rodzaj lutni; jeden z atrybutów hinduskiej bogini Saraswati, opiekunki literatury, nauk i sztuk pięknych, w tym muzyki.

Wiśwarupa - z sanskrytu, tu: "mający wiele postaci", określenie Boga.

Wschodni Pakistan - w 1947 r. na terytorium byłych Indii brytyjskich powstały dwa państwa: Indie i muzułmański Pakistan podzielony na część zachodnią (obecny Pakistan) i wschodnią (obecny Bangladesz). W 1971 r. wojska Wschodniego Pakistanu wspierane przez oddziały indyjskie pokonały wojska Zachodniego Pakistanu; powstało nowe państwo: Bangladesz. Podstawą tego podziału była kulturowa i językowa odmienność mieszkańców Bangladeszu, posługujących się w większości językiem bengalskim (bangla - bengalski, desz - kraj).

Wzgórze Malabarskie - elegancka, malownicza dzielnica Bombaju położona na jednym z najwyższych wzniesień (55 m n.p.m.).

Yma Sumac - pseudonim artystyczny Emperatriz Chawari (ur. 1927 r.) peruwiańskiej sopranistki o niezwyklej skali głosu (5 oktav), mieszkającej w USA.

zamieszki komunalne - w Indiach często dochodzi do starć pomiędzy przedstawicielami różnych religii czy kast. Uważa się, że często napięciami społecznymi manipulują politycy, sami wywołują te niepokoje, aby osiągnąć zamierzone cele polityczne. Po zamordowaniu Indiry Gandhi przez sikhów w całym kraju doszło do pogromów na sikhach, hindusi zabili kilka tysięcy sikhów, grabili i niszczyli ich mienie (sklepy, warsztaty itp.). Do najkrwawszych i najbardziej zajadłych wystąpień przeciw sikhom doszło w Delhi, policja zachowywała się biernie.

zaratusztrianizm (inaczej parsyzm) - religia monoteistyczna, rozwinęła się z nauk Zaratusztry, jej wyznawcy (parsowie) od końca IX do XII w. migrowali z obecnego Iranu pod naporem islamu. Większość parsów znalazła się w zachodniej części Indii, w obecnym stanie Gudżarat. Obecnie żyją głównie w Mumbaju (ok. 100 tyś.) i Iranie (ok. 30 tyś.) oraz w Anglii i USA (diaspory migrantów); w czasie rządów brytyjskich parsowie w Indiach osiągnęli stosunkowo wysoką pozycję społeczną, zajmowali wiele stanowisk w administracji, jak również dorabiali się fortun w handlu i przemyśle. W etyce parsyzmu kładzie się nacisk na to, że to sam człowiek dokonuje wyboru między dobrem a złem.

zgęsiowani - w oryginale *Scheduled Geese*, aluzja do *Scheduled Casts* (rejestrowanych kast), czyli kast niskich i pozakastowych (niedotykalnych), które pod tą nazwą funkcjonują w ustawodawstwie indyjskim zabraniającym ich prześladowania i zapewniającym im polepszenie ich statusu poprzez nadawanie szczególnych przywilejów (m.in. rezerwację miejsc w szkołach wyższych i administracji państwowej, reprezentacja w parlamencie). Podobna ochrona obejmuje

Scheduled Tribes (rejestrowane plemiona), plemiona o niskim stopniu rozwoju. Polityka taka ma zapewnić tym społecznie i ekonomicznie zacofanym członkom społeczeństwa indyjskiego wyrównanie szans i polepszenie ich sytuacji.

Złota Świątynia - Harimandir, najświętsza świątynia sikhów, znajduje się w Amrytsarze w indyjskim stanie Pendżab. W 1984 r. schronili się w niej separatyści sikhijscy walczący o własne państwo; Indira Gandhi, ówczesny premier, wydała pozwolenie na wkroczenie wojska indyjskiego do świątyni; w czasie tej operacji zginęło wielu separatystów, ale również wielu niewinnych cywilów, odwiedzających świątynię, w tym kobiet i dzieci. Społeczność sikhów oburzyła się na takie zbezczeszczenie świątyni, było to bezpośrednim powodem zamordowania Indiry Gandhi.

Żółte Kapelusze - dominująca szkoła / zakon w buddyzmie tybetańskim, z niej wywodzi się Dalajlama.

żywioly - ogień, woda, ziemia, czczone w parsyzmie jako symbole dobrych duchów, szczególnie ogień symbolizujący samego Ahura Mazdę (stąd niewłaściwe, lecz popularne określenie parsów jako czcicieli ognia) i oczyszczenie. Parsowie dbają, aby nie zanieczyszczać żywiolów, stąd szczególny sposób zajmowania się ciałami zmarłych (patrz wieża milczenia) i np. *zakaz* zbliżania się do ognia kobiety w czasie menstruacji, kiedy jest nieczysta.

14 lutego 1989 - dzień rzucenia fatwy na Rushdiego za *Szatańskie wersety*.